

BIBLIOTEKA WARSZAWSKA.

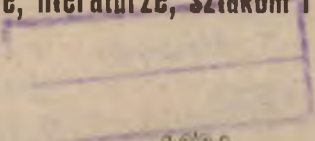
Ogólnego zbioru Tom 289.



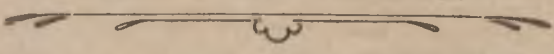
BIBLIOTEKA WARSZAWSKA.

PISMO MIESIĘCZNE,

poświęcone nauce, literaturze, sztukom i sprawom społecznym.



Rok 1913.—Tom I.



WARSZAWA.

Adres Redakcyi: ul. Krakowskie Przedmieście № 5.

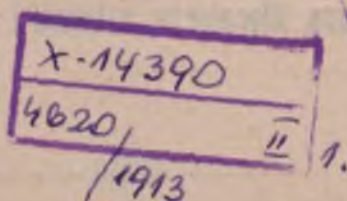
1913.

4620, 1913, 1

II



30.000,-



Upadek Polski a Francya.

I.

Rozszarpanie Rzpltej, niezawisłe od tego czem było dla samejże Polski, było zarazem, pod najogólniejszym względem międzynarodowym, wielkim aktem negacyi Europy jako całości. Równało się zwłaszcza negacyi pierwszorzędných mocarstw zachodnich, Francyi i Anglii. Pośrodku powszechnego zespołu mocarstwowego wyodrębniła się naraz samoistna trójca podziałowa, Rosya, Prusy, Austria, i nie oglądając się na inne tego zespołu najznakomitsze członki, dokonała między sobą, przez ogromną operacyę rozbiorową polską, rdzennego przeobrażenia w terytorjalnym stanie posiadania na lądzie europejskim, a przeto i w dynamicznym układzie europejskiej równowagi politycznej. Musiało to samą siłą rzeczy prędzej czy później odbić się dotkliwie na tamtych wydalonych, zobojętnionych świadkach zachodnich. Odbije się też na swój sposób, kolejną odległych lecz koniecznych następstw, na przyszłości Anglii. Ale odbić się musiało przede wszystkim, bezpośrednio i natychmiast, na losie przodującego mocarstwa kontynentalnego, Francyi.

Trzy podziały 1772, 1793, 1795 r. poprzedzane były każdy przez ostre przesilenie wewnątrz Polski, przez rozpaczny wysiłek ratunkowy ginącego narodu, rewolucyę barską, majową, kościuszkowską. Dla stanowiska Francyi było szczególnie znamienne najpierwsze zaraz przesilenie podziałowe. Wyobrażało ono w porównaniu z dwoma następniemi, będącemi już tylko dalszem nieuniknionem jego rozwinięciem, zasadniczy, bo wstępny wyłom rozbiorowy, nieszczący z natury rzeczy największej trudności wykonawczych dla napoczynających go dopiero sprawców, a tem

samem najwięcej stosunkowo ułatwień zapobiegawczych dla zainteresowanych w jego niedojściu mocarstw postronnych. Odbywało się zaś nadomiar w czasie dla tych ostatnich mocarstw, a w szczególności dla Francyi, stosunkowo dogodnym, kiedy nie była ona jeszcze, jak za dwóch następnych przesileni podziałowych, skrępowaną przez własne najpoważniejsze troski rewolucyjne i wojenne. I mimo to, sposobem tembardziej uderzającym, ujawniła się w całej pełni już tym razem, wobec pierwszego aktu tragedyi rozbiorowej, bezwzględna nicość Francyi i polskiej jej polityki.

Ta nicość, jaką w onej przełomowej dla Polski chwili miał okazać społeczny, sam już wtedy chyłący się do upadku rząd wersalski, była w znacznej mierze uwarunkowaną przez wcześniejsze przesłanki dziejowe, przez cały uprzedni stosunek starej monarchii francuskiej do Rzpltej polskiej. Ów stosunek od szeregu stuleci pojmowany był ze strony francuskiej jedynie jako incydens pomocniczy w odwiecznej walce domu Francyi z domem Habsburgów i był też stale i wyłącznie podporządkowany kolejnym tej walki odmianom i potrzebom. Stąd sprowadzony został, zamiast do zdrowego sprzężenia interesów Polski a Francyi, do prostego jeno wyzyskiwania Polski przeciw Austrii. Stąd znowu poszły zawzięte a bezmyślne, bo nie z dodatnich płynące dążenia, lecz z samej tylko ujemnej pobudki spółzawodnictwa austriackiego, zabiegi elekcyjne francuskie o koronę polską, przemysłne a nędzne szalbierstwa dyplomacyi francuskiej w Polsce, ustawiczne przez nią mącenie życia wewnętrznego Rzpltej i jej polityki zagranicznej, wyzyskiwanie jej bez miłosierdzia zarówno w stosunku do Austrii, jakoteż ze względu na innych, wygodniejszych narazie, używanych przeciw Austrii, sojuszników francuskich, czy to Szwecyę, czy Turcyę, czy też najmłodszego a najsprawniejszego pod koniec sojusznika, Prusy. W ostatecznym wyniku, pod pozorami tradycyjnej od wieków życzliwości i powinowactwa politycznego polsko-francuskiego, kryła się w rzeczywistości marna i szkodliwa tradycja polityczna polska starej Francyi, przenikniona realizmem pogardliwym i bezwzględnym, fikcyjnym w gruncie rzeczy realizmem, krótkowzrocznym, bezpłodnym, niczego na prawdę realnego zbudować niezdolnym, bo budującym na piasku, stojącym na systematycznym zapoznawaniu, lekceważeniu, deptaniu najistotniejszych interesów Rzpltej polskiej, jej znaczenia, godności i samego bytu państwowego i narodowego. W tem pojęciu głębszem, na odległości dwóch stuleci między 1572 a 1772 r., między opuszczeniem Polski przez uciekającego z niej Henry-

ka Walezego a opuszczeniem jej w potrzebie podziałowej przez umywającego ręce Ludwika XV, była pewna przyczynowa łączność dziejowa.

Wprawdzie w połowie wieku XVIII, na skutek osławionego „odwrócenia aliansów“, dokonał się przewrót kardynalny w dotychczasowej powszechnej polityce francuskiej. Francya rzekomo nazawsze pogrzebała starodawny swój z Austryą zatarg i związała się z nią najściślej politycznie, a niebawem i dynastycznie. Wszakże nie wyszło to bynajmniej na dobro zabagnionym stosunkom polsko-francuskim. Tamten nowy, paradoksalny sojusz Francyi z Austryą był początkowo założony na spółdziale Rosyi a był przedewszystkiem obliczony przeciw Anglii i Prusom. Pogrzebanie antagonizmu austro-francuskiego miało wyjść z jednej strony na pożytek przyrodzonego antagonizmu francusko-angielskiego, z drugiej zaś austro-pruskiego; wzamian Francya poświęcała dawniejszy swój związek z Prusami przeciw Austrii, Austrya swój z Anglią przeciw Francyi. Lecz odrazu, przy pierwszej próbie czynnej, w wojnie siedmioletniej, gdzie Francya straciła kolonie do Anglii, Austrya nie odzyskała Szląska od Prus, misterny ów rachunek zawiódł haniebnie; na dobitkę zaś został on niebawem, nazajutrz po tej wojnie, pokrzyżowany do reszty przez zerwanie Anglii z Prusami a związanie się natomiast z niemi Rosyi. Ten ostatni zwrot kapitalny, przymierze Fryderyka II z Katarzyną II, dokonywając się na gruncie rzeczy polskich, prowadząc bezpośrednio do wyniesienia kreatury rosyjskiej, Stanisława Augusta, na tron polski a pośrednio otwierając już fazę końcową, podziałową zagadnienia polskiego, stawał zupełnie w poprzek pierwotnych założeń tamtej sztucznej kombinacyi sojuszniczej francusko-austriackiej i musiał zwichnąć ją ostatecznie. W rzeczy samej, jeśli godziła ona pierwotnie ze strony francuskiej w Anglię a z austriackiej w Prusy, to przecie z żadnej w Rosyę. A nawet wprost przeciwnie, Austrya już po sprzymierzeniu się z Francją nie przestawała podawnemu ciążyć ku Rosyi, w której podczas wojny siedmioletniej nierównie skuteczniejsze, niż francuskie, przeciw Prusom znajdowała narzędzie, z którą łączyły ją wcześniejsze tradycye wspólnych działań w sprawach tureckich i polskich, z którą wprawdzie w obu tych sprawach, a zwłaszcza w pierwszej, różniły ją odrębne i sprzeczne interesy, a od której w dodatku została świeżo odsadzoną przez Prusy, lecz ku której właśnie pod wpływem konkurencyjnych przed Prusami obaw tem snadniej w głębi odtąd pociągana była. To też Austrya teraz, po pewnem wahaniu, pewnych osten-

tacyjnych manewrach, zapowiadających mniemane groźne jej wystąpienie przeciw sekundowanej przez Prusy akcji rosyjskiej na Wschodzie i w Rzpltej, miała koniec końcem po swojemu do tej akcji przystąpić, i ograbiwszy na własną rękę Turcyę, przyłączyć się do wspólnego rozbioru Polski. Miała w ten sposób, przez one fałszywe manewry a w charakterze swoim sojuszniczki francuskiej, podtrzymać tylko i przedłużyć złudne nadzieje, w niej oraz we Francyi pokładane przez Polaków. Miała wreszcie przez sojusznicze swoje ciśnienie na politykę francuską jeszcze bardziej tylko obezwładnić ją i znieczulić zarówno wobec grabieży dokonanej na Porcie ottomańskiej, jak wobec ciosu podziałowego zadanego Rzpltej polskiej. Tym sposobem, podobnie jak przedtem walka z Austryą paczyła i zatruwała przez wieki cały stosunek Francyi do Polski niepodległej, tak obecnie przymierze z Austryą odbiło się jaknajfatalniej na stosunku Francyi do Polski dzielonej.

Uwydatniło się to jaskrawo w pierwszym mianowicie przesileniu podziałowem, tem jaskrawiej, że trwało ono stosunkowo długo, przez szereg lat, poczynając od wybuchu konfederacyi barskiej aż do zupełnego wykończenia operacyi rozbiorowej. Przez cały ten przeciąg czasu Francya Ludwika XV, mając ręce wolne, przecie niczemu nie potrafiła zapobiedz. Pomagała wprawdzie konfederatom, ale tak nierozumnie, nieudolnie, nieuczciwie, że przyspieszała tem tylko katastrofę. Zapewne, konfederacya barska w swoim poczęciu, nastroju i przebiegu nie była bynajmniej na tej wysokości, jakiej wymagało położenie narodu i na jakiej postawiła ją legenda; była naogół pod względem ideowym i faktycznym znacznie niżej poziomu insurekcyi kościuszkowskiej. Śród bodźców, czynników i objawów przedsięwzięcia barskiego nie brakło też zapewne podejrzanych, poślednich, lub zgola ujemnych. Nie brakło nawet składników wprost prowokatorskich: ze strony Prus, skąd nie szczędzono zachęty konfederatom, posyłano im przebranych oficerów, pozwalano przemysliwać o kandydaturze ks. Henryka pruskiego na tron polski; ze strony Austrii, która przygarniała generalność konfederacką, dawała jej u siebie schronienie, umacniała ją w widokach na kandydaturę sasko-austriacką; a jak się zdaje, poniekąd i ze strony Rosyi, trzymającej pełno szpiegów i zdrajców w szeregach konfederackich, a gdzie śród pewnych wpływowych żywiołów petersburskich, politycznych, a zwłaszcza wojskowych, mile patrzono na barskie zarzewie, nie życzo no sobie przedwczesnego jego stłumienia, życzo no owszem rozdmuchnięcia go w pożogę o tyle właśnie znaczną, aby był ty-

tuł do przygaszenia jej przez podział. Jednakowoż, mimo to wszystko, konfederacya samą siłą rzeczy, właściwym sobie żywiołowym odruchem, stawiała się wielkiem uosobieniem obronem niepodległości i całości Rzpltej, wielkim wypadkiem narodowym i europejskim.

Barzanie podnieśli się, pospołu z Turcyą, przeciw Rosyi, oczywiście podówczas najgłówniejszej nieprzyjaciółce Rzpltej. Rachowali na poparcie Austrii, będącej z imienia nierozłączną sojuszniczką francuską, na współdziałanie Szwecyi, będącej istotnie pod kuratelą francuską. Nadewszystko atoli liczyli na samą Francję, przyrodzoną opiekunkę Polski i Porty, a zarazem, jak się wtedy zdawało, naturalną przeciwniczkę Rosyi. W rzeczy samej, Katarzyna II w owej chwili, rozprawiając się z konfederacyą polską i podejmując jednocześnie pierwszą swoją wojnę turecką, już sięgnęła ze Wschodu daleko ku Zachodowi, flagę swoją rozpostarła nad morzem Śródziemnem, swego admirała Orłowa czyniła arbitrem Włoch; już tedy dotykała się Francyi, a nawet krzyżowała bezpośrednio jej widoki na tym obcym sobie terenie, w ściśle francuskim promieniu działania. Francya podówczas właśnie, wyszedłszy z pustemi rękoma z tyłu próżnych wysiłków swoich w wojnie siedmioletniej, jedną skromną nareszcie zabezpieczała sobie zdobycz: Korsykę. Owóz Korsykanie, zwracając się na podobieństwo Barzan po ustawy do Roussa, a broniąc się do upadłego pod swoim generał-kapitanem Paolim przeciw wystanej przez Choiseula ekspedycyi zdobywczej francuskiej, najnie spodzianym sposobem w swej walce o niepodległość odbierali zachętę i poparcie od Orłowa; i kiedy już ulegali przemocy i wiążącemu ich odtąd z Francją losowi, jeszcze byli podżegani do oporu przez pismo własnoręczne Katarzyny „do dzielnych Korsykanów, obrońców swojej ojczyzny i wolności“, gdzie imperatorowa imieniem Europy wyrażała im uznanie za bohaterski ich patryotyzm wobec najeźdźców francuskich i oświadczała uroczyście, „iż jest obowiązkiem całego rodzaju ludzkiego wspomagać i wspierać obywateli, ożywionych uczuciem tak szlachetnem, wielkiem i naturalnem“. W tej samej chwili Barzanie, za takie same właśnie uczucia wycinani w pień lub wysyłani na Sybir, chronić się musieli pod opiekuncze skrzydła francuskie. Pierwsza masowa emigracya polska, tylu następnych poprzedniczka, emigracya konfederacka barska, tłumnie stawiała się w Paryżu, oczekując pomocy politycznej a nawet recepty nowatorskiej od rządu i myśli francuskiej, od Choiseula i Roussa, jednakowo za-

wodnie. Wprawdzie w głowie niektórych ówczesnych statystów wersalskich majaczyły się przelotem jakieś mętne zachcianki rozleglejszej akcyi na tle powikłań polskich. Ale nawet te dorywcze szersze pomysły zmierzały ostatecznie do celów postronnych, niemających właściwie nic wspólnego z losami upadającej Polski. „Wielki plan“ Choiseula brał rzeczywiście w rachubę pchnięcie Austrii a bodaj i Szwecyi razem z Turcyą i konfederatami barskimi do wojny z Rosyą, lecz uwieńczony być miał przez zwycięskie rozprawienie się Francyi z Anglią. Antagonizm francusko-angielski już wtedy w dobie pierwszego podziału, jak później na inny sposób w dobie drugiego i trzeciego, miał zostać jednym ze spółczynników ułatwiających dzieło rozbiorowe. (Opinia pospolita we Francyi gdzieniegdzie zaledwo objawiała jakieś platoniczne, sentymentalne spółczucie dla biednych konfederatów, których w najlepszym razie, z bajeczną wprost ignorancyą samychże rozgrywających się spółcześnie wypadków oraz elementarnych pojęć o historii i geografii polskiej, wyobrażała sobie pod postacią Kazimierza Pułaskiego jako sędziwego ojca pięknej „Lodoiski“, w towarzystwie czułych lub srogich magnatów „Łowczyńskich“ i „Duchińskich“, rozmaitych szlachciców „Mieczysławów“ i „Bolesławów“, walczących gdzieś w jakimś kraju mitycznym, nad rzeką „Worskłą“, pomiędzy „Nowgorodem“, „Połtawą“ a „Częstochową“, przeciw zjednoczonym Rosyanom i Tatarom. (Poza tem zresztą ówczesna opinia publiczna francuska była właściwie w ogromnej większości całkiem obojętnie a poniekąd wręcz wrogo usposobioną dla dalekich, barbarzyńskich Sarmatów. Najświetniejszy jej wtedy przedstawiciel, stary Voltaire, na wysługach Katarzyny II i Fryderyka II, wyszydzał i piętnował konfederatów barskich, w których widział tylko pachołków fanatyzmu religijnego, nie dojrział obrońców niezawisłości narodowej.) Powszechnym i uderzającym sposobem występował we Francyi tamtoczesnej zupełny brak zrozumienia rzeczy polskich zarówno pod wewnętrznym, jak i zewnętrznym kątem widzenia. Nie zrozumiał nawet przyjazny Rousseau, i złe naogół, niemądre, niezdrowe — z wyjątkiem jeno pięknych skazówek o podniesieniu ducha narodowego, o przygarnięciu mieszczan i chłopów, — opracował rady Barzanom, zalecając w myśl samobójczych ich pragnień utrzymanie konfederacyi i *liberi veto* albo nawet rozczłonkowanie prowincjonalne Rzpltej, zalecając właściwie anarchię. (Nie zrozumiał podobnie i życzliwy Choiseul, który w tym samym czasie poufne składał wyznanie, „iż anarchia polska jest użyteczną dla interesów francuskich, a przeto cała polityka nasza w tym kraju

powinna ograniczać się do jej zachowania“. Rząd wersalski w gruncie rzeczy nie zdawał sobie wcale sprawy ani z dokonywającego się przed jego oczyma śmiertelnego w Polsce i z Polską przewrotu, ani z doniosłości niesłychanej tego przewrotu dla Europy i samejże Francyi. Polska była tam wciąż pojmowana nie jako jeden ze stałych składników kardynalnych wielkiej polityki francuskiej, warunkujących własne jej stanowisko w Europie, lecz postaremu wyłącznie jako przedmiot całkiem podrzędny, przygodny, nadający się mniej lub więcej w pewnych sposobnych ku temu okolicznościach do zużytkowania na rzecz doraźnych widoków postronnych tej polityki, nadający się conajwyżej do wyzyskania jako „dywersya“. Takie, odwiecznie uświęcone w gabinecie wersalskim a i w chwili niniejszej górujące tam pojmowanie Polski jedynie jako przedmiotu dywersyi, skazywało już z góry całą akcyę Francyi w przesileniu barskiem i pierwszopodziałem na bezpłodność zupełną i niepowodzenie sromotne. Skończyło się też w rzeczy samej na tem, że rzucono do Polski trochę pieniędzy, posłano tam kilkuset oficerów i ochotników francuskich na zatracenie niechybne, na śmierć lub zesłanie; że zamknięto oczy na tyle krwi przelanej, już nie tylko polskiej lecz i francuskiej, na niebываły dotychczas widok już nie tylko polskich lecz pierwszych pędzonych na Sybir katorżników francuskich, „potrzebnych mi—jak w odpowiedzi na wstawiennictwo za nimi Alemberta odpisała z okrutnem szyderstwem Katarzyna — dla zaprowadzenia pięknych manier w tych prowincjach“; że wreszcie, aczkolwiek nie sankcyonowano urzędownie podziału Polski, przecież pogodzono się z nim milcząco jako z faktem dokonanym.

Dla Polski był to zawód fatalny i pamiętny. Została ona od pierwszego razu okrojona straszliwie: mocą aktów petersburskich podziału 1772, wymuszonych cesyi sejmowych warszawskich 1773 oraz demarkacyi 1775 i 1776 r. traciła na rzecz Austrii przeszło 1500, na rzecz Rosyi blisko 1700, na rzecz Prus około 700 mil kwadratowych, z odpowiedniem zaludnieniem 2 milionów mieszkańców w austryackim, prawie 1½ miliona w rosyjskim, do 600000 w pruskim zaborze; ogółem w jednej trzeciej niemal okrojona części, z pierwotnego obszaru 13½ tysięcy mil kwadratowych z ludnością 12 milionów, zachowała ledwo 9½ tysiąca mil kwadratowych i 7½ miliona mieszkańców.

II.

Tak wyglądał ów czyn dokonany, od którego ręce umyła Francya, z którym nadomiar do tego wnet pogodziła się stopnia, że pospieszyła zacieśnić swe związki z dwoma mocarstwami podziałowemi, obładowanemi największą zdobyczą podziałową, z Austryą i Rosyą. Już nazajutrz po dokonaniu pierwszego rozbioru wprowadziła arcyksiężniczkę austryacką, córkę Maryi Terezy, siostrę Józefa II, na tron św. Ludwika, poddając odtąd swoją politykę zagraniczną coraz bardziej pod przyjacielski nacisk, nieraz wprost pod dyrektywę braterskich wpływów wiedeńskich. Niebawem zaś śladem Austrii poczęła kusić się o zbliżenie z Rosyą, wysługiwać się Katarzynie w sprawach krymskich, wydając jej z kolei Tatarów i Turków, a skwapliwie szukając jej względów i stosownej dla siebie nagrody wzamian za świeże straty tureckie i za niedawną, tak rychło puszczoną w niepamięć, krzywdę rozbiorową polską.

Jedną z pobudek naczelnych tego ostatniego mianowicie zwrotu Francyi ku Rosyi stało się w tym czasie historyczne a wciąż odradzające się przeciwieństwo anglo-francuskie. Znalazło ono sobie obecnie wyraz dla Anglii najdotkliwszy przez zbrojne wdanie się Francuzów do wielkiego jej zatargu z koloniami amerykańskimi i przechylenie go ostateczne na rzecz wyzwolonych przy pomocy francuskiej Stanów Zjednoczonych. Wprawdzie tam, na zamorskich polach bitew, w obronie wolności amerykańskiej, obok wojsk posiłkowych francuskich jawili się także ochotnicy polscy, obok Vioménila, dawnego instruktora konfederacji barskiej, stanął tam teraz i zginął jego dawny podkomendny Pułaski, obok Lafayette'a i kapitana Berthiera, późniejszego marszałka, walczył młody Kościuszko. Wprawdzie zarazem w Petersburgu podejmowane były rokowania przez rząd wielkobrytański w sprawie pozyskania sukursu Katarzyny i wzięcia 20000 Rosyan na żołd angielski przeciw buntownikom amerykańskim. Ale mimo to wszystko nie na luźnych entuzyastów polskich ogłądała się Francya, lecz na rosnącą potęgę rosyjską, którą przedsięwzięła oderwać od Anglii i przeciw niej spożytkować. A przedsięwzięcie takie tem więcej nabierało ponęty i znaczenia dla ówczesnych mężów stanu francuskich, że już poczynano zarysowywać się coraz jaśniej nowe, nieznane dotychczas a nadzwyczaj doniosłe i głęboko uzasadnione przeciwieństwo polityczne anglo-rosyjskie. Już Pitt Młodszy, obejmując rządy,—wbrew własnemu

ojcu Pittowi Starszemu, deklarującemu się ongi jako „dobry Rosyanin“, wbrew swemu spółzawodnikowi, wrażliwemu na pokusy petersburskie Foxowi, obstawiającemu przy pojnowaniu Rosyi jako „przyjaciółki przyrodzonej“ angielskiej,—rozpoznawał w niej bystrem w najdalszą przyszłość spojrzeniem ogromną dla Anglii groźbę. Już Katarzyna—wbrew właściwym intencjom wszechwładnego Potemkina, skłonnego dla własnych tajnych, wyłamujących się z jej polityki ambitnych widoków udzielności małorusko-tauryckiej szukać poparcia morskiej raczej niż lądowej potęgi a biorącego też pokryjomu milionowe subsydia londyńskie,—coraz jawniej obracała się przeciw Wielkiej Brytanii, nie zawahała się w krytycznej dla Anglii chwili przez deklarację o neutralności zbrojnej targnąć się na wielkobrytańskie na morzach wszechwładztwo; niebawem, złączywszy się z Austryą, usadowiwszy się w Krymie, uczyniła morze Czarne jeziorem rosyjskiem, otwarcie przedstawiła swemu sojusznikowi austriackiemu „wielki projekt“ podziału Turcyi, zaczem z nim pospołu ponownie druzgocącym na Portę natarła atakiem, wyciągając rękę po koronę grecką dla nieletniego wnuka, ochrzczonego już z góry imieniem Konstantyna Wielkiego, po Byzancyum, klucz panowania nad światem, nad morzami, nad Azyą, sięgając za Kubań, do Persyi, do Chin; już pod koniec przemysłiwą poczęła o wyprawie do Indyi, przywróceniu tam pod swoim protektorem Wielkiego Mogola i wygnaniu stamtąd Anglików. Wtedy to w gabinecie wersalskim, którego dążenia zaczepne od czasu sprzęgnięcia się sojuszniczego z Austryą tem wyłączeniżej ześrodkowały się na Anglii, zyskała sobie stale prawo obywatelstwa wielce obiecująca, a dotychczas dorywczo zaledwie, jak czasu wojny siedmioletniej, stosowana koncepcya polityczna, polegająca na zużytkowaniu przeciw Anglikom Rosyi, podstawieniu jej niejako na miejsce starego systemu szwedzko-turecko-polskiego, udzieleniu jej mniej lub więcej wolnej ręki na Wschodzie, wreszcie zapewnieniu sobie natomiast, przy jej poparciu a w porozumieniu z Austryą, odpowiednich pożądaných dla Francyi „odszkodowań“.

W tym kierunku obecnie, w dobie Ludwika XVI, poszła polityka francuska i jej sternik ówczesny Vergennes, dawny poseł w Stambule za zawieruchy barskiej, gorliwy wtedy przyjaciel Rzpltej i Porty, a teraz, pomimo pewnych wstrętów i wahań niespokojnych, wzdragający się jeszcze przed myślą zupełnego zgładzenia tych obu nieszczęśliwych pupilów francuskich, lecz już coraz snadniej godzący się na stopniowe ich obu okaleczenie, ześlizgujący się coraz bardziej po pochyłej płaszczyźnie tamtej koncep-

cyi, spychany po niej przyjazną ręką sprzymierzeńczą wiedeńską, łudzony pokusą hojnych, zagłuszających sumienie i rozum „ekwiwalentów“. Pełno też odtąd w korespondencji gabinetowej wersalskiej z Wiedniem i Petersburgiem rozpraw i targów o owe właśnie „ekwiwalenty“, wśród których przedewszystkiem miano w Wersalu na widoku stary przedmiot pragnień francuskich, doniosły wylot przeciw Anglii, Niderlandy, mające obecnie rzekomo w drodze polubownej, nie wojennej jak dawniej, wpłynąć pod berło francuskie od Austrii wzamian za sowite dla niej i dla Rosyi ustępstwa na Wschodzie. W rzeczywistości było do tego jeszcze bardzo daleko, gdyż ze strony austro-węgierskiej podsuwano Francyi nierównie wątpliwsze, egzotyczniejsze „odszkodowania“, ofiarowano jej—Egipt. „Część posiadłości państwa ottomańskiego,—z taką szczególniejszą ofertą występował Józef II pod adresem szwagra swego Bourbona, wyprzedzając o lat kilkanaście wyprawę zamorską Dyrektoryatu, — a mianowicie Egipt, wedle wieloletnich postrzeżeń moich jest przedmiotem spekulacyi Francyi; i w rzeczy samej, jeśli ta prowincya bogata, płodna, handlowa zostanie kolonią francuską, to w krótkim czasie Francya, korzystając z portu suezkiego, ...opanowałaby cały handel w zatoce perskiej i na drodze do Indyi... Projektowane zdobycie Egiptu (przez Francję) zadałoby cios najdotkliwszy handlowi angielskiemu“. W rzeczy samej o zdobyczy egipskiej nieraz już dawniej przemysłiwano we Francyi a ostatniemi jeszcze czasy przemysłiwiał Choiseul; zarazem zaś, o czem mniej wtedy wiadano, już trafiały do Egiptu dalekosiężne wpływy rosyjskie, zachcenia nieokiełznane Katarzyny II, krzyżując właściwie z góry i tutaj, jak w Korsyce, widoki francuskie. Ale ostrożny Vergennes do tych podsuwanych sobie wątpliwych nie kwapił się widoków, nie poprzestawał na wątpliwem odczepnem afrykańskim, a natomiast bliższe niderlandzkie wciąż mając na oku, brnął coraz dalej w usługnej ustepliwości, ofiarowywał Rosyi Krym i Kaukaz, Austrii Mołdawię i Wołoszczyznę, a nawet dla dobicia targu, dla uniknięcia wszelkiej w jego dojściu przeszkody postronnej, godził się na zaspokojenie Prus przez oddanie im — Wielkopolski. Gdyż o pogwałconą już raz Polskę, o nietykalność jej granic dopiero co okrojonych przez pierwszy rozbiór, o dalszą bodaj jej egzystencję, przestano zgola troszczyć się w Wersalu, gdzie teraz na miejscu dawnych kruchych sympatyi polskich kwitły coraz gorętsze afekty rosyjskie. Rosya — pisał Vergennes do posła swego nad Nową—„wyobraża pole rozległe, otwarte dla przemysłu francuskiego, ...skąd wyrosnąć powinno powinowactwo interesów obu

naszych krajów“, gdy tymczasem Polska zbiedzona, bezsilna, „państwo nieszczęsne, będące igraszką sąsiadów, w połowie już podzielone, zakończy byt swój z chwilą, gdy tylko owi sąsiedzi potrafią porozumieć się między sobą celem całkowitej jego zagłady...; wszelka zatem spekulacya względem przyszłego jej (Polski) losu staje się zbyteczną (*toute spéculation sur son sort à venir devient superflue*)“ i jaknajmocniej wystrzegać się należy jakichkolwiek kroków (*démarches*) w interesie Polski, „zważywszy, że byłyby one bezcelowe a zapewne niemiłe dla którego z mocarstw podziałowych albo dla wszystkich trzech“. Przepisując tym sposobem polityce francuskiej abstynencyę zupełną w rzeczach polskich, Vergennes równocześnie z naciskiem doradzał Stanisławowi Augustowi, przez będącego na utrzymaniu francuskim powiernika królewskiego, generała Komarzewskiego, trzymać się oburącz związku z Rosyą i protekcyi Katarzyny II, a mianowicie oddać się wraz z Rzpltą na jej usługi w otwierającej się właśnie drugiej wojnie tureckiej podejmowanej pospołu z Austryą przez imperatorową. Sam zaś schodząc z widowni, w przededniu tej wojny uwieńczył swą działalność przez korzystny traktat handlowy francusko-rosyjski 1787 r., podpisany z jego polecenia przez dowcipnego posła francuskiego w Petersburgu, zdeklarowanego podobnież zwolennika systematu rosyjskiego, Ségura w czasie tryumfalnej podróży kaniowskiej, za skóry, tłuszcze, rudy rosyjskie przywożone do Marsylii, za wina, mydła, galanterye francuskie wywożone do Odesy kwitując bez zająknięcia z krzywd tureckich i polskich. Następca Vergenna, Montmorin, aczkolwiek z rosnącym niepokojem wewnętrznym, bo już pośród niebezpiecznych powikłań rozgrywającej się wojny tureckiej a pierwszych zarazem zapowiedzi żywiołowego przewrotu wewnętrznego w samej Francyi, przecie w tym samym podążył kierunku, jaki po poprzedniku swym przejął a w jakim popychali go coraz dalej lekkomyślni, zaślepieni pomocnicy i doradcy. Objęli prym w rządzie Francyi dyplomaci, wyłącznie zapatrzeni na Austryę a zwłaszcza na Rosyę. Pogrzebany został w archiwum ministeryalnem znakomity operat historyczno-polityczny Rulhiéra o Polsce; ludzie sympatyzujący z Polską, z Turcyą, przestrzegający przed Rosyą, a z dawniejszej swej służby dyplomatycznej naocznie obeznani najdokładniej ze sprawami polskimi, tureckimi, rosyjskimi, jak Rayneval, Hennin, Hauterive, Maret, Caillard, pozbawieni byli wpływu, na drugorzędne zepchnięci stanowiska; pierwsze skrzypce grali ludzie, jak Ségur, Choiseul-Gouffier *e tutti quanti*, zahypnotyzowani wszechpotęgą świeżej przyjaciółki francuskiej,

Katarzyny II, a zarazem opanowani myślą doszczętnego zgnębienia dziedzicznej nieprzyjaciółki francuskiej, Wielkiej Brytanii. Rozprawiano zawzięcie o umocnieniu i dopełnieniu niedawnych przeciw Anglii sukcesów amerykańskich, o zniweczeniu raz na zawsze jej supremacji przy pomocy wszechwładnej imperatorowej, o wyprawie francusko-rosyjskiej do Indyi, przyjmowano w Paryżu posłów zbuntowanego przeciw Anglii sułtana Tippu-Sahiba, a układano równocześnie podział Turcyi, ofiarowano Konstantynopol W. Księciu rosyjskiemu, planowano rozwinięcie traktatu handlowego do rozmiarów ścisłego przymierza francusko-rosyjskiego, sterowano ku zupełnemu sprzężeniu się z Rosyą, zupełnej z nią solidarności politycznej, — a wszystko to w samym przededniu nadciągającej coraz bliżej i podziemnym gromem już zbliżenie swoje zapowiadającej Rewolucyi.

W tym samym właśnie czasie Polska, niepokodzona bynajmniej ani z ulegalizowanym gwałtem pierwszego podziału, ani z narzuconym stanem zupełnej podległości reszty Rzpltej, niechybnie do strat nowych i ostatecznej wiodącym zguby, podejmowała wielką próbę odrodzenia i ratunku. Te usiłowania, wcielo-
ne od 1788 r. w Sejmie Czteroletnim, aczkolwiek w niejednym względzie duchowym spokrewnione z dawniejszem przedsięwzięciem Baru, musiały przecie pod względem czysto politycznym w zgoła odmiennym potoczyć się kierunku, a to wskutek zmian zasadniczych, dokonanych tymczasem w ustosunkowaniu wzajemnem mocarstw europejskich. Przedewszystkiem więc Sejm Wielki nie mógł już, jak Bar, rachować na Francję. Sejm warszawski i tym razem, jak przedtem konfederacya barska, podnosił się przeciw naturalnemu wrogowi Rzpltej, przeciw wykonawcy podziału i gwarantce anarchii polskiej, przeciw Rosyi. Aliści nie była to już tym razem, jak przed dwudziestowieciem, Rosya z Prusami fryderycjańskimi ściśle sprzymierzona i łącznie z niemi przeciw Austrii i Francyi idąca, lecz wprost naopak, z Prusami następcy Fryderyka Wielkiego obecnie na ostre skłócona, wstępująca natomiast ramię o ramię z sojuszniczą Austrią do wojny tureckiej a w związku traktatowym z powolną sobie Francją do wspólnej akcji przeciwangielskiej. Z takiej zaś konjunktury wynikało dla Sejmu Wielkiego wskazanie proste, niewolne od stron złych, niebezpiecznych, ale narzucające się samo przez się, konieczne: zwrot ku Prusom i Anglii. I rzecz znamienne: przy pierwszym jeno zaznaczeniu się tego zwrotu jęła przeciwdziałać mu Francya do spółki z Rosyą. Pod tem to hasłem „zabezpieczenia Polski od zamysłów króla Pruskiego“, t. j. zostawienia jej

na łaskę i niełaskę cesarzowej rosyjskiej, wznowioną została między Wersalem a Petersburgiem na przełomie 1788—1789 r. przez usłużnego Ségura i towarzyszy myśl aliansu francusko-rosyjskiego, do której wnet, wyrzekając się „przesądów swoich względem osoby imperatorowej“, przychyliła się królowa Marya Antonina. Dojściu tego aliansu, godzącego właściwie w najistotniejsze ówczesne dążenia wyzwolencze polskie, przeszkodziło w ostatniej niemal chwili — wzięcie Bastylii, rozpętanie burzy rewolucyjnej, która z wewnątrz targając podwaliny monarchii bourbońskiej, równocześnie rwała nazewnątrz węzły polityczne, łączące ją ze starą Europą, a więc przedewszystkiem z Austrią i Rosyą. Tak więc samorodny przedśmiertny, zwichnięty tylko przez niezawisłą, nieobliczalną przeszkodę rewolucyjną, odruch polityczny starej Francyi monarchicznej kierował się przeciw Polsce.

Polska tymczasem chwyciła się owej szansy obosiecznej lecz jedynej, poszła jedyną otwartą w okolicznościach owoczesnych drogą działania narodowego, poszukała jedynego możliwego wtedy dla siebie oparcia: prusko-angielskiego. Stało przymierze polsko-pruskie 1790 r., dokonało się równocześnie ścisłe porozumienie polsko-angielskie a dojrzewał zarazem związek polsko-turecki, gotowała się pośrodku trwającej wojny wschodniej wielka ofensywa polsko-prusko-angielska przeciw Rosyi. By wraz przyspieszyć i uprzedzić przewlekające się niebezpiecznie wypadki, Sejm Wielki pod dzielnym Ignacego Potockiego przewodem zdobył się na zbawczy zamach stanu, Ustawę 3 maja 1791 r., stanowiącą dziedzictwo tronu w domu saskim, zrywającą ostatecznie z anarchią domową i z zabójczą kuratelą rosyjską. Tu przyszedł zawód okropny. Zawiodła nasamprzód Anglia: oręż, już dobywany przeciw Rosyi przez rząd Pitta a powstrzymany przez opozycję Foxa, schowała do pochwy. Zawiodły z kolei Prusy: wyparłszy się swej antyrosyjskiej w Warszawie podniety, łamiąc zawarte z Rzpltą przymierze, zaczęły nawracać do pogodzenia się jej kosztem z imperatorową. Polska ujrzała się nagle osamotnioną zupełnie, wydaną zemście Katarzyny, wystawioną w pojedynkę na sztych zbrojnej jej przemocy. Wojska rosyjskie, zwolnione przez pacyfikację turecką, bez wypowiedzenia wojny wtargnęły do Rzpltej, wiodąc za sobą gorszą od zdrady ślepotę targowicką; kampania polsko-rosyjska 1792 r., krótkim ledwo rozświeconą przeblyskiem obronnym, wysiłkiem daremnym młodej, niedoświadczonej armii polskiej pod ks. Józefem Poniatowskim i Kościuszką, wnet opłakany wzięła koniec; Rosyanie wkroczyli do upokorzonej Warszawy, objęła rządy zwycięska Targowica; rozpierchł się Sejm Wielki, uszli zagranicę jego przywódcy,

odeszli naczelnicy osieroconej, skazanej na zagładę armii; zebrał się spędzony do Grodna, okrojony, pogwałcony sejm targowicki, by usłyszeć wyrok gotującego się drugiego podziału.

Odbywało się to wszystko znowuż poza obrębem wszelkiego czynnego udziału Francyi, obezwładnionej wtedy zupełnie na zewnątrz, pochłoniętej całkowicie przez rozzdzierające jej wnętrzności własne przesilenie rewolucyjne. Co więcej, te wszystkie nadzwyczajne powikłania polskie, zarówno poryw majowy jak i katastrofa targowicka, odbywały się po staremu najzupełniej poza obrębem wszelkiego ze strony Francyi uświadomienia politycznego. Niedziwota zresztą, gdyż tym razem rozeznac się należy w rzeczach polskich było istotnie zbyt trudnem dla niej zadaniem. W zawrotnej dobie ówczesnej, na przełomie dwóch epok, dwóch światów, staczające się równolegle pędem gwałtownym sprawy polskie a francuskie, pomimo głębszych analogii w swej treści dziejowej, przecie w widomych objawach swoich zbyt wiele wystawiały uderzających sprzeczności, aby mogło dojść do wzajemnego pojmowania się, aby raczej nie musiały ujawnić się najpoważniejsze, najgrubsze nieporozumienia obustronne. Przedewszystkiem rząd francuski, po oficyalnem ongi zerwaniu stosunków z rządem Stanisława Augusta, właściwie od czasów barskich nie posiadał żadnych porządných informacyi bezpośrednich z Polski. Wysłany do Warszawy dopiero w 1791 r., po ćwierćwiekowej przeszło przerwie, poseł urzędowy francuski, szlachetny Normandczyk, postępowo myślący i Polsce szczerze przyjazny, Descorches de Sainte Croix, otrzymał od Montmorina instrukcyę bezwzględnie bierną, miał sobie nakazane nie tylko wstrzymywać się od wspomagania patriotów polskich, lecz nawet starannie „unikać odezwania się z czemkolwiek, co mogłoby wskazywać, iż J. K. M. (Ludwik XVI) pragnie wziąć udział w sprawach wewnętrznych lub zewnętrznych Polski“. Wcześniejsi informatorowie półurzędowi francuscy w Warszawie byli bądź bez wpływu, jak sprowadzony jeszcze przez prymasa Podoskiego uczciwy lecz ograniczony Bonneau lub sprowadzony przez Ignacego Potockiego zacny i ruchliwy Parandier, bądź też zaprzędani Rosyi, jak obdarzony tytułem „agenta Francyi“ w Polsce, a naprawdę prosty szpieg ambasady rosyjskiej w Warszawie, Aubert lub dowcipny, ze szkoły komedycznej Beaumarchais'go, wyższego gatunku Figaro szpiegowski, Mehée de Latouche. Z drugiej strony wrażenia w samej Francyi o Polsce odbierane od Polaków niewiele były lepsze. Jeżdżono dużo z Warszawy do Paryża za Stanisława Augusta; poczęści w myśli poważnej przychodzili do Sorbon-

ny, Hôtel Dieu, Szkoły wojskowej czy malarstwa, pracownicy ci-
si, jak młody Kościuszko albo Śniadecki, na których nikt się nie
ogładał; głównie jednak dla celów *quasi* politycznych a napraw-
dę dla zabawy przybywali nad Sekwanę wielcy panowie i panie,
którzy wiele tu czynili hałasu, więcej zostawiali pieniędzy i dłu-
gów, wraz z lichą o sobie opinią szerzyli nieszczególną o kraju,
wnosili odgłosy swych waśni wewnętrznych, wywlekali niecnym
zwyczajem wszelkie brudy domowe przed forum obce, pomnażając
jeszcze i utwierdzając zadawnione uprzedzenia pogardliwe
Francuzów do rzeczy i ludzi polskich. Co się tyczy Polaków
przemieszkujących we Francyi na stałe, to o ile pochodzili z cza-
sów Stanisława Leszczyńskiego, zdążyli oni w drugiej już gene-
racji scudzoziemczeć, sfrancuzieć, a przeniknieni zastarzałą ideo-
logią i żałami lunewilskimi stracili łączność z krajem i nowo-
czesną w nim falą pojęć i stosunków; o ile zaś należeli do nie-
przejeżdżanych, mocno zresztą przerzedzonych niedobitków wy-
chodzących barskich, trwali w ostrzejszym jeszcze anachronizmie
wstrętów i sympatyj, mieszcząc przytem, obok jednostek dziel-
nych i czystych, dość lichy także materiał ludzki, sporo awan-
turników płamiących imię polskie nędzną żebranią lub nawet
zdolnych zohydzić je zdradą przeciw samejże Francyi. Starania
podejmowane z Warszawy, zwłaszcza za Sejmu Czteroletniego
celem oddziaływania na opinię rządową i publiczną francuską
w duchu istotnie oświecającym o Polsce i dla niej przychylnym,
nazbyt były dorywcze, aby mogły skutek osiągnąć; zresztą pro-
wadzone głównie przez Stanisława Augusta, szukającego raczej
dla siebie subwencji francuskiej niż poparcia dla sprawy narodo-
wej, a przez ludzi nieodpowiednich, niezdatnymi środkami, pod
niewłaściwym adresem, świadczyły o zupełnym braku oryentowa-
nia się w stosunkach paryskich, wikłających się nadomiar niesły-
chanie pod wpływem ogromnego przewrotu rewolucyjnego.

Przedewszystkiem wobec tego przewrotu nie mogła Polska
liczyć zgola na ginący rząd Ludwika XVI. Jakże miał trosz-
czyć się o nią dwór wersalski, zdawna pociągany przez Austryę
ku Rosyi, a teraz zajęty wyłącznie ocaleniem własnem, które wi-
dział w inwazyi sprzymierzeńczej do Francyi, pchając tedy wszel-
kiemi tajemnymi sposobami, popełniając zdradę stanu w osobie kró-
la i królowej Austriaczki, czekając z upragnieniem koalicyjnego
przeciw Francyi skojarzenia się z Austryą i Rosyą również i Prus,
jakimkolwiek bądź kosztem, co znaczyło wtedy nasamprzaw kosz-
tem Polski. Nieudana ucieczka czerwcową rodziny królewskiej
z Paryża w ramiona gotującej się koalicji, nazajutrz po dokona-

nym w Warszawie zamachu majowym, obnażała namacalnie całą sprzeczność interesów narodowych polskich a monarchicznych francuskich. Ministrowie królewscy spraw zagranicznych, Montmorin, potem Delessart, pracować musieli w duchu takich widoków koalicyjnych a tem samem antypolskich swego dworu, kryjąc się z niemi przed własnym posłem w Warszawie Descorchem, przed Bonneau i Parandierem, a porozumiewając się poza ich plecami z figurami w rodzaju Auberta i Méhéego. Z drugiej strony opinia francuska, w swych przywódcach, organizacjach, prasie i trzech wielkich kolejnych ciałach przedstawicielskich, Konstytucyjnym, Legislatywie, Konwencji, względem spraw polskich obłąkaną została w zupełności. Wprawdzie Ustawa majowa warszawska, chwalona pod niebiosa przez Anglików, przez Burka i Fosa, w tej samej chwili gdy przez odwrót Anglii łącznie z Prusami wydawaną była na zagładę, ogłoszona natychmiast w Paryżu w przekładzie francuskim, — który jeszcze po dwudziestolecie szukany będzie na gwałt dla jej rzekomego, niemającego o niej pojęcia, wyznawcy Aleksandra, — spotkała się również z pięknymi zrazu komplementami we Francyi. Chwalił ją w samej Konstytucyjnym jako „wypadek szczytny, wielką dla monarchów naukę“ sprawozdawca zgromadzenia, późniejszy wódz naczelny egipski Abdallah-Menou, chwalili publicyści rojalistyczni pomieszani z republikanami, Mallet du Pan, Garran de Coulon, Condorcet i inni, do których udało się trafić Stanisławowi Augustowi. Ale wnet za odkrytego w niej ducha wstecznictwa, szlachectwa, *absolutu domini* potępiła ją przeważna większość opinii rewolucyjnej francuskiej, dokąd podziemnymi drogami trafiały wrogie wpływy domowe i sąsiedzkie. Potępił najbezwzględniej wszechmocny wtedy klub Jakóbinów, gdzie wśród członków afiliowanych świecił Szczepny Potocki, który w przeddzień swej roboty targowickiej był ukazał się w Paryżu w roli gorliwego republikańczyka i obrońcy wolności polskiej przeciw tyranowi Poniatowskiemu, bratał się z większym od siebie magnatem, obrońcą wolności francuskiej przeciw despotyzmowi bourbońskiemu, z Filipem ks. Orleańskim, i za jego poleceniem a prezentacją jego syna ks. Chartres, późniejszego króla Ludwika Filipa, wpisany został do pocztu klubistów jakobińskich. Jako radykalny pogromca zacofanej ustawy warszawskiej i zawodowy w sprawach polskich rzeczoznawca wystąpił agent policyi tajnej Ludwika XVI, urzędnik generał-gubernatora białoruskiego Passeka, konfident admirała Katarzyny Nasasau i jej faworyta Zorycza, donosiciel posła rosyjskiego w Warszawie Bułhakowa, redaktor „*Gazette de Varsovie*“ z niefortun-

nego polecenia doradcy Stanisława Augusta, księdza Piatolego, oddany wielbiciel Szczęsnego Potockiego, wpływowy członek klubu Jakóbinów, sekretarz Komuny paryskiej, kreatura Dantona, Talliena, Fouchégo, sekretarz w ministeryum wojny, podszeł w ministeryum spraw zagranicznych, spiskowiec rewolucyjny przeciw cesarstwu, szpieg policyi tajnej cesarskiej, wiernopoddńczy wreszcie za Restauracyi płatny legitymista, słowem wszechstronny Méhée, który obecnie w swych „Dziejach rzekomej rewolucyi polskiej“ opłaconych przez Rosyę, inspirowanych przez Targowicę a wydanych właśnie w chwili najazdu rosyjsko-targowickiego na Rzpltę, obnażając całą reakcyjność Ustawy majowej, całą ohydę Polski szlacheckiej, z oburzeniem protestował przeciw „wmawianiu w Francuzów, jakoby Polacy byli naszymi przyjaciółmi i pochwalali naszą rewolucyę“, albowiem „mało jest krajów, gdzie głupstwo i pycha większą przeciw nam zięją nienawiścią“.

Jednakowoż rzecz główna była w tem, że, niezawisłe już od wpływów podobnych, od platonicznych pochwał czy zachwytów ideowych, Polska w realnych rachubach politycznych nowej Francyi rewolucyjnej, tak samo zupełnie jak starej monarchicznej, pozostała przedmiotem znikomym, wzgardzonym, conajwyżej przypadkowo uwzględnianym do wyzyskania go bez miłosierdzia i co gorsza bezrozumnie. Uwydatniło się to na rozmaitą modłę, lecz w sensie zawsze jednakowym, ze strony wszystkich kolejno czynników, zmieniających się we wpływie kierowniczym na umysły i wypadki, orleańskiego, żyrondistowskiego, dantonskiego czy robespierreowskiego, i to zaraz od początku otwierającej się dopiero walki rewolucyi z koalicją. Wpływowa pierwotnie za Konstytuanty, przed wybuchem tej walki, frakcja orleańska, w wielu punktach do wykluwającej się Żyrondy zbliżona, idąc na zerwanie z Austryą, łudząc się pozyskaniem Anglii i Prus, a mając pewną styczność osobistą z Polską,—między innemi przez Lauzun-Birona, niegdyś bywalca salonów warszawskich, kochanka Izabeli Czartoryskiej, i jego przyjaciół Polaków w służbie francuskiej, jak kawaler św. Ludwika Mieszkowski, jak eksbarzanin Miączyński,—pragnęła wyzyskać sprawę polską w drodze dywersyi anglo-prusko-polskiej przeciw Austrii. To była myśl początkującego wtedy w dyplomacyi młodego Talleyranda, niepozabawiona kiedyndziej znaczenia, lecz podniesiona obecnie zgoła po niewczasie, gdy o urzeczywistnieniu jej mowy być nie mogło, ze śmieszną nieznajomością zmienionej już niepowrotnie konjunktury, a zarazem podniesiona pod kątem widzenia nawskróś fałszywym ze stanowiska polskiego, bez żadnego względu na aktualną groźbę

śmiertelną, walącą się na Rzpltę nie od Austrii bynajmniej lecz od Rosyi i Prus. Z kolei żyrondyści, górując w Legislatywie, obejmując ster polityki zagranicznej w osobie sprawozdawcy Komitetu dyplomatycznego Brissota, ministrów Dumourieza, potem Lebruna, wbrew stanowczej opozycji Robespiera prowadząc gwałtownie do wojny, straszliwą biorąc na siebie odpowiedzialność za jej powodzenie pod grozą pogrążenia siebie w zdradzie dworskiej, liczyli się z krytycznem położeniem Polski jedynie jako z nader pomyślną w swoim rachunku pozycją, w klęskowych powikłaniach przedpodziałowych widzieli ze wszechmiar pożądaną, ratunkową dla siebie czynnik opóźniającą, obezwładniającą koalicję antyfrancuską. W istocie też samej wiosny nastąpiło wydanie wojny Austrii przez Żyrondę oraz Polsce przez Katarzynę, tegoż lata obalenie Ustawy majowej w zajętej przez Rosyan Warszawie, oraz tronu bourbońskiego w Paryżu powstańczym, też jesieni napoczęcie i ubezpieczenie negocyacji podziałowej prusko-rosyjskiej oraz niefortunna inwazyja prusko-austriacka do Francyi i sromotny stąd odwrót. Pomiedzy wszystkimi temi zjawiskami istniał nie tylko prosty paralelizm czasowy lecz głęboka łączność przyczynowa. Francya rewolucyjna w tej pierwszej najgroźniejszej potrzebie uratowaną została nie tyle przez siłę własną, ile słabość swych przeciwników, rozdwojonych głównie na punkcie sprawy polskiej, przez nieobecność Rosyi zajętej egzekucją nad Wisłą, przez nieporadność Austrii krępowanej tą odbywaną na jej tyłach operacją, a przede wszystkim przez dwulicowość Prus, zostawiających Austrii ciężar wojenny francuski i narzucających Rosyi swoje spółnictwo w łupie polskim. Taki zaś obrót rzeczy z całą świadomością prowokowany był w miarę sił przez samą Francję. Nietylko nie przeszkadzać lecz owszem sprzyjać podjętemu przez Rosyę podziałowi Polski, odsadzić od niego Austryę, pełnać do niego Prusy, przez wytworzone wtedy spółzawodnictwo przygotować grunt nietylko do pokoju lecz do sojuszu Francyi z Prusami przeciw Austrii, bez narażenia się Rosyi, taką była w danej chwili dyrektywa powszechnie przyjęta przez statystów rewolucyjnych. Zgadzali się w tym względzie wszyscy, zarówno żyrondyści rządzący, jak i Marat zalecający „dyplomatyizowanie“ z Prusakami, jak i Danton wręcz naglający o nawiązanie rokowań sekretnych z generalicyą pruską. Stare wygi postawione na czele armii francuskiej, sprytny Prowansalczyk Dumouriez, niegdyś dowódca naczelny i organizator piechoty barskiej, wytrawny Alzatezyk Kellermann, niegdyś instruktor jazdy konfederackiej i uczestnik wzięcia zamku krakowskiego, teraz

„najpierwszy generał-sankiulota“, prowadzili osobiście układy tajne ze stojącą naprzeciw nich w polu kwaterą główną najeźdźczej armii pruskiej, z generałami Kalekreuthem i Mansteinem, z nadbiegłym eksposłem w Warszawie Lucchesinim, i wynurzali się przed nimi po przyjacielsku, „iż wprawdzie wiadomo we Francyi, że zmierzacie do drugiego podziału Polski, ale Francya widziałaby to z przyjemnością, jeżeli w ten sposób pomnoży się potęga mocarstwa, które prędzej czy później winno zostać sprzymierzeńcem naszym“. Pod osłoną tej wstydlivej negocyacji, odbywającej się podówczas, już po detronizacji Ludwika i ogłoszeniu republiki, za pełną wiedzą i zgodą nowego rządu i przedstawicielstwa narodowego, t. j. Rady wykonawczej i Konwencji paryskiej, dokonana się rejterada Prusaków wypuszczonych cało z Francyi choć mogli zostać zniesieni ze szczerem, wypuszczonych naprawdę poprostu na Polskę. Sprawa polska, rozbijając doraźnie pierwszą koalicję w samym początku, zanim po paru latach uczyniła to ostatecznie, rozwiązywała z zewnątrz ręce rewolucyi francuskiej do najwalszych na wewnątrz ciosów. Umowa prusko-rosyjska, zgodnie z intencją francuską, bo bez Austrii, dekretująca powtórna kaźń Polski, została podpisana w dwa dni po ścięciu Ludwika XVI, sankcyja jej wymuszona na niemym sejmie polskim w tydzień po ścięciu Maryi Antoniny.

Jeśli drugi traktat rozbiorowy polski był właściwie w danej chwili okupem Francyi, to przecie był zarazem strasliwym dla niej na przyszłość *memento*. Rozbiór Polski miał i mógł być przegrywką do rozbioru Francyi. W korespondencji Katarzyny, ujawniającej tyleż nienawiści i pogardy dla buntowników paryskich co dla warszawskich, w tym samym najściślej czasie, tuż obok toczących się rokowań drugopodziałowych polskich z Prusami, jednym tchem była mowa również i o tem, „ażeby wznowić wielkie lenna we Francyi, traktować w tym względzie z generałami francuskimi, podnieść te lenna do godności elektoratów i oddać je pod zwierzchnictwo głowy cesarstwa (niemieckiego), wykreślając Francję z karty europejskiej. Co więcej, w samym traktacie drugiego rozbioru wyraźnie było zaznaczonem, iż nowe dzielnice rozbiorowe polskie na rzecz spółników pruskiego i rosyjskiego stanowią „wynagrodzenie za kosztą“ dotychczasowej i przyszłej walki zbrojnej z rewolucją francuską. Zapłata czy zadatek w każdym razie na sutą wymierzone były miarę. Mocą aktu podziałowego petersburskiego ze stycznia oraz przyznanych pod bagnetem ceszy sejmowych grodzieńskich z lipca i września 1793 r., traciła Polska do Rosyi około półpięta tysięcy, do Prus

tysiąc z górą mil kwadratowych, z odpowiedniem zaludnieniem przeszło trzech milionów w zaborze rosyjskim, przeszło miliona w pruskim.

III.

Polska, po dawniejszych od Francyi monarchicznej zawodach świeżo wypróbowała fatalnej przyjaźni sąsiedzkiej Prus, wobec nowej klęski podziałowej obróciła się znowuż ku Francyi republikańskiej, szczęśliwszej od siebie, zwycięskiej, która po zrzuceniu najazdu koalicyjnego, zabierała się do akcji zaczepnej, do poniesienia pochodni wolności w głąb starej Europy, aż do najdalszych ciemionych ludów. Tak pojmowano rzeczy w nie-szczęśliwej, dopiero co opanowanej przez Rosyan Warszawie; z entuzjazmem braterskim witano tu wyparcie nieprzyjaciela z Szampanii; na ulicach „ściskano się, winszowano sobie tryumfów“ francuskich, na Starem Mieście już lada dzień wyglądano ukazania się zbawców Francuzów. Dowódcy rosyjscy z Warszawy, z prowincyi, aż gdzieś z Kurlandyi, z żywym niepokojem donosili do Petersburga, że odgłosy wygranej francuskiej wywołują silne wzburzenie umysłów w całej Polsce i że nawet lud prosty, „po miasteczkach i siółach mieszkający, jawnie okazuje swą radość z powodzenia wojsk francuskich“. Solidarność braterską wzajemną naocznie we wspólnem oglądano prześladowaniu, gdy razem z represją rosyjską przeciw patryotom rozpedzonego sejmu polskiego oglądano przedstawiciela urzędowego Francyi wygnanego haniebnie z Petersburga, Descorcha z Warszawy, jego zastępcę Bonneau zamkniętego w więzieniu rosyjskim, osiadłych w Warszawie obywateli francuskich przymuszonych do przeciwnej ustawom swej ojczyzny przysięgi. A równocześnie z bijącym sercem zapatrywano się na piękne gesta przedstawicielstwa narodowego w Paryżu, zdające się tę solidarność polsko-francuską niedwuznacznym, wielce znamiennym i obiecującym stwierdzać i uświęcać sposobem. Wszak jednym z czynów ostatnich Legiślatywy był dekret, mianujący najdzielniejszego w ostatniej walce z inwazją rosyjską oficera Rzpłtej, Kościuszkę, obywatelem honorowym francuskim. Wszak jednym z pierwszych czynów Konwencyi był dekret, „oświadczający imieniem narodu francuskiego, iż udzieli braterstwa i wsparcia wszystkim ludom, które zechcą odzyskać swą wolność i zaleca władzy wykonawczej wy-

danie rozkazów stosownych generałom, celem niesienia pomocy tym ludom“. W rozwinięciu tej uchwały przepisała niebawem Konwencya już z góry dla owych w przyszłości oswobodzonych przez siebie ludów nawet porządek wewnętrzny, republikański, kasatę stanów i przywilejów, szlachty, niewoli, pańszczyzny, ze swej strony uroczyście „przyrzekając i obowiązując się nie podpisać żadnego traktatu i nie złożyć broni, jak dopiero po utwierdzeniu niepodległości narodu, na którego terytorjum wkroczy żołnierz Republiki a który przyjmie zasady równości i ustanowi rząd wolny i ludowładczy“. Oświadczenie arcydoniosłe, gdyż stało się ewangelią dla znacznej części opinii patryotycznej polskiej, wierzącej odtąd, iż starczy trzymać się ściśle czystych haseł rewolucyjnych, aby zapewnić sobie potężne posiłki francuskie. Istotnie, gdy zaraz w myśl tak zachęcającej deklaracji, po „petycjach“ angielskich i irlandzkich, stawiał się przed kratą Konwencji również i „petent“ polski, Albert Sarmata, *recte* Wojciech Turski z memoryałem dopraszającym się „pomocy i poparcia Republiki dla sprawy wolności polskiej“, piękna i budująca odegrała się scena: ognisty żyrondyista Barbaroux obszernie wyłuszczył, iż gdyby tylko nieudana kampania włoska nie była przeszkodziła Francuzom zbliżyć się do Adryatyku i morza Czarnego, to „wolność Polski nie zostałaby tak pokrzywdzoną“ — zapewnienie ważne, gdyż po raz pierwszy zwróciło uwagę polską ku dalekim sprawom wojennym we Włoszech;—na jego wniosek pismo petycyjne zostało przekazane Komisji dyplomatycznej zgromadzenia; sam prezydent Konwencji, Treilhard, uczciwszy „pocałunkiem braterskim“ dzielnego Sarmatę, wielce obiecującą wygłosił wyrocznię, iż „niedaleki już może jest dzień, kiedy republiki polska i francuska zacieśnią węzły szczęśliwego braterstwa“.

Tułańscy patryotyczni Sejmu czteroletniego, ze swej kwatery głównej w Saksonii gotując powstanie narodowe w zduszonym i dzielonym kraju, a zapatrzeni na Paryż, zasłuchani w idące stamtąd wspaniałe zapowiedzi, utwierdzali się w przekonaniu, że dla rozpaczliwego swego zamierzenia od jednej tylko wielkiej siostrzycy republikańskiej francuskiej niechybnie oczekiwać mogą sukursu. Zawczasu tedy w początku 1793 r. wyprawili do Paryża przyszłego wodza powstańczego, Kościuszkę. Dali mu na drogę do przełożenia mocarzom rewolucyjnym nad Sekwaną zarzysy projektowe powstania, zakrojone dosłownie na modłę najświeższych objawień Konwencji. A więc dosłownie w myśl tamtej ewangelii dekretowej obowiązywali się znieść w Polsce władzę królewską, senat, episkopat, szlachectwo, poddaństwo, pań-

szezyzną, zaprowadzić uzbrojenie ludu, powszechną wolność osobistą, równe dla wszystkich prawo nabywania ziemi; prosili o korpus posiłkowy francuski, który wysadzony na Krymie podałby rękę powstańcom polskim, o owego żołnierza republikańskiego, który stawiając nogę na ziemi polskiej poręczyłby jej temsamem zadekretowane niezłomne poparcie; ukazywali w ocalonej tą drogą wolnej Polsce przyszłą podporę wolnej Francyi, „naród przyjazny i sprzymierzony poza opasującym ją związkiem koalicyjnym“; otwierali widoki poruszenia Turcyi i Szwecyi i uderzenia spólnymi siłami na spólnego wroga, na podziałową wraz a despotyczną trójkę austro-prusko-rosyjską, w imię wszechludzkich hasel rewolucyjnych.

Owóż to wszystko stało na fikcyi. Nie wiedzieli Polacy, że cała hałaśliwa „brissotiada“ paryska, grzmiący apel do uciśnionych ludów, wszechświatowa propaganda braterstwa broni rewolucyjnej, to była w gruncie rzeczy pospolita jeno komedia polityczna. Nie wiedzieli, że ci sami ludzie, którzy z trybuny publicznej tak wzniosłe i bezwzględne głosili ideały, równocześnie w tajemnicy gabinetowej i obozowej najrealniejszym powodowali się interesem. Nie wiedzieli o przyjacielskich za forpocztami schadzkach i gawędach generalicyi francuskiej z pruską na temat nowego podziału Polski. Co więcej, w tej samej chwili, gdy Kościuszko zgłaszał się do Paryża, w tutejszem ministerjum spraw zagranicznych Lebruna, gdzie na czele wydziału spraw polsko-rosyjskich stał były sklepikarz i były krawiec, gotowano się już wprost do uznania drugiego rozbioru polskiego w przyszłej pacyfikacyi. W opracowanym w biurach ministeryalnych temiz mianowicie dniami planie pacyfikacyjnym wywodzono bez żadnych obstępów, iż w nowym rozbiорze Polski „polityka francuska znalazłaby dla siebie korzyść“, iż zatem Francya mogłaby udzielić nań swej „zgody“ (*consentement*), o ile będzie to wymagane jako warunek pokoju, wprawdzie nie „zgody formalnej, pisemnej, gdyż Republika podpisałaby swą hańbę, czyniąc siebie niejako spółniczką podobnego rozboju“, ale natomiast „zgody milczącej, prostej deklaracyi ustnej niesprzeciwiania się“ (*simple annonce verbale de nonopposition*), albowiem „należy uczynić sobie zasługę z naszego milczenia“. To samo dawniej już za pierwszego podziału czynili z dyskretyą wstydliwą statystcy *bourbońscy*, lecz dopiero teraz za drugiego potrafili z takim nagim cynizmem sformułować rewolucyjni.

Z ministrem roztrząsającym właśnie podobne pomysły pokojowe, z nieźyczliwym i ograniczonym Lebrunem porozumiewać się

musiał przybyły do Paryża Kościuszko. Wątpliwą znajdując pomoc w zablakanych tu rodakach, gorliwych lecz lekkomyślnych, jak Mostowski, panie Potocka, Lubomirska, najgorliwszych lecz mocno podejrzanym, jak Turski albo Maliszewski, poznał on osobieście Francuzów wybitnych barwy najrozmaitszej, jak Brissot, Vergniaud, Condorcet, Lacroix, Barère, sprawozdawca Komitetu dyplomatycznego Konwencji Hérault, stojący jeszcze na uboczu lecz już potężny Robespierre, i napróżno starał się zainteresować ich naprawdę dla sprawy polskiej. Nigdzie rzetelnego nie znalazł poparcia, wszędzie spotkał się z frazesem, obojętnością, lub wprost nieprzyjaźnią. Trafił, nazajutrz po ścięciu króla, na wielkie przesilenie wewnętrzne, bezpośrednio związane z większym wojennym. Trafił na wypowiedzenie wojny Anglii, odrodzenie ofensywy sprzymierzeńczej austro-pruskiej, porażkę wojsk francuskich od ściany belgijskiej i reńskiej, zdradę Dumourieza przy udziale nadomiar zapłatanego w nią Polaka, Miączyńskiego, zarazem zaś na gotującą się zgubę głównych rzekomo filarów sprawy polskiej, żyrondistów. Ci ostatni, sprawcy wojny zaczepnej a reżyserowie propagandy wolnościowej, na których głównie opierały się złudzenia polskie, teraz sami obciążeni poczytalnością zabójczą za niepowodzenia broni francuskiej, mieli już nóż zawieszony nad głową. Robespierre, przeciwnik stanowczy wojny, jako czynnika odciągającego, osłabiającego wewnętrzne napięcie rewolucyjne, oskarżał ich jako rozmyślnych jej prowokatorów pospołu ze spiskującym przeciw narodowi dworem; odmawiał wszelkiego w teraźniejszości znaczenia propagandzie rewolucyjnej u obcych ludów; a natomiast pewną postawę przychylną zachowywał względem dalekiej i nieszkodliwej Rosyi. Marat — którego brat rodzony pełnił spólcześnie najspokojniej urząd profesora literatury francuskiej w liceum szlacheckim w Carskiem Siole, — do krwiożerczych swych pamfletów wpłatał bez zająknienia wzmianki pochlebne o Katarzynie II, niepospolitej monarchini, wprowadzonej w błąd jedynie przez takich jak Diderot lub Condorcet „szarlatanów“ francuskich. Danton wreszcie, zwolennik wojny, lecz przeciwnik propagandy, odczepić się pragnął conajrychlej od niedorzecznej „brissotiady“, od bezcelowego niepokojenia wszystkiej Europy monarchicznej powszechnemi hasłami powstańcami, a tem samem spajania jej zamiast dzielenia; realista z krwi i kości, dążąc do nawrotu na tory realne interesu czysto francuskiego, zażądał wręcz odwołania tamtych dekretów „wszechludzkich“ a „dziwnie nieokreślonych, obowiązujących nas do wspierania patryotów, którzy chcieliby wszcząć rewolucję w Chinach“, albowiem „należy

przedewszystkiem myśleć o zachowaniu własnej naszej istności politycznej i ugruntowaniu wielkości Francyi“, a przeto uchwalić, „że nie będziemy mieszały się do tego, co się dzieje u naszych sąsiadów“. W wynikłych z tego powodu rozprawach jeden z mówców Konwencji, Robert, wykazywał w tym samym duchu, iż Francya powinna zapomnieć nareszcie o wszelkich innych ludach a myśleć wyłącznie o sobie i wziąć sobie za naczelną zasadę kierowniczą „tego rodzaju egoizm narodowy (*égoisme national*), bez którego zdradzilibyśmy nasze obowiązki“. Ostatecznie, według wniosku Dantona, uchwalono zasadę „niemieszania się“ do tego, co się dzieje gdzieindziej, odwołując tym sposobem bez zająknięcia tamte wspaniałe dekrety, głoszące tak niedawno „ewangelie wolności“ wszystkim jęczącym pod uciskiem narodom-braciom. Ulotniła się ocalająca tych braci propaganda, pozostała tylko wyzyskująca ich prowokacja rewolucyjna.

Wśród takich warunków, po paromiesięcznem próżnem kołatanu imieniem braci-Polaków, Kościuszko opuścił Paryż z próżnemi rękoma. Upadek żyryndystów usunął tymczasem ostatnich platonicznych Polski przyjaciół; zwiększyła się liczba jej wrogów odkąd przed Trybunał rewolucyjny i na gilotynę dostali się Miączyński, Ubielski, Lubomirska i inni Polacy, skutkiem czego nawet tacy bez zarzutu ludzie, jak Mieszkowski, odprawieni zostali ze służby francuskiej w myśl dekretu wyłączającego z niej cudzoziemców. Dokonany zwrot stanowczy, proklamujący zasadę wyłączności własnych interesów francuskich, niebawem ujawnił się nader znamienne podczas rozpraw Konwencji nad nową konstytucją republikańską: kiedy idealista ksiądz Grégoire, szczerze Polsce życzliwy, wniósł uchwalenie „deklaracyi praw narodów“, orzekającej, iż „narody są względem siebie niezawisłe i udzielne“, iż „pogwałcenie wolności któregośkolwiek narodu stanowi zamach przeciw wszystkim rodzinie ludzkiej“, natychmiast przedstawiciel Komitetu ocalenia publicznego Barère zaprotestował gwałtownie przeciw podobnej „filantropii“ i przeparał przejście nad tym wnioskiem do porządku dziennego; przyjęta natomiast pod przeważnym wpływem dantonistycznym ustawa konstytucyjna zawarowała wyraźnie, iż naród francuski, aczkolwiek „jest przyjacielem i sojusznikiem przyrodzonym narodów wolnych“ i „udziela azylu cudzoziemcom wygnanym ze swej ojczyzny dla sprawy wolności“, wszelako raz nazawsze „nie miesza się zgoła do rządu innych narodów“. W ogólności Komitet ocalenia publicznego, mając na czele swej sekcji spraw zagranicznych — której szefem biura został teraz niejaki Maudru, aferzysta świeżo przybyły z Rosyi,

autor wierszy na cześć Katarzyny II, ogłoszonych w drukarni cesarskiej w Petersburgu,—zrazu Dantona, Héraulta, Barèra, zainicjował dostanie się pod Robespiera, a dzierżąc faktycznie nawewnątrz i nazewnątrz władzę najwyższą, przestrzegał stale w polityce zagranicznej zasad najbezwzględniejszego realizmu, zwłaszcza odkąd młoda Republika z początkiem jesieni t. r. znowuż w gorszych niż kiedykolwiek znalazła się kłopotach, wzięta we dwa ognie przez wybuchłą na zachodzie i południu straszliwą zamieszkę powstańczą oraz 'przez ciężkie od ściany północno-wschodniej porażki wojenne, otwierające nieprzyjacielowi drogę do Paryża. Ale na szczęście w tej samej właśnie chwili zaostrzyły się ponownie dalekie sprawy polskie na sejmie grodzieńskim, który po zatwierdzeniu zaboru rosyjskiego okazał opór rozpaczliwy sankcyi zaboru pruskiego. Król pruski, tknięty uzasadnioną obawą, iż ta oporność sejmowa polska tajemnie była podsycana przez Rosyę w porozumieniu z Austryą dla pozbawienia go w ostatniej jeszcze godzinie udziału w zdobyczy, poraz drugi jął wycofywać się z wyprawy francuskiej, odjechał armię koalicyjną, obrócił się ku Polsce. Skorzystali z tego w lot politycy i wodzowie rewolucyjni francuscy, nawiązując znowuż negocyację tajną z dyplomatami i generałami pruskimi, i podobnie jak przed rokiem byli zachęcali ich do inicjatywy podziałowej, tak teraz z kolei pchali do egzekucyi podziałowej polskiej, byle tylko przez to sobie samym folgę zapewnić. Folga istotnie nastąpiła, presya pruska, skierowana nad Wisłę przeciw Polsce, osłabła całkowicie nad Renem przeciw Francyi. „Sprawy polskie tym sposobem uchroniły armie francuskie od niechybnej katastrofy“; Francya, korzystając na terenie wojennym z bierności zupełnej Prusaków a nawet ze zdradzieckich ich posług przeciw Austryakom, zyskawszy kilka miesięcy czasu do powołania ruszenia pospolitego, do masowego uzbrojenia się, poraz wtóry uratowaną została kosztem Polski.

Jednakowoż nie wszystkie jeszcze stąd wyciągnięto korzyści ani całego nie pozbyto się niebezpieczeństwa. Nawiązane z kwaterą nadreńską pruską rokowania przyjacielskie kontynuować dopiero wypadało na uboczu, w Bazylei, aż do pełnego oderwania Prus od koalicyi; a zatem wypadało możliwie jaknajdłużej, raz jeszcze, mieć do rozrządzenia tak pożyteczne, podwakroć już wypróbowane odciągające lekarstwo polskie. W tym zaś celu, gdy niebawem, nazbyt prędko, przełamany został opór sejmu grodzieńskiego, wypadało w aptece polskiej nowego leczniczego poszukać środka, tym razem rewolucyjnego. Tedy przypomniało

sobie niedawne z przed półroku, obojętnie wtedy odtrącone, przełożenia Kościuszki i sięgnięto wprost po prowokację. Następca świętego Lebruna, nowy minister spraw zagranicznych dantonista Desforgues zwrócił się do urzędującego przy emigrantach polskich w Lipsku Parandiera z oświadczeniem poufnem, iż „należy tylko życzyć sobie... powodzenia planu rewolucyjnego gotującego się w Polsce“ i „podtrzymywać nadzieje Polaków“, jakkolwiek położenie Francyi „nie pozwoli jej udzielić temu godnemu wolności narodowi istotniejszych dowodów swego współczucia“, — insynua-cya haniebna, za którą ministrowi od własnego agenta zasłużona dostała się odprawa: „uczciwość naszej polityki republikańskiej — odpisał mu zgorszony Parandier, uchylając się od powierzanej sobie roli jawnie prowokatorskiej, — nie zgadzałyby się z przyrzeczeniami, jakich dotrzymać nie pozwoliłyby nam okoliczności“. W tej samej zresztą chwili, w listopadzie t. r., kiedy ministerium paryskie z taką dwuznaczną zwracało się podniętą pod adresem polskim, istotna już głowa rządu, Robespierre, w słynnym swoim, wyrachowanym i nadętym raporcie publicznym dla Konwencyi o stanie interesów Republiki, przybierając przed Europą postawę wielkiego gabinetowego męża stanu, z gorącym deklarując się afektem dla przyjaciół republikańców szwajcarskich i amerykańskich, przechodził z obojętnością rozmyślną w dwóch ledwo słowach do porządku dziennego nad drugim podziałem Polski. Gorzej niż obojętnie, bo wprost nieprzyjaźnie przyjęte zostały wkrótce potem starania podjęte w styczniu 1794 r. przez kilkudziesięciu oficerów polskich zebranych w Paryżu, głównie przez Józefa Wielhorskiego, działającego tu z ramienia Kościuszki, poczęści też przy niejasnym udziale Turskiego, celem organizacji pod sztandarem republikańskim francuskim licznych więźniów i zbiegów polskich z szeregów koalicyjnych, najpierwszy, arcydoniosły, uchylony wszakże pod rozlicznymi pozorami przez Desforguesa, zaród myśli legionowej. Nie we Fraucyi, lecz w samej Polsce pożądaną była w interesie francuskim nowa „dywersya“ polska, nie żadna tu na miejscu kompromitująca i kosztowna legionowa, lecz tam, gdzieś daleko, powstańcza, podejmowana na własną rękę i odpowiedzialność przez Polaków i w dodatku kosztem nie francuskim, lecz wyłącznie polskim. Parandier, który dopraszał się dla przygotowań powstańczych w Polsce większego, 12 milionowego zasiłku, wezwany w początku t. r. do Paryża, razem z wysłańcem polskim, dzielnym Barassem, daremnie kołując tutaj naprzemiany do ministerium spraw zagranicznych i Komitetu ocaczenia publicznego, został nadomiar przez wpływowego teraz dzia-

łącza rewolucyjnego, a naprawdę szpiega rosyjskiego, Mehdego zadenuncyowany jako kreatura „magnatów polskich a mianowicie Ignacego Potockiego, będącego potajemnie w zimwie z Prusami i Rosyą“, miał już nawet zostać uwięzionym, kiedy nadeszła wiadomość o wybuchu powstania w Krakowie i Warszawie.

Powstanie Kościuszki wybuchło wiosną t. r. siłą samorzutną, jako niewstrzymana dłużej żywiołowa konieczność narodowa, a przy prowokacyjnej jeno zachęcie, bez żadnej zgola rzeczywistej pomocy francuskiej. Jeśli prowokowane ono było równocześnie najskrytszym sposobem przez pewnych polityków petersburskich i wiedeńskich, którzy, niedoceniając jego mocy wybuchowej, szukali w niem pożądanego pretekstu do nowej ponad głową Prus spółki podziałowej austro-rosyjskiej, to podobnie z wprost przeciwnego końca dla polityków rewolucyjnych paryskich miało ono przedewszystkiem znaczenie i wartość pożądanego środka pozbycia się raz nazawsze Prus z nad Renu oraz skierowania ich ostatecznie nad Wisłę, i to nietylko postrachem samego powstania, lekceważonego w Paryżu tak samo jak zrazu w Petersburgu, Wiedniu i Berlinie, ile mianowicie groźbą owej związanej z niem a godzącej w Prusy machinacji rosyjsko-austriackiej. W tem było sedno rzeczy. Z uczuciami prawdziwemi, żywionemi przez rewolucjonistów francuskich dla powstania polskiego, zimną obojętnością dla jego celów, lekceważącą wzgardą dla jego środków, zupełną niewiarą w możliwość jego sukcesu, godził się doskonale ten górujący wzgląd na Prusy, który sam przez się czynił koniecznem staranne unikanie najlżejszej bodaj widomej konniwencji czynnej z powstańcami polskimi. Ten wzgląd naczelny, brany dotychczas kolejno w rachubę przez orleanistów, żyrondystów, dantonistów, przybierał postać coraz aktualniejszą, w miarę jak pogłębiały się rokowania pokojowe francusko-pruskie, nawiązane od jesieni roku zeszłego nad Renem, wznowione od lutego r. b. przez posła francuskiego w Szwajcaryi Barthélemeego, kontynuowane bez przerwy po zaszłym właśnie w chwili insurekcyjnej polskiej, w marcu i kwietniu t. r., upadku Dantona i jego stronników, sankcyonowane w zupełności przez wszechwładnego odtąd Robespierrea, a równocześnie popychane energicznie ze strony pruskiej przez epigonów fryderycjańskich, przez brata Fryderyka Wielkiego, stryja panującego monarchy, starego ks. Henryka, ciągnącego ku Francyi ze starej nienawiści dla Austrii, starej obawy przed Rosyą i starych na Polskę apetytów, przez Lucchesiniego, garnącego się żarliwie do „układów z Robespierrem jak Mazarini układał się z Cromwellem“, i tym sposobem w rzeczy

samej już wkrótce doprowadzone szczęśliwie do pierwszej obustronnej umowy pisemnej, do zawartego urzędownie w lipcu t. r. kartelu prusko-francuskiego, zanim w dalszem rozwinięciu doprowadzą do formalnego traktatu pokojowego. Wobec tej głównej, drogocennej negocjacji pruskiej natrętne błagania polskie oczywiście w najwyższym stopniu były nie na rękę statystom paryskim. Napróżno nieszczęśliwy Barss, odebrawszy wiadomość o wybuchu powstania, gwałtownie upominał się od kwietnia t. r., przy poparciu Parandiera a nawet życzliwego szefa wydziału spraw zagranicznych Reinharda, o niezbędne dla powstańców zasiłki; napróżno, odebrawszy pełnomocnictwo *in blanco* od Kościuszki, osobiście przekładał raz po razie swoje prośby na audyencyach zyskiwanych z trudem w Komitecie ocalenia publicznego; napróżno, już po dojściu fortunnych wieści o wygranej racławickiej i rewolucyi warszawskiej, tem natarczywiej swoje ponawiał nalegania. Komitet na referacie Reinharda z końca kwietnia, zalecającym posłanie Polakom miliona lub bodaj pół miliona franków, położył lapidarną dekretacyę: „nie posyłać żadnych funduszów... nie traktować o niczem... można słuchać, nie obiecywać niczego... obserwować i dawać rady powstańcom polskim“; na audyencji z początku maja odprawił Barssa z pustemi rękoma; na referat Reinharda z końca maja, zalecający wobec pierwszych sukcesów powstańczych posłanie trzech agentów francuskich do Polski z kwotą choćby 300 tys. franków i przyznanie Kościuszcze przez cztery miesiące choćby po 140 tys. franków, udzielił decyzji wręcz odmownej; i jeszcze na audyencji z połowy lipca, już po wieszaniach czerwcowych warszawskich, mających dogodzić terrorystycznym wymaganiom paryskim, zgębionemu Barssowi ogłosił taki wyrok apodyktyczny, wypowiedziany ustami Saint-Justa, iż „Republika francuska nie da ani jednego ziarna złota, nie poświęci ani jednego żołnierza“ dla rewolucyi polskiej, która „robioną jest przez szlachtę“. Komitet ocalenia publicznego, który poprzednio, żyrondistowski i dantonistyczny, ze względu na Prusy prowokował przygotowania powstańcze polskie, odmawiając im jednocześnie zasiłku, teraz, robespierrowski, wyzyskując wybuchłe już powstanie na rzecz swojej polityki pruskiej, dla tego samego względu pozbawiał je poparcia, pod pozorem niedostatecznej jakoby czystości zasad rewolucyjnych polskich. Byłoby zaś grubym nieporozumieniem, jak to dziś jeszcze całkiem poważnie czynionem bywa, widzieć w tem i potępiać jakieś zawzięte zaślepienie rewolucyjno-doktrynerskie. To nie była ślepa doktryna, było gorzej, był świadomy, rozmyślny, hi-

pokrycki pretekst. Dla Robespiera — przygarnającego zarazem jaknajczulej Szwajcarów mimo napiętnowane już przez Roussa oligarchiczne ich zacofaństwo, albo Amerykanów mimo niewykorzenione ich skłonności monarchiczne, prezydenturę, dwuizbowość i niewolnictwo murzyńskie, przygarniającego ich ostentacyjnie dlatego tylko, że byli potrzebni narazie, jedni przeciw Austrii, drudzy przeciw Anglii,—takie lub inne herezye Polaków przeciw katechizmowi rewolucyjnemu, dostrzegane w ustawie majowej lub insurekcji kościuszkowskiej, naprawdę żadnej istotnej nie odgrywały roli, nie wchodziły wcale na seryo w rachubę. Wyrzut szlachetczyzny, czyniony powstańcom polskim przez Robespiera był wart dokładnie tyle, co wyrzut jakobiństwa czyniony im równocześnie przez Katarzynę. Gdyby wszystka Polska wtedy z samych najczystszych składała się jakobinów, gdyby w Warszawie powstańczej proklamowano najdosłowniej ostatnią ortodoksyjną konstytucję republikańską paryską, a na Placu Zamkowym najdoskonalej funkcyonującą wystawiono gilotynę, nie wpłynęłoby to ani o jotę na zmianę obojętnej, odmownej polityki polskiej robespierrowskiego Komitetu ocalenia publicznego. Francya terorystyczna nie tylko aż do końca żadnej realnej pomocy — oprócz chyba drobnych zasiłków dostarczanych na własną rękę przez zacnego Descorcha ze Stambułu, albo może podobnie z inicjatywy prywatnej kierowanych na Kopenhagę a przeważnie po drodze rozkradywanych, — nie udzieliła powstaniu polskiemu, ale nadto wprost przyłożyła się do jego zguby. Obłąkała je mianowicie, wprowadziła w błąd co do Prus, z któremi układała się sama, które celem wysunięcia z koalicji antyfrancuskiej wypychała sama do antypolskiej, sama zwała na insurekcję, i które, dzięki uczynności francuskiej, powiadomione najdokładniej o wszelkich usiłowaniach i prośbach polskich, chwytając i przecinając najtajniejszą korespondencję powstańczą między Warszawą a Paryżem, jedną rękę wyciągając przyjaźnie ku rewolucji francuskiej, drugą zbrojnie uderzały znienacka na insurekcję polską, rozbijały pod Szczekocinami osłupiałego Kościuszkę, zagarniały Kraków, oblegały Warszawę.

Upadek Robespiera w końcu lipca, przewrót thermidorowy, żadnej zgody w tym względzie nie przyniósł zmiany na lepsze, przeciwnie, wzmógł jeszcze i utrwalił tę samą obłudną a nieumiłosierdną wobec Polski postawę nowych mocarzów rewolucyjnych francuskich. Thermidorczycy to była właściwie najrozmaitsza zbieranina stronnicza, skupiona chwilowo przez strach i nienawiść, złożona pierwotnie w znacznej mierze z terorystów skrajnych,

potępiających Robespiera za „moderantyzm“, skąd wygórowali stopniowo i utrzymali się przy sterze ludzie stosunkowo tężsi, roztropniejsi, przeważnie „legiści“, prawnicy z zawodu. Ci zaś trzeźwi i twardzi działacze, pragnąc użycia i ubezpieczenia na wewnątrz swej władzy i sytuacji materialnej własnej, pragnąc w tym celu zarazem nazewnątrz ubezpieczenia pomyślności i wielkości Republiki, uosabiając napół egoistycznie, napół narodowo rację stanu czysto francuską naprzeciw Europy, nawiązując na swój sposób łączność między starą tradycją Richelieu a nowoczesną rewolucyjną, sami w trudnem wciąż, niebezpiecznem swem położeniu wewnętrznem stawając się tyleż z musu co z instynktu kontynuatorami najbezwzględniejszego realizmu polityki zagranicznej bezpośrednich swych, obalonych przez siebie poprzedników, zmierzając konsekwentniejszym jeno, celowszym sposobem do „deblokowania“ Francyi i skonsolidowania jej zdobyczy w obrębie „granic naturalnych“ starej Gallii, obok popularnej wojny zwycięskiej z tradycyjnymi wrogami narodowymi, Anglią i Austryą, zmierzając na gwałt do pokoju i sojuszu z tradycyjnym przyjacielem francuskim, Prusami, świadomie parli w tym oportunistycznym kierunku wojenno-pokojowym drogą najprostszą, nie oglądali się pozatem na nic, a już najmniej na to, iż iść im tedy wypadało przez trupa Polski. W opanowanym i zreorganizowanym przez thermidorystów Komitecie ocalenia publicznego, a zwłaszcza w najważniejszym obecnie wydziale zagranicznym—gdyż Komisyja spraw zagranicznych z nowym swym naczelnikiem Miotem i zostawionym w sekcyi polsko-prusko-rosyjskiej Reinhardem była i teraz podawnemu nie więcej jak biurem Komitetu,—rządzili ludzie tego mianowicie typu, wolni od wszelkich przesądów uczuciowych, realiści i oportuniści brutalni, jak Merlin de Douai, „książę juryskonsultów“, późniejszy hrabia cesarstwa, jak adwokat Cambacérés, późniejszy książę Parmy i arcykanclerz cesarstwa, jak prokurator Boissy d'Anglas, jak złączony z nimi niebawem a najgłębszy z nich i najambitniejszy Sieyès, również późniejsi dostojnicy cesarscy, wszyscy bez wyjątku zdeklarowani stronnicy Prus,—nie mówiąc już o komitetowcu takim jak uczony Guyton, zauszniak osobisty i biograf ks. Henryka pruskiego,—a wszyscy bądź całkiem obojętnie, bądź wręcz nieprzychylnie usposobieni dla Polski. Naogół na półsetki konwencyonistów, jacy w tym tak doniosłym dla spraw polskich okresie przejściowym od lipca 1794 do października 1795 r., od zamachu thermidora do ustanowienia rządów dyrektoryalnych, przewinęli się przez Komitet ocalenia publicznego, jeśli znalazło się paru platonicz-

nych przyjaciół Polski, jak całujący się niedawno z Turskim Treillard, jak chroniący się później do Warszawy Carnot, jak wrażliwy na grosz wdowi emigracji polskiej Tallien, to przecie ani jednego literalnie nie było tam człowieka, któryby chciał i mógł istotnie zrobić cośkolwiek dla Polski. (Co gorzej, nie tylko opuszczono, poświęcono Polskę, lecz nadomiar, wedle praktykowanej dotychczas recepty, i nadal nikczemnym, obłudnym karmiono ją i obłąkiwano fałszem.) Delegacja polska w Paryżu, uzyskawszy z biedą od nowego Komitetu ocalenia publicznego nazajutrz po upadku Robespiera pozwolenie stawienia się w sierpniu 1794 r. przed obliczem oczyszczonej Konwencji, musiała w osobie mówcy swego Barssa oględniemi, ocenzurowanemi w Komitecie odezwać się słowy, dyskretnie schować cisnącą się na usta rozpaczliwą skargę, głosić narzucony sobie fałsz oficjalny, prawić o królu pruskim, ostrzeliwującym właśnie Warszawę, iż on „porzuca pakt zbrodniczy łączący go z konspiracją królów“, wielbić „święte węzły jednoczące już losy teraźniejsze i przyszłe Francuzów a Polaków“, słuchać wzamian łaskawych „kilkakrotnych oklasków“ zgromadzenia oraz obłudnych frazesów prezydenta Konwencji a głównego wtedy rządcy Komitetu, Merlina, iż Polska we Francuzach ma wiernych „braci“, iż „naród francuski... ze słodkiem rozrzewnieniem odbiera wieści o sukcesach“ polskich, z przydatkiem tej osobliwszej rady „braterskiej“, podwójnie osobliwej w ustach polityka, dobijającego teraz targu z królem pruskim a przyszłego hrabiego cesarskiego, iż każdy „król, nawet w kajdanach, zagraża zawsze wolności, iż tygrysów i lampartów nigdy oswoić niepodobna, iż ktokolwiek im wybacza, staje się wrogiem rodzaju ludzkiego“. Tani oklask i tania rada zamordowania Stanisława Augusta, to było wszystko, co wymyślili thermidoryści dla wykwitowania się z jęków błagalnych dogorywającej insurekcji polskiej, z przekładanych sobie przez Barssa rozpaczliwych jej imieniem nawoływań Kościuszki i Kołłątaja: „na miłość Boską, jakiegobądź zasitki!... Nie możemy pojąć, co sobie myślą we Francyi... byłoby już lepiej wiedzieć, że nie otrzymamy zgoda poparcia Republiki francuskiej, niż próżną łudzić się nadzieją“. Nareszcie, już po otrzymaniu wieści o Maciejowicach i wzięciu Kościuszki, już po szturmie Pragi przez Suworowa a w chwili kapitulacji radoszyckiej, w połowie listopada zdobył się Komitet ocalenia publicznego na uznanie nieistniejącego już faktycznie powstania za „niearystokratyczne ani mieszczańskie, lecz narodowe“, na zatwierdzenie fikcyjnego już pełnomocnictwa Barssa, na wysłanie do powalonej już i dobijanej Polski Paran-

diera z „funduszem skromnym“, t. j. 20 tys. liwrów rocznie, dla zasilania wymordowanych już, wziętych w niewolę lub wygnanych powstańców, przyczem na dobitkę zawarowanem zostało, iż te spóźnione dobrodziejstwa zależeć będą „od własnego położenia Francyi“, o ile dadzą się z niem „skombinować interesy narodu polskiego“.

„Kombinacya“ owa w chwili niniejszej konania insurekcyi i dojrzewania nowego podziału polskiego polegała poprostu na umiejętnem spożytkowaniu tych okoliczności klęskowych celem tem rychlejszego ubicia toczącego się w Bazylei targu o traktat pokoju francusko-pruski. W instrukcyi dla negocyatorów swoich Barthélemeo i Bachera z początku stycznia 1795 r. Komitet ocalenia publicznego wyraźnie stwierdzał, iż sprawa ratowania skazanej na zagładę Polski jest rzeczą „odleglejszą“, niewchodzącą obecnie w rachubę, a wszelkie w tym względzie kroki należy do pomyślniejszej pory „odłożyć“, — *ajourner*, eufemizm urzędowy, oznaczający naprawdę zupełne wyparcie się Polski, stałe odtąd w tem znaczeniu używany w komitetowych o Polsce wynurzeniach. Ze swej strony rząd pruski we wskazaniach dla swoich w Bazylei przedstawicieli Goltza i Hardenberga spajał bezpośrednio sprawę pokoju z Francją a nową w Polsce zdobyczą; książę Henryk w memoryałach z początku stycznia t. r. wykazywał, iż pacyfikacya odrębna prusko-francuska, zabiegając z góry na wypadek przyszłej pacyfikacyi powszechnej podniesieniu przez Francję restytucyi przypadłego Prusom zaboru polskiego, zabiegając wogóle przyszłemu odbudowaniu Polski a w szczególności zjednoczeniu jej przy Rosyi, równała się szacownej sankcyi moralnej francuskiej „tak dla dawnych, jak i dla nieuniknionych nowych w Polsce nabytków“ pruskich; zaś ministerium berlińskie wprost pojmowało układy bazylejskie jako traktatową ze strony Francyi porękę pruskiego stanu posiadania w Polsce z wyłączeniem Austrii a zabezpieczeniem przeciw Rosyi. Komitet paryski, doskonale zdając sobie sprawę z tych widoków pruskich, świadomie wyzyskiwał je i szedł im na rękę. W raporcie ogólnym o położeniu Republiki, złożonym od Komitetu w końcu stycznia przed Konwencyą a podkreślonym celowo przez rozprawy rozmyślnie z tego powodu w zgromadzeniu inscenizowane, sprawozdawca Boissy, uderzając gwałtownie na Anglię, Austrię i Rosyę, wypominając z żałością zajęcie Berlina czasu wojny siedmioletniej, ostentacyjnie wyciągał rękę Prusom, wzywał je do sprężgnięcia się z Francją, ofiarował im pokój za linię Renu, stanowiącą „słupy Herkulesa francuskiego“, a proklamował zarazem z naciskiem

uznaną już dawniej przez Konwencyę zasadę nie mieszania się Francyi do spraw mocarstw postronnych, co w danej chwili oznaczało oczywiście przedewszystkiem wyrzeczenie się wszelkiej interwencyi w rzeczach polskich. Na tym mianowicie kapitalnym punkcie ostatnim taką okazywano drażliwość, że kiedy nieco później pocziwy, Bogu ducha winny, nieświadomy arkanów polityki komitetowej ksiądz Grégoire wyrwał się ponownie ze swoim wnioskiem zeszłorocznym o „deklaracyi praw ludów“, Konwencya nie tylko przeszła nad nim znowuż do porządku dziennego, lecz nawet, wskutek ostrej imieniem Komitetu reprymendy Merlina, odwołała powziętą zrazu przez grzeczność uchwałę prostego wydrukowania tego wniosku, jako przeciwnego zasadzie bezwzględnegο niemieszania się do cudzych interesów. Wśród takiego nastroju, po różnych jeszcze ze strony Komitetu obłudnych, gołosłownych dla Polski pocieszeniach i komplementach, po paru jeszcze platonicznych ze strony starego Barthélemeego, świadomego swej pośredniej względem „biednych Polaków“ roli grabarskiej, na ich rzecz przełożeniach i westchnieniach, uchylonych oczywiście najgrzeczniej przez niemniej uświadomionego Hardenberga, zostało nareszcie szczęśliwie doprowadzone do końca, do podpisania w Bazylei pamiętne dzieło traktatu pokoju francusko-pruskiego z kwietnia 1795 r., uzupełnione przez umowę demarkacyjną z maja t. r., zawierające ogólną w zasadzie zgodę tajną pruską na zdobycze francuskie w Holandyi i na lewym brzegu reńskim, niezawierające natomiast rzecz prosta najłżejszej wzmianki o Polsce, a dokonane naprawdę za pośrednictwem, poniewolnem Polski przyczynieniem się, jej okropnym dokonane okupem. Pierwszy wielki akt międzynarodowy, ubezpieczający Francję rewolucyjną, okupiony został przez ostatni akt międzynarodowy grzebiący państwo polskie.

Pomiędzy dwoma temi zjawiskami najściślej w istocie, aczkolwiek wstydliwie przez kontrahentów bazylejskich zasłonię, zachodziło przyczynowe *junctim*. Zrealizowanie targów bazylejskich o Ren przyspieszone zostało przez równoległe targi petersburskie o Polskę. Naodwrot pacyfikacja bazylejska ułatwiła zrealizowanie trzeciego podziału Polski. Jak już poprzednio tragiczne powikłania polskie w przededniu drugiego podziału jesienią 1792, w czasie sejmu grodzieńskiego latem 1793, w chwili wybuchu powstania kościuszkowskiego wiosną 1794 r., potrzykroć wyzyskiwane były z powodzeniem przez Francję rewolucyjną dla faktycznego od wypadku do wypadku wyzbywania się groźby wojennej pruskiej, tak obecnie poraż czwarty z kolei dla

traktatowego na długą metę ułożenia się z Prusami skutecznie wyzyskane zostały powikłania przedzgonne związane z nadchodzącym ostatecznym rozbiorem resztek Rzpltej na przełomie 1794 a 1795 r. Nieunikniony ten końcowy akt rozbiorczy szybkimi zbliżał się kroki. Lwi w nim udział Rosyi, pogromicielki powstania, nie mógł być uszczuplony przez dwóch jej współuczestników, lecz tem sroższe między nimi dwoma wynikły zatargi zawzięte o dystrybucję zostawianych przez Rosyę szczątków polskich, rywalizacyjne spory łupieżcze prusko-austriackie. Wszczęte hataśliwie w grudniu 1794 r. w Petersburgu, zostały one wnet przecięte w cichości przez skryty odwet dwucesarski na Prusach, przez tajemne umowy austro-rosyjskie ze stycznia 1795 r., ustalające z góry linię wytyczną trzeciego podziału Polski z przyznaniem Austrii głównego, spornego przedmiotu pożądlwości pruskiej, Krakowa, mieszczące zarazem odnowienie dawniejszych z przed dziesięciolecia paktów józefińskich, zapowiedź zdobyczy tureckich dla Rosyi, ewentualnie i dla Austrii, niezawisłe od przyrzekanych jej zdobyczy weneckich, jednocześnie zaś, co najgłówniejsza, stanowiące groźny sojusz dwucesarski skierowany wprost przeciw Prusom, obliczony na przymusowe, choćby orężne utrzymanie ich w karchach wyznaczonej im zdobyczy polskiej. Wytworzony tym sposobem stan potencjalnego przesilenia wojennego w sprawie trzeciego rozbioru polskiego pomiędzy odrodzonym związkiem austro-rosyjskim a wyosobnionymi Prusami z jednej strony, z drugiej zaś równoczesne zabezpieczenie sobie tyłów przez Prusy, dzięki pacyfikacji z Francją, zwolnioną odtąd do tem potężniejszego na Austryę ciśnienia wojennego, to były dwa organicznie z sobą skojarzone współczynniki górujące, pod których znakiem dokonać się teraz mogła pędem przyspieszonym likwidacya ostateczna losów Polski. Nastąpiło odkrycie kart przez dwory dwucesarskie, ujawnienie tajnej ich umowy podziałowej zaskoczonym Prusom, gwałtowne Prus zachnięcie się, szamotanie się ich z Austryą o mile i dusze podziałowe polskie, pod superarbitralną powagą imperatorowej, licytującej i szczującej na siebie obu współzawodników. Nastąpił wymuszony akces pruski, rozebranie wszystkiej Polski, abdykacya Stanisława Augusta, końcowe czynności oddawcze i graniczne. Mocą aktów podziałowych ze stycznia i października 1795, aktów okupacyjnych ze stycznia, demarkacyjnych i superarbitralnych z sierpnia, października, grudnia 1796 i stycznia 1797 r., dopełniony został trzeci całkowity podział Polski, wzięła Rosya przeszło 2000 mil kwadratowych z Wilnem i półtrzecią miliona, Au-

strya około tysiąca z Krakowem i milionem, Prusy resztę z Warszawą i 900 tysiącami mieszkańców. Otrzymała ogółem Rosya półdziewiątą, Prusy i Austria mniej więcej po półtrzecią tysięcy mil kwadratowych, z zaludnieniem odpowiedniem około siedmiu oraz od trzech do czterech milionów. W chwili, gdy młoda Republika francuska dosięgała szczęśliwie upragnionych „granic przyrodzonych“ Renu, Alp, Pyrenejów, a wnet wylewała się za nie, znikająca jednocześnie starożytna Rzplita polska i granice jej historyczne.

SZYMON ASKENAZY.

ZE STUDYÓW NAD TWÓRCZOŚCIĄ FREDRY.

I. „Gwałtu co się dzieje.“

II. „Przyjaciele.“

Twórczość Aleksandra Fredry, nawskroś przepojona polskością i o tak swoistych cechach temperamentu jej autora, jest, zdawałoby się z pozoru sądząc, z gruntu rodzimą i samorodną. Nie wyłamuje się dlatego jednak z pod ogólnego prawa, które [zmu-
sza wszelką twórczość do zależności od zasadniczych wzorów i typów jej rodzaju literackiego i koniecznego zasilania się w treści, czasem nawet w sposobie jej przedstawienia, w utworach jej pokrewnych. Tem tłómaczy się zależność Fredry od Moliera, twórcy typu komedyi wieków nowożytnych. ¹⁾ Dla tego również odnajduje się w poszczególnych komediach Fredry ślad wpływu dzieł obcych i wspomnienia twórczości różnych jego poprzedników.²⁾ Ważnem dla Fredry jest jednak, że zapożyczonym wartościom swych komedyi umie nadać zawsze cechę swej indywidualności i wyryc na nich znamię własne, przetwarzając je na całość nową i oryginalną, stworzyć z nich dzieło, będące niezaprzeczoną jego własnością.

Badanie źródeł dzieła literackiego jest więc w pewnej mierze sposobem dokładnego jego poznania i oceny zdolności

¹⁾ Stosunek Fredry do Moliera opracował wyczerpująco p. B. Kielski: „O wpływie Moliera na rozwój komedyi polskiej“. Kraków 1906. Nakład Akademii Umiejętności.

²⁾ Por. Dr. Władysław Günther: „Przyczynki do studyów nad Al. Fredrą“. „Przegląd polski“ Listopad 1907. Lipiec i Grudzień 1909. Mieczysław Smolarski. „Wolter i Fredro“ Biblioteka Warszawska. Czerwiec 1912.

twórczych jego autora. Znajomość pierwiastków składowych tworu literackiego, pozwala przedewszystkiem, za pomocą czynności odejmowania, na wykrycie i ujęcie rzetelnej i prawdziwej własności autora, o którego nam chodzi; ułatwia następnie porównywaniem własnych jego wartości ze źródłem, które je zrodziło, wydanie sądu o zdolnościach twórczych autora, pomaga wreszcie — o ile to wogóle jest możliwem — do wnिकnięcia w samą „istotę twórczości“, która jest poniekąd topieniem elementów obcych i różnorodnych przy pomocy iskry talentu w całość odrębną i nową, w sposób podobny, jak ogień, stapiający monetę obcego kursu lub użyciem wyblakłą w pieniądź o świeżym połysku i odmiennym kształcie, nadaje znów jej cenę i wartość.

I.

„Krotochwila „Gwałtu co się dzieje“ jest przeróbką *La nouvelle colonie*, komedyi, której autorem Marivaux“, ¹⁾ temi słowy p. Kielski, w swej pracy, poświęconej badaniu wpływu Moliera na komedję polską, zwraca uwagę na źródło i pochodzenie „Gwałtu co się dzieje“, gdzie Fredro zdradza się z zależnością od komedyopisarza francuskiego. W celu ugruntowania swego twierdzenia, p. Kielski streszcza nawet komedję Marivaux, ²⁾ nie przeprowadza jednak ściślejszego porównania między obu utworami, pomijając wykazanie punktów stycznych, jak również — wychodzi to bowiem poza zakres jego pracy — dokładniejszą analizę tych komedyi. Niech mi wolno będzie podjąć się tego zadania.

Ciekawem jest przedewszystkiem zestawienie autorów Marivaux i Fredry. Gdyby ktoś chciał zapoznać się pokrótce z francuskim XVIII w., powinien przeczytać dzieła Marivaux. Znalazłby w nich, jakby w zinniejszonym odbiciu i uwydatniającem raczej strony dodatnie, cały prawie obraz tej epoki. Utwory Marivaux są bowiem doskonałym wyrazem tego okresu, w literaturze bądź co bądź przejściowego, między wysokim szczytem klasycyzmu XVII w. a pełnym rozkwitem romantycznych pędów w XIX w.

¹⁾ Kielski, op. cit. str. 95.

²⁾ Kielski, op. cit. 3-cia uwaga, str. 95.

Komedye Marivaux są np. świetnym przykładem „poetyczności“ XVIII w. Rozgrywają się w społeczeństwie idealnem, z krainy marzeń, pełnem wzniosłych porywów, poddanem jedynie obowiązkom serca i prawom miłości. I pierwszy Marivaux z uczucia miłości uczynił treść komedyi, podobnie jak Racine po raz pierwszy wzniosł miłość do rzędu tragicznych konfliktów. Komedye Marivaux roją się od postaci kobiecych, toczących wewnętrzny bój ze swą godnością i sercem, drżąc, by ono nie zdradziło swej słabości i miłosnej udręki i nie skazało ich ust na wyznanie, choćby szeptem, lecz zawsze zbyt jawnie, uczuć niezgodnych z ich wyniosłą, kobiecą dumą. Gdyż jest to świat konwenansów towarzyskich i przesadnej wytworności. Wycezyłowane i wyszukane jego formy nabrały uroku i wdzięku. A pod tą powłoką wykwintu przechodzi powiew zmysłowości. Na równi z Marivaux zakochali się w tym świecie Watteau i Lancret, by unieśmiertelnić z nim razem tę bajkę, która w pewnej chwili danej epoki, była życiem samem. W tym zaczarowanym świecie księżniczek strojnych na codzien, jakgdyby na bal, o pudrowanych, białych włosach przy dziecinnem spojrzeniu i ustach uśmiechających się czasem naiwnie, choć zdoła je muszka wymalowana z kokieterią w jakimś ich zagięciu—dzieją się prawdziwe historie. Marivaux posiada bowiem zmysł rzeczywistości. Dlatego jego opowiadania (Marianne, Paysan parvenu) zapoczątkowują realistyczną powieść. Marivaux odczuwa również prądy sobie współczesne. Bierze np. udział w ruchu, ważnym dla XVIII w., występującym przeciw starożytności i należy do obozu t. zw. *Modernes*, wyznających, że jako późniejsi w rozwoju dziejów, z konieczności uszli więcej drogi od ludzi Grecyi czy Rzymu, w pochodzie ku Prawdzie i Pięknu. Marivaux parodjuje nawet „Telemaka“ Fenelona i „Iliadę“ Homera, lecz trzeba mu wybaczyć ten brak szacunku dla Grecyi, jako nieznającemu greckiego języka. Uznaje za to Anglię i jej sposób myślenia i na równi z Encyklopedystami, rozszerza jej wpływ na Francję. I jest wyznawcą filozofii swego wieku, tej filozofii „ludzkości“ i wyrabiającego się poczucia społecznego, która przejęła się potrzebami sfer niższych. Poglądy swe wypowiadał w „Spectateur français“, „Indigent philosophe“ i „Cabinet du philosophe“, próbach niejako pism peryodycznych, które kolejno rozpoczynał wydawać. Walczył w nich o dobrą sprawę, całym zapalem gorącej wiary w jej wartość i subtelnością argumentów jakie umiał podawać ze specjalnym wdziękiem. Wedle złośliwego powiedzenia Voltaire'a, Marivaux „wazył drobne powietrzne pyłki na szalkach z pajęczyny“.

ny“ — ubierał bowiem nieznaczne czasem nawet drgnienia duszy w styl sobie właściwy, analizujący drobiazgowo najdrobniejsze sprawy ludzkiego serca, styl, któremu już współcześni nadali nazwę *marivaudage'u*.

Z tym myślicielem i moralistą, wychowanym na tle filozofii angielskiej, a ujmującym treść swych rozmyślań w formę najbardziej wykwintną i — jeżeli można ją tak określić — francuską, zestawić trzeba Fredrę.

Przedewszystkiem Fredro jest człowiekiem innej epoki i innego społeczeństwa. Urodził się w szlacheckiej Polsce, a ledwie trochę podrośł, poszedł się bić. Szkołą jego był obóz i wojna, które uczyły go czuć wedle żołnierskich rozkazów, a unosiły myśl razem z poszumem orłów napoleońskich. Życie jego przeszło mu potem na wsi pod Lwowem, gdzie osiadł by pracować na roli. Tam, w swych sąsiadach i ich otoczeniu poznawał innych ludzi, niż towarzyszy broni i nieprzyjaciela. I z tych szlachciurów zasiedziały w zapadłym kącie od dziada pradziada, z ich żon zwykle pretensjonalnych, z ich córek czasem nawet wdzięcznych w 18-ej wiosnie, z ich synów, grackich i dorodnych, którym tak do twarzy w ułańskich rabatach, tworzył świat swych komedyi. Twórczy zaś jego temperament przenosił ten świat z wyobraźni i życia na papier i scenę, bez obynysłania dlań jakiegos głębszego światopoglądu: nie stało nigdy samemu Fredrze czasu ani sposobności na jego wypracowanie. To też zastępował go wogóle prostym, zdrowym rozsądkiem, łącząc go z rozumachem wojackim, czasem z tężyzną lub zamaszystością dawnej braci szlachty, nie miarkując jej nawet nowomodnemi manierami. To też świat komedyi Fredry ma charakter wybitnie polski, razem nawet z Geldhabem, wzbogaconym dorobkiewiczem na polskim społeczeństwie i Papkinem, mimo, że przebrał się w perukę z harcapiem.

A jednak Fredrę można porównać z Marivaux. Niektóre jego komedye, jak np. „Mąż i żona“, „Ciotunia“, „Śluby panieńskie“, którym odpowiada nazwa *salonowych*, przypominają chwilami, w ogólnym swym charakterze, utwory Marivaux. Powiedzieć to można zwłaszcza o „Ślubach panieńskich“, które w dodatku powtarzają parę sytuacji z dwóch komedyi Marivaux, p. t. „Surprises de l'amour“ i „Serments indiscrets“. I często u Fredry spotkać można młodą dziewczynę, która choć w prostej muślinowej sukience dorównuje wdziękiem świetniejszym, ale tylko w stroju, Aramintom czy Sylviom... Podobnie jak tamte, walczy ona tajemnie z wzbierającym w jej sercu uczuciem i pokrywa

wstydem dziewczęcym budzącą się do życia kobiecość, by wreszcie, czując niezmogoną siłę, opanowującej ją miłości, poddać się jej z rozkoszą. I wogóle miłość jest najważniejszą sprawą społeczeństwa polskiego komedyopisarza. Nie tak zaś bywało za czasów Moliера. A wreszcie Marivaux i Fredro dają komedye, będące czasem obrazem obyczajowym, czasem nawet satyrą, które są mimo to—rzecz prawie niebywała w zakresie komedyi—utworami poetycznymi.

Obok elementu komicznego drga w nich jeszcze nuta poezyi. I źródło jej jest u obu autorów zdaje się tem samem: pogoda ich myśli i wewnętrzna dobroć, dzięki której mają dla wyśnionego przez siebie świata wyrozumiałość i współczucie.

Uspodobieniem i sposobem myślenia, a nawet rodzajem niektórych swych komedyi, Fredro przypomina może ze wszystkich komedyopisarzy francuskich, pod których wpływem tworzył, najwięcej Marivaux.

Skoro jednak zechciał zrównać się z nim w opracowaniu wspólnego tematu, różnica talentu i rasy tych dwóch autorów uwydatniła się natychmiast. Dowodem tego „La nouvelle colonie“ i „Gwałtu co się dzieje“.

Komedya Marivaux p. t. „La nouvelle colonie“, wystawiona w Paryżu w Théâtre des Italiens w r. 1729, nie uzyskała scenicznego powodzenia. Skrócona z trzech aktów w jeden, ukazała się znów na scenie, tym razem teatryku prywatnego, by zniknąć z niej również szybko i już niepowrotnie. Wówczas Marivaux wydał ją, zachowując kształt jednoaktowej redakcyi, w grudniowym zeszytcie „Mercure de France“, z r. 1750.¹⁾ Do ogólnego zbioru komedyi Marivaux wciągnął ją dopiero E. Fournier w r. 1878. (Les comédies de Marivaux. Paryż, La Place Sanchez, 1878 in 4-o). Fredro znał ją więc z „Mercure de France“.

Nie ulega bowiem wątpliwości, że Fredro, pisząc „Gwałtu co się dzieje“ miał komedye „La nouvelle colonie“ nie tylko w pamięci, lecz nawet przed oczami.

Streszczenie jej może nas już o tem przekonać.

Akcya komedyi Marivaux, fantastyczna w swych ramach scenicznych, a utopijna w obrazie jaki przedstawia, opowiada, że na jednej z wysp nieistniejącego na kuli ziemskiej archipelagu, znalazło się nagle, wyrzucone przez fale, grono rozbitków, wszyst-

¹⁾ Gustaw Larroumet. Marivaux, sa vie et ses oeuvres. Paryż, 1894, str. 513.

kich światów i różnych czasów. W nim znajdują się i dawni patrycyusze Arthénice i Timogène, małżeństwo Sorbin, obywatele Paryża z XVIII w. i cały tłum przedstawicieli całej ludzkości. Wobec konieczności wzajemnego obcowania, wszyscy myślą o stworzeniu odpowiednich ram społecznych i ułożeniu obowiązujących praw. Kobiety postanawiają skorzystać z nadarżającej się sposobności powstawania dopiero norm społecznych i żądają równouprawnienia, równych z mężczyznami ciężarów, ale i równych przywilejów. I słaby tylko opór znajdują u mężczyzn, nieznajdujących dostatecznych powodów do obrony dawnego porządku rzeczy. Zwłaszcza, że kobiety oddają się swej sprawie całą duszą, składając jej w ofierze nawet swe pragnienia miłości, i przysięgając, że żadna nigdy nie ulegnie mężczyźnie. Sprawie swej poświęcają również swą urodę, by miłości nie budzić wbrew woli. Lecz rozkazy te wznecają u niektórych przedstawicieli kobiecego społeczeństwa niezadowolenie i w obozie wszczynają niezgody. Wiele z kobiet oburza przymus oszpecania się, a niektóre z nich, jak córka jednej z przewodniczek ruchu, występuje nawet jawnie z szeregów walczących, skłaniając się raczej ku mężczyznom, gotowa uznać przynajmniej jednego z tych wrogów za swego pana i oddać mu z rozkoszą... wszelkie swe przywileje. Do tej niezgody dołączają się jeszcze niesnaski i zawiści rozbudzone na tle nierówności społecznych. Sojusz kobiet powoli słabnie. Gdy zaś rozchodzi się nagle po wyspie wieść o zbrojnym napadzie „dzikich“, kobiety cofają się przed wspólną walką i składają broń, nawet w podjętej przez nie domowej wojnie. Napad „dzikich“ był tylko podstępem mężczyzn—pozwolił im jednak odnieść zwycięstwo—nad kobietami.

Fredro, obcy zazwyczaj jakiegokolwiek kwestyi społecznej, i zadawałniający się wogóle w całej swej twórczości obrazem stosunków rodzinnych, zajął się nagle w „Gwałtu co się dzieje“ „sprawą kobiet“. Przypuszczać wolno, że uczynił to jedynie pod wpływem Marivaux, zwłaszcza, że współcześnie w Polsce nie miała ta kwestya żadnej wartości aktualnej. Za przykładem autora francuskiego Fredro dojrzał w pragnieniach kobiet, dążących do opanowania władzy, zawiedzionych ambicyach i rozdzwisku ich zamiarów z rzeczywistością, konflikt zajmujący, nadający się do komedyi. Lecz konflikt ten uwydatnić się mógł jedynie na tle stosunków, dozwolających kobietom już na rząd i ster państwem. Stąd konieczność dla tego rodzaju akcyi komedyi środowiska fantazyjnego, któreby uniewinniło nieprawdopodobieństwa

intrygi zbudowanej na fakcie urojonym. W tym celu Marivaux wyobraził sobie jakąś egzotyczną wyspę. Fredro nie poszedł śladem autorów, przenoszących swych bohaterów, Gulliverów, Candidów czy Doświadczyńskich za odległe morza, lecz umieścił swą akcję w epoce o sto lat wcześniejszej od jego współczesnej, w zapadłym kącie kraju, będącym dla ogółu gdzieś również po za żelaznymi wrotami ostatnich granic świata. Miasteczko Osiek Fredry, to fantastyczna wyspa Marivaux.

Dzieją się w nim zresztą rzeczy, z punktu widzenia przeciętnego mężczyzny, niezwykłe i fantastyczne. W mieście tem stanowisko naczelne zdobyły kobiety i rządzą nim bez pomocy mężczyzn, własną wolą i własną głową. Unosi je przytem myśl, że dokonały przewrotu, którego sława rozciągnie się wkrótce i po szerszym świecie, zapoczątkowując nową i szczęśliwą erę. U Fredry, podobnie jak u Marivaux, jest to jednak zamiarem i życiowym celem raczej starszego pokolenia kobiet. Młodsza bowiem, zadawalnia się ujarzmieniem jednego tylko z dawnych władców świata, i to bez chęci odebrania mu złudzeń zwycięstwa... Fredro stara się więc, za przykładem Marivaux, w samej naturze kobiecej, wynaleźć wroga jej zaborczych zapędów. Mężczyznom pozwala mimo to bronić się ogłoszeniem podstępnej wieści o napadzie Tatarów, którzy w Osieku spełniają świetnie rolę „dzikich“ z wyspy Marivaux. Po tej zaś wyprawie tatarskiej, prawdopodobnie już ostatniej z rzędu, miasteczko Osiek powraca do stosunków zwyczajnych i zapada w spokój i żywot cichy, ginąc już dla historii, podobnie jak rozplynęła się w oblewających ją wodach, wyspa Marivaux.

Obok tego zasadniczego i ogólnego podobieństwa komedyi „Gwałtu co się dzieje“ i „Nouvelle colonie“ środki, jakimi posługują się autorowie w przedstawieniu akcji i intrygi, są również podobne.

W intrydze „Gwałtu co się dzieje“ Fredro korzysta wiele ze sposobu prowadzenia akcji komedyi „Nouvelle colonie“ przez Marivaux. W obu komedjach intryga i jej rozwój sceniczny wynika ze starć dwu walczących obozów, męskiego i kobiecego. Wrogie żywioły łączy jednak zawsze i jest między nimi pośrednikiem, wzajemnie kochająca się para, Lina i Persynet u Marivaux, Kasia i Doreba u Fredry.

Obóz męzki ogółem przedstawia się nie tego. Timogène np. przywódca mężczyzn z wyspy Marivaux, na wieść tylko o groźnych zamiarach kobiet, popada w niepokój: „Przyznaję

się, że moja nieudolność każe mi już truchleć“ ¹⁾ (sc. 2). I Sorbin też nie umie bronić swych praw. Mężowie Osieka to również plemię niedołęgów, drżące wobec głosu swych żon, zwłaszcza, gdy jakiegokolwiek ich żądanie poprze ich dłoń, skora do zamachu. Kobiety mają więc pole do czynu otwarte. By łatwiej dopiąć swego i stworzyć „nową kolonię“ łączą się w ligę.

Na zebraniu zwołanem przez Arthénice, ta przodowniczka sprawy kobiecej, wzywa swe towarzyszki w dłuższej przemowie (sc. 9) do wspólnego działania, zdobywa uznanie i zapewnienia wierności, nie osiąga jednak oczekiwanego celu: na zebraniu tem wybucha wśród kobiet niezgoda. Fredro nie powtarza tej sceny kobiecego sejmku, przedstawia natomiast jakby wiec męski (akt II, sc. 8). Przewodniczy mu i przemawia na nim Doręba, jako obrońca zagrożonej płci męskiej, wzywając pobitych mężów do buntu. Scena ta czyni wrażenie pewnego „pendant“ do sceny zboru kobiet u Marivaux, zwłaszcza, że płomienna mowa Doręby również skutku nie odnosi: wyznawcy opuszczają go w potrzebie.

Doręba zdobywa przecież jednego wiernego sprzymierzeńca, który staje dzielnie przy jego boku, w osobie Kasi, siostrzenicy burmistrza, zakochanej w nim oddawna i niezgodnej z nowymi prawami. Kasia cierpi bowiem, że jej niewolno widywać się z miłym jej sercu, czemu: „choć wielce ubolewa, ulegać musi“, jak mówi o niej stary Makary (akt I, sc. 2). Podobny stosunek łączy Linę i Persyneta. Linie wzbroniono spotykać się z Persynetem, jako „znajomością już nieodpowiednią“, wedle zdania jej matki (sc. 4). Lecz Lina nie chce wyzbyć się swej miłości, gdyż „skoro ją się ma—to jak się jej pozbawić“? (sc. 5). Mimo zakazu spotyka go chętnie, bojąc się tylko przemówić doń, choć słowo.

LINA (do siebie): Gdybym mogła choć odezwać się do niego w jego strapieniu...

PERSYNET: Możesz chyba, nie jestem przecie gdzieindziej.

LINA (do siebie): Wzbroniono mi tego! Nie wolno mi nawet nań spojrzeć i pewną jestem że nas teraz śledzą.

prawda tylko, że on do mnie przemawiać może, nie mam bowiem rozkazu mu na to nie pozwolić.

(sc. II).

Lina zwraca też w stronę Persyneta ucho łaskawe, dodając mu otuchy czułym spojrzeniem. Podobne spotkanie ma miejsce

¹⁾ Nie chcąc wciąż przerywać polskiego tekstu francuskimi cytatai, podaję je w polskiem tłumaczeniu, możliwie najwierniejszem.

między Janem i Kasią. Choć trwa zaledwie chwil kilka, wystarcza by uświadomić ich o wzajemnych dla siebie uczuciach (akt I, sc. 4). Lecz dla obu par „amantów“ scena ta kończy się nieszczęśliwie. Jan przyłapany musi ukrywać się z pomocą Kasi, nie chcąc narażać jej spokoju. Persynet również chroni się z końcem rozmowy z Liną, gdzie może, by ująć wyroku groźnej pani Sorbin. Szczęściem dlań, ojciec Liny staje po jego stronie i broni jego miłości: „Niebo na świadectwo wzywam, prawdziwie, czyż jest to sposób postępowania“? Podobnie i Jan znajduje orędownika swej sprawy w Tobiaszu, stryju Kasi, obiecując mu pomoc w doprowadzeniu do końca strasznych stosunków Osieka.

Koleje losu obu tych par zakochanych, a nawet kilka sytuacji ich stosunku mają więc wiele punktów stycznych. Różnią się za to ich charaktery. Towarzysz pancerny i wśród rubasznych wásaczy wychowana jego narzeczona, posiadają więcej temperamentu, odwagi czynu i przedsiębiorczości od Liny, w swym stroju prawdopodobnie „en bergère“ i Persyneta, typowego „petit maitre“ z XVIII w. To też Kasia ma śmiałość swych przekonań i czuje się odpowiedzialną za nie, kobietą wolną i niezależną i niezależność tę stosuje przedewszystkiem do swej opieki domowej: „Nie jest-żem kobietą, abym nie miała własnej woli, dlategoż mnie niebo wyższością płci udarowało“? i t. d... (akt II, sc. 6). W scenie tej Fredro słusznie i trafnie pozwolił Kasi wyciągnąć wnioski z nauk jej opiekunki, zwalniających ją od posłuszeństwa. Doręba bierze znów na siebie przywrócenie w Osieku dawnego porządku rzeczy. Lina i Persynet umieli zaś tylko się skarżyć.

Wskutek tego zmienia się w pewnym momencie rozwój i kierunek akcji: „Gwałtu co się dzieje“ w stosunku do „Nouvelle colonie“. U Marivaux zamiary kobiet nie dochodzą do skutku z powodu przyczyn wewnętrznych, usposobienia i charakteru samych kobiet, spierających się np. bez końca o istotę kokieteryi i jej wpływ na mężczyzn, tak że rozchodzą się wreszcie w niezgodzie i prawie w nienawiści. Wartość tej komedyi polega też na jej tle psychologicznem i wynikającym bezpośrednio z niego konflikcie i rozwiązaniu. U Fredry zaś, wszystko dzieje się wskutek przemyślności Doręby, który popadłszy w ręce władzy kobiecej w Osieku i przez kobiety sądzony, podbija swą młodością nawet najstarsze i jątrzy wzajem na siebie trzy główne przedstawicielki rządu, osłabiając ich siłę.

W ten sposób Fredro połączył miłosną intrygę komedyi z walką kobiet, będącą główną treścią utworu, posługując się

jedną, by rozwiązać drugą: Doręba zakochany w Kasi pracuje nad ośmieszeniem kobiet opornych jego związkowi. Akcja komedyi „Gwałtu co się dzieje“ staje się dzięki temu bardziej organiczną i związaną, lecz traci na tem może złośliwość satyry przeciw kobietom. U Fredry bowiem kobiety przegrywają swą sprawę wskutek zabiegów mężczyzny; u Marivaux same składają broń, poznawszy swą niezdolność do rządów.

By nadać zaś rozwiązaniu komedyi wyraz bardziej dobitny i sceniczny, Marivaux inscenizuje udany napad „dzikich“. Jak wiadomo i Fredro nie pomija tego efektu.

Sytuację rzekomego napadu przygotowuje Hermocrates: „Ponieważ prowadzimy wojnę z „dzikimi“ mieszkańcami tej wyspy, powrócie — radzi on mężczyznom — za chwilę z wieścią, że widać ich tłumy wielkie, jak schodzą z gór, by nas napaść — nic więcej. Możecie przyprowadzić z sobą kilku ludzi, z bronią w ręku, którą można będzie rozdawać jakby przed walką“ (sc. 16).

Podstęp ten wypełnia zaś Timogene, wpadając nagle ze straszną wieścią: „...„spozstrzeżono niezmiernie zastępy dzikich, którzy schodzą w równiny, by nas napaść. My zebraliśmy już mężczyzn, pośpieszcie z waszej strony ze zgromadzeniem kobiet i prowadźcie nas w bój za przewodem pani Sorbin, rozpoczynając w ten sposób waszą służbę wojskową; oto broń, którą wam przynosimy“.

Lecz pani Sorbin przeraża się tymi wypadkami: „Ja? ja mianuję was pułkownikiem w tej rozprawie. Mężczyźni dojdą do rangi kapitanów, nim my nauczymy się wojskowego fachu“. Wówczas pan Sorbin:

„Lecz chodź przynajmniej na wojnę!“

Wezwania te nie pomagają jednak i pani Sorbin kapitułuje na całej linii:

Mężu mój, przebaczam ci. Ty idź się bić — ja idę do gospodarstwa.

(sc. 18).

Fredro kończy swą farsę podobnież.

Gdy rozlega się okrzyk mężczyzn „na koń, kto w Boga wierzy na koń“! — Agata traci głowę odrazu: „Gdzież nasi mężowie — strach mnie bierze“. Na wiadomość zaś przyniesioną przez Bekiesza, przyjaciela Doręby, że: „liczny zagon Tatarów aż pod Jarosław sięga, nasze wojsko przerażone, ogniem i mieczem wszystko niszczy i wkrótce tu będą, jeżeli im prędkiego nie da się odporu“ — kobiety ogarnia popłoch; „Tatary u nas, biadaż nam!“

Cóż my poczniemy, cóż my będziemy robić! biada, biada, ratujcie, ratujcie...

i w prośby: URSZULA: Mężulku mój...

BARBARA: Kasperku...

AGATA: Błażeju, bierz broń!

BŁAŻEJ: Nie—kto przy rządzicie, ten i przy kordzie.

.....

aż wreszcie URSZULA: Zlitujcie się—rządzicie, ale bronicie "

(akt III, sc. 14).

Te dwa zestawione ustępy mają w obu komedjach, których są zakończeniem, jednakową wartość, jako podobne rozwiązania i to na tle podobnych wypadków scenicznych—różnią się jednak wybitnie tonem swym, a nawet sposobem jakim są podane. Końcowe sceny utworu Fredry mają humor, rozmach, przede wszystkim zaś życie, które tętni i drga, nie tylko w tych kilkunastu skupionych wykrzyknikach, lecz i w osobach jakie je wydają. Zakończenie komedji Marivaux jest zaś jakby spokojnem streszczeniem sytuacji rozgrywającej się na scenie. Różnica ta wynika z odmiennego, przez obu autorów, ujęcia „sprawy kobiet,“ będącej treścią obu komedji. Marivaux w swym utworze poddał ją dyskusji i streścił jaknajzwięzlej, zamykając w kilkunastu scenach jednoaktowej komedji, której moment każdy jest jednym argumentem więcej za lub przeciw rodzącym się dopiero w jej biegu, uroszczeniom kobiet—Fredro natomiast „przedstawił“ ją plastycznie i w miejsce dyskusji o prawach i pragnieniach niewieścich dał obraz stosunków i życia pod kobiecymi rządami.

To odmienne ujęcie tego samego tematu jest jedyną zasadniczą różnicą obu komedji.

Fredro bowiem, zamiast pokazania chwili przemiany stosunków, wyobraża sobie, że mężczyźni już zdali się na łaskę i niełaskę kobiet i nowego porządku, sami zgodziwszy się na „babską“ robotę i usiłuje przedstawić, niejako „udramatyzować“, każdą dobrą czy złą stronę tej zmiany. Stąd te liczne sceny u Fredry, „obrazowe“, nieszczęśliwych mężów z pończochą w rękę, wspominających nieudane pranie, które są własnością Fredry, będąc w rzeczywistości jakby scenicznem wyciągnięciem wniosku z przesłanek zawartych w programach i zamiarach kobiet z „Nouvelle colonie“.

Zresztą biedni mężowie chwilami równie zagrożeni na wyspie dalekich mórz, jak w Osieku, zachowują się podobnie, poddając się i tu i tam smętnej rzewności:

HERMOCRATES (do Sorbina): Wydaje mi się, że masz ochotę do płaczu.

SORBIN: Może ci się to nawet nie wydawać, albowiem zadawalniam tę ochotę.

PERSYNET: Jeżeli chcecie widzieć łyzy prawdziwe i ciężkie, spójrzcie na moje.
(sc. 16).

Tobiasz, Błażej i Kasper, dawni władcy Osieka, mają stale usposobienie łzawe od czasu utraty swych godności. Kasper zaś po każdym objawie mniej „grzecznego“ stosunku małżeńskiego, jawnie topi swój żal w łzach rzęsiстых (akt III, sc. 1).

Fredro następnie w wielu scenach bawi się (akt I, sc. 4, 7, 8, akt. II, sc. 1) niezdarnością nieszczęśliwców, pozwalając pastwić się nad nimi Agatom i Urszulom, lecz i w tem spełnia tylko jakby ukryty zamiar francuskiego komedyopisarza, który wyposażył również mężów z „Nouvelle colonie“, jedynie w niedołęstwo i upór. Gdy Arthénice np. w przypływie chęci zgody pyta się mężczyzn: „Do czegoż nas przeznaczyć?“ Hermocrates znajduje jako odpowiedź jedynie: „Do niczego, jak zazwyczaj“ (sc. 13) — i wojna trwa dalej.

W pragnieniu wykazania niezdolności kobiet do rządów, Fredro naśladuje Marivaux, sprowadzając wady i braki kobiece do nieustającej nigdy, nieopanowanej i przesadnej żądzy podobania się. I sądzić wolno, że to na tle traktatu o kokieteryi u Marivaux, czem jest scena kobiecego sejmku (sc. 9), Fredro wpada na pomysł sądu Urszuli, Agaty i Barbary nad Dorębą, podczas którego zdobywcy towarzyszy pancerny, podbija po kolei, pochwałami ich wdzięków, podstarzałe władczyni Osieka.

Lecz Doręba nie tylko podbija każdą z kobiet sprawujących nad nim sądy, on pragnie jeszcze i poróżnić je nawzajem i w ten sposób rozbić ich władzę. Bierze się do tego trafnie, przestrzegając każdą po kolei o rzekomo złośliwych uwagach o jej urodzie innych jej towarzyszek. I znów przypuszczać wolno, że tę metodę zwalczania kobiet Fredro przejął też od Marivaux. W „Nouvelle colonie“, Hermocrates pragnąc rozbudzić niezgodę między przewodniczkami ruchu zmyśla im rzekome o nich orzeczenia mężczyzn, dla jednych nad wyraz pochlebne, dla innych nieprzychylnie. Tylko Hermocrates ma śmiałość jawnego działania, w obecności wszystkich kobiet.

Do Arthénice zwraca się ze słowami:

„...Mówiąc szczerze, charakter pani Sorbin, która ma dzielić z panią władzę prawodawstwa, powstrzymał nas na razie... Niskość pochodzenia nie idzie zazwyczaj bez pewnej rubasznosci...“

PANI SORBIN: Patrzenie co mi za okaz ze swem niskiem pochodzeniem...

HERMOCRATES (wprost do pani Sorbin): Dodam jeszcze, że Arthénice, tak wytworna, musi z przykrością godzić się z Panią.

ARTHÉNICE (na stronie do Hermocratesa): Nie radzę Panu jej gniewać.

(sc. 17).

Można zdaje się zgodzić, że ten zarodek intrygi, jaką wśród kobiet szerzy Hermocrates, pobudził niejako Fredrę do stworzenia całego szeregu scen, doskonale „dramatyzujących” myśl Marivaux.

Zresztą całą komedię „Gwałtu co się dzieje” uważać wolno za przykład metody twórczej, polegającej na rozszerzeniu i „dramatyzowaniu” z obcych utworów przejętych motywów. Konieczną jest do tego twórcza i oryginalna pomysłowość autorska. Fredro tworząc z jednego aktu „Nouvelle colonie” trzy akty „Gwałtu co się dzieje”, pomnożył n. p. osoby biorące udział w akcji swej komedii. Zwiększył więc ilość przedstawicieli obu walczących obozów z czworga osób na sześć i dodał im liczniejsze otoczenie, w osobie Makarego, szeregowca z chorągwi Jana Doręby i Grzegotki, mężczyzny „babskiego” typu, „plotki” wścibskiego i intryganta, jedyne go zadowolonego ze zmiany stosunków. Z Grzegotki skorzystał nawet by zwiększyć intrygę, czyniąc zeń chętnie widzianego przez Urszulę, rywala Doręby. Sama charakterystyka tych figur wymagała całego szeregu scen. Oprócz tego Fredro, w celu wzmożenia jeszcze nastroju farsy, jaką jest w rzeczywistości „Gwałtu co się dzieje”, rozszerzył swój utwór kilkoma sytuacjami wyłącznie komicznymi. Takimi są sceny np. spożycia przez Grzegotkę szynki, na którą gotował się zgłodziąły Makary (akt I, sc. 11), lub scena przesłuchiwania Makarego przez grono kobiet (akt II, sc. 15). Fredrze chodziło bowiem przede wszystkim o wzbudzenie śmiechu, śmiechu głośnego i łatwego, któryby mniej był sądem i wyrokiem dla spraw, z powodu których wybuchał, jak objawem radości i wesela widzów i autora.

W tym samym celu Fredro ustraja plemię męskie w spódnicę i straszy je wciąż groźbą rozkazu golenia wąsów, kobiety przebierając po męsku. Wrażenie zamiany strojów jest doraźnem. Lecz źródłem i tego pomysłu jest jeszcze komedia Marivaux. Kobiety z „Nouvelle colonie” dążą do zmiany swego ubioru, wydając polecenie: „...chcemy, każemy i polecamy, by ubierano się niedbale, czesano nie inaczej jak krzywo, a cerę opalano na słońcu” (sc. 10). Persynet opowiadając mężczyznom o tem postanowieniu dodaje jeszcze: „mają zrzucić pantotelki, suknie zmienić na worki, a czepeczki nosić na ukoś — wszystko by nam się nie

podobać“ (sc. 12). Fredro każe kobietom z Osieka również zmieniać strój, tylko rozmachem swej szlacheckiej fantazyi stroi je w szarawary.

W porównaniu do Marivaux i komedyi „Nouvelle colonie“ Fredro w „Gwałtu co się dzieje“ okazuje wybitnie większy talent „scenizowania“ i nieporównanie większą werwę komiczną. W farsie tej wyzyskuje też obie te wartości do ostatnich granic. Lecz właśnie w tym wypadku popełnia błąd i pod tym względem zawodzi go zmysł dramatyczny. Podkreślając bowiem sytuację kobiecych rządów, Fredro wyśmiewa już ich urzeczywistnienie, urzeczywistnienie sytuacji niewiarygodnej i zwraca uwagę na jej nieprawdopodobieństwo. Uniknął zaś tego Marivaux, nadając sprawie kobiet formę jedynie projektów *in potentia*, bez wiary by kiedykolwiek mogły dojść do stanu *in actu*. I uśmiech jaki budzą hasła kobiet z „Nouvelle colonie“ jest o wiele więcej dla ich sprawy groźniejszym, niż rubaszny śmiech wobec ich rządów w Osieku. Albowiem obraz o treści nieprawdziwej, a do tego przejaszczony w barwie i szczegółach, wywołuje swą karykaturalnością objawy wesołości zaledwie chwilowej i płytkiej. „Gwałtu co się dzieje“ jest też wedle zgodnej i słusznej opinii krytyki, jednym z najsłabszych utworów Fredry, „o sytuacjach niepodobnych do prawdy“ ¹⁾ „zarywającym na karykaturę“ ²⁾ „rozwlękłym i nudnym“ ³⁾.

Powyżej zaznaczone różnice ujęcia tematu i prowadzenia intrygi, nie zacierają faktu istnienia wybitnej ilości punktów stycznych w akcji obu tych komedyi.

Podobnie rzecz się ma z wewnętrzną ich treścią. Jest nią w obu komedjach satyra na kobiety, walczące z dawnym porządkiem rzeczy i rwące się do roli społecznej i praw, należnych mężczyznom.

Kobiety „Nowej Kolonii“ chcą wyrwać się „ze śmiesznego poniżenia, jakie im narzucono od początku świata i wolą raczej umrzeć niż cierpieć podobne obelgi“—jak mówi pani Sorbin, (sc. 1.) i przewidując, że mimo braku ułożonego porządku rzeczy w tem tworzącem się dopiero społeczeństwie na dalekiej wyspie, nie

¹⁾ St. Tarnowski. Komedye Al. hr. Fredry. Warszawa 1876, str. 42.

²⁾ Dr. Henryk Biegeleisen. Przedmowa do *Dzieł Al. hr. Fredry*. Lwów 1897. T. I, str. 31.

³⁾ Piotr Chmielowski. Nasza literatura dramatyczna. Petersburg 1898. T. II, str. 215.

osiągną swych zamiarów bez wysiłku, gotują się nawet na walkę, byle dopiąć swego. Arthénice nie łudzi się też, wzywając: „nie czekajmy by mężczyźni poprawili się sami z siebie“ (sc. 9). I za szczęście poczytać należy, że na tej dalekiej wyspie rozprawę orężną zastępują pokojowe rokowania. W Osieku, o ile można wnosić z groźnej postawy nowych władczyń, jest co tylko po dziejowej chwili przemiany rządów, która nie musiała się obyć bez czynów rycerskich, jeżeli nie krwawych, to przecież barwiących na błękitno wmieszane w nie nosy i policzki. W każdym razie przy podniesieniu kurtyny już panuje względny spokój i „czem byli mężczyźni—tem są białogłowy; kobiety rządzą, wassace słuchają“—objaśnia Makary (akt I, sc. 3).

Ogrom podjętych obowiązków nie przeraża kobiet, tylko chwilami je męczy. „I chwili odpoczynku! w głowie mi szumi, ciężar rządów mnie gniecie“—wrywa się raz Urszul (akt III, sc. 5). Arthénice odczuwa również wagę swego stanowiska: „Otośmy obarczone największymi sprawami, jakie kiedykolwiek były udziałem naszej płci“ (sc. 1). Jedynie duma i przejęcie się ważnością podjętej walki, nie pozwala im upaść na duchu. Ofiarę swą zniosą z godnością:

PANI SORBIN: Ja się poświęcam.

ARTHÉNICE: Ręczę za nieśmiertelność.

PANI SORBIN: Będziemy wypadkiem dnia jeszcze w lat 20.000... (sc. 1).

Tą samą nadzieją żyje i

URSZULA: Wasza czynność przyszłym wiekom wzorem będzie.

BARBARA: Sława Osieka już zagiąć nie może“.

.(akt III, sc. 5)

Zwłaszcza gdy rządzić w nim będą Urszula, Agata i Barbara... Między siebie bowiem rozdzielają urzędy. Agata ma być nauczycielem szkoły i „naczelnikiem oświecenia“. Na Barbarę przypada obowiązek dowództwa nad milicją miejską. Urszula podejmuje się odpowiedzialności burmistrza. I choć chwilami wątpią o swych siłach, to przecież chodzi tylko „by zacząć—potem idzie już wszystko łatwo“ (akt I, sc. 8).

Podobnie kobiety u Marivaux: „Chcemy—głoszą one—należeć do wszystkiego, we wszystkim brać udział, z wami razem sprawować wszelkie urzędy skarbu, sądownictwa i wojskowości. Dajcie nam tylko broń—a staniemy się zawziętymi od was. Ja chcę—mówi pani Sorbin—byśmy za miesiąc tak władaty pistoletem jak wachlarzem. Chcemy podobnie jak wy, zasiadać w try-

bunale, być prezydentami, radcami, zawiadowcami, kapitanami, adwokatami..." (sc. 13).

Kobiety u Marivaux dążą więc do pełnego równouprawnienia. Dla kobiet Osieka ono już nie wystarcza. „W Osieku kobiety górę wzięły. Burmistrz dzieci, a żona urząd piastuje, tak i pisarz, tak i bakałarz, i wszyscy inni. Świat do góry nogami" (akt I, sc. 2). I kobiety Fredry nie chcą pracować wspólnie z mężczyznami, lecz odebrać ich dawne przywileje, wyzuć ich z wszelkich zajmowanych godności i zaprzędz „do czarnej roboty". Same żądania kobiet Osieka są satyrą kobiecych uroszczeń.

Zadaniem przebiegu obu komedyi jest wykazać słuszność tej satyry.

Kobieta jest niezdolną do rządów, twierdzi Marivaux, bo... jest kobietą. Kobieta posiada rozsądek i przebiegłość, większą od mężczyzny zdolność uczucia i może większą również wytrwałość w pracy, obok zaś tylu zalet posiada jeszcze właściwy sobie wdzięk, który jest rozkoszą męskich oczu. I w tem tkwi jej słabość. Gdyż zamiast równać się z mężczyzną na podstawie swych wartości wewnętrznych, stara się zawsze mimowoli podbić go swym zewnętrznym kobiecym urokiem. I nigdy nie zgodzi się wyrzec tego rodzaju wpływu na mężczyznę.

I niech przypadkiem padnie rozkaz oszpecenia się kobiet, zaraz podniosą się głosy oburzenia, skierowane przeciw projektodawczyniom, tłumaczące tego rodzaju postanowienie ich wrodzoną brzydotą:

„Niema w tem nic dziwnego, że wam łatwo przychodzi pozbyć się waszych wdzięków".

Pani Sorbin, o którą chodzi, nie pozostaje dłużną w odpowiedzi:

„Oto dopiero! Tegom się nie spodziewała! powiedzcie-no — wy, sroki, czy wy siebie uważacie za ładne?"

Na to zrywa się burza. Powstrzymać ją pragnie Arthénice:

„Bądźcie posłusznemi! Zamykam posiedzenie".

JEDNA Z KOBIET: Bądźcie posłusznemi!!—cóż to za sposób rozkazywania?

JEDNA Z KOBIET: Tu niedość się skarżyć, trzeba krzyczeć!

WSZYSTKIE: Tak jest. Krzyczymy, krzyczymy, nie dajmy się.

PANI SORBIN: Przyznaję się, że świerzbią mnie pięści.

(sc. 9).

Oprócz tego kobiety—wedle Marivaux—łatwo tracą z oczu cele wyższe dla małych ambicyi i dochodzą wskutek tego do wzajemnej niezgody. Niewzruszona Arthénice jest np. drażliwą

na punkcie swego „urodzenia“. Świadomy tego Hermocrates doprowadza więc panią Sorbin, przedstawicielkę klasy mieszczańskiej, do żądania zrównania warstw, by oburzyć na nią Arthénice: „Urodziłam się z przywilejem, niech mi wolno będzie go zatrzymać—pani majstrowo!...“ (sc. 17). Nadto Marivaux przedstawia w osobie Liny, jako charakterystyczną cechę kobiecą pragnienie miłości i wrodzoną chęć poddania się mężczyźnie.

W ten sposób komedyopisarz francuski stara się wytłómaczyć stanowisko kobiety jej własnem, wewnętrznem usposobieniem.

Fredro ze „sprawą kobiecą“ tyle kłopotu sobie nie zadaje. Rozróżnienia np. stanów i kwestyi z nimi związanych, niema u niego zupełnie: akcja „Gwałtu co się dzieje“ odbywa się w epoce Polski szlacheckiej. Na myśl zaś, żeby kobieta mogła wogóle coś znaczyć poza domem i środowiskiem rodzinnem—pęka tylko ze śmiechu. Przecie kobieta i wziąć się do niczego nie potrafi. By przekonać się, wystarczy posłuchać jak będzie rozdawała przejęte na siebie nowe obowiązki:

URSZULA DO AGATY... Waszeć zostałaś nauczycielem tutejszej szkoły.

GRZEGOTKA: Bardzo sprawiedliwie.

URSZULA: Będąc dozorcą nauk, które mają obejmować w sobie razem sztukę czytania i sztukę pisania, jesteście przez to samo, naczelnikiem... naczelnikiem...

GRZEGOTKA: Oświecenia.

AGATA: Jakto? Światła?

GRZEGOTKA: Światła rozumu.

URSZULA: Oświecenia, światła rozumu.

AGATA: Rozumiem. Do mnie więc będzie należeć mieć oko na pojętniejsze głowy i jeżeli która się wyszczególnia, przedstawić, zalecić...

URSZULA: Nic, nic z tego. Żadnego protegowania rozumu, żadnej pomocy rozwijającemu się talentowi—to nie wasz urząd, to do was nie należy. Niech czytają, piszą—i dosyć. A oświecenie zgromadzaj waszeć u siebie.

GRZEGOTKA. Tak. O sobie pamiętać — to jest oświeceniem i tem można się najlepiej oświecić, można się jasnie oświecić.

URSZULA: A później, mając tylu żaków pod ręką, będziesz waszeć mogła wydawać jakieś pisenko.

GRZEGOTKA: Gdzieby były nowinki.

URSZULA: Wybornie.

GRZEGOTKA: Uwagi.

BARBARA: Nad czem?

GRZEGOTKA: Nad tem, czego nie rozumiemy: krytyki i t. d.

(akt I, sc. 8).

Przytem, kobiety Fredry, prawdopodobnie pod wpływem Marivaux, również nie umieją wyzbyć się wrażliwości na ocenę ich urody. Makary, sądzony za oporność władzy niewieściej, ściąga na siebie natychmiastowe potępienie jedną uwagą o ich wyglądzie:

URSZULA: Wyznaj co myślisz.

MAKARY: Myślę, żeście do kądzieli nie do pióra stworzone.

URSZULA: Litujemy się nad tobą, twojej obelgi nie zapisujemy i przebaczymy.

MAKARY: Że gdzie wy rządzą, tam gorzej niż w piekle.

URSZULA: Przebaczymy.

MAKARY: Że to zgorzenie długo trwać nie będzie.

URSZULA: Przebaczymy.

MAKARY: Żeście szalone.

URSZULA: Przebaczymy.

MAKARY: Żeście trzy stare, brzydkie baby.

(Zrywają się wszystkie).

URSZULA: Karać go natychmiast.

BARBARA, AGATA: Karać, karać...

(akt II, sc. 15).

Lecz i tę zgodność rozbija Doręba, pochwałą ich powabów i zapewnieniami uczucia. Sceny, w których Doręba unajduje, to czułem spojrzeniem, to znów zakłębieniem miłości, każdą po kolei z wielkich kobiet Osieka, są—jak wspomniano powyżej—uscenizowaniem pomysłu, zaznaczonego u Marivaux. Sceniczność utworu zyskuje dzięki im niezaprzeczenie, lecz „sprawa kobiet“, sprowadzona do sytuacji umizgów młodego chłopca do tych przekwitających już niewiast, raczej traci, stając się już tylko śmiechu warta, podczas gdy utwór jej poświęcony nabiera charakteru dość naiwnej farsy.

Lecz o to właśnie chodziło Fredrze. Pod tym względem zmienił on ton komedyi „La Nouvelle colonie“, stosownie do odmiennego swego zamiaru.

Francuski satyryk pisał swą „Nouvelle colonie“ w celu wydrwienia kobiet zbyt pochopnych do rządów i władzy. Lecz widział lepiej od Fredry ich położenie i głębiej umiał się wczuć w ich potrzeby duchowe. W jego satyrze znaleźć też można parę uwag, które wypowiedziane z pewnym złośliwym uśmiechem, krytykują trafnie i surowo stosunki będące dziełem wyłącznie męskiego panowania. A tego rodzaju sąd, każe przypuszczać u Marivaux wiarę w wartość współpracy kobiet nad społeczeństwem i ufność w ich pierwiastki twórcze, jako jedynie zdolne do odrodzenia już starej i zamierającej ludzkości.

... „Niema narodu—mówi Arthénice—któryby się nie skarżył na braki swego rządu... a co jest tych braków przyczyną? Brak naszego sposobu myślenia w ustanowionych prawach i uwzględnienia drugiej połowy umysłowości, jaką my przedstawiamy“.

A nieco dalej:

... „Małżeństwa będące dotąd dziełem zamiarów męskich, powinny być wyrazem i naszej woli—albowiem takim było życzenie bogów, wciąż jeszcze niespełnione. W tem również tkwi źródło niedoskonałości praw, których ofiarą pada cały świat. I my służymy światu, opierając się wam“... (sc. 13).

Uwagę zwraca również porównanie pani Sorbin: „Świat cały jest jakby jednym gospodarstwem. Bogowie, tam w górze, są jego właścicielami, a wy, mężczyźni, odkąd tylko trwa życie, wzięliście wyłącznie na siebie gospodarstwo. W tem niema sprawiedliwości: oddajcie nam naszą część gospodarstwa. Rządźcie—lecz rządźmy i my; słuchajcie nas jako i my was słuchać będziemy: razem dzielimy zysk i robotę. Bądźmy wspólnie podwładnymi i gospodarzami.“ (sc. 18).

Marivaux był bowiem członkiem społeczeństwa francuskiego z XVIII w. W tym tyglu europejskiej myśli warzyła się wówczas, jak w każdej epoce większej kultury umysłowej, „sprawa kobiet“, wzniecona wówczas, dobrze znanem w kołach intelektualnego Paryża, dziełem pani de Lambert p. t. „Refléxions sur les femmes“ (1732). Ono zaś było wyrazem pewnego stanu współczesnej umysłowości i nastroju ówczesnych salonów, tejże pani de Lambert, pani de Déffant, pani de Geoffrin... i t. d., których Marivaux był stałym gościem. A w tych środowiskach spotykał się, jeżeli nie z jawnymi żądaniami większych praw dla kobiet, to z ich wykształconymi przedstawicielkami, które minowolnie, samą swą kulturą wewnętrzną, broniły świetnie zdolności kobiecego umysłu. Wytworny „causeur“ przekomarzał się prawdopodobnie z nimi i przeczył słuszności ich zapędów, lecz chyba raczej z galanteryi i dla podtrzymania dyskusyi, w duchu zgadzając się może na zwalczane przez siebie argumenty.

Lecz chyba Marivaux nie przypuszczał, że w lat kilkadziesiąt historia przyzna słuszność jego przeciwnikom. Inaczej „sprawa kobiet“ nie byłaby dlań przedmiotem tak wesołej zabawy. I zastygłby mu może na ustach jego sceptyczny uśmiech na myśl, że szeregi kobiet wywiodą na ulicę żądania i prawa, będące dlań sposobnością błyskotliwego dyalogu, i to razem z pozogą i mordem, jako jedno z hasel rewolucyi. A zbudziwszy się dzisiaj, spoczywający w pokoju Marivaux, zdumiałby się prawdzi-

wie i może przeraził na wieść, że jego jednoaktowa komedia „La nouvelle colonie“ nie przebrzmiała jeszcze, lecz że jej treść stała się jednym z momentów obecnej walki społecznej. Do swych uwag moralisty czy filozofa zyskałby przyczynek—że zabawna komedia zamienia się niekiedy w poważną rzeczywistość.

Raczej Fredro patrzyłby spokojnie na panujące dziś stosunki: nie miałby sobie wobec nich nic do wyrzucenia. Bo swego czasu rozprawił się gruntownie z urojeniami kobiet. Wydrwił ich mrzonki jak mógł tylko, wykpił ich zarozumiałość i uśmieł się z nich aż zahuczało.

„Sroka bije na jastrzębia i skrzekocze,
Przecież jastrząb jastrzębiem, a sroka sroką“,

napisał był jego przodek, Andrzej Maksymilian Fredro. Nic więcej nie chciał powiedzieć swą komedią, o dwa wieki później żyjący wnuk. W tej myśli wziął on nawet ten dwuwiersz za *motło* swego utworu, przekonany, że w różnicy fizyologicznej, jaka istnieje między kobietą i mężczyzną, tkwi niezmienna i wieczyscie trwała, konieczna różnica ich funkcji społecznych.

*

*

*

Komedia „Gwałtu co się dzieje“, zależąc pod względem tematu i sposobu prowadzenia intrygi od komedyi „La nouvelle colonie“ Marivaux, tendencją swej treści zbliża się raczej do komedyi Moliera p. t. „Les femmes savantes“, w której komedyopisarz XVII w. fanatycznie wielbiący „naturę“ i jej prawem tylko przejęty, zabrania kobiecie nawet dążyć do wyższego wykształcenia, jako niezgodnego z jej rolą społeczną, wyznaczoną jej z góry przez samą naturę.

II.

Komedia Fredry p. t. „Przyjaciele“ uchodzi za utwór, do którego jego autor „był bardzo przywiązany, uważając go za jed-

no ze swoich dzieł najlepszych.¹⁾ Tę rozkosz zadowolonej ze siebie twórczości Fredro zawdzięczał—Goldoniemu.

Rzecz dziwna, że autorzy obdarzają często największem uczuciem najmniej godne ich twory, mierząc wartość swych dzieł wysiłkiem włożonym w ich stworzenie — może jak matki miłujące czasem najczulej to dziecko, które im dało najwięcej cierpienia. „Przyjaciele są bowiem jedną z najslabszych komedyi Fredry.“²⁾

W niej spotykają się i łamią nieszczęśliwie elementy komedyi charakterowej i komedyi intrygowej. Intryga, będąca osnową tej komedyi, jest zbyt błahą i niewiarygodną, by mogła wpłatać w swe sieci charaktery głębsze i poważniejsze, za jakie Fredro podaje główne osoby swego utworu. Wśród charakterów zaś panuje również pewna niejednorodność. Obok nierównomiernego przedstawienia i nierównej wartości artystycznej wprowadzonych figur, istnieje między nimi jeszcze pewna nierówność towarzyska czy kulturalna, nie uwzględniona w konfliktach, jakie wśród nich zachodzą. I w dodatku całości brakuje odpowiedniego wypowiedzenia i dostatecznie przejmującego wyrazu. Gdzie nie tknąć, natrafia się na wady tej komedyi.

Samo jej streszczenie je uwydatnia.

Fredro przedstawia w niej młodą wdowę Zofię, która spłaciwszy dług należny wspomnieniom pochowanego małżonka pragnie zastąpić je nową, podobną do nich rzeczywistością, zdaje się wierząc, że powtórne wyjście za mąż wdowy, jest najlepszym uznaniem zmarłego męża. Dwór Zofii pod Warszawą roi się też od starających, zwłaszcza, że do jej osobistych wdzięków, przyłącza się ponęta dobrze utrzymanych włości. Konkurenci ubiegają się na wypródki, składając jej dowody uczucia, czasem nawet podarunki wysokiej ceny i dziwiąc się obojętności Zofii wobec ich nadszkalowania. Dla ogółu jednak dziwniejszem jest, że Zofia dopuszcza do siebie tego rodzaju starających się jak Wtorkiewicz i Antenacki, że Zofia—o ile wierzyć Fredrze na słowo—osoba wyrobiona, rozumna i najlepszego towarzystwa, zgadza się wo-

¹⁾ St. Tarnowski. Komedye Al. Fredry, str. 46.

²⁾ Jest to zdanie ogółu krytyków, którzy zajęli się komedją „Przyjaciele“. Por. Tarnowski. Komedye Al. Fredry, str. 46. Chmielowski. Nasza literatura dramatyczna, t. II. str. 129. Kielski. Wpływ Moliera na rozwój komedyi polskiej, str. 169.

góle na trywialny i z jej usposobieniem chyba niezgodny sposób zabiegów o jej osobę i rękę. Dziwniejszem jest jeszcze, że Zofia bawi się nawet ich wzajemną, z jej powodu, zazdrością i śmiesznymi w ich ustach zapewnieniami miłości. Nie na miejscu jest również przyjaźń Zofii dla głupiej i pretensjonalnej francuski, panny Bobiné, niezdolnej nawet ocenić ile ona, niedawno jeszcze guwernantka, otrzymała w tej Polsce, w której, wedle niej, „jak o konia dbają o człowieka“. Zofia nie powinna zwłaszcza poddawać się jej wpływowi i wogóle traktować ją poważnie lub dzielić jej złudzenia. Panna Bobiné bowiem, zakochawszy się, mimo już swych dość licznych wiosen, w młodym Zdzisławie, wierzy, iż on równą miłością jej odpłaca: ujrzała go raz, gdy całował medalion z jej własnym portretem. Przejęta tym widokiem panna Bobiné o jednym tylko wówczas zapomniała, że w tym samym medalionie jest i portret Zofii... Zofia podziela zaś śmieszne przypuszczenia podstarzałej francuski i cierpi nad nimi boleśnie, sama kochając się skrycie w Zdzisławie, nieświadoma, że i on kocha się w niej również. A Zdzisław nie śmie wyjawić swej miłości, gdyż, ubogi żołnierz, boi się przeszkodzić Zofii w świetniejszej partyi, którą widzi w jej małżeństwie, z wspólnym ich przyjacielem, Czesławem, starającym się również o jej rękę. Pojedynyk szlachetnych, Zdzisława i Czesława i zaślepienie Zofii prowadzą wspólnie akcyę do jej szczytowego momentu: Zofia oddaje swą rękę Czesławowi. Wówczas, jakby pod wpływem radości, Czesław trzeźwieje nagle i oceniając sytuację otwiera oczy na nią i Zofii, a sam wycofuje się, choć z żalem, z pomiędzy dwojga zakochanych, by nie zabić ich szczęścia.

Qui pro quo panny Bobiné na tle medalionu i zazdrość Zofii o podstarzałą francuską, psują czystość linii konfliktu przyjaźni z miłością, który jest zasadniczym motywem komedyi: „Przyjaciele“. Niedomyślność Zofii w stosunku do Zdzisława obniża zaś wartość jej sylwety wewnętrznej. I w ogóle, w komedyi tej szkodzą sobie nawzajem różnego rodzaju środki i motywy sceniczne, niesharmonizowane odpowiednio i nie związane należycie w jedną i skończoną w sobie całość.

Wady i braki „Przyjaciół“ wyjaśniają się jednak w chwili uświadomienia sobie, że utwór ten jest zbudowanym na tle trzech komedyi Goldoniego, a mianowicie: „La locandiera“, „La villeggiatura“ i „Il vero Amico“, które Fredro dość umiejętnie połączył razem, lecz których stopić w całość artystyczną, nie zdołał.

Na podstawie porównania „Przyjaciół“ z komedjami Goldoniego, wady komedyi Fredry jeszcze dobitniej występują na

jaw—jest się jednak w obec nich pobłażliwszym, znając ich powód i źródło.

By mówić o komedjach Goldoniego, należy przedewszystkiem zdać sobie sprawę z życia jego samego i z jego twórczości.

Szczęściem, Goldoni sam, przychylny wszystkim pragnącym go poznać, ułatwił ten trud: napisał swoje pamiętniki. Są to wydane w Paryżu i po francusku: „*Mémoires de mr. Goldoni pour servir à l'histoire de sa vie et de son théâtre*“ (1787). Jeżeli nie poznaje się w nich Goldoniego, jakim był w rzeczywistości, to przynajmniej wie się jakim sam sobie ten wesoły komedyopisarz, opowiadający swe życie z wielkiem upodobaniem, wydawał i za jakiego pragnął uchodzić u potomnych.

Karol Goldoni urodził się w r. 1707, w Wenecyi. W dzieciństwie działała więc nań wesołość tego wiecznie rozkarnawanego miasta. Rozkochał się też w niem i w jego życiu bujnym i radosnym, upojnym i wskutek piękności otoczenia, ozłoconego przy zachodzie promieniami słońca, które swój blask topiło nagle w ciemnych lagunach. Wenecya stała się też dla Goldoniego duchową ojczyzną, mimo że nie wiele w niej przebywał. Śmierć młodego dziadka rozprószyła bowiem szczęśliwą rodzinę. Ojciec lekarz udał się w poszukiwaniu pracy do Perugii i wziął ze sobą najstarszego syna, Karola, by oddać go wkrótce do Rimini, pod kierunek znajomego pedagoga. Młody chłopak uciekł jednak prędko od filozofii do teatru i z trupą aktorów udał się do Chioggi, by powrócić do matki, tam przebywającej. Sama ucieczka była rozkoszą. Przeprawa z Rimini do Chioggi odbywała się wodą, na wygodnej, wolno z wiatrem płynącej łodzi, w towarzystwie kilkunastu osób, aktorów i aktorek trupy, a obok tego suflera, maszynisty, stróża magazynu, ośmiu służących, czterech panien służących, dwóch mamek, dzieci różnego wieku, psa, kota, małpy, papugi, gołębi, baranka. Łódź ta była zupełną arką Noego. Lecz życie na niej płynęło bez troski, „grano na rozmaitych instrumentach, śpiewano wiele, subretka budziła zachwyty“. Ucieczka ta Goldoniego jest jakby symbolem jego życia. Gdziekolwiekby nie był i czegokolwiekby nie rozpoczął, zawsze znalazł się wkrótce w jakiejś trupie teatralnej, jako jej komedyopisarz. Przytem zdobył swobodę i wesoły uśmiech dla życia, właściwy temu społeczeństwu, mimo że życie często nie chce mu się uśmiechem odwdzińczyć. Wśród tego w młodości uczył się, z rozkazu ojca, najprzód filozofii, potem medycyny, z łaski bogatych krewnych kształcił się na prawnika i jako uczeń klerykalnej akademii prawniczej w Pavii nosił przez lat parę tonsurę, przez czas pewien

pragnął wstąpić do zakonu Kapucynów, wreszcie zdawał doktorat prawniczy, po całej nocy spędzonej na kartach. Zostawszy adwokatem urzędował w Wenecyi i Pizie, był czas jakiś konsulem genueńskim w Wenecyi, potem w Medyolanie, zmieniał miejsca pobytu mieszkając kolejno w Parmie, Veronie, Genui, Florencyi, w każdym zdaje się mieście północnych Włoch, powracając najchętniej jednak do Wenecyi. Na starość, w r. 1761 przeniósł się do Paryża w charakterze aktora włoskiej trupy teatralnej. Lecz wkrótce otrzymał stanowisko nauczyciela włoskiego języka królewskich dzieci i odpowiednią do tej godności pensyę. To krótka chwila spokoju i zapewnionego bytu. Lecz nadchodzi właśnie moment, w którym dwór francuski jest najmniej pewną przystanią i znów bieda poczyna mu dolegać. Rewolucya przywraca jednak Goldoniemu pensyę—w wilię jego śmierci, dn. 7 stycznia 1793 r.

Goldoni był urodzonym autorem dramatycznym. Oprócz zamiłowania do teatru, miał i łatwość tworzenia. Sam przyznaje się do 150-ciu sztuk teatralnych, w ich liczbie do dwóch po francusku. Wartość ich jest wysoce nierówną, całość dzieła Goldoniego przedstawia jednak dla Włoch wyjątkową doniosłość: jest podstawą włoskiej narodowej komedyi literackiej.

Przed Goldonim grywano na scenach komicznych we Włoszech, aż do XVIII w., utwory jedynie w rodzaju t. zw. „*commedia dell'arte*“. Zadanie autora polegało wówczas na stworzeniu jedynie schematu intrygi, albowiem dyalog i przebieg, nawet poszczególnych scen, dotwarzał już w ciągu samego przedstawienia, aktor. Cała twórczość komedyczna zdana więc była w ten sposób na łaskę marnych czasem wykonawców, powtarzających z pamięci utarte i płaskie dowcipy Pantalona, Arlekina, Doktora Pierrota, Izabelli i Kolombiny... Prawda, że ten mały światek streszczał w sobie chwilami, jakby w zmniejszonym odbiciu, całą ludzkość i wszelkie jej sprawy, lecz niestety zadawał się często zbyt trywialnym jej wyrazem. Sąd i krytykę sprawował bowiem nad nim pospolity tłum, którego każdy wybuch śmiechu był dowodem uznania i zapowiedzią sowitszej zapłaty z końcem przedstawienia.

Z początkiem swej twórczości, Goldoni, obok oper t. zw. *pastorales* opracowywał, jak wszyscy współcześni mu autorowie komiczni, jedynie schematy komedyczne. Znajomość jednak literatury starożytnej, Terencyusza i Plauta, a zwłaszcza komedyi francuskiej i Moliera, naprowadziła go na myśl stworzenia we Włoszech komedyi literackiej. Nie obeszło się to bez trudności.

Przeciw sobie miał lud broniący swych dawnych przyzwyczajęń, miał nawet niektórych autorów dramatycznych, walczących z dobrą wiarą w imię narodowych tradycji. Najostrzej występowali przeciw Goldoniemu, Gozzi i Chiari. Goldoni wpadł jednak na pomysł szczęśliwy zdobywania dla swej sprawy uznania powoli i stopniowo, przekonując ogół o wartości swej reformy. Na razie w komediach swych zadawał sobie się szkicowaniem całości, wedle zwyczaju włoskiego, opracowywał jednak dokładnie rolę głównej jej postaci. Przykładem typowym tego rodzaju twórczości Goldoniego jest „*Momolo il cortesan*“ z 1740 r. Różnica wrażenia jakie czyniła na scenie postać działająca i mówiąca wedle roli napisanej przez wykształconego i świadomego swej sztuki autora, w porównaniu z wartością sceniczną innych figur, zdanych na dowcip i pomysłowość jedynie aktorów—działała na opinię Włoch i Goldoni powoli wygrywał sprawę. Wszystkie jego komedye z późniejszego okresu, są już dziełem literackim i zajmują w ogólnym komediowym dorobku świata, jedno z miejsc pocześniejszych.

Charakterystyczną ich cechą jest wybitna sceniczność. Dzięki niej, wszystkie typy i postacie, które zaludniają świat teatru Goldoniego żyją tem życiem scenicznem, które na godzin kilka budzi wiarę w rzeczywistość uczuć i spraw, jakimi one się przejmują. Komedye Goldoniego rozciekawiają, dając złudzenie życia i tem samem utrzymują swoją własną żywotność na scenie. Następnie są obrazem Włoch. Oddają obyczaje włoskiego społeczeństwa z XVIII w., a przede wszystkim włoskiego ludu i Wenecyi. Niektóre są nawet jej kroniką, opowiadając jak weneckie pospólstwo pędzi swój dzień roboczy, u wejścia do kawiarni, w małych *canaletto*, na stopniach bazyliki św. Marka, równie jak ona barwne i pstrokate, jak wogóle bawi się i smuci Wenecyanin, a przede wszystkim jak swą Wenecyę miłuje...

Fredro musiał lubić komedye Goldoniego. Ujmowały go prawdopodobnie swą pogodą i pobłażliwością wobec ludzi, wogóle przedstawieniem życia raczej z jego lepszej strony, którą i on żywo odczuwał. Podobali mu się pewnie ludzie z komedyi Goldoniego, nieco lepsi od rzeczywistych, bo ku takim i on chętnie się skłaniał, szukając ich dookoła siebie. Następnie, jako znawca, cenił prawdopodobnie zdolność Goldoniego do budowania intryg z najróżnorodniejszych materyałów, które zawsze były trafnie działającymi sprężynami w dobrze obmyślanej akcji.

I Fredro uznał Goldoniego za wzór godny do naśladowania, przejmując czasem świadomie niektóre z jego wartości

komedyowych. Lecz przechodząc przez pióro Fredry, nabierały one, czy były to pewne rysy ludzkiego usposobienia, czy sytuacje sceniczne, tak rdzennie swoistego i polskiego charakteru, jakby ich źródłem i ojczyzną była wyłącznie i jedynie dawna Rzeczpospolita.

Komedyą „Przyjaciele“ może być tego dowodem.

Pobudką do napisania „Przyjaciół“ jak i źródłem ich zasadniczej sytuacji, jest niezaprzeczenie komedy Goldoniego p. t. „La locandiera“.

„La locandiera“ (dosłownie właścicielka gospody) jest tytułem jednej z lepszych komedy Goldoniego, mimo, że powstała w pośpiechu i naprędce. Będąc współcześnie komedyopisarzem trupy Medebac, której dyrektorowa i zarazem główna aktorka nagle zachorowała, Goldoni został zmuszonym do stworzenia naprędce utworu z główną rolą kobiecą, o *emploi* subretki. Tak urodziła się Mirandolina, jedna z wdzięczniejszych postaci teatru Goldoniego.

Mirandolina utrzymuje gospodę, jedną z najbardziej znanych w mieście. Zawsze u niej pełno. Gdyż gospoda jest wesołą i dobrą, a sama gospodyni ujmującą i miłą. Mirandolina umie zarządzać swą gospodą, uśmiechem zaś przywabić i zatrzymać gościa dłużej niż się spodziewał. I wszystko to nie przychodzi z trudem młodej gospodyni, ona lubi bowiem być otoczoną i wielbioną, a nawet — przyznaje się do tego szczerze — i obdarowywaną. Dlatego też, choć konkurentów ma ilu zechce, nie śpieszy się za męża, gdyż koniec wówczas byłby zabawie zalotnych spojrzeń. Lecz odpychać wielbicieli jest rzeczą również niewłaściwą. Dlatego Mirandolina wszystkich trzyma w odwodzie. Między nimi jest młody chłopak, Fabrizio, służący w jej gospodzie, conte d'Albafiorita, niepewnego tytułu i pochodzenia, lecz dobrze dźwięczących dukatów i markiz Forlipopoli, o nazwisku podobno jednym z dawniejszych we Włoszech, a za to zupełnie wyczerpanej kieszeni. Oni wszyscy przedstawiają dla Mirandoliny zdobycz łatwą i nieponętną. Najwięcej zajmuje ją może Caveliere Ripafratta, oporny jej urokowi i wogóle zawzięty nieprzyjaciel kobiet. Z nim przynajmniej może być gra... Mirandolina oddaje się też jej z zapałem i — zwycięsko, choć o mało co że nie przegrywa, gdyż cavaliere rozgorzawszy miłością, a spotykając jej opór, gotów przemocą wziąć ją za żonę. Wówczas Mirandolina broni się i zaślania Fabriziem, oceniła bowiem, że on będzie ze wszystkich mężem najdogodniejszym.

Fredro przejął z „Locandieri” świadomie może tylko typy nieszczęśliwie starających się *Conte d'Albafiorita* i *Marchese di Forlipopoli*, przezywając ich w „Przyjaciółach” Wtorkiewiczem i Antenackim, lecz razem z nimi przedostał się jeszcze z włoskiego utworu, ogólny nastrój jego środowiska, niezgodny z obyczajami polskiego dworu. Wreszcie pewne cechy charakteru Mirandoliny wpłynęły na usposobienie Zofii.

Gościnny dom Zofii, stojący dla każdego otworem, niema prawie własnego trybu życia, lecz poddaje się w swem wiecznym zamieszaniu zachciankom zabawy przyjezdnych. W tem oddala się—jak świadczy wierny jego sługa Krupkowski, z dniem każdym prawie, od dawnego sposobu przyjmowania i dawnych w Polsce obyczajów:

...tu wciąż jak na targu. aż się w mózgu kręci,

 ... na wsi, niedaleko stołecznego miasta,
 Gość każdego momentu jak z ziemi wyrasta.
 I jakim przepowiedział, tak się też i dzieje:
 Czy pogoda piękąca, czy jak z cebra leje,
 Ledwieś pomyślał, ledwieś bąknął o obiedzie,
 Ledwie komin zadymił—trzask z bicza, już jedzie.
 I cóż z nim zrobić? Proszę? i któż z nim poradzi?
 Zamkniesz, zabijesz wrota, on przez płot przesadzi,
 A jak się wkręci, bądź zdrów, skrzyp nie skrzyp wrotami,
 On jakby nie do niego—już zamieszkał z nami.
 Wprawdzie i nic dziwnego, czemu mieszkać nie ma,
 Kiedy Pani każdego zaprosi, przytrzyma,
 Byle tylko zgiełk, hałas. .

(I, 4).

A sposób bycia tych gości, i to przeważnie mężczyzn, jest dziwnie swobodnym, prawie nadużywającym gościnności dworu polskiego. Każdy z nich czuje się jakby w zajeździe. Do domu Zofii Fredro przeniósł bowiem niechęący stosunki włoskiej oberży.

Dawny marszałek gdera też na młodą gospodynię:

„Już co prawda, to nie grzech: dobra nasza pani,
 Nikt pewnie, sto mil w koło, nic w niej nie przygani.
 Imię, godność, łaskawość, majątek, uroda.
 Ale jakim Krupkowski—jeszcze trochę młoda”.

(I. 4).

Gniewa go zwłaszcza nadszkakiwanie jej głupców i ciągła jej ochota do ich towarzystwa. Aż Zdzisław uniewinnia ją wobec starego sługi:

... Kiedy ją to bawi!

KRUPKOWSKI: A bawić nie powinno; czemu nie odprawi
Tej zgrai zalotników, co jak rój osiada?
Wybrać jednego i dość.

(I. 4).

Lecz Zdzisław broni Zofii tylko wobec Krupkowskiego, wezwany zaś przez nią do szczerości, wypowiada uwagi starego zrządy, jako swój sąd własny, ubierając je w formę ogólnej opinii, której zdaniem:

Dziwnie widzieć tę przy niej zalotników zgraję,
Bo jeśli nie odprawia, nadzieję im daje;
Wybiera, ale komuż wiadomem nie będzie,
Że Wtorkiewicz i Baron, także stoją w rzędzie?
Astolf, Edmund, Radosław, z nią jechać nie śmieli,
Lecz ona bale daje na wsi co niedzieli.
Tam więc pole otwarte, każdy jej cześć składa,
Ona zaś nie osobom, ale cześci rada...

(II. 10).

Zofia jest więc młodą wdową, która pragnie czas swego wdowieństwa wyzyskać wesoło, a potem sprzedać je jaknajlepiej. Niestusznie jednak Krupkowski, Zdzisław i opinia ogólna, mają to jej za złe. Winę postępowania Zofii ponosi bowiem Mirandolina.

Wesoła i praktyczna gospoia przyznaje się jawnie, że stara się przedewszystkiem, by pokoje jej oberży nie stały pustką (I. 6), a również, że bawi ją i cieszy, gdy „ilu tylko przejezdnych zatrzyma się w jej gospodzie, wszyscy rozkochowują się w niej zawzięcie... Tylu już chciało się z nią żenić, jeden po drugim...” (I. 9). Mirandolina nie kryje się również jak wielką sprawia jej „rozkosz, gdy jest obsługiwana i uwielbiana. To jej słabostka”. (I. 9). Albowiem wydaje się jej „zabawnem z mężczyznami tak postępować, by oni szli za jej wolą” (III. 2). A ponieważ zabawa ta Mirandolinie zwykle się udaje, więc pędzi dni swoje wesoło, z jedyną troską, by serca swego nie zgubić i głowy nie stracić. Lecz Mirandolina czuwa nad sobą i skoro tylko „swą reputację widzi w niebezpieczeństwie” (III. 13) oddaje się na-

tychmiast w opiekę... mężowi. I nawet umie wybrać tego obrońcę—jest to Fabrizio, z którym swoją oberżę jeszcze lepiej utrzymać potrafi. Bo w rzeczywistości o to chodzi jej najwięcej. I Mirandolina, ogólnie wielbiona, zdobywa ogólne uznanie. Zofię zaś każdy potępia.

Nie wpływa na to ich odmienna sfera towarzyska i surowsze wymagania od postępowania w salonie niż w oberży, gdyż każda z nich w komedyi jest tylko „kobietą“, przedstawioną jedynie w stosunku do mężczyzny. Różnica sądu wobec nich wypływa raczej z tego, że Mirandolina grą swoją rzeczywiście się bawi ze sprytem, korzyścią i wdziękiem, stawiając ją sobie za swój cel, w przekonaniu, iż jedynie tego rodzaju zabawa nadaje wartość życiu; rozbraja więc i podbija zdolnością wprowadzenia w czyn swych przekonań i pojęć. Zofia zaś o wyższych pragnieniach, żyjąca marzeniami, postępowaniem swem stwarza dokoła siebie rzeczywistość więcej niż przeciętną, którą się nie zadowala. Zofia jest w niezgodzie sama z sobą i to w niezgodzie, której przy odmiennym trybie życia mogłaby może uniknąć. Wypowiadając myśl swego otoczenia charakteryzuje siebie trafnie:

...Zofia, jest dobra, przyjemna osoba;
Dość ładna, (dość, wszakże myśl nie przesadza wcale),
Ale... ale (dla Boga! teraz długie Ale)
Ale zbytnia wesołość płochości dotyka,
Pierwsza mija rozsądek, druga go unika;
Zbytnia chciwość okłasków nie czyni wyboru,
Nie zgłębia ich wartości, chwytą się pozoru,
I dusza, której odmęt potrzebnym się staje,
Nadal prawego szczęścia pewności nie daje.

Przytem Zofia głęb duszy ma smutny. Jest ze swej epoki i w wyobraźni przygląda się sobie może jako „heroinie roman-su“. Czasami miewa nawet smutne zadumy:

Kto wie, co go nadal czeka?
Jedno czucie czas skraca, drugie go przewleka.
Długo, niedługo — cóż jest? to rozmiar przyszłości.
Przeszłość im i dwóch punktów osobnych zazdrości.
Krótka radość, żal długi—wszystko w jedno spływa,
Zrazu słońce, wnet gwiazda, potem w punkt ubywa,
Potem w nie, nie wcale—nic...

(III. 1).

Zofia ma nawet miłość tajemną w sercu, kocha się w Zdzisławie. I skoro on

„... mógł mnie zrozumieć, nie chciał—ja chciałam się zmienić,
Nie mogłam. Wtedy, aby żal duszy zaciemnić
W świecie, balach, rozrywkach, pomocy szukałam,
Śmiałam się by nie płakać, by nie czuć szalałam“.

(IV. 9).

Zofia jest romantyczną... A Fredro ujmuje jej pewnego rodzaju „byronizm“ w formy życia Mirandoliny! W tem jest pewien rozdźwięk. Zewnętrzny sposób życia Zofii nie odpowiada głębszym wartościom, które rzekomo stanowią treść jej duszy.

Więcej jeszcze zawinił Fredro, gdy pozwolił konkurentom Mirandoliny starać się o rękę Zofii. Przedewszystkiem Zofia, o ile naprawdę kocha się w Zdzisławie, powinna umieć oddalić wszelkie inne, jej natrętne zabiegi miłosne. Skoro zaś jednak waha się chwilę co do przyjęcia oświadczyn Czesława, to w każdym razie nie powinna go narażać, o ile szanuje go i ceni, na współubieganie się w konkurach z takimi błaznami jak Wtorkiewicz i Baron Antenacki. Lecz te dwa typy, odpowiadające sobie nawzajem, jak Pantalón i Arlekin, świetnie scharakteryzowane przez Goldoniego w „Locandierze“, podobały się widocznie Fredrze, który przeniósł ją żywcem do swej komedyi.

Conte d'Albafiorita i Marchese di Forlipopoli przedstawiają się sami:

— Ja jestem markiz di Forlipopoli.

— A ja hrabia d'Albafiorita.

— No, to kupione hrabiostwo...

— Kupowałem hrabstwo skoro Pan sprzedawałeś swój markizat.

— Wypraszam sobie... Jestem kim jestem i należy mieć dla mnie szacunek.

— Któż go dla Pana niema... Pan jesteś tym, który, jeżeli śmiem mówić...

— Przebywam w tej gospodzie, ponieważ kocham się w jej gospodyni. Wszyscy o tem wiedzą i wszyscy powinni mieć względy dla osoby, która mi się podoba.

— To doskonale! Więc chciałbyś może przeszkodzić kochać się i mnie w Mirandolinie? Więc dlaczegoż, przypuszczasz Pan, jestem we Florencyi? dlaczegoż jestem w tej oberży?

— Nie—to sławne! Ale Pan nie nie wskórasz.

— Ja nie—a Pan tak?

— Ja tak — a Pan nie. Jestem kim jestem, a Mirandolina potrzebuje mych względów i mej protekcji.

— Mirandolina potrzebuje pieniędzy, a nie protekcyi.

— Pieniędzy? Och tych nie brak...

— Ja wydaję na dzień całego *zecchina*, panie markizie i wciąż składam jej podarki.

— A ja nie chępię się tem co czynię.

— Pan tem się nie chępisz—lecz to i tak jest wiadomem...

— Nie wszystko jest wiadomem.

— Owszem, markizie, wie się o wszystkim dobrze. Służba o tem donosi. Trzy małe *paoletti* dziennie...

(I. 1).

Ci dwaj we wzajemnym sporze o swe godności i majątek, to przecież dosłownie:

„Ten Wtorkiewicz, którego zalety na wadze

Nie wiem, krocie czy głupstwo, na sam dół sprowadzę.(?)

Ten baron Antenacki, hardy z swego rodu

Co na szesnastym herbie może umrzeć z głodu“.

(I. 7).

O lepszą charakterystykę, krótką i dobitną, tych dwóch włoskich *chevaliers d'industrie*, targujących miłość, jeden swym gołym markizatem, drugi swą, niepewnego pochodzenia fortuną, niż ten czterowersz Fredry, zaiste trudno.

W celu dokładniejszego jednak narysowania tych postaci, Fredro przepisał prawie wyżej cytowaną scenę markiza i hrabiego, oprawiając ją tylko w swój wiersz potoczysty i właściwą sobie werwę komiczną. Jest to scena piąta drugiego aktu „Przyjaciół“:

WTORKIEWICZ: Baronie, Baroneczku, nie dmuchaj tak szumnie,
Zbliź się, daj rękę, słuchaj, pomówmy rozumnie.
Niech mnie dyabli wezmą, jeśli cię się boję,
Ale chcę Twego dobra, gdym zapewnił swoje:
Od wdówki nie odsadzisz, choćbyś miał dwie głowy,
Pocóż czekasz, powiedz mi, na wieniec grochowy?
Powierz się lepiej Bogu, w tej przykrej potrzebie,
I wynieś się cichutko nie patrząc za siebie;
To radzę, a Ty radą nie pogardzaj zdrową.
BARON: Z początku aż do końca, wszystko słowo w słowo,
Proszę powtórzyć jeszcze, do siebie, odemnie.
WTORK.: Kocham Zofię.

BARON: I ja.

WTORK.: Kochany wzajemnie.

BARON: Bardzo wątpię.

WTORK.: Tak? Może sprzyja Czesławowi?

BARON: Nie Czesławowi.
 WTORKIEWICZ: Komuż więc?
 BARON: To się nie mówi.
 WTORK.: Ha, ha, ha,—daj go кату! A przecież nie Tobie?
 BARON: I gdzież pewnoś że nie mnie?
 WTORK.: Ach, w Twojej osobie.
 BARON: Mości Panie Wtorkiewicz, ta mowa zuchwała...
 WTORK.: Dlaczegoż Zofia kochać by cię miała?
 BARON: A dlaczegoż waćpana?
 WTORK.: To dobre pytanie!
 BARON: Dla złota?
 WTORK.: Dla Twych herbów?
 BARON: To mi porównanie!
 WTORK.: Ja mogę jej powiedzieć: szczęściem ci odpłacę,
 Masz czego tylko pragniesz, ogrody, pałace...
 BARON: Gdzie jeszcze resztki znajdziesz pieprzu i rodzynek,
 Co z handlu swego tatki, schował skrzętny synek.
 Co za honor być matką najświeższego z rodu.
 WTORK.: Co za honor wziąć męża, co mógł umrzeć z głodu.
 BARON: Neofit wyzłocony.
 WTORK.: Pan o cudzym chlebie.
 BARON: Dość już!—zabiję! zginiesz...
 WTORK.: Po twoim pogrzebie.

I Fredro nie ograniczył się na przeniesieniu tych typów do swej komedyi dla ożywienia i urozmaicenia jej akcji, lecz wpłatał je jeszcze w intrygę, a to w sposób podobny i w równie ważnym stopniu, co Goldoni w „Locandierze“.

Markiz ceniący swój ród szlachetny nawet w osobie tak bardzo jak on spłowiałego potomka, zazdrości skrycie hrabiemu jego bogactwa. Hrabia zaś kole wciąż w oczy markiza swymi dukatami, bardziej, wedle niego, błyszczącymi od wyszarzanych tradycyi. Dom cały napętniają swym sporem. Hrabia spotkawszy służącego oberży, pyta się nagle:

HRABIA: Czy chcesz zobaczyć różnicę jaka jest między mną a markizem?

FABRIZIO: Co Pan mówi?

HRABIA: Masz, daję ci *zecchina*, zrób tak, żeby i on (wskazując na markiza) dał ci drugiego.

FABRIZIO: Dzięki, jasnie panie! (Do markiza): Ekscelencyo...

MARKIZ: Ja nie wyrzucam swych pieniędzy, jak szalony. Zabieraj się...

(I. 2).

Podobnie i Wtorkiewicz chełpi się wobec służby swym majątkiem, a baron wykręca się od napiwku jak może. Gdy służący Zofii rozdaje gościom pocztę:

CZESŁAW: Poczta. (Odbiera list i daje skrycie służącemu parę złotych).

WTORKIEWICZ: (odebrawszy, rzuca na ziemię dukata). Na, masz dukata.

BARON (na stronie): Ten zawsze dukata. (do służącego) Masz łaskę.

WTORKIEWICZ: Łaskę, łaskę—to dyabła zapłata.

(I. 9).

Markiz de Forlipopoli przekonany o swem znaczeniu i wpływach, ofiarowuje każdemu swą opiekę i poparcie. W jego wyobrażeniu, z konieczności idealistycznym, ono przewyższa o wiele wszelkie korzyści materyalne, któremi rozporządza Hrabia. W rozmowie z nim wspomina n. p.: „Mirandolina potrzebuje mej protekcji“ (I. 1). Kiedyindziej zapewnia o swych względach dla niej: „Ja ją proteguję i proteguję wszystkich, którzy przebywają w jej gospodzie (I. 21). Gdy zaś opuszcza oberżę Mirandoliny, mimo zawodu w swych zamiarach, pragnie okazać się wspaiałomyślnym i zapowiada, że dla niej i dla jej męża mieć będzie zawsze całe „zasoby protekcji“ (III. 20).

Fredro każe również swemu Baronowi mieć ufność w znaczenie swego poparcia, a raz nawet przypadkiem wkłada mu ten sam wyraz w usta. Gdy Czesław broni Zdzisława wobec Barona, którego ten lekko ceni:

BARON: Protegujesz go widzę...

CZESŁAW: Wybacz, aleś użył

Dość śmiesznego wyrazu;

BARON: Śmiesznego, a to czemu?

Każdy z nas swą protekcję daje niejednemu.

(I. 8).

Tylko że poparcie Baronów i Markizów Fredry czy Goldoniego mają wagę jedynie w ich wyobraźni. W rzeczywistości chwilami muszą sami wspierać się gestem o treści bardziej pozytywnej. Wówczas pożyczają pieniędzy. Lecz nie zwracają się z tą prośbą do Wtorkiewicza lub hrabiego d'Albafiorita, w obawie nowych naigrawań z ich strony, a raczej już do innego rywala, który w ich pożyczce nie będzie szukał własnej chluby. Markiz prosi więc o pieniądze Cavaliere Ripafratta.

MARKIZ: Jestem na razie w kłopotcie i nie wiem co mam czynić...

.....

CAVALIERE: Drogi Markizie! gdybym mógł tylko, służyłbym ci z serca. Gdybym miał cokolwiek, oddałbym to ci najchętniej. Lecz ani oczekuję pieniędzy, ani ich posiadam.

MARKIZ: W każdym razie nie dajesz mi Pan chyba do zrozumienia, że jesteś bez pieniędzy?

CAVALIERE: Więc proszę. Oto całe moje bogactwo. Nie dochodzi nawet do dwóch *zecchinów*.

MARKIZ: Jest w niem jednak jeden złoty *zecchino*...

CAVALIERE: Tak, lecz to ostatni. Nie mam ich więcej.

MARKIZ: Więc tego *zecchino* pożycz mi Pan—a ja tymczasem...

CAVALIERE: Dobrze—lecz cóż ja potem?

MARKIZ: Czegóż się pan obawiasz? Przecież ci go zwrócę.

CAVALIERE: Na to nie mam już odpowiedzi. Proszę...

(I. 13).

Podobna rozmowa ma miejsce między Baronem a Czesławem:

BARON: Nie wiesz gdzie jakiej sumki?

CZESŁAW: Nie, nie wiem, a potem

Sam bym wziął.

BARON: Dla Noblesy zle czasy nad miarę,
Zresztą z dwieście dukatów wziąłbym na lat parę,
Jakem Baron, bez żartu, wziąłbym bez wahania.

CZESŁAW: Bardzo wierzę.

BARON: Prawdziwie, śmieszne do wyznania,
Potrzebuję.

CZESŁAW: Ja także.

BARON: A nie mam.

CZESŁAW: A nie mam.

BARON. No, ale ci różnicy nie robi, jak mniemam,
Pięćdziesiąt czątych?

CZESŁAW: Wziąć?

BARON: Nie, żebyś mnie pożyczył.

CZESŁAW: Ha, mniejsza z tem, pożyczę...

(I. 3).

Markiz di Forlipopoli potrzebuje zwłaszcza pieniędzy w nadziei, że podbije Mirandolinę jakimś podarunkiem. Albowiem hrabia d'Albafiorita nauczył ją ważyć miłość ceną coraz droższych prezentów, które uważa za najlepsze dowody miłości:

HRABIA: Droga Mirandolino, spójrz na te kolczyki. Czy ci się podobają?

MIRANDOLINA: Owszem.

HRABIA: Czy wiesz, że to są dyamenty?

MIRANDOLINA: Wiem. Ja znam się i na dyamentach.

.

HRABIA: I jak modnie są oprawione... Proszę, przyjmij je w dowód mej miłości.

..... o ile ich nie przyjmiesz, obrazisz mnie.

MIRANDOLINA: Nie wiem co mam na to odpowiedzieć. Mnie bardzo zależy, by wszyscy goście oberży byli mymi przyjaciółmi, przyjmę je więc, by nie obrazić pana Hrabiego.

(I. 5).

I zachęcony podziękowaniami Mirandoliny, a szczęśliwy, że Markiz mu zazdrości, Hrabia znosi jej wciąż nowe kosztowności (I. 22).

Mirandolina tak chętnie i uprzejmie przyjmuje podarki, na równi z innymi korzyściami jakie ma z gości swej oberży, że nawet Markiz zdobywa się dla niej na dar: wyszukuje nie drogą a okazałą chustkę jedwabną. Nawet Cavaliere, rozkochawszy się w młodej gospodyni, składa jej w podarunku złoty flakonik, by łatwiej otrzymać jej względy.

Razem z innymi rysami charakterystyki Mirandoliny, Fredro przeniósł i ten sposób starania się o jej rękę, polegający na wyścigu konkurentów w urządzaniu zabaw i rozrywek i w licytowaniu się na prezenty, stosując go do Zofii.

WTORKIEWICZ np. (pokazuje zgromadzoną).

Patrzcie te perły, a co? patrzajże Baronie.

BARON: Nie znam perel?

WTORK.: (idąc za nim). Patrz.

BARON: Patrzę.

WTORK.: Cóż?

BARON: Perły i nic więcej.

WTORK.: Kupiłem je dla Zofii, wszakże dar księżęcy?

CZESŁAW: Dla Zofii? Zawczasie...

WTORK.: Zawczasie mój Hrabio?

Zadnej miłości w świecie dary nie osłabia.

(I. 9).

Wtorkiewiczowi ma się ochotę powtórzyć raz jeszcze za Czesławem: dla Zofii zawczasie... Przecież on nie jest jeszcze jej narzeczonym. Lecz Wtorkiewicz spodziewa się właśnie dzięki tym podarkom otrzymać tę godność. Wątpliwem jest tylko czy jakiegokolwiek uwagi poskutkowałyby w stosunku do Wtorkiewicza, zawsze trywialnego, choćby gdy przekupuje na swoją korzyść pannę Bobiné (II. 4), a zwłaszcza i przedewszystkiem w chwili, gdy się Zofii oświadcza (III. 11).

A Markiz i Baron zaciskają tylko pięści, wybuchając czasem źle tajoną zawiścią. Po wspólnej odprawie i jednakowym

zawodzie, rywale godzą się jednak. Opuszczają wspólnie włoską oberżę z uczuciem zemsty dla niewdzięcznej, jak twierdzą, Mirandoliny.—„Ja zrujnuję jej gospodę”—grozi Hrabia (III. 12). Odjeżdżając z ciężkiem sercem na jednym wózku z polskiego dworu, którego gościnności tak długo używali,

Baron jęczał, nie wdychał, włącząc na skarbniczek;
Wtorkiewicz gwizdać, gwizdał—ale jak kuliczek.

(IV, 1).

Tak zakończyli swoje konkury Baron Antenacki i Wtorkiewicz, dzieląc i pod tym względem los włoskich Marchese di Forlipopoli i Conte d'Albafiorita.

Oprócz tych głównych wpływów „Locandierzy“, Fredro przejął z niej jeszcze i parę drobniejszych szczegółów. Ubawiwszy się prawdopodobnie sceną, w której Markiz wypija czekoladę przyniesioną dla Cavaliere (I. 13), powtarza ją w swym utworze, pozwalając Smakoszowi zjeść kaszkę panny Bobiné (I. 12). Dowodzi to zaś, jak przy opracowywaniu „Przyjaciół“ tkwiła w pamięci Fredry „La Locandiera“ Goldoniego.

Zbyt dokładne i bez odpowiednich zmian przeniesienie tylu motywów z komedyi Goldoniego, nie wyszło na dobre „Przyjaciółom“ Fredry, wprowadzając w nie dziwne pomieszanie nastrojów i jakby środowiska i zamieniając chwilami polski, szlachecki dwór na włoską oberżę.

Pisząc swych „Przyjaciół“ pod wpływem „Locandierzy“ Fredro pominął jednak całą dużą część akcji tej komedyi. Nie wyzyskał wszystkich jej typów i odrzucił pewne momenty z jej intrygi. I tak pominął np. typ Cavaliere di Ripafratta, nieprzyjaciela kobiet, którego zimne serce topnieje dopiero powoli pod wpływem ciepła ogólnej atmosfery i uroku Mirandoliny; opuścił nadto wszelkie zawikłania, intrygi, wynikłe z powodu przybycia do gospody dwóch aktorek, Hortensyi i Dejaniry, udających księżniczki, wobec których Hrabia i Markiz odgrywają również swą komedię ciągłego prześcigania się w galanteryi. U Fredry niema też młodego służącego Fabrizia, który w rozwiązaniu „Locandierzy“ odgrywa najważniejszą rolę; Mirandolina wydaje się za niego. Jedynie jego obowiązek, mówienia wszystkim prawdy, bierze częściowo na siebie poczciwy Krupkowski.

Fredro zadowolnił się więc przejęciem pewnej tylko części motywów i scen „Locandierzy“. One nie wystarczały na całkowitą komedię. W celu zbudowania na ich tle całego utworu, musiał uzupełnić ją innymi. I tych poszukał nie w swojej wyo-

braźni, lecz w obcym dziele, którem była również komedia Goldoniego.

Wśród gości Zofii uderza Smakosz „zabawny typ żartoka“ (Tarnowski) i „postać doskonała“ (Chmielowski) wedle ogólnego zdania krytyki. Przypuszczać zdaje się wolno, że Fredro stworzył ją na tle jednego z typów Goldoniego z komedii p. t. „La Villegiatura“.

„La Villegiatura“ powstała w r. 1754, jako satyra na zbyt wystawne, w epoce Goldoniego, życie na wsi we Włoszech, które latem gromadziło całe towarzystwo miejskie. W letnich miesiącach opuszczało ono gromadnie miasto, wabione urokiem wsi, jej spokojem i swobodą, a przede wszystkim zmianą dekoracji dla wypełniających jego życie tańców, gry w karty, zabaw, uczt i miłości... Życie wiejskie, w rozspanych wśród włoskich ogrodów willach, nabierało ponęty nawet dla zmęczonych i wyczerpanych użyciem, odmienną i wyrafinowaną oprawą rozkoszy, stawało się też powoli plagą społeczną, przez swe życie nad stan i obniżanie poziomu obyczajów. Sprzyjało np. t. zw. *cicisbeizmowi*. Był to zwyczaj charakterystyczny dla XVIII w., pozwalający, by każda z mężatek miała stałego przyjaciela. Ich związek miał być tylko duchowym, wyższym niejako od węzłów materialnych i fizycznych. „Il cicisbeo“, oddany w służbę, miał być stałym wyrazem hołdu dla swej pani, jak niegdyś trubadur dla księżniczki. Tylko księżniczki XVIII w. były zazwyczaj mniej srogie dla swych trubadurów... Satyra Goldoniego była potrzebna i na czacie.

Komedia „La villegiatura“ przedstawia więc rozbawione towarzystwo w willi Lawinii. Dnie schodzą mu na grze w faraona i intrygach miłosnych, gdyż przyjaciółki Lawinii przybyły, każda ze swym towarzyszem. Jedyne sama Lawinia, skromna i poważna, potępia ten sposób życia. Lecz mąż jej nie ocenia jej postępowania. Zapalony myśliwy, spędza cały swój czas na polowaniu, a przejęty wsią, szuka sielskości wszędzie gdzie może, zwłaszcza u obu służących, Libery i Menicchini. Lawinia, zgorszona swem otoczeniem, poczyną wyglądać przybycia dawnego swego znajomego Paoluccia, który, po dwuletniej nieobecności, powraca właśnie z Paryża. I Lawinia ufa, że miłym towarzystwem i ciekawą rozmową skróci sobie swą samotność. Lecz i tu spotyka ją zawód. Paoluccio, poznawszy wesołe życie Paryża, nauczył się gardzić przyjaźnią kobiety, pragnąc tylko jej miłości jako wyższej rozkoszy, zwłaszcza skoro używa się jej w tajemnicy i ukryciu: wówczas zyskuje ona na uroku i bezpieczeństwie.

Nie znajdując uznania dla tego rodzaju teorii u Lawinii, zdobywa poklask u jej przyjaciółki, Floridy. Do niej więc zwraca się ze swymi względami. Zawód i zazdrość skłaniają Lawinię do skrócenia swego pobytu na wsi i zamknięcia gościnnej willi. W ten sposób willegiatura się kończy i towarzystwo się rozprasza.

Najwięcej ubolewa nad tem Don Cicchio, jeden z gości Lawinii, choć obcym był jakiegokolwiek miłośnej intrydze. Ten załuje—jej kuchni.

Między Smakoszem a Don Cicchio istnieją, ma się rozumieć, wybitne różnice. Don Cicchio posiada np. jeszcze namiętność do gry w faraona, z której powodu również uprawia chętnie willegiaturę. Gdyż Don Cicchio jest przedewszystkiem pieczeniarem i to zdaje się osobiście niemajątnym. Podwójnie więc lubi być gościem drugich. Nie jest zaś nawet gościem przyjemnym, wciąż gderzący i zgryźliwy a złośliwego usposobienia, jedynie, przypuszczać można, bezczelnością wkreca się w stosunki towarzyskie. W tem wszystkim Don Cicchio jest przeciwieństwem pocziwego Smakosza, który objężdża swych przyjaciół z uśmiechem na pulchnej twarzy, służąc im wedle swej możliwości radą zdrową i wierną przyjaźnią — dowodem jego stosunek do Zofii—i wnosząc ze sobą wszędzie wesołość i pogodę. A gdy pragnienie obiadu sprowadza ślinkę na jego podniebienie i gorączkę oczekiwania, to wówczas budzi prawdopodobnie miły i dla innych apetyt. Gdy zaś czasem gdziekolwiek wyłaje kucharza lub każe zmienić przyprawę do sosu, to domownicy chyba są mu za to wdzięczni, albowiem nie czyni tego bez znajomości rzeczy. I Smakosz musi mieć tuszę obfitą — jego żywot spokojny pozwala bowiem ufać, że doczekał się figury pokaźnej. Don Cicchio zaś jest chudym, prawdopodobnie z powodu swego żółciowego usposobienia. Chudość jego jest dlań jednak powodem radości, którą prawdopodobnie zrozumiałby Smakosz. Don Cicchio wypowiada się raz: „Jestem zadowolony z mej chudości; gdybym był tłustym, to mógłbym mniej jadać. Albowiem widzicie: ten sam tłuszcz, jaki jest widocznym z zewnątrz, być musi i od środka, czyli zwęża wnętrze, które nie mieszczą już w sobie tylu rzeczy...” (Willegiatura, II, 11).

Mimo tych różnic między Don Cicchiem i Smakoszem, stosunek tych dwóch figur wart jest dokładniejszego rozpatrzenia. Don Cicchio np., ufny w pojemność swych wnętrześci, czasem napełnia je tak, że one odmawiają mu posłuszeństwa. Wówczas rozpacza:

DON CICCCHIO: Ojjoj... już nie mogę, czuję że pękę.

LIBERA: Co to dzieje się panu?

DON CICCCHIO: Oj—tyle dziś jadłem, że nie mogę...

MENICHINA: Dobrze musiało być to śniadanie!

DON CICCCHIO: Potraw dużo—ale same niedobre.

LIBERA: Skoro były niedobre, więc pocóż było tyle ich jeść?

DON CICCCHIO: Bo jak co dają, to ja zwykle tego już nie opuszczam. Apetyt zazwyczaj nieźle mi służy.

MENICHINA: Pamiętam jeszcze jak to było, gdy Don Cicchio nas odwiedził: sam zjadł to wszystko, co miało służyć dla ludzi zbierających zboże.

DON CICCCHIO: Bo więcej warta dobra wasza zupa i para tłustych kurcząt, takich jak z owego dnia właśnie, niż całe śniadanie dzisiejsze.

(Villegiatura, II, 11).

Smakosz przebywa również pewne nieporozumienia ze swym żołądkiem:

SMAKOSZ: (pocałowawszy Zofię w rękę, rzuca się na krzesło).

Ach królowo! Twój podnózek skona,

Jeśli nie dasz rumianku. Niestrawność szalona.

ZOFIA: Kiedy też już przestaniesz i truć się i leczyć?

SMAKOSZ: Rumianku! ach rumianku—nie mogę ja przeczyść,

Że serdecznie jeść lubię, bo któż jeść nie lubi?

Lecz dziś nie przysmak żaden ze świata mnie gubi.

CZESŁAW: I cóż więc? Może na czczo wyjechałeś z domu?

SMAKOSZ: Jak można takie głupstwa przypisywać komu!

(I, 11).

I Smakosz, podobnie jak Don Cicchio, ceni proste potrawy, byle dobrze przyrządzone.

... Furman wytchnąć koniom gdzieś przy karczmie staje,

Siedzę, czekam, w tem, jakiś zapach czuć się daje,

Wącham, niby jarzyna, niby coś z mięsiwa,

Wysiadam, idę spojrzeć skąd ten wiatr przybywa,

Przychodzę, śliczna na różnie pieczeń się rumieni,

A mam słabość do pięknej cielejącej pieczeni.

(I, 11).

Ilość pokarmów, która przyprawia ich o niestrawność, wyobraźni ich wydaje się skromnym posiłkiem, choć dla przeciętnego człowieka mogłaby być śmiertelną:

DON CICCCHIO: Oj pozwólcie mi sięść—tak mi żołądek cięży.

MENICHINA: Cóż pan jadłeś tak dobrego?

Don Cicchio: Et, zjadłem dwa talerze zupy, kawałek wołowiny, może z półtora funta, kurczę w potrawce, płatek cielęciny, gołębia w „ragoût“, talerz dość pełny smażonej wątroby, trochę zwierzyny, dwie kuropatwy ¹⁾ w sosie, trzy kaczki, szesnaście jakichś tam ptaszków, parę ćwiartek tłustej, smażonej kury, trochę ciasta, osiem czy dziesięć pączków, talerz salaty, ser, maślanek, owoce i dwa selery na końcu, by sobie przeczyścić usta...

(II, 11).

Smakosz tak rozporządza sobie małą przekąską:

... Parę zrazów ukroj mi do rynki,
Dolóż mi masła, bułki, pieprzu i cytrynki;
Postaw trochę na węglach i dawaj gorąco.
Przynosi mi soczystą, wybornie pachnącą,
Kraję, jem zraz po zrazie, ale zaraz czuję,
Że jest coś niedobrego, że czegoś brakuje,
Wołam więc, słyszysz! dajno jeszcze ze trzy zrazy!
Zjadłszy, jakby z przeczucia dostałem odrzazy,
I więcej anim ruszył. Ale ledwie w drogę,
Słabo mi, słabo... słabo... A! już znieść nie mogę.
To poty na mnie biją, to dreszcz jak we febrze...
Stój... czekaj... w pierwszym dworku tchem ostatnim żebrzę,
By omlecek zrobiono, chcąc wybić klin klinem,
Zjadłem... i sztukę sera... i skropiłem winem...
Naprawdę — tu jak kamień...

(I, 11).

Jako ukojenie po „skromnym“ posiłku spływa na nich sen dobroczynny. Jego błogość jest mimowolnym hołdem naturze. I tak Cicchio usypia na fotelu, w którym zasiadł po śniadaniu (Vill., II, 12, 13, 14), podobnie jak Smakosz, który, drzemiąc po sutym obiedzie, śni jeszcze o strasburskim pasztecie (Przyj., IV, 1, 2, 3). Złośliwi ludzie psują tę szczerą rozkosz gwałtownym budzeniem. Smakosza budzi panna Bobiné; uspiętego Don Cicchia rozbawione towarzystwo przywiązuje do krzesła, by cieszyć się z jego niemocy, po nagłym obudzeniu.

Gdy zaś zmieniają się warunki domu, w którym gościli, Don Cicchio, złorzecząc w duchu wszelkim miłosnym intrygom, skracającym czas jego wygodnego życia, powraca z ciężkiem ser-

¹⁾ Trudno przetłumaczyć dosłownie wszystkie smakolyki Don Cicchia. Niektóre z nich zdrobniałe przezeń z lubością (np. brogiolette i t. d.) stały się poniekąd specjalnymi nazwami potraw, których żaden słownik nie podaje.

cem do miasta, gdzie jego własna kieszeń każe mu prawdopodobnie żyć skromniej od jego przyzwyczajęń — Smakosz przeciwnie, przejmując się szczerze szczęściem Zofii, może trochę pod wpływem nadziei obfitej wieczerzy, odpowiedniej do radosnych wydarzeń dnia, która godzi go z popołudniem popsutem niestrawnością.

Zestawienie tym podobnych sytuacji z roli Smakosza i Don Cicchia pozwala przypuszczać, że Fredro posłużył się w kreśleniu swej postaci kilkoma rysami figury Goldoniego. Lecz co z niej uczynił! Poczciwy i zabawny Smakosz jest jednym z lepszych „typów” jego teatru, godzien stanąć obok figur molierowskich. Dorównałby im bez wspinania się na palce, powtórzywszy tylko raz jeszcze swe klasyczne opowiadanie:

Wyjechałem zdrów jak sun, lekki jak opłatek.

Czułem już nawet głodu ten lekki zadatek,

Któreżom od tak dawna nie miał ani śladu... i t. d.

(I, 11).

Doszukiwanie się pobudki twórczej dla postaci Smakosza w Don Cicchiu tem więcej wydaje się uprawnionem, że o ile sądzić wolno, komedia Goldoniego p. t. „La villegiatura” wywarła wogóle pewne wrażenie na „Przyjaciółach” Fredry. Znajomość tych utworów mimowolnie budzi pytanie, czy przypadkiem zmiana środowiska gospody z „Locandieri” na wytworny salon wiejski w „Przyjaciółach”, których życie schodzi we współubieganiu się w miłości, na tle zabaw, spacerów i wiejskich rozrywek, czy zmiana ta nie zaszła pod wpływem nastroju rozbawionej włoskiej willi? Odpowiedź na to pytanie byłaby zdaje się twierdzącą.

W utworach Goldoniego „La locandiera” i „Villegiatura” Fredro zaczerpnął motywów do stworzenia środowiska z kilkoma typami charakterystycznymi a nawet jakby zarysu treści dla swej komedii, brakowało mu jednak jeszcze do stworzenia całkowitego utworu dramatycznego, właściwej intrygi.

Tę znalazł, wierny zawsze pod względem „Przyjaciół” Goldoniemu, w jego komedii p. t. „Il vero Amico”.

„Il vero Amico” jest jednym ze słabszych utworów włoskiego komedyopisarza, miał jednak mimo to powodzenie, przynajmniej u innych autorów dramatycznych. Diderot, jako reformator francuskiego teatru, uznał komedię Goldoniego „Il vero Amico” za odpowiedni przykład dla swych teorii o „dramacie”, którego był rzecznikiem, pod warunkiem przemiany jej pogodnego nastroju na ponuro-płaczliwy i pogłębiania jej treści tezą społeczną. W ten sposób powstał „Le fils naturel” Diderota, „dramat”

może najnudniejszy i najślabszy ze wszystkich jakie istnieją, zwłaszcza gdy uświadomić sobie, że jest nieudolnym plagiatem. Już współcześni, jak Fréron i abbé de la Porte, wytknęli mu te cechy ujemne. Jedynie sam Goldoni przeczył wspaniałomyślnie, choćby w swych Pamiętnikach, jakoby Diderot przywłaszczył sobie cokolwiek z jego utworu, dostrzegając w jego twórczości nawet pewną oryginalność — zdaje się chyba tylko pod wpływem miłości swej dla Francyi i Encyklopedystów. A może była w tem pewnego rodzaju wdzięczność Goldoniego dla Diderota, który i drugi swój utwór sceniczny „Le père de famille“ napisał również na tle jego komedyi p. t. „Padre di famiglia“.

Fredro zapożyczył się w komedyi „Il vero Amico“ w równym stopniu jak Diderot, tylko z większym od niego talentem. Jakąż więc jest treść tej komedyi Goldoniego?

Florindo, bawiąc w gościnie u swego przyjaciela, Lelia, zakochał się w jego narzeczonej, Rozaury. Wierność przyjaźni nie pozwala jednak nieszczęśliwemu kochankowi podnieść oczu na Rozurę. Bójąc się, by uczucie jego przypadkiem się nie ujawniło, postanawia opuścić gościnny dom przyjaciela. W wykonaniu swego zamiaru spotyka się jednak z oporem i to nie tylko Lelia, lecz nawet i Rozaury. Rozaura przejrzała bowiem jego duszę, przekonując się, że mimo przywiązania do Lelia, serce jej zadrgało prawdziwie dopiero dla Florinda. I szczerze spowiada się przed nim z tej zmiany swych uczuć. Wyznanie Rozaury, które dla Florinda w innych warunkach byłoby najwyższem szczęściem, wzmagą jeszcze, wobec jego stosunku do Lelia, miłosną męczarnię. Tembardziej, że w tę dramatyczną—jak dla Florinda—sytuację, wplątuje się nadomiar złego zaostrażające ją *qui pro quo* romantyczne. W domu Lelia przebywa mianowicie ciotka jego, Beatrix, osoba już starzejąca się, lecz widocznie jeszcze marzycielsko i uczuciowo usposobiona, która w cichości serca również płonie miłością dla Florinda. I przypadek zdarza, że list Florinda, którym on odpowiada na oświadczyzny Rozaury gorącemi zapewnieniami miłości, list zaczęty tylko i wypadkowo niedokończony, dostaje się w ręce Beatrix, która, poznając pismo Florinda, wszystkie czułe w liście zaklęcia przyjmuje z radością jako do niej skierowane. Natychmiast ogłasza swe szczęście ogółowi, uważając się za narzeczoną Florinda. Lelio błogosławi kojarzącą się parę, nieco tylko zdziwiony miłością Florinda dla podstarzałej Beatrix. Rozaura, dotknięta w swej dumie pominięciem jej przez Florinda—jak mniema—dla Beatrix, przywraca swą miłość Leliowi, Florindo zaś, zamieszany mimowoli w to *qui pro quo*,

bronić się nie może: wyjaśnienie sprawy listu byłoby zdradą Rozaury i odkryciem ich miłosnej tajemnicy, tembardziej, że w tym nieszczęśliwym liście on pragnął otworzyć tylko przed Rozurą swą duszę, a potem, jako narzeczoną przyjaciela, pożegnać na wieki. Mimo tak napiętej sytuacji dramatycznej intryga nie jest jeszcze bliską rozwiązania. W tym momencie konfliktu występuje nagle jeszcze jeden motyw, natury finansowej tym razem, z którego pomocą intryga postępuje naprzód. A mianowicie, ojciec Rozaury, Ottavio, stary skąpiec, rodzony syn molirowskiego Harpagona, narzekający stale na swą nędzę, zapowiada córce stanowczo, że nie jest w stanie dać jej ani grosza posagu. Wiadomość ta ostudza uczucie Lelia dla narzeczonej. Będąc niezamożnym, nie może łączyć się z osobą ubogą. Ubóstwo Rozaury ośmiela zaś Florinda do szczerości. Będąc majątnym, i wobec cofnięcia się Lelia, może zwrócić się jawnie do Rozaury. Uwalnia się więc przedewszystkiem od Beatrix wyjaśnieniem sprawy, a następnie wyznaje Leliowi swe od tak dawna tajone uczucie dla jego narzeczonej. Lelio, poddając się okolicznościom, chętnie powierza Rozurę Florindowi. Przeznaczeniem jednak Florinda jest być nieszczęśliwym. Nagle ujawnia się bowiem, przez udaną kradzież w domu Ottavia, że on jest sknerą bogaczem, Rozaura więc osobą majątną i dobrą partją, stosowną dla Lelia. Uświadomiwszy to sobie, Florindo zrzeka się swych świeżo zdobytych praw nad Rozurą i oddaje ją przyjacielowi, nie chcąc psuć mu życia i szczęścia. Rozbudza nadto umyślnie pogardliwą zazdrość Rozaury o Beatrix, utrzymując ją w złudzeniu, że złożył dobrowolnie serce u stóp tej przywiedłej piękności, by usunąć się tem łatwiej z drogi dwojga szczęśliwych narzeczonych.

Z treści tej komedyi, dość nienaturalnej i o kilku sztucznych sytuacjach, Fredro zbudował intrygę swych „Przyjaciół”.

Już z powyższego streszczenia jest widocznem, że uwaga Fredry spoczęła na trzech momentach akcji Goldoniego: na walce przyjaźni z miłością w duszy dwóch przyjaciół zakochanych w jednej kobiecie, na sprawie stosunku uczucia i kwestyi majątkowej i wynikających z niej konfliktach, a wreszcie na epizodzie nieporozumienia ze strony śmiesznej starej panny, tęskniącej do miłości i pragnącej wydać się za męża, która wszelki spotkany objaw uczucia stosuje do siebie.

Fredro, przeprowadzając postacie „Przyjaciół” przez podobne momenty akcji „Il vero Amico”, w której biorą udział Rozaura, Beatrix, Lelio i Florindo, musiał z konieczności nadać osobom swej komedyi podobne do włoskich oryginałów „usposobie-

nie psychologiczne“, stworzyć nawet poniekąd, z pewnemi tylko odmianami, prawie ich sobowtóry. Przeżywa je tylko Zofią, panną Bobinę, Czesławem i Zdzisławem.

Dokładniej przedstawiony stosunek obu komedyi uwydatni podobieństwa tych postaci jeszcze wyraźniej.

Zdzisław np. jest sam ze sobą w ciągłej rozterce:

Z Zofią chciałbym mówić...

Co się ze mną dzieje?

* * * * *

Czyż jej ubliżę, ja jej?—nierówność nas dzieli,

Lecz jakiejże przepaści miłość nie zaścieli?

(III, 5).

Podobnie Florindo, który również w monologach bije się ze swymi myślami:

„Och, ja nieszczęśliwy, w jakim znajduję się położeniu! Co za cios mnie spotyka... Dwie rzeczy są konieczne: pierwsza mówić z Rozaurą, druga opuścić Bolonię“ (I, 1).

Obaj starają się zmienić ciężkie położenie przymusowego tania miłości wypełniającej ich dusze postanowieniem nagłego wyjazdu. Zamiary Zdzisława odkrywa Krupkowski:

... Teraz jak kapceyn chodzi zamyślony,

Lecz co gorzej, chce jechać gdzieś w dalekie strony,

Psy, strzelby rozdarował, wierzchowiec sprzedany...

ZOFIA:

Ale czemuż to skrycie?

KRUPKOWSKI:

By nie był wstrzymany.

(III, 2).

Florinda widzimy dającego rozkazy swemu służącemu:

„Śpiesz się, składaj moje rzeczy, pójdz na pocztę i zamów powóz na godzinę dwunastą... Chcę wracać do Wenecyi.

TRIVELLO: Czy ci państwo, których Pan jest gościem, wiedzą już, że Pan chce ich opuścić?

FLORINDO: Nie, nie wiedzą o tem jeszcze; lecz oznajmię im to w dwóch słowach. Pożegnaj się, podziękuję im i wyjadę.

(I, 2).

Lecz żaden z nich projektu swego nie urzeczywistnia i żaden nie wyjeżdża. Zatrzymują ich, wbrew ich woli, ci sami przyjaciele, dla których spokoju postanowili się oddalić. Skarżą się

na dziwną od pewnego czasu oziębłość swych narzeczonych i proszą ich o radę i pomoc w tej sprawie. Czesław skarży się przed Zdzisławem:

Uprzejmość i uprzejmość, wszak ją ją rozumiem,
Znam, pozwolisz, jej cienie i rozróżnić umiem;
Inną nam tylko grzeczność, inną serce daje.
Pierwszą musiał otrzymać, drugiej mi nie staje.

(I, 7).

a Florindo zwierza się Leliowi:

„Ona wydawała się we mnie zakochaną i przez czas jakiś była przy mnie szczęśliwą. Lecz od dni paru stosunek nasz się zmienił — już mi nie powtarza zwykłych słów miłosnych i odnosi się do mnie dość oziębłe“ (I, 6).

I obaj, Lelio i Czesław, wymagają od swych przyjaciół zbadania przyczyny tej zmiany. Lelio wymusza wprost na Florindzie, by

„zgrabnie wy badał usposobienie Rozaury; naprowadziwszy na niego rozmowę, by go obronił skoro ona jego postępkom będzie miała cośkolwiek do zarzucenia, gdy zaś pozna, że stanowczo odwróciła się już od niego, niech mu to szczerze powtórzy. Kto go nie chce, ten go nie wart“ (I, 6).

Fredro naśladuje wyraźnie Goldoniego w pomysłach badania serca ukochanej za pośrednictwem przyjaciela. Czesław prosi bowiem Zdzisława:

Mój Zdzisławie, nie mógłbyś miast morały prawić,
Własne zdanie Zofii nieznacznie wystawić?
I wybadać pomalu co się ze mną dzieje?

a Zdzisław przyrzeka spełnić jego prośbę:

Będę z nią dzisiaj mówił — miej dobrą nadzieję.

(I, 7).

W ten sposób Fredro, zawsze za Goldonim, przygotowuje sobie scenę spotkania tajemnie zakochanych. U obu autorów scena ta, jedna z ważniejszych dla postępu akcji komedyi, rozgrywa się przed oczyma publiczności — jest to scena dwunastego pierwszego aktu z „Il vero Amico“, a siódma z trzeciego aktu „Przyjaciół“ — przebieg jej jest jednak w każdym z utworów nieco od-

miennym i choć ona wynika z identycznej sytuacji, skutek jej dla akcji jest wręcz przeciwnym.

Pierwszym powodem innego obrotu tej sceny u Fredry niż u Goldoniego jest może usposobienie Zofii bardziej nieśmiała niż Rozaury. Obie kochają z całą świadomością, lecz gdy Rozaura oświadcza się Fiorindowi jawnie i śmiało:

„Przez ten miesiąc, w którym cię widywałam, z dniem każdym prawie więcej praw zyskiwałeś nademną. Tobie oddałam serce moje, a wszystko co jest poza Tobą, wydaje mi się przykrem — a najwięcej bolesnem i przykrem byłoby to, co mogłoby stanąć na przeszkodzie memu dla Ciebie uczuciu. Ten Lelio, który dawał mi niegdyś powód do radosnej nadziei, obecnie jest przyczyną mej męczarni i prawdziwej rozpacz⁴“ (I, 12).

i to choć jest już narzeczoną przyjaciela Florinda.—Zofia zaś kryje się ze swem uczuciem dla Zdzisława, choć sama jeszcze niezależna, mogłaby z całą łatwością wybrać go za męża. Zaledwie blizcy jej domownicy podpatrzeć mogą jej prawdziwą skłonność. Krupkowski objawia też Zdzisławowi:

Ile razy list przyszedł, zaraz do czytania,
Potem do mnie: „Krupkowski, Zdzisław ci się kłania,
Ale pamiętaj o nim, on sam nic nie powie,
Może mu czego trzeba“—i niedość na słowie.
Póty nas nie odstąpi, póty nie usiedzie,
Póki paka zamknięta na bryce nie będzie.
Albo nieraz czas na bal, grzmi cała Warszawa,
A ona książki składa dla pana Zdzisława.
Możnaż więcej i bratu przyjaźni dowodzić?

(I, 4).

Przy tem wszystkiem Zofia wydaje się mało wrażliwą i niedomyślną, nieprzeczuwając, bijącego tak blisko niej oddanego jej serca. To też spotkanie jej z zamkniętym w sobie Zdzisławem, zamiast ich zbliżyć, oddala jeszcze od siebie.

Drugim tego powodem może jest sam Zdzisław, który okazuje się wierniejszym przyjacielem i uczciwszym postem miłości od Florinda. Nie zwracając uwagi na Zofię i wrażenie, jakie czyni na niej jego usposobienie, broni on jedynie sprawy Czestawa i to tak gorąco, że Zofia poczyną wątpić czy kiedykolwiek myślał o niej inaczej niż obojętnie. I oboje rozchodzą się w przekonaniu, że wszystko między nimi skończone.

U Goldoniego jest przeciwnie. Florindo i Rozaura, wobec sposobności rozmowy, wypowiadają sobie swą wzajemną miłość, poczetą w pierwszej chwili ich znajomości.

Odmienny wynik tej sceny sprowadza odmienny bieg dalszej akcyi. We włoskiej komedyi Florindo staje się rywalem swego przyjaciela, a Lelio, sobą tylko przejęty, nie dostrzega nawet, że Rozaura i Florindo, na chwilę łączą się przeciw niemu; w „Przyjaciółtach“ Zdzisław nakłania Czesława do zbliżenia się do Zofii, nie przypuszczając, że naraża go na odmowę. Odmowa ta pozwala zaś Czesławowi przejrzeć i zrozumieć prawdziwy stan uczuć Zofii i szlachetną walkę w sercu Zdzisława. I Czesław, równy szlachetnością Zdzisławowi, z kolei bierze w opiekę swego przyjaciela. Fredro pozwala więc przyjaźni być wzajemną.

Lecz to dopiero część akcyi „Il vero Amico“. Goldoni bowiem, nie chcąc, by jego komedya polegała na prostem podejściu Lelia przez Florinda i odebraniu mu przez przyjaciela narzeczonej, wikła ją jeszcze intrygą z Beatrix, intrygą, która ma na celu zaszachowanie niejako Florinda. Fredro, mimo że akcja jego utworu posiada sama z siebie konflikty osób działających wystarczające do akcyi komedyi, u niego bowiem obaj przyjaciele składają dowody wielkości serca, Fredro, przejmując od Goldoniego i tę poboczną intrygę z Beatrix, uznając ją, zdaje się, za źródło komizmu, koniecznego dla przerywania od czasu do czasu sentymentalnych wynurzeń tych trojga nieszczęśliwie i dość nudno zakochanych.

Zdzisławowi grozi więc uczucie panny Bobiné, podobnie jak na Florinda czatuje Beatrix.

Spóźniona miłość Bobiné, naiwnie mimo to wzruszonej, zbudziła się pod wpływem złudzenia, że i Zdzisław ją kocha:

Serce bije, głos niknie, cała drzę i płonę,
Ach twoje to, miłości, pociski spalone...

(I, 5).

Włoszka, choć w wieku podeszłym, namiętniej od Francuzki dąży do miłości, dowiedziawszy się bowiem o jego zamierzonym wyjeździe, sama atakuje Florinda, nieczekając zwierzeń z jego strony:

„Ach, Florindo, nie jest to chwila udawania. Pan znasz moje serce i rozumiesz moją miłość“ (I, 2).

Akcyja wymaga jednak, by Beatrix zdobyła jakąś rękojmię miłości Florinda, choćby ułudną, która zmusi go do milczenia,

a oburzy nań zazdrośną Rozaurę. Goldoni przypuszcza w tym celu, że Florindo listownie wyznaje swą miłość do Rozaury, list ten przerywając w połowie na krzyk przyjaciela, napadniętego w ogrodzie domu przez zbirów. W czasie jego nieobecności nadchodzi zaś Beatrix i poznając pismo Florinda, list ten pełen zakłęt miłosnych stosuje do siebie, przekonana, że jest to jego odpowiedź na jej wynurzenia. Ten niezręczny i nieprawdopodobny sposób zawiązania *qui pro quo* Diderot, przejmując całą sztukę, przejął również z całym nawet złaczonym z nim epizodem. Fredro, korzystając z intrygi *Vero amico*, nawet pod względem stosunku Beatrix do Florinda, okazał większy zmysł krytyczny, obmyślił bowiem odmienny sposób stworzenia tego *qui pro quo*. Wspomógł się zaś w tem Molierem. Bobiné u Fredry podpatruje Zdzisława całującego medalion z jej portretem. Przejmuje ją to takim wzruszeniem, iż zapomina o portrecie Zofii, unieszczoneym na drugiej stronie tego samego medalionu. Podobnie Sganarel (w jednoaktówce tegoż tytułu) podpatrzył niegdyś swą żonę całującą medalion z dwoma portretami, co wprowadziło go w szal zazdrości. Ta nieoryginalność Fredry w przeprowadzeniu tej sceny jest o wiele szczęśliwszą od pomysłu Goldoniego.

Zdzisław i Florindo skazani są więc, wobec tych niemłodych adoratek na milczenie: prawda zdradziłaby ich uczucia dla Rozaury czy Zofii. Muszą nawet udawać zgodę na ich marzenia, tem zawziętsze, że spóźnione, niezdolni je stłumić swym biernym oporem, niezdolni wogóle zniechęcić do siebie rozkochane stare panny grozą najgorszej wspólnej przyszłości. Florindo, który zapowiada, że mając okropny charakter, będzie najgorszym mężem, otrzymuje rozbrajającą odpowiedź Beatrix: „Kto sercem kocha, może znieść wszystko“. I Beatrix pyta się go wkrótce potem: „Na kiedy postanowimy nasze wesele? Czekać będę z niecierpliwością tej szczęśliwej chwili“ (III, 11). Bobiné uspokaja również ponuro na „ich“ przyszłość zapatrującego się Zdzisława:

Twój umysł chciwy przeszkód, sam je sobie roi,
Nie wie, jak czego żąda, tak czego się boi.
Chce widzieć wszystko czarne, gdzie wszystko różowe,
I ściuga z błędnych marzeń troski coraz nowe,
Lękasz się—miłość prawa nie tak bywa trwoźna,
I próbuje wszystkiego, co próbować można.

(III, 4).

Dopiero ktoś trzeci, świadek obiektywny tego stosunku, jest w stanie otworzyć oczy pretensjonalnych Beatrix i Bobiné, bezwzględna i okrutna dla nich prawda. I tak Lelio opamiętuje swą ciotkę Beatrix:

„Proszę mi wybaczyć Ciotko i przestać się ludzi: Florindo kocha Rozaure, a list, który cię w błąd wprowadził, przeznaczonym był nie dla Ciebie, lecz dla Rozaury.“

Beatrix na razie nie chce temu wierzyć: „Patrzcie, co mu się śni!“ lecz skoro słowa Lelia potwierdza i Florindo, wybucha okrzykiem: „Zdrajca, niegodzien mej miłości“ (III, 23).

Tę samą rolę wobec Bobiné odgrywa Czesław, skoro ona pyta się go zdziwiona:

BOBINÉ: Nie wie, że kocha?

CZESŁAW: Teraz dowiedział się w gniewie.

BOBINÉ: O miłości?

CZESŁAW: O plotce.

BOBINÉ: Jeszcze się zapiera.

CZESŁAW: Prawdę tylko powiada.

BOBINÉ: Zdrajca.

CZESŁAW: Et caetera...

(IV, 10).

Goldoni wprowadza tę intrygę, z typową „vieille amoureuse“ klasycznej komedii jako bohaterką, by z jej pomocą zniszczyć dodatnie wrażenie Florinda u Rozaury i ułatwić jej wyjście za mąż za Lelia. Florindo przyjmuje też spokojnie, choć z ciężkiem sercem, jej szydercze życzenia szczęścia z Beatrix na wieść o jego zaręczynach: „Panie, cieszę się z tego bardzo“ (II, 18). U Fredry istnieje także moment zazdrości Zofii, która chwilowo również oddaje rękę swą Czesławowi:

... Ha, to nadto boli!

Kochał inną i znał, znał jaką moja męka!

Dobrze!—Czesławie, chciałeś, oto moja ręka.

(III, 13).

W komedii polskiej, tak odległej od klasycyzmu i obcej tradycji typowych postaci, „pośredniczki“, „zakochanego starca“, „surowego ojca“ i t. d., osoba Bobiné nie budzi wspomnień figury klasycznej, a tylko niesmak całem swem zachowaniem i gorzkim zawodem, jaki ją spotyka, mało komicznym nawet dla tych, którzy z tej francuskiej guwernantki śmiać się jedynie pragną.

Zauważyć tutaj jednak należy, że choć ta intryga, w obu komedych identyczna, rozwija się i u Fredry i u Goldoniego w sposób podobny, to stosunek jej do akcji ogólnej obu utworów jest odmiennym. Gdy bowiem Florindo korzysta z niej, by utrzymać Rozaurę w błędzie co do swego uczucia, skierowanego rzekomo do Beatrix, i usunąć się z pomiędzy jej i Lelia—to Zdzisław całowaniem medalionu z portretami Bobiné i Zofii, choć wprowadza pewnego rodzaju *qui pro quo*, zdradza się niechcący, że kocha się w Zofii, o czym poprzednio Zofia nie wiedziała. Fredro wiąże więc ten epizod ściślej i lepiej od Goldoniego z całością swego utworu, skupiając razem wszystkie, rozproszone, zda się, momenty swej akcji i składając dowód wysokiej sztuki dramatycznej.

Obie intrygi „Przyjaciół” i „Vero Amico”, główną i poboczną, krzyżuje jeszcze kwestya majątkowego stanu osób występujących w tych dwu komedach. Tylko Fredro inaczej niż Goldoni ułożył stosunki majątkowe postaci swego utworu.

U Goldoniego Lelio, narzeczony Rozaury, jest ubogim, Florindo zaś i Rozaura posiadają majątek. Chwilowo tylko obaj przyjaciele wątpią o posagu Rozaury, co skłania Lelia do przekazania swych praw Florindowi. I Florindo zamierza z kolei starać się o Rozaurę. Lecz sytuacja wkrótce się wyjaśnia i Rozaura okazuje się znów majątną i odpowiednią żoną dla ubogiego Lelia. Wówczas Florindo, jako przyjaciel oddany, tai swe uczucia dla Rozaury, jej miłość dla siebie zabija umyślnie i sam popycha ją w ramiona Lelia.

Ciekawem w tej sytuacji jest, że wzniosłe poświęcenie się Florinda spoczywa i ma za ostateczny swój motyw podkład wybitnie materialistyczny, który jest jedynym „punktem patrzenia” wszystkich osób tej komedyi.

U Fredry majątna Zofia ma za starających się majątnego Czesława i ubogiego Zdzisława, który ostatecznie zostaje mężem Zofii, ale bynajmniej nie dlatego, że stan jego interesów wymaga, jak u Lelia, sanacyi posagiem żony — majątek właśnie Zofii trzymał go czas długi na uboczu i zdala od niej—lecz ponieważ ujawniła się w sercach ich obojga gorąca i szczerza miłość.

Kwestya majątkowa nie jest więc sprężyną całej akcji „Przyjaciół”, a tylko jednym z jej motywów, wykazującym wysoką godność Zdzisława, szlachetność Czesława i bezinteresowność Zofii. Społeczeństwo polskie okazuje się idealniejszym niż włoskie.

Przytem rozwiązanie komedyi Fredry jest szlachetniejsze i poetyczniejsze niż to, na które zdobył się Goldoni. U Fredry

Lelio—Czesław nie wciska się pomiędzy dwoje kochających się, lecz poznawszy, że Zdzisław chciał dlań poświęcić swe uczucie i szczęście, sam poświęca się z kolei i, łącząc Zofię ze Zdzisławem, sam prowadzi ich do ołtarza. W tym czynie Czesław różni się zupełnie od Lelia, Czesław, który nie korzysta, jak tamten, z poświęcenia przyjaciela i z chwilowego podniecenia Zotii, powierzającej mu swą rękę, lecz oddaje ją temu do kogo ona wyciąga się naprawdę.

Fredro uszlachetnia więc postać Lelia—Czesława, na co zwraca uwagę nawet tytułem swej komedyi. Nazwę bowiem „Il vero Amico“, mówiącą o jednym tylko oddanym szczerze i umiejącym o sobie zapomnieć przyjacielu, rozszerza, by objąć nią i Zdzisława i Czesława, obu rzeczywiście siebie nawzajem i tytułu „Przyjaciół“ godnych.

*

*

*

Powyższe zestawienia dowodzą, zdaje się, niezbicie, że komedia Fredry p. t. „Przyjaciele“ powstała na tle wymienionych utworów Goldoniego. Uwidoczniają one nadto jak dalece Fredro nietylko poddawał się swym wspomnieniom, lecz że przejmował świadomie intrygę i charakter, nawet poszczególne sceny i szczegóły włoskich komedyi, starając się związać je w nową, zamkniętą w sobie i odrębną całość.

Obok poety-twórcy działał więc we Fredrze i majster-dramaturg, szukający po świecie materiałów dla dzieła, które zamierzał wystawić na scenie. I nie mu to ujmy nie przynosi. Owszem, świadczy, jak troszczył się o trwałe i silne rusztowanie swej budowy, by na niem już łatwo wznosić gmach oryginalnej i własnej poezji.

I „Przyjaciele“ pozwalają stwierdzić i ująć zmysł dramatyczny Fredry, który z każdej komedyi Goldoniego wybiera instynktownie momenty najlepsze, a te udoskonala jeszcze i umiejętnem rozłożeniem uświetnia. Dość wspomnieć np. o „Don Cichiu“, przeradzającym się pod piórem Fredry w Smakosza, lub o intrydze z „Vero Amico“, wyzyskanej odpowiednio, z korzyścią dla jej scenicznego rozwoju i wartości wewnętrznej, dopiero w „Przyjaciółtach“.

Tylko, niestety, w komedyi „Przyjaciele“ widoczną jest różnorodność materyałów, które się na nią złożyły i znać na niej, że powstała z utworów różnej treści, odmiennego środowiska i innego nastroju. Tego rodzaju geneza zaciężyła nad dziełem Fredry. Lepienie całości z różnych kawałków różnego pochodzenia jest „złą metodą“ twórczości. Ona się mści też widocznie nad komedią „Przyjaciele“ w każdym prawie jej szczególe, gdyż wszystkie razem wzięte szkodzą sobie nawzajem.

A przecież jest jeden łącznik między nimi, który je stapia i zestrapia w jeden wspólny temu utworowi nastrój i ton. Jest nim „polskość“ komedyi: „Przyjaciele“. „Polskość“ znamienna dla całego dzieła Fredry, odzywa się i w epizodach włoskiego pochodzenia tej komedyi i ujmuje swojskością. I mimo że dom Zofii wywodzi się z oberży Mirandoliny i willi Lawinii, oddycha się w nim tą jedyną na świecie atmosferą dworu polskiego, z jego gościnnością, jego „polskim nieładem“, nie tak znów wybitnym, jak sądzi guwernantka Francuzka, jego dawną tradycją, nad którą czuwa nieoceniony marszałek Krupkowski, wartownik starych obyczajów. Również i goście tego domu, choć z Włoch przybyli, przesiąkli nawskroś polsnością i żyli się ze swą nową ojczyzną, jakby najwierniejsi z jej synów.

Znając Smakosza, Wtorkiewicza i barona Antenackiego, przypuścić trudno, że jeszcze w pokoleniu poprzedniem nazywali się Don Cicchio, Conte d'Albafiorita i Marchese di Forlipopoli. Zdzisław i Czesław nietylko przebrali się w ułańskie mundury, lecz razem z ich rabatami przejęli jakby proste polskie serca, polską ciężkość i tę gotowość dawnych polskich żołnierzy „niewygody, głód, zimno cierpieć gdzieś na wojnie“. Nad całym domostwem Zofii wogóle unosi się „polskość“, czuje się ją w powietrzu razem z tym charakterystycznym jej idealizmem, powstałym z beztróski usposobienia i szlachetności dusz jego wyznawców, rozjaśnionym uśmiechem życia, które niegdyś, za dawnych dobrych czasów, zawsze pogodne i szczęśliwe budziło się codzień w polskim dworze, wśród promieni wschodzącego nad nim słońca.

Komedia: „Przyjaciele“, mimo że jest mniej udatnym utworem scenicznym, zlepionym z trzech komedyi włoskich, dzięki swemu charakterowi „polskości“, ma pełne prawo do skarbcza twórczości polskiej.

Polacy w armii Katarzyny II.¹⁾

Pierwszy zabór rosyjski 1772 r. obejmował, prócz Inflant polskich z ludnością przeważnie obcoplemienną łotysko-niemiecką, kraj białoruski, podlegający ciążeniu etnograficznemu w kierunku ościennego Wschodu. Wiązały chłopą białoruskiego z zakordonowym bezpośrednim chłopskim sąsiadem wschodnim dość silne jeszcze węzły pokrewieństwa językowego, tradycyi obyczajowych a poniekąd i religijnych, gdyż połowiczna łatinizacya greko-katolicka, tam, na dalekich kresach wschodnich, słabym jeno pokostem werniksowała głębszą treść bizantyjską — duchową i kulturalną. Miasta były drobne, nędzne, mało na szali życia politycznego wazące, o ludności przeważnie żydowskiej, łatwo przystosowującej się do nowych, zmienionych warunków prawno-państwowych. „Nie widziałeś tam, jak w innych stronach naszej Polski, — pisał bystry obserwator swojski, — tej gęsto osiadłej szlachty, która, odwiedzając się często nawzajem, zjeżdżając razem do pobliskich miasteczek, nadawała krajowi ruch i życie“, a jednocześnie, jeśli chodzi o Litwę lub Ruś, to i charakter mocno polski, tej szlachty zagrodowej lub średnio-zamożnej, która tu bliżej, między Niemnem a Dźwiną, przechowywała żarliwie dawne tradycye szlacheckie, dostarczała swych synów do szeregów insurekcyjnych lub pod orły napoleońskie, a później widziała ich kroczących szlakami ekspiacyi męczeńskiej. Białoruś mohylowska i połocka, kraj ubogi z natury, „martwy, zimny“, a w dobie omawianej do-

¹⁾ Materiał do niniejszego badania czerpany jest niemal wyłącznie z moskiewskiego oddziału Archiwum Sztabu Głównego.

szczętnie zniszczony przez różne sąsiedzkie „wolności“, czyli po prostu gwałty i grabieże, obejmowała wyłącznie niemal same wielkie fortuny. Co lepsi z tych wielkich właścicieli polskich, albo też ci, którzy położonym wewnątrz Polski rozleglejszym jeszcze kompleksem swych posiadłości, interesami majątkowymi i karierą polityczną ciążyli ku Rzplitej, bądź wyprzedawali, bądź nawet wprost rzucali swe dobra białoruskie na pastwę konfiskat i przenosili się całkowicie do skurczonej ojczyzny, poza nową linię graniczną. Natomiast tutaj, na Białorusi, powstawały owe olbrzymie donacje, co mlekiem swem hodować miały nowe napływowe ze Wschodu pokolenia biurokratyczno-magnackie, progeniturę wysłużonych wachmistrzów i sypialnianych potentatów. Śród pozostałych zaś na miejscu żywiołów obywatelskich polskich nie brakło panów i półpanków, fraternizujących na „assamblajach“, maskaradach, szulerkach i pijatykach, planowo urządzanych przez nowego wielkorządcę Czernyszewa, w celu „zbliżenia się nacyi“, ziemiańskiej z czynowniczą. Książek polskich nie czytano, ale wzamian zbyt kosztowne meble i stroje niewiedzieć sprowadzano z Petersburga, chętnie kojarzono się węzłami krwi z domami rosyjskimi, cieszą się z ukazu roku 1775, zezwalającego sprzedawać chłopów bez ziemi, a nawet, jak to się stało imieniem szlachty połockiej, przesyłano adresy wiernopoddane do imperatorowej. Słowem, śród społeczeństwa miejscowego na Białej Rusi apatycznie naogół przyjęto fakt przejścia pod panowanie rosyjskie. Petersburg oczywiście od pierwszej chwili intensywnie dążył do możliwie szybkiego zniwelowania zaboru z Cesarstwem. Ośmioprocentowa ludność katolicko-polska była zresztą poprostu fizycznie, liczebnie za słabą, by w tak niesłychanie ciężkich warunkach podejmować skutecznie obronę swej istności narodowej. Z drugiej znów strony przed polityką rosyjską stała arcyważna sprawa pozyskania dla religii państwowej 800,000 unitów-Białorusinów, o duszach rozdwojonych, chwiejnych, oscylujących między pierwocinami kultury wschodniej i zachodniej. Stosunek ten wchłaniający Rosyi prawosławnej do Kościoła rzymskiego stał się z natury rzeczy ośrodkiem właściwej państwowej polityki eksterminacyjnej na Białej Rusi, obok konfiskat, powodowanych raczej zachłannością osobistą dworaków, niż racją stanu. Kwestya polska, z chwilą skutecznienia cesyi rozbiorowej, w tym kraju uznaną została za niebyłą; jedynym czasowym kompromisem na rzecz polskości, jakiego istniejący stan rzeczy wymagał, było pewne uwzględnienie najkonieczniejszych przejścio-

wych ustępstw w dziedzinie sądownictwa¹⁾. O żadnych natomiast podobnych kompromisach zgoła mowy być nie mogło w dziedzinie, pod względem praktycznym i zasadniczym doniosłości tak pierwszorzędnej, jaką stanowiła wojskowość. Tutaj też odrazu, bez żadnych ustępstw ani zastrzeżeń, ustalony został bezwzględny postulat naczelny natychmiastowego i powszechnego podciągnięcia rekrutacyi w zdobytym zaborze pod szablon ogólny wszechrosyjski, z wyłączeniem jakichkolwiek odrębnych formacyi wojskowych, czy to narodowych, czy też terytoryalnych. Niespodzianki jednak przytrafiają się nawet w najbardziej celowych i bezwzględnych akcyach dziejowych. Tak więc i w danym wypadku, w okresie między pierwszym a drugim rozbiorem Polski napotykały parokrotne próby, połowiczne zresztą i niezawsze według istotnych zamierzeń realizowane, utworzenia polskich oddziałów w armii rosyjskiej. Tę nieoczekiwaną korektywę, wyłamującą się całkowicie z prostolinijnej, jasnej skądinąd, polityki rosyjskiej na Białej Rusi, wniósł swym wpływem przemożnym wszechwładny a nieobliczalny Potemkin Taurycki.

Istotny projektodawca niedoszłego przymierza zaczepnego Polski z Rosyą, zrazu kandydat do korony jagiellońskiej, później w marzeniu długoletniem urojony monarcha mitycznej Dacyi, co to powstać miała ze zlepku terytorium rumuńskiego z ukraińskim, Potemkin, na dnie serca hajdamackie raczej i prowokatorskie względem Rzplitej żywiąc zamiary, jednakowoż, jak wiadomo, w stadium wstępnem swej na długą metę obliczonej akcyi wciągnąć pragnął Rzplite w wojnę turecką, oprzeć się na niej chwilowo, by później tem łatwiej wyzyskać ją i obedrzeć do reszty dla widoków swych osobistych. Tymczasem nawiązywał tedy stosunki serdeczno-protektorskie z partią oligarchiczną w Polsce, wodził za sobą i utrzymywał przy swym boku nieodstępnych „republikantów“ w Elizawetgradzie, Oczakowie, Dubossarach, Kiszyniewie, Galaczu i Jassach, pisywał listy do Stanisława Augusta w języku polskim i podpisywał się „wiernopoddanym Jego Królewskiej Mości“, knuł na wsze strony kabałę osobistą i wszelkimi sposoby mącił naszą każdą narodową, dążąc jednocześnie do zjednania sobie polskiej opinii publicznej²⁾. Jednym

¹⁾ H. Mościcki, *Dzieje porozbiorowe Litwy i Rusi*, zeszyt I i II; Leon Potocki, *Orywek ze wspomnień pierwszej mojej młodości*, Poznań 1876 (tegoż *Pamiętniki w „Kwartalniku litewskim“ 1910—11*).

²⁾ S. Askenazy, *Przymierze polsko-pruskie*, str. 35—40, 90—91, 115—117, 161—163. *Ibid.* *Sprawa wschodnia przed Sejmem Wielkim*. Listy Potemkina

z wielu środków w tej zawiłej, trudnej a beznadziejnej machinacyi polsko-ruskiej była z jednej strony próba utworzenia załóżka wojsk polskich w armii imperatorowej, z drugiej chętne, a chwilami nawet niepomierne gorliwe, inkorporowanie do szeregów rosyjskich bądź polskich wolontaryuszy, bądź też oficerów służby czynnej, pragnących pod orłami dwugłowymi szukać widoków lepszej karyery. Ułatwiano im tę drogę ze wszelkich miar, a nawet i przy późniejszych awansach zaszczytano pewnymi względami. Zaroiły się też pułki rosyjskie od ekspatryowanych szlachciców polskich wiary łacińskiej i tworzyły się w ten sposób liczne kadry Polaków—rosyjskich wojskowych, stanowiące w następstwie tak znaczny odsetek w armiach Aleksandra I i Mikołaja I. Powstała z czasem jakby specjalna kasta ludzi, Polaków z mowy, katolików z wyznania, Rosyan z umysłowości i mundur, która trwała dziedzicznie z ojców na syny, z synów na wnuki i, stopniowo topniejąc, przechowywała się do chwili obecnej. Od Lubeckich, Powoła-Szweykowskich i Brzezińskich w armii Suworowa i Rinskawo-Korsakowa, poprzez hekatombę Polaków ległych po stronie rosyjskiej w wojnie „ojczyściej“ 1812 r., a uwiecznionych na tablicach marmurowych w moskiewskiej świątyni Zbawiciela, poprzez oficerów korpusu litewskiego w 1831 r. komenderowanych przez Dybicza i Paskiewicza przeciw własnym znowu rodakom, poprzez obrońców Sewastopola, których polskie marsowe twarze wyzierają z portretów w muzeum „Siewastopolskiej obrony“, poprzez tyłu polskiego pochodzenia i nazwiska wysokiej rangi dowódców rosyjskich figurujących wśród odznaczonych za „zгромienie młatieża 1863 r.“, idą dzieje tej ekspatryowanej polskiej Bellony aż po dziś dzień, aż do generałów Liniewiczów i tyłu innych uczestników i ofiar wojny japońskiej 1904 r.

Potemkin miał duże atrybucye, jako prezes Kollegium Wojskowego, jako bezpośredni zwierzchnik całej potęgi militarnej imperyum, lądowej i morskiej, Katarzyna zaś nie hamowała zbyt gorliwie feldmarszałkowskich poczynañ: psuły one wprawdzie poniekąd jasne wytyczne polityki rosyjskiej w kraju zabranym, dążącej do zlania jaknajszybszego i to bez żadnych zastrzeżeń nowej dzielnicy z Wielkorosyą, z drugiej jednak strony urabiały serca polskie na modłę rosyjską, pobudzały do naśladownictwa,

torowały drogę, przygotowując już naprzód umysły do bardziej złożonej polityki eksterminacyjnej, mającej kurs swój rozpocząć po następnych projektowanych zaborach. Stąd też najpierwsze, przedwstępne kroki Potemkina na Białej Rusi, które, zmierzając do zorganizowania miejscowych, nielicznych zresztą, żywiołów polsko-szlacheckich w odrębną jednostkę militarną, konkretnej realizacyi, mimo sankcyę cesarską, nie otrzymały; stąd znowu szeroko stosowana inkorporacya pojedynczych Polaków do różnych oddziałów wojsk rosyjskich, która spotkała się z zupełną i szczerą aprobatą najwyższą i znalazła natychmiastowe, jaknaj-szersze zastosowanie.

Na życzenie Potemkina, którego nagabywaniom tak trudno było odmówić, wydała cesarzowa na ręce feldmarszałka w dn. $\frac{1}{12}$ marca 1784 r. ukaz imienny, zalecający utworzenie z drobnej szlachty, osiadłej w namiestnictwach mohylowskiem i połockiem, sześciu chorągwi lekkiej jazdy, czterech mohylowskich a dwóch połockich, każda po 103 konie, ogółem na 618 koni. Chorągiew składać się miała z 3 oberoficerów, 2 podoficerów, 3 kaprali i 95 szeregowców. W czasie pokojowym trzecia część szeregowców winna była być kolejno zwalniana do domów i otrzymywać przez ten czas jeno połowę gaży. Dowódcami chorągwi mogli być generałowie, nie pobierając jednak za to dodatkowego wynagrodzenia. Jednocześnie zatwierdzony został etat owych sześciu chorągwi „białoruskich“¹⁾. Barwy mundurów dane były granatowa z malinową, krój przyjęty w rosyjskich pułkach lekkokonnych według etatu z dn. 10, 21 kwietnia 1786 r. Ponieważ pułki lekkokonne dzieliły się na 6 szwadronów, formacya więc sześciu chorągwi odpowiadała składowi jednego pułku.

Pozatem tenże ukaz imienny, wciągnięty do Zbioru Praw za nr. 15,944, zalecał Potemkinowi uformować z „lepszej szlachty białoruskiej“ osobną chorągiew Cesarską Białoruską, z dwóch rot a czterech brygad, liczących łącznie 80 towarzyszków i 120 pocz-

¹⁾ Rotmistrz otrzymywał 300 rb. rocznej pensyi, porucznik 200, chorąży 150, wachmistrz 24, podoficer 18, trzej kaprale po 15, szeregowcy po 12, na prowiant dla jednej chorągwi przeznaczone było 402.17 rb., na broń, mundury i amunicyę jednorazowo 3,085 i pół rb. i corocznie 335.53 rb., na kupno 100 koni (oficerowie musieli mieć własne) jednorazowo 3,000 rb. i 375 corocznie, a wszystkiego razem na sześć chorągwi 60,088.08⁷ rb. jednorazowo i 30,838.20 rb. corocznie. „Połnoje Sobranje Zakonow Rossijskoj Impierii“, XXII, 59, XLIII № 15944.

towych. Towarzysze otrzymywali rangi oficerskie. Rangi te były różne a liczebność rot nierównomierna: za skalę do podziału na kategorie posłużył cenzus majątkowy. W skład pierwszej brygady pierwszej roty wchodziło 20 poruczników, z których każdy przyprowadzał trzech ludzi i miał ich z sobą w brygadzie; w skład II brygady I roty 20 podporuczników, z których każdy przyprowadzał dwóch pocztowych; I brygadę II roty stanowiło 20 praporszczyków z 20 tylko ogółem pocztowymi; II zaś brygadę II roty 20 młodszych praporszczyków bez pocztowych: mieli oni za zadanie sprawować wartę i być na ordynansach „u głównego dowódcy“, widocznie samego generał-gubernatora białoruskiego, gdyż, jak można z tego wszystkiego wnosić, miała to być chorągiew reprezentacyjna nowego wielkorządcy. Odpowiednio do tych wysokich przeznaczeń dowodzić rotami mieli generałowie, nie pobierając za to oddzielnego wynagrodzenia, a oficerowie chorągwi uważani byli za sztabsoficierów. Barwy mundurów wybrane zostały słomkowa z malinową, ozdoby srebrne. Wyznaczony był etat¹⁾. Gdyby zaś z pośród dostatniej szlachty „białoruskiej“, a nawet choćby zagranicznej (czyli polskiej z granic Rzplitej), dodawał ukaz, zjawiali się chętni do bezpłatnej służby w tak „znakomitej“ chorągwi, to dozwala się im dawać rangi oficerskie, zależne od ilości przyprowadzanych ludzi, i w ten sposób formować drugi taki komplet.

Po wydaniu jednak ukazu działać widocznie poczęły jakieś nieuchwytnie hamulce, gdyż rozkaz cesarski pozostał martwą literą²⁾. W pięć lat później, 11 22 kwietnia 1789 r., tenże Potemkin przesłał na ręce generał-gubernatora białoruskiego Piotra Passeka poufne zlecenie przysłania mu niezwłocznie dokładnych

1) Etat dla tej chorągwi wyznaczyła cesarzowa następujący: porucznicy po 250 rb. rocznej pensyi, podporucznicy po 200, praporszczycy po 150, młodszy praporszczycy po 100, pocztowi po 9 rb., na prowiant przeznaczone było 482,62 1/4 rb. rocznie, na broń, mundury i amunicję dla 120 pocztowych 3,702,6 rb. jednorazowo i 1,002,63 corocznie, ogółem zaś 20,705,22 1/4 rb. jednorazowo i 18,005,25 1/4 rb. corocznie.

2) Wiskowatyj w swem wielotomowem „Istorieskom opisanii odieždy i woorużenia rossijskich wojsk“ (1847) wspomina, co prawda, jakoby trzy z tych chorągwi—Cesarska, jedna połocka i jedna mohylowska—zostały uformowane, ale brak o nich jakiegokolwiek śladu w papierach sztabowych, brak następujących rozporządzeń cesarskich o ich rozwiązaniu lub przemianowaniu, wreszcie dość liczne błędy i nieścisłości w pracy Wiskowatyja nasuwają i w danym wypadku pewne wątpliwości.

odpowiedzi na następujące pytania: 1) kogo postawiono na czele chorągwi białoruskich, mających się formować z drobnej szlachty białoruskiej, do jakiej narodowości ci dowódcy należą, jaką religię wyznają, a jeśli to cudzoziemcy, to czy urodzeni w Rosyi, czy za granicą? 2) na ile głów można liczyć ogół drobnej szlachty na Białej Rusi, jakie jest jej rozsiadlenie według poszczególnych powiatów, jaką ona religię wyznaje i jaki jest jej stan posiadania? Passek odpowiedział niezwłocznie raportem, datowanym z Mohylowa dnia 20 kwietnia (1 maja) 1789 r., a przesłanym przez umyślnego kuryera, majora Czaplica; dodawał przytem, że o ile książę zażąda bardziej szczegółowych spisów szlachty, to on mu ich nieomieszka złożyć podczas spodziewanego przejazdu ks. Tauridy przez Mohylów. Na pierwsze pytanie Passek przypominał Potemkinowi, iż dowódcami projektowanych chorągwi mianowani zostali przez samego księcia: inflanctzyk-luteranin major Karol Berger, syn zmarłego podpułkownika pułku Konnego lejbgwardyi, oraz dwaj bracia, katolicy, miejscowi szlachcice, majorzy Wincenty i Eufemiusz Czaplice. Od siebie Passek proponował na czwartego dowódcę Bergera, brata poprzedniego, majora Petersburskiego pułku dragonów. Na drugie pytanie donosił, iż zdalnych do służby wojskowej, w wieku od lat 15 do 40, znalazło się ogółem w gubernii mohylowskiej 2,007 drobnej szlachty, w połockiej zaś 673, a wszystkich razem 2,680. Z tej liczby ledwie 1425 mieszka na własnej ziemi, posiadając łącznie wszystkiego 1,308 włók; pozostali zaś 1,255 własnego zagona nie mają, obrabiając rolę dzierżawioną lub zastawniczą, bądź wreszcie pracując prywatnie w różnych zawodach; wszyscy łacinnicy i unicy, religię prawosławną wyznają jednostki. Potemkin, niezadowolony snać z ciągnącej się z latami organizacyi chorągwi „białoruskich“, polecał rekrutacyę przymusową, drogą wyboru najlepszego materiału wojskowego z ogółu szlachty, podział zaś na chorągwie zalecał dokonać na zasadzie cenzusu majątkowego. W odpowiedzi Passek nieśmiało przekładał potężnemu księciu ujemne strony takiego stawiania kwestyi. Proponował przymusową rekrutacyę zastąpić werbunkiem ochotników. Tłómaczył Potemkinowi, że rekrutacya wystraszy jedynie szlachtę polską, „źle wychowaną“, nawykłą do niesubordynacyi i nieokiełznanej swobody, a następnie pobudzi ją do tłumnej emigracyi za kordon, do Rzplitej, gdzie w tym czasie intensywnie werbowano ochotników, cackając się z nimi i wydając im na ręce dość znaczną gotówkę. W takich warunkach każdy z nich będzie wołał służyć dobrowolnie w Polsce, niż przymusowo u nas, dodawał Passek, a tak są bie-

dni, że nie mają nic do stracenia—jedna dziesięcina żywi prze-
ważnie trzech, czterech zdolnych do wojska, nie biorąc w rachubę niepełnoletnich, starców i chorych, wielu zaś nie posiada wogóle żadnej własności. Proponował więc generał-gubernator organizować chorągwie drogą werbunku, z nowozaciecznymi zaś postępować łaskawie, jak ze szlachtą—„jest to jedyny bodaj sposób uniknięcia masowej emigracji za kordon“. Podział na chorągwie według cenzusu majątkowego nie wydawał mu się również wykonalnym, a to ze względu, że w połowie owa drobna szlachta była bezrolną, w połowie zaś posiadała własnych zagonów tak mało, że niemal nie różniła się od bezrolnej¹⁾.

Przypuszczać należy, iż sprawa chorągwi polskich na Białej Rusi wyczerpała się na korespondencji kancelaryjnej i wraz z śmiercią Potemkina została ostatecznie pogrzebaną. Głównym jej czynnym propagatorem na miejscu był ów major Eufemiusz Czaplic, jeden z tych ciemnych rycerzyków przemysłu politycznego, jakich tak wielu grasuje zazwyczaj w przelomowej dobie kataklizmów społecznych. Eufemiusz syn Ignacego Czaplic pochodził ze starej rodziny szlacheckiej herbu Kierdeja, katolickiej mimo swą progeniturę białoruską, skoligaconej z kasztelanem krakowskim Jabłonowskim i z możnym Woyną, starostą stanisławowskim, człowiekiem wpływowym zarówno w Warszawie jak w Wiedniu²⁾. Po ojcu dziedziczył Czaplic do spółki z braćmi wioskę w Mohylowszczyźnie. Według własnego świadectwa urodził się w r. 1766, prawdopodobnie jednak nieco wcześniej, w szkołach posiadał historię, geografję, język polski i łacinę; rosyjski nabył z praktyki, a z czasem i francuski; nauk wojskowych nie studiował, animusz kawaleryjski miał już we krwi, z przodków. Dzięki koligacyom i możnej protekcji młodzieniaszkiem jeszcze będąc został z bratem Wincentym szambelanem króla Stanisława Augusta. Otwierała się przed nim karyera w kraju rodzinnym. Ale o niej nie myślał: żyłkę awanturniczą łączył w sobie ze zmysłem praktycznym i z brakiem jakichkolwiek przesądów i skrupułów, to też widoków na przyszłość nie budował na kruchych podstawach, nie wiązał swych losów z walącym się gmachem Rzplitej. Nowe warunki polityczne w rodzinnej okolicy, łatwe

¹⁾ Potemkin do Passeka 11 kwietnia 1789 r., Raporty Passeka do Potemkina z Mohyłowa 20 kwietnia 1789 (otrzymany 9 maja) i 21 kwietnia 1789, Moskiewskie Arch. Sztabu, op. 194 sw. 160 d. 4.

²⁾ Herbarz Bonieckiego.

przystosowanie się do nich otoczenia, wywarły nań wpływ decydujący — oddał swe życie w służbę nowym gospodarzom, niepodzielnie i bez skrupułów, stał się Rosyaninem wiary katolickiej i to, jak zazwyczaj bywa w takich razach, gorliwszym od aborygenów. Trafił do Potemkina, pokumał się z miejscową administracją, oddawał jej najdrażliwsze usługi i już od 15/26 października 1783 liczył się faktycznie na żołdzie rosyjskim. Ale formalnie sprawa ta weszła na porządek dzienny dopiero w r. 1786: 21 października Potemkin mianował obydwóch Czapliców kapitanami, a już w trzy tygodnie później, 1 listopada, wskutek specjalnych uzdolnień cnych braciaszków, posunął ich obydwóch na sekund-majorów w chorągwiach, organizujących się na Białej Rusi¹⁾. Nominacja była fikcją, bo chorągwie się nie zorganizowały. Młody Czaplic, miast dowództwa, pełnił przy boku generał-gubernatora Passeka jakieś funkcyje natury poufnie-policyjnej. Tu się wyróżnił, jako człowiek zdolny do wszystkiego, który porwał już ostatnie węzły z krajem ojczystym. Oceniał go też należycie Potemkin i w r. 1788 przyłączył do swego sztabu. Odtąd widzimy Czaplica stale niemal na południowym terenie działań wojennych, co mu nie przeszkadzało od czasu do czasu zjeżdżać w strony rodzinne—był widocznie ogniwiem pośredniczącym między wszechwładnym faworytem a administracją miejscową, zarazem zaś okiem i uchem Potemkina, jego w wielu sprawach pol-

¹⁾ Czaplic w formularzu, który sam układał, twierdzi, jakoby już 15/26 października 1783 r. został mianowany sekund-majorom w chorągwiach białoruskich. Przeczą temu dokumenty: 1) Zawiadomienie Potemkina przesłane do Kollegium Wojennego, № 953, 11 list. st. st. 1786 r., iż „wskutek próśb szambelanów służby polskiej Eufemiusza i Wincentego Czapliców i z racyi ich specjalnych uzdolnień, przyjęci są oni przezemnie do służby wojaskowej Jej C. M. i przeznaczeni do organizujących się obecnie chorągwi białoruskich w rangach sekund-majorów“; 2) Prośby Czapliców, pisane przez Ignacego Gorbunowa, kaprała p. Izmailowskiego, podane 21 października st. st. 1786 r., z podpisami w języku rosyjskim: „uk siemu proszeniju ruku prilożił polskoj korolewskej służby kamiergier Jefim (resp. Wikientij) Czaplic“, a zawierające treść taką, że „byłem w polskiej, królewskiej służbie rzeczywistym szambelanem z polskiej szlachty... a teraz ja wzmiankowany mam gorące życzenie służbę kontynuować w armii W. C. M. w pułkach połowych“. Na 4 str. obydwóch tych próśb adnotacya: „21 października st. st. rezolucya Jego Ekscelencyi: przyjąć w stopniu kapitana“; 3) Dziennik Kollegium Wojennego pod dn. 4 grudnia st. st. 1786 r.: zatwierdzenie decyzji Potemkina i polecenie wydania Czaplicom patentów na rangi sekund-majorów; 4) Zawiadomienie o tem Ekspedycyi armii, dat. 18 maja st. st. 1788 r.

skich konfidentem. Przechodził przez próbę ognia, zaczynał wyrównywać swą świetną karierę wojskową. Brał udział w oblężeniu Oczakowa, w pierwszym jego stadium, potem w zdobyciu Bender. W korpusie księcia Anhalt walczył pod Kauszanami i przy wzięciu Akkermanu. 8/19 maja 1790 r. otrzymał awans na premier-majora. W boju odznaczał się odwagą zatracenia: gdy przy szturmie Izmaiłu poprowadził kolumnę ochotników i odparł wycieczkę z bramy benderskiej, polecony przez Suworowa, otrzymał order Włodzimierza 4 klasy z kokardą i zwrócił na siebie „uwagę najwyższą¹⁾”. W 1791 r. dowodził dwoma szwadronami huzarów przy głównej kwaterze Potemkina, w 1792 r. na specjalne zlecenie Katarzyny towarzyszył Kachowskiemu w jego pochodzie na Warszawę i za tę kampanię 10/21 września awansował na podpułkownika w Smoleńskim pułku dragonów. W Polsce, jako znający kraj, język i ludzi, był jednym z kierowników szpiegostwa politycznego: przesiadywał bądź w Warszawie, bądź w Krakowie, badał nastrój załóg polskich i werbował redukowanych żołnierzy do szeregów rosyjskich¹⁾. W dni kwietniowe 1794 r. pośredniczył w pertraktacjach Igelstroma z powstańcami; kontuzyjowany w lewą rękę, dostał się do niewoli, jak i 30 innych Polaków z garnizonu rosyjskiego. Dopiero jednak uczestnictwo w operetkowym pochodzie perskim Zubowa dało mu stopień pułkownika. Z czasem ten sam Czaplic, obok Sieversa starszego, najlepszy rosyjski generał jazdy w kampaniach napoleońskich, był głównym sprawcą berezyńskiej topieli: Rosya zaliczyła go w poczet swych bohaterów narodowych, których pamięć czczyła niedawno tak uroczyście Moskwa złotogława, białokamienna.

Równolegle z wznowioną próbą utworzenia polskich oddziałów jazdy na Białej Rusi podjął Potemkin analogiczne zabiegi organizacyjne na południowo-zachodnich krańcach Rosyi. Tutaj, wśród trosk i tarapatów wojny tureckiej, uformował on naprzód przy głównej kwaterze swojej, zleceniem z dnia 20 lutego st. st. 1788 r., dwie kohorty wolontaryuszów (wołontiorskija kohorty), pieszą i konną, w niebieskie przyodziane uniformy²⁾. Kohorty te zwano pospolicie arnauckimi komendami. Utworzone one zo-

¹⁾ Bronisław Szwarce, Warszawa w 1794 r., I, 127, i Tadeusz Kupeczyński, Kraków w Powstaniu Kościuszkowskim, 54, 61, 101, przytaczają list Czaplica do Igelstroma z 15-go marca z Krakowa w odpisach L. Dembowskiego w arch. OO. Kapucynów w Krakowie.

²⁾ Żurnal ischodiaszczim bumagam kn. Potemkina, 1788 goda, № 923.

stały wyłącznie z zagranicznych wychodźców¹⁾ dla celów bardziej prowokacyjnych, niż ściśle militarnych. Byli to przeważnie uciekinierzy z pod jarzma tureckiego, różni Arnauci, Grecy, Bułgarzy i Serbowie, całość stanowiła jakby miniaturowe odbicie etnicznej mozaiki półwyspu bałkańskiego.

Wśród tej pstrej mieszaniny czabanów, zgonników świń i górskich drapieżników, dziwnym kontrastem odbijali nieliczni ochotnicy polscy, błędni poszukiwacze chleba lub awanturniczych przygód²⁾.

¹⁾ Pierwszą próbę utworzenia oddzielnego legionu Cudzoziemskiego w wojsku rosyjskim napotykanymy w r. 1769. Wszystkich bez wyjątku obco-krajowców, przyjętych do armii imperatorowej w początkach tego roku, zaliczono do legionu. Zamiany jednak spełzły na niczem: legion Cudzoziemski przybrał nazwę Petersburskiego i nie nosił już później charakteru inoplemiennnej wyłączności.

²⁾ Pomiedzy wolontaryuszami kohorty konnej, pod komendą premier-majora Giriejewa, napotykanymy między innymi: porucznika Bohdana Markuszewicza, z czasem oficera w Malorosyjskim pułku regularnych kozaków, chorążych Aleksandra syna Stefana Bilenkiewicza (szlachcie greckiego wyznania z kordonu austriackiego, lat 35, władał polskim, rosyjskim, łaciną i serbskim), Michała syna Trofima Malickiego (Polak, wyzn. greckiego, władał również językiem greckim), Antoniego syna Bazylego Krasowskiego (szl. polski greckiej wiary, l. 29, władał rosyjskim, polskim i mołdawskim); Jana syna Jana Libiszewskiego (l. 60, szl. z kordonu austriackiego, władał językami polskim, niemieckim i czeskim), wreszcie Jakóba syna Pawła Lewickiego (szl. pol. greckiej wiary, l. 26, z czasem urzędnik jekatierinosławskiego namiestnictwa)—wszyscy oni odbyli kampanię turecką. W kohorcie pieszej podpułkownika Nikorycy, z czasem podpułkownika Kantakuzena, znajdujemy kadetów: Romana Wasilewskiego (szl. pol., l. 32, przedtem służył w brygadzie Złotopolskiej), Piotra Olchowskiego (szl. pol., l. 30, b. urzędnik namiestn. jekatierinosł.), Eugeniusza Białomorskiego, wreszcie Karola Tyszkiewicza, którego ranglista da nam pojęcie o udziale kohorty w kampanii: Tyszkiewicz, ochotnik ze szlachty polskiej, lat 27, wstąpił jako wachmistrz 5/16 listopada 1788 r., kadetem został 8/19 listopada 1789 r.; walczył 13/24 września 1789 r. pod Kauszanami, potem pod Benderami, przy wzięciu fortecy Pałapii, pod Belgradem dniestrowskim, przy wzięciu Bender i krwawym szturmie Izmailu; 9/20 lipca 1793 r. podał się do dymisji, chory na szkorbut, z nadwyrężonym przez konia krzyżem. Pomiedzy wachmistrzami tej kohorty szlachciami polskimi byli m. in.: Konstanty Czerwiński, Paweł Ternowski i Antoni Zdanczewski. Za Polaków również podawali się: nieumiejący ani czytać, ani pisać kadet Nikifor Iwanczenko, b. urzędnik olwipolskiej poczty pogranicznej, następnie kadet Denis Maczewski, wachmistrze Bazyli Kopnicki i Piotr Gołowaczewski (Op. 3, sw. 104, diela 1—6: rang-listy z r. 1793, podania o dymisye).

Książę Taurydy, ciągle jeszcze pełen fantasmagoryi o dackiej purpurze, za bytności swojej w nowonabytych posiadłościach ukraińskich, rozejrzał się w miejscowym materyale chłopskim, gdzie tliły tak świeże jeszcze tradycje kozaczyzny i hajdamactwa, i zorganizował naprędce z tych poddanych Rzplitej cztery szwadrony regularnych kozaków. Jazdę tę, wraz z wystawionym batalionem piechoty i 12 armatami, wziął na własny koszt w służbę rosyjską. Na czas wojny wojsko to miało być przyłączone do Jekatierinostawskiego pułku kirasyerów.¹⁾ Nieco później znów, rozkazem z dnia 13 24 maja 1790, utworzył Potemkin, również z kozaków ukraińskich a częściowo zadnieprzańskich, pięciotysięczny *korpus pieszych strzelców*, podzielony na 25 secin i przyodziany w zielony strój kozacki. Organizacją korpusu zajął się gen. Lewanidow. Potemkin planował zapewne stworzyć w ten sposób kadry przyszłej armii dackiej, a na skutek zdumiewającej obojętności czy opieszałości zreformowanego rządu polskiego nie napotykał żadnych przeszkód w realizacji uzurpatorskich poczynañ. Tegoż 13 24 maja 1790 r. wydał również Potemkin zlecenie uformowania *kohorty wolontaryuszów*, wyłącznie już z polskich wychodźców. O ile została ona istotnie skompletowaną i wcieloną do armii czynnej, to żywot jej musiał być krótki, jak życie motyla, w roku już bowiem 1792, po śmierci Potemkina i zlikwidowaniu wojny tureckiej, rozwiązany został zarówno korpus ukraiński (20 lipca st. st.), jak i wszystkie niemal kohorty z przybyszów obcokrajowych. Likwidacja arnauckich komend trwała jeszcze i w następnym 1793 roku. Korpus pieszych strzelców został raz jeszcze wskrzeszony, w Kijowie w r. 1794, z racji powstania Kościuszkowskiego, jako straszak dla żywiołu polskiego na szerokiej Ukrainie²⁾. Na czele jego stanął po raz wtóry gen. por. Lewanidow, zależny od Rumiancewa. W końcu czerwca korpus liczył dziewięć secin, z nich dwie stały w samym Kijowie i strzegły jeńców polskich, siedem pozostałych rozstawione były w pobliskiej okolicy. Ale już w połowie lipca uzbierało się 17 secin z mieszkańców gubernii kijowskiej i czernihowskiej: kijowska, łochwicka, perejaśławska, glińska, zołotonoska, romeńska, łubiańska, przyłucka, chorolska, borzeńska, hadziacka, konotopska, mir-

¹⁾ Potemkin do Katarzyny 22 czerwca (rok nie podany), op. 119, sw. 41, nr. 46.

²⁾ Ukaz 24 kwietnia st. st. 1794 r., Poln. sobr. zak. Ros. Imp., XXII i XLIII, cz. I, nr. 15, 944.

horodzka, berezyńska, kozielecka, horodnicka i osterska. W rzeczy samej obecny na stanowisku korpus oficerski składał się w tym czasie z nadetatowego pułk. Piotra Lewanidowa, podpułkowników Bobyria i Markowa, premier-majora Aleksandra Boborykina, sekund-majorów Gołubajewa, Skałowskiego, Lubimowa, Wyridarskiego, ośmiu kapitanów (m. nimi Wołodimirow i Andrejewski), siedemnastu poruczników (m. nimi ks. Andrzej Chowański). We wrześniu 1794 r. Lewanidow skompletował korpus do normy, t. j. do 25 rot, dawał się jednak odczuwać wielki brak oficerów. Dziesięć rot w pełnym składzie wysłał Lewanidow pod gen.-maj. Maksymowiczem na zachód, widocznie w zastępstwo któregoś z pułków zabranych w pochód przez Suworowa. W Kijowie pozostało 15 rot z 10 armatami, które nawet w grudniu były jeszcze bez koni i bez uprzęży. Na czele artylerii korpusowej Płaton Zubow postawił kapitana artylerii Durasowa. Ta kijowska reszta korpusu była lichą zbieraniną, bez kadrów oficerskich: pozostało ledwie po jednym oficerze w rocie. Korpus strzegł jeńców i sprawował warty w mieście. Dowódca jego gen.-lejtant Andrzej syn Jakóba Lewanidow 2 września st. st. 1797 r. podał się do dymisji, ale korpus istniał jeszcze w r. 1799¹⁾.

Po dokonaniu drugiego rozbioru Polski nowy zabór rosyjski objął dwie różne połacie Rzplitej: dzielnicę ukraińską, składającą się z województw kijowskiego, bractawskiego i podolskiego, oraz dzielnicę litewską, etnicznie białoruską, z Mińskiem, jako ośrodkiem. W obu dzielnicach stały załogą dość liczne wojska polskie. Uszczuplona terytoryalnie, a stąd i finansowo Rzplita, utraciwszy część większą swych dzierżaw, nie mogła oczywiście zachować poprzedniego kontyngensu i etatu wojsk. Poza tą obiektywną koniecznością stała nadto potężniejsza wola państw zabórczych, której mocą okrojona Rzplita miała przybrać charakter neutralnego państewka, fikcyjnie jedynie niezawisłego, faktycznie

¹⁾ Dziennik papierów sekretnych, wychodzących z kancelarii Potemkina 1790 r., № 652; Wniosek Sałtykowa w Kollegium Wojeńnem, 21 lipca st. st. 1792 r., № 197; Papiery Kozackiego Powyt'ja 1792 r., sw. 149, nr. 18; Raporty Lewanidowa 1794 r. (op. 193 sw. 92 nr. 1, 2, 7, 11, 14, 19, 21, 27, 38, 46); Ukaz Katarzyny do Lewanidowa 25 maja st. st. 1794 r., Lewanidow do Rumiancewa z Kijowa 20, 23 czerwca, 3, 9 lipca, 19 września st. st.; Ranglista Lewanidowa: prośba jego o dymisję i świadectwo choroby, wydane przez lekarza Jacobsa (op. 152 sw. 8, nr. 302); Polnoje Sobranie zakonow Rossijskoj Imperii, XXII, nr. 15,944, XLIII, nr. 15,944, 17,200, 17,656; Wiskowatyj, Istoričeskoje opisanie odieždy i woorużenia rossijskich wojsk, tomy IV i VI.

zaś będącego pod „protektorem“ Rosyi, o uszczuplonej gwarancyjnie do minimum sile zbrojnej. Oczywiście w takich warunkach nie mogła wszechwładna protektorka lekkomyślnie wypuszczać wojsk polskich z kraju zaanektowanego w granice Rzplitej. Wobec postanowionej już przez państwa zaborcze redukcji wojsk w Polsce nowoprzybyłe oddziały zwiększyłyby jedynie ferment i niezadowolenie w Rzplitej, utrudniłyby nieskończenie i bez nich niełatwe zadanie przeprowadzenia redukcji, a na wypadek jakiegoś ewentualnego wybuchu ostatecznej rozpaczki wzmogłyby jego intensywność i oporność, co oczywiście nie mogło być pożądanem nawet dla partii Platona Zubowa, która byłaby rada widzieć w Polsce jakieś drobne nieskoordynowane zamieszki, będące dobrym pretekstem do konfiskat i następnego tyle pożądanego obłowy, lecz nigdy ruch masowy, solidarny i potężny, jakiego ostateczne wyniki pozostają zawsze jedną wielką zagadką. A pozatem Rosya odczuwała ostrą potrzebę zwiększenia swych sił militarnych, wycieńczonych długim okresem kampanii tureckich, polskich, szwedzkich i kaukaskich. Jako państwo par excellence militarne, setki różnych plemion w jeden organizm skupiające wszechmocną potęgą bagnetu, cierpiała ona na wieczny głód rekruta. Stąd owo stale praktykowane, gwałtem czy przekupstwem, werbownictwo rosyjskie w okupowanej Rzplitej. Nowy zabór powiększał wewnętrzne trudności, komplikował zarządek i obronę, wymagał zwiększenia siły zbrojnej, a jednocześnie dawał zarówno w podatkach, jak i w konfiskatach, nowe źródła na jej utrzymanie. Pierwszem więc zadaniem rządu rosyjskiego po zaanektowaniu nowego zaboru było niewypuszczenie garnizonów polskich poza nowy kordon, drugim zaś wcielenie tych oddziałów, bądź podstępem, bądź gwałtem, do armii rosyjskiej, i tylko w ostatecznym razie ich rozbrowienie i puszczenie luzem do domów. Na Litwie przeprowadzenie tych zamierzeń powierzone zostało generałowi Bohdanowi Knorringowi, który wykonanie danych mu zleceń temi słowy streszcza: „w r. 1793 otrzymałem komendę nad korpusem stojącym na Litwie z poleceniem przeprowadzenia polskich granic od Drui przez Pińsk na Wołyń; polskie zaś wojska, jakie zastanę w obrębie tych granic, nakazano mi zapraszać, przymuszać i pociągać do złożenia przysięgi na poddaństwo rosyjskie, w przeciwnym zaś razie, rozbrowiwszy, wyprawiać na życzenie za granicę“. W nagrodę za sprężyste wykonanie tych zleceń otrzymał Knorring 2/13 maja 1793 order św. Anny klasy I oraz łącznie z dwoma braćmi majątek na dożywocie w prowincji

cyach nadbałtyckich ze zwolnieniem od tenuty dzierżawnej¹⁾. Prócz drobnych komend i różnych pojedynczych luzaków, Knorring zagarnął VIII regiment piechoty litewskiej oraz II i III brygadę kawaleryi narodowej.

Regiment VIII piechoty litewskiej, szefostwa książąt Radziwiłłów, liczył etatowo głów 1440, podług zaś raportu z czerwca 1791 r. obejmował faktycznie 1402 ludzi. W ostatniej kampanii regimentem dowodził pułkownik Dederko. Jeden batalion okrywał Nieśwież i 16 czerwca 1792 r. poddał się Fersenowi bez wystrzału, drugi, w liczbie 635 głów, siedł w centrum cofającej się wciąż armii Zabiełły. Po wojnie regiment znalazł się w nowym zaborze i tu, w marcu 1793 r., został przez Knorringa zagarnięty, pod pretekstem, że składa się z kantonistów, pochodzących z ziem świeżo zaanektowanych; około 1,300 ludzi bądź wciągnęli Rosyanie przemocą do szeregów swoich, bądź, w razie nieprzełamanego oporu, rozesłali do domów, jeno 71 głów oficerów i podoficerów zmuszony już był Knorring wypuścić do Rzplitej.²⁾

Pińska brygada kawaleryi narodowej wojsk litewskich, jak wszystkie brygady kawaleryi narodowej, powstała jeszcze z dawnej usarsko-petyhorskiej formacji wojsk i do r. 1775 dzieliła się na 32 chorągwie—4 usarskie i 28 petyhorskich czyli pancernych. W r. 1775 według konstytucyi Sejmu Małachowskiego z owych 32 chorągwi sformowane zostały dwie brygady petyhorskie³⁾, z nich druga przebywała zazwyczaj w okolicach Pińska, stąd utrzymała i samą nazwę Pińskiej. 8 października 1789 r. konstytucya Sejmu Wielkiego ustaliła etat kawaleryi narodowej wojsk litewskich, nie objął on jednak brygady Pińskiej. Dopiero Komisya Wojskowa, spostrzegłszy liczne opuszczenia wetacie konstytucyjnym, ustaliła mocą specjalnej decyzyi Sejmu w r.

¹⁾ Ranglista gen. Bohdana Knorringa, w generalskich formularzach w Archiwum Sztabu Głównego w Moskwie. Niezależnie od Knorringa działał wtedy również na Litwie pułk. Dunin-Rajewski, przyszły bohater hitwy nad Moskwą w r. 1812, w 1793 wykomenderowany przez gen.-maj. Teodora Berchmana z oddziałem ku Mohylowu. Po drodze rozbroił on polskie komendy, za co 2/13 września tegoż roku nagrodzony został orderem Włodzimierza 4 stopnia, por. formularze Rajewskiego, wydane w osobnej broszurze przez Borysiewicza (Petersburg, 1912).

²⁾ Por. Korzon, Dz. Wewn., V, 67, 104, 120—122, 153, 282, VI, 82; Tabela Ożarowskiego według raportów nadesłanych i Relacya Deputacyi sejmowej z dn. 19 sierpnia 1793 r.

³⁾ Według prof. Korzona, V, 151, 1 brygada nosiła nazwę usarskiej.

1790 osobną pozycję etatową dla brygady Pińskiej. Według niej brygada dzieliła się na 4 dywizyony, 8 szwadronów, 16 chorągwi. Chorągiew obejmowała 4 oficerów, 23 namiestników i towarzyszy, 76 szeregowców, a razem 103 ludzi. Łącznie ze sztabem komplet brygady wynosił 1677 żołnierza, w rzeczywistości zaś, w czerwcu 1791 r., było w szeregu 1633 ludzi. Podczas kampanii litewskiej 1792 r. dowodził brygadą brygadier Twardowski. Według świadectwa Działyńskiego była to kawaleria „niemusztrowana i bez żadnej subordynacji“. Brała jednak udział w potyczkach pod Mirem, Krzemieniem i Brześciem i zaprawiła się nieco, choć ludzi straciła zapewne niewielu. 14 marca 1793 z polecenia konfederacyi Targowickiej hetman Kossakowski przysłał brygadzie nowy etat, redukujący ją do 10 chorągwi. Formowano wtedy trzecią brygadę litewską kawaleryi narodowej i sześć chorągwi II brygady zostały przeznaczone na skompletowanie nowej formacyi¹⁾. Taką fikcyjną redukcją objęła widocznie i I brygadę, gdyż raport jej *pro 1 augusti* 1793 r. w porównaniu ze stanem tejże brygady w dniu 24 maja 1792 r. wykazuje ubytek blisko 600 jeźdźców, a z nich ledwie trzecią część możnaby zaliczyć na karb strat wojennych, dezercyi i sporadycznych po wojnie dymisyi. W marcu 1793 r. nadszedł Knorring i zajął II brygadę, stojącą w kraju świeżo przyłączonym do Rosyi, zagarnął ją wraz z sześcioma chorągwiami (czyli trzema szwadronami) przeznaczonymi na dopełnienie III brygady. Hetmanowi Kossakowskiemu smacznie przypadło do gustu to uszczuplenie podkomendnych mu sił: miała brygada nowe mundury uszyte w Pińsku, Kossakowski zlecił je Twardowskiemu wywieźć do Polski. Twardowski wyjechał w nowy kordon 28 marca, zabierając z sobą mundury i papiery brygady, pozostawił jednak kasę z zawartością 70,222 złp. 15 gr. 9 den. Wkrótce zaczęła się w brygadzie masowa dezercya do Rzplitej. W czerwcu zbiegła cała 32 chorągiew (według dawniejszej, tradycyjnie zachowanej, numeracyi); podpor. Adam Klimowicz perswadował ludziom, by tego nie czynili, ale oni go nie posłuchali i zabrawszy mu z mieszkania, w nagrodę za gorliwość, 4,000 złp. własnych jego pieniędzy, czynichnęli do kraju. Ich śladem poszły drobne oddziały i po-

¹⁾ Komisya Wojskowa litewska wypłaciła brygadzie II ostatni raz pensję za kwartał marcowy 1793 r. na 10 chorągwi — 190,124 złp. 24 gr. 11 den. i dla brygady III, dla której sformowania z brygady II wysłane było 6 chorągwi — 138,020 złp. 21 gr. 8 den. Razem 328,145 złp. 16 gr. 1 den.

jedyńczy ryzykanci, tak że do 1 sierpnia było już na Litwie 369 głów z II brygady, nie licząc 348 z III, które prawdopodobnie wydzielone zostały z I brygady i stąd nieobjęte kordonem rosyjskim¹⁾. Ciekawe było zachowanie się w tym czasie porucznika Kopcia, przysięgłego bohatera i męczennika Insurekcji kościuszkowskiej. Tak o nim opiewa raport komisarza Sieleckiego, który na początku 1794 r. odbył przegląd brygady Pińskiej, wcielonej do wojsk rosyjskich. „Po odbytej rewii, pisze on, nie mogłem nie zwrócić szczególnej uwagi na chorągiew 19, przedstawioną mi w pełnym komplecie ludzi, koni i amunicji. Policzylem to na karb gorliwej i pilnej służby dowódcy tej chorągwi porucznika Jej Cesarskiej Mości Kopcia, który w dobie przyłączenia kraju i wojsk energią swą utrzymał w szeregu wszystkich swoich podwładnych i był dla nich przykładem w składaniu przysięgi na wierność służby²⁾. Komendę nad brygadą, łącznie już z 6 chorągwiami, przeznaczonemi poprzednio do ukompletowania III brygady, objął wicebrygadyer Sebastyan Słomiński, b. kapitan wojsk saskich, weteran wojny siedmioletniej, zresztą człowiek bez zasad.

Wojska polskie, zagarnięte na Litwie, przysięgę złożyły przed Knorringiem, luźne spóźnione oddziały przed Nieplujewem w Mińsku. Rozłożono tych Polaków w gub. mińskiej, wyznaczając dla nich osobnego kriegscalmeistra z kancelaryą w Nieświeżu. Zresztą II brygada Pińska nie długo bytowała na Litwie. Pod koniec 1793 r. nakazano jej marsz w stronę Kamieńca Podolskiego, a gdy przybyła na Ruś wcielono ją do armii ks. Dołgorukiego. 11 stycznia n. st. 1794 kriegskomisarz Sielecki odbył przegląd inspektorski brygady i znalazł w niej ogółem 833 ludzi, w tem 36 chorych, koni 972. 16^{ta}, czyli według dawniejszej numeracji 32 chorągiew liczyła wszystkiego 3 ludzi. Bardzo niekompletnym był korpus oficerski: ani jednego majora, ani jednego rotmistrza, poruczników 9, podporucznicy dowodzili chorągwiami, towarzyszków liczono 176, szeregowców 506. Ubranie miała brygada zużyte, buty podarte, siodła kształtu niemieckiego odparzały konie, które wogóle nie były zbyt tegie, jedynie broń była dobra, poczdām-

¹⁾ Por. Korzon, Dz. Wewn., V, 67, 120—124, 151, 273, 282. Dzieje wojsk polskich, zaanektowanych przez Rosję w r. 1793, przedstawiam na mocy trzech „swiazok“ papierów tych wojsk, przechowanych w Mosk. Arch. Sztabu. Obejmują one: papiery przeglądu inspektorskiego, opisy, listy imienne i rachunki pułków, papiery dotyczące się rozbroyenia tych wojsk, korespondencję urzędową i akta sądowe.

ska. Ludzie, głodni i źle odziani, prosili masowo o urlopy, o dymisie.

Na Rusi, dokąd przesunięto brygadę Pińską, stała rozlokowana przez Targowiczan, wskutek inspiracji władz rosyjskich, doborowa większość armii koronnej, najlepsze, najdzielniejsze pułki polskie, stanowiące główny rdzeń armii ks. Józefa w świeżo odbytej kampanii ukraińskiej 1792 r. Były to dywizye ukraińsko-bracławska Lubowidzkiego i wołyńsko-podolska Lubomirskiego z załogą jedynej bodaj istotnej twierdzy w Rzplitej—Kamieńca. Opinia ogółu głosiła jeszcze przed wojną, że „w regimentach ukraińskich lud jest dorodniejszy, zdrowszy i wytrzymalszy, niż w innych... piechota tak dobra, iż czynnie użyta by być mogła i mało jej brakuje, aby się mogła równać z zagraniczną... a na manewrach „wojsko ukraińskie sprawiło zadziwienie oficerów zagranicznych, mianowicie co do piechoty“. Ale i w kawaleryi narodowej celowała nad wszystkie brygada Wielhorskiego, późniejsza Łażnińskiego, a krytyczny Bułhakow pisał, że pułk lekkiej jazdy Württemberski był „rzeczywiście przez znawców wysoce chwਾਲony“. Nie bez kozery więc stłoczono w jednej dzielnicy Rzplitej część większą jej wojska koronnego, i to doborową, tam, na pograniczu „zaprzyjaźnionego po wsze czasy“ mocarstwa, ogalającą względnie z siły zbrojnej cały ośrodek kraju wraz ze stolicą, całe pogranicze pruskie i austriackie. Rosya z góry planowo wybrała sobie najlepsze pułki polskie, zostawiając Rzplitej lichszą gatunkowo mniejszość. Targowica w tej całej imprezie grała rolę ślepego narzędzia, a jej prowodyrzy, żywiąc patryotyzm lokalny, radzi byli takiemu uświetnieniu własnych prowincyi: prztem mieli oni zawsze pewną słabość do intratnych dostaw dla wojska. Na czele zagrożonych dywizyi postawiono dwóch znanych sprzedawczyków. Ale nie dość tego: ze wszystkich oddziałów wojsk Rzplitej najlepszą szawę zyskała sobie artylerya znakomitą celnością strzałów; zawdzięczała swą biegłość, porządek i wyborne urządzenie Brühlowi; miała wielu oficerów, co się wysłużyli od gemeina; i te właśnie wzorowe kompanie artyleryczne, dumę i chlubę wojsk polskich, Targowiczanie „od armat oddzieliwszy, w odległe miejsca na Ukrainę, następnie przez Moskwę zabraną... wysłać dysponowali“¹⁾. Było tych kompanii 11 z ogół-

¹⁾ Korzon, V, 80, 92—95, 140, 277, 281; doniesienia J. K. M. z dn. 8 października 1791 r. przez Michała Starzeńskiego, starostę brąńskiego; korespon. z Bracławia w „Gaz. Nar. y Obc.“, 1791, str. 337; dziennik Bułhakowa u Ka-

nej liczby 16; 4 stały w Kamieńcu, 7 innych w Krasnem, a w Polsce rdzennej ledwie pięć kompanii pozostało, liczących wszystkich głów 788. Toteż jednocześnie z rozesłaniem ukazu o drugim rozbiórze Polski Katarzyna 8 19 grudnia 1792 r. polecała zabrać niezwłocznie artylerję polską, rozstawioną w Bracławiu, Krasnem i koło Kamieńca „bez asekuracyi wśród wojsk rosyjskich“¹⁾. Tak zapoczątkowane zostało dokonanie gwałtu na armii polskiej przemocą i postrachem, w pamiętnym roku 1793 — zabór wojska dopełniał zabór terytoryalny: następne przetworzenie tej armii w narzędzie „czynne i sprawne“ wydawało się już tylko kwestyą czasu. Obok artylerji na pierwszy ogień poszedł czolowy w Rzeczypospolitej XIV regiment piechoty imienia Potockich, noszący barwy granatowe z niebieskiem, niegdyś zwany pułkiem Szczęsnego, w kampanii 1792 r. regimentem Teodora Potockiego, później znów Szczęsnego, bohaterski pułk z pod Zieleniec. Rozbroił go Derfelden w tymże jeszcze 1792 roku²⁾. Snać wierny był sztandarom swym do końca, snać specjalnie zdradny i niebezpieczny, kiedy go nawet nie ośmielono się wcielić do armii rosyjskiej. Może za karę, za Zieleniec, tak, jak zsyłano później pułki na Sybir. Wkrótce potem, w kwietniu 1793 r. zagarniętą została cała dywizya ukraińsko-bracławska gen. Lubowidzkiego. Historia ta znana jest z pamiętników Wyszковского, z konstrukcyjnej podstawowej pracy prof. Korzona. Kreczetnikowowi udało się naprzód skłonić na swą stronę zdrajcę Lubowidzkiego. Potem do głównej kwatery rosyjskiej w Łabuniu ściągnięto podstępem 43 polskich generałów i sztabs-oficerów i zamkniętych w sali

linki; dekret Sądu Najwyższego Kryminalnego przeciw hersztom spisku Targowickiego, „Gaz. Rząd.“, 337. Winienem tu zaznaczyć, że prof. Korzon w ogromnie drobiazgowych, skomplikowanych i zmudnych dociekaniach nad składem armii polskiej wykazał nadzwyczajną ścisłość i wyjątkową wprost intuicyę. Mimo obfitości posiadanego nowego materiału, mogę do wywodów jego wnieść ledwie parę poprawek i to raczej korektorskich. Znaki zapytania wyrażają własne moje wątpliwości.

¹⁾ Sbornik Russkawo Ist. Obszcz., XLVII, 438.

²⁾ Korzon V, 60; adnotacya w papierach pułku Izjasławskiego, że pułk ten otrzymał, z polecenia Derfeldena, 72 namioty, pozostałe po rozwiązaniu regimentu piechoty marszałka konfederacyi hr. Potockiego; adnotacya w rankliście Józefa Zajemskiego, por. 14 reg. piech., później zaś Winnickiego pułku lekkokonnych, iż przysięgę złożył „przy rozwiązaniu 14 pułku piechoty im. Potockich“.

zmuszono do przysięgi pod grozą zesłania¹⁾. Dalsze kroki nie przedstawiały już większych trudności: sztab był skaptowany a wojsko polskie otoczone pierścieniem wojsk rosyjskich. Ukazem z dnia 6/17 maja 1793 r., skierowanym do Kollegium Wojennego, Katarzyna II wcieliła urzędowo dywizję Lubowidzkiego do armii rosyjskiej, dając jej nazwę Ukraińskiej²⁾. Pozostawieni byli w dywizyi dawni dowódcy (gen.-por. Lubowidzki, gen.-maj. Stanisław syn Marcina Wielowieyski i Roch syn Jakóba Jerlicz) i komenda polska, pozostawione mundury, zmienione zostały tylko feldcechy, dla odróżnienia od wojsk, pozostałych w Rzplitej. Pułki i brygady otrzymały nowe nazwy: Brygada kawalerii narodowej I ukraińska Jana Świejkowskiego, poprzednio (1791 r.) gen.-maj. Lubowidzkiego, licząca etatowo 1819 ludzi, otrzymała nazwę Dnieprowskiej. Brygada kawal. narod. II ukraińska Franciszka Łażnińskiego, poprzednio Mioduskiego, Wielhorskiego, Mokronowskiego i Sanguszkii, 1819 ludzi, otrzymała nazwę Wołyńskiej. Brygada kaw. nar. I wołyńska Dzierżka, 1819 ludzi, przechrzczona została na Braclawską. Brygada kaw. nar. II wołyńska Jerlicza, pod komendą Macieja Perekladowskiego, 1819 ludzi, nazwana Dniestrzańską. Pułk przedniej straży II Buławy wielkiej koronnej, 1099 ludzi, otrzymał nazwę Żytomierskiego lekkokonnego³⁾. Pułk przedniej straży V ks. Württemberskiego, uformowany w r. 1717 z lekkich chorągwi wołoskich, zwany czas

¹⁾ Pomiędzy nimi znajdowali się: brygadyerzy Jan Świejkowski i Mateusz Perekladowski, wicebrygadyerzy: Michał Lubowidzki, Franciszek Dederko i Stanisław Kublicki, podpułk. Laurenty Zdziechowski, majorzy Tadeusz Błędowski, Konstanty Ożarowski i Ksawery Wyszkowski, rotmistrze Fortunat Rakowiecki, Ignacy Frankowski, Woyciech Kozłowski, podporucznicy Stanisław Pasławski, Wincenty Wróblewski i Anastazy Walewski, wreszcie cały niemal korpus oficerski regimentu Wolnej Konfederacyi.

²⁾ Połnoje Sobr. zakonow Ros. Imp., XXIII, 428. Sztaty wojskam nowoprisojediniennawo od Polszi Korpusa, Departament Inspektorski Ministerium Wojny, ks. 4. „Rospisanie“ nowej nomenklatury pułków i brygad podpisał Płaton Zubow 6/17 maja w Petersburgu. 17/28 sierpnia 1793 r. z polecenia Senatu ukaz cesarzowej wraz z „rozpisaniem“ Zubowa rozesłany został do wszelkich urzędów i władz.

³⁾ Według „Polskiej Ustawy Wojskowej 1600 r.“ pułk ten zwał się ar-kabuzerów, w 1670 przekształcony na rajtarski, w 1717 r. na dragoniński; etat układali dlań wtedy feldm. Fleming i pułk. gwardyi koronnej hr. Młynich, późniejszy feldmarszałek rosyjski. W 1789 r. przemianowany na pułk przedniej straży. Szefami jego byli zawsze hetmani wielcy koronni, stąd zwał się on stale pułkiem Buławy wielkiej koronnej.

dłuższy pułkiem przedniej straży szefostwa Byszewskiego, ten sam, który odbył kampanię litewską pod komendą brygadiera Walewskiego, a liczył wtedy w swych szeregach młodego ks. Ad. Czartoryskiego, wogóle zaś 1099 ludzi, przemianowany na Konstantynowski lekkokonnny. Pułk Kijowski lekkiej jazdy, szefostwa Borzęckiego, uformowany przezeń na rozkaz Konfederacji, z dnia 28 września 1792 r., z dwóch pułków t. zw. kozackich czyli pancernych Jana Potockiego, starosty kaniowskiego, i Borzęckiego pod pułkownikiem Poniatowskim¹⁾, 1122 ludzi, otrzymał nazwę Buskiego lekkokonnego. Pułk lekkiej jazdy Humański, świeżej formacji targowickiej, ufundowany przez Szczęsnego Potockiego z nadwornych kozaków i własnych jego poddanych, 1122 ludzi, nazwany Winnickim lekkokonnym. Regiment pieszy XII im. Malczewskiego (od r. 1789), uformowany 14 maja 1775 r., zrekrutowany ostatnio w województwie kijowskim, 1448 ludzi, przezwany został pułkiem Izjaśtawskim grenadyerów. Regiment pieszy Wolnej Konfederacji²⁾, szefostwa gen. Adama Moszczeńskiego³⁾, uformowany przezeń w 1792 r., na skutek decyzji Konfederacji z dn. 1 lipca n. st., z batalionu regimentu XV pieszego, pod komendą pułk. Dzierzeńskiego⁴⁾, 1448 ludzi, otrzymał nazwę pułku Owruckiego muszkietarów. Do tejże dywizji gen.-por. Lubowidzkiego włączono zaanektowane poprzednio 6 kompanii artylerii i pierwszą kompanię pontonierów⁵⁾, etatowo 991 ludzi. Razem dywizya ta,

¹⁾ Według prof. Korzona, V, 142, 162. szefostwa poprzednio ks. Józefa Poniatowskiego; czy nie zaszło tu jednak wypadkiem pomieszanie ks. Józefa z komenderującym pułkownikiem?

²⁾ Prof. Korzon uznaje za prawidłowszą nazwę „Konfederacji Wolnych“; nomenklatura użyta przezemnie figuruje stale w papierach regimentu, pisanych jednak w języku rosyjskim, stąd w danym wypadku nie całkiem miarodajnych.

³⁾ Znany pamiętnikarz, szwagier Jana Świeykowski, wojewodzica podolskiego. Przez lat trzy, będąc posłem na Sejmie czteroletnim, z polecenia Potemkina, którego był stałym agentem, organizował opozycję sejmową. Później marszałek województwa bractawskiego i konsyliarz generalny Konfederacji Targowickiej. Arcyciekawą autobiografię swą podał w liście bez daty do Rumiancewa, na którym podpisał się „Adam hrabia Nałęcz Moszczeński“. Przy formowaniu pułku Wolnej Konfederacji Moszczeński zakupił dlań z własnych funduszów 2,000 karabinów i 2,000 szabli.

⁴⁾ Czy Dzierżańskiego (prof. Korzon).

⁵⁾ O kompanii pontonierów dowiadujemy się z nagłówka: „Raporty miesięczne polskich wojsk artylerijskawe korpusa i pierwszej pontonowej rotty“. We wszystkich innych papierach figuruje zawsze tylko „7 rot artylerii“, za-

złożona z czterech brygad kawaleryi narodowej, każda po trzy bataliony a dwanaście szwadronów, z czterech ośmioszwadronowych pułków lekkiej jazdy, z dwóch regimentów piechoty, każdy po dwa bataliony a po osiem kompanii, wreszcie z sześciu kompanii artyleryi i jednej pontonierów, liczyła według etatu 15,605 ludzi. Przysięgę złożyły te oddziały: brygada Dnieprowska w Białej Cerkwi, Dniestrzańska w Bohusławiu, Bracławska w Lisiance, Wołyńska w Mohylowie nad Dniestrem, pułk Winnicki we wsi Rydawce, Żytomierski w Jampolu i w Śmialem (= Śmile), Buski w Nowochwastowie, Konstantynowski w Czerkasach, Owrucki w Łabuniu i Izjasławski w Tetyjowie. W ciągu całego następnego roku zmiany w rozkwaterowaniu pułków i brygad były bardzo nieznaczne: I batalion pułku Winnickiego stanął we wsi Sokółówce, II w odległości 50 wiorst we wsi Ryżówce i okolicach; pułk Owrucki przeniósł się do Pohrebyszcz; Żytomierski stał w komplecie w okolicach Smiły. Brygadę Wołyńską rozkwaterowano w Szarogrodzie, dwa jej szwadrony rozstawiono na granicy ponad Dniestrem od Jampola do wsi Biłocza (czas jakiś cztery szwadrony rozstawione były aż do Jahorlika), całą brygadę zaś przydzielono do dywizyi Derfeldena, do brygady Mikołaja Tołstoja, pod naczelnem dowództwem tegoż Dołgorukiego, któremu podkomendne były wszystkie świeżo przyłączone wojska polskie. Na miejsce brygady Wołyńskiej przybyła z Litwy brygada Pińska¹⁾. Artylerya zaliczona została do brygady gen.-maj. Wielowieyskiego i rozlokowana w województwie bracławskiem, w miasteczku Krasnem i okolicy.

21 kwietnia (2 maja) Kamieniec Podolski został zdradziecko wydany Derfeldenowi. Wojska rosyjskie zagarnęły załogę kamieniecką i połowę dywizyi podolsko-wołyńskiej ks. Lubomirskiego, mianowicie pułki rozstawione w przyłączonem do Rosyi województwie podolskiem. Nie licząc rozbrojonego poprzednio regimentu pieszego XIV, imienia Potockich, wcielone zostały do armii rosyjskiej następujące oddziały: Regiment pieszy XI szefostwa Plińskiego, poprzednio Marcina Lubomirskiego²⁾, 2 bataliony

pewne więc kompanię pontonierów liczono za artyleryjską. O ile nie mamy tu do czynienia z jakimś błędem kancelaryi wojskowych rosyjskich, w takim razie przychwyconych zostało 10 kompanii artyleryi i pierwsza pontonierów, pozostało zaś w kraju 6 kompanii artyleryi i druga pontonierów.

¹⁾ O decyzji ściągnięcia brygady Pińskiej w „okolice Kamieńca Podolskiego” pisze Dołgorukij do Turczaninowa 20 czerwca st. st. 1793 r.

²⁾ Utworzony na sejmie 1774 r. z etatem na 1000 ludzi. Szefem jego został gen.-lejt. ks. Marcin Lubomirski, który wzamian za otrzymane na wiecz-

a 8 kompanii, 1439 ludzi, kompletowany werbunkiem i rekrutacją w województwach bractawskim i podolskim, zaprzysiężony w komplecie w Kamieńcu 21 kwietnia (2 maja), rozlokowany następnie w Barze i okolicach pod dowództwem pułk. Ignacego Przybyszewskiego, a przezwany pułkiem Mohylowskim muszkietarów. Regiment pieszy IV Buławy polnej koronnej, dawniej wielkiej koronnej¹⁾, szefostwa hetmana polnego Rzewuskiego, stanowiący załogę Kamieńca, dowodzony przez brygadiera Hanickiego, później przez pułk. Jakóba Dahlke, 2 bataliony a 8 kompanii, 1447 ludzi, przezwany został pułkiem Kamienieckim muszkietarów i rozlokowany w Michałpolu i okolicach. Korpus garnizonowy artylerii, 4 kompanie, 600 ludzi²⁾. Brygada kawalerii narodowej Antoniego Złotnickiego, 12 szwadronów, 1819 ludzi, przezwana Podolską i rozlokowana w Wołodarach. Wreszcie brygada Jana Suchorzewskiego, 12 szwadronów, 1819 ludzi, przeznaczona już na wcielenie do armii rosyjskiej, wyłamała się i przed złożeniem przysięgi, pod przewodem szefa swego, zbiegła na terytorium młtańskie. Ogółem, według tabel, Rzplita straciła na

ne czasy od Rzplitej starostwo barskie zobowiązany był sformować go w ciągu roku. Na sejmie 1775 r. regiment ten z braku środków zredukowany został do 444 ludzi, a w 1776 r. zredukowany powtórnie do 6 kompanii a 322 głów. Na sejmie 1789 r. powiększony do 1440 głów.

¹⁾ Szefami jego byli hetmani wielcy lub polni; zazwyczaj hetman polny, zostając wielkim, zachowywał regiment, stąd zmiany w nazwie jego. Po r. 1717 szefem regimentu został hetman wielki koronny Sieniawski i regiment nosił wtedy nazwę Buławy wielkiej koronnej. Po śmierci Sieniawskiego szefem regimentu był hetman polny Chomentowski i regiment nazywał się Buławy polnej koronnej. Za Augusta III szefem regimentu był hetman wielki Potocki, wojewoda kijowski, a po jego śmierci, w r. 1751 Wacław Rzewuski hetman polny, wojewoda podolski. Po śmierci Branickiego Rzewuski został hetmanem wielkim i regiment zatrzymał przy sobie. Później Rzewuski oddał buławę królowi a król Branickiemu, hetmanem polnym zaś został syn Rzewuskiego, który zarazem objął szefostwo regimentu po ojcu. Stąd przed wcieleniem go do armii rosyjskiej nosił on nazwę regimentu pieszego IV Buławy polnej. Ta zawilóść sprawiła zamieszanie u prof. Korzona V, 155, VI, 117, a pochodnie i u innych autorów. Zapewne kościuszkowski regiment IV Buławy wielkiej był dawniejszym regimentem VIII Buławy polnej. Przystawienie numeracyi stało się niezbędnem dla utrzymania jej kolejności.

²⁾ Etatowy skład tych czterech kompanii artylerii nie jest mi znany. Otrzymałem go po zsumowaniu ogólnej liczby głów piechoty i 7 „rot“ artylerii i odjęciu tej sumy od podanej przez Deputację sejmową liczby 8,821 głów infanterii zajętej w kordon rosyjski.

tym zaborze, według doniesienia Deputacyi sejmowej z dn. 19 sierpnia 1793 r., 15,738 jazdy i 8,821 piechoty, a razem 24,559 głów wojska koronnego, nie licząc brygady Pińskiej i innych oddziałów litewskich. W mojem wyszczególnieniu brakuje 382 jeźdźców¹⁾, na których ślad nie natrafiłem. Być może, iż rozbrojone zostały jeszcze jakieś luźne oddziały z wołyńskich pułków przedniej straży, np. pułku Karwickiego, który w raportach z lipca 1793 r. figuruje w składzie o połowę mniejszym, niż w kwietniu 1792 r., lub pułku V im. Lubomirskich, który również wykazuje nadmierne straty, a wstąpienie w tym czasie sporej liczby oficerów tego pułku do szeregów polskich w armii rosyjskiej zdaje się potwierdzać pośrednio nasze przypuszczenia. Były to zapewne szwadrony lekkiej jazdy, garnizonujące w Kamieńcu²⁾. W każdym bądź razie nie zostały one wcielone do armii rosyjskiej, tylko rozwiązane.

Wojska tej drugiej seryi, zaanektowanej już po wzięciu Kamieńca, uformowały drugą dywizję z gen.-por. Złotnickim na czele, z drugim Złotnickim i Janem Pouppartem na stanowiskach generał-majorów.

Tak się przedstawia zabór armii polskiej przez Rosyę w r. 1793. Rzeczywisty jednak skład pułków był o wiele niższy, niż wykazują tabele i w większości oddziałów zmniejszał się stopniowo stale do samego wybuchu Insurekcji. Przed wojną 1792 r. pułki i brygady wojsk Rzplitej znajdowały się istotnie nieomal w komplecie, tak np. w regimencie Potockich lub Ilińskiego, w brygadzie Lubowidzkiego brakowało zaledwie kilku lub kilkunastu żołnierzy, a największe braki wykazywał pułk ks. Württemberskiego—67 jeźdźców, ale nastąpiła wojna, oddziały potraciły nieco ludzi w boju, więcej zaś, jak zwykle, na maruderstwie i dezterterstwie. Częściowo wypełniono luki ochotnikami, po skończonej jednak wojnie ludzie ci, w miarę możności, usuwali się do domów. Nastąpiły czasy Targowicy, a potem rządów rosyjskich: oficerowie podawali się masowo do dymisji, armia ukraińska miała ich wkrótce ledwie połowiczny komplet—podporucznicy dowodzili częstokroć szwadronami i kompaniami, porucznicy spełniali funkcje majorów. Władze rosyjskie zmuszały do przysięgi, ale gdy ani groźba, ani namowa nie skutkowały, wydawały im pasz-

¹⁾ Liczbę tę należy jeszcze podnieść, gdyż zestawienie Deputacyi sejmowej uwzględniło zapewne powrót do kraju połowy pułku Württemberga.

²⁾ Korzon, Dz. Wewn., V, 279, 147, 281, 68.

porty na wyjazd¹⁾. W szeregu pozostały jedynie jednostki o nierozwiniętem poczuciu narodowem. Dość powiedzieć, że gdy pułki przedniej straży Württemberski i II Buławy wielkiej koronnej zdecydowały się ruszyć marszem do Kościuszki, na dwa te pułki jeden zaledwie oficer zdecydował się przyłączyć do insurgentów, a i ten syngelton okazał się zdrajcą-prowokatorem, któ-

¹⁾ Tak, w korpusie artylerji w Krasnem pozostało wszystkiego 12 oficerów, 5 odkomenderowano chwilowo z różnemi zleceniami. Gałęcki przeniesiony został do Kamienica, Wróblewski do pułku Humańskiego, 24 zaś usunęło się w różnym czasie od połowy 1792 do 1 maja 1793 r. Przytaczam tu ich spis: pułk. Antoni Konarski, major Józef Górski, kapitan Antoni Pierściński, Benedykt Magiera, Maciej Mirosławski, sztabs-kapitan Karol Lichocki, Michał Chomentowski, kwatermistrz Józef Koch, porucznicy Ignacy Bieliński, Paweł Uszyński, Antoni Engelhardt, Kazimierz Małachowski, Jan Thiele, adjutant Antoni Kloss czy Gloss, podporucznicy Jan Kierski, Adam Aygner, Fryderyk Illot, Franciszek Plewiński, Władysław Stokowski, chorążowie (sztyk junkrzy) Antoni Gorski, Wojciech Czapski, Józef Laskowski, Fryderyk Gerszt, Dominik Popowski. Z nich 11 otrzymało paszporty na wyjazd za granicę, z powodu odmówienia przysięgi. Pozostali abszytowali się wcześniej, za czasów Targowicy, lub pozostali w kraju własnowolnie, gdy korpus tranzlokowano na Ruś (Specyfikacya o znajdujących się wakansach, z dn. 1 oct. 1793). W brygadzie Wołyńskiej brakowało 18 oficerów, a w tem wszystkich 12 rotmistrzów: Ignacego Czarneckiego, Hieronima Kollątaja, Joachima Wilgi, Józefa Świdzińskiego, Jana Ostrowskiego, Michała Miączyńskiego, Floryana Brońca, Tadeusza Łuckiego, Ignacego Ledóchowskiego, Stanisława Potockiego, Hieronima Sanguszkii i Ignacego Karsza, audytora Antoniego Mirosławskiego, adjutanta Andrzeja Piotrowskiego, podpor. Tadeusza Dzbańskiego, 1 wicebryg., 1 chor. (kwat. Jan Tyzenhauz został generalnym kwatermistrzem dywizji). Nawet po uzupełniających nominacyach na miejsca wakujące brakowało oficerów, nie licząc namiestników: w bryg. Braclawskiej 22 (w tem wszystkich 12 rotmistrzów), Dniestrzańskiej 12 rotmistrzów, Dnieprowskiej 23 (w tem wszystkich rotmistrzów), Pińskiej 42 (w tem wszystkich 3 majorów i 16 rotmistrzów), w pułku Winnickim 5, Buskim 2, Żytomierskim 8, w czterech szwadronach Konstantynowskiego 17, w pułku Kamienieckim 13, Owruckim 7, Mohylowskim 20, Izjasławskim 9. Jeżeli doliczymy oddziały nieuwzględnione przezemnie, oraz tych oficerów, którzy zostali zastąpieni, ogół oficerów, którzy się usunęli, rachować można na trzysta głów. Ze służby zaś rosyjskiej zbiegło od jesieni 1793 r. do czerwca 1794: z bryg. Dnieprowskiej 3 oficerów, Dniestrzańskiej 4, Podolskiej 6, Braclawskiej 17, Pińskiej 19, Wołyńskiej 33, z pułku Winnickiego 2, Żytomierskiego 5, Buskiego 5, Izjasławskiego 4, Owruckiego 8, Mohylowskiego 3, Kamienieckiego 8, razem 117. Z ogólnej liczby 400 oficerów armii Ukraińskiej, którzy zdołali w ten lub inny sposób usunąć się z rosyjskich szeregów, olbrzymia większość brała udział w Insurekcyi.

ry podstępem zmarnował w bezecny sposób zupełnie wykonalne skądinąd przedsięwzięcie. Nawet najlepsi z nich—Kopeć, Łażniński i Wyszkowski—byli z początku gorliwymi wykonawcami nowego rządu i dopiero nad wyraz gorzka rzeczywistość rozbudziła w nich poczucie obywatelskiego obowiązku. W sędzie nad ludźmi tych czasów winniśmy jednak zachować pewną rezerwę: wszak dopiero w tej dobie przełomowej, bardziej jeszcze rewolucyjnej w dziedzinie umysłowości, niż w dziedzinie ustroju państwowego, szersze warstwy szlacheckie i mieszczańskie przyswajały stopniowo rozumienie ojczyzny w dzisiejszem tego słowa znaczeniu i niemniej stopniowo tylko kształciły w sobie poczucie obowiązków narodowych. Jedni przyswajali te pojęcia i te poczucia łatwiej, drudzy nader powolnie, a jednak nieraz niemniej intensywnie¹⁾.

Warszawa przepełniona była w tym czasie oficerami z dywizji ukraińskich, podawali oni gremialnie prośby o przyjęcie do wojska polskiego²⁾: uratowało to siły te dla Insurekcji, powiększyło szanse wybuchu warszawskiego, dostarczyło kadrów oficerskich nowym formacyom wojska kościuszkowskiego, ale z drugiej strony wyjałowiło osierocone szeregi polskie na Rusi z wszelkiego uświadomionego, wrażliwego i uczciwego elementu, utrudniło niepomierne agitacyę, wogóle niezbyt umiejętnie i energicznie prowadzoną, zmroziło owoce pracy Działyńskiego, sparaliżowało w zarodku czyn insurekcyjny na szerokiej Ukrainie. I korektywa w tym właśnie kierunku winna była być pierwszą troską organizatorów powstańców.

Gremialne dymisyje oficerów wywołały masową dezercyę żołnierzy. Wszyscy oni niemal prosili o zwolnienie ich ze służby, ale bez rezultatu³⁾. Uciekano więc za kordon do Multan, ucieka-

¹⁾ W Rosyi ten proces odbył się znacznie później, a zapoczątkowała go dopiero wojna 1812 r.

²⁾ Korzon, V, 280, 283. 45 oficerów złożyło Sejmowi podania o umieszczenie ich w wojsku polskiem. Olbrzymia większość jednak mieszkała prywatnie w miastach głównych i po wsiach i do służby targowickiej się nie kwapiła. Na ich miejsce Szczęsny Potocki przyjmował swych protegowanych bez kwalifikacyi. Oficerowie znów Owruckiego pułku, ukompletowani zostali niemal wyłącznie z korpusu oficerskiego rozwiązanego reg. XIV im. Potockich.

³⁾ Lubowidzki, Kreczetnikow, Dołgorukij i inni poprzyjmowali również na miejsce nieobecnych sporo nowych oficerów, bądź z pułków rozwiązanych, bądź też z Polaków w służbie rosyjskiej. Tak np. w kwietniu 1793 r. Kreczetnikow przyjął i umieścił w dywizji ukraińskiej: z pułku V przedniej stra-

no do Rzplitej. Nie było miesiąca, ażeby w raportach którego z pułków nie notowano licznych zbiegów. Pojedyncze uciekinierstwo obliczyć się nieda. Wiemy jedynie, że istotny skład pułków przy końcu 1793 znacznie już odbiegał od etatowego kontyngensu. Przeważną ilość tych braków zaliczyć należy na karb dezercyi, mniejszą na rzecz strat w kampanii 1792 r., pokrytych zresztą częściowo rekrutacją w zaborze. Tak, regiment IV Buławy polnej koronnej, niebiorący nawet w kampanii czynnego udziału, któremu w marcu 1792 r. brakowało do kompletu głów 51, w grudniu 1793 r. wykazywał niedobór 338 ludzi; te liczby dają najlepszą miarę intensywności omawianego zjawiska w dobie przełomowej. Ważniejszą była dezercya korporacyjna, jako protest demonstracyjny, jako przykład i bodziec dla innych, na przyszłość.

Pierwszym, jak wiadomo, wyłamał się z nowych, nieznomych warunków nowokreowany brygadyer Jan Suchorzewski, niesforne, marnotrawny syn Rzplitej, ale postać szlachecko-anarchicznie nieugięta i do jarzma nienawykła, wyłamał się, by iść na ciężką, aż nadto zasłużoną pokutę. Działo się to w chwili, gdy gen. Lubowidzki ściągnął do Łabunia starszyznę polską, brygadyerów i pułkowników, dla złożenia przysięgi na wierność Rosyi, 8/19 kwietnia 1793 r. Suchorzewski, zrozumiawszy o co chodzi, nie pojechał do Łabunia i, korzystając z nieobecności w pobliżu wojsk rosyjskich, a także z kwaterunku swego nadgranicznego, zdecydował się na krok rozpaczliwy, sam nie zdając sobie dobrze sprawy, co zamierza i co dalej będzie czynił. Skłonił on mianowicie dwie brygady kawalerii narodowej, swoją i Łażnińskiego, pozostającą chwilowo bez dowódcy, do gremialnej ucieczki na terytorium mołdawskie.

ży rotmistrzów Józefa Lipińskiego i Teodora Kościna, namiestników 6, towarzyszy 13; z byłego pułku Lanckorońskiego kapitanów Wojciecha Kozłowskiego, Wojciecha Grabowskiego, audytora Onufrego Bynkowskiego (zap. Bąkowski), poruczników Ludwika Janowskiego i Piotra Mrozowskiego, podporuczników Sebastjana Pislawskiego, Walentego Łanińskiego, Jana Hulewieza, chorążych Michała Mukańskiego, Anastazego Walewskiego, Józefa Mrozowskiego, Kajetana Zawadyńskiego; z pułku Braclawskiego pod im. Wolności kap. Ignacego Pasławskiego, por. Macieja (czy Mateusza) Wolskiego i podpor. Macieja Sielskiego, „którzy (trzej ostatni) z racyi lojalności swej, a głównie pierwsi, widząc bezmyślny upór swych władz, a nie chcąc brać udziału w ich przestępstwie, poprosili o absztyty i z otrzymanymi paszportami przyszli do mnie (t. j. do Kreczetnikowa)* (?).

Brygada Suchorzewskiego przeszła Dniestr pod Mohylowem dnia 6/17 kwietnia w pełnym komplecie ludzi, z końmi, bronią i rzeczami. Zaraz na drugim brzegu zaszła jakaś drobna scysya kawalerzystów narodowych z pikietą mołdawską i Polacy dwóch ludzi poranili. Jednocześnie 700 jeźdźców z brygady Wołyńskiej przepравиło się pod Raszkowem w pełnym rynsztunku bojowym. Druga połowa brygady Łażnińskiego przepłynęła Dniestr pod Jampolem na trzech promach polskich i dwóch mołdawskich; przeprawa trwała przeszło 24 godziny¹⁾. Gospodar mołdawski, tajnie sprzyjający Polakom, przeraził się jednak możliwych konsekwencyi, tembardziej, że działo się to w czasie pokojowym, Turcyja narazie nie była przygotowaną do wojny i zupełnie jej sobie nie życzyła, a incydent groził komplikacyami. Wysłano więc nad granicę Serdara Beldemana z drugim hospodarskim zaufanym, dla zapytania się zbrojnych emigrantów, co zaczęli, po co przyszedli i co dalej zamierzają czynić. Sztafeta za sztafetą szły z Jass do Carogrodu, z gwałtownemi rekryminacyami dokładnych instrukcyi. Jednocześnie Sewerin słał kuryerów do Chwostowa w Stambule, do Goleniszczewa-Kutuzowa, do generałów Tołstoja

¹⁾ Sewerin, konsul rosyjski w Jassach, szczegóły te odnosi do przeprawy pod Jampolem, przypuszczam jednak, że tyczą się one prędzej brygady Suchorzewskiego. Co do liczebności brygad dane zawarte w depeszach Sewerina i w listach generałów rosyjskich są naogół sprzeczne z sobą i nie dadzą się powiązać w jedną całość. Brygadę Suchorzewskiego oblicza Sewerin na 1800 głów, oddział raszkowski na 700, a ogółem, powiada, przepравиło się na brzeg mołdawski 3000 ludzi, czyli, że oddział jampolski rachuje na 500 głów. Kreczetnikow w swej odpowiedzi konsulowi gorąco protestował przeciw przesadnemu obliczaniu brygady Suchorzewskiego. Ufać zbyttnio Kreczetnikowowi nie można, gdyż w jego interesie leżało zbagatelizowanie całego incydentu w oczach Petersburga, z drugiej jednak strony należy wziąć pod uwagę, że wszystkie brygady narodowe liczyły w tym czasie mniej więcej po 1500 ludzi, trudno więc przypuścić, ażeby świeżo uformowana brygada Suchorzewskiego miała je tak niepomieranie składeć swym przeraścią; należy mieć również na względzie, że z powodu szybkości decyzyi i wykonania całej imprezy, brygada Wołyńska, rozrzucona w pasie nadgranicznym na znacznej przestrzeni, pozostawiła zapewne na tamtym brzegu bardziej oddalone luźne chorągwie. Stąd ogół zbrojnych dezertersów rachuję na 2700 ludzi (1500 w brygadzie Suchorzewskiego i 1200 z brygady Wołyńskiej), wyprowadzając tę liczbę z następnych danych o powrocie brygad pod berło rosyjskie. W jednym z doniesień pisał Sewerin ogólnikowo, że tylko żołnierze wzięli gremialny udział w wyprawie, oficerów zaś wielu się cofnęło — żalowali widocznie pieniędzy, którymi były opłacone ich rangi, wszak dla wielu był to cały ich majątek.

i Kreczetnikowa¹⁾, do Kollegium spraw zagranicznych w Petersburgu. Ten był w kłopotcie: przesyłał informacje o uciekinierach, sprawozdania ze swych gorących przełożeń gospodarowi, a jednocześnie przez umyślnego uprzedzał generałów rosyjskich nadgranicznych, by śledzili Beldemana, który korzystając z rozgardyaszu, gotów się wkręcić na terytoryum zaanektowane, a zna języki krajowe. Brygady tymczasem, przeprawiwszy się, ruszyły początkowo drogą na Chocim. Suchorzewski jednak pieniędzy z sobą nie miał: z chwilą wejścia na obce terytoryum znalazł się w trudnem położeniu i stracił głowę. Ponieważ nie sposób było bez środków utrzymać w obozie taką gromadę ludzi, Suchorzewski więc zdecydował się na krok ostateczny: brygady swe rozpuścił, pozostawiając każdego własnemu przemysłowi. Rozpełzło się też wojsko polskie po dziedzinach otomańskich małymi oddziałkami, rozbrajane przez władze hospodarskie w obawie gwałtów nad spokojnymi mieszkańcami. Znaczniejsza gromada stanęła w Rai chocimskiej, kierując się tęsknotą do ziemi ojczystej. Kiełkowała tam od początku myśl przejścia na terytoryum austriackie i wstąpienia do służby cesarskiej. Niewielki oddział trafił do Jass. Niezwłocznie po dezercyi brygad, załoga Kamieńca Podolskiego prowadziła, pono, jakieś pertraktacye z paszą chocimskim, lecz ten miał kategorycznie odmówić gościny nowym wychodźcom—cała impreza groziła przybraniem zbyt wielkich rozmiarów. Coraz to nowe, bardziej sensacyjne pogłoski przychodziły do Jass: mówiono, jakoby regiment im. Potockich ruszył już w pochód do państwa Otomanów, lecz powstrzymany został przez wojsko rosyjskie; to znów 13, 24 kwietnia nadeszły

¹⁾ W odpowiedzi proslonijny Kreczetnikow, człowiek w gruncie rzeczy niezły, lamentował, że Suchorzewski jest „człowiekiem rozpustnych i czelnych myśli“, a Polacy „dierzkije niepokoriwcy“, którzy nie chcą przyjąć do brodziejstw poddaństwa Jej C. M., a to jedno starczy, by nie cieszyli się żadnymi względami u hospodara; dodawał przytem że źle ukrytem niezadowoleniem, że Sewerin zbyt pośpieszył się z zawiadomieniem Kollegium o całym tem zajściu, które w Petersburgu może być źle zrozumiane, a to tylko Suchorzewski narobił całej biedy. Chytry znów lis, Kutuzow, zalecał Sewerinowi podniecać hospodara, by „jako dobry chrześcijanin i nasz współwyznawca“ nie ścierpiał takiego bezczelnego pobytu tej tłuszczy na terytoryum otomańskim, gdy naruszenie granicy przez Polaków drogą gwałtu jest przecież aż nadto widoczne.

wieści z Chocimia, że słyhać pod Kamieńcem silną kanonadę, że Polacy się bronią i nie chcą poddać twierdzy¹⁾.

Nadjechał tymczasem z Łabunia zaprzysiężony Łażniński i nie zastał brygady swej na miejscach²⁾). Szybko zorientował się w sytuacji i posłał natychmiast przez umyślnego zawiadomienie o całym zdarzeniu do Kreczetnikowa z wyjaśnieniem, że brygada została przez Suchorzewskiego wprowadzona w błąd przez fałszywe rekryminacye i, że on, Łażniński, obowiązuje się ją przyprowadzić z powrotem, o ile tylko wina zostanie przebaczoną i brygada zachowaną w poprzednich warunkach, t. j. z przynależnością do polskiej dywizyi. Kreczetnikow zgodził się na propozycyę Łażnińskiego, do chocimskiego paszy zaś wystął niezwłocznie sztabs-oficera z zapewnieniem, że to nie rosyjskie wojska naruszyły granicę i że Suchorzewski z brygadą na terytorjum otomańskim nie powinien być cierpiany. Pasza przyjął oficera z wyszukaną grzecznością, zapewnił go, że wyda niezwłoczne zlecenia o „dezarmowaniu“ Polaków i do czasu otrzymania rezolucyi ze Stambułu przytrzyma ich na miejscu, bez decyzyi jednak rządu centralnego nie może przedsięwziąć żadnych innych kroków. Względniejszym był gospodar mołdawski, który w trudniejszym będąc położeniu, jako że główny ciężar na jego spadał barki, bez zwłoki przystał na propozycyę rosyjską. Łażnińskiemu bardzo łatwo udało się skłonić obie brygady do powrotu, a dopomagał mu w przekonywaniu oficerów i żołnierzy sam Suchorzewski. Jeszcze przed 26 kwietnia / 7 maja (prawdopodobnie 25 kwietnia 6 maja) przeszło 2,000 ludzi Łażniński przeprowadził z powrotem przez Dniestr do Mohylowa, gdzie ich 27 kwietnia st. st. zaprzysięgł. Nie uratowało to jednak brygady Suchorzewskiego, która została rozwiązana i następnie rozpuszczoną do domów. Brygadę zaś Wołyńską, wbrew poprzednim zapewnieniom Kreczetnikowa, wydzielono z dywizyi wojsk polskich i przyłączono do dywizyi Derfeldena. Po powrocie Łażnińskiego, w ciągu tygodnia jeszcze powracali luzacy i pojedyncze grupy; ogółem do 10 maja n. st. przeszło 100 ludzi wróciło do polskich szeregów, zaprzysiężonych berłu rosyjskiemu, między 10 zaś a 14

¹⁾ Kryje się tu może tajemnica rozpuszczenia regimentu im. Potockich, choć wersjom tym trudno dać całkowitą wiarę.

²⁾ W marcu 1793-go roku sztab-kwaterna Łażnińskiego znajdowała się w Jampolu.

maja n. st. powróciła druga setka maruderów i ostatni z oficerów—porucznik brygady Suchorzewskiego, Czerniewski. Według jego świadectwa, złożonego gen. Tołstojowi, za kordonem, prócz żołnierzy, pozostali sami tylko krewniacy Suchorzewskiego. Sewerin w liście do Tołstoja z dnia 3/14 maja, odsyłając mu trzech kawalerzystów z końmi i bronią, a czterech bez niczego, pisał, że według zgodnego świadectwa tych ludzi, ledwo 200 polskich żołnierzy pozostało jeszcze w Mołdawii, nie licząc Rai. Wynajęli się oni do robót polnych; byli tam pomiędzy nimi dawniejsi dezertrzy z pułków rosyjskich do armii polskiej, których oczywiście amnestya nie obejmowała, byli i tacy, którzy sprzedali konie swe, by obrócić otrzymany grosz na własne utrzymanie.

Ponieważ w brygadzie Wołyńskiej brakowało również kilkunastu czy kilkudziesięciu ludzi, Łażniński wysłał do Multan majora Dunikowskiego dla ostatecznego skłonienia tych najtwardszych do powrotu. Ale żadne namowy i zapewnienia bezkarności nie poskutkowały. Dunikowskiemu nie udało się przyprowadzić ani jednego żołnierza, ani jednego konia; tylko rząd hospodarski, wskutek gorących interwencji konsula Sewerina, oddał wysłańcowi zabrane u dezertarów 15 strzelb, 23 pistolety, 24 szable, ładunki i inne drobiazgi¹⁾. Suchorzewski tymczasem, po miesięcznem goszczeniu w Rai Chocimskiej, koło 20 maja n. st. przeniósł się do mołdawskiego miasteczka Jeszi na samej granicy Rai. Nie miał już czem żywić swych ludzi—wszystkie środki i sposoby się wyczerpały, kogo mógł zwalniał i wysyłał, wreszcie z pozostałymi resztkami do 200 ludzi wynoszącemi, przygnębiony i zbiedzony, w początkach czerwca n. st. przeszedł granicę Bukowiny²⁾. Garstka pozostałych w Mołdawii również ciągle topniała. W początkach czerwca odesłał Sewerin do gen. Złotnickiego w Kamieńcu namiestnika brygady Suchorzewskiego Karola Krzyżanowskiego i kaprała z brygady Wołyńskiej Jana Kaczarowskiego, a pod dn. 30 maja / 10 czerwca pisał do Kollegium, że „w ziemi mołdawskiej pozostało bardzo niewiele dezertarów polskich, a i ci na własną rękę wychodzą, lub też za mojem pośrednictwem, czemu rząd zupełnie nie przeszkadza, szczególnie, gdy oni okazują dobrowolną chęć powrotu“. Najwyżej więc setka mogła pozostać

¹⁾ W listopadzie 1793 r. brygada Wołyńska liczyła 1481 głów.

²⁾ Sewerin do Kollegium, № 24, 30 maja st. st. 1793 r., według świadectwa hospodara; potwierdziło je następnie wielu przyjezdnych.

takich, którzy jakoś urządzili się w Mołdawii i przetrwali do początków Insurekcji¹⁾.

W tymże 1793 r. zdarzył się drugi jeszcze wypadek masowej zbrojnej dezercji: 718 czerwca pomaszzerowały do Polski w pełnym składzie cztery szwadrony pułku ks. Württemberskiego²⁾. Nie wiem już, jak się to stało, że przyjaciele Rzplita nie wydała uciekinierów. Z czasem, jak wiadomo, württemberczycy, łącznie z brygadą Madalińskiego, dadzą pierwszy impuls do Insurekcji. Pozostałe cztery szwadrony podzielone zostały na miniaturowych osiem i rozkwaterowane w starostwie czerkaskiem ks. Sanguszki.

Pozostałe pułki i brygady powoli zwyczajają się do nowego jarzma. Ludzie, nienawykli do grabieży, nie mieli z czego żyć, gdyż całymi kwartałami nie wypłacano im gaży. Chodzono bez butów, w starych obszarpanych mundurach. Wnoszono skargi, gremialne protesty, wysyłano deputacje, ale nie dawało to żadnych widocznych rezultatów. Powoli zaczynano się przyzwyczajać nie tylko do głodu, ale i do szpicrutenów³⁾. Tak, rok z okładem istniał cały korpus wojsk polskich w służbie rosyjskiej. Ale oczywiście takie wojsko w armii imperatorowej było anomalią całkiem niepożądaną, pozostawioną jedynie do czasu, dla uniknięcia większych jeszcze zaburzeń, masowej dezercji i nieprzewidzianych strat. Czynione już były przygotowania do ujednolinitajnienia tego nowotworu z armią rosyjską, drogą stopniowego rugowania organizacyi, urzędów i polskich porządków. Z czasem nastąpiłoby naturalnie powolne wsączenie wschodnich elementów do pułków, przesuwanie ich dalej w głąb Rosyi, przydzielanie do innych armii i dywizyi, rozrzucanie po bezkresnych i bezludnych obszarach olbrzymiego imperyum, w którym słońce nigdy nie zachodzi, wreszcie stopniowo tranzlokowanie naprzód oficerów, a potem i żołnierzy, amalgamowanie ich z tubylcami, dla ostatecznego organicznego zlania polskich egzotyków z armią

¹⁾ Iwan Sewerin do Kollegium spraw zagr. nr. 20—16/IV, nr. 21—29/IV, nr. 22—13/V, nr. 24—30/V; Kreezetnikow do Sewerina z Łabunia 20/IV i 30/IV, Sewerin do Kutuzowa 26/IV, do Tolstoja 3/V, do Derfeldena 20/V, Tolstoj do Sewerina z Mohylowa 7/V.

²⁾ Por. Korzon, VI, 77.

³⁾ W „Sentencyi“ kriegsrechtu kijowskiego jest wzmianka o pędzeniu przez szpicruteny w początkach marca 1794 r. dwóch żołnierzy pułku Konstantynowskiego. Dla asysty przy egzekucyi sprowadzono po kilku ludzi z każdego szwadronu pułku Żytomierskiego.

rosyjską. Nadeszła jednak Insurekcya i przecięła ukartowany bieg rzeczy.

Od sierpnia 1793 r. do stycznia 1794 r. odbywały się stopniowo, pułk po pułku, brygada po brygadzie, generalne oględziny inspektorskie nowego nabytku. Oddziały obejrzano, ponumerowano i opisano, jak owady w gabinecie zoologa. Urzędowi antropologowie wojskowi mierzyli wzrost, opisywali barwę włosów i oczu, określali charakter i wydatność policzków, owal twarzy i jej wyraz. Hippologowie oficjalni wykonywali tę samą manipulację z końmi. Obliczano rachunki od początków Sejmu Wielkiego, inwentaryzowano wszelkie rzeczy, które jego są, aż do sprzączek i guzików, opisywano uniformy tak szczegółowo, że, pomimo iż mało się jedne od drugich różniły, wydanie takiego opisu zajęłoby spory tom. I winniśmy gorącą wdzięczność tym niestrudżonym pismakom kancelaryi rosyjskich, przekazane bowiem przez nich papiery pod wieloma względami istotnie ciekawe są, jako materyał do statystyki we wszystkich wymiarach. Na czele tej osobliwszej komisji rzeczoznawców, szacującej tak skrupulatnie zagrabioną własność cudzą, stał oberkriegskomisarz gen. Turczaninow. Wyjątkowo brygadę Pińską opiewał pospolity kriegskomisarz pułkownik Sielecki; tem był gorliwszy, tem mniej można mu mieć do zarzucenia. Dane oględzin inspektorskich pozwalają nam ściśle obliczyć istotną, a nie tabelową, liczebność tych wojsk w dobie faktycznego zagarnięcia ich do Rosyi.

W końcu 1793 r. pułk Izjasławski grenadyerów stał w miasteczku Tetyjowie, gdzie znajdowała się jego kwatera sztabowa, i w okolicach i liczył obecnych 884 ludzi; jako grenadyerski miał zachowane z czasów Rzplitej 4 armaty, a do nich przyłączono 29 artylerzystów pod komendą por. Ettyngera¹⁾. Kamieniecki muszkietarów, rozłożony w Kamieńcu i w Michałpolu z okolicami, miał w szeregu 1109 ludzi; Owrucki muszkietarów w Pohrebyszczach — 450 głów; Mohyłowski muszkietarów stał w Barze a liczył 902 ludzi, z nich tylko 55 przydzielonych było do Kamieńca Podolskiego. Lekka jazda obejmowała: pułk Winnicki w miasteczku Sokółówce i w oddalonej od niego o wiorst 50 wsi Ryżówce, 785 ludzi, koni wierzchowych 805; Konstantynowski w starostwie czerkaskiem, nadanem Sanguszcze, ludzi 336, koni 224; Żytomierski w Śmile, jeźdźców 764 a koni wierzchowych 557; Buski w Czarnobyłu, Białopolu i Dzimierze, jeźdźców 661,

¹⁾ Ludzie ci figurują na liście korpusu artyleryi.

koni 336. Brygady kawaleryi narodowej: Dnieprowska, z sztabkwatą w Białej Cerkwi, ludzi 1686 a koni wierzchowych 1267; Dniestrzańska w Bohusławiu, jeźdźców 1407 a koni 1362; Bracławska 1543 ludzi, a koni wierzchowych 1237; Wołyńska, sztabkwatą w Jampolu, potem w Mohylowie, ludzi 1468 a koni wierzchowych 1183. Korpus artyleryi, w Krasnem i okolicach (29 artylerzystów odkomenderowanych w Tetyjowie), liczył 518 głów. Takie się przechowały dane ścisłe o pułkach, wcielonych do Rosyi po drugim rozbiórze Rzplitej. Pułki te i brygady składały się ogółem z 12,513 ludzi (3,345 piechoty, 518 artyleryi, 2,546 lekkiej jazdy i 6,104 kawaleryi narodowej) i koni wierzchowych razem z furerskimi w piechocie 7,001, ciężarowych zaś 524 (niewliczone ciężarowe pułków Owruckiego i Buskiego mocno niekompletne, zapewne około 50). W tem chorych było ludzi 722, koni zaś 233, czyli że stan zdrowotny wojska był doskonały. Stosunkowo największy procent chorych znajdujemy w brygadzie Dniestrzańskiej—174, Wołyńskiej — 126, Dnieprowskiej — 161. Podług tabel też same oddziały winne były liczyć 18,491 żołnierzy i przed wojną 1792 r. miały w szeregach swych nie o wiele mniej, z wyjątkiem pułków formacyi targowickiej, Owruckiego i Buskiego, które nigdy kompletu nie zebrały. Brakowało więc blisko 30% kontyngensu, z czego połowę conajmniej należy zaliczyć na karb dezercyi. Z jednego tylko, tak nielicznego, pułku Owruckiego piechoty zbiegło do połowy sierpnia 1793 r.—89 żołnierzy¹⁾. A przecież uciekinierstwo musiało się znacznie wzmódz w r. 1794, szczególnie w dobie zaburzeń. Regiment pieszy in. Potockich i brygada Suchorzewskiego zostały rozpuszczone i tych nie biorę w rachubę, ale do podanych przezemnie rubryk należy doliczyć skład brygady Podolskiej i 4 rot artyleryi, stojących w Kamieńcu,—papiery tych oddziałów gdzieś się zawieruszyły²⁾. Brygada Podolska w dniu jej rozbrojenia przez Suworowa liczyła 577 ludzi, z oficerami zaś około 600; w początkach 1794 r. można w niej rachować około 650 głów. Artylerya kamieniecka według raportu za czerwiec 1791 liczyła 441 ludzi, według raportu za czerwiec 1792 r. — 440; uwzględniając doniesienie komendanta generała Orłowskiego „dezercyę mam straszną“ (Korzon V, 67, 102,

¹⁾ Przekonywamy się o tem z rubryki „sniesiono bieżawszimi w raznyja wremiena wieszczel“. Por. zresztą Korzon V, 275.

²⁾ Inspekcya 7 kompanii korpusu artyleryi w Krasnem odbyła się 14/25 października 1793 r., 4 zaś kompanii w Kamieńcu 19/30 listopada.

275), w 1794 r. należy ją rachować najwyżej na 350—400 głów¹⁾. Wreszcie, jeśli chodzi o obliczenie ogółu sił polskich na wcielonej do Rosyi Ukrainie, musimy tu jeszcze policzyć brygadę Pińską, która, widocznie, zastąpiła w dywizyi Lubowidzkiego brygadę Wołyńską, wcieloną do brygady gen.-maj. Aleksego Tołstoja w dywizyi Derfeldena. Brygada litewska miała w grudniu 1793 r. — 833 głowy, w tem 36 chorych, i 972 konie, w tem 11 chorych. Ogół Polaków wcielonych do armii rosyjskiej na Ukrainie sięgał w początkach 1794 r. — 14,400 ludzi. Suma ta zbliża się do danych, zaczerpniętych ze źródeł pruskich przez Treskowa, *Der Feldzug der Preussen im Jahre 1794*, str. 21, który rachuje na 15,000 Polaków wcielonych do armii rosyjskiej.

Na beznadziejnie szarem tle polskiego bytowania zajaśniała tymczasem zorza Insurekcji Kościuszkowskiej. Część wojsk polskich zdołała się przedrzeć z armii rosyjskiej do bratnich szeregów, olbrzymią większość otoczyły żelaznym łańcuchem i następnie rozbroiły armie Suworowa i Iwana Sałtykowa. 9,321 ludzi obezwładnionych bez oporu, nie biorąc w rachubę oficerów, wódzowie rosyjscy rozpuszcili do domów, tymczasowo w granicach trzech południowych gubernii drugiego zaboru, innych, przyłapanych na dezercyi z bronią w rękę, lub wziętych później w bitwach do niewoli, oddano pod sąd wojenny kijowski lub zesłano administracyjnie na linię kaukazką, by krwią swoją torowali drogę w głąb dzikich, wolnych wąwozów górskich. Wypadki te, ciekawe a tak mało znane, nie wchodzą w zakres niniejszego artykułu.

Próby zorganizowania polskich jednostek militarnych w armii Katarzyny, próby inspirowane początkowo przez Potemkina, później zaś przez nowy gwałt podziałowy, tym sposobem spełzły ostatecznie na niczem, nie pozostawiając po sobie nawet śladu.

Ponowił je Paweł I, pragnąc stworzyć przeciwwagę legiom włoskim Henryka Dąbrowskiego. Rachuba polityczna podała tu rękę pierwotnym odruchowym sympatjom polskim samowładcy, z pierwszego okresu jego panowania: nienawiść do matki i całokształtu jej polityki, wpływy dworackie Ilińskich, Jerzych Wielhorskich itp., wreszcie wspomnienia gościny doznanej ongi przez niego za ciężkich czasów wielkksiążęcych w domach polskich, dały impuls do ludzkiego względem nas stosunku. Sekund-major

¹⁾ W chwili rozbrojenia jej przez Sałtykowa liczyła głów 303, nie licząc oficerów, czyli że w ciągu dwóch lat zdezerterowało przeszło 100 ludzi.

Krzyżanowski przedstawił szeroki projekt stworzenia polskich legionów pod berłem rosyjskim. Ale planu tego nie wcielono w życie. Miast szerokich poczynañ utworzono w r. 1797, z inicjatywy generała Michała Filosofowa¹⁾, dwa tylko pułki po 10 szwadronów każdy: 9 20 czerwca pułk konny Tatarsko-litewski szefostwa gen.-maj. Baranowskiego (potem Bołotnikowa, Dołgorukowa, Głowieńskiego), początkowo wyłącznie z Tatarów litewskich i oficerów pułków tatarskich byłych wojsk polskich, oraz 26 czerwca (7 lipca) tegoż roku konny pułk Polski, szefostwa generał-lejtnanta Ksawerego Dąbrowskiego (potem ks. Ratijewa), z samych Polaków złożony, z oficerami byłych wojsk polskich, przeważnie emigrantami, którzy się udali do łaski cesarskiej.

Za panowania Aleksandra I ilość pułków, werbowanych wyłącznie z mieszkańców zaborów polskich, zwiększyła się, jednocześnie jednak straciły one w znacznej mierze polski swój charakter: zaczęto przyjmować Rosyan na oficerów i wkrótce ci Rosyanie stanowili już znaczny w pułkach odsetek. Ponieważ pułk Tatarsko-litewski, przeszedłszy pod szefostwo gen. Głowieńskiego, przyjmował coraz więcej Polaków litewskich i stracił swój pierwotny charakter wyłącznie tatarski, w r. 1803 utworzono z niego dwa pułki—konny Tatarski z Tatarów i konny Litewski z Litwinów i Polaków. W r. 1807 zarówno te dwa pułki, jak i konny pułk Polski przezwane zostały ułańskimi. W r. 1803 utworzony został pułk Białoruski huzarski, w r. 1807 Łubiański huzarski, z ochotników, zebranych w miasteczkach Szkłowie i Mohylowie nad Dniestrem, i Wołyński ułański, z ochotników gubernii wołyńskiej i wileńskiej, wreszcie w r. 1812 uformowane zostały cztery pułki Ukraińskie kozackie, 1, 2, 3 i 4, z mieszkańców gub. kijowskiej i podolskiej, głównie chłopów, poddanych panów polskich. Był to materiał, przygotowany dla wojsk polskich i w części przez niedołęstwo władz polskich, w części zaś przez zdradliwe machinacje niektórych magnatów ukraińskich, oddany Czyczagowowi. W 1816 r. pułki te otrzymały nazwę Ukraińskich ułańskich. Poza wymienionymi pułkami były jeszcze bataliony garnizonowe, noszące nazwy miast na Litwie i na Rusi: Wileński, Grodzieński, Białostocki, Miński, Witebski, Połocki, Mohylowski, Żytomierski, Kamieniecko-Podolski—wszystkie w r. 1811 bądź skasowane (Miński), bądź przemianowane na rezerwowe

¹⁾ Doniesienie Michała Filosofowa do Cesarza, Mińsk 15 marca st. st. 1797 r. Arch. sztabu w Moskwie, op. 152, dzieło 2, № 6.

bataliony piechoty. Prócz nazwy, nie miały one jednak nic wspólnego z polskością. Pułki ułańskie Polski, Litewski i Tatarski zachowały swą nazwę, swój częściowy charakter polski do roku 1833¹⁾.

Na szeroką skalę wojsko polskie w armii rosyjskiej powołał do życia dopiero W. Ks. Konstanty, stwarzając w r. 1817 oddzielny Korpus Litewski. Z całej armii rosyjskiej starannie wybrano Polaków oraz innych mieszkańców gubernii zachodnich i włączono do składu tego właśnie korpusu. W ten sposób z Polaków 2 i 3 dywizyi grenadyerów np. powstały 1 i 2 pułk grenadyerów oddzielnego Korpusu Litewskiego. W rozprawach nad rewolucją listopadową często się mówi o polskości tego Korpusu, nie przypuszczaliśmy jednak do jakiego stopnia ona była posuniętą. Korpus oficerski składał się niemal wyłącznie z Polaków. Na sztandarach pułkowych, chorągiewkach szwadronowych miast orłów dwugłowych widniał herb Pogoni. Polska była komenda i nauka musztry i rzemiosła wojskowego. W języku polskim prowadzone były kancelarye sztabowe i pułkowe, wreszcie odezwy i rozkazy do wojsk pisał Wielki Książę w języku polskim i podpisywał się: „Naczelny wódz Konstanty“. Papiery tego Korpusu i korespondencya jego z wodzem naczelnym przechowują się w moskiewskim oddziale Archiwum Sztabu Głównego.

WŁODZIMIERZ DZWONKOWSKI.

¹⁾ Nastolnyj chronologiczeskij ukazatiel postanowlenij odnosiaszczichsia do ustrojstwa wojennosuchoputnych sił Rossii 1550 — 1890, sost. gen.-lejt. bar. Wiaczesław Steingeil, Wojennyj Sbornik, 1890; Wiskowatyj; papiery tych oddziałów w Moskiewskim Archiwum Sztabu Głównego.

FILOZOFIA TRADYCYONALIZMU.

L. G. A. BONALD.

Z powodu przypadłej w r. 1912 dwóchsetnej rocznicy urodzenia Jana-Jakóba Rousseau, zajmowano się nieco, tak we Francyi, jak i w innych krajach Europy, jego teoryami, z których jego zwolennicy, niebacząc na niewdzięczność takiego zadania, starali się nawet złożyć, nader mozolnie, jednolity system, pod nazwą Filozofii Natury. Sądźmy, że niemniej zajmującym i nau czającym będzie zapoznać się z kierunkiem myśli, który, acz w swych zasadach i konkluzjach wprost tamtemu przeciwny, wspiera się również na podstawie natury. Kierunek ten, który poraz pierwszy znalazł wyraz w teoryach Bonalda¹⁾, a dziś przyciąga coraz większą liczbę przedniejszych umysłów Francyi, zwie

1) Ludwik-Gabryel-Ambroży, wicehrabia de Bonald, urodzony w Milhau (Rouergue), w r. 1754, zmarł w r. 1840. Po naukach w Kollegium Oratoryanów, w Juilly, wstąpił do korpusu królewskich muszkieterów, w którym pozostawał do jego zniesienia w r. 1776, poczem wrócił do domu, ożenił się i poświęcił zarządowi swych dóbr, pełniąc jednocześnie funkcye administracyjne w swej prowincyi. Podczas Rewolucyi udał się na emigracyę do Heidelberg, gdzie oddawał się wychowaniu synów, z których jeden — Franciszek był później kardynałem, arcybiskupem Lyonu. Tu również napisał Bonald główne swe dzieło „Théorie du Pouvoir“, drukowane w r. 1796 w Konstancyi. W r. 1816 został członkiem Akademii Francuskiej. Zasiadał w Izbach za Restauracyi. W r. 1823 został parem Francyi, z której to godności zrezygnował w r. 1830, nie chcąc służyć królowi uzurpatorowi.

Dzieła: „Théorie du Pouvoir“ (1796), „Essais analytiques sur les lois naturelles de l'ordre social“ (1800). „Du Divorce, considéré au XIX siècle“ (1801). „Législation primitive“ (1802). „Observations sur un livre de M-me de Staël“, oraz liczne artykuły, mowy itp.

się Tradycjonalizmem. Tradycjonalizm sprzeciwia się zasadniczo zawartemu w teoriach Rousseau'a indywidualizmowi, którym są natchnione, z którego wypływają wszystkie doktryny Rewolucji. System, w jaki Bonald ujął odwieczne zasady tradycjonalistyczne, ma tę dobrą stronę, iż jego ścisłość, jednolitość i konsekwencya są nadto widoczne, by trzeba było, dla ich wykazania, uciekać się do sztucznej i zawilej argumentacji lub doszukiwać się myśli, jakiej autor nie wypowiedział. U Bonalda niema nic niedopowiedzianego, nic dwuznacznego, co by pozwalało myśl jego rozmaicie interpretować, żadnych sprzeczności, od których roją się pisma Rousseau'a. Wszystko jest jasne, najściślej z sobą związane i opiera się na gruncie bezwzględnie realnym, pozytywnym, nawet wtedy, gdy traktuje przedmiot, wychodzący poza te granice — religię. Bo gruntem tym jest socjologia — „nauka o społeczeństwie, najpierwsza z pośród wszystkich nauk“, jak mówi Bonald.

Filozofia tego myśliciela odnosi się, podobnie, jak filozofia Jana Jakóba, do dziedzin społecznej, politycznej i moralnej. Ale, gdy u ostatniego przedmiotem głównym, przed którym wszystko ustępuje, jest człowiek-indywidualny, u Bonalda indywiduum ma znaczenie o tyle tylko, iż jest częstką czasową i nietrwałą społeczeństwa, które trwa. „Państwo winno brać pod uwagę człowieka tylko w rodzinie“ — mówi Bonald, bo tworząc i wychowując rodzinę pełni on pierwsze i najgłówniejsze, przeznaczone mu od natury, zadanie względem społeczeństwa. Poza rodziną, poza pewną grupą społeczną, człowiek dla niego nie istnieje. W przeciwieństwie do ogółu filozofów nowoczesnych, którzy zajęli się człowiekiem indywidualnym, filozofia Bonalda zajmuje się wyłącznie człowiekiem społecznym, do którego wszystko sprowadza. Społeczeństwo jest prawdziwą a nawet jedyną naturą człowieka moralnego, jak ziemia i powietrze są naturą człowieka fizycznego, bo wszystkie swe władze duchowe i umysłowe nabywa człowiek od sobie podobnych. Gdyby nie nauczył się od nich mówić, a co zatem idzie myśleć, nie mówiłby i nie myślał, nie byłby więc ani człowiekiem, będąc pozbawionym tegoż zasadniczych właściwości, ani zwierzęciem, nie posiadając instynktu, który mu takowe zastępuje. Rozpatrywać przeto człowieka poza społeczeństwem i bez związku z niem — jest absurdem. Człowiek w znaczeniu ogólnem, w jakim go przyjęła doktryna i prawodawstwo rewolucyjne jest abstrakcją. Tak zwane „prawa człowieka“, ogłoszone w „Deklaracji“ tychże, odnoszą się zatem nie do istoty żywej, realnej, lecz do istoty idealnej, t. j. nie mającej bytu real-

nego. Stąd fałsz zasadniczy, wynikający z zastosowania do ludzi prawdziwych tych praw, które nie uwzględniają warunków, od jakich byt ich jest uzależniony. Cały system demokratyczny, wynikający z indywidualizmu, wznosi się na tym błędzie rozdziału człowieka od właściwej jego bytowi sfery. Bonald nazywa to metafizyką i zaznacza sprzeczność tej rzekomej filozofii natury z naturą. Rodzaj ludzki rozpoczął się od rodziny, czego dowodem, że trwa przez rodzinę i że, gdyby był sprowadzony do jednej rodziny, wystarczyłoby jednej rodziny do rozpoczęcia go na nowo. Trzy istoty, podobne sobie, bo należą do rodzaju ludzkiego, ale nie równe, bo funkcyje ich są różne,—ojciec, matka, dziecko stanowią rodzinę, ustrój (constitution) naturalny i potrzebny, ponieważ rodzina (w znaczeniu ścisłym) nie może składać się z większej ani mniejszej liczby elementów, jak z tych trzech: ojca, matki i dzieci. Jednostka jest częścią społeczeństwa, ale dopiero rodzina jest istotnym pierwiastkiem społecznym lub komórką społeczną, bo nie jednostka, lecz rodzina zapewnia ciągłość rodzaju ludzkiego.

Zadaniem rodziny, w znaczeniu fizycznym, jest reprodukcya. Ale człowiek nie rodzi się doskonałym, jak zwierzę, które natura obdarzyła wszystkim, co mu jest potrzebne do zachowania życia i mianowicie instynktem, pozwalającym mu rozróżnić użyteczne od szkodliwego. Człowiek przychodzi na świat nagim, bezbronnym i nieświadomym niczego, ale posiada zdolność doskonalenia się, dzięki której może nabyć to wszystko, czego mu brak, pod warunkiem, że mu w tem dopomogą, i że nim pokierują jemu podobni, którzy przed nim żyć zaczęli. Od nich musi się nauczyć sądzić własnym rozumem, co mu jest potrzebne do zachowania siebie; zwalczać, co sprzeciwia się zaspokojeniu jego potrzeb; mówić dla wyrażenia swej myśli—jednem słowem nauczyć się żyć i w tym celu trzeba, by słuchał i był posłuszny. To wszystko daje mu najpierw rodzina, a później społeczeństwo. Tak więc rodzina jest społeczeństwem sprowadzonym do swego najprostszego wyrazu, a zatem społeczeństwo jest niezbędne dla naturalnego rozwoju człowieka. Inaczej musiałby pozostać w stadium dziecka, co jest niemożliwe, bo równie jak żołądź, która zginie, jeżeli nie stanie się dębem, dziecko musi zginąć, jeżeli nie stanie się człowiekiem. Społeczeństwo zatem nie jest stanem sztucznym, oddalającym człowieka od natury, jak chce J. J. Rousseau, lecz właściwym mu stanem naturalnym, jakim być nie przedstawia przy najwyższym rozwoju cywilizacji, bo społeczeństwo

ludzkie równie jak człowiek pojedynczy posiada zdolność doskonalenia się.

Życie społeczne też nie znieprawia człowieka, bo w niem to właśnie znajduje on środki doskonalenia się, bo jedynie tylko społeczeństwo oświecić może jego nieświadomość i dać mu regułę dla poprawy swych skłonności. To też przypuszczenie Rousseau'a, że człowiek rodzi się dobrym i że społeczeństwo jest wytworem interesu, mającem na celu powiększenie sumy jego użycia, sprzeciwia się prawdzie naturalnej. Człowiek rodzi się ze złemi skłonnościami, a społeczeństwo powstaje z konieczności, by nie dopuścić jego zagłady.

Jesteśmy źli z natury, dobrzy przez uspołecznienie — mówi Bonald. To też wszyscy, którzy dla ustanowienia społeczeństwa, zaczęli od przypuszczenia, że rodzimy się dobrymi, uderzeni nieporządkami, na które społeczeństwo nie zaradza i zapominając o tych, których nie dopuszcza, skończyli, jak Jan Jakób, na przekonaniu, że nie jest ono w naturze człowieka. Pisarze ci podobni są do architektów, którzyby dla budowy gmachu, przyjęli jako fakt, że w kopalni dobywa się kamienie już obciosane i drzewo w lesie już obrobione.

Naturą istoty jest to, co stanowi jej ustrój, to, czem ona jest; jest prawo szczególne jej istnienia, jej bytu. Naturą istot jest to, co je zachowuje takimi, jakie są, jest nią całość praw ogólnych ich zachowania.

Natura zatem jest skutkiem, a nie przyczyną bytu istot. Te prawa, szczególne lub ogólne, ustanawiające lub zachowujące istoty, są dobre, bo gdyby nie były dobre, nie byłoby istot. Natura przeto jest dobra i natura istot lub ich dobroć absolutna, ich doskonałość są to synonimy. Istoty postawione w stanie przeciwnym swej naturze, nie mogą w tym stanie istnieć, bo sprzeciwia się to prawom ich bytu. Ale od stanu naturalnego trzeba odróżnić stan pierwotny¹⁾ — rozróżnienie zasadnicze, którego i Hobbes i Rousseau i wielu innych zaniedbali, skąd pochodzi ich pomyłka i wynikię z niej nieszczęścia. Żołądz, z której powstaje dąb, dziecko, w którym zaczyna się człowiek, to stan pierwotny. Dąb, człowiek dojrzały—to stan naturalny. Jeżeli tę zasadę zastosujemy do społeczeństwa, to stanem jego pierwotnym będzie stan dziki. Stan cywilizacji, skończonego rozwoju, doskonałości bę-

¹⁾ „natif”—rodzimy. W znaczeniu, w jakim autor używa tego wyrazu, tłómaczyć wypada „pierwotny”.

dzie stanem naturalnym. Stan dziki zatem jest przeciwny naturze społeczeństwa tak samo, jak stan nieświadomości lub dzieciństwa jest przeciwny naturze człowieka, bo stan dziki społeczeństwa względnie do stanu cywilizowanego odpowiada temu, czem jest dzieciństwo względnie do wieku dojrzałego człowieka. Jestto więc stan słabości i niedoskonałego rozwoju, który albo się rozwija, a więc cywilizuje, albo niszczy. Stan pierwotny czyli zły jest tedy przeciwieństwem stanu naturalnego—dobrego. Ich wzajemna walka dzieli człowieka i powoduje zamieszki w społeczeństwie. Rodzina jest społeczeństwem w zawiązku i przedstawia całkowity jego obraz w skróceniu. Ale i w samym człowieku widzi Bonald ścisłą analogię z ustrojem społecznym. Daje on określenie człowieka następujące: człowiek jestto inteligencya, której służą organa dla reprodukcji i konserwacji. (*Une intelligence servie par des organes pour des fins de production et de conservation*).

Spółeczeństwo zaś jestto „władza“, której służą „ministrowie“ dla tych samych celów (*pouvoir servi par des ministres*). Analogię tę już dostrzegł Cyceron (jak przytacza Bonald), gdy powiedział, że duch rozkazuje ciału, jak król poddanym lub ojciec dzieciom. W człowieku inteligencya lub dusza jest władzą, organa ciała ministrami. W społeczeństwie władza jest inteligencyą, duszą, rozumem ciała społecznego, zaś ministrowie są tegoż organami. Władza dowiaduje się o potrzebach ciała społecznego od ministrów i za ich pośrednictwem wywiera nań swe działania zachowawcze. Toż samo odbywa się w człowieku, którego dusza (inteligencya) zostaje objaśnioną przez organa o potrzebach ciała i za ich również pośrednictwem pełni swą funkcję reprodukcyjną i zachowawczą. Stosownie do tego czy dusza jest dobrze lub źle obsłużoną przez organa, wola wyraża się na zewnątrz z większą lub mniejszą siłą i pewnością, a nawet wszelkie działanie woli na zewnątrz ustaje i dusza, choć jeszcze obecna, staje się niedostrzegalną, jeżeli organa nie są w stanie jej służyć, jak to bywa u człowieka ślepego, głuche, niemego i bezwładnego. Podobnie, jeżeli władza społeczna jest dobrze obsłużona przez swych ministrów, działanie jej na społeczeństwo jest silne i prawidłowe i na odwrót, gdy ministrowie źle jej służą, to działanie odbywa się słabo i nieprawidłowo i ustałoby zupełnie, a nawet władza, mimo swej obecności, niedawałaby się odczuć, gdyby została zupełnie pozbawiona ministrów, t. j. czynników objaśniających jej wolę i wykonywujących jej rozkazy.

Wszakże człowiek posiada pewne organa służące czy to do reprodukcji, czy do utrzymania życia fizycznego, które tylko pośrednio podlegają woli, zdają się zależeć od duszy wskutek stosunków ogólnych ustroju, łączących je z resztą ciała i których działania ta powstrzymać nie może inaczej, tylko przy pomocy aktu gwałtownego i nieprawidłowego, jakim jest samobójstwo. Społeczeństwo publiczne, czyli państwo, posiada także organa, niezbędne dla odnawiania i utrzymywania życia fizycznego społecznego ciała, ale tylko pośrednio i skutkiem ogólnego ustosunkowania wspólnej podległości, zależne od władzy publicznej, których funkcjom ta nie może przeszkodzić lub naruszyć ich wolności, inaczej, jak tylko przy pomocy aktu nieprawidłowego i uciemiężającego, który byłby prawdziwem samobójstwem politycznem. Takim organem w państwie jest przede wszystkim rodzina, stanowiąca społeczeństwo prywatne lub domowe, nad którą władza publiczna nie ma innego prawa, prócz opieki i ułatwiania jej rozwoju.

Człowiek tedy, sam w sobie, w swym ustroju naturalnym jest prawdziwą monarchią, jak społeczeństwo, monarchią, która ma również swą władzę, swych ministrów i swych poddanych, i w której, jak w każdej innej, część podległa i zwierzęca (fizyczna), robi nieustanne wysiłki dla zdobycia władzy nad rozumem, zmylenia zmysłów, by go oszukały, i ustanowienia w człowieku wyłącznego panowania potrzeb zmysłowych i wszechwładzy namiętności. Jeżeli władza, w tej monarchii, winna czuwać nad zachowaniem części sobie podległej, to ta ostatnia, ze swej strony, powinna działać tylko pod rozkazami władzy i dla zapewnienia wolnego sprawowania swych funkcyj. Jeżeli władza się usuwa, poddany umiera. Dotąd wszystko jest w tej analogii ścisłe, ale Bonald posuwa ją dalej, aż do punktu, gdzie możnaby sądzić, że zaczyna się różnica. Mówi mianowicie: dla dopełnienia analogii pomiędzy człowiekiem a społeczeństwem, że nawet przestając ożywiać ciało, z którem jest połączona, dusza nie przestaje żyć. Król nie umiera zarówno w monarchii człowieka jak w monarchii społecznej. I tu dodaje autor uwagę: w ten sposób odnajdujemy dogmat religijny nieśmiertelności duszy równoległy z dogmatem politycznym nieustannego trwania (*perpetuité*) władzy publicznej i widzimy też, że te same systemy filozoficzne zaprzeczają jednocześnie prawdzie nieśmiertelności duszy i potrzebie dziedziczności władzy. Tylko w tym wypadku zachodzi ta różnica, że jeżeli w królestwie ustroju człowieka król t. j. dusza nie umiera i żyje pomimo śmierci ciała (t. j. królestwa), to w kró-

lestwie społecznem król nie umiera (na zasadzie dziedziczności władzy: Król umarł, niech żyje Król!), tylko w przypuszczeniu, że społeczeństwo, względnie podległe mu państwo, nie przestaje istnieć samodzielnie. Ale, jeżeli dusza może żyć bez ciała, to niema króla bez królestwa, chyba tylko chwilowo, gdy zinusili go do opuszczenia tegoż prowizorycznie okoliczności nadzwyczajne. Z drugiej strony analogia pomiędzy ciałem człowieka a ciałem społecznem jest też na jednym punkcie nie ściśła: pierwsze umiera, drugie nie umiera, przynajmniej nie umiera fizycznie, jeżeli nawet ulega przetworzeniu, i może żyć jeszcze, acz w stanie niemocy, po utracie swej państwowości własnej, t. j. swej władzy, swego króla, gdy ciało człowieka, po utracie duszy, żyć nie może. Moznaby więc powiedzieć, że pomiędzy ustrojem człowieka a ustrojem społeczeństwa zachodzi nawet pod tym względem przeciwieństwo, gdyby nie to, że, jak to zobaczymy dalej, nie król i państwowość jest właściwie, według Bonalda, duszą społeczeństwa, lecz władza, która znajduje się poza królem i państwem i ma swój pierwiastek w woli powszechnej społeczeństwa, czyli w Bogu. Król jest tylko pierwszym uzewnętrzniającym ją organem. Pozbawiona tegoż dusza nie może pełnić swej funkcji, niemniej może być obecną i po odzyskaniu takowego natychmiast ją objąć. To wszystko zresztą nie zmniejsza istotnego podobieństwa, jakie zachodzi pomiędzy duchowo-organicznym ustrojem człowieka i ustrojem politycznym i ekonomicznym społeczeństwa. Prawdziwość tej analogii była już rozumianą i ocenioną przez starożytnych, którzy widzieli w człowieku mały świat, t. j. małe społeczeństwo, nie równe, ale podobne wielkiemu. Wszechświat też, który obejmuje człowieka i społeczeństwo, nie jest czem innym, dla prawdziwej filozofii, w swym ustroju i zachwycającym porządku, tylko inteligencją obsłużoną przez organa, pod względem fizycznym i władzą, obsłużoną przez ministrów, pod względem moralnym, jeżeli uznamy zjawiska ogólne natury materyjalnej, jako czynniki materyjalne, organa lub narzędzia, któremi inteligencja najwyższa posługuje się dla utrzymania życia w substancjach, z jakich składa się świat fizyczny; lub, jeżeli uważać będziemy istoty inteligentne jako przyczyny drugiego rzędu, czyli ministrów władzy najwyższej, służących do przekazywania świadomości praw moralnych rządzących społeczeństwem i do zapewnienia ich wykonania.

Spółeczeństwo jestto według określenia Bonalda, „zgromadzenie istot podobnych w celu reprodukcji i konserwacji“. Określenie to stosuje on zarówno w znaczeniu fizycznym, jak i moral-

nem, bo, jak w zgromadzeniu materyalnem istoty cielesne, tak w zgromadzeniu duchowem istoty duchowe wytwarzają się przez kształcenie i zachowują przez świadomość prawdy. Społeczeństwo istnieje równie dawno, jak człowiek, którego jest naturą, bo pierwszym zawiązkiem społeczeństwa, jest rodzina. Nie mogło ono powstać skutkiem żadnej „umowy“ (J. J. Rousseau) tak samo, jak rodzina nie powstała skutkiem umowy pomiędzy ojcem i dziećmi. Myśl podobnej umowy, każącej przypuszczać deliberację a priori, mogła powstać tylko w głowie pozbawionej sądu. Prawo, choćby to, które przepisuje formę ustanowienia prawa; człowiek, choćby ten, który je przedstawił, musiałby zawsze uprzedzić to rzekome ustanowienie władzy i lud musiałby być posłuszny, zanimby sobie dał pana. Właściwości i zdolności fizyczne a zwłaszcza duchowe człowieka wskazują, że stan społeczny jest mu wrodzony. Wreszcie historia dowodzi, że tak daleko, jak sięgnąć możemy w przeszłość dziejów świata, zawsze widzimy ludzi w grupach społecznych, podlegających rządowi. Historia ukazuje nam tylko ludzi w gromadzie i wraz z ludami, wodzów i królów.

Społeczeństwo jest zatem wytworem natury, a nie wymysłem człowieka, i natura to w istocie organizuje państwa, jak wytwarza hierarchię pośród chłopców, przy ich zabawach, gdzie bez żadnej umowy bardziej przedsiębiorczy przewodzą, a reszta ich słucha instynktownie, nie zdając sobie z tego sprawy. Jest ono dziełem instynktu właściwego rodzajowi ludzkiemu, jak to nader trafnie określa spotykający się w tem z Bonaldem Karol Nodier, autor „Trilby“.

Natura tworzy społeczeństwo, a zatem daje mu odpowiadający jego potrzebom ustrój tak samo, jak to czyni dla pszczoł i mrówek. Jest ona jedynym prawdziwym prawodawcą, to też wszelki prawdziwy i uzasadniony ustrój społeczno-polityczny może być tylko jej dziełem. Wszelkie konstytucye pisane, układane przez ludzi—prawników, filozofów, lub zgromadzenia narodowe, na podstawie zasad oderwanych i apriorystycznych, są sztuczne, fałszywe i złe. Naród, który żąda konstytucyi od prawodawców, jest więc podobny do chorego, któryby żądał od lekarza, by mu dał nowy temperament¹⁾. Niepojętem jest też szaleństwo Francyi z r. 1789, która posiadając takie „arcydzieło natury“, jakim była monarchia francuska, poleciła teoretykom ułożenie nowej kon-

¹⁾ „La Fin de la Pologne“, artykuł w „Mercure de France“ r. 1800 (L'Etat actuel de l'Europe“).

stytucji i odwieczną konstytucję nie pisaną, lecz wyrytą w swej budowie etnicznej, swój statut społeczny, tradycyjny, zastąpiła przez tekst improwizowany. Równie, jak Józef de Maistre, Bonald niema zaufania do konstytucyj pisanych. Biada narodowi, zmuszonemu do pisania — mówi on. Nie pisze się konstytucji, bo konstytucja (ustrój) to istnienie i natura. Nietylko konstytucja, ale żadne dobre prawo nie może być skutkiem pomysłu człowieka lub uchwały zgromadzenia. Przynajmniej to, co jest zasadniczem w instytucjach nie może wynikać z woli indywidualnej, ani nawet z woli wszystkich, ale tylko z „woli powszechnej“ (*volonté générale*), która jest czemś zupełnie innem, niż wola wszystkich.

Wola wszystkich jest sumą woli pojedynczych, indywidualnych, a więc niejednakowych, rozbieżnych. Zatem, aby się objawić na zewnątrz w wyrazie jednolitym, te wole pojedyncze muszą przejść przez alembik głosowania, czego rezultatem jest, iż wola wszystkich staje się wolą większości, a więc części, która może się redukować do jednostki, a wtedy ta rzekoma wola wszystkich jest w istocie wolą indywidualną tej jednostki lub grupy jednostek. Gdyby nawet wola wszystkich mogła być jednogłośną, to byłaby jeszcze tylko wolą człowieka, istoty ograniczonej i niedoskonałej, a zatem wolą zasadniczo złą i niszczyielską, gdy wola powszechna ciała społecznego jest wolą gruntownie prawą, gdyż jest nie czem innem tylko naturą lub dążeniem naturalnem istoty zbiorowej (jaką jest społeczeństwo), do wypełnienia swego zadania, swego celu, dla którego została stworzoną. A tym celem jest zachowanie życia i zapewnienie trwania.

Ten cel, a zatem wolę i środki jego osiągnięcia dał ludziom Stwórca, a przeto wolą powszechną jest wola Boga. Skutki tej woli powszechnej i zachowawczej, ludzie, wierzący w Boga nazywają Opatrznością. Ludzie zmyśloni przez siebie prawami, nie wynikającymi z prawa zasadniczego i opartymi nie na stosunkach potrzebnych (prawa pochodzące z woli powszechnej opierają się na stosunkach potrzebnych) mogą sprzeciwiać się woli powszechnej. Wtedy wynika walka pomiędzy wolą człowieka i wolą natury, której dokonanie człowiek może opóźnić, ale nie jest w stanie mu przeszkodzić. Tę prawdę autor „Umowy społecznej“ (J. J. Rousseau), który pojmował zasadę, choć błędził w jej konsekwencyach, wyraził w tych słowach: „Jeżeli prawodawca, myląc się w swem założeniu, weźmie inną zasadę, niż ta, która wynika z natury rzeczy, państwo nie przestanie ulegać wstrząśnieniom aż do chwili, gdy ta zasada zostanie zniszczoną lub zmienioną i niezwyciężona natura odzyska swe panowanie“. Zdanie

to Rousseau'a, którego teorye zbijał, wziął Bonald za dewizę do swego głównego dzieła „*Théorie du pouvoir*“, do tego stopnia odpowiadająca ono jego własnym twierdzeniom.

Ale Rousseau, po tak rozsądnem powiedzeniu, znajduje mimo to wolę powszechną w większości głosów, gdy mówi: „jeżeli odtrąciny głosy dodatnie i ujemne, które się wzajemnie kasują, to pozostaje jako suma różnic, wola powszechna“. I tu zaraz występuje zasadnicza różnica, która dzieli ich zapatrywania i sprawia, iż są one sobie odwrotne. Rousseau mieści wszechwładzę (*souveraineté*) w woli ludu, czyli w woli większości liczebnej. Bonald mieści ją poza społeczeństwem, nawet poza monarchą, w woli powszechnej, odpowiadającej temu, co znakomity uczony fizyolog Claude Bernard nazwał, w zastosowaniu do fizycznego organizmu człowieka, ideą kierowniczą (*idée directrice*) lub ideą organiczną (*idée organique*), która tworzy organa i kieruje ich działaniem, lecz znajduje się poza niemi, jak wola powszechna Bonalda znajduje się poza społeczeństwem i równa się ostatecznie woli Boga.

Bonald rozróżnia dwa rodzaje społeczeństwa: 1) społeczeństwo domowe (*Société domestique*), którego zadaniem jest produkcyja indywiduów i ich zachowanie, t. j. wszystko co się tyczy potrzeb fizycznych i materyalnych człowieka. Tem społeczeństwem domowem jest rodzina. 2) Społeczeństwo publiczne (*Société publique*), które ma dwojakie zadanie—regulować stosunki moralne społeczeństwa domowego i wtedy nazywa się społeczeństwem religijnem lub Kościołem; produkować rodziny, bronić je od wszelkiego niebezpieczeństwa, zewnętrznego lub wewnętrznego i zapewnić im wolny i zupełny rozwój — i wtedy nazywa się społeczeństwem politycznem lub Państwem. Rodzina, istotny pierwiastek społeczeństwa w szerszem znaczeniu i stanowiąca sama przez się społeczeństwo w znaczeniu najprostszej, jest według Bonalda probierzem konstytucyi społeczeństwa politycznego. Wszelki system takiej konstytucyi, który nie da się zastosować w odpowiedniej redukcji do społeczeństwa domowego czyli rodziny jest fałszywy i przeciwny naturze. Stąd zachodzi ścisła solidarność pomiędzy państwem a rodziną, tak, iż, gdzie rodzina jest rozluźnioną i zagrożoną, tam państwo jest w rozstroju i grozi upadkiem.

Dla istnienia i rozwoju rodziny niezbędną jest dyscyplina wewnętrzna, zależna od władzy ojcowskiej, władzy najpierwszej i zasadniczej, jaką ustanowiła bezpośrednio natura. Istotność i skuteczność tej władzy wymaga przedewszystkiem nierozzerwalności małżeństwa, trwałość zaś bytu rodziny zależy od mniejszej lub

większej pewności i stałości jej posiadania. Rzym w okresie Rzeczypospolitej zawdzięcza swą potęgę państwową tej władzy absolutnej ojca (pater familias) w „monarchii domowej“, która była korektywą demokracji politycznej. Prawo rozwodu osłabia władzę ojcowską i rozbija rodzinę. Sprzeciwia się ono naturze, dając pierwszeństwo widokom, kaprysom, lub namiętnościom indywidualnym małżonków przeciw interesowi społecznemu, który wymaga trwałości małżeństwa dla wyprodukowania potomstwa i jedności rodziny dla wychowania tegoż. Mężczyzna, kobieta, dziecko są nierozzerwalnie złączeni nie dlatego, że ta łączność sprawia im przyjemność, lecz dla tego, że prawo naturalne czyni im z tego obowiązek i, że przyczyna powszechna, z której to prawo wynika, oparła społeczeństwo na podstawie mniej kruchej, niżeli uczucia człowieka, przemijające, zmienne i zwracające się często do przedmiotów nieprawych z większą niekiedy żywością, niż do najprawowitszych. Rozwód harmonizuje z demokracją, bo przy obu, władza domowa i władza publiczna są oddane na pastwę namiętności poddanych. Nieporządek w rodzinie odpowiada nieporządkowi w państwie—zachodzi pomiędzy nimi równość i analogia nieporządku, tak, iż, jeśli można się tak wyrazić jest pewien rodzaj porządku tam, gdzie wszystko przedstawia nieład, w taki sam sposób i w tym samym kierunku. Ale rozwód jest wprost sprzeczny z duchem i zasadami monarchii dziedzicznej i nierozwiązalnej, bo wtedy jest porządek w państwie i nieporządek w rodzinie. Nierozwiązalność w jednym, rozwiązalność w drugim, zatem brak harmonii i trzeba, w takim stanie rzeczy, by albo rodzina rozstroiła państwo, albo, żeby państwo zaprowadziło porządek w rodzinie. Taką jest identyczność zasad i ustroju społeczeństwa domowego i społeczeństwa publicznego, że wszelkie doktryny, które osłabiają jedno, stanowią zamach na drugie. Demokracja polityczna, która pozwala ludowi, części słabej społeczeństwa politycznego, powstawać przeciw władzy, jest konieczną towarzyszką rozwodu, tej prawdziwej demokracji domowej, która pozwala części słabej powstawać przeciw powadze męża i osłabiać tem samem powagę ojcowską.

Aby uwolnić państwo z rąk ludu, trzeba, jak mówi Montesquieu, odebrać najpierw rodzinę z rąk kobiet i dzieci. Nierozzerwalność związku małżeńskiego, to zasadnicza wiara i pokój społeczeństwa, to podstawa i typ wszelkiej prawowitości (légitimité).

Poza rozwodem, który rodzinę wprost unicestwia, największy cios zadaje jej prawo spadkowe równych działów, bo rozdrabniając własność odbiera podstawę jej trwania. Prawo to zwłaszcza

cza dotyka rodzinę ziemiańską, bo ją zmusza ze śmiercią ojca do sprzedaży ojcowizny, która nie daje się dzielić, jak gotówka. Wynik tego taki, że ojcowizna przepada wszystkim dzieciom, a jeżeli jedno z nich zachowa gospodarstwo, to ma na niem ciężary nadmierne, nie pozwalające mu prowadzić go należycie i wiodące prędzej czy później do ruiny, tak, iż ostatecznie ta równość działów staje się równością w nędzy. Rozwód i równość działów są to tedy dwa czynniki destrukcyjne i na wskroś antyspołeczne, któremi indywidualizm demokratyczny rozsądza społeczeństwo w samej jego podstawie—rodzinie. Pierwszy rozrywa ją w znaczeniu fizycznym i moralnem, drugi pozbawia ją środków materialnych. Jako prawa obowiązujące, oba, burząc rodzinę, mierzą dalej jeszcze. Prawo rozvodu, pod pozorem troski o szczęście osobiste każdego z małżonków, jest wymierzone szczególniej przeciw religii, gdyż sprzeciwia się przepisom Kościoła i moralności, którą on głosi; prawo równości działów, pod pozorem jednakowej sprawiedliwości dla każdego z rodzeństwa, pod względem majątkowym, jest skierowane szczególnie przeciw rodowi.

Gdy mówimy, że społeczeństwo składa się z rodzin, to mamy na myśli właściwie tylko społeczeństwo w pewnej chwili jego bytu—w jednym pokoleniu, ale gdy mowa o społeczeństwie w znaczeniu ścisłym, t. j. o społeczeństwie, które trwa w czasie i na które składają się szeregi pokoleń minionych, teraźniejszych i przyszłych, to jednostką jego, odpowiadającą wszystkim warunkom jego bytu, bo trwającą w czasie, jest ród. Każda rodzina jest częścią rodu, ale nie każda ma świadomość swej przeszłości, swej ciągłości rodowej, jednym słowem nie posiada tradycji. Pierwszym warunkiem posiadania tradycji rodowej jest osiadłość rodu, czyli zamieszkiwanie przez szereg pokoleń tego samego kąta ziemi, posiadanego na własność i przekazywanego dziedzicznie z ojca na syna. Bo, aby zachować pamięć przodków, trzeba żyć tam, gdzie oni żyli i gdzie pozostawili ślady swego bytu i działalności, trzeba, żeby między pokoleniami istniała łączność własności, przywiązującej je w taki sam sposób do tegoż kawałka ziemi. Ziemi, nie własności w jakiegokolwiek postaci, bo tylko ziemia, jako niezniszczalna, nie dająca się przenieść i niezmienna może naprawdę przywiązać ród do miejsca i być gruntem, pozwalającym mu zapaść trwałe korzenie. Własność tedy ziemiska, posiadana dziedzicznie, jest warunkiem materialnym trwałości tradycji rodowej i samego rodu.

Ale ten warunek nie jest wystarczający. Obok tego potrzebny jest jeszcze warunek moralny. Trzeba jeszcze, by ci przod-

kowie, dla zachowania o sobie pamięci, odznaczyli się czy to świetnemi czynami rycerskimi z poświęceniem dla społeczeństwa, t. j. narodu i ojczyzny na polu wojennem, czy to pełnieniem wybitnych funkcji obywatelskich lub urzędów publicznych i państwowych, osobistych lub dziedzicznych (jak było w dawnej Francyi) z pożytkiem dla ogółu i w ten sposób zyskali sobie i przekazali swej potomności imię zaszczytne, którego znakiem i symbolem jest to, co w dawnej Polsce zwano klejnotem. Takiem, t. j. ziemiańskim obok wojennego, a właściwie łącznie z wojennem, jest pochodzenie pierwotne szlachty we wszystkich narodach osiadłych, a więc pochodzenie naturalne, społeczne, a nie z dyplomów, pergaminów i przywilejów. Te przyszły później, jako stwierdzenie i określenie stanu istniejącego. Rolą szlachty wogóle jest przewodniczenie narodowi, przewodniczenie, t. j. dawanie przykładu poświęcenia dla sprawy wspólnej, dla ojczyzny. Jeżeli porównamy naród do armii, to szlachta odpowiadać będzie oficerom, czyli tym, których jest obowiązkiem, gdy sami podlegają rozkazom, prowadzić żołnierzy do boju, dodawać im ducha własnym przykładem, być pierwszym w ogniu, narażeniu i wysiłku, ostatnim w wypoczynku. I to nie tylko na wojnie, nie tylko w wypadkach nadzwyczajnych bytu narodowego, lecz w jego bycie i potrzebach codziennych.

Przynajmniej tak powinno być w społeczeństwie normalnie zorganizowanym i tak wogóle jest (lub było, bo dziś prawie niema już społeczeństwa choć w części nie nadwerżonego przez ferment demokratyczny). Jak w dobrze zbudowanej maszynie każda część skutkiem wzajemnego oddziaływania spełnia swoją czynność bez oporu lub zgrzytu, tak w społeczeństwie prawidłowem każda jego grupa pełni swe zadanie, jako funkcję naturalną, dla której czuje się od wieków przeznaczoną. Gdzie niema wodza, ani hierarchii, ani karności, ani posłuchu, ani zaufania, gdzie każdy ciągnie na swoją stronę i dba tylko o siebie, tam spełnienie obowiązku dla tych, którzy go w tych warunkach jeszcze rozumieją i odeń się nie uchylają, staje się niezmiernie trudne lub wprost niemożliwe. To też łatwo rzucić na nich kamieniem i wydać wyrok zagłady tym, którzy, pod pokrywką nowych haseł, spaliliby kraj cały, byle przy tym ogniu upiec mogli swoją pieczeń. Społeczeństwo w takich warunkach jest podobne do wojska, które złamało szeregi i zdaje mu się, że jest wolne, bo niema dowódców i nikogo słuchać nie potrzebuje. Ale wróg czyha, i przy pierwszej sposobności tych, co nie chcieli słuchać włas-

nych wodzów, którzy ich prowadzili do zwycięstwa, uczyni stadem niewolników.

Rody szlacheckie Bonald nazywa rodami „społecznemi“ (*Familles sociales*). W społeczeństwie najsilniej zorganizowanem, jakim była dawna monarchia francuska, szlachta miała stanowisko bardzo ściśle określone. „Szlachta—powiada tenże Bonald—jest żywą akcją i jakoby duchowieństwem monarchii. Instytucja urzędu publicznego, zwana szlacheństwem, nie jest sama w sobie ozdobą państwa, ani świetnością dla jednostki. Ozdobą państwa jest jego moc, a świetnością człowieka, jego cnota. Nie byłoby szlachty w żadnem państwie chrześcijańskiem lub cywilizowanem, jedynych, gdzie człowiek ma prawdziwe pojęcie władzy i obowiązków, gdyby była tylko ozdobą i nie byłoby jej, gdyż byłaby niczem. Szlachectwo jest funkcją ogólną i szkołą funkcji specjalnych. Trzeba rozróżnić szlachtę od arystokracji, bo są to wyrazy zbyt często mieszane i używane dowolnie, określające dwa pojęcia różne. Szlachta nie jest to, równie jak arystokracja, urodzenie, fortuna, tytuł lub ozdoba. Urodzenie jest dawnością szlachectwa, ale nie jest szlacheństwem, Fortuna nie jest szlacheństwem, ale mu jest potrzebną dla pełnienia swych obowiązków. Tytuły itp. nie są szlacheństwem, lecz raczej je osłabiły i gdy odznaczenia, niegdyś nieznane, postawiły próżność na miejsce sumienia, zazdrość zastąpiła poważanie. Arystokracja jest udziałem dziedzicznym we władzy prawodawczej. Szlachta jest służbą dziedziczną władzy wykonawczej.

Stanowiąc prawa wraz z władzą prawodawczą, władzą, która rządzi, jestto rządzić, jak ona i wraz z nią. Kierować wykonaniem praw pod rozkazami i przewodnictwem władzy, która wykonywa, jestto jej służyć. Zatem arystokracja podziela władzę, szlachta jej służy¹⁾.

Szlachectwo nie jest przeto ani prerogatywą, ani przywilejem, lecz służbą i obowiązkiem względem władzy. Pierwszą, a nawet jedyną potrzebą społeczeństwa jest jego zachowanie, t. j. obrona przeciw wrogowi wewnętrznemu, czyli złemu człowiekowi i przeciw wrogowi zewnętrznemu, czyli cudzoziemcowi. Obrona społeczeństwa powinna więc być pierwszym prawem władzy, która ustanawia prawa i funkcją zasadniczą, specjalną władzy, która je wykonywa. Obrona przeciw wrogowi wewnętrznemu

¹⁾ Stosownie do tego rozróżnienia, szlachta w Polsce miała atrybucje arystokracji lub właśnie łączyła w sobie oba te charaktery.

jest powierzona sądom, a przeciw wrogowi zewnętrznemu siłę zbrojną.

„Sądzić tedy i wojować, pod rozkazami i kierunkiem władzy wykonawczej jest funkcją specjalną lub raczej powodem instytucji szlacheństwa i niema innego“ (w dawnym ustroju monarchii francuskiej). Dziedziczność powołania i obowiązków wyrobiła w szlachie francuskiej szczególne uzdolnienie do pełnionych funkcyj. Bonald kładzie wielki nacisk na ten dodatni wpływ dziedziczności powołania i to nie tylko co się tyczy szlachty, ale i we wszelkich zawodach, zwłaszcza w rolnictwie i w rzemiosłach, do których rozwoju instytucja cechów (corporations) przyczyniała się w wysokim stopniu przez zjednoczenie usiłowań, przez środki wydoskonalenia się, oparcie i zapewnienie bytu, jakie dawała stowarzyszonym. Z tego też względu instytucja cechów miała wysoce uspołeczniający i umoralniający charakter, odpowiadający swem znaczeniem dla warstw ludowych instytucji szlacheństwa. To też prawodawstwo rewolucyjne nie omieszczało ich skasować.

Cechę i charakter odrębny, który ją wznosił moralnie ponad inne stany, dawała szlachie francuskiej bezinteresowność jej funkcyj, pełnionych bez wynagrodzenia, jako przywiązany do jej stanu obowiązek. Stąd to Bonald nazywa szlacheństwo obowiązkiem, służbą, ciężarem (charge), który to ostatni wyraz jest też w języku francuskim synonimem urzędu publicznego. Ta bezinteresowność w pełnieniu funkcji zasadniczych w państwie, to przywiązanie honoru do obowiązku stanowi właśnie zaszczyt i wyróżnienie, jakie daje szlacheństwo, nie zaś powierzchowne odznaczenie, ani tembardziej bogactwo, bo zwłaszcza to ostatnie każdy może nabyć i to sposobem nieszlachetnym. Ale wobec tej bezinteresowności, posiadanie majątku było dla szlachty koniecznością, słusznem więc i niezbędnem jest wszelkie prawo zabezpieczające szlachie własność, mianowicie własność ziemską, bo najpewniejszą i nie ulegającą spekulacji, jako konieczny warunek pełnienia obowiązków niepłatnych. W tem też znajduje swe uzasadnienie prawo zwyczajowe, zabraniające szlachie oddawania się wszelkim profesyom, mającym na widoku zysk. Być szlachcicem, znaczyło to być u szczytu, ponad który niema już wyniesienia. Osobiście można było podnieść się do najwyższych godności i urzędów w państwie lub pozostać na niższych stopniach w zakresie funkcji szlacheckich; można było pozyskać większe lub mniejsze wpływy i stosunki u dworu, odznaczenia osobiste itp. i naturalnie ród zyskiwał w miarę tego więcej lub mniej powagi, ale to nie wpływało na żadną zmianę jego właś-

ciwego charakteru. Naturalnem dążeniem człowieka jest pozyskanie szerszych warunków bytu i większego poważania, co, gdy posiadzie, równie jest naturalnem, że pragnie utrzymać i przekazać pozyskane stanowisko swemu potomstwu, które z kolei dąży znowu do tegoż samego i to stanowi ogólne dążenie rodów, począwszy od warstw najniższych, do podniesienia się na wyższy szczebel społeczny. Dążenie to, będąc naturalnem, jest zarazem słuszne i uzasadnione, bo kto nie idzie naprzód, ten się cofa, kto się nie podnosi, ten zstępuje. Odnosi się to, w znaczeniu materialnem i moralnem, zarówno do indywiduum, jak i do rodu. I niewątpliwie twierdzić można, że cel moralny ma tu znaczenie pierwszorzędne, jest celem właściwym, jeżeli nie zawsze zupełnie świadomym, tego dążenia w górę, gdy tegoż strona materialna jest w gruncie środkiem do osiągnięcia pierwszego. I nie zmienia to rzeczy, że środki przy tem używane nie zawsze są godne tego celu. Instytucya szlachestwa daje właśnie ten cel moralny właściwemu naturze ludzkiej dążeniu do społecznego wzniesienia się. Bez niej, pozostaje mu tylko cel materialny—bogacenie się, jako jedyny sposób wywyższenia, i honor (który jest najściślejsem poczuciem obowiązku) zostaje zastąpiony przez pieniądz. Ze wpływ takiej zamiany musi być zgubny dla wszystkich warstw społecznych, tego chyba nie trzeba tłumaczyć.

Takiem też, po za funkcją ściślejszą, która stanowiła lub stanowi zadanie szlachty w różnych krajach, w różnych okresach i w różnych okolicznościach, jest niezmiennie, ogólne znaczenie społeczne szlachestwa, bez względu na czas i szerokość geograficzną. Ale, by to znaczenie było istotnem, szlachestwo musi być otwarte, t. j. dostępne dla rodzin, które dzięki, czy to zasługom szczególnym, czy to odpowiednim przymiotom i kwalifikacyom okażą się godne i zdolne do pełnienia obowiązków stanu szlacheckiego i zostać *rodami*, rodami „społecznemi“, jak nazywa Bonald, czyli, wedle jego również określenia, przejść ze społeczeństwa domowego do społeczeństwa publicznego. Zauważmy tu, wraz z tym niezmiernie przenikliwym socjologiem-politykiem, że szlachestwo nie powinno być tylko nagrodą za zasługi, bo samo przez się jest ono pobudką do zasług i więcej liczyć można na zasługi, które wywoła w rodach uszlachconych nie tylko w pierwszym, ale zwłaszcza w następnych pokoleniach, bo znajdzie w nich grunt już uprawiony przez bezpośredni wpływ otoczenia i wychowania, aniżeli na te, których będzie nagrodą. Dlatego też rozróżniliśmy dwie kategorie rodzin, godnych dostąpienia szlachestwa: rodziny już zasłużone i rodziny, które dały do-

wody posiadania pewnych przymiotów i kwalifikacyi, czyli zdolności do położenia zasług. Nie będziemy wchodzić w dalsze szczegóły tej kwestyi, bo zaprowadziłoby to nas zbyt daleko. Dodajmy tylko, wraz z Bonaldem, Blanc de Saint-Bonnet, Leonem de Montesquiou i innymi, którzy dawniej i dzisiaj rzeczy te bliżej traktowali, że w społeczeństwach, któremi zawładnęła demokracja, jak to dzieje się we Francyi, szlachta, pomimo dekretów, istnieć nie przestała, lecz z instytucyi otwartej, jaką była za monarchii, stała się zamkniętą, niedostępną kastą, która utraciła swe funkcye i skutkiem bezczynności oraz rozdrabniania majątków dąży do upadku i zwyrodnienia, ale zachowała w oczach ogółu urok swego pochodzenia i wyłączności, tem większy, że dostęp do niej legalny stał się niemożliwym, podczas gdy zastęp rodzin, które przy dawnym ustroju, byłyby do niej weszły i pozyskały jej przymioty, odnawiając ją jednocześnie świeżemi pierwiastkami, pozostały po za jej obrębem, patrząc na nią z zawiścią i nienawiścią. Stąd wielka strata najlepszych sił i zdolności dla narodu i państwa. Nie jest bez pewnej analogii na tym punkcie położenie społeczeństw, żywych i rosnących, ale które utraciły państwowość własną, gdzie szlachta, jedyny element świadomie narodowy, bo zawierający sam w sobie całą narodową tradycję, a zatem niczem nie zastąpiony, traci coraz bardziej skutkiem fatalnych warunków politycznych i ekonomicznych (z dodatkiem często niestety win własnych), grunt pod nogami i wraz ze swym charakterem ziemiańskim stanowisko czoła narodu, które zajmować jest jego obowiązkiem.

Zobaczmy co o tem mówi Bonald, w zastosowaniu do Francyi, gdzie więksi właściciele, t. j. szlachta, zdawna już, nim ich wyzuła rewolucya, bo jeszcze za dawnego ustroju, opuścili przeważnie swe majątki, które wydzierżawiali na działy. „Gdyby była—mówi Bonald—we wsiach, w każdej wsi rodzina, której znaczny w porównaniu do sąsiadów majątek zapewniałby byt niezależny i ten rodzaj poważania, jaki dawność i obszar majątku, ziemskiego budzą zawsze u ludności wiejskiej, rodzina, która miałaby zarazem wiele godności na zewnątrz, a w życiu prywatnem wiele skromności i prostoty, która, podlegając surowym prawom honoru, dawałaby przykład wszystkich cnót i wszystkich obyczajności, która do wydatków swego stanu i zatrudnienia ludności okolicznej przy swem gospodarstwie, co jest znaczną korzyścią dla ludu, dołączyłaby tę dobroczynność codzienną, która po wsiach jest potrzebą, jeśli nie jest cnotą, rodzina wreszcie, która byłaby jedynie zajęta obowiązkami publicznymi, albo pozostającą wyłącz-

nie do rozporządzenia służby państwowej, czy nie należy sądzić, że wynikałaby wielka korzyść dla moralności i dobrobytu ludów z tej instytucji, która w tej lub innej formie długo istniała w Europie, utrzymywana przez obyczaje i której brakowało tylko uregulowania przez prawa. Taka rodzina lub ród ziemiański wchodzi do kategorii „powag społecznych“¹⁾ według określenia ekonomisty i socjologa francuskiego Le Play.

„Wszystkie te „powagi społeczne“ — mówi Le Play, poznać można po szczególnej zdolności: w sferze swych wpływów rozwiązują najpewniej wielkie zadanie, polegające na zapewnieniu panowania spokoju publicznego, bez pomocy siły. Dla osiągnięcia tego celu wszystkie one używają tego samego sposobu: dają dobry przykład swej miejscowości, wzbudzając w swych sługach, w swych robotnikach, w swych sąsiadach szacunek i przywiązanie. Gdy mają całkowitą wolność działania, tworzą one społeczeństwa trwałe i kwitnące, ale gdy są krępowane przez rządy lub konstytucje pisane, wtedy nie są już w stanie zapobiedz rewolucyjom i upadkowi. Powagi społeczne postępują w istocie, jak wielcy reformatorowie wszystkich czasów; nie objawiają prawdy inaczej, jak przez swą praktykę“. Dlaczego rody ziemiańskie mają ten przymiot powagi społecznej? Dla tego, że wraz z ziemią, w której mają swe korzenie, zachowały idee odziedziczone; dla tego, że ta dziedziczność ideowa, czyli tradycja, nadała im najwybitniejszy charakter narodowy, tak, iż koncentrując w sobie myśl, temperament i uczucia narodu, stały się one jakoby jego twarzą.

„Duch narodu — mówi Renan — powinien być kierowany przez pewną liczbę pasterzów urzędowych, tworzących ciągłość narodu“. Posiadanie tradycji i kierowanie się takową jest niezbędnem dla rozwoju społeczeństwa i narodu, bo w niej znajdują się dlań najpewniejsze wskazówki w wyborze dróg przyszłości.

August Comte chciał, by jego doktryna była „organem przyszłości, wyprowadzonym z przeszłości“ i twierdził, że „koniecznem jest panowanie zmarłych nad żywymi“. Paweł Bourget zarzuca rewolucjonistom zapoznanie samego pierwiastku postępu — „rozwoju przez ciągłość“ (w „L'Etape“). Tenże Paweł Bourget mówi o tradycji, co następuje: „Następujące po sobie pokolenia są to przystanki tego samego pochodu. My jesteśmy dziedzicami, użytkującymi²⁾ z energii, które nas stworzyły i przedłuża-

¹⁾ „Autorités sociales“.

²⁾ Usufruitiers.

my je... Jesteśmy żywem ich zsumowaniem... Nasza siła indywidualna jest tylko momentem dziedzictwa zbiorowego. Co jest w nas najgłębszego i najprawdziwszego, to są nasze tradycje. Jeśli się chce podzielać na naszą, najbardziej wewnętrzną rzeczywistość, to trzeba dotknąć tych tradycji“.

Bonald nie żąda absolutnego unieruchomienia instytucji politycznych kraju, ale chce, jak Comte, by przyszłość była kombinacją przeszłości i teraźniejszości. To też nowe idee powinny przejść ścisłą kwarantannę nim zostaną dopuszczone do społeczeństwa. Francja zawdzięcza zarazę polityczną, która ją wyniszcza, pominięciu tego niezbędnego środka ostrożności. Bo nie jest tak podejrzane, jak wszelka nowość. Prawda, chociażby była zapomniana przez ludzi, nie jest nigdy nową. Jest ona od początku, „ab initio“. Błąd natomiast jest zawsze nowym na świecie. Nie ma on przodków, ani potomności, ale tem samem właśnie pochlebia miłości własnej, bo każdy z tych, którzy go propagują, poczuwa się do jego ojcostwa. Bonald uważa za zbuntowanego człowieka, który poddaje kontroli swego rozumu twierdzenia tradycjonalne, podstawę społeczeństw. „Jakiem czołem on, proste indywiduum, rości sobie prawo sądzić i reformować to, co jest ogólne? Skutkiem jakiego obłąkania jego rozum osobisty dąży do zdetronizowania rozumu powszechnego?“

Ci sami ludzie—mówi Bonald, którzy spożywają, nie badając ich uprzednio, podawane im pokarmy, nie chcą niekiedy przyjąć w zaufaniu prawd, ustanowionych w całym świecie. Tymczasem prawdy moralne, są wistocie prawdami praktycznymi, prawdziwą potrzebą społeczeństwa, jak dla człowieka pożywienie i ubranie, i, jeżeli człowiek fizyczny żyje chlebem, człowiek moralny żyje słowem, które mu objaśnia prawdę. Nic nie jest zakłóconem w przyrodzie podczas, gdy człowiek bada, dyskutuje, zgłębia prawdziwość lub błędność systemów fizycznych, bo świat fizyczny, to nie człowiek i, jak się to z łatwością pojmuje, mógł by nawet istnieć bez człowieka. Ale wszystko ginie w społeczeństwie—prawa i obyczaje, podczas, gdy człowiek roztrząsa, czy ma przyjąć lub odrzucić wierzenia, które znajduje ugruntowanemi u ogółu społeczeństw, jak istnienie Boga, duszy niematerialnej, rozróżnienie dobrego i złego i t. d., bo społeczeństwo, to człowiek, gdy ten poddaje swój rozum i zastosowuje swe uczynki do doktryn i przepisów społeczeństwa, ponieważ nie można przypuścić, by społeczeństwo mogło istnieć bez tego posłuszeństwa. Jednem słowem, świat moralny nie został wydany na pastwę naszych sporów, jak świat fizyczny, bo spory, które pozostawiają

świat fizyczny takim, jakim jest, zakłócają, wywracają i niszczą świat moralny.

Z tych słów filozofa wypada wyciągnąć wniosek, który on sam sformułował i rozwinął bardzo szeroko, że wiara jest prawdą, bo jest potrzebną społeczeństwu. Istnienie społeczeństwa jest faktem pozytywnym, również jak jego potrzeby. Wszystko zatem, co w jego stosunkach zasadniczych jest potrzebne, jest prawdą. Bez wiary niema stałej niezmiennej moralności, pojęcia złego i dobrego, poświęcenia i wszystkich cnót niezbędnych dla utrzymania i rozwoju społeczeństwa. Wiara przeto jest potrzebą społeczną, a więc prawdą. Wychodząc z tego punktu Bonald idzie dalej i aż do sfer metafizycznych, gdzie tą metodą, że tak powiemy, pozytywną, stara się uzasadnić rozumowo całość systemu, religii chrześcijańskiej. Z tego to zapewne względu Emil Faguet nazywa go ostatnim scholastykiem. Nie będziemy się zapuszczać w te wywody apologetyczne, które odznaczają się w każdym razie wielką ścisłością dedukcyi logicznych, zaznaczymy tylko, że tak jak w społeczeństwie wogóle, a w społeczeństwie publicznem, czyli politycznem w szczególności, i w samym człowieku Bonald spostrzega w systemie chrześcijańskim te same trzy pierwiastki: inteligencyę najwyższą, czyli władzę, która rozkazuje, czynnik pośredni, który wykonywa i poddanych, dla których dobra działają dwa pierwsze. Władzą najwyższą jest Bóg—Stworzyciel, pośrednikiem — Zbawiciel, poddanymi — świat, ludzkość. Ponieważ Chrystusa na ziemi zastępuje widomie Kościół, zatem Kościół, względnie jego głowa Namiestnik Chrystusowy wraz z podległym mu duchowieństwem jest w społeczeństwie religijnem ministrem władzy najwyższej lub siłą wykonawczą, która „sądzi i walczy“. Poddanymi zaś są wierni, a właściwie cała ludzkość.

Bonald zwraca uwagę na zupełną identyczność zasady i ustroju Kościoła katolickiego—monarchii duchowej i państwa—monarchii politycznej. Bóg i Wola powszechna są to synonimy. W Bogu znajduje się źródło wszelkiej władzy „Potestas ex Deo est“. Od Boga ma ją Kościół w osobie papieża i od Boga ma ją społeczeństwo, względnie narody, w osobie króla. Te dwa rodzaje tejże samej władzy—moralna i polityczna, są zarówno potrzebne społeczeństwu. Pierwsza, by panować nad umysłami ogółu i bronić ich od wroga zewnętrznego—szatana i od wrogów wewnętrznych t. j. od umysłów silniejszych, ale fałszywych, aby te ich nie zwiódły i nie poprowadziły na drogę przeciwną prawdzie, t. j. ich naturze społecznej. Tylko Kościół katolicki posia-

da potrzebne ku temu warunki w swej zasadzie i ustroju i dla tego on tylko jest naprawdę Kościołem i władzą, gdy inne religie są to tylko sekty.

Druga władza, t. j. władza polityczna, potrzebna jest społeczeństwu, jak już wiemy, by bronić je od niebezpieczeństw wewnętrznych i zewnętrznych. Bonald daje takie określenie władzy: jest to istota, która chce i działa dla zachowania społeczeństwa, chce sama, a działa przez swych ministrów, czyli urzędników, którzy służą dla objaśnienia jej woli i wykonania jej czynności względem poddanego dla korzyści ogólnej. Nieodzowne warunki władzy są: dziedziczność, jedność i niezależność.

Dziedziczność jest pierwszym i zasadniczym prawem politycznym władzy społecznej, prawem nienaruszalnym, którego żaden naród bezkarnie nie zapoznał. Dziedziczność władzy odpowiada elementarnej zasadzie społeczeństwa politycznego. W społeczeństwie, które zwraca uwagę tylko na rodziny, nigdy na jednostki (indywidua), wola powszechna musiała powierzyć władzę ogólną rodzinie (rodowi) a nie jednostce. Natura zachowała sobie przywilej tworzenia wielkich ludzi, gdy będą potrzebni dla zachowania społeczeństwa, lecz pozostawiła temuż możliwość wyrobienia dobrych królów. Bo społeczeństwo ukonstytuowane rzadko potrzebuje wielkich ludzi, ale może, za pomocą wychowania, wytworzyć dobrych królów, jak wytwarza w innych zawodach ludzi pożytecznych. Wreszcie monarcha nie zachowuje społeczeństwa tylko przez swą czynność, lecz przez sam fakt swego istnienia.

Zapewne przypadkowość dziedziczności wynosi na czoło państwa, równie jak na czoło rodzin prywatnych, ludzi silnych i ludzi słabych. Każdy ród nowy, który uzurpacja wyniosłaby na tron, nie miałby pod tym względem przywileju i bardzo często królowie najsilniejsi mieli najsłabszych następców. To też zarówno dla powstrzymania silnych, jak dla podtrzymania słabych, natura dała państwom prawa zasadnicze (*lois fondamentales*), przeciw którym wszystko, co się czyni przez gwałt, czy przez słabość jest bez wartości, jak mówi Bossuet. I państwa ukonstytuowane (t. j. posiadające ustrój, konstytucję naturalną), jak Francja, może zginęłyby raczej skutkiem następstwa królów silnych, niżeli skutkiem następstwa królów słabych. Tych ostatnich miała Francja więcej, niżeli jakikolwiek inny naród i więcej, niżeli jakikolwiek inny wzrosła co do ludności i obszaru, nawet pod najsłabszymi z królów. Bo siła Francji znajdowała się nie w ludziach, lecz w instytucjach i król, silny lub słaby, był zaw-

sze dość dobrym, byle tylko chciał pozostać na swem miejscu, podobny w tem do klucza sklepienia, który trzyma wszystkie jego części bez wysiłku, nawet bez działania, jedynie przez swą pozycyę. Sprawiedliwość króla Francyi była jego siłą; siła jego była w sprawiedliwości. Nie była ona osobistą, lecz publiczną i zewnętrzną, bo nie była w nim, lecz po za nim — w instytucjach. Gdy zatem, w czasach rokoszów, słyszy się zarzuty słabości lub niezdolności, czynione rodom panującym, należy widzieć w tych oskarżeniach tylko interes osobisty. To architekci, którzy wmawiają zły stan budowli, by otrzymać przedsiębiorstwo odbudowy. Równie nieodzownym warunkiem władzy jest jedność. Władza nie może być podzieloną. Funkcye władzy są rozliczne i działanie jej stosuje się do wielu przedmiotów, ale istotą władzy jest jedność, bo dwie władze odpowiadałyby dwóm społeczeństwom i stąd to pochodzi, że wszędzie, gdzie istnieje podział władzy, tworzą się partye, które stanowią kilka społeczeństw wojujących z sobą w tem samym państwie. Wszelka władza, podzielona sama w sobie, upadnie — mówi Ewangelia. Jedność władzy jest zatem zasadniczym dogmatem społeczeństwa. Jest ona tajemniczym, niewidzialnym i potężnym węzłem, który w społeczeństwie politycznem poddaje wszystkie wole jednej woli, wszystkie miłości jednej miłości, wszystkie siły jednej sile, który ze wszystkich czyni jednego człowieka. Natura daje nam przykład jedności, gdy nam pokazuje w człowieku moralnym jedność woli, w człowieku fizycznym jedność działania, we wszechświecie jedność planu i gdy w jedności objawia nam pierwiastek porządku i tajemnicę piękna. Każda władza, oparta na prawach naturalnych, a więc rozumnych, a więc prawowitych, a więc boskich powinna być i jest faktycznie niezależną od ludzi i, co za tem idzie, absolutną. Władza, któraby nie była stanowczą, t. j., któraby nie mogła stanowczo (*définitivement*) żądać posłuszeństwa, nie byłaby niezależną, nie byłaby władzą, bo w takim razie znajdowałaby się naprzeciw niej władza od niej większa — ta, która pozwalałaby jej nie słuchać. Ale absolutna nie znaczy arbitralna. Bonald troskliwie zaznacza tę różnicę. Władza absolutna, jestto władza niezależna od ludzi, nad którymi się rozciąga, zaś władza arbitralna, jestto władza niezależna od praw, na mocy których jest sprawowana. Wszelka władza jest z konieczności niezależną od poddanych jej działaniu, bo gdyby była zależną od poddanych, to porządek byłby odwrócony: poddani byłiby władzą, a władza byłaby poddanymi. Władza i zależność wyłączają się wzajemnie, jak koło i kwadrat. Władza ojca jest niezależną od dzieci, wła-

dza pana jest niezależną od sług, władza Boga jest niezależną od ludzi. Ale władza odbywa się na mocy pewnych praw, które ustanawiają jej istnienie i określają jej naturę. Gdy zatem władza uchybia własnym prawom, wtedy popełnia zamach na własne istnienie, wynaturza się i wpada w arbitralność. Władza Boga samego nie jest od nich niezależną.

„Niema władzy—przytacza Bonald z Monteskiusza—tak absolutnej, któraby nie była ograniczoną z jakiejś strony. Bóg nie może zmienić istoty rzeczy bez ich zniszczenia, nie ma władzy przeciw swej własnej naturze“. Ogłosić lud wszechwładnym w hypotetycznej obawie, by nie był uciskany, jako poddany, nie przewidziawszy, jaką władzę można przeciwstawić władzy ludu, lub raczej z pewnością, że niema nic do przeciwstawienia mu, na wypadek, gdy z kolei stanie się on uciskającym; przypuścić z góry ucisk, by usprawiedliwić opór; nieporządek uczynić prawem, by niedopuszczyć pogwałcenia porządku, jestto naśladować szaleńca, któryby postawił swój dom pośród potoku, aby mieć wodę na wypadek pożaru. „Co chcecie uczynić słabem, aby was nie uciskało —przytacza znowu Bonald z Bossueta—stanie się bezsilnem, aby was bronić“.

Władza ludu nie jest absolutną, bo zależy od wszystkich ambicyi i od wszystkich, intryg (pominąwszy fakt, iż jest fikcją, służącą dla pokrycia uzurpacyi jakiejś grupy), za to jest arbitralną, a zatem niezależną od wszelkich praw, nie wyłączając tych, które sama sobie przepisuje. „Lud — powiada Rousseau, może zawsze zniżyć prawa, nawet najlepsze. Bo, jeżeli chce sam sobie zrobić krzywdę, to kto ma prawo mu tego zabronić?“, a według zasady republikańskiej „lud jest jedyną władzą, która nie potrzebuje mieć słuszności, by usprawiedliwić swe uczynki“. Taką jest zasada wszechwładzy ludu, na której wspiera się cały system demokratyczno-republikański. Arbitralności, niemoralności i szaleństwa podobnej zasady nie potrzeba dowodzić.

Lud, który się uważa za władcę — mówi Bonald — jest dotknięty tym samym obłądem, co wariat, który się porównywa do Ojca przedwiecznego. Co zaś dowodzi, że pycha jest objawem szaleństwa nawet fizycznego, to fakt, że większość obłąkanych marzy o władzy. Głoszona w naszym wieku i rozwinięta we wszystkich konsekwencyach zasada, że wszelka władza pochodzi od ludu jest maksymą bezbożną, bo zaprzecza, a przynajmniej usuwa Boga z myśli człowieka i z porządku społecznego; jest maksymą materialistyczną, bo umieszcza pierwiastek władzy, a więc to, co

jest najbardziej moralne na świecie, w liczbie, która jest właściwością materji.

Religia chrześcijańska, gdy nas uczy, że wszelka władza pochodzi od Boga: „*Omnis potestas a Deo*“, umieszcza władzę w sferze niedostępnej dla naszych namiętności i interesów osobistych, u źródła wszelkiej sprawiedliwości, wszelkiego rozumu, wszelkiej stałości. Fałszywa filozofia, gdy mówi, że wszelka władza pochodzi od ludu, umieszcza jej początek w ognisku wszelkich błędów, wszelkich nieporządków, wszelkiej niestałości, kładzie ją, by się tak wyrazić, pod ręką każdego, czyni z niej igraszkę wszystkich namiętności i cel wszystkich ambicyi. Wszechwładza ludu jestto władza wszystkich nad każdym. Wszakże, pojedynczo ludzie są od siebie niezależni, nikt nie ma władzy jeden nad drugim. Jeżeli żaden człowiek niema władzy nad innym człowiekiem, to i dwóch, dziesięciu, tysiąc ludzi, cały lud, niema jej również, bo lud jestto istota oderwana i gdy szukany ludu, widzimy jednostki odosobnione jedne od drugich bez wzajemnej łączności i spójni. Zbliżając zatem takie jednostki dla dokonania aktu władzy ludowej, zbliża się ludzi nie mających żadnej władzy, a więc nicości pod względem władzy i wszystkie te nicości, jakakolwiek byłyby ich liczba, nie stanowią władzy istotnej, podobnie, jak miliony zer zestawione jedne obok drugich nie stanowią liczby. Gdzież więc jest ta wszechwładza ludu i nad kim się rozciąga? Redukuje się ona do większości kilku lub nawet jednego głosu w Izbach. Władza zatem znajduje się w liczbie czyli w sile liczebnej. Ale władza, która ma siłę za jedyną zasadę, to tyrania, a posłuszeństwo, które wynika jedynie z przymusu, to niewolnictwo. To też, w demokracji, istnieje wolność tylko w słowach, a w czynie jest niewola. I, jak widzimy, rządy demokratyczne mają w zasadzie i w rezultatach wiele podobieństwa do despotyzmu, są właściwie despotyzmem na odwrót. Rząd republikański—mówi Bonald—może odpowiadać małej liczbie obywateli, jak despotyzm liczbie nadmiernej poddanych. Ale ani jeden, ani drugi nie odpowiada naturze społeczeństw. Bo natura nie chce, by jedno społeczeństwo było uciskającym, a drugie uciskanem; nie chce, by jedno było zbyt potężne, aby mogło być powstrzymane, a drugie za słabe, by mogło się bronić. Natura chce, by społeczeństwa były wolne i niezależne, pod panowaniem praw zasadniczych, fundamentalnych, tak samo, jak chce, by człowiek był wolnym i niezależnym, pod panowaniem praw religijnych, politycznych i cywilnych.

W monarchii wszystko jest społeczne: religia, władze, odznaczenia. W państwie ludowem wszystko jest indywidualne: każdy ma swoją religię, swoją władzę, każdy chce się odznaczyć i panować przy pomocy swych zdolności i swej siły.

W monarchii, ponieważ władza jest społeczną, jej granica znajduje się w instytucjach społecznych. W demokracji, ponieważ władza jest indywidualną, jej granica jest w człowieku.

Monarchia uważa człowieka w społeczeństwie lub jako członka społeczeństwa, albo człowieka społecznego. Rzeczpospolita uważa człowieka poza społeczeństwem, albo człowieka naturalnego. A ponieważ społeczeństwo jest stworzone dla człowieka, a człowiek dla społeczeństwa, zatem monarchia, która uważa człowieka w jego stosunkach do społeczeństwa, odpowiada człowiekowi i społeczeństwu, zaś Rzeczpospolita, która uważa człowieka bez względu na jego stosunki ze społeczeństwem, nie odpowiada ani człowiekowi, ani społeczeństwu.

Zatem tylko monarchia, która zapewnia władzy jej warunki nieodzowne — dziedziczność, jedność i niezależność i uosabia ją w panującym monarcho lub właściwie w panującej dynastji; monarchia absolutna, ale nie arbitralna, nie despotyczna, bo ograniczona naturalnymi instytucjami społecznymi, czyli posiadająca konstytucję, nie pisaną, nie pochodzącą z woli i pomysłu człowieka, lecz z woli powszechnej społeczeństwa, a więc wynikającą z praw naturalnych rządzących stosunkami społecznymi lub, co na jedno wychodzi, z prawa Boskiego, z Bożej łaski, taka monarchia jest rządem, odpowiadającym istotnym potrzebom społeczeństwa i naturalnemu porządkowi rzeczy, a przeto rządem jedynie prawnym. Wszystkie inne formy rządu, oparte na teoriach sztucznych i konstytucjach, sprzeciwiających się prawom naturalnym społeczeństwa, a więc woli powszechnej, a zatem woli Boskiej, choćby nawet zdawały się w pewnych szczególnych warunkach odpowiadać jakiemuś społeczeństwu, są w istocie swej fałszywe a tem samem złe i szkodliwe.

Takie są wnioski ogólne, wynikające z tych myśli Bonalda, dotyczących się teorii władzy i różnych systemów rządu.

Z powodu projektów konstytucji dla Polski, które w r. 1771 ułożyli na życzenie Wielhorskiego ksiądz de Mably i J. J. Rousseau, Bonald wypowiedział kilka dotyczących się tego przedmiotu uwag. Pominąwszy absurd samego pomysłu żądania od człowieka, by swym rozumem stworzył to, co może być tylko dziełem natury, o co zresztą Polaków nie oskarża, bo wie, że to nie naród, lecz jednostka lub parę jednostek uczyniło z własnej

inicjatywy, Bonald krytykuje te projekta i wytyka ich nicość, tem więcej uderzającą, że fakta, które później nastąpiły, służą im za komentarz. Oba są bez wartości realnej, w przypuszczeniu nawet, że to byłoby możliwe, bo oba nie liczą się ani z faktami, ani z naturą społeczeństw i człowieka wogóle, ani z charakterem, warunkami bytu i przeszłością narodu, dla którego są przeznaczone. Oba, chociaż wychodzą z niejednakowego założenia, opierają się na tym samym postulatcie przeciwnieństwa, zachodzącego jakoby pomiędzy władzą, względnie monarchą, a narodem, tak, iż troską ich główną jest wynalezienie jaknajwiększej liczby i najbardziej skutecznych środków ograniczenia, osłabienia i odjęcia wszelkich sposobów działania władzy, by ją uczynić nieszkodliwą. I to doradzają oni narodowi, który cierpi na rozstrój i znajduje się w przededniu zagłady z powodu właśnie braku władzy, braku jedności usiłowań! Jeżeli władza ma być tylko szkodą dla narodu, to czemuż w takim razie zachowywać jej „cień“, jak wprost wyraża się Mably, i w dodatku, wedle projektu tego filozofa, uczynić ten „cień“ dziedzicznym, w osobie króla, zamiast poprostu skasować wszelką władzę? Bo będąc cieniem, a więc niczem, jeśli nie będzie szkodliwa, to również nie będzie mogła pomódz.

Im dalej zapuścić się w szczegóły projektu Mably'ego, tem więcej się znajduje niekonsekwencyi, tembardziej widzi się niemożliwość zastosowania podobnej konstytucyi, tem więcej uderza oddalenie, zachodzące między tą sztuczną elukubracyą teoretyką, a istotnemi potrzebami i warunkami bytu społeczeństw.

Jeżeli projekt Mably'ego odznacza się przedewszystkiem suchą, teoretyczną pedanteryą, to zato podobne dzieło Rousseau'a przedstawia się, jako wytwór wyobraźni poetyckiej, coś w rodzaju marzenia o złotym wieku. Jest tu więc dużo mowy w podniosłym stylu o cnocie, o wolności, o prostocie, o równości, o oświacie ludu, o uroczystościach narodowych, o widowiskach i igrzyskach, o utrzymaniu obyczajów miejscowych i t. p. i wśród tego wszystkiego znajdują się nawet przebłyski myśli rozsądnych. Co się tyczy ściślej instytucyi politycznych, to Rousseau radzi Polakom, aby z wielką ostrożnością dotykali się tych, jakie posiadają, bo one to wyrobiły ich charakter, i aby unikali naśladowania instytucyi obcych. I w tem ma w zasadzie słuszność. Ale jak on to rozumie? Oto radzi utrzymać elekcyjność tronu, bo jestto doskonałem zabezpieczeniem wolności obywateli od tyranii monarchy, następnie, podobnie jak Mably, umieszcza władzę prawodawczą, a właściwie władzę całkowitą w Izbie poselskiej, pozostawiając senatowi i królowi rolę reprezentacyjną i t. p. Siłę

zbrojną radzi zorganizować jako milicję, na wzór szwajcarskiej, i ta powinna składać się głównie z kawalerii, jako broni narodowej. Jak najmniej piechoty, a broń Boże artylerii i fortów, bo te służą władcom do uciskania ludów! Nie dość na tem, tylko kraje niezbyt obszerne mogą być dobrze rządzone i mieć widoki dobrobytu, zatem, chociaż to może być dla nich bolesne, Polacy powinni wyzbyć się większych obszarów, w czym zresztą dopomogą im może sąsiedzi!

Wiemy już co trzyma Bonald wogóle o konstytucjach pisanych lub układanych przez zgromadzenia narodowe, cóż dopiero, gdy autorami ich są filozofowie i poeci, jak w danym wypadku, ludzie, żyjący w abstrakcyi lub w marzeniach!

Według niego, rozstrój w Polsce i jej następny upadek polityczny był skutkiem braków w ustroju naturalnym, pochodzących czy to z niewyrobienia się pewnych instytucji, czy to z ich stopniowego wypaczenia. Rząd w Polsce, jak u wszystkich narodów, miał początek we władzy ojcowskiej, która, z rodzinnej, stała się publiczną, z ojcowskiej, królewską. Szlachta, będąca z początku „ministrem“ lub „siłą“ władzy królewskiej, t. j. pełniącą właściwie sobie obowiązki, zaczęła przy różnych sposobnościach ograniczać tę władzę na swoją korzyść. Wreszcie, korzystając z wygaśnięcia drugiej dynastji narodowej, uchwyciła władzę w swe ręce i stała się arystokracją, patrycyatem, t. j. klasą społeczną, posiadającą dziedzicznie władzę w narodzie, ale zachowała jednocześnie charakter szlachty, t. j. klasy wykonywującej rządy pod rozkazami władzy. Tron, t. j. władza najwyższa, przynajmniej nominalnie, stał się elekcyjnym, gdy służba, czyli ministrowie, czyli szlachta pozostała dziedziczną. Stąd brak harmonii w zasadach, a stąd i w stosunkach społeczeństwa, bo według Bonalda, władzy dziedzicznej powinna odpowiadać służba dziedziczna i naodwrot, gdy władza nie jest dziedziczną, służba również nią być nie powinna. W przeciwnym razie równowaga jest naruszona: grupa dziedziczna zyskuje zbyt wielką przewagę nad władzą, pozbawioną możności stawienia jej przeciwwagi i to powoduje rozstrój w państwie i nieład, prowadzący do anarchii i upadku, jak to wskazuje nieszczęśliwy los Polski. Jeżeli Polacy chcieli temu zaradzić, to powinni byli albo przyjąć naturalny ustrój państwa najlepiej ukonstytuowanego (jakim była wówczas Francja), albo powrócić do własnego naturalnego, jaki posiadali sami, pod panowaniem dynastji narodowych, nim jeszcze się wypaczył, i któremu zawdzięczali swój wzrost i potęgę. To był jedyny i najlepszy sposób wyjścia. Ale niema nic niebez-

pieczniejszego dla narodu, jak uciekać się do pomysłów teoretycznych tam, gdzie niezbędnem jest dzieło natury. Takie sztuczne konstytucye porównywa Bonald do szaty źle skrojonej, której błędy widzi się dopiero najlepiej, gdy się ją przywdziało.

Już Sainte-Beuve, który w jednym z tomów swych „Lundis“ umieścił studyum o Bonaldzie, powiedział w r. 1851, że „Pan de Bonald jest jednym z tych autorów, z których twórczości można wyciągnąć największą ilość wielkich myśli. Złożyłoby się z nich niedużą książkę, której dałoby się tytuł „Duch“ lub nawet Geniusz pana de Bonald, i któraaby zawierała treść niezmiernie bogatą i oryginalną“. Ze słów tych sławnego krytyka wnosić należy, iż nosił się on wówczas z tą myślą, ale zamiaru swego do skutku nie doprowadził. Dokonał go zato przeszło pół wieku później inny znakomity autor i krytyk francuski, współczesny nam Paweł Bourget, przy współpracownictwie Michała Salomon, i umieścił powyższe słowa Sainte-Beuve'a na wstępie swej przedmowy do tomu, zawierającego wykład systemu i myśli Bonalda, opatrzone komentarzami i przypiskami autorów zbioru. „Od tego czasu — mówi Bourget — oznaki, aż nadto znaczące, ukazały nam w wypadkach nieustannie się powtarzających wynik stałej zasady. I to jest pierwszym powodem aktualności tego wydawnictwa. Drugi powód tej aktualności spoczywa w zmianie radykalnej, jaka nastąpiła od pół wieku w wyższych umysłach francuskich na punkcie napozór bardzo dalekim od teorii Bonalda: definicji, przedmiotu właściwego i przyszłości Nauki. Posiadamy dla zmierzania siły i znaczenia tej ewolucji pierwszorzędnny dokument: korespondencyę Taine'a. Listy wielkiego filozofa pokazują nam do jakiego stopnia forma umysłu, którą przedstawiają terminy „naukowy“ i „pozytywny“, była jeszcze niewyraźną około roku 1850.

By wziąć jedno tylko z zagadnień przyszłości nauki, najmocniejsze wówczas głowy były przekonane o zgodzie zupełnej pomiędzy tą Nauką a Demokracją. Nasi starsi przyjmowali jako dogmat tę naiwną wiarę, że przed wiekiem XIX istniała cywilizacja całkowicie oparta na błędzie i że jesteśmy dzisiaj świadkami wspaniałej próby sprostowania tego błędu i utworzenia nowego społeczeństwa, którego podstawą byłaby prawda. Bo też ludzie z tego pokolenia określali Naukę, jako koncepcyę *racyonalną* życia, i to wyrażenie „racyonalna“ było synonimem „logicznej“. Tymczasem stało się, że Nauka wraz ze swym rozwojem ujawniła coraz bardziej zupełnie inną zasadę, na której się opiera.

Nie jest ona koncepcją *racyonalną* życia, lecz koncepcją *eksperymentalną*. Uznała coraz bardziej swą niezdolność wyjaśnienia przyczyny rzeczy, co znaczy, iż ustanowiła miarą prawdy nie wymagania dedukcyjne naszego rozumu, lecz skonstatowane istnienie Faktu.

Gdy ta metoda wszechwładzy faktu raz została przyjęta, cała ideologia demokratyczna musiała się przedstawić i przedstawiła się rozumom, wykształconym w tej surowej dyscyplinie, jako konstrukcja bez żadnej dokładności. Dla zaznaczenia na innym i bardzo konkretnym przykładzie tej różnicy stanowiska umysłowego, przytoczę (mówi Bourget) z tej korespondencji Taine'a stronę, datowaną z r. 1852, w której daje on teorię „racyonalną” i którą wskutek tego uważa za naukową, powszechnego głosowania: „Jeżeli jest we Francji siedem milionów koni, to te siedem milionów mają prawo rozporządzać tem, co do nich należy. Mniejsza o to, że sądzą i wybierają źle. Ostatni głupiec ma prawo rozporządzać swem polem i swą prywatną własnością. Podobnie naród głupców ma prawo rozporządzać sobą, t. j. własnością publiczną“. Tenże sam Taine, w dwadzieścia dziewięć lat później reasumując wyniki swych długich poszukiwań nad początkami Francji współczesnej, pisał co następuje: „Aż dotąd znalazłem tylko jedną zasadę, tak prostą, że wydaje się dziecinną. Niemniej trzymałem się jej, bo wszystkie zawarte tu sądy z niej wypływają i jej prawdziwość jest gwarancją tychże. Zawiera się ona całkowicie w tej uwadze, że społeczeństwo ludzkie, szczególnie społeczeństwo nowożytne, jest czemś bardzo obszernem i złożonem. Skutkiem tego trudno je znać i rozumieć i dlatego trudno dobrze nim władać. Wynika stąd, że umysł wykształcony jest do tego zdolniejszy, aniżeli umysł nie wykształcony i człowiek specjalny od człowieka, który nim nie jest“. Ta konkluzja Taine'a jest dzisiaj punktem wyjścia dla tych wszystkich, którzy myślą naukowo. Jeżeli Bonald znajduje się w harmonii z ich umysłami, pochodzi to stąd, że ta metoda poddania się faktowi panuje w całym dziele tradycjonalisty, który nie wiedząc o tem, nakreślił program wielkiej pracy Taine'a, w jednym z przypisków do swej „Teorii władzy“: „Trzeba, aby Rewolucya była znaną we wszystkich swych szczegółach, we wszystkich swych okropnościach. Historia Rewolucyi będzie najzupełniejszym traktatem polityki i moralności doświadczalnej, jaki kiedykolwiek się ukazał.“

Nikt prawie ze współczesnych Rewolucyi nie miał, jak się zdaje, umysłu dość silnego, by sobie postawić pytanie, jakie to radykalne zapoznanie praw społeczeństwa wytworzyło ten strasz-

ny kryzys, prawdziwą chorobę narodu w paroksyzmie śmiertelnej epilepsyi. Bonald należał do małej liczby tych dyagnostyków. Miał on w swej samotności na brzegach Renu (na emigracyi) tę dumną odwagę mieć słuszość prawie sam jeden, jaką w tym samym czasie mieli Rivarol w Hamburgu, Mallet du Pan w Bernie i Józef de Maistre w Lozannie. To też nic dziwnego, że jego „Teorya władzy“, którą Dyrektoryat skonfiskował, nie została wówczas ocenioną. Ale Bonald wiedział, że można zniszczyć materialnie jego książkę, ale nie można unicestwić doktryny. Pogardę swą dla opinii współczesnej wyraził on niejednokrotnie w tych słowach: „Trzeba iść ze swym wiekiem, mówią ci, którzy uważają za wiek krótką chwilę swego życia... Nie z jednym wiekiem, ale ze wszystkimi wiekami trzeba iść ludziom, bo czasem jednemu człowiekowi, przypada zadanie nawrócenia wieku do jego praw niezmiennych, które uprzedziły człowieka i wieki, i które zostały uznane przez zdrowe umysły wszystkich czasów“.

Ten, którego przeciwnicy przedstawiali „idącym wstecz do przyszłości“, okazał wprost przeciwnie, a zwłaszcza w rozdziale zatytułowanym „Filozofia i socyologia doświadczalna“, charakter myśli nawskroś nowożytny. Był on naprawdę najbardziej jasnowidzącym w tej przyszłości z powodu, który sam wyraził, odpowiadając na ten zarzut: „Błędem najogólniej rozpowszechnionym, i to w intencjach niezupełnie niewinnych, są te maksymy: wiek się zmienił i wszystko powinno się wraz z nim odmienić... Co to ma znaczyć? I co się zmieniło na świecie? Czy prawa powszechne świata fizycznego, które w nim utrzymują porządek i zapewniają mu trwałość? Są one niezmiennie jak ich twórca. Czy więc człowiek? Rodzi się on wszędzie i zawsze z tą samą inteligencją, z temi samymi potrzebami, jak i z tą samą postacią i organami.“

Czy są zmiany w społeczeństwie, przeznaczonem do trwania tyleż czasu, co i świat, i dla rozwijania inteligencji człowieka, powstrzymywania jego namiętności, regulowania jego skłonności, zaspokajania jego potrzeb?... Jeżeli skutki lepiej dokonywanych obserwacji dodają cośkolwiek do wiadomości ludzkich, to prawdy moralne służą do ich rozwinięcia: „non nova, sed nove“.

To przyrównanie praw niezmiennych świata fizycznego do praw niezmiennych świata społecznego, mówi dalej Bourget, może już samo służyć za miarę rozległości umysłu Bonalda. Od jednego razu sam on powiedział, na czem zależy nowość w Nauce. W istocie nowość ta polega wyłącznie na odkryciu i zużyt-

kowaniu faktu, który istniał przed tem odkryciem i nie zmienił się wskutek wyciągnięcia zeń korzyści. „Postęp nauki znajduje się w dostrojeniu naszej myśli do warunków stałych fenomenów przemijających.“

Myśli, które znajdujemy u Bonalda, nie są zapewne nowe. Ale sam on powiedział bardzo słusznie, że nie idzie o to czy zasady wygłoszone są nowe, lub czy są prawdziwe, czy odpowiadają opiniom przyjętym, lecz czy są zgodne z faktami niezaprzeczalnemi.

LESZCZ.

O miłośnikach książek.

„Legendo vitam producite!“
(Gutenberg).

Słynny drukarz Chevillé na 60 stronnicy swojej księgi: „O pochodzeniu druków paryskich“ pomieścił następujący hymn na cześć książki:

„O bogowie i boginie! Czyż istnieje wyższa rozkosz nad kontemplacją pięknej książki, drukowanej czcionkami ładnego typu, nie blaknącem czernidłem?! Oto tutaj purpura zlewa się łagodnie z barwą czarną, garmont, królewski garmont, jest czysty, łatwy do odczytania, linje są proste, żadnego zamętu, wielki tu ład i wielka jasność. Żaden obraz największego mistrza nie jest miłszy dla oka wykształconego człowieka. Hańba człowiekowi, któryby się znudził oglądaniem księgi, drukowanej na welinie, lub na papierze czerpanym!“

Jest może trochę przesady w tym entuzjazmie głośnego bibliofila, ale rozkosz, o której mówi, jest poniekąd znaną każdemu człowiekowi kulturalnemu. Wielcy ludzie wszystkich epok i krajów poczytywali sobie za najwyższy zaszczyt zbierać dzieła wielkich myślicieli, wieszczów i prawodawców, układać z nich bibliotekę i przekazywać ją potomnym. Siedziby książąt i królów stawały się dzięki temu w dawnych czasach ogniskami oświatowymi i zawierały najbogatszy zbiór literackich skarbów i pamiątek. To samo da się powiedzieć i o klasztorach, gdzie cierpliwi zakonnicy, np. Benedyktyni, jako też i zakonnice, własnoręcznie przepisywali i illuminowali mszały, często na purpurowym pergaminie, gdy chodziło o przepychy, a potem oprawiali je w deski, pięknie inkrustowane, lub obciążnięte skórą, skąd pochodzi wyrażenie „przeczytać od deski do deski.“

Wynalazek druku w połowie XV wieku, demokratyzuje książkę, czyni ją dostępniejszą ogółowi. Książki jednak były i wtedy jeszcze zbyt drogie, aby mogły się rozpowszechnić. Właściciel biblioteki musiał być z konieczności altruistą, bo bibliotek było mało i te które były, stawiały się poniekąd własnością szerszego ogółu, dawały wolny wstęp ludziom żadnym wiedzy. Nietylko ilość spotrzebowanego mydła świadczy o kulturze narodu. Takim samym dokumentem jest i książka. Zadaniem kultury jest uartystycznianie przedmiotów codziennego użytku. Podlega temu i książka. Książka bowiem nietylko zaspakajając powinna nasze potrzeby duchowe, być pośrednikiem między nami, a wielkimi duchami przeszłości, którzy wiedzy ludzkiej torowali drogę ku prawdzie. Nie! powinna ona formą zewnętrzną, oprawą i drukiem, zadawałać, a nawet podniecać nasze zamiłowanie estetyczne. Papier, format, układ stronnic, oprawa, powinny stanowić harmonijną całość i zadawałać najwybredniejsze wymagania. Duchowej stronie książki powinna odpowiadać jej strona cielesna.

Nie każdemu miłośnikowi piękna danem jest posiadać w swem mieszkaniu brzozy i marmury wydarte z niszczących objęć czasu, z rąk łupieżców, barbarzyńców, z pośród ruin. Książka należy do wszystkich. Przechodzi z rąk do rąk, bez końca, piękna, doskonała, mądra, pełna pobłażliwości i zrozumienia. Zajmuje mało miejsca, ale każdy może ją unieść w swem sercu i w swej pamięci...

*

*

*

Obok szlachetnej rozkoszy obcowania z książkami, istnieje mania książkowa, mania niebezpieczna i ekscentryczna, która zajmuje poważne miejsce w historii zboczeń ludzkich pożądań.

W namiętności do książek mamy do czynienia z dwojakim rodzajem miłośników: z *bibliomanami* i *bibliofilami*.

Biblioman jest zbieraczem z namiętności, uprawia on, że tak powiem, miłość zmysłową do książek... Interesują go w książce tylko cechy zewnętrzne, okładka, dobry wygląd, a przedewszystkiem—rzadkość okazu, zbiera on białe kruki nie po to, by karmić się ich treścią, lecz po to jedynie, by były jego własnością. Patrzy na nie miłośnie, ale nie zajmuje go—*dusza książki*.

Bibliofil natomiast pragnie posiadać książki, bo kocha je nie tylko dla ich rzadkości, lecz także dla ich treści. Ocenia je wytrawnie i z szacunkiem. Jest to miłość duchowa, idealna, nie pozbawiona jednak egoizmu... Ceni rzadkie wydania, dąży do skompletowania pewnych działów, ale szanuje i kocha także treść dobrej książki. Zna je i z ich wewnętrznych zalet, a nawet i wad. Nie poprzestaje na zewnętrznej wyłącznie ocenie, na wypróbowaniu papieru palcami, na osądzeniu wartości oprawy, na porównaniu tytułu i daty z „Manuel du libraire“ Brunet'a, z obawy, by nie posiąść fałszywego klejnotu. Nie! zgłębia on także duszę książki, wyciska jej drogocenny sok, i składa ją w swej myśli z równym pietyzmem, z jakim ją ustawia w swej szafie bibliotecznej. Tacy miłośnicy książek mogą śmiało wypisać jako godło swych księgozbiorów, owych: *templa sapientium serena*—słowa wielkiego Marka Aureliusza:

„Pogrążcie się w samych siebie. Praktykujcie często tę ucieczkę w głąb swego ja, aby się odrodzić na nowo. Taka ucieczka, zbliża nas zawsze do dobrych autorów. Uczynicie tak, aby wasza lektura płynęła z życiem i aby pożytek z niej osiągnięty, stał się waszą cnotą!”

Bibliofil ocenia typograficzne rzadkości, ale ocenia je tylko, jako pomniki sztuki. Nie przecenia egzemplarzy, drukowanych na pergaminie, nie wpada w ekstazę nad arabeskami i kłaniami starych opraw, nie delektuje się też błędem zecera, który stanowi charakterystyczną cechę jakiegoś niezmiernie rzadkiego wydania, nie rozpacza z powodu drobnej plamki na karcie tytułowej. Nie buduje on bowiem sławy swego księgozbioru na ignorancyi zecera, nieuwadze korektora, lub wprost na wypadku, nadającym inną fizyognomię książce.

Bibliofil żyje wśród swych książek, jak w gronie najlepszych przyjaciół. Odnosi się do nich, jak do istot żywych, które go rozumieją, zaś całe bibliofilstwo jest pewnego rodzaju wolnomularstwem. *Bibliofile* całego świata znają się między sobą i, co dziwniejsza... poznają na pierwszy rzut oka po tajemniczych znakach. Piotr Deschamps przejeżdżając przez Petersburg, puka do mieszkania księcia Galicyna: „Proszę! — woła książę — „miło mi przedstawić panu moich przyjaciół!” I wskazuje swoje szafy biblioteczne.

Ale i *bibliofile*, aczkolwiek uprawiają idealniejszą miłość książek, nie są pozbawieni przesady, która, jak zresztą w każdej gałęzi kolekcjonerstwa, często graniczy ze śmiesznością.

Granica między zamiłowaniem do książek, a manią kolekcjonerską, trudną jest do oznaczenia. W wielu wypadkach bibliofilstwo zamienia się w bibliomanię. Maniaków podzielić można na kilka kategorii: na takich, którzy zbierają skarby jedynie po to, by je posiadać, na takich, którzy chcą zadowolnić swą próżność, wreszcie na typy zazdrośników i zbieraczy specjalności.

Zbieracz skarbów szczęśliwy jest, gdy zdobędzie rzadką książkę, tak, jak dusigrosz, gdy zdobędzie pieniądze. Głaszcze miłośnię swą dłonią księgi pięknie oprawne, dmucha między kartki, strzeże swych skarbów w wiecznej trwodze, by mu ich kto nie zabrał. Każdy człowiek, który przekracza próg jego biblioteki, jest jego wrogiem. Egoizm takiego bibliofila jest bezgraniczny, skąpstwo jego bezprzykładne. Często całe kolekcje książek pozostają tajemnicą dla świata, nikt ich nigdy nie widział, krążą tylko o nich jakieś legendy...

Zbieracz próżny zbiera w przeciwstawieństwie do poprzedniego jaknajbardziej głośno i uroczyście swoje skarby, mianowicie wydania luksusowe z miniaturami i pięknymi inicjałami, druki na pergaminie, lub welinie, druki ze srebrem, złotem i innymi barwami, księgi oprawne w stare materye z przepysznie cyzelowaniami w srebrze klamrami, stare, olbrzymie mszały z kości słoniowej z inkrustacyami ze złota, i stare, rzadkie elzewiry. Takiemu zbieraczowi chodzi przede wszystkim o rozgłos, chodzi o to, by o jego zbiorach cały świat mówił z podziwem. Księgi są jego dumą. Wydał na nie pół swego majątku. Czasem taki „próżny zbieracz“ mało się zna na wartości książek—wtedy zawiera bliższe stosunki z jakim dzielnym antykwaryuszem, odbywa z nim narady, przyjaźni się z nim i poufali...

Nie czyta nigdy swoich książek—często nawet sam nie wie co posiada, bo zbiera je tak, jakby zbierał muszle, lub motyle. Chętnie pokazuje swoją bibliotekę każdemu, który chce ją zwiedzić, czy to będzie uczony, sportsmen, dziecko, kobieta, lub drugi zbieracz... Powtarza co chwila: „posiadam, książek za sto tysięcy rubli!“ lub „w tej szafie mieszczą się książki, które kosztowały mnie 50.000 rubli!“

Zbieracz zazdrośny martwi się bezustanku. Każda wiadomość, że ktoś posiada książkę, której on sam jeszcze nie zdobył, płoszy mu sen z powiek. Nie uznaje kolegów—kolekcjonerów. W każdym zbieraczu widzi tylko wroga, z którym prowadzi walkę niemiłosierną. W tej wojnie nie gardzi żadną bronią. Gotów użyć podstępów, przekupstwa, oszustwa, hyle tylko uprzedzić ry-

wała w kupnie rzadkiej książki, byle tylko z rąk mu ją wydrzeć. Zależy mu głównie na tem, aby nikt nie miał rzadszych książek od niego. Dewizą jego nie jest: „mieć rzadką książkę!“ lecz: „Byle tamten jej nie miał!“

Zbieracz specyalności ceni tylko pewną specyalną kategorię książek, nie zależy mu na rzadkich książkach, ani na ich cechach indywidualnych, lecz na *komplecie*. Komplet jest jego ideałem, jego bożyszczem. Wszystko, co leży po za obrębem jego specyalności, nie interesuje go zgoła, ale dla powiększenia „kollekcyi“ nie szczędzi kosztów, ani trudów. Oto np. zupełnie bezużytecznie piętrzą się u niego wszystkie możliwe wydania Petrarki w liczbie 1.200 tomów, lub w kilku również tysiącach dzieła Woltera... U innego zbieracza, książki, dotyczące Rewolucyi francuskiej mniej, lub więcej cenne, dochodzą do poważnej liczby 10.000 tomów, których zebraniu poświęcił 30 lat swego życia i kilkudziesięciotysięczny majątek.

Mühlbrecht w swojej ciekawej księdze: „*O Miłośnictwie książek*“ ¹⁾ opowiada o zbieraczach biblii, którzy ofiarowali potem swe zbiory bibliotekom w Wernigröde i Stuttgardzie. Pierwszy z nich posiadał 3200, drugi przeszło 7200 egzemplarzy. Mówi także o zbieraczach rzymskich i greckich klasyków, o zbieraczach poszukujących wszystkich dzieł dotyczących wynalazku druku, historyi reformacyi, wojny trzydziestoletniej, (królewska biblioteka w Dreźnie) lub wojny francusko-niemieckiej 1870 r. (królewska biblioteka w Berlinie). Inne zbiory ograniczają się do historyi pewnych miejscowości, osób, krajów. Istnieje w Berlinie słynna kollekcyja książek Bledowa, dotycząca gry w szachy. Istnieje pewien gatunek zbieraczy kollekcyonujących jedynie oprawy i interesujących się ich historycznym rozwojem, który istotnie jest bardzo ciekawy i posiada całą swoją bogatą literaturę, głównie we Francyi, gdzie ta gałąź artystycznego przemysłu rozkwitła najwcześniej i z całym przepychem. ²⁾

W końcu XVI w. sztukę intrologatorską wzbogacili: Clovis i Eva, a cały łańcuch doskonalących się wciąż mistrzów kończą takie nazwiska, jak: Michel Frantz, Bauzonnet, Padeloup, Amand, od których współcześni intrologatorowie francuscy uczą się sma-

¹⁾ Otto Mühlbrecht, „Die Bücherliebhaberei in ihrer Entwicklung bis zum Ende des XIX Jahrhunderts“, Bielefeld, Velhagen u. Klasing, 1898.

²⁾ Uzanne: „La reliure française“, Paris—1881, Thoinin: „Les relieurs français“.

ku i poszanowania dla książki. Berlin posiada dziś Collin'a nadwornego cesarskiego intrologatora, wielkiego artystę w swym fachu. U nas sztuka ta stoi jeszcze na dość niskim poziomie, spotyka się rzadko książki poprawne w ciełce, rzadziej jeszcze w kozłowe skóry. Ale coraz liczniejsi miłośnicy książek wprowadzać zaczynają wykwintniejszy ton w oprawach.

Zbieranie książek pociąga też często za sobą zbieranie ex-libris'ów, czyli znaków bibliotecznych, które w historii książki mają kilka bogatych rozdziałów. Istnieją w Anglii, we Francyi i w Niemczech całe stowarzyszenia i specyalne pisma dla zbieraczy ex-libris'ów, a wiek XV i XVI przyniósł sporo ex-libris'ów nader ciekawych w swych pomysłach i allegoryach, wykonanych piękną sztycharską robotą. Największy ich zbiór posiada dziś hr. von Leiningen Westerburg w Monachium.

W Ossolineum lwowskiem istnieje kolekcya, złożona z kilkuset sztuk samych polskich ex-libris'ów, ofiarowana niedawno przez prywatnego zbieracza. Pewien typ „miłośników książek“ poszukuje do swych kolekcji samych kart tytułowych, z własnoręcznemi dedykacyami autorów, ale tego rodzaju kolekcjonerstwo nie ma oczywiście na celu ani pożytku, ani piękna, i książce przysługi nie oddaje.

Jeden z najwybitniejszych polskich miłośników książek, Józef Weyssenhoff, charakteryzując w artykule swoim o „zbieraczu polskim“ ¹⁾ manję *kolekcjonerstwa specyalności*, taką o niej robi między innymi uwagę:

„Każdy człowiek inteligentny i czuły na Piękno, potrafi sobie zdać mniej więcej sprawę, ile w danem dziele lub dziełku zawiera się pomysłu, charakteru i pracy. Przedmiot z epoki dawnej, zarówno jak z doby bieżącej, może mieć w sobie dużo treści, albo jej wcale nie posiadać. Gromadząc zbiory, trzeba mieć tę wartość przedmiotów ciągle na oku: co one znaczą, lub znaczyć mogą dla nauki i rozkoszy przyszłych pokoleń. Dlatego rozumny zbieracz nabywa nie tylko przedmioty dawne, lecz i współczesne ze swego zakresu. Wystrzega się tylko fałszerstw i naśladownictw. Umiejętny miłośnik starych porcelan nie pominie nowych, wybitniejszych wyrobów np. fabryki królewskiej duńskiej, poszukiwacz zaś starych rycin doda z rozkoszą do kolekcji rzadkie i kunsztowne akwaforty współczesnych malarzy. Zbieracz, jeżeli dba o sens i pożytek, nie ograniczy się na podkreślanu w cudzych katalogach numerów, które i on posiada, lub

¹⁾ „O zbieraczu polskim“ Przewodnik antykw. rski I, 1910 r.

na wyszukiwaniu nieznacznych odmian rzeczy znanych z epok ubiegłych, lecz założy zbiór żywy, że tak powiem, przeznaczony na trwanie i dopełnianie przez artystów bieżącego i przyszłych stuleci“.

*

*

*

Najbardziej poszukiwane przez zbieraczy rzadkości typograficznych są inkunabuły (z łacińska: *cunabula*, kołyska) czyli paleotypy. Są to najpierwsze wytwory sztuki drukarskiej, przeważnie wydania klasyków, tak zw. *editiones principes*. Znaczna też część utworów średniowiecznych, treści filozoficznej, teologicznej, encyklopedycznej, zachowała się jedynie w inkunabulach. Rzadkość inkunabułów pochodzi stąd, że pierwotnie drukowano każdego dzieła bardzo małą liczbę egzemplarzy (50—100) zmieniając i poprawiając coś ręcznie przy każdym egzemplarzu, tak, że inkunabuł, podobnie jak rękopis, jest unikatem, a tem samem stanowi rozkosz bibliofila. Drukowano zaś na inkunabulach rzeczy niezbędne, będące w częstem użyciu, więc przeważnie są one zniszczone; niemniej jako dzieła sztuki drukarskiej, często ozdobiane ręcznej roboty miniaturami i inicjałami, stanowią cenną pamiątkę.¹⁾ Najwięcej poszukiwane przez zbieraczy są inkunabuły, drukowane przed r. 1470, w których widzimy pierwsze usiłowania odbijania drzeworytów. W ten sposób drukowane były pierwsze biblie i tak zw. „*livres d'heures*“ czyli psalterze, w których spotykamy często najpiękniejsze i najsubtelniejsze miniatury i inicjały.

Rozkoszą miłośników są, dalej, stare teologiczne rękopisma, lub kroniki miast, lub rodzin panujących z wieków XIII, XIV i XV, w których zdumiewa nas bogactwo fantazyi, rozsypanej w arabeskach, zakrętach i winietach, zdobnych naprzemian kwiatami, roślinami, owocami, zwierzętami, pobłyskujących cienkimi blaszkami z prawdziwego złota, w okładkach mistrzowskiej ro-

¹⁾ Bentkowski „O najdawniejszych książkach, drukowanych w Polsce“. Bandtkie: „*De primis cracoviae in arte typographica incunabulis*“. M. Bersohn: „O iluminowanych rękopisach polskich“.

boty, wysadzanych drogiemi kamieniami, które były często dziełem złotnika.

Bibliofil w snach swoich najśmielszych widuje Eurypidesa, drukowanego samemi dużemi literami, Tytusa Liwiusza na welinie, Wirgiliusza, Marcyalisa, Dantego, Vasarego na pergaminie, Herodota w pierwszym wydaniu...

Widzi on w swych marzeniach wszystkie księgi, które wydało Odrodzenie, owa klasyczna epoka rozkwitu książki, epoka bogatych wydawnictw i niezrównanie pięknych opraw, których kolebką była Wenecya ze swemi subtelnie malowanemi pergaminami, które wyszły z pracowni braci Aldów, a także Leyda w Holandyi, gdzie żyli słynni bracia Elzevirowie (1635) mający tam swoją drukarnię. Widzi także książki, które wydał wdzięczny i wytworny wiek XVIII...

*

*

*

Bibliofilizm rozwinął się we Francyi bardziej niż gdziekolwiek na świecie. Ojcem jego był J. Ch. Brunet, autor *Manuel du libraire*. Posiada on swoje stowarzyszenia i czasopisma.

Sprzedaż książek, czyli tak zw. aukcye odbywają się w salach licytacyjnych Drouota, lub w „salle Silvestre”. Tam książki dochodzą do cen niebywałych, do paruset tysięcy franków za egzemplarz. Wydawcy, mając na względzie namiętność zbieraczy do rzadkich książek, robią dla nich specjalne wydania w niewielkiej ilości egzemplarzy, które idą wysoko w cenie. Takie egzemplarze drukowane są na wytwornych papierach: na papierze czerpanym, holenderskim lub japońskim i numerowane własnoręcznie przez autora. Towarzystwa wydawnicze zawiązywały się i rozwiązywały, by uczynić tem rzadszą książkę, która wyszła pod ich znakiem.

Rajem zbieracza książek są wybrzeża Sekwany między Pont Neuf, a Pont Royal. Tam to, na owych *quais*, na parapetach kamiennych, bukiniści, czyli drobni handlarze starych książek, nawet sztychów, wogóle mniej lub więcej autentycznych „antykwów”, rozkładają swój towar pod gołym niebem i spokojnie wyczekują na miłośników starych rzeczy. Stamtąd wyszły najrzadsze edycje starych klasyków, wyczerpane już zupełnie białe kruki księ-

garskie, nabyte za nieprawdopodobnie niską cenę. Tam, za sous'a kupiono w swoim czasie pierwszy list Americka Vespucci do Wawrzyńca Medyceusza, ozdobiony drzeworytem, który przedstawiał u góry nagich dzikich ludzi, a u dołu wylądowanie floty w Ameryce...

Bukiniści im mniej znają wartość posiadanych rzeczy, tem więcej stają się już dziś podejrzliwi. Każdy z nich posiada stare skrzypce, na których rzekomo grał w dzieciństwie Paganini, ale posiada też cenne i rzadkie, oprawne w stare, żółtkłe, wydęte przez deszcze pergaminy, dzieła wielkich mistrzów myśli, które prawdziwy znawca umiejętnie wyszpera z pośród stosu starych kalendarzy i senników i, nie dając poznać po sobie, że mu na nich zależy, kupi od niechcenia za śmiesznie niską cenę, aby te biedne, zniszczone, zdekompletowane tomy ustawić potem na najpierwszem miejscu w swej bibliotece. Czasem, na jeden taki tom, który mu potrzebny do skompletowania całości, czyha miłośnik książek długie tygodnie. W czasie największej słoty przechadza się wzdłuż Sekwany, czatując na upatrzoną książkę, którą mieć musi... Bukinista o tem wie, jeśli jest dobrym psychologiem i potrafi czytać w twarzy takiego cierpliwego włóczęgi, którym jest często možny pan, mecenas sztuki. Bukinista bowiem musi być dobrym psychologiem, musi czytać w twarzy szperacza. Jeżeli wyczyta radość, lub zdziwienie, wtedy oczywiście cena książki podskakuje nagle o kilka franków, a jednocześnie stygnie zapal zbieracza... Pozornie... Bo nazajutrz zjawia się znowu na *quais* i upragnioną książkę kupuje za cenę, której żądają...

„Ileż to książek cennych sprzedanych zostało przez przymierających głodem bukinistów na makulaturę! Iluż episierów zawijało już pieprz i rodzyнки w tutki zrobione z brakujących rozdziałów Tytusa Liwiusza, Tacyta, Cyserona, w stronnice wydarte z tragedji Owidyusza“ — woła z rozpaczą Juliusz Janin w swej pięknej książce *Le livre*, w której prawdziwą poezją owiane jest miłośnictwo książek, i w barwnych dyalogach opowiedziana cała historia bibliofilstwa.¹⁾

„Pragnąłbym — mówi Janin przez usta jednego ze swych fikcyjnych miłośników książek, którzy przez ciąg piętnastu wieczorów rozmawiają o dziejach książki w historii świata — aby wybudowane kiedyś zostało dla książki godne jej schronienie. Marzę o obszernych galeryach w wielkich ogrodach, w którychby

¹⁾ „*Le livre*“ par Jules Janin, Paris Plon.

szumiały bardzo stare drzewa, uśmiechały się zieleni trawników, szemrałyby wodotryski, a wino zwieszałyby się w bogactwie złocistych gron, aby zmęczonych pokrzepić w dzień upalny. Ogrody te i galerie otwierałbym tylko dla wybranych, dla tych, którzy rozumieją i kochają książkę; dla młodzieńców, żądnych wiedzy i dla starców, umiejących wspominać...

A wtedy, moi mili, nie byłoby pod słońcem świątyni, akademii, muzeum, zebrania politycznego lub senatu, któryby mógł się równać temu zgromadzeniu najwyższych duchów świata!"

*

*

*

Jednym z największych miłośników książek, jakiego zna historia bibliofilstwa był Anglik, Ryszard de Bury (1281—1345) biskup i kanclerz, który w książeczce swej *Philobiblon*¹⁾, pisanej jeszcze po łacinie, wystawił książce pierwszy pomnik i hymn jej wyśpiewał. Mówi w niej: o pożytku, o traktowaniu, o wrogach i przyjaciółach, o wypożyczaniu książek. Kronikarz Wilhelm de Chambré opowiada, iż w sypialni de Bury'ego leżało na ziemi tyle książek, że niepodobna było przejść. Skupował co tylko mógł, popadł w długi i choć zapisał swe skarby uniwersytetowi w Oxfordzie, zapis jego nie mógł być urzeczywistniony, bo książki swe jeszcze za życia rozprzedać musiał. Klasyczne swe dziełko rozpoczyna od słów Tomasza à Kempis;

„Bierz książkę do ręki tak, jak święty Szymon brał na ręce dzieciątko Jezus, aby je popieścić i ucałować. A gdy przestałeś czytać, zamknij księgę i rozpamiętuj wszystkie słowa, które wyszły z ust Boga, bo w mądrości Boga znaleźć możesz skarby bezcenne.“

W innem miejscu woła w egzaltacji:

„W książkach znajduję przeczucie śmierci, jakgdyby były one istotami żywymi, w książkach widzę z góry rzeczy, które

¹⁾ Dziełko de Bury'ego przetłómaczone zostało na wszystkie niemal języki. Najświeższe wydanie londyńskie nosi tytuł: „*The love of Books*“, the *Philobiblon* of Richard de Bury, newly translated into english by E. C. Thomas“, London. Chatto Windus (1909).

przyjdą. Z książek przemawia Przeszłość i Sprawiedliwość. Czas wszystko niszczy i zabiera. Jedyne niezawodnym lekarstwem na smutek są książki.

„Aleksander, zdobywca świata, Juliusz, zdobywca Rzymu, który zaprzął cały świat do swego zwycięskiego rydwanu, czyżby byli dziś z nami, gdyby nie książki? Miasta były zrównane z ziemią, kraje zniszczone i wzięte w niewolę, bramy tryumfalne rozsypały się w proch, królestwa upadły — a książka trwa i trwać będzie! Książka przez wdzięczność dla tego, który ją stworzył, daje mu nieśmiertelność. Tak długo jak żyje książka — żyje jej twórca“.

Wśród słynnych miłośników książek królewskie stanowisko zajmuje Antonio Magliabechi z Florencyi, założyciel biblioteki tego imienia, która potem stała się Biblioteką Narodową włoską. Do rzędu namiętnych zbieraczy należeli również obaj kardynałowie francuscy: Richelieu i Mazarini, twórca paryskiego księgozbioru.

U nas Zygmunt August był rzetelnym miłośnikiem i znawcą książek. Kazał oprawiać swe skarby w bogate szaty z masy i srebra, sprowadzał z zagranicy introligatorów i opiekował się ich cechem. Łukasz Górnicki dopomagał królowi, podobnie jak on gorący entuzyasta książki. Bentkowski opowiada o biskupie kijowskim Załuskim, iż „gorliwość jego w zbieraniu dzieł, zwłaszcza polskich, do tego dochodziła stopnia, iż żarliwy ten kapłan własnym nawet ustom odejmował, przestając na wieczory z kawałka chleba i sera złożonej, aby tem więcej na pomnożenie biblioteki mógł oszczędzić“. Jan Zamoyski zapoczątkował w w. XVII świetne księgozbiory, Stanisław August lubował się w książkach.

Z późniejszych wybitnych zbieraczy, znawców i miłośników książek, wymienić należy: Emeryka Czapskiego, założyciela Muzeum w Krakowie, Z. Glogera i Z. Wolskiego, (którzy zapisali swe bogate księgozbiory Bibliotece Publicznej w Warszawie), M. Bersohna, (który pięknie oprawne księgi ofiarował warszawskiemu Tow. Zachęty Sztuk Pięknych) tudzież rodziny Załuskich, Ossolińskich, Czetwertyńskich, Świdzińskich, Radziwiłłów, Zamoyskich i Krasińskich. Dwie ostatnie posiadają bezcenne okazy w swych bibliotekach w Warszawie, do których dostęp ma szersza publiczność. Zbiór najpiękniejszych starych opraw polskich oglądać można w muzeum Czartoryskich, w Krakowie.

Bibliofilizm, jak zresztą każde kolekcjonerstwo, często zamienia się w patologiczne maniactwo. Bibliomanem był w w. XVII słynny Grolier, mistrz w sztuce oprawiania książek, którego ex-libris osiągnął pewnego rodzaju nieśmiertelność. Wyryta jest na nim dewiza: *Grolierii et amicorum* (własność Groliera i przyjaciół). Brutalniej postąpił pewien współczesny polski biblioman, przykładając do każdej swojej książki pieczętkę, na której było napisane: „Skradzione z biblioteki X. X.” (imię i nazwisko wypisane oczywiście *en toutes lettres*...). Jak twierdził, i to go nie uchroniło od straty wielu cennych egzemplarzy, które pożyczał znajomym.

Przykładem szaleństwa bibliofilskiego był lord Spencer w w. XVIII: cały rok bawił w Rzymie, lecz nie zwiedził ani kościoła św. Piotra, ani Kolosseum, ani Watykanu; interesowali go tylko bukiniści i gdy wreszcie znalazł Marcyalisa wydanego w roku 1473, uciekł z Rzymu. Biblioteka jego była jednym z najwspanialszych księgozbiorów londyńskich. Bibliotekarz jego, Dibdin, był tem dla Anglii, czem Brunet dla Francji. Wydał dwa dzieła, które są biblią dla zbieraczy angielskich: „*Bibliomania or Bookmadness*” i „*A bibliographical, antiquarian and picturesque tour in the northern countries of England and Scotland*”. Spencer posiadał swego własnego introligatora sir Rogera Payne, któremu raz za jedną oprawę zapłacił 80 f. szt. (800 rb.)

Podobnego mu bibliomana scharakteryzował Karol Nodier w swem kapitalnem dziele „*Le bibliomane*”. Mowa tu o Henryku Boulard, urodzonym w połowie XVIII w. Ten zbieracz, cieszący się w szerokich kołach Paryża wielkiem uznaniem, jako pisarz i człowiek, posiadał jednak istne zboczenie w namiętności kolekcjonerskiej. Skupował książki nie na sztuki, ale na metry, i bez metra w kieszeni nie pojawiał się u księgarza, płacąc często po 120 fr. za dwa metry książek. Pięć kamienic, które posiadał w Paryżu, zawalonych było od góry do dołu stosami książek różnego pokroju i różnej wartości. Wreszcie znalazł śmierć pod stołem foljałów. Przygniotły go swym ciężarem, gdy usiłował ściągnąć je z wysokiej szafy. Biblioteka jego zawierała do 800,000 tomów, i przez długi szereg lat znane były w Paryżu „*les ventes Boulard*” na których można było kupić obok tandety, rzeczy bezcenne.

Do jakich granic patologicznych dochodzi nieraz zamiłowanie do książek, świadczyć może kilka przykładów zupełnie wiarogodnych.

Wśród bibliomanów, trafiali się i zbrodniarze:

Proboszcz z miasteczka Poserna pod Weissenfels dopuścił się r. 1812 morderstwa, by zaspokoić żądzę posiadania książki. Hiszpański zakonnik Don Vincente w klasztorze Tarragona, zrabował bibliotekę podczas rewolucyi. I ten „miłośnik książek“ dopuścił się morderstwa na osobie starego antykwaryusza, który mu nie chciał sprzedać cennego jakiegoś egzemplarza. Po pewnym czasie przestępstwo jego wyszło na jaw. Szalony mnich zgodził się przyznać do niego publicznie, pod warunkiem, by mu nie naruszono zbiorów. Objawy książkowego obłędu występowały u niego wyraźnie. „Człowiek musi prędzej, czy później umierać — twierdził — ale dobre książki są chwałą Boga, i te muszą zostać w komplecie“. W r. 1836 był on skazany na śmierć. Nie drżał przed śmiercią, a jeżeli czego żałował, to chyba tego, że książka, którą wydarł swojej ofierze, nie była... unikatem...

*

*

*

Bibliofile wszystkich czasów okazywali się bardzo surowymi względem kobiet i uważali je za niebezpiecznych i zdecydowanych wrogów książek. Oto jak przemawia do nich de Bury na jednej z pierwszych kart *Philobiblon*’u, przez usta książek, które niby to wymawiają im wszystkie ich przewinienia:

„Gdy tylko to zwierzę, (oto jak wdzięcznem słowem znakomity biskup określa płeć piękną...) gdy tylko to zwierzę szkodliwe, odkryje miejsce, w które jesteście wtulone, pod strażą pajęczyny, wyrywa nas stamtąd, zasypując gradem obelżywych przezwisk. Dowodzi nam, że najniepotrzebniej zabieramy tyle miejsca w mieszkaniu, że niezdolne jesteście do wprowadzenia pewnych oszczędności w gospodarstwie, i przemyśliwa tylko nad tem jakby nas wymienić na piękne materye, futra, wełny, lub płótno...”

„Amour de femme et de bouquin
Ne se chante au même lutrin!“

— woła inny bibliofil.

Jeszcze gorzej obszedł się z kobietą O. Uzanne „Kobiety bibliofilki“!... Nie znam dwóch wyrazów, któreby gorzej pasowa-

ły do siebie! Nie znam stosunku bardziej fałszywego, małżeństwa bardziej spragnionego rozvodu. Kobieta i bibliofilizm żyją na antypodach, i prócz kilku wyjątków — bo córy Ewy lubią nam robić niespodzianki — myślę, że nie istnieje żywsza sympatya i zażyłość między kobietą a książką. Kobieta widzieć będzie zawsze w „ohydnej bibule“ swoją rywalkę, rywalkę poważną i niebezpieczną i zawsze widzieć w niej będzie mur między sobą a mężczyzną, którego chce zdobyć.

A oto co mówi Nodier w księdze „*Bibliomanie*“, przestrzegając miłośników książek:

„Istnieje nieprzyjaciel gorszy niż ogień, woda i gaz, nieprzyjaciel, który wkrada się wszędzie, zdecydowany na każdą walkę i do każdego podstępu — to kobieta. Prawie wszystkie są antibibliofilkami. Książka w ich oczach jest mało co lepsza od dziennika: składają ją, gniotą, odwracają. Brakuje nożyka do przecinania? Chwytają jakąś kartkę, szpilkę, najczęściej szpilkę do włosów. Gdy chodzi o rzadkie książki — najdrobniejszy sprzącik obchodzi je więcej od pierwszego wydania. Wolą wstążkę od najwykwintniejszej oprawy. Otwierając książkę, łamią zaraz jej grzbiet. Nie dawajcie im cennych książek do rąk. Niech mąż złoży raczej w ręce swej żony klucz do swej kasy ogniotrwałej, ale nigdy niech jej nie oddaje klucza do szafy bibliotecznej!“

Po za tem obwinia autor kobiety o przecinanie kartek książki dłonią, z powodu czego książki kaleczą się niemiłosiernie...

Ile w tem jest przesady, nie potrzebujemy powtarzać. Kobiety po wsze czasy odznaczały się zamiłowaniem do książek, począwszy od słynnej siostry Herady, ksieni klasztoru Hohenburg w Alzacyi, w w. XII, która własnoręcznie illuminowała słynny *Hortum deliciarum*, rodzaj encyklopedyi wiedzy ludzkiej, ów cudowny rękopis złożony z 548 stronnic, wykaligrafowanych i przystrojonych w liście i kwiaty, który przechowuje biblioteka w Sztrasburgu. Herada słynęła ze swej wiedzy, znała język grecki i łacinę i nie rozstawała się z Arystotelesem, Platonem i Cyceronem. W X wieku żyła inna zakonnica imieniem Wybora, którą nazwano niedawno „patronką bibliofilów“. Haftowała ona przez całe życie bogate materye, w które później oprawiano książki. Gdy barbarzyńcy napadli raz na klasztor, pobiegła do mnichów, by ich przestrziedz, ze słowami:

— Ratujcie przede wszystkim książki! Schowajcie je! A dopiero potem zajmijcie się świętymi naczyniami!

W wiekach średnich wśród królowych, księżen i wielkich dam widzimy dużo miłośniczek książek; trudno w tym szkicu wszystkie wymienić.

W XVI w. Elżbieta, królowa angielska, oprowiała niezmiernie zbytkownie swoje książki. Książka do modlitwy tej królowej, oprawna w złoto, wisiała zawsze na złotym sznurze u jej paska.

Marya Stuart, Lukrecya Borgia, Diana de Poitiers zwana *chasseresse des bouquins*, Krystyna szwedzka, Ninon de Lenclos, Małgorzata Flandryjska kochały książki. Jeden z historyków naliczył w w. XVI, XVII i XVIII aż 120 kobiet, które zbierały książki i tworzyły z pietyzmem biblioteki. Inny historyk polemizując z nim, twierdzi, że „co prawda wiele kobiet posiadało książki, ale żadna nie wiedziała co one zawierają i miano bibliotek zupełnie do nich nie pasuje. Gdy zdobyły książkę, dawały ją do oprawy i ustawiały mniej lub więcej systematycznie w swej wspaniałej szafie bibliotecznej, — cel był osiągnięty i przestawały już na tem“.

Współcześnie, jedną z najwytworniejszych amateerek książek jest księżniczka angielska Wiktorya, która ma całą bibliotekę, złożoną z własnoręcznie oprawnych książek.

*

*

*

Urządzona staraniem *Medici Society* w Londynie w roku ubiegłym Wystawa druków i książek, która miała być wyrazem dorobku artystycznego ostatnich czasów w tej dziedzinie, zawiera pośród swych eksponatów najwięcej takich okazów, które wyszły ze słynnej drukarni w Kelmscott, założonej przez wielkiego reformatora książki—Williama Morrisa. Temu krzewicielowi Piękna należy się osobny rozdział w historii rozwoju i udoskonalenia książki.

Od samego zarania swej działalności artystyczno - pedagogicznej na polu sztuki demokratycznej, przemyślał Morris nad reformą książki. Edycye, które były wówczas w Anglii w obiegu, uważał ten wielki idealista za obrazę Piękna, któremu służył. Był poetą i artystą, więc biadał nad tem, że książka służyła tylko dla celów kupieckich, które ubliżały jej wysokiej godności. Biadał nad brakiem gustu i odpowiedzialności estetycznej u drukarzy XIX wieku, którzy wszelkiemi siłami starali się rozpowszechniać brzydotę. Marzył, aby jego własne poezye wysz-

ły w doskonałych wydaniach, któreby uszlachetniły jeszcze ich piękność i wskrzesiły tradycje świetnych i subtelnie iluminowanych manuskryptów oraz inkunabułów średniowiecznych. Ale spotykał się na każdym kroku z ciemnotą i rutyną wydawców.

Więc gdy tylko zdołał zebrać odpowiednie po temu środki, postanowił zostać sam drukarzem i wydawcą. Podobnie jak w r. 1861 założył swe słynne warsztaty, które miały na celu zwalczanie brzydoty w sztuce stosowanej¹⁾, pragnął także, aby drukarnia w Kelmscott nie była przedsiębiorstwem handlowym, lecz aby służyła zarówno celom artystycznym, jak intelektualnym.

Wybierał tedy najpiękniejsze utwory ducha i wyobraźni ludzkiej, poczynawszy od „Le roman du renard“, a skończywszy na poezjach D. G. Rosettiego, i dawał im najwytworniejsze szaty zewnętrzne. Uważał drukarza za siewcę myśli, który nie powinien brać na chybił—trafił, bo obowiązkiem jego jest rozsiewać tylko najlepsze i najpiękniejsze.

Z początku walczyć musiał Morris z obojętnością publiczności, nieprzyzwyczajonej do tego, aby zajmować się pięknością książki. Zadanie jego było trudne, zanim zapoznał się z techniką drukarską i rozpoczął walkę z renomowanymi firmami wydawniczymi, które patrzyły z lekceważeniem na wysiłki tego marzyciela, a zarazem rzemieślnika...

„Zacząłem drukować książki w nadziei, że stworzę coś pięknego, stworzę książkę, która będzie przyjemną w czytaniu i nie zmęczy oczu, ani zamuści myśli czytelnika ekscentrycznością liter“—mówi Morris.

W Anglii, jak zresztą i na całym kontynencie, po świetnych tradycjach XV i XVI w., zaprzestano uważać drukarstwo jako sztukę i uczyniono zeń jedynie rzemiosło. Papier, wzory liter dobierane były dorywczo, bez najmniejszej troski o piękno. W XVIII w. prace Caslon'a nie dały pożądanego wyniku, a w XIX w. jedynym usiłowaniem drukarzy było: uczynić książkę *jak najtańszą!*

Morris długo bardzo studyował inkunabuły i manuskrypty, aby brać z nich wzory odpowiednie. Imponował mu swym kunsztem graficznym słynny drukarz Mikołaj Jenson z Tours, który

¹⁾ Artykuł: „*Apostoł Piękna*“ Biblioteka Warszawska 1911, Grudzień.

pracował w 1469 r. w Wenecyi. Typ swoich czcionek wziął od tego artysty.

Wysilek artystyczny Morris'a skierowany był ku trzem zasadniczym punktom: 1) papier, 2) czcionki, 3) architektura książki.

Papier, na którym dotychczas drukowano nawet najwytworniejsze wydawnictwa, wydawał mu się niedostatecznym. Podług jego więc wskazówek wyrabiać zaczęli w Little Chart papier doskonały, wyłącznie z płótna.

Morris apostołował nadzwyczajną rzetelność i doskonałość wszystkich materyałów, z których ma powstać dzieło sztuki, i podobnie, jak w jego własnych farbiarniach i przedziałniach wyrabiano doskonałe materye i płótna, tak papier do jego książek, musiał przejść przez jego kontrolę i nosić na sobie wszelkie cechy doskonałości. Nosił się także z myślą wyrabiania własnego tuszu i atramentu i tylko śmierć przedwczesna stanęła w poprzek tym zamiarom.

„Litera—mówił Morris w swej słynnej konferencyi „O książce idealnej“¹⁾ — powinna być jasną i piękną, narysowaną przez artystę, a nie przez inżyniera“. Litery, które widzi się dzisiaj w książkach, urągają według Morrisa tym pojęciom o doskonałości, tłoczą się jedne na drugie, zabijają się i zacierają wzajemnie, aby tylko zyskać na miejscu. Rysował więc litery romańskie, duże i zaokrąglone, dbając o to, aby „u“ nie było podobne do „n“ przewróconego, i aby „b“ nie przypominało „d“. Na dowód jak drobiazgową była jego praca, służyć może fakt, iż po jego śmierci znaleziono w jego zeszytach 34 odmian „T“ gotyckiego...

Ilustracje do książek wykonywali dla Morris'a artyści tej miary co Burne-Jones, Crane lub Gaskin. Co do architektury książki, to zależało mu na tem, aby stronnice były jasne, łatwe do czytania, marginesy ani zbyt małe, ani zbyt duże i odstępy między jedną literą, a drugą nie przesadne.

Drukarnia w Kelmscott wprowadziła w czyn teorye Morris'a i wywarła wpływ dodatni na wydawnictwa wieku XIX. Prowadził ją wielki apostoł idei piękna od r. 1890 do 1896, to znaczy do swojej śmierci, poświęcając pracy cały twórczy zapal swej duszy, głodnej doskonałości. Jedyną ciemną stroną tych cudownych wydawnictw w oczach Morris'a było to, że nie mogły być

¹⁾ W. Morris: *The ideal book*. Konferencya w *Bibliographical Society* londyńskim, ogłoszona drukiem w sprawozdaniu stowarzyszenia 1893 r.

one z powodu cen wysokich dostępne *dla wszystkich* w myśl jego wzniosłych teorii o sztuce demokratycznej, o sztuce dnia powszedniego i ludzi powszednich.

*

*

*

W końcu stwierdzić należy z radością, że od lat kilku widzi się i u nas zwrotku lepszemu w zakresie sztuki drukarskiej i wydawniczej. Zwrot ten zapoczątkował Stanisław Wyspiański, dbając o to, aby książki jego zewnątrznie przedstawiały się estetycznie, i czuwając osobiście z wielkim pietyzmem nad każdym nowem ich wydaniem.

Jeszcze do niedawna kategoria zbieraczy-estetów, zbieraczy, którzy kupowali i oprawiali książkę dla jej piękna, a nie w celach wyłącznie naukowych, była u nas zgoła nieznaną;—w latach ostatnich jednak zjawili się wśród amatorów prawdziwi miłośnicy książki.

Dla nich oprawa ma już inne znaczenie, niż obrona przed rozsypaniem się kartek w źle zbroszurowanej książce, a taniość książki nie jest głównym warunkiem jej nabycia. I choć jest jeszcze dużo dyletantyzmu, i sporo snobizmu w ich zamiłowaniu do pięknych książek, kolekcjonerstwo ich będzie miało tę dobrą stronę, że rozbudzi może w szerszych kołach zamiłowanie do pięknych opraw i przyczyni się do rozwoju tak dotąd zaniedbanego u nas kunsztu introligatorskiego.

Dbali o wysokie zarobki wydawcy ryzykują powoli coraz więcej wydawnictw luksusowych w niewielkiej ilości egzemplarzy, przeznaczonych dla rzetelnych miłośników książki.

W roku ubiegłym, kilku ludzi dobrej woli zorganizowało Kursy kształcenia zawodowego grafików.

Kursy graficzne mają na celu podniesienie umiejętności zawodowej przez naukę specjalną, — przytem ćwiczenia zawodowe, teoretyczne i praktyczne są głównymi przedmiotami. Kursy obejmują naukę drukarstwa, litografji i introligatorstwa. Nauka odbywa się w specjalnie urządzonych pracowniach przy użyciu potrzebnych narzędzi i maszyn. Oprócz nauki czysto zawodowej, na kursach wykładane są nauki pomocnicze. I tak: nauka rysunku obejmuje 4 działy: rysunek odręczny, czyli studia z od-

lewów gipsowych, rysunek geometryczny, ornament stylowy i kompozycję zdobniczą. Nadto wprowadzono szereg pogadanek z dziedziny mechaniki i technologii zawodowej. Dla zapoznania się z dziełami sztuki uczniowie zwiedzają muzea i wystawy.

Założenie tych Kursów, jako też postanowienie wydawania Rocznika grafice poświęconego („Grafika“), jest niezaprzeczenie krokiem naprzód w historii rozwoju książki polskiej, a organizujące się tymi czasy „Towarzystwo przyjaciół sztuk graficznych“ przyczyni się bezwątpienia do udoskonalenia kunsztu drukarskiego i introligatorskiego, i zamiłowanie do książki wysubtelni i rozpozwszechni wśród ogółu kulturalnego.

ZUZANNA RABSKA.

PIŚMIENNICTWO.

DR. STANISŁAW KOT. *Wpływ starożytności klasycznej na teoryje polityczne Andrzeja Frycza z Modrzewa.* Kraków 1911. Nakładem Akademii Umiejętności, str. 94.

Praca powyższa jest nowym, pocieszającym dowodem, zauważonego już przez innych, a stwierdzonego i na tem miejscu kilkakrotnie, pogłębienia się naszej myśli krytycznej i historyczno-literackiej w ostatnich czasach. Coraz częściej ukazywać się zaczynają u nas większe i mniejsze rozprawy, poświęcone poszczególnym zagadnieniom literackim, a nawet obszerne dzieła, większy zakres tych zagadnień obejmujące—których stanowisko myślowe, metoda, sposób ujmowania kwestyi, stosunek do rozpatrywanego materiału, szerokość obejmowanych horyzontów, syntetyczne traktowanie zjawisk obok niezaniebawianych bynajmniej skrupulatnych poszukiwań źródłowych, stanowią wielki krok naprzód w stosunku do przeważnie biograficzno-bibliograficznej, zewnętrznie—opisowej, streszczająco-moralizującej pracy historyków literatury pokolenia poprzedniego.

Jakkolwiek ten prąd nowy jest dopiero w zarodku i powoli zdobywa sobie miejsce wśród „oficyalnej“ naszej nauki, hołdującej przeważnie dawnej metodzie—to jednak już obecnie skutki dobroczynne tej „przemiany wartości“ dają się zauważyć. Ożywia się przedewszystkiem, rozszerza i pogłębia praca nad historią literatury, obejmuje coraz szersze koła pracowników, wciąga w dziedzinę badania cały ogrom nieopracowanych zupełnie lub też tylko zewnętrznie dotkniętych spraw i zagadnień, europeizują się kryteria i metody, a nawet ludzie hołdujący dawnym ideałom w tym względzie, zmuszeni są liczyć się z nowymi wymaganiami, uznawać radzi — nie radzi nowe wyniki badań, modyfikować

i zmieniać stosownie do nich swoje poglądy i zapatrywania. Drugim skutkiem dobroczynnym jest, że szerokie sfery społeczeństwa będą zmuszone niebawem zainteresować się żywiej (nie chcę powiedzieć, że już się interesują) pracami historyczno-literackimi, bo odczują, że prace te nie są czemś zupełnie oderwanem od życia tego społeczeństwa, jego uczuć, rojeń, zabiegów i interesów duchowych, że owszem, przeciwnie, mają z tem życiem ścisły związek i mogą nawet wpływać na jego kierunek przez wyjaśnienie, tłumaczenie, przerabianie na własność duchową współczesności, pomników i zabytków myślowych i uczuciowych przeszłości. Społeczeństwo musi stopniowo dojść do zrozumienia, że historyk nie jest już i nie może być czemś archiwalnem i już z racji swego zawodu przeżytem, ale że pracuje on, między innemi, i nad tem, aby w stare, zinurszałe zabytki archiwalne tchnąć nowe życie, związać je z życiem chwili obecnej, ukazać współczesności to, z czego ona wyrosła, czem bezświadomie żyje, co stanowi podłoże i grunt jej duszy zbiorowej. Ze takie zrozumienie i uznanie pracy historyczno-literackiej, przyniesie z sobą pierwszorzędnę korzyść tak dla niej samej, jak i dla społeczeństwa—tego dowodzić długo chyba nie potrzeba.

O ile dotychczasowe dzieła i rozprawy tego nowego, scharakteryzowanego powyżej ogólnie typu, obracały się, jak dotąd, przeważnie wśród wieku XIX i jego bogatej, bujnej, do dziś dnia należycie nieopracowanej i nieprzetrawionej twórczości, o tyle praca p. Kota zajmuje się zupełnie prawie nieznanym ogółowi szerszemu wiekiem XVI, a na tle tego wieku, oświecla w sposób nowy i ogromnie interesujący jedną z najwybitniejszych postaci tych czasów: Andrzeja Frycza z Modrzewa, zwanego również Modrzewskim. Podkreślam to z góry, że jest to praca nie tylko o Modrzewskim, ale także o wieku XVI, o zasadach, podstawach, genezie i rozwoju polskiej myśli politycznej tego wieku, o teoriach państwowo-politycznych i o instytucjach państwowych na tych teoriach opartych, a przede wszystkim o olbrzymim, decydującym, na wszystkiem piętno swe wyciskającym wpływie starożytności klasycznej, jej pojęć, teorii, jej filozofii, poezyi i jej życia prawnopństwowego.

W czasie gdy znajomość świata starożytnego wśród ogółu jest prawie żadną, gdy języki starożytne uważa się niemal powszechnie za z średnich wieków pozostałe i pokutujące jeszcze w czasach obecnych, wynysłne, wyrafinowane narzędzia tortur dla młodości umysłów, gdy poważni nawet reformatorowie szkolnictwa usuwają zupełnie lub częściowo naukę łaciny i gre-

ki z wykształcenia średniego, gdy wśród mało krytycznego i mało wogóle zastanawiającego się ogółu, krążą najpłytsze i najbezmysłniejsze „argumenty“ przeciw klasycyzmowi wogóle — zjawia się oto książka młodego autora, udowadniająca niezbicie, że dziejów i przeszłości Polski, literatury politycznej i poezji polskiej, całego życia państwowo-politycznego narodu, pewnych specjalnych cech ustroju państwa, dalej pewnych właściwości psychologicznych masy szlacheckiej, pewnych cech charakterystycznych jej umysłowości, stosunku do instytucji państwowych, do władzy królewskiej, do innych stanów społeczeństwa i t. d., i t. d. — jednym słowem *życia polskiego* dawnych wieków absolutnie zrozumieć nie można (a cóż dopiero ocenić krytycznie) bez znajomości świata starożytnego.¹⁾ Istnieje bowiem najściślejszy, najbardziej organiczny związek pomiędzy starożytnością klasyczną, a przejętą nią do głębi, rozwijającą się kulturą polską. Jeżeli już więc nie inne powody natury subtelniejszej, to przynajmniej to stwierdzenie niezbitego faktu zależności kultury naszej od klasycznej (znanego już i podkreślonego naturalnie dawniej, ale wyrażonego w książce p. Kota z nową siłą i popartego nowemi dowodami) powinno nas skłonić przynajmniej do głębszego zastanowienia się nad sprawą stosunku naszego do klasycyzmu i tych wartości *życiowych*, jakie on dziś jeszcze dla nas przedstawia.

A rozprawa p. Kota daje bardzo bogaty, znakomicie zestawiony i oryginalnie oświetlony materiał ku temu. Autor ograniczył się stosownie do z góry powziętego zamiaru do zbadania zależności tej wyłącznie w dziedzinie państwowo-politycznej, ale rezultaty do jakich doszedł mają znaczenie pierwszorzędne zarówno dla badaczy literatury pięknej jak i kultury polskiej.

Rzecz swą podzielił p. Kot na dwie części: w pierwszej analizuje wpływ starożytności na rozwój pojęć politycznych w Polsce, w pierwszej połowie w. XVI, w drugiej omawia zależność Frycza od starożytnych. Przyjrzyjmy się obydwom tym częściom po kolei i zanotujmy główne ich myśli i wyniki.

Zabierając się do skreślenia tła dziejowego, na którem występuje Modrzewski, zwraca autor przedewszystkiem uwagę, że przy powierzchownem nawet przyjrzeniu się dziejom naszym dostrzeże się „że powaga literatury klasycznej torowała w Polsce drogę wpływowi praktycznemu dziejów starożytności i jej urzą-

¹⁾ Tak samo ma się rzecz do pewnego stopnia i z narodami zachodnio-europejskimi na przelomie wieków średnich i nowszych.

dzień". Doświadczenia przeszłości klasycznej zdobywały sobie moc wyroczni dla teraźniejszości; sposób, w jaki w starożytności rozstrzygano poszczególne zagadnienia, poszczególne nawet zdarzenia i fakty, były tu w normalnej polityce i w życiu codziennem uwzględniane, a nieraz decydujące" (str. 11 — 12). Co nie umiało wykazać się *legitymacją starożytności*, nie mogło dopraszać się szacunku; za to wywiedzenie się ze starożytności wystarczało dla uzasadnienia i uznania najdziwaczniejszej myśli i projektu. W sprawach wojennych starożytność była również najwyższym trybunałem; Konon, Aleksander, Cezar, August: oto były ideały naszych hetmanów i naszych królów. Od powoływania się na starożytność roiło się wreszcie krasomówstwo wszelkiego rodzaju.

Wobec takiego stanu rzeczy nie będzie dziwnem, że wpływy starożytne musiały oddziaływać przy tworzeniu się społecznych i politycznych pojęć szlachty polskiej. Najważniejszą jednak przyczynę tego widzi autor w ustroju społecznym Polski w. XVI, w którym wykazuje bardzo przenikliwie podobieństwo do ustroju republik starożytnych. Jak tam ludność składała się z dwóch warstw: obywateli i niewolników, a pośrednią klasę tworzyli me-tojkwowie i wyzwolenicy, tak i w Polsce po jednej stronie znajdował się żywioł szlachecki, po drugiej masa rolnicza, tracąca coraz bardziej swe dawne prawa. Klasę pośrednią stanowi mieszczaństwo, również gnębione coraz bardziej przez agrarne i handlowe przywileje szlachty. Wobec takich analogii ustroju społecznego zrozumiałe jest, że poszczególnym klasom społecznym w Polsce chętnie przypisywano te same role i zadania, jakie spełniały one w starożytności. Stąd wolna klasa posiadaczy jest właściwem obywatelstwem—reszta zaś to niewolnicy lub co najwyżej „banauzi“, t. j. rzemieślnicy, handlarze, pośrednicy i t. p. Pogląd Orzechowskiego na rzemiosła jako „sprośne a smrodliwe“, który to pogląd niewątpliwie podzielała cała szlachta przeciętna—jest jednym z licznych a charakterystycznych dowodów tego drapowania się w togę klasyczną i przykrywania nią często egoistycznych i antychrześcijańskich instynktów.

Za wzorowaniem się na zasadach ustroju społecznego republik starożytnych, szła i popularność *form politycznych* starożytności. Wszzechwładnie też panuje w Polsce terminologia klasyczna na wyrażenie pojęć politycznych, oznaczenie instytucji, urzędów i t. p.

Kiedy pisarze średniowieczni na oznaczenie państwa używają prawie wyłącznie terminu „*regnum*“—to już u Krzyckiego znajdujemy termin „*res publica*“, który jako „Rzeczpospolita“

wchodzi później w ogólne użycie i staje się przez wieki urzędowym określeniem ustroju państwa polskiego. „Res publica” ta, jak w Rzymie, tak i w Polsce składa się ze stanów „*ordines*”: *ordo senatorius* i *ordo equester*, lubiący się nazywać także „*populus*”. Obdarzony pełnią praw politycznych nazywał się „*civis*” jakkolwiek był właściwie rolnikiem i nie wspólnego z miastem (*civitas*) nie miał, a wszak od *miasta* Rzymu, które stanowiło właściwe państwo, poszła ta nazwa u starożytnych. Sejmy, zwane początkowo „*conventio*”, później ochrzczone zostały rzymską nazwą *comitia*, posłom sejnowym uśmiechała się niejednokrotnie rola rzymskich *tribuni plebis*, którzy bronili ongiś praw plebsu rzymskiego, a których, przysługujące im w Polsce prawo *вето* jeszcze wyżej stawiało w ich własnych oczach. Niezależnie od tego znowu senat przedstawiany jest stale jako otoczony majestatycznością i powagą senatu rzymskiego, choć w rzeczywistości, w Polsce ówczesnej znaczył już bardzo mało. Starcia szlachty z możnowładztwem również naturalnie obfitowały w sceny na klasycznych wzorowane np. kiedy podczas wojny kokoszej „szlachta rozpalona, zamiast ruszać na wroga, lata po obozie z księgami ustaw i kodeksów, jak miast odwoływać się na ustawodawstwo rodzime, dawne zwyczaje i instytucje polskie, określa żądania swoje w myśl porządków i ustaw Rzymu pogańskiego” (str. 29) — wygłasza patetyczne mowy z powodu... ustanowienia cła i t. p.

W ten sposób prowadzi autor dalej to wykazywanie analogii i podobieństw, popierając każde swoje twierdzenie całym szeregiem dowodów i cytat z najrozmaitszych pisarzy wieku XVI. Dochodzi wreszcie do kwestyi, która również już wielokrotnie była poruszana i omawiana, ale nigdy jeszcze nie była oświetlona w ten sposób. Chodzi mianowicie o tego *ducha pesymizmu*, jakim owiana jest myśl polityczna polska w. XVI, o tę „fatalistyczną niewiarę we własne powodzenie”, o to wyrzekanie ustawiczne na wszystko co istnieje w Rzeczypospolitej i *prorokowanie* jej rychłego upadku. Autor widzi i w tem wpływ tonu pisarzy klasycznych, biadających nad upadkiem Rzymu, a przede wszystkim wpływ Cicerona. A argumenty jego są rzeczywiście w przeważnej swej części zupełnie przekonujące. Przedewszystkiem bowiem pesymizm taki w ówczesnych czasach wzrostu i potęgi Polski, musi robić wrażenie czegoś nienaturalnego i przesadnego. Poza tem szlachta podnosiła hałas o rzeczy nieistotne przeważnie, a lekarstwo na wady polityczne i społeczne widziała, idąc ślepo za Ciceronem, w przeszłości, co oczywiście nie mogło odpowiadać stosunkom polskim, bo ta przeszłość, ani pod

względem kultury, ani dobrobytu materialnego nie mogła się mierzyć z w. XVI — a do dawnej autokracji szlachta zapewne również nie wzdychała. Tak samo stara się autor zburzyć legendę co do daru proroczego naszych pisarzy politycznych. W prorocत्वach ich widzi „zwyczajny środek polityczny“, wzorowany na mowach i gestach oratorów starożytnych. Mimo to jednak, że te ostatnie hipotezy przedstawiają się bardzo ponętnie, a wywody autora mają niewątpliwie wiele racji — to jednak wywołują one pewne zastrzeżenia. Przedewszystkiem żałować należy, iż autor nie rozwinął tej hipotezy trochę szerzej, pozatem nie sprecyzował dokładniej jak się ta kwestya pesymizmu przedstawia u rozmaitych pisarzy; wszak sam przyznaje, że u Modrzewskiego jest on bardziej uzasadniony i logiczny. Oprócz niego znalazłoby się zapewne więcej pisarzy, którzy jasno widzieli pewne wady i luki w ustroju Rzeczypospolitej i przestrzegali przed zamykaniem na nie oczu. Każdemu tu minowoli przychodzi na myśl np. Skarga. Jakkolwiek będziemy się zapatrywali na jego prorocत्वa, to w każdym razie zgodzić się musimy na to, że źródło ich nie leżało bynajmniej w przejęciu się tonem i gestami mówców starożytnych. Należało więc tu — naszym zdaniem — dokonać pewnego podziału i ściślej sprecyzować kwestyę, a mianowicie oddzielić przeciętny tłum szlachecki i jego przedstawicieli jak np. Orzechowskiego (których biadania mogą być rzeczywiście tylko echem klasyków) — od tych wybitnych umysłów w. XVI, których „prorocत्वa“ oparte były o pewną realną rzeczywistość i musiały też mieć realne znaczenie.

Druga część rozprawy poświęcona jest rozbirowi teorii politycznych Modrzewskiego, rozwiniętych głównie w wielkim jego dziele: „*Commentariorum de republica emendanda libri quinque*“. Chodzi tu autorowi nietylko o zależność Frycza od poszczególnych ustępów w autorach greckich czy rzymskich, ile o „wyśledzenie jakie idee starożytności nań wpływ wywarły“ (str. 46). To chroni go od zabrnienia w zbyt pedantyczne wyszukiwanie mniej lub więcej podobnych do siebie ustępów, od mozolnego, a często i bezpłodnego badania, od kogo mógł autor polski wziąć pewną ideę, którą np. wyrażają zarówno Arystoteles i Plato, jak i Cicero — a pozwala mu łatwiej ująć i nakreślić syntetyczny obraz pracy Modrzewskiego i zależność jego od ducha świata starożytnego i tych pojęć ogólnych, które były wspólne niemal wszystkim jego umysłom przodującym.

Ze streszczenia pierwszej części tej książki mogli już czytelnicy nabrać wyobrażenia o jej charakterze i metodzie. Dlatego

też teraz ograniczymy się tylko do podania ostatecznych rezultatów analizy dzieła Modrzewskiego, które sam autor ujmuje w następujących siedem punktów:

1) Frycz usiłuje wszystkim swoim roztrząsaniom i projektom dać podstawy ściśle teoretyczne—

2) rozwija pojęcie państwa opartego na obyczaju i moralności, przyczem

3) instytucje polityczne określa normami etycznymi,

4) dziedzinę zaś moralności poddaje pod nadzór państwa, stawiając jednostkę w najściślejszej zależności od państwa,

5) domaga się wychowania państwowego,

6) pojmując nieraz państwo ciaśniej jako *πόλις*

7) jest gorącym orędownikiem państwa praworządnego.

Jak z tego widzimy rezultaty, do jakich dochodzi dr. Kot mają pierwszorzędne znaczenie dla naszej znajomości myśli politycznej polskiej w. XVI i jej najwybitniejszego przedstawiciela. Że zaś do takich rezultatów doszedł, zawdzięcza to przede wszystkim głębokiemu wżyciu się i wmyśleniu w zagadnienie, które obrał za przedmiot swych badań, gruntownemu i zupełnemu opanowaniu materiału, na które złożyła się nie tylko znajomość dzieł Modrzewskiego i całej naszej literatury politycznej wieku XVI—ale i najważniejszych objawów współczesnej Modrzewskiemu literatury politycznej zachodnio-europejskiej; niemniej imponuje znajomość i wgłębienie się w świat starożytny grecko-rzymski i subtelne, a umiejętne traktowanie jego wpływu na poszczególne dziedziny kultury polskiej. Bystry zmysł krytyczny, spokój i równowaga w sądach, przy widocznym przejęciu się omawianymi kwestyami, język żywy i styl zajmujący składają się na całość, którą przeczyta każdy, nawet niefachowiec, z najwyższym zainteresowaniem.

M. KRIDL.

STANISŁAW SCHNEIDER: *Badania nad źródłami twórczości Juliusza Słowackiego w ostatnim okresie życia*. Lwów. Nakładem autora 1911, str. 116.

— *Jedno ze źródeł twórczości Słowackiego*. 1912, str. 17. Kraków. Nakładem Akademii Umiejętności.

— *Świat ptasi w „Balladynie”*, z r. 1911, str. 22.

Małecki w znanej i cenionej 3 tomowej monografii o Słowackim zajmując się dziełami z ostatniej epoki twórczości poety tłumaczy dlaczego w wydaniu zbiorowym nie pomieścił szeregu

utworów Juliusza i tym samym wyjaśnia do nich swój stosunek w sposób następujący: „Uważałem jakby za wykroczenie przeciw ceniom mego poety ogłaszać rzeczy, które ani jemu sławy, ani czytelnikowi pożytku nie zdawały się obiecywać“. W miarę czasu jednak stanowisko badaczy do dzieł Słowackiego z lat ostatnich zasadniczo się zmieniło. Już przed laty kilkunastu Ignacy Matuszewski w dziele „Swoi i obcy“ wskazywał, że „pośmiertne rękopisy Słowackiego dają nam klucz do treści utworów ezoterycznej, tajemnej, z którego należy skorzystać, a wtedy pozorne dziwactwa wydadzą się nam logicznymi wynikami specjalnego poglądu na świat i życie“. Podjęte poważne badania nad t. zw. epoką mistycyzmu Słowackiego doprowadziły do rezultatów bardzo ciekawych i słuszność opinii Matuszewskiego w zupełności potwierdziły. Dziś udostępnione jest zrozumienie „Króla Ducha“, „Samuela Zborowskiego“ i pism teozoficznych i kosmogonicznych jak „Genezis z Ducha“, „Wykład nauki“, „List do Reinbowskiego“, „Dziennik z r. 1847—1849“ i inne „Fragmenty filozoficzne“ przed którymi o ile były ogłoszone drukiem dawniej krytyka zatrzymywała się z uporną niechęcią i powątpiewaniem o jakiegokolwiek ich wartości. Wszystkie te pisma powstały w latach 1843 — 1848 i jak wiadomo przykładał do nich Słowacki jaknajwiększą wagę. „Genezis z Ducha“ uważał za najważniejsze ze wszystkich pism jakie kiedykolwiek napisał, bo zawierające „alfę i omegę świata“. Cała zaś filozofia zawarta w tych dziełach jest wynikiem głębokich studyów o czem sam poeta w liście do Stattlera wspomina „Przez te pięć lat pracowałem jak może żaden człowiek nie pracował“. Sam też poeta niejednokrotnie wskazywał mówiąc np. o „Muzie wschodniej“ w Beniowskim lub o prawdach religijnych Wschodu w Raptularzu, gdzie szukać należy źródeł jego teozofii. Poważne przeto zastanowienie się nad dziełami poety dały klucz do rozwiązań i oświecenia tej strony jego twórczości. Przytem wyjaśniono liczne a zagadkowe symbole, obrazy, postacie w utworach poprzedzających ostatnią epokę twórczości, które składano dawniej na karb „mglistości“ Słowackiego lub przyjmowano jako specyficzne jego przenośnie i licencye poetyckie. Dziś są nam jaśniejsze i zrozumiałe jako ślady i zaczątki konstruującego się zawilego systemu filozoficznego poety. Zwolna więc badania te doprowadziły do źródeł filozofii mistycyzmu Słowackiego, kształtującej się analogicznie do poglądów gnostyków starożytnych, teozofów i mistyków w guście Swedenborga, Boehme czy Saint-Martina. Badaczami tymi nie młodzi entuzyaści; którym kult dla poety zaciemniał krytyczne i głębsze patrzenie na

jego dzieła a brak naukowego wykształcenia uniemożliwiał dojście do istotnych źródeł jego teozofii. Przeciwnie, poważni uczeni zasobni w erudycję dają nam dopiero właściwe orientacje i wyjaśnienia konieczne do zrozumienia dzieł twórcy „Samuela Zborowskiego“. Już prof. Tretiak, którego monografia tyle wrzawy i ataków wywołała, dostarczył wiele cennych oświeśleń i analizy towianizmu poety. Potem zjawilo się obszerne dzieło Gwalberta Pawlikowskiego o „Mistyce Słowackiego“, rok zaś jubileuszowy przyniósł bogaty materiał krytyczny dla tej epoki w licznych rozprawach i przyczynkach. Książka prof. Sinki p. t. „Hellenizm Słowackiego“ (r. 1909) wykazała doniosły wpływ pisarzy starożytnych na twórczość poety, rozprawa dr. Hahna o „Samuelu Zborowskim“ (r. 1905) wyświeśliła najważniejsze motywy tego dramatycznego poematu, znanego do r. 1901 tylko w fragmentach, dramatu, który stanowi jedno z najważniejszych pism z ostatnich lat życia Słowackiego.

Prof. Stanisław Schneider od szeregu lat daje kolejno nie wielkie w rozmiarach a bogate w erudycję i w wyniki rozprawy i dociekania nad źródłami metafizycznych pomysłów i różnorodnymi motywami poetyckimi Słowackiego mającymi związek czy podobieństwo z filozoficznymi czy literackimi koncepcjami pisarzy starożytnych. Ogłaszał je w różnych pismach i wydawnictwach naukowych, a w roku zeszłym zamknął w książkę p. t. „Badania nad źródłami twórczości J. S.“. Badania p. Schneidera uzupełniają, wyjaśniają niekiedy i koregują dotychczasowe studia nad mistyką Słowackiego i tu stanowią dopełnienia wspomnianych prac Pawlikowskiego, Sinki, Hahna. Obszerniejsze są te właśnie rozprawy, które dotyczą gnostycyzmu i teorii metampsychozy czy palingienezu u Słowackiego, zawartej w „Genezis z Ducha“ i „Samuelu Zborowskim“ przed konsekwentnym rozwinięciem jej w „Królu Duchu“ („Teoria palingienezu w Samuelu Zb.“ i „Słow. jako gnostyk“).

Słowacki pogląd swój na świat opiera na objawionej mu wiedzy, którą nazywa „wiarą widzącą“—wiarą „która wierzy bo wie, a nie dlatego wie, że wierzy“. W tych założeniach pogląd ten łączy go z gnostykami starożytnymi, którzy uzależniali wiarę od wiedzy, a powoływali się na rozmaite apokalipsy. Swoją „Genezis z Ducha“ określa Słowacki właśnie jako objawienie „wiary nowej widzącej“, która „ma swoją logikę i matematyczną pewność obchodząc się bez dogmatu“. Tak Słowacki jak i gnostycy—objaśnia p. Sch.—twierdzili, że Bóg Ojciec, miał pomiędzy sobą a światem i ludźmi pośrednika, którem było Słowo. Duch poety przed

początkiem stworzenia był w Słowie i był w przeszłości nieśmiertelnym Synem Bożym. W duchu poety zawartą była pierwsza Trójca złożona z trzech osób z Ducha, z miłości i z woli, której to Trójcy odpowiadają trzej aniołowie: słoneczny, miesięczny, globowy czyli ziemski. Ta Trójca nosi imiona raz: Helion, Atessa, Lucyfer (w „Zborowskim“) to znów Helion, Helois, Tłómacz Słowa (w „Wykładzie nauki“). Helion jest przedstawicielem tych duchów, które zażądawszy od Boga kształtów wybrały formę *światła* i rozpoczęły na słońcach i gwiazdach pracę form odłączone przez Boga od duchów, które obrały objawienie się w ciemności na ziemiach i księżycach. Z pracy form odbywających się wciąż oddzielnie w przestworzach światła oraz w dziedzinie mroku (Lucyfer) odbiera Bóg „ostateczny wyrób miłości, dla której wszystko jest stworzone, przez którą wszystko się rodzi“. Przedstawicielką tej miłości jest Helois—Atessa—Dyana. Duchowi Wodzie Dyanie (pierwiastek miesięczny) odpowiada w Zborowskim Duch Światła Helion i Duch Ognia Lucyfer. Podobny podział na te trzy pierwiastki istnieje u teozofa Boehme. Słowacki jednak jak przypuszcza p. Schneider, zapożyczył ten pomysł raczej z poglądów gnostyckich znanych także Boehmemu wskazując na dzieło *Nemczyusza* biskupa z Emesa w Fenicyi, żyjącego około r. 400 po Chr., z którego liczne wypiski znajdujemy w notatkach poety ogłoszonych przez prof. Pawlikowskiego. Słowacki miał to dzieło po grecku i po łacinie (wydane w Halle w 1802 r.) i z niego czerpał wiadomości o Manichejczykach z którymi jak stwierdza p. Schneider, ma również wspólną „ideę jedności duchowej“. Ta idea polega na tem, że ze Słowa, które było początkiem stworzenia wyszedł świat genezyjski. W poglądach swych metafizycznych był więc Słowacki zwolennikiem monizmu duchowego. Również jak Manichejczycy, godzi Słowacki teorię metempsychozy z nauką Chrystusa i aczkolwiek kościół katolicki ją potępił, poeta uważa metempsychozę za „podstawę na której stoi duch chrześcijaństwa“.

Po za rozprawami większemi jak „Teorya palingienezy w Samuelu Zborowskim“ i „Słowacki jako gnostyk“ gdzie rozpatruje autor głównie te zasadnicze motywy filozofii gnostyckiej poety i jej źródeł w następnych zajmuje się p. Schneider m. in. genezą pomysłu wszechświatowego smoka czyli węża saturnowego u Słowackiego i który z króla węzów przemienia się w Króla-Ducha oraz pomysłu kosmicznej postaci Helois-Sofos (przyjmującej u Sł. ostatecznie kształty Polski), który również zawdzięcza poeta wyobrażeniom gnostyckim. Wreszcie zajmuje się p. Schn. rozpatrzeniem znacze-

nia tych licznych u Słowackiego węzów złych i dobrych, które biorą początek w wierzeniach ludowych a którym zarówno gnostycy jak i nasz poeta podlegali.

W rozprawie p. t. „Jedno ze źródeł twórczości Słowackiego“ (r. 1912) stwierdza p. Sch. to wszystko raz jeszcze powołując się na głośną swego czasu książkę o Fenicyanach prof. uniw. wrocł. Mowersa (wydanej w Bonn w r. 1841), a której tom I-szy znany był Słowackiemu jak to autor rozprawy wykazuje. Z niej czerpał nasz poeta wiadomości o teozofii tego narodu i wyzyskał je w swoich filozoficzno-poetyckich pomysłach. Temu dziełu zawdzięcza nasz poeta nazwy Heliona i Helois wzięte od najwyższego boga fenickiego Eliona i przeobrażenia kartagińsko-sydońskiej Astarty Elisy, jak i znajomość orfickiego i fenickiego Fanesa, skrzydlatego - węża. błyskającego obliczem Chrystusa („Król-Duch“).

Rozprawka p. t. „Świat ptasi w Balladynie“ podejmuje wyjaśnienie przewodniej myśli tego fantastycznego dramatu. Autor usiłuje rozświetlić tu rolę świata,ptasiego, którego szczęśliwość podobnie może nasz poeta jak Arystofanes w swoich „Ptakach“ przeciwstawić chciał smutnej rzeczywistości ziemskiej. Nie zdaje mi się przecież, by założenie to udało się autorowi trafnie z wynikiem przeprowadzić. Zastanawiając się jednak nad rolą poszczególnych istot skrzydlatych: jaskółki, słowika, żorawi i t. p. w nowem i pięknem oświeceniu stawia tajemniczą postać Goplany, której tak rozmaite przypisuje się do dziś dnia znaczenie w dramacie. P. Schneider widzi w niej, podobnie jak i inni już badacze: „upostaciowienie natury“. Dostrzega w niej pozatem rysy wspólne z Afrodytą—Hekata, Artemidą a wreszcie z mądrą i sprawiedliwą Ateną. Piorun spadający na Balladynę nie jest to zwyczajny deus ex machina lecz wyrok Mądrości Bożej za sprawą Goplany-Ateny.

WŁ. T. BARANOWSKI.

STANISŁAW SZCZEPANOWSKI. *O polskich tradycjach w wychowaniu.* Lwów 1912. 8-o str. XV r. 322.

Nie jest to praca naukowa, ani systematycznie opracowane studyum literackie, lecz szereg przeważnie kilkunastostronicowych, w różnym czasie i różnych warunkach powstałych, przemówień, odczytów i szkiców, dotyczących pośrednio lub bezpośrednio wychowania polskiego. Niezawsze możemy zgodzić się z autorem,

nie zawsze przyjąć jego poglądy, oparte tylko na indywidualnem przekonaniu, natomiast z całym uznaniem podkreślamy myśli piękne, głębokie i płynące z gorącego umiłowania Ojczyzny, myśli tem godniejsze uwagi, że pochodzą od człowieka, który idee nie tylko głosił, lecz potrafił je i w czyn wprowadzać.

Ojciec galicyjskiego przemysłu naftianego, zajęty licznymi sprawami ekonomicznej natury, jako poseł nie opuszczał w Sejmie żadnej okazji, aby nie wystawić przed oczy ważności wychowania i konieczności reform. „Tak jak przed 100 laty hasłem każdego, który pracował dla odrodzenia narodu było: skarb i wojsko, tak teraz hasłem dla każdego, który w tym kierunku pracuje, powinno być: skarb i szkoła“! Nie był jednak Szczepanowski materyalistą — znaczenie materyi znał i uznawał, ale tylko jako środki, będące w rozporządzeniu ducha. Był wrogiem naszej duchowej niewoli u Niemców, jak również austriackiego szablonu szkolnego, gorliwie popieranego przez krajową magistraturę szkolną (Radę szkolną w osobie ówczesnego wiceprezydenta d-ra Bobrzyńskiego), to też nawoływał do poznawania historyi naszego szkolnictwa, które stało wyżej od wszystkich innych współczesnych i starał się przekonać, „że należałoby powrócić pod wieloma względami do naszych dawnych tradycyi wychowania publicznego, że należałoby porzucić obce systemy pedagogiczne, obce wzory, a budować dalej tam, gdzieśmy przestali, gdy Polska miała jeszcze pewną samodzielność i pewną autonomię“ (str. 69). Nie zamykajmy się w granicach naszego kraju, poznawajmy twórczość obcych, uczmy się i od Niemców, ale nie dzisiejszych duchowo zwyrodniałych czcicieli siły, lecz dawniejszych, przynoszących chlubę całej ludzkości, jak Goethe, Schiller i Herder, jak Kant, Fichte i im podobni. Każdy naród winien troskliwie strzedz swej duchowej indywidualności, a tem bardziej Polacy, tymczasem obecny stan rzeczy świadczy o rzeczy zgoła przeciwnej; jest to tem smutniejsze, że „w dziedzinie etyczno-społecznej i pedagogicznej Niemiec w porównaniu z Polakiem jest niemową... Dlatego litość mnie bierze, jak widzę, że na tem polu pedagogii narodowej naród mówiących jest w niewoli umysłowej narodu niemowłów“. Zresztą pedagogika niemiecka, gdyby była najdoskonalszą, będzie dobra tylko dla Niemców, a nigdy dla nas.

„Istotą zapatrywania niemieckiego jest zatarcie granicy złego i dobrego. Tryumfujące zło, gwałt zwycięski nazywa się koniecznością, a poddanie się konieczności — rozumem“.

„Dla Polaka pomiędzy złem i dobrem leży przepaść, której żadne zwycięstwa, żadne rozumowania wypełnić nie mogą. Nie-

zmordowana walka ze złem jest pierwszym obowiązkiem, od którego wypełnienia żadne sofisterye zwolnić nie mogą... (str. 286).

Polskie pojęcie obywatelstwa usuwa możliwość biernego poddawania się kierownictwu biurokracyi, co widzimy np. u Niemców; skoro więc polskie społeczeństwo nie pozwala sobie odjąć czynnej roli w sprawach publicznych, powinno być odpowiednio do tego wychowywane. Ignorowanie tych faktów sprawia, że „szkoła galicyjska, choć w języku polskim, nieraz skuteczniej wy-
naradawia od szkoły rosyjskiej“ (str. 312).

Szczepanowski formułuje cztery zasady, cztery przykazania pedagogiki polskiej:

Zło, w jakiegokolwiek, choćby najpiękniejszej postaci, winno być bez namysłu odrzucane i zwalczane—to pierwsza i naczelna zasada.

„Wiara.. w niechybne zwycięstwo pierwiastku dobrego i w to, że zamięłowanie szlachetności i doskonałości jest najpotężniejszą sprężyną wszelkiej siły, bo wszelkiego geniuszu i bohaterstwa, oto druga zasada pedagogiki polskiej“ (str. 292).

„Ale wiara bez uczynków jest martwą. Dlatego trzeciem zasadniczem przykazaniem pedagogiki polskiej jest dzielność w dobrej sprawie“ (str. 296). Aby działanie nasze było dzielne i skuteczne, należy mieć nie tylko ideę, lecz również wiedzę oraz punktualność i dokładność wykonania. Bez nich zostaną zmarnowane najwyższe zalety, bohaterstwo i geniusz, jak świadczy o tem szczególnie historia polska.

„Czwartem i ostatniem przykazaniem pedagogiki polskiej jest ustawiczna i czynna propaganda idei narodowej przykładem, życiem i słowem“ (str. 301).

Kilka tych cytat wystarczy, aby dać wyobrażenie o tendencyach autora i wartości książki, która istotnie jest godna poznania. Dodać należy, że Szczepanowski wysnuwał swe myśli nie tylko z uczuć i wyobrażeń: literaturę pedagogiczną i historię wychowania w Polsce od czasu Komisji Edukacji Narodowej znał dobrze, znacznie lepiej, niż nie jeden pedagog zawodowy, a jak ją rozumiał i cenił, tego dowody widnieją na każdej kartce. Można by w tem miejscu tylko jeden zarzut uczynić, że liceum krzemienieckie zajmuje zbyt wiele miejsca w porównaniu z całością polskiego szkolnictwa na Litwie w epoce 1803—1830, ale wina spada tu w części i na naszą literaturę naukową, która dotychczas opracowania tej całości, bodaj w zarysie, nie posiada.

Dzięki gruntownemu wykształceniu, obszernemu czytaniu i wybitnej zdolności syntetycznej, Szczepanowski orientuje się

doskonale we wszystkich dziedzinach wiedzy i życia; jego charakterystyka umysłowości polskiej, skreślona jednym syntetycznym pociągnięciem pióra, zawiera prawie te same wyniki, do których doszedł Struve drogą żmudnej, długiej analizy (w zakończeniu „Historyi logiki, jako teorii poznania, w Polsce“). Wielką zaletą książki jest to, że z siłą i głębokiem przekonaniem zwraca uwagę na nasze własne skarby duchowe, zapominane i lekceważone, oraz domaga się ich poznawania i powrotu do dawnych, pięknych tradycyi pedagogicznych, które są w stanie podnieść nas z dzisiejszego upadku.

Za wydanie „Tradycyi polskich w wychowaniu“ należy się wdzięczność współpracownicze i żonie zmarłego autora, szkoda jednak, iż wydawnictwo pism jego jest prowadzone bezplanowo: niektóre rzeczy, zawarte w „Tradycjach“, wychodzą już poraz drugi, a nawet i trzeci, bądź tylko w innym zespole, bądź pod innym tytułem.

DR. Z. BUJAKOWSKI.

Kronika miesięczna.

Rozmyślenia noworoczne. — Zły bilans polityczny. — Pierwiastki otuchy na przyszłość w innych dziedzinach życia. — Utopijne głosy. — Ograniczenie Żydów w T. K. m. Warszawy. — Kto jest silniejszy? — Kłopoty rządu pruskiego z wywłaszczeniem. — Sprzedawczyk. — Apolityczność w Wielkopolsce i reakcja przeciw niej. — Czem będzie czwarta Izba rosyjska? — Pierwsze oznaki. — Około deklaracji rządowej. — Mowa posła Kiniorskiego. — Pogrzebanie samorządu miejskiego w Radzie Państwa. — Rezolucya Koła Sejmowego i odezwa Rady Narodowej o obecnym nastroju w Galicyi.

Dwa pojęcia bez początku i bez kresu, sprowadzające się właściwie do jednego, przestrzeń i czas, zostały przez ludzkość w celach praktycznych częściowo pomierzone i pokawałkowane. Czas przedstawia się w postaci szlaku, idącego niewiadomo skąd i niewiadomo dokąd; ową niewiadomość ilustrują matematycznie dwie przewrócone ósemki, znaczące krainy utopijne w tej najściślej dziedzinie, krainy, kędy schodzą się linie równoległe, kędy hyperbola miłośnie styka się z tęskniącą do niej asymptotą, krainę równie utopijną, jak ta, gdzie we współżyciu ludzkim ma niepodzielnie królować szczęście i sprawiedliwość, prawda, dobro i piękno, do której ludzkość dąży przecież wytrwale w owocnej nadziei osiągnięcia jej w nieskończoności. A ta skończona przestrzeń szlaku wieczności, którą umysł ludzki realnie ogarnąć jest w stanie, jest niby szeregiem mniejszych i większych słupów i słupków granicznych, znaczących lata, wieki, tysiącolecia. Gdy strudzony wędrownik do jednego z tych słupków dociera, znużeniem okiem ogląda się na przebieżoną ostatnio drogą i — przeważnie, na szczęście — z uczuciem nadziei spogląda we mgłę najbliższego do przebycia gościńca. Może mniej wyboistą, może mniej kamienną będzie droga, może wędrownik nic nie straci z naby-

tych przez przodków dóbr, może zgoła uzyskać nowe dla potomnych. Może...

Oglądając się wstecz na ubiegły rok 1912, ogarniając kochającym okiem losy narodu naszego w różnych dzielnicach, nie możemy niestety stwierdzić zwiększenia dóbr jego, owszem, zapisać raczej musimy uszczuplenie. Oto od Królestwa oderwano kawał ziemi, by ją innym, sprzecznym nieraz, surowszym zawsze poddać prawom, oto odebrano społeczeństwu największą jego arterię komunikacyjną; oto o miedzę rozpoczęło się wywłaszczanie odwiecznej ziemi polskiej, o drugą miedzę wewnętrzna walka narodowościowa, z powolnemi ale nieustannemi stratami po stronie polskiej, udaremnia powszednie życie polityczne w kraju i wprowadzanie do niego niezbędnego czynnika postępu. Spoglądamy w mgłę przyszłości i nie widzimy, by rozświecić ją mogły niespodziane blaski najbliższego, lepszego jutra, owszem skłonni bylibyśmy do mniemania, że gorzej jeszcze być może. W krainach o długiej, podbiegunowej nocy, wyobraźnia ludów najbardziej wyolbrzymione rodzi bajki, zdobnictwo w najjaskrawszych lubuje się kolorach; tak dusza ludzka równoważy sobie, gdzie i jak może, brak słońca. Gdy mroki teraźniejszość i przyszłość najbliższą ogarniają, najfantastyczniejsze, najmniej osiągalne snują się ku zmianie jej projekty; i to jest pewnego rodzaju kompensatą, tylko że srodze niebezpieczniejszą w realizacji od bajecznych potworów Kalewali i jaskrawych wisiorów, błyszczących świecideł Jakutów. Ale bez wiary, bez nadziei, bez otuchy ani jednostka, ani zbiorowisko istnieć nie może. Spróbujmy więc tych pierwiastków poszukać nie w krainie fantastycznych marzeń, lecz wymiernej i obliczalnej rzeczywistości.

Spojrzyjmy dalej wstecz, na większą ilość słupków granicznych. Przekonamy się, że od rozbiorów, a może i dawniej jeszcze, bilans polski każdego roku nowego znaczył większe straty niż zyski; były zapewne wyjątki, ale tylko wtedy, kiedy dyskontowano nadzieje, lub projekty uchwalone czy napisane, którym złowrogie życie spełnić się nie dawało. Mimo to—żyjemy. A żyjemy dlatego, że owe minusy padały tylko na bilans polityczny, który też nieuchronnie zamknął się zerem; w innych dziedzinach musieliśmy wykazywać plusy, bo inaczej istnieć byśmy, jako naród, nie mogli. Jakkolwiek samodzielny byt polityczny, czy mniejsze lub większe zdobycze w tym kierunku są to rzeczy ważne, bo stanowią o możliwości samookreślenia narodu, czyli dają możliwość potęgowania jego rozwoju we wszystkich innych kierunkach kulturalnych, przecież, na szczęście, nie wyczerpują one ży-

cia. I dlatego ów wstępny bilans polityczny roku ubiegłego, mimo, że zamyka się, jak i poprzednie, minusami, nie daje jednak powodu do beznadziejności. Obok polityki są jeszcze inne motory życia.

Dziedzina polityczna jest najbardziej optyczna; to znaczy, że zyski i straty można tu stwierdzić odrazu, niemal dotykalnie, na najkrótszej nawet przestrzeni czasu. Aby stwierdzić postęp w innych dziedzinach, trzeba sięgnąć dalej, nieraz bardzo daleko wstecz; dlatego sięgaliśmy aż do rozbiorów. I tu znajdziemy właśnie czynniki otuchy.

Jest nas, Polaków, o wiele więcej na świecie; mimo przeważnej biedy odsetek naturalnego przyrostu ludności jest u nas duży, większy niż w całej zachodniej Europie, z wyjątkiem może Włoch; nie jest to czynnik małoważny, gdy w stosunkach międzynarodowych rozstrzyga coraz mocniej liczba. Poziom oświaty mas, poziom uświadczenia narodowego najszerzego olbrzymio się podniósł, jakkolwiek nierównomiernie w różnych dzielnicach Polski historycznej, w zależności od różnych zewnętrznych warunków; pesymizm nasz w tym kierunku uzasadniony jest tylko porównaniami ościennemi, nie traktowaniem spraw naszych samych w sobie; zapominamy przytem, że zawsze, nawet za czasów samodzielności, traciliśmy na tych porównaniach, tembardziej więc tracić musimy dziś. Koniec wieku XIX zaznaczył się niebywałym rozkwitem literatury polskiej, samodzielnej, oryginalnej, nie mogącej iść w porównanie z dawnym niemowlęctwem, czy niewolniczym naśladownictwem; wykształcił się język, stał się giętkim, barwnym, malowniczym, wcielając pragnienie mistrza, wyrażone w Beniowskim („chodzi mi o to, aby język giętki powiedział wszystko, co pomyśli głowa“ i następne). Pod opieką wszechnic, a nawet bez nich, wbrew prądowi, w Warszawie, rozwija się i krzepnie nauka, samodzielna myśl polska. Bogatsi jesteśmy; w rolnictwie, na ziemi bezwzględnie i wszędzie, z powodu olbrzymich postępów technicznych; w przemyśle, w handlu, nieco złudnie, warsztaty wielkie bowiem zbyt często jeszcze w obcych znajdują się ręku; jednak przy tych warsztatach znajdują byt liczni Polacy, a i coraz częściej występują nie w charakterze podwładnych parobków, lecz samodzielnych pracowników. Z każdym rokiem mnoży się ilość zrzeszeń ekonomicznych, oświatowych, kulturalnych, dobroczynnych, wzmacniając przez to więzadła gmachu społecznego i, wzamian utraconej, przymusowej organizacji państwa polskiego, stwarzając wolną organizację społeczeństwa polskiego. Demokratyzacja społeczeństwa, acz po-

woli, wznaga się przecież i wyraża w coraz szerszych kołach obywateli, zdolnych do najwyższego narodowego i kulturalnego życia.

Oto, co widzimy w zwierciadle dalszej przeszłości. Nieraz, na tem samem miejscu, pod wrażeniami chwili, dawaliśmy wyraz pesymizmowi. Właśnie dlatego, że pod wrażeniem chwili; ustąpić on musi wierze i nadziei, gdy się z pod tych wrażeń wyswobadzamy. Beznadziejność jest często tylko wyrazem dziecinnej niecierpliwości. Pewien dyplomata niemiecki na stanowisku konsula w Warszawie podczas reform Wielopolskiego mówi o nas w pamiętnikach: „Polacy to dziwny naród; dziś zasieją zboże, a jutro już chcą mieć plony“. Tej wady nie pozbyliśmy się dotąd, niestety, chociaż i w tym względzie jest postęp niezaprzeczony. Rozwijając dalej i mocniej pierwiastki niezaprzeczone otuchy i postępu, naszkicowane wyżej, zasiewamy ziarno, które napewno przyniesie plony, nie nam, ale naszym następcom. W tych dziedzinach życia znajdziemy podstawy dobrych bilansów i akordy wiary w lepszą przyszłość narodu, którymi zamknąć chcemy te rozmyślenia noworoczne.

*

*

*

Do najpoważniejszych objawów ostatnich czasów zaliczyć trzeba wcielanie w życie hasła usamodzielnienia ekonomicznego żywiołu polskiego. Nazywając to zjawisko bojkotem handlu żydowskiego, wielu bierze poprostu przyczynę za skutek, impuls uczuciowy zewnętrzny za czyn realny wewnętrzny. Że tak jest, świadczy pewna część opinii polskiej, która przeciw tym zjawiskom publicznie wystąpiła. Autorowie czy autorki broszur w tej sprawie nie zdają sobie zapewne sprawy, jak dalece podlegają motywom uczuciowym, nie rozumowym. Do najbardziej utopijnych wniosków dochodzą ci, którzy zachowują pozory rozumowania; w jednej broszurze znajdujemy np. wskazanie przymusowej polonizacji Żydów; autor nie liczy się ani z ich ilością, ani z gwałtem humanitarystów, jakiby wywołało podobne postępowanie, gdyby było możliwe, wreszcie, co najważniejsza, z absolutną niemożnością realizacji: naród, który nie posiada samodzielności własnej, nie może naginać nikogo do swojej kultury.

Inna autorka stwierdza śmiało, że „Żydzi są drożdżami, na których rośnie chleb ekonomicznej potęgi narodowej“; szkoda, że nie wyprowadzono z tej przesłanki dalszego wniosku: ponieważ Polska ma największy odsetek Żydów, więc jest krajem największej potęgi ekonomicznej; oglądany się naokoło i widzimy zjawisko wprost przeciwne, niski rozwój ekonomiczny, o wiele niższy, niż w krajach, gdzie Żydów nie ma prawie wcale, albo i wcale. Mniejsza zresztą o te głosy: cytujemy je tylko, jako *curiosa* karkołomnych rozumowań. Mniejsza, bo nie powstrzymają żywiołowego prądu: „przeżytych kształtów żaden cud nie wróci do istnienia“. Raz nabrany pęd nie opuści już społeczeństwa; ruch w kierunku usamodzielnienia może mieć chwile zastoju, jak i chwile wzmaganie się, ale trwać będzie.

Dla badacza społecznego nieskończenie ciekawszą jest rzecz, na jakim podłożu rodzą się tego rodzaju protesty przeciwko powszechności niemal opinii polskiej. Są one przede wszystkim wyrazem wieloletnich i tysiącznych splotów, jakimi związani jesteśmy z Żydami, więc np. wspólności osobistych interesów ekonomicznych, powszednich, albo stosunków towarzyskich zażyłych, uogólnianych z jednostki czy jednostek na ogół żydowski, wreszcie uczuciowej niemożności zerwania z wieloletnimi poglądami na nasz stosunek do Żydów; to może najbardziej: bezkarnie nie wychowuje się nikt w danej atmosferze ideowej.

Że głosy protestu były odosobnione, zaświadczył o tem poważny akt zbiorowy. Na dorocznem zgromadzeniu reprezentantów Towarzystwa Kredytowego miasta Warszawy ogromną większością 158 głosów polskich przeciwko kilku polskim i kilkudziesięciu żydowskim przeszedł wniosek ograniczenia ilości reprezentantów Żydów w każdej kuryi do 20%. Zarzut uczuciowy przeciwko temu wnioskowi bije w oczy: Polakom, którym wszędzie brak równouprawnienia, nie wypada nigdzie dążyć do ograniczania innych. W zasadzie ogólnej jest tak — zapewne. Ale niema reguły bez wyjątków, a wyjątek dyktuje tu rozum. Faktem jest, iż Żydzi wykupują w Warszawie coraz więcej nieruchomości; wobec sprzedaży domów przez Polaków Żydom opinia powinna zająć takie stanowisko, jak przeciw sprzedawczykom ziemi polskiej w zaborze pruskim; niemniej bowiem może grozić stolicy naszej przewaga Żydów wśród właścicieli nieruchomości. Z ostatniego wyboru posła warszawskiego przekonaliśmy się, że z przewagi swojej bezwzględnie skorzystać potrafią; nie sądzimy, aby w bliższej czy dalszej przyszłości pożądane było opanowanie Towarzystwa przez Żydów i wprowadzenie np. żargonu, jako drugie-

go języka, z polskim równouprawnionego. Zdajemy sobie sprawę z tego, że horoskop taki może trącić utopią, ale przed laty kilku za pesymistycznego utopistę uznano by tego, który prorokowałby wybór posła warszawskiego przez Żydów. A jednak... więc i w danym wypadku, w przyjętym wniosku ograniczenia widzimy jedynie akt patrzącej w dalszą przyszłość samoobrony narodowej.

Z powodu owego historycznego zebrania reprezentantów przeciwnicy wniosku zarzucali opinii narodowej terror. Są to oczywiście wolne żarty, jeżeli nie poprostu tylko odwrócenie kart. Tkwiący w nas ciągle jeszcze romantyzm sprawia, że można prawie napewno powstrzymywać impet walki wskazywaniem na słabość przeciwnika. W danym razie wygrywano ten motyw również. Okazał się mniej skutecznym nie dlatego, aby nie odzywała się równie głośno ta nuta duszy polskiej, ale dlatego, że prosty rzut oka naokoło siebie przekonywa o przeciwnem zupełnie stanowisku. To nie Żydzi są słabsi, ale, niestety, to my walczymy z przeciwnikiem o wiele silniejszym. Żyjemy pod znakiem panowania pieniędzy, które są jedną z najpotężniejszych dźwigni współczesności; nie zanoszą się na zmianę tego stanu rzeczy, owszem wzmagają się raczej merkantylizm, i wszystko staje się coraz bardziej przedmiotem kupna i sprzedaży. Otóż Żydzi, którzy większość kapitałów dzierżą w swoim ręku, są dziś potęgą niewątpliwą, wszędzie trafić zdolną. Wiele, wiele wytrwałych i znojlwych wysiłków trzeba będzie, bardzo wiele upłynie dziesiątków lat, zanim odwrócą się role. Wtedy będzie czas na wspaniałomyślność, dziś—nie. Można i trzeba być względnym dla słabszych, nigdy dla potężniejszych, bo to się właśnie nazywa brakiem godności

*

*

*

Sprawa wywłaszczenia kilku majątków w Księstwie Poznańskim sprawia pewne trudności rządowi pruskiemu. Dlatego wywłaszczeń dotąd nie dokonano. Pierwsze oszacowania wypadły zbyt nisko, za podstawę bowiem wzięto cenę użytkową ziemi, podczas gdy cena obiegowa jest znacznie wyższa, z powodu niejakiego licytowania się komisji kolonizacyjnej z nabywcami Polakami, jak również z powodu, że właściciele ziemscy

Polacy zadawali się bardzo nieznacznem oprocentowaniem włożonego w ziemię kapitału, a cena użytkowa musi opierać się na oprocentowaniu normalnem. Przeznaczeni na wywłaszczenie skorzystali z przysługującego im prawa apelacyi i w tem stadyum znajdują się obecnie, ale decyzja każe na siebie czekać, jak na stosunki pruskie, niezmiernie długo. Zapewne przyczynia się do tego i fakt, że projekty wywłaszczeń nie są zgodne z ustawą, nie odpowiadają bowiem warunkowi „zaokrąglania posiadłości niemieckich“; jeżeli zostały wybrane te właśnie, a nie inne majątki, stało się tak dlatego, że stosunkowo niedawno znajdują się w rękach nabywców, zatem wywłaszczenie w danych wypadkach nie obraża uczuć feudalnych agraryuszy pruskich. Wreszcie, groźną przeciwniczką jest p. Liszkowska z Lipienek, która podda się tylko wywłaszczeniu siłą fizyczną; jakkolwiek Niemcy współczesne nie boją się nikogo, nawet Boga, to przecież, po przegranej w opinii europejskiej walce z dziećmi we Wrześni, perspektywa walki żandarmów pruskich z samotną, bezbronną kobietą nie stwarza miłej perspektywy, naraża bowiem rząd na śmieszność.

Jakkolwiek wypadnie ostatecznie wywłaszczenie czterech majątków, pewna, że obok straty materialnej przyniesie pewne korzyści moralne w skoncentrowaniu opinii polskiej. Natomiast przejście dobrowolne Choryni w ręce niemieckie jest zarówno wielką stratą materialną, jak i szkodą moralną, osłabia bowiem wiarę w polskość i w dobre tradycje rodzinne. W powiecie kościańskim kilka tysięcy morgów przeszło w ręce niemieckie. Sprzedawcy dokonał dobrowolnie nie zmuszony niczem, prócz życia hulaszczego, pomimo usiłowań sąsiadów, potomek zasłużonej rodziny, bez żadnego absolutnie usprawiedliwienia. To też opinia miejscowa niezwykle jest w potępieniu jednomyślną, a na nazwisku Taczanowskich niezatarta zostaje plama zdrady narodowej, sprzedawczykostwa. Nie zmniejsza w niczem winy fakt, że Choryń przeszła w ręce księcia sasko-wejmarskiego, a nie do komisji kolonizacyjnej, jest tylko nieznaczną ze stanowiska narodowego, przypadkową pociechą.

Zamiary wywłaszczenia wywołały z jednej strony niewątpliwe podniecenie opinii polskiej, z drugiej strony jednak oddziaływały szkodliwie na pewną jej część. Istnieje obecnie w Poznańskim grupa ludzi, którzy w obawie represyi rządowych propagują wyraźnie apolityczność, czyli powstrzymywanie się zupełne od wszelkiej zbiorowej akcji politycznej. Są to nieposzlakowani Polacy, ale obawiają się przyszłości, doskonali rolnicy, utrzymu-

jący ziemię w posiadaniu rodzin swoich i przymnażający jej nawet, ale myślą poza granice dzielnic swojej nie wybiegają i interesy z rolnictwem związane jak dogmaty traktują, stawiając je na równi z narodowemi, w czem popełniają znany błąd brania za całość części; wzorowo pracują w kółkach rolniczych, ale poza niemi pracy obywatelskiej nie uznają i grzeszą zupełnym brakiem ofiarności materyjalnej na potrzeby narodowe, odznaczają się wreszcie zupełnym brakiem zaufania do handlu polskiego, do banków polskich. Że rekrutują się z ludzi zamożnych, że należą do warstwy w Wielkopolsce najbardziej wpływowej i najpotężniejszej, do warstwy ziemiańskiej, że mają przedstawicieli w Kołach Polskich, nieraz zdolnych, którzy zawsze i mimo wszystko w stronę rządu spoglądają, tem są niebezpieczniejsi. I jako przeciwdziałanie ich wpływom pojmować należy tworzenie się w Wielkopolsce nowego stronnictwa, t. zw. „centrum obywatelskiego“, nie zgadzającego się ani na apolityczność żywiołów powyższych, ani na taktykę przeważającej po miastach demokracji narodowej. Nowe stronnictwo nie wyszło dotąd z fazy mgławicowej, niepodobna zatem dotąd określić, czem będzie; że, jako reakcja przeciw apolityczności, jest objawem pomyślnym—to pewna.

*

*

*

Izba Państwowa czwartego powołania rozpoczęła swoje prace. Ze szczupłych danych dotychczasowych trudno określić, jaką będzie, a wnioski z przeszłości nie są pocieszające, nanizac je bowiem można na wspólną nić bankructwa. Izba pierwsza była bankructwem kierunku radykalnego, druga—liberalnego, trzecia—bardzo umiarkowanego. Określnika—bankructwo—używamy tu nie w znaczeniu krytyki, lecz tylko poprostu stwierdzenia faktu bezpłodności prac. Jeżeli zaś zważymy, że pierwsze dwie izby zakończyły żywot swój gwałtownie, a tylko trzecia uszła z widowni normalnie, snadnie dojdziemy do wyniku, że—wbrew krajom o ustroju prawdziwie parlamentarnym—w państwie rosyjskiem izbę niższą kształtuje rząd na obraz i podobieństwo swoje, a nie odwrotnie.

Jak ukształtować zamierza—wynika z deklaracji rządowej. Pierwsze, swobodne kroki nowej sesyi, wybory do prezydium,

stwierdziły dążności konstytucyjne większości. Jądem jej będą zawsze październikowcy, a od przysunięcia się do nich takiej czy innej grupy zależeć będzie, czy rządząca grupa środka będzie nastrojona bardziej lewicowo, czy bardziej prawicowo. Wybory członków prezydium kazałyby wybrać oryentację pierwszą, przyszła praca szlifująca rząd pójdzie w kierunku drugiej.

Nie pamiętamy już gdzie, ale słusznie scharakteryzowano deklarację rządową, jako zawierającą zbyt wiele obietnic perspektywicznych, i jako arkę Noego, zawierającą po parze tworów umysłowości każdego z członków gabinetu. Istotnie, wzmiankowano tam i o wielkich, niewykonanych dotąd zasadach tolerancji, wolności prasy, praw o zrzeszeniach, i o reformach samorządu, i o całym szeregu spraw drobniejszych. Na podkreślenie zasługują w niej tylko dwa ustępy: ten, w którym mówi o „niewzruszalności zasad ustroju obecnego“, świadczy on bowiem o fałszywości rozsiewanych usilnie poprzednio pogłosek o zniesieniu ustroju reprezentacyjnego, i ten, w którym w tonie bardzo spokojnym wspomniano o obecnych zatargach międzynarodowych, świadczący wymownie, że Rosya wojny nie chce.

Sprawy polskie porusza deklaracja domniemalnie wtedy, kiedy mówi o kresach państwa; Finlandyi poświęcono ustęp osobny, zapowiadający jej „najbliższe zjednoczenie z Cesarstwem oraz bezpowrotne poddanie jej prawodawstwu Cesarstwa w sprawach o znaczeniu ogólnopaństwowem“. Co do zasad ogólnych dowiadujemy się, że podwaliną rosyjskiego życia państwowego będzie ochrona „przodownictwa w niem narodowości rosyjskiej i religii prawosławnej“. Ta zasada „nie wyłącza również *przychylnego* stosunku prawa do tych obywateli państwa rosyjskiego innych narodowości, którzy uznają Rosyę za swą ojczyznę, gotowi są spokojnie pracować nad jej rozkwitem i umocnieniem i widzą swą pomyślność, a nawet swój byt, w zjednoczeniu z wielką narodowością rosyjską“. Wreszcie „pod osłoną dwugłowego orła rosyjskiego jest dosyć miejsca dla spokojnego życia wszystkich narodowości, zamieszkujących naszą ojczyznę“.

Zapewne, szkoda tylko, że zasadę tolerancji spaczono, zaglądając do sumień ludzkich, gdy mowa jest o uznaniu Rosyi, nie kraju rodzinnego, za ojczyznę, zamiast wymagania poprostu spełniania obowiązków państwowych.

Dalej rząd nie uważa za możliwe odkładać *stopniowego* wprowadzania samorządu ziemskiego i miejskiego w gub. nadbałtyckich, *nadwiślańskich* i kilku innych w Rosyi europejskiej i Syberyi zachodniej. O Królestwie też zapewne jest mowa, gdy się wspo-

mina o przepisach, dotyczących rozdrobnienia gruntów oraz zniesienia serwitutów, na „kresach państwa“. Wreszcie i nas, między innemi, mają objąć niektóre reformy prawa cywilnego (np. co do dziedziczenia). Albowiem, utrzymuje p. prezes ministrów, „niema silniejszego cementu dla zjednoczenia różnych części państwa nad jedność norm prawnych“.

Możnaby mieć pewne zastrzeżenia co do potrzeby i korzyści owych reform prawa cywilnego, a wszelkie nadzieje, nawet stopniowego wprowadzenia u nas samorządu ziemskiego, nikną wobec losu, jaki w Radzie państwa spotkał projekt samorządu miejskiego dla Królestwa. Był to projekt przez rząd opracowany i popierany, przez Izbę przyjęty, miał być pierwszym etapem na drodze samorządnej. Pomimo to został w wyższej instancji pogrzebany, wolno przypuszczać—za wiedzą tego samego rządu, który go uprzednio przedstawił i przeprowadził. A stało się to w ten sposób, że Rada Państwa zwróciła projekt do komisji dla dokonania zmian zasadniczych, po których wróci znowu do Izby i z temi zmianami oczywiście odrzucony zostanie. Powód tkwi jakoby w większej liberalności projektu w stosunku do obowiązującej w Cesarstwie ustawy miejskiej, a Królestwo Cesarstwa w żadnym razie i w żadnej dziedzinie wyprzedzać przecież nie może.

W odpowiedzi na deklarację rządową, ze strony polskiej wysunęło Koło na pierwszy ogień posła ziemi warszawskiej, p. Maryana Kiniorskiego; była to zarazem jego mowa „dziewicza“, chociaż posłował już do pierwszej Izby. Znany zalety jego jasności i trzeźwości sądu, jako pisarza; pisaliśmy przecież w „Bibliotece“ o jego „Listach z dworu wiejskiego“, wydanych pod pseudonimem „Rusticusa“; te same zalety znaleźliśmy w jego mowie kandydackiej i odnajdujemy obecnie w głosie z petersburskiej trybuny. Zwrócił on na wstępie uwagę na wielki brak deklaracji rządu, że nie odpowiada ona żywotnym i istotnym interesom narodowości nie-rosyjskich. „W szczególności dla nas, Polaków, mowa Prezesa Rady Ministrów jest najlepszym dowodem, że wszystko pozostaje po dawnemu i że rząd nie ma w stosunku do narodu polskiego żadnego programu politycznego. Jest to nawet nie brak programu, a raczej pewnego rodzaju bezsilność władzy państwowej, nie umiejącej znaleźć linii polityki wewnętrznej, zgodnej z interesami państwa, niechęć do opuszczania fałszywej drogi ucisku i rusyfikacji, niezdolność do nakreślenia nowego programu, odpowiadającego warunkom danej chwili i celom, do których zdążać winna władza odnowionego ustroju państwowego. System

poprzedni, pomimo zmienionej formy bytu politycznego, wciąż trwa w swej mocy. Ten system dawny, którego źródło ukryte jest w podstawach rządów policyjnych, u nas w Królestwie Polskiem zbiegał się z polityką zemsty i kary za rewolucję 1830 roku i za powstanie 1863 roku“.

Wyciągając z tego założenia wnioski, dotyczące przeszłości najbliższej, zwrócił mówca uwagę i na „niesprawiedliwe niezmierzenie zmniejszenie o dwie trzecie przedstawicielstwa polskiego“, i na nieustanne „utrudnianie działalności naszych stowarzyszeń oświatowych, szkół, związków zawodowych i stowarzyszeń spółdzielczych“, i na wyodrębnienie ziemi Chełmskiej, i na wykup kolei Wiedeńskiej. „Samorząd ziemski wciąż jeszcze znajduje się w sferze projektów i obietnic, a miejski ten samorząd, o którym były prezes ministrów wyraził się w radzie do spraw gospodarki lokalnej, że będzie to polski samorząd, jeszcze obecnie znajduje się w Radzie państwa i przytem w postaci daleko dla nas gorszej, niż pierwotny projekt rządowy, i można już teraz przewidywać, że w Radzie państwa projekt ten nie tylko ulegnie nowemu spaceniu, że nie tylko nie pozostanie w nim nic polskiego, lecz że nawet możliwość jego urzeczywistnienia okazuje się wątpliwą“.

Wszystko to świadczy, „że rząd nie tylko nie posiada pozytywnego programu w stosunku do Polaków, lecz, że w ciałach rządzących zjawiają się nowe pierwiastki polityki państwowej. Mam tu na myśli dążenie pewnej części społeczeństwa rosyjskiego do wytepienia w granicach państwa narodowości polskiej i uniemożliwienia kulturalnego i gospodarczego rozwoju kresów, dążenie, wcielane w życie w imię jednostronnych haseł chciwego nacjonalizmu. Dążenia podobne są wynikiem nienawiści żywiołowej, działającej impulsywnie i opartej o przewagę siły materialnej. Jest to powrót do systemu bezwzględного ucisku i rusyfikacji, który był uznany za nie prowadzący do celu przez odpowiednie kompetentne organy władzy państwowej“.

A oto zakończenie—odpowiedź na najbardziej zasadniczą dla nas część deklaracji: „Pan prezes Rady ministrów, wchodząc w dziedzinę przyrodzonych, najdroższych dla każdego narodu uczuć, proponuje nam, byśmy się wyrzekli patryotyzmu polskiego. Na to, jako przedstawiciele narodu polskiego, poczuwamy się do obowiązku oświadczenia, że w ciągu całej naszej działalności parlamentarnej, aż do czasów ostatnich, nie daliśmy ani razu powodu do tego, by nas można było uważać za element wrogi dla rozwoju interesów państwowych, naród nasz zaś wypełniał zupełnie

poprawnie i lojalnie wszystkie swoje obowiązki względem państwa, jest to też wszystko, czego państwo ma prawo żądać od swoich poddanych. Wszelako, jeżeli niezbędnym warunkiem do uznania nas za żywioł nieprzeciwstawiający się idei państwowej, ma być wyrzeczenie się przyrodzonych uczuć miłości do ziemi ojczyстей, do wiary ojców, do naszej tradycyi historycznej, to musimy oświadczyć w imieniu narodu polskiego, że z podobnem rozumieniem obowiązków naszych w stosunku do państwa nigdy nie będziemy się mogli zgodzić“.

Przytoczyliśmy umyślnie to przemówienie w obszerniejszem streszczeniu, ponieważ daje dobry bilans stosunku państwa rosyjskiego do sprawy polskiej w ciągu ostatnich lat kilku. Nie zanosi się zresztą na zmianę w sensie teoretycznym. Postowie nasi w dalszym ciągu ograniczać się będą musieli do pilnowania drobnych, powszednich interesów polskich. Na szerszą politykę niema miejsca, ani czas nie odpowiedni.

*

*

Nareszcie, po wielu tygodniach niepotrzebnego wrzenia, najwyższa instancja opinii polskiej w Galicyi, Kolo Sejmowe wespół z Radą Narodową wydały rezolucyę i odezwę, określającą stanowisko wobec nastroju chwili. Na zebraniu Rady Narodowej dn. 8 grudnia złożył namiestnik, dr. Bobrzyński, z upoważnienia prezesa ministrów oświadczenie uspokajające, że „pogłoskom o grzającym niebezpieczeństwie wojny nie należy dawać wiary“. Stwierdził dalej, że „na tle zaniepokojenia, panującego w kraju, wystąpił, głównie w kołach młodzieży, ruch, któremu nie można zaprzeczyć charakteru narodowo-patriotycznego, który jednak ze względu na wysuwane równocześnie fałszywe premisy, jakoby koła te pociągnięte być miały do zadań militarnych, budzi obawy, a nawet mieści w sobie niebezpieczeństwa. Z tego powodu władze w porozumieniu z organami wojskowemi starają się najusilniej, aby przeciw takim fałszywym premisom przez odpowiedni wpływ i pieczę nad młodzieżą wystąpić. Będzie też wdzięcznem zadaniem reprezentantów obu narodowości, zamieszkujących kraj, w swoim otoczeniu o ile można przyczynić się do tego, aby ruch taki, połączony z niebezpieczeństwem, powstrzymać“.

Końcowy ustęp przemówienia jest oczywiście tylko głosem najwyższego urzędnika galicyjskiego, obowiązane go strzedz równouprawnienia obu narodowości; bo co tu mają do czynienia „reprezentanci obu narodowości“, skoro szkodliwe wrzenie szerzy się jedynie wśród młodzieży polskiej?

Rezolucya Koła Sejmowego brzmi, jak następuje: „Polskie Koło Sejmovo wyraża przekonanie, że, dalecy od wszelkich porywów nierozważnych, potrafimy przez ciągłą, spokojną pracę nad skrzepieniem i rozwinięciem własnych sił moralnych i fizycznych przygotować polskie społeczeństwo na sprostanie zadaniom narodowym, wobec jakich w biegu wypadków stanąć możemy. Zarazem stwierdza polskie Koło Sejmovo, że w obecnem poważnem położeniu politycznem wszyscy Polacy, państwo to zamieszkujący, zgodni i zjednoczeni są w gotowości, aby w razie potrzeby z wyłączeniem wszystkich sił spełnić swój obowiązek względem państwa i wielkodusznego, sprawiedliwego monarchy, który w naszej ciężkiej doli nas zrozumiał, uznał nasze prawa narodowe i stale nas obdarza swoim zaufaniem. W tem oparciu o państwo, jego monarchę, oraz nasze własne siły i świadomość dążeń narodowych widzimy rękojmię lepszej przyszłości. Upoważnia się Radę narodową do działania w powyższym kierunku i wydania odpowiedniej odezwy“.

W wykonaniu powyższego Rada Narodowa wydała odezwę, którą przytaczamy dosłownie: „Wielkie przemiany polityczne, które przynoszą zwycięstwo wytrwałym narodowym dążeniom, krzepią w nas nigdy niewygasną nadzieję, że także dla narodu polskiego nastać musi chwila dziejowej sprawiedliwości, mająca rozstrzygnąć o dalszych jego losach. W tem poważnem położeniu Rada Narodowa, działając zupełnie zgodnie z rezolucjami Polskiego Koła poselskiego z dnia 9 grudnia r. b., wyraża pewność, że naród polski zgodny jest w postanowieniu, aby się nie dać popchnąć czy to przez prowokacyę, czy przez lekkomyślną agitacyę na drogę nierozważnych i niedojrzałych porywów, które, zamiast przybliżyć i urzeczywistnić, mogłyby tylko oddalić upragniony cel naszych dążeń. Natomiast, w razie starcia wojennego na ziemiach polskich naród nasz nie może zachować się biernie, lecz dla zdobycia sobie lepszej doli i przyszłości musi wyteńczyć wszystkie swe siły. Im większą bowiem siłę moralną, materialną i fizyczną potrafimy z siebie wydobyć, tem większą zdobędziemy podstawę uznania naszych praw. W poczuciu tego wielkiego obowiązku należy uśmierzać waśni partyjne i podporządkować interesy stronnice ogólnonarodowemu celowi, aby w chwili

decydującej wszystkie siły moralne, materyalne i fizyczne narodu mogły być zgodnie użyte w jednym kierunku. Całe więc społeczeństwo polskie powinno jaknajusilniej, czynnie i ofiarnie popierać organizacje i prace, zmierzające do narodowego uświadomienia rzesz ludowych, do wzmocnienia w narodzie dzielnych, sprawnych i karnych sił moralnych i fizycznych i do kształtowania się zgodnej i czujnej opinii narodowej⁴.

Lojalizm, będący podstawą obu aktów politycznych, jest zupełnie uzasadniony, dynastia habsburska bowiem zasługuje na lojalny do niej stosunek opinii polskiej. Co do treści, zauważmy, że przekładalibyśmy brzmienie, proponowane przez prezesa Rady Narodowej, p. Tadeusza Cieńskiego, gdzie szczerze powiedziano: „naród polski ani *provokacyami*, ani żadną lekkomyślną agitacją nie da się pchnąć do wystąpienia, któreby mu, zamiast pomódz, mogło *zaszkodzić*“. Brzmienie to daleko ściślej odpowiada rzeczywistości. Jednakże, taka, jak jest, rezolucya jest dobra, już dla tego samego, że jest. Szkoda może, iż nastąpiła zbyt późno, że może zbyt troskliwie oglądano się na rząd centralny, gdy wrzenie przynosiło szkodę tylko interesom polskim. O spóźnieniu i obu aktów polskich, i uspokajającego komunikatu urzędowego świadczy fakt, że za ich sprawą ani o włos nie zmniejszyła się straszna depresya ekonomiczna w Galicyi. *Is fecit—cui prodest*. Może pewne światło na źródła akcji rzuci fakt, że obok gorączkowego wycofywania wkładów z galicyjskich kas oszczędności wzmożła się znacznie liczba depozytów polskich w bankach Rotszyldów i towarzyszy... We współczesnej pogoni za tysiącami koron nie gardzi się konfederatkami, orzełkami, ani brząkaniem w pałasiki... zwłaszcza drewniane...

WSPOMNIENIA POZGONNE.

Ś. p. J. E. Wincenty Chościak Popiel

ARCYBISKUP WARSZAWSKI.

Zmarły arcybiskup pochodził ze starej rodziny szlacheckiej, w licznych przedstawicielach swoich wybitnie katolickiej, głęboko wierzącej i wiarę swą czynem stwierdzającej. Byli w niej pisarze katoliccy i żołnierze papiescy. Zmarły dostojnik został też duchownym z wewnętrznego, szczerego powołania. Urodzony w Wielkich Czaplach d. 29 czerwca 1825 r., z ojca Konstantego, posła sejmowego i matki Zofii z hr. Badenich (dziadem jego był Paweł Popiel, kasztelan sandomierski), po ukończeniu nauk średnich w pensjonacie znakomitego pisarza, Józefa Kremera i kursów prawnych w Warszawie, wstąpił zrazu do sądownictwa, poczem gospodarzył przez czas krótki w majątku rodzinnym. Jako dwudziestodwuletni młodzian rzucił jednak dość świetnie ścielące się przed nim życie świeckie i wstąpił do seminarium; dodatkowo skończył wydział teologiczny w Lowanium ze stopniem doktora, poczem nauczał najpierw w Kielcach, potem w Akademii duchownej w Warszawie.

Prekonizowany w końcu burzliwego roku 1863-go na biskupa plockiego, niebawem z powodu niespełnienia zarządzeń władzy, które się z jego sumieniem nie zgadzały, zmuszony był udać się na wygnanie do Nowgorodu. Powrócił stamtąd w r. 1875-ym na stolicę kujawsko-kaliską, z kąd w osiem lat potem przeniesiony został na najwyższe stanowisko kościelne w Królestwie—do Warszawy. Archidiecezją warszawską przez lat blisko trzydzieści bez przerwy zarządzał.

Stan archidiecezyi był opłakany. Przez lat kilkadziesiąt zarządzili nią z małemi przerwami sami prowizoryczni administratorowie, różnej bardzo wartości. Nowego arcybiskupa czekała praca nad siły, w dodatku w warunkach jaknajgorszych.

Niechaj sędzi Go Najwyższy Sędzia, którego był jednym ze sług pierwszych. Gorąca wiara, żarliwa pobożność, czystość charakteru i rozległa wiedza były mu przewodniczkami na ciernistej drodze żywota. Zeszedł z niej, jak wędrowiec bardzo strudzony, że usta same do szeptu się składają: „Wieczny odpoczynek racz Mu dać, Panie...” bo zaprawdę w znoju nań zasłużył.

L. W.

Wiadomości Naukowe, Literackie i Bibliograficzne.

Z TOWARZYSTW NAUKOWYCH.

— TOWARZYSTWO NAUKOWE WARSZAWSKIE. Dnia 5 grudnia r. z. odbyło się posiedzenie Wydziału III-go, na którym wygłoszono komunikaty następujące: p. Jan Lewiński: „Utwory lodowcowe i hydrografia dorzecza Przemszy“;—p. B. Możejko: „Badania nad układem limfatycznym lancetnika“ (przedstawił p. J. Tur);—p. J. Kaulbersz: „Spostrzeżenia biologiczne nad *Asellus* i budowa morfologiczna jego I-ej pary macków“ (przedstawił p. J. Sosnowski);—p. Z. Wóycicki: „Mchy i wątrobowce z Kazimierza i jego okolic“;—p. J. Rotstadt: „Badania nad cytologią płynu mózgowo-rdzeniowego“ (przedstawił p. E. Flatau);—p. T. Simchowiez: „Badania doświadczalne nad zmianami w ośrodkowym układzie nerwowym, w zależności od gruczołów z wydzieliną wewnętrzną“ (przedstawił p. E. Flatau);—p. M. Bornstein: „Badania doświadczalne nad zmianami uciskoweni rdzenia“ (przedstawił p. E. Flatau);—p. St. Lencewicz: „Przyczynek do sprawy wskaźnika szerokości-długościowego czaszek ziem polskich“ (przedstawił p. K. Stolyhwo);—p. Jadwiga Lothowa-Niemirycz: „O rzadkim przypadku przebiegu listewek skórnych na stopie murzyna“ (przedstawił p. E. Loth);—p. Jadwiga Lothowa-Niemirycz: „Badania anatomiczno-antropologiczne nad kanałem wyrostków poprzecznych (*canalis transversarius*) kręgów szyjowych“ (przedstawił p. E. Loth);—p. Tadeusz Chrostowski: „Kolekcya ornitologiczna ptaków parańskich“ (przedstawił p. J. Tur).

Dnia 2 grudnia r. z. odbyło się posiedzenie Wydziału I-go, na którym p. Karol Appel przedstawił pracę p. Tytusa Benniego p. t. „Samogłoski polskie: analiza i system“. Biorąc za punkt wyjścia badanie fonetyków angielskich oraz pracę prof. Rozwadowskiego i Steina, p. T. Benni prostuje i uzupełnia osiągnięte przez innych rezultaty spostrzeżeniami osobistymi i krytyczną oceną panujących poglądów. Autor rozpatruje kolejno pojedyncze warunki artykulacji samogłosek (in abstracto), oraz konkretne związki w jakich te samogłoski występują w wyrazach i wpływy, jakim wskutek tego ulegają.

Dnia 13 z. m. odbyło się posiedzenie Wydziału II-go, na którym p. I. T. Baranowski wygłosił rzecz p. t.: „Zmienne koleje Statutu Toruńskiego“. W dyskusyi zabierali głos p. p.: J. Bieliński, M. Handelsman, J. Siemieński, Al. Jabłonowski, S. Smolikowski, przewodniczący Wydziału J. K. Kochanowski, oraz prelegent. Następnie p. S. Smolikowski odczytał w zastępstwie nieobecnego autora, p. Wl. Biegańskiego, referat jego p. t.: „Sposobowość logiczna w świetle algebry logiki“.

CZASOPISMA PERYODYCZNE.

— KSIĄŻKA. Miesięcznik, poświęcony krytyce i bibliografii polskiej. Grudzień 1912. Treść: Dzieje filozofii myśli polskiej w okresie porozbiorowym. Krytyka: Abraham Władysław: Założenie biskupstwa łacińskiego w Kamieńcu Podolskim;—Balzer Oswald: Przygodne słowa 1886—1911;—Ciepliński Czesław: Przemiany;—Gliński Kazimierz: Książki Anna;—Gomulicki Wiktor: Car-Widmo;—Gorczyński Bolesław: Na tropie trucizny;—Grabowski Edward: Z dziedziny teorii i praktyki stanów wyjątkowych;—Hoene-Wroński: Prope-deutika mesyaniczna, Zasady filozofii absolutnej;—Kordzikowska Helena: Rozita kosę niech rozplecie;—Koschembahr-Łyskowski Ignacy: Pojęcie prawa;—Kosiński Kazimierz: Warneńczyk;—Krzemiński Stanisław: Nowe szkice literackie;—Morstin Ludwik Hieronim: Lilije;—Niedzielski Kazimierz dr.: Wojna w r. 1812;—Niewiadomska Cecylia: Legiendy, podania i obrazki historyczne;—Oettingen Artur dr.: Szkoła fizyki—szczególnie do samouctwa;—Rabska Zuzanna: Dogaresa;—Schneider Stanisław: Jedno ze źródeł twórczości Słowackiego;—Tenże: Krasiński a Sallustjusz;—Tenże: Świat ptasi w „Balladynie“;—Truszkowski Antoni: Poezye;—Voltaire: Refleksye;—Walka z alkoholizmem;—Woyciecki Kazimierz: Forma dźwiękowa prozy polskiej i wiersza polskiego;—Zaremba Stanisław. Arytmetyka teoretyczna;—Zieleńczyk Adam: drogi i bezdroża filozofii;—Pod prąsą;—Kronika;—Czasopisma;—Bibliografia;—Ogłoszenia.

BIBLIOGRAFIA.

KSIĄŻKI NADEŚLANE DO REDAKCYI.

BALZAC H.: Opowiadki jurne. Przekład Celiny Hańskiej. Wydawnictwo Ultima Thule. Warszawa, 1913.

FOERSTER DR. FR.: Prof. filozofii na politechnice i w uniwersytecie w Zurychu: Wychowanie człowieka. Książka dla rodziców, nauczycieli i kapłanów. Zeszyt VII. Nakład Gebethnera i Wolffa. Warszawa—Lublin—Łódź. Kraków. G. Gebethner i Spółka.

GENERAL SIR ROBERT BADEN-POWELL: Skauting dla młodzieży. Tłumaczenie z angielskiego z upoważnienia autora, pod redakcją Bronisława Bouffalla. Warszawa, 1913. Gebethner i Wolff.

GRUSZECKI ARTUR: Królewicy. Powieść współczesna. Nakład Gebethnera i Wolffa. Warszawa—Lublin—Łódź. Kraków, G. Gebethner i Sp.

GRZYBOWSKI DR. WACŁAW J.: Pragmatyzm dzisiejszy. Próba charakterystyki. Warszawa. Główny skład w księgarni E. Wende i Spółka. Wydawnictwo „Przeglądu Filozoficznego“.

JOERGENSEN JOHANNES: Święty Franciszek z Assyżu — na tle swojej epoki. Tłum. J. W. K. Warszawa, 1912. Wydawnictwo „Biblioteki Dziel Chrześcijańskich“. Skład główny w księgarni Gebethnera i Wolffa. Kraków, G. Gebethner i S-ka.

KALENDARZ ROLNICZY Centralnego Towarzystwa rolniczego w Królestwie Polskiem na rok 1913. Pod redakcją Jana Lutosławskiego. Warszawa, 1913. Skład główny w księgarni Gebethnera i Wolffa.

KARTKI Z PAMIĘTNIKA ALKARA II: Z lat 1858—1865. Kraków, G. Gebethner i Sp.

KORCZAK STANISŁAW: Sny wiosenne. Wydanie drugie. Warszawa, 1913.

KORYCKI WŁADYSŁAW: Z duchowych wnętrz. Studya krytyczno-literackie, 1913. Skład główny w księgarni E. Wende i Sp.

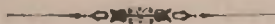
KOSSAK WOJCIECH: Wspomnienia z 92 ilustracyami w tekście oraz 8 kolorowemi na osobnych kartach. Nakład Gebethnera i Wolffa. Warszawa—Lublin—Łódź. Kraków, G. Gebethner i Sp.

KOCHAŃOWSKI J. K.: Nad Renem i nad Wisłą. Antyteza dziejowa. Warszawa, 1913. Nakładem księgarni E. Wende i Sp. Łódź: Ludwik Fiszer. Lwów: H. Altenberg. New-York: The Polish Book Importing Co.

KOZICKI STANISŁAW: Sprawa Wschodnia. Warszawa, 1912. „Biblioteka Dziel Wyborowych“.

KRASZEWSKI J. L.: Brühl. Opowiadanie historyczne. Tom II, z 6-ciu ilustracyami. „Ciekawe Powieści“. Warszawa, 1912. Nakład Gebethnera i Wolffa. Kraków: G. Gebethner i Sp. Bezpłatny dodatek do „Tygodnika Ilustrowanego“.

KRAŚIŃSKI ZYGMUNT: Wybór poezyi. Warszawa.



Redaktor odpowiedzialny i wydawca MAURYCY hr. ZAMOYSKI.

Upadek Polski a Francya.

IV.

Znikał nie tylko odwieczny ustrój państwowy, zniknąć miało samo nieśmiertelne imię Polski. Potworzyły się z jej dzierzaw jakaś Rosya biała, czerwona czy litewska, jakaś stara i nowa Galiacya czy Lodomerya, jakieś Prusy zachodnie, południowe czy nowoschodnie. W zasadniczym artykule dodatkowym tajnym ostatecznego aktu rozbiorowego wyraźnie została uświęconą bezwzględna „konieczność zniesienia wszystkiego, co mogłoby przypominać istność Królestwa Polskiego“ oraz ustalonym zobowiązanie solidarne wszystkich trzech mocarstw spółdzielczych, iż raz na zawsze niewolno żadnemu z nich używać pod jakąkolwiek postacią w swych tytułach prawnopaństwowych wyrazu „polski“, albowiem wyraz ten „odtąd po wszystkie czasy zniesiony zostaje“. Owóż uroczysty ten zakaz, wyklinający aż w brzmieniu słownem wszelkie ślady korony i narodowości polskiej, mniej był dyktowany obawą przed bezbronną, złamaną, pogrzebaną Polską; nakładały go na siebie trzy mocarstwa rozbiorcze przede wszystkim z wzajemnej przed samemi sobą obawy, dla zapobieżenia temu, iżby którekolwiek z nich samych nie zechciało w przyszłości przeciw dwom innym ocucić Polski na swoje dobro wyłączne, odebrać wydzielonych dwom innym odłamów i zebrać całości przy sobie. Obawa taka nie była bynajmniej płonną; miała ona uzasadnienie głębsze zarówno w ogólnym stosunku wzajemnym spółrozbiorców względem siebie i sprawy polskiej, jakoteż w szczególniejszych powikłaniach związanych z ułożeniem i wykonaniem końcowego dzieła rozbiorowego.

Tak więc nasamprzaw w Rosyi, choć najogromniejszym polskim zbogaconej łupem, pomnażającym jej ludność o blisko jedną czwartą, jednakowoż, poza zyskaną chwilowo przez dwór wiedeński kabałą dworską faworyta Zubowa, sprężyną istotną dwóch ostatnich podziałów, takomego dla niej źródła obłowienia się setkami tysięcy dusz donacyjnych, wielomilionowemi dobrami konfiskowanemi i starościńskiem polskiem, ze strony najpoważniejszych czynników politycznych, jak Woroncowie, Bezborodko, Panin i wielu innych, a zwłaszcza wojskowych, jak stary Rumiancew, Repnin, zwycięzca Kościuszki Fersen, zdobywca Warszawy Suworow, stanowczo potępiano rozebranie Polski, jako przeciwnie wyższej racji stanu rosyjskiej, przeciwnie szerszym zamysłom pierwotnym Piotra Wielkiego, zakrojonym na zagarnięcie wszystkiej Rzpltej. Ze strony polskiej nie tylko schodzący z tronu Stanisław August, lecz nawet sam przywódca polityczny Sejmu Wielkiego i insurekcji, Ignacy Potocki, już *in extremis* po szturmie Pragi, w tym to mianowicie duchu nie wahał się występować do Suworowa z przełożeniem doniosłem, ofiarującym zachowanie przy Rosyi korony polskiej, oddanie jej małoletniemu wnukowi imperatorowej W. Ks. Konstantemu. Suworow z początku popierał te pomysły, chciał koniecznie zatrzymać Warszawę, rozsiadywał się w niej na dobre, w miesiąc po rzezi praskiej obchodził tu po przyjacielsku imieniny Katarzyny, odbierał w darze od miasta drogocenną szkatułę pamiątkową z brylantowym napisem „*au sauveur de Varsovie*“, uspokajał i głaskał, o ile nie był w stanie nietrzeźwym, ludność miejscową wszystkich stanów, fraternizował z braćmi Polakami, uczestniczył osobiście w urządzanych przez siebie zabawach ulicznych dla pospólstwa warszawskiego, płacił hojnie gotówką za wszelkie potrzeby wojsk swoich, sádział za stołem swoim generałów polskich i wymyślał soczyście na Prusaków. Równocześnie skądinąd, z zagranicy, stary zauszniak Katarzyny, zaufana jej kreatura wśród „filozofów“ francuskich, baron Grimm doradzał jej „nie wykreślać zupełnie imienia polskiego z liczby narodów“, lecz ogłosić się wprost królową polską i ofiarować jej w tym celu usługi niejakiego Gliszczyńskiego z emigracji polskiej w Dreźnie, gotowego zorganizować natychmiast na rzecz Rosyi świeże powstanie przeciw Prusom w ich dzielnicy rozbiorowej; „wszystko co żyje w Polsce byłoby u szczytu swych pragnień... Prusy Południowe, może nawet Galicya, zechciałyby należeć znowuż do tego królestwa“ polskiego pod berłem rosyjskiem. Imperatorowa pomiarkowała te zapędy; zahamowała grzeczności polskie Suworowa i kazała mu

sprawców insurekcji z Kościuszką na czele nadesłać do więzień petersburskich; nielitościwą zarządziła represyę, dodziśdnia wokropnych szczegółach swoich niedość dobrze jeszcze znana. Żywiła Katarzyna instynktowną, niczem nienasyconą do Polski nienawiść; już wtedy zresztą, pod sam koniec długich rządów, mniej panując nad sobą i swą polityką, czasem prawie zdziecinniała, podkopała przez sposób życia, wiek, chorobę, była pod wpływem wszechwładnym stojącego za swem dziełem rozbiorowem Zubowa; sprawę polską uważała za zlikwidowaną dla siebie przez trzeci podział, a natomiast radaby była wznowić likwidacyę ogromnej sprawy tureckiej i panowanie swoje uwieńczyć wykonaniem umiłowanego swego, wymarzonego „projektu greckiego“. Zgromiwszy rewolucyę francuską na swój sposób i benefis nad Wisłą, zamierzała teraz podobnie zgromić ją nad Bosforem, zostawiając i nadal bezpośrednio jej zgromienie nad Renem Austrii i Prusom. Lecz właśnie dlatego tem sroższym zapalała gniewem ku nienawistnemu sobie oddawna dworowi berlińskiemu, który przez pacyfikacyę bazylejską z Francją pokrzyżował te zamysły i odzyskał swobodę ruchów. To też przez chwilę, latem 1795 r., gdy zaostrzyło się przesilenie podziałowe z Berlinem, myślała całkiem naseryo uderzyć na Prusy, przyczem atak główny miał z Warszawy na Berlin wykonać Suworow, uboczny od granicy litewsko-kurlandzkiej na Królewiec Repnin; podsycać potajemnie rozruchy na Szląsku, w Gdańsku i Polsce pruskiej; wybierała się nawet „na grubasa (Fryderyka) Wilhelma (II)“ w razie potrzeby „wypuścić“ (*lâcher*) więzionego Kościuszkę. Jednak przez ustępliwość Prus i ugodzenie ostateczne targów podziałowych petersburskich uchyloną została ta groźba wojenna. Suworow, zmuszony z żalem wydać Warszawę Prusakom, postarał się przynajmniej zostawić im ją w stanie najgorszym i najniebezpieczniejszym, wyssaną do cna i podburzoną przeciw nowym panom pruskim. Zarazem Katarzyna, w roli najzawziętszej przeciwniczki rewolucyi francuskiej, gościnnie przyjmując u siebie w Petersburgu zbiegłych książąt bourbońskich, pozwalając w swojej dziełnicy rozbiorowej polskiej organizować się zbrojnie emigrantom francuskim, zawierając z Anglią i Austrią nowe ściste paktów sprzymierzeńce, czyniąc nadzieję dostarczenia z dnia na dzień posiłków rosyjskich pod sztandary koalicyjne, w rzeczywistości nie spuszczała z oka tamtej upragnionej likwidacyi tureckiej i z góry już gotowała sobie pretekst do nagłej zmiany frontu, do zastąpienia zapowiadanej rzekomej swej wyprawy posiłkowej przeciw Francyi na rzeczywistą odrębną, jak dopiero co przeciw

insurekcji polskiej, tak obecnie przeciw Porcie ottomańskiej. Takiego zaś pretekstu do nagłego zboczenia na własną rękę, we własnym interesie rosyjskim na Bałkany zamiast nad Ren, mieli znowuż dostarczyć Polacy, nieoszacowany, najpodatniejszy zawsze dla ręki prowokatorskiej środek pomocniczy i kozioł ofiarny. A mianowicie, jak ongi za konfederacji barskiej była sprowokowaną tym sposobem pierwsza wojna turecka Katarzyny, tak teraz planowana trzecia sprowokowaną być miała w porze sposobnej przez zaburzenia powstańcze polskie mające wybuchnąć na Wołoszy, na pograniczu tureckiem. Pozatem nadomiar za jednym zachodem, niezawisłe od spodziewanych na Porcie zdobyczy, miało też na widoku, pod pozorem przyjacielskiej dla dobra sojuszniczej Austrii okupacji „ochronnej“ zagrożonych przez rozruchy polskie cyrkułów galicyjskich, usadowić się na stałe w Starej Galicyi, t. j. we wschodniej połowie kraju z ludnością przeważnie rusińską, dawnym przedmiocie pożądlivosti gabinetu i generalicyi rosyjskiej. Sam pomysł wielki a łudzący ściągnięcia wszystkiej Polski ku Rosyi pod wspólne berło dynastyczne uchylono narazie całkowicie, zachowano go atoli w odwodzie jak dogodny, nie będący do pogardzenia w pewnych przypadkach narzędzie zaczepne.

Co się tyczy Austrii, wciągniętej swego czasu przez Prusy do pierwszego podziału, wygarniętej z drugiego, odszkodowanej obecnie w trzecim, to miała ona w gruncie rzeczy najmniej tymczasem pociechy ze swych nabytków polskich. Zwiększona ogółem przez te nabytki przestrzennie i ludnościowo o jedną dziesiątą zaledwo własnych swych dzierżaw, zyskała absolutnie dwa razy mniej od Rosyi, stosunkowo nieskończenie mniej od Prus; w spółniku rosyjskim miała wprowadzić chwilowo sprzymierzeńca, lecz zewszecmiar niepewnego i groźnego na przyszłość; w pruskim zachowała podawnemu nieprzejednanego a niepomierne wzmocnionego wroga. Stroną najgorszą położenia Austrii była tutaj ta okoliczność, że wobec Rosyi, trzymającej ogromną większość Rzpltej, wobec Prus trzymających serce Polski, stolicę Warszawę, rząd austriacki nie czuł się wcale bezpiecznym w swoich posiadłościach galicyjskich, czuł się raczej tymczasowym ich posiadaczem niż właścicielem wieczystym, brał na uwagę możliwość utraty ich przez przemożne w jednym lub drugim kierunku ciążenie, a nawet liczył się na taki wypadek z ewentualnością ich zamiany na inne całkiem nabytki, Wenecyę, Lombardyę, Bawaryę czy Serbię, co wszakże znowu ze względu na niepomysłny przebieg wojny francuskiej stawało się mocno wąt-

pliwem. To też pod wpływem tego rodzaju niepocieszających konsyderacyi, podobnie jak w Rosyi, choć pod odmiennym oczywiście kątem widzenia, tak i w Austrii w niektórych wpływowym kołach dworsko-wojskowych rozbiór słabej Polski i podstawienie na jej miejsce potężnego sąsiedztwa prusko-rosyjskiego uważano za ciężki błąd polityczny. Stąd rodziły się raz po raz pewne, bardzo zresztą dorywcze i po części bardzo dwulicowe próby wiedeńskie, jeszcze pod koniec Sejmu Czteroletniego, a następnie w początku insurekcji, obliczone na pozyskanie sobie oparcia w samej Polsce, otwierając wzajemian jakieś ogólnikowe, nader śliskie widoki wskrzeszenia Polski przez Austryę, bądź pod postacią złączenia wprost z cesarską, wzorem węgierskim, korony sukcesyjnej polskiej, bądź też włożenia jej przez którego z arcyksiążąt, w pierwszym rzędzie młodszego brata cesarskiego, Karola. W tym duchu podejmowane były podczas insurekcji usilne zabiegi ze strony polskiej, za wiedzą samego Kościuszki, przy udziale związanych tajemnie z powstaniem Puław, domu Czartoryskich, zwłaszcza zaś głowy tego domu, staro ks. Adama Kazimierza, zaprzyjaźnionego oddawna osobiście z dworem wiedeńskim, niegdy generała ziem podolskich, potem feldmarszałka austriackiego, przez wybitnych działaczy patriotycznych, przez młodego synowca królewskiego, ks. Józefa Poniatowskiego, byłego oficera austriackiego, przez obywateli posesyonowanych w dzielnicy austriackiej i stykających się z kołami dworskimi i rządowymi wiedeńskimi, gorącego Waleryana Dzieduszyckiego, rozważnego Józefa Maksymiliana Ossolińskiego, szlachetnego Stanisława Sołtyka, wyprawionego w takiej mianowicie misyi tajnej z ramienia rządu powstańczego do Wiednia, gdzie z nim zrazu poufnie rokowano, poczem na widok klęski powstania corychlej pokryto się wobec Rosyi i Prus przez zamknięcie go w uprzejmym areszcie. Tyle przecie na tej grze zyskała Austrya, że, zwabiwszy za przyjacielski, neutralny swój kordon, wielotysięczne zastępy zniesionej armii powstańczej, łatwo następnie pokusą lub naciskiem do swoich wcieliła je szeregów. Pozatem jaknajdyskretniej wycofała się z tej gry nadzwyczaj drażliwej pod każdym względem, nie zaniechanej zresztą bynajmniej w zupełności, odłożonej na wypadek potrzeby jako niepozbawione znaczenia narzędzie obronne.

Nareszcie dla Prus, jakkolwiek podziały przyniosły im bezwarunkowo zysk polityczny najcenniejszy, dały im dopiero konsystencję i łączność terytoryalną, powiększyły ich obszar przeszło w dwójnasób, stały się wprost kwestyą mocarstwowego ich

bytu, jednakowoż dokonane dzieło rozbiorowe przedstawiało również przy bliższem wejrzeniu strony ujemne bardzo poważne. Prusy otrzymawszy wraz z Warszawą największą masę zwartej ludności etnograficznie czysto polskiej, najsilniejsze źródło żywej tradycyi i ducha narodowego polskiego—stawały się państwem tyleż polskiem co niemieckiem. W gorszem pod tym względem położeniu zarówno od Austrii, która wzięła część znaczną, jak od Rosyi, która wzięła większość ogromną ludności rusińskiej i litewskiej, w gorszem podwójnie z uwagi na nierównie wyższą siłę i rozległość własnej poza nabytkiem polskim podstawy państwowej austriackiej i rosyjskiej, małe dotychczas Prusy, nasycone obecnie, przesyczone nowonabytym najliczniejszym i najrdzenniejszym żywiołem polskim, nie mogły naprawdę myśleć o mechanicznem opanowaniu go i strawieniu istotnem i gruntownem. A tymczasem miały naprzeciw siebie najnowszy wrogi sojusz dwuncesarski, z jednej strony pilnującą je zazdrośnie Austryę usadowioną w wydartym im Krakowie oraz tuż pod bokiem zostawionej im Warszawy, z drugiej stojącą nad nimi z mieczem Rosyę, pełną nieprzebręganą dla nich mściwej a pogardliwej nienawiści cesarzową Katarzynę, niedarującą im ani dawniejszego przymerza polskiego ani świeżej pacyfikacyi francuskiej, teraz panią trzech czwartych byłej Rzpltej polskiej, skąd okalała, naciskała i podważała wydzieloną z łaski zdobyczą sąsiedzką. Stąd to, od ściany rosyjskiej wciąż wisiała nad Prusami groźba utracenia owej wyłowionej przez nie z takim mozolem zdobyczy polskiej, a nawet więcej jeszcze, nie samych tylko przyłączonych Prus Zachodnich, Południowych i Nowowschodnich, lecz bodaj i dziedzicznych swych Wschodnich, gdyż zapomnieć nie było sposobu, iż wojska rosyjskie, ustępujące teraz miejsca pruskiemu w Warszawie, swego czasu były trafiały do Gdańska, Królewca, samego Berlina. W położeniu tak trudnem i niebezpiecznem wprost narzucała się Prusom konieczność liczenia się z czynnikiem polskim w nieprzewidzianej dotychczas mierze. Zaczęto od tego, że zaraz po upadku powstania usiłowano zabrać lub przynęcić co się dało z rozbitej armii polskiej do szeregów pruskich, spółzawodnicząc w tym względzie, niezbyt zresztą skutecznie, z nadto przemysłną w tym względzie Austryą, a zwłaszcza z Rosyą, zagarniającą i tutaj zysk walny, część główną szczątków wojskowych polskich do kadrów swoich. Równocześnie naprzeciw Kościuszki, niebezpiecznego w Petersburgu zakładnika, trzymano w Magdeburgu Madalińskiego, traktowanego z wszelkimi honorami, pobierającego pensyę ze skarbu pruskiego; a innych generałów polskich,

Grabowskiego, Giełguda, na wszelki sposób starano się kaptować, idąc na wyścigi z podobnemi kuszeniami Suworowa. Zajęto się pozyskaniem episkopatu polskiego, trafiono do nowego z prezydenty pruskiej prymasa, niedość odpornego Krasickiego, do biskupa poznańskiego, przyszłego z łaski pruskiej prymasa, występującego się skwapliwie nowym panom berlińskim eks-targowiczanią Raczyńskiego. Zdobyto się wreszcie na pomysł, z pośledniego wprowadzić źródła, przez awanturnika Walickiego podsunięty, lecz bądźco bądź śmiały i znaczący, na ponowne spowinowacenie domu Hohenzollernów z wielkiem nazwiskiem polskiem. Sprowadzono wiosną 1795 r. z Dreżna z pośród emigracyi tamecznej nieciekawego wojewodę wileńskiego, Michała Radziwiłła, jego ambitną żonę, dużo lepszego od rodziców syna, zacnego, ukształconego Antoniego, i na poczekaniu w maju t. r. odprawiono jego zaręczyny ze starszą od niego sympatyczną Luizą, córką księstwa Ferdynandostwa Pruskich, a tem samem, pomimo pewnych dotkliwych niedoborów legitymistycznych, pruską księżniczką krwi, siostrą stryjeczną panującego monarchy Fryderyka Wilhelma II. Związek ten, po blisko całorocznych jeszcze wahaniach uwieńczony przez ślub młodej pary w Berlinie w marcu następnego roku, źle oczywiście widziany w Petersburgu, dobrze natomiast przyjęty przez opinię berlińską, był w znacznej mierze dziełem stryja oblubienicy, ks. Henryka, który wdawszy się znów na stare lata z zapałem w politykę bieżącą, nader czynny spółdziałacz pacyfikacyi bazylejskiej, szczególniejsze zainteresowanie okazywał obecnie dla sprawy polskiej. Ta sprawa w niniejszej dobie powstania Kościuszki, wyprawy pruskiej na Warszawę, ostrych powikłań trzeciopodziałowych, wywoływała w Prusiech zrozumiałe zajęcie powszechne nie tylko wśród polityków zawodowych, lecz również w szerszych kołach społecznych, i to z pewnym odcieniem życzliwości dla Polski, uwydatniającym się w nastroju młodzieży, inteligencji, piśmiennictwa, niekiedy w postaci głębszej, jak w wydanem z powodu pokoju bazylejskiego słynnem piśmie Kanta „O pokoju wiecznym“, gdzie stary filozof królewiecki zaznaczał *sub rosa*, obok swych sympatyj dla Francyi rewolucyjnej, wstręt swój dla gwałtu rozbiorowego polskiego. Takiemu nastrowi opinii odpowiadało chwilowo, wprowadzić z pobudek nie tyle ideowych ile czysto realistycznych, uczucie żywego niepokoju, rodzące się w umyśle wielu polityków pruskich przy trzeźwej ocenie ostatecznego bilansu roboty podziałowej i ciężkiego położenia, jakie ona nawewnątrz i nazewnątrz, w stosunku do niestrawnego nabytku polskiego i niebezpiecznego sąsiedztwa spół-

dzielczego, wytwarzała dla Prus. Coraz częściej jeły w Berlinie podnosić się głosy ostrzegawcze, pochodzące poczęści od dawnych zwolenników zdradzonego przymierza z Polską i niedoszłej wtedy rozprawy orężnej z Austryą i Rosyą, kładąc nacisk na ujemne skutki podziałowe, na wielką, nieznosną od obu spółników, zwłaszcza rosyjskiego, groźbę, przeciw której najlepszą może osłoną byłoby odrobienie w pewnej mierze na własną rękę błędu rozbiorowego, przywrócenie Polski w tej lub innej postaci pod jednostronną egidą pruską, przy poparciu świeżo zyskanej przyjaźni francuskiej. Stary ks. Henryk czynił się ostentacyjnie opiekunem takich poglądów; o podziale Polski, własnem swoim pierwotnie dziele, wypowiadał się teraz jako o „rozboju“ (*brigandage*); głosił, iż Prusy powinny dla własnego swego dobra „ożywić trupa (polskiego), póki zachowuje on jeszcze ciepło wewnętrzne“; uznawał „odbudowanie Polski za niezbędne dla monarchii pruskiej“; zapewniał Antoniego Radziwiłła, iż „spodziewa się, że Polska będzie odbudowaną i to przez Prusy“. W tym samym duchu i mocniej jeszcze odzywano się przy dworze, po salonach, w generalicyi. Niebawem zaczęto już nawet podnosić kandydatury pruskie na przyszły wznowiony tron polski; zalecano drugiego syna królewskiego, ks. Ludwika, albo też stosowniejszego podobno dla Polaków i chętniejszego kandydata, jego młodszego o rok kuzyna, hulaszczego ks. Ludwika Ferdynanda, brata Antoniowej Radziwiłłowej. W rzeczywistości wszystkie te zuchowate pomysły nie miały nic wspólnego z właściwą polityką gabinetową pruską; istota ich polegała przedewszystkiem na danej konjunkturze przejściowej, wynikającej ze stosunku do zdeklarowanej nieprzyjaciółki pruskiej, Katarzyny; ze zgonem dobiegającej już swego kresu imperatorowej, z objęciem tronu rosyjskiego przez jej następcę, przyjaciela pruskiego, Pawła Piotrowicza, traciły one znaczenie aktualne, zachowując wszakże na dalszą nieprzewidzianą przyszłość znaczenie obosiecznego narzędzia zaczepno-odpornego.

Za troistem Polski rozszarpaniem fizycznym poszło troiste rozdarcie duchowe, wynikające z samego już odrębnego w każdej dzielnicy przymusu społeczno-państwowego, lecz wyzyskiwane zarazem przez pokusę polityczną zawartą w rzeczonych potrojnych złudnych widokach odnowicielskich z ramienia każdego z mocarstw rozbiorowych. Ofiarą wraz i pomocnicą główną tego rozdarcia została magnateria polska. W bezpośredniej będąc styczności osobistej z dworem i rządem tej potęgi, pod której dostała się poddaństwo, zawisała w stopniu najwyższym od łaski

dworskiej i rządowej, skrepowana i narażona najwięcej przez sam ogrom posiadłości swoich, a wzięta całkowicie w kluby przez postanowienia ostatniego podziału o kasacie poddaństwa mieszanego oraz o obowiązku natychmiastowej opcyi poddańczej i wyprzedzaży dóbr zakordonowych w terminie pięcioletnim, już podczas ostatniego aktu tragedyi narodowej całkiem prawie pochowana za kulisami, gdyż prócz nielicznych stosunkowo, zaszczytnych wyjątków prawie nieobecna w powstaniu kościuszkowskiem, stawiała się ona w niniejszej dobie najciemniejszej, najtrudniejszej, nazajutrz po zniknięciu Rzpltej, najpodatniejszym swojskim spódczynnikiem i pośrednikiem rozkładowych, rozbijających nierozdzielność i udzielność ducha narodowego wpływów trójrozbirowych. Byłoby zresztą ciężką niesprawiedliwością przykładać do tego zjawiska wszędzie jednakową miarę poczytalności i winy, gdyż zbyt rozmaite działały tu pobudki, rzadziej na szczęście prosty egoizm i zaprzaństwo, pospolita zasada *ubi latifundia, ibi bene, ibi patria*, kiedyindziej natomiast poważna troska o ocalenie od zatury wielkich fortun kresowych, wyobrażających doniosłe wartości narodowe, najczęściej zaś, przy dobrej w gruncie woli lecz braku odporności osobistej i wiary w samoistną przyszłość narodu, ustępliwe, łatwowierne, samozłudne zaślepienie. W każdym razie podobne, specyficznie podległe względem nowych rządów obcych, oportunistyczne naogół stanowisko dzielnicowe warstwy możnowładczej odbijało się niepomału na różniczkowaniu i uzależnieniu mimowolnem, a przeważnie niezdrowem oryentacyi politycznej społeczeństwa w każdym zosobna zabrze. Najsilniej to szczególniejsze, zazwyczaj napoty tylko świadome, pośrednie oddziaływanie rządowe czyli raczej półrządowe górnych sfer społecznych występowało w dzielnicy rozbirowej rosyjskiej, gdzie zwłaszcza na Rusi w pełnej pozostały mocy wielowładne, kierowane z Petersburga, oligarchiczne potęgi targowickie, schodząc się z pewnemi odśrodkowemi względem Korony zadawnionemi dążeniami na Litwie, idąc na rękę samolubnemu zacofaństwu pewnych kół szlachty miejscowej, a sięgając rozgąłęzionym swym wpływem rodowym poza obadwa kordony sąsiedzkie. W dzielnicy austryackiej mniej potężne lecz bądźcobądź znaczne zwłaszcza we wschodniej części kraju, ciążące do Wiednia żywioły magnackie trafiały w najosobliwszem skojarzeniu do radykalnych, józefińsko-rewolucyjnych prądów wśród patryotycznego obywatelstwa tutejszego. W dzielnicy pruskiej najszczuplejsza, bo najsłabiej posesyonowana reprezentacya wielkopańska, suma sztucznie ściągana do Berlina, przykładała się

ze swej strony w miarę możności do pociągania w tym kierunku opinii ziemiaństwa i najliczniejszego w tych stronach mieszczaństwa. Co więcej, magnateria, do niedawna wszechwładna w publicznem życiu partyjnym Rzpltej, wywierała obecnie wciąż jeszcze wpływ niewidzialny, a wcale wydatny również i poza krajem na pośmiertne, wyniesione zagranicę polityczno-stronnicze ośrodki emigracyjne. Odbywało się to niekiedy sposobem bardzo dziwnym, kiedy taki Szczęsny Potocki, zamieszkawszy czas jakiś po upadku kraju w Hamburgu, korespondując stamtąd najpoddaniej z Katarzyną i Zubowem, wyprawiał zarazem bankiety na cześć sukcesów broni rewolucyjnej francuskiej i utrzymywał stosunki zażyłe z emigrantami skrajnymi w rodzaju Turckiego Sarmaty i Ksawerego Dąbrowskiego, albo kiedy po tymże Hamburgu, Dreźnie, Paryżu, Turcyi, Włoszech, wszelakich głównych schroniskach emigranckich, wałęsali się i wścibiali wszędy agenci rozmaitych innych wybitnych Targowiczian i samego więzionego w Grodnie ekskróla Stanisława Augusta. Odbywało się to zresztą z reguły w sposobie mniej dwuznacznym, po części normalnym skądinąd i wprost nieuniknionym wobec rozległych z jednej strony stosunków osobistych i znacznych zasobów materyalnych, z drugiej zaś nadzwyczaj różnolitego składu i rozpaczliwej biedoty emigracyjnej, w niektórych wypadkach nawet z istotnym dla sprawy pożytkiem, zawsze jednak z wynikiem ogólnym o tyle niepożądanym, iż szwankowała na tem do reszty jednolitość i niezawisłość dyrektywy, wikłały się i zaogniały niesłychanie przeciwieństwa osobiste i pojęciowe, będące klęską emigracyi każdej, a tembardziej owoczesnej, oderwanej raptem od rozbitego na miazgę kraju, ogołoconej ze wszelkich środków i form państwowych, pozbawionej busoli, zespołu, naczelnictwa, nieszczęsnej, tłumnej emigracyi popowstańczej polskiej.

V.

Emigracya po upadku sprawy kościuszkowskiej i trzecim rozbiorze, wręcz naodwrot niż po upadku konstytucyi majowej i rozbiorze drugim, była zrazu wychodźstwem nie wodzów lecz tłumu. Wiele postaci naczelnych Sejmu Czteroletniego typu umiarkowanego zachowawczego, jak sam stary marszałek sejmowy Małachowski, stojących przy Ustawie majowej jako słowie ostatniem, nie wdawało się z zasady do kierowania rzeszą powstań-

czą; naczelnicy powstania, jako Kościuszko, Potocki Ignacy i tyłu innych, byli teraz w niewoli, głównie rosyjskiej; na wychodźstwo wylała się masa drugorzędnych, bądź cywilnych, bądź licznych wojskowych, działaczy i ofiar przegranej walki insurekcyjnej. Mniej skompromitowani zatrzymali się bliżej kraju w Dreźnie i Lipsku; sporo śmielszych pociągnęło do Paryża, gdzie agent byłej władzy powstańczej z pełnomocnictwa Kościuszki, Barss, w osobie swojej i kilku przyjaciół wyobrażał Agencję polską, uznaną przez rząd francuski po niewczasie, t. j. po upadku powstania, a stąd kwestyonowaną przez wielu własnych rodaków; najruchliwsi, trwający w złudzeniach insurekcyjnych na zbrojne wystąpienie Szwecyi i Turcyi przeciw Rosyi, udali się pierwotnie do punktów w podwójnym tym względzie bliższych, do republik hamburskiej i weneckiej. W Wenecyi mianowicie utworzyło się niebawem ognisko główne tego ostatniego, mienajmniej gorliwego i ofiarnego, lecz najmniej rozsądnego i karnego odłamu emigracyi. Tutaj zebrali się nasampierw znaczniejsi z nazwiska i fortuny wychodźcy: Potocki Piotr, przelotem i brat Ignacego, Stanisław w drodze do Rzymu, Ogiński Michał, Prozor Karol i inni, przeważnie z dzielnicy rosyjskiej, wydani tam na prześladowanie i zgubę, najmocniej też przejęci duchem antyrosyjskim, skądinąd zaś osobiście oraz przez Sołtyka Stanisława z dzielnicy austriackiej w bliskich stosunkach z tamecznymi swej sfery ludźmi i pod idącą stamtąd silną sugestją antypruską. Tutaj też dokoła nich wnet zbiegła się i na nich wsparła liczna fala wychodźców pośredniejszej pozycyi społecznej, radykalny działacz powstańczy ksiądz Dmochowski, podejrzany neofita Lewkowicz, sporo dzielnych oficerów, z których niejeden jak kapitan Lipczyński piechotą przywędrował z Polski i szedł zawczasu bić się do armii włoskiej. Niejeden w skromnej randze już znakomite serca i głowy objawiał zalety, jak ukochany od towarzyszków major Liberadzki, paru też generałów, Kołysko, Łażniński, Wyszkowski. Był to rodzaj lewicy insurekcyjnej *in partibus*, wysuniętej daleko nie tylko poza umiarkowany liberalizm Ustawy majowej lecz i poza „moderantyzm“ naczelnictwa powstańczego, pojęciowo bardzo skrajnego naogół zakroju, a osobowo bardzo rozmaitego poszczególnie gatunku, od dusz wzniosłym ogniem rozpaczy płonących, pokładających nadzieję w zrewolucjonizowaniu mas ludowych, aż do zażartej słabizny ambitnej lub nawet mocno podejrzanego mącącego krętaństwa warchołów i aferzystów, trzymających się klamki pańskich rozbitków emigranckich dla wyzyskania ich dobrej woli i małego o rzeczy rozumienia. Naj-

dziwniej odbijały się na tej grupie czyli raczej tem zbiorowisku chaotycznym niejasne, a nieustanne wpływy austriackie ze stycznych z nią środowisk lojalno-radykalnych w Galicyi, gdzie teraz pisarz „Wieczorów galicyańskich“, ksiądz radykał, ustami mądrego Polaka Ewandra tłumaczył głupiemu Aristowi nową pod berłem habsburskiem szczęśliwość, skoro „chłop u pana nie jest bestyą, ale mu człowiekiem równym“, albo uczony łacinnik imieniem „senatu i ludu krakowskiego“ głosił uciechę Sarmaty, iż pod skrzydła habsburskie dostał się nareszcie „nieszczęśny zawdy włościanin“ polski, równocześnie zaś od najpierwszych obywateli kraju i patryotów tutejszych, branych na lep łaski dworskiej Franciszka I i łudzeń głównego ministra, niegdy posła i organizatora partyi austriackiej w Warszawie, doskonałego znawcy łatwowierności polskiej, sprzedawczyka Thuguta, wychodziły plany i pisma publiczne treści tak niedorzecznej, jak pośrednictwo polskie celem zawarcia pokoju między Austryą a Francją oraz wydanie następnie przez Austryę, łącznie ze Szwecją i Turcją, wojny Rosyi celem odbudowania Polski przy koronie lub sekundogeniturze austriackiej. Statyści emigracyjni weneccy, pod podobną inspiracją braterską galicyjską a tędy mimowoli pod wiedeńską, obrawszy sobie za punkt zborny dom indygeny polskiego, męża rozwiedzionej Sanguszkowej, admirała rosyjskiego, odprawionego właśnie przez Katarzynę i wysługującego się Austrii, osiadłego w Wenecyi osławionego ks. Nassaua, utworzyli tutaj własny Komitet polski ponad głową niemającej ich zaufania Agencji paryskiej Barssa. Poruszeni zaś niebawem wieściami o rokowaniach podziałowych na Wschodzie a pokojowych na Zachodzie, w początku 1795 r., w imię „pojęć czysto demokratycznych“, z któremi atoli ukrywać się muszą ze względu na jedyny pozostały im ratunek w „protekcji królów północy“, zwrócili się do Francyi przez posła jej przy republice weneckiej Lallementa; przy jego poparciu oraz gorącego Cacaulta, agenta francuskiego we Florencyi, zapowiadającego już nowe powstanie, nowe „Nieszpory sycylijskie“ w Polsce, wyprawili w lutym t. r. do Paryża Prozora dla podjęcia tam wielkiej akcji politycznej, a między innemi także dla umocnienia doniesłego, parokrotnie już podnoszonego tam przez oficerów polskich projektu utworzenia legii polskiej w służbie francuskiej z wziętych do niewoli „około 4.000 Galicyan..., co pociągnęłoby za sobą dezercję wszystkich Polaków z wojsk nieprzyjacielskich“, zarówno austriackich jak i pruskich.

Prozorowi, przybywającemu do Paryża z autorytetem i funduszami, poszedł zaraz na rękę „adjunkt Agencji polskiej“ tutejszej, młody Laroche, szczerzy choć półkrwi Polak, gorliwy, rzutki lecz lekkoduch, i z pominięciem swego szefa, idącego w podejrzenie i poniewierkę Barssa, złożył natychmiast Komitetowi ocalenia publicznego urzędową „notę“, gdzie zawiadamiał o powstaniu komitetu polskiego w Wenecyi, o tworzeniu się drugiego w Altonie, żądał dla obu poparcia dyplomatycznego francuskiego w Wenecyi i Kopenhadze, żądał również „organizacyi wojskowej wielu tysięcy deztererów polskich, znajdujących się we Francyi“. Komitet ocalenia publicznego pogardliwie zakwestyonował samą nazwę „noty“ jako niewłaściwą, skoro żaden rząd polski nie istnieje; odmówił polecenia do republiki weneckiej, której rzeczy polskie nie obchodzą wcale, godził się zaledwo na „poufne“ polecenie do rządu duńskiego; w ważnej zaś sprawie organizacyi legionowej orzekł lekceważąco, iż Polacy „nader hyperbolicznie“ prawią o tysiącach gotowych legionistów polskich, iż zresztą dla względów zasadniczych „Komitet ocalenia publicznego, odłożywszy (*ayant ajourné*) sprawę polską w rokowaniach swych z Prusami, ani może ani chce w okolicznościach terażniejszych powziąć żadnej ostatecznej w tej mierze uchwały; organizacya zaś wojskowa deztererów polskich we Francyi byłaby niewątpliwie krokiem bardzo w tym względzie stanowczym“. Tymczasem coraz więcej wychodźców, bądź drogą na Wenecyę, bądź wprost z kraju lecz przeważnie górującej chwilowo barwy komitetowej weneckiej, napływało wiosną t. r. do Paryża; przybył tu główny odtąd krętaćz Dmochowski, ograniczony raptus Giedroyć, podejrzany Dąbrowski Ksawery, a najwięcej prostaków gotowych do wszelkiej dla kraju ofiary, błakających się poomacku w ciemnościach klęski narodowej i obczyzny, poddających się ślepo narzuconej sobie komendzie. Komenda wenecka w Paryżu zabrała się też nie na żarty do działań wielkich. Zakupiono pałac zamieszkały ostatnio przez Wandejczyka Lescura, należący do hr. Diesbacha porucznika gwardyi szwajcarskiej królewskiej, od jej wymordowania przed trzema laty pustką stojący, na Faubourg Honoré, dawnej ulicy des Saussaies; założono tu kwaterę główną polską, urządzano przyjęcia wystawne dla zyskiwania życzliwych polityków francuskich; a że nie umiano dojść do ładu z rządem, t. j. Komitetem ocalenia publicznego, więc zwrócono się do opozycyi. Rząd, złożony z ludzi małej przeważnie wartości moralnej, chciwych władzy, albo i zysku, lecz twardych, ambitnych, trzeźwych, pozbywając się zarazem i nędźniejszych kompanów reakcyjnych

i gwałtowniejszych epigonów terorystycznych, wkraczał na drogę środkową, coraz bardziej realistyczną, skierowaną do ubezpieczenia wewnętrznych i zewnętrznych nabytków rewolucyjnych. Miał tutaj za sobą część walną narodu, która nie chciała ani terroru ani restauracyi, miał przede wszystkim chłopą, który wyzbył się pańszczyzny i z dóbr narodowych t. j. skonfiskowanych poduchownych i emigranckich wartości sześciu miliardów nabył większość ogromną, kiedy natomiast masy miejskie, zwłaszcza w Paryżu, gdzie obok fali powrotnej użycia i zbytku straszliwa rozpościerała się nędza, przedstawiały podłoże podatne dla zamachów nieprzejechanego odwetu jakóbińskiego i niezasypiającej konspiracyi monarchicznej. Komitet ocalenia publicznego, prawie niewidzialny w dzień, pracujący w Tuileryach po nocy, nieprzystępny, podejrzliwy, w obu kierunkach miał się na baczności i w obu boczył się na nowych przywódców emigracyjnych polskich.

Oi tymczasem, w połowie radykali, w połowie austrofile, trafili do opozycjonistów paryskich, równie jak oni mieszanym, napoły jawnych jakóbinów, napoły ukrytych rojalistów, a szczególnie do dwulicowych *girouettes*, chorągiewek na dachu, jak sprzedajny Tallien uchodzący teraz za „naczelnika partyi austriackiej“, giętki frazesowicz Garat, fałszywy idealista Garran de Coulon i im podobni. Ten ostatni pospół z Maliszewskim Piotrem, wychowankiem prymasa Poniatowskiego, od lat kilkunastu we Francyi osiadłym, z córką drogmiana Francyi uczonego Ventura żonatym, człekiem gładkim, mocno dwuznacznym, a wtedy radykalnie warcholącym, wydał w te pędy rzecz tendencyjną o „Stanie dawnym i spółczesnym Polski“, gdzie pomstował wraz na grzechy Ustawy majowej i insurekcyi, oskarżał Ignacego Potockiego, żądał ustanowienia Konwencyi narodowej polskiej, powszechnego uwłaszczenia włościan, zlania z nimi szlachty, wyprzedzaży starostw, zaboru większych majątków ziemskich prywatnych, „podziału nadmiernych fortun niektórych wielkich domów“ i t. p. Równocześnie wypuszczono szereg pism rozgłoszonych skierowanych przeciw polityce pruskiej rządu francuskiego. W bezimiennych, pisanych zapewne, a w każdym razie bezpośrednio natchnionych przez Dzieduszyckiego i galicyjskich jego przyjaciół „Uwagach“ o związku spraw polskich, a europejskich oraz odezwie „Syracha“ do Konwencyi francuskiej, wydanych w języku francuskim, niemieckim i polskim, ostro powstawano na styczniowy raport Boissego w Konwencyi, pierwszą publiczną pod adresem pruskim zapowiedź pokojową, gorąco natomiast zalecano pacyfikację francusko-austriacką, wypowiadano się ener-

gicznie przeciw Prusom i Rosyi, ofiarowano fikcyę odbudowania przeciw nim Polski przez pogodzoną z Francją Austryę. Na wieść o dokonany już pokoju bazylejskim spowodowano biednego Barssa, majoryzowanego przez wpływowszych, a krewkich rodaków, do złożenia Komitetowi ocalenia publicznego zaraz w kwietniu 1795 r. ostrego memoriału, wywodzącego z gorzkim wyrzutem, iż „powstanie Polski przyspieszyło pokój Republiki z królem pruskim, zmuszając go do opuszczenia brzegów Renu; wynikiem tego powstania była ruina Polski; miało ono na celu odzyskanie niepodległości, lecz było przedsięwzięte jedynie w nadziei otrzymania pomocy od Republiki francuskiej. Pomimo neutralności, do jakiej zmuszeni byli względem Austrii, — znaczące wyparcie się tendencyi austrofiłskich — Polacy nigdy żadnej od niej nie odebrali pomocy... Po wszystkich swych ofiarach naród polski widzi siebie zapomnianym w traktacie (bazylejskim), którego przyspieszenie sam spowodował“. Komitet w odpowiedzi na tę słuszną lecz próżną skargę uchwalił nie wdawać się w żadne dla Polaków posługi, dać im jedynie „dobre słowa“, by nie wtrącać ich „w rozpacz“, gdyż mogą jeszcze przydać się w interesach austriackich, tureckich, szwedzkich; w końcu maja, pośredku wynikłego między Prusami a Austryą i Rosyą gwałtownego zatargu podziałowego, zdobył się zaledwo na wyprawienie Parandiera do Altony, z połową pierwotnego skąpego zasiłku, zostawiając drugą połowę na korespondencyę tajną polską. Komitet sam w tym właśnie czasie był w położeniu trudnem; napierany przez groźne rozruchy rewolucyjne wiosenne germinała i prairiała, za któremi stała i czekała swej kolei konspiracya rojalistyczna, ledwo z nich obronną wydobył się ręką, a podejmował zarazem ważne, zawile i ryzykowne dzieło zamknięcia ery przewrotów przez nową ustawę dyrektoryalną, roztrząsaną w ciągu najbliższych miesięcy letnich w Konwencyi i czynioną też niezwłocznie przedmiotem ataku wszystkich, radykalnych czy monarchicznych, żywiołów opozycyjnych, zmierzających tędy do obalenia rządu. Tymczasem Barss, który jeden tylko, jako uznany formalnie agent polski, miał przystęp urzędowy do Komitetu, złożył mu w końcu lipca ponowny memoriał, gdzie zawiadamiał o dokonany w łonie emigracyi zjednoczeniu jej składników weneckich, a paryskich i zapadłej uchwale wysłania przedstawicieli do Stambułu, dokąd mianowicie przeznaczono Ogińskiego, jakoteż do Sztokholmu i Kopenhagi, dla których dopraszał się spóldziałania tamiecznych posłów francuskich. Nazajutrz, w pierwszą rocznicę przewrotu thermidorowego, gorące toasty na cześć „ge-

nerała Kościuszki i wszystkich podobnie dźwigających kajdany za sprawę wolności“ wznoszono w domu Talliena na bankiecie urządzonym przez tajną opozycję przeciwrządową, z którą coraz głębiej wdawały się niespokojniejsze głowy wychodźcze polskie. Komitet ocalenia publicznego, wnet pozbywszy się ze swego składu Talliena, a wzmocniony ponownem wejściem Sieyèsa, Merlina, Reubella, w odpowiedzi swej Barssowi z początku sierpnia, nadzwyczaj ogólnikowej i ostrożnej, wyraził gotowość odbierania „informacji“ od wysłańców polskich, lecz bez udzielenia żądanych szczególnych instrukcyi polecających posłom francuskim.

W końcu sierpnia, w sam dzień przyjęcia nowej ustawy dyrektoryalnej przez Konwencyę, pod kierunkiem niektórych sprytnych prowodyrów, a przy mniej świadomym udziale zacniejszych żywiołów wychodźczych zdobyto się na walny czyn organizacyjny: zgromadzono się w hotelu Diesbach w liczbie dwudziestu przeszło osób, w czem kilku było owych przedsiębiorczych reżyserów, kilku wodzonych przez nich patryotów czystych lecz niedalekowi-dzących, a paru też zdrajców wierutnych, i wobec braku „centrum władzy narodowej“ wysadzono z pośród siebie pięcioosobową Deputacyę polską, złożoną z Mniewskiego, Prozora, Giedroycia, Taszyckiego i głównego reżysera Dmochowskiego, z zupełnem oczywiście wyłączeniem niemitego Barssa, mającą pracować nad „powrotem egzystencji narodu naszego przez szczególne pośrednictwa rządu rzeczypospolitej francuskiej“, a tym sposobem, wraz z objęciem władzy naczelnej nad sprawą publiczną krajową, zagarnąć bezpośredni, nieprzystępny dotychczas dla jej członków, piaśtowany przez obalaną Agencyę, stosunek z rządem francuskim. Sam akt związania Deputacyi stał na jaskrawym fałszu: powoływał się na rzekomo przyrzeczoną w ostatniej odpowiedzi Komitetu ocalenia publicznego „protekcję“ posłów francuskich dla wysłańców polskich, o czem tam nie było ani słowa; ogłaszał, iż „rzeczpospolita francuska daje nam jawne dowody, ile ją obchodzi los Polski, okazuje się czułą na przekładania nasze, braterskiem przyjęciem osładza nasze cierpienia i w pociechach, których nam udziela, wskazuje pokrzepiającą nadzieję odzyskania ojczyzny“. Fałsz tak oczywisty miał natychmiast najbardziej rażącej doczekać się odprawy, kiedy po niewielu godzinach, nazajutrz po uroczystym akcie powyższym, Komitet ocalenia publicznego, świeżo właśnie powiadomiony znienacka o odkryciu kart austro-rosyjskich, t. j. podziałowym sojuszu dwucesarskim, spowodowany tem bezpośrednio do liczenia się z Rosyą jako ścisłą aliantką austryacką, pragnąc też tedy pośrednio wywrzeć nacisk

na Prusy, uznał za właściwe w nowym raporcie o położeniu ogólnem Republiki, złożonem Konwencji przez sprawozdawcę Boissego, uderzyć w bajeczny wprost hymn pochwalony na cześć Katarzyny II. „Ona to — tak imieniem Komitetu rewolucyjnego, z trybuny Konwencji rewolucyjnej, głosił w obliczu Europy wymowny Boissy w chwili wykonywanego przez imperatorową doszczętnego podziału Polski, — prawie urzeczywistniła u siebie pojęcie przedstawicielstwa narodowego,... wzięła z Montesquieugo wszystkie jego zasady prawodawstwa swego, rozrządziła majątkiem swego kleru i stłumiła jego przesady, powołała do siebie Diderota i chciała wychowanie syna swego powierzyć Alembertowi,... usiłowała znieść poddaństwo włościan swoich, w czem przeszkadzili jej jedynie magnaci jej imperyum. Katarzyna z podobnemi zasadami nie może żywić nienawiści istotnej dla dziełnego narodu (francuskiego), który przelewał krew celem urzeczywistnienia nauk filozofii, wyznawanej przez nią samą. Rewolucya nasza nie może sprawiać jej żadnego niepokoju..., my jesteśmy na jednym krańcu Europy, ona na drugim; nie masz pomiędzy nami żadnego zgola przedmiotu do powikłań i sporów wzajemnych: a przeto powinniśmy być przyjaciółmi“.

Komitet ocalenia publicznego, z taką skwapliwością przyjacielską, takim niskim ukłonem wyciągając nieproszony rękę Katarzynie II likwidującej ostatecznie swoje dzieło rozbiorowe polskie, sam równocześnie był zajęty ostateczną na swój sposób likwidacją rewolucyi francuskiej. Właśnie dobiegało kresu w Konwencji uchwalenie całokształtu nowej karty konstytucyjnej, stanowiącej, wraz z wydanemi w jej rozwinięciu dekretemi wyborczemi, rząd w Dyrektoryacie pięciogłowym, tym samym naprawdę, tylko zgęszczonem Komitecie, oraz przedstawicielstwo w Radach Pięciuset i Starszych, tej samej naprawdę Konwencji, bo z niej odnawianych w dwóch trzecich. Ustawa jawnie była obliczona na utrzymanie władzy i nadal w garści dzierżących ją dotychczas ludzi; tem samem zaś dla opozycji, pragnącej wydrzeć im nareszcie tę władzę, nadeszła godzina stanowcza, gdy przez plebiscyt wrzesniowy, niewątpliwie sfalszowany pod naciskiem rządu, ustawa miała zyskać zatwierdzenie nieodwołalne. Zakotłowało się też w Paryżu; dojrzewał nowy zamach zbrojny przeciw rządowi; tym razem, po nieudanych rozruchach wiosennych jakobińskich, gotował się z kolei wielki rozruch „moderantystów“, pchanych ubocznie przez utajonych rojalistów z natchnienia i na rzecz urzędowego teraz pretendenta, Ludwika XVIII. Tę chwilę krytyczną, gdy wśród powikłań i intryg najciemniejszych ważyły się

losy Francyi, uznali za stosowną mężowie stanu Deputacyi polskiej do wyjścia ze swej strony w pole, do zaatakowania na własną rękę zagrożonego rządu na terenie sprawy polskiej. Sprosiwszy w tym celu na suty bankiet do hotelu Diesbach „niektórych pasibrzuchów“ konwencyonistów, odgrywającego w tem przesileniu rolę nadzwyczaj dwuznaczną Talliena, malkontentów pokątnych w rodzaju Garrana de Coulon i Berliera, zapewniwszy sobie ich poparcie a korzystając z chwilowego prezydium tego ostatniego w Konwencji, ułożyli pod koniec września niespodziany na nią najazd, zgoda niepraktykowanym dotychczas sposobem spiskowym, w ścisłym przed Komitetem ocalenia publicznego sekrecie a pod znakiem zapowiadających się już w mieście zaburzeń. Stał w rzeczy samej u krtek Konwencji Dmochowski, „otoczony licznym orszakiem, jak nazywał, patryotów“, z petycją ostrą, oskarżycielską, pełną wyrzutów słusznych zapewne, nieskończenie prawdziwszych niż kreślony dopiero co tem samem piórem fałsz pochlebczy w akcie Deputacyi, ale bezsilnych, bezcelowych, które w tej postaci zaczepnej i w tej chwili groźnej, zamiast rząd zachwiać, tylko go mogły rozjuszyć. Polacy—głosiła petycja—„chwycili za broń jedynie w nadziei poparcia od Francuzów, oświadczających się uroczyście przyjaciółmi ludów wolnych...; jeśli upadli, gdyż byli pozostawieni siłom własnym... to jednak ich wysiłki były pożyteczne dla Francyi, stanowiąc dywersyę, która powstrzymała mocarstwa koalicyjne i ułatwiła postępy wojsk francuskich. Gdy Polakom wszystko zabrał despotyzm, majątki, ojczyznę, rząd, prawo, nic im nie pozostaje oprócz serca. Spodziewają się oni, że Republika francuska, idąc zarówno za głosem interesu swego jak wspaniałomyślności, użyje potężnego pośrednictwa swego i licznych sprzymierzeńców swoich celem przywrócenia Polsce niepodległości“. Niespodziane pojawienie się petentów polskich jaknajgorszego od Konwencji doznało przyjęcia; ledwo odezwał się Dmochowski, „powszechny powstał krzyk, aby milczał i od krtek odszedł“. Natychmiast imieniem rządu w głosie gwałtownym, skierowanym tyleż przeciw petentom co przeciw prezydentowi Berlierowi i innym tajnym ich poplecznikom w zgromadzeniu, oświadczył Merlin, iż „petycja takiej treści nie powinna była zostać dopuszczoną przed kratki bez zakomunikowania jej wprzód Komitetowi ocalenia publicznego“ i zażądał kategorycznie prostego przejścia nad nią do porządku dziennego, co hucznym przyjęto oklaskiem. Tallien, zobowiązawszy się uprzednio do poparcia petentów, lecz wystraszony srogą postawą rządu i Konwencji, skurczył się odrazu; „nie

żądać,—tyle tylko wyjąkał z trybuny—aby przedmiot polityczny petycyi był poddany rozprawom“, ale mozeby sam prezydent wypowiedział „choć s^łowo pociechy dla tych ludzi,... których żony, dzieci, krewni, przyjaciele są w kajdanach,... nie przesądzajmy w niczem losu Polski, nie zajmujmy się zgoła treścią polityczną petycyi, lecz przynajmniej powitajmy po bratersku tych nieszczęśliwych Polaków“. Twardo jednak nawet przeciw tym tanim czułościom znowuż inieniem Komitetu oświadczył Cambacérès, iż niewolno Konwencyi „przez fałszywą energię lub obłądną litość (*pitié fallacieuse*) narażać losów Republiki“ francuskiej, i wśród „żywych oklasków“ ponowił żądanie przejścia do porządku dziennego; gdy Garran dopraszał się głosu przeciw temu wnioskowi, przerwały mu „gwałtowne pomruki“ a gdy się napierał, wręcz go głosu pozbawiono; uchwalono też niezwłocznie przejście do porządku dziennego; „nastąpiła nieprzyjemna rejterada Polaków“ ze zgromadzenia; niedorzeczny atak Deputacyi na rząd, jak było z góry do przewidzenia, haniebną zakończył się porażką. Nie upłynęło dwóch tygodni a nastąpił atak nieskończenie poważniejszy, wiszący w powietrzu zbrojny wybuch reakcyjny vendémiaira, którego udanie się oznaczałoby nietylko obalenie rządu i nowej ustawy, lecz, co więcej, przyspieszoną o dwudziestolecie restaurację monarchiczną. Niebezpieczeństwo było wielkie, przewaga liczebna ogromna po stronie powstańczej, prowadzącej na Tuilerye wielotysięczne zastępy sekcyjne pozyskanych gwardyi narodowych: aż nagle w końcu, wystrzałami działowemi zmiatając powstańców, walkę uliczną na rzecz rządu przechylił, jeśli nie rozstrzygnął osobiście, młody, nieznany, przydany naczelnikowi siły zbrojnej rządowej Barrasowi, „oficerek korsykański“. Zakończyły na tem zwycięstwie październikowem czynność swoją Komitet i Konwencya, przeistoczone na nowe Rady i wyłoniony z nich nowy rząd, zasiadający od listopada 1795 r. w pałacu Luksemburskim Dyrektoryat Wykonawczy.

VI.

Najbliższym tych wypadków wynikiem było zachwianie zupełnie skompromitowanej sromotnie Deputacyi. Wzmocniło się natomiast znakomicie stanowisko zrzuconego przez nią rozważnego Barssa i to zarówno wobec rządów francuskich jakoteż własnych rodaków, z których wielu celniejszych z Wybickim i Prozurem

na czele już od listopada otwarcie po jego stanęło stronie, co pociągnęło za sobą scysyę w łonie wszystkiego wychodźstwa polskiego a stąd niebawem w kraju samym. Deputacya, tracąc grunt w Paryżu, usiłowała odzyskać go w kraju przez opanowanie tamecznych, pozostałych po upadku powstania lub wykluwających się nanowo luźnych organizacyi patryotycznych tajnych. Z jej to niewątpliwie natchnienia spisany został w styczniu 1796 r. w Krakowie, nazajutrz po wyjściu stąd Prusaków, tajny akt t. zw. konfederacyi, mieszczący „mieniem narodu polskiego“ gorące na czele oświadczenie „pełnego zaufania do lojalności i... wspaniałomyślności narodu francuskiego“ a zarazem, co główna, uroczyste uznanie Deputacyi „jako legalnie ustanowionej“ władzy, na co natychmiast w lutym Barss i jego zwolennicy odpowiedzieli formalnem „skasowaniem“ Deputacyi i ogłoszeniem jej „za żadną i nieważną“. Ponieważ najwięcej wagi przypisywano misyi stambulskiej Ogińskiego, licząc wedle starych tradycyi barskich na istotne popchnięcie Porty przez Francję do wojny — i to przeciw Rosyi, jak dziwnym sposobem z pominięciem Austrii najchętniej prawili politycy deputacyjni, — przeto z obu stron tę zwłaszcza misyę starano się opanować. Zakazywała tedy Deputacya Ogińskiemu wdawać się z Agencyą, dodawała mu ostrogi, oświecała go, iż „dyplomacya polska w Paryżu była dotąd niczem; dopiero wybrana Deputacya dała się słyszeć rządowi i została od niego słuchaną... już miewamy konferencye z ministrami, widzimy, że Francya nam szczerze chce pomagać; zapewnił nas minister, że Turek wyda wojnę Moskwie... przyrzekł rząd francuski negocjować dla nas u Porty... o sumę 50 milionów liwrów“; wyprawieni też zostali od rzekomej konfederacyi krakowskiej zasłużony w insurekcyi generał Rymkiewicz wspólnie z Jabłonowskim do Stambułu; a równocześnie Barss i secesyoniści posyłali tam od siebie Dembowskiego na dozorcę Ogińskiemu, któremu przepisywali całkiem odmienne skazówki ostrzegawcze i miarkujące. Ze strony Deputacyi i kół z nią sprzężonych wciąż parta na gwałt do jakiegokolwiek akcji domowej lub przynajmniej jej pozorów; wcześniej nawiązano stosunki z popowstańcem tułactwem wojskowem gromadzącem się tuż pod ścianą domową na Wołoszczyźnie, jako najporęczniejszem do takiej akcji narzędziem, przeznaczanem mianowicie pierwotnie nie przeciw Austrii, lecz na stary sposób barski przeciw Rosyi; silono się naogół krewkością czynu lub choćby pobudki patryotycznej pobić przeciwników paryskich w domu, w kraju, z którym utrzymanie ścisłej, niezakłóconej styczności i czucia było wszak nerwem moralnym a i ma-

teryalnym wychodźstwa. Pomniejsi zwłaszcza i młodszy działacze krajowi, patryoci najlepsi, niepoczytalni politycznie, weszli tędy na drogę czysto konspiracyjną, uczuciową raczej niż rozumowaną, bez żadnego innego określonego celu, jak ogólne powstanie, gdziebądź, kiedybądź, jakkolwiekbądź; kierunek spiskowy na miejscu fikcyi konfederackiej krakowskiej wnet ujęła Centralizacya lwowska, sama za nieuchwytną powstańczą goniąc fikcyą, przenikając do działu pruskiego do Warszawy i rosyjskiego do Wilna i Łucka, zdana wszędzie na łaskę wciskającej się do spisku zdrady i prowokacyi. Cała robota deputacyjno-galicyjska, od początku już bardzo mętna i ślizka, obecnie nadomiar wpadła w najfatalniejsze, niedopuszczające żadnego dorzecznego wyjścia koło błędne, odkąd ujawnienie związku austro-rosyjskiego w sprawie trzeciego rozbioru utraciło do reszty wszelkie nawet najbłahsze widoki austrofilskie. A tymczasem w obliczu tej dopełniającej się ostatecznej klęski rozbiorowej toczyły się dalej w Paryżu rozpaczliwe a rozdwojone usiłowania ratunkowe obu odtamów emigracyjnych u wielkiego ołtarza nowego rządu dyrektoryalnego i jego polityki zagranicznej.

Dyrektoryat, w zakresie spraw wewnętrznych wzięwszy uciążliwe dziedzictwo stłumionych lecz niezazęgnanych najtrudniejszych powikłań, wijąc się między wciąż odradzającą się groźbą radykalną a rojalistyczną, ścierając się z obudwoma prądami w ciałach prawodawczych a zwłaszcza z rosnącym skrycie rojalistycznym w Radzie Pięciuset, głuchą także napotykając opozycyę poprzedników swoich z Komitetu odsadzonych od władzy najwyższej, poróżniony zresztą we własnym swym składzie osobistym tajną skłonnością niektórych swych członków ku restauracyi monarchicznej, trzymając się wśród okoliczności podobnych jedynie przez doraźną z dnia na dzień ekwilibrystykę administracyjną i parlamentarną, żyjąc chwilą dzisiejszą, bez przyszłości, bez zasad, bez szacunku, bez kredytu, właściwie bez stronnictwa, silny słabością przeciwników swoich, znieczuleniem i wyczerpaniem opinii, silny głównie solidarnością większości narodu z ogromnem przewartościowaniem dodatkiem warunków społecznych i gospodarczych dokonaniem przez rewolucyę, sam przecie tej rewolucyi osad ujemny, zmarniały i znikczemniały, w zakresie spraw zewnętrznych tyleż dla racyi stanu co samozachowania trzymał się, trzymać się musiał wytyczonej przez rewolucyę linii wielkich jej zdobyczy ujętych w „granice przyrodzone“, których ubezpieczenie stało się postulatem nakaźnym woli narodowej.

Ale takie ubezpieczenie przez pokój upragniony, będący potrzebą narodową, daleko jeszcze było w polu, wymagało wielkich jeszcze wysiłków wojennych i zabiegów dyplomatycznych, obciążających obecnie pentarchię dyrektoryalną. Składający ją teraz władcy, dalecy od stanowienia zestrojonego zespołu, wyobrażali głęboką rozbieżność kierunków i charakterów: z jednej strony Carnot, „organizator zwycięstwa“, powołany kierownik spraw wojskowych, zasłużony, niespracowany, lecz niewolny od ducha intrygi a ciągnący ku tajnym robotom restauracyjnym, oraz idący ślepo za nim Letourneur, nicość zupełna; pośrodku ciasny i zmienny w zdaniu „teofilantrop“, czysty, zgryźliwy i śmieszny Lareveillère; z drugiej strony dwaj ludzie energiczni i bezwzględni, istotny naczelnik rządu eksarystokrata Barras, cynik plugawy, sprzedajny, zręczny i śmiały, oraz trzymający z nim przeważnie, choć bynajmniej niezawsze, pełen dłań wzgardy, uczciwszy nierównie, tęgi pracownik, brutalny i przenikliwy eksjuriysta Reubell. Ten mianowicie ostatni dzierżył głównie w ręku politykę zagraniczną; prostem jeno narzędziem, jak dawniej przy Komitecie, pozostał przy Dyrektoryacie wydział spraw zagranicznych w przywróconej teraz postaci ministerjum, którego kierownik, niemięski, nieudolny Delacroix, acz referować się musiał z reguły Reubellowi, przecie potajemnie, pomimo przeciwnych pozorów, od Carnota i jego kierunku czerpał natchnienie. Położenie zewnętrzne Republiki w chwili objęcia rządów dyrektoryalnych było zarówno niepomyślne pod względem militarnym jak i politycznym. Offensywa francuska, rozpoczęta fortunnie wczesną jesienią 1795 r. przejściem Renu przez armie Jourdana i spiskującego potajemnie z rojalistami Pichegru, wnet spotkała się z przeciwną austriacką Clerfayta, zaczęło poszło raptowne wyparcie Francuzów z powrotem za Ren. Jednocześnie, po doszłych w początku i wiosną t. r. traktatach anglo-rosyjskim i anglo-austriackim, przez potrójne deklaracje petersburskie jesienią t. r. dokonano się w zasadzie przystąpienie sprzymierzonej z Austrią Rosyi do wspólnej z Anglią koalicji przeciwfrancuskiej. Zarazem w miarę zagodzenia sporów podziałowych polskich chlódły Prusy dla świeżej pacyfikacji bazylejskiej i zwlekały z uświęceniem wyraźnem zapowiedzianego w niej dopiero warunkowo uznania cesyi reńskiej.

Śród takich okoliczności Dyrektoryat przedsięwziął nawiązać tajne rokowania pokojowe z Austrią, głównie mając na widoku skompromitowanie jej wtedy wobec Rosyi oraz nastraszenie i nawrócenie Prus. Znaczące przytem istniały zresztą odcienie tajne w intencjach samychże członów rządu dyrektoryalnego: kiedy dla Bar-

rasa i Reubella chodziło tu jeszcze głównie o prosty manewr względem Austrii, przy zachowaniu dotychczasowego ciężenia rewolucyjnego ku Prusom, przeciwnie Carnot, porywany przez silne w Radach żywioły „umiarkowane“ i skryte za niemi rojalistyczne, ożywione z natury rzeczy przedrewolucyjną tendencją austriacką i antypruską, oraz pokrewny nastrojem minister Delacroix radziby byli sterować tedy ku istotnemu porozumieniu się pokojowemu z Austrią. Wyprawiony pod koniec 1795 r. z taką misją do Wiednia pospolity awanturnik, używany już podobnież od zeszłego Komitetu między innemi także w sprawach polskich, niejaki Poterat, miał kusić Austrię zamianą Niderlandów na Bawaryę a zaprzedanego ongi Francyi Thuguta łaskotać groźbą odkrycia dawnej jego zdrady i nowem przekupstwem; co się zaś tyczy Polski, miał właśnie uzasadniać belgijskie i nadreńskie zdobycze francuskie jako słuszne odszkodowanie za nabytki podziałowe polskie; miał pozatem „unikać rozstrząsań nad złupieniem nieszczęśliwej Polski, gdyż interes Republiki wymaga przede wszystkim ubezpieczenia własnej nowej granicy“ francuskiej: miał conajwyżej, wraz z obietnicą uznania przez Francję działu austriackiego w Galicyi, zachęcać Austrię do odebrania imperatorowej całego działu rosyjskiego: gra aż nazbyt przejrzysta, z którą też dwuznaczny wysłannik oczywiście zaraz odpalony został w Wiedniu w styczniu 1796 r. Z kolei po tej próbie, a w tej samej myśli ulżenia sobie i wbicia klina między Wiedniem a Petersburgiem, grę uboczną podjęto na Wschodzie, nawiązując do akcyi tamecznej posłów Komitetu, Descorcha i jego następcy Verminaca, i niezwłocznie w lutym wyprawiono do Stambułu wielką ambasadę wojskową generała Aubert Dubayeta z przydanym mu generałem Carra Saint-Cyrem dla popchnięcia Porty do wojny z Rosyą i wywołania tym sposobem dywersyi tureckiej na obraz i podobieństwo polskiej, albowiem podobnież jak wojna Rosyi z Polską majową i kościuszkowską odciągnęła od Renu Prusy i ułatwiła pokój bazylejski, tak wojna Rosyi z Portą ottomańską odciągnąć musiała Austrię i skłonić do pacyfikacyi na Zachodzie; nic to zaś nie szkodziło, że ta wojna, której wybuch myślano przyspieszyć przez użycie tułających się po Wołoszczyźnie partyzantów polskich, byłaby wedle wszelkiego prawdopodobieństwa zwycięską dla Rosyi, gdyż główny cel dywersyjny tem snadniej wtedy zostałby dopięty. Równocześnie przez urzędujących od końca 1795 r. posłów francuskiego w Berlinie Caillarda, przy asyście przeniesionego tu z Altony Parandiera, oraz pruskiego w Paryżu Sandoz-Rollina prowadzone były bez powodzenia dal-

sze rokowania z Prusami, zajętemi rozgraniczeniem i odbiorem swego łupu polskiego i wyczekującemi wyniku dalszej rozprawy orężnej francusko-austriackiej.

Ta wzięta tymczasem obrót nadspodzianie dla Francyi pomyślny: kampania wiosenna włoska 1796 r. przyniosła porażki niesłychane zadane staremu wodzowi austriackiemu Beaulieumu przez nieznanego młodego generała, wczorajszego przy Barrasie uczestnika walk ulicznych paryskich; kampania letnia nadreńska przyniosła znaczne przewagi odniesione przez armie Sambry pod Jourdanem i Renu pod Moreau nad arcyksięciem Karolem. Natychmiast zniknęły Prusy; odwołczone z niemi rokowania odrazu uwieńczone zostały przez konwencye sierpniowe berlińskie względem stwierdzenia przez Prusy cesyi lewego brzegu Renu a przez Francję neutralności Niemiec północnych, stanowiące odtąd przez dziesięciolecie podwalinę stosunków przyjaznych francusko-pruskich. Lecz niebawem znów odwróciła się karta. Arcyksiążę Karol nagłym zwrotem ofensywnym świetny wziął odwet, rozbijając zaskoczzonego Jourdana, ledwo nie niweczając Moreau, tak iż z początkiem jesieni Francuzi znów w nader trudnem położeniu znaleźli się nad Renem, zagrożeni będąc zarazem i we Włoszech podobnym odwetem austriackim. Jednocześnie zdawało się zbliżać czynne do koalicyi wdanie się potężne Rosyi. Katarzyna, dotychczas dopiero ogólnikowo, na papierze pozyskana dla sprzymierzeńców, nareszcie obowiązywała się wyraźnie Austrii i Anglii wystawić na przyszłą wiosnę korpus posiłkowy rosyjski 60 tysięczny pod Suworowem, zapowiadającym już wkroczenie swoje śród łuku dział do Paryża,—jakkolwiek zresztą w rzeczywistości umyśliła najpewniej, wyzyskawszy w ten sposób subsydia angielskie i uspiwszy podejrzliwość austriacką, w ostatniej godzinie sprowokować wojnę turecką i posiłki swoje zamiast do Paryża obrócić na Stambuł. Owóż tutaj całkowicie szedł na rękę imperatorowej rosyjskiej Dyrektoryat paryski i jego przybyli tymczasem nad Bosfor przedstawiciele, Dubayet podżegający sułtana Selima III, lub choćby buntowniczego paszę Paswana-Ogłu do corychlejszego uderzenia na Moskwę oraz Carra podążający niebawem wprost na Wołoszczyznę dla dozorowania tam ruchawki polskiej przeznaczonej do wtargnięcia na Podole rosyjskie, obadwaj, życzliwi osobiście Porcie i Polsce, gotując naprawdę klęskę straszliwą państwu ottomańskiemu i rzeź partyzantów polskich z ręki Suworowa, byle tylko zyskać raz jeszcze potrzebną Francyi nową „dywersyę“. Na szczęście w tym mianowicie czasie, w listopadzie 1796 r., zaszedł wypadek, który zahamował wszystkie te roboty, spowodował odmia-

nę powszechnej konstelacyi europejskiej, kierunku polityki rosyjskiej a zarazem i doczesnych rachub dyrektoryalnych: nagły zgon Katarzyny II.

VII.

Deputacya polska w Paryżu, ostatniem niefortunnem swem wystąpieniem publicznem naraziwszy się na głęboką „animadwersyę“ byłego Komitetu, uważana poniekąd nie bez zasady za rodzaj ekspozytury przeciwrządowej zarazem i austriackiej, trudny z kolei przystęp miała do Dyrektoryatu a zwłaszcza do rządzących w nim ludzi, Barrasa i Reubella. Starła się natomiast, dziwnie po dawnemu lawirując między opozycją francuską radykalną a reakcyjną, z których ta ostatnia zwłaszcza podczas porażek wojennych Republiki podnosiła głowę w Radach, trafić do Carnota i bliskich mu ludzi, do generała Clarka naczelnika wydziału historyczno-topograficznego przy Dyrektoryacie, do ministra Delacroix, nawet do nieuniknionego eksjakóbina Mehégo, agenta rosyjskiego a zapewne też austriackiego i rojalistycznego, ostatnio sekretarza Talliena i dzięki niemu mianowanego teraz na czas jakiś naczelnikiem wydziału drugiego spraw zagranicznych, gdzie mieściły się właśnie sprawy Polski, Turcyi, Prus i Rosyi. Starła się jednocześnie oddziaływać na opinię publiczną francuską przez pisma ulotne ciętego pióra Dmochowskiego, który zręcznie w nich przewijał się między prawdą a fałszem, bronił wraz i wypierał się „jakobiństwa“, chwalił i wraz ganił robotę Sejmu Wielkiego, a godził głównie w sprzymierzone z tym Sejmem wiarołomne Prusy, fałszywie wyrachowując, jakoby one w podziałach polskich trzy razy więcej wzięły od Austriaków. Brała za dobrą monetę śliskie zwroty rządowe ku Austrii w rodzaju dwuznacznej misyi wiedeńskiej Poterata, szczególnie zaś budowała zamki na lodzie na obosiecznej misyi stambulskiej Dubayeta, zagrzewała partyzantów na Wołoszczyźnie, obiecywała sama do nich się wybrać, dawała im tymczasem kierownika w osobie awanturniczego Ksawerego Dąbrowskiego, który wszakże prowadził tam grę swoją osobistą, jakgdyby z ramienia jakiego magnata zaboru rosyjskiego, wypaczając ostrze partyzanckie, kierowane przezeń nietyle przeciw Rosyi ile przeciw Austrii, zgoda wbrew intencjom magnatów zaboru austriackiego. Wchodziła z tymi ostatnimi, pierwotnymi protektorami swymi, w zatargi nierozwikłane, traciła ich

zaufanie w Paryżu, Wenecyi, Stambule i Galicyi, traciła całą powagę, którą napróżno przez nowe, popierane od związków tajnych krajowych usiłowała odświeżyć „autoryzacye“, traciła wszelką buśolę od czasu oświadczenia się Austrii przy Rosyi i trzecim podziale. Zachowała jedynie uporną chęć utrzymania się przy sterze i pobicia spółzawodników, nienawistnego Barssa i towarzyszków, na których też za pośrednictwem uczynnego Mehégo, oddawna zawodowego oskarżyciela tych „agentów pruskich“, nie przestawała w mnogich swych, niedorzecznych lub wręcz nikiemnych, podawanych do ministerjum pomstować odezwach.

Przeciwnie Agencya usiłowała dotrzeć wprost do górujących w pałacu Luksemburskim czynników rządowych, przyczem dostrajała się skwapliwie do głównej wciąż bądźco bądź, mimo wszelkich odchyłeń przelotnych, linii wytycznej pruskiej w polityce dyrekto-ryalnej. Poparł tu Barssa energicznie Wybicki Józef, dużego miru w kraju a zwłaszcza w rodzinnych stronach wielkopolskich, wypróbowanej od przeszło ćwierci wieku zasługi obywatelskiej, jedyny ongi na sejmie repninowskim odważnie protestujący się poseł, wnet potem tajny od Baru do Berlina wysłannik w osobliwszej misyi zyskania poparcia Fryderyka Wielkiego łącznie z Francją dla konfederatów a bodaj i ofiarowania korony polskiej ks. Henrykowi, dzielny znowuż niedawno w insurekcyi członek Rządu Narodowego, patriota z krwi i kości, światły, ukształcony, łatwy do pióra i nawet do wiersza, pomimo pięćdziesiątki bardzo jeszcze żywy, zacności kojącej i godzącej, serdeczny, kochany człowiek, trochę próżny, skłonny do złudzeń i dosyć ograniczony. Wszedłszy teraz przez znajomych Francuzów poważnych w styczność osobistą z rządem, z samymi dyrektorami, używany do perlustracyi rosyjskiej, zachęcany do wynurzania swych na sprawę polską poglądów w przełożeniach poufnych i pismach publicznych, trzymając mocno z Barssem przeciw Deputacyi, pociągając Prozora, Wielhorskiego i innych celniejszych wychodźców, a poza świeżem wspomnieniem przymierza polsko-pruskiego chętnie nawracając do młodzieńczych swych ongi w Berlinie starań barskich, z tem większym ferworem skłonny on był upatrywać w związku Francyi z Prusami jedyną obecnie kotwicę widoków odnowicielskich polskich. Te złudzenia, karmione w ciągu 1795 r. przez pokój bazylejski, zaręczyny pruskie Radziwiłła, groźbę wojenną o trzeci podział, podsycane były od końca t. r. przez optymistyczne doniesienia berlińskie Caillarda, który w dwa tygodnie po przybyciu stwierdzał powszechne jakoby nad Sprewą przeświadczenie o konieczności odrodzenia Polski przez Prusy, co w dalszych jego i Parandiera raportach

w najdłobitniejszych powracało zwrotach a co też powodowało z kolei gorące raz po razie w tym sensie wnioski i memorjały Barssa i Wybickiego pod adresem Dyrektoryatu. Latem 1796 r., po ślubie radziwiłłowskiem w Berlinie i nadspodziewanych zwycięstwach francuskich, wystąpił Wybicki z pismem publicznem, gdzie głosem więzionego Kościuszki przemawiając do Francyi, wzywał ją do złączenia się z Prusami dla przywrócenia Polski, a uderzał obok Rosyi głównie na Austryę, żądał wydarcia jej zaboru galicyjskiego i wykazywał z naciskiem, o ile więcej od Prus ona zyskała na Galicyi, skąd „wyciągnęła 40 milionów złp. i conajmniej 100.000 rekrutów“ na wojnę z Republiką francuską,—wbrew wywodom poprzednim Dmochowskiego, od którego też natychmiast ostrą odebrał odprawę w zaciekleń piśmie polemicznem, pełnem gwałtownych wycieczek przeciw Prusom i ich „agentom magnackim“. Tymczasem nowe przewagi bronii francuskiej i zacieśnienie związków z Prusami świeżego dodawało pokarmu złudzeniom: w sam dzień podpisania konwencyi sierpniowych rozwoził się szeroko Caillard w raporcie z Berlina do Dyrektoryatu o planie odbudowania Polski przez Prusy, z pozostawieniem im Gdańska i Torunia, o zwołaniu sejmu walnego do Warszawy dla oddania korony polskiej ks. Ludwikowi lub Ludwikowi-Ferdynandowi i wskrzeszenia Rzpltej z Ustawą majową pod sekundogeniturą pruską; jednocześnie Sandoz w Paryżu wzywał do siebie Wybickiego i zachęcał do dalszych w duchu jego broszury prac nad prusko-francuskim „planem generalnym względem Polski“. Ochłodziła niebawem te zapęły wieść o porażkach jesiennych francuskich; co główna, ponętne te projekty od początku nie miały żadnego gruntu w dążeniach rzeczywistych ani Prus ani Francyi. Dla Prus, jak się rzekło, pod wrażeniem trzeciościłowej niespodzianki austro-rosyjskiej, pod batem Katarzyny, w oczekiwaniu jej śmierci i rządów przyjacielskich jej syna, cała owa gadanina wskrzesicielska polska to był upust chwilowy złęgo humoru, była conajwyżej zabawa platoniezna dworskiego otoczenia Fryderyka-Wilhelma II, krzyżowana w samym zarodku przez rządzący gabinet królewski. Dla Francyi zaś była to w teoryi postaremu wygoda dyplomatyczna, dobry fortel do kompromitowania Prus wobec Rosyi, dobry straszak na Austryę, ale w praktyce rzecz nietylko niewykonalna, lecz wprost niepożądana, przeciwna bazylejskim względem Prus porękom, przeciwna przedewszystkiem ubezpieczeniu w przyszłej pacyfikacji powszechniej własnych zdobyczy francuskich nad Renem jako słusznego odszkodowania za zdobycze podziałowe nad Wisłą. To też w istocie pod koniec

sierpnia 1796 r., w myśl sprytnie przez Delacroix wyłożonych wywodów, uznanem zostało przez Dyrektoryat, iż należy „wyłączyć narazie Polskę z naszego systematu politycznego“, niewdawać się w awantury prusko-polskie, które pchnęłyby Francję w nowe walki gdzieś na dalekim i niebezpiecznym terenie rosyjskim, postawiłyby ją w zawisłość od dobrej wiary Prusaków i oddaliłyby pokój z Austryą, iż przeto „nie wypada nam podejmować u Prus kroków w interesie polskim“, pozostawiając zresztą samym Polakom dalsze ułudne w Berlinie dobijanie się na własną rękę a na wysługach dyplomacyi francuskiej.

Pośród rozmaitych, rozstrzelonych a rwących się wszędzie jak pajęczyna zachodów i pomysłów emigracyi paryskiej, jedna przecie była rzecz istotnego znaczenia: legionowa. Stała ona bowiem na dwóch założeniach istotnych: na silnej liczebnie obecności w składzie wojsk austriackich, będących w polu przeciw Francyi, stale ściąganego rekruta polsko-rusińskiego ze Starej Galicyi i świeżo wcielonego żołnierza ze szczątków armii kościuszkowskiej; oraz na pogotowiu patryotycznem ogromnej większości ciała oficerskiego tej armii, bądź przebywającego poza krajem, bądź w kraju poza służbą, bądź nawet w służbie rozbiorców. Zużytkowanie tych czynników pod postacią legionów polsko-francuskich w doraźnym interesie wojennym Francyi ofiarowane jej było, jak zaznaczono, nasamprzaw jeszcze w przededniu powstania, z uwzględnieniem wtedy Polaków dezterterów i jeńców pruskich obok austriackich, przez garstkę oficerów wychodźczych redukowanej przez Targowicę armii sejmowej. Był wśród nich Józef Wielhorski, z dużym polorem francuskim, uczeń szkół w Caen i Paryżu, wychowanek filozofa Mablego, rotmistrz pułku lekkokonnego królewskiego, wówczas, wbrew rodzinie, zaślepienemu starą ideologią barską ojcu, oddanemu Targowicy i Rosyi bratu, idący na wygnanie z towarzyszami broni; powróciwszy wkrótce na pierwsze hasło insurekcyi, dosłużywszy się w niej generał-majorstwa, wyprawiony był przez Kościuszkę jesienią 1794 r. do Paryża dla podniesienia tam z pewnemi odmianami po raz wtóry tejże myśli legionowej, „w celu uzbrojenia Polaków między jeńcami wojennymi znajdujących się we Francyi, co jednak nie nastąpiło dla niedostatku pieniężnych sposobów“, głównie zaś dla wstrętów ze strony ówczesnego Komitetu ocalenia publicznego, umywającego ręce od przegranej sprawy powstańczej. Po raz trzeci w początku 1795 r. wystąpili z tem wychodźcy grupy wenecko-paryskiej przy udziale generałów Wyszowskiego, Łażnińskiego, Kołyski; prosili o oficerów i mundur polski, pozatem „zo-

stawiali całkowicie uznaniu i woli rządu francuskiego organizacyę tych legii“, które właściwie, wciąż z dziwnem pominięciem Austryi, przeznaczali raczej przeciw nieobecnej w koalicyi Rosyi; lecz znowuż od Komitetu odprawieni byli z niczem. Latem t. r. z jednakowym skutkiem ujemnym po raz czwarty przedstawił rządowi Wielhorski łącznie z Wyszkowskiem projekt utworzenia korpusu polskiego z dezterterów austryackich, ściąganych przez proklamacye na forpocztach, z obietnicą płacenia za broń i konie dostawione przez zbiegów; korpus ten, ze strojem i żołdem na sposób polski, przez wyższych oficerów Polaków umieszczonych „prowizorycznie“ przy armiach francuskich miał być organizowany poza linią bojową jako rodzaj formacyi zrazu nieczynnej, nie biorącej udziału w toczących się z Austryą walkach a przeznaczonej podobnież, w myśl poprzedniego projektu, przedewszystkiem do jakowegoś nieokreślonego użycia przeciw Rosyi. W następstwie po kilkakroć wracała do tej sprawy Deputacya w przedstawieniach swych do Dyrektoryatu, zawsze przecie dorywczo, niedość seryo, w pokrewnym sposobie ogólnikowym i mętным zarówno ze względu na zasady organizacyjne jakoteż samo przeznaczenie ofiarowanej formacyi legionowej, którą życzyła sobie obrócić głównie przeciw Rosyanom, najprędzej bodaj gdzieś na Wołoszczyźnie. Ze swej strony i Agencya, wchodząc w zatarg z Deputacyą, podnosiła ważny ten przedmiot u Dyrektoryatu, z równie małym narazie powodzeniem, choć w aktualniejszym o tyle sensie, iż myślała o bezpośrednim zużytkowaniu legii przeciw Austryakom. Wybiecki, w tajnej będąc komunikacyi z najbliższym sobie a najwydatniejszym generałem polskim pozostałym w kraju, podał tymczasem Dyrektoryatowi od siebie projekt legionowy wspólnie z Barssem oraz polecany do dowództwa Wielhorskim, lecz żadnej nie odebrał rezolucyi. Przybył śród tego do Paryża wydobyty z twierdzy austryackiej, starszy wiekiem i rangą od Wielhorskiego, generał-lejtnant Józef Zajączek; burzliwej, pełnej przepraw i odmian przeszłości: za młodu konfederat barski pod Pułaskim i Vioménillem, przy Turczynie, przeciw Suworowowi i Branickiemu; potem huzar królewski francuski Jego Arcychrześcijańskiej Mości; potem generaładjutant i kreatura hetmana Branickiego, razem z nim ochotnik pod Suworowem na Turka przy szturmie Oczakowa; potem generał armii sejmowej przeciw Targowicy, Branickiemu i Rosyanom, ostatnio generał kościuszkowski, czerwieniec powstańczy radykalnej barwy kołłątajowskiej i niefortunny obrońca Warszawy przeciw Suworowowi; tegi rezbacz, żaden wódz, gorący na swój sposób Polak, krwi własnej

nieszczędny, niekarna głowa, nieokiełznany temperament zawadycki sejmikowego, z mieszanych instyktów barskich a hetmańskich przenikniony zacieklą, dozgonną do familii Poniatowskich nienawiścią; a całym swym zakrojem po staroszlachecku warcholskim, z wierzchu *quasi*-jakobińskim, zbliżony obecnie do żywiołów skrajniejszych Deputacyi paryskiej i przez nią forytowany. Zresztą, doskonały w ogniu na czele oddziału zwłaszcza jazdy, lecz małej wiedzy militarnej, ciasnych pojęć obywatelskich, prostak szorstki, gwałtowny, nierówny, w wojsku niepopularny, niewiecej on od światowca Wielhorskiego, sumiennego, pełnego honoru oficera, doskonałego zwłaszcza w administracyi wojennej, lecz tak samo niezdatnego do większej, rozgrzewającej żołnierza akcyi narodowej, nadawał się na twórcę i naczelnika legionów. Jednakowoż z bitnym generałem a dawnym za Baru towarzyszem, w dodatku byłym oficerem francuskim, z Francuzką żonatym, liczył się również Wybicki; zaraz po jego pożybyciu, w ścisłem z nim porozumieniu ponowił uprzednie swe wnioski legionowe u rządu, podając tym razem do dowództwa Zajęczka; lecz znowuż z kategorięzną spotkał się odmową.

W tem wszystkiem była zła wola, chwiejność i wykrętność Dyrektoryatu, cofającego się ciągle z zasady, jak wcześniej Komitet, przed cieniem czynu dla sprawy polskiej, cóż dopiero przed żywotnem przedsięwzięciem legionowem. Było nieumiejętne, nierzeczowe albo nawet wręcz wadliwe, opaczne tego przedsięwzięcia postawienie przez emigracyę. Był atoli nadomiar, co bardzo ważna, pewien dotkliwy brak czysto faktyczny, zmuszający dotychczas w tej sprawie do liczenia się głównie z czynnikiem tak niepewnym a tak poczeiwości żołnierskiej Polaka, przyrodzonej, w krew wessanej, aż hen kędyś po Gravelottach czy Mukdenach niezawodzącej, z gruntu przeciwnym, jak prosta a bodaj płatna dezercya: był mianowicie brak jeńca w masie, bo wciąż jeszcze brak wielkich i znakomych zwycięstw francuskich nad koalicją. Trzeba było dopiero wielkiego, piorunującego koalicyi, Austrii pogromcy, któryby niewolonego w szeregach austryackich żołnierza polskiego, zamiast wątpliwą zbiegowską ciągać namową, już stamtąd istotnie wydobyl siłą zwycięskiego oręża, miał go już do swego rozrządzenia tłumnym wyzwolonym jeńcem, mógł i chciał istotnie swojskim powrócić go znakom. A wreszcie trzeba też było rzetelnego swojskiego wodza, wysokiej miary narodowej i wojskowej, wysokiego serca i głowy, który byłby zdolny rzecz całą naprawdę dźwignąć, wcielić i poprowadzić. Wolą przychylnego było przeznaczenia, iż w tym

samym czasie, gdy taki mocarny zwycięzca światowy na lombardzkich powstawał pobojuwiskach, przybywał tu z równin mazurskich taki powołany wódz polski w osobie Jana Henryka Dąbrowskiego.

VIII.

Ze starego, niezamożnego, spracowanego w służbach wojskowych Rzpltej domu szlacheckiego, pod koniec za Sasów dość zniemczonego, wraz z żołnierską polską po mieczu tradycją wzięwszy po kądzieli krew niemiecką, po pierwszym dzieciństwie w rodzinnej stronie krakowskiej spędzonym całe następnie ćwierćwiecze zdala od klęsk krajowych w Saksonii strawiwszy, tam z wczesnem zamiłowaniem gruntownie wojennego nauczywszy się rzemiosła i w służbie elektorskiej pod sojuszniczą pruską ks. Henryka komendą odprowadziwszy wojnę sukcesyjną bawarską przeciw Austryakom, odzyskany wreszcie przez Sejm ustawodawczy dla kraju, z rotmistrzostwa gwardyjskiego saskiego ściągnięty wicebrygadyerem do armii sejmowej, spóźniony już wszakże po nieszczęsnej wygranej Targowicy, pogubiony zrazu w jej odnęcie, wtem zaskoczony, stropiony pierwszym hasłem insurekcyjnym, porwany dopiero powstaniem Warszawy, Dąbrowski odtąd duszą całą sprawie narodowej się oddał, wnet właściwą sobie tęgością umiejętną w przednim rzędzie bojowym stanął, z ręk Kościuszki generał-porucznikostwo szybko i dobrze zasłużone otrzymał, nadewszystko wyprawą śmiałą do Wielkopolski, wzięciem Bydgoszczy, zagrożeniem aż Gdańska, zbiciem i spłoszeniem Prusaków się wślawił, z upadku rewolucyi wywyższony w opinii wojska i narodu a tem samem przysposobiony najlepiej do czekającej go roli naczelnej wojskowo-narodowej wyszedł. Nie brakło przecie wczesnych a zapamiętałych nadal wrogów domowych, od których już za powstania winiony był za uległość królowi, Targowicy, Rosyi, ledwo wtedy ocalony zacnem Wybickiego wstawienictwem, pełnomocnego towarzysza i świadka wyprawy wielkopolskiej, od których następnie i w kraju i na tułactwie długo piętnowany będzie jako żołdak, zdrajca, mieszaniec, Sas i Niemiec raczej niż szczerzy rodak. Niezawodnie dużo wyniósł z kultury niemieckiej, lecz najszcześliwiej naogół wyszło to na dobre polskiemu jego posłannictwu. Wziął stamtąd biegłość zawodową, wyszkolenie praktyczne w różnych rodzajach broni, wiedzę militarną obszerną

z pism i wzorów starego Montecuculego, Maurycego Saskiego i fryderycykańskich czerpaną; stamtąd i wyższą podniętą moralną, od umiłowanego zwłaszcza szlachetnego natchnienia Schillera, który bodaj nasampierw z odrętwienia saskiego go zbudził, który w wydanem z tłoczni saskich właśnie czasu zagajenia Sejmu Wielkiego przepięknem „Oswobodzeniu Niderlandów“ ukazał mu, jak „w walce o najświętsze prawa ludzkie stanowczość rozpaczy nierównemi siłami bierze górę nad ogromną przemocą tyranii“, a w wydanej właśnie czasu przepraw majowych i targowickich „Wojnie trzydziestoletniej“, książce potem na piersi wodza legionów chowanej i przeznaczonej kiedyś od nieprzyjacielskiej uchronić go kuli, ukazał mu żelazne postacie wielkich wodzów, Gustawa Adolfa, Bernarda Weimarskiego, uderzających pospołu z Francją na cesarską potęgę rakuską. Niewolny zapewne również i od pewnych płynących stąd przywar i braków, zanadto pierwotnie cudzoziemskim przeciążony wpływem, zadługo od swoich wyosobniony, z trudem w słowie i piśmie skażoną z początku, zawsze nieskładną posługując się polszczyzną, nieraz ze szczególniejszą podstępnością żołnierską przeciw swojskim działając spółzawodnikom, niekiedy nazbyt wyłączną, bliższą zaprzeszłowiecznych wojaków szwedzko-niemieckich niż Czarnieckich i Sobieskich, żołnierską powodując się ambicyą, zawsze jednak od podsuwanego mu przez potwarców kondotyerstwa został odgradzony nieprzebytą ścianą granitową najczystszej, z głębin ducha wyrastającej miłości ojczyzny. Dzięki zespoleniu zdrowych, dzielnych pierwiastków polskich a zaszczerpionych colepszyczych nabytków niemieckich, zjednoczyć się w nim mogły cechy tak dobozem rzadkim szacowne, jak rodzimy polot czynu i poryw czucia narodowego, jak zarazem porządne i solidne myślenie, ściśle i metodyczne wykonanie, statek, skupienie, rozważa, *mens aequa in arduis*, i uczynić go, jeśli nie najgórnijszym ani najświetnijszym, to najtwardszym, najwytrzymalszym, najsprawniejszym w ciężkiej chwili obecnej sługą narodu. Był Dąbrowski obecnie w sile wieku, czterdziestoletni, słusznego wzrostu, do otyłości skłonny; zwinny zresztą, wyćwiczony, wybornie wedle reguł acz bez impetu władający koniem i szablą; w postawie, mowie, stroju zazwyczaj zaniedbany; od rasowego, lechickiego typu szlacheckiego daleko odbiegający; głowa duża, ciężka, ołysiała, twarz tłusta, fałdzista, policzki obwisłe, nos gruby, szczeka tępa, usta szerokie; ale w silnem, wysokiem czole, w pięknem, głębokiem oku, w wyrazie i spojrzeniu, światło serdecznej dobroci, niepospolitego rozumu, niezłomnego postanowienia.

Po upadku insurekcyi Dąbrowski, klęską publiczną w osobistym ugodzony bycie, bez przyszłości zawodowej, zajęcia, środków, a żonaty, dietny, troską o los rodziny obarczony, pozostał w zdobytej przez Rosyan Warszawie. Jednak imię jego dobrze już było znane nawet w świecie wojskowym zagranicą, zwłaszcza odkąd rozgłośny wyrok sądu wojennego w Berlinie wiosną 1795 r., skazujący na pozbawienie rang i twierdzą starego generała fryderycyańskiego Schwerina, niefortunnego jego przeciwnika podczas odwrotu z Wielkopolski, tem dobitniej własną jego pojaśnił zasługę. W ostatniej jeszcze godzinie dogorywającego powstania, choć najdotkliwiej dał się we znaki Prusakom, był on od nich natarczywie do swojej zapraszany służby; uchyliwszy się od tej pokusy, z nową zaraz spotkał się w Warszawie, gdzie zmuszony rewersować się, „iż nigdy przeciw Rosyi i jej aliantom wojować nie będzie“, doświadczył „najżyczliwszego przyjęcia“ i „wielkich łask“ od Suworowa, kaptującego wtedy opinię stołeczną, był od niego werbowany do służby imperatorowej, lecz podobnież stanowczo się uchylił. Tak przebiedował rok z górą w Warszawie, wzrok skrycie utkwiony wciąż mając we Francję. Dawniej już, w początku 1793 r., pod grozą drugiego podziału, był powziął tajemnie myśl arcyśmiałą: chciał ze swoją dywizją w połączeniu z załogą warszawską przedrzeć się przez Prusaków, opanować Gdańsk i tam czekać „pomocy Francyi, o której opowiadano nadzwyczajne rzeczy“. Potem, na schyłku 1794 r., już po Maciejowicach, z nierównie śmielszym nosił się planem, wobec warunków ówczesnych a nienajmniej późnej pory jesiennej zapewne niewykonalnym, lecz bądźco bądź nadzwyczajnym, Gustawów Adolfów i Torstensonów godnym, zaś po swojemu przez niego lotnie wraz i dojrzałe ujętym, z mapami w rękę, z obliczeniem etapów skroś ziemię habsburskie z wojsk ogołocone, z uwzględnieniem również i tego, „co rozpacz, odwaga i stała wykonać zdoła determinacya“: chciał mianowicie, uprzedziwszy potajemnie Konwencyę francuską, z resztkami armii polskiej w 20.000 jeszcze ludzi, ze znaczną artyleryą i kasą wojskową, „między Krakowem a Częstochową przesunąć się do Szląska, stamtąd na Morawę, Czechy, Bawaryę, Szwabię prosto aż do Landau albo na Szwajcaryę ku Renowi“ dla złączenia się z Francuzami. Po niedojszciu tych zamierzeń, mieszczących już właściwie w postaci najjędrniejszej myśl legionową pod skrzydłem francuskim, zapatrując się teraz z bliska na ułudy podejrzane, sposoby chytre, gospodarkę arbitralną Suworowa w Warszawie, na całą położenia krajowego beznadziejność, a zdaleka zarazem broni francuskiej nadśluchując powodzeń,

Dąbrowski przedsięwziął nawiązać stosunki bezpośrednie ze zgromadzonymi w Paryżu rodakami. Miał tam wprowadzić zawziętych wśród wychodźstwa wrogów oczerniających go już z góry przed opinią francuską; ale miał też wierne oparcie w Wybickim, który na wyjeździe do Francji w początku 1795 r. pisał do niego z Galicyi z pocziwem ostrzeżeniem przed przyjęciem służby obcej, pruskiej czy rosyjskiej, następnie zaś, po założeniu nad Sekwaną niemiłej Deputacyi, przybyciu niemiłego Zajączka a w czasie próżnego tam agitowania sprawy legionowej, we wrześniu t. r. jaknajpoufniej zachęcił go z Paryża, przez wyprawionego do Warszawy majora Forestiera, do poruszenia stąd ważnej tej sprawy wprost od siebie za pośrednictwem rozpoczynającego urzędowanie w Berlinie posła francuskiego, życzliwego Caillarda. Zaraz też przez tegoż Forestiera w ścisłej tajemnicy posłał Dąbrowski Caillardowi ułożoną wedle wskazówek przyjaciół paryskich więzłą „notę“, gdzie zalecał bądź zwołanie limitowanego Sejmu Wielkiego pod opieką Francji i utworzenie „pod powagą tego Sejmu i auspicjami Republiki francuskiej“ korpusów polskich z dezertów rosyjskich i austriackich, bądź też ostatecznie proste urządzenie legionów polskich w służbie francuskiej z zapewnieniem im na wypadek najgorszy obywatelstwa francuskiego; wyrażał przytem gotowość udania się osobiście do Paryża celem urzeczywistnienia podobnej organizacyi; lecz wobec nieprzychylnego w zasadzie stanowiska Dyrektoryatu nie oczywiście nie wskórał. Tymczasem po ustąpieniu Rosyan z Warszawy, pierwszego zaraz dnia objęcia miasta przez Prusaków, w styczniu 1796 r., ze strony komenderującego generała pruskiego Favrata znowuż zaczął kuszących uprzejmości doświadczać Dąbrowski; mimo to jednak zwrócił się on teraz powtórnie za pośrednictwem siedzącego w Berlinie przyjaznego Parandiera do Dyrektoryatu z prośbą o umieszczenie w armii francuskiej. Pozostawał zresztą w pewnej styczności ze związkami tajnymi tworzącymi się w Warszawie a nawet w Galicyi. W początku lutego dotarł do niego wysłany z Paryża Eliasza Tremo, dzielny oficer insurekcyjny, z pochodzenia Francuz, sercem całem Polak, najwierniejszy odtąd jego pomocnik, z nowem przedstawieniem poufnem od Wybickiego o dokonanych z Deputacją rozłamie, o podejmowanych z obu stron wysiłkach paryskich, o potrzebie jego czynnego wdania się i obecności, a także z otrzymaniami po drodze od Parandiera zachęcającymi wieściami berlińskimi.

Niezwłocznie, w połowie lutego 1796 r., Dąbrowski opuścił Warszawę. Udał się do Berlina i przełożył osobiście Caillardo-

wi posłaną mu uprzednio „notę“. Co więcej, mając przez Antoniego Radziwiłła przystęp do dworu, nietyle w porozumieniu z ministrami kierującymi Haugwitzem, Finckensteinem, Alvenslebenem, ile z przeciwnem im otoczeniem królewskiem popieranem przez ks. Henryka, Ferdynanda i młodych książąt, z kamarylą dworsko-wojskową Bischoffwerdera, Moellendorfa, Massenbacha, złożył „gabinetowi berlińskiemu“ niezmiernie ciekawy „projekt“ odbudowania Polski. Wedle rozwijanych tu myśli, będących poniekąd głuchym odgłosem ale i dosadną korektywą błahych i mętnych robót spiskowych galicyjskich i świeżych pomysłów „konfederackich“ krakowskich, miałyby nowa „rewolucya polska“ wybuchnąć w dzielnicy austriackiej równocześnie we Lwowie, Jarosławiu, Lublinie, Sandomierzu i Krakowie; uprzedzając wojska rosyjskie „mające już rozkazy“ wkroczenia do opróżnionej z załóg austriackich Galicyi dla stłumienia powstania, weszliby tam znienacka Prusacy i zajęliby województwa krakowskie, lubelskie, bełskie aż do Karpat; natychmiast Fryderyk Wilhelm II ogłosiłby bądź siebie bądź którego z książąt swego domu królem konstytucyjnym polskim przy Ustawie majowej, wraz ze zwołaniem do Poznania Sejmu Wielkiego, przy którym „poseł Republiki francuskiej (Caillard), jako przedstawiciel narodu posiadającego największo zaufanie Polaków, objąłby zarząd spraw politycznych“; zarazem z lekkiej jazdy i 30.000 piechoty wybranej z Wielkopolski, „gdzie powstania być nie powinno“, uzbroiłoby Prusy armię polską oddaną pod dowództwo generała francuskiego, wstawionego w ostatniej kampanii; same tymczasem, w silnej postawie obronnej względem Austrii, główne uderzenie zaczepne trzech swych korpusów w 80.000 ludzi skierowałyby przeciw Rosyi, „największej i najistotniejszej nieprzyjaciółce zarówno Polski jak i Prus“. W połowie marca, w sam dzień ślubu Radziwiłła z księżniczką Luizą, Dąbrowski w mundurze generała polskiego przedstawiony był Fryderykowi Wilhelmowi, rozmawiał z nim przez godzinę i myśli powyższe mu wykladał, z łaskawą od niego słuchany uwagą. Ale o urzeczywistnieniu podobnych widoków, jak się rzekło, ze strony rządu pruskiego nie mogło naseryo być mowy. Łaskawość królewska co najwyżej miała na celu skaptowanie samego Dąbrowskiego dla armii pruskiej, zakłopotanej właśnie jaknajpełniejszym wchłonięciem nowonabywanego obfitego materiału żołnierskiego polskiego. Ogi już Wielki elektor był werbował w Rzpltej kompanie „towarzyszów“ na swoich „lejbguardystów polskich“; zaś Fryderyk Wielki w wojnie szląskiej formował polski pułk ułanów, a w sied-

mioletniej, odwołując się w odezwach werbowniczych do „szlachetnego narodu polskiego“ i „starodawnego panów Polaków męstwa“, zapępiał żołnierzem polskim swe szeregi, zwłaszcza pułk t. zw. czarnych huzarów i Bośniaków. Z kolei Fryderyk Wilhelm II, spółzawodnicząc z „gwardyą szlachecką galicyjską“ i tamiecznemi dywizyonami ułańskimi oraz z nowemi formacyami pułkowemi polsko-rosyjskimi, wyodrębniwszy ów słynny pułk „bośniacki“, złożony z lansyerów polskich w świetnym stroju narodowym i użyty świeżo za insurekcyi przeciw własnym rodakom, trzymał go obecnie rozkwaterowany na granicy województw trockiego i podlaskiego jako awangardę przeciw Rosyi; a tworzył zarazem z końcem 1795 r. pułk pruski Tatarów litewskich; zaś od początku 1796 r. z inicjatywy ministra Hoyma i Oberkriegskollegium berlińskiego podejmował na wielką skalę werbunek szlachty zagonowej ze swych nowych posiadłości rozbiorowych do pułków huzarskich pruskich. W tym kierunku, rzecz prosta, nader mógł być przydatnym tak doskonały jak Dąbrowski organizator, ale do takich posług on zniżyć się nie chciał. Tymczasem został najniespodzianiej srodze skompromitowany przez tajne „asocjacje“ patryotyczne warszawskie, które, wywiedziawszy się o jego poufnych działaniach berlińskich, zaczęły zasypywać go niedorzecznemi epistolami spiskowemi, chwytanemi oczywiście przez policję pruską; skutkiem arcydziwnej tej nieroztropności, gdzie wiadomo czy szukać prostej głupoty sprawców, czy machiawelizmu agentów Deputacyi, krzyżujących starania Wybickiego i Dąbrowskiego, czy sprytnej sztuki ministerjum pruskiego, krzyżującego zakulisową robotę dworską, nastąpiło wiosną t. r. aresztowanie patryotów w Warszawie i Berlinie, rozgłoszenie widoków prusko-polskich i wyparcie się ich przez Berlin przed Petersburgiem i Wiedniem.

W tych warunkach Dąbrowski, wycofawszy się do Saksonii, napastowany gwałtownie przez przebywających tam stronników Deputacyi, ponowił przed Caillardem swój projekt legionów polskich pod opieką francuską chociażby narazie przy rządzie holenderskim, ponowił również prośbę o wstęp osobisty do armii francuskiej, lecz odebrał od Dyrektoryatu odpowiedź odmowną, gdyż jako cudzoziemiec nie może być dopuszczony do służby, chyba „jako ochotnik i bez rangi“. Odpalony przez Francję, kuszony przez Rosyę i Prusy, a zbiedzony, stroskany o siebie i rodzinę, generał na okrutną wystawiony był próbę. Wtem jednak zaczęły go dochodzić wieści coraz głośniejsze o potężnej offensywie czerwcowej Jourdana i Moreau nad Renem, o postępach bajecznych nowej gwiazdy

wojennej wschodzącej we Włoszech. Zapalił się Dąbrowski, postanowił całego siebie rzucić na kartę, ruszyć do Francuzów, na prostego chociażby ochotnika, „nie dla służby ani stopnia, ani pieniędzy, lecz jedynie by walczyć za Rzeczpospolitą, uczyć się, widzieć i tym sposobem lepiej się przysposobić do służenia własnej ojczyźnie i ludzkości“. Uzyskawszy od Caillarda polecenie gorące do generała Jourdana, od Parandiera do ministra Delacroix, a od starego Czartoryskiego wypożyczwszy doręczone w największym sekrecie przez poczcziwego księdza Kościółkowskiego sto dukatów zasiłku na drogę, pod koniec sierpnia wyjechał z Lipska w towarzystwie nieletniego syna i wiernego Tremona wprost ku armii francuskiej. W połowie września stanął w Düsseldorfie, z trudem przedostając się przez linię bojową, a trafiając nieszczęśliwie na odwrót zepchniętej właśnie przez arcyksięcia Karola armii Sambry; pod Giessenem wpadł w ręce uzbrojonego przeciw cofającym się Francuzom chłopstwa i zaledwo uratował życie wyborną swą niemieczyzną; z Bonn zwrócił się listownie do Jourdana z doniesieniem o swem przybyciu, powołaniem się na Caillarda i prośbą o rozkazy; przez przysłanego natychmiast adjutanta wodza francuskiego przeprowadzony został wreszcie na Kolonię do kwatery głównej w Dülth. Tutaj spotkał się po raz pierwszy z Francją najlepszą, najtęższą, prawdziwą, z żołnierzem francuskim krwawiącym za własną ojczyznę i zdolnym uszanować tułającego się za swoją Polaka. Po bratersku był powitany przez Jourdana i otaczającą go świetną generalicyę, Championneta, Lefebvra, Bernadotta, zwłaszcza zaś najznakomitszego generała armii Sambry, dowódcę lewego jej skrzydła, ognistego Klébera, Alzateczyka, z którym łatwiej niż z tamtymi, przy ciężkiem jeszcze swoim wystówieniu się francuskim, mógł rozmówić się swobodnie po niemiecku, a starego swego znajomego z wojny bawarskiej, kiedy sam był służył pod Prusakami a Kléber pod Austryakiem. Jednak Dąbrowski, stropiony zresztą zapewne widokiem ich porażki, nie mógł bez zezwolenia rządu być przy sztabie przez nich umieszczonym; co zaś główna, odebrał od nich żywą zachętę do przepelniającej mu już głowę myśli legionowej, niewykonalnej oczywiście bez wyrobienia na nią zgody Dyrektoryatu. Tak więc po kilku dniach serdecznego braterstwa obozowego, zaopatrzonego w gorące, szczególnie od Klébera do Clarka, do ministra wojny Petieta, do członka Rady Starszych Rousségo, polecenia pisemne, ruszył dalej do Paryża, gdzie stanął ostatniego września 1796 r.

IX.

Położenie, jakie tutaj zastał, nadzwyczaj było trudne i powikłane. Po zeszłorocznem pozbyciu się Prus, zaczęło poszło uspokojenie książąt domu saskiego i innych, pozbycie się a nawet pozyskanie Szwecyi i wreszcie Hiszpanii, obok zduszenia niebezpiecznej, zasilanej środkami angielskimi szuaneryi w Wandei, mogła Francya w roku obecnym ześrodkować swoje siły przeciw Austrii a pomyśleć także o zwrocie zaczepnym przeciw Anglii. W istocie podjęto działania energiczne na obu głównych terenach wojny austriackiej we Włoszech i nad Renem, a równocześnie zajęto się całkiem poważnie myślą wyprawy zbrojnej do Irlandyi. Albowiem, rzecz godna uwagi, rząd paryski, obojętny na krzywdy polskie, tem czulszym okazywał się na irlandzkie; sam sprowadzał, zachęcał, wspomagał czynnie patryotów i spiskowców tamecznych; wdawał się bardzo daleko z emigracją irlandzką w Paryżu, pod tytuł względy polskiej pokrewną a zgoła inaczej, nierównie więcej naseryo tu traktowaną, z nieszczęśliwymi jej przywódcami, ze szlachetnym lordem Edwardem Fitzgeraldem, z wezwanyim potajemnie przez Dyrektoryat aż z Ameryki Wolfem Tonem, którzy w końcu mieli paść ofiarą zdrady i prowokacyi, zginąć od kuli, stryczka lub ręki samobójczej, a dla których tymczasem gotowano flotę i wojsko francuskie pod wsławnym pogromcą wandejskim generałem Hochem do wylądowania na Zielonej Wyspie. Jednakowoż ponad sprawami angielskimi wciąż jeszcze bezwzględnie górowały dużo bliższe austriackie; te zaś właśnie w danej chwili, jesienią 1796 r., w nader niepomysłnej nagle znalazły się konjunkturze wobec gwałtownego na niekorzyść Francuzów odwrócenia się fortuny wojennej nad Renem, co natychmiast odbić się musiało na nieustatkowanym kierownictwie politycznem rządu dyrektoryalnego. Rząd, w sobie rozdwojony między skłaniającymi się coraz jawniej ku stronie wsteczno-rojalistycznej dyrektorami Carnotem i Letourneurem a ciężącymi raczej ku republikańsko-wojskowej Barrasem i Reubellem, ze środkującym chwiejnie Lareveillèrem, ujawniał chwilowo wyraźną przewagę pierwszego odłamu, i to zarówno w dziedzinie stosunków wewnętrznych, jakoteż niemniej w zakresie sterowanej zazwyczaj przez odłam drugi polityki zagranicznej. Dyrektoryat, zwłaszcza w osobie Barrasa i Reubella, bał się pokoju ze względu na wyschnięcie wtedy funduszków ze zdobyczy orężnej suto płynących, na niemożność utrzymania armii ani zajęcia genera-

łów, na wzmożenie widoków restauracyjnych; bał się wojny ze względu na niepomierne jej dla kraju ciężary, na możliwe wystrzelenie dyktatury wojskowej w razie wielkich zwycięstw, na niechybne wybuchnięcie obalającego rząd przewrotu w razie wielkich niepowodzeń. Ten взгляд ostatni w chwili niniejszej przeważnego nabywał znaczenia wobec doraźnych na wewnątrz i na zewnątrz czynników niepokojących. Po zgniecionym wiosną 1796 r. spisku socjalistycznym Babeufa, obecnie w początku września krwawo stłumiony został radykalny zamach powstańczy w obozie Grenelle pod Paryżem, sprowokowany przez policję dla zaostrzenia przeciwnych prądów represyjnych, a to już po nadejściu pierwszych wieści o porażkach nadreńskich. Te wieści fatalne, przysiębiająco oddziaływając na nastrój umysłów w stolicy i Radach, w związku nadto z wiadomością o przyrzeczonych już posiłkach rosyjskich dla Austrii, o raptownem względem Republiki ochłodzeniu Prus a nawet pociąganiu ich przez Anglię z powrotem do koalicji, przyłożyły się znakomicie do wzmocnienia w łonie samego Dyrektoryatu popieranych już dawniej przez Carnota skłonności pokojowych pod adresem Wiednia. Dla ułatwienia nowych, skuteczniejszych niż pokątne dotychczasowe, usiłowań dyplomatycznych w tym najgłówniejszym kierunku pacyfikacji austriackiej, podjęte zostały wedle utartej recepty uboczne rokowania pozorne pod innym całkiem adresem a mianowicie angielskim. Była po temu obecnie pewna pochoptność i w Anglii, gdzie słabość koalicji, odstępstwo Prus, dwuznaczność Rosyi, upadek powstania w Wandei, własne ogromne na wojnę ofiary subsydyowe, ciężkie stąd kłopoty skarbowe, a nienajmniej też głód, drożyzna chleba skutkiem braku dowozu zboża ze „śpiczrza“ wielkobrytańskiego, rozszarpywanej Polski, wywołały silne zniechęcenie wojenne, uwydatnione w ciągłych od roku groźnych manifestacjach ludowych za pokojem, skierowanych wprost przeciw Jerzemu III; niezawodnie też niektórzy mężowie stanu angielscy z głową rządu Pittem na czele, podobnie jak i niektórzy francuscy, życzyliby narazie szczerzej negocjacji pokojowej; jednakowoż i sam wygwizdany przez swój lud król Jerzy, tem zawziętszy na jakóbińskich Francuzów, i nieprzejednany minister spraw zagranicznych Grenville, widzieli w niej ten tylko fortel, iżby przez wszczęcie jej i zwalenie ostatecznego jej zerwania na rząd francuski pokryć się wobec własnego narodu i parlamentu, iżby przez nią zarazem nacisnąć do zbrojnego wdania się do koalicji Rosyę a może i Prusy. Odpowiadała temu najdokładniej równoległa gra Dyrektoryatu, pragnącego przez pozorne układanie się z Anglią na-

cisnąć do pokoju Austryę a gotującego zarazem w największej tajemnicy wyprawę zbrojną do Irlandyi. Śród podobnych warunków nastąpiła teraz we wrześniu 1796 r. jednakowo dwulicowa zgoda obustronna na wyprawienie do Paryża urzędowego negocyatora angielskiego; przeznaczony w tym celu słynny ze sprytu dyplomata, dawny poseł w Petersburgu Harris lord Malmesbury, przybywszy w październiku nad Sekwanę, wysiadywał tu odtąd dla rozgłoszonych a skazanych z góry na bezpłodność układów pokojowych.

Jednocześnie w Dyrektoryacie a właściwie w ministerjum spraw zagranicznych zdobyto się na inny jeszcze, pachnący wprost szantażem i graniczący przytem z grubą śmiesznością, pomysł gry daleko dwuznaczniejszej pod adresem pruskim, do której skorzystać umiano z posługi powolnych narzędzi emigranckich polskich. Ułożono mianowicie również we wrześniu t. r., i to całkiem niezawisłe od poleconej zarazem Caillardowi urzędowej propozycji przymierza i gwarancyi posiadłości pruskich, wyprawienie osobnego nieurzędowego agenta tajnego do Berlina dla zaofiarowania Prusom ani mniej, ani więcej, jak odbudowania Polski i korony polskiej. Obcesowa taka oferta, czyniona w czasie, kiedy wiedziano doskonale, iż o urzeczywistnieniu jej poprostu nie może być wcale mowy, w najniefortunniejszej po temu porze jesiennej 1796 r., po odpaleniu nad Sprewą Dąbrowskiego, podczas daremnych tam starań sprzymierzeńczych Caillarda, w obliczu świeżych nadreńskich porażek francuskich, w chwili polubownego przypieczętowania demarkacyi podziałowej pomiędzy Prusami a spółrozbiorcami rosyjskim i austryackim, czyniona nadomiar nie w najpoufniejszym obrębie życzliwych kół dworskich berlińskich, gdzie był rozwijał swoje pomysły pokrewne Dąbrowski przy dyskretnem poparciu Caillarda i Parandiera, lecz, z rozmyślnem pominięciem tych kół i własnego nawet poselstwa francuskiego w Berlinie, skierowana znienacka, natarczywie i bezpośrednio do najprzeciwniejszych owym pomysłom ministrów gabinetowych pruskich, oczywiście obliczoną była wyłącznie na skompromitowanie Prus, a tem samem, co główna, na zaniepokojenie Austrii i tem snadniejsze przysposobienie jej do pokoju z Francją. Sztuczka nazbyt była niezgrabna, iżby nie miała odrazu zostać odgadniętą i sromotnem zakończyć się fiaskiem. Użyty do niej został aktor szczególniejszy, niejaki Daudibert-Caille, niegdy za Fryderyka Wielkiego konsul pruski w Maroku, później kreatura Dumourieza, podrzędny od paryskiego wydziału spraw zagranicznych włączęga po Hiszpanii i Włoszech, trochę szpieg, trochę rycerz

przemysłu, mizerny, wygłodzony i prostacki; ponieważ zaś nie śmiano z takim skojarzyć awanturnikiem i do podobnej zaprządz awantury roztropniejszych żywiołów wychodźczych polskich, Barssa, Wybickiego, będących w styczności z uczciwym Caillardem i Parandierem, zwrócono się przeto do pustych a chytrych głów Deputacyi. Ci skwapliwie na pierwsze stawili się zawołanie; aczkolwiek z austrofilskiego swego dotychczas stanowiska piętnowali oni potylekroć swych spółzawodników z Agencji za ich robotę polsko-pruską, skoro jednak sami teraz zaproszeni byli przez rząd do takiej roboty, chwycili się jej oburącz, a niewiadomo znowuż, czy przez konkurencyjną tylko głupotę, czy też przez machiawelską rachubę. Dość, że spiknęli się z Daudibertem, którego wyznaczyło od siebie ministeryum ponad głową Caillarda i Parandiera w charakterze doraźnego agenta tajnego do Berlina a zarazem sprowadziło z Deputacją dla pokrycia jego stosunku z rządem przez odrębną z jej ramienia misję pełnomocną; mianowali go w rzeczy samej swoim *ex officio* przedstawicielem i wysłańcem; wzięli go na swój koszt niezawisłe od udzielonego mu zasiłku rządowego; i doręczyli mu, oprócz trochy grosza na drogę, trzy kapitalne uwierzytelniające go akty: arcydziwne pismo polecające w sprawie „przywrócenia Polski“ na ręce zdeklarowanego wroga Polaków i wszelkich projektów polskich, pruskiego ministra spraw zagranicznych Haugwitza; nienniej osobliwe „pełnomocnictwo“ upoważniające „obywatela Daudiberta, osobę nader roztropną“ do „traktowania z ministeryum pruskim“ w tej sprawie pod zapewnioną już z góry aprobatą jego układów przez mocodawców i naród polski; najciekawszą wreszcie „instrukcję“, nadającą „roztropnemu“ wysłańcowi między innemi władzę „skłonienia (*engager*) narodu polskiego do uznania królem polskim księcia domu panującego pruskiego“, przy zachowaniu tak ostro zawsze potępianej przez Deputację Ustawy majowej. Opatrzony w ten sposób Daudibert, wyjechawszy w październiku z Paryża i przybywszy do Berlina w początku listopada w towarzystwie godnego siebie „sekretnarza“, niejakiego Maraboulla, ukrywając cel istotny swego zjawienia się przed tutejszymi przedstawicielami Francyi, obcesowym zgoła sposobem zwrócił się listownie do Haugwitza, posłał mu wszystkie trzy swoje „dokumenty“ i zażądał osobistego widzenia się. Haugwitz, uprzedzony już wtedy o obecności Malmesburego w Paryżu i próbach pokojowych francuskich w Wiedniu, przejrzał odrazu rzecz całą; w porozumieniu z ministrami gabinetowymi Finckensteinem i Alvenslebenem postanowił pozbyć się corychlej narzuconego sobie kompro-

mitującego przybysza; otrzymane od niego papiery przedstawił królowi i prosił o karę przykładową za taką „czelność“. Fryderyk Wilhelm II, mając na sumieniu, iż sam w sekrecie przed własnym ministrem pozwalał podobnemi zabawiać siebie pomysłami, tem mocniej teraz od nich się odzegnał, uznał podejrzanego agenta poprostu za „szaleńca“, którego czempredziej należy „przepełdzić“. Natychmiast też obywatel Daudibert przez dyrektora policyi berlińskiej Eisenberga został wyekspedowany z Berlina i pod opieką policyjną wywieziony za granicę państwa pruskiego. Na dobitkę, aby pokryć się do reszty, ministerium królewskie niezwłocznie powiadomiło o całej aferze miejscowych posłów austriackiego Reussa i rosyjskiego Rümiancewa, oraz przez swoich posłów w Petersburgu Tauentziena i Wiedniu Lucchesiniego posłało „dokumenty“ Daudiberta w dosłownym odpisie obu rządów cesarskim, z tą uwagą, iż „projekt tego gatunku mógł wylegnać się tylko w głowie pomieszanej i zasługuje jedynie na głęboką pogardę“.

Tymczasem pod zasłoną tych prowadzonych z Paryża podstępnych gier dyplomatycznych, angielskiej, pruskiej, innych jeszcze równoległych w rodzaju namienionej poprzednio, snowanej na uboczu tureckiej, dojrzewała najważniejsza, najistotniejsza w położeniu obecnem, zmierzająca do pacyfikacji austriackiej. Rzecz ta, sprzężona obustronnie, we Francyi i Austrii, z szeregiem nader zawiłych zagadnień pochodnych, popierana w Paryżu przez Carnota i stojące za nim czynniki restauracyjne bourbońskie, lub nawet styczne osobiście z intrygantem Clarkiem i wynurzającym się zza kulis arcymistrzem intrygi Talleyrandem orleańskie, prowadzona rozlicznemi podziemnymi kanałami, po niepowodzeniu Poterata, napoczynana nanowo przez kilku z rzędu agentów tajnych oraz za pośrednictwem zainteresowanych w jej dojściu, bo bezpośrednio orężem francuskim przyciśniętych dworów włoskich, tokańskiego, sardyńskiego, neapolitańskiego, spowinowaconych z austriackim, miała również i w Wiedniu skrytych a wpływowych popleczników w tamiecznych żywiołach dworskich, rządowych i arystokratycznych, przeciwnych „baronowi wojny“, zniechęconemu parweniuszowi Thugutowi i jego nieprzejednanej polityce wojennej. Thugut dużym swym sprytem i sprawnością osobistą trzymał się wciąż w zaufaniu cesarza Franciszka, korzystał do czasu z poparcia jego małżonki Maryi Teresy królowny neapolitańskiej oraz jego ulubionego wychowawcy Colloreda; a miał też w ręku sprzedanego sobie tutejszego posła rosyjskiego, Razumowskiego, byłego kochanka świątyni cesarskiej, królo-

wej neapolitańskiej Maryi Karoliny, przez którego trafiając do faworyta Katarzyny Zubowa obdarzonego świeżo tytułem księżym cesarstwa niemieckiego ze skandaliczną w tym wypadku dewizą *meritis crescunt honores*, licząc na dostarczenie nareszcie sukursu zbrojnego rosyjskiego, upierał się z wytrwałością nieugiętą przy dalszem zmaganiu się z Republiką francuską: aliści nie darmo żalił się, „iż bardziej jeszcze, niż wściekłości nieprzyjaciela, obawia się Wiednia“, gdyż tutaj w rzeczy samej podnosiła się przeciw niemu potężna „liga, złożona ze wszystkiego co wielkie i znaczne przy dworze, napastująca cesarza, zmuszająca go do zawarcia pokoju“ a tem samem do obalenia nienawistnego ministra. Należeli do tej „ligi“ odsadzeni przez Thuguta od wpływu najpierwsi dygnitarze państwowi, ministrowie konferencyjni, kanclerze nadworni a zarazem głowy najwyższej magnateryi rodowej, jak Rosenberg-Orsini, Starhemberg, Trauttmansdorf i inni. Należeli z ośmiu braci cesarskich trzej wchodzący już w rachubę arcyksiążęta najstarsi, Ferdynand Toskański zagnany przymusem wojennym do ułożenia się z Francją a prowadzony przez zaufanego ministra swego, niegdy jeszcze doradcę nieboszczyka Leopolda II, wielkiej w domu habsburskim powagi, głębokiego Manfrediniego; arcyksiążę Karol, wódz naczelny armii nadreńskiej; arcyksiążę Józef, palatyn węgierski. Należał także a poniekąd głównym tu był ośrodkiem wuj cesarza, mąż arcyksiężny Maryi Krystyny, stary ks. Albrecht Sasko-Cieszyński, feldmarszałek austriacki i cesarsko-niemiecki, królewicz polski, syn Augusta III, spowinowacony z całym światem; wuj teścia cesarskiego Ferdynanda IV króla neapolitańskiego poczynającego ugiąć się przed Francją; wuj króla sardyńskiego Karola Emanuela IV już zmuszonego ugiąć się przed Francją, a zarazem na tymże dworze turyńskim stryj posesyonowanych we Francyi książąt Sabaudzkich-Carignanów z krwi królewicza polskiego Karola i Franciszki Krasieńskiej, przyszłych dziedziców korony Sardynii i dzisiejszych Włoch zjednoczonych; wuj znowuż wielkiego księcia toskańskiego Ferdynanda I godzącego się z Francją; wuj króla hiszpańskiego Karola IV świeżo nawet sprzymierzonego z Francją; wuj pretendentów Ludwika XVIII i hr. Artois późniejszego Karola X dobijających się przywrócenia tronu Francyi; ojciec przybrany adoptowanego przez siebie arcyksięcia Karola stojącego w polu przeciw Francyi; brat królewiczów polskich Ksawerego, starającego się o wykreślenie go jako księcia rodziny bourbońskiej z listy emigracyjnej we Francyi oraz Klemensa biskupa trewirskiego, wyzuteego ze swego elektorstwa przez Francję; stryj wresz-

cie elektora saskiego, przyszłego księcia warszawskiego Fryderyka Augusta, przystępującego właśnie jesienią 1796 r., po wycofaniu swego kontyngensu z nad Renu, wraz z całym domem saskim do umowy neutralizacyjnej z Francją; pozatem zaś osobiście, na wydatnem swem z małżeństwa i godności stanowisku w Austrii i domu habsburskim, jednocześnie z urodzenia, tradycyi dynastycznej sasko-polskiej, uczestnictwa zamłodu w wojnie siedmioletniej, pobytu ongi na dworze ojcowskim w Warszawie, łączności z konfederacją barską, szwagrostwa z Krasińskimi a nieprzerwanych wciąż w porze obecnej bliskich stosunków z Lubomirskimi, Ossolińskimi, Dzieduszyckimi, Lanckorońskimi, Moszyńskimi i wieloma innymi znacznymi Polakami zamieszkałymi lub bywającymi w Wiedniu, obok wyraźnego nastroju antypruskiego i antyrosyjskiego oraz sympatyj francuskich, przenikniony też pewnem żywszem zajęciem i przychylnością dla spraw i rzeczy polskich. Owóż w tej to dworsko-magnackiej frondzie wiedeńskiej, a szczególnie w przyległym do Burgu pałacu ks. Albrechta na Augustinerbastei, gdzie zbiegały się tajne nici polityczne zewsząd a zwłaszcza z Drezna, jednego z głównych siedlisk wychodźczych polskich, mieścił się mianowicie punkt wyjścia budujących na Austrii i na pogodzeniu jej z Francją starań i widoków panów galicyjskich i polityków Deputacyi paryskiej. I tutaj także był z drugiej strony punkt oparcia rzeczonych zamysłów i rachub pacyfikacyjnych austriackich żywionych przez Carnota i związane z nim czynniki rządowe i stronnice francuskie.

Usiłowania w tym kierunku ze strony rządowej francuskiej, dotychczas bardzo dwuznaczne i dorywcze, obecnie w poważniejsze wkraczały stadyum. Podwalinę ich i rację bytu najpierwszą stanowić musiało oczywiście wynalezienie stosownej nagrody i równoważnika dla Austrii wzamian za cesję na rzecz Francji, lewego brzegu Renu i Niderlandów; w tym zaś celu, obok dawniejszych pomysłów odszkodowania Austrii przez oddanie jej Bawaryi, co pociągałoby za sobą ciężkie powikłania dla polityki francuskiej w Rzeszy oraz w stosunku do Prus, wyłaniały się teraz nowe możliwości i formuły indemnizacyjne, wytworzone dzięki tegorocznym nadspodziewanym przewagom i zdobyczom francuskim we Włoszech. Już latem 1796 r. pod tym to właśnie kątem widzenia zostało w rysach ogólnych rozstrzygnięte przez Dyktoryat narzucające się naraz nowe zgoda a nader doniosłe zagadnienie losu politycznego ziem włoskich, opanowanych i napożór wyzwolonych z pod jarzma Habsburgów i drobnych dynastów miejscowych przez broń zwycięską francuską. Uchwalono mia-

nowicie w radzie dyrektoryalnej, i to głównie pod cichym naciskiem partyi pokojowej, iż te ziemie bynajmniej nie powinny wrócić do zamieszkującego je, ciemieżonego szczepu italskiego w imię jakichś bezinteresownych haseł wolności ludów, nie powinny żadną miarą być obrócone „na ustanowienie jednej lub wielu republik demokratycznych we Włoszech“, lecz mają zostać spożytkowane w praktycznym interesie czysto francuskim przedewszystkiem jako zwyczajny przedmiot zamienny, trzymany chwilowo w garści szacowny zastaw terytoryalny (*gage de paix*), ułatwiający kłopotliwą sprawę pokojowego odszkodowania Austrii. Takie pojmovanie rzeczy włoskich utarło się odtąd na stałe w Paryżu rządowym, z tą tylko różnicą, że kiedy latem 1796 r. przy okolicznościach pomyślniejszych mowa tam była o Włoszech jako zastawie pośrednim, t. j. o usunięciu stąd Austryaków, zaspokojeniu ich za Niderlandy samą Bawaryą a przeniesieniu elektora bawarskiego do Toskanii i Lombardyi, to teraz, jesienią t. r., po niepowodzeniach nadreńskich, mowa już była także o Włoszech jako zastawie bezpośrednim, t. j. o powrocie Austryakom straconych posiadłości tutejszych niezawisłe od odszkodowania w Rzeszy.

Tak czy owak, z samej owej kapitalnej zasady wytycznej prostego wyzyskania zdobyczy włoskiej na rzecz pokoju austriackiego wynikało nieodbitcie, iż w kołach rządowych paryskich a szczególnie wśród stanowczych tego pokoju zwolenników, życzon sobie tymczasem w stosunku do Włoch i Włochów bezwarunkowego unikania wszystkiego, co mogłoby przesądzać z góry przyszłe losy tych krajów i ludów w przeciwieństwie do zamierzanego pod koniec przehandlowania ich indemnizacyjnego. Dla tego też krzywem okiem patrzano na wszelkie tego rodzaju niepożądane, nazbyt krewkie kroki i zarządzenia zwycięskiego woźdza naczelnego armii francuskiej we Włoszech, przykładającego się zanadto do podniecania patryotyzmu włoskiego, do tworzenia rządów tymczasowych, związków konfederackich, kongresów ustawodawczych włoskich, a nawet zapowiadającego już coraz nowe zbrojne formacje legionowe włoskie. Podobna „propaganda“ rewolucyjna i przeciwaustriacka na półwyspie wydawać się musiała ze wszech miar nie na rękę w Paryżu, w chwili, gdy tutaj zabierano się urzędownie i naseryo do ubicia targu pokojowego z Austryą. W rzeczy samej już pod koniec października między Moreau a arcyksięciem Karolem, oraz równocześnie z początkiem listopada od strony armii Sambry między Kléberem a feldmarszałkiem Krayem, rozpoczęły się układy poufne o zawieszenie broni, żywo popierane przez arcyksięcia w porozumieniu z ks.

Albrechtem i Hofkriegsrathem wiedeńskim, uchylone wprowadzie w końcu dzięki rozpaczliwemu oporowi Thuguta przez cesarza Franciszka, lecz bądźco bądź wielce znamienne, bo świadczące o obustronnych nader poważnych w danej chwili zakulisowych prądach ugodowych. Z kolei, a w ścisłym związku z powyższą, wyszła od Francuzów inicjatywą względem rozejmu na linii bojowej nadreńskiej, w samym Paryżu na posiedzeniu Dyrektoryatu w pierwszej połowie listopada Carnot, po uprzednim zmówieniu się z Letourneurem, poczęści z Lareveillèrem a niechybnie też z nieświadomym napozór Delacroix, zaskoczył Barrasa i Reubella kategorycznym wnioskiem wyprawienia do Wiednia oddanego sobie Clarka z poselstwem urzędowem nietylko we wszczętym już przedmiocie rozejmu, lecz dla traktowania wprost o pokój ostateczny z Austryą, co też, z pewnemi zastrzeżeniami ze strony mniejszości dyrektoryalnej, uchwalonem zostało. Clarke tym sposobem otrzymywał właściwie misję podwójną: miał on drogę obrócić na Medyolan celem widzenia się z wodzem armii francuskiej we Włoszech, wzięcia go pod kuratelę i pozyskania dla wielkiej sprawy pacyfikacji austriackiej w duchu głębszych intencji jej reżyserów rządowych i pozarządowych paryskich, poczem dopiero miał udać się dalej do Wiednia i tam na miejscu wytargować corychlej pożyteczne warunki pokojowe. Dana mu instrukcja w przewidywaniu tych targów wskazywała aż cztery rozliczne postaci „kompensat“ dla Austrii; między innemi na samym końcu była tu również wspomniana, wzamian za odstąpienie Bawaryi Austryakom, „cesya elektorowi bawarskiemu dzielnicy austriackiej w Polsce i uczynienie tej dzielnicy (galicyjskiej) punktem zbornym odnowy państwa polskiego, przy pozostawieniu królowi pruskiemu większej części jego nabytków (polskich)“; „jednakowoż — tak w tem miejscu drażliwem wyrażała się instrukcja — nader wątpliwą jest rzeczą, ażeby Austrya zechciała zgodzić się na taki projekt, gdyż przymierze jej z Rosyą i niechęć do Prus zdają się stanowić nieprzebyte w tym względzie przeszkody“; była to więc poprostu pospolita fikcja przetargowa dla podbicia w cenie gotowej ustepliwości na lepszych warunkach; w istocie też w tejże instrukcyi na samem czele wyłuszczone były „kompensaty“ najsutsze, zdolne naseryo skusić Austryę, polegające zarazem na ofiarowaniu jej nabytków w Rzeszy oraz zwrotów we Włoszech, z zupełnem oczywiście pominięciem Polski, owszem z wliczeniem nawet do „kompensacyjnego“ rachunku „najbogatszych prowincyi polskich“, szczęśliwie przyłączonych do korony habsburskiej. Opatrzony ponadto jeszcze w skazówki najpouf-

niejsze, dotyczące w szczególności porozumienia się z wodzem naczelnym w Medyolanie, przedmiotu arcyważnego dla całej wyprawy poselskiej, albowiem „Włochy stanowią zakład (*gage*) pokoju“, niezwłocznie wyjechał Clarke z Paryża w drugiej połowie listopada 1796 r.

X.

Do takiego to ogromnego kołowrotu, gdzie kotłowały się zaznaczone i mnogie inne jeszcze, największe i najsprzeczniesze, istotne i pozorne roboty polityczne, gdzie obok ciemnej gmatwaniny stosunków wewnętrznych i w niewidzialnym z nią związku kłębiły się wielorakie powikłania zewnętrzne, gdzie równolegle toczyły się sprawy strategii stronnicej, orężnej i dyplomatycznej, zatargów w rządzie, knowań paryskich, spisków wandejskich, akcji wojennej reńskiej, włoskiej i ekspedycji irlandzkiej, misyi Malmesburego do Paryża, Daudiberta do Berlina, Clarka do Wiednia, układów sprzymierzeńczych z Holandya, Szwecya, Hiszpania, przyjacielskich z Prusami, Saksonia, Szwajcarya, protekcyjnych z Sardynia, Toskania, Wenecya, Neapolem, wabiących z Anglią, podlegawczych z Portą, a poczynających samą siłą rzeczy wysuwać się coraz bardziej na czoło, pokojowych z Austryą, gdzie natomiast schodziła całkowicie na plan ostatni wzgardzona, sponiewierana sprawa polska, najopłakaniej popierana tutaj przez beładne, zuędzniałe, rozstrzelone przedstawicielstwo wychodźcze,— wpadł przybyły nad Sekwanę Dąbrowski.

Rozeznąć się w tym labiryncie nie miał on zgoła sposobu; nie wiele mógł czerpać światła od tumanionych, skłóconych rodaków tutejszych; był tedy zdany głównie na własną roztropność, obrotność, intuicyę żołnierza-patryoty. Zeszedł się natychmiast z Wybickim, Barassem i przyjacielskiem ich kołem, wyklęty będąc z góry przez mężów Deputacyi, gotujących właśnie w sekrecie podejrzaną swą misyę berlińską. Nazajutrz po przybyciu zgłosił się w ministerium spraw zagranicznych do Delacroix z przywiezionemi poleceniami i prośbą o dyspensę rządową na umieszczenie go przy sztabie armii Sambry; w tejże sprawie poparty listem Klébera widział się również z ministrem wojny Petietem, człekiem niezłym, urzędnikiem gorliwym, lecz bez wpływu i woli, byłym komisarzem-ordonatorem wojskowym wyprotegowanym przez Carnota i od niego w zupełności zawisłym. Skorzystał z życzliwej pomocy uczyn-

nego Rosségo, poznał się z wpływowym naczelnikiem kancelaryi wojskowej Dyrektoryatu krętym Clarkiem, starał się jak mógł zorientować się wśród obcych sobie stosunków i ludzi. Spotkał się także na bruku paryskim z przybyłym nieco wcześniej dawnym posłem Sejmu Wielkiego, generał-majorem kościuszkowskim Stanisławem Woyczyńskim, który zjechawszy tu wprost z Berlina w porozumieniu z Antonim Radziwiłłem i Caillardem, a w mocnych wciąż trwając ułudach względem odbudowy Polski przez Prusy przy poparciu Francyi, odbywał w tej mierze narady z Wybickim i posłem pruskim Sandozem. Składając raz jeszcze pewną ofiarę tym złudzeniom, przejmowanym wszak równocześnie z taką skwapliwością konkurencyjną nawet przez Deputacyę, a nawiązując skądinąd do własnych wcześniejszych z Warszawy i Berlina memoriałów, Dąbrowski w tydzień potem, obok ponowienia swej osobistej prośby ochotniczej, złożył zarazem na ręce Delacroix i Petiet'a zwięzły operat treści polityczno-wojskowej, rozwijający w ogólnych przesłankach politycznych utarte a pozbawione gruntu widoki pruskie, lecz w konkretnym wywodzie wojskowym mieszczący tegie uzasadnienie jedynej prawdziwie żywotnej a dotychczas potylekroć wszczynanej nadaremnie myśli legionowej polskiej. Wyłuszczał nasampierw, iż skoro nieudana insurrekcyja Kościuszki, „aczkolwiek porywcza i opuszczona przez mocarstwa zainteresowane w niepodległości Polski, bądźcobądź jednak sprawiła dywersyę nader użyteczną dla sprawy wolności“, to tem skuteczniejszym mogłby okazać się „nowy plan powstańczy, skombinowany i obmyślany“ w ten sposób, aby spowodować Prusy do wojennego natarcia na Austryę i Rosyę. Czyniąc temi słowy zadość ulubionym marzeniom statystów wychodźczych, napomykając nawiasem o wybuchu rewolucyjnym w Galicyi, zbrojnym związku polskim na Wołoszczyźnie, poruszeniu rokoszan węgierskich, transylwańskich i „prowincyi zadnieprzańskich“ tj. kozaków, sukursach tureckich, szwedzkich itp., nie wchodząc atoli zadaleko w te mgliste materye, jaknajdobitniej natomiast postawił sprawę namacalną i nagłą „formacyi kilku korpusów wolnych, legionów polskich przy armiach Republiki francuskiej nad Renem oraz we Włoszech“. Te legiony stanowiłyby na przyszłość „jądro i rozsądnik armii polskiej“, którą w chwili pomyślnej można by „użyć w Polsce... dla działań zaczepnych wedle planów ułożonych między Francyą a jej sprzymierzeńcami“; tymczasem służyłyby one sposobem ochotniczym *à la suite* armii Republiki pod dowództwem naczelnem francuskim; składałyby się z kilku generałów polskich wyróżnionych w kampaniach krajowych o nie-

podległość 1792 i 1794 r., z reformowanych oficerów niższych byłej armii sejmowej i insurekcyjnej oraz z szeregowców galicyjskich zaciąganych przemocą przez Austryaków; mogłyby zaś i powinny zostać utworzone natychmiast, wobec rozrządzalności wszystkich tych czynników składowych a zwłaszcza ostatniego, szeregowców galicyjskich, będących w ręku w liczbie poważnej dzięki zwycięstwom francuskim we Włoszech, gdzie „już od miesiąca“ można było działać w tym kierunku, dezorganizując za jednym zamachem tameczne wojska austriackie złożone w znacznej części z rekruta galicyjskiego. W tym zwrocie ubocznym ku Włochom, niepozornej a nadzwyczaj znamiennej modyfikacji dotychczasowych rysów wytycznych myśli legionowej, chwytą głowa Dąbrowskiego, szczęśliwem wiedzioną natchnieniem, bez dalszych narazie przewidywań nieodgadnionej przyszłości, poprostu przez trafny instynkt czynu, przez wycucie realnych warunków nieodwłocznego onej myśli wcielenia, w lot ujmowała nastroczony najpodatniejszy obecnie dla danego przedsięwzięcia legionowego, a najdonioślejszy w następstwie dla wszystkiej sprawy polskiej, wschodzący dopiero za Alpami nowy wielki moment wszechdziejowy.

Rzecz, przekazana przez ministrów Dyrektoryatowi, pozostawała jeszcze w zawieszeniu, kiedy po dwóch tygodniach, w pierwotnej swej prośbie osobistej, zreferowanej przedtem Reubellowi, odebrał Dąbrowski od Petieta przychylną rezolucję rządu, zezwalającą mu na pozostanie przy sztabie armii Sambry; mógł tedy bez straty czasu jechać z powrotem do Klébera. Nie kwapił się z tem jednak; przemilczał nawet w listach swych najbliższych do Caillarda i Klébera o zyskanem już pozwoleniu urzędowem; niecierpliwie wyczekiwał decyzji w sprawie swego przełożenia legionowego referowanego z kolei, jak zawiadamiał go Petiet, samym dyrektorem a mianowicie Carnotowi i Reubellowi. Było ono właściwie przesądzone poniekąd na niekorzyść przez udzieloną dispensę odsyłającą autora jako prostego ochotnika nad Ren; być też bardzo może, że ostatecznie, pomimo wszelkich poleceń osobistych, ugrzęzłoby w biurach rządowych zupełnie tak samo, jak tyle już pokrewnych, choć i nie tak dorzecznie ujętych, podawanych dawniej w tym przedmiocie projektów wychodźczych, gdyby nie jedna ważna okoliczność postronna temi właśnie dniami nadarzona, jeden ściśle spółczesny wzgląd kapitalny powszechniejszego znaczenia, nie zgoda wspólnego z Dąbrowskim, jego planem ani losami Polski niemający, lecz za to nieskończenie bardziej Dyrektoryatowi francuskiemu leżący na sercu. A mianowi-

cie w tym samym czasie otrzymano w Dyrektoryacie szereg ostatnich relacyi wodza naczelnego armii włoskiej: zdawał on sprawę ze świeżych swych sukcesów i zarządzeń wojennych; żądał natarczywie dalszych znacznych posiłków; zapowiadał, iż niebawem „Rzym i wszystkie prowincye papieskie, Tryest i Frioul, nawet część królestwa neapolitańskiego staną się zdobyczą“ francuską; donosił tymczasem o posunięciu się swoim do Modeny i zgromadzeniu tam setki deputowanych od tego miasta, Bolonii, Reggia, Ferrary, na kongres republiki cyspadańskiej powstającej tam z Legacyi, wzorem cysalpińskiej zakładanej w Medyolanie z Lombardyi; donosił, iż ci deputowani „ożywieni są zapalem najżywszym i najczystsza miłością ojczyzny, już mają przed oczyma wskrzeszoną Italię starożytną, porwani są uczuciem patryotyzmu, rozpłomienioną wyobraźnią, zespoleniem wszystkich obywateli bez różnicy stanu, i nie byłoby dziwnem, gdyby te kraje wspólnie z Lombardią, ze swoją ludnością dwóch do trzech milionów, wywołały wstrząśnienie potężne w całych Włoszech“; na dobitkę zaś zwiastował zarazem utworzenie drugiej legii cyspadańskiej z 2500 ludzi, która łącznie z organizowaną nieco wcześniej pierwszą legią lombardzką, liczącą 3500 ludzi, dostarczy „wojska złożonego z łaknących wolności młodzieńców“ włoskich w sile około 6000 zbrojnych pod kokardą narodową włoską zielono-czerwono-białą i stanowić będzie „zaczątek armii“ narodowej włoskiej, co niechybnie „dla cesarza (Franciszka) i dla Włoch będzie miało skutki nader doniosłe“. Treść relacyi powyższych, nadeszłych do Paryża w drugiej połowie października, stropiła niepomału członków rządu, tych zwłaszcza, którzy w tej chwili pochłonięci byli sprawą pacyfikacyi austriackiej, posuwali ją naprzód wszelkiemi tajemnymi sposoby, wybierali się niebawem wyjechać jawnie z poselstwem ugodowem wiedeńskim, a fundowali rzecz całą głównie na „zastawie“ włoskim, skąd wyrachowywali już pośrednie i bezpośrednie, zamienne i zwrotne „kompensaty“ pokojowe dla Austrii. A tu naraz najniezgrabniej stawiał w poprzek przedsięwzięciu zanadto generał, budził we Włochach ducha wolności, niepodległości, jedności narodowej, wznosił republiki, uzbrajał wojska włoskie, szedł na dalsze podboje i wywrócenie wszystkiego do góry dnem na półwyspie. Nie życzo no sobie tego bynajmniej w Paryżu; nie chciano brnąć orężem zdobywczym dalej we Włoszech; przeciwnie, zamierzano targiem pokojowym stamtąd wycofać się corychlej i dlatego nie kwapiono się z wysyłaniem tam posiłków; wzdrygano się na całą ową niepowołaną „propagandę“ za górami, będącą w sprzeczności biegunowej z własnymi rachu-

bami pokojowemi, na owe proklamacye, rządy prowizoryczne, mu-nicypalności, kongresy i republiki tameczne; a już z najwyższym niesmakiem i niepokojem dowiadywano się o organizowanych legiach włoskich, o tysiącach patryotycznych Włochów uzbrojonych dziś pod hasłem narodowem i wyzwoleniczem, a z którymi oczywiście największy byłby kłopot przy ukartowaniu oddaniu ich jutro z powrotem pod jarzino obce, habsburskie czy też inne, jak wypadłoby z handlu pacyfikacyjnego.

Uznano tedy za rzecz konieczną i nagłą pohamować należycie ten niewczesny zapęd. Była to przecie sprawa nader drażliwa wobec najszcześliwszego, jedynego fortunnego w tej chwili wodza francuskiego, z którym nie wypadało zadzierać, lecz owszem ugłaskać go i dla dzieła pokoju pozyskać. Najdrażliwszem zaś było prawować się z nim o legiony włoskie przez niego powołane do życia, przedmiot nie tylko polityczny lecz wojskowy, leżący w zakresie jego ściśle wojskowej kompetencji i potrzeb, a to tembardziej, skoro mu równocześnie żądanych skąpiono posiłków. Owóż tutaj na szczęście nawinął się świeży projekt legionowy polski Dąbrowskiego, następcząc pod tym względem ostatnim wcale wygodne wyjście z trudności. Wystosowano tedy niezwłocznie pod koniec października w odpowiedzi na otrzymane relacye szereg ostrzegawczych i zapobiegawczych odezw dyrektoryalnych do wodza armii włoskiej. „Jakkolwiek gorąco pragnęlibyśmy sami—pisał tu imieniem zbiorowem rządu prezydujący wtedy w Dyrektoryacie Lareveillère—wspomagać polot republikański Włochów, to jednakowoż roztropność i polityka nakazują nam w dobie teraźniejszej jaknajbardziej miarkować rozgrzewający ich ogień i wstrzymywać kroki, do jakich w pierwszym uniesieniu mogliby dać się porwać... Byłoby nierozsądnem... rozpalać nazbyt gwałtownie płomień rewolucyjny we Włoszech, który mógłby w następstwie stać się zgubnym dla ludów przez nas do wolności zachęconych... Dzisiaj, kiedy znużenie wojną ujawnia się z mocą wewnątrz Republiki francuskiej,... należy przemyśliwać naseryo o pokoju, celu pragnień powszechnych, który wszelako nie inaczej, być może, da się osiągnąć, jak przez rozrządzenie częścią zdobywszy armii włoskiej na rzecz książąt Rzeszy... Te zaś rozliczne formuły (*bases*), jakie może z konieczności aprobować nam wypadnie dla uzyskania pokoju kontynentalnego, nakazują nam zawczasu troskać się o przyszłe losy patryotów włoskich, których, być może, skompromitowałoby zbyt nie podniecenie ich zapału. Mniemamy przeto, iż interes Republiki naszej wymaga, abyśmy utrzymywali ludy medyolańskie, modeńskie i inne w przychylnych dla nas uczuciach, nie obowiąz-

zując się atoli z naszej strony do poręczenia przyszłej ich niepodległości oraz bez narażenia ich samych na to, iżby w przyszłości padły ofiarą własnego nierozsądku lub rad naszych, co byłoby rzeczą równie niegodziwą jak niemoralną“. Tę, dotyczącą strony zasadniczej, wymędkowaną wykładnię ogólną, gdzie mdłe ozdoby stylowe i gibkie łamańce logiczne układnego wykwintnisia Delacroix łączyły się z ckliwem namaszczeniem „filantropijnem“ pedanckiego garbusa Lareveillera w istne arcydzieło obłudny, okrywającej najbezwzględniejszy oportunizm i najnikczemniejszy wyzysk polityczny pozorami sumienia i moralności, godnie wieńczył i dopełniał ustęp końcowy, dotyczący w szczególności drażliwej materii legionowej włoskiej. „Widzieliśmy z przyjemnością—głosiła dalej odezwa dyrektoryalna—organizację rozlicznych legii włoskich i pewni jesteśmy ich odwagi przeciw wspólnemu nieprzyjacielowi“. Ale—dodawała natychmiast—„wzywamy Pana do formowania tych legii, ile się tylko da, z cudzoziemców, szczególnie zaś z Polaków dezertarów służby austriackiej... Jeżeli uznasz za stosowne przysłać Ci kilku oficerów polskich dla podżegania do zbiegostwa patryotycznych swych spółrodaków, służących przymusowo w szeregach austriackich, to zlecimy ministrowi wojny wyprawienie do Ciebie oficerów takich, we Francji znajdujących się“. Równocześnie, podkreślając znaczenie właściwe insynuacji powyższej, w osobnej z tegoż dnia odezwie objawił prezes Dyrektoryatu językiem kwiecistym trzymającego mu pióro Delacroix, iż „patryoci polscy, troskliwi o przygotowanie środków do odrodzenia swej ojczyzny, pragnęliby stanąć w przedstawnych falangach Republiki“ francuskiej; oznajmiał o „propozycji uczynionej przez generała Dąbrowskiego względem wzięcia na żołd Republiki zbiegów“ polskich z armii austriackiej, co wszakże wzbronione będąc przez konstytucję francuską, „okazuje się niewykonalnem“; wzywał zatem dowódcę armii włoskiej do „rozejrzenia się, ażali nie byłoby możliwem skłonienie rządów tymczasowych medyolańskiego, modeńskiego i innych do wzięcia na swój żołd“ zbiegów polskich. W rzeczy samej projekt Dąbrowskiego, w te pędy przełożony z ministeryum pod uchwałę dyrektoryalną, w tym też duchu natychmiast zadecydowany został. Pośpieszył o tem Petiet zawiadomić urzędownie Dąbrowskiego, w wyrazach stylizacją obłudną Delacroix albo Clarka zalatujących, mających uspić podejrzliwość i zagrzać ochotę generała polskiego: oświadczał, iż Dyrektoryat znajduje w jego memoryale legionowym „myśli zdolne istotnie ułatwić patryotom polskim sposoby pośrednie (*moyens indirects*) trudzenia się nad odrodze-

niem ojczyzny swojej"; iż wprawdzie wobec zakazu konstytucyjnego legiony polskie do służby francuskiej wejść nie mogą; iż przecie mogłyby natomiast „zostać ustanowione przy ludach z Republiką francuską zaprzyjaźnionych a wszelkimi siłami dobijających się odzyskania wolności“, jako to mianowicie w ziemi „bolońskiej, ferraryjskiej i medyolańskiej“. W tante też strony włoskie, nie czekając dopiero odpowiedzi ani „rozejrzenia się“ wodza armii włoskiej, tymczasem corychlej skierować Dąbrowskiego ułożono i do nieodwłocznego z Paryża za Alpy wyjazdu z przyjacielską natarczywością naglić go jęto.

Intencya rzeczywista Dyrektoryatu, tj. trzymających tu prym w danej chwili ludzi, nie może żadnej podpadać wątpliwości. Chodziło im, podobnie jak naogół o spętanie prądu narodowo-niepodległościowego we Włoszech północnych, przeznaczonych na pastwę pacyfikacyi austriackiej, tak w szczególności o zatamowanie dalszego rozwoju narodowo-wojskowej formacyi legionowej włoskiej. Posługę tę wypełnić nieświadomie miała formacya legionowa polska, łaskawie tam właśnie dozwolona, „pośrednią“ przynętą patryotyczną łaskawie ozdobiona, a naprawdę zwyczajnie po kondotyersku przez łaskawców rządowych pojęta, która wnet przy tejże pacyfikacyi, poświęcającej już z góry całą w czambuł sprawę polską, oczywiście bez hałasu, bez kłopotów na zagładę z kretesem pójść była powinna. Łaska mierzyła po prostu na odrwienie. Dąbrowski wszystkich tych tajników zgłębić nie mógł. Lecz przenikliwy, podejrzliwy jego umysł wyczuł tu pod spodem sidła i zamiary nieczyste. Wyłączenie legionów polskich ze służby francuskiej, odsyłanie go z niemi do jakichciś zarodkowych dopiero władz insurekcyjnych miejskich włoskich, i to w porze gdy pełno już po Paryżu krążyło słuchów o niedalekim pokoju, dało mu widocznie do myślenia i rozbudziło jego nieufność. Siedział on zresztą pośrodku ciągłych jałowych rojeń emigracyjnych polsko-francusko-pruskich; w sam przeddzień ostatniego ślącego go do Włoch pisma Petieta złożył razem z Woyczyńskim na ręce Sandoza jedną jeszcze „notę“ o odbudowaniu Polski, zwołaniu reasumowanego Sejmu Wielkiego z marszałkami Małachowskim i Sapiełą, zreorganizowaniu siły zbrojnej polskiej, pod egidą pruską, w dzielnicy rozbiorowej pruskiej, dokąd jeszcze od biedy trafić było można z obozowisk francuskich nad Renem. Ale trafić zbrojnym czynem wyzwolenczym do ziemi ojczystej hen, kędyś z poza Alp i Apeninów, to było przedsięwzięcie zgoła nowe, do pomyślenia nierównie trudniejsze, które jeśli świtać już poczynąło w lotnej głowie Dąbrowskiego, to przecie ćmione raczej było

dwuznacznością ofiarowanej w tym kierunku niniejszej podniety dyrektoryalnej. Tak więc pierwszym odruchem Dąbrowskiego było podobno zachnięcie się na odebraną z ministerjum wojny dwuznaczną ofertę legionową włoską a natomiast myśl poprzestania może lepiej na udzielonej mu o tydzień przedtem prostej dyspensie ochotniczej nadreńskiej. Przemilczając znowuż całkowicie tamtą najświeższą odezwę ministerjalną w sprawie legionów, zawiadomił on teraz dopiero Klébera o tem wcześniejszem zezwoleniu w sprawie swego wolentaryatu, wraz z zapowiedzią, iż już w dniach najbliższych sam stawi się w armii Sambry pod jego rozkazy. Aliści tegoż samego dnia widział się i rozmówił osobiście z Petietem i Clarkiem, usłyszał mocne ich namowy, może dostał języka o gotowanej misyi medyolańsko-wiedeńskiej tego ostatniego, o prowadzonych przez Klébera rokowaniach rozejmowych z arcyksięciem, o skandalicznej wyprawie berlińskiej Dauidberta, zaś niezawodnie był zagrzany i podtrzymany na duchu od wrodzonego optymisty, pocziwca Wybickiego, Prozora, Barssa i innych, złaknionych tak bardzo wybrnięcia z papierowej próżnicy paryskiej. A on sam wszak łaknął tego najwięcej, całą duszą do żywego wyrывał się czynu. Jeszcze przez noc bić się zapewne z myślami, ważyć za i przeciw pracowicie musiał. Nazajutrz miał postanowienie gotowe: zgłosił się do najczynniejszego pono w tych przeprawach Clarka i podał mu do wiadomości na piśmie „rezolucyę, jaką powziąłem, udania się do armii włoskiej“. Bieda jeszcze była z wyekwipowaniem się na wyjazd, gdyż środki własne do cna były wyczerpane; na szczęście Potocki i Sołtyk nadesłali w sam raz z Wenecyi kilkaset dukatów, skąd część większą na fundusz podróży użyto. Ułożono naprędce rodzaj instrukcyi na drogę, nakreślono listy polecające do wychodźców weneckich, poczem w towarzystwie Woyczyńskiego, Tremona, synka, po półtoramiesięcznym w Paryżu pobycie, bez dalszej już odwłoki, w pierwszej połowie listopada opuścił Dąbrowski stolicę Francyi. Przez Szwajcaryę, z dłuższym w Bazylei popasem, przez szlaki górskie tonące w topieli jesiennej lub chwycone już zimową ślizgawicą, najoszczędniej a więc najpowolniej trzytygodniową odprawiając podróż, na nieznanie słoneczne podążał południe. W samym początku grudnia 1796 r., ubogo, niepokaznie, frasośliwie wjeżdżał do kipiącego Mediolanu, stawić się przed wodzem naczelnym armii włoskiej, generałem Bonaparte.

STANISŁAW TREMBECKI,

jako słowianofil.

Do najważniejszych warunków rozwoju każdego państwa należy czynna polityka zewnętrzna. Powodzenie jej zależy od trafnego wyboru zasadniczej linii wytycznej, która wypływałaby z istotnych zasobów i sił państwa oraz z jego sytuacji międzynarodowej. Zaniedbanie takiej polityki zwykle mści się straszliwie.

Polska, sama słowiańska i wśród Słowian położona, stale w nich miała naturalnych sprzymierzeńców i pole do płodnej ekspansji politycznej, ekonomicznej i kulturalnej. Skutkiem tego dobra polityka polska zawsze nosiła charakter w części słowiański.

W okresie pierwszym Bolesławowie dążą wśród ustawicznych walk z Germanami do skupienia jaknajwiększej ilości ziem słowiańskich. W okresie drugim Jagiellonowie usiłują wytworzyć dokoła Korony i Litwy związek dynastyczny państw słowiańskich drogą ugody pokojowej i dobrowolnej (unia z Czechami, z Węgrami). Słowem federacja Słowian przy Polsce stanowi to, co nazwano później ideą jagiellońską. Zaniechanie dążeń do unii ze Słowiańszczyzną zachodnią miało na celu przyłączenie Moskwy do federacji polsko-słowiańskiej.

Szczytem celowej w tym kierunku polityki była akcja Stefana Batorego. Zajęcie Moskwy za Zygmunta III cech trwałych nie posiadało i pozostało bezowocnem mimo mądrych zabiegów Władysława IV.

Odtąd polityka polska traciła charakter ciągłości i oryentalność. Następuje po najświetniejszych przeblaskach ho-

haterstwa powolny upadek Rzeczypospolitej. Hasła obrony i skupienia Słowiańszczyzny podejmuje Rosya, która szybko i umiejętnie zdobywa nad Polską przewagę. Mściło się nad Rzplitą niedokonanie historycznej misji zorganizowania pobratymców w duchu kultury i państwowości polskiej.

Po Sobieskim—epoka zupełnej dezorganizacyi. Nieład i chaos w maszynie państwowej za Sasów dochodzą do szczytu. Król polski, August II, proponuje sam Karolowi X podział (!) Polski. Sojusz z nim wyzyskał Piotr Wielki do ugruntowania wpływu rosyjskiego na sprawy wewnętrzne Rzplitej. Niedługo potem stanął t. zw. alians trzech czarnych orłów, gwarantujący utrzymanie dotychczasowego rządu (właściwie nierządu) w Polsce. Wbrew woli większości narodu wstępuje na tron August III.

Zanikowi jasnej idei polityki zewnętrznej towarzyszył rozstrój wewnętrzny. Ster władzy, wytracony z rąk króla za pomocą liberum veto, wolnej elekcji i paktów konwentów, przechodzi w ręce przyszłych dworów zaborecznych z Rosyą na czele. W obozie arystokratycznym dla prywaty rodowej poświęcono wszelką myśl o samodzielnej polityce polskiej. Ciemnota, zaśniedziałość i fanatyzm tępiły resztki zdrowego instynktu publicznego wśród szlachty. Bezczylna umysłowo i politycznie formalnie dławi się zbytkiem energii społeczno-fizyologicznej. Energia ta wyradza się w orgje rozpasane, tumulty i burdy. Tradycje idei jagiellońskiej, idei polityki czynnej, zaginęły niemal doszczętnie. Tylko niechęć historyczna do niemieckich: Austrii i Prus została silniejszą o wiele od antagonizmu względem Rosyi. I w tem odzywały się wyraźnie jakieś echa sympatyj i antypatyj słowiańskich.

Na tym żywiole uczuciowym opierają się w początkach swych pierwsze próby zrestaurowania państwa i polityki polskiej. Inicyatywa należała do ks. Czartoryskich.

Ambitna ta rodzina wyróżniała się korzystnie wśród innych magnatów tem, że aspiracje do tronu osnawała na równoczesnem szczerem dążeniu do restauracji potęgi Rzplitej. Rozumiejąc wybornie potrzebę skupienia sił nad odrodzeniem wewnętrznym, ks. Czartoryscy nigdy nie tracili z oka celów dalszych przyszłej polityki mocarstwowej. Sumienne studia nad epoką Jagiellonów, z których swój ród wywodzili, zapoznały ich z podstawami ówczesnej polityki zagranicznej. Idea jagiellońska, idea przodownictwa w federacji słowiańskiej zagnieździła się widocznie głęboko w umysłach czułych na chwałę i potęgę ojczyzny. I oto Czartoryscy, może jedyni, podejmują zatraczone za czasów królów

elekcyjnych tradycje ciągłości polskiej polityki dynastycznej i monarchyjnej.

Dla reorganizacji ustroju Rzplitej trzeba było znaleźć sojusznika, którego interesy najmniej byłyby sprzeczne z interesami Polski. Teutoni od wieków zagrażali Słowiańszczyźnie. Czartoryscy odrzucają myśl sojuszu z „grożącą germanizmem“ Austrią etc. Ostatecznie zdecydowała o wyborze Rosji wspólnota rodowa z narodem moskiewskim. W perspektywie dalszej mieli Czartoryscy na myśli poparcie wpływem polskim *narodowej* (słowiańskiej) partii rosyjskiej przeciw *obcej* (niemieckiej) rządowej partii dla uzyskania w Rosji stałego prawdziwie słowiańskiego sojusznika.¹⁾

Istotnie, przeciwstawienie się Niemcom i pewna życzliwość względem Rosji zabarwiają przez czas dłuższy politykę ks. Czartoryskich.

W takich zasadach wychowany był również Stanisław August Poniatowski. Jako blizki krewny i członek sztabu generalnego Familii, musiał być wtajemniczony w plany i idee zasadnicze Czartoryskich, wykraczające daleko poza taktykę bieżącą. O zaszczipianiu w nim od urodzenia wstrętu do niemczyzny znajdujemy znamienne ustępy w jego Pamiętnikach. Motywy osobiste miłości i wdzięczności dla ces. Katarzyny II grały niewątpliwie znaczną rolę w postępowaniu Stanisława Augusta, ale więcej jeszcze ważyły pierwsze najgłębsze wpływy wychowania politycznego Czartoryskich. Po wstąpieniu na tron młody król łatwo zrzekł się marzeń Familii o przyszłej hegemonii Polski, przyjmując spokojnie protektorat Rosji, z której pomocą spodziewał się zreformować Rzplitą i wbrew Prusom i Austrii odzyskać bodaj częściowo dawne jej stanowisko. W praktycznej tej modyfikacji nietrudno wyróżnić pierwiastek antagonizmu germańskiego oraz rachub politycznych na jedność szczepową z Rosją.

Epoka Stanisława Augusta była przełomową pod każdym względem. Z ponurą szybkością odbywała się likwidacja zwierzęcej maszyny państwowej. Z pośpiechem gorączkowym usiło-

¹⁾ Dane powyższe zaczerpnąłem z napół oficjalnej enuncjacji stronnictwa ks. Czartoryskich „Rzecz o dynastji i monarchji w Polsce“ Janusza Woronicza, umieszczonej w „Kraju i Emigracji“ z r. 1838, wydanej następnie w odbitce w Paryżu r. 1839. Enuncjacja ta rzuca dużo światła na ideologję polityczną Czartoryskich. Obszerniej o tem patrz w moim artykule p. t. „Słowianofilstwo ks. Czartoryskich“ („Świat Słowiański“ z r. 1911, zeszyt VI).

wali ludzie dobrej woli naprawić ją i zreorganizować. W marzeniu o odszukaniu źródeł kulturalnych i politycznych dawnej potęgi polskiej zwracali się patryoci myślą do przeszłości świetnej epok najstarszej i jagiellońskiej. Natrafiono tam na wspólnotę słowiańską rodową w przeciwieństwie do chytrej, okrutnej i wrogiej rasy Germanów.

Zaczęto podnosić — najprzód bez żadnej dalszej myśli — hasła solidarności plemiennej i językowej z innymi szczepami słowiańskimi. W końcu, względnie do warunków współczesnych, tendencję polityczną do Rosyi poczęto uzasadniać pewnego rodzaju historyzofią słowianofilską. W dziedzinie kultury ruch ten odświeżająco wpłynął na umysłowość polską, odsłaniając jej nowe, szerokie widnokregi: zwrócił uwagę szczególną na prahistorię, językoznawstwo i prawodawstwo słowiańskie i polskie, stworzył mocne podstawy do bujnego rozwoju słowianofilstwa naukowego i politycznego w dobie Królestwa Kongresowego.

Stanisław Trembecki pod wielu względami był dzieckiem typowem swej epoki. Pobyt na dworze królewskim i badania nad polską historią archaiczną wyrobiły w nim poglądy słowianofilskie, których też pierwszym wyrazicielem u nas został.

I.

Ścisła data urodzin poety dotychczas jeszcze nie jest ustalona. Kraushar podaje ją na 1723 r.; Spasowicz — na 1725, idąc widocznie za utartą opinią M. Konarskiego. Konarski opierał swe obliczenia na tej kruchej podstawie, że Trembecki uchodził za starca 80-iokilkoletniego, gdy umarł w r. 1812. Siemieński bez argumentów wymienia jako rok jego urodzin 1730.

Bartłomiej Michałowski, szambelan i współtowarzysz poety, przez biografów jego dotąd zupełnie nieuwzględniany, określa, że poeta był odeń o kilka lat starszy.¹⁾ Michałowski urodził się w r. 1733, a więc Trembecki wedle tego mógłby przyjść na świat pomiędzy 1725—1730 r. I te jednak, chwiejne zresztą, dane nie są pewne. Nie wiemy, na czem osnawał Michałowski swą opinię o wieku poety: na jego słowach, na jego wyglądzie czy na

¹⁾ „B. Michałowskiego Pamiętniki“, wydane przez H. Rzewuskiego. Petersburg i Mohylew, 1836. T. I—III; T. I, 140.

własnej kombinacji? Przeczą temu w znacznej części informacje z innych źródeł, głównie z listów naszego autora. Zestawieniem ich zajął się p. Talar¹⁾, którego wnioski, naogół trafne, chcę uzupełnić.

A więc K. Estreicher, badacz ostrożny i sumienny, w swem studyum: „T. K. Węgierski“ (Lipsk 1888) podaje, że Trembecki był 20 lat starszy od Węgierskiego, który urodził się w r. 1757. A. Magiera²⁾ opowiada, że w 1768 r. Trembecki „w młodym bardzo wieku“ był już czynny. A według Kraushara i in. miałby wówczas poeta od 38 do 45 nawet lat!!

Trembecki w liście z r. 1765 nazywa siebie „młodzieńcem“, w liście z r. 1774 mówi: „Młodzian iestem niedawno między męże policzony“ (265)³⁾. Z powodu uskarżania się poety na silny ból głowy, pisze do niego lekarz krakowski Aaron Gerson z 19 czerwca 1779 r.: „Mais si vous voulez faire toujours le jeune homme et si *à l'age de quarante ans* vous agissez, comme si vous n'en aviez que dix huit, le mal de tête peut encore être causé par l'épuisement“ (500). Dnia 9 stycznia 1782 r. pisze: „Teraz w piątym lat swoich dziesiątku...“ (529). Z okazji wreszcie ciężkiej choroby w 1787 r., po której zmienił tryb życia, twierdził, że *do lat 50* był młody.

Wszystkie dane powyższe wskazują, choć z pewnem wahaniem, na r. 1735—7. Ten właśnie okres dwuletni przyjmujemy chyba za czas urodzin naszego poety. Różnicę zaś pomiędzy

¹⁾ Talar, Kilka luźnych szczegółów o życiu i pismach St. Trembeckiego. Sprawozdanie gimn. w Sanoku z 1905/6 r., patrz recenzję I. Chrzanowskiego w „Książce“ warszawskiej.

²⁾ Archiwum domowe etc., wydane przez K. Wł. Wójcickiego. Warszawa 1856. A. Magiera, Dwór i zarysy domowego życia króla St. Augusta, str. 19.

³⁾ Cytaty źródłowe i osobiste St. Trembeckiego przytaczam zwykle z rękopisu autentycznych jego listów, zebranych przez króla St. Augusta i znajdujących się obecnie w zbiorach ks. Czartoryskich w Krakowie № 847. Paginację stron podaję w tekście według tegoż rękopisu, niewymieniając źródła. Mniej więcej trzecią część rękopisu wydał dr. H. Biegeleisen w „Ateneum“ z 1897 r., t. IV, p. 1. „Listy S. Trembeckiego do króla“, streszczając pobieżnie resztę. Streszczenia, nieraz stronicze, dokładnego wyobrażenia o przedmiocie nie dają. Ubolewać należy, że ważny ten przyczynek do literatury naszej nie doczekał się dotąd zupełnego wydania naukowego. Obfitość i treść listów Trembeckiego, tak charakterystycznych dla umysłowości w. XVIII w Polsce, zasługuje na to pod każdym względem.

r. 1723 a 1737 są tak znaczne, że wypadało poświęcić tej kwestyi więcej uwagi.

Urodził się w województwie krakowskiem, w żyznej ziemi Proszowskiej. Nie wiemy, jak była z domu jego matka; ojca Siemieński, na podstawie ¹⁾ metryki słuchaczy Akademii Jagiellońskiej, podaje jako „Stanisława“: u hr. E. Tyszkiewicza znajdujemy: „Z list urzędowych dowiadujemy się, że szambelan był synem Jakóba“.²⁾

Poeta pochodził z rodziny wcale zamożnej. Sam powiada: „Mienie też moje lubo nie było z naybogatszych, nie było bardzo liche, pozostawił mi bowiem Oyciec w rolach y pieniądzech około *sześciuset tysięcy złotych*“ (268). Zgodnie z tem, w innem miejscu: „J'aurais été depuis longtemps tranquille et heureux, jouissant de la paix au sein de ma famille ayant a dépenser près de *30,000 florins* par an, que mon Père m'a laissé...“ (304). Michałowski, jak zwykle, niedokładny, nadmienia, że Trembecki był „z domu starożytnego, z rodziców bardzo bogatych, których w 19 swojego żywota roku jedynym został spadkobiercą“ (T. I, 144). Kraszewski³⁾ nazywa go też „synem majątnej rodziny“. Również Siemieński. I tylko dr. T. Ziemia niewiedomo na jakiej podstawie w przedmowie do lwowskiego wydania pism poety mówi o nim, jako o posiadaczu „nieznaczonej fortunki szlacheckiej“.

Otóż z listów i dokumentów przez K. Wł. Wójcickiego⁴⁾ drukowanych, widać, że poeta odziedziczył wsie Jastrzębniki i Zielonki oraz kwoty pieniężne na Działoszycach u Ożarówskiego i na Więckowicach u Grota. Wiemy, że posiadał też folwark Donatkowice.⁵⁾ Ziemia Proszowska naogół znana jest z żyzności. To też ocena wartości spadku na 600,000 złp. wyda się nam raczej za małą, gdy zważymy, że Jastrzębniki, wieś w pow. pińczowskim, wynosi około 365 mórg, wieś Zielonki z 3 ma folwarkami—1007 mr., a warunkowo Donatkowice z nieużytkami—415 mr. (patrz „Słownik geograficzny“). Dziś cena morgi w dobrej gle-

¹⁾ L. Siemieński, Portrety literackie, t. III S. Trembecki, 1868, 24.

²⁾ E. hr. Tyszkiewicz, Króla St. Augusta ostatni pobyt w Grodnie. Poznań 1878 (wedle Dziennika hr. Bezborodki), 129.

³⁾ Kraszewski, Polska w czasie trzech rozbiorów. T. I—III. Poznań, 1875. T. I.

⁴⁾ K. Wł. Wójcicki, Cmentarz Powązkowski. T. I. Powązki i Trembecki.

⁵⁾ Dr. H. Biegeleisen, Charakteristik Trembecki's. Leipzig, 1882, str. 7.

bie w tych okolicach waha się pomiędzy 300—400 rublami (750—900 koron).

Poeta używał herbu Pruss I. Należał do rodziny starożytnej. Spokrewniony był z potężnymi magnackimi rodami. Píše o tem: „Il serait peut être le plus naturel de me retirer chez mes parens et je n'en ai des plus proches *du côté paternel*, que Mrs les Princes Massalski et Radziwiłł Palatin du Minsk“ (379). Gdzieindziej tłumaczy nam stopień tego pokrewieństwa: „jestem blizki krewny xiążąt kraiovych y zagranicznych udzielných“, gdyż... „Babka moja była rodzona siostra Dziada x-cia Radziwiłła, wojewody Mińskiego, a zatym taż sama krew łączy mię z Massalskimi y xiążęty de Ligne. Sed quae non fecimus ipsi, vix ea nostra puto...“ skromnie kończy poeta (529).

Informacje te, zdaje się, wątpliwości nie ulegają. Objasnieniem do nich mogą częściowo służyć dane zaczerpnięte z Niesieckiego (uzupełnionego przez Bobrowicza). Dziadem wojewody mińskiego, o którym mówi poeta, był Jan Radziwiłł, książę na Ołyce i Nieświeżu. Jego więc siostra rodzona byłaby babką poety „*du côté paternel*“, czyli po mieczu, to znaczy była żoną jego dziadka. Ks. Jan Radziwiłł miał syna Marcina Dominika, a ten ks. Józefa Radziwiłła, wojewodę mińskiego († 1783). Siostra ks. Józefa, Antonina Radziwiłłówna, wyszła za ks. Józefa Massalskiego, podskarbiego litewskiego, syna Michała Massalskiego, hetmana w. lit. i brata ks. Ignacego, biskupa wileńskiego. Córka ich, Helena, wydana została za ks. Karola de Ligne.¹⁾

Karol Józef ks. AreMBERG de Ligne urodził się w r. 1735 † 1814. W r. 1770 został feldmarszałkiem porucznikiem armii austriackiej. Wywodził się od królów czeskich i hrabiów Alzacyi (patrz „Encyklopedyę Powszechną“).

Przez babkę Trembecki był spokrewniony bezpośrednio z Radziwiłłami mińskimi, a przez tych z Massalskimi i w dalszem następstwie z ks. de Ligne. Jakie odebrał wychowanie, w jakich był—o ile w nich był—szkołach, również niewiadomo. Zupełnie odosobnioną pozostaje wiadomość przez A. Mickiewicza podana, że nasz autor „wychodował się w jednym z możliwych domów w Polsce“.²⁾ Trembecki żadnym wyrazem nie wspomina, aby był

¹⁾ Ks. Przyłgowski, Żywoty biskupów wileńskich. T. I, II. Petersburg, 1860.

²⁾ A. Mickiewicz, Literatura słowiańska. Wydał F. Wrotnowski, w. III. Poznań, 1865. T. II, 143.

domownikiem czy klientem jakichś magnatów, trzyma się z nimi z uszanowaniem, ale i ze swobodą pełną godności.

Siemieński, przedstawiając w formie nowelistycznej marzenia poety, pisze, że przesuwają się w nich „mozolne lata nauki w jezuickim kolegium“¹⁾. Było to jednak zwykle przypuszczenie, ponieważ sam później mówi w „Portretach literackich“: „Ani szczegółów wychowania domowego, ani w jakich szkołach odbywał studia, nim się zapisał do akademii, niewiadomo“ (T. III, 25).

Zważywszy, że Trembecki należał z urodzenia do starej i bogatej szlachty zbliżonej poniekąd do magnatów, przypuszczam, że pierwsze wykształcenie odebrał w domu. Działo się to jeszcze przed reformą Konarskiego i przed założeniem konwiktów pańskich (około 1750 r.); wątpliwe, żeby krewniacy Radziwiłłów zechcieli oddać swych synów do szkoły jezuickiej narówni z szaraczkami zagonowymi, choć niemożliwem to nie jest. Moda panująca kazała wówczas możniejszym sprowadzać do dzieci nauczycieli z Francyi, którzy oprócz ogłady towarzyskiej, świetnych manier, doskonałej znajomości francuszczyzny i nowszych w niej autorów oraz lekkich obyczajów mało co w młódzież wpajać umieli.²⁾

Czy był taki nauczyciel w domu Trembeckich niewiadomo, wolno jednak przypuszczać, że bodaj trochę modnego języka musiało należeć do wychowania młodego dziedzica. Naogół dbano niemal wyłącznie o ogładę jego towarzyską, po macoszemu traktując naukę właściwą. Nie bez ironii mówi o tych czasach Trembecki: „On m'a bien appris à danser, à faire les armes, à manier un cheval, mais pas assez pour en recevoir la maitrise“ (str. 304). A więc tańce, robienie bronią i jazda konna... przeważał w wychowaniu, jak widzimy, styl sarmacki.

Ten-że duch sarmacki zabarwiał życie domowe i przekonania polityczne rodziny Trembeckiego. Wpajano mu tedy cześć bałwochwalczą dla złotych klejnotów wolności szlacheckiej, to zn. liberum veto, wolnej elekcji i paktów konwentów; odrazę budzono do tronu dziedzicznego, silnej władzy rządowej i innych oznak „tyranii“ królewskiej i absolutum dominium. Długo jeszcze hołdował poeta tym poglądom, które sam później nazwał „starymi

¹⁾ „Tygodnik Literacki“, 1839. Poznań, str. 85. L. Siemieński, Ogrody i poeci.

²⁾ Ks. Hugo Kołłątaj, Stan oświecenia w Polsce (w 1750—1764 r.). Poznań, 1841, wyd. E. Raczyński. T. I—II; zwłaszcza t. I 39—44.

przesądami“. Nadmienając o Konfederacyi Barskiej w liście do króla, powiada: „Elevé dans la haine des Rois, entiché de vieux prejuges, j'aurais été entraîné facilement dans la sedition, j'aurais donc péri ou je m'aurais signalé par des crimes. Des crimes contre ce bon Roi? va t'en absurde idée, je benis mes malheurs!“ (str. 304).

Dla zakończenia studyów w duchu szlachecko-sarmackim oddano Trembeckiego do Akademii krakowskiej.

Wszechnica Jagiellońska, jak wszystkie zresztą wszechnice w Europie, była podówczas w stanie prostracyi i upadku. Na wydziale filozoficznym w mizerny sposób wykładano poetykę i retorykę. Klasyków tłómaczono mało i źle; język grecki ogromnie zaniedbano; nie przykładano się do historii starożytnej, powszechnej i krajowej; etyki i filozofii uczono według Arystotelesa, poprawionego przez św. Tomasza, przyczem wszystkie nowsze prądy filozoficzne zwalczano, jako nieprawowierne. Z matematyką, geometryą zwłaszcza, było nieco lepiej. Inne jednak gałęzie nauk przyrodniczych stały niżej krytyki — w astronomi i fizyce odrzucano teorię Kopernika. Scholastyctw prawie średniowieczny panował w Akademii.

W poczet uczniów Akademii zapisany jest St. Trembecki uczeń wydziału filozoficznego za rektoratu W. Micińskiego w roku 1752 (Siemiński). Nie wiemy dokładnie, na jakie uczęszczał wykłady — najwięcej wszakże mógł skorzystać w studyach nad łaciną i klasykami rzymskimi pod kierunkiem Tomeckiego, dobrego łacińskiego poety¹⁾; doskonała, a nieraz archaizmami zdobna polszczyzna jego wskazywałaby, że słuchał może wybornego o czystym języku mówcę ks. Biegaczewicza.

Żądny wrażeń, bystry umysł Trembeckiego prawie od niechęcenia, przelotnie zapoznawał się z wiedzą, której dostarczyć mu mogła Akademia. Trochę francuszczyzny i łaciny z domu, udoskonalonej lekturą klasyków rzymskich, czytanie samorzutne w pisarzach i kronikach polskich, minimalna suma nauk filozoficznych i przyrodniczych — oto i cały bagaż umysłowy, z którym opuszczał przyszły poeta ściany wszechnicy Jagiellońskiej. Ile lat tam spędził, nie wiemy. B. Michałowski wspomina tylko, że

¹⁾ Kołłątaj, Idem. T. I, 146, 160 i in. strony, porównaj także J. Łukaszewicza, Historia szkół w Koronie i W. Ks. Litewskiem, 1849—51. Poznań, T. I, II; tak samo u W. Czerbaka, Uniwersytet Jagielloński w 4-eh ostatnich wiekach. Kraków, 1900 i u Sołtykiewicza, O stanie Akademii krakowskiej.

„niedokończywszy zupełnie szkół, objął majątek“ (T. I, 144). Ojciec żył jeszcze, ale dziwnie głucho o nim w biografii syna; na lekkomyślność i szaleństwa matki w późnym już wieku poeta uskarżał się gorzko. Słowem ani poparcia radą rozsądną, ani podpory moralnej w rodzinie nie znalazł.

Działo się to na schyłku czasów saskich, w epoce najwyższego rozpasania prywaty, w epoce zupełnej anarchii życia publicznego i politycznego. Odwieczne intrygi i wichrzenia magnatów, bezwzględność i swary szlachty doprowadziły do powszechnego zaniku poczucia obowiązków patryotycznych i społecznych. We wszystkich dziedzinach umysłowości panowały się nadęta bigoterya i dzika cyniczna ciemnota. Wybujało za to nadmiernie życie towarzyskie w formach najbardziej płytkich i barbarzyńskich.

W takich warunkach stawiał pierwsze kroki młody, bogaty dziedzic. Atmosfera truła go i wypaczała, sączyła weń jad obojętności narodowej i ślepej żądzy użycia, przez nikogo nie hamowanej, znieprawiała jego naturę zdolną i bujną. Zaś temperament Trembecki miał ognisty, burzliwy. Z całym zapałem i namiętnością gwałtowną puszcza się na odmęty rozrywek i zabaw sarmackich. Szaleje i huczy, nie szczędzi majątku ni zdrowia, zasługując sobie na opinię, którą w delikatnych wyrazach powtórzy w dużo lat później dawny jego lekarz Aaron Gerson z Krakowa (w 1779 r.): „Le palatinat de Cracovie retentit jusqu'ici de vos anciennes prouesses; les pucelles d'alors devenues grandes mères se souviennent encore de vos hauts exploits, et je sais bien, que vous ne vous êtes jamais épargné“ (str. 500).

W kole bogatszej młodzieży szlacheckiej, do której należał Trembecki z urodzenia, starano się naśladować arystokrację strojami, zbytkiem i rozwiązłością. Gardzono tam wszelką pracą poważną; rozpustą rubaszną zabijano w zarodku odruchy lepszych uczuć. Dnie i noce schodziły Trembeckiemu na ucztach, kuligach, pijaństwie i grach hazardowych; burdy uliczne, zajazdy i awantury miłosne urozmaicały mu życie. A we wszystkim zwykle rejdował. To też trafnie charakteryzuje siebie z tych czasów: „Niegdy w którejkolwiek sferze umieszczały mię losy, zawsze moja organizacya *ad superlativum* zbliżać mi się nakazywała. I tak pod przeszłym panowaniem byłem ieden z nayzuchwalszych burdów, ieden z nayognistszych pijaków, ieden z nayzapamiętaleszych miłośników. Byłem potym ieden z naypiękniejszych (jak zowią) graczów, potym ieden z nayobszerniejszych czytelników, a potym stałem się ieden z naygorliwszych sług W. K. Mości“ (str. 416 w 1779 r.).

Dużo z tych pierwiastków zakorzeniło się na dobre, krystalizując w duszy jego pierwszy, najważniejszy może, podkład psychologiczny. Przecież gnuśność, lenistwo, brak wrażliwości moralnej i patryotycznej—niezaprzeczone to w nim dziedzictwo czasów sasko-sarmackich.

I bagno sarmackie wciągać zaczęło niedoświadczonego młodzieńca. Pozostałby może pijakiem, karciarzem i awanturnikiem, jak większość jego współtowarzyszy, gdyby nie przypadkowy zbieg okoliczności. Rozumiał to dobrze. Píše w cytowanym już liście: „J'aurais été un yvrogne, un fainéant, comme la plupart de mes frères, mon naturel plus ardent, qu'on ne pense n'étant pas cultivé, m'aurait fait embrasser toujours de partis violens“ (str. 500).

W tym okresie zdaje się zrobił pierwszą wycieczkę do Paryża. Czasu jej trwania, ani roku określić nie umiem, ponieważ Michałowski, który twierdzi, że poznał go na wodach w Baréges, jest, szczególnie w tem miejscu, bałamutny. Datę tego spotkania możnaby położyć na 1759 r., ale pewności niema. Charakterystyka poety w jego słowach jest zresztą wcale trafna. Był on zawsze — powiada — skłonny do niezwykłości. Osobliwszy człowiek. Odważny i zuchwały, a przytem popędliwy strasznie i fechmistrz niezrównany. Grał w karty z wielkiem szczęściem; złoto rozrzucał na prawo i na lewo. Siedział za pojedynki w Bastylii. Wypuszczono go za wstawiennictwem królowej Maryi Leszczyńskiej. Potem dużo jeszcze płatał awantur (T. I, 140).

Jak widzimy, we Francyi kontynuował ten sam tryb życia, co i w kraju. Niedługo potem musiał wracać do ojczystych pieleszy, gdzie go zawezwały zapewne interesy majątkowe. Fakt tej podróży wątpliwości nie ulega, ponieważ znamy dokładnie termin dwóch innych podróży zagranicę, poeta zaś sam mówi, że go „do Paryża łaskawsze losy *trzykroć* były zaniósły“ (475).

Rzecz oczywista, że przyszły szambelan po powrocie musiał jeszcze **bardziej** rozbijać się i hulać. Od stronnictw politycznych stał zdaleka, obracał się jednak w środowisku, hołdującem szlachecko-republikańskim zasadom. Może byłby przystąpił do stronnictwa saskiego, a później do Baru, gdyby okoliczności nie pokierowały nim inaczej, z pożytkiem niewątpliwie dla literatury polskiej. Jeszcze w r. 1765 gospodarował na wsi, jak to wskazuje list pod niewymienionym adresem z dziedzicznej Mławy (22 sierpnia).¹⁾ Ale tryb życia hulaszczy i zawadyacki wywoływał

¹⁾ „Biblioteka Warsz.“, 1912, Zesz. 2, str. 210—11. Dr. M. Szykowski, St. Trembecki.

częste zatargi z otoczeniem spokojnem. Poeta narzeka na zajęcie połowy jego majątków przez generała Wysokińskiego, na nieuczciwość krewnych, na sędziów niesprawiedliwych, na jakiegoś zwłaszcza rządcę królewskiego (widocznie urzędnika wyższego), który go bardzo uciskał. Zdaje się, poprostu, że coś grubo nabroił i unikając odpowiedzialności przed prawem, musiał uchodzić z kraju. Nie była zupełnie dobrowolną ta druga podróż, skoro wyznaje: „Powróciwszy po czterech latach *przymuszonego* z kraju oddalenia etc.“ (268).

Bezmyślna atmosfera prymitywizmu saskiego nie zaspokajała potrzeb jego natury estetycznych i intelektualnych. I dlatego dłuższy pobyt w stolicy nauki i smaku miał doniosłe dlań skutki. Przystojny, dowcipny i bogaty Polonus z łatwością się dostał do najświetniejszych salonów, a nawet pono i do dworu wersalskiego (może na polecenie króla S. Leszczyńskiego, którego odwiedził, jak można z Pamiętników Michałowskiego wywnioskować). Bawił się, kochał, grał w karty, pojedynkował, trwonił pieniądze, słowem używał życia, co się zowie. Nie liczył się przytem z gotówką, zaciągał długi i nieraz zapewne bywał w krytycznej sytuacji.

Jeżeli mamy wierzyć Michałowskiemu, zdarzyło się nawet poecie, że „zmuszony został pracować dla kawałka chleba. Czas niejaki utrzymywał się w Bruxelli, dając lekcy fechtunku i języka włoskiego“ (T. I, 144). „Hulał, oddany najwyuzdańszej rozpucie. Nie było namiętności, którejby się oparł; a jednak przy takim rozpasaniu umiał wykształcić swój rozum: nie było bowiem nauki dla niego obcej“ (Michałowski).

W Paryżu zapoznał się z elitą, śmietanką umysłowości francuskiej. W salonach p. Geoffrin du Deffand, de Lespinasse etc. spotykał się z d'Alambertem, Grimmem, St. Lambertem, Holbachem, Pironem, Diderotem etc. Nowy ten świat tak odmienny i tak bogaty olbrzymie wywarł na nim wrażenie. Z entuzjazmem i krańcowością natury zawsze dążącej *ad superlativum*, w rozgwarze uczt i zabaw każdą chwilę wolniejszą poświęca poważnym studyom. Nabiera gustu wykwintnego i zamiłowania do literatury i wiedzy; gracz i hulaka staje się zarazem zapalonym czytelnikiem i erudytem. Gromadzi pokaźną bibliotekę. „Il me reste une bibliotheque choisie, composée de plus de 2,500 volumes, a la tête desquels on trouve le Dictionnaire Encyclopedique. Cette collection est la fleur de la crème de la littérature ancienne et moderne; j'étais autrefois amateur des livres rares et je recherchais les éditions le plus estimées. Ils m'ont coûté bien

plus de mille ducats“ (305). Poeta dość często ofiarowywał królowi rzadkie edycye, których bibliotece St. Augusta brakowało.

A oto, jak w parę lat później maluje swe wczasy: „Si je sors rarement; c'est que je suis presque toujours chez moi dans une très bonne compagnie: en m'éveillant je vois d'abord Platon, Ciceron et Montaigne qui me disent de belles choses; le reste de la journée nous passons avec Montesquieu, Jean Jacques et l'abbé de St. Pierre, qui m'instruisent, quelquefois Virgile vient pour nous attendrir, quelquefois la Fontaine cet élève de la nature nous réjouit par ses contes et par ses fables immortelles, enfin au soir je m'endors dans un même lit avec le respectable Homère. Combien de grands hommes, qui travaillent à me distraire; où trouverai-je une meilleure société?“ (str. 301).¹⁾

Znalazł się więc w naturze sarmackiej grunt, na którym zupełnie wygodnie się przyjął typ encyklopedysty w. XVIII. Łącznikiem był sybarytyzm umysłowy, a nieraz i sensualizm, jaki uzasadniały wymownie niektóre prądy filozofii encyklopedycznej. Uderzając taranem ironii i szyderstwa w mury przestarzałych zabobonów i przesądów, encyklopedyzm zachwiał równocześnie w wielu kierunkach uczucia etyczne i religijne, jakie przyzwyczajano się dotąd wiązać ściśle z systemem wiary pozytywnej. Pobudki były jasne — w nieodpowiedzialności dogmatów wyznaniowych przed trybunałem myśli, w instynktowości i odruchowości uczuć wogóle — krył się zawsze grunt dogodny dla fanatyzmu i wierzeń bezkrytycznych, a przeciw temu właśnie reakcją był encyklopedyzm, dążący do postawienia rozumu ludzkiego na stanowisko naczelne. Kształcenie umysłu, przedtem zaniedbywane, bezwzględnie tryumfuje nad potrzebami uczucia i serca.

Nim wytworzyła się nowa religia człowieka i postępu, działalność encyklopedystów negatywna, burząca szerzyła sceptycyzm, zamęt, zwątpienie i zobojętnienie w sprawach etyki i moralności. Demoralizacya powszechna i rozwiązłość obyczajów, wzamian „tradycyi“ często niewygodnych, przykrywały się chętnie płaszczykiem filozoficznym.

Wiek XVIII, pragnąc objąć i wytłómaczyć wszystko, rozwija gorączkową działalność literacką i naukową. Zamiatowanie

¹⁾ Czy poznał Trembecki osobiście Voltaire'a i Rousseau'a, nie wiemy i nie ma to większego dla nas znaczenia. Natomiast epizod o rzekomej rywalizacji naszego poety z Voltairem, zakończonej pojedynkiem z hr. S. Lambertem i ucieczką z zamku Cirey, należy niewątpliwie do fantazyi H. Rzewuskiego (Listopad, t. III, r. 3 (Król St. August).

wiedzy szerzy się pod jego wpływem z niebywałą siłą. Pociągało to wszakże za sobą jeden grzech śmiertelny, nieunikniony. Encyklopedysta przeciętny, żyćcać wszystko poznać, poznaje wszystko pobieżnie, chcąc zbadać wszystkie dziedziny wiedzy, żadnej nie bada gruntownie, zadawałniając się najczęściej samym procesem poznawania. Czyli że zdejmując przeważnie z literatury, nauki i życia piankę sensacyi, nastroju, rozrywki intelektualnej, rzadziej bezporównania będąc zdolny do poważnej i płodnej pracy twórczej.

Idealnem odbiciem takiego właśnie typu encyklopedysty był nasz poeta.

Dyletantyzm zaborscy i rozrzutny obok sybarytyzmu i hedonizmu myśli odpowiadał jak najlepiej lenistwu, gnuśności i żądzy rozkoszy tkwiącym w sarmackiej jego duszy. Nastąpiło zlanie się, skojarzenie ściśle dwóch pierwiastków, pozornie tak sprzecznych, jak encyklopedyzm i sarmatyzm.

W rezultacie mamy Trembeckiego, jakim z Paryża powraca i jakim już będzie do końca życia. Do końca więc pozostanie zaciętym, sarkastycznym wrogiem kleru i dogmatów, do końca—miłośnikiem wiedzy, oświaty i literatury, jako źródła przyjemnych rozrywek i ćwiczeń umysłowych. Idee społeczne filozofii francuskiej łącznie z podszeptem własnego zapewne poczucia sprawiedliwości sprawiły, że we wszystkich swych pismach był także rzecznikiem gorącym, przekonany, serdeczny nawet reformy zasadniczej i poprawy doli chłopu. Z oziębłością filozoficzną natomiast odnosił się do kwestyi metafizycznych, idealnych, podniosłych. Uczucia, etykę, obowiązki ważył zwykle na szalkach sceptycznych rozsądku.

Zgodnie z duchem wieku grzeczność dworska Trembeckiego graniczy z przesadą, a żyłka sarmacka do panegiryzmu kojarzy się wybornie z modą równie wygórowanych pochlebstw u encyklopedystów. Kogo razi specjalnie „dworactwo“ Trembeckiego, niech przypomni komplementy Voltaire'a i innych zwrócone do Katarzyny II i Fryderyka Wielkiego. Sam anarchista i rewolucjonista Rousseau niezawodną miał do nich słabość.

A jeśli zapytamy, co wyniósł Trembecki z czteroletniego pobytu we Francyi pod względem politycznym? Czy podobna wyobrazić skrajniejsze przeciwieństwa, jak prowincya polska czasów saskich a Wersal i salony encyklopedystów? W domu fanatyzm i bezmyślność elementarna—we Francyi tolerancya i świętny ruch umysłowy; w domu barbarzyństwo, przesady—we Francyi kultura, ogłada, wolnomysłowość; w domu chaos, anarchiczne

nierzady chciwych magnatów i szlachty ciemnej zaspanej — we Francyi zorganizowane potężnie: administracya, wojsko, urzędy, oświata publiczna. Wnioski są jasne.

Trembecki szybko się oryentował i trzeźwy miał umysł, w rozumowaniu swem oparł się na sinutnej rzeczywistości polskiej. Radykalne teorye encyklopedystów uznawać mógł w odniesieniu do Francyi, w Polsce przyczyniłyby się tylko do wzmożenia chaosu i ciemnoty. Anarchia polska wiązała się z podstawami Rzplitej szlacheckiej. We Francyi postępowi kultury i oświaty odpowiadał współcześnie absolutyzm polityczny. A więc i Polsce takiego rządu potrzeba, skoro się chce ją na sposób europejski zreformować. I absolutyzm oświecony staje się ideałem Trembeckiego.

Potwierdzenie tych poglądów znajdujemy w jego pismach. Działaczem jednak, reformatorem czynnym nie był nigdy. Sybarytyzm i epikureizm zbyt mocno przepoiły mu duszę.

W takim mniej więcej usposobieniu wraca Trembecki do kraju gdzieś w końcu 1768 r. „przetarty z przesądów, ale zrujnowany majątkowo i zadłużony“. Trzeba było rozejrzeć się za jakimś sposobem do bytu. Oczy encyklopedysty i wersalczyka musiały się zwrócić oczywiście na dwór królewski. Może rekomendacya p. Geoffrin, „maman“ Stanisława Augusta, ułatwiła mu wstęp. Znajomość zawarta została wkrótce po przyjeździe.

Hipoteza o poznaniu się króla z Trembeckim w Paryżu upada, ponieważ byli tam w różnych czasach. St. August podróżował od r. 1753—6. Zresztą byłby o tem bezsprzecznie wspomniał poeta w swej korespondencji z królem. A. Magiera pisze, że „król znał Trembeckiego jeszcze w r. 1768, kiedy w młodym bardzo wieku już był czynnym i dawał się poznać z poezyi i niektórych tłumaczeń autorów klasycznych“¹⁾. Informacya ta wydaje się przedwczesną o kilka lat. B. Michałowski, opowiadając o dziejach swego zainstalowania się w Warszawie przy dworze St. Augusta około 1765—6 r., twierdzi, jakoby p. Trembecki i p. Łuba świeżo wrócili z zagranicy i mianowani zostali szambelanami (T. II, 150 etc.). Przeczyłoby to naszym wiadomościom powyższym, ale widocznie Michałowskiego co do następstwa szczegółów i dat często pamięć zawodziła. Wnosić to można z kilku ważnych błędów chronologicznych: pisał zresztą swe pamiętniki już w wieku bardzo podeszłym, mając około 80 lat. Rozcina wąt-

¹⁾ A. Magiera, Dwór i zarysy domowego życia króla St. Augusta, str. 19.

pliwości sam Trembecki, mówiąc o tym czasie: „Dworowi dotąd prezentowany nie byłem“ (265). Tembardziej nie mógł zostać odrazu szambelanem i dworzaninem królewskim.

A już rozpoczynał się groźny ruch Konfederacyi Barskiej. Król był w ciężkich kłopotach finansowych i politycznych. Trembecki, nieznany mu prawie, bez wpływu w kraju i bez pieniędzy nie mógł być użyteczny. Nie mając żadnych pomyslnych widoków przy dworze, uciskany przez kredytorów i sędziów, Trembecki ponownie jedzie za granicę.

Musimy w kilku słowach przedstawić tu plany Barszczan.¹⁾

Stronnictwo umiarkowańsze z biskupem A. Krasieńskim i podskarbin Wesslem na czele starało się utworzyć generalność Konfederacyi pod swoim wpływem.

Niezadowolony, że godność marszałka generalnego miała go ominąć, *M. Mostowski* wojewoda mazowiecki, dawniej pomorski, ściga wota marszałków powiatowych na siebie. Już w czerwcu 1769 r. jest w kłótni z partją tantą. Mostowski był człowiekiem zapalnym, narwanym i zdecydowanym. Miewał pomysły bardzo zuchwałe i radykalne. Agitując na swoją rękę, starał się przyciągnąć, jaknajwięcej stronników do swego obozu. W końcu uzyskał około 28 głosów marszałków powiatowych (z nich wielu fikcyjnych).

Traf chciał, że Trembecki w drodze do Wiednia, spotkał się z nim w karczmie pod Cieszynem. Wywiązała się rozmowa. Trembecki umiał olśnić łatwowiernego wojewodę i wzbudzić w nim zaufanie. Wymógłszy od niego kilka uroczystych straszliwych zaklęć na zachowanie sprawy w tajemnicy, Mostowski odkrył przed nim swe plany. Jedne dotyczyły porwania i sądzenia króla sądem konfederackim, choćby miał i zginąć przy tem, drugie bezpośrednio łączyły się z osobą Trembeckiego. Wręczył mu Mostowski instrukcye i mianował go ambasadorem Konfederacyi (właściwie *swoim* agentem, ponieważ generalność już miała tam niejakiemu Gomulińskiego) przy dworze Wersalskim.

Instrukcye te omawiały postulaty partji Mostowskiego: żądanie pomocy zbrojnej, pieniężnej, dyplomatycznej. Wyjaśniały projekty na obsadzenie tronu polskiego i na pożądane wyniki

¹⁾ Informacje o Barszczanach wraz z całym epizodem udziału w tem Trembeckiego, który zostawał dotąd zagadką, zawdzięczam uprzejmości d-ra W. Konopczyńskiego. Obszerne, źródłowe wiadomości o tym, zamieszcza on w „Przeglądzie Narodowym“ z r. 1913, p. t. „Tajemnica Trembeckiego“.

akcyi Konfederatów. Datowane 18 lipca 1769 r. w Cieszynie. Trembecki stoczył z sobą ciężką walkę, w końcu jednak zdecydował, że słowo honoru, pokrywające zbrodnię, wolno złamać i obawiając się wracać do Warszawy, pojechał do Wiednia, gdzie wręczył instrukcyę i allegaty ks. Jędrzejowi Poniatowskiemu. Ten sztafetą odesłał oryginały do króla.

7 października St. August informuje obszernie swego rezydenta w Petersburgu o spisku Mostowskiego. 11 października opowiada o tym samym p. Benoit, ambasadorowi pruskiemu.

Trembecki z Wiednia pojechał dalej, napisał Mostowskiemu, że w Strasburgu, jakoby go okradziono z rzeczy i zabrano mu także instrukcyę. *Wójcicki* ¹⁾ na podstawie rękopisu stwierdza, że w 1770 r. Trembecki jest w Bielsku, a później w Preszowie, gdzie widocznie na polecenie królewskie, pełni służbę tajnego agenta dyplomatycznego. Widział się tu pomiędzy innymi z ks. Panie Kochanku. W ogóle pokrewieństwo z Radziwiłłami wzbudzało w sferach konfederackich dużo zaufania.

Trembecki odegrywa rolę dosyć dwuznaczną. Obserwuje on stosunki i życie wewnętrzne generalności, informuje króla o jej planach, namawia różnych dowódców Konfederacyi do dezercyi i przerzucenia się na stronę królewską. Najciekawsze jest to, że odważa się znowu pojechać do Mostowskiego do Wrocławia, umie go przekonać, że utracenie instrukcyi było nieszczęśliwym wypadkiem i wyłudza od niego nowe plany chimeryczno-rewolucyjne, o których najskrupulatniej donosi królowi! Funkcyę, jakie pełnił Trembecki, wymagały bezsprzecznie wielkiej odwagi, zimnej krwi i przytomności umysłu, ponieważ pociągały za sobą w razie wykrycia groźne niebezpieczeństwo. Funkcyę tę wszakże dają się połączyć jedynie z pewnem znieczuleniem etycznym i obojętnością moralną. Nie każdy by się zgodził pełnić rolę szpiega, choćby i dyplomatycznego.

Biografowie upatrują w tem owoc wyłączenia wyrachowania i płaskich pobudek. Czy słusznie? Mimowoli nasuwa się pytanie, czemu nie przystąpił do obozu Barszchan, wśród których było tylu potężnych magnatów — nawet z nim spokrewnionych, jak Radziwiłłowie mińscy. Bogatsi i hojniejsi od ubogiego Stanisława Augusta, stokroć lepiej umieliby wynagrodzić i poprzeć poplecznika. Tembardziej, że był to (1769 r.) okres konfederacyi

¹⁾ K. W. Wójcicki. Powązki i Trembecki. T. I, 243—5, „Cmentarz Powązkowski“.

może najświetniejszy, kiedy chwiał się poważnie tron króla, osamotnionego i niepopularnego. Inne więc pobudki skłoniły Trembeckiego na stronę królewską. Oprócz dumy rodowej—szambelan nasz nie życzył sobie wcale zostać klientem magnatów—zdecydowały przedewszystkiem sympatye i przekonania polityczne, które podzielał z Stan. Augustem. Obaj należą do typu umysłowości encyklopedycznej. Obaj są zwolennikami wzmocnienia rządu i władzy królewskiej, wrogami anarchii szlacheckiej. Obaj zamiłowanie mają do nauk, oświaty i literatury, niechęć do ciemnego sarmatyzmu. Obaj „przetarci“ z różnych przesądów i skrupułów laseczką sceptycyzmu filozoficznego, kierują się zasadą rozsądku i utylitaryzmu praktycznego w stosunku do ludzi i wypadków. Obaj mają wiele wspólnych słabostek i wad.

Ustęp następny z wyznań króla w „Pamiętnikach“ (Poznań 1862, 9, 11 etc.) wybornie pasowałby i do jego szambelana:

„J'aperçois vite le ridicule et le faux en tout genre et les travers des gens et souvent j'ai été trop prompt à le leur faire sentir. Je hais la mauvaise compagnie par antipathie. Un grand fond de paresse ne m'a pas laissé étendre mes talents et mes connaissances aussi loin, que je l'aurais pu“.

Cóż więc dziwne, że się zbliżyli i zaprzyjaźnili, że mieli dla siebie nawzajem dużo pobłażliwości i wyrozumienia.

Ideologia polityczna króla również trafiała do przekonania jego szambelanowi, który i sam co do położenia Rzplitej usposobiony był bardzo pesymistycznie. We wzmocnieniu władzy króla encyklopedysty upatrywał jedyną drogę do ucywilizowania kraju, do wyrwania go z barbarzyństwa i rozprzężenia. Koniecznością w tym celu było znalezienie przeciwwagi chciwym uroszczeniom magnatów, bogatych i możnych.

Równocześnie wpływ decydujący na tok spraw państwowych wywierały trzy naraz mocarstwa—każde o sprzecznych interesach. Wyjściem poniekąd z tej matni byłoby oparcie się na jednym z nich, aby po wyzwoleniu z pod hegemonii reszty zaborców, stworzyć stopniowo twierdzę przeciw samowoli wielmożów, a przez to podstawy do odbudowania ścianu nawy uszczupłej Rzpltej. Że zaś w polityce pomoc bezinteresowna nigdy nie bywa, należało z góry przyjąć jej kosztą, choćby i wielkie. Licząc się z warunkami realnymi, wypadało podporządkować się zupełnie kurateli dyplomatycznej owego sojusznika — protektora — znosić przykrości, nawet poniżenia, byle zdobyć możność reorganizacyi i oświecenia państwa. Wśród nawału piętrzących się przeszkód zewnętrznych i wewnętrznych praca postępować mogła

niezmiernie wolno, unikając wstrząśnień gwałtownych i ruchów nagłych, wszystkiego słowem, co drażniłoby potężnych sąsiadów.

Program polityki organicznej, obliczony na parę pokoleń conajmniej, wymagał spokoju i stałości. I dlatego przy wybranym raz protektorze trzeba było we własnym interesie wytrwać otwarcie i szczerze. Konieczność takiego wyboru Trembecki rozumiał, konsekwencye jego usprawiedliwiał, jako rzecz nieuniknioną.

Materyaliści nie mogli wyrzucać Rosyi, że zagarnęła część Litwy w postaci odszkodowania za walki z konfederatami, skoro Prusy uczyniły to nawet bez pretekstu. Ciągłe zresztą zawichrzenia i konfederacye, nasuwały najsmutniejsze myśli o możliwości jakiegś samodzielnej polityki polskiej.

I oto król pod przymusem okoliczności przystaje na pierwszy rozbiór, pragnąc sojuszu z Rosyą, jako zła najmniejszego, malum necessarium. Trembecki poglądy króla, niezależnie od wpływu jego osobistego, podzielał rozumowo zgodnie ze swą psychologią i kierunkiem umysłowości. W pismach swych nie był tubą królewską, ani płatnym pismakiem od wypadku do wypadku. Jako pisarz polityczny bronił ideologii zarówno własnej, jak królewskiej. Nie odstąpił od zasad wyłuszczonych powyżej ani o jotę. Zwolennikiem przekonanyym przymierza z Rosyą ze względów praktycznych, a później ideowych, pozostał do końca. Inna rzecz, że do czynnych wystąpień król go pobudzał, sam bowiem do pisanja samorzutnego był za leniwy.

Rzecz ciekawa, że w stosunku swoim do Stan. Augusta szczególnie zawsze podkreśla zgodę z jego poglądami i swój dla niego szacunek. Wkrótce po powrocie do kraju pisze: „iuz y w onym czasie kochałem Waszą K. Mość passyą, siłami Fanatizmowi równą za sposob jego czynienia, myślenia, mowienia nawet (str. 267).

W 1779 r. tak siebie charakteryzuje: „Ten, który za całość Stanisława Augusta ochoczo gardło swoje offiarował, był z wielu stron do ludzi pocziwych y sprawiedliwych bardzo podobny, przenikniony respektem wysokich cnot y przymiotow swego krola; dlatego mu tylko służył, że go wewnątrznie szacował“ (str. 420).

To też z dumą o twórczości swej literackiej i roli obrońcy polityki królewskiej powiada: „Ten to sam iest, który Polskiej literatury od W. K. Mci rozszerzoney pokazanemi iuz probkami nie zespeciał, który po wielkiej części oémionemu uprzedzeniem

Narodowi nągłośniey powiedział, iakim W. K. Mość iesteś y oczy mu przetart⁴ (str. 475).

Ale wróćmy jeszcze do strony faktycznej.

Z kwietnia i maja 1772 r. Siemieński przytacza jego listy z Bielska, a w końcu tego roku Trembecki już się znajduje w Warszawie. Usługi, jakie okazał, były dość znaczne.

W 1770 r. król go mianował—może zaocznie—szambelanem. 9 stycznia 1782 r. wyliczając godności, jakie posiadał, poeta mówi: „przez lat 11 szambelanem“ (528), na razie bez pensyi. Rzeczywiście szambelanom dostawali różne zasiłki. W 1772 r. wrócił do służby i drugi szambelan *B. Michałowski*. Zaświadcza on że Trembecki „coraz głębiej wkorzeniał się w łaski króla“. (T. III, 63).

Rozwija on działalność poetycką. W 1772 już roku pisze Ode na powitanie ks. Jerzego Michała Poniatowskiego, późniejszego Prymasa. ¹⁾ Korespondencya poety dostarcza wielu dowodów na to, że dopiero w r. 1769 zbliżył się do króla, oddawszy mu znaną już nam usługę, o której tylko napomyka zdaleka. ²⁾ Z finansami jego było bardzo kruch. Kosztowne podróże, hulaszce życie, wreszcie agentura przy generalności, najprawdopodobniej źle albo wcale nie płatna, zupełnie zachwiały jego pozycyą majątkową. W 1772 czy 3 r. król go przywołał i wyznaczył na życie pensyę 13,668 złp. (760 duk.) (str. 283, 384). Oprócz tego został komisarzem w „komisyi wojskowej“. Narzeka w 1774 r., że nie może dalej piastować „*magistratury* mu powierzonej“ i chętnie odstąpi „temu, kto po mnie zasiadać w *komisyi* będzie“ (269). Że chodziło właśnie o tę komisję, mamy dwa świadectwa. W liście 9 stycznia 1782 r. poeta wśród innych swych urzędów wymienia, że był „komisarzem wojskowym“ (528). Zaś w tabeli likwidacyjnej, przedstawionej sejmowi Mokronowskiego (1776 r.) w rachunkach departamentu komisyi wojskowej znajdujemy taką pozycyę: „Trembecki szambelan J. K. M. — pensyi z własnej prezencyi

¹⁾ S. Tomkowicz. Wiersze nieznane tudzież waryanty Naruszewicza, Krasickiego, Trembeckiego. „Z wieku St. Augusta“. Kraków, 1882.

²⁾ W 1777 r. mówi o 8 latach służby (279); w 1780 — o 11 latach (480); w 1783 — o 14 latach (586); 5 stycznia 1787 r. — o 18 latach (383); 11 marca 1788 r. — o 20 latach (697). Rok 1769 był punktem wyjścia w stosunkach i zażyłości szambelana i króla. Wszelkie inne wersye trzeba usunąć, jako anegdotyczne i bezpodstawne.

przychodzącej 4943 zł., absencji odebranej 1556; pretendowanej—4911¹⁾.

Pożyczka zaciągnięta pod zastaw majątków na ostatnią podróż (1769—1772 r.) dobiła poetę. Zadłużony po uszy, ścigany procesami nie może opędzić się potrzebom bieżącym, zwłaszcza, że życie przy dworze w Warszawie kosztowało bardzo drogo, jak to poświadcza i B. Michałowski. W 1774 r. sprzedał za długi wieś Jastrzębniki, ²⁾ W obszernym memoryale z dnia 16 grudnia 1774 r. wystawia rozpaczliwy swój stan finansowy. Król go wsparł na razie, a w 1777 r. mianował „sekretarzem”. ³⁾ Związana z tym pensja była zresztą nieznaczna. W 1781 r. został kawalerem orderu św. Stanisława.

Z listy urzędów i zaszczytów poety, dowiadujemy się, że przyrzekano mu dwakroć starostwo Nowomiejskie, ale go nie otrzymał. Był także, o czem gdzieindziej żadnych niema wzmianek, nawet dezygnowany, mając lat 27, *senatorem* województwa Krakowskiego. Był wreszcie *generałem* (?) przez lat 20. (528).

Od 1776—1780 r. poeta znalazł się jakby pod kuratelą finansową. Pensję jego dostawał kamerdyner królewski Brunet, który miał z niej wypłacać długi szambelana, dając mu zarazem utrzymanie całkowite. Król sądził, że w ten sposób zapobiegnie fatalnym skutkom rozrzutności poety. W końcu jednak i opiekun i opiekowany grubo się pokłócili i od r. 1781 kuratela ustała. W tym roku Stan. August przejął długi swego szambelana w kwocie 2450 dukatów (44100 złp.). ⁴⁾ Spłacało się to powoli i nie zupełnie ratowało szambelana od przykrości. Zmniejszono mu też pensję do 10,050 złp. rocznie, gdy ekspensa jego wynosiła przeszło 13,000 złp. (525). Kilkakrotnie król płacił osobno jego długi po kilkaset dukatów.

W 1786 r. nastąpiła redukcja pensji o połowę, (601—3). Było to strasznym ciosem dla wersalczyka, który obył się z wymaganiem wykwintnego, a przez to i kosztownego życia. Zasypuje odtąd króla najrozmaitszymi prośbami o jakiś urząd, czy

¹⁾ A. Bem. „S. Trembecki“ (profil). „Prawda warszawska“ z 1883 r., 340 str.

²⁾ K. W. Wójcicki. „Cmentarz Powązkowski“. T. I.

³⁾ Dr. R. Pilat. Historia poezji polskiej XVIII w., (1764—1795), opracował dr. L. Bernacki. Lwów 1908, T. IV, 176.

⁴⁾ T. Korzon. Wewnętrzne dzieje Polski za St. Augusta. Kraków, 1897. T. III, 73.

posadę intratną, któraby wystarczała na przyzwoite utrzymanie. Król stale odmawia albo przyrzeczeń zrobionych w chwili dobrego humoru nie dotrzymuje. Za to w 1787 r. znowu przejmuje długi szambelana w kwocie około 1300 dukatów. Pensyi w tym czasie dostaje poeta około 480 dukatów rocznie, (8,640 złp.). Zaciągał długi na życie, tymczasem trapiły go niesłychanie weksle i zobowiązania dawne. W 1783 r. pozbywa się „Zielonek“. ¹⁾ Wreszcie w 1793 r. król znowu przejmuje długów Trembeckiego na 27,637 + 4,160 = 31,797 złp. ²⁾ Jeżeli zważymy wysoką stopę życiową, której wymagała pozycya dworska szambelana i jego wykwinne nawyknięcia, jeżeli zważymy, że odrazu na wstępie miał długi, których część i to nie największą, podawał do wiadomości królowi, jeżeli zważymy, że nawet na życie pensya nie zawsze, zwłaszcza po redukcji, wystarczała, jeżeli zważymy wreszcie, że na służbie królewskiej zagranicznej (1769—1772) wydał także nie mało, a król nie obmyślił mu prócz pensyi żadnej posady, czy urzędu, zapewniającego dostatni byt i możność spłacenia długów—to wynagrodzenie poety za jego usługi nie wyda się nadmiernie wysokiem.

II.

Król cenił Trembeckiego bardzo wysoko. Do niego, jako do powagi udawał się w wielu sprawach naukowych, nawet historycznych, chociaż Naruszewicza miał pod ręką. Najdrobniejsze notatki swego szambelana przechowywał bardzo skrupulatnie. Dowodem teka „Litteraria“ znajdująca się w posiadaniu ś. p. Pawła Popiela. ³⁾

Rozpatrzywszy się w treści jej pojmujemy dopiero, jak wykształconym, chciwym wiedzy i energicznym był umysł Trembeckiego. Klasyków (poetów i historyków) znał wybornie. Na poparcie swego zdania umiał przytoczyć podczas dyskusyi w najdrobniejszych kwestiach prawnych czy historycznych cytaty do-

¹⁾ K. W. Wójcicki. „Cmentarz Powązkowski“. T. I.

²⁾ T. Korzon. Wewnętrzne dzieje Polski za St. Augusta. Kraków, 1897. T. III, 89, 90 str.

³⁾ Wnioski poniższe opieram na materyale podanym w rozprawie p. Tomkowicza p. t. „Erudycya Trembeckiego“ w „Przeglądzie polskim“, z 1880 r. T. II.

kładne z różnych autorów starożytnych. Podaje szereg projektów do napisów łacińskich dla łazienek niekiedy z pamięci. Piśze dla króla cały komentarz filologiczny do Horacego, odczytuje stare inskrypcje, kwalifikuje numizmaty. A pozatem niema żadnej nowości literackiej, naukowej, żadnego wynalazku, które-goby nie zbadał, nie poznał, nie zaopiniował.

Wszechstronność zdumiewająca. Cechuje wciąż Trembeckiego sybarytyzm; interesuje się i chce wiedzieć wszystko dla własnej przyjemności, nie dba o utrwalenie jej w dziele naukowem, ani o chwałę pisarską.

O niezwykłej samodzielności inteligencji autora „Zofjówki“ świadczy, nawiasem mówiąc, fakt, że w 1788 r. przysłuchuje się mazurskiej gwarze ludowej i, wybornie ją naśladowając, układa w niej wierszyk ku czci króla p. t. „Pieśń dla chłopów krakowskich przez Wisłę przepływających 7 febr. 1788 r.¹⁾ A więc na 12 lat przed Czackim zwraca uwagę na twórczość ludową—w epoce despotycznego panowania smaku francuskiego w literaturze.

Po odmalowaniu tła psychologicznego poglądów szambelana Stan. Augusta na sojusz z Rosją, przejdźmy do tła ideowego. Rozwinęło się ono z studyów historycznych.

O kierunku tych studyów na Wszechnicy Jagiellońskiej nie wiemy dużo. Przypuszczać wolno, że prócz jakiej takiej znajomości kronikarzy starożytnych i ojczystych, nic chyba stamtąd nie wyniósł.

Jakiż był stan badań historycznych w Polsce podówczas, jakie było podłoże ich psychologiczne i moralne, co mogły dać one specjalnie Trembeckiemu? W opinii patryotycznej i uczzonej środka XVIII w. u nas zarysowały się w sprawie poniżenia i upadku Rzpltej dwa prądy.

Jedni sądzili — światlejsi, nieliczni — że przyczyna leżała w zniweczeniu dawnych podstaw polityki państwowej, drudzy z obozu starszylacheckiego, republikańskiego, upatrywali ją w zepsuciu charakteru pierwotnego i obyczaju narodowego. W wyższości przodków moralnej i swoistej kryła się dla nich zagadka teźyzny i mocy, jaką oni państwu ongiś nadać umieli. Jedni i drudzy odpowiedzi szukają w historii naszej z epok najstarszych. Mnożą się też poszukiwania nauki i wzoru w przesz-

¹⁾ Z rękopisu nr. 938 u Czartoryskich ogłosił w „Materyałach antropologiczno-etnograficznych Akademii Umiejętności“ w 1897 r. T. II, 1—4. J. Stein nieznaną wiersz S. Trembeckiego.

łości, mnożą się uśiłowania wynalezienia idealnie czystego typu państwowości i ducha polskiego, których przywrócenie miało uratować Rzplitą.

Opinię tę ogólnie przyjęto w obozie postępowym i staro-republikańskim, chociaż w każdym inaczej ją tłumaczono. Panowała ona absolutnie i odegrała rolę niestłuchanie ważnego czynnika psychologicznego w kierunku i rozwoju historyografii polskiej. W pogoni za urojonym „typem“ patryarchalnej polskości badacze ówczesni zapuszczają się w gąszcz faktów historycznych włącznie do legend i podań, które traktują najczęściej z dobrą wiarą. Zaś epoka prahistoryczna Polski wiązała się ściśle z dziejami plemion słowiańskich, aż przechodziła wreszcie w bajkę zasnutą przeszłość jakiegoś mitycznego jednolitego narodu Sławów—Słowian. Nie koniec na tem. Sławów łączono z innymi ludami starożytnymi, układano bajeczne genealogie i kolligacje... Otwierało to pole do kombinacji najdowolniejszych, dawało strawę obfitą wyobraźni, lubującej się w hipotezach najfantastyczniejszych.

Wobec braku tradycji i wyrobienia naukowego, wobec scholastycyzmu oplakanego Akademij polskich krzewiły się bujnie kompilacja i erudycja jałowa dyletantów, którzy oprócz pobudek patryotycznych, pociągu instynktowego do wiedzy i dużej nieraz dozy próżności—żadnego przygotowania do pracy nad historią nie posiadali.

Wszystkie te próby noszą piętno chaotyczności i dorywczości, rozróżnione są i oderwane, żadnego kierunku ani systemu nie przedstawiają. Dość na razie, że obok rozważań praktycznych nad lepszą organizacją państwa zjawia się i zamięłowanie do poznawania dziejów starożytności polsko-słowiańskiej.

Z natury rzeczy ruch ten pierwotnie dyletancki płodnym był i doniosłym zaczątkiem odrodzenia umysłowości polskiej w danej dziedzinie. Kojarzy się on częściowo ze staraniami nawiązania nici duchowych z okresem idei Jagiellońskiej, która przy wytycznych rdzennie polskich posiadała cechy słowiańskie. Protektorat moralny nad całym ruchem objęli książęta Czartoryscy, skupiając go pośrednio czy bezpośrednio dokoła Puław.

W ten to sposób myśl patryotyczna konsekwentnie, z pobudek czysto polskich przysłała do ogólno-słowiańskiej doby dziejowej i do roztrząsania całości i szczegółów kwestyi stosunków słowiańskich.

Jednym z najwybitniejszych zwiastunów nowych prądów w pierwszym ich stadyum był ks. *Józef Aleksander Jabłonowski*

(1711—1777).¹⁾ Dumny niesłychanie i zarozumiały magnat powody ambicyi szczególnej upatrywał w swej działalności uczzonej. Nie mając znaczenia naukowego, prace jego budziły wszakże interes i zachęcały do przedmiotu studyów, t. j. do Polski w związku z Słowiańszczyzną.

Był on nie bez rozgłosu i wpływu w Europie, ponieważ dzieła swe w języku francuskim i niemieckim wydawał zagranicą. Księżę Jabłonowski opuścił kraj z powodów politycznych i założył w Lipsku pod nazwą „Societas Jablonoviana“ uczone towarzystwo, które pomiędzy innemi corocznie odznaczało nagrodą lepsze prace na tematy ogłoszone z zakresu historii słowiańskiej i polskiej. Ożywiło to bardzo zainteresowanie dziejami Słowiańszczyzny w Niemczech, odbiło się dodatnio na wzmożeniu podobnego zajęcia w kraju.

Jedną taką nagrodę uzyskał słynny Schlötzer. W „Acta societatis Jablonovianae“ znajdujemy również kilka traktatów samego księcia. W tymże organie umieściło swe studia kilku czeskich uczonych, co świadczyło, że wpływy towarzystwa sięgały także krajów słowiańskich, choć czasopismo towarzystwa wychodziło przeważnie w językach obcych.

Część pism ks. Jabłonowskiego w językach francuskim i łacińskim Trembecki poznał prawdopodobnie jeszcze zagranicą, resztę razem z rozprawami „Societatis Jablonovianae“ podczas studyów w kraju.

Uczoność ówczesna nie mogła dostarczyć zbyt doborowych i obfitych wiadomości w tej kwestyi. Bałanutne zwykle, ale zastanawiające informacje polsko-słowiańskie ks. Jabłonowskiego, mogły zarzucić w duszę naszego poety pierwsze ziarna nieokreślonych sympatyj słowiańskich. Program Moskwofilski króla, oparty w części na elementach wspólnoty szczepowej z Rosyą, zapewne przyczynił się także. Pobudką do ujawnienia i sprecyzowania poglądów słowianofilskich Trembeckiego staje się ponieważ Stanisław August.

W 1775 r. wyszła w Warszawie broszura kuchmistrza koronnego Michała Wielohorskiego p. t. „O przywróceniu dawnego rządu według pierwiastkowych Rzeczypospolitej ustaw“. Republikańskie, szlacheckie jej argumenta polecił król zbić Trembeckiemu. Trembecki dla ugruntowania swej odpowiedzi zabiera się

¹⁾ Patrz stanowczo zbyt surowy sąd o nim w dziele prof. J. Treliaka: Zaleski. T. I, R. III. Oprócz paru artykułów pobieżnych, nikt mu niestety nie poświęcił dotąd studyum szerszego.

do obszernych studyów, tak, że aż musi usprawiedliwiać przed królem swe opóźnienie: „Za pozwoleniem W. K. M-ci Pana mego miłościwego odczytałem się należycie książki przez I. P. Wielhorskiego wydanej, a pełney chimer, rozmyślnych fałszow, y z małej uwagi rodzących się kontradykcy. Na dokładne odparcie tych nieprzyzwoitości materyały składaam. A że obalając iedną budowę, drugiey wskażę niby fundamenta, na to wszystko muszę odłożyć czasu około dwoch miesięcy, ieżeli pragnę, aby moje dziełko cokolwiek dłużej potrwało w ludzkiej pamięci, nad czas iego napisania“. ¹⁾

Prosi następnie o instrukcye co do tego, jakim punktom politycznym ma większą poświęcić uwagę, szkicuje plan swojej pracy w Post Scriptum... (397).

„Rozmiar pisania mego ma bydź blisko takowy,
pod tytułem „O Rządach Polski“.

Przemowa do J. P. Wielhorskiego

Wyluszczenie iego proiektu i refutacya.

O Rządzie Polskim y iego odmianach w różnych czasiech

Pod iakim rządem zyskaliśmy,

pod iakim ponieśliśmy szkody y czemu

Jaki rząd teraz byłby nam naypożyteczniejszy,

Na końcu będą dowody:

Z Historii swoiey y obcey

Z Statutów y Konstytucyy

Z Traktatów

Z Przywileiów“.

Szczególnie go pochłania epoka starożytna; z celu ubocznego wyrasta ona wkrótce na przedmiot ciekawości główny.

Pisze w innym liście: „Jak Alchymista wiele rzeczy po drodze znajduie, nim do swego przyydzie końca, tak y mnie, gdym w interesach Polskich począł się zagłębiać, starożytne, a źle znane początki y dzieła Narodów *naszego* (słowiańskiego m. uw.) języka dość długo zatrzymały“. ¹⁾

Coraz więcej pociąga go doba ogólnosłowiańska, zaczyna mu przybłąkiwać się myśl o poświęceniu dobie tej pracy odrębnej.

„Y osobne o tem można by kiedyś uczynić objaśnienie“.

¹⁾ List ten i następujący wydał także dr. Biegeleisen: „Nieznane prace St. Trembeckiego“. „Biblioteka Warszawska“, 1897, t. III.

Dzieje starożytne tak go odrywają od pracy na temat bezpośredni, że w innym niedatowanym liście z początku (w lutym może lub w marcu) 1777 r. żali się: „Otoż znowu dwie niedziele wyszły, a pisanie moje ieszcze nie wzięło końca“. A dalej świadectwo, że interes do doby prehistorycznej zaczął przybierać kształty realne...

„Jużem tak sobie gruntownie postanowił, iż ieśli *choć iedną z książek* odemnie zaczętych przed barankiem skończona nie będzie, na dobrowolne poydę wygnanie etc.“¹⁾

Jakież to właściwie były inne książki zaczęte? „Niemiłosierny czas tak gwałtownie leci, iak nigdy nie pamiętam—tylko się obeyrzę, iuż-ci godzina. Myśli nie płyną porządkiem, lecz *y do tey y do innej należące materyi*, (cursivum moje m. uw.) te muszą iako y siły dzielić, bo *na porażkę Wielhorskiego kozaki moie są dosyć, J. J. R. od cięższej artilleryi ma uciepieć*. Ten subtelny retor przeciwko zwyczajowi narodu, między którym mieszka, od głowy starzeć poczyną. Z nim się pasować! może o zbyt wiele w początkach się kuszę; piękna iest pod Herkulesem poledz, iuż tedy mam się czem pocieszyć, ieśli według bliższego podobieństwa zwyciężonym będę“?... (Tomkowicz).

Zanalizujmy ten ustęp nieco zagadkowy.

Widocznie najpierw, że zamiar pierwotny został rozszerzony drugim tematem, że poeta główne działo swych wywodów kieruje nie w Wielhorskiego. Któż był tym niebezpiecznym Herkulesem dla Trembeckiego? kto imponował mu tak dalece?

J. J. R.—mimowoli się składa z Jean Jacques Rousseau. Istotnie na prośbę Wielhorskiego napisał Rousseau memoriał o sprawach polskich, w którym dowodził wielu rzeczy, ogromnie dla stronnictwa królewskiego niesympatycznych.²⁾

¹⁾ Pierwotnie zamiarem była tylko jedna książka contra Wielhorski, tu już „choć jedna“! Patrz Tomkowicz: „Erudycya“ Trembeckiego, „Przegl. Pol.“, 1880, t. II, 172—3.

²⁾ P. t. „Considerations sur le gouvernement de Pologne“, 1772. Rousseau podziwiając, że Polska jeszcze istnieje, zaleca z ostrożnością zabierać się do zmian w konstytucyi. Wytyka brak silnego rządu, nadużycia magnatów, ucisk włościan.

W ustroju Rzplitej dużo widzi pokrewnego ze swymi poglądami, odnosi się do niego z wyraźną sympatją. Liberum veto i konfederacye trochę tylko rad byłby ograniczyć. Ogromnie u nas popularny i wpływowy, R. istotnie nie w jednym mógł zaszkodzić planom królewskim.

Ale memoriał wyszedł w r. 1772. Czemu nie zajął się nim Trembecki natychmiast?

W r. 1773 nastąpił pierwszy rozbiór—chwila tak groźnych wstrząśnień zagłuszyła wrażenie memoriału. W 1776 r. umysły się uspokoiły i można było reagować na sprawy pomniejszych, akademickie.

Dla walki z przeciwnikiem tak poważnym postanowił Trembecki wyciągnąć cały arsenał wszechstronnej erudycji historycznej. A jednak nic w tym kierunku pióra jego nie znamy. Czemu wytlómaczyć cierpliwość króla i względność na takie marudzenie? Sądzę, że Stan. August również zmienił plan i dla wyzyskania obszernych studyów, jakie przedsiębrał jego szambelan dla celów polemicznych, zapragnął mieć historię rozumowaną polityki i urzędowości polskiej.

Król uważał widocznie zwinny i przenikliwy umysł Trembeckiego za najbardziej powołany do syntezy, Naruszewicza zaś nie chciał odrywać od jego zajęć rozległych. Wiedząc, ile czasu podobna praca wymaga, na zwłoki był dosyć wyrozumiały.

„Jeśli dobrze pomnę, oświadczyłem to był niegdy przed maiestatem W. K. M-ci, iż polityki wcale nie znam y słowa moje y uczynki moje nieprzystanne w tey mierze dawały mi świadectwo; gdy iednak łaskawa ufność W. K. M-ci zleciła mi pisanie, które z tą umiejętnością znacznego potrzebuie obznaiomienia y oto wedle możliwości starać się musiałem. A do tego dążąc końca, w przeciągu kilku miesięcy, tyłem podobno przeczytał, ile się żadnemu z żyjących w rowney porze nie zdarzyło“.¹⁾

Trembecki zadanie swe pojmował szeroko.

Studyum polemiczne przeciw Rousseau chciał oprzeć na materyale obfitym z historyi polityki polskiej na tle dziejów Słowiańszczyzny i powszechnych. Wciąga w swoją pracę przeróżne dyscypliny wiedzy.

„Jak ow niewieszczwany ogar puszczony na łosia, goni po drodze zwierza, ktorego tylko wytropi, goni y ptaka, ktory się przed nim zrywa, taka iest przygoda moja. Chciałbym waszstkie wiadomości pochłonać razem dla usługi W. K. M-ci. Historia, procz obcey polska y sarmacka (słowiańska m. uw.), znana y niewiadoma, geografia stara y nowa, prawa oyczyste y zwyczajne,

¹⁾ Zaczął w drugiej połowie 1776 r., czyli że data jego listu, jak wspominałem, może się odnosić do początku lutego lub marca 1777 r., „przed barankiem“ t. j. przed Wielką Nocą, która zwykle wypada w kwietniu.

polityka powszechna, wszystko to w moje wchodzi cele, nad tem wszystkim zosobna piszę, y iedno drugiemu zawadza“.

Czytając między wierszami zamiary niedomawiane przez poetę, domyślamy się, że pragnął on znaleźć ducha, syntezę dziejów, określić zarazem nic przewodnią i rozwój polityki, słowem dać historyozofię polską.

Pracę tę traktował nader poważnie; jak się pokaże, uważał ją za główną chlubę swojego żywota. Nie cofał się ani przed rozmiarami, ani przed czasem, którego wymagała.

„Przeto niżli te wiadomości, ktore sobie dać mogłem, zmieszają się z sobą, wszelkie wcześniej z nich idące płody będą niedorżące y podobne zarodkom. Nie jest rzecz nadnaturalna, iż za dziesięć lat, ieśli mi ich przyydzie dożyć, mogę co godniejszego panowania W. K. Mci zostawić, ale co teraz piszę, nie można, aby było na wybor“.

„Nikogo mi się poradzić nie godzi, sam nad każdym punktem muszę się zamyślać y z każdej go strony oglądać, wyciągi czynić, stosować, dziesięć razy iedno własną ręką przepisywać, a sto razy czytać, wszystko to do zwłoki pomaga“.

Zestawienie listów powyższych pozwala nam oznaczyć ściśle zarówno genezę, jak i przebieg przypuszczalny studyów Trembeckiego—słynnej jego „historii“. Wnioski badaczów dotychczasowych domagają się znacznego uzupełnienia.

P. Tomkowicz korespondencyi poety z rękopisu książąt Czartoryskich nie znał, zaś listu przezemnie powyżej zanalizowanego nie wyzyskał należycie. P. Biegeleisen, znowu, nie potrudził się zestawieć znane sobie listy z wydanymi przez Tomkowicza, konkluzye wyprowadził pośpieszne i niedokładne.

Pierwszą genezę pracy wskazał dr. Biegeleisen wiernie. Król istotnie polecił Trembeckiemu ułożyć pismo, umotywowane argumentami z historii dla zbicia broszury Wielohorskiego.

Było to jednak dopiero początkiem.

Jak wykazałem, Trembecki zapragnął pogłębienia swych studyów i wystąpienia w szranki z przeciwnikiem groźniejszym o wiele, z J. J. Rousseau. Zarazem król życzy sobie, aby rozwinął na tem tle przegląd rozumowany (historyozoficzny) przemian i rozwoju rządu polityki w Polsce.

Znaczne rozszerzenie tematu dawnego i dodanie tematów nowych wstrzymało rozwój studyum zamierzonego pierwotnie. Trembecki przerywa je i zaczyna gromadzić osobno materiały do drugiej pracy. W trakcie tego pochłaniają go coraz namiętniej dzieje prahistoryczne, ogólnosłowiańskie; z pewną niechęcią

powraca myślą do robót rozpoczętych (broszury contra Wielohorski i J. J. Rousseau). Trembecki planuje sobie ułożyć historię starożytną polsko-słowiańską, aż wreszcie całkowicie pograża się w zbieranie wiadomości do niej — zarzucając prace pierwsze na zawsze.

Przygotowywał się on do swego zadania bardzo gruntownie i wszechstronnie, ale wszystko przemawia za tem, że historyi starożytnej, wymagającej olbrzymich zasobów wiedzy i erudycji, nie wyprowadził ze stadyum przygotowawczego. 200 arkuszy historyi, o których mówił podobno M. Konarskiemu i innym gościom Tulczyńskim, stanowiło zapewne materiał surowy. Na obróbenie jego zabrakło mu czasu, a może i ochoty. Jeżeli, jak wolno przypuścić, pisane były w formie notatek i wyciągów na kartkach osobnych, trudno się dziwić, że nie oszczędziły ich zęby szczurów i ręce profanów. Ocalał inny rękopis oprawny, przedstawiający pewną całość. Dostał się on z Tulczyna drogą ofiary do zbiorów Akademii Umiejętności w Krakowie.¹⁾

Jest to przerabianie krytyczne źródeł kronikarskich do studyum polityki i rządu w Polsce, o które naglił Stan. August, p. t. „O rządzie polskim“. Wzmianek o Wielhorskim nie zawiera. Rękopis w głównej swej części odnosi się do stadyum drugiego robót historycznych poety. Szczątki zdań z cytowanego już listu, drukowanego przez Tomkowicza, znajdujące się na brzegach ostatniej zapisanej karty, wskazują nam datę przerwania pracy w tym rękopisie i na ten temat. Zgodnie z datą listu oznaczamy ją na luty—marzec 1777 r., gdy p. Tomkowicz skłonny byłby przenieść to bliżej do roku 1790.

Pragnieniem króla było, ażeby historia dostarczyła argumentów do obrony silnego rządu i władzy królewskiej. Szambelan przystępuje do źródeł z równie wyraźną tendencją, szuka w nich potwierdzenia swych sympatyj i antypatyj. Nie opuszcza sposobności przypięcia łątki duchowieństwu, z Długoszem z powodu jego klerykalizmu i nieścistości polemizuje niekiedy w formie osobistej, uszczypliwej. Jako monarchista z przekonania,

¹⁾ Nr. 1401, obszerna relacya u Tomkowicza: Jeszcze o uczoności Trembeckiego. „Przegl. Polski“, 1880, t. III. Zapisana jest może 1/2 część rękopisu. Wskazuje to, że pracy w tym zakresie (studyum o polityce) poeta nie kontynuował, ponieważ nie byłoby racji pisać jej w zeszycie innym. Musiał ją cenić, skoro woził z sobą od 1776 r. wszędzie, choć nie dodał do niej po 1777 r. ani słowa. Zabrał ją do Grodna i Petersburga, a później do Tulczyna.

zbiera skwapliwie ślady istnienia absolutyzmu w dawnej Polsce, notuje przychylnie fakty powiększenia autorytetu tej władzy, gniewnie zbija poglądy przeciwnie. O początkach i wartości parlamentaryzmu polskiego odzywa się z przekąsem, często z niechęcią jaskrawą (4, 12, 22 karta). Horyzont umysłowy ma szeroki. Interesuje się prawem publicznem, stanem miejskim i wiejskim, administracją, ewolucją władzy królewskiej. Spostrzegawczy ogromnie, badawczy i krytyczny, doskonale się orientuje w wypadkach, wykazując sprawność i bystrość myśli oraz głębszą znajomość przedmiotu.

Zanalizujmy rękopis szczegółowiej.

Na początku wstępu uzasadnia autor znaną sentencję „historia magistra vitae“ dla nauki, jaką chce z historii wyciągnąć do poprawy rządu. A w tym celu: „Postanowiłem sobie przebież przodków naszych czyny y porządkiem lat rozważać ich ułożenia. Te są ważne, które nam były użyteczne a które szkodliwe łatwo się stąd pokaże.“

Gęste przekreślenia i poprawki stylistyczne wstępu świadczą, że przywiązywano do niego większą wagę. Powiada dalej Trembecki:

„Getha moy oyciec, a matka z czystych idzie Sławczycow, ochota mię ciągnie określić tych walecznych Narodow gniazda y nieprzewyższone rycerskie dzieła. Lecz te na osobny zachowuję papier. Gdzie, ile błyskawica historii zaprowadzić może zaszedłszy, dzielność ich z wieczney odkopię niepamięci“.

Każdego uderzy zapal, z jakim odniósł się autor do epoki starożytno-słowiańskiej. W zapowiedzi osobnego na ten temat studyum powtarzają się niektóre ustępy z listu, przytoczonego u p. Tomkowicza.¹⁾ Świadczyłoby to, że wstęp powstał nieco później lub w tym czasie, co i list, ale *po przerwaniu* już pracy „O rządzie polskim“, która znajduje się w samym rękopisie.

Powszechna naówczas opinia o jednym pra-narodzie słowiańskim znalazła w poecie wyznawcę entuzjastycznego. Bo przecież przystępując do rozważania dziejów polskich pisze:

„Narod nasz, oyciec tylu Narodow, zaszczepiciel tylu krolestw, niema sobie dosyć oddaney słuszności, wojennym nieprześcannie zatrudniony rzemiosłem, nie starał się mieć Pisarzy, którzyby dzieła iego nieśmiertelności godne potomności obiawili“.

¹⁾ Tomkowicz, Erudycja Trembeckiego, „Przegląd Polski“, 1880, t. II (IV), 173.

A więc o Polsce mowa? Słuchajmy dalej.

„Sarmatów imię powszechnie nam dane na wiele dzieliło się promieni, pod tem jednak największy byliśmy znani imieniem, kiedyśmy najprzód aż po Ren (od Wisły, od Łódzkiego aż do Adryatyckiego morza) kraj posiadli. Późniejsze imię nasze Wandalów y Wagrow, y już w historyi nieprzyjaciół naszych bardzo znane. Najpóźniejsze Sławaków, od wielkiej mieczem nabytej sławy, iż między innemi y to założyli królestwo, które dziś Polskim y Czeskim się mianują“.

Czyli że o „narodzie Słowian“ wyraża się poeta, jak i o „narodzie Polaków“ jednakowo: *my*. I on podziela przesady nauki współczesnej, skoro miesza w chaotycznej etymologii Słowian nazwy różnych szczepów, niekiedy nawet różnych ras.

„Grecy to imię im dali par sobriquet Sauromatae. Oni zaś między sobą powszechnie brali miano Rossieie albo Rozsiani — id est dispersi. Grecy ich też stąd zwali Sporii albo Rosanoi, inne zaś imiona mniejsze narody powszechność składające brały Wandale nad wodą mieszkający y do dzisiejszego dnia u pospolstwa, gdzie się najnierychlejszy stary język kazi, Wanda zowie się wodą. Zwali się też Polowcy y Polanie od pola, Gethy od nieprzerwanie trawionego życia na koniu y wozku y stąd Gethae, Cottae, Essedones, Gothae.¹⁾

Nie istnieją dla niego żadne pod tym względem wątpliwości. Bez wahania identyfikuje nas ze Słowianami, posługując się z upodobaniem nazwą Sławak zamiast Polak.

Miał błąd ten znaczenie wielkie. Utożsamianie Polaka ze Słowianinem prowadziło do postawienia jedności rodowej na stopień wyższy od narodowej, słowianofilstwu dawało podstawy naukowe, dla encyklopedysty najświętsze.

Konsekwencye pociąga to niezbitę.

Tworząc jeden naród, Słowianie byli potężni i niezwyciężeni. Gdy się rozbili na szereg państw i narodów, kilka z tych przyszło do upadku, kilka nawet znikło z powierzchni ziemi pod naciskiem Teutonów.

Stąd jasne rozumowanie racjonalisty: 1) Teutoni są odwiecznymi wrogami Słowiańszczyzny, 2) potęga wróciłaby do Słowian w razie odbudowania, jak ongi, jednego mocarstwa. I oto na końcowej 32 karcie rękopisu czytamy krótką a znamioną notatkę: „Tant que la Sarmatie (Słowiańszczyzna, moja uw.) se considerait comme faisant un grand corps elle était invincible.“

¹⁾ № 1401, 3 czy 4 karta — w przypisku w poprzek karty.

Myśl ta przedstawia niejako zamknięcie i wniosek logiczny z przerobionych poprzednio materyałów historycznych. Z biegiem czasu stała się ona fundamentem ideowym realnego programu politycznego. Zważmy bowiem. O ile zjednoczenie Słowiańszczyzny będzie dla potęgi jej faktem dodatnim, to już kwestya drugorzędna, *kto* to przeprowadzi. Wobec doniosłości celu upadłby nawet zarzut zbrodni, gdyby zjednoczenie owo osiągnano przemocą...

Materyalista i racjonalista sądzić inaczej nie mógł.

Czyli że pogląd taki odbierał odium akcyi zaborczej Rosyi, skoro Polska koncentracyi słowiańskiej sama urzeczywistnić nie była w stanie.

Zabiegłem nieco naprzód.

Ze studyów Trembeckiego dwa zasadnicze wynikiły fakty psychologiczne: pogłębienie antagonizmu rodowego względem Germanów, przekonanie o konieczności solidarności i wspierania się Słowian wzajemnego. Wszystko to na tle praktycznem rzuca podkład ideowy pod sprawę niechęci kardynalnej do wszelkich związków i kombinacyi dyplomatycznych z *niemieckimi* Prusami czy Austryą—z jednej strony, pod sprawę stałego sojuszu ze *słowiańską* *conte que conte* Rosyą—z drugiej strony.

Na stanowisku tem wytrwał Trembecki, mimo najrozmaitszych wahań i zwrotów w opinii publicznej, bez najnniejszej zmiany niezłomnie do końca. W pracy nad swoją „historyą“ nie ustawał przez całe życie. Informacye o tem spotykamy co krok w listach do króla. P. S. z 1777 r. „Co się tycze mego w *Polityce pisania*, nie chciałbym się stąd oddalić aż go dokończywszy y złożywszy pod stopy W. K. M-ci“.

Okolo 1780 r. skarży się:

„Confiné entre vos quatre murailles sans presque jamais prendre de l'air, cloué sur une chaise je passe ma triste vie le nez collé sur des vieux bouquins puants et mangés des rats“ (str. 284).

Nieco później znów marzy o wyjeździe z Warszawy w góry *Sarmackie* (Tatry m. uw.), gdzie ongi mieszkali Bastarnowie (str. 379). Okolo 1780—81 r. wyrывa się z ust pocie dla opisu smutnego jego stanu okrzyk bardzo charakterystyczny: „Les Sarmates et les Getes auront pitié de mon sort“ (str. 285).

Studia więc trwają; Sarmaci, Getowie etc. zaprzatają myśl jego ustawicznie. Co więcej praca własna napawa go otuchą szczególną i dumą. W lipcu 1784 r. pisze z Królewca o sobie: „Który w swoim kraju ma troszkę imienia, a wkrótce cały Europie ieszcze więcej znanym będzie“ (str. 628). Znajomym—oczywiście nie z poezyi polskich, lecz z dzieł naukowych.

Dn. 3 kwietnia 1785 r. motywuje prośbę o pozwolenie na podróż do Hamburga i Lubeki: „Spodziewam się, że ten woiaż będzie mi użytecznym przez odkrycie niektórych kawałkow do Starożytności Narodu naszego stosujących się“ (str. 664). W roku 1787, błagając o łaskę królewską, przypomina... „zaginie ze mną ieden rodzaj erudycyi kraiovey, w którym żaden uczony Europeyczyk nie jest mi równym, nie wymniając ani W. K. M-ci“ (str. 684).

„Erudycyi rodzaj krajowej“—to historia, ale nie ta—polska, której się Naruszewicz i inni poświęcali, skoro siebie uważa poeta za *jedyne*go w tym zakresie nawet w Europie, lecz prehistoria, nauka o dziejach „narodu Słowów“, której początki dopiero w wydaniach Jabłonowskiego i Societatis Jablonovianae miały miejsce. Erudycyi tej przypisywał Trembecki w życiu swem znaczenie największe, z niej rościł sobie prawo, a nie z poezyi, do chluby i sławy europejskiej.

W czasie zaś, gdy Trembecki w poszukiwaniach swych odbiegał daleko od bezużytecznych kompilacyi, szerzył się w Europie nowy żywotny prąd umysłowy, płodny i dla Polski w rezultaty. Pod wpływem Rousseau'a odbywa się zwrot do humanizmu, natury i ludu. Uczeni, pragnąc odnaleźć humanizm w czystej postaci, cofają się w wieki zamierzchłe. Odegrały teraz pewną rolę i wydawnictwa erudytów kompilatorów. Pisma Jabłonowskiego i Societatis Jablonovianae korzystnie oddziaływały na zachodnich i słowiańskich uczonych, przyczyniły się znacznie do ożywienia ruchu naukowego w kierunku badań nad Słowiańszczyzną.

Dużo niechybnie wiadomości o Słowianach z wydań Societatis Jablonovianae zaczerpnął i Herder. Idąc śladami Rousseau'a, chciał on wskazać w dziejach realny przykład na poparcie swej teoryi humanizmu filozoficznego i z tego stanowiska ocenił ogromnie pochlebnie łagodność charakteru i cnoty domowe Słowian.

Było to bodźcem do rozwoju potężnego nauki słowiańskiej, w szczególności nauki polskiej, która zresztą i sama postępowała w tym kierunku drogą ewolucyi naturalnej. Wzmaga się też nadzwyczajnie zainteresowanie powszechne i zajęcie się prahistorią ogólną i słowiańską.

Dzieckiem duchowem tego prądu był całkowicie hr. Jan Potocki.¹⁾ Natura niesłychanie bujna i utalentowana, wieczny pod-

¹⁾ Niezwykła ta postać dotychczas oczekuje na gruntowne opracowanie. Z dotychczasowych badaczy najdokładniejszy życiorys podał we wstę-

różnik, erudyta—łączy on w sobie uzdolnienia różnorodne z przeważajacem jednak zamiłowaniem do prehistoryi. I jego wyobrażnię nienasyconą kuszą ciemne i zawikłane losy dziejowe legendarnego jednolitego narodu Sławów. W wielu kwestyach uczynił odkrycia, na jego czas bardzo doniosłe. W r. 1789—92 wyszły w 4 t. „*Essay sur l'histoire universelle et recherches sur celle de la Sarmatie*“. Najcelniejsze to jego dzieło nie straciło wartości dotychczas. Uzasadnia tu autor nową *metodę* badań, t. zw. *odwrotną*, z nauk przyrodniczych zastosowaną przez niego do historycznych.¹⁾

Potocki w wielu kwestyach wyprzedził znakomitych uczonych zachodnich (np. Champolliona w sprawie chronologii dynastyi egipskich). Rozległa jego działalność wywarła zbawienny wpływ na historyografię i prahistorję polsko-słowiańską. Potocki, jako poseł na Sejm Wielki, przebywał od r. 1789—92 w Warszawie, gdzie też wyszły jego „*Essay etc.*“ Młody uczony poznał wkrótce Trembeckiego, zbliżył się do niego i w niejednym zapewne z jego rad skorzystał, skoro pisze na końcu swego dzieła,²⁾ że chciałby się poświęcić specjalnie historyi przodków naszych Lechitów, ale ma skrupuły, ponieważ „il y aurait de la présomption a entreprendre un travail, qui peut-être a atteint toute la perfection dans deux ouvrages, dont le public ne jouit point encore. L'un est le premier volume de l'histoire de Pologne par M-eur L'Eveque de Smoleńsk Naruszewicz; L'autre est *l'histoire des Slaves* par Mr. Trembecki“.

Trembecki oczywiście nawzajem był poinformowany o planach i studyach swego młodego przyjaciela.

Ostatni realny dowód erudycyi historycznej Trembeckiego zachował się z r. 1796. Członek konwentu francuskiego Ph. Garran wydał broszurę p. t. „*Recherches politiques sur l'état ancien*

pie do „Podróży do Turcyi i Egiptu J. Potockiego“, Kraków 1849, Żegota Pauli; przedtem S. Baliński, J. Potocki wędrownik, literat i dziejopis, w „*Pismach historycznych*“, T. III, Warszawa 1843; Gomułicki, J. Potocki jako podróżnik, „*Wędrowiec*“ 1900, 775 etc. — pobieżnie i panegirycznie. Ułaszyn H., O J. Potockim i literaturze Kaukazu. Warszawa 1902—nieco stroniczo i polemicznie. Trochę szczegółów znajdujemy w „*Rozmaitościach lwowskich*“ z 1885 r. № 33, 38. Nie przynosi nowych informacji o nim Franczew, *Polsko-sławianowiedzenie* etc. Praga 1906.

¹⁾ Gruntownie ją rozważa i ocenia prof. T. Wojciechowski w doskonałej swej „*Chrobacy*“ etc. Kraków 1873. t. I.

²⁾ *Essay sur l'histoire etc.*, str. 187, Varsovie 1789.

et moderne de la Pologne“;¹⁾ o sprawie polskiej ze stanowiska rewolucyjno-republikańskiego. Król, a było to w Grodnie w roku 1795, niezupełnie jeszcze stracił nadzieję powrotu na tron, skoro polecił ułożyć natychmiast kontr-broszurę. Na życzenie króla Trembecki opatrzył ją uwagami historycznemi (wyłącznie z dziejów archaicznych słowiańskich), wśród których czytamy różne zdania o plemionach, jakie do Sławów należeli. Polacy są czystymi Słowianami. W Polsce—„Ludy mieszkające są autochtones; ich wspólne imię było *Sławy*. Ci dopiero imiona brali cząstkowe od udziałów, położen y innych przyczyn, iako to Polanie, Pomorany, Gorale, Luzaki, Morawany etc. ciągnęli się z północy na południe, od Sławskiego morza po Dunaj. Wszyscy starzy czasem nas Sławami, czasem Wandalami mianują dla naznaczenia różnicy od drugich Sławow“. I tuż zaraz... „Błąd nazywania nas Sarmatami dopiero się urodził w głowach mędrkow XVI w.“

Tymczasem w r. 1777 (patrz rękopis Akad. Umiejętn. 1401) Trembecki stale używał nazwy Sarmata narówni z nazwą Sławak, czyli że podzielał wtedy „błędy mędrków XVI w.“ Teorye identityczności Sarmatów ze Słowianami zbił pierwszy J. Potocki we wspomnianem powyżej „Essay“, Trembecki zaś uznał odrazu ten pogląd, który zwyciężył w nauce dopiero w 30 lat później.

Niezwykłym musiało być zamiłowanie poety do wiedzy, jeśli studia swe kontynuował nawet w czasie wypadków burzliwych i przemian dziejowych.

Ubolewa dalej Trembecki:

„Woiowali Sławy ludy y same między sobą y nawzajem w chłopow poprzemieniały brańcow. Ale to naygorzey, iż stara klasyfikacya u nas zaginęła“. I następuje ciekawa hipoteza o podziale pierwotnym Polaków według stanów, zaczerpnięta bez powołania się na nazwiska, z jakichś pisarzów zagranicznych. Istniały tedy u nas 4 klasy: „1) *Regales* — pochodzili oni z linii królów... Druga klasa zamykała *Sławczycow* (po dzisiejszemu szlachciców), to jest z oycy y matki Sławow, a ci właściwie czynili naród y woysko. 3) *Liudy* (wolni mieszczanie). 4) *Jeńcy* y ich potomstwo (chłopi).“

To nam tłómaczy niejasny ustęp z wstępu rękopisu Akademii: „Getha (albo Sławak — moja uwaga) moy oyciec, a matka z czystych idzie Sławczycow“ (czyli szlachciców—moja uwaga).

¹⁾ Informacje o broszurze Garrana u Tomkowicza w cytowanej już niejednokrotnie „Erudycyi Trembeckiego“. Ustęp dalszy przemnie rozbiórany znajduje się tamże na str. 184—6.

Tak więc ułożył nasz poeta ciekawą teorię, podług której szlachta jedynie pochodziła pierwotnie ze Słowian—„z oycy y matki Sławow“, mieszczenie zaś i chłopi powstałi albo z mieszańców, albo z jeńców innego szczepu. Już samo to, że zamiast recenzyi do ściśle politycznej broszury — wkrótce po trzecim rozbiórce — pisze poeta szczegółowe uwagi z archaicznej (!) epoki słowiańskiej, dowodzi najlepiej, jak mocno mu zaprzętały głowę owi Sławowie.

Otoczony foliantami i rękopisami, kończy poeta życie, jako dziwak, odludek i filozof, wśród naukowych zatrudnień. Zapewne nic już nie pisał, ale i wtedy nie opuściło go zamiłowanie do dziejów Słowiańszczyzny; przy stanowisku słowianofilskiem wytrwał do końca. Dama, która odwiedziła go w Tulczynie, słyszała uczone jego spory o początkach Słowian z J. Potockim. „Utrzymywał on (Trembecki), że Niemcy przywłaszczyli sobie sławę naszych najdawniejszych przodków.“¹⁾

Było to na parę lat zaledwie przed śmiercią poety.

DR. EDWARD WORONIECKI.

¹⁾ Kilka słów o Trembeckim, „Przyjaciel Ludu“ 1837, 397.

Ze wspomnień Dalekiego Wschodu.

Piszący wspomnienia z obcego kraju, nie wywiązałby się z zadania, nie zapoznawszy czytelnika,—w ogólnych przynajmniej zarysach,—z tłem opowiadania, — to jest z krainą, gdzie się odbywały zdarzenia, które opisuje.

Pragnąc tedy uniknąć podobnego zarzutu, dorzucam garstkę wiadomości zarówno o kraju, jak i o stosunkach miejscowych, — oraz o tych, którzy nas poprzedzili w dalekiej wędrówce.

*

*

*

Kraina, nazwana Syberyą—dorównywa przestrzenią Europie; ale $\frac{2}{3}$ tej przestrzeni zajmują okolice pustynne, nie nadające się na siedziby ludzkie. Część zachodnia Syberyi, przeważnie płaska i nizinna,—wschodnia górzysta i wyniesiona znacznie nad poziom. Wielkie rzeki spławne, płynące ku północy, umożliwiają osadnictwo jeszcze poza pasem dojrzewania zbóż, które łatwy spław (z biegiem rzek) do tych wysuniętych miejscowości z rolniczego południa udostępnia; natomiast na tych wysuniętych na daleką północ posterunkach, osadnik może wyzyskać obfity połów ryb, i pomnażać przezeń dostatek mieszkańców i zarobki handlu.

Cała Syberya liczyła za mojego tam pobytu (przed półwiekiem) około 5 milionów mieszkańców.—Dominującą ludność tworzyli koloniści rosyjscy, trzymający się przeważnie wielkiego gościńca, oraz brzegów rzek i rzeczek. Mieszkańcy pierwotni, po-

rozprasznani grupami, jak Kirgizi w kącie południowo zachodnim Syberyi, Tatarzy na północ od nich, Burjaci między Bajkałem a granicą Chińską, Tunguzi i Jakuci w północnych przestworach. Pomijam szczepy pomniejszych, lub rozrzucone wśród osadnictwa rosyjskiego.

Większość ludów pierwotnych prowadzi życie koczownicze; wypierani nie siłą orężną, ale wprost unikając bliskiego sąsiedztwa z kolonizacją rosyjską, z którą współzawodnictwa się boją, usuwają się w coraz dalsze pustkowia, coraz gorsze przedstawiające warunki dla ich tułaczego istnienia,—i powoli nikną.—Przewidzieć nie trudno, że z czasem niektóre szczepy koczownicze Syberyi północnej, znikną zupełnie. Inne wsiąkać będą powoli w ludność osiedloną, wyższą od nich kulturą, umiejętnością wyzyskania darów otaczającej przyrody,—i większą żywotnością.

Pomimo wielkich obszarów nieużytecznych, bagien i miejsc podmokłych dalszej północy, pokrytych mchem, i wiecznie podmarzłych, — Syberyę uważać trzeba za kraj, hojnie uposażony przez przyrodę. Urodzajne ziemie, bujna roślinność, obfity zwierzostan, niewyczerpane kopalnie cennych minerałów, czekają tylko ręki ludzkiej, któraby je zużytkowała. — Wszystko zdaje się zapowiadać przyszłość tej rozległej krainie, byleby ludzie ją obsiedli.

Syberya oczekuje tylko kolonizacyi.

Brak wszakże ku temu umiejętnego kierownictwa, umiejętnej ręki. Władze tamtejsze zajęte więcej własną karierą służbową, lub bogaceniem się osobistym, nie znajdują w sobie dość humanitarnych, czy choćby patriotycznych pobudek do pchnięcia tej kolonizacyi na szersze tory; władze centralne za mało są kompetentne, bo za mało znają warunki miejscowe, ażeby spodziewać się było można z zarządzeń ich pomyślnych skutków. Wszystko pozostawiono usiłowaniom prywatnym i przedsiębiorczości osobistej mieszkańców.

Tego za mało. Potrzeba tu zachęty, kierunku, a nieraz i pomocy państwowej. Tej zaś — jakby nie było; — bo chociaż formalnie istnieje, nie liczy się z potrzebami osadników, a nieraz zarządzenia państwowe stanowią wprost dla kolonizacyi tej przeszkodę. Osadnik, za przybyciem do Syberyi, zamiast ułatwień, porad i życzliwych wskazówek, spotyka dziś na każdym kroku krępujące go nakazy i ograniczenia. Jest to metoda antyosadnicza. Można było jeszcze zrozumieć tę metodę w czasie niewolnictwa włościan w cesarstwie. Włościanin syberyjski znajdował się w lepszym położeniu, niż w dawnej swej ojczyźnie,—bo przestawał być

niewolnikiem („krepostnyj“) pana włości; stawał się tu bowiem włościaninem niezależnym od właściciela gruntu, na którym siedział i który uprawiał, bo grunt ten był wszystek—rządowy, stąd i on stawał się zależnym jedynie od rządu — był „włościaninem państwowym“ („*gosudarstwiennyj krestjanin*“ — taki był stan jego w języku urzędowym). Ruch emigracyjny ludowy na Syberyę za czasów niewolnictwa, groził ziemiaństwu rosyjskiemu utratą poddanych, a tem samem rąk roboczych, których liczba decydowała o wartości majątku i o dochodach z niego. Wszak w owe czasy cenę sprzedażną dóbr obliczano na „*dusze*“, a brak ich pozabawiał ziemię wszelkiej wartości,

Pozbywać się więc swych poddanych, nie chcieli i nie mogli. Chłop zaś, utrzymywany w ciemnocie, nie zdawał sobie nawet sprawy, że gdy przestępstwo, czy zbrodnia zapędzi go na Sybir — wyzwoli to dzieci jego, zrodzone na deportacyi, z dotychczasowej niewoli („*krieposti*“) — bo przejdą one z mocy samego prawa do kategorii wolnych włościan rządowych („*Gosudarstwiennyje krestjanie*“), nie znających ani pana, ani pańszczyzny, i nie ograniczonych w prawie rozporządzania sobą; że tem samem zbrodnia głowy rodziny, toruje drogę do wyzwolenia jego potomstwa. Gdyby to był rozumiał, byłyby może częstsze jeszcze morderstwa panów, niż je wykazują rejestra zesłania.

Ciekawe pod tym względem są zestawienia S. Maksimowa ¹⁾, oparte na dokumentach, zachowanych w urzędzie deportacyjnym, istniejącym do niedawna w Tobolsku, zatytułowanym: „*Prykaz o ssylnych*“. Wyszczególnia on tam rodzaje deportacyi, kategorie zbrodni i przewinień, za jakie skazywano na wygnanie, lub na ciężkie roboty, do jakiej narodowości należeli przestępcy różnych kategorii, — wreszcie mamy tu wywody jego własne, charakteryzujące skłonności poszczególnych szczepów, zaludniających państwo rosyjskie, do różnych przestępstw. Jakkolwiek z danemi, przytoczonymi przez S. Maksimowa, poznałem się o wiele lat później dopiero,—ale chcąc opowiadanie moje o Syberyi, i o czasach mojego w niej przebywania, zamknąć temi wiadomościami, jakie autor zbierał jednocześnie z moim tam pobytem,—nie popełnię anachronizmu, gdy się na nie powołam, pomimo, że książka Maksimowa wyszła w kilka lat później, — a jeszcze później miałem ją w ręku.

¹⁾ S. Maksimow — „*Sybir i Katorga*“.

Rok rocznie przechodzi przez więzienia i etapy Syberyi 45—50 partyi aresztantów, w liczbie od 150 — 300 ludzi każda, czyli średnio około 250; corocznie więc od 11—12 tysięcy ludzi odbywa tę przymusową podróż. Są to przeważnie ludzie w pełni sił, które są zupełnie zmarnowane dla społeczeństwa; przeciwnie, — społeczeństwo utrzymywać musi tę armię ruchomą własnym kosztem. Jest to jedna już strata. Następnie, państwo utrzymywać musi odpowiednie strażę i budynki więzienne, — etapy i turny (wężenia), a turny — to najokazalsze budowle w miastach zarówno gubernialnych, jak i powiatowych. Mogliby być oni, co prawda, zajęci jaką użyteczną pracą w więzieniach; ale ponieważ zazwyczaj należą do kategorii transportowanych, — niestałych lokatorów więzień, oczekujących z dnia na dzień albo wysłania ich dalej, albo innego rozstrzygnięcia ich losu, — przeto siedzą bezczynnie.

Powstanie 1863 r. dostarczyło nadetatowego kontyngensu transportowanych więźniów. W ciągu lat kilku 1863 — 66 zesłano ogółem 18,606 winowajców politycznych, lub dosłownie przetłómaczywszy ich nazwę urzędową — „*zbrodniarzy politycznych*“ („*politiczeskije prestupniki*“).

Z tych: do robót ciężkich . . .	3.537 osób	}	7.170
na osiedlenie i pozbawienie praw . .	2.006 „		
internowanych	1.627 „	}	11.436
zesłanych bez sądu (administracyjnie) .	8.485 „		
i członków rodzin zesłańców	1.822 „		
różnych, szczegółowo nie wymienionych	1.129 „	}	

razem 18,606 osób.

To cała armia.

Z tej liczby — za wyrokami sądów wojennych było 7.170 osób, — administracyjnie zesłanych 11.486. Ta druga kategoria pochodziła niemal wyłącznie z generał-gubernatorstwa Wileńskiego, skąd deportowano całe „*okolice*“ drobnoszlacheckie, — bez sądu, — poczem wsie ich palono, — miejsce, gdzie wieś stała, zaorywano, — a grunta rozdawano protegowanym.

Maksimow wyszczególnia jeszcze różne dzielnice państwa, które złożyły Syberyi swój haracz w ludziach w r. 1863/4; mianowicie, — z liczby skazanych wyrokami sądów wojennych było:

z Królestwa Polskiego . .	3.044 osób
z generał-gub. Wileńskiego	2.705 „
z generał-gub. Kijowskiego	1.036 „
cudzoziemców	385 „

razem 7.170 osób.

Nie mniej ciekawą w dziele Maksimowa jest charakterystyka skłonności różnych stanów i plemion do pewnego rodzaju przestępstw. Tak np. najczęstszymi przestępstwami są według niego: u szlachty—przestępstwa stanu i fałszowanie dokumentów, u duchowieństwa—świętokradztwo i zgorszenie, u wojskowych—rozbój, zabójstwo i zbiegostwo, u kupców—oszustwa i kradzieże, u mieszczan—kradzieże (z których 55% przypada na Żydów), u chłopów—kradzieże.

Te ostatnie są więc najpospolitsze wśród warstw ludowych, i najbliżej ludu stojących.

Tenże autor twierdzi, że zastanawiając się nad kategoriami przestępstw, zarejestrowanych podług narodowości, wchodzących w skład państwa rosyjskiego, widzimy wielkie różnice pod względem ilości pewnego rodzaju przestępstw, dokonanych przez przedstawicieli tychże narodowości. Wielkorus najczęściej karanym jest za włóczęgostwo, podrabianie pasportów i assygnat, a także za przestępstwa religijne; Tatarzy odznaczają się okrucieństwem, przy dokonywaniu rozbojów, oraz zrzecnością, zaś kradzieże są wśród nich rzadkie; Gruzini—krewkością, która powoduje zabójstwa; Baszkirowie i Kirgizi—oporem i buntem; Czuwasze i Wotiaki—biernem nieposłuszeństwem rozporządzeniom władzy; Żydzi—kradzieżą, oszustwem, kontrabandą, paserstwem i fałszerstwem. Silnie rozwinięte wśród Wielkorusów uczucie religijne i głębokość przekonań, są powodem występków ich przeciw wierze (panującej);—Małorusini i Białorusini, obojętni zupełnie w rzeczach wiary, nie spierają się, nie walczą o jej zasady, a tem samem nie dają powodu do dochodzeń karnych z tej racji ¹⁾; wreszcie katolicy dostarczają najwięcej przestępców stanu, gdy wśród maho-metan najczęstsze są zabójstwa.

Badania wspomnianego wyżej autora doprowadziły go jeszcze do spostrzeżeń co do geograficznego ugrupowania pewnych

¹⁾ Słuszność tego spostrzeżenia stwierdziły wypadki z czasu nawracania unitów na prawosławie. W gubernii lubelskiej, gdzie nawracani stanowili przeważnie element ruski, lud przyjmował prawosławie bez oporu; natomiast na Podlasiu (w gub. Siedleckiej), gdzie osadnictwo polskie było silniejsze, i lud był mieszany, opór był silny i krwawy. W lat 30 później, gdy zaświtała swoboda wyznania, Małorus, obojętny pod względem religijnym, nie reagował bynajmniej na zmianę stosunków;—w rodach zaś mieszanych obudziła ona ruch żywiołowy, i powrót do jedności z Kościołem.

przestępstw; tak rozboje i morderstwa okazały się najpospolitszymi w guberniach nadwołżańskich, — zabójstwa panów i opór panom — w guberniach centralnych, — podpalania w guberniach małopolskich, — a kradzieże — w guberniach nadwołżańskich, poduralskich i małopolskich.

Co się tyczy przestępstw i zbrodni, wynikłych na tle zatar-gów dworu z włością, a karanych deportacją na Sybir, to archi-wa sybirskie za czas 1826 — 1856 (z epoki panowania Mikołaja I i niewolnictwa chłopu rosyjskiego) — wykazują, co następuje:

Za czas 31-letni od r. 1826 — 1856 wysłano za nieposłuszeń-stwo panom, zabójstwo panów lub na zasadzie danej złej opinii przez panów:

z gub. Moskiewskiej	658	poddanych
„ Razańskiej	597	„
„ Tambowskiej	526	„
„ Kurskiej	514	„
„ Woroneżskiej	402	„

z pięciu gubernii razem 2,697 poddanych, czyli w prze-cięciu 539 głów na gubernię. Jednocześnie gubernie zachodnie dostarczyły:

gubernia Kowieńska	—
„ Grodzieńska	22 poddanych
„ Wileńska	46 „
„ Mińska	26 „
„ Wołyńska	60 „
„ Kijowska	37 „
„ Podolska	15 „

Z sześciu gubernii Zachodnich razem 206 poddanych, czyli 34 głów na gubernię. Porównanie przeciętnej liczby deportowanych tej kategorii z gubernii zachodnich i centralnych, stwierdza słuszność spostrzeżenia Maksimowa, że gubernie centralne dostarczały naj-liczniejszego kontyngensu skazanych z powodu zatargów dworu z włością.

Ale powie kto może, iż różnica ta wynika z różnicy charak-teru hardego Wielkorusa z jednej, a potulnego Litwina, Białoru-sa i Małorusa z drugiej strony. Otóż i na to mamy odpowiedź w archiwach wygnańczych Syberyi. Przeglądając rubrykę zabój-stwa panów przez poddanych swoich, widzimy szalone różnice liczby zbrodni w guberniach małopolskich po jednej i po drugiej stronie Dniepru. Tak np. gdy w gub. Charkowskiej liczono w tym okresie 34 takich morderstw, w Czernihowskiej 15, a w Połtaw-

skiej 25,—razem w 3 guberniach Małoruskich 74 wypadki zabójstw panów przez poddanych;—natomiast w 3 guberniach małoruskich, leżących z tej strony Dniepru, było analogicznych wypadków ogółem 12, mianowicie: w Kijowskiej 4, w Wołyńskiej 8, a w Podolskiej żadnego; w przecięciu: w tych guberniach po 4 wypadki,—w tamtych po 24, 6 na gubernię. Tego zjawiska nie można odnieść do różnicy charakteru mas, — bo zarówno tu, jak i tam, byli to Małorusini. Raczej przypisać to należy lepszemu stosunkowi dworu z włością. Dodajmy, że w owym czasie całe ziemianstwo gubernii prawego brzegu Dniepru było prawie bez wyjątku polskie,—gdy tymczasem na lewym brzegu Dniepru—niemal wyłącznie rosyjskie lub ruskie. Te wymowne cyfry są odpowiedzią tym wszystkim, co rozprawiają o ucisku ludu ruskiego przez panów i szlachtę polską. Ktoby się spodziewał, że dowody tej różnicy stosunków, znajdują się aż w Syberyi?

Kroniki wygnańcze, oprócz wymienionych wyżej kategorii przestępców i zbrodniarzy, zaznaczają jeszcze jedną, i bodaj najcięższą—*„zbrodniarzy państwa“*,—(*„gosudarstwiennyye prestupniki“*). Do tej kategorii zaliczeni byli dekabryści, pietraszewcy, i liczne rzesze wolnomysłnych Rosyan.

Nie wszyscy przecież z tej kategorii byli burzycielami państwa. Wielu między nimi było ludzi niepospolitych,—ludzi wielkiego umysłu i serca, a zarazem dobrych synów ojczyzny; ludzi, których imiona wspomina potomność ze czcią i uwielbieniem. W wielu bardzo wypadkach, ci skazańcy byli jedynie ofiarami walki o wpływy, gdzie zwycięzcy ich współzawodnicy starali się przede wszystkim zniżyć przeciwników i usunąć ich z drogi—raz na zawsze. Dość wspomnieć rywalizację Bironów i Mienszyków,—jak zwalczające się stronnictwa—ze zmiennem szczęściem—pastwiły się nad przeciwnikami, — skazując ich na ciężką bardzo dolę wygnania, cierpień i braku najniezbędniejszych nawet potrzeb życia;—gdy taki Mienszykow zrodziną, zesłani do Berezowa, przy mierali głodem.

Roczniki wygnania wielu wybitnych ludzi w Rosyi, pełne są wstrząsających obrazów znęcania się tych, co wzięli górę nad pokonanymi. Tym ostatnim wrywano nozdrza, wyrzynano języki¹⁾, a niewiastom, żonom tych nieszczęsnych, obrzynano jeszcze brodawki piersi, ażeby karmić nie mogły. Okrucieństwa podobne

¹⁾ Hrabina Anna Jargużyńska—(ob. Damy dworskie i Frejliny XVIII w.—Mieżow. Nr. 11.906).

uprawiano najwięcej za wielkorządztwa Birona, którego imię przekłęta potomność: Czasy Birona („*Bironowskija wremiena*“) stały się po dziś dzień—w pojęciu narodu rosyjskiego—synonimem naj-sroższego ucisku.

Wykazałem gdzieidziej, ile to najwybitniejszych rodzin rosyjskiej arystokracji padło ofiarą szczęśliwszych, czy zręczniejszych, albo mniej przebiegających w środkach—współzawodników politycznych. Ileż tam sił, ile zdolności państwowych, zakopanych zostało żywcem wśród przestworów i śniegów sybirskich;—ile tem samem zmarnowano sił, które mogłyby pożytecznie służyć ojczyźnie swojej!

Ale też kwiat inteligencji rosyjskiej, zapędzony do Syberyi, pozostawił po sobie nie tylko wspomnienia, ale i bogatą literaturę; jeżeli bowiem nie wiele pisali sami skazańcy, postaci ich, albo osoby towarzyszących im żon-bohaterek, natchnęły późniejszym pisarzom rosyjskim nie jedną myśl wzniosłą, i bogaty temat opowiadań. Ileż bowiem poświęcenia okazały te panie, księżniczki i hrabianki, idące na dobrowolną tułaczkę za mężami, ażeby tylko nieść ukochanym swoim ulgę w ciężkiej ich doli; na jak ciężką skazywały się poniewierkę wobec nieuniknionego w tych razach otoczenia różnych wyrzutków społeczeństwa, wśród którego przebywali przymusowo ich mężowie, a przeto i one same,—narażone nie tylko na obcowanie z tem wstrętnem otoczeniem, ale nadto ciągle pod grozą, że muszą dzielić los skazanych zbrodniarek, poddać się regulaminowi więziennemu, spełniać wszystko, czego władze więzienne wymagają mają prawo od skazańców — nie wyłączając szorowania podłóg więzień i czyszczenia miejsc ustępowych. Godziły się przecież na to wszystko. Mieszkając w pobliżu więzień, niosły pociechę nieszczęśliwym, ale zawsze drogim, swoim, oraz ich towarzyszom, bodaj przez zakratowane okienka więzienne. Między temi aniołami poświęcenia jaśniała szczególną wielkością duszy księżna Wołkońska. Na cześć jej poeta rosyjski Odojewski napisał w r. 1829 piękny wiersz, który jest świadectwem stosunków, jakie panowały w drugiej ćwierci minionego stulecia w więzieniach sybirskich, odnośnie do przestępców stanu, — odartych z praw wszelkich, — majątkowych, urodzenia, i wszystkiego, co człowiek posiadać może. Pozbawienie praw stanu, towarzyszące karom ciężkich robót, rozwiązuje jak wiadomo związki małżeńskie i pozwala żonie skazańca wchodzić w nowe związki. Te panie z wielkiego świata, przywykłe do wygod i zbytku, rzucają przecież to wszystko, idą na tułaczkę, znosząc brak nie tylko komfortu, ale często, najelementarniejszych środ-

ków zaspokojenia potrzeb i wymagań, do których nawykły od dzieciństwa; otoczone w sferach stolicy hołdami—nieodłącznemi od ich wysokiego stanowiska i urody—wyrzekają się ich dobrowolnie, narażają się na tysiączne upokorzenia, byle być bliżej drogich im skazańców i nieść w doli ich możliwą ulgę i pociechę. To trwało całe lat dziesiątki, bo przez cały czas panowania cesarza Mikołaja I; a panował lat 30.

Jest to kartka z dziejów zesłania „*Dekabrystów*“, jakich, — zdaniem niektórych nowszych badaczy ówczesnych dziejów Rosyi,—uważaćby raczej należało za zaciekłych legitymistów,—boć oni obstawali za prawnym porządkiem następstwa tronu, przypadającego W. Ks. Konstantemu, nie wiedząc, jak nie wiedziała na razie cała Rosya ówczesna, że W. Ks. Cesarzewicz—Następca tronu, rzekł się swych praw następstwa na rzecz młodszego brata—Mikołaja.

Terror zapanował na całej linii. Wpływowe stanowiska w Rosyi obsiedli Niemcy, którzy wszelką samodzielną myśl rosyjską tłumili. Nie jest już dziś sekretem, że tak absolutny cesarz, jak Mikołaj I, sam musiał osłaniać słynnego poetę Puszkina przed własnym swym rządem, a Turgeniew musiał szukać za granicą schronienia przed deportacją. Nie tylko pisanie tego, co mogło niepokoić władzom, ale i czytanie takich rzeczy, groziło conajmniej ciężkimi robotami,—jeżeli nawet nie karą śmierci. We wstępie do dzieł Dostojewskiego¹⁾ znajdujemy charakterystyczny obraz owych czasów, — gdy w r. 1849—54 młodych Rosyan oddano pod sąd wojenny—za czytanie dzieł zakazanych, co miało być dowodem spiskowania. Sąd skazał ich na rozstrzelanie. Cesarz Mikołaj I karę tę zamienił na czasowe ciężkie roboty, a po odbyciu ich, na służbę „frontową“ (w wojsku); ale dopiero po dokonaniu wszelkich formalności egzekucyi, po odbyciu przez skazańców ostatniej spowiedzi, wyprowadzeniu na plac i zawiązaniu im oczu, — gdy brakowało już tylko ostatniego słowa komendy: „pal!“ — oznajmiono im o łasce monarszej.—Zanim to nastąpiło, jeden z nich postradał zmysły.

A literatura wszelka, wszelka oświata były tak podejrzane, taką skrępowane cenzurą, — że nawet minister oświaty w Rosyi

¹⁾ Dostojewski, głośny pisarz rosyjski z drugiej połowy zeszłego stulecia przebył w ciężkich robotach 1849—1854, potem w stopniu szeregowca służył w 7-m batalionie Syberyjskim do r. 1859, w którym otrzymał ulaskawienie zupełne.

Uwarow zawołał w uniesieniu: „Żeby raz ta literatura rosyjska istnieć przestała!“ („czto by nakoniec russkaja literatura prekratiłась“) ¹⁾.

Przytaczam to wszystko ze źródeł rosyjskich, które, dzięki późniejszej swobodzie prasy, ciekawe te momenta wydobyły na światło dzienne.

*

*

*

Jeżeli Rosya mogła sobie pozwolić na taki zbytek, jak zakopywanie żywcem w śniegach i puszczach Syberyi wielu najlepszych swych synów,—cóż dziwnego, że mniej jeszcze robiła sobie ceremonii ze swymi pasierbami. Już od czasu wojen kozackich zaczęła się deportacja jeńców polskich na Syberyę. W kilkadziesiąt lat później pędzą tam jeńców polskich, stronników Leszczyńskiego, wziętych podstępem przy kapitulacyi Bychowa. Znów po upływie lat kilkudziesięciu idą gromadą konfederaci barscy, następnie podkomendni Kościuszki, dalej uczestnicy rewolucyi 1830—1 r.,—potem emisaryusze, spiskowcy, lub podejrzani o spiski. Największego jednak kontyngensu zestawnych dostarczyły lata 1863 i następne.

Kości polskie usłały cmentarze Syberyi.

Jednym z wybitniejszych jeńców polskich na Syberyi był Czernihowski(?), wzięty do niewoli w r. 1665 i zagnany do ciężkich robót, w Nerczyńsku. Nie skończyły się tu wszakże jego przygody. Gnanemu w jassy o tysiące mil, towarzyszyła żona; na urodziwą polkę zwracają się oczy miejscowego wojewody, który lekceważąc więźnia, zabiera mu żonę siłą. Czernihowski zabija wojewodę,—a ratując głowę, zbiera gromadę z towarzyszków niedoli,—puszcza się z nimi ku granicy chińskiej, zdobywa drewniany zameczek chiński nad brzegiem Amuru—Ałbazin, fortyfikuje go, i opanowyywa okolicę zameczka. Ztąd wybiera daniny od okolicznych mieszkańców;—najpiękniejsze z nich wysyła w darze carowi moskiewskiemu i oddaje zdobyte ziemie pod jego

¹⁾ S. Maksimow: Literaturnaja Expiedicija (ob. Russkaja Myśl — 1890 stron. 17).

berło. Car przyjmuje to wszystko łaskawie, ogłoszony dla formy wyrok śmierci na Czernihowskiego za zabicie wojewody—znosi, mianuje go komendantem forteczki i przesyła mu nadto w podarunku tysiąc karbowanów. Dzięki więc zdarzeniu, które wynikło na tle urody „pięknej polki“,—jak ją nazywają opisy rosyjskie,—państwo Moskiewskie rozszerzyło swoje granice do Amuru.

Współcześnie, bo w r. 1657 dostał się do niewoli moskiewskiej *Adam Dłużyk Kamiński*, wzięty przez Dołgorukiego razem z 400 towarzyszami. Kamiński, zagnany aż nad Amur, opisał podróż swoją i kraje, jakie przechodził — w „Dzienniku“, który poraz pierwszy był drukowany dopiero w r. 1874, w poznańskim tygodniku „*Warta*“.

Kroniki ówczesne zaznaczają przecież i fakta dobrowolnego zaciągania się rycerstwa polskiego w służbę carską na Dalekim Wschodzie; wymieniają one 4 takich wolontaryuszów pod rokiem 1679: Chmielewskiego, Jakubowskiego, Jeżewskiego i Samojłowa, którzy oparli się aż w Wierchotuiju.

W lat kilkadziesiąt później wojska Piotra I naszły granice polskie, sukursując Augusta II przeciw stronnikom Leszczyńskiego. Wziąwszy fortecę bychowską (w Mohilowszczyźnie) przez kapitulację (1707 r.)—całą jej załogę zabrali do niewoli. W liczbie najprzedniejszych jeńców byli bracia *Sieniccy*: Kazimierz, generał artylerji, komendant fortecy, i młodszy brat jego, Ludwik, — w stopniu porucznika. Mniej wybitnych z załogi bychowskiej osadzono w Tobolsku, gdzie wspólnie ze Szwedami, wziętymi pod Połtawą, budowali fortecę i sławne schody szwedzkie;—Bracia Sieniccy, rozbrojeni, pomimo kapitulacji, zaprzysiężonej przez generała rosyjskiego (Baura) z zapewnieniem swobodnego przejścia załogi polskiej z bronią i całym taborem wojennym, — ujęci podstępem, zostali odesłani najprzód do Moskwy, a gdy tu odmówili przyjęcia służby cesarskiej — do Syberyi. W drodze brat starszy zmarł; — młodszy Ludwik do r. 1722 przesiedział w Jakucku, skąd na żądanie stanów i całej Rzeczypospolitej — został wypuszczony na swobodę, i powrócił do kraju. Przygody swoje i pobyt w Jakucku opisał we wstępie do mało znanego dzieła (treści) teologicznej „*Dokument osobliwego miłosierdzia Boskiego*“ — (Wilno 1754).

Z liczby konfederatów barskich zasłynął *Beniowski* (Maurycy-August) — sławą wszechświatową. Miejscem deportacji jego była Kamczatka. Przedsiębiorczy i zręczny, umiał ująć sobie władze miejscowe o tyle, że uzyskał liczne ulgi na tem wygnaniu. Tęsknota jednak za krajem i los współwięźniów Rosyan, nie pozwoliły mu korzystać z wyjątkowego położenia; przychodząc w pomoc towarzyszom wygnania, skazanym tu na zawsze, urządził zbrojne powstanie, opanował okręt, stojący u brzegów Kamczatki, (1772 r.)—i opłynął świat do koła. Wrócił do Europy,—skąd, już jako oficer Francyi, zdobył Madagaskar—i tu w walce z tubylcami zginął. Jest to jedna z najciekawszych postaci wśród wygnańców. Zostawił on po sobie pamiętniki w języku francuskim (*„Voyages et Memoirs de...”* Paris 1791) wydane w kilku po sobie idących edycjach francuskich, tłómaczone niemal na wszystkie języki europejskie, a w polskiem tłómaczeniu drukowane w r. 1797, 1802, 1806 i wielu późniejszych.

Współczesny Beniowskiemu barszczanin *Karol Chojecki*, wcielony do wojsk rosyjskich, skąd zbiegł w r. 1776, opisał swoje przygody, wydane w Warszawie 1789, a później przedrukowane w r. 1864. Towarzysz broni tychże, francuz *Belcourt*, również deportowany na Syberyę, zostawił po sobie *„Relation d'un officier français”*, drukowane w Amsterdamie 1776.

Po nich idą na Syberyę obrońcy kraju z czasu Kościuszki. Z nich *Józef Kopeć*, wzięty do niewoli pod Maciejowicami, i jako pochodzący z dzielnicy, dawniej już odstąpionej Rosyi, pozbawiony wszelkich praw, oznaczony numerem, zesłany do Kamczatki. Powrócił do kraju dopiero w r. 1810. Roku całego było potrzeba, zanim się dowiedział o uwolnieniu. Spisał *„Dziennik podróży”*, drukowany pierwotnie w Gazecie literackiej Warszawskiej (1812 r.), a później w oddzielnej książce—(Wrocław 1831). Jednocześnie z nim przebywał na Syberyi *ks. Ciecierski*, przeor Dominikanów Wileńskich, który pozostawił po sobie *„Pamiętnik”* (1797 — 1801), drukowany we Lwowie dopiero 1865 r.

Rządy Aleksandra I, nie pozostawiły wspomnień deportacji Polaków. Monarcha ten, marzący o połączeniu pod swem berłem całej Polski z Rosyą—jedną sobie serca Polaków. Wiadomo, że zamiarom tym stanęła na przeszkodzie stanowcza pozycja Prus, w r. 1813¹⁾;—wszakże idea jedności i związku narodów nie zamie-

1) Ob. S. Smolka. K-żę Drucki-Lubecki.

rały widocznie, bo całe to panowanie znamionowała życzliwość dla politycznych aspiracji polskich.

Zmienił się ten kierunek za następnego panowania, i doprowadził do walki zbrojnej w r. 1830.1. Deportacje uczestników rewolucyi stały się powszechne. Między zesłanymi znajdował się i *Piotr Wysocki*, który odzyskał wolność dopiero za następcy Mikołaja I. Rozpoczęła się epoka bolesna dla narodu polskiego. Już nie spiski, ale nawet praca nad podniesieniem kraju, były prześladowane. Z ofiar tej epoki, zesłanych do Syberyi, wymienić trzeba przede wszystkim *Ks. Sierocińskiego*, bazylianina, skazanego do robót ciężkich w Omsku, i zabitego pod pałkami za zamierzoną ucieczkę z towarzyszami wygnania (1837). Nie tylko spiskowcy i emisariusze, ale i ci, z którymi tamci pozostawali w stosunkach, nie uniknęli deportacyi, jak nauczyciele szkoły Szczebrzeskiej, jak *Henryk Krajewski*, *Karpińscy*, *Tokarzewski*, i bardzo wielu innych.

Z tej epoki pozostały liczniejsze już pamiątki, że wspomnę wspomnienia *Ewy Felińskiej*, *Rufina Piotrowskiego*, *Agatona Gillera*, *Tokarzewskiego*, *Bogusławskiego* (tych ostatnich towarzyszków więzienia słynnego pisarza rosyjskiego—*Dostojewskiego*, który w swym „Domu Umarłych“ wymienia ich pierwszymi tylko literami). Znane są powszechnie pamiątki: *Migurskiej*, *Czaplickiego*, *Gordona*, *Purka* (*Karpińskiego*),—a poza nimi bardzo wiele mniej znanych, lub przez bibliografię jeszcze nie zarejestrowanych—z ostatnich lat dziesiątków.

Największy przecież kontyngens wygnańców do Syberyi dostarczyły wypadki 1863 r. Jak widzieliśmy, było ich z górą 18 tysięcy. Połowę ich tworzyła inteligencja: nic więc dziwnego, że pobyt ich w tej krainie, powiększył literaturę polską Syberyi. Mało komu wiadomo, że w ich liczbie był i znany malarz *Andriolli*, i że zostawił pamiątki swoje w języku francuskim („*de Pologne en Sibérie*“—drukowane w *Revue moderne* 1868). Powstaje cała biblioteka wspomnień i opisów z tego czasu—zarówno kraju, jak i stosunków tam panujących. Wymienianie ich przechodzi już ramy tego krótkiego szkicu.

Niezależnie od wygnańców, powiększała się z roku na rok liczba inteligentnych funkcjonaryuszów rządowych na Syberyi, wypieranych z kraju ojczystego:—sądowników, lekarzy, inżynierów i t. p. Wielu z nich pozostawiło po sobie prace piśmienne; ale zajmując stanowiska urzędowe, pisali swe operaty również w języku urzędowym. Cenne nieraz zdobycze naukowe Polaków, ujrzały światło dzienne w języku obcym. Inni, mniej powyższe-

mi względami skrepowani, czynili toż samo ze względów utylitarnych, mając zapewnionych nakładców na swoje prace naukowe, czy literackie—mniej poczytne w języku polskim—a rozchodzące się w wielotysięcznych egzemplarzach wydawnictw rosyjskich;—uczeni zaś polscy, znalazłszy się niespodzianie w położeniu, ułatwiającem samoistne badanie przyrody nieznanego prawie Europie obszernego kraju, pisywali niejednokrotnie jeszcze i w językach zachodnich, — by tym sposobem odkrycia ich naukowe prędzej uczoneму światu świadome się stały. Te wszystkie czynniki złożyły się na to, że polska literatura Syberyi nie jest tak bogata, jak by nią być mogła i powinna,—i nie odpowiada stosunkowemu udziałowi umysłu polskiego w ogólnej literaturze syberyjskiej. Wydana pod koniec zeszłego stulecia bibliografia Syberyi („Sibirskaja Bibliografia“ W. Mieżowa, Pbg, 1892, obejmująca ogółem z górą 25 tysięcy numerów dzieł i broszur, dotyczących się Syberyi) stwierdza to bardzo wyraźnie.

Bądźcobądź jednakże, pomimo to wszystko, dział książek i wogóle prac polskich o Syberyi, już przed 20 laty przedstawiał się bardzo pokaźnie. W ciągu ostatnich lat 20, t. j. od czasu wydania Bibliografii Mieżowa, wzrósł on znacznie jeszcze.

Warunki, w jakich pozostawali tu skazańcy nasi w pierwszej połowie XIX wieku, nie pozwoliły im na prace literackie. Niejedna notatka, może i bardzo cenna, nie doszła do nas,—zniszczona przez samego autora, w obawie rewizyi, i kar, jakie znalezienie nielegalnej notatki pociągało za sobą. Później, gdy warunki się zmieniły, — gdy ci, poniewierani przez lat wiele, już swobodniej odetchnąć mogli, niewielu było takich, co zachowali świeżość umysłu, i zdolność opowiadania;—uczestnicy zaś wypadków 1830/1 roku wracali do kraju po 27 latach złamanymi starcami. To jednakże, co po tem pokoleniu zostało, zarejestrowała Bibliografia Mieżowa starannie. Większe ożywienie się literatury przypada na pięćdziesięciolecie ostatnie, gdy tysiące inteligentnej ludności polskiej, siłą losów, zaludniło Syberyę.

Zmieniły się bowiem i czasy. Despotyzm i terroryzm jakie dotychczas tam panowały, ustąpiły łagodniejszym rządóm, za cesarza Aleksandra II, — co odbiło się z kolei i na traktowaniu więźniów. Postawiona u steru rządów centralnych arystokracja rdzennie rosyjska, nie budowała swej kariery służbowej na państwie się nad pokonanymi przeciwnikami istniejącego systemu rządowego, czy politycznego państwa; zesłali byli poniekąd z pola owi niedawni karyerowicze, przeważnie niemieckiej narodowości, nadający przez lat wiele ton rządowi. Ludzie stojący na czele

rządu, wychowani po europejsku, rozumieli, że ojczyzna ich musi być nie tylko silną materyalnie, i groźną sąsiadom, ale posiadać powinna również szacunek narodów współczesnych, i część w oczach historyi,—to, na co zamykano oczy za poprzedniego panowania. Nastąpiła tolerancja przekonań.

Ale nie odrazu to przyszło. Autor Sybiru i Katorgi, na którego się powołuję,—w liście pisanym do mnie z Petersburga dn. 17 października 1896 r. tak opisuje trudności, z jakimi się spotkał, gdy chciał ogłosić drukiem opisy więzień i losu wygnańców na Syberyę — w siódmym już dziesięcioleciu minionego wieku:

„Powróciwszy z Syberyi i przystąpiwszy do oceny i przejrzenia wszystkiego, co tam zebrałem w sprawie deportacji, zastałem, po dwóch latach (nieobecności)—utorowaną już nieco drogę pod względem cenzury; ale przecież nie wszystkie przeszkody były usunięte; leżały jeszcze na niej, nieuprzątnięte dotąd, potężne kamienie. Na jeden taki wpadłem i boleśnie się potłukłem. W owym czasie—oprócz cenzury zwyczajnej—istniała nadto cenzura specjalna, a praca moja podlegała jeszcze orzeczeniu tak zwanego „Sybirskiego i Kaukaskiego Komitetu“. Przewodniczący Komitetu—Butkow, szkaradnie pokreślił pierwszy mój artykuł, przeznaczony do odczytania na zebraniu literackim,—i zapowiedział, że jeżeli praca moja pójdzie dalej w tym samym tonie współczucia i nagiej prawdy, to jej nie puści. Głęboką tę ranę zagoił b. minister oświaty, niezbyt szczęśliwy, jako działacz, lecz wyróżniający się rozumem i wysokim wykształceniem—Gołowin. Zdecydowano, że to, co przygotowałem do druku, zostanie wydrukowanym w ograniczonej liczbie 250 egzemplarzy, i rozesłane wyższym osobistościom władz, zainteresowanych w sprawie deportacji. Z adnotacją: „*Sekretnie*“ wyszła część I książki, p. t. „*Więzienia i zesłańcy*“. Później, gdy praca ta urosła do objętości 3 tomów, a osobny rozdział: „*Zesłańcy polityczni*“, okazał się drobną częścią większej całości, spoglądano na nią względniej. Przytem, poeta Niekrasow, który chciał pomieścić tę pracę w piśmie swoim: „*Oliczestwiennyja Zapiski*“, a umiał osłabiać ostrze zębów cenzorskich, był w chwili krytycznej nader pomysłowym, i umiał także, gdy było potrzeba, nakarmić i napoić członków głównego Zarządu Prasy. Gdy ich nakarmił i rozbawił, omawiał kwestye nie nadające się do druku, lub będące nie na czasie. Jako przeszkody, stawiano, że temat jest zupełnie nowy, dotąd w literaturze naszej wcale nie poruszany, i dopiero przezemnie poraz pierwszy podjęty; ale rozważywszy, że „*Dom Umarłych*“ Dostojewskiego, wydany o rok wcześniej, nie wywołał w ciągu tego czasu za-

mieszek, lecz przyniósł czytelnikom ciche tylko i spokojne zadowolenie literackie—na moje artykuły o Dekabrystach i o Polakach machnęli ręką. Co będzie to będzie, ale w każdym razie nie więcej, jak nagana! Ta jednak nie nastąpiła. Natomiast utworzono przy Ministerjum Spraw Wewnętrznych Komisję oddzielną, do której i ja, nie mający wówczas żadnej rangi, wszedłem razem z ekszellencyami—w charakterze jej członka. Wprawdzie Komisya ta niczego nie dokonała, ale rezultat był ten, że dzieło moje, wydrukowane w 3 tomach, rozprzedałem księgarzom w ciągu tygodnia—w ilości 2 tysięcy tomów. Fakt to nieoczekiwany i niezwykle, zaznaczony przez krytykę i pamiętny wielu żyjącym jeszcze księgarzom“...

Dalej, z powodu opuszczeń, na które zwróciłem uwagę autora, p. Maksimow powiada:

...„Zapomniałem zupełnie o Sienickich... „Nie mogłem zapoznać się dokładniej z pracami polskich emigrantów, które, po nastąpionej amnestyi, ukazały się zagranicą w takiej objętości, że utworzyły całą literaturę Syberyi. Nabyłem jedynie tylko *Gillera*, prawdomównego i poważnego, w Warszawie, u Orgelbranda i to dzięki pozwoleniu prezesa tamtejszego Komitetu cenzury — Szrejera, dawnego mego przyjaciela. Korzystanie z innych autorów w bibliotece publicznej, było wtedy niemożliwem, i kto wie nawet, czy by się tam znalazły“...

Z tego opowiadania zasłużonego historyografa deportacyi Sybirskiej, okazuje się, że władze pragnęły bardzo, ażeby stosunki, panujące na wygnaniu, nie były zbyt ujawniane. I nic dziwnego, że chciano wiele rzeczy utrzymać w sekrecie. Wszak nie było się z czem chwalić, gdy przestępców stanu zabijano kijami, skazując na tysiące pałek; gdy delikwent, obnażony do naga, — choćby w mróz trzaskający, - z przywiązaniem do karabinów rękoma, prowadzony w ten sposób przez dwóch żołnierzy, wystawiał plecy na kije; kiedy po kilkuset uderzeniach skóra była już pocięta, i bito już w mięso, które rozbryzgiwało się w strzępy. Rzadko który przeżył tak straszną egzekucję. Znałem jedną z tych ofiar—Raczyńskiego—podolaka, już 60 letniego z górą starca, który oddany pod sąd wojenny za udział w spisku, jako 19-letni chłopiec, podległ tej kaźni. Po skończonej egzekucyi, rzucono go, jako trupa do trupiarni; lekarz, którego obowiązkiem było skonstatować śmierć, oglądając mniemanego trupa, domacał się bicia serca: owinięto go więc w mokre prześcieradła, ocucono i wyleczono. Na plecach ciało nie porosło; zamiast skóry, całą tę bliznę pokryła cienka błonka, która w czasie suchego powietrza, pękała;

przy słońcu zaś całą bliznę szarpały bóle, właściwe zabliźnionym ranom. Staruszek musiał zawsze namaszczać tłuszczem ową bliznę, zabezpieczając ją w ten sposób od pęknięcia; — ale na bóle zwiększające się przy wilgotnem powietrzu, nie było lekarstwa.

Tajemnica co do wielu wypadków była nawet dla władz nieuniknioną. A niechby tak prasa zaczęła dobadywać się przyczyny nagłej śmierci dekabrysty Łunina, który zmarł w nocy nagle, | ze śladami uduszenia. Ślady te widział w dzień śmierci współwygnaniec jego w Nerczyńsku. Nie szukano nawet mordercy. Wiadomo tylko było, że Łunin stawał się niedogodnym dla władz z tego powodu, że zbyt silne co do uwolnienia jego robiono starania. Wiem szczegóły również z ustnej relacji Raczyńskiego, który był wszystkiego tego naocznym świadkiem, — a zapisuję dla pamięci, — jeżeli gdzieindziej o tem nie pisan.

Nie było się z czem również chwalić, że lada podejrzenie, lada stosunek z przestępcami stanu, powodował uwięzienie i deportację. Znany w Warszawie filantrop, p. Szymon Krzeczkowski, zmarły przed kilkunastu laty, opowiedział mi własną historję wygnania. Był on nauczycielem gimnazjum w Radomiu. Pewnego razu, przechodząc ulicą, z otwartego na ulicę okna, słyszy głos kolegi: „Szymon! chodź no tu!“ — „Wchodzę do mieszkania — opowiada — gdzie zastaję ks. Ściegiennego, apostołującego rewolucję, która rozpocząć się ma od wyrznięcia szlachty. Na takie herezje oburzyłem się i powiedziałem: czyście powaryowali! Przecież to jedyny stan, który pielęgnuje polskość i przechowuje narodowe tradycje; gdy go sprzątniecie — kto go zastąpi?! Trzasnąłem drzwiami, i wyszedłem. — I za to tylko, że byłem w mieszkaniu, gdzie był Ściegienny — zesłano mię na Sybir!“

To proste opowiadanie starca, stojącego już wtedy nad grobem, bo opowiadał mi to na rok lub dwa przed śmiercią, daje obraz panujących w owe czasy stosunków.

Ale wszelkie opisy, wychodzące z pod piór polskich, nie malują jeszcze w zupełności niedoli skazańców. Umysł polski jest za pogodny na to; byle złe przeszło, już zapomina o niem; — nie chce, czy nie umie zagłębiać się w bóle przeżyte. Trzeba zajrzeć dopiero do dzieł rosyjskich, ażeby poznać owe cierpienia.

Pozwalam tu sobie, pomawiać duszę polską o brak tragicznego nerwu; — a pozwalam dla tego, że tak na wskroś polski, tak subtelny malarz duszy naszej, gdzie idzie o wrażenia tkliwe, pogodne, lub wzniosłe, — słabo tylko odmalował cały tragizm nieszczęsnej Zosi Boskiej, gdy w obozie tatarskim, już ciężarna, nosi wiadrami wodę do namiotów; i czytelnik musi sam dopełniać

w umyśle swoim tę straszną poniewierkę nieszczęśliwego polskiego dziewczęcia,—gorszą od śmierci.

Mało bo też który naród przeżył tak ciężką dołę, jak naród rosyjski; mało też który ma w swej duszy tyle tragizmu, co on właśnie. Dla poznania stosunków więziennych i wygnańczych na Syberyi, opisy i źródła rosyjskie są też pierwszorzędnej wartości.

Był czas, że wrywano sobie z rąk Opisy Kenana, znajdując w nim wiele szczegółów, wżerających się w nerwy. Ale Kenan nie dorównywa w tem autorom rosyjskim; jest bladym w porównaniu z nimi. Tłumaczę to jednak w części tem, że Kenan widział to jedynie, co mu pokazać chciano; reagowałby zapewne również inaczej na fakta, które przesuwają mu się przed oczyma, gdyby je odczuwał na sobie samym, — gdyby odczuwał je osobiście.

Nie godzi się przecież przedstawiać panujących wówczas stosunków jednostronnie tylko. Było wiele złego; absolutyzm kładł ciężką swoją rękę na wszystkich, — nie pozwalając często odezwać się szlachetniejszemu uczuciu w duszy niejednego funkcyonaryusza władzy. Tem więcej należy zachować w pamięci i uczcić tu dobrem wspomnieniem te szlachetne jednostki społeczeństwa rosyjskiego, które, jak tylko minęła obawa narażenia swoich najbliższych na odpowiedzialność za pobłażliwość względem więźniów, śpieszyły okazać swoje współczucie wygnańcom i robiły co mogły, aby położenie ich znośniejszym uczynić.

Pamięć wdzięczna zachowała ich imiona w licznych pamiętnikach,—a interesujący się dziejami wygnania wogóle, a wygnania polskiego w szczególności, znajdują je w tych pamiętnikach. Nie mogę wszakże pominąć tego, co zapisaniem nie zostało, a co wiem z opowiadań jednej z bohaterek wygnania — pani Pauliny z Pomianowskich 1-o voto Wąsowiczowej 2-o Karpińskiej ¹⁾. Idę tu za jej opowieścią.

Pierwszy jej mąż — Cypryan Wąsowicz, należał do organizacji „*Partyi białych*”, założonej w r. 1849 przez Henryka Kra-

¹⁾ Pamiętniki, spisane przez C. Wąsowicza i jego małżonkę, oraz przez F. Karpińskiego, w obawie rewizyi w r. 1863, zostały zakopane. Ten, który zakopywał, umarł, a może zginął w tymże roku, i pamiętniki przepadły. — Autor powieści „Z czeluści piekielnych”, wydanej w Krakowie 1894, — wziął panią Wąsowicz za bohaterkę opowiadania, jakkolwiek ona poza granice ładowskie Syberyi nie wyjeżdżała,—i na Sachalinie nie była nigdy.

jewskiego, prawnika, mającej na celu przez pracę organiczną — podniesienie społeczeństwa z ciemnoty i bezmyślności. Po wykryciu organizacyi, którą władze polityczne uznały za spisek, Wąsowicz przesiedział 2½ lata w cytadeli, poczem zesłany został do ciężkich robót na Syberyi. Podążyła za nim młodzianka żona. Gdy przybyli do Uspieńska, wyznaczonego na ciężkie roboty, — Poklewski, potentat finansowy tamtejszy, wita ich i daje u siebie obiad dla wygnańców, — sadzając ich na pierwszym miejscu, — a poniżej urzędników. Zgłupieli ci na razie; ale że niemal wszyscy byli na żołądźce Paklewskiego, oponować nie śmieli. To przyjęcie przecież postawiło zesłanych odrazu na takim stanowisku, że urzędnicy musieli się z nimi liczyć.

Ale Poklewski — Polak — więc to rzecz zwykła. Tak samo nikogo nie zdziwi, że gdy w podróży do Uspieńska, na jakiejś stacyi, państwo Wąsowiczowie zajęli pokój gościnny, jedyny na stacyi—przejeżdżający tu nocą gubernator tobolski Despot-Zenowicz, ażeby nie budzić pani W., kazał sobie posłać w przedpokoju.

Ale jak zachowywali się wyżsi urzędnicy Rosyanie, — albo ich żony—Rosyanki?—Oto co słyszałem z jej ust:

Gdy po śmierci pierwszego męża (Wąsowicza) policmajster omski chciał jej zabrać dzieci na tej zasadzie, że dzieci, pozostałe po wygnańcach, stają się własnością państwa, i chciał je odesłać na wychowanie do klasztorów (chłopca i dziewczynkę z osobna), generał-gubernator omski Hasfeld, wdaje się w to,—bierze na siebie odpowiedzialność za następstwa, i dzieci zabierać nie pozwala. Dalej, gdy zmarły Wąsowicz, jako skazaniec miał jedynie prawo do takiego pogrzebu, jaki należy aresztantom, udzielono na ten pogrzeb nie tylko karawanu, z którego korzystać mogli wyłącznie honorowani ludzie—urzędnicy i oficerowie, ale nadto w pogrzebie wzięli udział najwyżsi urzędnicy tamtejsi, w gali, a pułkownikowa Łebkowska, Rosyanka rodem, opowiadała publicznie, że „do grobu Wąsowicza, ludzie schodzić się powinni, jak do świętego“.

Wszyscy, nie wyłączając gubernatora Fryderyksa, robią starania, ażeby dzieciom, pozostałym po ś. p. Wąsowiczu, wyjednać prawa (utracone przez ojca). Radzą wdowie napisać list do Cesarzowej. List ów miał być napisany w języku francuskim. Pani W. zaczęła list już układać, gdy nagle rozchorowała się ciężko, bez przytomności. Na wieść o tem, przyjeżdża ją odwiedzić pani generał-gubernatorowa, dokończy rozpoczętego listu i wysyła do Petersburga. Nie dość na tem; gdy na wieść o chorobie pani W., przyjeżdża z Irkutska Dr. Adamowski (również zesłany), któ-

remu nie wolno było ani leczyć, ani tem bardziej, samowolnie wyjeżdżać z miejsca deportacyi, o 2,000 wiorst stąd wyznaczonej—nikt mu z władz przeszkód co do przebywania w Omsku, ani w leczeniu chorej nie robił.

Nie mniej dobrą pamięć u pani W. pozostawił generał Kazimierski. Wyraża się o nim, że był to człowiek zany, przyjmował zesłanych Polaków u siebie, dawał gazety i książki. Gubernator, przy zwiedzaniu więzień grzeczny, podaje rękę zesłańcom politycznym. Gdy tak postępowała starszyzna, niżsi urzędnicy również musieli się z tem liczyć, bo niechże zesłaniec taki, traktowany z góry przez striapczego lub smotritiela turny, nazajutrz potem znajdzie się za stołem u generała, lub gubernatora, przy herbacie—a jednocześnie pan smotritiel, czy striapczy, wyciągnięty jak struna, stoi przy drzwiach i usiąść nie śmie!... Bo i to się zdarzało. Uprzejmość zaś niektórych pań Rosyank, dochodziła do tego, że np. generałowa Kapustin, staruszka, która nigdzie już nie bywała,—pierwsza złożyła wizyty Polkom, żonom więźniów.

Takich jasnych chwil, takich przeżyć wrodzonej szlachetności duszy, zapominać nie można: zapisuję je dla tego, ażeby pamiętać o nich nie zaginęła.

Jak wiadomo, dekabryści, skazani do ciężkich robót w r. 1825 jeszcze, — pędzili żywot więźniów od lat 30. W Jałotwowsku, o 100 mil odległym od Omska, państwo W. w r. 1855/6 poznali 4 z nich: Murawiewa, K-cia Oboleńskiego, Puszczyzna i Bazargina. Tworzyli oni jakby jedną rodzinę, a stosunek ich ze skazańcami polskimi był nadzwyczaj serdeczny. W czasie kiedy W. odwiedzała Jałoturowsk,—jeszcze byli oni przykuci do tacek; ale już kajdany były tak urządzone, że na nogach pozostawały obrączki, a łańcuchy dały się na noc odpinać. Żony ich jednak musiały wciąż pracować, jak sługi.

Zatrzymałem się nieco dłużej nad opisem doli wygnańców na Syberyi,—bo dla nas Polaków znana jest ta kraina głównie—jako kraina wygnania. Poczynając od wojen XVI i XVII stuleci, jeńcy polscy pozostawili tam i krew i kości swoje. Konfederaci

barscy spędzeni byli w takiej liczbie, że tworzyli całe osady polskie. Jeszcze Siwers przejeżdżający przez Syberyę w r. 1790, widział wsie polskie, powstałe 20 lat przedtem. Spotykał je jeszcze słynny podróżnik Pallas. Potomkowie tych jednakże wsiakli w otoczenie; nawet nazwa wsi, którą wybudowali barszczanie i nazwali „*Tęsknotą*“—zmieniła się na „*Potoskuj*“, co miało być jakoby tłumaczeniem dosłownem jej nazwy pierwotnej na język ogólnie zrozumiały w Syberji—rosyjski.

Ale pomimo, że narodowość polska ginie na Syberji w pierwszym zaraz pokoleniu, to jednak imiona polskie zapisały się licznie w tym kraju, nie tylko z powodu deportacyi, ale także w dziejach podboju, oświaty, literatury i cywilizacyi Syberji. Pomijam już *Innocentego Kulczyckiego* pierwszego biskupa Irkutska (1721—1731), krzewiciela wiary chrześcijańskiej w najodleglejszych krańcach Azyi, uznanego przez Cerkiew i ludność tamtejszą za świętego i za patrona Syberji—Polaka wyznania greckiego, jak utrzymuje miejscowa legenda; pomijam biskupów prawosławnych Syberji o nazwiskach, niewątpliwie polskich, jak *Leszczyński*—metropolita syberyjski († 1721); *Jaszczurzyński*—biskup tobolski; *Jaworski*—metropolita; *Płatkowski*—archimandryta, towarzyszący Innocentemu Kulczykiemu w misyi do Chin; *Stachowski*—metropolita tobolski (1721—40) i wielu innych. Są to przeważnie wychowañcy Kijowskiej Akademii Mohilańskiej, skąd szło światło na Ruś wschodnią,—a wyższość wykształcenia i cywilizacyi, wyróżniając ich wybitnie od duchowieństwa na tej dalszej Rusi, —ułatwiały im dostęp do najwyższych dostojęństw w cerkwi rosyjskiej. Pomijam nawet wpływy nauki polskiej i oświaty na umysłowość warstw oświeceńszych Syberji, ujawniające się chociażby w tak licznie napływającym tu z Polski wyższem duchowieństwie, lub we wczytywaniu się w dzieła treści religijnej polskich pisarzy,—czego dowodzą między innemi żywoty Skargi, jakie spotkał Sienicki w klasztorze prawosławnym w Jakucku w czasie swojego tam pobytu (1712—1722). Pomijam tych duchownych—niewątpliwie polskiego pochodzenia, jak wskazują nazwiska —wynarodowionych przez dłuższe osiedlenie ich rodzin na Rusi. Ale niepodobna pominąć tu ciągłego niemal wpływu żywiołu polskiego przez deportację—deportację przeważnie z inteligencji i lepszych przedstawicieli narodu polskiego złożoną.

Wygnańcy, poprzednicy nasi, i wielu ze współczesnych nam, wyrobili imieniowi polskiemu na Syberji szacunek i powagę i zapisali się dodatnio w pamięci ludności tamtejszej. To uznanie dla naszej cywilizacyi, sprawia, że nie pozostaje ona bez wpływu.

Ludność Syberyi chętnie też przyjmuje Polaków, — często garnie się do nich nawet. Zawiażują się między przedstawicielami narodowości jednej i drugiej stosunki przyjaźni, która wytrzymuje próby w najcięższych warunkach.

Ta przyjaźń, na dalekim wschodzie zadzierżgnięta, będzie może kiedyś zadatkem zbliżenia się do siebie dwóch największych odłamów Słowiańszczyzny. Przykładem możliwości ziszczenia tych marzeń, był wytrwały i szczery nasz przyjaciel, stawający zawsze otwarcie i śmiało w obronie naszej, znany z wystąpienia w dumie—Karaułow.

Polacy orężem, dyplomacją, pracą umysłową, przyczynili nie mało zdobywszy władzcom Syberyi. Widzieliśmy jeńca polskiego Czernihowskiego, który brzegi Amuru poddał carom moskiewskim. I później jeszcze, w służbie już cesarskiej, liczni Polacy przykładali ręki do rozszerzania zdobyczy i wpływów rosyjskich na dalekim wschodzie. *Despot-Zenowicz*, za naszej już pamięci, zawiera w r. 1861 niezwykle korzystny („świetny“) dla Rosyi traktat z Chinami. Uczony orientalista Józef *Kowalewski* (późniejszy dziekan Szkoły Głównej w Warszawie) układa słowniki języków wschodnich, które wystudyował w podróżach do Chin i Mongolii (r. 1828—1834), i podpisuje traktat z Chinami w Kuldży (1861); podpułkownik *Sosnowski* odkrywa nową drogę handlową do Chin; *Piekarski* zbiera zabytki piśmienne i przedmiotowe Syberyi (1863); *Broniewski* (Szymon s. Bohdana) generał-gubernator Syberyi Wschodniej (emeryt 1858) popiera rozwój rolnictwa, rozszerza uprawę pszenicy chińskiej w Syberyi, i organizuje osiadłe rolnicze wsie kirgizkie; *Bogdanowicz* już w r. 1866 projektuje budowę drogi żelaznej przez Syberyę; Augustowski robi projekt połączenia kanałem rzek Obi i Jeniseju, zaś Adamowski daje początek flotyli parowej w Syberyi, jeszcze 1860 r.

Ale oprócz zdobyczy na polu religijnem, politycznem i ekonomicznem, w jakich polskie siły udział brały na korzyść państwa moskiewskiego, a później rosyjskiego, — większe daleko zasługi położyli w Syberyi Polacy, niosąc do kraju tego cywilizację, i szczepiąc zasady, uszlachetniające społeczeństwo. Za pośrednictwem ich rozszerzała się tu wiedza, rozwijało się coraz więcej rolnictwo i przemysł. Przy ogromnym napływie intelligencji polskiej w odstępach 30 — 40 letnich, kraj ten, nie mający wówczas nie tylko uniwersytetu, ale nawet szkół średnich w dostatecznej ilości, wyprzedził w rozwoju umysłowym wiele rdzennych gubernii rosyjskich. Społeczeństwo też syberyjskie niejednokrotnie tę zasługę przyznając Polakom, z żalem rozstawało się z nimi

i żegnało powracających do ojczyzny, szczeremi wynurzeniami wdzięczności.

Oprócz zasług obywatelskich, jakie położyli Polacy,—przyniesli oni również niemało do badania przyrody kraju.

Dzięki tej względnej swobodzie, jakiej wygnańcy polityczni naszej epoki doświadczali,—mogły być dokonywane liczne zdobycze naukowe na Syberyi, — bądź samoistnie przez zesłanych tam Polaków, bądź przez tych, którzy do ekspedycji innych narodowości należeli—w charakterze pomocników.

Wśród tych badaczy pierwsze miejsce zajmuje późniejszy profesor uniwersytetu lwowskiego, żyjący wśród nas—czcigodny *Benedykt Dybowski*, — w ciągu lat kilkunastu pobytu na Syberyi (1866—1883) niestrudzony badacz kraju nadbajkałskiego, brzegów Amuru, Mandżuryi, wreszcie Kamczatki, którą łodem objechał. Pisał po polsku, rosyjsku, francusku i niemiecku. Mieżow¹⁾ wylicza jego prace tylko do r. 1888.

Współpracownikiem Dybowskiego był *Wiktor Godlewski*. Bibliografia zna jego prace tylko w języku rosyjskim. Niestęchane płodnym pisarzem w dziedzinie przyrodoznawstwa Syberyi, jest *Czerski*; za udział w powstaniu wcielony do batalionów rezerwowych Zachodniej Syberyi, w Omsku,—później znany i głośny geolog i paleontolog tej krainy. Z prac jego, wymienionych w bibliografii syberyjskiej, która dochodzi do 1888 r. niema ani jednej, pisanej po polsku.

W języku ~~tem~~ rosyjskim wyłącznie ogłaszali uczone badania swoje z tamtego czasu: *Czekanowski* († 1876), *Jaczewscy*, *Karpińscy*, *Merto*, *Onacewicz*, *Przewalski*, *Dr. Piasecki*, *A. Sawicki*, *Sielski*, *Swiderski*, *Sokołowscy*, *Sosnowski*, *Stanisławski*, *Stępniewski*, *Stefanowski*, *Sułkowski*. *Witkowski*, *Wesołowski*, *Wakulski*, *Wieliczko*, *Zabiełto*, *Zakrzewski*... i wielu jeszcze innych. Zasłużony w nauce polskiej *Taczanowski*, również pisze przeważnie w obcych językach,—i dopiero późniejsze swe prace drukuje w ojczystym. To samo jest z wielu innymi. Trudno się domyślić w tych ich dziełach—udziału umysłowości polskiej! Praca nasza idzie często na rachunek obcego dorobku naukowego.

Współczesna literatura polska Syberyi znana jest szerszemu ogółowi. „Szkice“ *Szymańskiego*, opisy *Sieroszewskiego*, czytają wszyscy z wielkiem zainteresowaniem. Natomiast prace naukowe, dotyczące się Syberyi, są rzadsze, pomimo, że ciało naukowe uniwersy-

¹⁾ W. G. Mieżow—Sybirska Bibliografia. St.-P-g 1891.

tetu tomskiego liczy w gronie swoim wielu Polaków, którzyby naukową literaturę ojczystą wzbogacać mogli, — chociażby przez przekłady własnych ich dzieł rosyjskich — dokonane pod ich okiem, przez ich uczniów polskich. Byłoby to z jednej strony ich zasługą, z drugiej strony kraj ojczysty, który nie może korzystać bezpośrednio z ich wiedzy, znalazłby w tych pracach pewną kompensatę strat, ponoszonych przez ich nieobecność wśród swoich.

H. WIERCIEŃSKI.

SICZE ZAPOROSKIE.

(Ich geneza, rozwój i charakter).

Sicze kozackie, jako zupełnie odrębne od Kozaczyzny organizacye, a jednak z nią ściśle spejone, powstawały i rozwijały się na tak zwanym Nizie, Niżu Dnieprowym, za porohami. Mówię w liczbie mnogiej, o Siczach, gdyż istnienie ich nie było bynajmniej przywiązane do jednej miejscowości, jak obaczymy, a powstanie i przekształcanie się odbywało drogą ewolucyi nader powolnej.

Poznanie bliższe tego organizmu, nawskroś wojennego, jest tem potrzebniejsze, że najnowsi badacze ruscy w ocenianiu go zesłi zupełnie z historycznego stanowiska, stąd Kozaczyzna i Sicz stały się w ich pojęciu czynnikami politycznego, społecznego i narodowego znaczenia. Skutkiem idealizowania tych czynników, historyografia ruska nadaje im charakter z jednej strony wysoko cywilizacyjny, z drugiej—narodowy. Przesuwanie środka ciężkości historycznego na społeczny i nacyonalistyczny współczesny, przyczynia się nie tylko do błędnego pojmowania całego szeregu zjawisk dziejowych w stosunkach polsko-ruskich, ale i do narzucania niejako tych poglądów także naszej literaturze historycznej. Stąd wynika konieczna potrzeba rozpatrzenia się w rozproszonym materiale, dotyczącym *Kozaczyzny niżowej*, względnie Sicz, Zaporozża i wytworzenia poglądu na podstawie faktów i zdarzeń, nie zaś na podstawie politycznych i narodowych sentymentów. Musimy dla tych faktów szukać prawdziwego, realnego oświecenia, ażeby wyjść z mętnego chaosu sądów i uogólnień przez naszych najbliższych sąsiadów i pobratymców szerzonych—rzadko zgodnie z rzeczywistością.

I. Jak się zapatrywali nasi współcześni pisarze polityczni na Kozaczną Nizową w XVI i XVII w.?

Ażeby zdać sobie sprawę czem była istotnie Kozaczyzna Nizowa, zanim o genezie jej i rozwoju mówić nam wypadnie, musimy wiedzieć jak na to zjawisko zapatrywali się pisarze i politycy polscy, którzy nie tylko byli wyrazem opinii sfery rządowej, ale narodowej wogóle, którzy, bądź na rozwój tego zjawiska patrzyli, bądź oglądali je już w formie siły wrogiej państwu polskiemu, jako Kozaczyzna. Poznajmy najwybitniejsze z tych opinii, w porządku, o ile się da, chronologicznym, ażeby później, śledząc powstawanie i rozwój Kozaczyzny Nizowej, mieć ciągle przed oczyma ten sprawdzian w ocenianiu zjawiska historycznego w stosunku do rzeczywistości z jednej strony, z drugiej jako korekturę fantazyjnych poglądów, wyolbrzymianych do karykaturalnych rozmiarów.

Nizową nazywano w Rzpltej polskiej tę Kozaczną, która na poniziu Dnieprowym wytworzyła się i dała początek organizacyi, która później, już ku końcowi XVI w., jako Sicz, poczęła nabierać grozy i rozgłosu. Przedewszystkiem zaznaczyć należy, że od połowy prawie XVI w., t. j. od chwili kiedy poczęły zarysowywać się pierwsze linie późniejszej organizacyi Syczy, wśród ludności, która ją z czasem wytworzyła, spozstrzega się jeden rys, widoczny przez całe życie różnych Syczy zaporoskich, nieomal do ostatniej chwili—*„niszczenia“*, które rozpoczynało się od zwierzyzny, a kończyło się na rabunkach i rozbojach. Było to poniekąd nieuniknione, konieczne. Kraj, od Czerkas począwszy aż do Tawani i morza Czarnego z jednej, z drugiej strony od Czerkas przez Boh do Dniestru był pustynią prawie do połowy XVI w.; gdzie dzikie zwierzęta, konie, pszczoły wraz z nawpół dzikimi tabunami owiec i bydła, chowały się rozkosznie.

Przez te pustynie ciągnęły się jedynie drogi karawanowe, najprzód z Kaffy, a później z dalszego wschodu. Główny szlak wiodł na co nacisk położył Michalon—przez przewóz na Tawani, a stamtąd stepem do Kijowa. Droga tą szły z Azyi, Persyi, Indyi, Arabii i Syryi (porządek według Michalona) na północ do Moskwy, Pskowa, Nowogrodu, Szwecyi, Danii towary wschodnie: drogie kamienie, jedwab, materye jedwabne, kadzidło, szafran, pieprz etc. Chadzały tedy karawany, które tworzyły nieraz oddziały uzbrojonych ludzi do 1000 dochodzące. Ładowne wozy, wjuczne wielbłądy były zbyt wielką ponętą nie tylko dla naszych

„dobyczników“, „berładników“, „brodników“, ale i dla włóczących się po stepach później Tatarów, a przedtem ich pokrewnych poprzedników Połowców, Pieczyngów, Berendejów, Torków — różnych nazw Czarnych kłobuków. Wszystko to czatowało w stepie na „greczników“, od najdawniejszych czasów, żyjąc na przemian z myśliwstwa i rabunku. Karawanowa droga wiodła także od Tawani przez Białogród do Carogrodu.

I na wodnej drodze nie lepiej się działo.

Nad Borystenesem i jego dopływach — pisał Michalon, — leżą mnogie i ludne grody i wsie, których mieszkańcy od dzieciństwa nawykli są do żeglugi, rybołówstwa i myśliwstwa; wielu z pośród nich, uciekając od władzy rodzicielskiej, od pracy, niewolnictwa, kary, długów, jakoteż z innych powodów lub poprostu, szukając dla siebie lepszych zarobków, udają się do Kijowszczyzny — szczególnie na wiosnę. Zapoznawszy się z wygodnem i łatwem życiem na Nizie, oni prawie nigdy nie wracają w swoje strony rodzinne, poznają miejscowe warunki życia, a wśród niebezpieczeństw walki i wśród łowów na żubrów i niedźwiedzi, nabywają doświadczenia i odwagi.

Słusznie tedy Michalon zwracał uwagę rządu swego, że „w tym kraju właśnie (na Nizie) łatwo można mieć dzielnych żołnierzy“.

Bielski, w drugiej połowie XVI w., już miał dokładniejsze wiadomości o Niżowcach, przeważnie zapewne od Oryszowskiego, który znał życie kozackie bardzo z bliska. „Ci ludzie — powiadał o nich nasz historyk — na Nizie pospolicie bawią się łowieniem ryb i temi się w lecie żywią, a na zimę do miast blizkich się rozchodzą, jako do Kijowa, Czerkas i innych, łódki swe na ostrowie na bezpiecznem miejscu na Nieprze, gdzie pochowawszy i kilka set tam człowieka zostawiwszy na *korzeniu*, jak oni mówią, *przy strzelbie*, jakoż mają i działka swe, których na tureckich zamkach nabrali i Tatarom odjęli. Nie bywało ich przedtem tak wiele, ale już się ich teraz zbiera do kilku tysięcy, a najwięcej się ich tych czasów namnożyło“.

Musiał to pisać Bielski już po próbie usadowienia się Dymitra Wiśniowieckiego na Chortycy. Jako człowiek współczesny temu wzmoczeniu się Kozaczyzny niżowej znał dobrze szkodę, jaką ona przynosiła Rzpltej, ale też i pożytki umiał ocenić, biorąc na uwagę dzielność i niepohamowaną awanturniczą odwagę tych ludzi, zahartowanych myśliwstwem i bojem. Dobrze jest żeby byli — powiada — ale żeby w rząd byli wprawieni, a płacono im, i niechaj-by tam na Nieprze ustawicznie mieszkali po wyspach

albo ostrowach, których tam jest kilka, a tak bardzo obronnych, że gdzie który (ostrów) osiadzie kilka albo kilkanaście set człeka, by największe wojsko przyszło — nic im nie uczyni. Za czasów Bielskiego było trzy takie ostrowy, gdzie Niżowcy osadzali się: *Kochanie*, „na którym, gdy czują kozaków Tatarowie, nie tak łatwo do nas się przeprawiają; *Chorczyka* (Chortyca), gdzie Wiśniowiecki przedtem mieszkał—„i nie śmieli za niego (Tatarowie) tak często do nas wtargać“; trzeci wreszcie *Tomakówka*, „na którym nawęcej Niżowi kozacy mieszkują, jakoż im stoi za namocniejszy zamek“.

„Owi tedy kozacy udają się na rabunek Dnieprem do Tehini i Oczakowa, przepływając nawet porohy w łódkach *skórzanych*, które oni zowią czajkami, po linie się spuszczać i także się na górę po linie zasie ciągnąć. W takowych też łódkach—powiada dalej Bielski—przedtem Ruś Cesarzom greckim szkody działała, wpadając czasem aż pod samo Konstantynopole. Wielką przynętą dla Niżowców były karawany, ciągnące drogą na Oczaków i Białogród, gdyż na tej drodze właśnie kupce tureckie robijali“.

Chodzi nam nie o wykazanie chwilowego pożytku, jaki w walce niżowych włóczęgów — co do których utrwałała się coraz bardziej obca, tiurkska nazwa kozaków — jaki w walkach ich z Tatarami odnosiła Rzplta, ale o charakter tego zbiegowiska na Nizie, z którego ukształtował się w końcu ów dziwny, swoisty i oryginalny organizm nawskroś wojenny, przybrawszy z czasem nazwę Siczy Zaporoskiej. Rząd polski miał jasny, stały i zupełnie uzasadniony pogląd na rolę i charakter tych przypadkowych zrzeszeń wojskowo-rozbójniczych, jakie powstały, zwiększały się i stawały się groźne na Nizie z powodu swego niespokojnego ducha i braku wszelkiego innego celu, oprócz rabunku i życia z rabunku. W instrukcyi Andrzejowi Taranowskiemu do Dewlet Gireja, cara Tatarów Perekopskich, tak się kancelarya królewska wyraziła o Niżowcach: „wszak wie car, że to mnóstwo ludzi nie ma nad sobą żadnej zwierzchności, jest skupione z Moskwy, z Wołochów, naszych też poddanych, którzy, będąc na gardło skazani, do nich się udali, a przybyło ich po wtargnieniu, które tak rok w ruskie Ziemie syn (Dewlet-Gireja) z wojskiem uczynił, albowiem wiele ich, którzy pozbywszy majątności, gdy nie mieli skądby się żywili, k'temu będąc żalem poruszeni rodziców, żon, braci, dzieci morderstw i więzieniem, do nich się przyłączyli. My za Dnieprem nie mamy żadnych zamków, ani ich możemy, żeby z Moskwy i w owych pustyniach nie byli, pohamować“. Ponie-

waż pohamowanie tej swawoli wydawało się na razie Stefanowi Batoremu niemożliwym, godziła się Rzplta na to, że „kozaki niżowe za rzeką Dnieprem wolno carom (tatarskim) mieć i na gardle karać, a z tej strony Dniepru, gdzie nasze są zamki, nie dopuścimy ich nigdy przyjmować, ale którykolwiekby jedno przyszli, z rozkazania naszego mają być od starostów naszych pojmani i skarani“.

Pogląd na znaczenie i charakter Kozaczyny Niżowej naszych historyków i polityków, którzy, równie jak cała Rzplta polska, na rozwój jej patrzyli, odznacza się trzeźwością i jasnością sądu. Znano jej dobre strony, jej siłę militarną, jej ducha dzikiego i niedającego się ująć w karby prawidłowego życia państwowego, ale znano równie dobrze jej szkodliwość dla państwa i wysoce ujemne moralne jej cechy. Najlepsze przymioty owych stepowych włóczęgów niżowych, grupujących się w coraz większe i silniejsze watahy były zarodkiem najgorszych i najstraszniejszych następstw, a brak stanowczości i siły państwowej nie pozwalał Rzpltej zdławić lub zużytkować na własny pożytek, rozwijającej się coraz szerzej choroby swawoli niżowej.

Heidenstein, który na pierwsze kroki organizującej się Kozaczyny zaporoskiej patrzył, który jako sekretarz Stefana Bato-rego i dyplomata, blisko znał stosunki na Nizie, tak pisał: „Niezmiernie przestronne pola leżą nad Dnieprem odłogiem skutkiem ciągłych łostrow i trwogi (od Niżowców). Zlatywali się tam po łupy nieprzyjacielskie wszyscy chciwi rabunku, albo skazani za zbrodnię i ci wszyscy, którzy w ojczyźnie dla ubóstwa, dla niezgody lub za zbrodnię prawem skazani zostali. Byli tam i Polacy i Litwini—ludzie z dzisiejszych Białoruskich gubernii. Kiedy wojny nie było, dawniej jeszcze i szlachecka młodzież tam się zapędzała; nudząc się bezczynnością, biegła męstwa swego próbować. Większa część tych ludzi żyła z rybołówstwa i roboju. Napadali na każdego z kogo więcej zedrzeć się spodziewali, ponieważ zaś liczba chrześcijan między nimi przemagała, duczali najwięcej Tatarom—Polsce zaś nieraz pomocnymi byli. Ze zaś niższe części rzeki zajmują na samej południowej granicy od Polski, dla tego *Niżowcami* się nazywali. Inni mianowali ich *kozakami*, tak bowiem zwą tam i jeźdźców i pieszych, którzy samowolnie zbierają się na granicy dla rabunku i bójki z postronniemi krajami“.

Paweł Piasecki, biskup Przemyski, człowiek blizki Stefanowych czasów, polityk, dyplomata, znający dobrze sprawy i rzeczy polskie, wiedział także dobrze czem są Zoporożcy, owa hałaśliwa

i awanturnicza Kozaczyzna Niżowa. Znał różnicę między kozakami, którzy są tylko „wojskiem lekkim czyli lekkiego oręza“, a Zaporozćcami, którzy związek zaporoski składają, (koniec XVI w.), a pochodzą w większej części z prowincyi ruskich, do Polski należących i Tauryce przyległych. Pospolicie „zaraz na początku wiosny, opuściwszy żony i rodziny swoje, do których aż na zimę powracać mają, do wysp się dniewprowych ściągają“... „Na owych wyspach żołnierką się bawią, nazwisko Zaporozćców mają i tam, w chwili wolnej od boju, rybołówstwu oddani“. „Z tych to kryjówek ustawicznie czatują na wszelkie przechody Tatarów krymskich, a gdy ci skądkolwiek, obciążeni łupem, wracają, oni go im odbierają“.

Piasecki wie, że owi Niżowcy to „łotrowska zgraja“, ale gotów im wiele wybaczyć, bo owe rozboje, najazdy, rabunki, sądzi ze stanowiska walki z niewiernymi. Więcej go, jako prawowiernego katolika cieszy ta walka z muzułmanami, kończąca się pożarem Trebizundu i rzezią bezbronnych, niż martwi niepowściągnięta swawola państwową. Stojąc na stanowisku wyłącznie chrześcijańskim i katolickim, powiada: „niezliczone tej polskiej (ze stanowiska państwowego) milicyi możnaby wymienić przewagi, któremi ona potęgę ottomańską gnębi i wszelkie wojska europejskie daleko przechodzi, za samem nawet świadectwem Turków, którym nic nie jest straszniejszego nad imię kozaków, chociaż inne wojskowe chrześcijaństwa zakony z szumnych tytułów i wspaniałych nadymają się nazwisk.“ Ten pogląd Piaseckiego nie na charakter, bo charakter doskonale oceniał, lecz na znaczenie Kozaczyzny Niżowej w obec Turcyi i chrześcijaństwa, nasuwał mu mimowolnie, acz zupełnie bezpodstawnie, porównanie związku zaporoskiego z „innymi wojskowymi zakonami“. W tem porównaniu, rzuconem przypadkowo, a wypływającym ze stanowiska, panującej w Europie owoczesnej idei walki chrześcijaństwa ze światem muzułmańskim, należy szukać początku utożsamiania życia Siczy zaporoskiej z życiem zakonów wojennych.

Ala Kozaczyzna, zarówno w granicach Rzpltej, jak i na Niżie wzrastała szybko, potężniała, przechodziła na włość, stając się już nie tylko wrogiem Turcyi i Krymu, lecz własnego państwa. Ta cecha, występując coraz wybitniej, już za Zygmunta III i Władysława IV zacierała coraz bardziej tę odrobinę pożytku, jaki w niej dopatrywali się ludzie i pisarze, stojący na stanowisku walki chrześcijaństwa z muzułmanizmem.

Wawrzyniec Rudawski, współczesny prawie najwyższemu rozwojowi Kozaczyzny wogóle, acz statysta i prawnik, dostatecz-

nie uzdolniony do oceniania wypadków politycznych w państwie polskim, tembardziej, że znał bieg jego polityki, przyczepiony jednak do dworu austriackiego, rozwój i siły Kozaczyzny źle oceniał. Wychowany przez Jezuitów i sam karyerze duchownej poświęciwszy się, nie dostrzegał szkodliwego wpływu Kozaczyzny dla państwa,—widział ją tylko jako ramię broniące chrześcijaństwa. Wiedział o tem, że na Nizie „kozacy zgromadzili się wspólnie dla wzajemnego łupienia Tatarów“, że „pustoszą brzegi greckie“, że, czyhając na Tatarów starają się „obedrzeć ich z bogatych łupów“, że ku Polakom „mają nienawiść za poskromioną łupiestwa swawolę“,—ale walkę państwa ze swawolą żołnierską uważa za „chęć ujarzmienia kozaków“. Stojąc na stanowisku nie własnego państwa, lecz dominującego prądu w polityce współczesnej jemu Europy, jak i Piasecki, za złe ma Rzpltej, że powstrzymując swawolę kozacką, powstrzymywała równocześnie „oręż, poświęcony na wojnę z niewiernymi“. Mimowoli wszakże staje w sprzeczności ze sobą, nawet z wysokością i czystością broniącej przez siebie idei zwycięstwa chrześcijaństwa nad islamem, gdy w innym miejscu powiada, że owe wojsko, mające bronić chrześcijańskiego świata „urościło z brudu ludności, z jassyrników, łotrów i Budżackich Tatarów“. Czyżby to byli istotnie obrońcy chrześcijaństwa? W jaki sposób wszakże sami kozacy niżowi pojmowali i prowadzili swoją walkę z Tatarami i Turkami, zanim tą samą metodą, wyćwiczywszy się i spotężniawszy, rozpoczęli ją z własnem państwem—o tem zbyt dobrze wiadomo. Rudawski opisywał wojnę kozacką, ale następstwa na potomków spadły dopiero.

Beauplan, znający doskonale całą Ukrainę swego czasu, który zwiędził i przebył Dniepr od Kijowa po Oczaków i Tawań, nie wdaje się w podsuwanie żadnych politycznych idei Niżowcom. Wprost powiada, że „co roku prawie robią wycieczki na Czarne morze z wielką szkodą Turków“, że „wielokrotnie rabowali Krym“, „plądrowali Anatolię“, „wracając z wielką zdobyczą“.

W imię obrony chrześcijaństwa można prowadzić wojnę, staczać bitwy, zdobywać twierdze, ale nie można tą wielką ideą zasłaniać pożarów dla rabunków wszczętych i za obronę chrześcijaństwa uważać bieranie niewolników, łupienie czabanów tatarskich, kradzież stepową bydła i koni i wreszcie rozbijanie po drodze karawan greckich lub moskiewskich.* Dzieje przedstawiają nam Kozaczyznę niżową tylko w takiej roli.

II. Idealizowanie Kozaczyznyaporoskiej.

Widzieliśmy jak ludzie i pisarze nasi, najbliżsi okresu formowania się Siczy, jako do pewnego stopnia instytucji kozackiej, zapatrywali się na Kozaczyznę Niżową. Była to nie świadoma, połączona jasno wytkniętą ideą, instytucja wojenna, ale przypadkowe zbiegowisko ludzi, związanych chęcią łatwego, niezależnego, swobodnego i niczem nieskrępowanego życia. Rabunek, połączony z rozbójnictwem był jedynym celem, który w stosunkach sąsiedzkich i zatargach występuje w sposób jasny, określony i niepozostawiający żadnej wątpliwości. Kozaczyzna niżowa nie tworzyła wcale, z początku przynajmniej, grupy jednej, a tembardziej jednolitej, kierowanej jedną ręką, w jednym kierunku, nie posiadała żadnego planu i celu jednolitej działalności. Grupy te, watahy, kupy tworzyły przypadkowe skupienia tam wszędzie, gdzie znajdowano odpowiednią kryjówkę, dość bezpieczną dla zasadzek i napadów lub dla spędzenia zimy w razie potrzeby. Rybołówstwo i myślistwo nierozdzielalnym węzłem łączyło się u nich z rozbójnictwem i rabunkiem. Jeżeli później usiłowano zasłonić to rozbójnicze życie ideą walki z „niewiernymi“, to były to hasła książkowe raczej, idealne, echa polityki państw europejskich, zagrożonych rozrostem potęgi ottomańskiej, ale realizowały się przez łupienie czabanów „niewiernych“, rabowanie „niewiernych“ mieszkańców Oczakowa, Kili, Białogrodu i wyłapywanie „niewiernych“ Tatarów dla robienia prezentów wielkim panom ukraińskim i królom. Owe wrzekane walki z „niewiernymi“, posiadające wszelkie cechy swawoli państwowej, prowadzili Niżowcy z jednakiem bestyalstwem i tą samą metodą nie tylko z Turkami i Tatarami, ale z prawosławnymi Wołochami, a tak samo jak Turków i Tatarów rabowali własnych swoich współplemieńców, palili ich wsie i dobytek.

Mimo tego niezaprzeczonego rozbójniczego charakteru Kozaczyzny Niżowej, w jakim ją nam pokazują dzieje, od zawiązku jej aż do ostatecznego rozbicia i pokonania, nie brakło pisarzy, którzy widząc w niej tylko bohaterstwo i odwagę żołnierską, szukali dla niej szlachetniejszego, ideowego podkładu. Z Kozaczyzny niżowej usiłowano nie tylko zrobić obrońcę chrześcijaństwa, ale w tem zrzeszeniu wojskowym, które siłą swego charakteru musiało się rządzić prawem zwyczajowem, poczęto dopatrywać się jasnej i celowej organizacyi.

Bodaj czy Piasecki w swojej „Kronice“ nie stał się powodem tego bałamutnego, a na wskroś bezpodstawnego poglądu, szukającego w rabowniczych watahach niżowych mołojców podobieństwa do „wojskowych chrześcijańskich zakonów“. Narzucanie takich wysoce moralnych i politycznych celów rybołowom, myśliwym, rabownikom i włóczęgom stepowym, mogłoby się stać do pewnego stopnia usprawiedliwieniem ich zbójnickiego rzemiosła, otoczeniem najdzikszych wybryków swawoli aureolą chrześcijańskiego bohaterstwa.

Zbyt dobrze nasi pisarze ówcześni znali Kozaczyznę Niżową, jej istotny charakter i cele, ażeby dzikość i swawolę zastąpić mogli wysokimi celami polityki europejskiej. Stanie się to jasnem dopiero wówczas, gdy się zastanowimy nad genezą Siczy zaporoskiej i rozpatrzymy jej pierwotne składniki.

Nad legendą utożsamienia organizacji Siczy z zakonami chrześcijańskimi, mającymi na celu walkę ze światem muzułmańskim, zastanowić się jednak musimy z tego powodu, ażeby, poznawszy ją, tem łatwiej można było—przez porównanie z powstaniem i rozwojem Siczy, — całą jej fantastyczność i pretensjonalność poznać i ocenić.

Niewyraźnie, jakby mimochodem rzucona przez Piaseckiego idea zakonna, tkwiąca w zrzeszeniu Siczy, znalazła do pewnego stopnia uznanie Skałkowskiego, który, otrzymawszy część archiwum Siczowego, usiłował na podstawie jego napisać historię Siczy. Myśl jego podjął Michał Gliszczyński, streszczając, a poniekąd uzupełniając prace Skałkowskiego. W naszej literaturze misja zakonna Zaporozża, względnie Siczy, nie cieszyła się wyrażnem uznaniem. Zbyt blizkie łączyły nas stosunki, ażeby tak bardzo jaskrawy pogląd na dziejowe znaczenie Siczy i Zaporozża mógł być na seryo traktowany. Zbyt był idealnym i zbyt niezgodnym z rzeczywistym stanem rzeczy. Jako temat wkraczał raczej w dziedzinę fantazyi i poezyi historycznej niż historyi.

Znalazł wszakże swego dziejopisarza. Był nim Maryan Dubiecki, który w artykule p. t. „*Zarysy instytucji Zaporozża*“ (Obrazy i studia histor. Serya II, 91—119) nie tylko rozwinął myśl Piaseckiego, ale starał się znaleźć dla niej uzasadnienie i uplastycznienie. Stworzył, można powiedzieć, piękny poemat, więcej nawet, bo—„państwko wojska niżowego“ — o czem nawet Chmielnicki nie zamarzył nigdy.

Do tego bałamutnego poglądu na domniemany charakter i cel istnienia Siczy przyczynili się poniekąd nasi pisarze publicyści XVI w., książę, którzy radzi-by byli widzieć w Siczy nie

tylko organizację obronną Rzpltej, ale może przedewszystkiem chrześcijaństwa. W najlepszym razie łączyli jedno z drugim, jak ksiądz Piotr Grabowski, proboszcz Parnawski, w swoim arcy-ciekawem dziełku p. t. „Polska Niżna“. Wędrowało tedy to ulubione polskie marzenie po różnych broszurach, dziełach i sejmach, któremu rzeczywistość całą mocą swoją zaprzeczała, aż na początku XVIII w. znalazło się u Wieliczki, skąd już bez trudu, na podstawie archiwum Siczowego przedostało się do literatury historycznej, jako pewnik, a w Maryanie Dubieckim, idea ta znalazła do pewnego stopnia kodyfikatora.

X. Grabowski (1596) pragnął skolonizować Niż i w tym celu radził stworzyć tam organizację wojskowo-rolniczą, któraaby miała na celu nie tylko wzmacnianie państwa przez osadnictwo, ale także obronę granic od Turków i Tatarów i rozszerzenie granic Rzpltej.. Projekty te i zamiary miały nie jeden punkt styczny z instytucjami zwyczajowymi i charakterem Kozaczyzny Niżowej już z początku XVIII w. X. Grabowski zalecał im także „życie pospołu“, „rycerski żywot“, kształcenie nowych rycerzy z młodzieży — „tyronowie“, — na Niżu „dżury“, — doradzał tym osadnikom „aby Tatarom, nieprzyjaciołom szkodnym państw W. K. M. ojczyzny swej srodzy byli“, „aby braci swych, wyznawców Chrystusowych bronili“, ale radził również „sposobić do wszelkiej pobożności, skromności żywota i do rycerskich spraw siebie, tyrony swe, nawet białogłowy“. Wierzył również, że „samimi kozacy w to się rycerstwo zacne, sprawne i W. K. M. posłuszne przeformują“.

Wiemy wszakże o ile marzenia polityczne odbiegały daleko od rzeczywistości.

X. biskup kijowski Wereszczyński w swojej „Publice“ (1594) jaśniej od obu poprzedników wyraził myśl o potrzebie stworzenia na „złotej Ukrainie“—szkoły rycerskiej, w celu obrony państwa od sąsiadów. Pragnął on ją „założyć nie in visceribus regni, po krakowsku na burku, ale w polach dzikich sub dio, pod dachem niebieskim“. W jaki sposób, jakimi środkami miała być założoną owa szkoła rycerska—nie będziemy o tem mówili, gdyż nie chodzi nam w tej chwili o zapoznanie się szczegółowe ze wszystkimi planami, zdążającymi do obrony granic południowo-wschodnich Rzpltej, lecz o myśl obsadzenia Ponizia zakonem wojskowym. Wereszczyńskiego możnaby nazwać pod tym względem pionierem. Biskup kijowski rozwinął napomnienie Piaseckiego.

Ażeby te kraje można było bronić „od Moskwy, Turek i Tatar“, a do tego, ażeby owa „szkoła rycerska z wybrańcami miała też swój pewny posiłek“, „raczcie—odwoływał się ks. biskup do szlachty i panów—postąpić na wieczność i J. K. M. do tego przywieść, żeby na drugą szkołę rycerską t. j. „Krzyżaków“ z najwyższym mistrzem ich, nie lutował dać wszystko Zadnieprze“. Wereszczyński jeno o pozwolenie osadzenia „rycerzy bożogrobskich t. j. Krzyżaków“ prosił, obiecując „na każdą potrzebę koronną stawić wraz z najwyższym mistrzem swym do boju wstępnego sześć tysięcy wojska gotowego, do tego i z działa, i ze wszelką armatą do wojska należącą“. Myślał też wojowniczy biskup o tem także, ażeby dążyć do utworzenia „skarbu świętego“, *nervum belli*, „na dodanie posiłku tak szkole rycerskiej z wybrańcami, jako też i Krzyżakom nie tylko na wykorzenienie narodu pogańskiego albo na rekuperowanie grobu bożego, ale i przeciwko każdemu nieprzyjacielowi koronnemu“.

Rzplta nie przychyliła się do zamiarów i planów biskupa kijowskiego. Pierwsza próba wpuszczenia zakonu krzyżackiego w granice państwa polskiego nie wypadła zachęcająco. Z wojowniczych mnichów—obrońców i szerzycieli chrystyanizmu zbyt rychło i łatwo porobili się rabusie państwowego mienia Rzpltej. To nie mogło być zachętą do innej próby, chociaż już z materiału swoistego.

Wówczas kiedy X. X. Grabowski i Wereszczyński chcieli organizować wojskowe osadnictwo na poniziu czarnomorskiem, istniała wprawdzie Sicz i w tym samym nieomal czasie wędrował ku niej Eryk Lassota, ale o jej organizacyi wiemy nadzwyczaj mało. Same urywkowe wiadomości, na których podstawie o urządzaniach Siczy mówić będziemy,—ale nie znajdujemy śladu organizacyi rycerskiej na wzór zakonny. Przypadkowe żołnierskie skupienie, żyjące chlebem, zdobytym szablą, wynajmujące się za pieniądze do Moskwy i do Niemiec z jednaką ochotą, a mocno targujące się o wyższą zapłatę—taką była ówczesna Sicz. Chyba nie są to przymioty moralne, ideowe, któreby zbliżały Niżowców do rycerskich zakonów Maltańskich lub nawet Krzyżackich. „U nich łup lepszy niż cnota“—mawiał o Niżowcach Górnicki.

Niektórzy nasi pisarze najnowszej doby — ruscy jeszcze na ten pomysł nie wpadli,— na Dzikich Polach, na stepach, ciągnących się od Taśminy do morza Czarnego, od źródeł Oreli, Berdy i morza Azowskiego aż po średni Dniestr do Białogrodu, gdzie dla myśliwstwa i rozboju, rozbitki życiowi lub awanturnicy szu-

kali przytułku, usiłowali doszukiwać się „organizmu państwowego“, a nawet wprost widzieli tam „państwko wojska Niżowego“.

Miraże historyczne w rodzaju Bractwa zakonnego na Siczy, mogą powstawać drogą przeobrażania się i przekształcania się pewnych idei, wypowiedzianych niejasno i niedających się urzeczywistnić w pewnych warunkach, z braku poprostu materiału odpowiedniego do budowy. Tak samo idea bractwa na wzór zakonnego nie istniała nigdy, ale nie brak było historyków, którzy dla tej idei, napotkanej w dziejach, pragnęli koniecznie odszukać realny odpowiednik. Gdy się odnalazły fakty lub pozory, usiłowano, bez względu na perspektywę historyczną, wznosić na nich gmach, często zupełnie fantastyczny, bo pozbawiony fundamentów, mimo to, że budowa wydawała się ogromnie kolorystyczną.

Coś podobnego stało się z „dziwnie oryginalnem państwkiem wojska Niżowego“—jak się wyraża Maryan Dubiecki. Na Nizie były niewątpliwie warunki do stworzenia państwa odrębnego. W południowo-wschodniej Europie było to jedyne miejsce, nadające się do zbudowania nowego państwa, ale, niestety, żywioł kozacki, osadniczy, jedyne—oprócz garstki Tatarów—aż do połowy XVIII w. kolonizujący stepy, wykazał dużo zalet wojskowych, grzeszył wszakże zupełnym brakiem lub wyrobieniem się zdolności politycznych i dyplomatycznych. Dla tego z materiału bardzo bogatego, który matka natura do rąk mu dała, nic nie zrobił,—przeciwnie, zetknąwszy się z energią o równem i silnem napięciu Rosyi, ze stanowiska zajętego ustąpił i jako bierne narzędzie cudzej woli, Kozaczyszna niżowa sama stała się materiałem budowlanym obcej potęgi.

Korespondencya Siczy w sprawach wojskowych z bojarami moskiewskimi, chanami lub pogranicznymi baszami tureckimi nie może służyć zgoła za cechę państwowości, a tembardziej samorządności, skoro zważymy owoczesne pograniczne stosunki Rzpltej. Tak samo porozumiewali się z obcemi państwami nie tylko hetmanowie koronni, lecz nawet Starostowie ukraiński, niepodobieństwem byłoby przecież ze Starostwa Czerkaskiego lub Kaniowskiego tworzyć odrębne „państwko kozackie“.

Głównym błędem pewnej części naszych historyków w ocenianiu znaczenia i charakteru Siczy zaporoskiej było identyfikowanie jej z zakonem rycerskim na podstawie form życia, które narzucone, raczej nadane zostały nie jako reguła zakonna, lecz wyrobiły się już mocą prawa zwyczajowego, z mocy przymusowego poniekąd odosobnienia tego organizmu. Co ważniejsze, żeśmy z tem prawem, z instytucjami Siczy, jeżeli można też użyć tego

państwowego określenia, zapoznali się dopiero m. w. od połowy XVII w. Instytucje te, jako takie, nie istniały w rzeczywistości, tylko istnienie ich da się wywnioskować na podstawie materiału archiwalnego. Mało i bardzo niewyraźnie wiedziano o powstaniu Siczy, o jej życiu i rozwoju dwa wieki wstecz.

Zanim do tego tematu przejdziemy, musimy rzucić okiem na to jak się zapatrywano na Sicz z tego idealnego stanowiska, które zaznaczyliśmy już wyżej. Typowy przedstawiciel idealizowania Siczy, Maryan Dubiecki, powiada: „Sicz była to główna siedziba Kozaczyzny zaporoskiej. Tam, jakby wśród obejścia klasztornego, otoczeni niby klauzurą, przepisami istniejącymi w tradycji, w obyczaju, przechodzącym w ciągu stuleci od pokolenia do pokolenia, mieszkali wspólnie wszyscy Siczowicy i tworzyli pewien rodzaj gminy orężnej, rycerskiej, ale też zarazem nieco mniszęj“. „Reguła tej rycersko-zakonnej drużyny była następująca: wspólność życia, wspólność celów, posłuszeństwo bezwarunkowe zwierzchności (!), celibat i wreszcie jedność wyznania“. Brakło wprawdzie w tym klasztorze przeora, ale nie brakło, jak wiemy, braciszkom chęci wymykania się po za mury zakonne, hulania po miasteczkach sąsiednich, dokąd z rybą i solą przyjeżdżali, a w pokorze mniszęj wracali do Siczy wówczas dopiero, gdy wszystko co posiadali, często odzież nawet, przepili i przełanczyli po karczmach żydowskich.

To wszystko co nasi pisarze o kozakach Niżowych pisali, co było dokładnie znane kancelaryom królewskim od momentu skupienia się pierwszej Siczy na ostrowach Dnieprowych, mało się godzi z idealnem porównaniem jej do „rycersko-zakonnej drużyny“.

Ponieważ to wszystko co pisał Maryan Dubiecki o Siczy zaporoskiej odnosi się już do połowy XVIII w., a wszystkie wnioski jego wysnute z materiału z tego okresu, przeto wnioski te i materiały, dziś o wiele bogatszy niż ten, którym rozporządzał szanowny autor „Zarysu instytucji Zaporozża“, rozpatrzyliśmy już w artykule p. t. „Życie wewnętrzne Siczy zaporoskiej w połowie XVIII w.“ („Biblioteka warsz.“, 1910). Obecnie chodziło nam jedynie o to, ażeby przypomnieć jak na Sicz zapatrywali się polscy pisarze z doby istnienia i formowania się niejako Kozaczyzny zaporoskiej, a do jakich błahutnych wniosków dochodzili niekiedy historycy, idąc za wskazówkami i marzeniami polityczno-religijnymi duchowieństwa, gorliwego o ratowanie dusz chrześcijańskich od „pogan“.

III. Czem były i jak się tworzyły zawiązki Siczy?

Przedewszystkiem musimy sobie odpowiedzieć na to, skąd pochodzi wyraz *sicz*, jakie ma znaczenie i charakter?

Jest to wyraz prawdopodobnie tak stary jak słowiańszczyzna i wiąże się bardzo ściśle etymologicznem swoim znaczeniem z charakterem pierwotnej obrony. Woda, ziemia, las stawały się najsilniejszą twierdzą mało i niedostatecznie uzbrojonego pierwotnego człowieka. Chroniono się wtedy na wyspy, sypano wysokie wały z ziemi lub w miejscach, nadających się z natury do obrony lub na drogach, któremi iść musiał nieprzyjaciół, robiono *zasięki*, *posieki*, *posieczki*, *zaruby* z drzewa, tworząc poprostu takie zwały, jakie widzimy często na drogach leśnych po wielkich burzach i wichrach, które, łamiąc najwyższe drzewa, tworzą taką zaporę często nie do przebycia.

Taki sposób obrony był dobrze znany na Podnieprzu jeszcze przed przyjściem Mongołów. Osiedła w Kijowszczyźnie nadbrzeżna ludność słowiańska, napastowana często przez Połowców broniła się od nich w ten sposób, że na drodze ich przechodów i przepraw przez Dniepr robiła *zasięki*, *sicze*, *zaruby*, które ten pochod połowiecki wstrzymywały. Z wielkiem prawdopodobieństwem można przypuścić, że na takich miejscach bywała stała straż lub nawet garść żołnierzy, ażeby można było narazie wstrzymać najazd Turańców.

Zarub tego rodzaju, który przeszedł do historii, istniał w XII w. na Dnieprze, na tym załomie, jaki tworzy rzeka między Trechtymirowem a Zarubińcami. Prawdopodobnie był on w obrębie dzisiejszej wsi Zarubiniec, stąd i nazwa osady powstała. Istniała tu przeprawa przez Dniepr, którą zarówno Połowcy wkraczali na prawy brzeg, jak kniaziowie kijowscy wymykali się w stepy połowieckie dla rabunku poprostu. Droga na *Zarub* i przeprawę przez Dniepr, tuż około Zarubu, robili wyprawy na Połowców Świętopęk i Włodzimierz (1096 u Nestora), chadzali tedy Boniak na Torków i Berendejów (1156), a na ostrowie Waregskim, zapewne niedaleko Zarubu, zjeżdżali się w kilkadziesiąt lat potem książęta ruscy.

Można-by tedy z dużem prawdopodobieństwem przypuścić, że ów *Zarub* był pierwszą *Siczą* przed wytworzeniem się jeszcze tej grupy przemysłowo-wojskowej, która z czasem przybrała nazwę kozaków. Tu w tym punkcie, już w pierwszej połowie XVII w., kiedy się zaczęła wzmacniać Kozaczyszna, wytwarzało

się już skupienie kozackie, równocześnie jak na Niżu, za porohami. Beauplan powiada, że w Trechtymirowie, w monastyrze, kozacy składali swoje dobytki, a ponieważ w tem miejscu była i przeprawa, musieli tu mieć kozacy jakiś posterunek obrończy.

Pomijając sferę mniej lub więcej prawdopodobnych hipotez, postawmy sobie pytanie: czem właściwie była Sicz późniejsza i jak ją sobie należy wyobrażać?

Pojęcie Siczy bardzo trafnie określa Maryan Dubiecki. „Miano to—powiada—dawano każdemu miejscu, gdzie był stały tabor kozacki“, mniej zaś szczęśliwy jest, gdy tabor taki nazywa „rodzajem stolicy państewka zaporoskiego“. Nieściste to, a raczej dowolne określenie, wynika właśnie z tego, że w badaniu instytucji siczowych zajął stanowisko XVIII w., gdy one były już ustalone. Zamiast tedy w badaniu swoim posługiwać się metodą chronologiczną, posługiwał się we wnioskowaniu metodą wsteczną, która w tym wypadku tylko do błędnych wniosków doprowadzić mogła. Szcze, zanim ustaliła się ta nazwa na poniżu Dnieprowem dla ogniska organizacyi kozackiej, istniały, jak zobaczymy, w różnych miejscach, a każda z nich mieściła w sobie zarodki tej, która się stała historyczną przedstawicielką Kozaczyny wogóle.

Szcze, jako punkty obronne tam wszędzie, gdzie ludność słowiańska stykała się lub stykać się najpewniej mogła najprzód z połowieckimi rabownikami, a później Tatarami, jak widzieliśmy, istniały oddawna. Jako punkty tego rodzaju powstawały one nie tylko nad Dnieprem, na ostrowach, lecz także nad Bohem, w stepach Bracławszczyzny, póki wreszcie Sicz Dnieprowa nie zapanowała nad innymi, bądź skutkiem dogodnego do obrony miejsca, bądź większem skupieniem ludności.

Z jakich składników społecznych formowały się wogóle Szcze zanim stały się ogniskiem organizacyi kozackiej?

Gdy księstwo kijowskie przeobrażało się w Województwo w r. 1471, wysłano lustratorów dla opisu ziem Kijowszczyzny. Cała lustracya nie doszła do nas, ale i ten urywek, jaki posiadamy, jest dużej doniosłości, zarówno pod względem geografii, zaludnienia jak i jego charakteru. Mam tu na myśli tylko stepową część Kijowszczyzny. W lustrację tę weszło 21 osiadłości, zamkniętych granicą rzeki Rosi, z wyjątkiem Winnicy, którą także do opisu wciągnięto. Zdaje się, że lustratorom chodziło o to, ażeby we wszystkich tych osiadłościach spisać przedewszystkiem „sług, które na wojnę chodzą“, czyli poprostu obliczyć tę siłę zbrojną, jaka według praw zwyczajowych do obrony kraju była

obowiązana. Lustratorowie naliczyli takich „sług“ 132, dodając ile w każdej wsi znajduje się wraz z „atamanem“. Różne spotykamy tam kategorie obowiązków, które dla przykładu tylko zaznaczamy: jedni tedy siedzieli jeszcze na woli, drudzy opłacali podymszczynę, inni dawali bołkunowszczyznę, w jednej osadzie, Ontonowie, zanotowano pasiekę, „sto bczot“, a w Terpsejewie na Rosi „trzech hultajów“. W kategorii „sług“ znajdujemy dwa rodzaje: jedni tylko na wojnę chodzą, a drudzy także „w łowy chodiat“. To połączenie myśliwstwa z wojskowym rzemiosłem byłoby wskazówką, że myśliwy nie tylko „zwierza gonił“, jak się wyrażają współczesne dokumenty, ale i wroga gonić musiał nieraz, musiał być zatem równocześnie żołnierzem i myśliwym. Obok takich myśliwych widzimy także typ ludności próżniaczej, niezajętej, bez stałych obowiązków i bez stałej siedziby — owi „hultaje“, golce, kategorya ruchoma, nikomu niepodległa, wolna.

Ow częsty dodatek lustratorów, „w łowy chodiat“, nasuwa mimowolnie pytanie: gdzie się te łowy odbywały, a równocześnie uwagę, że nie uprawa ziemi, nie rolnictwo stanowiło sposób do życia dużej kategoryi ludności, lecz polowanie, myśliwstwo, w najobszerniejszem znaczeniu wyrazu.

Ziemią obiecaną dla myśliwych i myśliwstwa było poniżej Czarnomorskie, owe dzikie pola, owe Budżaki, owe ługi i ostrowy Dnieprowe, owe lasy nad Orelą, Sułą, Pstem. Jakie było bogactwo zwierzyny w tych lasach i stepach, jaka obfitość ryb w jeziorach, rzekach i zatokach Dnieprowych od Taśminy począwszy, nie będziemy tego przypominali. Michalon Litwin, Beauplan, nasi pisarze i informatorowie stolicy Apostolskiej często i wiele o tem pisali.

Ażeby skupić się jedynie na głównym temacie, zwróćmy uwagę tylko na ten rejon Dnieprowy, gdzie rozpoczęły się te zrzeszenia, z których później ukształtowała się Kozaczyzna Niżowa z jej główną siedzibą Siczą, długi czas niemającą nic wspólnego z Kozaczyzną grodową.

Materyał do rozwiązania zagadki tworzenia się Sicz na Zaporozu, znajdujemy także w lustracyach zamków pogranicznych na rękach polsko-tatarskich w połowie XVI w. Mam też na myśli głównie zamki Kaniowski i Czerkaski, gdzie życie kształtowało się w sposób nader odrębny od innych, północnych, leśnych krajów polsko-ruskich. W Czerkasach np. (ok. 1550) mieszka już 250 kozaków. Ogromna ilość w porównaniu do ogólnego zaludnienia. Różnią się oni tylko nazwą, która ich sposób życia charakteryzuje, od mieszczan. Zresztą — żyją z nimi w zgodzie.

Stanowią oni prawie połowę ludności miejskiej. Obowiązki ich zarówno wobec innych warstw społecznych, jak i wobec Starosty, wcale nie wskazują na rzemiosło wyłącznie wojenne. Śladu najmniejszego innej organizacji, oprócz wojskowej, pośród nich nie widać. Zdaje się, że „kozak“ oznacza w tym czasie człowieka, nieposiadającego stałej osiadłości, ludność nader ruchomą, przedsiębiorczą. Śród nich dostrzega się dwie kategorie: jedni, którzy domów własnych w mieście wcale nie mają; ci płacą starości sześć groszy „koladki“, a w lecie po dwa dni siana koszą „tłoką“, za strawę i miód starościński. Do tej kategorii zaliczano zapewne owych „hultajów“, o których zbyt często się wspomina. Ta sama kategoria wynajmowała się do robót różnych mieszczanom i bojarom, zaliczali się poprostu wtedy do sług, do robotników, „koladki“ starostom nie płacili i siana nie kosili. Druga kategoria „chodzi w kozactwo, na pole“. Jest to już rodzaj stałego zajęcia. Nie będziemy się bliżej w określenie i charakter tego zajęcia wdawali, gdyż przy innej sposobności temat ten rozpatrzymy. Zależność ich od st-y nie określona stanowczo i wyraźnie, o tyle chyba, że starostowie otrzymywali część zrabowanych rzeczy, a zatem „chodzenie w kozactwo“ tolerowali, jako zyskowny dla siebie sposób zarabkowania ludności. Chodzili tedy kozacy „w pole“, „w ziemię nieprzyjacielskie“, „na Niż“, a wracając z „dobytku dawali starości co lepszego“—w ogóle z „butynków“, z koni, zbroi, języków.

Step, Niż, Dzikie Pole—wszystko to stało otworem nietylko „dla dobytku w ziemi nieprzyjacielskiej“, ale wolno było każdemu orać gdzie się podoba i zakładać „pasieki“, czyli mówiąc inaczej, można było prowadzić tak zwane dzikie osadnictwo—dowolne, według upodobania, według wyboru miejsca, gdzie się podoba. Część przeto ludności miejskiej, niezwiązanej przemysłem, handlem, rzemiosłem z miastem, wydzielala się z gminy miejskiej, szukając na własną rękę osiadłości i przytułku, chociażby czasowego. A ponieważ osady takie, zwykle zakładane w miejscach odpowiednich, rzadko bywały trwałe, pozostały po nich ślady pobytu jako sieliszcza, horodyszcz, uroczyska. To nie wyłącza możliwości tworzenia się tych nazw inną drogą.

Istniała wprawdzie nazwa „kozak“ jako stan, jako klasa o pewnym charakterze, ale nie mogła to być nazwa o niewzruszonej stałości pojęcia; mieszczanie, „ludzie“ ziemianie, bojarscy, „prychożi“ rozmaici przybierali tę nazwę lub jej się pozbywali w miarę zmiany warunków życia. Z hultajów stawali się osadnikami lub myśliwymi,—posuwając się zawsze tylko—z regu-

ły—ku porohom, ku Niżowi. Jak ludzie wsi najbliższych zamkowi „zimujut pri zamku w miestie, a litujut' *na ostrowie*“ — jak się wyrażał lustrator, taki też tryb życia niewątpliwie wiedli kozacy, „którzy domów w mieście nie posiadali“.

Ale czy wracali wszyscy? Część tych, którzy „litowali na ostrowach“ z pewnością pozostawała tam na zimę. Utwierdzimy się jeszcze bardziej w tem przekonaniu, gdy się zapoznamy z kategorią ludności, typowo dla owych czasów nadnieprzańskiej, tak zwanej „uchodniczej“, myśliwskiej. Ta właśnie kategoria była największą dostarczycielką ludności, wojskowo-myśliwskiej, z której poczęły się tworzyć kadry Kozaczyzny niżowej, owe Sicz, różne w różnych miejscach zakładane, nie mające z początku nic wspólnego z kozakami, a bardzo mało z kozakowaniem. Zbliżanie się obu kategorii ku sobie na stepach następowało powoli, i bardzo nie rychło przyszło do zupełnego zlania się, przeciwnie, pomimo pewnej wspólności charakteru zajęcia, przedział pogłębiał się, tworząc już ku końcowi XVII w. dwie niejako odrębne organizacje wojskowe. Sicz przyswoiła sobie nazwę macierzy Kozaczyzny.

Mówimy często o Niżu i Zaporozu. Nazwy te, osobiwie od początku XVII w. identyfikują się, a pojęcie ich rozszerza się, łącząc się z pojęciem „posiadłości Wojska Zaporoskiego“, które nazywano „wolności kozaków Zaporoskich“. Otóż Niż, w obszerniejszym znaczeniu obejmował obszar nietylko między środkowym Dnieprem a Dniestrem ku morzu, ale za Dnieprem także, prawie od Trubeża do bramy Krymskiej, gdy Zaporozie miało daleko węższe granice i ściślej określone. Określają się one samą nazwą. Obejmowało ono tę część, przeważnie z prawej strony Dniepru, która ciągnęła się za porohami, a więc nietylko niziny nadrzeczne, zwane łuhami, ale także ostrowy między porohami i za porohami leżące wraz z szerokim nadbrzeżnym pasem ziemi bez określonych wyraźnie granic. Takim było Zaporozie jeszcze na początku XVII w., kiedy Żółkiewski pisał, że szukać tam kozaka byłoby to wszystko jedno, co szukać ptaka w polu.

Gdy tedy późniejsza Kozaczyzna Niżowa obejmowała ogromne obszary stepowe i była miejscem skupienia włóczęgów różnego rodzaju i narodowości, jakoteż myśliwych i rybołówów, dostarczających kontyngentu późniejszej Siczy, Sicz, jako punkty obronne powstawały nad Dnieprem, a raczej na ostrowach Dnieprowych, tu utworzyły formację typową i rodzaj ogniska Kozaczyzny. Nie rychło jednak do tego przyszło. Przypadkowe zrzeszenia lub skupienia myśliwsko-rybołówne w przestworzu XVI w.

spotykamy często na Niżu Dnieprowym. Spotykamy nazwę kozaków w tych miejscowościach już ku końcowi XV w., ale o Siczy długo jeszcze mowy niema. Skarżył się Mengli-girej, że „ludzie hospodarscy kaniowscy i czerkascy“ okręt tatarski pod Telihią rozbili (1492), a we dwa lata później „kozacy z czerkaskiego gródka“ ograbili posła moskiewskiego kn. Subbotę, jadącego z Wołoch do Krymu, zburzyli „nowy gródek“ (Oczaków), ale o Siczy jeszcze mowy niema. Jeszcze kozackiej stałej siedziby na Niżu Dnieprowym nie było. Na „zdobycz“, na rozboje, na rabunek kupców kafińskich i innych chadzali większymi lub mniejszymi watahami kozacy z Kijowa, Czerkas, Kaniowa, często za wiedzą starostów pogranicznych, a niekiedy przy ich zachęcie, ale dokonawszy rabunku, wracali „w górę“ do siedzib mniej więcej stałych, do zamków hospodarskich.

Impuls do stworzenia Siczy, jako miejsca obornnego, nie wyszedł wcale od kozaków, lecz od tych watah przemysłowych, które jako „uchodnicy“ żyli w stepach z myśliwstwa, rybołówstwa, pasiecznictwa. O nich to obrazowo wyraził się lustrator, że, „żyją na mięsie, na rybie i na miodzie“. Wiedli tem handel niewątpliwie, z Niżu Dnieprowego wożąc mięso, miod, rybę, skóry, sól do Kijowa, jako głównego miejsca zbytu. Bogacił się Kijów, ale nietylko z handlu. Michalon powiada, że w lada ubogiej lepiance można znaleźć złoto, perły, tkaniny wschodnie. Przemysł stepowy bywał wszakże nietylko z bogaceniem się, ale i z niebezpieczeństwem połączony. Trzeba było być przygotowanym do napaści i obrony każdej chwili. Wataha zatem „uchodników“, albo i ci, którzy wynajmowali lub zakładali w stepach pasieki, musieli się zabezpieczać, budując bądź przygodne „gródki“ lub otaczając miejsce swego pobytu *zasiekami, siczami*, i pod ich obroną prowadziła się pewnego rodzaju kolonizacya, osadnictwo niestałe, czasowe, przygodne długo, aż póki szczęśliwym trafem osada się nie ostała burzom kozackim lub tatarskim. Jeszcze w końcu XVI w. Eryk Lassota takie obronne „gródki“ spotykał koło Przyluki, jako małe osobliwe (selzsame heuser mitt schiesslöchern) domki, zaopatrzone w strzelnice, gdzie się ludzie bronią na wypadek napadów tatarskich. A mieszczenie czerkascy na pięćdziesiąt lat przed podróżą Lassoty skarżyli się na starostę Ostafieja Daszkowicza, że im nie pozwala na uchodach „horodców (stawiti)“, „w kotoryje wchody koli oni chodiat“. Szkoda tylko, że miejscowość nie jest bliżej określona. W każdym razie skarga owa daje nam pojęcie o tem, że ludność uchodnicza na Niżu Dnieprowym usiłowała oddawna tworzyć punkty obronne.

Spróbujmy zapoznać się bliżej z tą ludnością i uchodami, a przekonamy się że ta właśnie kategoria ludności była pierwszą, od której wyszła inicjatywa obrony, a z czasem impuls do stworzenia większej, silniejszej potęgi obronnej. Typową pod tym względem miejscowością jest zamek Czerkaski, ostatni aż po koniec prawie XVI w. posterunek obronny Rzpltej na rębie stepowym stojący. Rozpatrzenie się w szczegółach lustracyjnych z połowy XVI w. daje nam obraz życia na tym krańcu państwowym niezmiernie ciekawy i urozmaïcony. Prawa używalności tego zamku i mieszczan sięgają aż do Tawani—nieomal do morza Czarnego i obu Ingulów z prawej strony, a do Orelu i Samary z lewej. Prawidłowego rolniczego życia na tych ogromnych obszarach ani śladu. Przypadkowo tylko „orze gdzie kto chce“, a zebrawszy trochę zboża, ucieka do zamku. Oczywiście takie niestałe, przygodne zajęcie nie wypełnia całego życia i czasu. Brak osiadłości, brak stałego, pochłaniającego cały czas zajęcia, minowoli tę rozpróznioną, nienawykłą do prawidłowej pracy ludność wypycha z miejsca. Stąd wytwarza się kategoria ludności koczowniczej prawie, myśliwskiej, szukającej gdzie można bądź zarobku, chleba, bądź upustu dla zbytku, dla nadmiaru sił i energii. Step, pełen zwierza, ryby, pszczoł, pełen stad koni i owiec tatarskich, owe ledwie widne śród burzanów stepowych drogi karawanowe,—wszystko to nęciło ku sobie łatwym zarobkiem, łatwą zdobyczą te gromady ludności bez ograniczonego zajęcia, przypadkowo nieraz mieszkającej w mieście. Ledwie błysnęło słońce wiosenne, ledwie śniegi stajały, ledwie Dniepr zrzucił ze siebie okowy z lodu, cała masa tej ludności rozbiegała się po stepie, po ługach, ostrowach, jeziorach słonych, jazach, wodach rybnych, słowem po „uchodach“. Były to ogromne obszary, nie objęte granicami, kilkomiłowej często wielkości, pełne zwierza i ryby, zwane niekiedy „ujazdami“, dokąd schodziła się ludność dla przemysłu myśliwczego i stąd je nazywano „uchodnikami“.

Dla przykładu zapoznajmy się bardziej szczegółowo tylko z tymi uchodami, albo „stanami“, które należały do zamku Czerkaskiego. Dnieprem tedy, od góry, poczynawszy od Mosznów leżą uchód i staw Duboslej, jakoteż jeziora, Ustupny i Zachodni zatony, „zasiakle“, gdzie łowiono ryby i bobry. Poniżej nieco uchód Jelański, także z jeziorami i zatonami, następnie szły Wołowski, Kremieńczucki, Lasek, Taśmiński, uchód na Psle (Peselski), na *Rewuczynie*, uchód Kaszyński, Wilczy ostrów, Orelski, Romanowski, Protołcz, Koszoum, Białe jezioro, Otmut. Następnie szły uchody na porohach: Wolny, Nienastyteć, Pletenica, Bozowłuk,

Nosowski, Tomakówka, Argaczyn i wreszcie uchód na Tawani. Pomijamy na innych rzekach i rzeczках, gdyż dla nas są najważniejsze, leżące na Dnieprze. Na jakich warunkach ludność dzierżawiła te uchody, w tej chwili zajmować się tem nie będziemy. Chadzali tam przeważnie „czużehorodcy“ — jak się wyraża lustrator, a mianowicie: Kijowianie, Czarnobylcy, Mozyrzanie, Piotrowcy, Bychowianie, Mohylowcy, „jedni drugich wyprzedzając i podwyższając cenę“. Bywały lata, kiedy po 300 i więcej „chodziło“. Oprócz tych „czużehorodców“ i ludzi starościńskich, „chadzali na uchody Czerkaszanie, bojarowie i mieszczenie“, opłacając się oczywiście starostom. Należy przypuścić, że do pomocy bierali ze sobą owych hultajów, hołotę, prychożich, nieposłusznych, którzy przez całą zimę kręcili się koło zamku, przepijając zarobiony grosz lub szukając nowego zarobku.

Nietylko tacy uchodnicy, miejscowi lub zdaleka wędrujący, brali uchody na łowy, ale wynajmowali łuki dniewowe z wiosną i łowili jesiotry, „włoczyli jeziora“, „gonili bobry“, „wybijali miód“. Było tu więc życia i ożywienia dużo, ale z charakterem na półdzikim, łowieckim, myśliwskim, zbójckim. Boć taka wataha „uchodników“ nie odżegnywała się z pewnością i nieuciekała, spotkawszy w stepie karawanę turecką lub moskiewską, stado baranów lub koni, o które trzeba było nieraz krwawą walkę stoczyć.

Rozejrzyjmy się w tem jak w rzeczywistości wyglądała praca takich uchodników. Przedewszystkiem owym uchodnikiem był przedsiębiorca, osoba, która prawnie występowała wobec starosty. Inaczej wyobrazić sobie tego nie można, jeśli wiemy, że on składać był obowiązany umówioną część zarobku. Taki przedsiębiorca mógł sam „gonić bobry“, ale nie mógł sam budować jazów, zapuszczać i włóczyć sieci, nie mógł sam zapuszczać się aż na limany po sól, wybierać miody ze „swepetów“, a nawet przesiadywać po pasiekach, gdzie bywało po kilkaset bezdenków. Ogromną doniosłość w tego rodzaju przemysłach rzecznych lub stepowych odegrywała nietylko możliwość dużego zysku, ale także potrzeba obrony od czyhających ze wszelkich stron nieprzyjaciół. Mogli to być zarówno miejscy hultaje, hołota, jak i kozacy tatarscy, którzy na tych przemysłowców — myśliwych także polowanie urządzali. Słowem niebezpieczeństwo czyhało na nich z każdej bałki, z każdego lasu, „czaharnika“ lub uroczyska, tak samo jak i znienacka od szerokiego stepu.

Widzimy tedy z lustracyi, że tacy przemysłowcy nietylko chodzili w pojedynkę (chyba bardzo wyjątkowo), ale przeciwnie,

tworzyli *watahy* już na miejscu, które były zarówno rodzajem spółki jak i zrzeszeniem ku obronie. Tego rodzaju spółki, *watahy*, oprócz umówionej daniny staroście po powrocie z uchodów, opłacali także na zamek, tytułem „pokłonu“ t. j. prawa na wspólną eksploatację, od każdej watahy „osmak owsa czyli pięć solanek, krup solankę, srodu solankę“, a jeżeli szli z góry, to dawali także koła — słowem, jak się kto ugodził. Miejscowi uchodnicy, Czerkaszanie i Kaniowcy, ci, ażeby nie płacić pokłonu, brali sobie do pomocy owych „nieposłusznych“, których w samych Czerkasach było kilkuset, a mogli ich znaleźć i po za zamkiem podstatkiem.

Owe watahy dobrowolne lub z podnajemców złożone, myśliwych, rybołówów, solników, bobrowników, pasieczników, wyruszając na uchody nie szły przecie ani bezbronne, ani bez odpowiednich narzędzi. Uchodnicy wiedzieli, że ze wszech stron będą otoczeni niebezpieczeństwem. Nie włóczyli się zatem dniami i nocami po puszczech, łukach lub oczeretach za lisami lub bobrami, ale musieli sobie wybrać przedewszystkiem stałe stanowisko, „stan“, gdzieby mogli mieć dla licznej swojej gromady przytulisko i obronę. A ponieważ należy przypuścić, że co roku starali się wynajść dogodnie dla siebie uchody, musieli je zatem przysposabiać tak, ażeby znaleźć tam mogli i wygodę i bezpieczeństwo. Robili tedy nasypy, okopy, a gdzie potrzeba zasieki, zaruby, sicze z przechodami im tylko znanymi. W takich kryjówkach i sami się przechowywali i zdobyte przez siebie materiały gromadzili. Należy przypuszczać, że pewna część uchodników albo spółników i najemców pozostawała w takich kryjówkach na stałe, przenosząc nawet niebezpieczeństwo i zupełną wolność od zależności starościńskiej. Dla starostów nie było to pożądanem, bo w ten sposób część ludności wymykała się dobrowolnie od płacenia „pokłonów“ i umówionej „wyti“ (wyt). I oto z tego źródła płynęły niewątpliwie skargi Czerkasców na Daszkowicza, że ich z „horodców“ spędza.

Takie przygodne osady myśliwsko-przemysłowe powstawały oczywiście tam, gdzie najczęściej było dla nich bezpieczeństwo. Widzieliśmy, że uchody istniały nietylko wzdłuż Dniepru, ale nawet na tych samych miejscowościach i wyspach, gdzie później powstawały Sicze—na Buzuwłuku, Tomakówce, Tawani, a niewątpliwie i na innych ostrowach dniewprowych, do których łatwy przystęp mieli ci, którzy z „góry Dniepru“ lub bajdakami i łodziami do tych ostrowów przedostawali się. W obec tego staje się rzeczą jeszcze bardziej prawdopodobną, że uchodnicy budowali

na tych miejscach Sicze i horodki, jako składy swoje i twierdze obronne, a nieraz kryjówki niedostępne zupełnie.

Drogą rozumowania i faktów jesteśmy w możności dojść do takich wniosków, ale nie jesteśmy w możności oznaczyć miejsca owych przygodnych Siczy i horodków, jako punktów w tej lub innej miejscowości położonych. Część przedsiębiorców uchodniczych, a może i całe watahy wracały do domu, ale ponieważ na drugi rok mieli wracać znowu, niewątpliwie, że w owych horodkach pozostawiali swoje narzędzia myśliwskie i łowieckie, owe wielkie sieci dla połowu ryb, owe żelaza, siła różnorodne do łowienia zwierza, rozmaite przyrządy, narzędzia gospodarskie, słowem to wszystko, co niewymagało na razie przewożenia. Do pilnowania pozostawała również część najemców, a może i część watahy—skontrolować tego nikt nie był w stanie. Ci, którzy zostali w horodku, prowadzili i musieli prowadzić życie na poły myśliwskie, na poły rabownicze, a gromady ich zwiększały się w miarę przybywania nowych oczajduszów, którzy oprócz głowy własnej, nic do stracenia nie mieli.

Wyprawy rabownicze, osobliwie gdy się udawały, były najlepszą przynętą. Jeden drugiego wiodł do takiej osady. Step, owe Dzikie Pola, nie były wprawdzie zaludnione stałym osadnikiem, ale tembardziej nie były też puste. Ruch ludności ciągle je ożywiał; nowe fale coroku przyływały, rozlewając się po stepie od Dniepru, na obie strony. Watahy rabownicze, złożone z hołoty, „hultajów“, którym dostęp do zamków i włości, szczególnie w Bracławszczyźnie, był wzbroniony, usuwać poczęły powoli uchodników; przemysłowców—myśliwych i rybołówów poczęły powoli zastępować przemysłowiec—kozak, rabownik. Było to także pewnego rodzaju rzemiosło, przemysł stepowy, owo kozakowanie, które poprzedziło Kozaczyznę, niebezpieczne wprawdzie, ale wygodne, swobodne, zyskowne. Każdy dobycznik stepowy ważył swoją głowę głową tatarskiego kozaka lub czabana, nadstawiał ją pod strzały i pod kule obrońców karawany, ale jeżeli wyszedł cało, starczyło mu zrabowanego dobytku na pijatykę, a nieraz i na uskładanie. Przypadkowi ci mieszkańcy stepów, zasilali coraz częściej i coraz bardziej falę kozacką i już pod obcą tą nazwą poczęli od połowy XVI w. tworzyć nową Kozaczyznę—Niżową, związaną z Kozaczyzną grodową nierozzerwalnym węzłem, a jednak dążącą do samodzielności pewnego rodzaju, a w każdym razie do odrębności, którą w końcu udało się im zdobyć, a życie swoje przedłużyć już w odmiennych warunkach, na usługach nie Rzpltej lecz Rosyi.

Zarówno w stepie tedy, na pasiekach, jak i w uchodach po obu stronach Dniepru, a również na ostrowach istniały oddawna, bo już od początku XVI w. dające się spostrzedz organizacje wojskowo-przemysłowe, myśliwcze i rybołówcze, które przeobrażały się powoli z watah przemysłowych na watahy dobyczników kozaków, ściśle według tatarskiego pojmowania, zanim przybrali powszechnie nazwę kozaków. Takie zajęcie przedstawiało mniej trudu od myśliwstwa lub rybołówstwa, dawało więcej niezależności, uwalniało zupełnie nieomal od stosunków z zamkiem i starostami. Ludność ta ruchoma, trochę myśliwska, trochę rabownicza, a zawsze do wybryków skłonna, bez stałej siedziby, musiała mieć swoje kryjówki i schowki, skoro, wobec warunków ciągłego niebezpieczeństwa, koniecznością było łączyć się w większe gromady. Bielski nasz, człowiek współczesny prawie tworzeniu się Kozaczyzny niżowej, czerpiący swoje wiadomości od stryja, któremu Niż dobrze był znany, potwierdza to co lustratorowie zamków ukraińskich zapisywali, że uchodnicy, którzy już w drugiej połowie XVI w. przybierają stałą nazwę kozaków, „na zimę rozchodzą się do miast blizkich, jak do Kijowa, Czerkas i innych“. Przypomnijmy sobie, że zrobił on dodatek nader cenny — o czym lustratorowie nie wiedzieli, — że „tódki swe na ostrowie w bezpiecznem miejscu, na Nieprze chowają i kilkaset tam człowieka zostawiają na korzeniu, jako oni tam mówią, przy strzelbie, jakoż mają i działka swe, których na tureckich zamkach nabrali i Tatarom odjęli“. Jest to pierwsza wyraźna wskazówka stałego mniej więcej osadzenia się ludności uchodniczej i brodniczej na ostrowach pod nazwą kozaków. Nie określa wprawdzie Bielski chronologicznie czasu powstania tych „korzeni“, ale też powstanie takich osad nie mogło być dziełem jednego roku, lecz szeregu lat, powolnego skupiania się, powolnego organizowania się. W owym czasie już występuje Tomakówka, wyspa „gdzie nawiecej kozacy Niżowi mieszkują“.

Owi „kijowscy i czerkascy kozacy“, o których Wapowski powiada, że w r. 1502/3 napadli pod Telinią na Tatarów eskortujących posłów i zrobili wyprawę na łodziach, jeśli sami i wracali na zimę do zamków, toć przecież wszystkich łodzi, w których i broń być musiała, nie ściągali do Kijowa i Czerkas, bo by im byli starostowie zabrali. Musieli przeto przechowywać je na „ostrowach“, na „korzeniu“, w tych nieznanych bliżej kryjówkach.

I tak wzmacniała się, powiększała się powoli owa ludność na Nizie, Zaporozu, o różnorodnym charakterze, zajęciu, z róż-

nych stron zebrana, która z czasem przygodne rzeźniostwo rabownicze zmieniawszy na stałe, poczęła się powoli organizować, tatarskie przybierając zwyczaje i nazwy, zakładając i umacniając swoje kosze—„khocz”—którym później nadano starą słowiańską nazwę—Sicz. Ale stało się to dopiero w XVII w. Nazwa kozak wyprzedziła nazwę Siczy co najmniej o sto lat.

Na długo jeszcze przed uformowaniem się Siczy na Zaporozu kozacy już byli tam znani. Nie będziemy wyliczali ich wypraw rozmaitych, gdyż to nie należy do naszego tematu, to tylko pewnem się wydaje, że do połowy prawie XVI w. nie było na Zaporozu żadnej jednolitej organizacyi kozackiej, żadnej stałej, obronnej pozycyi, że przeważał jeszcze żywioł uchodniczy, który nie tylko przemysłował, ale i kozakował na Nizie, wytwarzając i zwiększając materiał dla późniejszej Siczowej organizacyi. Zupełnie odrębny od uchodników typ watah nieposłusznego kozactwa, robił często wyprawy rabownicze na miasta, karawany lub czabany tatarskie, ale watahy te wracały, może pokryjomu, w pojedynkę pod opiekę najbliższych Niżowi zamków Kaniowskiego i Czerkaskiego, bo jeszcze na Nizie nie wytworzyła się była stała siedziba obronna. Niespokojna ta hałastra i w domu zachowywała się nie lepiej jak w stepach, robiąc „perekazy“ Kaniowcom, na które się uskarżano.

Owe wyprawy na Niż bywały bardzo korzystne. Jedną z takich watah pisarz hospodarski na początku XVI w. nazywał „rotą Szczurową“, która w Czerkasach siedzibę miała, zapewne jako „nieposłuszni“, w czasie kiedy urząd namiestnika sprawował tam Seńko Połozowicz, zapewne powinowały owego „Polusa Rusaka“, którego nasz Bielski „sławnym kozakiem“ nazywał. Otóż dzięki tej notatce przygodnej, mamy pojęcie o tem jak zyskowne było owo kozakowanie na Niżu. Po śmierci kozaka Mitenki, znaleziono u niego: 24 łokcie sukna „czerlenego“, 17 kamieni drogich, wielką perłę, dwie złote pugwice i 2 małe perły. A trzeba dodać, że tyle otrzymał z podziału, a raczej tyle mu zostało. W spisie tym, który „hospodar na pamiat kazał zapisati“, znajdujemy wyraz „bursnik“, odnoszący się do innego kozaka Kałenyka, u którego były w przechowaniu rzeczy Mitenki. Wskazuje on, że owa „Szczurowa rota“ nie była przygodnem zbiorem ludzi, ale pewnego rodzaju związkiem celowym, towarzystwem, żyjącem wspólnem życiem i związanem wspólnością interesu—rahunku. Miała zatem już jakieś zawiązki zwyczajowego prawa nie tylko co do podziału zdobyczy, ale może i zarodki swoistego sądownictwa wojskowego. Te pierwiastki organizacyi wojennej,

przy wytworzeniu coraz większego zrzeszenia ludu uchodniczego i kozaków, musiały dać początek późniejszej organizacyi siczowej, która stała się możliwą dopiero przy większym napływie ludności na Niż. Oczywiście przypadkowy watażka takiej drużyny najlepszą część sobie zabierał—według starej pieśni ruskiej:

Pan Chomunenko
Pereberaje
Meż konykami:
Kotri lipszyi,
To sobi bere,
Kotri hirszyi
Służejkam daje.

Wybierał sobie najlepsze siodło, najlepszą uzdeczkę, najlepszą suknię.

Równocześnie z rabowniczem i uchodniczem rzemiosłem na Nizie, postępowała powoli dzika kolonizacya, przypadkowa, osadnictwo po „zimowikach“, owych może gródkach, z których spędzali ich starostowie ukraïnni. Kolonizacya tego typu, która później dostarczała żołnierzy Siczy i wojsku Jego Królewskiej Mości Zaporoskiemu, miała—jak widzieliśmy—charakter przedewszystkiem wojenno-przemysłowy i tem różniła się zasadniczo od kolonizacyi rolniczej, która postępowała od Bracławia i Winnicy ku stepom Czarnomorskim. Słowo tylko o tem dla kontrastu. Tu warunki geograficzne i przyrodnicze były inne. Bogactwo przyrody wielkie, zwierza obfitość, ziemia żyzna do bajeczności, dla bydła i chlewni „chowanie rozkoszne“, miodu wszędzie moc. Nie było tyle czaharów i czaharników, tyle bałek, tyle uroczysk, tyle łuhów nieprzebrodzonych, lasów olbrzymich i wreszcie ostrowów niedostępnych, jak na Dnieprze. Życie musiało się tu kształtować inaczej. Weźmy dla przykładu lustracyę Bracławia. I tu kozakowanie kwitło w pierwszej połowie XVI w.; chadzali oni w „ziemię turecką“ dla rabunku i tylko dzięki najemnym żołnierzom (ludzie peneżnyi) hamowano trochę te zaczepki. Ale tu spostrzegamy zjawisko zupełnie odrębne niż na Nizie: regularne, rolnicze osadnictwo kozackie. Ci sami kozacy, którzy dawniej — na początku XVI w.—podymszczyznę na zamek płacili, przedzierzgałi się w ziemianów i osiadali na roli. Zabierali oni przemocą „sieliszczą“, które niegdyś do zamku należały, nie nieśli żadnych powinności, żadnych praw, „twerдостей“, na posiadanie nie mieli, a lustratorom odpowiadali „niczoho ne majem“, utrzymując, że to są pustki (w pustie mianujut'). Osiadali tedy kozacy i mieszcza-

nie bractwscy po pasiekach i futorach. Uskarżali się na nich bojarowie i „starsi“ mieszczenie, że „niewiadomo skąd przyszedłszy, szlachtą i bojarami nazywają się, a sioła i daniny gospodarskie pod sobą dzierżą“. Lustrator, dla zaznaczenia tej różnicy, powiada, że prawdziwi ziemianie „starsi“, za „bracię ich sobie nie mają“, ale to istoty rzeczy nie zmieniało: kozacka kolonizacya szerzyła się—dość przytoczyć kilka nazwisk owych nowych, „młodszych“ ziemian: Mormuła, Kudrenko, Miszko Hort, Chruć, Noskowicz, Mitko Zołotar, Hryćko Czyczel, Komar, Kozar, Dymitr Zwinogrodec i in. Między owymi „podlejszymi“ ziemianami, trafiają się i nazwiska szlacheckiej formacyi: Jakubowski, Kopystreński, Szczurowski—może powinowaty owego watażki Czerkaskiego, którego z kozacka Szczurem przemianowano. Osadnictwo to sięgało daleko w głąb stepów: do Murachwy (Noskowie, Karaczowce), Dniestru (Kalaury), Bohu (Strzelczany, Skawuszyn), głęboko w step—do Sawrani i Sawranki (Paszkowcy) i do dzisiejszej prawie Humańszczyzny (kozak Zwinogrodziec). Ogromny obszar, zasiany siołami i pasiekami, z których nie jedna obejmowała pół lub nawet całą milę obszaru. Bywały tam: „pasznie, stawy spustne, pszczół mnóstwo“.

Nie znajdując odpowiednich dla siebie warunków życia, uchodźcy i kozacy w Braclawszczyźnie przeobrażali się w ziemiaństwo, osiadali na roli, gdy na Nizie dzieć się musiało inaczej. Przeprawa na Tawani, drogi karawanowe między Krymem a Turcyą, między Moskwą a Turcyą, nastroczały bezustanku sposobność do zbójnictwa i rabownictwa, a obfitość ryby i zwierzyzny,—pszczół, bobrów, która sprowadzała na Niz uchodźników, przyczyniała się do tego, że przemysł myśliwczy i uchodźczy stawał się tylko drogą przejściową do przemysłu rabowniczego. Gdy w Braclawszczyźnie, skutkiem osadnictwa, poczęło się wytwarzać na podkładzie kozackim ziemiaństwo, na Nizie ludność uchodźcza do wzrostu kozactwa przyczyniała się, a zimowiki uchodźców poczęły coraz częściej i więcej dostarczać materiału kozackiego, stając się w ten sposób narzędziem pomocniczem do budowy późniejszej Siczy.

Owo powolne przekształcanie różnorodnych pierwiastków niżowych na organizm kozacki, już nie wojenno-przemysłowy, ale wybitnie i wyłącznie prawie wojenny, jakim się stała późniejsza Sicz, a raczej Sicze, które z tych pierwiastków urobiły się, trwało do połowy XVI w. Idea takiej Siczy, jaką ją widzimy na początku XVII w., jako stanowiska obronnego, jako posterunku nie kozackiego, ale państwowego Rzpltej polskiej, powstała z potrze-

by obrony państwa polskiego od najazdów tatarskich. Uchodnicy i kozacy nieposłuszni, hołota, hultaje, dobyczniki, a przed tem brodniki i siwery, byli materiałem do stworzenia Siczy, ale jej nie wytworzyli, bo brakło im zrozumienia idei państwowej. Powstała ona dopiero w umyśle awanturniczego Dymitra Wiśniowieckiego w połowie XVI w. i dała impuls do stworzenia organizacji, znanej później, po nim już pod nazwą Siczy.

O dalszym rozwoju idei Siczy i o jej kształtowaniu się, będziemy mówili osobno.

Z tych poglądów na Kozaczyznę Niżową, któreśmy poznali, z tych czynników, które w formowaniu się tej Kozaczyzny udział wzięły, możemy wyciągnąć pewne wnioski, jako dyrektywę na tworzenie się i charakter tych składników, które dały siłę materialną do utworzenia się pierwszej Siczy i następnych, posiadających już wybitnie charakter kozacki.

1. Nasi najwybitniejsi pisarze i publicyści XVI w. (końca) na charakter współczesnej im Kozaczyzny i kozaków zapatrywali się ze stanowiska państwowego polskiego. Upatrywano w nich żywioły awanturnicze, rabownicze, nieokiełznane, swawolne i samowolne, a dla interesów państwa szkodliwe, i tylko wyjątkowo, a raczej przypadkowo pożyteczne. Skupienia ich nie miały najmniejszego podobieństwa do rycerskiego rzemiosła wogóle.

2. Wskutek charakteru, jaki posiadała owa Kozaczyzna Niżowa, jako luźna nieorganizowana do końca prawie XVI w. zbieranina ludzi, jakkolwiek, z powodu blizkiego sąsiedztwa, walczyła z Turkami i Tatarami, nie reprezentowała ani z początku, ani tembardziej później, już w XVII w., żadnej idei politycznej, a tem mniej idei obrony świata chrześcijańskiego od islamu. Skupienia kozackie nie miały na celu łączenia się w jakiegokolwiek bądź bractwa zakonno-wojenne i w ogóle całym swoim życiem odbiegały od reguły zakonów rycerskich. Przeszczepianie takich idei na grunt życia kozackiego na Siczy, należy przypisać naszym pisarzom-publicystom księżom, którzy na Nizie pragnęli stworzyć organizację na wzór rycersko-zakonny, a z pragnień tych urosła u pisarzy naszych przeważnie, ale już XIX w., chęć szukania podobieństwa w Siczy do zakonów rycerskich. Cały charakter wszakże moralny Kozaczyzny zawierał pierwiastki, nie mające nic wspólnego z późniejszym idealizowaniem Siczy.

3. Pierwiastki społeczne, z których się wytwarzała zarówno Kozaczyzna jak Sicze na Nizie zaporoskim, tkwiły nie w idei politycznej lub religijnej, lecz w warunkach geograficznych i państwowych. Dwa czynniki przeważnie — ludność uchodnicza i ra-

bownicza (kozacy) tworzyły ów zaczyn, z którego wytworzyła się pierwsza Sicz i następne. Proces ten nie był aktem jednorazowym, lecz trwał od chwili zetknięcia się miejscowej ludności z koczowniczymi plemionami tiurkского szczepu; wzmocnił się ku końcowi XV w. równocześnie z opanowaniem побережа czarnomorskiego przez Turków i Tatarów, a w pierwszej połowie XVI w. dopiero znajdujemy ślady organizowania się luźnej ludności Nizowej, która wraz z kozakami „nieposłusznymi“, jako czynnikiem wyłącznie rabowniczym, wzmagając się w siłę, stała się pramacierzą późniejszej Siczy.

FR. RAWITA-GAWROŃSKI.

Ruch literacki w Niemczech.

Zmarły w r. 1896 wynalazca dynamitu Alfred Nobel przeznaczył jak wiadomo swój wielki, kilkadziesiąt milionów franków wynoszący majątek na wieczystą fundację, której odsetki mają być corocznie pod postacią nagród rozdawane najwybitniejszym przedstawicielom działalności na polu fizyki, chemii, medycyny, literatury i propagandy pokojowej. Nie było niespodzianką, gdy z pięciu działów tej szczodrej fundacyi, literacki od samego początku podlegał najsprzecznieszym sądom. Jedni—n. p. Anatol France—uważali wogóle za rzecz niegodną, płacić poetom złotem za wrodzony talent, inni, jak Maks Nordau zaczęli istotnie nie dość jasne i nie zawsze szczęśliwe postanowienia aktu fundacyjnego, który najprzód raz mówi o uznanych, to znowu o dopiero wybijających się pisarzach, dalej zaś nie może się zdecydować, czy należy wyróżniać ogólną działalność autorów, czy też najwybitniejsze dzieła danego roku, wreszcie konwencyonalnie i inglisto mówi o „idealnym“ kierunku literatury; a już najwięcej było takich, którzy „komitetowi ośmnastu“ akademii szwedzkiej zaprzeczali prawa i kompetencyi w wyrokowaniu o udzieleniu nagrody, członkom zaś innych europejskich akademii i profesorom wszechnic również odmawiali kwalifikacyi do proponowania kandydatów. Gdy w r. 1901 pierwszą nagrodę przyznano francuskiemu poecie Sully-Prudhome, owe krytyczne głosy nie przycichły bynajmniej, owszem raczej tem donośniej i powszechniej się odzywały, bo do dawniejszych punktów spornych przyłączyła się jeszcze kwestya osobista: oczekiwano, że pierwszym „poeta laureatus“ będzie Tolstoj lub Ibsen i dziwiono się, skąd nim został talent bądźco bądź nie pierwszorzędnny i do tego jeszcze i mało znany i mało produktywny. I ta krytyka się nigdy nie uspokoiła, ani w r. 1902, gdy nagroda dostała się nawet nie poecie, tylko historykowi Momm-

senowi, ani później, gdy po kolei otrzymywali ją Björnson, na spółkę Echegaray i Mistral, Sienkiewicz (w r. 1909), Carducci, Kipling, Eucken (znowu uczony, filozof, a nie poeta), Selma Lagerlöf, Heyse, wreszcie w r. 1911 Maeterlinck. Pytano zawsze, nie: czemu ją ten a ten dostał, ale: czemu jej nie dostał ten a ten inny, kogo się za godniejszego uważało; nabierała dalej znaczenia nacyonalistyczna ambicya i współzawodnictwo narodów; szukano wreszcie jakiejś wytycznej myśli kolejno rozdawanych nagród i nie znajdowano żadnej, owszem uderzały takie kontrasty jak n. p. Mommsen i Sienkiewicz, Carducci i Heyse.

Niemcy w tej orkiestrze dyssonansów od początku prym dzierżyli. Gniewali się na „Instytut Nobla“, gdy nagradzał pisarzy innych narodowości, gniewali się, gdy wyróżniał wprawdzie Niemców, ale nie poetów jeno uczonych, jak gdyby chciał przed całym światem stwierdzić, że niemiecka literatura piękna obecnej doby nie posiada żadnego, europejskiej sławy godnego pisarza; gniewali się nawet i wtedy, gdy odznaczono przecież jednego z nich, Heysego; bo czemu właściwie jego? czemu przedstawiciela starszego kierunku a nie kogoś z „modernistycznej“ poezyi; czemu zwłaszcza nie Ryszarda Dehmle. Aż tu nagle nagroda literacka za rok 1912 przypadła — Gerhartowi Hauptmannowi! Narodowa ambicya Niemców mogła się czuć zadowoloną: czwarty z kolei Niemiec w gronie, w którym dotąd zasiada prócz nich trzech Francuzów, jeden Anglik, jeden Włoch, Hiszpan, Polak, Norwegczyk, jedna Szwedka: „Deutschland, Deutschland über Alles“; a i to musiało Niemcom pochlebiać, że ten czwarty Niemiec następuje w dwa lata po ostatnim, gdy n. p. między francuskimi laureatami zawsze był dłuższy odstęp czasu. Pod narodowym zatem względem z niemieckiej przynajmniej strony sądowi „Instytutu Nobla“ tego roku wyrzutów robić nie można. Ale pod literackim? Czemu właśnie Hauptmann? Nazwisko Dehmle znowu musi się przypomnieć. Nawet bardziej jeszcze niż przed dwoma laty. Bo wtenczas chciano widocznie najprzód uczcić starszą literaturę niemiecką, a w tej Heyse, obok Maryi Ebner-Eschenbach, jest rzeczywiście najwybitniejszym. Teraz zaś, gdy się zwrócono ku nowszemu piśmiennictwu, przeoczenie jedynego genialnego poety dzisiejszych Niemiec jest tem więcej rażącym. Więc czemu Hauptmann? Czyżby dlatego, że kandydaturę jego postawiono z niemieckiej strony zaraz w pierwszym roku nagrody Nobla? Znaczyłoby to, że akademia stockholmska obserwuje biurokratyczne przepisy i kandydatów „odpalonych“ za pierwszym razem prenotuje do dalszych wakansów. Ale zachodzi pytanie,

czy Hauptmann z r. 1901 nie był godniejszym brzęczącego złotem lauru poetyckiego od Hauptmanna z r. 1912. Tych ostatnich jedenaście lat bowiem ani mu nie przysporzyło sławy, ani nie podniosło jego istotnej wartości, a w każdym razie ani dla samego autora, ani dla literatury niemieckiej, a już najmniej dla literatury światowej, nie znaczy tyle, co poprzednich lat również jedenaście, których owoce były już znane areopagowi z r. 1901. Jest chyba jeden tylko możliwy powód, dlaczego właśnie w r. 1912 odznaczono Hauptmanna: oto skończył on wtedy równe pięćdziesiąt lat wieku (ur. 1862). Zapewne, data to ważna, należało ją może nawet uroczystie obchodzić, obchodzono ją też tak w Niemczech, w tamtejszych teatrach, czasopiśmie i towarzystwach literackich, można było także, jak to istotnie zrobił jego nakładca, S. Fischer w Berlinie, wydać zbiorową edycję jego pism — już drugą —, tylko czy te wszystkie obchody musiały się odbyć z łaskawym współudziałem międzynarodowego „Instytutu Nobla”? Czyżby on wogóle uważał nagrodę swego fundatora za pewnego rodzaju medal pamiątkowy, rozdawany jubilatowi, za skończone pół wieku życia?

Piszemy tak, bo chcemy... wyręczyć Niemców, którzy, chociaż się swego czasu bardzo na „Komitet ośmnastu“ gniewali za udzielenie nagrody Sully - Prudhome lub Sienkiewiczowi, teraz przy Hauptmannie się nie srożą, dlatego chyba tylko, że to... czwarty już Niemiec. Ostatecznie bowiem osobiście spokojnie patrzymy na los, uśmiechający się nareszcie Hauptmanowi w pięćdziesiątą rocznicę jego urodzin. Właśnie teraz, w tym czasie kiedy w Niemczech dziwnym zbiegiem przypadków tylu umiera czynnych i byłych dyrektorów teatru (Wilbrandt, Burckhardt, Berger), zmarł Otto Brahm kierownik berlińskiego „Teatru Lessinga“, autor znakomitych monografii o Schillerze i H. Kleiscie, propagator Ibsena, pierwszy nauczyciel słynnego dzisiaj reżysera Reinhardta, na dewszystko zaś odkrywca dzisiejszego jubilata, Hauptmanna. W dziejach niemieckiego i nie tylko niemieckiego naturalizmu, pamiętną pozostanie po wszystkie czasy berlińska premiera dramatu Hauptmanna „Przed wschodem słońca“ na t. zw. „Wolnej scenie“ (w r. 1889), hałaśliwy wieczór teatralny, przepełniony i szalonymi oklaskami i namiętnym oburzeniem pod adresem śmiałego nowatora. „Przez noc“ Hauptmann stał się sławnym, ale po jaskrawym wschodzie słońca nie zawsze potem ono równie jasno świeciło. Talent przechodził rozmaite ewolucje, człowiek i poeta doznawał już od czasu do czasu tylko tryumfów (Hanusia, Tkacze, Zatopiony dzwon), daleko częściej spadały na niego klęski lub gorsze jeszcze od nich

martwe niepowodzenia. Więc nie zazdrościmy mu, że nareszcie nad głową starzejącego się już poety zajaśniało słońce młodych jego lat, że dramat o „Ucieczce Gabryela Schillinga“ w r. 1912 ze starych papierów po raz pierwszy drukiem ogłoszony i na scenę właściwie nie przeznaczony, zupełnie niespodziewanie znalazł właśnie w teatrze poklask, że na głowę jubilata spada dzisiaj złoty deszcz skandynawskich „koron“. Nie zazdrościmy mu, tembardziej, że poeta sam chcąc się odwzajemnić daje od siebie w tym właśnie roku nowe dzieło, w każdym razie, jak zaraz należy uprzedzić, niepospolitej wartości.

W chwili bowiem, gdy z rąk szwedzkiego króla brał w Stockholmie to najcenniejsze w dzisiejszych czasach uznanie europejskiej sławy, Hauptmann daje literaturze obszerną powieść, po niedawnej o „Emanuelu Quincie“ drugą dopiero w jego dorobku, wykazującym już przeszło dwadzieścia dramatów (*Atlantis*, drukowane u S. Fischera w Berlinie, 1912, str. 357). Odrzuć należy, że jej tytuł bardzo luźnie łączy się z jej treścią: Atlantyda, ów bajeczny kontynent, przez Platona w filozoficznych pismach wspominany, otoczony legendą, że nagle przez jedną noc zapadł się w Oceanie, opiewany później przez poetów—i przez polskich także—, poszukiwany nawet przez śmiałych awanturników, on w powieści Hauptmanna przelotnie tylko odgrywa drobną rolę jako chwilowe rozmarzenie podróżnika, na wielkim parowcu przepływającego się z Europy do Ameryki. Już jesteśmy w ogniskowym punkcie powieści: jest nim kilkudniowa jazda okrętem ze „starego“ do nowego świata. Hauptmann przedstawia całokształt życia takiego morskiego olbrzyma: i tych najniebezpieczniejszych pasażerów, Żydów z Rosyi, i polskich i ruskich chłopów z Galicyi, cisnących się na pokładzie, i tych eleganckich i wytwornych, urządzających się z wszelką wygodą w kabinach pierwszej klasy; prowadzi czytelników do rozpalonego piekła, gdzie dniem i nocą pracują w znoju przy parowej maszynie robotnicy i do rzęsiście oświetlonych salonów, gdzie przy wykwintnym obiedzie gromadzi się międzynarodowe towarzystwo; pozwala nam słuchać poważnych rozmów, toczących się w „fumoir'ze“ między zebranymi przedstawicielami rozmaitych zawodów i różnych poglądów, i tych szeptów zacisznych pomiędzy mężczyzną a kobietą, w których nieraz złudnym blaskiem bawi się udawana, ale czasem i przytłumionym ogniem pali się prawdziwa namiętność. Te karty powieści, zajmujące dla każdego, kto jeszcze nie zna z własnego doświadczenia mikrokosmu dłuższej podróży okrętem, w oczach tych, którzy podobne chwile sami już

przeżyli, mają wartość bardzo udatnej, charakterystycznie a bez karykatury nakreślonej reprodukcji nie najobojętniejszego wykrawka współczesnego życia.

Ale kulminacyjnym momentem powieści jest dopiero ten, gdy dumny oceanowy okręt „sto mil od brzegu i sto mil przed brzegiem“ rozbija się. Oczywiście katastrofa „Rolanda“ jest poetyckiem przypomnieniem katastrofy „Titanic’a“. Ta zależność literatury od rzeczywistości nigdy nie ubliża tamtej, przeciwnie, jest może jedną z najważniejszych racyi bytu. U Hauptmanna widać ją już i przed *Atlantydą* niemal na każdym kroku. Z tą tylko różnicą, że jeśli poeta poprzednio brał z życia przeważnie dość pospolite podniety (często np. głośne kryminalistyczne sprawy i procesy sądowe), tutaj jego poetycką wyobraźnię zapłodniło wydarzenie istotnie wielkie, wstrząsające nawet najsilniejszymi nerwami. Mamy więc najprzód znowu reprodukcję żywą: i pierwsze niejasne przeczucia, że stało się coś strasznego, i panikę wśród pasażerów a zimną, częścią wrodzoną, częścią wymuszoną przytomnością umysłu personelu, gdy już wszyscy wiedzą, że „Roland“ w ciemnej mgłę najechał na pływające po morzu szczątki rozbitego statku—drobny wariant rzeczywistości, gdzie sprawcą katastrofy była góra lodowa, — i wścieklą walkę o łódzie ratunkowe, i zbawienie jednych a śmierć drugich, i tę kapelę domową, w rozpaczliwym zapamiętaniu aż do ostatniej chwili wygrywającą skoczego walca, i wszystkie odsłony wstrząsającego dramatu rzeczywistego, aż do tej ostatniej, denerwującej swą pospolitością, gdy w amerykańskim porcie na garstkę wyratowanych rzuca się chmara żądnych sensacyi reporterów dziennikarskich... Hauptmann szczerze czerpie ze źródła rzeczywistości—choćaj niejednen szczegół odsuwa na bok, zwłaszcza — niewątpliwie rozmyślnie— pewne epizody, w życiu do szczerych łez pobudzające, w literaturze o melodramat mogące potraćać—ale tę bogatą naturalną rudę przetapia w ogniu swego poetyckiego talentu, z dużego, sto bez mała stronic wypełniającego opisu rozbicia „Rolanda“ robi pragmatyczną, znakomicie stopniowaną artystyczną opowieść. Idzie też dalej jeszcze, wychodzi poza ramy kinematograficznego obrazu, i gdy kończą się zewnętrzne wypadki, zapuszcza skalpel w głębi mózgów i dusz wyratowanych rozbitek. Jeszcze obraz lekarskich zabiegów może podlegać pod kategorię reprodukcji zewnętrznej rzeczywistości, ale, jak umysł tych ludzi reaguje na przeżytą grozę, to już jest w części odtworzeniem tajnych wewnętrznych psychicznych procesów, w części dziełem poetyckiej intuicji. Znowu szeroka skala: i ten bezręki cyrkowy „artysta“, który rano wylą-

dowawszy w Nowym Yorku, już wieczorem się swojemi sztuczkami przed tysiącami widzów popisuje, jakby nic nie przeżył; i ci, co drętwieją z nadmiaru wrażeń, i ci, co szaleją, ścigani wspomnieniem tych potworności, i ci, co łżą o swoim rzekomem bohaterstwie, i ci—najciekawszy—co w pierwszej chwili zdają się być spokojnymi, ale gdy rozmowa z obcym, lub własna myśl przypomni im straszną niedawną przeszłość, napróżno usiłują pozbyć się męczącej zmory i tak ją dźwigać będą z sobą aż do kresu swoich dni... A najgłębsza obserwacya czy intuicya ta: jak najsubtelniejsi z tych ludzi, spotykając się z sobą w późniejszym zwykłym życiu, doznają przykrego niesmaku, bo uprzytomniają sobie, jak oni, których los wzniosł na wyżyny bohaterów wielkiej tragedyi, są teraz pospolitymi, od szarego tłumu niczem się nie różniącymi zjadaczami chleba.

Jednym z nich jest dr. Fryderyk von Kammacher. Jeszcze młody, trzydziestkę dopiero co przebył, a już jest życiowym bankrutem. Ożenił się wczesnie, ma troje dzieci, ale żona, jak się okazało, dziedzicznie obciążona, cierpi na niebezpieczny dla otoczenia szal. Uzdolniony uczeń bakteriologa profesora Kocha, miał przy pierwszych swych naukowych występach powodzenie, ale teraz, gdy ogłosił większe dzieło, owoc kilku lat badań i pracy, fachowa krytyka osądziła, że rzecz jest pozbawioną wszelkiej wartości, jest poprostu niezrozumiałą pomyłką skądinąd cenionego autora. A na domiar wszystkiego Fryderyk zakochał się w równie uroczej jak swobodnej Ingigerd Hahlström, młodej dziewczynie, produkującej się w sensacyjnych „nagich“ tańcach. Znekany chorobą żony, przygnębiony naukowem niepowodzeniem, opanowany namiętnością do tancerki, Kammacher, przypadkowo dowiedziawszy się, że ona z ojcem jedzie do „Kramy dolarów“, z Paryża, gdzie się męczył i nudził, dopędza w Southampton ich okręt i razem z nimi jedzie na „Rolandzie“ do Ameryki.

Jeżeli opis życia okrętowego i katastrofy morskiej jest ośrodkiem zewnętrznej akcji powieści, to stosunek Fryderyka do Ingigerdy stanowi zasadniczy jej wewnętrzny motyw. Tam Hauptmann, przynajmniej o ile chodzi o artystyczne walory, nie ma we współczesnej powieści rywala, tutaj ma ich wielu. Niedawno np. —jak sobie nasi czytelnicy przypomną z jednego z dawniejszych przeglądów ruchu literackiego w Niemczech—ten sam motyw opracował Maks Halbe w powieści o „Czynie Dietricha Stobausa“, mającej większą wartość niż cały tuzin jego głośnych dramatów. Tu i tam poważny mężczyzna jest zaplątany w sidła lekkiej dziewczyny, zdaje sobie w zupełności sprawę z tego, że ona jest

jego niegodną, ale przez długi czas niema siły zerwać z nią. Halbe ten motyw oświeśla jasno i wszechstronnie; pokazuje np. że Stobäus miał przed sobą oprócz ostatniej, tragicznej, jeszcze inną, pogodniejszą drogę: kochankę, która wśród wesołego życia bezwiednie tęskniła jednak za twardą ręką mężczyzny - pana, ując w takie surowe karby, a byliby oboje szczęśliwi; gdy Dietrich, słaby potomek starego rodu, na tę energię zdobyć się nie może, autor kończy rzecz tragicznie: dziewczyna ginie z ręki kochanka. Hauptmann natomiast chce nas do samego końca prowadzić spokojną drogą, co w pewnych warunkach byłoby nawet miłszem. Ale niestety, pióro, które tak wyraźnie a delikatnie nakreśliło wszystkie objawy katastrofy „Rolanda“, nie ma już tej artystycznej konsekwencji przy odtwarzaniu wewnętrznego procesu, jak Kammacher uwolnił się od panny Hahlström. Jadąc z nią razem męczy się zazdrością, to znowu drażni ją sam udaną obojętnością, na to, aby za chwilę stać się jej powolnym sługą; przy rozbiciu okrętu ratuje ją — już bez ojca — w jedynej łodzi, którą inny, przypadkowo przejeżdżający tym samym szlakiem litościwie przygarnie; w Ameryce opiekuje się nią, na początek namawia ją, by zerwała kontrakt z „Varieté“, do którego zobowiązał ją jeszcze ojciec; ale po tem pierwszym zwycięstwie dalej o nią nie walczy, uprawia tylko „bierny opór“ przeciw jej kontraktowi z innym przedsiębiorcą widowiskowym, a gdy jej sensacyjne występy, mimo protestu cenzury moralności, przecież przychodzą do skutku, Kammacher bez słowa pożegnania opuszcza pole walki, nie tyle pokonany, nie tyle także jako zwycięzca, ale poprostu jako uznający się niewiedomo za pokonanego czy za zwycięzcę. I w tej własnej niejasności tkwi główna słabość powieści, która powinna była dobitniej pokazać albo zrozpaczonego albo tryumfującego Fryderyka.

Psychologiczny jego obraz jest jeszcze bardziej zamazanym wskutek tego, że miejsce ciekawej ale przez autora nie wyzyskanej jednej kobiety zajmuje druga, mniej ciekawa i jeszcze mniej wyzyskana. I to jest stara formułka niemieckiej literatury pięknej: Goethego Götz von Berlichingen, wahający się pomiędzy namiętną Adelajdą a słodką Maryą, jest protoplastą niezliczonych Niemców, wędrujących od ponętnego występku do nudnej cnoty. U Hauptmanna nazywa się ona Ewa Burns i ma tylko dwa szczególne znamiona: jest bardzo średnio uzdolnioną rzeźbiarką i jada bardzo skromne jarskie posiłki. Fryderykowi to zupełnie wystarcza, to też zerwawszy z ponętnym występkiem, cofa się zrazu na samotną fermę, a gdy tutaj dowiaduje się o śmierci zo-

ny w szpitalu dla obłąkanych, nie mu już nie przeszkadza odhyć z nudną cnotą powrotną podróż morską do Europy.

Na pożegnanie możemy mu bez zbytniej serdeczności ale w przyjaźni uścisnąć rękę i życzyć, by do ojczyzny wrócił szczęśliwie, bez katastrofy, jaką go spotkała w pierwszej podróży. Choć, co prawda, jej właśnie zawdzięczamy najpiękniejsze karty tej nowej powieści Hauptmanna, jubileuszowego daru autora dla literatury niemieckiej.

*

*

*

Razem z Hauptmannem obchodził i inny syn r. 1862 pięćdziesiątą rocznicę urodzin. Z natury rzeczy jubileusz Artura Schnitzlera wypadł daleko skromniej: były przedstawienia teatralne, były artykuły w czasopismach i wykłady w stowarzyszeniach, ta sama, co i u Hauptmanna berlińska firma nakładowa urządziła zbiorowe jego wydanie — trzy tomy powieści i nowell, cztery tomy dramatów—zabrakło tylko drobnostki... nagrody Nobla. Czy Schnitzler godniejszy jej byłby od Hauptmanna, o tem można bardzo powątpiewać, chociaż paralela obu nie zawsze na niekorzyść wiedeńskiego autora wychodzi. Przedewszystkiem bardziej u niego, niż u jego berlińskiego kolegi, dostrzedz można od pierwszych występów literackich do dzisiaj, jeśli nie podnoszenia się bezwzględnej wartości następujących po sobie poszczególnych utworów, to przynajmniej ogólnego pogłębiania się jego poetyckiego talentu. Od „Bajki“ w r. 1894 do dzisiaj jest niewątpliwie duży postęp, i to zarówno w duchowej zawartości tych dzieł jak i w kunszcie pisania, którym obecnie Schnitzler bez zaprzeczenia nad Hauptmannem góruje, będąc pod tym względem mistrzem w współczesnej niemieckiej belletrystyce. Ale i w swoich poglądach na człowieka i świat Schnitzler przez te ośmnaście lat rósł i rozwijał się. Zaczął jako przewodnik po świecie „słodkiej dziewczyny“ wiedeńskiej, świecie miłości i miłostek stęsknionych za promykiem słońca biednych pracowników modniarskich magazynów, i świecie nudy i apatyj wytwornych a próżnujących paniczek. I temu światu pozostał do ostatka wiernym, ale wyszedł z biegiem lat i poza to zaczarowane koło; zrazu zlekka tylko potraćać począł o problematy i poważniejsze i szersze, później

zapraǳał je samodzielnie oświećać, a nawet i wpływać na ich rozstrzygnięcie; może czasem jeszcze i dzisiaj pojmuje je zanadto—w treści i w tendencji—ze stanowiska Wiednia, który mimo swojej milionowej ludności jest zawsze jeszcze zaściankiem, może nie zawsze te problemy bezstronnie oświećać a częściej jeszcze wprost stromiczo rozstrzyga, lecz w każdym razie jego świat idei szerszym jest od hauptmannowskiego, zwłaszcza zaś niepodobna nie zauważyć, że jeśli u tego ostatniego ów świat zwolna ale konsekwentnie się zacieśnia, to u Schnitzlera on się rozszerza, nieraz nawet w niebezpiecznych skokach. Lekarz z zawodu przykłada Schnitzler przytem psychologiczny skalpel do najbardziej zawiłych problemów życia duszy, nerwów i zmysłów. Prawda, w ostatnich czasach autor grzeszy tu już niejednokrotnie przesadą i to w dwóch kierunkach: raz, że w analizie dochodzi tak daleko, iż atomizuje, na nieuchwytny nawet dla najwytrawniejszego oka duchowego pyłek rozdrabnia to życie; powtóre, że ze szczególnem zamiłowaniem przekracza granice życia widzialnego, wstępuje w dziedzinę niedających się zbadać odruchów czucia i zmysłów, co więcej lubi czytelnika zaskoczyć niespodziewanie nie dającymi się rozwiązać zagadkami nie tyle już psychologicznymi, ile patologicznymi, igra tajemniczością, mani lotnym nastrojem. Dzięki temu jednak Schnitzler jest obok swojej bogatej twórczości dramatycznej także i powieściopisarzem a przede wszystkim nowelistą. Niemiecka nowella szerszemu światu nieznana, chociaż w nielicznych co prawda przedstawicielach poznania godna, jest dzisiaj ostatnią może odnogą literatury romantycznej. Wykształcona z obcych wzorów na Merimée'm, z niemieckich na E. T. A. Hoffmannie, fantastyczny pierwiastek tego ostatniego zastąpiła nowoczesnym pierwiastkiem metafizyki nerwów i zmysłów, operuje tajemniczymi nastrojami, filozoficznymi zagadkami, stara się widzialny rzeczywisty świat przedstawić jako słabą tylko emanację drzemiących w duszy człowieka żywiołowych prą - sił. A ta nowella, bądźco bądź nie najobojętniejsza gałąź dzisiejszego niemieckiego piśmiennictwa, nie ma znowu charakterystyczniejszego przedstawiciela nad Schnitzlera.

Dobrze się też stało, że na swój jubileusz wystąpił on z tomem nowell zatytułowanym nastrojowo *Maski i cuda* (w Berlinie u S. Fischera, 1912, str. 190). Wszystkie zalety a także i wszystkie wady Schnitzlera jako nowellisty występują tutaj na jaw. Wystarczy podać krótko treść kilku opowiadań. A więc np.: Młody wykształcony człowiek ma romans ze „sklepówką“, który najprzód przemienia się w prawdziwy miłosny związek a później

właśnie dlatego zaczyna ciężyc mężczyźnie. Korzystając z pierwszej lepszej, istotnie dobrej sposobności, Alfred zaręcza się z Adelą, bardzo „dobrą partya“. Ale jej ojciec chce przyszłego zięcia wypróbować i dlatego każe mu wyjechać na rok z Wiednia, z narzeczoną nawet listownie się nie porozumiewać, a dopiero po powrocie małżeństwo zostanie zadecydowanem. Alfred jest z tego bardzo zadowolony, bo z kochanką tak odrazu zerwać nie miał odwagi. Wyjeżdża więc z swą kochanką w podróż, spodziewając się, że w niej łatwiej się na odwagę zdobydzie. Niestety, Eliza jest coraz miłszą, coraz bardziej do niego przywiązaną a przytem tak wątpliwa, że wszelkie wzruszenie przyprawiłoby ją niechybnie o śmierć; lekarz—uważający podróżujących za małżeństwo—ostrzega Alfreda, by się na czas choroby „żony“ powstrzymał od małżeńskiego z nią obcowania. Alfred więc prawdy wyznać nie śmie. Zrazu cieszy się, że w czasie podróży morskiej jakiś baron bardzo jego kochance nadszkakuje, ale Eliza wyznaje mu, że pozwala na to tylko dlatego, by kochanka zazdrością w miłości utwierdzić. A tu ów rok ma się już ku końcowi. Co robić? Alfred wpada na myśl... morderstwa. Skupuje w aptekach morfinę, daje ją nieświadomej kochance, która umiera. Teraz on jest wolnym, może już swobodnie wracać w ramiona narzeczonej: Adela jednak go niechce, oddaje rękę innemu. Alfred jest bankrutem i daje się zabić w pojedynku owemu baronowi, który przejrzał w nim mordercę. To treść jednej z nowell. A teraz inny wariant „tańca miłości i śmierci“ z tragicomicznem zakończeniem: Do łóża zmarłego tymczasem przyjaciela schodzi się na jego przedśmiertne wezwanie pięciu mężczyzn. Czego nieboszczyk od nich chciał? Nie wiedzą, nie domyślają się. W tem wzrok jednego z nich pada na list zmarłego, zaadresowany: „Do moich przyjaciół“. Otwierają pismo i czytają ...wyznanie nieboszczyka, że... miał żony wszystkich pięciu. Jak oni reagują na to, to jest w szczegółach pełne dramatycznej ironii; a już najprzepyszniejszym jest jeden z pięciu, poeta, który ten list nieboszczyka postanawia zabrać z sobą, ale zataić przed żoną, wyobrażając sobie już naprzód, jak ona po jego śmierci znalazłszy to pismo w papierach męża podziwiać będzie jego szlachetność i wielkoduszność. Albo inny wariant tego samego tańca miłości i śmierci z raptownym niespodziewanym a zagadkowym zwrotem końcowym: Gabriel był zaręczonym z Ireną, ale uwikłał się w sieci sławnej aktorki Wilhelmyny, której kochankiem był jego przyjaciel, Ferdynand. Dowiedziawszy się o tem, Gabriel popełnia samobójstwo. Irena domyśla się częściowo prawdy, nie wie tylko, dla kogo aktorka jej

narzeczonego zdradziła. Chce ją samą o to zapytać. Idzie do niej z Ferdynandem. Z wzajemnego zachowania się obojga poznaje, że to Ferdynand jest przyczyną śmierci jej narzeczonego. I wtedy... rzuca mu się na szyję i namiętnie go całuje. Co to znaczy? pyta Ferdynand a z nim zapewne i czytelnik. Wyjaśnienie daje filozof, przyjaciel Ferdynanda: „Szkoda, że ona nie stała się pańską kochanką. Wasze dziecko interesowałoby mnie. Dzieci miłości mamy dosyć, dzieci obojętności aż nadto wiele, brak tylko dotkliwy dzieci nienawiści. A kto wie, czy nie po nich możemy się spodziewać zbawienia“. Wreszcie jeszcze jeden odmienny ton: Bajka czy przypowieść. Młodzieniec, mający wejść do lasu, słyszy po kolei trzy przestrogi: Nie idź dalej, jeżeli nie chcesz popełnić morderstwa,—jeżeli nie chcesz sprowadzić nieszczęścia na ojczyznę,—jeżeli nie chcesz zginąć nagłą śmiercią. Nie zważając na ostrzegawcze tajemnicze głosy, wchodzi w las i z zadowoleniem spostrzega, że z zapowiadzianych nieszczęść żadne się nie stało. Więc tryumfuje. Ale głos bóstwa wyjaśnia mu, że złowieszcze słowa nie były na wiatr powiedzianemi: popełnił morderstwo, bo idąc zabił przyziemnego robaka—ściągnął na ojczyznę klęskę, bo idąc spłoszył motyla, który uciekł przed nim aż do królewskiego parku; z tego motyla zaś urodzi się gąsiennica, która usiedzie na szyi młodej królowej, przestraszy ją tak, że królowa poroni oczekiwanego dziedzica korony; zamiast niego zasiądzie na tronie brat króla, okrutny tyran, który, by się przed buntem poddanych uchronić, zapłaci państwo w długą niszczącą wojnę;—a zginie sam, bo kto tutaj zaszedł, ten ma przed sobą tylko bezdenną przepaść a na jej dnie niechybna śmierć! Młodzieniec przestraszony pyta tajemnicze zjawisko, kim onb jest. „Ze śmiertelnych nikt mnie nie poznał, a imion mam wiele. Zabobonni zwań mnie Przeznaczeniem, głupcy Przypadkiem, a pobożni Bogiem. Dla tych jednak, którzy się za mędrców uważają, jestem ja siłą, która była na początku wszystkich dni i dalej działa niepowstrzymanie na wicki we wszystkim, co się dzieje“. Młodzieniec nie jest ani zabobonnym, ani głupcem, ani pobożnym, uważa się za mądrego, więc pyta, czemu tajemnicza Siła kazała mu wejść do lasu, boć ona przecież wiedziała, jako wszechwiedząca, że on mimo ostrzeżeń, tam wejdzie. Odpowiedzi nie słychać, słychać tylko jakiś niepojęty śmiech, a za chwilę młodzieniec spadł w ciemną przepaść... Czytelnik zaś połączyć może tę katastrofę „médrea“ ze słowami autora z jednego z poprzednich opowiadań: „Bardziej niż przed wszystkimi maskami i cudami

świata strach mnie bierze przed kamiennym grymasem twojej mądrości“.

I oto autor tego zbioru zaświatowych niejako nowell na jubileuszowy swój rok ogłosił jeszcze jeden utwór tak bardzo wdzierający się w konkretne spory rzeczywistego życia, że aż austriacka prokuratura państwa uważała za stosowne zakazać wystawienia tej sztuki w teatrze. Wobec tego, że się ona dotychczas w druku nie ukazała, nie mogę tu o niej więcej pisać nadto, co się wie z dziennikarskich notatek: że jest to dramat z samemi prawie męskimi rolami i w szeregu scen przedstawia konflikt pomiędzy przyrodniczym a religijnym poglądem na świat.

*

*

*

Poważniejsze problematy w beletrystyce niemieckiej z początkiem dwudziestego wieku były wogóle rzadkością. Wpłynęło to ujemnie na charakter literatury, zajmującej się odtworzeniem współczesnej epoki, a już podcięło zupełnie artystyczny byt beletrystyki historycznej, która w tych latach spadła do poziomu romansów, służących wyłącznie rozrywce. Dopiero w ostatnich czasach da się w Niemczech zauważyć odrodzenie powieści historycznej, przeważnie dzięki rozszerzeniu jej ideowego horyzontu. Oczywiście jeśli te powieści niemieckie sądzić będziemy ze stanowiska polskiego, to wobec zasadniczych narodowych a w znacznej części i religijnych różnic w przekonaniach i zapatrywaniach, będą takie utwory dla nas mniej sympatycznymi niż dawniejsze, bezideowe, niemniej jednak kto literaturę uważa za odzwierciedlenie danego społeczeństwa, przeniesie te tendencyjne powieści nad owe cze i bezmyślne. Tem też kierujemy się tutaj dając przegląd najnowszej powieści historycznej niemieckiej w kilku jej najwybitniejszych dziełach, pomiędzy którymi znajdują się zresztą i przedstawicielki pośredniej kategorii, nie wykazującej ani ideowej pustki, ani z drugiej strony wyraźnie niemiłych nam tendencji.

Do nich nie należy jednak z pewnością Franciszka Karola Ginzkey'a *Walter von der Vogelweide* (w Lipsku u L. Staackmanna, 1912, str. 388). Pozornie jest to tylko powieść o najslawniejszym niemieckim minnensängerze średniowiecznym, a więc

utwór, który przeczyta z zadowoleniem każdy miłośnik tej epoki, w literaturze pięknej zresztą nie tak często odtwarzanej a już bardzo rzadko z tą plastyką i barwnością, jak to się właśnie u Ginzkeya dzieje. I ta okoliczność, że bohaterem jest średniowieczny pieśniarz, ciekawości nie zmniejsza, przeciwnie zajmującym przyczynkiem do dziejów kultury jest ten obraz wędrownego poety-grajka, niabyto ogromnie uwielbianego, w gruncie rzeczy przez arystokratyczne ówczesne społeczeństwo stawianego na równi z nadwornymi błaznami i kuglarzami. Ale kto jest bliżej obznajmiony z życiorysem Waltera wie, że główną częścią i jego doli i niedoli i jego poezyi stanowiła jego i nie tylko jego polityka, zasadzająca się na walce z papieństwem, na obronie świeckiej władzy. Kto zaś wie ponadto jeszcze, że Ginzkey należy do tej młodej niemiecko-austriackiej literatury, o której wybitnych, prawie że krańcowych tendencyach antyklerykalnych już raz na tem miejscu pisaliśmy, ten domyśli się łatwo, że autor na tę właśnie działalność średniowiecznego pieśniarza szczególniejszy kładzie nacisk. Oczekiwania bynajmniej nie zawodzą. Już na początku powieści jest np. bardzo żywy obraz krucjaty dziecięcej z r. 1212. Przedsięwzięcie rzeczywiście awanturnicze, bo *a priori* pozbawione wszelkich widoków powodzenia. Nieuprzedzony obserwator średniowiecza będzie w tej osobliwej wyprawie krzyżowej widział jeden z objawów charakterystycznej dla średniowiecza ekstazy religijnej, Ginzkey piętnuje ją natomiast, jako dowód głupoty i barbarzyństwa mnichów, pędzących te tłumy dzieci na rzeź. Gdy zaś poczyną się rozgrywać ostatni akt wielkiej walki pomiędzy cesarstwem a papieństwem, gdy pierwsze reprezentuje cesarz Fryderyk II, ostatni epigon światowładnej polityki Hohenstaufów, na stolicy Piotrowej zaś zasiada papież Innocenty III, wtedy autor za pośrednictwem swego bohatera rzuca gromy na Rzym, na „rzymską truciznę”, z wyraźną tendencją aktualnej walki z rzekomym czy prawdziwym klerykalizmem w dzisiejszej Austrii. Prawda, Ginzkey jest bądźco bądź niepoślednim artystą i dlatego wychodzi nieraz poza zakłętę koło tej tendencji. Ma np. bardzo ładny obraz początków działalności późniejszego św. Franciszka z Assyżu, tego rycerza ubóstwa i wszechukochania. I na chwilę Walter sam waha się, czyja droga jest lepszą, która zaprowadzi ludzkość do zbawienia: jego droga nienawiści i walki, czy też Franciszka Bernardone łagodność i miłość. Ale dylemat, postawiony przez poetę rozstrzyga już polityk i to nawet nie przez otwarte przerzucenie się na jedną stronę, tylko przez tendencyjny, na żadnej historycznej prawdzie nie oparty, przez

samemu Ginzkeya wymyślony kompromis: Franciszek błogosławi Walterowi na jego drogę nienawiści i walki. W zwykłej historycznej powieści scenę tę nazwałoby się tylko poprostu nieprawdą, w tendencyjnym romansie ta „zgniła zgoda“ pomiędzy ogniem i wodą jest nieco śmieszną. Przecież całe uzasadnienie idei utworu Ginzkeya na tem polega, że autor uważa Waltera von der Vogelweide za poprzednika dzisiejszego hasła „Los von Rom“; z drugiej zaś strony nawet korzystając z „licencji poetyckiej“ Ginzkey nie może chyba uważać św. Franciszka z Assyżu za apostoła apostazyi od Rzymu i papieżstwa, choćby tylko pod względem politycznym. Ale czy istotnie średniowieczny pisarz może być uważany za przekonanego wyznawcę i bojownika jakiegokolwiek konsenkwentnej myśli politycznej? Ginzkey zna dobrze jego życie i o tyle jest sumiennym, że pewnych, nawet dla siebie niedogodnych faktów historycznych, ani nie fałszuje, ani nie przemilcza. Z nich dwa stają przedewszystkiem autorowi tendencyjnej powieści na poprzek: najprzód ten, że Vogelweide „jadł z niejednego pieca“, wysługiwał się tym i owym panom, Staufom jak i Welfom, a tych ostatnich — jak sam przyznaje — opuścił dlatego, że się na nich zawiódł, nie pod ogólnym narodowym, politycznym lub religijnym względem, lecz z egoistycznych pobudek: nie dali mu tego, co było tęsknem marzeniem bezdomnego tułacza, nie dali mu dachu własnego nad głową, lenna, które dopiero z rąk Fryderyka II otrzymał, a drugi fakt, to ten, że ten ostatni Hohenstauf w wielkim stylu mimo swego i walterowskiego hasła „Los von Rom“, przecież Rzymu usłuchał i udał się, jak inni wierni słudzy papieża, na wyprawę krzyżową. Z temi faktami tendencya Ginzkeya nie może sobie dać rady.

Autorka, o której historycznej powieści z czasów Ludwika XVI z kolei teraz ma być mowa, posiada w Niemczech, a nawet i poza ich granicznemi słupami, niemały rozgłos. Zawdzięcza go zarówno bardzo ciekawej historii swojej rodziny, jak i własnej społecznej i literackiej działalności. Jej prababka, pochodząca z wysokiej szlachty niemieckiej, hrabianka Dyana Waldner była kochanką króla westfalskiego, sławnego czy osławionego Hieronima Bonapartego, jej babka, Jenny von Gutstedt—jego dzieckiem. Z jej opowiadań nasza autorka, Lily Braun ogłosiła przed trzema laty ogromnie zajmującą książkę „W cieniu tytanów“, opowiadającą istotnie o olbrzymach, bo o Goethem i Napoleonie, których Jenny Gutstedt osobiście jeszcze знаła. Sama Lily Braun, córka niemieckiego generała von Kretschmann w pierwszym małżeństwie poślubioną była głośnemu swego czasu działa-

czowi etyczno-społecznemu, Giżyckiemu, w drugim socjalistycznym posłowie do parlamentu Rzeszy niemieckiej, Braunowi. Nie zadowolając się rolą żony wyłącznie, rzuciła się w wir społecznej działalności, w słowie i w licznych dziełkach propagując myśl emancypacji kobiet, zrazu pod sztandarem partii socjalno-demokratycznej, później w odrębności, a nawet w zaciętej z nią walce. Ogłoszone z końcem r. 1911 dwa obszernie tomy p. t. „Wspomnienia socjalistki“ wywołały wszędzie nadzwyczaj silne wrażenie, zarówno dzięki barwnemu, a nawet dramatycznemu obrazowi wewnętrznych walk w obozie niemieckich socjalistów, jak i wskutek gęsto po książce rozrzuconych wiadomości i plotek o bardzo wielu sławnych i znanych współczesnych osobistościach, od Bernarda Shawa do cesarza Wilhelma II.

Dzisiaj Lily Braun, ogłaszając *Listy miłosne margrabin* (Albert Langen, Monachium, 1911, str. 466), występuje po raz pierwszy jako powieściopisarka. Ale jeżeli w tamtych dwóch tomach czytało się niewątpliwie obok „Wahrheit“ także i wiele „Dichtung“, to i w tym, chociaż powieściowy posiadającym charakter, nie samo tylko poetyckie „zmyślenie“, ale i historyczna „prawda“ odrazu rzuca się w oczy. I ta historyczna prawda, aczkolwiek w romansowy sposób do wiadomości czytelników podana, sprawia, że się tego obszernego tomu nie przerzuca, ale rzeczywiście z nieślabnącem zajęciem do końca się go czyta. Zapewne, główną jego zasługą jest szczęśliwie obrana chwila. Lata 1771 do 1789, a więc ostatki rządów Ludwika XV i panowanie jego następcy aż do zburzenia Bastylii, być może, że to, co potem następuje, od otwartego wybuchu Rewolucyi aż do zakończenia wielkiej napoleońskiej epopei, być może, że ten okres jest jeszcze dramatyczniejszym, niż ów, o którym pani Braun opowiada. Ale te lata 1789—1815, choć przepełnione kurzem krwi bratniej i obcej i szczególnie oręża, są już niejako nastrojone na jeden jedyny, jednolity ton. W tamtej epoce natomiast jeszcze jest dwulicowość, jeszcze jest ścieranie się dwóch historycznych i obyczajowych momentów, monarchii i rzeczypospolitej, absolutyzmu i rewolucyi; stylu „rococo“ z „sansculotte’yzmem“. Francja po roku 1789 to wulkan, ale jawny wszystkim—Francja przed r. 1789 jest natomiast wulkanem, na którym jeszcze w szalonej zabawie pływają taneczne pary, z początku zupełnie bez świadomości, potem z niejasną półświadomością niebezpieczeństwa, ukrytego pod parkietową posadzką gruntu. I te dwa stany ogólnego samopoczucia odtworzyła Lily Braun z istotnie zadziwiającą znajomością rzeczy i reżyserską zręcznością. Wprawia w ruch mnóstwo osób, wspo-

mina mnóstwo wydarzeń: skorowidz do tej książki, gdyby był, obejmowałby setkę nazwisk, drugie tyle wypadków. Królowie i królowe, ministrowie i duchowni, dworacy i trybuni ludu, kochanki królewskie i sceniczne gwiazdy, poeci i szarlatani, uczeni i zbrodniarze—nie wiem, czy jest bodaj jedno potrzebne do zobrazowania tej epoki, nazwisko, o którymby tutaj nie było mowy, choćby w przelotnej a zawsze wyrazistej wzmiance, utrwalającej najcharakterystyczniejsze rysy danej postaci. A jednak, chociaż „drzew“ tu takie mnóstwo, widzi się i „las“: autorka a za nią i czytelnik nie gubi się w szczegółach, owszem, każdej chwili ogarnia całość. Dzieje się to zaś zawsze w najmiłszy dla czytelnika sposób, bo swobodnie i nieznacznie, bez cienia nudnego historycznego wykładu, owszem zawsze lekko, czysto powieściowo.

Metoda, jaką autorka ku temu celowi obrała, polega — jak nam tytuł wskazuje—na przedruku fikcyjnych oczywiście „Listów miłosnych margrabiny“. Ona jest ich adresatem, sama ich nie pisze, wystosowują je do niej rozmaici ludzie. Na pierwszy rzut oka taka metoda wydaje się bardzo niebezpieczną: listy, pisane do kogoś, jeżeli nie ma dodanej odpowiedzi adresata, łatwo będą niezupełne, albo, jeżeli zechcą tę Scyllę ominąć, wpadną w Charybdę sztucznego kompletowania zawartych w nich wiadomości. Lily Braun Scyllę zawsze szczęśliwie omija, w Charybdę czasem tylko i to nie po same uszy wpada; mówiąc już bez obrazowości: niekiedy tylko widzi się zmuszoną w celach owego uzupełnienia przytoczyć w tych listach do margrabiny, także jakiś cytat z jej własnych listów. Wybacza się to tem chętniej, że osoby i charaktery tych korespondentów są bardzo szczęśliwie dobrane, tak, że nie tylko panuje różnaitość treści i tonu, ale z tych kamyczków składa się w każdej chwili mozaika, dająca całokształt obrazu tej epoki. Jest więc książkę Fryderyk Eugeniusz de Montbéliard (księstwo tego nazwiska istnieje, jak wiadomo, w obrębie dzisiejszej Francji a pod nazwą Mompelgard należało dawniej do Niemiec), rycerz „sans peur et sans reproche“, przedstawiciel najszlachetniejszych dawnych tradycji arystokratycznych, konserwatysta, lecz niepochwalający błędów i występków „ancien régime“; jest margrabia de Montjoie (miejscowość tej nazwy leży na dzisiejszej pruskiej ziemi, pod Akwizgranem), bezwzględny wyznawca starego porządku, nie tyle z przekonania, ile z interesu, z dumy rodowej i niezrozumienia nowych prądów, człowiek poza tem bardzo poważny i godny; jest hrabia Guy Chvereuse, uosobienie ostatniej francuskiej generacji szlacheckiej, umiejącej się bawić i tylko bawić, wytworny cynik z dużym dowcipem, ale i z czysto

rokokową „moral insanity“; jest niemiecki baron von Altenau, głęboko wykształcony, teoretyczny zwolennik nowej racjonalistycznej i demokratycznej literatury; jest Lucyan Gaillard, pochodzący z nizin społecznych i moralnych, przygotowujący według sił wybuch rewolucyi; są inni przygodni korespondenci, również nie obojętni, bo jest pomiędzy nimi i kardynał książę Ludwik de Rohan, tak ważną odgrywający rolę w sprawie osławionego naszyjnika królowej Maryi Antoniny, i pan de Beaumarchais, opowiadający żywo o dziejach pierwszego przedstawienia „Wesela Figara“ i „Cyrulika sewilskiego“.

„Nasz wiek, to okręt, naładowany obficie najkosztowniejszymi rzeczami, szybujący ku obcej części świata, okręt miotany huraganem, który go rozbije o skały. Ale choćby przytem miały zginąć wszystkie jego bogactwa, niechaj przynajmniej to się uratuje, co się najpiękniej rozwinęło: sztuka kochania“ — tak pisze jeden z korespondentów margrabiny, a nie jest nim bynajmniej wspomniany hr. Chevreuse, ostatni piewca użycia i miłości. Miłością, lub też jej surrogatami i zwyrodnieniami oddycha cały ten świat, miłość jest też czerwoną nicią łączącą wszystkie te listy w powieściową całość. Ich adresatka wzrasta jako panienka wysokiego rodu w alzackim zamku, później w paryskim pensjonacie klasztornym. Delfinę de Laval wcześniej otacza atmosfera miłości: Książę Montbéliard towarzysz jej dzieciennych zabaw, ubóstwia ją, hrabia Chevreuse chciałby ją wtajemniczyć w rozkosze życia. Zwycięża ten drugi kusiciel, bo pięknie kusi: Delfina wymyka się nocną porą z klasztoru. Ale jadąc do kochanka spotyka na ulicy wzburzony tłum nędzarzy, a wśród nich omdlałą z głodu dziewczynę. Delfina każe ją zabrać w swej lektyce do klasztoru i sama tam natychmiast pieszo wraca. Rodzice, nie chcąc cnoty córki na dalsze pokusy wystawiać, wydają ją za mąż, za znacznie starszego, surowego i poważnego margrabiego Montjoie. Panna po długim oporze, rozkaz spełnia. Ale jako żona wzbrania się mężowi. On, bardziej o godność, niż o miłość dbający, znosi to ostatecznie cierpliwie, zadowalając się tem, że ona przynajmniej go z nikim nie zdradza. I rzeczywiście: ani szlachetny Montbéliard, ani lubieżny Chevreuse nie zyskują jej łaski; pierwszy ustępuje z bezowocnego pola walki, woli raczej z Lafayettem bić się w Ameryce za wolność, drugi pociesza się z czulszemi damami—nie brak wśród nich nawet królowej—a swoją drogą i Delfiny z oczu nie spuszcza. Jej mąż ma w końcu to, czego pragnął: potomka. Ale chłopiec rodzi się kaleką, niemal poczwara. Napróżno matka szuka ratunku u najślawniejszych le-

karzy i jeszcze głośniejszych szarlatanów, jak magnetyzer Mesmer i awanturnik Cagliostro: chłopak umiera. Zrozpaczona, oddalona od męża bardziej niż kiedykolwiek, Delfina rzuca się w wir ciekawych politycznych i literackich wiadomości. Pragnienie szczęścia sprawia, że nareszcie zostaje kochanką przybyłego z powrotem do Francyi, aureolą bohaterstwa otoczonego Montbéliarda. Owocem miłości jest dziecko. Margrabia Montjoie dowiaduje się całej prawdy, bo Montbéliard żąda, by kochanka rozwiodła się i za nim poszła. Ale surowy, zawsze o zewnętrzną godność dbały mąż na rozwód się nie godzi, chyba, że dziecko, przed światem za jego syna uchodzące, przy nim zostanie. Delfina dziecko kocha jeszcze bardziej niż kochanka: zostaje przy mężu. I nawet zbliża się do niego, gdy margrabia, uwierzywszy „fabrykantowi złota“ Cagliostro, traci cały majątek i jest i fizycznie bankrutem. Thuszcza rewolucjonistów napada na ich zamek, margrabia pada trupem, Delfina jest wolną. Ale Montbéliard czuje, że po tych strasznych przejściach miłość ich obojga, taką przeszłością obciążona, nie dałaby im już szczęścia, i że teraz pozostaje im tylko rezygnacya...

Mówiąc z taką sympatją o „Listach miłosnych margrabin“, zarówno jako o historycznym obrazie, jak i jako o powieści, z tem większem ubolewaniem stwierdzić muszę, że autorka poszła śladami tylu swoich niemieckich kolegów po piórze, którzy nie potrafili napisać książki o najbardziej nawet odległym przedmiocie, nie przypiąwszy przytem łatki... Polakom. Tutaj są dwie o Polsce wzmianki. Jedna, bardzo przelotna, świadczyć się zdaje raczej o braku uprzedzenia wobec nas: Beaumarchais mówi w liście do margrabin, że pragnął przekonać ministra de Vergennes o potrzebie czynnego wystąpienia przeciw Anglii, ale daremnie, bo „pokryjomu przeciw Anglii konspirować, to obraża jego zasady. Tylko, jak sobie wytłómaczyć, że taka szlachetność mogła tolerować rozbiór Polski, wojny kolonialne i handel niewolnikami?“ Ale jest jeszcze raz mowa o Polakach, a wtedy już z wyraźną złośliwością: Oto ustęp z listu Chevreuse'a: „A teraz jeszcze ładny żarcik, którym Paryż bawił się przez cały czas choroby pani. Kilku polskim szlachcicom z najlepszymi poleceniami udzielił hrabia d'Artois pozwolenia na zwiedzenie jego „Pavillon de Bagatelle“. Przed jednym z marmurowych biustów wybuchnęli oni płaczem: „Jak ona jest podobną do naszej zmarłej siostry!“ Hr. d'Artois, jak zawsze uprzedzająco grzeczny, jeszcze tegosamego popołudnia podarował biust tym panom. Udany manewr powtórzyli oni u szeregu naszych mecenasów i, zanim spostrzeżono ich oszustwo, ulot-

nili się ze swoim bogatym zbiorem dzieł sztuki". — Mała rzecz a brzydka. Ale brzydko świadczy ona nie tylko o nieznanych nam bliżej „polskich szlacheicach z najlepszymi poleceniami“, lecz także o pani Lily Braun, której polski krytyk, gdyby nie było tego wysokości złośliwości, wystawiłby również „najlepsze polecenie“.

Streściliśmy wyjątkowo obszernie tę powieść, bo starczy ona za inne, o których już pisać się nie potrzebuje. Dzisiaj jej podobnych wychodzi w Niemczech wiele, bo panuje tam wielka ciekawość nie tyle do politycznych dziejów przeszłości, ile do historii ludzkiej kultury. Może kiedyś znajdzie się sposobność osobnego omówienia tego działu niemieckiego piśmiennictwa najnowszej doby, w którym odzwierciadla się i wrodzona Niemcom dydaktyczna żyłka i bezwiedne przeświadczenie, że nie w księżdzo niemieckich dziejów ale w historii innych krajów, zwłaszcza zachodnich, a wśród nich przede wszystkim francuskiego narodu, są i najbarwniejsze i najponętniejsze karty rozwoju kultury. Patryoci niemieccy nieraz się o to gniewają, niemniej jednak faktowi zmienić nie mogą.

Po jednej tendencyjnej i jednej obyczajowej powieści historycznej w chronologicznym porządku idzie romans, zmierzający przede wszystkim do oświecenia jednostki a posługujący się szerokim tłem historycznym. Alfred Schirokauer w *Lassalle* (w Berlinie u R. Bonga, 1912, str. 408) miał szczęśliwą rękę w wyborze tej naczelnej postaci romansu. W dziejach niemieckiego socjalizmu Ferdynand Lassalle jest niewątpliwie najefektowniejszym zjawiskiem, chociaż szerokiej może podlegać dyskusji pytanie, o ile dzisiejsza zwłaszcza doktryna socjalnej demokracji niemieckiej może się na niego, jako na swego założyciela powoływać. Lassalle bowiem był zwłaszcza niesłychanie ambitnym człowiekiem, który prawdopodobnie w społeczeństwie socjalistycznym lub komunistycznym byłby z równą namietnością walczył w imię konserwatyzmu a nawet reakcyi, jak w czasach burżuazyjno-monarchicznych walczył w imię socjalizmu i rewolucyi społecznej. Domysł to tylko, ale domysł i prawdopodobny i dlatego u wielu jego biografów—także i u Schirokauera się zjawiający, że ten ambitny trybun ludu marzył o tryumfalnym wjeździe przez bramę brandenburską na złotym rydwanie dyktatora, że nie powiemy króla rewolucyi. A i to jest symptomatycznym, że ze wszystkich ówczesnych stronnictw najzawzięciej zwalczał właśnie pośrednie, liberalne, które pragnęło—wtedy przynajmniej—mniej więcej tych samych reform, co socjaliści, ale bez efektownych błyskawic rewolucyi i bez... dyktatury trybuna ludu. Autor na-

szej powieści idzie nawet tak daleko, że każe się Lassallowi układać z samym Bismarckiem i to w najbardziej niekonstytucyjnej erze późniejszego „żelaznego kanclerza“ w chwili, gdy on, chcąc zdusić potęgę liberałów nie waha się gwałcić konstytucję i słabego Wilhelma I za sobą na tę drogę pociąga. Socjalizm Lassalle'a idzie tu ręką w rękę z absolutyzmem Bismarcka dlatego, że sam jest również a raczej jeszcze bardziej absolutnym. Tylko, że z jednej strony Bismarck jest za... rozumny, by Lassalle'a uważać za coś więcej niż za narzędzie i gdy absolutny agitator chce z nim rozmawiać, jako „na krańcach swoich dwa przeciwne bogi“ Bismarck bez zbytecznych formułek grzeczności odrzuca go precz, z drugiej zaś strony robotnicy sami nie chcą znosić tyrańskiego jarzma dyktatora i dopiero po śmierci urządzają mu wspaniały, iście królewski pogrzeb.

Ale Schirokauer pisząc swoją powieść dodaje przy tytule, że jest to obraz „życia za wolność i miłość“. Istotnie Lassalle w życiu zapewne nie więcej się „wolnością“ niż „miłością“ zajmował, ostatecznie zaś jego śmierć wynika nie z pierwszego ale z drugiego zajęcia. Kochanek miał mnóstwo i niemi może więcej się wstawił niż ukochaniem wolności. Wszak po raz pierwszy uczynił go rozgłośnym stosunek ze starszą już kobietą, hrabiną Hatzfeld, a przedewszystkiem jego następstwa, ów osławiony proces o kradzież kasetki, który mu dał sposobność publicznego popisu błyskotliwego, dziwnie suggestywnego daru wymowy. Kobiety lgnęły do niego, bo był wprost pięknym i był sławnym. On zaś ich szukał a przynajmniej nie odtrącał, z tych samych w części powodów, dla których rzucił się w wir walki o wolność proletariatu: ambitny i żądny hołdów sybaryta pożądał zawsze i wszędzie hołdów, najprzód u robotników, ale ci—jak widzieliśmy—nieraz się przeciw jego autokratyzmowi buntowali; kobiety były dla niego podatniejszym materiałem, chętniej uwierzyły, że on jest bogiem, w najgorszym razie uległej korzyły się przed tem bożyszczem, a gdy która z nich bystrzejsza przejrzała go do głębi, na jej miejsce znajdowało się łatwo kilka zaślepionych. Byronowi łaskawy los dał śmierć, która może uchodzić za śmierć w walce o wolność; Lassallowi mniej łaskawy, ale sprawiedliwszy los, przeznaczył śmierć w aferze miłosnej, zgon, który ściśle biorąc nie był nietylko zgonem za wolność ale nawet i nie zgonem za miłość, był tylko nieco zagadkowym bankructwem życiowym don Juana, potykającego się o przydrożny kamień. Oto ostatnią jego kochanką była Helena von Dönniges; kochanką w tem znaczeniu, że ona go kochała, on zaś godził się na jej miłosne hoł-

dy; ale zenić się z nią nie chciał, nawet wtedy, gdy panna z domu rodziców do niego uciekła. I dopiero gdy przymuszona przez ojca zaręczyła się z innym, Lassalle prowokuje pojedynek z tym rywalem i pada na placu spotkania.

O tem wszystkiem opowiada Schirokauer płynnie, aczkolwiek bez wyjątkowej plastyki i nie zawsze umiając zachować ład w tym niesłychanie obfitym materyale, powiększonym jeszcze niedawno bardzo wymownemi pamiątnikami samej Heleny Dönniges. Książka stanowiąca jeden z tomów seryi „Romansów sławnych mężczyzn i kobiet“ daje barwny obraz Niemiec około r. 1860, wprowadza wiele wybitnych współczesnych osobistości, strzegąc się partyjnego ich oświećlania, nie tyle z bezwzględnego zamiłowania rzeczowej prawdy, ile zapewne dla interesu, by nikogo z niejednolitej rzeszy czytelników nie zrażać.

Bez porównania poważniejszego zadania podjął się Hanns von Zobeltitz w swojej powieści o „Zwycięstwie“ (Berlin, E. Fleischel & Co, 1912, str. 317). Jest to powieść na tle ostatniej wojny niemiecko-francuskiej. Wogóle należy dobrze zrozumieć stanowisko dzisiejszych rozumnych Niemców wobec tego „Zwycięstwa“. Zapewne jest w tym narodzie także rozpowszechniony krzykliwy patriotyzm, przez nich samych zwany pogardliwie „Hurrah-Patriotismus“. Ale jego wyznawców dzisiaj jest już niewielu, nawet wśród tych, którzy bądź z przyzwyczajenia, bądź by się nie wydać oziębłymi, święcą uroczyste rocznice Sedanu i przy tej sposobności czasem jeszcze się odgrają „dziedzicznemu wrogowi“ (te obchody wychodzą już zresztą coraz bardziej z mody). Większość mądrych Niemców patrzy zupełnie inaczej wstecz na te wspomnienia historyczne: wojna z 1870—1871 jest i dla nich zaszczytną reminiscencją, ale nie dlatego, że się zakończyła pogroblem nieprzyjaciela, nawet nie dlatego, że zdobyła dla niemieckiego państwa dwie prowincye, które mu niegdyś Ludwik XIV odebrał, ale przedewszystkiem dlatego, że zjednoczyła Niemcy po długich, długich latach politycznego rozbitcia. Sedan to zer dla tłumów, dla myślących patriotów niemieckich tysiąc-krotnie większe znaczenie ma fakt, że rok 1870 to najprzód dalszy ciąg a właściwie ulepszenie r. 1866, bo wtedy była walka bratobójcza, a w pięć lat potem już i bawarskie i saskie wojska ramię przy ramieniu z pruskiemi walczyły, powtórę to odnowienie cesarstwa niemieckiego w zwierciadlanej sali wersalskiego pałacu. Nie moją jest rzeczą oceniać racjonalność tego poglądu, pytać się, czy ta restauracya cesarstwa nie mogła się dokonać bez pogromu Francyi, stwierdzam tylko fakt, że tak dzisiaj my-

ślą nie najliczniejsi wprawdzie ale najrozumniejsi patryoci niemieccy. Pokonanie Francji uważają oni najprzód za okoliczność uboczną, powtóre za pewnego rodzaju „malum necessarium“ z dużym naciskiem na tamtym przymiotniku, bo wytworzyło dla Niemców sytuację bardzo kłopotliwą: ani Alzacyi ani Lotaryngii Francuzom oddać nie chcą, nie mogą, bo są to i ziemie bądźco bądź częściowo niemieckie i stały się z woli przeznaczenia owocem zwycięstw, którego wyrzec się nie można; a z drugiej strony Niemcy dobrze rozumieją, że bez tej restytucji Francuzi z nimi się nie pojednają. Oni zaś tego pojednania gorąco, coraz goręcej pragną. Bo Niemcy są dumni wobec narodów, które słusznie lub niesłusznie za niższe kulturalnie od siebie uważają, ale są pokorni wobec narodów o wyższej kulturze. O tem zaś, że francuska kultura jest od niemieckiej wyższą, o tem oni są przeświadczeni. I stąd to ustawiczne, niekiedy aż upokarzające kokietowanie Francji, którego wyobrazicielem jest typowy Niemiec, cesarz Wilhelm II.

Stąd także w sferze literatury zadziwiające przemilczanie kampanii r. 1870 — 1871. Pomyślmy tylko: świetny tryumf niemieckiego oręża, a ani powieść niemiecka, ani dramat o nim nie wiedzieć nie chcą. Zobeltitz, który to milczenie przerywa, nie będzie zaprzeczeniem naszych wywodów. Zwróćmy uwagę bodaj na tytułową ilustrację: niemiecki czarny orzeł z koroną cesarską na głowie trzyma w szponach krwawe serce. To już coś mówi, a zaprawdę nie w tonie hałaśliwego „hurra—patryotyzmu“, nawet nie wściekłym krzykiem „vae victis!“ Przeglądnijmy kartki tej powieści: hasła „hejże na Francuzów!“ nigdzie się nie usłyszy, zwłaszcza nie z ust wodzów i kulturalnych oficerów; natomiast niejednokrotnie podziw dla męstwa Francuzów, szacunek wzrastający w miarę, jak szczęście wojenne coraz wydatniej Niemcom służy. Co więcej Zobeltitz bardzo charakterystycznie pragnie od swoich rodaków odwrócić rozpowszechnione oskarżenie jakoby wojska niemieckie dopuszczały się gwałtów, rabunków i okrucieństw na bezbronnych Francuzach. Warto przytoczyć w całości odnośny ustęp nie dlatego, jakobym go bezwzględnie za słuszny uznawał, ale jako ilustrację poglądów autora, przykład jego tłumaczenia się i usprawiedliwiania. Oto co dzielny oficer Kurt von Berkenfelde pisze do swojej kuzynki: „My, cośmy przeżyli ten ostatni epizod wielkiej walki, my wiemy najlepiej, że wojna zaczynała z nas wszystkich robić dzikich ludzi. Nas wszystkich: oficerów i żołnierzy. Obudziło się w nas coś z landsknechta. Myśmy musieli stawiać ponadto wszystko nasze własne ży-

cie, któreśmy codziennie narażali. Braliśmy, cośmy znajdowali, aby to życie utrzymać, a jeśli nam dobrowolnie nie dawano, braliśmy gwałtem. Do tego przepełniało nas oburzenie, nie przeciw oporowi francuskiego narodu, ale przeciw sposobowi, w którym ten opór często się objawiał, przeciw podstępnyim napadom, przeciw chłopom, którzy do nas z zasadzki strzelali a zaraz w następnej chwili odrzucali strzelbę i znowu grali rolę potulnych wieśniaków. To wszystko jest prawdą... A jednak mimo wszystko jestem pewnym, że nigdy wojny nie prowadzono bardziej po ludzku(?). Działo się to, co było nie do uniknienia... Wojna jest twardem rzemiosłem. Tak zawsze będzie. Porównajmy to usprawiedliwianie się z entuzjastycznymi okrzykami, że nareszcie Niemcy zjednoczyli się, a znajdziemy potwierdzenie naszych wywodów.

Detler von Liliencron, który sam tę kampanię odbył, dał w swoich przepyszuie napisanych „Nowellach wojennych“ panegiryk na cześć nie tej ale każdej wogóle wojny. Zobeltitz każe czarnemu orłowi trzymać w szponach krwawe serce a przez wszystkie karty jego powieści wieje duch, przypominający nieśmiertelny żałobny cykl grottgerowskiej „Wojny“. Niemiecki autor dodaje do tej symfonii jeden jeszcze ton, wzięty już nie z współczującego serca ale z analizującego rozumu. Ten sam Kurt von Berkenfelde, duchowy potomek rozmarzonego bohatera dramatu Henryka Kleista o „Księciu hamburskim“ idzie na wojnę chętnie, bije się na niej dzielnie, a jednak za bohatera się nie uważa. Oto znowu ustęp z jego listów: „Czy ci wszyscy tak bezprzykładnie dzielni wojacy byli bohaterami? Czy unosił ich wzniosły zapal, czy wielka miłość ojczyzny zwyciężała w nich świadomość niebezpieczeństwa? Czy oni szli naprzód, pchani gorącą silną wolą zwycięstwa albo śmierci? Gdy kiedyś napisze ktoś historię walki pod St. Privat, czytać się w niej będzie, że oni byli bohaterami. Badacz historyi, który widzieć będzie przed sobą rezultat, tak ich nazwie. Poeta będzie ich opiewać. I tak będzie dobrze.— Ale ja ci mówię, że my wszyscy nie byliśmy bynajmniej bohaterami. Może z wyjątkiem kilku, kilku zagadkowych, kilku nadludzkich. Nam wszystkim serce kołatało o żebra. Potem przyszło uczucie upojenia w szybkim marszu naprzód. Ale potem znowu, gdyśmy topnieli liczbą jak śnieg w słońcu, gdy pochód naprzód się wstrzymywał, gdyśmy bez pomocy się znaleźli przed białemi, ogniem ziejącemi murami, nie wiele z bohaterstwa w nas było. Byliśmy ludźmi... Zaiste nigdy z większym entuzjazmem nie szło wojsko do walki. W nas żył przecież, koncentrował się niejako nastrój całego narodu: My przecież jesteśmy jednym, jed-

nolitym narodem! Ale wzniosły, cudowny zapach nie utrzyma się wobec rzeczywistości wojny... Nie mówię, żeby ten zapach wtedy zamierał, całkiem zamierał. Ale on w naszym poczuciu spadał, bardzo głęboko... Obowiązek nas pchał naprzód. Żelazny obowiązek, wpojony ścisłą karnością z czasu pokoju. A z obowiązkiem jakiś męski wstyd: nie wolno ci być tchórzem! I to drugie uczucie: musisz iść naprzód, choćbyś życiem za to zapłacił! To nas prowadziło do zwycięstwa“.

Czy mam streszczać akcję, zresztą jak często w niemieckich wojskowych i wojennych powieściach i dramatach nieco sentymentalną? Chyba nie. Wszak my tutaj w niemieckiej beletrystyce szukamy zawsze przede wszystkim obrazu duszy niemieckiej. Więc ten ostatni wyimek nam wystarczy...

DR. JÓZEF FLACH.

ROZMAITOŚCI.

Dotychczasowe badania nad powstaniem „Pieśni legionów“.

Poglądy moje na powstanie i historię pieśni legionów wypowiedziałem w drukowanej przed dwoma laty broszurce p. t. „Pieśń legionistów“... jej powstanie i historia. Obecnie w tej samej kwestyi zabieram głos. Z konieczności zmuszony jestem nim przejdę do właściwej treści mego artykułu wspomnieć parę słów w sprawie mojej rozprawki. Jak wskazuje w zakończeniu książki podana data napisania mego studium: październik—listopad 1910 r.—praca moja została napisaną jeszcze przed ogłoszeniem ciekawych przyczynków do czasu powstania tej pieśni przez prof. Finkla w „Tygodniku Ilustrowanym“ w № 4 r. 1911 p. t. „Kiedy powstała pieśń legionów“. Złożony w redakcyi „Przeglądu Powszechnego“ mój rękopis został wydrukowany w zeszytach sierpień—wrzesień „Przeglądu Powszechnego“ 1911 r., a następnie, jako odbitka, ukazał się w handlu księgarskim. Wobec tego, że w ciągu tego czasu na łamach „Tygodnika Ilustrowanego“ toczyła się żarliwa polemika pomiędzy prof. Finklem i prof. Korzonem, zmuszony byłem po zakończeniu tej polemiki, rękopis mój uzupełnić nowemi danemi, wcielając je do mojej pracy o „Pieśni legionów“. Wydając ową broszurkę, kierowałem się nie tylko tem, by określić jej czas powstania, ale chodziło mi o historyczny rozwój pieśni, o rozbiór poszczególnych zwrotek, o wykazanie kiedy naprawdę stała się pieśnią ogólnonarodową. Co do czasu powstania pieśni musiałem się opierać na pewnych już danych prof. Finkla i prof. Korzona. Pierwszy twierdzi, że pieśń powstała w lipcu 1797 r.—drugi, że w r. 1799 27 lutego na wyjeździe z Serry do Mediolanu. Opierając się w tej sprawie na wywodach prof. Korzona, kierowałem się głównie znaczeniem, sensem owej zwrotki:

Mamy Raclawickie kosy
Kościszkę Bóg pozwoli!

Wydawało mi się, że gdyby pieśń powstała w r. 1797 w Reggio nie byłaby powstała owa przytoczona końcowa zwrotka pieśni. Rozumowałem

w ten sposób: „Jakżeż mógł Bóg pozwolić Kościuszkę, kiedy schorzały, nie władający wcale jedną nogą wskutek odniesionej rany pod Maciejowicami, płynął do brzegów Ameryki i nie myślał wcale o powrocie do Europy.“

Mógłby jednak ktoś postawić zarzut, że mimo to, chociaż Kościuszek udawał się do Ameryki, mógł Wybicki napisać „Kościuszkę Bóg pozwoli!“, ale byłaby ta zwrotka wówczas przenośnią, symbolem — wyrażałaby, że znajdzie się bohater podobny Kościuszcze i powiedzie naród do nowych Raławic; jeżeli weźmiemy pod uwagę czem była ta pieśń na początku jej powstania, jakie przeznaczenie miała spełniać, że była pisana jedynie dla żołnierzy, aby budzić i zagrzewać ich do boju, to jedynie mogła nasuwać im przed oczy obrazy żywe, rzeczywiste — fakta i wypadki rozgrywające się w ich własnych oczach lub współcześnie. To skłaniało mnie do przypuszczenia, że pieśń powstała w r. 1799 przy o wiele lepszych koniunkturach politycznych niż to było w r. 1797. Wypowiadałem jednak tylko pewne przypuszczenie nie pewnik, gdyż takiego nie posiada dotąd żaden z dotychczasowych badaczy interesujących się tą kwestją.

Za twierdzeniem jednak prof. Finkla przemawia również pogląd p. A. M. Skalkowskiego w jego cennej pracy „O kokardę legionów“ str. 68 — a również artykuł p. A. Hajdeckiego p. t. „Jak i kiedy powstała pieśń legionów“ („Czas“ z dnia 24 grudnia 1912 r.). Artykułowi temu, będącemu pod pewnemi względami ważnym przyczynkiem do czasu powstania pieśni — poświęcam tu parę krytycznych uwag. Autor znalazł wśród poszukiwań archiwalnych datowany tekst pieśni legionów w aktach byłej tajnej policji wiedeńskiej w sprawozdaniu z dn. 15 czerwca 1798 r. o nastroju i opinii politycznej w województwie lubelskiem, do sprawozdania tego dołącza starosta radzyński, Niemiec, niejaki F. v. Hebe — tekst pieśni legionów, objaśniając wyższe swoje władze, że owa piosenka jest śpiewaną powszechnie przez polskie kobiety.

Autentyczności tego dokumentu sprawdzić nie jesteśmy w możności. Dziwnem i sprzecznem z faktycznym stanem rzeczy jest to, że w sprawozdaniu mówi się o pieśni, iż jest powszechnie śpiewaną i przez to mogła istotnie wydać się groźną dla całości państwa austriackiego. Tymczasem powszechnie znaną i ogólnie śpiewaną stała się pieśń dopiero w czasie powstania listopadowego. Przedtem naogół nie słyhać czy gdzie była wogóle wówczas w kraju śpiewana, w druku nie spotykamy jej w owych czasach wcale, ani w zbiorach pieśni narodowych, ani w czasopismach, których dokładnem przejrzeniem zajął się Finkel i nie osiągnął żadnego pozytywnego rezultatu (Wacław Orłowski, „Pieśń legionistów“ str. 25).

P. A. Hajdecki stara się czas powstania pieśni ściślej oznaczyć, ma być podług niego dzień 15 kwietnia 1797 r. W wywodach swoich opiera się na owym dokumencie ze sprawozdania z dn. 15 czerwca 1798 r., dowodząc, że przynajmniej rok czasu musiał upłynąć od daty powstania pieśni do chwili jej rozpowszechnienia, dowodzenie zbyt chwiejne, nieoparte na żadnych podstawach, popiera je dalej rzekomem twierdzeniem prof. Finkla, że pieśń powstała w kwietniu, gdy tymczasem w „Tygodn. Illustr.“ № 4, 1911 r. prof. Finkel wyraźnie wypowiada zdanie, że pieśń powstać mogła w połowie r. 1797, nie określając bliżej w ostatecznej konkluzji miesiąca ani też dnia. Z tej fał-

szywej przesłanki, zaczerpniętej z drugiej ręki, mianowicie z artykułu d-ra Pawłowskiego w „Gazecie Wieczornej“ № 110, r. 1911, wyprowadza autor wniosek, że jedynie dzień 15 kwietnia mógł być dniem powstania pieśni.

Dlaczego jednak 15 kwietnia? Autor opiera się na niemieckim tłómaczeniu „Pamiętników“ Ogińskiego z r. 1845, twierdząc, że dn. 15 kwietnia Ogiński wspólnie z Wybickim wygotowali memoriał w ciągu 24 godzin w sprawie kooperacji legionów z armią francuską przeciw Austrii—wówczas to, jak się zdaje autorowi, wyrwał się okrzyk z piersi Wybickiego „Jeszcze Polska nie zginęła“. Ten okrzyk uważa autor za pobudkę do napisania pieśni. Dziwnem się to wydaje, że po uciążliwej 24 g. pracy nad memoriałem siedli Ogiński i Wybicki do układania pieśni. Później, według autora, pieśń powstać nie mogła, gdyż ten radosny nastrój Wybickiego i Ogińskiego rozbił się o preliminarja pokoju w Leoben. Faktem jest, że preliminarja pokoju w Leoben obaliły projekta wielkiej akcyi od strony Węgier i Galicyi, ale jeszcze 17 kwietnia 1797 w tej sprawie Mniewski z Walknowskim wybiera się do Włoch i prosi o listy polecające do Bonapartego (A. M. Skałkowski, Lwów 1912; „O kokardę legionów“).

Tak więc ujęta kwestya powstania pieśni przez p. A. Hajdeckiego nie wytrzymuje krytyki i sprawy bynajmniej nie rozstrzyga.

Co do autorstwa pieśni to oddawna już niema dwóch zdań, że nim jest Józef Wybicki, kwestya ta nie jest wątpliwą i autor artykułu nie potrzebował ją dopiero teraz rozstrzygać.

Co do nowego tekstu, składającego się z pięciu zwrotek, który podaje autor w swoim artykule, to tu również zachodzi wiele wątpliwości — przede-wszystkiem gdyby w istocie odpis jej pochodził z r. 1798, to opierać się na nim nie możemy, gdyż mógł ktoś, pisząc z pamięci zwrotki pieśni lub z jakiegoś innego odpisu, dowolnie je poprzestawiać, zmieniać nawet, omylić się i t. d. Nie wzbudza zaufania, otwarcie można powiedzieć, odpis pieśni, który się znajduje w aktach byłej tajnej policyi wiedeńskiej, przecież o ileby tak nawet było, to nie z pietyzmu dla pieśni przechowywano ją w tych aktach, sądzę, że lepiej będzie się opierać na dawnych tekstach, a głównie na kopii autografu Wybickiego¹⁾ i tekstu pieśni, pochodzącej z czasów Ks. Warszawskiego.²⁾

Pierwsza zwrotka tekstu pieśni, podanej przez A. Hajdeckiego, brzmi „nie zginęła“, nie jest niemożliwem jednak, że poprzednio brzmiała „nie umarła“—jak jest w kopii autografu i liście Wybickiego do Dąbrowskiego z dnia 6 marca 1798 r. (podanym przez Finkla w „Tyg. Ilustr.“ № 4, 1911).

Jedyną więc zasługą p. A. Hajdeckiego (o ile w istocie odpis pieśni pochodzi z r. 1798) będzie poparcie tym dokumentem wywodów prof. Finkla. Dokument ten odnaleziony przez p. A. Hajdeckiego obok listu Wybickiego do Dąbrowskiego z dnia 6 marca 1798 r., zdecyduje sądzę o tem, że pieśń powstała w r. 1797.

¹⁾ Bibl. Ossolińskich, № 79 autografów.

²⁾ Arkusz. druk. w bibl. J. hr. Moszyńskiego, № mn. 2912.

Nie jest też niemożliwym, że od czasu powstania pieśni, t. j. od r. 1797, sam Wybicki mógł jeszcze później, przypuścić że nawet w r. 1799 dodać inne jeszcze zwrotki, odnosiłoby to się głównie do tej zwrotki o Kościuszcze, jak również do zamiany „nie zginęła” na „nie umarła”.

A teraz jeszcze nasuwa się kwestya co do melodii pieśni. Ogólnie tradycja przekazuje nam imię ks. Michała Kleofasa Ogińskiego jako autora muzyki pieśni.

Ks. Ogiński uprawiał wszelkie rodzaje kompozycji, głównie jednak tworzył polonezy na fortepian, z których wiele zjednało mu popularność. Wszystkie te polonezy odznaczały się piękną melodią, prostotą formy, łatwością układu i rzuwnym nastrojem.

Znalazłszy się w legionach we Włoszech, ułożył „marsz dla swego pułku strzelców, który wykonywany był i w innych oddziałach wojska”. „W roku 1797 na usilne prośby moich rodaków utworzyłem marsz wojenny dla legionów w Lombardyi”¹⁾. To samo wspomina w pamiętnikach²⁾, że gdy był w Paryżu na obiedzie u jednego z dygnitarzy, „kilka dam zbliżyło się do fortepianu i prosiło mnie, abym grał marsza, którego ułożyłem dla legionów polskich”.

Do tych świadectw przybywa jeszcze jedno, mianowicie list Ogińskiego do Henryka Dąbrowskiego, pisany z Paryża dn. 28 apr. 1797 r., w którym Ogiński zawiadamia Dąbrowskiego o wysłaniu marsza dla legionów: „Posyłam marsz dla legionów polskich”³⁾.

Pytanie jednak pozostaje nadal nierozstrzygniętem, czy do tego to marsza dorobił odnośne słowa pieśni Wybicki, żadnego na to pewnego dowodu niema, na niekorzyść tego twierdzenia przemawiałoby to, że muzyka pieśni legionów jest skomponowana na nutę mazurka, Ogiński zaś aż czterokrotnie wspomina wyraźnie o marszu. Dla kompozytora i muzyka, jakim był Ogiński, różnica między mazurkiem a marszem była zbyt zasadniczą, aby mógł te dwa rodzaje kompozycji znieść z sobą.

Na zakończenie wymieniam następujące dane co do pieśni legionów:

- 1) Autorem pieśni legionów jest Józef Wybicki.
- 2) Za kompozytora melodii pieśni należy również uznać Józefa Wybickiego, biorąc pod uwagę jego zdolności muzyczne, gdyż jest on twórcą kilku oper, z których w jednej „Polka czyli oblężenie Trębowli” znajdujemy formę i myśli pokrewne do tych, jakie natchnęły go do napisania „Pieśni legionów”. Na niekorzyść ks. Kleofasa Ogińskiego, jako kompozytora melodii pieśni, przemawia to, że mówi on o „marszu” tymczasem pieśń jest skomponowaną na nutę mazurka.

- 3) Czas powstania pieśni odnieść musimy wobec stanu dotychczasowych badań na rok 1797 — bez oznaczenia jednak miesiąca i dnia, uważając wszakże

¹⁾ Listy o muzyce ks. Ogińskiego, „Kronika Rodzinna” 1879.

²⁾ Pamiętnik Ogińskiego, t. II. Poznań, 1870.

³⁾ „Przegląd Histor.”, 1910, t. XI (wrzesień — październik), str. 221.

za zupełnie możliwe późniejsze pewne modyfikacye w tekście uczynione przez samego Józefa Wybickiego.

WACŁAW ORŁOWSKI.

Nieznane wiersze Samuela ze Skrzypny Twardowskiego.

Wśród poszukiwań archiwalnych w Cesarskiej Bibliotece Publicznej w Petersburgu, dostał mi się do ręki foliant „Wojny domowej“ Samuela ze Skrzypny Twardowskiego. Księga pochodzi z biblioteki Załuskich, dokąd przeszła od M. F. Niewieskiego; zaopatrzona jest, jak zwykle, notatą własnoręczną J. A. Załuskiego, składa się zaś z 52 k. druku i 151 k. rękopisu.

Druk, pomimo zapowiedzianych w tytule ksiąg czterech, zawiera tylko część I, wydaną r. 1660 w Krakowie, u wdowy Łukasza Kupisza, JKM. typographa.

Załuski w dziele swem „Biblioteka historyków“ powiada o Samuele Twardowskim:

„Tenże wojnę kozacką roku sześć pięć jeden
Wydął w Lesznie, a potem, w lat szesnaście, wojny,
Które przez lat dwanaście toczyli Polacy
Z Szwedy, Węgry, Tatary, Moskwą, Kozakami,
Pod tytułem domowej wojny, wierszem także
Wydął. Ta edycya nie była zupełna,
Gdyż w kilku egzemplarzach, com je widział, tylko
Do karty dziewięćdziesiąt i sześć ciągnęła się.“

Doczekał się poemat wydania zupełnego dopiero po śmierci autora, w r. 1681, w Kaliszu. Ojcowie Jezuici odrzucili wszystkie dedykacye w czambuł, a mianowicie: dedykacye księgi z r. 1660 (Jeremiemu, Dymitrowi i Konstantemu Wiśniowieckim i Janowi Kazimierzowi) oraz rękopisu, uważając widocznie, iż daleko korzystniej będzie przypisać księgę któremuś z żywych dygnitarzy,—sfabrykowali przemowę w stylu dostatecznie szkolnym, odpowiadającą wszelkim wymaganiom retoryki i złego gustu, i zatytułowali ją „Wielmożnemu Jego Mości Panu Stephanowi Hrabu na Ruszczy Branickiemu“.

Tyle o drukach.

Rękopis Cesarskiej Biblioteki Publicznej (sygnatura: „Polonica. F. XIV. № 36“) jest foliantem o kartach z liczbowaniem współczesnem arkuszy 29—106, zdefektowanym nieco, gdyż brak mu arkusza 48 i 49. Autograf bezwątpienia, może nawet brulion ze sporą liczbą poprawek i wariantów, zawiera księgi II, III i IV „Wojny“, zaopatrzone w dwie dedykacye: Andrzejowi Trzebickiemu, biskupowi krakowskiemu—do ks. III; oraz Jerzemu Lubomirskiemu, marszałkowi wielkiemu koronnemu i hetm. pol. kor.—do księgi IV.

Te właśnie dwie dedykacye, jako nieznanie dotychczas, podaję do wiadomości ogółu, w przekonaniu, że ważnym jest dla nas każdy szczegół życia i każdy utwór pana Samuela.

1. (Karta 36a—b).

Jasnie Wielbnemu w Chrystusie Oycu
y Panu.

Je Mści Xiędzu Andrzeiowi Trzebi-
ckiemu z łaski Bożej Biskupowi:
Krakowskiemu Xiążęciu Siewierskiemu:

Więc po zwycięstwie kiedy się tym zdało
Ze pokoy Niebo nam obiecowało,

Woyska się na wytchnienie Swoie

Po zimowlach rozeszły oboie:

Alí grom nowy, y pierwszy słyszana

Kłeska Batowska, niżli spodziewana.

Król nawet z pod Żwańca wrocony

Ledwie od Swych wtei drodze zbawiony:

Komu to w oczach, Jako było Tobie

Kochanku iego? któryś obrał sobie

Do deski ostatniego dołu,

Y umierać, y żyć z nim pospołu?:

Bo ktoż go więcej wtych wszystkich kłopotach?

Razach y dziwnych fortuny obrotach

Pilnował? kto radą mu zdrowszy?

Albo piorem nad Cię był gotowszy?

Astrea z ziemskich rugowana kraiow,

Skromność krolewna wszytych Obczyaiow;

Pobożność y Cnota dawniejsza

Komu? iako Tobie przystoyniejsza?

Zkądci wrożeli Wielcy pierwy Oni

Nad wzrost Swoij urosć Łubińscy Patroni,

Toż dalsze Twoie widząc wdzięki

Ossolinski, dodał im Swei ręki.

A Pan Candoru napewniejszy Twego,

Zaraz do boku przyklepił cię Swego

Y niemógł, przybrawszy Reientem,

Bydź bez Ciebie żadnym już momentem.

Żeć oddał pieczęć, przemyszką, y za tą.

Krakowską teraz Infułę bogatą

Zkąd bliższą drogę masz do Niebu,

Ani się bać zazdrości potrzeba.

Owo lakoś iest wielki wtei ozdobie

Procz ią Samemu powinieś Sobie.

Ani przez fawory y złoto,

Nimfom Dworskim kłaniałeś się oto.

Na którym siedząc piętrze tak wysoko.
 Rzuć na chudego przyjaciela oko,
 Y ze Swego pożywiwszy Stołu,
 Z nim ogarni ¹⁾ karty te pospołu.

II. Karta 59a—b. (Brzeg górny trochę obcięty).

„Czwartei Xięgi Prefacya.

Jasnie Wielmożnemu Jo Mści

Panu Ierżemu Chraibi na Wisniczu Lubomirskiemu
 Marszałkowi Nawyzszemu y Hetmanowi Polnemu Koronnemu
 Generałowi Krakowskie(mu) e(t)c.

A komu wcześci Oyczyzna dzwigniona
 Tobie o Wielki Marszałku zbawiona
 Posrod tych Szturmow y burzliwei fale
 Powinna cale?

Bo kto przez Męstwo y wysokie czyny,
 Mogł ią ztak pewnei wyważyć ruiny
 Ty nietylkoś iei wręku miał obronę,

Ale koronę.

Gdy Nieprzyziacieli Głowy się napierał,
 Y iuz z wnetrżności Serce iei wydzierał,
 Tyś fant ten vnosił przeważniei nad Ono

Fryxowe rono.

Gdzie zastłonięte śnieżystym Karpatęm
 Widzi się Niebo iakoby za Światem
 Tam pomniąc na dom, tam ku wdzięczności Swoiei

Wzdychając Troiei.

Aż kiedy Słonce ztei chmury dobywać,
 Y krol się począł w Śląsku gdzieś ozywać,
 Kto pręcy ²⁾ Serca podnieść mogł Woyskowe,

W nadzieie nowe.

Kto przed inszymi skuteczniei Wodzami
 Łigę tę skłijć w przod pod Tyszowcami?
 Y przy znaczniejszym Ludzi swych kompucie
 Stańc w Łancucie?

Za Czym krol Szwedzki ³⁾, który o Kamięniec
 Tuszel się oprzeć, y tam Swoiei więniec
 Vpleść fortunie, procz skuśi ⁴⁾ niezdrowei

Wody Sznowej.

¹⁾ Tryb rozkazujący. ²⁾ Prędzej. ³⁾ Poprawione z „Nieprzyziacieli”.

⁴⁾ Skosztował.

Złądze iako Wilk poszedł ohukany
Zewsząd trapiiony, zewsząd przebiegany
Poki wobrotach y drodze tak scislei

Niedopiął Wisły.

Toż Wodzem Polnym skoroś wziół buławę
A zgubić przyszło trzeci raz Warszawę
Y krol, y trwogi Pilawieckie one

Nazad wroczone.

Tyś stanął w kroku, y Woysko vtrzymał
Aż ktory te tu Wnetrzności przeżywał,
Scinał y palił, Rakocemu nawet

Oddał wet za wet.

Kiedys mu takze za iego gorami,
Rozświecił strasznie Polskimi Ogniami,
Czym którą z Szwedem ligę zaprzaglił Swoię,

Zerwał na dwoię.

Y pobiegł w Oczy iako własnie Słepy
Na wszystkie nasze groty y Oszczepy,
Ze gdy tych zewsząd Ostepow nieminął

Z Woyskiem swym zginął.

Komu y potym ztą pracą dostany
Powinien Thorun? komu zatrzymany
W Obozie Żołnierz? y przyszedł do starei

Woiennei kary.

Aż Pokoy wdzieczny y Pruski krąj wolny,
Gdy Nieprzyiaciel musiał bydź powolny
Na Swadę Twoię, y grzmiącą żelazem

Buławę razęm.

Za Co Oycyzna, Ale będą y te
Z Cymmeryiskiego Wieczoru dobyte
Nad Oyca wietsze,¹⁾ Ozdoby brzmieć Twoie

Kamęny Moie.

*

*

*

Przytoczone tu wiersze mówią same za siebie: tchną one tak gorącym patryotyzmem, że pozwalają zapomnieć o prośbie osobistej, zawartej w pierwszym; wiersz drugi — to jeden z piękniejszych utworów Twardowskiego; sły-

1) Większe.

chać w nim wyraźnie „grzmienie żelaza“, mocne tupnięcie nogą, gdy Lubomirski „stanął w Łańcucie“, lub „stanął w kroku y woysko utrzymał“. Widzimy wyraźnie silną, barczystą postać hetmana, tak przepełnioną poczuciem mocy, że aż wkrótce po napisaniu dedykacyi przez poetę-obywatela, zerwała wszelkie tamy i rozprężyła ramiona na Polskę—gestem zniszczenia.

Twardowski nie przeczuwa tego zbytniego rozrostu hetmańskiej potęgi: to też wiersz jego jest wspaniałym wyrazem uwielbienia, jest pochwałą bohatera i patrioty.

JANINA KOZŁOWSKA.

PISMIENNICTWO.

Pisma Bronisława Chlebowskiego. Tom III. Studya nad literaturą polską wieku XVII (Piotr Kochanowski.—Twardowski.—Potocki.—Maszkiewicz.—Pasek) str. 356; Tom IV. Prace z zakresu historii, literatury i krytyki (Z geografii historycznej.—Z życia Warszawy.—Z pracy nad literaturą wieku XIX. Historycy literatury i krytycy.—Pogłębienie myśli krytycznej) str. 362. Warszawa 1912. Nakładem spółki wydawniczej warszawskiej. Skład główny w księgarni E. Wendego i Spółki.

Zamieszczone w tomie trzecim zbiorowych pism Chlebowskiego studya nad literaturą polską wieku XVII, należą przeważnie do najwcześniejszych jego prac. Już tu jednak ujawniają się w całej pełni cechy zasadnicze jego metody krytycznej, jego pojęcia o zadaniach historyka literatury, kryteria, któremi się posługuje przy ocenie wartości dzieł rozpatrywanych, jego wytrwały, spokojny sąd i subtelna wrażliwość estetyczna—jednem słowem wszystkie te znamiona, które omówiliśmy już na tem miejscu z powodu ukazania się dwóch pierwszych tomów powyższego wydawnictwa.

Za jedno z najważniejszych swych zadań uważa Chlebowski—jak wiemy—obok rozjaśnienia pomników literatury światłem krytyki naukowej—ogrzanie ich ciepłem życia, uwydatnienie ich związku z daną epoką, z duszami twórców, a zarazem łączność, bliskość z życiem chwili obecnej. Są to zadania względnie łatwe (choć nie każdemu dostępne) jeżeli chodzi o literaturę polską wieku XIX i współczesną—znacznie jednak trudniejsze w stosunku do epok dawniejszych. Nie wystarczy tu erudycja, dokładna znajomość dziejów narodu i pomników jego literatury, nie wystarczy ta wiedza czysto formalna, zewnętrzna. Potrzebny tu jest

natomiast nieodzownie talent ożywiania postaci i epok zamierzonych, umiejętność tchnięcia w nich życia i ducha, zdolności konstrukcyjne, umożliwiające budowanie pewnych całości z drobnych, rozproszonych szczegółów, umiejętność dobierania tych szczegółów i podkreślania takich właśnie, w których jak w rozbitych szybkach zwierciadła odbijają się objawy i prądy życiowe.

Gdy wszystkie te warunki zostaną spełnione, wtedy możemy, że pewna postać lub epoka staje przed nami jak żywa. Chlebowskiemu jednak chodzi nie tylko o ożywienie pomników literatury, ale zarazem o uwydatnienie ich związku z życiem chwili obecnej. W jakiż sposób tego dokonać, w stosunku do wieku XVII, do ludzi i czasów, tak dla nas dziś obcych i dalekich? Naturalnie tylko przez wyszukiwanie w nich i umiejętne uwydatnianie cech i pierwiastków, mających ogólnoludzkie znaczenie, nie tylko zajmujących i interesujących czysto umysłowo, nie tylko zaspakajających ciekawość historyczną — ale mogących również z tych lub innych względów przedstawiać dla nas wartości życiowe, pomoc w organizowaniu naszego życia jednostkowego czy zbiorowego.

Każda wybitniejsza postać historyczna, każdy wielki poeta czy myśliciel, każde dzieło prawdziwego artyzmu, posiada w mniejszym lub większym stopniu takie znaczenie ogólnoludzkie i zawsze aktualne. Trzeba tylko umieć dopatrzeć się w nich tych pierwiastków wiecznych, ująć je odpowiednio i przedstawić przekonująco. Trzeba umieć dojrzeć życie w pomnikach literatury, trzeba umieć traktować je jako objawy życia — a nie widzieć w nich tylko pewne bibliograficzne fakty, które wystarczy zanotować i opisać, aby już wobec nich spełnić swój obowiązek.

Chlebowski posiada w wysokim stopniu zdolność takiego „życiowego“ traktowania literatury. Stawia on przedewszystkiem każde dzieło na tle epoki, szuka ukrytych nici wiążących je z epoką, a następnie stara się zbadać jakich realnych, życiowych sił jest owo dzieło wyrazem, jaką moc biologiczną posiadają uczucia, myśli, poglądy i dążenia danego autora, bez względu na to w jakim czasie on żył i działał. W każdej, epoce są ludzie tacy, którzy życie tworzą i tacy, którzy są przez to życie urabiani, dają mu się bezwolnie porywać i unosić, — tacy którzy walczą z „żywiołem“ w sobie i poza sobą i tacy, którzy mu ustępują lub wchodzą z nim w kompromisy; ci, którzy stoją w samym środku nurtu życiowego, wiedzą lub czują, w jakim kierunku życie się toczy i tworzą je wokół siebie, ci są właściwymi twórcami i wodzami nie tylko swoich, ale i późniejszych pokoleń. W ich dziełach rze-

czywista siła, moc i wartość epoki znajduje swój najpełniejszy i najcenniejszy wyraz, oni przez sposób, metodę swego życia i działania pokazują jak w danych warunkach historycznych żyć i działać jedynie należy, a przez to mają znaczenie nie tylko dla swojego czasu, ale dla wszelkich żywych ludzi wszystkich czasów. Wyczuć, znaleźć i ustalić te wartości ogólne, znaczy nie tylko tchnąć życie w daną postać, ale i związać ją najściślej z chwilą obecną, bo pewne problemy i zagadnienia powtarzają się w każdej epoce, a dobrze jest wiedzieć jak je traktowali i rozwiązywali na swoim gruncie ludzie silni ubiegłych wieków.

Oto jakim sposobem można badaniom dawnych czasów nadać znamie aktualne w najszlachetniejszym tego słowa znaczeniu. W taki też sposób postępuje Chlebowski, nie wyrzekając się oczywiście bynajmniej całego dostępnego mu tylko aparatu naukowego, ale zawsze mając na uwadze te naszkicowane powyżej obszerniejsze i dalsze cele pracy naukowej.

Wiek XVII w literaturze polskiej, z przyczyn znanych i tkwiących w samej strukturze życia społecznego i polityczno-narodowego — mniej aniżeli inne epoki posiada takich postaci przodujących siłą myśli i artyzmu. Ale i tutaj znaleźć można niepospolite jednostki i niepospolite dzieła, bądź wyrastające znacznie ponad przeciętny tłum szlachecki, bądź też będące idealnym tego tłumu obrazem i wyrazem, a przez to pozwalające nam głębiej wejrzeć w niezłożone, ale ciekawe i nauczające elementy życia duchowego i obyczajowego szlachecka wieku XVII.

W tomie trzecim swoich pism zajmuje się Chlebowski właśnie kilkoma najwybitniejszymi typami obu tych rodzajów. Mamy więc naprzód studium o Piotrze Kochanowskim i jego przekładzie „Jerozolimy wyzwolonej“ Tassa, tak ważnym i wartościowym przez zasilenie jałowiejącej już literatury początku XVII wieku nowym tematem, nowymi obrazami nieznanego zupełnie u nas, a tak wyższego pod względem kulturalnym życia zachodnio-europejskiego rycerstwa. Autor w sposób szczegółowy, ale subtelny i daleki od pedantyzmu i zbytniej drobiazgowości, zestawia oryginał z przekładem i wykazuje cały nawskroś narodowy charakter tego ostatniego, pozwala nam poprzez parafrazowane i spolszczane ustępy oryginału wejrzeć w pewne charakterystyczne cechy ówczesnego życia polskiego i stosunek jego do pewnych form kultury zachodnio-europejskiej. Następnie daje przegląd wszystkich wybitniejszych dzieł dwóch następnych stuleci, na które, w ten lub inny, silniejszy lub słabszy sposób, odbił się wpływ dzieła Piotra Kochanowskiego.

Trzy następne studia poświęcone są Samuelowi ze Skrzypny Twardowskiemu, jego sielance miłosnej „Daphnis“ i „Nadobnej Paskwalinie“. W życiorysie Twardowskiego zwraca uwagę trafnie i przenikliwie wywiedziona geneza panegiryzmu, łącząca się z całym ówczesnym systemem szkolnym. „Ten szereg nieustanny—powiada autor—różnorodnych obchodów, odpustów, pogrzebów, wjazdów dostojnych osób i t. p., których wyprawianiem zajmowali się z wielkiem zamięłowaniem jezuici, używając do tego pomocy swych uczniów, nie mógł pozostać bez silnego wpływu na smak i imaginację młodzieży... Przedstawienie teatralne, na którym uczniowie, odgrywali z odpowiednią do obchodu treścią sztukę, stanowiło zwykle konieczne całej uroczystości dopełnienie...“⁴. Dla młodego chłopca „Apollo, Muzy, czarty, sława, zazdrość, czystość, poezya, wymowa, od najmłodszych lat przedstawiają się jako żyjące osoby; w jego oczach najwyższym szczytem sławy pośmiertnej jest piramida tekturowa, wieńcami i napisami pokryta. Przyucza on się tu zawczasu najprostsze myśli w najwyszukańszy wyrażać sposób, unosić się kłamanym zapątem, nad całkiem obojętnemi mu osobami i wydarzeniami, przywyka słowem do znajdowania piękna w nagromadzeniu najnienaturalniejszych obrazów i porównań, do pokrywania braku myśli i uczucia deklamacyjną nadętością upstrzonego obcemi wyrazami języka. Zważmy dalej, że tenże sam młodzieniec ćwiczy się podczas pobytu w szkołach, przedewszystkiem w pisaniu mów, powinszowań, wierszów na herby, wesela, pogrzeby, że wreszcie po ukończeniu nauk, skutkiem nienormalnego stanu rzeczy w kraju, nie zajmie żadnego wyższego stanowiska w społeczeństwie, nie mając protekcji jakiegoś magnata lub dygnitarza, do której uzyskania pochlebstwo i uniżoność były, jak zwykle, najskuteczniejszymi środkami“ (T. III, str. 76—77).

Wśród panegiryków i poematów kronikarskich Twardowskiego umie jednak Chlebowski wyłowić błyski niepospolitego talentu, a nawet odkrywa większych rozmiarów utwór, ujmujący pięknoscią formy, zadziwiający w tym wieku barbarzyństwa subtelnym artyzmem opracowania. Utworem tym jest sielanka miłosna p. t. „Daphnis w drzewo bobkowe przemieniła się“. Jest to rzeczywiście odkrycie wyjątkowo uroczego kwiatu na niwie literatury naszej w. XVII, kwiatu, który współcześni cenili, jak o tem świadczą trzy wydania w ciągu lat 60, a który później rychło poszedł w zapomnienie. Nawet w dzisiejszych historyach literatury znaleźć można o tym utworze tylko mniej lub więcej ogólnikowe wzmianki, podczas, gdy o rozwlekłych i ciężkich poe-

matkach historycznych Twardowskiego znajdujemy tam obszerne analizy. Dość porównać to, co o „Daphnis“ i „Nadobnej Paskwalinie“ pisze Pilat w swojej „Historii literatury“, z tem, jak te rzeczy traktuje Chlebowski, aby odrazu spostrzedz olbrzymią różnicę i wyższość metody tego ostatniego, dzięki której ocalone zostały te poematy i ocenione w sposób na jaki zasługują.

Studyum o Wacławie Potockim, jako autorze „Wojny chocimskiej“ jest również próbą rekonstrukcyi pewnych stron życia polskiego ówczesnego, dokonaną na podstawie szczegółowej analizy tego poematu. Postać Wacława Potockiego, jego stosunek do otaczającej go rzeczywistości, jego gorące uczucie i myśl podniosła, idea moralnego odrodzenia szlachty przez powrót do pierwotnej prostoty obyczajów, — występuje w tem studyum silnie i plastycznie. Mnóstwo w niem głębokich i przenikliwych uwag o życiu obozowem i rycerskiem ówczesnem, o wartości moralnej naszego rycerstwa, o zaletach i wadach artystycznych „Wojny chocimskiej“ jakoteż o pewnym mimowolnym dysonansie, zachodzącym pomiędzy zamiarami autora (apologia stanu rycerskiego) a pewnymi ustępami poematu, w których rycerstwo to bynajmniej w świetle idealnem nie występuje.

Typ prawdziwego, przeciętnego szlachcica — wojaka owych czasów przedstawia Samuel Maszkiewicz. Jego życie, poglądy, przekonania, etyka, której hołduje, stosunek do spraw publicznych, znajdują jaskrawy wyraz w spisanych przezeń „Pamiętnikach“, pierwszorzędnem źródle do poznania obyczajowości ówczesnej. Chlebowski analizując te pamiętniki pozbawia nas wielu iluzyi, jakieśmy żywili w stosunku do dawniejszego rycerstwa polskiego. Pogląd na świat i postępowanie Maszkiewicza, z całą naiwnością i szczerością kreślone przez niego obrazy gwałtów rycerstwa polskiego w Moskwie, a i łupienie kraju własnego przy każdej sposobności — odsłaniają niejako odwrotną stronę medalu całej tej sprawy i nakazują ostrożność i umiarkowanie w zachwytach nad duchem rycerstwa XVII w.

Tak samo przedstawia się sprawa i z Paskiem i jego „Pamiętnikami“. Dziś już dobrze wiemy jak się na niego zapatrywać i jak go oceniać. Ale że to wiemy, to jest przedewszystkiem zasługa Chlebowskiego, który już w r. 1879 wypowiedział o Pasku sąd surowy, ale sprawiedliwy i do dziś dnia nieobalony, a nawet nie dający się wogóle obalić, bo oparty o wypowiedzenia i żywot samego Paska.

Tom IV zawiera rozprawy drobniejsze rozziarami i do rozmaitych dziedzin się odnoszące. Znajdujemy tam na wstępie pra-

ce z zakresu geografii historycznej, związane z wieloletniem redagowaniem przez autora pismikowego wydawnictwa „Słownika geograficznego”. Oto tytuły tych rozpraw: „Sarmacya”, „Wisła”, „Wielkopolska”, „Pochodzenie nazwy „Gniezno“.

Drugi dział tego tomu obejmuje studia poświęcone Warszawie i jej życiu kulturalnemu. Pierwsza rozprawa p. t. „Rozwój Warszawy w związku z jego odbiciem w literaturze i pracy nad dziejami miasta” jest ogólnym rysem historycznym, charakteryzującym stopniowy rozwój i znaczenie tego miasta w ciągu dziejów. Uzupełnieniem i rozwinięciem poszczególnych ustępów tej rozprawy jest następna p. t. „Warszawa za Władysława IV”, oparta głównie na ogromnie ciekawym jako źródło historyczne utworze Adama Jarzębskiego: „Gościniec albo krótkie opisanie Warszawy z okolicznościami jej” z r. 1643. W połowę XIX w. przenoszą nas „Salony i koła literackie w Warszawie” (1840—1855), czwarta natomiast praca zajmuje się już Warszawą współczesną, stanem pracy naukowej i oświatowej. Pisana przez człowieka, który własnymi oczyma patrzył na różne koleje Warszawy w ostatnim pięćdziesięcioleciu—ma ta praca również znaczenie pierwszorzędnej informacji.

Do literatury w. XIX odnoszą się artykuły: o „Dziadach kowieńskich”, w których autor daje ciekawą i oryginalnie pojętą próbę określenia genezy „Dziadów”, na podstawie materiałów, zaczerpniętych z „Nieznanych pism” Mickiewicza—dalej o „Stanowisku Kraszewskiego w literaturze i życiu społeczeństwa” (drukowany poprzednio w „Bibliotece warszawskiej”) i o Bolesławie Prusie, zawierający zwięzłą, syntetyczną charakterystykę zmarłego powieściopisarza i publicysty.

Tom zamykają charakterystyki wybitniejszych historyków literatury i krytyków przedostatniej i ostatniej doby jak: Bentkowskiego, Kaszewskiego, Chmielowskiego, znakomite oceny dzieł Tarnowskiego i Pilata i wreszcie obszerniejsza praca o „Stanie dotychczasowej pracy nad historią literatury polskiej wobec zadań jej naukowych i społecznych”. Jak przed 26 laty swój referat o zadaniach historii literatury, tak i tę rozprawę kończy Chlebowski wskazaniem „że skoro wybitnem znamieniem i najdonioślejszą zasługą współczesnej literatury polskiej jest dążenie do wyniesienia ideału narodowego na ogólnie ludzkie wyżyny, to również i historia literatury winna podążać w tym kierunku i zajmować stanowisko zgodne ze stanem nauki współczesnej, a więc będące jako naukowe, zarazem ogólnie-ludzkiem. Tym sposobem jedynie może ona obudzać zajęcie w każdym myślącym człowieku

i dawać poważną gwarancję zarówno istotnej i trwałej wartości skarbów, przechowywanych w narodowej „arce przymierza“, jak i trwałej żywotności samego społeczeństwa“.

M. K.

Wilno z przed stu lat w akwarelach Franciszka Smuglewicza; 21 widoków na osobnych kartach. Stanisław Peszko, Franciszek Smuglewicz i jego działalność artystyczna (z portretem F. Smuglewicza według Rastawieckiego). Michał Homolicki, komentarz do widoków Wilna Smuglewicza (r. 1843). Wacław Gizbert-Studnicki, Uzupełnienie do komentarza z r. 1843 (z planem miasta Wilna). Zdobił książkę Ferdynand Ruszczyc. Wilno, 1912. Nakładem księgarni Józefa Zawadzkiego.

Wydawnictwo niniejsze jest starannie objaśnionym zbiorem nieznanych dotychczas widoków Wilna z końca XVIII stulecia, wykonanych przez znakomitego malarza Franciszka Smuglewicza. Posiada wysoką wartość artystyczną, albowiem ryciny, podane tutaj w reprodukcjach fotograficznych, odznaczają się doskonałą plastyką i właściwem autorowi poczuciem perspektywy powietrznej. Mają nadto poważną wartość historyczną, gdyż odtwarzają z niezmierną ścisłością budowlę dziś już nieistniejące; są przeto dokumentami nader szacownymi dla dziejów kultury architektonicznej dawnego Wilna. Należy wszakże ściśle oznaczyć ich pochodzenie i czas powstania. Smuglewicz był w Wilnie z paroma nawrotami. Po raz pierwszy w 1785 r., gdy wezwany został przez biskupa wileńskiego, Ignacego Massalskiego, dla wykonania niektórych prac w restaurowanej podówczas przez Wawrzyńca Gucewicza katedrze. Spędził wtedy w stolicy Litwy rok jeden. Potwórnice przybywa do Wilna w 1798 r., powołany na katedrę malarstwa i rysunków w Akademii. Nominacya powyższa nie obeszła się bez dłuższych pertraktacyi. Pierwszy przypomina się Wilnu sam Smuglewicz. „Uwiadomiony z publicznych pism, iż cesarz imć (Paweł I) przedsięwziął kończyć katedrę wileńską,—pisał z Warszawy 22 kwietnia 1797 r. do ówczesnego biskupa Jana Nepomucena Kossakowskiego—udaję się do łaskawych względów JWMPana Dobrodzieja, jako pasterza litewskiego, pod którego dyrekcyą monument ten pobożności kończony będzie, abym do kontynuacyi przyozdobienia onego pracą i talentem, jaki się we mnie znajduje, mógł być użyty“.

Pismo powyższe było niewątpliwie następstwem dochodzących do Warszawy wieści o wyrażonej przez Pawła I woli w kwestyi dokończenia restauracyi katedry wileńskiej, wstrzymanej po śmierci biskupa Massalskiego skutkiem niespełnienia zobowiązań sukcesyjnych przez spadkobierców biskupa. W odpowiedzi na list Smuglewicza biskup Kossakowski w uprzejmych słowach nie tylko przyjmował ofertę artysty, lecz równocześnie zaproponował mu stanowisko profesora malarstwa w Akademii wileńskiej. Utworzenie nowej katedry z inicjatywy Kossakowskiego, napotykało na różne przeszkody, i co najdziwniejsze, ze strony człowieka tak światłego i dbającego o rozwój Szkoły Głównej litewskiej, jakim był ksiądz rektor Poczubut. Ostatecznie jednak Kossakowski postawił na swoim—sam Poczubut zwrócił się do Smuglewicza z urzędową propozycją objęcia wzmiankowanej katedry. Artysta nasz z radością zgadzał się na przyjazd do Wilna, tego miasta tak pełnego pamiątek kultury artystycznej, już samem swem położeniem malowniczem pieścącego wzrok malarza, a przytem tak blizkiego sercu Litwina-Smuglewicza. Nie zrażała go zbyt „szczępła pensya“ (900 rb. rocznie), albowiem—„jeśli protekcyja Pańska—pisał do swego biskupa-protektora—wspierać mnie nie przestanie, ufność mam zyskać w czasach dogodniejszych zamiarom moim względów“. „Nie jest myślą moją być więcej faworyzowanym od innych profesorów z zagranicy sprowadzonych; — dodawał z lekkim wyrzutem—spodziewać się jednak powinienem, iż Akademia będzie miała wzgląd, tembardziej, iż lubo w tak krytycznych czasach, tyle jednak miałem dla siebie dochodów z pracy mojej, iż przystojne i wygodne mogłem prowadzić życie“.

Przyjazd Smuglewicza uległ pewnej zwłoce z winy Poczubuta, który marudził z wysłaniem pieniędzy na „ekspens podróży“; dopiero w początkach stycznia 1798 r. wyjechał Smuglewicz z Warszawy obciążony sprawunkami dla Kossakowskiego, który zwłaszcza usilnie upraszał o zabranie „gruszek i truflów“. Jechał Smuglewicz bez żadnego kontraktowego dla siebie zapewnienia, polegając w zupełności „na wysokich sentymentach i delikatności geniuszu“ biskupa; prosił tylko „najpokorniej“ Kossakowskiego o „danie zalety talentowi memu przed obywatelami W. Ks. Litewskiego i amatorami sztuki malarskiej“.¹⁾

¹⁾ Listy Smuglewicza do bisk. J. N. Kossakowskiego z Warszawy, 22 kwietnia, 19 maja, 5 lipca, 14 października, 29 grudnia 1797 r.—Dziennik bisk. J. N. Kossakowskiego z sierpnia 1797 r. (Rkps.).

W czasie drugiego swego pobytu w grodzie Gedymina wykonał Smuglewicz omawiane przez nas widoki. Rok 1781 podany przez Homolickiego (profesora uniwersytetu wileńskiego), jako data powstania tych akwarel („Wizerunki i rozstrząsania naukowe“, Wilno, 1843. XXIV, 269 sq.) jest mylny, gdyż wtedy artysta przebywał jeszcze zagranicą; nie mogły również powstać podczas jednorocznego pobytu Smuglewicza w Wilnie, w r. 1785, ponieważ na widokach, przedstawiających mury i bramy miejskie znać dokładnie ślady spustoszeń skutkiem bombardowania w r. 1794 (por. np. widok Bramy Rudnickiej, która, jak świadczą raporty z 1794 r., największym uległa uszkodzeniom). Słusznie zatem p. Peszko, autor przedmowy do albumu, oznacza czas wykonania widoków na drugi okres działalności wileńskiej artysty. Dodamy tylko, że ryciny powyższe, zdaniem naszym, powstały nie później, jak w r. 1800, gdyż w tym roku zwalona została Brama Rudnicka, wyobrażona jeszcze na jednej z akwarel Smuglewicza. W każdym razie tytuł albumu — „Wilno przed *stu* laty“ — nie jest ścisły, wobec nieulegającego żadnej wątpliwości wcześniejszego o lat kilkanaście powstania widoków (Smuglewicz zmarł w r. 1807).

Prof. Homolicki twierdzi, że widoki niniejsze zostały wykonane z polecenia Adama ks. Czartoryskiego, generała ziem podolskich; p. Peszko zaś pisze, że „z polecenia księcia Adama Czartoryskiego, *ówczesnego kuratora okręgu naukowego wileńskiego*“. Żadne z tych twierdzeń, zwłaszcza ostatnie, nie trafia do przekonania. Ks. Adam Jerzy zostałkuratorem wileńskim dopiero w r. 1803, zaś w latach 1798 — 1800 przebywał zagranicą, nie interesując się tak dalece sprawami wileńskimi. Ingerencya generała ziem podolskich jest bardziej prawdopodobną, aczkolwiek niczem, prócz twierdzenia prof. Homolickiego, nie uzasadnioną. Sporo widoków Wilna pędził Smuglewicz, jak świadczy współczesny mu Golański, posiadał kanclerz Joachim Chreptowicz, rzetelny miłośnik sztuki, mieszkający w końcu w. XVIII w Wilnie; on też mógł być domniemanym inicjatorem cyklu rycin Smuglewicza. Kwestya ta nadal pozostaje otwartą.

Do albumu Smuglewicza p. Wacław Gizbert-Studnicki dodał ciekawe wiadomości na podstawie akt archiwum miejskiego o burzeniu gmachów i murów wileńskich. Do informacji p. W. Studnickiego, warto dodać, że faktycznym inicjatorem zniesienia pałacowych kamienic i obwarowań m. Wilna, twórcą niejako tej akcji niszczycielskiej, która rychło tak gorliwych pozyskała wykonawców, był następca Repnina na generał-gubernatorstwie litewskim, Borys O'Brien de Lassy. W najpoddańszym raporcie

z Grodna w d. 16/27 sierpnia 1799 r. pisał: „Ruiny starego otocza murów m. Wilny(!) stanowią obrzydliwość (*dictajut biezobrazja*), nadto z powodu tych bezużytecznych murów, zasłaniających miasto od przedmieścia, powietrze nader jest zgęszczone i dlatego zawsze nieczyste. Dla tych powodów byłoby przyzwoiciej, a dla miasta dogodniej, mury te rozebrać i oczyścić zajmowane przez nich miejsce, na którym można będzie budować domy i tym sposobem dać lepszy wygląd“. Rezolucya cesarska w tej szczególniejszej trosce generał-gubernatorskiej o estetykę i zdrowotność miasta, była zezwalająca. (Według oryg. dokumentu z archiwum Sztabu Głównego w Moskwie, udzielonego nam łaskawie w odpisie przez p. Wł. Dzwonkowskiego). Niebawem też przystąpiono, mimo szczerego a rzewnego protestu kochających swe dawne Wilno mieszkańców, do niweczenia zabytków przeszłości.

Widoki Wilna Smuglewicza, w liczbie 21 (trzy zaginęły) znajdują się obecnie w Muzeum im. Czapskich w Krakowie, gdzie je odnalazł p. Peszko. Wydanie reprodukcji dokonane zostało z niezwykłą starannością i smakiem artystycznym, dzięki umiejętnemu kierownictwu prof. Ferdynanda Ruszczyca. Album zawiera plan Wilna z oznaczeniem położenia b. murów miejskich i bram przed ich zburzeniem.

H. MOŚCICKI.

Kronika miesięczna.

Luźne uwagi o czytelnictwie. — Rola społeczna powieści. — Rozprawy polskie w Izbie. — Sprawa samorządu. — Poprawki Rady Państwa. — Opieka nad wychodźcami. — Rozłam w Tow. Kultury Polskiej.

Mieniły się niedawno wystawy i ludy księgarskie setkami różnobarwnych, złożonych okładek: pokusy podarków — dla dzieci. Agitowała się znowu wieczna kwestya stosunku książki do dziecka i jej właściwości, jako podarunku. Nie ulega wątpliwości, że dając dziecku książkę, obdarzający idą w kierunku najmniejszego oporu, największej łatwości; pod tym względem krok tylko dzieli książkę od daru w gotówce, daru najłatwiejszego bezwzględnie, acz przez pedagogikę potępianego; wymyślenie gry, zabawki, zajęcia dziecka nie książką wymaga już ze strony starszych większego wysiłku. Ztąd panowanie gwiazdkowe książki.

A skoro tak, rzecz ciekawa, czy z niewątpliwymi postępami sztuki wydawniczej i pedagogiki, uczyniła znaczne postępy i książka dla dzieci i młodzieży? Chyba niebardzo. Często bywa ładniejsza, ale równie często i brzydsza, o tyle brzydsza, o ile cynkotyp jest brzydszy od drzeworytu. Jeżeli chodzi o gust młodzieży, zawsze dotąd pokolenia różne równie bawią przygody Robinsona, czy krwawe zemsty „ducha puszczy“, chociaż właśnie z powodu tych krwawych cech wielką klątwą pedagogiki współczesnej obłożone. Dziecko, jak człowiek pierwotny, jak czytelnik z ludu, szuka w książce jaknajwiększego odchylenia od rzeczywistości; ztąd powodzenie przygód, najbardziej od współczesnego, coraz bardziej szarego, mieszczańskiego życia oddalonych. Ale obok odchylenia muszą być przecież pozory rzeczywistości; dziecko niezawsze chętnie czyta bajki. Nietylko świetny talent au-

tora nadał odrazu cechy klasyczności: „W pustyni i w puszczy“, dzieła, którem zachwycać się będą dzieci, wnuki i prawnuki tych dzieci współczesnych, dla których zostało napisane; powodzenie zapewnia też pomysł wprowadzenia do egzotycznego świata chłopca-bohatera Polaka, w zetknięciu i pod wpływem najwyższej kultury człowieka—kultury anglo-saskiej.

Najlepsze utwory pedagogiczne, oparte na najznakomitszych podstawach moralnych, ale na szarem, codziennem, współczesnem otoczeniu dziecka, nie budzą jego zainteresowania. Jest to literatura szanowana przez rodziców i budząca teoretyczne ich upodobania. Do tej samej kategorii należą popularyzacje nauk ścisłych, które podobają się tylko wtedy, jeżeli są współrzędnie dziełem wielkiej wiedzy i wielkiego talentu, dwóch cech, które przecież niesłychanie trudno znaleźć połączone w jednej osobie. Dlatego ten rodzaj literatury — obok łatwiejszych popularyzacji z dziedziny nauk humanistycznych najbardziej celowy i pedagogiczny—najmniejsze ma powodzenie.

Gdyby popularyzacyi naukowych, z wielkim talentem pisanych, było więcej, dzieci i młodzież zaprawiałyby się odrazu do zainteresowania naukowego i zachowywałyby ten smak, jako dorośli. Nie byłoby tego smutnego faktu, że niema chyba społeczeństwa, w którem tak tragiczne losy niepowodzenia czekają każdą książkę naukową, jak w naszym. Zdajemy sobie doskonale sprawę z jednej z przyczyn, z braku w Królestwie urzędowego, promieniującego na kraj cały ogniska nauki, wraz ze wszystkimi osobami z tem ogniskiem bliższymi czy dalszemi węzły połączeniemi. Już w Galicyi jest pod tym względem znacznie lepiej; galicyjscy nakładcy książek treści naukowej połowę rozpowszechnienia preliminarują na rynek miejscowy; gdzież tu porównanie ze stosunkiem ilościowym ludności polskiej! Ale niezależnie od tego czynnika działa tu i inny, pewna przyrodzona płochość umysłu, niechęć do najmniejszego wysiłku, którą obserwujemy, niestety, także i w innych dziedzinach życia społecznego. Próżno tu tłumaczyć się natężeniem życia zarobkowego, specjalnego, fachowego i płynącym ztąd zmęczeniem. Nikt przecież twierdzić nie będzie, że Polak pracuje intensywniej, niż Niemiec, Francuz, Anglik; niechby zresztą czytał dzieła z zakresu swojej specjalności, śledził jej postępy. I to nie — z małymi wyjątkami.

Nie trzeba też przypuszczać, że ten brak interesu do literatury poważniejszej płynie z nadmiaru estetyzmu. Wyrazem estetyki w literaturze, wyższych natchnień, podniesienia poziomu i intensywności życia duchowego jest poezya, a utworów poetyckich—

prócz dzieł autorów, którzy już za życia stali się klasykami — nie czyta nikt, lub prawie nikt. Prawda, że i poziom autorów niewysoki, lot niezbyt niebosiężny i niezbyt oryginalny; znać zabardzo w tym świecie naśladowanie i reminiscencye różnych szkół i wzorów. Słuszną jest uwaga, że przy pewnem wyrobieniu stylu, znajomości języka i odcytaniu każdy może pisać wierszem. Stwierdza to życie o miedzę, we Francyi, gdzie jednym z przedmiotów nauk humanistycznych jest pisanie wierszy łacińskich. Od tego twierdzenia do paradoksu w pewnej tylko mierze, że tyluż jest współcześnie piszących poezye, co czytających je, krok tylko jeden. Jeżeli go przekroczymy, powiemy: ostatnich — za mało.

Jakaż książka panuje wszechwładnie?—powieść. Spytajmy wydawców i redaktorów pism, czego szukają najskrzętniej? — powieści; publiczność i organa jej gustów, wypożyczalnie, łakną tylko powieści. Opatrują je zwykle przymiotnikiem „dobrych“, ale ponieważ takich niema, zadawałają się lichemi. Jest to odwrotne następstwo demokratyzacyi intelektualnej społeczeństwa, częściowej zresztą. Jeżeli powieść polska w ostatnich dziesięcioleciach zyskała niewątpliwie znacznie na poczytności, nie znaczy to wcale, aby przeniknęła „pod strzechy“; książki ludowe i wśród ludu ciągle jeszcze niestęchanie nikłe mają rozpowszechnienie, a jeden tylko autor—Sienkiewicz—„pod strzechy“ naprawdę przeniknął. Więc to zwiększenie poczytności pada na wzrost warstw średnich, czyli warstw bez kultury wyższej, dawniejszej i bez kultury swoistej, jaką ma np. bezwątpienia lud wiejski. Ztąd i gusty niższe, i zadowolenie ich łatwiejsze.

Jeżeli rozpowszechnienie książki polskiej nie może być w najmniejszej mierze porównane z poczytnością np. francuskiej, a to ze względu na olbrzymią różnicę obszaru językowego, odnajdujemy przecież cechę wspólną: brak powieści wartościowych. I tu nawet kilku wybitnie utalentowanych twórców przeważa szalę na korzyść naszej, natomiast poziom ogólnej, wyższej, ale przecież dość szarej, poprawności—na korzyść francuskiej. Prócz tego we Francyi znajdujemy większą ilość wyraźnych fabrykatów powieściowych; jest to wynik zapotrzebowania ordynarnych gustów większych mas czytelniczych: znowu odwrotny skutek jeszcze większej demokratyzacyi.

Słyszeliśmy niedawno z ust wybitnego poety śmiałe twierdzenie, że powieść nie była nigdy, nie jest i nie będzie dziełem sztuki. W tej formie stanowczej jest to niewątpliwie paradoks, będzie to jednak prawda, jeżeli po zbiciu go częściowem jakimś

dwoma dziesiątkami nazwisk i tytułów, których nie wyliczam, bo je sobie, stosownie do upodobań, każdy czytelnik wymieni, sprowadzimy go do właściwych rozmiarów i powiemy, że w miarę demokratyzacji społeczeństw powieść staje się artykułem codziennej potrzeby, powszechnego spożycia, słowem, coraz bardziej artykułem handlowym. Stosuje się do zapotrzebowania mas; i jak buty, bielizna, salceson nie mają pretensyi do tego, by były dziełami sztuki, tak i ona w większości traci jego znamiona.

Jak dziecko, które w przygodach podróżników i żeglarzy, czy w bajkach szuka oderwania od rzeczywistości, tak wychowany na nich człowiek dorosły szuka tego samego w powieści. I do tego gustu przystosowują się fabrykanci - autorowie, jedni nieświadomie, pod wpływem otoczenia, inni świadomie — w chęci zysku. Jedno z największych powodzeń w paru latach ubiegłych osiągnęła powieść, oparta na temacie najbardziej oklepanym romansu księcia z nauczycielką; w czytelnich w ciągu paru miesięcy niszczone dziesiątki egzemplarzy, a zawsze były w czytaniu. Dlaczego? Oto każda zabiedzona szwaczka czy lichy płatna i mało wykształcona nauczycielka o życiu szarem i bez radosnego nigdy jutra widziała przed sobą miraż, w którym sama grała rolę główną z jakimś młodzieńcem spotykanym na ulicy, którego czyniła księciem, od rzeczywistości istotnej uciekała w świat rzeczywistości ostatecznie możliwej, ale tak właśnie mało prawdopodobnej, jak np. wygranie wielkiego losu na loteryi.

A czemuż innemu przypisać panoszenie się coraz większe, chociaż coraz ostrzej krytykowane, pornografii w powieści, jeżeli nie gustom publiczności? I tu mamy do czynienia z ucieczką ze świata codziennego w świat wydarzeń ostatecznie możliwych. Nieinaczej też wyjaśnić można upodobanie w powieściach wojowniczych i kryminalnych: potulny i cichy drobnomieszczanin chętnie przebywa w świecie, który nigdy nie był i nie będzie jego światem, a lampa, samowar i pantofle szczególnego nabierają uroku, gdy na kartach książki wyje wicher, migocą płomyki gazowe, nie oświetlając bandyty z pałą, który właśnie zaczął się na wicehrabiego za węglem...

Skoro zgodzimy się z jednej strony na niewątpliwie wzrastające ciągle rozpowszechnienie i wpływ powieści, jeżeli z drugiej strony smutnie czy obojętnie stwierdzimy, że zdaje się coraz bardziej artykułem handlowym, w wyniku, my, społecznicy, nie krytycy i nie esteci, musimy zrehabilitować pocziwłą tendencyjną powieść naszych lat młodych, tak niesłusznie potem lekceważoną i potępianą. Bo innych rzeczy, lepszych, poważniejszych

tłum nawet inteligentny, nie chce czytać i długo jeszcze czytać nie będzie; niechże tedy powieść stanie się najpopularniejszą publicystyką, niechże się stanie przewodnikiem dążeń zacnych i dobrych. Nie zanosi się na to, a jednak trzeba wyrazić to pragnienie, choćby się miało stać pobożnem. Z dwóch artystycznie lichych powieści lepsza będzie ta, która będzie miała jakiś podkład społeczny i cel użyteczny.

*

*

*

Odpowiedź prezesa ministrów na mowę posła Kiniorskiego wysunęła sprawy nasze na porządek dzienny obrad Izby Państwowej. P. Kokowcew zdziwił się wyrażonemu zdaniu, jakoby Polacy podlegali uciskowi i niesprawiedliwości; doradzał dążenie do zmiany szkodliwych dla Polaków praw w drodze prawodawczej i interpelacye w każdym wypadku nadużycia. Posłowie Harusewicz i Dymsha wdzięczną mieli rolę, kiedy chodziło o wykazanie, jak traktowane jest społeczeństwo polskie w stworzonych przezeń niemałym nakładem pracy i środków instytucjach. Poseł łomżyński przytoczył także bijące w oczy fakty zamknięcia „Macierzy Szkolnej“, „Kursów dla dorosłych“, „Towarzystwa Wpisów Szkolnych“, ingerencye władz do biurowości najniewinniejszych skądinąd stowarzyszeń w celu ograniczania w nich praw języka polskiego, i zakończył taką uwagą ogólną: „Z powodu deklaracyi rządowej i powtórnych wyjaśnień p. prezesa rady ministrów, zmuszony jestem stwierdzić, że oczywiście o zmianie rosyjskiego kursu politycznego w Polsce nie może być mowy, że w stosunkach polsko-rosyjskich trwać będzie, jak trwa dotychczas, długi, ciężki dla obu stron zastój. Mimowoli powstaje tragicznie surowa myśl, że jeżeli i obecna, historyczna, niezwykła chwila polityczna nie jest w stanie wywołać przeszacowania stosunku rządu rosyjskiego i rosyjskich kół kierowniczych do Polski, jeżeli i teraz niema miejsca na program, który dla społeczeństwa polskiego byłby możliwy do przyjęcia, czyż nie jest to oznaką, że wogóle cała ta sprawa jest mocno wątpliwa. Takie położenie rzeczy, oczywiście, pociąga za sobą nieuchronne skutki historyczne, z którymi musi się jaknajpoważniej liczyć naród polski“. Poseł siedlecki podniósł upośledzenie Polaków w administracyi i w sądownictwie oraz sprawę obu sa-

morządów, z których ziemski nie wyszedł jeszcze z kuźnicy projektów administracyjnych, miejski zaś utknął w izbie wyższej, utknął chyba za wiedzą i wolą rządu, który posiada dość wpływu na obie izby prawodawcze, aby zapewnić szybszy bieg wniesionych przez siebie samego projektów. W konkluzji znajdujemy bardzo słuszne uwagi następujące: „Oczy rządu są tak mocno związane niechęcią widzenia rzeczywistości, że wątpić należy, aby wypowiedziane tutaj słowa mogły wydać upragnione owoce. Rząd nie chce widzieć faktycznego stanu rzeczy. Dziwi się, że Polacy nie mogli się dopatrzeć w programie rządowym jakichś pozytywnych planów, jakiegoś systemu, wytykającego drogi i środki, przy których pomocy możnaby było w Królestwie Polskiem wprowadzić zamiast „okupacyi wojennej“ — tak właśnie jeden z mówców obozu nacyonalistycznego w r. z. nazwał to położenie zarządu w Królestwie Polskiem, które do chwili obecnej tam istnieje — pewien porządek, oparty na prawie a odpowiadający narodowym i kulturalnym właściwościom polaków“.

Przyznać trzeba, że w ogólnym toku rozpraw nad deklaracją rządu nie było w tej sesyi zwykłych wycieczek przeciw Polakom. Zamilkli nawet zwykli wolni strzelcy nacyonalizmu, hr. Bobrinskij i p. Aleksiejew, jakby otrzymali z góry skinienie nie drażnienia. Co zaś do odpowiedzi premiera, to przypomina się z innej zgoła dziedziny życia przysłowie francuskie o starcach, którzy, nie mogąc już dawać złego przykładu, mszczą się w ten sposób, że dają dobre rady. P. Kokowcew udzielał posłom polskim rad dobrych—chętnie przyznajemy; przestawmy nieco część pierwszą i miejmy nadzieję, że nie zechce dawać złego przykładu. Zastosowanie się do rad dobrych prezesa ministrów nie zmieni w niczem polityki Koła, czemże bowiem innem, jak nie oddziaływaniem na zmianę praw w duchu mniej dla nas wrogim, jest cała jego działalność? Pozostają interpelacye, doradzane z góry; nie wnoszono ich, by nie drażnić czynników kierowniczych rządu i w przekonaniu o zupełnej ich bezcelowości. Rzecz to w opinii polskiej bardzo sporna i podlegająca dyskusyi. W każdym razie uprawniony jest sceptycyzm, że i tu można zalecać posłom tylko spełnianie ciężkiego obowiązku, bez wiary w efekt realny. Życie zapewne przekona nas o tem przy pierwszej ewentualnej interpelacyi przez usta tegoż samego p. Kokowcowa.

Jeden z posłów polskich do Rady Państwa, nie pozbawiony zaprawdę optymizmu, w rozmowie z dziennikarzem charakteryzował panujące w niej stosunki w sposób niewątpliwie zbyt idyl-

liczny. Pomijamy już charakterystykę wyższości moralnej i umysłowej członków dostojnego ciała, jako zależną najzupełniej od zapatrywania osobistego, przejdziemy natomiast do palącej sprawy samorządu miejskiego. I tu znajdujemy łagodną i życzliwą ocenę stanowiska Rady. „Zdaniem posła, uchwalenie projektu w redakcyi Izby byłoby *pewną krzywdą* dla Rosyi“, następnie zaś „przy proponowanym censusie samorząd taki wprowadziłby pewien demagogizm“. „Demagogizmu tego Rada *nie obawia się tyle dla Królestwa*, ile z tego względu, że wprowadzona ustawa samorządowa w Królestwie ma niejako stanowić pierwowzór dla Cesarstwa“, na tamtejszym zaś gruncie „demagogizm byłby bardzo niepożądany“. Wyrażenia „demagogizm“ używa się tu widocznie przez nieporozumienie, w sensie „demokratyzm“. „Najwięcej widoków ma ustawa samorządowa z Cesarstwa z r. 1892“ a „sprawa samorządu może być załatwiona w stosunkowo niedługich terminach“. Przypatrzmy się teraz, jak owa „obawa demagogizmu“ w Rosyi ma odbić się na naszej skórze, przyczem skorzystamy z opinii wybitnych znawców spraw samorządnych.

Podług projektu, który wyszedł z Dumy, mieli posiadać prawo wybierania Rady miejskiej wszyscy właściciele nieruchomości miejskich, opłacający jakikolwiek podatek na rzecz miasta, oraz lokatorzy, płacący za mieszkanie w Warszawie 270 rb., w Łodzi 150, w innych miastach od 140 do 60 rubli. Komisya Rady Państwa ustanowiła przedewszystkiem cenzus dla nieruchomości, wyłączając od praw wyborczych drobnych posiadaczy z szacunkiem podatkowym poniżej 1,500 rb. wartości w Warszawie, poniżej 1,000 rb. w innych miastach, a w małych miastach poniżej 300 rb. Prócz tego podniosła komisya cenzus mieszkaniowy, mianowicie: w Warszawie z 270 do 540 rb., w Łodzi i w innych większych miastach ze 150 i 140 do 240 rb., w średnich miastach z 96 na 192 rb., a w mniejszych z 72 i 60 na 96 rb. W ten sposób komisya proponowała zmniejszyć liczbę wyborców do połowy, odrzucając warstwy najuboższe. Obecnie zaś Durnowo, znany przywódca prawicy w Radzie, wniósł poprawkę do Rady państwa o podniesieniu cenzusu mieszkaniowego do jeszcze wyższych norm, mianowicie: dla Warszawy 720 rb., dla Łodzi, Lublina i Sosnowca 420 rb., w innych większych miastach 208 rb., a w pozostałych miastach 168 rb. Prócz tego proponuje Durnowo dać prawo wyborcze właścicielom patentów handlowych i przemysłowych, ale tylko największych kategorii przedsiębiorstw, mianowicie opłacających świadectwa handlowe dwu pierwszych klas, a przemysłowe czterech pierwszych klas. W ten sposób *gremium* wy-

borcze, znacznie obcięte u dołu i pozbawione skromniejszych lokatorów nawet z inteligencji, będzie zasilone wielkimi kupcami i przemysłowcami, choćby nie mieszkającymi w mieście.

Główna treść i znaczenie poprawki Durnowa nie mieści się jednak w tem usunięciu lokatorów i wzmożeniu wpływu klasy handlowo-przemysłowej, lecz w zastosowaniu do tak okrojonego od dołu składu wyborców nowego ograniczenia, mianowicie *systemu trzech kuryi*. System ten polega na tem, że ta liczba najbogatszych właścicieli domów, przemysłowców i lokatorów, która opłaca $\frac{1}{3}$ podatku od nieruchomości, od przemysłu i handlu i od mieszkań, ma prawo wybrać $\frac{1}{3}$ ogólnej liczby radnych miejskich, następna grupa wybiera $\frac{1}{3}$ i ostatnia grupa najuboższych pozostałą $\frac{1}{3}$. Tak ma być w miastach większych, mających wyborców powyżej 1,500. W miastach z liczby wyborców od 1,000 do 1,500 mają być tylko dwie kurye, a w mniejszych miastach — dzielenie na kurye majątkowe ma być zależne od woli ministra spraw wewnętrznych, czyli może być wyjednanie przez osoby zainteresowane. Otóż, przy tym systemie, w przeciętnem mieście fabrycznem zachodniej części naszego kraju stosunki ułożyłyby się tak, że *pięciu* największych fabrykantów miałyby prawo wybierać np. 20 radnych, 100 właścicieli średnich fabryk i przedsiębiorstw handlowo-przemysłowych oraz większych kamienic wybierałyby drugie 20 radnych, a reszta 20 radnych przypadłaby do wyboru półtora-tysiącowi właścicieli domów mieszkalnych, średnich przedsiębiorców i lokatorów, czyli że na 60 radnych 40 przypadłoby w udziale *wyłącznie Niemcom*, a tylko trzecia część byłaby polska. W innych przypadkach, przy dzieleniu na dwie kurye, połowa mandatów przypadłaby *fabrykantom*. W każdym razie przy systemie Durnowa, Łódź, Sosnowiec, Tomaszów, Pabjanice, Zgierz, Ozorków, Zduńska Wola, a może i Częstochowa, dostałyby się zupełnie w ręce Niemców.

Ciekawy komentarz do tego wniosku dało stowarzyszenie właścicieli nieruchomości m. Warszawy w memoryale, wystosowanym do Rady Państwa: Dla Warszawy rezultat ograniczenia proponowanego przez komisję Rady Państwa nie wypada w bardzo jaskrawem świetle, a to dzięki przeważającemu w mieście typowi olbrzymich koszarowych budowli, płacących zatem duży podatek z jednej strony, dzięki zaś olbrzymiemu wyśrubowaniu cen gruntów i domów, a więc wysokiemu ich szacunkowi z drugiej strony. Na ogólną liczbę płacących podatek w Warszawie nieruchomości 5,933—88 płaci mniej niż 75 rb. rocznie, co stanowi 1,48%; na Pradze zaś, na ogólną liczbę 1,278 nieruchomości 122

płacą mniej niż 75 rb., co wynosi już 9,55 czyli blisko 10%. Razem na 7,211 nieruchomości 210 traci prawo wyboru, to jest blisko 3%. Więc bądź co bądź 210 obywateli, ponoszących wszelkiego rodzaju ciężary podatkowe miejskie, traci prawo wszelkiego udziału w gospodarce tegoż miasta.

Jeżeli zaś zwrócimy się do miast prowincjonalnych i weźmiemy np. miasto gubernialne Siedlce dla obserwacji, to otrzymamy, że na ogólną liczbę 1,328 nieruchomości—1,076 płaci mniej niż 50 rb. podatku skarbowego od nieruchomości rocznie, t. j. że tu już nie 3% jak w Warszawie, nie 10% jak na Pradze, lecz 80% ogółu obywateli miasta straci prawo wyborcze. A więc $\frac{4}{5}$ obywatelstwa miejskiego będą usunięte od udziału w samorządzie! Jeszcze jaskrawszego przykładu dostarczają miasta powiatowe większe, liczące powyżej 10 tys. mieszk. Oto np. Łuków w gub. siedleckiej: na ogólną liczbę 788 nieruchomości 755 płaci mniej, niż 50 rb. podatku rzeczzonego rocznie. A więc w tem mieście 96% obywateli traci prawo wyboru, a tylko 4% utrzymuje się w normie. Tylko $\frac{1}{25}$ część właścicieli posesyi korzystać będzie z prawa udziału w samorządzie. Bierzemy następnie krótko mówiąc miasto z kategorii najniższej, gdzie usunięci są wszyscy właściciele, płacący mniej niż 15 rb. podatku. A więc Radzymin, na przykład, miasto powiatowe gub. warszawskiej: na ogólną liczbę 259 nieruchomości 195 płaci mniej niż 15 rb. podatku, t. j. oszacowanych jest niżej 300 rb. Czyli znów 75% właścicieli posesyi, $\frac{3}{4}$ obywateli wyjętych jest z pod prawa wyboru.

Z liczb tych widzimy jasno, że już nie tylko drobni właściciele, ale i średni i nawet więksi tracą wszędzie prawo wyboru, z wyjątkiem kilkunastu w mniejszych, lub kilkudziesięciu w większych. Jest to więc ograniczenie, które z wyjątkiem nieco słabszym dla Warszawy, pozatem trafia nie w jakąś część, kategorię, odłam lub grupę podatkową, lecz poprostu i najwyraźniej w ogół właścicieli domów i posesyi; stwarza zatem jakiś paradoks ze stanowiska zachowawczego, z jakiego niewątpliwie Rada państwa tu wychodziła, gdyż ogranicza w daleko mniejszym stopniu lokatorów, aniżeli właścicieli posesyi, a więc ludzi majątkowo wyżej stojących! Paradoksalność owa da się również ująć w cyfry. Jeżeli weźmiemy znów wspomniany wyżej Łuków dla przykładu, to, jak to zaznaczyliśmy, zgodnie z redakcją komisji rady właściciele posesyi doznali ograniczenia w wysokości 96%. Lokatorów zaś, płacących w tem mieście, według pierwotnej normy Dumy, powyżej 60 rb. było 286. Komisja Rady podniosła ów cenzus do 96 rb. Lokatorów, płacących powyżej 96 rb., jest w tem mieście

111-tu. Zmniejszenie nastąpiło z 286 na 111, co stanowi 60% ograniczenia. A więc właściciele posesyi ograniczono o 96%, lokatorów zaś o 60%.

Tak wygląda „obawa demagogizmu“ w świetle rzeczywistości. Nie o nią też chodzi, lecz poprostu o pracę jeżeli nie dla króla pruskiego, to w każdym razie dla Niemców z Królestwa, których delegacya była w Petersburgu, aby zażegnać „niebezpieczeństwo polskie“, zagrażające Łodzi i miastom okolicznym w razie uchwalenia ustawy samorządowej w redakcyi pierwotnej. Nie chodziło też o wzorowanie się na ustawie miejskiej pruskiej, poprawka bowiem, proponowana w Radzie Państwa jest od niej znacznie gorsza i stwarza w samorządzie przewagę wielkiego kapitału, zgoła nie odpowiadającą jego istotnej roli w kraju. Pozostaje faktem, że Niemcy, nie posiadający ani jednego posła, potrafili oddziaływać skutecznie na ciało prawodawcze, w którym my mamy kilkunastu przedstawicieli. Wydaje się, że brak tu chyba podstaw do wypowiadania poglądów optymistycznych.

*

*

*

Istnieje w Warszawie towarzystwo, które nie czyni o sobie hałasu, nie odwołuje się do szerszej ofiarności publicznej, nie urządza na swoje cele dobroczynnych tańców, koncertów, went, istnieje dzięki ofiarności nielicznego koła osób, a przecież prowadzi pracę cichą, pożyteczną, społeczną razem i filantropijną. Nazywa się Towarzystwem opieki nad wychodźcami. Może dlatego spotyka je obojętność. Bo w kraju, który posiada roczną parusetysięczną emigracyę sezonową, kilkudziesięciotysięczną zarobkową do Ameryki Północnej i kilkutysięczną na osady rolnicze w Paranie, w kraju tym opinia w sprawie wychodźstwa zna tylko dwa skrajne stanowiska. Pracodawcy rolni, którym emigracya ekonomicznie daje się we znaki, znają tylko jedną politykę jej dotyczącą: zakazu i przeciwdziałania, nie dostrzegając konieczności zjawiska, które przecież nie w jednej tylko Polsce obserwujemy. Żywioły miejskie, inteligencya, tworząca opinię radykalną, radaby przeciwnie, przez zachwalanie rozkoszy zamorskich, całą

niemal starą ziemię polską wyludnić, aby gdzieś daleko nową Polskę ufundować, lepszą, na wolności zupełnej, by nie powiedzieć swawoli, opartą. Kto zatem prawdzie służy, czyli sztucznymi środkami nie powstrzymuje i nie przeciwdziała, ani nie nagania, nie może rachować na przychyłne traktowanie przez jeden albo drugi kierunek naszej opinii w sprawie emigracyi. A taką właśnie rolę ścisłej, prawdziwej i bezstronnej, a dla wychodźców życzliwej informacyi spełnia Towarzystwo Opieki nad wychodźcami.

Czy zdobyło sobie zaufanie bezpośrednio interesowanych warstw ludowych? Chyba, że tak. W ubiegłym roku sprawozdawczym biuro jego udzieliło informacyi piśmiennych 1400 osobom a ustnych na miejscu—3,000 osobom. Gdyby wszyscy informowani tylko udawali się za morze za jego pośrednictwem, a byłaby to i tak maleńka jedynie część ogółu emigrantów, już zyskałoby trwałe podstawy materialne istnienia i nie potrzebowałoby uciekać się do ofiarności jednostek. Ale tak nie jest. Przez Towarzystwo wyjechało tylko do Parany 406, a do Ameryki Północnej 175 osób. A dzieje się tak dlatego, że Towarzystwo nie może wytrzymać konkurencyi z okłamującym systematycznie wychodźców agentami towarzystw przewozowych, rozwijających pokątną działalność swoją po całym kraju. Szkopułem, o który rozbija się jego działalność jest ustawa paszportowa. Agenci podejmują się nielegalnego przeprowadzania emigrantów przez granicę; Towarzystwo trudnić się tem nie może. Mniejsza, że nieraz przeprowadzenie drożej kosztuje, niż paszport legalny, że połączone jest w dodatku z niebezpieczeństwem osobistym; emigrant nasz zbyt jest jeszcze ciemny i nieuświadomiony, by miał różnicę zrozumieć i ocenić, po której stronie leży jego korzyść istotna.

W przekonaniu, że rozwojowi działalności może stawać na przeszkodzie scentralizowanie jej w Warszawie, usiłowało Towarzystwo dotrzeć bezpośrednio do okolic, posiadających wychodźstwo liczniejsze i założyło biura filialne w Mławie, Aleksandrowie i Wilnie. Biura te musiano zwinąć częściowo z powodu braku funduszy, przeważnie zaś z powodu bojkotowania Towarzystwa przez niemieckie Centralne biuro emigracyjne, utrzymujące t. zw. pograniczne stacye kontroli emigrantów. Biuro to zależne jest od wielkich kampanii przewozowych, terroryzowanych ze swej strony przez pokątnych agentów, którzy widzą w Towarzystwie siłę dla siebie groźną i niebezpieczną, nie dlatego, by konkurowało z nimi w sprzedaży kart, ale dlatego, że przez rozpowszechnianie prawdziwych wiadomości, dotyczących warunków przewo-

zu, uniemożliwiało im wyzysk, oszustwo na zmianie pieniędzy i pobieranie wyższych cen za karty okrętowe.

W celu jaknajszerszego rozpowszechnienia informacji, emigracyi dotyczących, Towarzystwo wydawało przez rok miesięcznik p. t. *Wychodźca Polski*. Cóż się okazało? Oto w kraju, z którego w ten czy inny sposób wychodzi corocznie parę setek tysięcy ludzi, znalazło się 100, wyraźnie tylko sto osób, interesujących się dostatecznie palącą sprawą, aby zapłacić rubla rocznie za prenumeratę specjalnego, doskonale w dodatku redagowanego pisma. Wobec tej obojętności ogółu wypadło, niestety, pismo zamknąć. A szkoda. Bo jeżeli samo nie docierało do sfer szerokich bezpośrednio, pożyteczne jego informacje dochodziły za pośrednictwem prasy codziennej, która traktowała je życzliwie i często z informacji korzystała.

Wywołane koniecznością nieustanne zwięzanie pracy Towarzystwa wyraża się w cyfrach budżetowych. Gdy w r. 1912-ym wydatki pożytecznej instytucji wyniosły 6,241 rb. preliminarz budżetowy na r. b. określa je na 3,879 rb., i jeżeli w położeniu nic się nie zmieni, rok ten będzie ostatnim w życiu Towarzystwa. Skończy żywot swój zabite obojętnością ogółu. Na marne pójdzie ofiarna i pełna zaparcia praca kilku jednostek, daremnemi okażą się pożyteczne poczynania i usiłowania. Dzieje Towarzystwa opieki nad wychodźcami, to smutna karta historii naszej, smutne świadectwo braku zainteresowania się jedną z najważniejszych gałęzi ekonomicznej polityki kraju, którą można i trzeba było ująć w ręce społeczeństwa.

*

*

*

Ferment, wywołany przez dążenie do spolszczenia miast naszych i wytworzenia polskiego stanu średniego, ogarnia coraz szersze koła opinii. Obecnie byliśmy świadkami rozłamu w obozie postępowym. Jego ekspozyturą oświatową było Towarzystwo Kultury Polskiej. Od pewnego czasu pisma podawały głuche wieści o wrzeniu, jakie w niem panuje skutkiem uchwały jednej z sekcji, oświadczającej się pośrednio i ostrożnie za bojkotem ekonomicznym żydów. Wrzenie wybuchło na zewnątrz na dorocznym zjeździe delegatów. Poszło o rzecz zupełnie naturalną, o stwierdzenie w uchwale, że do Towarzystwa mogą należeć tyl-

ko Polacy bez różnicy wyznania i pochodzenia. Nazywamy uchwałę tę naturalną wobec przymiotnika polskości, znajdującego się w tytule urzędowym Towarzystwa. Innego zdania byli należący do Towarzystwa żydzi oraz część Polaków, których inaczej chyba nazwać nie można, jak wstydzącymi się swej przynależności narodowej. Zmobilizowali oni wszystkie siły, aby wniosek odrzucić, i dzieła swego większością paru głosów dokonali. Próżne były nawoływania i zakłęcia weteranów postępu polskiego, którzy całe swoje życie dotychczasowe poświęcili idei asymilacyi; opluto ich i wzgardzono ich wskazówkami. Rezultatem był rozłam i wystąpienie zwalczonej mniejszości. Tytuł Towarzystwa pozostał, ale treść jego działalności nie ma odtąd z polskością nic wspólnego.

Mieliśmy tu do czynienia z najznamienniejszem może zjawiskiem przeżywania się starych haseł. Asymilacja żydów, najszersza względem nich tolerancja była naczelnym dogmatem naszej opinii postępowej i wynikała z potrzeby wyszukiwania najteższego sprzymierzeńca w działalności krytycznej. Idylla współżycia dopóty trwała, dopóki skalpel krytyczny nie dotarł do rdzenia nawet samej polskości. Wtedy zbudziły się najbardziej utajone uczucia odwieczne i przebudzenie wyraziło się w odepchnięciu sprzymierzeńca. To zróżniczkowanie jest objawem społecznie pomyślnym, ułatwia bowiem każdemu oryentację, a postępowi polskiemu wykreśla własne drogi. W tym wypadku, jak w wielu innych, żeby wymienić tylko narzucenie Warszawie poselstwa Jagiełły, Żydzi okazali się złymi, zbyt namiętnymi politykami. Metodą drażnienia pozbyli się poparcia jednego z ostatnich odłamów opinii polskiej, jaki im względnie przychylnym pozostał. A jeżeli dziś jeszcze pocieszają się swym niewątpliwym wpływem w zgrupowaniach ideowych skrajnej lewicy, niech wiedzą, że i tam lata ich panowania są policzone, że i tam działa ferment współczesny. Czasy dualizmu narodowego jednostek minęły bezpowrotnie; trzeba być dziś żydem albo Polakiem, choćby bez różnicy wyznania i pochodzenia, jak chce zwalczona w ubiegłym miesiącu uchwała.

Wiadomości Naukowe, Literackie i Bibliograficzne.

BIBLIOTEKA ORDYNACJI HR. KRASIŃSKICH.

Dn. 10 grudnia r. z. odbyła się w Warszawie uroczystość położenia i poświęcenia kamienia węgielnego pod budowę nowego gmachu Biblioteki Ordynacji hr. Krasińskich. Akt erekcyjny brzmi, jak następuje:

„W setną rocznicę urodzin Zygmunta Krasińskiego ku nieśmiertelnej rzeczy pamięci. Edward Krasiński, syn ordynata Józefa i Heleny ze Stadnickich, szczęśliwy z podjęcia dzieła, o którym marzyli Konstanty Świdziński i rodzina Krasińskich, w obecności niżej podpisanych kładzie kamień węgielny pod gmach dla Biblioteki i zbiorów ordynacji Krasińskich, własnym stawiany sumptem, pragnąc w tych murach zabezpieczyć skarby przeszłości, skrzętną ręką minionych pokoleń gromadzone i ocalone od zagłady, udostępnić je współczesnym a przekazać potomnym ku chwale i pożytkowi nauki polskiej, kraju i rodzinnej Warszawy.

„W wykonaniu myśli fundatora trudu swego i pracy nie szczędzili dr. Stanisław Kętrzyński, dr. Ignacy Baranowski, dr. Witold Kamieniecki—bibliotekarze. Inżynier Mieczysław Dębski, administrator ordynacji domu Krasińskich. Edward Życki, radca prawny. Plany gmachu według szkiców Juliusza Nagórskiego wykonał i robotami kieruje inżynier Henryk Gay, budowę prowadzą Martens i Daab. Poświęcenia dokonał przewielebny ks. kanonik Chełmicki, wzywając błogosławieństwa Niebios dla tego przybytku polskiej wiedzy i kultury. Akt niniejszy stwierdzają obecni, kładąc swe podpisy. Warszawa, dnia 10 grudnia 1912.”

Dokonanie tego doniosłego pod względem kulturalnym dla kraju naszego przedsięwzięcia jest zasługą syna dzisiejszego ordynata Józefa, Edwarda hr. Krasińskiego, który, rozumiejąc konieczność zapewnienia przepysznej pod względem doboru i liczby dzieł Bibliotece Ordynacji hr. Krasińskich własnej odpowiedniej siedziby, ofiarował z prywatnego swego majątku na wybudo-

wanie gmachu bibliotecznego 300 tysięcy rb. Nowa Biblioteka będzie urządzona z zastosowaniem wszelkich wymagań nowoczesnych, służących zarówno do należytej konserwacji zbiorów, jakoteż wygody dla pracowników naukowych. Otwarcie gmachu nastąpi w roku przyszłym.

Z AKADEMII I TOWARZYSTW NAUKOWYCH.

— AKADEMIA UMIEJĘTNOŚCI W KRAKOWIE. Posiedzenie Komisji do badania historii sztuki w Polsce odbyło się dnia 5 grudnia 1912 r. pod przewodnictwem d-ra Stanisława Tomkowicza.

Przewodniczący, poświęciwszy na wstępie gorące wspomnienie pamięci zmarłej w r. b. Konstancyi Sępowskiej, wysoce uzdolnionej i pełnej zapału pracowniczki na polu historii polskiej sztuki, przedstawił memoriał nadesłany przez prof. d-ra P. Bieńkowskiego w sprawie zabiegów około uzyskania od rządu i miasta odpowiednio uposażonego gmachu dla pomieszczenia zgromadzonych w jedną całość dotychczasowych zbiorów odlewów gipsowych Gabinetów historii sztuki i archeologii Uniw. Jagiellońskiego, Akademii Sztuk Pięknych, Muzeum techniczno-przemysłowego i wyższej Szkoły przemysłowej i około zapewnienia na przyszłość rozwoju i organizacji tego nowego muzeum. Myśl utworzenia w Krakowie instytucji, której istnienie przyczyniłoby się do podniesienia ogólnego poziomu naszej kultury i sztuki, obecni jednogłośnie przyjęli z najżywszym uznaniem, postanawiając używać jej wszelkiego moralnego poparcia.

Dr. Marian Morelowski przedłożył pracę o gobelinie kościoła św. Katarzyny w Krakowie. Ten wysokiej wartości zabytek, którego druga część, mniejsza, znajduje się w Wiedniu (Museum f. Kunst u. Gewerbe), przedstawia sceny ze starofrancuskiego poematu o rycerzu z łabędziem (Lohengrin). Kostiumy postaci ściśle odpowiadają strojom burgundzkiego dworu z połowy XV wieku; główna postać rysami twarzy a nawet szatami żywo przypomina znane portrety Filipa Dobrego burgundzkiego, jak wiadomo, wielkiego mecenasa sztuki i literatury. Referent wykazał na podstawie źródłowych poszukiwań, że Filip Dobry i jego najbliżsi krewni według heraldyki średniowiecznej byli następcami a nawet potomkami Rycerza z łabędziem i że podczas uroczystości dworskich (jak np. sławnego Bankietu ślubowań krucyatowych w r. 1454) występowali sami w rolach bohaterów z tego poematu w widowiskach nawpół scenicznych. Katalogi księżnic burgundzkich świadczą o szczególnem zainteresowaniu się tym poematem, należącym do cyklu krucyatowego; w rachunkach tegoż dworu znajdujemy dowód, że w r. 1462 (w zupełności odpowiadającym przypuszczalnej dacie powstania naszego gobelinu) Filip Dobry istotnie nabył od swego głównego dostawcy, sławnego Pasquier Grenier'a z Tournai, trzy gobeliny ze scenami z Lohengrina. Zdaje się nie ulegać wątpliwości, że we wspomnianych rachunkach mamy do czynienia właśnie z naszym gobelinem, a to tembardziej, gdy i stylistyczne cechy rysunku i pikardzki dyalekt znajdujących się na gobelinie napisów potwierdzają jego po-

chodzenie z Tournai. Ze względu na pokrewieństwo stylistyczne krakowski zabytek ściśle łączy się z grupą kilku innych najsławniejszych gobelinów, jak *Passion Somzée* z Bruxelli, *Esther* z Nancy i *Jephte* z Saragossy; wszystkie one wyszły z pracowni Pasquier Grenier'a, zaś twórcą kartonów do naszego mógł być Jean de Tavernier. Gobelin, który do Polski dostał się prawdopodobnie z Hiszpanii w epoce napoleońskiej, jest dla historii sztuki i kultury zabytkiem pierwszorzędno znaczenia.

Dr. St. Turczyński odczytał komunikat ś. p. Konstancyi Stępowskiej o trzech zachowanych na miejscu swego pierwotnego przeznaczenia zabytkach, będących ważnym materiałem do dziejów krakowskiego malarstwa cechowego. W Lipnicy murowanej znajduje się szafiasty ołtarz ze scenami ilustrującymi życie św. Leonarda. Obrazy, poświęcone czci tego świętego, należą do rzadkości, zaś na ziemiach polskich tryptyk ten, idący wiernie za Złotą Legendą, jest ikonograficznym unikatem. Tryptyk z kościołka w Dębnie pod Nowym Targiem, dochowany z całkowitem uwienieczeniem, fialami i maswerkami, przedstawia w głównym obrazie Madonę, trzymającą na rękach Dziecią Jezus, w ołpoczeniu Archaniola Michała i św. Katarzyny. W układzie obrazu, pomimo więzów stylowych, daje się zauważyć bystra obserwacja natury, a delikatny modelunek nadaje zwłaszcza głowom dużą plastykę. Trzeci tryptyk, w kościele w Przydonicy, w środkowym obrazie przedstawia zaślubiny św. Katarzyny i św. Mikołaja, w skrzydłach bocznych cztery sceny z życia św. Katarzyny. Kompozycja środkowego obrazu, nieco od obrazów skrzydeł bocznych wczesniejszego, pozostaje pod wyraźnym wpływem niemieckiego malarstwa połowy XVI w., a postać Madonny jest niemal kopią z miedziorytu Dürera. Pierwszy z tryptyków, lipnicki, jest rzemieślniczym, przeciętnym przykładem malarstwa cechowego końca XV stulecia; drugi — jednym z najbardziej artystycznych przykładów tegoż malarstwa z pierwszej ćwierci w. XVI, trzeci wreszcie pokazuje, w jaki sposób przejmowało ono renesansowe wpływy i przeradzało się w ślepe naśladownictwo.

Dr. St. Turczyński przedstawił fotografie sklepienia t. zw. „włoskiej kaplicy“ kościoła OO. Franciszkanów w Krakowie. Sklepienie o barokowym podziale częściowo wypełniają piękne stiuki, przedstawiające główki aniołków i gałązki palmy. Wykonawcą stiuków był Baltazar Fontana, pozostający w czasie swego pobytu w Polsce w stosunkach z włoską Konfraternią, do której należała wspomniana kaplica.

Przewodniczącym na rok 1913 wybrano d-ra Stanisława Tomkowicza.

— TOWARZYSTWO NAUKOWE WARSZAWSKIE. Dnia 8 stycznia r. b. odbyło się posiedzenie Wydziału I-go, na którym p. Br. Chlebowski przedstawił pracę p. Stefana Zawadzkiego p. t. „Pisma Łukasza Opalińskiego“. Po krótkiej biografii i omówieniu bardzo nielicznej literatury krytycznej o Łukaszu Opalińskim, autor szczegółowo zastanawia się nad czterema głównymi utworami: „Rozprawą o naprawie sejmów“, „Obroną przeciw Barclajowi“, satyrą „Coś nowego“ i „Poetą“, oraz stara się określić stanowisko Łukasza Opalińskiego w literaturze polskiej, jako statysty, satyryka i teoretyka poezji. Następnie p. Stanisław Słoński przedstawił: „Przyczynki do słownika Psalterza

Floryańskiego". Przy rozpatrywaniu tego zabytku znalazł p. Słoiński przeszło 120 pozycji wyrazowych, opuszczonych w słowniku Nehringa do powyższego Psalterza. Oprócz tego wykazał niedokładną transkrypcję lub nietrafne objaśnienie całego szeregu form lub całych pozycji słownika. Wywody te nie zmierzały jednak do obniżenia wartości sumiennej pracy Nehringa, stwierdzają one jedynie fakt, że prace leksykograficzne nie mogą się kończyć i nie kończą się nigdy—nawet w zakresie słowników monograficznych.

— Dnia 9 stycznia r. b. odbyło się posiedzenie Wydziału III-go, na którym p. St. J. Thugutt wygłosił doroczne przemówienie inauguracyjne p. t.: „Stan obecny metod badania mikrograficznego w petrografii“. Następnie przedstawiono komunikaty: 1) p. Wł. Gorczyński: „W kwestyi zmian długoletnich temperatury powietrza w Polsce“, 2) p. R. Danyszówna (przedstawił p. Wł. Gorczyński): „Rozmieszczenie geograficzne opadów atmosferycznych w Królestwie Polskiem“, 3) p. T. Simchowiec (przedstawił E. Flatau): „O chorobie Alzheimer'a i o jej stosunku do uwiędu starczego“, 4) p. Jan Koelichen (przedstawił p. E. Flatau): „Chromatophoroma medullae spinalis“ i 5) pp. Edward Flatau i Józef Handelsman (przedstawił p. E. Flatau): „O neurofagii leukocytarnej i o sztucznem ropieniu rdzenia“.

CZASOPISMA PERYODYCZNE.

— KSIĄŻKA. Miesięcznik, poświęcony krytyce i bibliografii polskiej. Styczeń 1913. Treść: Spuścizna Brzozowskiego. Krytyka: Bukowiecki Stanisław: O urządzaniu hipotek dla drobnej własności;—Epos, zbiór arcydzieł poezyi epickiej;—Finkelstein-Ziębowski Mieczysław: Pieśń kobiety;—Bracia Grimm: Wybór bajek;—Gruźewski z Młodzianowa Bolesław: Kościół ewangelicko-reformowany w Kielmach;—Katalog inkunabułów Biblioteki Uniwersyteckiej we Lwowie (opr. dr. Eug. Barwiński);—Kipling Rudjard: Dzielni marynarze;—Kraushar Aleksander: Okruchy przeszłości;—Lange Józef: Moda;—Markowska Marya: Lalki Marychny;—Materiały antropologiczno-archeologiczne i etnograficzne;—Meade L. T.: W świecie dziewcząt;—Mniszek Helena: Zaszumiły pióra;—Olszewski Bronisław: O legitymacyi spadkobierców;—Orsza Helena: Początki pracy oświatowej w Polsce;—Payot Juliusz: Wyrabianie charakteru podstawą moralności;—Pollak Roman: Nieznany poemat polski z wieku XVII;—Przybyszewski Stanisław: Mocny człowiek;—Reutt Marya: O ptaszkach, kotkach i innych zwierzątkach;—Schuré Edward: Wielcy wtajemniczeni;—Słomka Jan: Pamiętniki włościanina od pańszczyzny do dni dzisiejszych;—Sprawozdanie Komisji do badania historii sztuki w Polsce (t. VIII, zeszyt 2 i 3);—Staniszewski Stanisław: Bez echa;—Święty Boże, Święty mocny. Zbiór modlitw dla chrześcijan-katolików;—Szczęsny Al.: To, co się stało;—Twardowski Kazimierz: O czynnościach i wytworach;—Wilno z przed stu lat;—Woźnicki Kazimierz: O stosunkach francusko-polskich;—Ziemkiewicz L. M.: Urywki z listów nienapisanych;—Żeromski Stefan: Uroda życia. Kronika. Czasopisma. Bibliografia. Ogłoszenia.

— PRZEWODNIK OŚWIATOWY. Grudzień, 1912. Zeszyt 12. Treść: St. Pollaczek: O stanie pracy oświatowej w pow. chrzanowskim;—K. Wolniewicz: Szkoła polska w Oleszy;—A. Szycówna: Ogród zabaw, gier i zajęć w Pyrach;—A. Chmieleńska: Głos chłopca polskiego;—H. Orsza: Początki pracy oświatowej w Polsce (ciąg dalszy);—Z działalności T-wa im. Piotra Skargi;—Kollegium Z. N. P. w Cambridge Springs;—Kropika. Dział sprawozdawczy T. S. L. ! Okólniki;—Koło T. S. L. w Żmigrodzie;—Wiadomości różne;—„Grosz na szkołę ludową.“

BIBLIOGRAFIA.

KSIĄŻKI NADESŁANE DO REDAKCYI.

BACZYŃSKI STANISŁAW: Wiszary. Powieść. Warszawa, 1913. G. Centnerszwer i Sp.

BENSON E. F.: Obraz na piaskach. Powieść. Przekład z angielskiego Hajoty. Warszawa, nakład i druk Tow. Akc. S. Orgelbranda S-ów. Skład główny w księg. E. Wende i Sp.

BONIECKI: Herbarz polski. Tom XV. Zeszyt 4-ty. „Lutomierscy—Łagunowie“.

BIELSKA KONSTANCYA: Separatka. Powieść, z przedmową Gabryeli Zapolskiej. Nakład Gebethnera i Wolffa. Warszawa—Lublin—Łódź—Kraków. G. Gebethner i Sp.

DĘBIŃSKI KAROL Ks.: Dozory kościelne rzymsko-katolickie w Królestwie Polskiem. Wydanie II. Warszawa 1913. „Biblioteka Dzieł Chrześcijańskich.“

DZIERZKOWSKI JÓZEF: Uniwersał hetmański. Powieść historyczna. Tom pierwszy. Warszawa 1913. „Biesiada Literacka“.

FREJLICH JÓZEF: Legion generała Józefa Bema w walce o sukcesję Portugalską. Warszawa, 1912. Gebethner i Wolff. Warszawa—Lublin—Łódź. G. Gebethner i Sp.—Kraków.

JACHÓŁKOWSKA-KOSZUTSKA LUDWIKA: Z oddali. Romans. Nakład Gebethnera i Wolffa. Warszawa—Lublin—Łódź—Kraków. G. Gebethner i Sp.

KONOPNICKA MARYA: Imagina. Z przedmową A. Grzymały-Siedleckiego, z wizerunkiem autorki z doby powstania „Imaginy“. Nakład Gebethnera i Wolffa. Warszawa—Lublin—Łódź—Kraków. G. Gebethner i S-ka. New-York, The Polish Book Importing, Co., Inc.

KONCZYŃSKI TADEUSZ: Ostatnia godzina. Powieść fantastyczna. Warszawa-Kraków. Nakład i druk Tow. Akc. S. Orgelbranda S-ów. Skład główny w księgarni E. Wende i Sp.

KRASIŃSKI ZYGMUNT: Myśli o sztuce. Zebrał i przedmową opatrzył Adam Grzymała Siedlecki. Lwów 1912. Nakład Księgarni Polskiej B. Polonieckiego. Warszawa E. Wende i Sp.

KRAUSHAROWA JADWIGA: Pamiątka. Szkice i studia literackie. Wydanie pośmiertne. Kraków i Warszawa, 1912. Gebethner i Wolff.

KRONIKA POLSKIEJ PRACY FILOZOFICZNEJ **N** 1. Od początku 1910 do połowy 1911 r. opracował dr. Ignacy Halpern. (Odbitka z „Przegl. Filoz.“).

KWIATY RODZINNE. Wybór poezyi polskiej ułożony przez Narcyzę Żmichowską. Wydanie czwarte, przejrane i dopełnione przez Or-Ota. Nakład Gebethnera i Wolffa. Warszawa—Lublin—Łódź—Kraków G. Gebethner i Sp.

LASKOWSKI KAZIMIERZ: Dziesięć sportów dla młodzieży, z 93 ilustracyami w tekście. Nakład Gebethnera i Wolffa. Warszawa—Lublin—Łódź—Kraków G. Gebethner i Sp. New-York, The Polish Book Importing Co., Inc.

LANGLOIS CH. V.—SEIGNOBOS CH.: Wstęp do badań historycznych, z francuskiego przełożyła Wanda Górkowa z przedmową prof. Stanisława Zakrzewskiego. Lwów, nakładem księgarni H. Altenberga. Warszawa, E. Wende i Spółka.

ŁUCKI ALEKSANDER DR.: Epos szlacheckie Kazimierza Brodzińskiego. Kraków, 1912. Nakładem autora.

MESSER AUGUST, PROF.: Wstęp do teorii poznania. Przekład W. Zdr. Warszawa 1912. Skład główny w księgarni E. Wende i S-ki. Kraków u S. A. Krzyżanowskiego: „Biblioteka Estetyczna“. Serya nauk pomocniczych. Tom 1.

NAŁKOWSKI WACŁAW: Terytoryum Polski historycznej jako indywidualność geograficzna. Warszawa, 1912. Nakład Towarzystwa krajoznawczego.

OLECHOWSKI GUSTAW: Dzieje mężczyzny. Powieść. Warszawa, Gebethner i Wolff. Kraków, G. Gebethner i Sp.

ORZESZKOWA ELIZA: Australczyk. Powieść. Warszawa. Nakład Gebethnera i Wolffa. Kraków, G. Gebethner i Sp. „Ciekawe powieści“, bezpłatny dodatek do „Tygodn. Ilustr.“

PAJZDERSKI NIKODEM, DR.: Ratusz poznański. Wydawnictwo „Biblioteka Wielkopolska“ I. Monografie ilustrowane w zakresie kultury i sztuki w Wielkopolsce. Wydawnictwo Maryana Niemierkiewicza. Poznań, 1913. Warszawa, E. Wende i Sp.

PERZYŃSKI WŁODZIMIERZ: Pani Czajkowska. Warszawa, 1913. „Biblioteka Dziel Wyborowych.“

POLSKA PIEŚŃ MIŁOSNA. Antologia. Wybrał i wstępem opatrzył Jan Lorentowicz; z 12 reprodukcjami obrazów artystów polskich. Nakład Gebethnera i Wolffa. Warszawa, Lublin, Łódź. Kraków, G. Gebethner i Sp.

RABSKA ZUZANNA: Miłość mówi. Poezye. Warszawa, 1913. Gebethner i Wolff. Kraków, G. Gebethner i Sp.

RIBOT TH., członek instytutu, profesor honorowy „Collège de France”. Z zagadnień psychologii uczuć. Przełożył Henryk Świerczewski. Lwów, nakładem księgarni H. Altenberga. Warszawa, księg. E. Wende i Sp.

RODZIEWICZÓWNA MARYA: Między ustami a brzegiem pułapu. Powieść. Część I i II. Warszawa. 1913. „Biblioteka Dzieł Wyborowych.”

SKI A. DR: Wszelka moralność jest moralną. (Uwagi z powodu Źródeł moralności p. A. Świętochowskiego). Odbitka z „Roli”. Warszawa, 1912.

SKIBIŃSKI KAZIMIERZ: Pamiętnik aktora (1786—1858). Opracował i wydał M. Rulikowski. Warszawa, nakład i druk Tow. Akc. S. Orgelbranda S-ów. Skład główny w księg. E. Wende i Sp.

SPRAWOZDANIE z posiedzeń Towarzystwa Naukowego Warszawskiego. Warszawa 1912. Październik. Nakładem Tow. Nauk. Warsz. Skład główny w księg. E. Wende i Sp.

STASIAK LUDWIK: Srebrny dzwon. Powieść z dziejów dawnego mieszczaństwa polskiego. Kraków, 1913. Skł. gł. w Warszawie, E. Wende i Sp.

SYNORADZKI MICHAŁ: W czepu się urodził. Powieść historyczna na tle XVIII w. Warszawa 1912. „Biesiada Literacka.”

SZELAŃGOWSKI ADAM: Dzieje powszechne i cywilizacyi. T. I. Egipt, Babilon i Assyrya. Syrya i Palestyna. Azja Mniejsza. Iran i Turan. Indye, Chiny i Pacyfik. Z 256 ilustracyami i 2 mapami. Warszawa, druk i nakład Tow. Akc. S. Orgelbranda S-ów. Skład gł. w księg. E. Wende i Sp.

SZYMAŃSKI ANTONI, ks.: Uświadomienie katolickie. Przegląd krytyczny literatury religijno-katolickiej polskiej. Warszawa, 1913. Skład gł. w administracyi „Prądu”.

TETMAJER-PRZERWA KAZIMIERZ: Koniec epopei. Tom I. Warszawa, nakład i druk Tow. Akc. S. Orgelbranda S-ów. Skład gł. w księgarni E. Wende i Spółka.

TRETIAK JÓZEF: Piotr Skarga w dziejach i literaturze Unii Brzeskiej. Kraków, 1912. Nakładem Akademii Umiejętności. Skł. gł. w księg. Spółki Wydawniczej Polskiej.

WASILEWSKI ZYGMUNT: Myśl przebudowy. Rozmowy z młodym przyjacielem. Nakład Gebethnera i Wolffa. Warszawa, Lublin, Łódź. Kraków, G. Gebethner i Sp. New-York, The Polish Book Importing, Co., Inc.

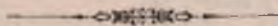
WALEWSKA MARY-JEHANNE (Hrabina Wielopolska): Faunessy. Powieść dzisiejsza. Nakład księg. literackiej Karola Kwaśniewskiego w Krakowie. Warszawa—G. Centnerszwer i Sp.

ZAPOLSKA GABRYELA: We krwi. Powieść współczesna. Część I. Warszawa, 1913. „Biblioteka Dzieł Wyborowych.“

Z DZIEJÓW UKRAINY. Księga pamiątkowa ku czci Włodzimierza Antonowicza, Paulina Święcickiego i Tadeusza Ryłskiego. Wydana staraniem d-ra Józ. Jurkiewicza, Fr. Wolskiej, L. Siedleckiego i W. Lipińskiego pod redakcją Wacława Lipińskiego. Kijów, 1912. Warszawa, E. Wende i Sp.

ŻEROMSKI STEFAN: Wierna Rzeka. Klechda. Spółka wydawnicza „Książka“. Składy główne: Warszawa J. Mortkowicz, Kraków S. A. Krzyżanowski.

ŻMIJEWSKA EUGENIA: Jutro. Powieść współczesna. Nakład Gebethnera i Wolffa. Warszawa, Lublin, Łódź. Kraków, G. Gebethner i Sp. New-York, The Polish Book Importing, Co., Inc.



Redaktor odpowiedzialny i wydawca MAURYCY hr. ZAMOYSKI.

Misya polityczna F. Biernackiego do Anglii.

(1813—1814 r.)

I.

Ocknąwszy się z zawodów w Reichenbachu doznanych, u siebie w Puławach, zajął się tam ks. Adam Czartoryski przygotowaniem misji Biernackiego do Anglii. Podejmował rzecz całą zupełnie na własną rękę w największym sekrecie, — zaledwie rodzina i dawny przyjaciel domowy, Niemcewicz, byli wtajemniczeni —, zarazem z wielką osobistą odpowiedzialnością i dużym narażeniem sprawy wobec Aleksandra, który wyrzucając już w Reichenbachu brak zaufania, gdyby się o tego rodzaju robotach poza własnymi plecami podejmowanych dowiedział, mógł je wziąć, jako pewnego rodzaju votum nieufności, mocno za złe. Z ryzykowności tego przedsięwzięcia zdawał sobie dokładnie ks. Adam sprawę; „puszczam się na awantury“, notował współcześnie w dzienniku, „moja teraz kolej, czy mi się lepiej niż innym uda“. Był jednak przekonany, że tym, bodaj czy nie jedynym, jaki zostawał sposobem, popchnie sprawę publiczną, dla której już niewiele od Aleksandra się spodziewał, na lepszą drogę, jeśli zyska dla niej zainteresowanie i poparcie w Anglii. Miał duże, przesadne nieco zaufanie do rządu angielskiego, wierzył w humanitarność i wolnomysłność opinii publicznej, uważał Anglię jako pewnego rodzaju areopag, z którego zdaniem cały świat, a zwłaszcza europejski kontynent liczyć się musi, nie ocenił wszakże należycie trudności lokalnych i nie zdawał sobie dokładnie sprawy z właściwej Anglikom obojętności, dla wszelkich spraw, bezpośrednio ich nie obchodzących. „Im więcej myślę“, pisał po wyekspedowaniu już Biernackiego, do Wilna, „tem mocniej się przekony-

wam, że Anglia winna i może bez przeszkody zainteresować się losem Polski. Rząd wasz ma prawo wypowiadać swe zdanie we wszystkim, co się dzieje na kontynencie. Mocarstwa mają tak dużą potrzebę poparcia Anglii, iż nie wyobrażam sobie, ażeby im na myśl przyszło zaprzeczać jej tego prawa. Interesem Europy jest, żeby Anglia nigdy nie zaniedbywała tego prawa, żeby go zawsze wykonywała, ponieważ jej wdanie się i wpływ, nawskroś bezstronne i liberalne, przechyla szalę wagi na rzecz sprawiedliwości i powszechnego dobra. Zresztą Księstwo Warszawskie nie należy jeszcze do nikogo, nie pojmuję więc dłaczegoby jedna Wielka Brytania miała być wyłączona z oddania swej opinii w tej sprawie.

Misyę tę powierzył Czartoryski, sekretarzowi swemu Feliksowi Biernackiemu, który zyskawszy długoletnią, wierną, uczciwą służbę, a szczególnie niezwykłą dyskrecją, całkowite zaufanie księcia, — w zupełności zasłużył na poruczenie mu tak doniosłej sprawy.

Feliks Biernacki, urodził się pod Warszawą, w Solcu 1775 r., gdzie ojciec jego był pisarzem w magazynach solnych. Mimo ubóstwa rodziców, odebrał staranne wychowanie, umieszczony przez protektora swego, brygadiera Sierakowskiego, w szkole korpusu kadetów. Miał przytem sposobność otarcia się o lepsze sfery, pełniąc jako kadet służbę na pokojach królewskich. Protektor jego chciał go wykierować na oficera, ofiarował mu nawet po ukończeniu szkoły, patent kapitański, ojciec wszakże niechętny karierze wojskowej syna, nie zgodził się na to i wysłał go r. 1794, przed samem powstaniem Kościuszki z kraju, za granicę, do Wiednia, gdzie młody Biernacki dopełnił swego wykształcenia, uczył się z zapałem języków obcych, zwłaszcza angielskiego, a że lubił książki, zdobył wyjątkową wprost erudycję. Dzięki rekomendacyom otwarty miał dostęp do arystokratycznych domów, niemieckich i polskich w Wiedniu, przyjmowany był u ks. Lichnowskiej, poznał przelotnie przebywających w Wiedniu ks. Kazimierza Sapiełę i marszałka Małachowskiego. Po dwóch latach spędzonych na studiach w Wiedniu, wstąpił do służby sądowej austriackiej i był praktykantem w trybunale pierwszej instancyi w Krakowie. Niedługo tam jednak zabawił, gdyż zmuszony był wkrótce, skutkiem przykrego zajęcia, nie dającego się bliżej stwierdzić, opuścić służbę cesarską. Odbył wówczas podróż do Berlina i Petersburga, aż wreszcie w r. 1808, dostał się do Czartoryskich. Pełnił obowiązki bibliotekarza Księstwa, był też sekretarzem ks. Adama, który wysłał go do Szwecyi, dla pozyskania

stantąd cennych zabytków sztuki i książek dla Puław, używał go też nieraz, jako zaufanego agenta, do ekspedycji i misji politycznych. Miał bowiem oprócz znacznej erudycji, posiadać wcale niepoślednie zalety dyplomatyczne. Był to, według współczesnego świadectwa „zdolny i uczony człowiek, zawsze mało mówiący, a w polityce umiejący wszystko słyszeć, a nie niby nie wiedział i na każde zapytanie jedną miał odpowiedź: nie wiem“. Z temi dyplomatycznemi cnotami szła w parze jednak, duża ambicja i pewna czułościowa drażliwość; melancholijne zaś, niezdrowe usposobienie, przy samotniczych bibliotekarskich zajęciach i funkcjach milczka-dyplomaty, stały się w najbliższej przyszłości środkiem poważnej umysłowej choroby.

Jadąc do Anglii miał Biernacki podwójne zadanie do spełnienia. Przedewszystkiem miał się zwrócić do ministerium i oddać lordowi Castlereagh, rekomendację Stewarta i list ks. Adama. „Ziomkowie moi“, pisał Czartoryski, „żądali odemnie, żebym zaopatrzył p. Feliksa Biernackiego pismem do Waszej Ekscelencji i zapewnił Pana, Milordzie, że możesz zupełnie wierzyć temu, co będzie miał zaszczyt powiedzieć względem położenia i życzeń Polaków. Kilka rozmów, jakie wypadło mi mieć z Sir Charles Stewartem, przekonały mnie, że mogą do Pana w tej sprawie napisać. Oddawca niniejszego pisma, jeśli raczysz mu Pan pozwolić mówić, postara się przedstawić motywy swej podróży do Anglii. Poprzestaję na zaleceniu go szczególnej protekcji Waszej Ekscelencji. Proszę pismo niniejsze zachować dla siebie, dowodzi ono, Milordzie, jak wielką mam ufność do charakteru Pana etc...“. Niezależnie od tego a zwłaszcza, gdyby u rządu nie wskórać nie zdołał, miał Biernacki zwrócić się do przywódców partyi liberalnej i starać się za ich pośrednictwem poruszyć opinię publiczną na rzecz Polski. Była to właśnie najtrudniejsza i wymagająca wielkiej obrotności i taktu, część zadania, zwłaszcza, że teren działania był niełatwy dla takich robót, a emisaryuszowi zgolałoby. Ułatwić mu miały obroty w tym względzie listy polecające do whigów; o ile jednak do ministerium był zaopatrzony w dostateczną rekomendację Stewarta, nie miał nic do przywódców partyi liberalnej, prócz pism samego księcia, gdyż Wilson, który przyobiecał takowych udzielić, zawiódł i poleceń nie przysłał, a ks. Adam, żeby już dłużej nie zwlekać, poprzestać musiał na zaopatrzeniu Biernackiego w odrębne listy do Canninga i lorda Gowera. Była to okoliczność ważna, gdyż w tak ekskluzywnem jak angielskie, a zwłaszcza podówczas, społeczeństwie, niemało zależyło od dobrych poleceń.

Oprócz owego pisma, miał Biernacki przełożyć ministrowi angielski memoriał osobny, zatytułowany „Polityka Wielkiej Brytanii“. Operat ten, znacznych rozmiarów, który ks. Adam zaczął opracowywać w Reichenbachu, pisany był w duchu podobnych memoriałów składanych Aleksandrowi, w których zawsze punktem wyjścia były liberalne, humanitarne zasady słuszności i sprawiedliwości, dobra narodów, interesu ludzkości, jako założenie z którego wynikały nawskroś idealne dedukcye i postulaty polityczne. Były to rzeczy piękne, dodatnio świadczące o autorze pism tego rodzaju, ale mało skuteczne. Trafiały wywody w tym duchu do Aleksandra, jeszcze naówczas przenikniętego wolnomyślnymi hasłami, były jednak zgoła obce i wprost niepojęte dla ówczesnych dyplomatów i mężów stanu, którzy nie umieli wziąć tak górnego lotu, tkwili w najgrubszym i bezwzględny egoizmie państwowym lub co gorsza czysto prywatnym, kierowali się w polityce o wiele niższymi, nawskroś realnymi względami. Czartoryski wierzył święcie w żywotność owych hasel i po szeregu osobistych zawodów i klęsk politycznych, będzie domagał się jeszcze w zapomnianym dziś traktacie o dyplomacyi przywrócenia i zastosowania tych wzniosłych zasad w polityce, gdzie przez długie czasy świeciły nieobecnością.

We wstępie do owego memoriału, przeznaczał Czartoryski Anglii, z tytułu jej przodownictwa w walce z Napoleonem, którą umysły tego kroju utożsamiały z walką o dobrą sprawę, walką narodów ujarzmionych zdespotyzmem o niepodległość, zaszczytną rolę „protektorki narodów nieszczęśliwych“ której jedynym celem w polityce jest ten „żeby niepodległość, spokój i szczęście stały się udziałem wszystkich ludów“. Odkąd Anglia „wzniosła sztandar dobrej sprawy w Hiszpanii“, udzielając temu narodowi tak silnego a bezinteresownego poparcia, nadzieje wszystkich narodów zwróciły się ku niej. „Włochy, Tyrol, Szwajcarya, Niemcy i Holandya wyczekują, kiedy wybije dla nich godzina wolności“. Polacy zrażeni „milczeniem, jakie rząd angielski zachował wobec podziału Polski“ oraz „stosunkami utrzymywanymi przezeń z mocarstwami, które się tej zbrodni politycznej dopuścili“ niczego się od niej nie spodziewali. Jednak wobec nowego stanu rzeczy na kontynencie, wobec coraz więcej dającej się odczuwać potrzeby sprawiedliwości i zasad, gdy „wypadki nadały polityce angielskiej charakter wielki“, Polacy „zwracają się z ufnością ze swojemi życzeniami ku rządowi angielskiemu, widząc w nim ratunek i pewną podporę w ostatecznem nieszczęściu własnem i sądzą, że Anglia nie wyłączy ich sprawy od wielkiej sprawy o nie-

podległość, która wszędzie jest ta sama, a którą Anglia winna popierać z uwagi na własny w tem interes“.

Podział i zagłada Polski „nauczyły rządy deptać wszelką sprawiedliwość i wszystkie kardynalne podstawy prawa narodów i moralności publicznej“, a nawet te, „które nie wzięły bezpośrednio w tem udziału, przyzwyczały się obojętnie i apatycznie spoglądać na wszystkie akty niegodziwości dokonywane w ich oczach“, nadto „niesprawiedliwość i gwałty trzech mocarstw względem Polski, zainicjowały i stały się przyczyną, oraz usprawiedliwiły poniekąd te, których się Francuzi dopuszczali“. Obok tych dalszych, wynikły z rozbioru Polski już w najbliższej konsekwencji najgorsze następstwa, gdy „Fryderyk Wilhelm II, zaspokoivszy swą drapieżność, już nie ukrywał dłużej złej woli względem swych sprzymierzeńców i zawarł z Francją pokój w Bazylei“, a Katarzyna II, wznieciwszy wojnę przeciw Francuzom, nie biorąc w niej sama udziału, zajęła się wyłącznie tylko nasyceniem swej zemsty na Polakach“, co do Austrii zaś, która „zmuszona bronić się przeciw Francuzom, otrzymała w ostatnim podziale jedynie resztki pozostawione jej przez dwa inne mocarstwa, dano jej dla uspokojenia zachętę i zgodę na projekty rozdarcia tej monarchii i złupienia owych książąt, których oswobodzenie głosiła... „Polacy opuszczeni przez całą Europę, szukali przytułku u narodu który toczył wojnę z ich ciemieżcami... Francuzi przemawiali w imię wolności, Polacy nie mając wyboru, musieli uwierzyć pochlebnym ich słowom“, z Napoleonem zaś połączyli się „nie ze szczególnego upodobania, lecz z konieczności, ponieważ to był jedyny człowiek, który im podał rękę, rozpoczął odbudowanie ojczyzny ich, i obiecał im go dokończyć“. „Niepodobna przywrócić porządku niepodległości i sprawiedliwości w Europie, jeśli się nie wspomni o Polsce i jej prawach, nie byłoby też wcale rzeczą rozsądną zostawić w ręku Napoleona lub innego rządu francuskiego, ów wpływ, jaki miał aż dotąd na Polskę“. Europie i Anglii powinno zależeć na tem, ażeby owe „przygodne i przejściowe warunki łączące Polaków z Napoleonem przestały istnieć... Uwolnić od wpływu francuskiego ów naród wojowniczy i zdolny do najszlachetniejszego entyzyzmu, przywiązać go do sprawy Europy, z którą związane są własne jego losy, czyż nie byłoby to równoczesnem wzmocnieniem strony Bonapartemu przeciwnej? Cel ten może być jedynie tym sposobem uzyskany, że się powróci Polakom imię ich i egzystencję“...

Przechodząc po owych wstępnych uwagach do rzeczy samej, ujawniał ks. Adam bez ogródek obecną sytuację sprawy polskiej

oraz otwierające się dla niej szanse w rosyjskiej konjunkturze przy Aleksandrze. „Nadzieje polskie zwróciły się ku Rosyi. Polacy licząc na charakter i zasady cesarza Aleksandra, spodziewali się w r. 1805, że zechce odbudować Polskę i połączyć ją ze swoim cesarstwem, jak Węgry są złączone z Austryą. Nadzieja która kilkakrotnie zawiodła, odżyła ponownie, gdy cesarz rosyjski przed 6 miesiącami wszedł w tryumfie do Polski, a Polacy niczego nie zaniedbali i kilkakrotnie ponawiali prośby, żeby uzyskać decyzję cesarza, dotychczas jednak bezskutecznie. Gdyby ces. Aleksander do ich próśb się przychylił, zyskałby znakomitych oficerów i dzielnych żołnierzy, których liczba w kilku miesiącach by się podwoiła i potroiła w kraju. Cesarz zyskałby wiele sił rozrządnych, zarówno rosyjskich, jak i polskich, i nową podstawę operacyjną nieskończenie bezpieczniejszą. Te wielkie korzyści oraz potężne motywy sprawiedliwości nie mogły przeważać u Aleksandra, jak się wydaje, przesadnej obawy, by nie obrazić innych gabinetów rozbiorowych oraz starej nienawiści Rosyan do Polaków... Pomimo chłodnego przyjęcia, jakiego doznały zabiegi Polaków na dworze rosyjskim, dogadza im najwięcej ten sposób zdobycia własnej egzystencji... Gdyby cesarz Aleksander został królem Polski, mielibyśmy tę korzyść, że zostalibyśmy zjednoczeni bez wstrząśnień, bez nowych walk i mieli w perspektywie lepszą przyszłość. Gdyby Rosya lub inne mocarstwo wcieliło całą Polskę, żeby zrobić z niej jedną ze swych prowincyi, mogłoby to stać się groźnem dla państw sąsiednich i dla reszty Europy. Ale przy Polsce ukonstytuowanej w oddzielne królestwo, obawy te zinniejszyłyby się znacznie, defensywa cesarstwa raczej by się ustaliła, niż żeby środki ofensywne miały się zwiększyć. Skoro Rosya posiada już najrozleglejszą część Polski i gdy z końcem obecnej wojny trudno jej będzie odmówić terytoryalnego przyrostu, którego zresztą nigdzieindziej znaleźć niepodobna, jak w Księstwie Warszawskim, najłatwiejby można wszystkie życzenia i interesy zaspokoić, gdyby Polska przestała być prowincją rosyjską a przyłączona do Księstwa Warszawskiego stała się Królestwem oddzielnem, połączonem z cesarstwem. Jeśli interesem dobrze zrozumianym Europy jest odnowienie Polski zupełnie niepodległej, tem więcej domaga się ów interes, żeby ów kraj, o ileby jedno z państw sąsiednich wzięło go w całości lub przynajmniej większą część jego w posiadanie, nie był prowincją, lecz państwem oddzielnem, używającem własnej konstytucyi“.

Część esencyonalną owego memoriału, stanowiły dezyderaty polskie skierowane do rządu angielskiego, a pierwszym i naj-

ważniejszym był ten „żeby odbudowanie Polski stało się jednym z celów polityki kontynentalnej gabinetu angielskiego, który niechaj go nie traci z oczu, zabiega oń i popiera w stosownej chwili i odpowiednim miejscu, najwłaściwszym i najbardziej z resztą spraw europejskich zgodnym sposobem i nie pozwoli na hańbę nowego podziału i zapobiegnie nowemu rozdarciu Polski. Gdyby zjednoczenie całego kraju pod jednym monarchą było niemożliwem, niechaj gabinet angielski użyje swego wpływu i uzyska to przynajmniej za pomocą przedstawień, żeby powiększono masy a zmniejszono liczbę posiadaczy“ oraz ustanowiono rząd narodowy, co do którego „Rosya i Prusy już się niemal przekonały, że jest to środek odpowiedni. Wogóle gabinet angielski zechce nie zamilezać swego zainteresowania dla Polski i dla losu nieszczęśliwych jej mieszkańców, lecz przeciwnie niechaj je ujawnia i oświadcza się z niem przy każdej sposobności, żeby wiadzano o tem i żeby się już ustaliło, że Anglia chce mieć głos w tej sprawie i że niepodobna jej być dla niej obojętną. Niechaj posłowie otrzymają instrukcje w tym duchu, przedewszystkiem zaś niech na wypadek pokoju, pełnomocnicy angielscy będą upoważnieni do wytoczenia tej sprawy, do podania w tej mierze jakiejś inicjatywy i podtrzymywania jej...“ „Anglia nigdy nie uznała rozbioru Polski a w obecnej chwili ma wszelkie prawo wypowiedzieć się względem losów Księstwa Warszawskiego, które jeszcze do żadnego z jej aliantów nie należy... niezniosłaby, żeby bez niej rozstrzygano sprawę Włoch, Szwajcaryi i Niemiec, dlaczegoż nie miałyby posiadać głosu, nie być zainteresowaną i nie mieć żadnego wpływu, wyłącznie tylko w sprawie Księstwa Warszawskiego“.

Za interwencją angielską, cesarz Aleksander, który „skłania się do myśli połączenia Polski z Rosyą, ale wstrzymuje go zaślepiona, nieoglądająca się na przyszłość nienawiść własnych jego poddanych“ do Polski, miałyby zadanie ułatwione zarówno względem wrogiej opinii rosyjskiej, jak i wobec dwóch gabinetów, zresztą Prusy, nie sprzeciwiałyby się takiemu układowi, gdyby mogły odzyskać niektóre swe posiadłości w Niemczech“. Gdy zaś oba mocarstwa zgodzą się na to „zgoda obojętną im będzie forma wewnętrzna, jaką ten kraj otrzyma, powinny nawet życzyć sobie, żeby była taką, jaką proponujemy...“ Wdanie się Anglii, uważane będzie w Berlinie i Wiedniu, jako coś zupełnie naturalnego i prawdopodobnie będzie dobrze przyjęte przez cesarza rosyjskiego, jeśli będzie stosowne, taktowne i dyskretne“.

Podkreślając charakter poufny niniejszych przedstawień, zdawał się Czartoryski zupełnie na dyskrecję rządu angielskiego,

żądając by „wszelkie kroki jakie w sprawie polskiej, wyglądały tak, jakby pochodziły z własnej inicjatywy“, składał przytem dowód cennej lojalności, gdyż uprzedzając gabinet o zamierzonym poruszeniu opinii publicznej, prosił, „by rząd zezwolił wypowiedzieć się jej w sprawie polskiej“. „Pociągnie ona za sobą opinię całej Europy, już w tej mierze przygotowaną, a szczególnie wpłynie na Rosyan, co byłoby dużą wygraną, o ileby rząd angielski, godził się na odbudowanie Polski, przez oddanie jej monarsze rosyjskiemu“. Przez podniesienie tej sprawy w parlamencie, „zyskałaby ona niemało przez tak poważną dyskusję wobec forum publicznego całej Europy“. Gdyby ministrowie „pozwolili powiedzieć opozycji to, co byłiby sami w kłopotcie wyrzec“, mieliby niejako pretekst do wszczęcia całej sprawy z mocarstwami, którymby mogli oświadczyć „że opinia krajowa i ataki opozycji nie pozwalają ministeryum, zachować dłużej zupełnego w tym względzie milczenia“.

Obok tych naczelných, poruszone były jeszcze postulaty w części natury zupełnie aktualnej, jak propozycje np. utworzenia legionu polskiego na żołdzie angielskim przeciw Napoleonowi, lub odleglejsze, polegające na zacieśnieniu stosunków między Polską a Anglią, któraby mogła w Polsce zyskać taki punkt oparcia na Północy, dla zażegnania ewentualnych a nieprzewidzianych kataklizmów politycznych, jaki polityka angielska stale dotychczas znajdowała na Południu, w Hiszpanii. „Polacy pragną gorąco, żeby rząd angielski zajął się utwierdzeniem swego wpływu w Polsce i utrwaleniem tam stosunków, któreby ułatwiły wielce postęp cywilizacji i wzorowych urzędzeń“. W tym celu należałoby w Polsce umieścić agencję tajną, „któraby obowiązana była dostarczać informacji o tym tak mało znanym kraju i nawiązać z nim stosunki“, a wreszcie „stałby się mogła punktem centralnym akcji, nie tylko w Polsce, lecz także dla innych gałęzi wielkiej rodziny słowiańskiej... Podróżni angielscy, kupcy, otwierający domy handlowe, lub tylko nawiązujący stosunki handlowe i przemysłowe, mogliby pod ich pretekstem niezależnie od ciągnięcia zysków płynących z wymiany pieniężnej między oboma krajami, podejmować się i ułatwiać roboty polityczne“.

W końcowych uwagach podnosił raz jeszcze, że sprawa polska, wiąże się ze sprawą tych wszystkich, którzy w Europie cierpią, że nadzieje Polaków, polegają wyłącznie tylko na zasadach zdrowej polityki, którą czas najwyższy przywrócić w Europie. Gabinety europejskie „nie uznawały dotychczas sprawiedliwości i dobrej wiary“ kierując się wyłącznie tylko „interesem zachłau-

nym, zaślepionym, nieoglądającym się na słuszość i litość“, który był dla nich „racyą stanu, najwyższą mądrością, wobec której wszelkie inne względy winny zamilknąć“. Tymczasem owa rzekoma mądrość polityczna „wywołała niepokoje, straszne zamięszanie, ustawiczne wojny, powszechne spustoszenia, nieszczęścia narodowe, rodzinne, osobiste bez nadziei spokoju i szczęścia...“ „Po tylu wstrząśnieniach, po zupełnym przewrocie, którego skutki jeszcze trwają, nie będzie mogła Europa obejść się bez jakiegoś nowego prawodawstwa politycznego. W tej wielkiej pracy Polska nie powinna być zapomniana, byłoby wprost niedorzeczniem, żeby przyszedł kodeks prawa narodowego Europy, miał sankcyonować najbardziej krzyczącą niesprawiedliwość, jakiej kiedykolwiek się dopuszczono“. Zadaniem Anglii jest „odezwać się głosem sprawiedliwości do zdziwionej Europy“, wyzyskać swe stosunki i przewagę, „dla rozpostarcia dobroczynnego wpływu na kontynent i zaszczerpienia wszędzie zasad słuszości, porządku, szczęścia... stać się mentorką kuli ziemskiej w owem dziele tworenia, jakie ma nastąpić po chaosie“.

II.

„Dzień może wielki i rostrzygający“ notował Czartoryski w dzienniku swoim dnia 12 września 1813 r., ekspedując w drogę Biernackiego. Wysłaniec odbywał zrazu drogą powoli, gdyż dopiero w dziesięć dni stanął w Piłowie, miasteczku portowym, we fryskiej zatoce, gdzie wsiadł na okręt angielski „Rzeczpospolita“, który go przewiózł przez Bałtyk do Szwecyi. Odbywszy drogę z Kalskrony, do Göteborga nad cieśniną Kattegat, lądem, puścił się stamtąd już wprost do Anglii statkiem pocztowym angielskim „Skowronek“. Scigany w drodze przez okręt wojenny francuski, który pościgu zaniechał, na widok wycelowanych na pokładzie angielskim dział, wylądował Biernacki 16 października w Harwich, mieście portowym w hrabstwie Suffolk, skąd natychmiast puścił się do Londynu, gdzie stanął zrazu w śródmieściu przy ul. Gracechurch, najpoważniejszej bankowo-kupieckiej arteryi londyńskiej City, w gospodzie pod „rozpostartym orłem“, później jednak przeniósł się na ulicę Aldersgate, biegnącą pomiędzy dzisiejszymi trzema budynkami głównego urzędu pocztowego, t. zw. północnym, zachodnim i wschodnim. Pierwszem wrażeniem jakiego doznał, a zarazem trafnie zaobserwował, było poczucie

jakiejs większej swobody ruchów, coś w rodzaju zadowolonej ambicyi; nie zdołał sobie być może równie dokładnie uświadomić, jak powściągliwym i trudnym był obcy mu zresztą teren, na którym stanął.

U steru spraw znajdowało się naówczas w Anglii od roku, skrajne ministeryum torysowskie Liverpoola. Nie posiadało w swem gronie żadnej zdolniejszej głowy, stąd w przeciwieństwie do liberalnego gabinetu „wszystkich talentów“ Grenville'a z r. 1806, w którym Fox kierował polityką zagraniczną, zwane było ponieważ słusznie „ministeryum wszystkich niemięt“. Premier gabinetu, pierwszy lord skarbu, Józef Banks, lord Liverpool, zaczął swą karierę od podrzędnego stanowiska w urzędzie dla spraw Indyi a swą sprawnością jako urzędnik, wybił się wypromowany przez Pitta, na pierwsze stanowisko w kraju. Przy braku wszelkich talentów był to najupartszy wyobraziciel toryzmu w niniejszym gabinecie, obok Addingtona, obecnie lorda Sidmouth, sekretarza spraw wewnętrznych i kancлера, surowego lorda Eldon. W polityce zagranicznej był Liverpool najnieprzychylniej usposobiony dla Rosyi i nic nie uronił z owej za młodu jeszcze ujawnionej niechęci, gdy zabierając za Pitta młodsze gołos w słynnych debatach oczakowskich r. 1791, w których zwracał uwagę Izby na ambitne plany Rosyi, „na zamierzone przez nią w tajemnicy, a ujawnione postawę, zamachy na terytorya i niepodległość potężnych sąsiadów, na jej znane projekty podboju Turcyi, które o ile by do skutku doprowadziła, zburzyłaby kompletnie równowagę Europy z oczywistą szkodą każdego państwa w tej części świata“. Przemawiając w tym duchu, zajmował zarazem Liverpool przychylnie stanowisko względem Polski, gdzie właśnie z ofensywą angielską względem Rosyi, w najściślejszym związku zostawały, doniosłe przedsięwzięcia emancypacyjno-reformatorskie stronnictwa patryotycznego. Te same poglądy, po niespełna ćwierci wieku, wyjść miały na szkodę sprawy polskiej, gdy znalazła się wśród warunków gruntownie odmiennych, w konjunkturze rosyjskiej.

Najwybitniejszą figurą w gabinecie był sekretarz państwa dla spraw zagranicznych, Henryk Robert Viscount Castlereagh. Z pochodzenia Irlandczyk, a właściwie z rodziny szkockiej w Irlandyi zdawna osiadłej, rozpoczął swój zawód publiczny, jako liberalny reprezentant hrabstwa Down w parlamencie irlandzkim, opuścił wnet opozycję i wolnomysłne hasła, przeszedł do partyi rządowej, nagrodzony niebawem urzędem pierwszego sekretarza Irlandyi. Na tem stanowisku zasłużył się wielce rządowi, w przeprowadzeniu unii z Irlandyą, a przekupstwa, jakich w tym celu

używał, wyrobiły w nim cynizm, sceptycyzm, pogardę dla ludzi, stał się już niedostępnym dla wszelkich wolnomyślnych, idealnych zamierzeń, którym niedawno sam hoidował. Za poparciem młodszego Pitta, na którym też w polityce usiłował się wzorować, zrobił rychło karierę, a w gabinecie Portlanda 1807—9 r. był już sekretarzem wojny. Porwał się wówczas na większą imprezę, zainicjował wbrew zdaniu Canninga, ówczesnego sekretarza spraw zagranicznych, wyprawę na wyspę Walcheren, która skończywszy się haniebnym fiaskiem, wykazała nieudolność wodzów i autora i pociągnęła za sobą zupełną jego kompromitację. Wynikły na tym tle zatarg między nim a Canningiem, zakończył się pojedynkiem obu ministrów, po którym obaj musieli ustąpić z gabinetu. Castlereagh wypłynął znowu w r. 1812, wzięwszy w kreowanym wówczas gabinecie Liverpoola, ster spraw zagranicznych, z ręki energicznego, rwącego się do wielkiej akcji Wellesleya, hamowanego przez premiera, ostrożnego Percevala. Dzierżył go Castlereagh wytrwale aż do samobójczej swej śmierci 1822 r., lecz nie wyniósł z długoletniego zawodu publicznego, prócz powszechnej niepopularności, przenosząc ją jako „stosowniejszą dla gentelmana“ nad poklask publiczny, którym gardził, ufny w silne poparcie na dworze ks. regenta. Człowiek nie pozbawiony zdolności, posiadający dużą energię, nie miał talentów, ani oryentacji wielkiego polityka, był to minister sprawny, ale nie „ideowy“. Przy dotkliwie dającym się odczuwać braku wszelkiego wyższego wykształcenia, nie miał bowiem—rzecz u statysty w Anglii niezwykła—uniwersyteckich studyów, nie posiadał też tak koniecznej w publicznej służbie wymowy. Długie, zawile i wprost niejasne okresy, których używał w debatach parlamentarnych, były z reguły pośmiewiskiem ciętych, wymownych whigów, a mimo to wytrzymywał dzielnie ataki opozycjonistów, pełniąc ciężki i wyczerpujący zdrowie, w ustawicznym en garde w ciągnących się do rana nocnych debatach, obowiązek odpowiadania w Izbie Gmin, na wszystkie krytyki, interpelacje i zaczepki. W polityce zagranicznej, w chwili o której mowa, odrabiał poprostu puściznę, wielkich na tym urzędzie poprzedników, szedł z prądem powszechnym, bezwzględnie zwalczając Napoleona. W epoce pokongresowej zasłynął jako „szermierz reakcyi w usługach św. przymierza i Metternicha“ w kraju i zagranicą.

Poza Castlereaghiem, nie było ani jednej tęższej głowy w gabinecie Liverpoola, który mimo tak defektownego składu utrzymywał się bez szwanku przy sterze spraw. Nie mało przyczyniły się w tym względzie, sukcesy orężne koalicyi, a w szczegól-

ności świetne zwycięstwa Wellingtona w Hiszpanii, które rozpałały entuzjazm narodowy, otwierając widoki zupełnego pognębienia wroga, tak, że w patryotycznej gorączce, przy obróconej uwadze publicznej na rozgrywającą się na kontynencie rozprawę, nie odczuwano olbrzymich ciężarów wojennych spadających na naród, gdyż obok walki w Hiszpanii, na którą wydawano miesięcznie milion funtów szterlingów, prowadzono jeszcze wojnę ze Stanami Zjednoczonymi Ameryki północnej, a subsydia wypłacane mocarstwu kontynentalnym wynosiły za r. 1813 blisko 11 milionów funtów. Sprawy domowe straciły na razie wszelką aktualność, opozycja zaś z reguły nie przepuszczająca ministerium, która do niedawna sarknęła głośno na kosztowną wojenną imprezę hiszpańską, olśniona świetnymi sukcesami oręża angielskiego, zamilkła i aprobowała przez usta lorda Grenville'a przy otwarciu sesji jesiennej 1813 r. w zupełności politykę zagraniczną zniechęconego gabinetu, nie odzywając się ani jednym głosem krytyki.

Silne swe stanowisko, zawdzięczałi torysi w dużej mierze ścisłym stosunkom, jakie ich niedawno połączyły ze sprawującym od trzech lat rządu regencyjne, odkąd stary król Jerzy III w nieuleczalny obłąd popadł, ks. regentem, późniejszym Jerzym IV. Regent angielski, człowiek niemałych talentów, zwał się pierwszym gentlemanem Europy, był w gruncie rzeczy szulerem, pijakiem, rozrzutnikiem i rozpustnikiem, przypominając charakterem osławionego regenta francuskiego. Za młodu, więcej z frondy wobec ojca, niż z wyboru, zbliżony do whigów, przyjaźnił się z Foxem i Sheridanem, którzy mu dzielnie towarzyszyli w niecnym uciechach. Obóz liberalny, odrzucony przez starego króla, liczył dużo na swą przyjaźń z ks. następcą tronu i popierał jego sprawy, gardlując za spłaceniem długów, ilekroć ruina finansowa księcia oparła się o parlament; nie mało też zasłużył się, przemawiając w parlamencie za oddaniem mu nieograniczonych rządów regencyjnych, przeciw torysom, usiłującym nałożyć pewne w tym względzie restrykcyje. Doszedłszy wszakże do rządów, okazał ks. regent czarną niewdzięczność przyjaciółom swym z lat młodych, zrażony do nich nieco, gdy liberali Whitbread, Romilly i Brougham wzięli w obronę zniechęconą przez niego żonę, ks. Karolinę Brunświcką, i zerwał z whigami zupełnie. Związał się natomiast silnie z torysami, wziął nawet faworytę z obozu konserwatywnego, lady Hertford, bliską krewną Castlereagha, który też z tego podobno tytułu, cieszył się szczególnymi względami ks. regenta.

Środze zawiedziona w swych nadziejach pokładanych na ks. regencje, stała liczna wprawdzie i dzielna, utalentowana w swym

obozie licząca partya liberalna opozycyjna, była wszakże mocno zdeorganizowaną represyami starego króla i młodszego Pitta, oraz dwukrotnym rozłamem w łonie stronnictwa, cierpiała na zupełny brak spoistości i dyscypliny partyjnej. W ostatnich wyborach do parlamentu przypadło w dodatku czterech najzdolniejszych członków partyi w Izbie Gmin, Romilly, Tierney, Brougham i Lamb. W arystokracji whigowskiej, zasiadającej przeważnie w Izbie lordów, której punktem zbornym był dom byłego lorda kanclerza, Erskine'a, w Hampstead, oraz sławne ognisko liberalizmu Holland House, wyróżniał się głowa tegoż, lord Henryk Holland, siostrzeniec Foxa, gorący wielbiciel Napoleona, lord Charles Grey, przyszły reformator, lecz słaby polityk, lord William Windham Grenville, obok Greya, nominalny przywódca partyi, najzdolniejszy z nich wszystkich, lecz zwolna tracący już wpływy, zwłaszcza na luzem idący, skrajniejszy odłam. Obok nich liczono jeszcze lordów Lauderdale, Ellenborough, Henry Petty i ks. Norfolk, w rodzinie królewskiej sympatyzowali z whigami księżęta Sussex i Clarence. W Izbie Gmin przewodził opozycji stary, pocztuiwy kwakier Jerzy Ponsonby, składała się ona jednak z kilku grup. Była więc t. zw. partya Świętych, do której należeli Whitbread, niebezpieczny antagonistą ministeryalny w debacie, wymowny Horner, a wiódł ją Wilberforce, szlachetny głosiciel emancypacji czarnych. W skrajniejszym radykalnym odłamie, zwanym „górką“, znajdowali się Irlandczycy z Grattenem na czele, znany finansista Sir Baring, lord Gower i osławiony demagog-baronet, deputowany z Westminster, sir Francis Burdett. W prasie reprezentowały whigów: założony niedawno Edymburski Przegląd, z dzienników Morning Chronicle, nie mało też hałasu czyniły radykalne, srogo przez rząd prześladowane, „Political Register“ Cobbeta i „Examiner Leigh“ Hunta.

Stanąwszy w Londynie, przestał natychmiast Biernacki swe listy polecające do urzędu spraw zagranicznych na Downing Street, wszakże dopiero na trzeci dzień uzyskał u Castlereagha audyencyę. Przyjęty chłodno, minister bowiem zakłopotany zjawieniem się tak niezwykłego emisariusza, traktował go z pewną nieufnością, do czego się później przyznał zetknąwszy się z samym Czarotoryskim w Chaumont, słuchał jednak Biernackiego cierpliwie przez półtóry godziny. Nie było mu jednak zupełnie obcem, to co Biernacki przekładał, mógł mieć niejaka wiadomość o planach Aleksandra z relacyi poselskich z Petersburga, był niewątpliwie o nich poinformowany ze strony wrogiej Polsce. Jeszcze w listopadzie 1812 r., przebywający podówczas w Petersburgu, wielki patriota i były minister pruski Stein, donosił hanowerskiemu mi-

nistrowi w Londynie hr. Münsterowi, z którego zdaniem liczone się w gabinecie i na dworze angielskim, z jakimi to projektami względem Polski, Aleksander się nosi, że Rosyanie, nienawidząc Polaków, mocno tym zamierzeniom cesarza oponują, a życzą sobie jedynie Wisły, jako granicy. Zwracał też przy tem uwagę na grożące z takiego wzrostu potęgi rosyjskiej niebezpieczeństwo, że Rosya opierając się o Węgry, Śląsk i Pomorze wedrze się do środka Europy. „Anglia szczególnie“, zalecał Stein, „w połączeniu z Austryą winna zahamować owe dzikie plany, zapomocą silnych i stanowczych deklaracyi“. Oprócz Steina, działał nieprzychylnie Pozzo de Borgo, siedzący zdawna na żołdzie angielskim, który w memoryale przełożonym z początkiem 1813 r., wskazywał na nowy podział, jako na najlepsze załatwienie sprawy polskiej. i z tem się w gabinecie angielskim, gdzie głos Pozza był dość ceniony, zupełnie zgadzano. Będąc już uprzednio źle nastrojonym, Castlereagh przyjął niechętnie Biernackiego, a gdy mu ten zaprezentował cel swej misyi i rozwinął plan odbudowania Polski, podobnie jak to książę uczynił w memoryale, w braku lepszego argumentu, wypalił odrazu Cestlereagh, że w takim razie odżyłaby anarchia polska. Nadaremnie usiłował Biernacki wykazać ministrowi, że jest w błędzie, przypominając mu konstytucyę 3-go maja, wzorowaną na urządzeniach angielskich, niezdolał jednak zrobić żadnego wrażenia. „Anglia“, twierdził Cestlereagh, „znajduje się w takiej sytuacji, że musi skrupulatnie unikać wszystkiego, coby mogło dać powód do nieufności pomiędzy nią a jej aliantami, lub między dwoma mocarstwami na kontynencie. Nie można przypuścić, żeby jakiekolwiek państwo rozbiorowe zgodziło się na wydanie prowincyi, które zabrało Polsce. Niepodobna odbudować Polski za pomocą rokowań, jedynym środkiem do tego prowadzącym jest miecz. Gdyby Polacy powstałi z bronią w rękę, Anglia w innych warunkach, mogłaby im dać skuteczną pomoc. Z powodu jednak świeżych doświadczeń“, prawił z brutalną szczerością, „nie jestem skłonny życzyć sobie czegoś podobnego, skoro rezultat nie byłby wart rozlewu krwi i materialnej ruiny, jaką by taka walka za sobą pociągnęła. Polacy winni poddać się Rosyi i zabiegać o jej łaski. Anglii nie pozwalają traktaty z jej aliantami i obowiązki względem własnego narodu, które muszą być przedewszystkiem uwzględnione, mieszać się do spraw tego rodzaju“. Biernacki widząc, że już nic nie zdoła uzyskać, pytał jeszcze ministra, czy niema nic przeciw temu, żeby się zwrócił do opinii publicznej. Castlereagh przyzwolił na to, nie przypuszczając oczywiście w duchu, żeby to na wiele miało

się przydać, przykazał jednak Biernackiemu zachować rzecz całą w tajemnicy, co mu tenże solennie obiecał, powiadając, że Czartoryski umyślnie wystąpił tak nieznaczną figurę, żeby nie zwracać uwagi, odprawił go nakoniec z niczem, przyrzekając, że jeszcze go do siebie zawezwie.

Po tak kategorycznej odprawie, niepozostawało nic innego, jak zwrócić się do whigów. Była to rzecz ważna, ale i niezwykle trudna. Niezależnie od bezpośredniego wpływu na gabinet, który musiałby się niewątpliwie liczyć z silnym głosem opinii publicznej, przychylnym dla Polski, zrobiłoby poruszenie sprawy polskiej zwłaszcza w parlamencie i w prasie, niemałe wrażenie w Europie. Zysk byłby nieoceniony, tylko, że stosunkowo trudno było człowiekowi, który pierwszy raz na gruncie angielskim się znajdował, nacisnąć z powodzeniem ową ważną sprężynę życia publicznego w Anglii. Zanim jednak do whigów się udał, zwrócił się Biernacki do Canninga, do którego miał list polecający ks. Adama. Canning, bezsprzecznie jeden z najzdolniejszych umysłów angielskich ówczesnych, pogodzony już z rywalem swoim pozostawał neutralny, nieprzyjawszy ofiarowanego sobie w gabinecie Liverpoola sekretarstwa spraw zagranicznych, gdy mu odmówiono kierownictwa w Izbie Gmin, trzymał się w rezerwie i czekał lepszej okazji „z oczyma wlepionemi na urząd“, jakby w przewidywaniu świetnej swej karyery. Chociaż od kilku miesięcy rozpuścił swą partję w parlamencie i w debatach udziału nie brał, miał wszakże duże wpływy, utrzymując stosunki zarówno z partją rządową jak obozem opozycyjnym, w którym zaprzyjaźniony był z lordami Granville Leveson Gowerem i Carlisle, w najgorszych natomiast stosunkach zostawał z całym Holloux Holland, oraz z lordami Grenvillem i Greyem, z Broughamem i Whitbreadem.

Przyjawszy przychylniej niż Castlereagh Biernackiego, przyjaźniej też od ministra dla Polski usposobiony, tłumaczył, iż rząd tą sprawą nie może się zająć, gdy równocześnie stara się o zgodę Izby na subsydia dla Rosyi, Prus i Austrii. Mógłby najwyżej zrobić coś dla Księstwa Warszawskiego, mając w tym kierunku ręce wolne, a chociażby nawet istniała jakaś w tej mierze umowa, twierdził przenikliwy Canning, Anglia mogłaby zażądać, żeby ją zmodyfikowano. U rządu możnaby coś uzyskać, jedynie zapomocą interpelacyi w parlamencie, ostrzegał wszakże Biernackiego, żeby sprawy nie oddawał opozycji, ponieważ wszelki jej wniosek, będzie bezwzględnie zwalczony przez ministrów i ich partję, która stanowi większość w Izbie. Zwracał nadto Bier-

nackiemu uwagę, że od czasu gdy sprawą polską posługiwali się w atakach na ministrów, liberali, sympatyzujący z rewolucją francuską, przestała ona zajmować publiczność angielską, która, co gorsza, utożsamia Polaków z Jakóbinami. Naogół nie rokował wielkich nadziei, wypytywał się jeno skwapliwie, z kim już Biernacki miał sposobność mówić i co mu powiedziano.

Po owych niepomyślnych wywiadach utknęła rzecz cała, zwłaszcza, że Biernacki zachorował i cały miesiąc spędził bezczynnie. Przypomniat się jeszcze raz pisemnie z początkiem grudnia lordowi Castlereagh, prosząc o uwolnienie żołnierzy polskich, wziętych do niewoli przez Anglików w Hiszpanii i trzymanych w więzieniach w Anglii, lub też na pontonach. Pismo to jednak zostało bez odpowiedzi. Równocześnie niemal zwrócił się ponownie do Canninga, choć po tem, co słyszał nie miał już do niego wielkiego zaufania, posądzał go, poniekąd słusznie o ambicję tak wielką, że gotów kraj uwikłać w wojnę, żeby tylko wejść do gabinetu, zarzucał mu przytem brak wytrwałości. Prosił Canninga, żeby mu ułatwił poznanie Grenville'a, do którego widocznie nie miał polecającego listu, a także i lorda Granville Leveson Gowera, który był w r. 1805 i 1806 ambasadorem angielskim w Petersburgu, Czartoryskiego dobrze znał i cenił wysoko, jako przyjaciela Anglii. U obu tych lordów zamierzał Biernacki zabiegać o podniesienie sprawy polskiej w parlamencie, sam Canning zresztą zalecał mu Grenville'a jako polityka, którego głos istotnie dużyby miał wagę. Proponował nadto Biernacki w wspomnianym liście, czyby Canning osobiście nie zechciał przyłożyć się w zamierzonym poruszeniu sprawy w parlamencie. Odpowiedź, jaką w tydzień odebrał, dowodziła, że od Canninga niczego się już nie można spodziewać. Donosił mu Canning, że list ks. Adama wyekspedyował do Gowera, z Grenvillem jednak nie może Biernackiego zapoznać, gdyż sam z nim żadnych stosunków nie utrzymuje. Gdyby zaś Biernacki o to nalegał, może najwyżej potwierdzić wobec lorda Grenville'a, że odebrał list Czartoryskiego, zalecającego mu Biernackiego, zresztą o misyi jego z nikim nie podejmuje się mówić, gdyż ks. Adam zalecił mu w tym względzie dyskrecyę bez wyjątku. Mógłby pomówić z lordem Gower, lecz tylko w takim razie, jeśli się przekona, że on już jest skądinąd o wszystkim poinformowany. Co do mocyi w parlamencie, wymawiał się od niej wykrętnie, twierdząc, że udział jego w tej sprawie niewielkąby miał wartość, gdyby Biernacki, u innych znalazł obojętność.

III.

Niewiadomo co Biernacki uczynił i czy próbował na własną rękę jeszcze zbliżyć się do Grenville'a i Gowera, gdy przekonał się dowodnie o nieuczynności Canninga, który niewątpliwie z tego powodu odmawiał, że nie chciał wdawać się w sprawę, mogącą go narazić na kompromitację wobec gabinetu i dworu. Poznał się jednak Biernacki w tym właśnie czasie, sposobem bliżej nieznanym z Henrykiem Broughamem. Młody ten adwokat, Szkot z pochodzenia, zwracał podówczas powszechną uwagę swymi talentami, rozległym wykształceniem i porywającą wymową. W Izbie Gmin co prawda nie zasiadał, przepadłszy przed rokiem w miesiącu Liverpool przeciw Canningowi, miał jednak rozległe stosunki w arystokracji whigowskiej, był częstym gościem w Holland House, zaprzyjaźniony z Grecym, Canninga natomiast nienawidził. Ponadto—i to była właśnie okoliczność wysoce podbijająca w cenie pozyskanie tego człowieka—Brougham był współzałożycielem i współkierownikiem poważnego organu whigów, „Przeglądu Edynburskiego“. Pismo to powołane do życia w r. 1802, przez niego, Sydneya Smitha, niebezpiecznego satyryka oraz Francisza Jeffreya, „Jowisza krytyki“, stało się odrazu najpoczytniejszem pismem w Anglii i zagranicą, a opinie wypowiedane na kartach „Przeglądu“, tej potężnej dźwigni reformy i postępu, miały wpływ duży nie tylko na publiczność angielską, ale i całej Europy. Brougham jak najlepiej przyjął Biernackiego, oświadczył swą gorącą dla Polski sympatię, opowiadał, że kiedy był jeszcze chłopcem, układał plany przywrócenia jej niepodległości. Okazał więc żywe zainteresowanie i zabrał się z właściwym sobie zapałem do rzeczy, biorąc niemal wszystkie obroty na siebie, napisał wreszcie, na podstawie zasiągniętych u Biernackiego informacji, broszurę p. t. „Apel do sprzymierzonych i narodu angielskiego w sprawie Polski“, która dopiero całą sprawę na dobre tory wprowadziła, poruszając silnie, choć przejściowo, opinię publiczną.

W piśmie tem, które, jak już sam tytuł wskazywał, miało zwrócić uwagę zarówno Anglii, jak i Europy na sprawę polską, wyprowadzał ją w następujący sposób przed forum publiczne, nawiązując do wypadków rozgrywających się na kontynencie. „Zdumiewające sukcesy wojsk sprzymierzonych postawiły Europę w takiej sytuacji, że ci, którzy pierwotnie utożsamiali rokowania z nieprzyjacielem z poddaniem mu się, gotowi są obecnie trakto-

cić uwagę na los Polski, bez względu na to, czy zajmą się sprawą pokoju, czy też wojny“, gdyż „jeśli pokój stanie, wypadnie rozporządzić działami Prus i Austrii, stanowiącymi Księstwo Warszawskie, a skoro wojna w dalszym ciągu będzie się toczyła, nieźleby było, dowiedzieć się, jakby pozyskać siedmnaście milionów Polaków, dla dobrej sprawy“. Przypominając, że „zdaniem pewnych ludzi wyrzec imię Polski w obliczu sprzymierzonych, znaczy dopuścić się rażącej niedyskrecyi“, oświadczał autor iż nie widzi „dlaczego ten temat, miał być dla sprzymierzonych tak przykrym“, gdy „żaden z tych wielkich monarchów nie brał czynnego udziału w pierwszym rozbiórce Polski... ostatni zaś był dziełem polityków, którzy już nie żyją. Można by wprowadzić ciężkie uczynić zarzuty mocarstwom za ich późniejsze obejście się z Polską, wszakże dotyczą one raczej systemu, niż osobistości i można je rozpatrywać z taką swobodą i otwartością, jak wszelką inną kwestyę polityczną“. Zatem „polityka stosowana do Polaków“, konkludował autor, „może być przedmiotem dyskusyi, bez obawy urażenia kogoś, ponieważ nie zależy w niej na tem, żeby komukolwiek przyganiać, ani też, żeby drażnić umysły, lecz jedynie tylko na wykazaniu, jakie zmiany w owej polityce mogłyby wyjść na pożytek aliantów i Europy“.

Po kilku pochlebnych zdaniach pod adresem monarchów sprzymierzonych, zwracał się do publiczności angielskiej i trafiając odrazu w sedno rzeczy, zapytywał, czy to przypadkiem nie owa okoliczność, że Polacy stali po stronie Napoleona, nie pozwała Anglikom interesować się losem Polski. „Niemasz jednego mocarstwa, obecnie przeciw Francyi sprzymierzonego, ktoreby niebyło niegdyś jej aliantem i nie walczyło pod jej sztandarem, ...armia rosyjska najechała prowincye austriackie, gdy Wiedeń był przez Francuzów zajęty, wojska pruskie i austriackie stanowiły część armii francuskiej wkraczającej do Rosyi“. Nie poprzestając na tej przecinającej wszelkie wątpliwości uwadze, pragnąc zupełnie usunąć wszelkie uprzedzenia do Polaków z tytułu ich związku z Napoleonem, objaśniał rzecz całą na hipotetycznym, trafnie dobranym przykładzie. „Przypuśćmy, że nieuleczone szaleństwo rządu, odstręczyło znaczną część narodu do tego stopnia, że zmuszony był uciec się do fatalnego środka, do wezwania pomocy zewnętrznej, że korzystając z tej sposobności odwieczny nasz nieprzyjaciel w części Królestwa wtargnął ze swemi siłami i usadowił się tam tak, że rozpostarł swe panowanie po całej Anglii; przedstawmy sobie na chwilę, że naszą piękną wyspę, którą instynktownie i rozumem kochamy, najechali Francuzi lub Włosi,

że czcigodne urządzenia obalone, niezmierne skarby złupione, mieszkańcy jej wymordowani lub zawleczeni w obcą niewolę, lub skazani na najbardziej nieznośne męki, na poniżenie w obliczu ogniska domowego, którego ich pozbawiano“. Chociaż rzeczy doszły do tego stanu, „że życie stało się ciężarem“—wszystko pochłania jedna myśl, „nie żądza ślepej zemsty, lecz odbudowania ojczyzny naszych przodków“. Wtem „Rosya, która zawsze była naszym sprzymierzeńcem, wydaje wojnę Francyi i wysadza znaczną armię na nasze brzegi. Wypada zapytać: czy uznamy Francuzów za naszych władców, dlatego, że oni są nimi de facto? Czyż mamy spokojnie nadal znosić niewolę? Czy staniemy po ich stronie do walki, która może zgłotować nasze oswobodzenie i która ma toczyć się na naszej ziemi? Czy połączymy się z nimi przeciw Rosyanom, którzy przybywają zniszczyć ich panowanie i nas oswobodzić? Anglik, który gani Polaków za to, że się dali wciągnąć do ostatniej wojny przeciw Rosyi, musi przyznać, że w przypadku, któryśmy przytoczyli, uznawałby obowiązkiem swoim połączyć się z tyranem francuskim przeciw Rosyanom. Polskę zalały niezliczone wojska, zanim jej dano do wyboru, stanąć po stronie tyranów, którzy ją posiadali, czy przy nowych zwyciężcach, którzy się zjawili. Byłoby to świadectwem złej woli, nie przyznać, że Anglia zachowywałaby się właśnie tak samo jak Polska“.

Oczyściwszy tak przekonywującym a gruntownym sposobem, Polaków z ewentualnych zarzutów wobec publiczności angielskiej, oświadczał, że nie żąda niczego dla Polski, czegoby nie można się dla reszty Europy domagać, a co sprzymierzeni szczególnie obowiązani są spełnić, jeśli zachowają w przyszłych swych działaniach, te same zasady, sprawiedliwej a zdrowej polityki, które wiodły ich sztandary od Wisły do Renu“. Widocznie jednak nie był zupełnie pewnym, czyli nie zawiodą, ujawnione przez monarchów sprzymierzonych, wniosłe intencye, gdy zostaną przy pacyfikacji powszechnej, wystawione na niezawodną próbę, gdyż wkładał w usta „nieprzyjaciół dobrej sprawy“ poważne w tym względzie wątpliwości, „że odsłoni się przed oczyma naszymi scena podobna do negocyacji dawniejszych, w której nie będzie można nic innego widzieć, jak kombinację gwałtu i fałszu, obawy i chciwości, jak terytorya pójdą zamiennym targiem za zasady, jak będzie się odbywał podział istot ludzkich, na wzór układów francuskich, jak mocarstwa zagarną wszystko, co będą mogły bezpiecznie wziąć, okazując umiarkowanie, jedynie tylko względem nieprzyjaciela... Gdy niepodobna było opuścić Hiszpanii i dokończyć podziału Holandyi“, zapytywał autor, „czy zachowanie się

Danii i Saksonii stanie się pretekstem do poszukiwania na tych państwach indemnizacyi? Czyż mamy dowiedzieć się, że według słownika rosyjskiego, oswobodzenie kontynentu oznacza złupienie po raz szósty Polski. Czy równowaga Europy wykląda się po szwedzku, wymianą Finlandyi na Norwegię? Czyż wojna nie skończy się, gdy się położy kres uzurpacyom Francyi? Czyż Prusy mają złożyć broń dopiero wówczas, gdy wioski saskie ozdobią skrzydlate orły?... Prawdziwa polityka sprzymierzonych, zawiera się w jednym słowie, powrót do dawnego stanu, ...sprzymierzeni nie powinni niczego innego pragnąć, jak wolności kontynentu... Niech odbudują Królestwo polskie, a Europa, świat cały i sama Polska, pogrzebie przeszłość w zapomnienie“.

Podnosząc, że owo wielkie rozluźnienie i upadek zasad politycznych, zaczęło się od podziału Polski, udawał, że „podział tego nieszczęśliwego kraju, niczem nie był usprawiedliwiony“, przypominał wysiłki patryotów polskich skierowane ku poprawie wadliwego ustroju państwa, sejm 1788 r. „obraz zupełnej zgody i radykalnej reformy“, konstytucję 3-go maja, która „wprowadzała o ile natura kraju, na to pozwalała, formę ograniczonej monarchii, przy której kwitnie Anglia“, zapoznaną, bo „patrzano na nią przez pryzmat wypadków francuskich“. Konstytucya owa, „w chwili gdy przyszła na świat, przyjętą została przez masę żołdaków obcych... kraj najechany i podzielony... byt jego zniszczony, imię wymazane z karty...“

„Opanowano kraj ten w r. 1793 i 4, w chwili, gdy Francya obaliwszy monarchię przekraczała swe starożytne granice i zagrażając niepodległości Europy, zajmowała Sabaudyę, Belgię i Holandję. Czyż podobna mówić wobec Polaków o uzurpacyach francuskich, bez rumieńca wstydu, gdy wiadomem jest, że podział Polski dokonał się w tym samym roku, co i zabór Niderlandów“. W tem właśnie miejscu przypomniął doktrynę, „że podział Polski stał się obecnie faktem, należącym wyłącznie do historii“, — i zauważał słusznie: „obrońcy tego poglądu, który stara się usprawiedliwić zbrodnie popełnione przed siedmiu laty, bardzo gorliwie remonstrowali przeciw zbrodniom, których dopuścili się Francuzi na ośmiu do dziewięciu lat przed owym protestem... pewny jestem, że oburzyliby się, gdyby ktoś twierdził, że podboje dokonane przez Francję w ciągu wojen rewolucyjnych są uświęcone, a przecież to niemal dwa razy po siedm lat minęło od czasu, gdy potwierdził je traktat“. Zatem „sankcya jaką dają traktaty, mogłaby raczej odnosić się do owych podbojów niż do ostatniego podziału Polski. Zresztą o ile o traktaty chodzi“, zauważał

w dalszym ciągu, „Anglia i Francya, których zdanie winno mieć jaką wagę, nie uznały nigdy, ani pośrednio, ani bezpośrednio w żadnym układzie, tego rozbioru, podczas gdy ta sama Anglia, podobnie jak i inni sprzymierzeńcy, uznali w uroczystych umowach uzurpacye francuskie i nowe państwa stworzone przez rewolucyę... z wyjątkiem zaboru Hiszpanii, uznanego kolejno przez wszystkich aliantów“.

„Dlaczegoż Anglia, zapytywał autor, „która staje w obrobie wolności Hiszpanii, Portugalii i Holandyi, wstrzymuje się wyrazić jakąkolwiek przychylność Polsce? Niepodobna, żeby przyczyną owej wstrzemięźliwości, była ta okoliczność, że Polska niema portu, w którymby można prowadzić handel, że niema statków, któreby można wziąć w zastaw, że brzegi jej nie nadają się do najechania stamtąd Irlandyi“. Zwracając uwagę na ujawnioną względem Ameryki północnej bezinteresowność, na „zrzeczenie się w imię honoru tak obszernego targowiska, niezgodne z opinią, jakoby wszystko miano poświęcać dla interesów handlowych“, oświadczał, że o narodzie „który ze względu na sprawiedliwość i ludzkość wyrzeka się dobrowolnie zyskowego handlu“ niepodobna powiedzieć „że stosunki jego z państwami innemi zależą wyłącznie od chwilowego zysku, że jedyną znaną mu równowagą Europy, jest równowaga handlowa, że interesuje się losem tylko owych narodów, z którymi może mieć interesy handlowe i otworzyć rachunek bieżący, że odczuwa niesprawiedliwość wyrządzoną jedynie tylko narodom o kędzierzawych włosach, czarnej cerze, języku barbarzyńskim i obyczajach dzikich. Polityka tego rodzaju byłaby bardziej niezręczną niż jest niesprawiedliwą...“

„Zobaczmy“, przemawiał dalej, „czyli odbudowanie Polski nie jest samozachowawczą potrzebą mocarstw kontynentalnych. ...Gabinety monarsze poznały potęgę opinii publicznej, która w ich interesie dokonała cudów. Skoro utraciwszy raz zaufanie publiczne, niepodobna go odzyskać, czyż można przypuścić, że pokój, nie oparty na zasadach słuszności, odpowie oczekiwaniom Europy? Czyż można przypuścić, że entuzjazm obudzony odwołaniem się do prawa i sprawiedliwości ...nie zagaśnie niebawem, ustępując miejsca przekonaniu, że wszystkie dwory, na równi są niesprawiedliwe, gdyby wynik układów okazał, że sprzymierzeni żądali od innych poświęceń, a sami nie byli do nich gotowi, że ich fałszywe deklamacye hasel liberalnych stały się przyczyną rozlewu krwi ich poddanych i zmarnowania zasobów, w tym celu, żeby oni jedni zdobyć mogli szacowne zyski... Możnaby śmiało zrzucić maskę i przyznać się do pogardy, jaką się żywi dla gło-

su ludów, gdyby wielkie niebezpieczeństwo było oddalone od uratowanej Europy“. Nie minęło ono jednak „sako sprzymierzeni, oświadczyli wobec całego świata, że chcą po ostatnich swych sukcesach, zostawić Francję potężniejszą, niż była przedtem, nim zalała kontynent i najechała wszystkie stolice“.

W części informacyjnej niniejszej broszury, rozwijając przed oczyma czytelnika obraz straszliwej ruiny materyjalnej, jaką Polsce zgotowały rozbiory, udowadniał „że nieszczęścia wspomniane (tj. rozbiory) mogły przynieść niewielkie tylko, lub zgoła żadne zyski dla rządów... Kilku faworytów się wzbogaciło, może skarb miał jakieś dochody, a to kosztem tych wszystkich trwałych zysków, któreby handel z Polską w czasie pokoju, niósł do kas publicznych i prywatnych jej sąsiadów... A ileż to racyi“, zapytywał „które przemawiają za zmianą, nie zyskuje na sile, gdy pomyśleć o osłabieniu wynikającym dla każdego z aliantów z podziału. ...Autorowie jego dostali miliony poddanych wojowniczego usposobienia, żwawych i nieprzejednanych, nieposkronionych, gotowych zawsze do powstania, do złączenia się z wrogami ich, gdy spostrzegą jakąś możliwość uchylenia jarzma... Polacy są tak żywo przywiązani do kraju swego, tak obojętni na to co się zwie interesem lub korzyścią osobistą, w porównaniu z celem ich entuzjazmu patryotycznego, odzyskaniem niepodległego bytu... Każdy Polak uważa niewolę jako najgorszą plagę i żyje tylko w tym celu, żeby się z niej uwolnić. Wobec tego „czyliż potworny widok Polaków ujarzniających na wyścigi narody wolne i szlachetne jak oni, nie rozdziera serca ludzi bezstronnych? Patrzenie na nieszczęsnego (illfatex) Poniatowskiego, który w swym świetnym zawodzie, zawsze nieszczęśliwy, podczas gdy sprawa, za którą walczył była najczystsza, szczęśliwy, że go zakończył, gdy nie było innego wyboru, jak śmierć lub niesława“. Przypominając jeszcze olbrzymie wysiłki i ofiary, na jakie zdobyli się dla Napoleona Polacy, w trzech wojnach, prowadzonych na gruncie polskim, odwoływał się do sprzymierzonych monarchów „jeśli przenoszą sąsiedztwo narodu przyjaznego a niepokonanego, nad wrogich poddanych, którymi trudno rządzić, niech jedno tylko słowo wypowiedzą. Dajcie usłyszeć głos, zdolny naprawdę obudzić niepodległą Polskę, ogłoście konstytucję 3-go maja, a pola pokryją się jazdą, mroki borów oświeci błysk lanc...“

Zastanawiając się z kolei w jakiejby formie wypadało odbudować Polskę, oświadczał się znowu autor za utworzeniem królestwa polskiego przy Rosyi i roztrząsał zarazem zarzuty, jakieby mogły być podniesione przeciw tego rodzaju kombinacyi,

że mianowicie, zwiększona tym sposobem potęga Rosyi, stałaby się niebezpieczną dla Prus i Austrii. „Przypuśćmy, że Rosya zamierzając działać przeciw swym sąsiadom, wyzyska te wielkie środki, jakie przywiązanie narodu polskiego dałoby jej do dyspozycji, ale czyż nie może uczynić tego obecnie, czyż nie mogła tego zrobić od pierwszego podziału. Przypuśćmy, że po zawartym pokoju, wszystkie trzy państwa odzyskają swe polskie prowincye, tak jak je posiadały w r. 1795 i że Rosya zamierza zaatakować Prusy. Wystarczy jej tylko ogłosić niepodległą Polskę, a natychmiast dzielnice pruska i austriacka połączą się z resztą i będą nie do zdobycia. Rosya będzie mogła z zupełnem bezpieczeństwem dać Polakom czas potrzebny do zorganizowania swoich sił, ażeby razem z nimi przystąpić do wykonania swych planów względem obu sąsiadów... Pomysłu tego nie tracono nigdy z oczu w praktyce i wątpię, czy istnieje polityk w Wiedniu lub w Berlinie, a przedewszystkiem w tem pierwszym mieście, któryby nie słyszał groźby: W takim razie podniesiemy Polskę“.

Dobrywszy tych argumentów, świadczących o przenikliwym sądzie autora i dużej znajomości polityki trzech gabinetów rozbiorowych, nie wypowiadał się przecież zupełnie stanowczo za unią polsko-rosyjską, pragnąc jakby wysondować w tym względzie opinię publiczną i zostawić jej ostateczną w tej mierze decyzję. „Gdyby powiedziano, że Rosyi, skoroby zachowała swoją dzielnicę, o wiele trudniej byłoby najechać resztę, oświadczam, że może pierwszego dnia, nie ogłaszając Polski królestwem niepodległym, poddać ją pod swoje panowanie, pozostawiając jej oddzielną konstytucję, tak jak Węgry są złączone z Austrią i tym sposobem zdobyłaby jeszcze większy wpływ na Polskę. Po zupełnej niepodległości, plan ten byłby z pewnością najbardziej korzystnym, zadowoliliby życzenia Polaków, byłby też być może najmiłszy Rosyi, lecz czyby nie narażał niebezpieczeństwa sąsiadów. Zdaniem mojem nie wolno wątpić, że zupełne odbudowanie Polski, za powszechną zgodą trzech mocarstw i reszty Europy, żeby zapewnić niepodległość, byłby projektem najwięcej odpowiadającym każdemu. Może nie jest najbardziej korzystnym dla Rosyi, ze względu na dwa inne mocarstwa, lecz niewątpliwie jest dla niej samej uajpewniejszym, a ta okoliczność winna ją skłonić do wybrania owego planu. Zapatrując się na interesy jej ze stanowiska wyższego i liberalnego, w razie układu zdającego Austrię i Prusy na łaskę Rosyi, czy to przez wcielenie całej Polski do cesarstwa, czy przez odbudowanie jej jako państwa oddzielnego pod jej panowaniem, ujrzanoby rychło koniec owej

ścisłej zgody, która oswobodziłaby kontynent, a obawa przed Rosyą otworzyłaby na nowo widoki intrygom, któremi Francya utorowała by sobie drogę wiodącą do powszechnego panowania“.

„Gdy niepodobna uzyskać tego, czego najwięcejbyśmy sobie życzyli, polityka rozsądna każe zadowolić się mniejszym zyskiem, który można osiągnąć. Gdyby na nieszczęście istniał nieprzewyzięty wstręt do Polski niepodległej, wskazany układ byłby niewątpliwie zyskiem ważnym i dla Europy i dla samych Polaków. Nie masz nawet niepodobieństwa pogodzenia osobnych interesów trzech dworów z powszechnem życzeniem Polaków, żeby ujrzeć swój kraj państwem niepodległym a oddzielnem. Po zupełnej niepodległości, ustanowienie monarchii dziedzicznej, ze zmienioną konstytucyą 3-go maja, w jednej gałęzi rodziny cesarskiej byłby do przyjęcia, o ile naród wchodzi w grę. Wyniesienie na tron cesarza rosyjskiego i ustanowienie tej samej konstytucyi, o ileby na to moment pozwalał, to inny plan, który zawiera wiele korzyści, chociaż niema w niem niepodległości i mniej dogodnym jest dla mocarstw sąsiednich“.

„Zresztą o ile o naród chodzi, wszelka zmiana jest dla niego ważną, byleby łączyła pod jednym rządem rozdzielone prowincye; najbardziej obawiać się należy jedynie nowego podziału“, podnosił słusznie opisując przytem opłakane skutki ustawicznych zmian terytoryalnych na ziemiach polskich, jak szyskany i utrudnienia, na które narażeni są tzw. *sujets mixtes*, rozerwanie węzłów rodzinnych i narodowych, fatalne wreszcie następstwa pochodzące z tej okoliczności, że na ziemiach polskich obowiązywały cztery odmienne kodeksy prawne. Odparłszy jeszcze zarzut co do rzekomego ucisku włościan polskich, wzywał „do rychłego ujawnienia swego zdania“, własny naród i rząd. „Nie możemy pozostać obcymi dla spraw kontynentu, jakbyśmy żyli na innej półkuli, jakbyśmy nie wzięli żadnego udziału w debatach, które obecnie dosięgają końca. Nie powinno się nas jedynie wówczas pytać o zdanie, gdy brak pieniędzy, bylibyśmy bowiem w takim razie tylko bankierami Europy. Odwołajmy się do zasad, od których poczęli sprzymierzeni swe świetne przedsięwzięcie... one domagają się koniecznie odbudowania Polski“.

Godziło się odgrzebać i w pamięci odświeżyć ów bodaj, że najwymowniejszy głos, jaki kiedykolwiek podniesiono za granicą w sprawie polskiej. Była to nie broszura polityczna, jakiś wywód systematyczny, lecz raczej improwizowane przemówienie, pełne ognia i dużej sympatyj, posiadające stąd większą wartość i żywszy interes. Na pierwszy rzut oka, daje się w piśmie tem

wyróżnić podwójny jego charakter, polemiczny i informacyjny, w rzeczy samej bowiem, zależało nie tylko autorowi na wzbudzeniu zainteresowania w opinii publicznej, lecz także, na możliwie gruntownem objaśnieniu jej o istotnym stanie sprawy. Jedyny zarzut jakoby kompozycji autora uczynić można, sprowadza się do tego, że w polemicznej stronie pisma znać aż nadto wyraźnie przyzwyczajenie adwokackie, któremu dał folgę autor przeprowadzając swe wywody negatywną drogą, i zużywając zbyt wiele energii swego pióra na odbicie zarzutów i przygwożdżenie fałszywych opinii. W treści jedynym punktem słabszym, zdają się być ustępy, w których autor zastanawia się, w jakiej formie wypadłoby odbudować Polskę. W tem miejscu, autor tak energicznie domagający się zajęcia się sprawą polską w ogóle, wypowiada się niezdecydowanie, jakby nie chciał sam tej sprawy przesądzać, lecz pragnął zostawić decyzję w tym względzie dyskusji publicznej. Owa wyraźna rezerwa, gdy przyszło mówić zwłaszcza o odbudowaniu Polski przy Rosyi, pochodzić mogła z ostrożności autora, który wstrzymywał się z zalecaniem takich kombinacji politycznych, co do których przy panującej naogół w Anglii nieufności ku Rosyi, nie zupełnie był pewnym, czy zostaną przychylnie przyjęte. Mógł o tem coś wiedzieć i Czartoryski, choć zgoła poważnie tej okoliczności w rachubę nie brał, wielce jest natomiast prawdopodobnem, że aranżując rzecz całą dyskretnie, zalecił Biernackiemu pewną w tym właśnie kierunku wstrzeźliwość, nie życząc sobie przedwczesnego ujawnienia wątpliwych jeszcze względem Polski zamierzeń Aleksandra, w których ostateczna decyzja w części skąd inąd była zależna. Starano się zatem zainteresować opinią publiczną raczej dla sprawy polskiej w ogóle, nie dla odbudowania Polski przy Aleksandrze i w unii z Rosyą.

Niezależnie od tego braku, dużą zaletą broszury jest owo porównawcze kryterium, które autor na pierwszy plan odrazu wysunął, że sprawa polska najściślej się łączy ze sprawami całej Europy, że niepodobna jej oddzielnie i inaczej traktować, jak Holandję, Hiszpanię, Włochy, Szwajcaryę lub Niemcy, których oswobodzenie zaliczono do pierwszorzędnych postulatów koalicyjnych. Ustępy informacyjnej natomiast treści, jak rzut oka na między partiackie koleje Polski, opis ruiny na ziemiach polskich, wynikłej skutkiem rozbioru, lub wspomnienie bohaterskiej śmierci ks. Józefa, w którym ów przenikliwy cudzoziemiec odrazu trafnie odgadł ofiarę rozpaczliwego konfliktu sumienia patrioty i honoru żołnierza, musiały niewątpliwie obudzić w czytelniku angielskim,

choć zgoła obcyin tym sprawom, żywe współczucie i zainteresowanie dla losów, tak dzielnie bronionego narodu.

Pismo to anonimowo wydane, w pierwszych dniach 1814 r., od razu zwróciło powszechną uwagę. Autorecenzya, jaką Brougham umieścił w styczniowym zeszycie „Edynburskiego Przeglądu“ nadała mu oczywiście większego jeszcze rozgłosu. Ukazało się nadto obszerniejsze sprawozdanie w najprzychylniejszym dla Polski duchu, w radykalnem piśmie „Examiner“, pióra Leigh Hunta. Zajęły się nadto sprawą polską wogóle dzienniki „Morning Chronicle“, „Times“ i Kwakerski Filantrop. W następnym, kwietniowym numerze „Edynburskiego Przeglądu“, redaktor jego Jeffrey zalecał znów uwadze publicznej sprawę polską, powiadając, że dopóki Polska jest ujarzinioną, niepodobna spodziewać się pokoju w Europie. Natomiast ministeryalna „Morning Post“, z okazji deklaracyi koalicyjnej, wydanej w Frankfurcie, uderzyła w ton niesłychanie nieprzyjazny dla Rosyi, przypominając wszystkie gwałty spełnione na Polsce. Słowem od czasu ukazania się Apelu rzecz cała wzięła lepszy obrót, sprawa polska zaczęła powoli stawać się przedmiotem uwagi i dyskusyi publicznej. Poruszono ją np. na meetingu publicznym w mieście Liverpool, rozprawiano dużo o Polsce w salonach londyńskich, zawsze w tonie najprzejazniejszym. Sukcesy te oczywiście przypisać należy Broughamowi, bez którego pomocy Biernacki poprostu niczego by nie mógł dokazać. Oddawał mu on nieocenione usługi, poruszając sprawę całą na wszelkie sposoby, wyzyskując w tym celu swe rozległe stosunki. Rekomendował Biernackiego dziennikarzom, ułatwiał poznanie wybitnych polityków, wyrobił mu nakoniec posłuchanie u ministra skarbu Vansittarta, który przychylniej musiał przyjąć emisariusza, gdyż on jeden w ciągu rokowań kongresowych, okazał nieco większą życzliwość dla Polski. Niemordowany Brougham, dziękując za udzielone Biernackiemu posłuchanie, zalecał go na przyszłość uwadze ministra, ze względu na interesujące szczegóły, jakich może dostarczyć o naradach Napoleona odbywanych w odwrocie z pod Moskwy i podnosił, że najmniejszy objaw zainteresowania okazany Polakom przez rząd, będzie niesłychanie ważnym, gdyż Aleksander ogląda się na opinię publiczną i rząd i życzy sobie poparcia z tej strony. Pomimo to nie miało owo ponowne zbliżenie się Biernackiego do ministerium, żadnych dalszych skutków. Gabinet był zresztą zupełnie zaabsorbowany, rozgrywającymi się na kontynencie ostatnimi aktami, rozprawy z Napoleonem. W grudniu 1813 r. zjechał do Londynu w osobnej misyi od monarchów sprzymierzonych Pozzo di Borgo,

celem porozumienia się względem ewentualnej pacyfikacji z Napoleonem, a niebawem podążył na kontynent sam Castlereagh, by strzedz osobiście interesów angielskich, w mających się niebawem otworzyć rokowaniach pokojowych.

IV.

Wśród tych poważnych intensywnych robót, wydarzyła się Biernackiemu przygoda natury komicznej. Dowiedziawszy się, że w Londynie przebywa, trzecia, jak podówczas mawiano, potęga w Europie, po Anglii i Rosyi, pani Staël, zwrócił się do niej pisemnie, pragnąc zyskać poparcie tej wpływowej w opinii publicznej osoby. Odebrał w odpowiedzi wyrazy współczucia dla Polaków, oświadczyła mu jednak pani Staël, że zdaniem jej chwila obecna jeszcze się nie nadaje, by można coś dla Polaków uczynić, że gotowa jest zresztą przyjąć u siebie Biernackiego, lecz tylko w tym celu, żeby mu podziw dla jego narodu wyrazić i to w cztery oczy. Brougham, który zupełnie nie podzielał hołdów składanych pani Staël w Londynie, znajdując jej dzieła, a szczególnie owo stanowiące tytuł do sławy europejskiej, „O Niemczech“, niesłychanie niejasnem, powierzchownem i nieścisłem, wypisał niesłychanie zjadliwą, dorzeczy zresztą reprimendę. Wypominał m. i. „że ma sympatye tylko dla Szwedów, Rosyan i Niemców, zachowując obojętność zupełną dla klęsk nie pochodzących od Bonapartego“, oświadczał, że „wymówkę tego rodzaju, iż nie jest jeszcze chwila odpowiednia, znajdzie i później, jeśli pożyje jeszcze pół wieku pośród admiracyi Europy“, a odpowiedź całą udzieloną Biernackiemu przypisuje raczej, lekkości wielkiego geniuszu, niż obojętności dworaka“. Była to replika tak złośliwa, że Biernacki nie miał odwagi jej wyeksponować, na co mu Brougham po namyśle odparł „może masz pan i słuszność, najlepiej byłoby jej poprostu napisać, że się na tem nic nie rozumie“.

Mimo że połączone zabiegi Broughama i Biernackiego, znaczne odniosły sukcesy, a sprawa polska stała się już wcale głośną w Anglii, nie miały przecież owe dość licznie ujawnione sympatye formy jakiegoś zbiorowego, jednolitego wyrazu opinii publicznej, z którymby gabinet musiał się liczyć i do sprawy przychylniej się odnieść. Nie poruszono bowiem dotychczas sprawy polskiej w parlamencie, za pomocą t. zw. mocyi, co jednak było połączone ze znacznymi trudnościami, zwłaszcza, że względu na tę

szczególną konstrukcyę ducha publicznego w Anglii, który więcej niż gdzieindziej nie znosi rozpraszania uwagi publicznej i gdy chodzi o sprawy pierwszorzędnej aktualności a w grze znajdują się naczelné interesy narodowe, zgola obojętnym i nieprzystępnym jest dla kwestyi o mniejszej doniosłości i Anglię bezpośrednio nie obchodzących. W chwili zaś o której mowa, opinia publiczna zupełnie zaabsorbowana była wypadkami rozgrywającymi się na kontynencie, gdzie właśnie wojska sprzymierzone wkroczyły do Francyi, ale równocześnie podjęto rokowania pokojowe z Napoleonem, których naogół nie życzo no sobie w Anglii, pragnąc doszczętnego zgnębienia Napoleona. Trudno było wobec tego znaleźć posłów gotowych podjąć poruszenie w parlamencie sprawy nieaktualnej i stąd poniekąd beznadziejnej. Nadto, i to była okoliczność niezmiernie ważna, o ile by już sprawa polska wniesioną została w formie mocyi do parlamentu, nie miałyby tam większych szans powodzenia wogóle, z tego powodu, że nieprzychylna partya ministeryalna posiadała górującą przewagę nad opozycyą, na której poparcie możnaby w danym wypadku liczyć, zdeorganizowaną, rozbitą na odłamy, pomiędzy którymi nie było żadnego czucia partyjnego, cóż bowiem mogli mieć wspólnego owi liberalni lordowie z Holland House z radykalistami z partyi Burdetta. Była oprócz tego pewna trudność technicznej natury, polegająca na tem, że w rokowaniach z posłami wypadało odstąpić całą misyę Biernackiego, nadto, gdyby już do mocyi przyjść miało, trzeba ją było z kolei ujawnić wobec Izby i gabinetu publicznie, i to według tradycyą uświęconych form parlamentarnych uprzednio, co najmniej na tydzień zapowiedzieć, na jaką to sprawę zamierza się zwrócić uwagę Izby i rządu, wiadomo zaś ile zależało na tem, ażeby roboty Biernackiego w Londynie, zostały w zupełnej tajemnicy. Ostatni szkopuł starał się Brougham w części przynajmniej pokonać, biorąc rzecz całą na siebie i traktował z posłami na własną rękę, Biernacki zaś zostawał w ukryciu i dopiero wówczas miał wystąpić i porozumiewać się z posłami, gdyby już gotowi byli podjąć się wytoczenia sprawy w parlamencie. Brougham zwrócił się najpierw do t. zw. starych whigów, grupy parlamentarnej, która została przy Burkem, po znanym rozłamie w łonie stronnictwa liberalnego w dyskusyi nad rewolucyą francuską. Wybrał ją umyślnie, mając więcej zaufania do owego umiarkowanego odłamu whigów, na którego czele stał szanowany powszechnie William Elliot. Z nim to właśnie traktował Brougham, ale niezwykle ostrożnie, bo zupełnie przemilczał o konferencyach Biernackiego z ministrem i widocznie życzył so-

bie zachować misję całą o ile możności w sekrecie, gdyż Elliot odmawiając oświadczył, że zdaniem jego „podniesienie w Izbie tematu, zachowanego w tajemnicy przed ministrami, a obchodzącego w tak dużej mierze interesy aliantów J. Kr. Mości (zaś w obecnej konjunkturze nadzwyczajnie drażliwego, gdyż naraża na szwank harmonię i serdeczne stosunki istniejące pomiędzy nimi, tak potrzebne dla dalszych sukcesów, jakie odnosił dotychczas ich oręż)—spotkałoby się z ostrą naganą“; otwarcie nadto przyznawał, że „niewiele obiecuje sobie z wysiłków kilku jednostek w parlamencie, w sprawie, która gdyby miała mieć powodzenie, wymaga połączonych sił wszystkich politycznych partyi krajowych“.

Obok Elliota, zabiegał jeszcze Brougham u innych polityków jak Romilly'ego, Wilberforce'a, lorda Holland, markiza Lansdowne i lorda Greya, chociaż jednak wszyscy oświadczaali się z osobistymi sympatjami dla sprawy, uchylali się jednak od podjęcia jakiejś poważniejszej akcji w parlamencie. Jeden tylko Grey, podjął się uczynić wzmianki o Polsce w Izbie, zrobił to jednak wówczas, gdy ów ciężar przytłaczający opinię publiczną, usunął się, kiedy wojska sprzymierzone wkroczyły do Paryża. Wówczas dn. 19 kwietnia, gdy poruszono w Izbie lordów, świeżo zawartą konwencję abdykacyjną z Napoleonem, przyłączając się do hołdów płynących z ust innych lordów, pod adresem Agamemnona koalicji—Aleksandra, podziwiał Grey „szlachetny a świetny odwet wzięty na stolicy Francji“, stwierdzał, że „cesarz wzniosł się na dotąd niedościgniony stopień chwały“, stawiał go na równi z Washingtonem zaliczając do bohaterów, którzy „poświęcili się sprawie wolności i niepodległości własnego kraju i tym sposobem najlepiej się zasłużyli sprawie pokoju i wolności w świecie“. Wyrażał nakoniec nadzieję, że cesarz przeszczepi drzewo wolności, które zasadził we Francji do własnych krajów, szczególnie między cierpiących mieszkańców Polski“.

Przygodna owa wzmianka żadną miarą nie mogła uczynić zadość potrzebie, a mówca wywiązując się tak mizernym sposobem z danej Broughamowi obietnicy, bynajmniej nie zasłużył na ową gorącą podziękę, jaką odebrał z rąk Kościuszki. Wspomnienie Polaków utonęło poprostu w potoku pochwał dla Aleksandra i uchodziło zupełnie uwadze publicznej, a i ten słaby efekt zepsuły do reszty, niektóre dzienniki, drukując z niedbalstwem, świadczącem o sporej ich ignorancji „Courland“ w miejsce „Poland“, chociaż później błąd ów bałamutny poprawiły.

Biernacki nie doczekał się nawet tak ułamkowego, jakim było odezwanie się Greya, sukcesu swoich kilkumiesięcznych zabiegów. W połowie marca opuścił Londyn, ruszając w powrotną drogę do kraju przez Holandję, gdzie miał zainteresować dla Polski, członka partii insurekcyjnej orańskiej, van Hogendorpa do którego miał listy polecające od Broughama. Niewiadomo nic bliżej, czy się porozumiewał z Hogendorpem i z jakim skutkiem, zauważyć jednak należy, iż Hogendorp, zostający w dość ścisłych stosunkach z Castlereaghiem, w memoriałach mu przekładanych, podkreślał niebezpieczeństwo, grożące przyszłemu królestwu Holandyi, angielskiej placówce na kontynencie, od sprzymierzonej z Prusami Rosyi, a tem samem działał na niekorzyść zamierzonego utworzenia przy Rosyi, Królestwa Polskiego.

DR. EUGENIUSZ WAWRZKOWICZ.

Charakter i przedmiot badań literackich.

I.

Badania literackie należą do rozległej grupy nauk, których przedmiotem jest rzeczywistość, stworzona przez człowieka—nauk humanistycznych czyli nauk o duchowym świecie ludzkim.

Oprócz tej rzeczywistości bowiem, która jako niezmierzona całość przyrody narzuca się zmysłom i poznaniu, przy całej rozmaitości imponując prawidłowością, stałością, jednostajnością i obliczalnością swych objawów—oprócz tej rzeczywistości przyrodniczej wznosi się i kształtuje nieustannie rzeczywistość inna, odrębna, istnienie swe zawdzięczająca człowiekowi. Człowiek, sam częścią przyrody będący i jej prawom w pewnym zakresie poddany całkowicie, posiada jednak w sobie świat od reszty natury różny i mający własne prawa—i dzięki temu może kształtować nadbudowę, która przyrodę uzupełnia i dumnie jej się przeciwstawia. To, co my dziś „światem“ nazywamy, składa się co najmniej w równej części z rzeczywistości ludzkiej i przyrodniczej, a kto wie, czy pierwsza nawet często nie przeważa.

Miedzy temi dwiema sferami rzeczywistości zachodzi różnica zasadnicza, która też stanowczo wpływa na sposób ich poznawania. Oto źródło i początek przyrody, powód i sposób jej powstania są nam niedostępne i mogą być tylko niejasno wskazane czy to przez wiarę czy przez metafizyczne hipotezy; przeciwnie źródło i początek wszelkich zjawisk tej rzeczywistości, którą człowiek stworzył, jest nam dane w samym jej określeniu i może być należycie stwierdzone, a tem samem odstania się powód i sposób jej powstania, bo jakkolwiek prawa przyrody

zachowują w niej moc swoją, o istnieniu jej decyduje wola i zdolność człowieka. Celowość i twórczość występują tu nie jako wyjaśniająca hipoteza, ale jako fakt niewątpliwy. Powstanie tłómaczy się temi zjawiskami, które każdy człowiek wielokrotnie stwierdza we własnem doświadczeniu. To też możemy zrozumieć genezę tej ludzkiej rzeczywistości, próbując we własnej duszy odtworzyć fakty, któreby doprowadzić mogły do jej powstania. Zagadką będzie dla nas zawsze, mimo wszelkiego postępu badań, powstawanie rośliny z ziarna, bo nie zdołamy przeżyć faktów psychicznych, któreby nam wydały się dostatecznymi dla wywołania takiego rezultatu; natomiast przy odpowiedniej inteligencji zrozumiemy powstanie kościoła św. Piotra lub symfonii Beethovena, bo fakty psychiczne, wiodące do takich wyników, są w przybliżeniu pewnem dostępne naszemu przeżyciu. Wyjaśnianie rzeczywistości ludzkiej opiera się przeto nie tylko na badaniu, wnioskowaniu, stawianiu hipotez—ale na przeżywaniu analogicznych faktów; występuje tu intuicya w najistotniejszym i najściślejszem znaczeniu jako istotna władza poznawcza — i ona dostarcza najważniejszego sprawdzianu dla sądów i hipotez w zakresie tych zjawisk.¹⁾

Tak badanie rzeczywistości ludzkiej wiedzie z konieczności w dziedzinę doświadczenia wewnętrznego. A głębsze zastanowienie się dodać każe, że cała rzeczywistość ta istnieje przede wszystkim w doświadczeniu wewnętrznem. Pewne jej składniki wogóle są niematerialne, dane tylko w dziedzinie psychicznej, n. p. wszelkie idee filozoficzne. Ale i te składniki, które okazują cechy materialne, istnieją głównie jako przedmioty doświadczenia wewnętrznego; jasne to jest, jeśli chodzi o dzieła sztuki—lecz nawet narzędzia wszelkie i maszyny posiadają ten charakter: najbardziej uniezależniona od człowieka maszyna nie mogłaby trwale funkcyonować, gdyby nie było nikogo, pozostającego do niej w odpowiednim stosunku psychicznym. I wypadki wszelkie i wszelkie twory w zakresie ludzkiej rzeczywistości istnieją dzięki faktom psychicznym i trwają przez oddziaływanie na fakty psychiczne i ich wpływ wzajemny.

¹⁾ Przyjęcie lub odrzucenie hipotezy psychologicznej zależy przede wszystkim od tego, czy proces analogiczny zdaje się nam możliwy do przeżycia. Podobnie ocenę estetyczną sprawdzamy przede wszystkim przez zastanowienie się, czy dane oddziaływanie estetyczne utworu wydaje się nam przeżyciem możliwem.

Rzeczywistość ludzka ma charakter psychologiczny i tenże charakter musi posiadać jej poznanie. Nauką więc podstawową dla ujęcia tej rzeczywistości jest psychologia. Jako nauka o pierwiastkach, związkach, procesach, prawach i własnościach świata psychicznego odgrywa ona tu rolę podobną, jak fizyka i chemia w zakresie nauk przyrodniczych.

Psychologiczne ujęcie jednak nie wystarcza jeszcze. Bo rzeczywistość ludzka nie jest tworem luźnych jednostek i nie trwa w doświadczeniu luźnych jednostek, ale kształtuje się w przeważnej części na tle życia zbiorowego. Wogóle trzeba zaznaczyć,¹⁾ że jednostka luźna, odosobniona, w znanym nam świecie nie istnieje; jednostka każda dana nam jest jako jednostka społeczna. Chcąc więc poznanie rzeczywistości ludzkiej oprzeć na podstawie należytej, trzeba jej szukać nie tylko w strukturze duszy jednostkowej, lecz także w strukturze społeczeństwa. Obok psychologii drugą podstawową nauką musi być socjologia.

Czy więc całkowity, pełny rozwój psychologii i socjologii dostarczyłby takiej sumy wiadomości, któraby rzeczywistość ludzką należycie wyjaśniła? Nie—odpowiedzi psychologii i socjologii wystarczyć nie mogą, mając charakter zanadto ogólny. Psychologia i socjologia dążą do określenia stałych pierwiastków życia psychicznego i społecznego, stałych jego form i praw, typowych objawów; dają więc wyjaśnienie analogiczne do tego, które jest celem nauk przyrodniczych; tak pojęta psychologia²⁾ i socjologia różnią się od nauk przyrodniczych swym materiałem, nie różnią się sposobem traktowania materiału: zarówno nauki przyrodnicze, jak psychologia i socjologia, jako założenie przyjmują stałość i podobieństwo zjawisk, niezmiennność związków przyczynowych, możliwość sprowadzenia różnaitości do ściśle określonych typów; w ten sposób w najbogatszej nawet zmienności odkrywają jednostajność.

Takie stanowisko—będące wogóle ideałem naukowego poznania—w stosunku do przyrody uważamy za wystarczające. Dla czegoż niedostatecznem jest ono (mimo swego podstawowego znaczenia), gdy chodzi o ujęcie rzeczywistości ludzkiej—tak dalece

¹⁾ Stwierdza to ze szczególnym naciskiem Dilthey (Einleitung in die Geisteswissenschaften, str. 38—39).

²⁾ T. j. t. zw. psychologia ogólna; odróżnić należy od niej psychologię indywidualną czyli (według terminologii W. Sterna) dyferencyalną—psychologię różnic indywidualnych.

niedostatecznem, że nawet psychologia musiała w ostatnich czasach przejść na teren—psychologii indywidualnej.

Oto dlatego, że inną jest zmienność przyrody, inną zmienność w owej pozaprzyrodniczej dziedzinie. Cechą zmian w przyrodzie jest ich powtarzanie się; z powtarzania się wynika ich obliczalność; zmiany nie powtarzające się, często indywidualne, w ogólnym obrazie przyrody znikają wobec tej stałości. Człowiek w swem życiu organicznem dzieli tę właściwość przyrody; w stałą ramę dojrzewania i starzenia się ujęte, życie organiczne człowieka okazuje i w normalnych objawach i w zaburzeniach przyrodniczą typowość, regularność. W życiu psychicznem jednostki już się rzecz inaczej przedstawia, już ustawiczna zmienność objawów domaga się uwzględnienia równie wielkiego, jak niewątpliwa stałość, tkwiąca we wszystkich zmianach. Jeszcze większe zaś górowanie nieregularnej zmienności nad stałością okazuje życie zbiorowe. Ustawicznie w niem wyłaniają się coraz to nowe, jednorazowe przyczyny, ustawicznie w sposób odmienny grupują się kompleksy przyczyn; stąd też wszelkie całości, jakie przedstawia życie zbiorowe, nie powstają jako obliczalne rezultaty określonych stałych przyczyn, lecz kształtują się stopniowo przez dołączanie się coraz to nowych przyczyn, których wmieszanie się jest naogół nieobliczalne. Tego rodzaju szereg ciągły zmian nie mających cechy stałości i ze względu na to nie dających się nigdy z góry obliczyć, lecz dostępnych tylko odtworzeniu, rekonstrukcyi po ich dokonaniu—stanowi właśnie historię. Zrozumienie rzeczywistości ludzkiej nie polega na samem odkryciu praw ogólnych, ale wymaga odtworzenia faktycznego, jednorazowego szeregu zmian i jednorazowych wytworów, poznania nie stałości samej, ale skomplikowanej stopniowości.

Poznanie rzeczywistości ludzkiej, oparte na psychologii i socjologii, musi być przede wszystkim—historyczne.¹⁾

Poznanie historyczne byłoby zupełne, gdyby obejmowało wszystkie zmiany, jakie się w rzeczywistości ludzkiej od jej początków dokonały. Ale taka zupełność jest i niemożliwa do osiągnięcia i zbyteczna. Ponieważ rzeczywistość ludzką pojmujemy jako sumę objawów życia zbiorowego, przeto zmiany o tyle tylko nabierają znaczenia, o ile dotyczą jakiejś całości zbiorowej.

¹⁾ Nauki przyrodnicze historię wprowadzają tylko o tyle, o ile konstrukcyą sięgają poza obręb doświadczenia ludzkiego (w geologii historycznej, w teorii ewolucyi); tu przeciwnie historia jest dana w doświadczeniu.

Historyczne poznanie zwraca się jedynie ku tym zmianom, które wywołały pewne trwałe rezultaty w świadomości zbiorowej i które wobec tego stały się warunkami, kształtującymi olbrzymią całość rzeczywistości ludzkiej.

Te jednak trwałe rezultaty zmian mogą być dwojakiego rodzaju: albo zmiana jakaś sama przemija, a wywołuje szereg dalszych zmian i łącząc się z nowymi zmianami, wplata się w płynny tok dziejowej zmienności (n. p. dojście Napoleona do władzy powoduje szereg wojen, te z kolei stają się punktem wyjścia dalszych zmian), albo też zmiana pozostawia po sobie jakiś stały, stężony wynik, który jako samoistna całość, jako odrębny twór rzeczywisty dalej działa (n. p. kodeks Napoleona lub „legenda napoleońska“, jako stężone, usamoistnione wyniki działalności Napoleona). Rezultaty pierwszego rodzaju, zespalać się ze sobą, tworzą nieprzerwany ciąg wypadków historycznych czyli dzieje w ściślejszem znaczeniu. Rezultaty drugiego rodzaju, gromadzone i utrwalane przez tradycję, łączą się przez swą wewnętrzną istotę i przez wspólność celów w pewne systemy (n. p. kolejne zmiany prawa, ustalone i utrwalone, ostatecznie dają pewien system prawny). Pierwsze trwają tylko w chwilach — są w swej istocie przemijające, mają cechę związku *posobności, następstwa*; drugie z tego związku następstwa wyłaniają się jako realności trwałe, istniejące obok siebie, przechodzą w charakter *oboksobności*, co jest właśnie podstawową cechą systemu. Pierwsze są nierozzerwalnie związane z chwilą, z określeniem czasowem — drugie przełamują szranki czasu, zbliżając się do trwałości i niezmienności.

W ten sposób z płynnego toku dziejów wyodrębnia się szereg systemów: system uczłunkowania politycznego, system organizacyi społecznej, system zmian, dokonanych przez człowieka na powierzchni ziemi, system sztuk praktycznych od rzemiosł aż do sztuki wojennej, system prawa, system religii, system nauk, system sztuk pięknych.

I nie tylko wyodrębniają się te systemy, ale wyodrębnia się też wiedza o nich. Jakkolwiek całkowite ich poznanie musi być historyczne, to przecież dla pewnych celów zupełnie wystarcza poznanie gotowego, istniejącego teraz systemu. Znajomość dzisiejszego ustroju politycznego Europy może istnieć bez należytej znajomości historii; jeszcze jaskrawiej przedstawi się to w sztukach praktycznych: dla inżyniera historia inżynierii jest rzeczą dość podrzędną.

Czem jest taki system wyodrębniony? Jest on pewną sferą rzeczywistości ludzkiej, pewną sferą zjawisk czy tworów, odpowiadających jakiejś specjalnej potrzebie społecznej (n. p. system prawa odpowiada potrzebie uregulowania stosunków między jednostkami lub grupami); o tem więc, jakie składniki w ten system wejdą i jaka będzie ich rola, decyduje stosunek owych czynników do potrzeby, będącej podstawą systemu. Z tego już wynika, że każdy system wprawdzie ma swą historię i jest przez nią ukształtowany, że jednak nie zawiera bynajmniej wszystkich jej rezultatów: zawiera jedynie ich wybór; co więcej — rozwój systemu nie tylko dokonywa się przez przyrost nowych czynników, lecz także przez usuwanie dawnych, względnie zastępowanie ich nowymi, bardziej odpowiadającymi celowi. System taki jest dla społeczeństwa czemś aktualnem; o tych czynnikach, które wchodzi wprawdzie w jego historię, ale z niego samego są wyłączone, mówimy, że mają tylko „wartość historyczną“.

Stosunek ten historii do wyodrębnionego z niej, ustalonego i „aktualnego“ systemu istnieje we wszystkich sferach rzeczywistości ludzkiej — nawet w historii faktów, w dziejach w najściślejszem znaczeniu; nie tylko wyodrębnia się z nich pewien system sił politycznych i społecznych, ale nawet pewne wypadki i osobistości wyodrębniły się z toku dziejów i nabrały w świadomości ogółu szczególniejszego samoistnego znaczenia: Maraton, Termopile, Waterloo, Cezar, Dżengishan, Napoleon; możnaby ten wyodrębniony z dziejów system nazwać legendą dziejową; stanowi ona pewną odrębną sferę rzeczywistości historycznej, którą dotąd nauka nie zajęła się w sposób dostateczny.

Nauka rozgraniczyła w niektórych dziedzinach historię od wiedzy o systemie: dokonało się to najwyraźniej w zakresie nauk praktycznych i przyrodniczych (pojętych tu w znaczeniu pewnego systemu prawd i pojęć!); czemś innem jest astronomia a historia astronomii, technika budownictwa a jego historia; w ostatnich czasach na mocy takiego rozgraniczenia powstała obok teologii historia religii. Chodziłoby o to, czy istnieje takie rozgraniczenie w dziedzinie sztuki i literatury. Jest ono niewątpliwie dokonane w życiu; uważamy za konieczne dla wykształcenia, by znać Michała Anioła i Rafaela, Homera, Dantego i Shakespeare'a, Beethovena i Wagnera — nie żądamy koniecznie wiedzy o tem, jaka jest historyczna rola tych postaci, jakie historyczne antecedenсы i następstwa; t. zn. istnieje pewien system sztuki czy literatury, wyodrębniony od jej historii. Nim istniała historia literatury, były próby naukowego stworzenia tego rodzaju systemu

(u. p. dzieło Laharpe'a); dziś panuje przekonanie, że wiedza o literaturze to historia literatury. To jednostronne stanowisko sprawia, że badania literackie obce i obojętne stają się społeczeństwu, dla którego ważniejszy (bo aktualny) jest system, niż historia.¹⁾ „Vere scire est per causas scire“ — wobec tego nauka o literaturze historią być musi; ale ponieważ ma ona ująć istotnie pewną sferę rzeczywistości ludzkiej, musi się liczyć z faktem, że obok historii literatury istnieje w świadomości ogółu pewien system literatury, oderwany od historycznego poznania—nauka literatury musi tedy w odpowiedni sposób dojść do stworzenia wiedzy o tym systemie, a nawet — o historii zmieniających się systemów literatury.

Tak więc, stwierdziwszy poprzednio, że poznanie rzeczywistości ludzkiej musi być psychologiczne, socyologiczne i historyczne—dodać trzeba, że musi ono nadto uwzględniać tworzenie się i istnienie systemów aktualnych, t. j. uwzględniać stosunek rezultatów historii do potrzeb aktualnych społeczeństwa.

Zarówno poznanie historyczne, jak poznanie systemu ma za przedmiot zbiór zjawisk jednostkowych, jednorazowych—i nie może się ograniczać do wydobywania samych cech ogólnych, gdyż inaczej przestałoby być tem, czem jest — poznaniem szeregu zmian poszczególnych i określonych systemów.

Polega to znowu na zasadniczej właściwości, jaką przedstawia rzeczywistość ludzka w przeciwieństwie do przyrodniczej. W przyrodzie góruje znaczenie zjawisk typowych i gatunków; dlatego poznanie przyrodnicze nie uwzględnia indywidualności i zjawisk jednorazowych; ale i to nie jest regułą: o ile różnice indywidualne nabierają szczególnego znaczenia, nauki przyrodnicze muszą się również niemi zająć; tak się dzieje w geografii opisowej, przedstawiającej różnice o charakterze czysto jednostkowym i bardziej uwzględniającej charakter Wisły jako Wisły niż jako ogólnikowej rzeki. Same więc nauki przyrodnicze wskazują, że ograniczenie się do cech i praw ogólnych nie jest zależne od istoty naukowego poznania, lecz od istoty badanego przedmiotu i kierunku zainteresowań badacza. W rzeczywistości ludzkiej indywidualności i fakty jednostkowe grają rolę decydującą;

¹⁾ Potrzeba takiej nauki o systemie literatury daje się silnie odczuwać; jej wyrazem jest ciekawy artykuł Buchwalda w „Annalen für Naturphilosophie“ (1911) o konieczności stworzenia praktycznej wiedzy o literaturze, mającej dawać orientację w zakresie lektury.

przedstawia ona szereg czynników różnorodnych, których charakter w równej mierze jest uwarunkowany ich podobieństwami, jak ich różnaitością. Stąd poznanie jej wymagałoby właściwie poznania wszystkich faktów jednostkowych i wszystkich jednostkowych osobistości. Ponieważ jednak dla zrozumienia zmian historycznych i historycznej różnaitości wystarczy, jeśli obok rysów ogólnych uwydatnione zostaną różnice najwybitniejsze i w skutkach najważniejsze, przeto wystarczy poznanie jednostki przeciętnej i jednostek wyjątkowych, zjawisk przeciętnych i zjawisk wyjątkowych.

Poznanie historyczne jest wobec tego nie tyle uogólniające, ile indywidualizujące. ¹⁾

Przy tem uwzględnianiu zjawisk wyjątkowych występować musi ocena; a że zostają one zawsze odniesione do doświadczenia wewnętrznego (jako właściwej dziedziny rzeczywistości ludzkiej), przeto z określeniem ich wyjątkowości musi się łączyć pewien stosunek uczuciowy. Otóż z jednej strony zrozumienie ważności historycznej, z drugiej ów stosunek uczuciowy powodują, że dla poznania historycznego zjawiska są różnowartościowe. A z tem się łączy inna ważna cecha: poznanie usiłuje utrwalić to, co uznaje za wartościowe i uczynić je wzorem dla przyszłych zjawisk, zależnych od woli człowieka. W zakres poznania historycznego wchodzi więc wskazówki, reguły, postulaty, ideały. ²⁾

W przeciwieństwie do poznania przyrodniczego poznanie rzeczywistości ludzkiej jest nie tylko wyjaśniające, ale oceniające—i dzięki temu przybierać może charakter normatywny.

Dotychczasowe uwagi dotyczyły wogóle nauk, ujmujących rzeczywistość ludzką. ³⁾ Dla określenia badań literackich wyni-

¹⁾ Podkreśla to słusznie Dilthey: „Die Auffassung des Singularen, Individuellen bildet so gut einen letzten Zweck als die Entwicklung abstrakter Gleichförmigkeiten“ (Einleitung in die Geisteswissenschaften, str. 33).

²⁾ „Wie sie gewachsen sind“ — mówi Dilthey (Einleitung, str. 33) — enthalten die Geisteswissenschaften neben der Erkenntnis dessen was ist, das Bewusstsein des Zusammenhangs der Werturteile und Imperative, als in welchem Werte, Ideale, Regeln, die Richtung auf Gestaltung der Zukunft verbunden sind.“

³⁾ Co do metodologii tych nauk, por. zwłaszcza: Dilthey: Einleitung in die Geisteswissenschaften (Lipsk 1883) — Windelband: Geschichte und Naturwissenschaft (Strasburg 1892, 2 wyd. 1900) — Rickert: Die Grenzen der naturwissenschaftlichen Begriffsbildung (Lipsk i Tübingen 1902) Spranger, Die Grundlagen der Geschichtswissenschaft (Berlin 1903).

kają z nich wskazówki następujące: nauka literatury musi opierać się na *psychologii* i *socyologii*, być *historyczną* i przytem uwzględniać *system aktualny*, być *indywidualizującą* i *oceniającą*.

Z kolei odpowiedzieć trzeba na pytanie, czy w obrębie tych nauk literatura zajmuje stanowisko odrębne, t. zn. czy posiada odrębny przedmiot, należycie odgraniczony od przedmiotu innych nauk.

II.

Bez względu na to, jak ktoś pojmować zechce cel i zakres badań literackich, przedmiotem ich właściwym pozostanie zawsze utrwalony twór ducha ludzkiego, którego materyałem jest słowo—czyli krótko mówiąc: tekst.

Badanie literackie jest badaniem tekstów—to jest bezwzględnie pewny punkt wyjścia dla wszelkich rozważań dotyczących.

Tekst jednak nie tylko dla badacza literatury ma znaczenie—tekstami posługiwać się muszą również inne nauki. Jeśli wiedza o literaturze ma stanowić naukę odrębną, musi zajmować wobec tekstów stanowisko odmienne, niż badania nie-literackie. Może zatem rozpatrzenie sposobu, w jaki badacze innych dziedzin odnoszą się do tekstów, pozwoli należycie oświetlić charakter badań literackich.

Wśród nauk, posługujących się tekstami, najbliższej literatury stoi językoznawstwo. Językoznawstwo, o ile chce poznać dawne fazy języka, względnie języki dawne, nie ma wogóle źródeł innych prócz tekstów. Cóż czyni z tekstem badacz języka? Drogą analizy wydobywa on z tekstów elementy językowe (wyrazy, formy morfologiczne, połączenia składniowe, pierwiastki fonetyczne) i z nich konstruuje język, będący czemś od owych tekstów odrębnem—odpowiadający rzeczywistości, która istniała poza tymi tekstami. Tekst sam przez się nie ma tu znaczenia: schodzi do roli przykładu i dowodu; jest środkiem do poznania ściśle określonej, różnej od niego, rzeczywistości obiektywnej, którą stanowi język.

Drugą nauką, posługującą się tekstami, jest historia. Nie będąc źródłem jedynem historii, są przecież teksty źródłem najważniejszym, najobfitszym i najdokładniejszym. tak że historia przede wszystkim na tekstach opierać się musi. Na ich podstawie stara się historyk rekonstruować fakty i związki faktów. O fakty chodzi. Tekst znowu sam przez się nie ma znaczenia, staje

się tylko świadectwem faktów—jest środkiem do poznania obiektywnej rzeczywistości historycznej, różnej od niego i w swem istnieniu od niego niezależnej.

Inne nauki, zmierzające do poznania rzeczywistości ludzkiej czy przyrodniczej, jakkolwiek nie zależne od tekstów tak ściśle, jak językoznawstwo i historia, muszą się do tekstów zwracać, jeśli chcą korzystać z całego zasobu tradycji naukowej, z sumy osiągniętych już rezultatów. Ale jeśli przyrodnik n. p. z tekstu korzysta, pragnie tylko wydobyć z niego wiadomości o różnej i niezależnej od tego tekstu przyrodzie. Znowu więc tekst nie nie znaczy sam przez się—znowu jest pośrednikiem w przekazywaniu wiedzy o rzeczywistości obiektywnej.

Podobny stosunek do tekstu zachodzi również, gdy badanie ma na celu wiedzę praktyczną t. j. pewien system praktycznych wskazówek—gdy n. p. ktoś z dzieł wodzów znakomitych stara się wysnuć system strategii lub z dzieł moralistów system etyki. Nie o tekst wtedy chodzi. lecz o kształtowanie pewnej niezależnej od tekstu rzeczywistości; tekst jest tylko środkiem, pośrednikiem, źródłem.

Przedstawiony dotąd stosunek badacza do tekstu odpowiada dwu typowym formom korzystania z tekstu w życiu codziennym, gdy tekst służy jako źródło informacji lub źródło wskazówek — gdy więc znaczenie ma tylko ze względu na różną od niego i niezależną rzeczywistość i to jedynie o tyle, o ile jest do tej rzeczywistości dostosowany, o ile jest wiernym i dokładnym informatorem lub dobrym poradnikiem.

Obok tego istnieje w życiu codziennym jeszcze inna forma korzystania z tekstu: czytelnikowi (względnie słuchaczowi) chodzić może nie o informację, nie o wskazówkę, lecz tylko o podanie się bezpośredniemu działaniu zawartości ¹⁾ tekstu, tylko o te stany psychiczne, które zostają przez tekst wywołane, tylko o ten nowy składnik doświadczenia wewnętrznego, który zostaje przez tekst wprowadzony; w takim razie tekst ma znaczenie sam przez się, nie zostaje odniesiony do rzeczywistości, od niego odrębnej — lecz stanowi samoistną sferę rzeczywistości.

I podobnie badanie naukowe nie musi upatrywać w tekście źródła tylko, środka tylko do poznania lub kształtowania niezależnej od niego rzeczywistości — ono może uznać zawartość tek-

¹⁾ Przez „zawartość tekstu“ rozumieć należy wszystkie tkwiące w nim elementy psychiczne—„zawartość“ obejmuje więc zarówno treść, jak formę.

stu za odrębną, samoistną sferę rzeczywistości—i sferę tę badać bez względu na jej ściśle dostosowanie do innej sfery rzeczywistości.

Takie badanie tekstu—jest badaniem literackiem.

Przedmiotem badań literackich, czyli *przedmiotem wiedzy o literaturze*, jest *zawartość tekstów, jako odrębna sfera rzeczywistości ludzkiej*.

Uzyskane obecnie określenie jest jedynie możliwem, ściśłem, naukowem określeniem wiedzy o literaturze, podajacem zarazem jej rację bytu jako samoistnej nauki: o ileby bowiem tekst miał być badany ze względu na różną od niego sferę rzeczywistości, w takim razie należałby do dziedziny tej nauki, która się odpowiednią sferą rzeczywistości zajmuje, a literatura mogłaby stanowić chyba pewien zbiór materiałów, pewną podrzędną metodę badania, stałaby się nauką pomocniczą; istotnie też historycy skłonni są tak ją traktować, a podawane często definicje literatury uprawniają takie pojmowanie.

Określenie, do któregośmy doszli, wyodrębnia zakres literatury nie tyle przez podanie odrębnej kategorii przedmiotów, ile przez podanie odrębnego stanowiska badacza. I w tem znowu tkwi gwarancya jasności, ściśłości i trafności określenia. Przedmioty trudno jest dzielić na kategorie ściśle rozgraniczone; granice takich kategorii są w rzeczywistości płynne, niejasne; ten sam przedmiot może do różnych kategorii należeć, może stać na pograniczu dwu kategorii, jak owe istoty żyjące, które i do roślin i do zwierząt można zaliczyć. Natomiast nasze stanowisko wobec przedmiotów da się określić z całą pożądaną ściśłością; ten sam przedmiot można z różnych stanowisk rozpatrywać, ale każde stanowisko potrafimy jasno odróżnić i wyodrębnić. Oparcie zakresu nauki na stanowisku wobec przedmiotu jest zatem podstawą najpewniejszą i najwłaściwszą.

Jednocześnie znika zupełnie ów kłopot, z którym prawie nigdy nie umiano sobie należycie poradzić — kwestya, o ile dzieła naukowe należą do literatury; ich włączenie było zawsze jakimś niedozwolonem rozszerzaniem zakresu, wchodzeniem na cudzy teren—ich wyłączanie musiał każdy uważać za sztuczne tworzenie luki w obrazie. W świetle podanego określenia rzecz przedstawia się jasno: każde dzieło, z tego stanowiska wzięte, należy do literatury — i badacz literacki wcale przez to nie wejdzie w kolizję z nauką, do której owe dzieło należy; jako źródło do poznania rzeczywistości, którą autor bada, należy jego dzieło do odnośnej nauki; jeśli ktoś jednak zechce z niego wyodrębnić

to, co jest samoistną, tekstowi tylko przynależną zawartością — w takim razie znajdzie się na właściwym, odrębnym całym terenie literatury.

III.

Posługiwaliśmy się dotąd pojęciem „odrębnej sfery rzeczywistości“ — pojęciem, które określone zostało właściwie tylko negatywnie. Należy je wypełnić pozytywną treścią.

Na czym polega ta „odrębna sfera rzeczywistości“? Jakie czynniki w skład jej wchodzi? Jakie czynniki nowe wprowadza tekst w nasze doświadczenie wewnętrzne?

Pierwszy odrębny czynnik związany jest z materiałem. Tekst posługuje się słowem, jest pewnem połączeniem zdań. Materiał ten wchodzi w zakres wielkiej realności zbiorowej, którą jest język, będący przedmiotem badań językoznawczych. Ale tekst jako całość nie jest bynajmniej częścią języka; do języka należą jego elementy, nie ten specjalny sposób połączenia, który tworzy tekst indywidualny; język jest tem wobec tekstu, czem gatunki kamieni różnych wobec mozaiki. Tekst jest indywidualizowaniem i zorganizowaniem języka i dzięki temu już, bez względu na treść, działa jako czynnik odrębny na doświadczenie wewnętrzne. Ta pierwsza więc odrębna sfera ma charakter czysto formalny; polega ona na specjalnym oddźwięku psychicznym, jaki budzi rytm, dobór wyrazów, dobór brzmień i t. d.

Drugą sferę stanowi sposób poznawczego ujęcia treści, decydujący o tem, czy treść z większą lub mniejszą łatwością daje się przyswoić naszemu doświadczeniu wewnętrznemu. Tu należą oddźwięki psychiczne, które się łączą z cechami jasności, przejrzystości, chaotyczności, zawłości. Te dwie odrębne sfery wyróżnić się dadzą przy rozpatrywaniu każdego tekstu bez względu na rodzaj jego treści.

W pewnych tekstach wreszcie treść sama daje odrębną sferę rzeczywistości t. zn. nie informuje o rzeczywistości od tekstu niezależnej, ale wprowadza do doświadczenia wewnętrznego składnik nowy, analogiczny do składników tej rzeczywistości, którą każdy z nas ustawicznie przeżywa. Hamlet Shakespeare'a nie poucza nas o istnieniu jakiegoś Hamleta, ale do postaci, znanych nam z życia, dołącza postać analogiczną. Nazwanie tej nowej sfery rzeczywistości analogiczną do rzeczywistości ciągle przeży-

wanej ma oznaczać, że nowa ta sfera wywołuje w nas analogiczne stany psychiczne, analogiczne przeżycia, jak rzeczywistość w codziennem tego słowa znaczeniu. Radość, smutek, oczekiwanie, ocena chwalcą lub ganiącą, współczucie i t. d. — wszystkie te stany mogą być wywołane przez treść tekstu. Ale w takim razie może to tylko dodatek do reszty rzeczywistości, zwiększający jedynie sumę, a nie mający odrębności jakościowej? Nie — przeżywanie owych stanów psychicznych przedstawia się w zakresie treści tekstu inaczej i — korzystniej, niż w życiu. Dlaczego? To, co spotyka nas w życiu samem, ma bezpośredni wpływ na nasze stosunki, na nasze warunki życia; poczucie interesu własnego i płynąca stąd dążność poznawcza i praktyczna wybijają się skutkiem tego na plan pierwszy i nie pozwalają oddawać się niepodzielnie przeżywaniu całej różnorodności stanów psychicznych, wywołanych przez dane zjawisko; sama reakcja uczuciowa niezdolna jest wtedy uchwycić wszystkich pierwiastków, które mogłyby wartość mieć dla doświadczenia psychicznego, ale zwraca się w tym kierunku, w jakim ją popycha osobisty interes. Trzeba wyłączyć część rzeczywistości z całokształtu naszych stosunków życiowych, byśmy zdołali niepodzielnie oddawać się samemu jej przeżywaniu, nie zamięszanemu przez żadne cele specjalne. A to wyłączenie, jak umożliwia dopiero swobodną grę stanów psychicznych, tak zarazem usuwa z nich nadmierną, szkodliwą dla nas intensywność; wystarczy bowiem uświadomić sobie brak związku z całością naszych stosunków, by osłabić odpowiednio zbyt silne uczucie; śmierć w powieści działa inaczej, niż śmierć osoby sympatycznej w życiu.

Dalsza różnica między rzeczywistością codziennego życia a ową sferą odrębną w tem tkwi, iż rzeczywistość życia daje nam ogromny chaos elementów, z których trudno wydobyć pierwiastki będące właśnie szczególnie cennymi podnetami stanów psychicznych. Treść tekstu wyodrębnia z owego chaosu pewne tylko pierwiastki — i dzięki temu umożliwia ich pełne, niezamięszone działanie.

Wreszcie trzecia cecha odrębności: tekst podaje pewną sferę rzeczywistości nie bezpośrednio, ale za pośrednictwem odpowiedniego ujęcia i odpowiednich słów; one to wywołują szereg współbrzmień psychicznych, nie tylko ułatwiających przeżywanie treści, ale co ważniejsze dających temu przeżywaniu ściśle określony kierunek, działających suggestywnie.

Nie należy do zakresu niniejszych rozważań analizowanie stosunku tych stanów psychicznych, które wywołuje treść tekstu,

do stanów, wywołanych bezpośrednio przez życie—to problematologii. Dla nas wystarczy stwierdzenie, że sfera rzeczywistości, dana przez treść tekstu, zawiera specjalne wyjątkowo korzystne warunki wywoływania stanów psychicznych—i że wobec tego przedstawia się nam jako odrębna sfera rzeczywistości.

Sposób stworzenia tej rzeczywistości, dalej sposób ujęcia treści i jej przedstawienia zapomocą materiału słownego, jest wynikiem siły i zręczności duchowej autora. Tę siłę i zręczność w dziełach ludzkich silnie odczuwamy i są one dla doświadczenia wewnętrznego czynnikami ogromnej wagi. W tem więc, że tekst może nam dać poczucie siły i zręczności duchowej (poczucie pokonania trudności, panowania nad materiałem i t. d.), w tem jest ostatnia sfera owej rzeczywistości odrębnej, którą stanowi może zawartość tekstów.

Obejmuje przeto ta rzeczywistość odrębna cztery dziedziny, cztery sfery: 1) całość materiału słownego (indywidualizowanie i zorganizowanie materiału). 2) poznawcze ujęcie treści, 3) treść, suggestywnie przedstawioną, 4) objawiającą się w tworzeniu i kształtowaniu treści siłę i zręczność duchową.

Badanie literackie te właśnie sfery obejmuje; oczywiście zajmie się przede wszystkim takimi tekstami, w których zawartości istnieją wszystkie cztery sfery i to w stopniu, umożliwiającym należyty oddźwięk psychiczny. Tekst, jednoczący wszystkie cztery sfery, jest dziełem sztuki czyli utworem literackim; pierwsza, druga i czwarta sfera są właściwe tylko dziełom, stąd można je określić jako pierwiastki czysto-estetyczne („formalnie-estetyczne”), trzecia sfera (treść) jest analogiczna do rzeczywistości życiowej, jest zbiorem pierwiastków treściowo-estetycznych.

Ale trzy sfery, nazwane sferami pierwiastków czysto-estetycznych, mogą występować w stopniu wysokim także w innych dziełach—to też badanie literackie musi ze stanowiska literackiego badać i takie teksty, które treścią należą do zakresu innych nauk. Co więcej—są epoki, w których pierwiastki czysto-estetyczne okazują się i rozwijają przede wszystkim w zakresie tekstów, nie będących „utworami literackimi”. W początkowych stadyach literatury często twórczość literacka jest znikomą małą, a doskonalenie formy językowej i ujmowania przedmiotu i rozwijanie siły i zręczności duchowej w kształtowaniu treści dokonywa się w tekstach, mających cele naukowe lub praktyczne. I nawet w epokach, w których właściwa twórczość literacka stoi wcale wysoko, mogą zachodzić wypadki takie, że owe pierwiastki formalne pełniej wystąpią w innych dziedzinach, niż w literac-

kiej twórczości. Dzieje się to wtedy, gdy pewna sfera interesów duchowych zyska szczególną przewagę, gdy poznawanie lub przekształcanie praktyczne pewnej sfery życia zaabsorbuje najwięcej energii, gdy ta poznawana czy przekształcaniu mająca ulegć sfera stanie się w stosunku do codziennego życia najważniejszą sferą odrębną, dającą najintensywniejsze przeżywanie. W takim razie zdolność literacka zwróci się głównie do jej opracowywania. Tak n. p. w wieku XVI, mimo istnienia Kochanowskiego i Szymonowicza, najbogatsze rozwinięcie formy językowej i przedewszystkiem najpotężniejsze opanowanie przedmiotu, okazuje u nas literatura polityczna i religijna. We Francyi XVII w. potężne talenty literackie Bossueta i Pascala stoją poza ramami właściwej twórczości literackiej. W XIX w. często w historyografii zdarzają się tak ważne zjawiska literackie, jak u szczytów twórczości artystycznej. Przeto jest rzeczą możliwą, że w badaniach literackich nie tylko uwzględnione będą dzieła, nie obejmujące wszystkich czterech sfer odrębności, ale że czasem nawet na plan pierwszy wysunie się badanie tekstów, treściowo przynależnych innym dziedzinom.

Znaczenie pewnych pozaliterackich dziedzin dla badania literackiego (dla którego miarodajne jest, jak stwierdziliśmy, stanowisko badacza, nie przedmiot) przedstawi się tem jaśniej, jeśli zdamy sobie sprawę z tego, w jakim stosunku do życia pozostaje odrębna sfera rzeczywistości, tkwiąca w zawartości tekstów.

Odrębność jej—jak zaznaczyliśmy — na tem polega, że wywołuje ona częścią pewne odrębne stany psychiczne, częścią zaś stany analogiczne do tych, które wzbudzić może życie realne, lecz wywoływane w specjalnych, korzystniejszych warunkach.

Skoro wywoływanie takiej dodatkowej sfery stanów psychicznych jest najwybitniejszą cechą literatury, to widocznie płynie ona z potrzeby tych stanów psychicznych. A jeśli potrzeba taka istnieje i jeśli ją literatura zaspokaja—w takim razie widocznie nie wystarcza człowiekowi suma stanów psychicznych, dostarczana przez życie realne. Poszukując tedy innych źródeł, mogących dać mu dodatkową sferę stanów psychicznych, nie będzie bez różnicy starał się o wzbudzenie jakichkolwiek stanów, ale będzie dążył do doznawania pewnych stanów, które uznaje za szczególnie wartościowe. Podniety, zdolne do wywołania takich stanów, są dla człowieka wartościami; w odróżnieniu zaś od podniet, które wzbudzają stany wartościowe przez zaspokojenie potrzeb fizyologicznych i ekonomicznych, nazwać możemy podniety,

ograniczające się do działania na same życie psychiczne, wyższymi wartościami życia.

Racya bytu literatury, jako zawierającej odrębną sferę rzeczywistości, polega na tem, że życie nie daje człowiekowi należytej sumy wyższych wartości—i że wobec tego szuka on tych wartości w pewnej odrębnej sferze.

W jaki sposób literatura może takie wymagania zaspokoić?

Przedewszystkiem przez swe pierwiastki formalno-estetyczne tworzy nową sferę wartości. Następnie w treści swej wyodrębnia i uwydatnia takie pierwiastki życia realnego, które dostarczyć mogą przeżyć wartościowych, ale w życiu znikają wśród chaosu innych pierwiastków—wydobywa wartości życia realnego. Jeśli zaś takich wartości odpowiednich nie znajduje, przekształca pierwiastki życia w ten sposób, by wartości nabrały—wprowadza nowe wartości, dopełnia życie nowemi wartościami. To są trzy sposoby pełnego zaspokojenia wymagań. Ale dążąc do znalezienia wartości, może literatura nie dojść do pełnego, zadowalającego rezultatu, może stwierdzić właśnie brak wartości i konieczność jej zdobywania — wtedy treścią jej staje się (jak często w poezyi najnowszej) walka z bezwartościowością życia; że zaś ta walka, posługując się środkami literackimi, tem samem tworzy nowe wartości formalno-estetyczne, jest więc właśnie przez swój charakter literacki częściowem przynajmniej przezwyciężeniem bezwartościowości.

Odrębna sfera, reprezentowana przez zawartość tekstów, zyskuje w ten sposób nowe określenie: jest to sfera wyższych wartości życia.

Ale dążenie do zdobywania wyższych wartości nie tylko w literaturze się objawia; w ten sam sposób, jak literatura, odpowiadają mu wogóle sztuki piękne—w inny sposób, bo przez zwracanie się do wartości obiektywnych, religia, filozofia, etyka, polityka. Jakiż jest stosunek literatury do tych wszystkich dziedzin, jeśli chodzi właśnie o sferę wyższych wartości?

Inne sztuki piękne—plastyka, muzyka—to z nią mają wspólnego, że wartości wnoszą i przez elementy formalne i przez treściowe, tem się różnią, że w nich przewaga materiału jest o wiele większa; stąd płynie znacznie większe górowanie formy nad treścią i co więcej zacieśnienie treści, bo dany materiał (barwy, kształty, tony) tylko pewną sferę treści ująć zdoła. Literatura, której materiał nadaje się do wszelkiej treści, reprezentuje w pewnych kierunkach wartości słabsze, mniej intensywnie działające, ale za to może wzbudzić wszystkie stany psychiczne—

czyli obejmuje całą sferę wartości. Z tego zaś już wynika, że może objąć również wartości, dane przez sferę religii, filozofii, etyki, polityki—przynajmniej we formie surogatu.

Stąd wniosek ogromnej wagi: jak literatura traktowana i oceniana być może ze stanowiska wartości sztuk innych, t. j. ze stanowiska wartości plastycznej i muzycznej, tak też oceniana być może—i dla całkowitości obrazu oceniana być musi—ze stanowiska religii, filozofii, etyki, polityki. Im bardziej bowiem odpowiada postulatом wszystkich sfer wartości wyższych, tem większa jej bezwzględna wartość; przeto zupełnie błędne jest usuwanie oceny etycznej n. p. z zakresu badania literatury. Ale zarazem wynika z tego, że dzieła religijne, filozoficzne, etyczne, o ile mają piętno szukania wartości wyższych, wkraczają na teren literatury nawet przez pierwiastki treściowe.

Wiedza o literaturze daje w ten sposób najpełniejszy obraz tworzenia się sfery wyższych wartości; dzięki temu najlepiej odzwierciedla zasadnicze postulaty ducha ludzkiego i pozwalając na ich należyte ujęcie, w swych ostatecznych rezultatach przechodzi na teren właściwej filozofii. Wiedza o literaturze staje się jednym z głównych czynników w kształtowaniu ogólnego, filozoficznego poglądu na świat.

Wśród owej sfery wyższych wartości trzy rzeczy zasługują na szczególne uwypatnienie, ponieważ i dla rozwoju literatury mają wagę pierwszorzędną i dla należytej oceny wiedzy o literaturze.

Pierwsza związana jest z istotą literatury, jako sztuki wyrażania. Odpowiadając wrodzonej żądzy uzewnętrzniania przeżyć i udzielania ich drugim, w swem ciągiem doskonaleniu się nie tylko staje się dla jednostki czemś wyzwalającym, ale wznaga jej sprawność społecznego wystąpienia i daje poczucie siły w stosunku do społeczeństwa, a zarazem, ułatwiając wyraz, ułatwia i poznawanie przeżyć własnych, wznaga świadomość własnego życia. A więc i w zakresie psychiki indywidualnej i zbiorowej dopomaga wznaganiu się poczucia życia, współdziała w coraz bogatszem kształtowaniu się człowieka i w samopoznaniu.

Kwestya samopoznania wiedzie do drugiej sfery ważnej—do sfery zaspokajania potrzeby intelektualnej. Wszak słowo jest najłatwiejszym środkiem udzielania wiedzy—a ten charakter zastrzymuje w literaturze całkowicie; dydaktyczność, często wyrodnijąca, często skutkiem tego potępiana, nie jest bynajmniej sfalszowaniem charakteru literatury—ona tkwi w jej istocie tak samo, jak tkwi w tej istocie wyrażanie przeżyć własnych czyli

liryzm. Słowo pozwala wiedzy sięgać w przeszłość i w przyszłość; że pierwszemu z tych celów służy często literatura to jasne, ale służy też jako surogat drugiemu; każde przedstawienie akcji, znacznie prędzej dające jej rozwiązanie, niż życie prawdziwe, daje złudzenie to, iż sięgamy w przyszłość; naiwny czytelnik, sięgający ku ostatnim kartom powieści, daje wyraz temu poznawczemu dążeniu, które zaspokajać umie literatura, tak samo, jak zaspokaja chęć wglądania w motywy, śledzenia ukrytych nici w wypadkach. Zaspokojenie ciekawości—czasem niesłusznie lekceważone przez estetyczną ocenę—pozostanie zawsze nie tylko jedną z podstaw powodzenia, ale i jedną z podstaw istnienia literatury. A że ciekawość ta zwraca się głównie ku człowiekowi i losom jego, więc zrozumienie człowieka i losu na pierwszy plan się wysuwa. Dla stopniowego postępu w znajomości duszy ludzkiej i w poglądzie na los człowieka, literatura jest jednym z czynników najważniejszych.

A jest nim też dlatego, że w niej się realizuje świat pragnień. Ona staje się często utrwalonym i tem skuteczniejszym snem—którego to snu funkcją pierwszorzędną jest spełnianie życzeń, jak dowodzi dziś jednostronnie trochę, lecz w zasadzie słusznie, Freudowska psychoanaliza. Ponieważ zaś świat pragnień—to najgłębsza, najistotniejsza warstwa duszy ludzkiej, więc tem prawdziwszem okaże się zdanie, że wiedza o literaturze ma znaczenie zasadnicze dla wiedzy o człowieku i dla kształtowania pojęcia człowieka—a więc tem samem dla kształtowania światopoglądu. I znów się przejście otwiera w dziedzinę filozofii.

Opieraliśmy się dotąd głównie na pojęciu odrębnej rzeczywistości, jaką reprezentuje zawartość tekstów. Ale jakkolwiek odrębność taka da się stwierdzić, nie zmienia to przecież faktu zasadniczego, że i życie jednostki i życie zbiorowe i cała rzeczywistość historyczna są to wielkie całości i wielkie jedności, których każda część jest z całością nierozzerwalnie złączona i od innych części zależna. W ten sposób, przechodząc od analizy dzieła do jego wyjaśnienia, nie można się ograniczyć do zbadania, jakie było przeżycie autora, jakie ukształtowanie, jakie jest wreszcie oddziaływanie, ale trzeba wszystkie te momenty wprowadzić w związki należyte z całą rzeczywistością historyczną. Będą to przede wszystkim związki ze sferą innych zjawisk literackich, następnie związki z wszystkimi dziedzinami życia. Wprowadziwszy dzieła w związki i określiwszy dokładnie w zakresie tych związków ich przynależność osobistą, lokalną i chronologiczną, otrzymamy całość, stanowiącą historię literatury, która we-

dług wywodów poprzednich w swej najistotniejszej części będzie historią szukania, tworzenia, zyskiwania wyższych wartości życia.

Jeżeli zaś z historycznego rozwoju wyodrębnimy wszystkie owe wyższe wartości—jeśli te wartości ułożymy w całość pewną, a potem sklasyfikujemy dzieła literackie według tego, jakie wartości reprezentują, jakim postulatom odpowiadają i w jaki sposób—jeśli wreszcie stworzymy hierarchię dzieł literackich według tego, ilu postulatów zadość czynią, w jakim stopniu je spełniają w porównaniu z innemi dziełami i jakie miejsce postulat spełniony zajmuje w hierachii wartości—jeśli spełnimy to wielkie a trudne zadanie, uzyskamy jako wynik—naukowy system literatury.

JULIUSZ KLEINER.

STANISŁAW TREMBECKI, jako słowianofil.

III.

Badacze dotychczasowi sceptycznie odnosili się do „Historii” Trembeckiego, uważając ją za figiel złośliwego szambelana. Niektórzy, jak Tomkowicz, sądzili, że jedynym owocem studyów Trembeckiego historycznych był rękopis (obecnie Akademii Umiejętności) powyżej zanalizowany. Wygłosiłem zdanie odmienne, przypuszczając, że Trembecki istotnie pracował nad historią polsko-słowiańską starożytną i zebrał do niej obfite materyały, z których korzystał J. Potocki, o których opowiadał gościom tutejskim.

Dla potwierdzenia mojej hipotezy, musimy zastanowić się nieco nad losem spuścizny po Trembeckim. Informacje są szczupłe, ale pozwalają przyjść do wniosków konkretnych.

Podług relacji współczesnej ¹⁾ w r. 1808 odwiedził poetę p. Lewicki, nauczyciel literatury w gimnazjum wileńskim. Ofiarował on bibliotece wileńskiej odpis „Sophiówki”, przez Trembeckiego własnoręcznie poprawiony, (Rękopis musi się znajdować wobec tego, albo w bibliotece uniwersytetu kijowskiego, albo w publicznej bibliotece wileńskiej).

Inne rękopisy miały być u sukcesorów Ignacego Iwaszkiewicza, podkomorzego powiatu skwirskiego gubernii kijowskiej, oraz u ks. Michalewicza, dawniej rektora szkoły i klasztoru Ba-

¹⁾ Kilka szczegółów o życiu i dziełach S. Trembeckiego. (Wyjątki z listów p. M. Konarskiego i in.). „Dziennik Wileński”, 1815, t. I.

zylińskiego w Humanu. Rękopisy te musiały stanowić część legatu Z. Szczęsnowej i dostały się zapewne w ich ręce po jej zgonie. Jakiś rękopis Trembeckiego miał w ręku J. I. Kraszewski. Sąd zresztą wydał o nim niezbyt pochlebny. Zaznacza, że z prac historycznych została po szambelanie St. Augusta księga notat, dowodząca, że historię na wzór encyklopedystów pojmował tendencyjnie, a źródeł nie oceniał krytycznie. ¹⁾

Nieco dokładniej informuje dr. A. Rolle:

„Po zgonie poety znaleziono trochę szpargałów nie mających żadnej wartości, kilka kronik, na których robił dopiski. Takie dwa foliały Gwagnina i Kromera mieliśmy w ręku, notatki jednak na nich robione przez autora Zofijówki, nie godnego uwagi w sobie nie zawierały“. ²⁾

Na podstawie takich opinii nie trudno byłoby wyrobić sąd najpesymistyczniejszy co do wartości spuścizny po szambelanie. Ale w innej wersji współczesnej znajdujemy poszlaki, tłómaczące, dlaczego tak ubogo się przedstawia ta zawartość słynnej „skrzyni“ Trembeckiego.

Opowiada tedy pewna dama ³⁾, że „skrzynia“—pełna papierów, ale w złym stanie. Dano ją do przejrzenia jednemu z przyjaciół, który oznajmił, że nic ważniejszego w niej niema. Otóż dama przypuszczała, że część rękopisów została ukryta.

Wersja ta wydaje mi się słuszną.

Udało mi się wyszukać źródło drukowane, lecz dotąd nie znane. Jest to list niejakiego p. Hipolita Wołodkowicza, zawierający pierwszorzędnej wagi informacje o spuściznie po Trembeckim i rozpraszający wszelkie wątpliwości, co do jego „Historyi“. Ze względu na doniosłe znaczenie tego listu, przytoczę go w całości: ⁴⁾

Szanowny Panie!

W młodości mojej miałem szczęście poznać znakomitego pisarza czasów Stanisławowskich szambelana Trembeckiego. Mieszkał on w majątności ks. Czartoryskiego na Ukrainie, będącej w miasteczku Granowie: tam zajmował się uporządkowaniem swoich

¹⁾ Kraszewski J. I.: „Polska w czasie trzech rozbiorów“ 1875, t. I.

²⁾ Dr. Antoni J.: „Opowiadania historyczne“, „Losy pięknej kobiety“. Lwów, 1875.

³⁾ Kilka słów o Trembeckim, „Przyjaciel ludu“ 1837, 397 ct.

⁴⁾ List do wydawcy T. P. Tygodnik petersburski z 1846 r. nr. 5, str. 38.

pism i pracował nad historią wieku zeszłego. Bywałem u niego z krewnym moim w okolicy Granowa zamieszkałym, a znajomym z dawnej daty Trembeckiego. Nieraz też czytywał on dawnemu swemu przyjacielowi młodości swoje prace literackie. Wkrótce potem ja byłem posłany do szkoły Krzemienieckiej, a Trembecki ciągłemi naleganiami Potockich zmuszony, przeniósł się do ich domu w miasteczku Tulczynie, gdzie jak wiadomo, życie zakończył.

Opuszczając w 1810 r. Krzemieniec i wracając na Ukrainę miałem sobie powierzone pismo Tad. Czackiego i ustne polecenie tegoż, iżbym, wręczając pismo Trembeckiemu, skłonił zacnego starca do złożenia jego pism, a szczególnie „Historyi“, ówczesnemu Towarzystwu Przyjaciół Nauk w Warszawie lub oddania owych samemu Czackiemu. Jeszcze tegoż samego roku dla spełnienia mojej misyi udałem się do Tulczyna, gdzie poważny, pełen słodyczy starzec przyjął mnie z ujmującą dobrocią i największymi względami, a odczytawszy list Czackiego, mówił mi wiele na pochwałę tego męża, jak równie o Krzemieńcu i nadziei z tejże szkoły, lecz co do pism swoich oświadczył, że ponieważ w całym życiu zawsze oddawał pierwszeństwo żądaniom kobiet, przeto przyrzekłszy wszystkie swoje prace oddać Zofii Potockiej, musi odmówić Czackiemu. Wszakże tyle jednak był dobrym, że kazawszy swemu staremu słudze otworzyć kufer dosyć wielki, okazał mi wszystkie swoje rękopisma, niektóre z nich porządnie już przepisane obcą ręką, i „Historyę“, na której mnóstwo widziałem objaśnień, notat, dopisów i odsyłaczy do osobno znajdujących się allegatów. Między ogłoszonymi pismami tego znakomitego autora i zebranymi przez uczonego p. Michała Konarskiego, ówczesnie znajdującego się w Tulczynie, nie widzę kilku jego prac literackich, które czytałem. Ale największą stratą z jego pism dotąd zakrytych jest „Historya“, która brała swój początek od epoki wyboru Stanisława Augusta, a kończyła się ze śmiercią tegoż. Starzec kazał mi czytać sobie niektóre ustępy tego pisma, a szczególnie kreślone obrazy osób, wchodzących i mających wielki wpływ na ówczesne wypadki krajowe. O ile pamiętam, jedna z tych była malowana kolorami dość jasnymi, kilka zaś innych nader ciemnymi. Okazywał mi też starzec wiele autentycznych dokumentów i allegatów nader interesujących, jako fakta, na których opierał się. Po śmierci już Trembeckiego, będąc w Tulczyńskim domu Potockich, znalazłem tam Dyzmę Tomaszewskiego, znanego pisarza z niektórych pięknych ustępów „Rolnictwa“, powiedziałem mu o postanowieniu Trembeckiego we względzie

złożenia swoich pism w rękę hrabiny Zofii Potockiej, jakoż obydwu razem uprosiliśmy ją o wolność widzenia wspomnianych papierów, która po długich naszych naleganiach, okazała nam znajdujący się we własnym jej gabinecie tenże zielony kufer i wszystkie w nim papiery, jakie widziałem przy życiu Trembeckiego, między którymi jeszcze była i „Historya“. Niedługo mogliśmy się cieszyć przezieraniem tych papierów i jak się zdaje nierówne mieliśmy uczucia z widzenia onych z panem Tomaszewskim, bo właścicielka wkrótce zamknęła ów skład, oświadczając, że później będzie nas wzywać do przejrzenia i dalszego rozporządzenia tymi papierami, co jednak nie przyszło do skutku.

Kiedy mamy tylu zacnych i gorliwością przejętych pisarzy, zajmujących się dzisiaj zbieraniem materyałów historycznych, co według mego przekonania robi im największą zaletę i wdzięczność następnych pokoleń, sądzą moim obowiązkiem powiadomić o tem, co widziałem i czytałem, a Pana umiającego czuć ważność przedmiotu, biorę za pośrednika, prosząc, iżbyś swoim piśmem, pięknem i zawsze mile przez każdego czytaniem, osoby interesowane zawiadomił: jestem bowiem przekonany, że pisma Trembeckiego jeszcze nie są zatraczone i zdaje mi się, że możnaby jeszcze one wygrzebać.

Podpis.

Hajsyn, 18 grudnia 1845 r.

Z ciekawego tego listu nasuwa się kilka wniosków niezbitych. Najprzód, że historia polska starożytna nie wyszła ze stadyum zbierania nowych materyałów, dokumentów, wypisów i krytycznej lektury źródeł — inaczej byłyby ją H. Wołodkowicz, widział w kufrze Trembeckiego. Zaprząstzał zaś roboty nad nią w Grodnie, może w Petersburgu, ponieważ wypadki polityczne odbiły się głęboko i na jego życiu samotnem. Nie był bynajmniej obojętny na klęski krajowe. Kraszewski przytacza w tej sprawie epizod charakterystyczny: „Trembecki, ponury, zdziczały, pytającej go hr. Tarnowskiej, coby pisał? — odpowiada: „Cóż pisać? chyba treny Jeremiaszowe“! (T. III, 650).

Pietyzm dla króla, wyraził się po zgonie jego, w zamiarze napisania historyi czasów Stan. Augusta. Zajmował się nią w Granowie (1800—1802) i w Tulczynie, gdzie widział ją i czytał z niej pewne ustępy p. Wołodkowicz. Jest to fakt nowy zupełnie dla nas i niezwykle ciekawy.

W skrzyni znajdował się szereg prac Trembeckiego przez Konarskiego nie ogłoszonych, przepisanych porządkie. Szkoda

wielka, że autor listu nie wymienia jakichś szczegółów bliższych o treści tych nieznanach utworów poety. Widział je i przegłądał dwukrotnie. P. Potocka - kosmopolityczna Greczynka, najmniej umiała ocenić wartość legatu, choć niechętnie dopuszczała obcych do oglądania rękopisów. Byli inni jeszcze zazdrośni i nieżyczliwi pamięci poety, do jakich należał, jak to widać z listu p. Wołodkowicza, i Dyźna Bończa Tomaszewski. Oni też za życia p. Szczęsnowej, a może rychło po jej zgonie w Berlinie, spłodowali skrzynię Trembeckiego, zostawiając w niej istotnie tylko szczątki i szpargałki. Częściowo te rękopisy mogły być rozdawane lub odprzedane, częściowo może jeszcze znajdują się w zbiorach potomków Szczęsnego Potockiego.

Rękopisy listów i poezyi Trembeckiego znajdują się w Krakowie w bibliotekach ks. Czartoryskich, Jagiellońskiej, Akademii Umiejętności, ś. p. Pawła Popieła; we Lwowie — w Ossolineum i u hr. Baworowskich; w Warszawie — u hr. Krasińskich i w innych zapewne; w Poznaniu podobno w posiadaniu dr. B. Erzepki'ego; w Dzikowie; w Petersburgu — w Ces. Publicznej; może w Kijowie — w uniwersyteckiej bibliotece z Wilna przewiezionej. W Wilnie, w bibliotece publicznej znajduje się parę rękopisów Trembeckiego, dotąd nie wydanych, jak donosi świeżo p. W. Dalecka.¹⁾

Jak widzimy plon obfity i nie zawsze wyzyskany, a czasem wręcz zapowiadający rzeczy nowe, nieznanne. Gdyby jeszcze uwzględnić rozproszone bezimiennie po rękopisach XVIII w. utwory naszego poety, to niewątpliwie spuścizna po nim zwiększyłaby się znacznie. Szczególna zaś, naprawdę nieodżałowana strata, większa od zgubienia materyałów do dziejów archaicznych, to strata Historii Stan. Augusta, a raczej polityczno-prywatnych pamiętników szambelana o jego czasach. I dla historii i dla poety i dla literatury ojczystej były w niej niewątpliwie rzeczy niepospolitej wartości i znaczenia.

Krytyk Trembeckiego musi zdać sobie sprawę, czy znał poeta historię gruntownie, czy był uczonym prawdziwym, poważnym?

Z sądów współczesnych możemy przytoczyć dwie opinie osób najbardziej kompetentnych i powołanych.

Jedna znajduje się w znanym liście Naruszewicza²⁾ do poety, datowanym 1 martii, 1790 r.

¹⁾ W. Dalecka: S. Trembecki. „Kurier Litewski“, nr. 274, 5. 1912 r.

²⁾ Wójcicki: Archiwum domowe, 577—8.

Po wyluszczeniu kłopotów z swoją pracą—pisze: „Znam to, że twoje szlachetne pióro—przewyższyło-by nieskończenie pozio-me moje czołganie się, ale na tej tak obszernej rzeczy od ojców naszych udziałanych przestrzeni, *y wolik może chodzić, y orzeł latać*. Weź mi, jeśli ci się podoba, panowanie Zygmunta I-go y kończ Jagiellonow, a ia tym czasem będę robił około wyż-szych“.

Naruszewicz należał do koła czwartkowego; stykając się często z Trembeckim, dokładnie był poinformowany o jego wiedzy historycznej.

Wkrótce po założeniu, Towarzystwo Przyjaciół Nauk w Warszawie uplanowało dokończenie „Historji“ Naruszewicza pracą zbiorową. I znowu Trembecki należy do liczby najbardziej upraszanych o współudział.

Prezes Towarzystwa i znany historyk biskup Albertrandy pisze do niego osobiście list bardzo pochlebny.¹⁾

Taką była opinia fachowców i powag współczesnych.

Tomkowicz przyznaje, że Trembecki posiadał znajomość gruntowną historyi, ale odmawia mu tytułu do uczoności, ponieważ zgromadził poeta dużo wiadomości błędnych, etymologij naciąganych i fałszywych, hipotez stanowczo przez naukę obecnie odrzuconych. Zaponina jednak, że nauka ówczesna—w przedstawicielach swych najwybitniejszych, roiła się poprostu od teorii dziwacznych i fantastycznych, zaś etymologie sztucznie naciągane przekroczyły nawet pierwszą połowę w. XIX.

¹⁾ Kraushar: Warsz. Towarz. Przyj. Nauk, cz. I, t. II, 133—4 (przytaczam in extenso). „Et absens dulces reminiscitur Argos; że to serce, ten umysł jest J. W. Pana y Dobr., bynajmniej nie wątpimy. Zatem i my do niego, Horacego do Augusta wyrazami odzywamy się: *Lucem, redde tuam dux bonae patriae*. Przodkowałeś w zachęcaniu innych, w ugruntowaniu wybor-nego gustu, w podejmowaniu prac chwalebnych, w wyprobowaniu oyczystego ięzyka, w gromadzeniu niezmiernych wiadomości pierwiastkowe wieki oświecić mogących. Tych obdarzeniem, aby J. W. Pan y Dobr. towarzystwo nasze, wiek swoy y kraję, którey słodkie imię oyczyzny nadawałeś, obdarzyć raczył, iak nayusilniey dopraszamy się, mając niezawodną nadzieję, iż pracami Jego *początki narodu* niemniej ukryte, iak Nilu przedtem źródła na iaw wyprowadzisz, a tym samym piękne dzieło, acz dotąd opus acephalum Narusze-wicza, wydoskonalic raczysz“ (r. 1800—1801).

Jak wiadomo rękopis Naruszewicza o epoce początkowej dziejów słowiańsko-polskich odnaleziono w postaci bardzo chaotycznej i wydano znacznie później; chciano więc, aby epokę tę obrobił właśnie Trembecki.

Trembecki wykazuje bystrość ogromną i krytycyzm myśli, moc błędów panujących naówczas usuwa, etymologie wybiera mniej ryzykowne i prawdopodobne,—słowem ze wszech miar zasługuje na tytuł uczonego, który powszechnie mu przyznawali współcześni.

Ubolewać należy, że pracy swej ze stadyum zbierania krytycznego materyałów nie wyprowadził; okoliczności, zagarnięcie zbyt rozległego zakresu wiedzy, sceptycyzm zresztą i obojętność na chwałę, oklaski potomnych i tytuły sprawiły, że pracy nie skończył, że żadnego fragmentu z niej do druku nie przygotował i nie ogłosił. Mógł być oddać tem *w swoim czasie* nauce polskiej przysługę wielką i niewątpliwą—dziś naturalnie rękopisy Trembeckiego naukowe mają wartość wyłącznie przyczynku do historii umysłowości jego i jego epoki.

IV.

Stałe i obszerne stydya Trembeckiego nad prahistorią słowiańską doprowadziły go wcześniej, bo już w r. 1777¹⁾ do pewnej historyozofii. Wynikły z niej odnośnie do warunków politycznych dwa postulaty ideowe: 1) niechęć zasadnicza do Germanów i do wszelkich z nimi związków; 2) przejęcie się solidarnością słowiańską i uznanie—w teorii—jedności państwowej całej Słowiańszczyzny za rzecz pożądaną.

Zgodnie z tym—w praktyce jest wrogiem Austrii i Prus, zwolennikiem przekonanyim sojuszu z Rosyą. Inne narody słowiańskie pomija w swych pismach, ponieważ, jako jednostki podbite i ujarzmione, w realną kombinację polityczną na razie wchodzić nie mogły.

Obrona poglądów i planów Stanisława Augusta, które podzielał, samodzielności jego w niczem nie uwłacza. Uwagi te wystarczą dla zrozumienia psychologicznego podkładu słowianofilstwa, jakiemu hołduje Trembecki w wierszach politycznych.

¹⁾ Korzystam ze sposobności, aby usunąć niedokładność bibliograficzną, jaką, idąc za datą prof. Karejewa, popełniłem w II rozdziale mej pracy („Bibl. Warsz.“, T. I, 290, 1913). Jak zwrócił mi uwagę dr. M. Szykowski, memoriał Rousseau'a: „*Considérations sur le gouvernement de Pologne*“ nie był wydany w 1772 r. Dopiero po zerwaniu R. z Wielhorskim, zaczął kursować w odpisach około 1776 r. A więc Trembecki nie mógł go poznać wcześniej, jak w 1776—7 r. Uzupełnienie to w niczem zresztą wniosków moich nie zmienia.

Ze śladów jego studyów w poezyi, obok stale używanych terminów Sławianów, Sławaków, morza Sławskiego (Bałtyku) etc., można wymienić świadomie zesłowiańszczone w tekście imiona mędrców scytyjskich i sarmackich. (*Awarysz, Zamołczy* etc.).

Podobne reminiscencye odzywają się w wierszu:

Do Ad. Naruszewicza (1787 r.).

.....
 Ty pozostałą piękność opiszesz Kijowa:
 To miasto, długo państwa rosyjskiego głowa,
 Kiedy (*Nigdyś*) było Wolharskiej ozdobą dziedzinie,
 Kiedy je (*Jak one*) posiadał Kozar przy pierwszej (*ych*) ruinie,
 Kiedy je (*Jak one*) swymi Wynid azardami płacił,
 Kiedy je (*Jak one*) dostał Polak, a (*i*) kiedy utracił.¹⁾

Szczególnego płaszczenia się przed Katarzyną dopatrują się niektórzy w ustępie żartobliwego wiersza: „*Do generałowej Witowej*“ (1780).

..... Abdul Hamid

Lęka się, by go wielkiej monarchini
 Nasz Zadunajski nie przywiódł za brodę.

Otóż to „nasz“ nie świadczy bynajmniej o utożsamianiu powodzeń oręża rosyjskiego z polskim. „Naszym“ nazywa Trembecki hr. Rumiancowa Zadunajskiego, ponieważ, jak później książę Nassau, „generał w służbie rosyjskiej“ uzyskał on indygenat i prawo obywatelstwa w Polsce.

Niezwykła postać Katarzyny II, niezmiernie wśród encyklopedystów popularna, odpowiadała w oczach Trembeckiego ideałom absolutyzmu oświeconego. Protegowała nauki i oświatę, uprawiała literaturę, a przytem była monarchinią, od której zależał przedewszystkiem los reform polskich i sojuszu z Rosyą. Poeta miał sposobność poznać cesarzową osobiście. Niemcewicz²⁾ pisze, że w 1787 r. do Kaniowa wyjechał król ze znacznym orszakiem: w tej liczbie byli Naruszewicz, dziejopis i „Trębecki, nadworny prawie poeta“. Jest to nieścisłe. Biegeleisen objaśnia, że Trembecki wysłany był do Mohilewa i Połocka na spotkanie ces. Katarzyny, która jechała do Krymu. Jako sekretarz królewski, uzyskał audyencyę. W listach znajdujemy dokładniejszą

¹⁾ Tekst cytuję podług wydania T. Ziemby, *Poezye S. Trembeckiego*, Lwów 1883 r.; t. I, 96—7. Dopiski w ostatnich czterech wierszach są wariantami, podług rękopisu Akademii nr. 615.

²⁾ „Pamiętniki czasów moich“, Paryż 1848, 20.

wzmiankę. P. Bachinińska usprawiedliwia mianowicie poetę, że zaciągnął długi na oporządzenie się, „jak miał jechać z księciem podskarbm do Kaniowa” (719). Widocznie podskarbi ks. Stan. Poniatowski z Trembeckim mieli misję zbadania, czy zgodzi się cesarzowa na spotkanie z królem w Kaniowie. Potem obaj wrócili do Warszawy.

Czytamy o tem w cytowanym już wierszu „*Do A. Narusze-wicza* (I, 100).

Wtedy(*m*) najfortunniejszą (*ja*) uczul(em) godzinę,
 Kiedym tę ujrzał Panią, przepłynąwszy Dźwinę.
 Noszę wiecznie w umyśle jej konterfekt żywy,
 Niech ją raz jeszcze widzę, już umrę szczęśliwy.

 Z nią wszyscy związek zawrzeć pragnęliby ścisły,

 My nadzieję mamy,
 Że nam od niej gojące popłyną balsamy.

Już 1781 r. w wierszu „*Do króla Stanisława Augusta*“ w szczególny sposób podkreśla poeta znaczenie i doniosłość nazwy rodowej naszego szczepu.

O! w lepszej porze godny władać tą krainą!
 Znamy to, iż od ciebie wszelkie dobra płyną,
 Od ciebie światło, które między nami błyska
 I które nam *Sławaków przywróci nazwiska*.
 Winniejszych ojców dzieci i my jeszcze winni
 Tamci zbyt gnuśni byli, my cokolwiek czynni.

Ciemnotą więc i gnuśnością oddaliliśmy się od cech szlache-nych swego rodu; po zwalczeniu ich dopiero zasłużymy na imię szacowne przodków Sławaków (od sława).

W r. 1784 rozwija poeta skryształizowany zupełnie program polityczny na podstawie słowianofilskiej. Jest to wiersz do biskupa Ign. Krasickiego pod tyt. „Gość w Heilsbergu“, (t. I, 94 – 5).

Po przedstawieniu smutnego stanu Rzpltej, poeta w zgodzie i pracy wspólnej dla dobra kraju widzi drogę do odrodzenia ojczyzny. Mądre te rady oczywiście są wyraźnem odbiciem pragnień partii królewskiej. Bezsilni nie jesteśmy, nie wolno rąk składać z rozpacz. W podziale zwaśnionej Europy na dwa obozy, *my*, choć słabi, przechylić możemy szalę zwycięstwa.

„Zachód grozi wschodowi, południe – północy,
 Nas jeśli pamięć krzywdy do zemsty zapali,
 Ta przeważy, do której miecz przydamy szali.
 Lecz w takowem wybraniu, ażeby nie zbłądzić,
 Ostrożną się przystoi przezornością rządzić“.

Nie przypadek, lecz stała zasada powinna rozstrzygać w polityce. Któryż z obozów wybrać?

I Prusy i Rosya brały udział w pierwszym rozbiórce. Ale kompromisy w życiu są koniecznością. Poeta odradza chowanie urazy i gniewu do Rosyi, ponieważ i my nie jesteśmy bez winy. Sojusz z Rosyą, wynagrodzi nam straty, gdyż opierać się będzie potężnie na wspólności pochodzenia i typu rodowego.

„Poradzić się Minerwy sposób jest jedyny
Którą świat pod imieniem wielbi Katarzyny,
Pocisk ten, który widzimy jej ręce przydany
Drugim końcem zalecza od pierwszego rany,¹⁾
Te związki przyzwoitsze i pomnieć się godzi,
Iż Rusin z jednych z nami początków pochodzi,
Jedna krew, jeden język, taż natura twarda,
Taż śmiałość niewzruszona i śmierci pogarda“.

Spory bratobójcze i błędy wzajemne tylko wrogom wspólnym na rękę były.

Długo nam jędze wspólną sprawiały ślepotę,
Że brodzić w krwi braterskiej mieliśmy za cnotę.
On na nas Niemce zwabiał, a my nań Tatary,
On nam brał senatory, a my jego cary.
Gdy własnymi siłami niszczyliśmy się niegodnie,
Nazbyt w naszych krainach wzmoogli się przychodnie.²⁾

Droga do potęgi leży w solidarności słowiańskiej i zgodzie z Rosyą.

Niech w gruzie starych ruin niepamięć zawali
Kłęski, któreśmy wzajem i wzięli i dali!
My odtąd przyjaźń tego utrzymując brata,
Łatwo reszty potędze oprzemy się świata.

Wrogiem Słowian odwiecznym, najgroźniejszym – Niemcy!
Oni zawsze wyzyskać umieli opieszaństwo i niedbałość naszą.

Nigdy nam z męstwa straszne nie były Teutony
Szerzące się przez chytrą, przez kupno i żony.³⁾

¹⁾ Rozbiórce, w którym Rosya brała udział.

²⁾ W Słowiańszczyźnie „przychodnie“ to są Niemcy.

³⁾ Poeta ma na myśli znany wiersz: „Bella gerant alii, tu, felix Austria, nube!“

Z tych jedni byli nasi koldowuicy ¹⁾ wczora,
 Drugicheśmy z pod pogan wydarli topora.
 Kiedyśmy przed ich bronią na kolana padli,
 Uspili nas przyjaźnią i śpiących okradli.

Zorganizowanie rządu i administracyi—to zadanie pierwsze i środek niechybny do uzdrowienia wewnętrznego. A wtedy, jako zamknięcie:

Niechaj górnych nadziei Słowak nie utracą!

W tym wierszu wypowiada Trembecki stanowczo i jasno hasła zasadnicze słowianofilstwa: odrodzenie wewnętrzne i sojusz z narodem pobratymczym, ostrzem zwrócony w Teutonów, jako wrogów historycznych. ²⁾

W latach następnych program swój poeta rozwija w związku z wypadkami bieżącymi. Postępuje to u niego równolegle, jak wskazywałem (od r. 1777) z nieustającymi studjami nad prehistorją polsko-słowiańską,

Na początku Sejmu Wielkiego zjawia się wiersz *Do moich współziomków*.

Doradza autor rodakom ostrożność i umiarkowanie. Oświata i wychowanie społeczeństwa uprzedzać winny wszelką taktykę zaczepną.

W usta wezyra Kara Mustafy, pobitego pod Wiedniem przez Jana III, wkłada autor przestrożę przed Austryą obłudną i zdradliwą.

„Dla twych i naszych nieszczęść przyszedłeś tu Janie,
 Było raczej mieć o twem Podolu staranie.
 Jeszcze ci niewiadoma tego wroga sztuka:
 Napelni(a) nadziejami, a w rzeczy oszuka.

¹⁾ Prusy.

²⁾ Dla ilustracyi, jak na to reagowano w obozie opozycyi, mamy do zanotowania zajmujący ustęp z wiersza do ks. Łuski (redaktora „Gazety Warszawskiej”), który propagował myśl sojuszu zaczepno-odpornego z Rosyą przeciw Turcyi. Znajduje się rzecz w rękopisie Akademii nr. 615, str. 604.

Za cóż nam od Minerwy teraz sięgać rady,
 Od której mamy dowód oczywistej zdrady?
 Bądźmy Turkom życzliwi, na cóż traktat łamać,
 Dla podłego podchlebstwa, jak Trembecki kłamać.
 Trembecki jest poetą, ale nie prorokiem.

Mustafa rzuca przekleństwo na Polaków...

Niech twoje własna matka prześladowe płody,

Niech po zagnitych (*niemieckich*) turmach swej wolności płaczą. ¹⁾

Obłudnego wargacza niewdzięczniejsze plemię,

Niech potym rozszarpuje swych obrońców ziemię ²⁾.

Dopiero w parę lat po pierwszym rozbiorze, podnoszą się głosy najprzód dorywcze, później coraz liczniejsze — z żądaniem reformy od podstaw. Zasługa to przedewszystkiem oświaty, Komisji Edukacyjnej, wszechnie zreformowanych, ale i zdrowego jeszcze instynktu narodowego. Niedoceniana przez Rosyę opozycja patriotyczna — rośnie w siły. Rosya wikła się w wojny turecką i szwedzką, a Prusy postanawiają zręcznem podejściem sparyalizować dyplomacyę rosyjską.

Oto geneza przymierza polsko-pruskiego. Politykę niedorzeczną dworu petersburskiego spotkała kompromitacya zasłużona. Radośnie też skorzystano ze sposobności, że ręce miała związane wojnami. Zabrano się do reform, choć za powolnie, za leniwo, zważywszy, że wszystko poczynąć wypadło od początku. Wobec nietaktownej i gwałtownej hegemonii Rosyi, wybuch w społeczeństwie naszym ostra i gwałtowna reakcyja. Polityka słowiańska staje się dla patriotów symbolem zaprzaństwa i podłości. Stąd płynął zapal stronnictwa patriotycznego do sojuszu z niemieckimi Prusami. Nienawiść pokonała odwieczną nieufność, tak uzasadnioną historycznie. Natomiast partya królewska i Trembecki sceptycznie zapatrywali się na akcyę dyplomatyczną patriotów na Sejmie Wielkim.

Taką jest geneza *Listu do posłów powracających z Grodna* (1793). (T. I, 118—125).

Wójcicki nazywa ten wiersz nikczemnym, także Biegeleisen. Głosy potępienia można znaleźć i u współczesnych. Nieznana ręka dodała przy końcu odpisu z w. XVIII dwuwiersz następujący. (Rękopis Akademii nr. 101, IX):

„Znajdzie zbrodnia obronę; gdy rozsypie skarby.

Dadzą prawdzie zasłonę, Chocie czarne farby.”

Niemniej liczne są głosy uznania.

¹⁾ Synowie Sobieskiego, uwięzieni zdradziecko przed elekcyą dla uniknięcia wyboru któregoś z nich na tron polski.

²⁾ T. I, 128. Waryanty według rękopisu XVIII w. ze zbiorów Akademii nr. 613.

Bardzo są sprzeczne opinie uczonych o wierszach politycznych i w ogóle o tej stronie działalności szambelana królewskiego. Z dawnych—Wł. Spasowicz.¹⁾ uważa że pamflety polityczne Trembeckiego, pełne wycieczek grubych i płaskich, często wyglądają na denuncyacje. Zaś dla ukrycia swego przeniewierstwa dopiero miał poeta wysnuć całą teorię panslawistyczną. Powierzchnowość i błędność tego sądu raz i u poważnego uczonego.

Za utartą opinią (Biegeleisena, Spasowicza) idzie też i dr. M. Szyjkowski... „Jako pisarz polityczny, Trembecki jest kondotyerem. Szczerść jego przekonań więcej niż wątpliwa. Żywi prawdziwą niechęć do Niemców. Ustępy z pamfletów świadczyłyby o panslawizmie, ale właściwie jest to tylko niesmaczny serwilizm rusofilski.“²⁾

Wiemy, że słowianofilstwo Trembeckiego wynikało ze studyów historycznych. Niesmaczny zaś ton panegiryczny względem Rosyi płynął częściej z pobudek politycznych, niż z serwilizmu.

Zato osoba najbardziej może kompetentna w tej kwestyi, bo Szujski, inaczej się zapatruje na naszego poetę: „W polityce Trembecki jest pierwszym polskim panslawistą, wierzącym w światowładztwo Rosyi“. „Ma on rozum, który dalej patrzy, niż ogromna współczesnych większość, a mniej, niż współcześni chwilowym zawrotom ulega. Polityczne wiersze Trembeckiego należą do najznamienitszych tego rodzaju płodów, charakterystyka ludzi i wypadków wyborna“.³⁾

Najobszerniej i najobjektywniej omawia słowianofilstwo poety St. Tarnowski w swej *Historji Literatury*.

„Z czasem związek z Rosyą stał się dominującym pierwiastkiem, osią Trembeckiego przekonań politycznych, w ostatku nawet przeszło to w rezygnację gorszącą“. (T. III, 304).

W „Gościu z Heilsbergu“, poraz pierwszy występuje myśl w Polsce nowa, której autor wiernym zostanie do końca; myśl nie połączenia, ale pojednania z Rosyą, panslawizm w zarodzie ze wszystkimi znamionami, jakie widzimy u panslawistów naszego wieku“. Jako panslawista, przeciwny był przymierzowi pruskiemu—i miał słuszność! Idea panslawizmu była w nim bardzo zrozumiałą, bo odpowiadała jego pojęciom filozoficznym. Wier-

¹⁾ Wł. Spasowicz: „Dzieje literatury polskiej“. Kraków, 1891. Ed. III.

²⁾ M. Szyjkowski: S. Trembecki. „Bibl. Warsz.“ 1912. T. I, 220.

³⁾ Szujski: „Dzieje Polski“, Lwów, 1866. T. IV, 559—562.

sze, w czasie Sejmu W. pisane przez Trembeckiego, są trzeźwe i okupują dużo grzechów jego żywota. (T. III, 465, 493).

Charakterystyka ta naogół słuszna, czasem za pochlebna nawet, zmusza do zrobienia mimochodem jednej uwagi. Stanowisko krytyczne i trzeźwa ideologia praktyczna Trembeckiego były jednym z ważnych źródeł historycznych mądrości politycznej szkoły krakowskiej i obozu stańczyków. Jak on, oceniają oni poziomo i ciasno wartość psychiczną i twórczą zapału i „romantyzmu“ patryotycznego; jak on, krytykują surowo grzechy i błędy Sejmu Wielkiego; jak on, w silnej władzy rządowej upatrują jedyne zbawienie; jak on, odleglejsze i wyższe ideały patryotyczne odstepują za soczewicę drobnych nabytków ekonomicznych. Ciekawe, że argumentacja polityczna Trembeckiego zawsze więcej i najlepiej przypada do gustu stańczykom, a dużo z niej zapożycza nawet — szkoła krakowska w swej krytyce historycznej działalności Sejmu Wielkiego i stronnictwa patryotycznego. Ale wróćmy do tematu ścisłego.

*

*

*

Znieważone uczucie narodowe wybucha protestem płomiennym—powstaniem Kościuszki. Dwór i Trembecki nie wierzą w jego powodzenie. Zbyt obcą i daleką była dla nich forma rewolucyjna tej akcyi. Materyaliści, zdający sobie trzeźwo sprawę z olbrzymiej przewagi fizycznej po stronie wrogów Rzpltej, musieli sceptycznie się zapatrywać na wynik walki.

Spółeczeństwo nie zdołało jeszcze wydobyć z siebie tyle sił, ofiarności i zasobów, ile sytuacja wyjątkowo trudna wymagała... powstanie upadło.

Klęska powstania dla dworu i Trembeckiego była potwierdzeniem ich przewidywań. Trzeci rozbiór stanowił teraz rzecz nieuniknioną.

Król wywieziony, internowany w Grodnie, nie traci jeszcze nadziei. Trzeba tylko zacząć się, zaświadczyć swoją pokorą bezwzględną i lojalność—a uzyska się może jakieś resztki władzy i państwa polskiego z łaski zwycięskiej Monarchini.

Uczucia polskie Trembeckiego, jak i u króla, miały charakter bierny, przeważnie etniczny. Wszelkie żywsze poczucie narodowości zabijały w nich sceptycyzm i suchy materjalizm encyklopedyczny, podsycany gnuśnością i nikczemnością epoki sasko-sarmackiej. Na tem podłożu dopiero można się zbliżyć do zrozumienia genezy owej nieszczęsnej *Pieśni na cześć ks. Repnina* (1796).

Echa słowianofilstwa widzę w zaznaczeniu antagonizmu do Germanów, którzy Rosyi wtedy bynajmniej nie zagrażali. Odzywają się tu także hasła pogodzenia się z losem i nadzieje słowiańskie, że wspólnie z Rosyą „zrośłemi krzepcy siłami“ osiągniemy olbrzymią potęgę. Wówczas wybije godzina porachunku wiekowego Słowian na „straszliwych Teutonach“.

Późatem rezygnacya z niezawisłości narodowej, pochlebstwa i zalecanki niewolnicze do wroga; ba, nawet uciecha wspólna—na świeżej mogile ojczyzny!

Któż się ośmieli usprawiedliwić autora, kto nazwie innem imieniem wiersz ten haniebny?

Stańmy jednak na stanowisku surowo obiektywnem — spróbujmy wnikać w genezę tego utworu. Zwierzchnikiem—dozorcą króla uwięzionego w Grodnie, był ks. Repnin. Od niego zależało wydanie opinii o więźniu przed rządem, a przez to poniekąd pogorszenie lub polepszenie bezpośrednie doli Stan. Augusta.

Wiemy, jak mało przebierał król w środkach pod względem ich jakości moralnej. Trembecki był za leniwy, aby samorzutnie układać hymny niesmaczne na cześć osób, które jego osobiście nie dotyczyły. Król natomiast pragnął pozyskać sobie Repnina, czynił w tym celu zabiegi.¹⁾ On życzył sobie tego wiersza. On był ojcem duchowym i muzą „peanu“.

Nie usprawiedliwia to poety. Wdzięczność i przywiązanie do króla, nie powinny były przekraczać pewnych granic. „Wiersz do ks. Repnina“ rzuca na Trembeckiego plamę niezmazaną, choć główna wina spada na Stan. Augusta, jako sprawcę duchowego.

Uwzględnijmy też moment.

¹⁾ Patrz A. J. Rolle: „Opowiadania historyczne“. Lwów, 1887. „Stan. August w Grodnie“. Wykazuje on, że ks. Repnin był dla Stan. Augusta bardzo życzliwy i często kołatał u swego rządu w jego interesach. Król nawzajem dobrze się czuł w jego towarzystwie, często go odwiedzał i starał się różnymi sposobami pozyskać jego względy.

Była to chwila depressyi strasznej i rozwiania się wszelkich nadziei po upadku powstania i trzecim rozbiore. Była to chwila rozpętania reakcyi oszołomionej ciosem okropnym i ślepej. Gięły się i łamały dusze silne i czyste, zwątpienie ogarniało najlepszych. Stan ten, na szczęście przejściowy, w r. 1795 - 6 dochodził właśnie swego zenitu.

We współczesnym (r. 1796) wierszu Franciszka Karpińskiego na cześć tegoż samego ks. Repnina ¹⁾ brzmi głębsza jeszcze i karygodniejsza niewiara w przyszłość narodu. Pisz on:

Ten język i te wiersze słowami polskimi,
Może za sto lat znane nie będą (!!) w tej ziemi.

A między wyrazami boleści nad upadkiem „niepowrotnym“ ojczyzny są i wyrazy rozrzewnienia dla cnót Repnina:

Ktoś pomnażał ciężary, a ty wzięłeś w podział,
Żebyś ubogą nędzę głaskał, żywił, odział.

Przemawiał tak poeta do Repnina, który jako ambasador w Polsce, odznaczał się brutalnością, pomiatał posłami i królem.

Nie umniejsza to winy Trembeckiego, ale sprowadza ją do granic właściwych. Szambelanowi, jak i królowi, brak godności duchowej i narodowej...—Zgoda.

Czy brak mu jednak godności osobistej, prywatnej? Czy jest lichym, sprzedajnym pismakiem?—Nie.

Wójcicki załatwia się z kwestyą po prostu...—Trembecki do upodlenia posuwał się w dworactwie, fałsz wierutny tchnie z jego pism.

Jużeśmy się przekonali, że Trembecki pisał z własnego przekonania i szczerze.

Siemieński stosunek szambelana do króla, nie znając go bliżej, wynosi na piedestał przyjaźni czystej i bezinteresownej.

Biegeleisen zbił to i słusznie. Sam jednak charakteryzuje poetę stronnictwo i niesprawiedliwie, jako marnego wyzyskiwacza. W cytowanych już listach występuje Trembecki, jako dworak, pochlebca, żebrzący wiecznie i wypominający przysługi dawne i przywiązanie do króla. Jest natrętny, czasem zuchwały i porwoczy.

¹⁾ „Do ks. Mikołaja Repnina, generała gubernatora Litwy“. Fr. Karpińskiego. „Dzieła“. Kraków, 1862, 486—7.

Obraz przykry. Ale odwołajmy się do epoki, do zwyczaju mecenasowania u magnatów, do wysławiania panegirycznego chlebobdawców przez protegowanych.

Czy był wreszcie Trembecki w swych apelacjach do łaski królewskiej taki odosobniony? Przejrzyjmy dla przykładu listy nie byle czyje, bo *Naruszewicza*.¹⁾

Przecież to jedna litania żebrań o tłuste prebendy, nie tylko wakujące, ale i zajęte przez chorych lub słabych. O spuściznę po żywych jeszcze skwapliwie i żarliwie zabiega biskup Naruszewicz!

Cóż mówić o innych?

Trembecki wrócił z Paryża zadłużony, zrujnowany. Jako dziedzic znacznych włości i świetny dworak nabył licznych nawyknień do zbytku, wygod, przyjemności fizycznych i umysłowych. To też choć i żył stosunkowo z umiarkowaniem, trudno mu było w wieku podeszłym pozbyć się nałogu do wykwintej stopy życiowej. W końcu pensya nie wystarczała i—dalej brnął w długi.

Pisze w jednym z listów, iż mógłby resztkami majątku opędzać skromne potrzeby pobytu na wsi do końca życia. Tymczasem

„Un ordre exprés de la Cour m'évoqua à Varsovie; on me réitéra les ordres de demeurer dans cette capitale; quand je parlais d'ici, j'étais obligé de dire le jour de mon retour“. (str. 280)

Wypłacał mu król pensyę wystarczającą na życie wygodne, ale szambelan miał stare długi,—więc płacił je, a na życie dopożywał znowu za lichwiarskie procenty. Powstawało błędne koło.

Stan. August przejmował parę razy jego długi na siebie, lecz zwykle kojarzyło się to z redukcją pensyi, trwało długo i w końcu szambelan był goły, jak Łazarz, z tą niekorzystną różnicą, że kredytorzy ustawicznie deptali mu po piętach, fantowali rzeczy, pościel, że aż do króla uciekać się musiał o ratunek doraźny.

Poeta wiecznie osaczony troskami finansowemi, żalił się, lamentował, ustawicznie to prosił, to groził. Stanisław August wchodził niby w położenie swego historyozofa, przyrzekał mu nieraz, nawet ofiarowywał asygnaty lub mianowania, które w końcu zawsze dostawał kto inny.

Szczodry w szafowaniu urzędami i prebendami dla innych faworytów, Trembeckiego król wyraźnie pomija. Może dlatego

¹⁾ Wójcicki: Archiwum domowe.

poniekąd, że sam był ciągle w kłopotach finansowych, dbał prztem o ludzi wpływowych i niezależnych. Pozatem St. August nie nadawał swemu szambelanowi żadnego urzędu, zabezpieczającego niezależność materyalną, ażeby zatrzymać go przy swoim dworze. Był to zarazem jedyny sposób zmuszenia go do twórczości i pracy. Trembecki trapiiony i oblegany przez wierzcicieli gryzł się i wysilał na obmyślanie przeróżnych projektów dla ustalenia sobie jakiego takiego dobrobytu.

Po kolei prosi króla: o pozwolenie wstąpienia do armii rosyjskiej, o starostwo, o protekcyę na kanonię lub na prebendę opacką; chce zostać członkiem Rady Nieustającej, posłem sejmowym, wreszcie rektorem uniwersytetu wileńskiego na miejsce ustępującego ks. Poczubutta.

Na wszystko odbiera odpowiedź odmowną, za zuchwalstwo oddalony jest od dworu z zakazem jednak udania się zagranicę.

Zdawało-by się, że popuści wodze pomstliwości i sarkazmom żółciowym, do jakich miał tyle talentu...—Dzieje się przeciwnie. W okresie tym od 1785—8 r. wydaje szereg pism politycznych z wymowną obroną polityki królewskiej, jakiej nigdy ani jednym słowem nie uchybia.

Schorzały i zgorzkniały odludek i pesymista zdobywa się na brawurę dawną, gdy chodzi o honor Stanisława Augusta. Staroście Gołubskiemu Wessłowi za odezwanie się niepoprawne o królu wyciął taki policzek, że ręka mu spuchła (Listy 491).

Dr. Biegeleisen zarzuca interesowność i fałsz stosunkowi poety do króla. Podziela ten pogląd i R. Rilat czy też komentator jego dr. Bernacki. Inni badacze przeważnie cenią przywiązanie Trembeckiego do króla i wierność, jako piękny rys charakteru (Siemieński, Tarnowski). Przytoczę opinię bezinteresowną świadka naocznego, niechętnego Królowi:

Pisze B. Michałowski: „Trembecki był nietylko wiernym poddanym i sługą króla, ale w jego przywiązaniu do niego był jakiś zapal, jakaś egzaltacya, tem dziwniejsza, że była szczerą. Jak błędny rycerz romansu w swojej kochance, tak on w królu widział swój ideał, upatrywał w nim wszystkie doskonałości“ (T. II, 170).

Obecnie o szczerości uczucia szambelana do króla chyba wątpić niepodobna. Wiernie dzielił jego losy i nie opuścił go, chociaż, jak świadczy Michałowski, „najmłodziejsi panowie polscy dobijali się o jego przyjaźń, żeby uchodzić za uczonych“ (T. I, 145).

W brudnej aferze Dogrumowej posądza p. Biegeleisen¹⁾ poetę o autorstwo pamfletu przeciwko partyi królewskiej, co pod nazwą „drugiego objaśnienia“ znalazł się wśród papierów Stan. Augusta. Jest to dziwne „nieporozumienie“ lub brak uwagi ze strony p. Biegeleisena, ponieważ broszurę powyższą *przepisał* i przesłał z liścikiem 3 kwietnia 1785 r., sam Trembecki wprost do króla na wyraźne jego życzenie. Na dowód przytoczę większą część tego listu:

„Szambelan Korticelli zalecił mi imieniem W. K. Mści, abym „drugie objaśnienie“ starał się przesłać. To przyłączam. Miałem je y dawniey do czytania mi dane, ale tak napisane grubiańsko, iż nie mogąc tego znieść, przestrzegłem stronę przeciwną, że pisanie w takowym guście jim tylko samym wieczną krzywdę uczyni. Teraz tedy jest przez trzecią prawie część skrócone y poprawione; ale jeszcze bardzo w nim znać rękę barbarzyńską. Czyli było publikowane, nie wiem“.(643)

Podejrzenia p. Biegeleisena, że Trembecki maczał ręce w brudnej tej sprawie nie mają żadnej podstawy.

Z rozpacz y mizantropii, w jaką pogrążył się poeta, będąc w Gdańsku (1787 r.) za czasu nielaski królewskiej, wytrąciła go wiadomość, że przypisują mu autorstwo dwóch paszkwili na króla p. tyt. „Głos Polaka“ i „Listy Polskie“. Wpadł w gniew szalony, odparł oszczerstwa, a generała Komarzewskiego, którego o insynuacye posądzał, wyzwiał na pojedynek. Dopiero wstawienictwo króla zapobiegło rozlewowi krwi. Z tej więc strony Trembecki był bez zarzutu. Prawdą natomiast była jego głęboka—amoralność w życiu prywatnem.

Charakteryzuje to w sposób jaskrawy sam Stanisław August.

12 czerwca 1785 r. zakazuje on Trembeckiemu przychodzić lub pisać do niego. Woynie poleca pilnować biednego szambelana, „żeby on szaleństwa iakiego nie zrobił, do ktorego y iego przyrodzenie Poetyckie, a bardziey ieszcze ta samotność y *ciemna rozpusta* mogą dać powód“. (str. 669).

Ascetą, ani bezzennikiem nie był do późnego wieku. Około 1784 r. zaczyna się jego „przyjaźń“ z niejaką Bachmińską. Chciał się z nią żenić.

Byłem „już już rezolwowany dać na siebie samego dożywocie iedney zdawniały Niewieście“. (str. 276).

¹⁾ H. Biegeleisen: „Udział Trembeckiego w sprawie Dogrumowej“ w „Prawdzie“ zbiorowej księdze ku uczczeniu Świętochowskiego. Lwów, 1899.

Ale i to mu odradził król, na co się później użalał poeta. (str. 581).

Stosunek z Bachmińską trwa dosyć długo, a nie jest tak bardzo platoniczny, skoro w 1789 r. uprasza króla ona o wsparcie pieniężne dla Trembeckiego i o pomoc dla jej *matoletniego* dziecka (str. 745—7).

Sporo drastycznych wierszy Trembeckiego krążyło po kraju w odpisach,—kilka z nich zaleca się wdziękiem wytwornym obok treści rozpustnej, natomiast jeden p. tyt. „Oda do Pirona“¹⁾ wyuzdaniem potwornem lubieżności wkracza na tory wypaczenia płciowego i erotycznego. Jest to wprowadzie tylko przekład, zdumiewający bogactwem słowa, ale sam wybór tematu starczy na potępienie autora.

Co gorsza wybór ten płynął z upodobania.

Na parę lat przed zgonem — w Tulczynie — pytany o swoje pisma odpowiedział poeta z uśmiechem sardonicznym, że pamięta tylko swój przekład ody do Pirona!

Rozwiewa to bezpowrotnie legendę o szczególnym przełomie duchowym u Trembeckiego w latach 1779—80, o ascezie rzeckomej i szczerem odrodzeniu moralnem, jakie miały niby później nastąpić. Usiłowania w tym kierunku p. Gomulickiego²⁾ pozostaną fikcją bezprzedmiotową.

Stanowisko historyczne każe wszystko przenosić na ekran epoki.

Obscoena w Polsce od czasów humanizmu—lubieżne, rozpasane i wykwintne—ciągną się przez całą epokę sarmacką, przybierając specyficzny ton rubaszno-familijny,—aż do chwili zapanowania francuszczyzny, kiedy znowu są cyniczne, niekiedy ohydne—zwykle zaprawione sarkazmem. Rozpowszechnione były ogromnie.

Czytano te i inne obscoena na obiadach „czwartkowych“, do których należeli w większości kapłani zakonnicy, w tej liczbie 5 jezuitów³⁾.

Był wśród nich i biskup, czcigodny historyk, A. Naruszewicz, który gorliwiej jeszcze od Trembeckiego uprawiał obscoena, przeważnie z życia zakonnego zapożyczone.⁴⁾

¹⁾ Rękopis Akademii nr. 615.

²⁾ „Kurier Warszawski“ z 1910 r. N-r 342. W. Gomulicki „Polski Tolstoj“. Autor na podstawie szczupłego materiału, nie zbadanego krytycznie zestawia naszego Trembeckiego z Tolstojem (!!). Zamykając oczy na źródła wydane, wygłasza nader ryzykowne wnioski, będące owocem bujnej licencji poetyckiej.

³⁾ Wóycicki: Archiwum domowe, patrz listę gości „czwartkowych“.

⁴⁾ Rękopis Akademii N. 615.

Uskarża się właśnie nasz poeta:

„Moy kolega czwartkowy Naruszewicz, będąc od tylu lat zakonnikiem, tłumaczył z Woltera sięgę Ecclesiastae, gdzie jest cała religia attakowana. Tłumaczył nayswywolnicysze powieści y one daleko sprośnieszemi wyrazami, niż są w oryginale upluskał, to jednak w duchownym y już w ten czas Biskupie, było nięnaganne“. (543).

Tymczasem jemu mają za złe obscoena, choć pisał je *na polecenie króla i pod jego cenzurą*:

„Te jako prawdziwy literatury Protektor, nie tylko czytać y approbować raczyłeś, ale też swoją ręką y swoim niezawodnym gustem „poprawiać“, Mił. Panie, raczyłeś“. (585).

I w tym wypadku Trembecki był synem nieodrodnym epoki.

*

*

*

Trembecki podziela losy Stanisława Augusta. Po przegranej 1792 r., razem z królem podpisuje akces do Targowicy. Zostaje nawet cenzorem do dzieł zagranicznych w obcych językach. W 1795—6 r. jest w Grodnie, w 1797 jedzie do Petersburga i pozostaje tam aż do zgonu króla. Na prośbę Stan. Augusta cesarz Paweł I mianował Trembeckiego w 1798 r. rzeczywistym radcą stanu i młodszym bibliotekarzem Ces. Biblioteki Publicznej.¹⁾ Król dbał o zapewnienie losu wiernego sługi i chluby literackiej swego panowania, cesarz zaś Paweł chciał zatrzymać przy dworze męża słynnego z oświaty i uczoności.

I tam nie opuszczają szambelana zwykłe kłopoty finansowe²⁾, zwłaszcza bezpośrednio po śmierci króla.

¹⁾ „Biblioteka Warszawska“ z 1872 r. T. IV, 157.

²⁾ Dans l'année prochaine mille huit cent, au vingt cinquième jour du mois de janvier, je payerai au sieur Fedor Mirkulow, loueur des voitures ou a son ayant cause, la somme de trois cent treute cinq roubles, en assignations dico N-ro 335 roubles. En foi de quoi je soussigue de ma propre main. Fait à St. Petersbourg ce trois de decembre 1799, podpis S. Trembecki. (T. Wierbowski: Materyały. T. II, 148).

Nie mogąc wytrzymać w obcym sobie środowisku, na zaproszenie Czartoryskich powraca około 1800 r. do kraju i osiada w Granowie, po krótkim pobycie w Puławach. Szczęsny Potocki marzył o stworzeniu w Tulczynie drugich Puław, ogniska nauki i literatury.¹⁾ Ofiaruje gościnę poecie, ten ją przyjmuje, znęcony po części słynną biblioteką Tulczyńską. Znowu okrzyki oburzenia wśród biografów. Jak to? Trembecki przyjaciel króla w gościnie u przywódcy Targowicy, którą potępiał dawniej?

Odpowiem pokrótce. Szczęsny nie odegrywał już roli w życiu publicznym, był tylko mecenasem prywatnym, który skołatanemu kłeskami, osamotnionemu szambelanowi dawał przytułek na starość. Nie robiono sobie w owej epoce szczególnych skrupułów. Wielu patryotów, zwolenników 3-go maja, służyło u Szczęsnego i korzystało z jego łask, nie wyrzekając się wcale swoich przekonań.

Sympatye rosyjskie Szczęsnego doskonale się godziły z słowianofilstwem poety. Trembecki zresztą umiał zachować niepodległość poglądów, a poczucie godności osobistej miał rozwinięte w wysokim stopniu. Żadnemu magnatowi nie pozwolił nigdy sobie ubliżyć, nieraz i samemu królowi dał się we znaki ostrym przycinkiem. Przedstawia to w świetle właściwym taki np. epizod.

Król w testamencie zostawił dla eks-szambelana legat na 1,000 dukatów. Na prośbę jego zwróconą do ks. Józefa Poniatowskiego, jako spadkobiercy, odburknął książę, że wie tylko, iż Trembecki robił dla króla wiersze. Obrażony poeta wybucha odpowiednią klasyczną, w której grzeczność wyszukana łączy się z ciętym sarkazmem i nagłym łysnięciem stali.²⁾

Dr. Biegeleisen nazywa ten epizod pięknym rysem charakteru, nie objaśniając wcale, skąd się na to zdobył dworak „służalczy i płaski“.

*

*

Starsze społeczeństwo nastrojone było bardzo materialistycznie. Ojczyznę utożsamiano z państwem. Właściwie nie znano

¹⁾ Antoni J. (Rolle). Dwór Tulczyński. Losy pięknej kobiety. (Opowiadania historyczne. Lwów 1875).

²⁾ Patrz w przedmowie dra Ziemby do t. I wydania lwowskiego z 1883 r. Szczegóły ciekawe podaje Wóycicki w Życiorysach znakomitych ludzi. T.I.

jeszcze pojęcia „naród“. Z przegraniem kampanii 1792 r., z upadkiem Kościuszki zniknęła dla sceptyków nadzieja odzyskania niepodległości.

Zmazano z mapy dziejowej imię Polski.

Tryumfują elementarne potrzeby życia społecznego. Ogół wyczerpany restauruje nadwątlone podstawy ekonomiczne bytu i odpoczywa. Gdzieś powstają Legiony. Ogniska myśli patryotycznej bez kompromisu rozpalają się coraz burzliwiej na obczyźnie. W kraju znużenie i cisza.

Walka z trzema naraz potężnymi wrogami wydawała się niepodobieństwem. Co do wyboru pomiędzy Austrią, Prusami i Rosyą nie tylko Trembecki, ale nie wahała się i większość społeczeństwa.

Cała przeszłość i historyzofia poety składały się na to, że Niemców nie cierpiał. Już w 1777 r. przychodziło mu na myśl, że tylko zjednoczenie Słowian przywróci dawną ich potęgę, a pobyt w jednym państwie z słowiańską Rosyą znacznie już zbliżał to zjednoczenie.

Tembardziej, że Rosya jedyna zachowała Polakom pewne prawa narodowe i językowe, pewien samorząd szlachecki. Prześladowania religijne unitów, encyklopedystę nic nie obchodziły. Odebranie przywilejów wolnościowych, rygor administracyjny, nawet absolutyzm, były dla poety monarchicznie usposobionego symptomatem porządku i ładu, których tak brakowało w anarchicznej i luźnej Rzplitej.

Płynęły zresztą z powodu jedności państwowej dla rolnictwa i handlu ziem polskich znaczne korzyści ekonomiczne wskutek otwarcia nowych pól zbytu i zabezpieczenia rozwoju pokojowego.

Umysł racjonalistyczny Trembeckiego nie lekcewał tych materialnych zysków społeczeństwa.

I, jako konsekwencye z rozumowań powyższych, należy traktować ustępy z *Sofiówki*, w których Trembecki bez żadnej konieczności zewnętrznej odzywa się z wielkiem uznaniem o Katarzynie II i Aleksandrze I:

Katarzyna przez czyny nieśmiertelne swoje,
Gdy zniosła Zaporoża i Krymu rozboje,
Odtąd dopiero każdy swojej pewien własci,
Pod zbrojnem żyje prawem, wolny od napaści.
Wygnała barbarzyństwo, rzeczy postać inna,
I obfita ziemica jest, czem być powinna.
Ciągną mnie ku sobie te pola karmiące
Przez niegościnnie morze korabiów tysiące.

Odessa zmartwychwstała i wymienia złotem
Owoc ziemi rolniczym uroszony potem.¹⁾

Reformy oświatowe i humanitarne w kierunku polepszenia doli ludu ujęły bardzo encyklopedystę dla rządów cesarza Aleksandra I, z sporą też dozą szczerości pisze o nim:

Wielki Monarcha, losy nam dany szczęsnemi,
Skinieniem zdolny ruszyć część największą ziemi,
„Nie dość, że swym poddanym stałe zrządza gody,²⁾
Państwo to nigdy szerszej nie znało swobody,
Wszystko pod jego berłem może się nam godzić,
Prócz tylko sobie samym i Stanowi szkodzić.
Nie dość, że doskonali Marsowe rzemiosło,
Które imię Rosyi między gwiazdy wzniosło
Któryż dziś lud i których królów ręka
Naszych nie pragnie sprzyjań, gniewów się nie lęka?“
Nie dość, że się prawami wybornemi wślawia,
Przez co ludy tak różne zbliża i poprawia,
Nikommu ojcowskiego nie chybiając względu,
Jeszcze się zajął dobrem najniższego rzędu;
Zachęca, nie oszczędza starania i pracy,
By poznali potrzebne litery wieśniacy,
Takich od źródła światła, gdy dostanie kluczy,
I pospólstwo na sucho myśleć się nauczy

Brzmia tu nuty zadowolenia z losu i poczucia solidarności z Rosyą, której tryumfy i siłę nazywa Trembecki „naszymi“. Tylko głęboko zakorzenione poglądy słowianofilskie szambelana dają nam klucz do zrozumienia jego psychologii i ideologii politycznej z tych czasów.

*

*

*

Z biegiem czasu zamięłowania intelektualne osiągnęły w dawnym świetnym dworaku zupełną przewagę nad nałogami do zbytku i przyjemności fizycznych. W celu przedłużenia życia odrzucił

¹⁾ Poezycze T. I. Sofiówka, 2, 11. Pisana od 1804—6 r.

²⁾ 8 wierszy, od tego zaczynając, w druku dotąd opuszczanych, cytuję za I. Chrzanowskim „O wydaniach poetów stanisławowskich“. Pamiętnik literacki, 1908, 610.

szereg pokarmów i trunki wyskokowe z liczby przedmiotów swego pożywienia.

Miał własną co do tego teorię wiążącą się z filozofią klasyczną. Pozbawiony świetnego otoczenia i podniety do pracy, jaką była zachęta umiłowanego przezeń króla, staje się odludkiem zupełnym i melancholikiem, zachowując w stosunku do ludzi ton nieco cierpki i sarkastyczny. Tak zwane dziwactwa i zaniedbania w stroju domowym nie były wcale dowodem zdziczenia albo zdziecinnienia, jak chcą niektórzy. Poeta poprostu w starości zaczął stosować zasady pitagorejczyków starożytnych, których ideom filozoficznym wyrażnie hołdował. Na zapytanie, np., dlaczego nie pozwala sprzątać śmieci i brudu w pokoju i rzadko zmieniaia białinę, odpowiadał, że *w naturze niema nic brudnego*. Uważał za jedynie naturalne pozycye dla człowieka, stanie i leżenie, innych też unikał. W salonie zwykle stał lub chodził, w domu leżał.¹⁾ Poglądy te były dalszym ciągiem idei sceptycyzmu materialistycznego w związku z teoryami filozofii klasycznej.

Umarł Trembecki, przez wszystkich niemal zapomniany, wedle świadectw współczesnych w 1812 r.¹⁾

ZAKOŃCZENIE.

St. Trembecki reprezentuje znakomicie koła szlachty możniejszej środka XVIII w. dotkniętej mocno wpływem oświaty i ogłady francuskiej. Na równi z królem Stanisławem należy może do lepszych przedstawicieli tej warstwy z jej tendencjami poniekąd humanitarnymi i oświatowymi, ze spaczonym za to charakterem osobistym i moralnym.

Byli to sceptycy i materyaliści. Całym typem umysłowości i trybu życia stali daleko od narodu i jego potrzeb duchowych, nie rozumieli istoty jego uczuć i pragnień, siłę i wartość jego oceniali tylko ilościowo, zewnątrznie.

¹⁾ Szczegóły faktyczne o ostatnich latach Trembeckiego, patrz mój artykuł „S. Trembecki w Tulczyńie”. „Tygodnik Ilustrowany” 1912, grudzień. Podając literaturę o Janie Potockim w przypisku do rozdziału II-go obecnej rozprawy (Bibl. Warsz. 1913 r., I, 296) wyczerpałem ją aż do r. 1910. Niedawno ukazała się cenna monografia o J. Potockim pióra prof. A. Brücknera (Warszawa, 1912).

Leniwi ci sybarycy wyznawali zasady postępu i pracy organicznej, raczej powolnej niż zmuszanej, raczej płytkiej, niż przyniatającej ciężarem. Takim było grono króla i jego przybliżonych, do których należał i nasz poeta.

Sięgając czasów saskich szeregiem nałogów prywatnych i publicznych, łączył on przymioty niepospolite umysłu, żądzę wiedzy, wykształcenie głębokie i ogromny talent poetycki z gnuśnością i wstrętem do pracy systematycznej. Szambelan i wersalczyk—zatracił wszelki stosunek z ogółem narodowym. Materyalista do szpiku kości, o zabarwieniu kosmopolitycznem nie rozumiał duchowej i moralnej mocy patryotyzmu. Każdą siłę oceniał w sposób czysto racjonalistyczny: zapal, natchnienie, religijność, poświęcenie nie wchodzi, dla niego w rachunek, ponieważ mylą ścisłość obliczeń.

W tych warunkach przynależność Trembeckiego do polskości nie miała podłoża duchowego, była raczej fizyologiczną.

Z badań nad okresem starożytnym historii polskiej przyszedł on do wniosku, że naród słowiański zawdzięczał dawną potęgę swej jednolitości państwowej. Rozumowo czuł szczerą solidarność rasową z tym legendarnym narodem i pewne jej cechy swoiste objawiał negatywnie —w niechęci i antagonizmie względem Germanów.

Na razie został wiernym zwolennikiem programu organicznego i polityki słowiańskiej, pojętej praktycznie w stosunku do tych Słowian, którzy mogli być użyteczni, t. zn. do Rosyan. Nie idealizując Słowian traktował ich, jako fakt realny, który próbował ująć w program rzeczowy.

Teorie naukowe posiadały nad umysłem encyklopedysty władzę absolutną. Wskutek swych studyów nad Słowiańszczyzną Trembecki w końcu zaczął uważać się bardziej za Słowianina (Sławaka), niż za Polaka. Tem łatwiej mu przyszła rezygnacya z niepodległości narodowej na rzecz jedności słowiańskiej.

Z tego stanowiska rozbiory Polski i przyłączenie znacznej jej części do Rosyi były ciosem przykrym, ale mającym i strony dodatnie. Zbliżały one ziszczenie ideału politycznego poety, ideału—skupienia Słowian w jednym olbrzymiem państwie, które zmiażdży wszystkich wrogów historycznych—Teutonów czy Mongołów. Skoro misyi tej nie podołała Polska, niech jej dokona Rosya, jako państwo Słowiańskie. Nie przykładajmy do tego wysubtelnionej skali wrażliwości patryotycznej dzisiejszej. Winy część dużą ponosi epoka i otoczenie poety.

Polityka w owych czasach opierała się na zasadzie państwowości; z narodami, z typem ich psychicznym nie liczone się wcale. I nie wiadano właściwie, czym jest eksterminacja narodu. Język i narodowość dla polityków ówczesnych były czynnikami podrzędnymi. Trembeckiemu też chodziło o zjednoczenie Słowiańszczyzny polityczne państwowe, nie wyobrażał sobie nawet możliwości wynarodowienia i zatury indywidualności plemion słowiańskich do Rosyi przyłączonych. Oto dlaczego znoś z łatwością upadek kraju i szczerze zupełnie ocenia korzyści ekonomiczno-społeczne, dla pewnych prowincyi Rzpltej z rozbiorów płynące, oto dlaczego w „Sofiówce“ brzmi ton spokojnej bez protestu abdykacyi z niepodległości narodowej, dla nas tak smutny i oburzający. I najdalszy jest Polsce współczesnej Trembecki, gdy nie odczuwa już ani rozumie prądów odrodzeniowych w dobie legionów i Księstwa Warszawskiego.

Sensualista i cynik z przytępienym do gruntu zmysłem wrażliwości moralnej, publicznej i narodowej, zachowuje się on zawsze, mimo cech dworactwa z dumą i umie bronić swej godności osobistej. Z królem wiernie podziela losy złe i dobre. A więc łajdakiem nikczemnym ani zdrajcą, jak chce Wójcicki, poeta nasz nie był.

Wbrew sądom badaczy dotychczasowych podnoszę stałość i niezłomność ideologii Trembeckiego. On, pierwszy u nas wygłosił konkretny a zasadniczy program polityki słowianofilskiej, polegający na związku państwowym Słowian przeciw Teutonom.

DR. EDWARD WORONIECKI.

KOŚCIÓŁ KATOLICKI

w początku panowania Aleksandra I.

(1801 — 1815).

I.

Rządy cesarza Aleksandra rozpoczęły się mniej więcej jednocześnie z pontyfikatem Piusa VII Chiaramonti.

Biskup Imoli, kardynał Barnaba Chiaramonti wybrany został po czteromiesięcznem niemal konklawe w Wenecyi w benedyktyńskim klasztorze S. Giorgio Maggiore, dokąd św. Kollegium schroniło się wobec zalewu Rzymu przez wojsko neapolitańskie, które nad wiecznem miastem rozciągnęło rzekomo sprzymierzeńczą, w istocie dotkliwie dającą się we znaki burbońską opiekę, z zamiarem zamienienia jej na stałą okupację. Państwo kościelne podówczas właściwie nie istniało; jego terytoria obsadzili po ustąpieniu Francuzów w części Austriacy, w części Neapolitańczycy. Najbliższem zadaniem nowego pontyfikatu miało być, uwolnienie państwa Kościelnego od sprzymierzeńczych a podwójnie zachłanych protektorów. Zarówno Austriacy jak Neapolitańczycy nie myśleli jednak o ustąpieniu. Niepodobna przewidzieć jak długo przeciągnęłaby się ta okupacja, to pewna tylko, że wyczerpane papieństwo nie mogło było myśleć o odzyskaniu samodzielności z temi siłami, jakimi rozporządzało, a już zgoła wątpliwym był wynik prowadzonej przez Piusa VII w tym celu akcji dyplomatycznej. W tem prawdziwie krytycznem położeniu zwycięski oręż Bonapartego w bitwie pod Marengo, 13 czerwca 1800 r. rozstrzygnął o dalszych losach Państwa Kościelnego, podobnie jak o losach Europy. Z kretesem upadły teraz śliskie argumenty Thuguta, który niepomny na legitymizm z jakim szczególnie Austrii powinno było być do twarzy, pozorował rzekome prawa do zajętych terytoriów Państwa Kościelnego zwycięstwami koalicji austriacko-rosyjskiej nad Francuzami w roku zeszłym. W ten spo-

sób Marengo stało do cna ów szczególny rachunek, w którego myśl papieństwo stojące po stronie koalicji zapłaciło było swoim sprzymierzeńcom tak suto za obronę, że nic mu w ręku nie zostało, bo nawet Rzym zajęli Neapolitańczycy. Bez przeszkody teraz odbył Pius VII wjazd do swej stolicy dnia 3 lipca 1800 r. Po dwakroć w następstwie będzie zniewolony opuścić ją na dłuższy przeciąg czasu: po raz pierwszy w r. 1804 dla dokonania w Paryżu ostatniego w dziejach pomazania imperatora, po raz drugi w r. 1808 jako więzień Napoleona, wywieziony na długoletnie wygnanie do Sawony. Te dwie daty są zarazem punktami kulminacyjnymi dwu wręcz przeciwnych okresów w polityce rzymskiej pierwszego Konsula a w następstwie Cesarza.

Do r. 1804 t. j. do koronacji, musiało Bonapartemu zależeć na uzyskaniu z rąk papieża legitymistycznej sankcyi swej władzy w oczach Europy, a nie mniej także w oczach własnych poddanych w przeważnej większości katolickich. Od Piusa VII wyłącznie—według słów pierwszego Konsula—miało zależeć, by papieństwo znalazło we Francyi oparcie, jakiego potrzebuje, byle tylko Kościół nałożył wiernym obowiązek posłuszeństwa dla istniejącej władzy. Pojednanie z Kościołem leżało zatem w interesie umocnienia rządów pierwszego Konsula. W tej myśli przywraca Bonaparte obalony przez rewolucję porządek kościelny i zawiera konkordat z Rzymem 15 lipca 1801 r. Mimo wszelkie braki, jakie w tym akcie widział Watykan, religia katolicka we Francyi odzyskała z urzędu dawne swe stanowisko. Tak więc Bonaparte był i chciał być podówczas odnowicielem Kościoła. Jednakowoż galikańskie zasady, jakskrawo podkreślone przez niego w konkordacie stały się w zarodku kamieniem obrazy, o który rozbija się to urzędowe a dla obydwu stron w danej chwili pilne pojednanie. Nadzieja złagodzenia galikańskich artykułów oraz odzyskania dla Państwa kościelnego legacyi i Romanii utraconych w pokoju tolentyńskim, powiodła Piusa VII nad Sekwanę, doradzając mu przez wymowne usta kardynała sekretarza stanu Consalvięgo włożyć na głowę syna rewolucyi koronę, z którą łączono tradycye Karola Wielkiego. Na te wielkie tradycye wyraźnie wskazywano w memoryale Watykanu przesłanym Napoleonowi w okresie podróży Piusa VII do Paryża. Za przykładem Karola Wielkiego powołany był nowy cesarz do przywrócenia egzarchatu i pentapolis namiestnikowi Chrystusa. Nadziei tych wszakże Napoleon nie tylko nie spełnił, ale poszedł we wręcz przeciwnym kierunku; wypowiedział niebawem niczem nieusprawiedliwioną wojnę papieństwu, zrywając brutalnie i bez najmniejszego powodu ze strony Piusa VII wszyst-

kie swe poprzednie zobowiązania. Tem boleśniejszy, tem bardziej przykry zawód po uciążliwej dla papieża podróży, obarczającej bądź co bądź dyplomacyę watykańską wobec starej Europy odpowiedzialnością za krok tak hazardowny. Od powrotu Piusa VII z Paryża stosunki między obu dworami stają się coraz bardziej napięte; zaostrzają się, odkąd Pius VII, zażądał (26/IV 1806), by Józef Bonaparte, nowy król Neapolu, uznał się lennikiem papieństwa i niebawem przechodzą w otwarte zerwanie, zakończone okupacyą Rzymu 2 lutego 1808 r., gdy papież nie spełnił postawionych przez Napoleona twardych warunków. Między innemi domagał się Napoleon, by jedna trzecia członków św. Kolegium składała się z Francuzów a konkordat został rozciągnięty na królestwa Włoch i Neapolu. Po ponownej odmowie ze strony papieża dalsze wypadki potoczyły się gwałtownie po równi pochyłej. 16 marca 1808 r. ogłoszony został protest Piusa VII przeciw wcieleniu wojsk papieskich do armii francuskiej, — 17 maja 1809 r. zwycięski pod Aspern cesarz wydaje dekret znoszący świecką władzę papieża, w nocy z 10 na 11 czerwca t. r. rzuca Pius VII w bulli „*Quam memoranda*“ ekskomunikę na wszystkich winnych i współwinnych grabieży na Państwie Kościelnem, a nocą z 5 na 6 lipca zostaje uwięziony i przez Florencyę i Turyn wywieziony na wygnanie do Sawony. Dopiero zwycięstwa koalicyi w roku 1813 zmusiły Napoleona do uwolnienia Piusa VII. Kongres wiedeński przywrócił papieżowi wszystkie posiadłości we Włoszech. Nastąpiło to nie bez wybitnego współdziałania i poparcia cesarza Aleksandra. Okoliczność ta nie mogła pozostać bez wpływu na stosunek Watykanu do Rosyi.

Z kolei należy więc zdać sobie sprawę z ułożenia się stosunków Rzymu do Petersburga od początku panowania cesarza Aleksandra.

Jednym z pierwszych czynów Aleksandra I, po wstąpieniu na tron, był akt amnestyi więźniów politycznych. W ich liczbie uzyskał wolność biskup sufragan Odyniec, zwolennik i towarzyszy zmiennych losów Siestrzencewicza. Wskutek prośby wniesionej przez Odyńca do cesarza metropolita uzyskał natychmiast wolność. Powrót Siestrzencewicza z wygnania i zjawienie się jego w Petersburgu w czerwcu 1801 r. było zapowiedzią kierunku w jakim miały pojsć obecnie sprawy Kościoła katolickiego w Rosyi. Reskryptem cesarskim na ręce Bekleszewa z 28/16 czerwca 1801 r. powołany został osobny komitet dla reorganizacyi stosunków kościelnych i przywrócenia metropolity do dawnego stanowiska. Reskrypt ten, aczkolwiek nie był wprost wymierzony

przeciw oo. Jezuitom,—ozaczał przecieŹ upadek osobistego uprzywilejowanego stanowiska O. Grubera. JuŹ ukaz z 23,11 maja 1801 r., którego mocą zabroniono zakonowi tworzyć nowych domów, bez osobnego pozwolenia rządu oraz cofnięto ukaz Pawła o oddaniu Jezuitom uniwersytetu wileńskiego był wyrazem niekorzystnej dla zakonu zmiany stosunków.

Komitet reorganizacyjny z generał-prokuratorem Bekleszewem na czele składał się w większości z adherentów Siostrzenecowicza. W czasie kilkumiesięcznych obrad komitetu ścierały się w jego łonie dawne tendencje siostrzenecowiczowskie, zmierzające do oparcia kościelnego stanu rzeczy na zasadach wydanego przez metropolitę regulaminu z dążeniami prawno-kanonicznymi, których przedstawicielem był kanonik Byszowski.

Rezultatem końcowym obrad komitetu był ukaz z dn. 25 18 listopada 1801 r. który w miejsce Departamentu, dotychczasowego najwyższego trybunału spraw kościelnych, powołał do życia t. zw. „Rzymsko-katolickie duchowne Kollegium“, podległe bezpośrednio senatowi. Kollegium stanowiło najwyższy trybunał duchowny do którego apelowały wszystkie inne sądy dyecezyalne; decydowało w sprawach spornych pośród kleru, w rekursach od wyroków biskupich, aprobowano prowincyałów i przełożonych zgromadzeń zakonnych, nad którymi zarazem wykonywało ogólną kontrolę, podobnie jak nad wszystkimi kościołami, instytucjami, dobrami i funduszami kościelnymi. Tym sposobem odjęto biskupom dyecezyalnym władzę nad zakonami nadaną im przez dawniejsze ukazy. Wyjmując zakony z pod jurysdykcji biskupów, zostawiał pomieniony ukaz zgromadzeniom zakonnym autonomię wewnętrzną tylko *de nomine*, uzależniając je w zupełności od Kollegium i zakazując porozumiewać się z generałami i w ogóle innemi władzami poza obrębem Rosyi. Do Kollegium należały też orzeczenia w sprawach małżeńskich i rozwodowych. Dla spraw rozwodowych w szczególności przepisano następujący tok instancyjny: po wyroku w trybunale dyecezyalnym przekazywało Kollegium sprawę do powtórznego rozpatrzenia jakimukolwiek innemu, ze zgodą stron obranemu konsystorzowi. W razie niezgody stron na wybór konsystorza decyzya w tym względzie *ex officio* należała do Kollegium. Na wypadek zgodności obu wyroków konsystoryalnych Kollegium nadawało im moc obowiązującą; w przeciwnym zaś razie wyrok zapadał w Kollegium — prawie zawsze zezwalający na rozwód.

W skład Kollegium wchodził metropolita arcybiskup mohylowski jako prezes, jeden z biskupów i jeden z prałatów infuła-

tów jako członkowie stali, nadto 6 członków wybieralnych na okres trzyletni, po jednym z każdej diecezji *de gremio*. W posiedzeniach Kollegium bierze udział urzędnik cywilny w charakterze prokuratora.

Przywilej obsadzania parafii przyznawał pomieniony ukaz kolatorom; wyższe natomiast godności jak opatów, infułatów i biskupów sufraganów obsadzało Kollegium w porozumieniu z senatem. I w tym względzie także uszczuploną została prerogatywa biskupów, nadana im jeszcze ukazem z 15 (4) kwietnia 1798 r. Biskupi obowiązani byli do składania szczegółowych sprawozdań o całości zarządu diecezjalnego na ręce Kollegium, które o wszystkim informowało senat.

Ogół jurysdykcji kościelnej skupiał się teraz w łonie Kollegium, którego charakter i zakres działania upodobił je wielce do prawosławnego synodu. Złożone z duchownych oraz jednego przedstawiciela władzy świeckiej i zaopatrzone według brzmienia ukazu w obszerną jurysdykcję w materjach czysto duchownych i kościelnych, Kollegium już ze względu na świeckie źródło swojej władzy nie było niczem innym, tylko trybunałem świeckim, którego wyroki bez aprobaty Stolicy Apostolskiej musiały być w pełni co do istoty swej nielegalne. Wprawdzie końcowy ustęp ukazu z 13 listopada 1801 r. polecał Kollegium stosować się w przeprowadzaniu spraw i ferowaniu wyroków do przepisów prawa kanonicznego, ale rzecz jasna, iż formalna ta raczej uwaga, nie miała w następstwie żadnego skutku, wobec ducha w jakim działalność Kollegium została zakreślona. Wskutek tej nowej organizacji atoli jurysdykcja metropolitalna Siostrzencewicz została poważnie uszczuplona. Zasada kolegialności występowała obecnie bądź co bądź silniej niż w Departamencie, w którym Siostrzencewicz był wszechwładnym. Obecnie z uwagi na zwiększoną ilość członków Kollegium i z uwagi na ich charakter duchowny (Departament składał się w połowie z duchownych i świeckich w liczbie 6—Kollegium zaś z 9 członków duchownych) trudniej przyjdzie Siostrzencewiczowi zachować dominujące stanowisko, mimo, iż niebawem postara się o powołanie do Kollegium dawnych swoich zauszników. Po zatem przepisy ukazu o organizacji Kollegium zawierają mnóstwo sprzeczności, niejasności i konfuzji, szczególnie zaś w punktach dotyczących zgromadzeń zakonnych. Tak np. odjęto, jak zaznaczyliśmy, biskupom jurysdykcję nad zakonami—ale równocześnie nakazano im „niekiedy wizytować klasztory“.

„Biskupi nie mają się mieszać do zarządzania klasztornego i w elekcyje zakonne“ nie mniej jednak „prowincyalowie, chociaż

nie są pod władzą biskupów... powinni się do nich odnosić w każdym wydarzeniu“ i t. p. Pomieszanie pojęć pochodziło stąd, że komitet starał się pozornie godzić dwie krańcowo sprzeczne zasady t. j. zasadę prawa kanonicznego i postanowienia dotychczasowych ukazów.

O. Gruber starał się zarówno w interesie zakonu, jak i Kościoła, o niedopuszczenie z powrotem do władzy Siostrzencewicza, jednakowoż na próżno. Podobnie z pośród episkopatu podniosły się głosy przeciwne metropolicie. Biskup Gedroyć złożył nawet cesarzowi osobny memoriał, w którym przyznawał Siostrzencewiczowi tylko prawo zarządu dyecezyą mohylowską, zwalczał natomiast prezydenturę jego w Kollegium. Memoriał Gedroycia tak samo jak inny anonimowy memoriał przeciw Siostrzencewiczowi pozostał bez skutku; cesarz odesłał je do Komitetu, gdzie metropolita miał większość za sobą. Za staraniem partii Siostrzencewicza, głównie zaś Bekleszewa, skłoniono Benisławskiego do ustąpienia. Benisławski uważając, że misya jego w tej zmienionej sytuacji skończona, odczuwając nadto ciężar starości, spragniony był ciszy klasztornej. Wezwany na audyencyę do cesarza, sam złożył wszystkie godności, na rzecz Siostrzencewicza, który do przyjazdu nowego nuncjusza wszechwładne nad Kościołem katolickim objął rządy.

II.

Myśl uzyskania stałej reprezentacyi w Petersburgu nie schodziła, mimo porażki Litty¹⁾, z programu polityki Watykanu. Rzecz charakterystyczna, że jednym z najgorętszych rzeczników tej myśli po śmierci Pawła był nie kto inny tylko ten sam Litta, obecnie już kardynał a niebawem prefekt Kongregacyi Propagandy. W relacyi zredagowanej na żądanie Sekretaryatu stanu, w której dał retrospektywny, ale ogólnikowy, pogląd na swą misyę petersburską, poświęca osobny ustęp wykazaniu i uzasadnieniu konieczności stałej nuncyatury nad Newą. Pius VII, jak widzieliśmy, gorąco tego pragnął. W kilka tygodni po wstąpieniu Aleksandra na tron, zwrócił się do niego papież w tej sprawie, pismem z 27 kwietnia 1801 r. „Jesteśmy przekonani — pisał — iż W. C. M. prawdziwie odczuł swem wrażliwem sercem jak głębo-

¹⁾ Wawrzyniec hr. Litta, ostatni nuncyusz w Polsce, a następnie poseł nadzwyczajny w Petersburgu za Pawła.

ko przeniknął nas smutek na wiadomość o zgonie dostojnego ojca W. C. M. śp. cesarza Pawła I^o. Wspomniawszy o listach swych wysłanych niedawno do Pawła, daje Pius VII wyraz przekonaniu, że znane powszechnie wielkoduszne uczucia Aleksandra pozwalają tuszyć, iż przewyższy on swego ojca nie tylko sławą, ale także życzliwością i opieką nad Kościołem katolickim. Przedewszystkiem zaś ufa papież w osobistą przychylność i przyjaźń cesarza dla siebie, dlatego polegając na porozumieniu z Pawłem dał już odpowiedni rozkaz wyjazdu do Petersburga nuncyuszowi kolońskiemu, bawiącemu obecnie w Saksonii i czeka tylko przyzwolenia Aleksandra. Dopiero 26 sierpnia po dłuższem wahanii i namyśle odpowiedział Aleksander, przyjmując w zasadzie propozycję papieża. Układy o nuncyaturę miano niebawem rozpocząć, tymczasem zaś cesarz czyniąc zadość życzeniu papieża mianował hr. Cassiniego, dotychczasowego rosyjskiego konsula generalnego w Rzymie, agentem przy Watykanie, Benvenutiego zaś uznał oficjalnie jako tymczasowego *chargé d'affaires* Watykanu w Petersburgu. W reskrypcie do Cassiniego mieściły się zasady, na jakich miały się opierać dalsze stosunki Rosyi z Watykanem. Pożądaniem dla Watykanu ze względu na położenie Państwa Kościelnego we Włoszech i nadwątłony stosunek jego do państw katolickich, było oświadczenie cesarza, że „o ile tylko zajdzie potrzeba zapewnienia i polepszenia bytu Państwa Kościelnego, nie będzie się ociągał zaznaczyć dobitnie, jak bardzo zależy mu na zachowaniu tego mocarstwa we Włoszech“. Co się zaś tyczy stosunków duchownych Kościoła kat. w Rosyi z Rzymem, zapowiadał cesarz swobodę utrzymywania stosunków jego katolickich poddanych z głową Kościoła o tyle, o ile na to pozwalają wydane przez jego poprzedników przepisy o wolności wyznania katolickiego, „którego praktykowanie jest tolerowanem“ w Rosyi. Tak więc program powyższy nie bez pewnego znaczenia dla Watykanu pod względem politycznym—nie zmieniał wcale uciążliwego status quo w jakim Kościół katolicki miał nadal pozostawać po krótkotrwałych chwilach sielanki unifikacyjnej za Pawła.

Zabiegi Watykanu o zdobycie stałego dyplomatycznego postęunku nad Newą i dążność do oparcia polityki Państwa Kościelnego na porozumieniu z Rosyą, przez co miało wzmocnić się stanowisko Watykanu na półwyspie i pośród Europy, zaciemniały częstokroć dyplomacyi papieskiej z kardynałem Consalvim na czele, pogląd na groźne warunki bytu i przyszłość Kościoła katolickiego w Rosyi. Consalvi, któremu przyświecała myśl restytucyi świeckiej potęgi Państwa Kościelnego, zapatrzony nadto

w ideał obszerniejszy, zjednoczenia kościołów i pozyskania Rosyi dla katolicyzmu, gotów był do ustępstw oportunistycznych, byle tylko salwować tamte widoki natury ogólnej. On to pierwszy przyzwyczaił dyplomacyę rosyjską, posługującą się zręcznie tą czułą struną polityczną Watykanu, do zbyt częstego już w owym czasie, nie liczenia się z zasadniczymi postulatami Kuryi w bezpośredniej dziedzinie kościelnej, do której zupełnego opanowania rząd rosyjski systematycznie zmierzał, używając wzamian Watykanowi pomocy w sprawach politycznych na półwyspie apenińskim, oczywiście nie z pobudek altruistycznych ale, jak zobaczymy, dla wszechstronnego urzeczywistnienia programu własnej polityki antyfrancuskiej.

Nowa misya watykańska, którą powierzono Mgrowi Arezzy, gdy pierwotnie na nią przeznaczony nuncysz koloński Della Genga od niej się wymówił—nie rychło przyszła do skutku. Okazało się, że przyzwolenie na nią Aleksandra w liście z 26 sierpnia 1801 r. było tylko gołosłowną uprzejmością. W rzeczy samej gabinet petersburski robił wszystko, wynajdując co raz to nowe trudności, by posta papieskiego nie dopuścić do Petersburga. Nie mały w tej robocie miał udział metropolita Siostrzenczewicz, któremu, rzecz jasna, po przejściach z Littą nie uśmiechała się kontrola Arezzy. Gabinet petersburski wyzyskał w tym celu nie załatwioną dotąd kwestyę maltańską. Wprawdzie Aleksander I osobiście nie przywiązywał takiej wagi do tytułu W. Mistrza maltańskiego, jak jego ojciec, a nawet przeciwnie, nie przyjął ofiarowanych mu odznak, jednakowoż nie chciał zezwolić, by udział jaki przypadł Rosyi w sprawie maltańskiej za Pawła został w czemkolwiek uszczuplony na rzecz nienawistnej mu Francyi Bonapartego. Jeszcze za życia Pawła, Watykan krępując się uznać go W. Mistrzem zakonu jako szyzmatyka, obrał był drogę pośrednią i gotów był wreszcie na to się zdecydować, ale pod warunkiem, oddzielenia godności świeckiej W. Mistrza od władzy duchownej, którą to władzę papież zastrzegął dla siebie.

Śmierć Pawła uczyniła bezprzedmiotowem powyższe rozwiązanie sprawy. Mimo to gabinet petersburski postawił obecnie żądanie: 1) pogrobowego uznania Pawła W. Mistrzem, względnie wyznaczenie innego kandydata rosyjskiego, 2) aprobowania wszystkich aktów i zmian dokonanych w czasie W. Mistrzostwa zmarłego cesarza, czyniąc od tego zawisłem przyjęcie posta papieskiego w Petersburgu. Oświadczenie tej treści złożył agent Cassini kardynałowi sekretarzowi stanu Consalviemu. Rzecz zaczęła się wikłać, tembardziej, że w kwestyi maltańskiej zainteresowana

była również Francya i Bonaparte nie przestawał wywierać nacisku na Kurę w kierunku antyrosyjskim. Z tych opałów szukał Watykan wyjścia przez nominację księcia Ruspoli, patrycyusza rzymskiego, osobistości poniekąd neutralnej—w nadziei, że zadowolni, a przynajmniej nie zadraśnię stron rywalizujących. W odpowiedzi na to rząd rosyjski kategorycznie oświadczył się przeciw przybyciu posła papieskiego w jakimkolwiek charakterze do Petersburga. Dla Watykanu był to cios tem większy, że nieoczekiwany po tylu ustępstwach. Papież osobiście czuł się dotknięty jawnym afrontem. Ostatecznie po wielu dalszych układach z jednej strony Benvenutiego w Petersburgu, z drugiej zaś kardynała Consalviego z Cassinim w Rzymie stanęło na tem, że Arezzo uda się nad Nową, jednakowoż nie w charakterze zwyczajnego i stałego nuncjusza, ale nadzwyczajnego posła, którego pobyt w Petersburgu miał być jedynie czasowy i ograniczony; miało to być zaznaczone wyraźnie w listach uwierzytelniających Arezzy. Dyplomatyczna rola posła miała się ograniczyć do złożenia życzeń cesarzowi z okazji wstąpienia na tron w imieniu papieża, zaś kościelna działalność nie mogła wykraczać poza ramy wyznaczone mu przez rząd. Że w tych warunkach misya Arezzy nie rokowała wielkiego powodzenia, to można było przewidzieć.

Zgodziwszy się wreszcie na przyjęcie nadzwyczajnego posła papieskiego, cesarz Aleksander czuł się w konsekwencji obowiązany do podobnej uprzejmości względem papieża. Poniekąd więc z tych pobudek, przedewszystkiem jednak powodowany realnymi wskazaniami własnej polityki antyfrancuskiej, powziął dwór rosyjski myśl wysłania do Rzymu w równoległej misyi nadzwyczajnego posła hr. Buturlina, kuzyna ówczesnego ministra spraw zagranicznych ks. Woroncowa. Instrukcja generalna z 6 paźdz. (24 września) 1803 r. dla Buturlina odsłania obok programu kościelnego Aleksandra I polityczną sprężynę tej misyi nad Tybrem. „Dwór rzymski—powiedziano tam—mogąc się czegokolwiek spodziewać, a natomiast wszystkiego obawiać ze strony rządu francuskiego, musi w swojej polityce z konieczności powodować się powyższym względem. Dlatego też powinienesz Pan być powiadomiony o wszystkich insynuacjach, podsuwanych dworowi rzymskiemu przez rząd Republiki francuskiej. Przemarszowi wojsk francuskich przez terytoryum Państwa Kościelnego może również towarzyszyć wiele okoliczności, o których potrzeba nam wiedzieć, dla tego staraniem Pańskim będzie obserwować i donosić o tem w swoich raportach. Zresztą usadowiwszy się w Rzymie pośred-

ku państw, które prawie wszystkie zajęte są przez Francuzów albo też pozostają pod ich wpływem, będzie Pan mógł czuwać nad wszystkim, cokolwiek uwagi godnego zdarzy się w Toskanii oraz republikach włoskich i liguryjskiej“. Jakże sentymentalną w świetle powyższych realnych wskazówek wyda się nam uwaga, wstawiona na początku instrukcyi, że „wielką satysfakcyę sprawia cesarzowi wspomnienie o tem, iż mógł cokolwiek uczynić dla papieża w kłopotliwych okolicznościach, w jakich znalazło się Państwo Kościelne i skoro tylko nastreczy się sposobność do ponownego oddania usług papieżowi, na pewne jej nie zaniedba“. W zakresie polityki kościelnej natomiast zalecano Buturlinowi ułożyć stosunki Stolicy Ap. z klerem katolickim w Rosyi na takich podstawach „*by supremacya kapłańska (Rzymu) ciążyła na nim (klerze) o ile możliwości jak najmniej*“. Stosunki te mogły być tylko natury czysto duchownej i pod żadnym pozorem nie mogły mieć nic wspólnego ze stroną świecką spraw kościelnych. W instrukcyi powyższej określono także ściśle rolę „agentów“ rzymskich w Petersburgu, sprowadzając ją w istocie do zera. Odtąd nie wolno im było załatwiać żadnej sprawy z duchowieństwem katolickiem; wszystkie ewentualne odwołania do Stolicy Ap. musiały przechodzić przez ręce posła rosyjskiego w Rzymie. Na ogół wszystkie sprawy, w których interwencya papieża jest nieodzowną, mogły być traktowane przy wyłącznem pośrednictwie ministeryalnem posła rosyjskiego przy Watykanie *de cour à cour*, nie zaś pomiędzy biskupami a wiernymi. Tą samą drogą miał otrzymywać odpowiedzi z Rzymu metropolita mohylowski. Nakoniec zastrzegał sobie cesarz wyłączne prawo do nominacyi biskupów, które uważał za nienaruszalne i wyrażał przekonanie, że papież powstrzyma się od nominacyi episkopatu *motu proprio*. Na ten punkt miał Buturlin położyć szczególny nacisk i objawić wyraźnie wolę cesarza w tym względzie. Misya Buturlina nie przysłała wprawdzie do skutku z powodów, o których poniżej będzie mowa, ale poruszone przy tej sposobności postulaty i opinie tworzyły program kościelno-polityczny miarodajnych kół petersburskich, któremu napróżno usiłował przeciwdziałać, bawiący od początku 1803 r. poseł papieski Tomasz hr. Arezzo.

III.

Stan hierarchii kościelnej w Rosyi, jaki zastał Arezzo na początku XIX wieku, przedstawiał się jak następuje:

I. Archidiecezya mohylowska: Na czele archidiecezyi mohylowskiej, a zarazem Kościoła katolickiego w Rosyi stał nadal 70 letni wówczas, przywrócony niedawno do władzy, metropolita Sistrzenczewicz. Arezzo uważa go słusznie za klęskę Kościoła i za inspiratora panującego w rzeczach kościelnych systemu, zmierzającego wszystkimi sposobami otwarcie i skrycie, jawnie i podstępnie do oderwania Kościoła w Rosyi od Rzymu i odegrania roli jedyne go niezawisłego patriarchy; wyraża też przekonanie, że dopóki żyje „ten prawdziwy bicz Boży“, (un vero flagello di Dio) dany w gniewie przez Boga Kościołowi w Rosyi za pasterza, stosunki nie mogą zmienić się na lepsze. Z przydanych Sistrzenczewiczowi koadyutorów i sufraganów zastał Arezzo Benisławskiego, który jak wiadomo musiał ustąpić miejsca Sistrzenczewiczowi po jego powrocie z wygnania. Ex-jezuity, oddany gorąco sprawie zakonu, w owej chwili schorzał i pochyłony wiekiem, bliski był już grobu. Podobnie znękany chorobą i przykuty przez nią do łoża, był zacny i powszechnie lubiany 70 letni blisko kanonik Mohylowski Jędrzej Berent, przeznaczony jeszcze przez Pawła na sufragana mohylowskiego. Berent przeniesiony w sierpniu 1802 r. na sufraganię kijowską zrzekł się tej godności zanim przeprowadzono proces kanoniczny, na który już zezwoliła była osobnym dekretem rzymska kongregacya konsystoryalna. Koadyutorowi Odyńcowi, gorliwemu zwolennikowi Sistrzenczewicza, nie szczędzi Arezzo słów ujemnej krytyki. Odyniec mieszkał bądź w Kijowie, bądź w Połocku; nominacyę na biskupa Hippony *in partibus* odebrał był z rąk nuncjusza Litty.

Archidiecezya mohylowska liczyła podówczas 159 kościołów parafialnych, 204 księży i 225,936 wiernych obu płci, nie licząc dzieci poniżej lat 14. Zakonów męskich liczyła archidiecezya: tercyarzy (50), kapucynów, karmelitów dawnej reguły, kanoników regularnych, dominikanów (119), franciszkanów, piarów (9), trynitarzy tyleż, reformatów, jezuitów (313 w 13 domach i kolegiach), misyonarzy 24, ogółem 524 zakonników w 66 zakładach; zakonnic 44 w 8 klasztorach. Kapitały zakonne wynosiły 213,623 rb., dochody roczne 52,969 rb. Kapitały duchowieństwa świeckiego wynosiły 133,409 rb., dochody 20,980 rb. Duchowieństwo świeckie miało 3470, a zakonne 20635 poddanych.

II. Biskupstwo wileńskie: Biskupem wileńskim był Jan Kossakowski, przeniesiony na tę godność z biskupstwa inflanckiego przez nuncjusza Littę. Jan Kossakowski wyróżniał się pod każdym względem zaszczytnie od Józefa Kossakowskiego także biskupa inflanckiego, który poniósł śmierć na szubienicy w zabu-

zeniach czerwcowych 1794 r. Biskup wileński był gorliwym i czynnym kapłanem, mimo słabowitego zdrowia, które zniewalało go do częstego opuszczania dyecezyi. W czasie dłuższej nieobecności biskupa rządu dyecezyi sprawował ks. Nikodem Puzyrna, nominowany przez rząd i w następstwie zatwierdzony przez kuryę sufragana. Dyecezya wileńska miała nadto dwu sufraganów: trockiego i brzeskiego. Pierwszym z nich był kanonik Ignacy Houwald, więcej świecki niż duchowny, przytem chciwy i rozrzutny, intrygant i satelita Siostrzencewicza, którego narządziem był w Kollegium duchownem; drugim ex-jezuity Adam Kłokocki, gorliwy i pobożny kapłan. Mieszkał zwyczajnie w Rugianach. Stan liczbowy dyecezyi wileńskiej przedstawiał się następująco: Kościołów parafialnych miała 272, księży 626 i 736,027 wiernych obu płci powyżej lat 14. Zakony męskie: augustyanów, benedyktynów, tercyarzy (210), bonifratów, kamedułów, karmelitów starej reguły i bosych, kanoników de poenitentia Markami zwanych, kartuzów (17) cystersów, dominikanów (314), franciszkanów (144), serwitów (7), misyonarzy, pijarów (59), rochitów i trynitarzy, było tu ogółem 1229 w 106 konwentach i domach; zakonnic 317 w 18 klasztorach; kapitał łączny zakonny wynosił 373,805 rb., dochód roczny 112,132 rb. Kapitały duchowieństwa świeckiego wynosiły 229,605 rb., dochody— 103,619 rb. Duchowieństwo świeckie miało 17,364, zakonne 10,106 poddanych.

III. Dyecezya żmudzka: Jedyna z dyecezyi, która nie uległa niemal żadnym zmianom wskutek podziałów Polski. Granice jej, uposażenie i organizacya pozostały również nietknięte w konkordacie 1798 roku. Z uwagi, iż tej dyecezyi pozostawiono niemal wszystkie dobra ziemskie, w które uposażona była za czasów Rzeczypospolitej, biskupstwo żmudzkie należące w czasach polskich, jak wiadomo, do uboższych, obecnie było najbogatszem. Rządził dyecezyą żmudzką ks. Józef Gedroyć, wprowadzony na nią przez swego stryja Stefana, po którego śmierci (w r. 1803) objął tron biskupi. Gedroyciowie z górą 60 lat dzierżyli w swym ręku biskupstwo żmudzkie. Kolejno po sobie nastąpili Stefan, Józef z koadytorem Ignacym, wreszcie Szymon jako sufragan-administrator. Józef Gedroyć położył duże zasługi około podniesienia oświaty na Żmudzi, zakładał liczne szkoły niższe i średnie, przytułki i szpitale. Dla ludu był ojcem i opiekunem. Jako kapłan mniej gorliwy, w stosunkach z klerem i wiernymi bardzo uprzejmy i przystępny, w towarzystwie wytworny, lubił bywać i sam po staropolsku gościnny, prowadził otwarty dom, którego utrzymanie nie mało pochłaniało grosza.

Zarzucają mu nepotyzm, forytowanie licznych, ale dodać się go-
dzi, ubogich krewnych, którymi zapełniał dyecezyę. Arezzo nie
odmawia mu dobrych chęci, ale uważa go za „charakter chwiej-
ny i słaby, który nie umie oprzeć się twardym okolicznościom“.
Jako sufragana przybrał sobie bratanka Szymona, o którym Arez-
zo wyraża się bardzo pochlebnie, widząc w nim wszystkie zale-
ty, których niedostawało stryjowi. Nie Szymon wszakże ale
Ignacy Gedroyć, również krewny biskupa, został dzięki poparciu
Siostrzencewicza i dworu, wbrew woli Rzymu, nieprawnym admi-
nistratorem dyecezyi. Ignacy Gedroyć był lichym, rozwiązłym
i zachłannym osobnikiem. Rezydencya biskupa znajdowała się
w Worniach (dawniej zw. Miedniki). Z Worn, gdzie był kościół
katedralny, przeniesioną została w następstwie do Kowna. Dopie-
ro w r. 1895 zatwierdziła Stolica Apostolska tę zmianę osobną
bullą, kasując katedrę worniańską i ustanawiając ją w Kownie
w byłym po augustyańskim kościele.

Statystyka dyecezyi żmudzkiej wykazuje następujące cyfry:
kościółów parafialnych 171, księży 338, wiernych 279632, zakon-
ników 152 w 12 konwentach, zakonnic 40 w 3 klasztorach. Do-
chody biskupa z dóbr stołowych wynosiły 50,000 rb.; kapitały
duchowieństwa świeckiego 111,330 rb.; dochody roczne 37,820 rb.;
kapitały zakonów obu płci 72,754 r.; dochody roczne 10,328 rb.;
duchowieństwo świeckie miało 5380, zakonne 952 poddanych.

IV. Dyecezya łucko-żytomierska: Dyecezya ta, jak zazna-
czono wyżej, powołana została do życia w r. 1798 ukazem z dn.
28 kwietnia (9 maja), zatwierdzonym w następstwie przez kon-
kordat ze Stolicą Apostolską. Pierwszy biskup połączonych
w jedno biskupstwo dyecezyi, Kasper Kolumna Cieciszowski od-
bijał zaszczytnie od świeckości i indyferentyzmu religijnego jaki
cechował ogół episkopatu doby Stanisława Augusta. Brakło
wszakże Cieciszowskiemu wyższych zdolności umysłowych i mo-
cy charakteru, zwłaszcza w decydujących chwilach. Z koadyuto-
ra kijowskiego, po Ossolińskim biskup kijowski, w życiu publicz-
nem za czasów Rzpłtej nie odegrał znaczniejszej roli. Głośnym się
stał swego czasu z gorliwej obrony prerogatyw duchowieństwa
na Sejmie Wielkim i ściągnął z tego powodu na siebie żądło
współczesnej satyry:

Więcej czyta w kościele niż mówi w senacie,
Raz się tylko odezwał przy duchownych stracie.

Oprócz tej, zrozumiałej poniekąd u duchownego, dbałości o przywileje swego stanu, Cieciszowski nie dał dowodów wielkiego patryotyzmu. Potrzebę naprawy Rzpltej zdawał się wszakże rozumieć. Za Ustawę majową nakazał w osobnym liście pasterskim modły. Po rozbiorach kraju przypadł mu wybitniejszy udział w życiu społeczeństwa polskiego na Rusi, które powszechnie sobie zjednał, nie tyle zaletami umysłu, co łagodnością, dobroduszością, uprzejmem i miłym wzięciem. Okazała, patryarchalna postać biskupa pociągała wszystkich ku niemu. Mianowany przez Katarzynę na nielegalne pod względem kanonicznym biskupstwo pińskie Cieciszowski zdawał sobie sprawę z anormalnego stanu rzeczy i wystarał się zaraz o delegacyę kanoniczną prawowitych biskupów. Wstąpienie na tron Pawła, przyjazd nuncjusza Litty do Petersburga, który Cieciszowskiego wielce cenił i niebawem zawarty konkordat ze Stolicą Apostolską, położył kres biskupstwu pińskiemu. Cieciszowski został biskupem łucko-żytomierskim. Obydwa nuncjusze, Litta i Arezzo, chwalą go w swoich relacjach do Rzymu, jako bardzo gorliwego i ze wszechmiar zasłużonego dla Kościoła duszpasterza. Takim też był w istocie w ciągu swoich 56 letnich rządów biskupich Kasper Kolumna Cieciszowski. Po objęciu dyecezyi osiadł w Łucku i rządził przy pomocy X. Piwnickiego, któremu zupełnie zaufał z pominięciem sufragana x. Podhorodeńskiego. Zachowanie się Cieciszowskiego w epoce powstania listopadowego, list pasterski z potępieniem ruchu narodowego, ściągnął nań zarzut odstępstwa i zdrady. Cieciszowski, słaby i chwiejnego charakteru w ciągu swego długiego żywota, pod koniec zgrzybiały i oślepy starzec, był niemal niepo czytalny. Nie jest też niemożliwem, że była to robota x. Piwnickiego, który jako sekretarz, prawa ręka i oko biskupa, główną za czyny jego ponosi odpowiedzialność.

Dycezya łucko-żytomierska, o dwu katedrach i kapitułach liczyła zaledwie 83 kościołów, 214 księży i 132800 wiernych obu płci powyżej lat 14; zakonników 503 w 57 konwentach, zakonnic 51 w 3 klasztorach. Dochody biskupa z dóbr stołowych wynosiły 16,000 rb.; kapitały duchowieństwa świeckiego 431,337 rb., dochody roczne 44,227 rb.; kapitały zakonne 568,667 rb., dochody—32,892 rb.; duchowieństwo świeckie miało 5562, zakonne 4865 poddanych.

V. Dycezya Kamieniecka: W okresie porozbiorowym 1792—1802 przechodziła dyecezya kamieniecka, a wraz z nią jej prawowity pasterz biskup Jan Dembowski, b. sufragan ostatniego biskupa kamienieckiego z czasów Rzpltej Adama Krasińskiego —

bardzo zmienne koleje. Biskupstwo to należało do rzędu skasowanych przez Katarzynę w r. 1795 i weszło podówczas w skład nielegalnego biskupstwa łatyczowskiego, którego trzyletni antykanoniczny żywot zakończył się z zawarciem konkordatu za Pawła w 1798 r. Nie zakończyła się atoli walka prawowitego biskupa Dembowskiego z uzurpatorem Sierakowskim. Po dwakroć, jak wiadomo, Dembowski wskutek intryg Sierakowskiego był pozbawiony przez rząd władzy biskupiej.

Dyecezya kamieniecka liczyła z początkiem XIX w. 74 kościołów, 122 księży i 153185 wiernych obu płci powyżej lat 14, zakonników 197 w 25 konwentach, zakonnic 6 w 1 klasztorze; pensya biskupa wynosiła 6,000 rb., kapitały duchowieństwa świeckiego 21,000 rb., dochody 18,300 rb., kapitały zakonne 105,525 rb., dochody 15,779 rb., liczba poddanych duchowieństwa świeckiego wynosiła 1946, zakonnego 1765.

VI. Dyecezya mińska: Dyecezya mińska była kreacją nową; utworzona przez Pawła, zatwierdzona została kanonicznie konkordatem 1798 r. Na stolicę biskupią powołany został ks. Jakób Ignacy Dederko kolejno kanonik wileński, infułat kollegiaty ołyckiej, nominat lecz nie doszły sufragan łucki, gdyż z powodu Targowicy nie otrzymał we właściwym czasie bulli prekonizacyjnej. Jako kapłan nie wolny od współczesnych braków, w służbie publicznej czujny i dbały o dobro kraju obywatel, zaskarbił sobie wdzięczną pamięć. Nadzwyczaj czynny administrator dyecezyi, którą mu przyszło z nowa tworzyć i organizować, duże położył zasługi w dziedzinie kościelnej. Prawy syn ojczyzny, miłości dla niej nie zacieśniał w szczupłym horyzoncie białoruskim, gdzie działał jako biskup, czy wołyńskim, skąd pochodził, ale interesował się ogólnemi sprawami Polski i gorącym sercem śledził przejścia kraju po rozbiorach, mając w żywej pamięci losy jego w epoce stanisławowskiej, w której rozpoczął i w połowie odbył karierę duchowną. Drugą połowę tej wydatnej służby miał dopełnić, jako biskup miński. W r. 1812 oświadczył się jawnie za Napoleonem, wziął czynny udział w ówczesnych wypadkach politycznych, ogłaszając publicznie w katedrze 19 lipca konfederacyę mińską. Popadł wskutek tego w niełaskę u cesarza Aleksandra. Zwalczany stale przez Siestrzencewicza nie podniósł się z niej nigdy i dokończył życia, odsunięty od rządów dyecezyi, na wygnaniu w Ołyce.

Dyecezya mińska liczyła zrazu 86 parafii, 156 księży i 112214 wiernych powyżej lat 14, zakonników 425 w 50 konwentach, zakonnic 77 w 8 klasztorach; pensya biskupa wynosiła 6,000 rb.,

kapitały duchowieństwa świeckiego 41,104 rb., dochody 23,000 rb., kapitały zakonne 193,120 rb., dochody 61,544 rb., liczba poddanych duchowieństwa świeckiego wynosiła 7220, zakonnego 8866.

Statystyka ogólna katolicyzmu w Rosyi z początkiem XIX w. przedstawiała się tym sposobem w ogólności jak następuje: dyecezyi na obszarze całego cesarstwa wraz z metropolią mohylowską 6; wiernych powyżej lat 14—1,639,854; kościołów 845; księży świeckich 1,710; zakonników w 318 klasztorach 3,094; zakonnice w 80 klasztorach 569; dochody episkopatu 104,000 rb., kapitały duchowieństwa świeckiego 967,818 rb., dochody 249,246 rb., kapitały zakonne 2,027,554 rb., dochody 286,644 rb.; liczba poddanych duchowieństwa świeckiego 42932, zakonnego 47189.

IV.

W czasie swego pobytu w Petersburgu natrafił Arezzo na te same przeszkody i ciernie, po których stąpać musiał jego poprzednik Wawrzyniec hr. Litta. Tym razem Siestrzencewicz nie tylko wznowił, ale rzec można, podwoił swoje ataki na stanowisko Arezzy, a nie zdoławszy niedopuszczyć go zgoła nad Nową, postanowił uniemożliwić mu przebywanie w Rosyi i wysadzić go z siodła. Jeszcze przed przyjazdem Arezzy do Petersburga zwrócił się Siestrzencewicz do papieża z prośbą o odnowienie i rozszerzenie otrzymanych od nuncjusza Archettiego facultates jurysdykcyjnych. Papież odpowiedział brewem z dn. 22 lipca 1802 r., że nuncyusz, który jest w drodze do Petersburga sprawą tą zajmie się na miejscu i w tym celu Siestrzencewicz powinien okazać mu wszystkie otrzymane dawniej facultates, „aby nuncyusz postanowił co będzie potrzeba“.

Siestrzencewicz dla podkopania a priori stanowiska Arezzy u rządu podsunął ks. Woroncowowi przekonanie, że rozszerzenie jurysdykcji metropolitalnej zależy obecnie wyłącznie od Arezzy, do czego ten ostatni posiada odpowiednie upoważnienie z Rzymu, co oczywiście nie było prawdą. Tym sposobem zaraz w samym początku stworzoną została dla Arezzy sytuacja niemal bez wyjścia. Nasamprzód ustnie potem osobną notą zażądał kanclerz Woroncow od Arezzy następujących pełnomocnictw dla metropolity: 1) kreowania i instalowania 9 biskupów sufraganów wymienionych w nocie; 2) wykonywania jurysdykcji nad wszystkimi katolikami obu obrządków w cesarstwie, a tem samem we wszyst-

kich dyecezyach; 3) wykonywania jurysdykcji nad wszystkimi męskimi i żeńskimi zakonami obu obrządków; 4) nadania mu wszelkiego rodzaju pełnomocnictw beneficjalnych i koadyutoryjnych, które miały rozciągać się tak daleko, iż metropolita miał być upoważniony do skupiania beneficjów w ręku jednej i tej samej osoby i do zatrzymywania płacy duchownych; 5) dyspens wszelkiego rodzaju z prawem rozstrzygania ostatecznie i nieodwołalnie spraw małżeńskich i rozwodowych, a nawet zupełnego rozwiązywania małżeństw; 6) pełnomocnictw zwalniania od ślubów solennych; 7) sekularyzacyi zakonników. Słusznie zauważa Arezzo, że uzyskawszy tak rozległe prawa Siostrzencewicz byłby nie tylko prymasem Rosyi i legatem apostolskim, o co ustawicznie zabiegał, ale niemal równałby się co do władzy papieżowi. Na notę powyższą przesłaną przez Arezzę do Rzymu w czerwcu 1803 r. nadeszła, rzecz jasna, odpowiedź w zupełności odmowna. Arezzo w osobnym memoryale umotywował bezzasadność powyższych postulatów, dowodząc, że są one przeciwne nie tylko prawu kanonicznemu, praktyce i dyscyplinie kościelnej, lecz nawet prawom państwowym i świeżo wydanym ukazom. Miał tu na myśli zwłaszcza ukaz wydany już przez Aleksandra 25 (13) listopada 1801 r. Nie zdołał jednakowoż swego memoryału przesłać drogą ministeryalną, gdy rząd w drugiej nocy z dn. 25 (13) grudnia 1803 r. ponowił swe żądania.

Równocześnie wskutek zabiegów Siostrzencewicza u Woroncowa, w którym metropolita znalazł oddanego sobie protektora, ogłoszono akt usuwający kategorycznie potrzebę nuncyatury w Petersburgu. Aktem tym był reskrypt Woroncowa do Siostrzencewicza, wydany z rozkazu cesarza 25 (13) grudnia 1803 r. Wznawiając raz jeszcze wszystkie dawniejsze postanowienia wydane przez Katarzynę, Pawła i ostatnio Aleksandra I o zakazie bezpośrednich rekursów duchowieństwa katolickiego do Rzymu, postanowiono, iż odtąd decyzya o potrzebie apelacyi do Kuryi, zależeć ma w każdym poszczególnym wypadku od uznania metropolity. Biskupi dyecezyalni obowiązani byli zapytywać metropolitę, który rozstrzygał, czy sprawa nie przechodzi granic jego władzy, a wtedy wykonywał osobiście, albo też mógł być odnieść się za pośrednictwem ministeryum i poselstwa rosyjskiego w Rzymie do Stolicy Apostolskiej. Tą samą, a nie inną drogą, miały także iść akta Stolicy apostolskiej z Rzymu do Rosyi. Reskrypt ten był dowodem stanowczego zwycięstwa Siostrzencewicza nad Arezzą, wypowiadał bez ogródek zamiar rządu nie liczenia się w zupełności z osobą pos-

ła papieskiego, którego obecność nad Nową stawiała się tem samem niepotrzebną i bezprzedmiotową. W przekonaniu rządu ambasada papieska była zbytęzną z uwagi, iż w Petersburgu rezydował metropolita, którego władza powinna być wystarczającą dla zaspokojenia potrzeb wiernych, zaś w Rzymie istniało poselstwo rosyjskie, które w danym razie mogło być pośredniczyć między Stolicą Apostolską a wiernymi, ilekroć wymagałyby tego stosunki.

Właśnie podówczas nastąpiła w Petersburgu zmiana w obsadzie ministeryum spraw zagranicznych. Ster polityki zagranicznej cesarstwa objął po schorzałym Woroncowie ks. Adam Czartoryski. Jemu więc z kolei przypadło prowadzenie dalszych negocyacji z przedstawicielem Watykanu, misya podwójnie dlań drażliwa: jako Polaka i katolika. Pogodzić dążności schyzmatycznego państwa z interesami Kościoła katolickiego i Watykanu było na stanowisku księcia Adama zadaniem niemożliwem, skazaniem z góry na najzupełniejsze niepowodzenie, przedsięwzięciem wprost karkołomnem. To też mógł on tylko łagodzić co do formy, ale nie co do istoty, wszystkie konsekwencye płynące z ustalonej w Petersburgu doktryny o stosunku Rosyi do Kościoła katolickiego i Watykanu. Jasnem też będzie, że w tych kwestyach książę Adam nie mógł kierować się własnymi poglądami, wnosić do wytkniętego już z dawna kierunku jakiegokolwiek osobistej inicjatywy bez narażenia się na oczywistą klęskę, co więcej przy niezbitej niemal rachubie, że samej sprawie nie tylko nie pomoże, ale wręcz zaszkodzi. Musiał on tu na każdym kroku liczyć się z opinią cesarza Aleksandra, otoczenia, podwładnych, całej Rosyi. Kontrolowany był z góry i z dołu. Pozatem nie należy zapominać, iż misya Arezzy w zarodku nosiła znamiona śmiertelne. Wszak wiemy, iż została z mozołem wyproszona u Aleksandra, że z góry oznaczono jej termin trwania, że dalej tolerowano ją jedynie z niechęcią. Gdy się jeszcze uwzględni obok terenu najeżonego zwykłymi dla przedsięwzięcia watykańskiego trudnościami, powikłania specjalne, które Arezzy weszły w drogę, w części z winy dyplomacji papieskiej w Rzymie, w części zaś z przyczyn od niej niezależnych, wówczas w całej pełni przedstawi się beznadziejność położenia w jakim znalazł się Arezzo. W tych podwójnie drażliwych warunkach: raz z uwagi na niestęchanie eksponowany stosunek własny do Aleksandra i do Rosyi, powtórę z uwagi na beznadziejność pozycyi Arezzy, książę Adam niczego nie był w stanie zdziałać dla przedstawiciela Watykanu krom tego, iż ułatwił mu nie tak drastyczny wyjazd z Petersburga, do jakiego przed pięciu laty zmuszono Litę. Mimo to Rzym,

pod wpływem relacji Arezzy długo w następstwie będzie pamiętał księciu Adamowi, że właśnie za jego ministeryum rozbiła się pierwsza i ściśle biorąc ostatnia w XIX w. misya watykańska w Rosyi, jeśli dwie czy też trzy dalsze (Bernetti 1826, Chigi 1856, Vanutelli 1883) jedynie przygodne i czasowe pominiemy. Jakże nieuzasadnioną, po tem co powiedziano wyżej, okaże się następująca opinia, wydana ostatnio o stosunku ks. Adama do Watykanu na stanowisku rosyjskiego ministra spraw zagranicznych: „W tym patryocie polskim, gdy szło o katolików rosyjskich, było coś z Febroniusza. Zapewne, nie był on z rzędu tych, którzyby protestowali przeciwko nastawianiu państwa na dziedzinę kościelną“. Sąd to tem więcej nieoczekiwany, że wyszedł z pod pióra autora, któremu nie obce są dzieje stosunków rosyjsko-polskich¹⁾.

Tymczasem zaszedł w Rzymie wypadek, który spowodował zupełne zerwanie stosunków obu dworów, a w następstwie tego rozbicie się misyi Arezzy. Niejaki Vernègues, emigrant francuski, urzędnik dyplomatyczny w służbie rosyjskiej w Rzymie, gorliwy i „wojujący monarchista“, śledzony był przez przeczuloną na punkcie szpiegowania monarchizmu policję francuską. Niebawem kardynał Fesch, wuj Bonapartego i ambasador francuski w Rzymie, oskarżył go wprost o kompromitujące stosunki z monarchistami i zażądał od Consalviego aresztowania i wydania go Francyi. Rząd papieski znalazł się w położeniu bez wyjścia, wobec nacisku Bonapartego z jednej a groźnej postawy gabinetu petersburskiego z drugiej strony. Wybrawszy drogę pośrednią aresztował wprawdzie Vernègues'a, ale nie wydając na razie Francyi zamknął go w zamku św. Anioła, otoczył czujną strażą i wyszukanemi wygodami. Dodać należy, iż poddaństwo rosyjskie Vernègues'a zostało zaimprovizowane na krótki czas przed uwięzieniem i w chwili aresztowania nie były ukończone w Petersburgu formalności dotyczące zmiany poddaństwa. Okoliczność bardzo ważna, która mogła uwolnić rząd papieski od wszelkiej odpowiedzialności, ale o tem w Rzymie nie wiedziiano. Consalvi zdawał sobie sprawę z tego, że nie da się uniknąć wydania Vernègues'a Francyi, ale zarazem przewidywał burzę jaką rozpęta nad głową biednego Arezzy. To też robił co mógł, by kryzys odwrócić lub przynajmniej złagodzić. Uprzejmością pod adresem Rosyi miała być decyzja, że wydanie Vernègues'a nie nastąpi bez uprzedniego zawiadomienia i porozumienia się z cesarzem Aleksandrem. Pius VII, który osobiście wielką wagę przykładał do jak najlepszych relacji z Petersburgiem, cierpiał moralnie i fizycznie z po-

¹⁾ P. Pierling: *La Russie et le Saint Siège*, V, 373.

wodu całego zajścia, które zbiegło się z podobną, ale bardziej tragiczną sprawą ks. d'Engien w Vincennes. Niepodobna wszakże było zadość uczynić obydwu nieubłaganym przeciwnikom, spotykającym się, fatalnym dla Watykanu zbiegiem okoliczności, na gruncie rzymskim. Consalvi nie długo zdołał się opierać stanowczym żądaniom Bonapartego. Po nadejściu wiadomości nad Nową o wydaniu Vernègues'a Francyi (niebawem, po przeprowadzeniu procesu, uwolnionego od winy i kary), grzązki grunt, po którym od samego początku przyszło stąpać Arezzy, usuwał mu się teraz z pod nóg. Dla kierujących sfer petersburskich, a zwłaszcza dla całego stronnictwa anty-rzymskiego, któremu przyjazd i pobyt posła papieskiego w stolicy tkwił solą w oku, cała sprawa była niezmiernie pożądana. Stanowisko Arezzy zostało ipso facto bezpowrotnie skompromitowane. Consalvi jednak łudził się, że Aleksander da się przebłagać i uzna trudność położenia w jakim znalazł się Watykan. Wszelkie wysiłki Arezzy przedsięwzięte w tym celu okazały się jednakże bezowocne. 2 lipca 1804 r. był zmuszony opuścić Petersburg.

„Raczej zakrystyanem u św. Piotra niż ambasadorem w Petersburgu“: tak pisał Arezzo pod bezpośrednim wrażeniem doznanego zawodu. Gorzki aforyzm niebawem wszakże miał ustąpić miejsca nowym refleksyjom i nowym nadziejom. Już w parę miesięcy później, ochłonawszy w Dreźnie z pierwszych niemiłych wspomnień, pchany chęcią odznaczenia się, rozwija cały swój zasób dyplomatycznej zręczności, by na dawny posterunek wrócić.

Ustąpienie Arezzy z Petersburga oznaczało zarazem tryumf Siestrzencewicza i jego planów, które w istocie zdawały się urzeczywistniać z chwilą ogłoszenia ukazu cesarskiego z 22 (10) sierpnia 1804 r. o urzędowym zerwaniu stosunków z Rzymem i powierzeniu metropolicie wyłącznej władzy nad katolikami rzymskiego obrządku w cesarstwie. Dla upozorowania legalności władzy Siestrzencewicza powiedziano w piśmie załączonem do powyższego ukazu, iż metropolita będzie sprawował rządy na podstawie pełnomocnictw otrzymanych od papieża Piusa VI.

Łatwo domyśleć się, że to powoływanie upoważnienia Piusa VI było znowu zupełnie dowolne. Wystarczy tylko przypomnieć, iż *facultates*, nadane Siestrzencewiczowi przez Piusa VI za pośrednictwem Litty, a tem samem i wszystkie dawniejsze, wygasły 2 września 1802 r. Jedyną zatem podstawą jurysdykcji metropolity mogły być *facultates* nadane metropolicie przez Arezzę 5 sierpnia 1803 r., te jednakże dalekiemi były od przyznania Siestrzencewiczowi takiego zakresu władzy, jaki on sobie uzurpował

i jaki sankcyonował rząd w pomienionem piśmie na jego ręce. Rzecz prosta, że nuncyusz, który tymczasem był zmuszony opuścić Petersburg, nie mogąc osobiście, zaprotestował za pośrednictwem swego audytora Alvisini'ego przeciw takiemu rozwiązaniu kwestyi. Alvisini na osobnej konferencji z ks. Czartoryskim wykazał zasadniczą różnicę, jaka zachodzi między pełnomocnictwami, nadanemi Siestrzencewiczowi przez Piusa VI, a temi, których rząd dla niego domagał się i jakie nakoniec mu nadał, przechodząc do porządku dziennego nad własną w tej materyi niekompetencją. Wychodząc z tego samego punktu widzenia zwalczał także Alvisini Kollegium duchowne, jako pozbawione sankcyi papieskiej i domagał się, by przewodnictwo w Kollegium oddzielono od godności metropolity i prawo nominacyi prezydenta przyznano papieżowi, przez co Kollegium mogło jedynie uzyskać moc instytucyi kanonicznej. Ks. Czartoryski podzielał w pełni zdanie audytora i wyraził życzenie, by sprawa Kollegium załatwioną została w porozumieniu ze Stolicą Apostolską do czego przecież nie doszło.

Wskutek wyjazdu nuncjusza z Petersburga pozostała również w zawieszeniu sprawa instalacyi sufraganów żmudzkiego, łuckiego, trockiego dla dyecezyi wileńskiej i koadytora dla biskupa łucko-żytomierskiego, którym miał zostać rektor uniwersytetu wileńskiego Stroynowski. Procesy kanoniczne kandydatów mających otrzymać instalację zostały przeprowadzone, Kongregacya konsystoryalna rzymska wysłała nawet już bulle prekonizacyjne na ręce Arezzy, bawiącego wówczas w Dreźnie, jednakowoż wszystkie te zarządzenia nie wzięły skutku wobec zerwania stosunków dyplomatycznych między obu dworami. Napróżno w tej sprawie próbował jeszcze Arezzo pisać do ks. Czartoryskiego. List jego pozostał bez odpowiedzi, a interwencya osobista przyjaciół nuncjusza u ministra spraw zagranicznych spotkała się z wymijającą odpowiedzią, że w danej chwili nie zachodzi konieczna potrzeba instalowania sufraganów i przestanie bul prekonizacyjnych byłoby bezprzedmiotem.

Po przymusowym wyjeździe Arezzy z Petersburga pozostał nad Nową jego audytor Alvisini, który zajął się uporządkowaniem archiwum i spraw osobistych Arezzy. Alvisini po 3 miesiącach także musiał opuścić stolicę Rosyi. Stosunki oficjalne zostały narazie zupełnie zerwane. Dopiero wypadki lat następnych zbliżyły obydwie dwory, skłaniając je do szukania porozumienia drogą półoficyjalną. Pośredniczyła w tych stosunkach nuncyatura wiedeńska.

Nuncyusz tamtejszy Antoni Gabryel Severoli, świeżo przybyły nad Dunaj (1802) pozostał na tym posterunku około 15 lat w najgorętszej dobie wojen napoleońskich, zmuszony zmienną koleją losów wojennych opuszczać po kilkakroć stolicę wraz z dworem austriackim, szukającym schronienia we wschodnich prowincjach państwa. Wspólna nienawiść do Napoleona, stosunki etykietałne i towarzyskie zbliżyły Severolego do postów rosyjskich w Wiedniu, którymi kolejno byli Razumowski, Kurakin i Stackelberg. Z tym ostatnim zwłaszcza łączył Severolego węzeł przyjaźni osobistej, zadzierzgnięty w domu ex-posła saskiego Schönfelda, co znakomicie ułatwiło nuncyuszowi, gorącemu zwolennikowi cesarza Aleksandra podtrzymywać półoficjalne stosunki z Petersburgiem przez cały okres nieistnienia oficjalnych relacji. Stosunki te nie były dla gabinetu petersburskiego bez pewnej wartości. Zwłaszcza w okresie przedtylżyckim, a później w przededniu wielkiej wojny dostarczał Severoli Stackelbergowi wiadomości o rządach francuskich w Rzymie i Państwie Kościelnem, oraz pośredniczył w załatwianiu najpilniejszych potrzeb Kościoła katolickiego w Rosyi, w których interwencya papieska była nieodzowną.

Arezzo z Petersburga przeniósł się do Dreżna i tam czas pewien przebywał w nadziei, że danem mu jeszcze będzie wrócić nad Nową. Ogół nieuregulowanych spraw kościelnych w Rosyi złożył z czasem w ręce Severolego.

Pełnomocnictwa quinquennialne nadane przez Arezzę Siostrzencewiczowi i biskupom w cesarstwie zgasyły w sierpniu 1808 r. Prolongata ich przez papieża była konieczną dla ciągłości i prawowitości jurysdykcji biskupiej. Sprawa nominowanych już biskupów sufraganów dla szeregu diecezji w cesarstwie pozostawała także nadal w zawieszeniu; wprawdzie przeprowadzono odnośne procesa kanoniczne i wysłano już z Rzymu bulle prekonizacyjne, ale rząd rosyjski, jak widzieliśmy, odmówił ich przyjęcia. Obecnie, zapewne nie bez wpływu Siostrzencewicza, korzystając z niewoli papieża, w nadziei, że Rzym skłonniejszy będzie teraz do ustępstw, ponowił gabinet petersburski w kwietniu 1811 r. żądania, by Siostrzencewiczowi nadano nadzwyczajne pełnomocnictwa streszczające się w następujących bardzo daleko idących punktach: 1) Domaganie się dla metropolity przywileju przeprowadzenia procesów, wyświęcania i instytuowania biskupów mianowanych przez cesarza, przy czem rola papieża miała się ograniczyć tylko do zatwierdzenia *ex post* nominacji cesarskiej. Dla uproszczenia procedury papież

przesyła metropoliecie tytuły 12 biskupstw *in partibus*, które od-
tąd miały służyć wyłącznie dla biskupów sufraganów i wikaryu-
szy apostolskich w cesarstwie. 2) Przywilej ten przysługiwać
będzie metropoliecie i jego następcom po wieczne czasy. 3) Me-
tropolicie nadaje się władzę sekularyzowania 12 zakonników.
4) Proroguje się na lat 12 pełnomocnictwa, dane mu przez Piusa
VI. 5) Poddaje się władzy metropolity zakony obupłci. 6) Prze-
dłuża się *facultates* nadane biskupom dycezyalnym przez Arezzę.
7) Upełnomocnia się metropolitę do udzielania biskupom dyce-
zyalnym pełnomocnictw duchownych, dopóki ich nie otrzymają od
papieża. Jak widzimy, żądania te zresztą nie nowe—część z nich
postawiono już przed laty 8 Arezzy—zmierzały do zdobycia dla
Siestrzencewicza takiego stanowiska i przywilejów wyjątko-
wych, które uprościłyby łączność i stosunki katolików rosyj-
skich z Rzymem do tego stopnia, iż papież nawet w tak zasadni-
czych kwestyach jak prekonizacya i instytuowanie biskupów, nie
miałby nic do powiedzenia. Okoliczność zaś, że dopraszano się
powyższych *facultates* dla metropolitów mohylowskich po wieczne
czasy, sama przez się charakteryzuje cel właściwy tych zabiegów.
Rządowi rosyjskiemu chodziło rzecz prosta, o zabezpieczenie so-
bie raz na zawsze prerogatywy wyłącznego dysponowania stoli-
cami biskupimi; naiwną tylko była insynuacya, by papież sam
pozbawił się jednej z głównych atrybucyi swej władzy. Wpraw-
dzie tego rodzaju wyjątek od wyłącznego prawa papieża ordyno-
wania biskupów, znany jest w dawniejszej praktyce kanonicznej
w zastosowaniu do metropolitów kijowskich, którym Klemens
VIII przyznał prawo confirmacyi i konsekracyi biskupów—jedna-
kowoż w wypadku obecnym, gdy chodziło o osobę Siestrzencewi-
cza, którego czyny i intencye aż nadto dobrze znane były w Rzy-
mie—ekscepcya podobna była niedopuszczalną. Zdawał sobie
z tego sprawę nuncyusz Severoli i aczkolwiek szczerze pragnął
iść na rękę dworowi petersburskiemu, odznaczony właśnie okaza-
łym podarkiem cesarza Aleksandra w postaci krzyża wysadzane-
go dyamentami, nie taił przecież przed Stackelbergiem, że speł-
nienie pierwszego i drugiego dezyderatu, usuwa sama praktyka,
co się zaś tyczy dalszych punktów, oświadczył gotowość wyjed-
nania aprobaty papieża. W istocie wysłał do Sawony swoich
zaufanych, którym jednakowoż z powodu ścisłego dozoru, jakim
otoczył Napoleon osobę Piusa VII nie udało się dotrzeć do celu.
Pośrednikami tymi byli bawiący w Wiedniu adwokat rzymski
Zamboni, w pewnej mierze ks. Albani, a wreszcie brat Severole-
go, który niczego nie wskórawszy po czteromiesięcznym pobycie

w Genui, został aresztowany w Medyolanie w drodze powrotnej do Wiednia. Wówczas Severoli zaangażowany po uszy grzecznościami i komplementami dyplomacyi rosyjskiej, uważając całą sprawę za „wysoce polityczną“, której odmowa ze strony Rzymu w jego przekonaniu oziębiliby do reszty zerwane stosunki z Petersburgiem, nad których naprawieniem tak gorliwie pracował, znalazł inny sposób zadowolenia Stackelberga. W Rzymie rezydował opatrzony w obszerne pełnomocnictwa duchowne Delegat apostolski, wykonujący swój urząd nie bez wielkich trudności, w tajemnicy przed Francuzami. Do niego to zwrócił się Severoli z prośbą o nadanie Siestrzencewiczowi obok władzy nad klasztorami także władzy instytuowania kanonicznego mianowanych przez cesarza biskupów oraz zatwierdzenia pełnomocnictw nadanych metropolicie przez Piusa VI. Uczynił to mimo, iż nie mógł nie wiedzieć, że co do tych ostatnich *facultates* oraz ich rozciągłości istniały poważne zastrzeżenia i wątpliwości. Więcej skrupulatnym okazał się Delegat apostolski i odmówił prośbie Severolego, z uwagi na złą opinię metropolity w kurii. Ale Severoli nie dał za wygrane i po raz wtóry przedstawił sprawę, jako wielkiej wagi dyplomatycznej dla przyszłych relacji między obu dworami. „Przyczyni się ona—pisał—do tem ściślejszego zbliżenia, którego pragniemy od tylu lat“. Dla wywarcia tem większego wrażenia—dodał, że Stackelberg zaczyna się niecierpliwić. Uznawszy jednak słuszność skrupułów Delegata apostolskiego prosił tym razem nie o *facultates* nadane rzekomo metropolicie przez Piusa VI za pobytu nuncjusza Archettiego w Petersburgu w r. 1784, które co do pochodzenia były, jak zaznaczyliśmy, aż nazbyt sporne, ale tylko o prorogację pełnomocnictw płynących z breve Piusa VI: *Quam calamitosa*, wydanego 1 października 1798 r. Dopiero późną wiosną 1812 r. nadeszła rezolucya delegata rzymskiego, który zgodził się po długim wahaniu na propozycję Severolego, zaznaczając jakby dla zrzucenia z siebie odpowiedzialności, że czyni to jedynie, powodowany argumentacją nuncjusza. W ten sposób otrzymał Siestrzencewicz dekretem nuncjatury wiedeńskiej z 4 lipca 1812 r. przywilej przeprowadzania procesów kanonicznych i instytuowania nowych biskupów podług konstytucyi Grzegorza XIV i Urbana VIII, z tem zastrzeżeniem wszakże, by akta w czasie możliwie najkrótszym były przesyłane do zatwierdzenia papieskiego. Dekret ów zawierał także inne pełnomocnictwa wymienione już powyżej, a więc jurysdykcyę nad zakonami i t. d. z przepisaniem przez breve: *Quam calamitosa* restrykcjami. Powyższe nadzwyczajne pełnomocnictwa odwołane zostały przez pa-

pieża po powrocie z niewoli w r. 1814 na równi z wszystkimi innymi, które wydane zostały rozmaitym biskupom z uwagi na niezwykle warunki w jakich znalazł się papież i Kościół w latach 1808—1814.

Ta oraz inne, natury wywiadowczej, usługi, oddane przez Severolego gabinetowi petersburskiemu, zbliżyły w istocie oba dwory. Ale zbliżenie to leżało już w znacznym stopniu w samej naturze ówczesnych wypadków politycznych w Europie i na zmianę polityki rosyjskiej względem Kościoła katolickiego w krajach berłu rosyjskiemu podległych nie wpłynęło wcale—czego najlepszym dowodem było ponowienie z końcem 1812 r. (16 grudnia) ukazu zabraniającego komunikowania się duchowieństwa i wiernych wyznania katolickiego z Rzymem. Ponad wszystko łączyła wówczas Rzym i Petersburg, podobnie jak całą koalicyjną Europę, wspólna radość z klęski Napoleona. Severoli nie omieszkiał wyzyskać tych stosunków na korzyść papiestwa. Oceniając rolę naczelną i wpływ przyszłego pacyfikatora legitymistycznej Europy, cesarza Aleksandra, bardzo wcześnie, bo już w grudniu 1812 r. rozpoczął Severoli starania w Petersburgu o przywrócenie papiestwu w całej rozciągłości jego granic politycznych. Starania te ponowił w roku następnym. W osobnem piśmie z 6 sierpnia 1813 r. na ręce kanclerza Rumiancowa daje wyraz nadziei, że przy sposobności najbliższego kongresu, dzięki opiece, jaką cesarz otacza religię katolicką i w imię sprawiedliwości, będą papieżowi zwrócone wszystkie prowincye Państwa Kościelnego. Dn. 24 grudnia 1813 r. w liście do Rumiancowa, ponawia swoje zabiegi. 13 stycznia zaś 1814 r. w nocy na ręce Stackelberga prosił o pomoc cesarza celem odzyskania dla papiestwa już nie tylko włoskich, ale także francuskich posiadłości, t. j. Avignonu i hrabstwa Venaissin'u. Severoli przypomina przy tej sposobności podobną interwencję Katarzyny II na rzecz Piusa VI w tej samej sprawie Avignonu i Venaissin'u w czasie, kiedy posłem rosyjskim w Wiedniu był ks. Golicyn i dodaje, że Pius VII pokłada tę samą ufność w wielkoduszności i sprawiedliwości cesarza, jaką żywił Pius VI, jego poprzednik do „Wielkiej Katarzyny“. Rumiancow odpowiedział nuncyuszowi listem z dn. 11 (23) lutego 1814 r., w którym robi mu ogólnikowo nadzieję, że życzenia papieża będą spełnione i zapewnia o uczuciach Aleksandra dla Piusa VII, „do którego tak bardzo zbliżyły cesarza wypadki“. Do opieki i wpływu cesarza Aleksandra uciekał się również Watykan za pośrednictwem nuncjusza wiedeńskiego w celu odzyskania zwrotu zabranych przez Francuzów archiwów watykańskich, bibliotek i dzieł sztuki.

Sympatye z jakimi spotykały się, jak widzieliśmy, zabiegi Severolego w Petersburgu nie były, jak łatwo pojąć, natury czysto platonicznej. Cesarzowi Aleksandrowi zrywającemu się wówczas na czele Europy do odwetu na Napoleonie, zależało na zupełnem odosobnieniu Korsykanina. W tem pospolitem ruszeniu monarchów i ludów europejskich nie powinno było braknąć papieża, którego wpływ moralny na świat chrześcijański podwójnie w owej chwili ważył na szali. Wszak papież z pośród wszystkich najwięcej wycierpiał od Napoleona. Chodziło więc o to, by i nadal wytrwał w proteście i biernym oporze przeciw swemu ciemnięzycielowi.

Ale i dla Napoleona z tego samego właśnie powodu nie mogło być obojętnem, jakie stanowisko ma zająć nadal wobec papieża. Zupełne odcięcie od świata i oderwanie Piusa VII od komunikowania się z wiernymi nie dało się już dłużej utrzymać. Dopiero po powrocie z Moskwy zdał sobie Napoleon sprawę z tego jak błędną, jak bezcelową była jego polityka wobec Kościoła i papieża. To też jednym z pierwszych kroków będzie teraz dążność do pojednania się z Piusem VII, którego z Sawony kazał sprowadzić do Fontainebleau. Tu korzystając z depresyi moralnej i fizycznej siedmdziesięcioletniego przeszło starca, pogrążonego w zupełnej nieświadomości wypadków zewnętrznych, pozbawionego swoich zaufanych doradców, nie wahał się Napoleon narzucić Piusowi VII nowego układu, który na zewnątrz dla Europy miał być widowym znakiem pojednania, a w gruncie rzeczy był nowym ciosem, nowem upokorzeniem dla Kościoła. Tak zwany konkordat w Fontainebleau podpisał papież pod przymusem Napoleona i moralnym wpływem otoczenia.

Dyplomacya rosyjska śledziła z wielkiem zaniepokojeniem wypadki w Fontainebleau. Interpelacye jedna po drugiej nadchodziły do nuncyatury wiedeńskiej. Severoli, którego niepomąłu musiał zdziwić ten niespodziewany zwrot papieża, będący przeciwieństwem żywionych przez nuncyusza i wpajanych w dyplomacyę rosyjską nadziei, starał się osłabić wrażenie, jakie wywarły wiadomości o pogodzeniu się Napoleona z papieżem i wprost twierdził, że o konkordacie właściwie nie ma mowy, że istnieją jedynie preliminarya, ogłoszone pośpiesznie i tendencyjnie przez Napoleona i podkreślał, że papież nie zszedł z obranej drogi protestu i stałości.

Niebawem wypadki na teatrze wojny przyszły Severolemu z pomocą i potwierdziły jego gorące życzenia. Zwycięstwa koalicji jesienią 1813 r. nad Napoleonem przywróciły papieżowi wol-

ność i pozwoliły mu zerwać narzucone przez Napoleona warunki. W maju 1814 r. wraca Pius VII do Rzymu. Już z drogi do wielkiego miasta wysłał papież osobnego posła hr. Cerati do cesarza Aleksandra z prośbą o pomoc dla Państwa Kościelnego na zapowiedzianym kongresie wiedeńskim. Niebawem ponowił swą prośbę w piśmie odręcznem z 20 maja, w którem całą swą nadzieję pokłada jedynie w wielkoduszności cesarza. W odpowiedzi, Aleksander położył szczególny nacisk na swe stałe dążenie do przywrócenia władzy świeckiej papieżowi i w istocie słowa dotrzymał. Dalszy byt Państwa Kościelnego zdawał się więc nie ulegać kwestyi. Chodziło tylko o rozmiary jego restytucyi, o co już troszczyć się i nad czem czuwać miał na kongresie wiedeńskim talent dyplomatyczny Consalviego.

Ta przyjacielska usługa wyświadczona Państwu Kościelnemu na kongresie wiedeńskim, pociągnęła za sobą pewne zobowiązania moralne Watykanu wobec cesarza Aleksandra i wpłynęła krępująco na stanowisko kuryi rzymskiej wobec nieustającego i w dalszym ciągu nacisku rządu i prawosławia na Kościół katolicki w zaborze rosyjskim. Związany i oczarowany uprzejmością Aleksandra, kardynał sekretarz stanu Consalvi znajdzie się w przyszłości nieraz w położeniu, w którem z zasad trzeba będzie zrobić ofiarę na rzecz oportunistycznych względów.

*

*

*

Jak widzieliśmy, w stadium niepomysłnem utknęły sprawy Kościoła katolickiego w pierwszym okresie rządów Aleksandra I. Odbiła się w pewnej mierze na ich przebiegu nieunikniona reakcja w stosunku do nazbyt sangwinicznych widoków, jakie zdawał się poprzednio otwierać koniec panowania Pawła I. Z drugiej strony wszakże i obecnie pewne rysy dodatnie w psychice Aleksandra, przedewszystkiem zaś ta postawa ostrego antagonizmu politycznego, jaką młody monarcha, wbrew ostatniemu pod koniec życia zwrotowi ojca swego, Pawła, przybrał względem Napoleona, zdawała się podobnie, acz na sposób odmienny, otwierać pomysłniejsze znowu widoki obrotu spraw kościelnych w Ro-

syi. Aliści ostatecznie raz jeszcze objawić się tu miała ta wielka i niewzruszona prawda, iż rzeczywiste losy Kościoła w Rosyi nie od takich lub innych nastrojów, choćby najwyższych czynników osobistych, nie od takiego lub innego układu, choćby najogromniejszych powikłań światowych zawisły, lecz przedewszystkiem od stosunku Rosyi do związanej nierozzerwalnie ze sprawą Kościoła—sprawy polskiej. Ta prawda niebawem miała znaleźć sobie wyraz namacalny w dalszym rozwoju dziejów Kościoła w najgłówniejszych historycznie okresach rządów Aleksandra I.

DR. MACIEJ LORET.

Trylogia Lucyana Rydla

(p. t. „ZYGMUNT AUGUST“).

I.

Pozostawiam na boku zagadnienie, niekiedy rozpatrywane w dzisiejszej krytyce literackiej, czy narodowy dramat ma, czy też nie ma racji bytu w myśl zasady, że artysta nie należy ani do narodu, ani do świata, nie służy żadnej idei, ani żadnemu społeczeństwu.

Stwierdzam natomiast, że nadzieja narodowego dramatu snuje się, niby marzenie złote, przez ciąg XIX wieku do ostatniej jego doby. W rozmyślaniach teoretyków literatury i artystów o scenie narodowej nie tyle samo pojęcie dramatu podlegało dyskusji; szukano norm zastosowania tego pojęcia do plemiennego charakteru; silono się na odnalezienie w dziejowej przeszłości przedmiotu godnego przetworzenia na kształty poetycznych obrazów; spierano się o to, czy w rzewne lub smutne wspomnienia przeszłości trzeba wlewać dyszący niepokój chwili, lecącej wartkim pędem w przyszłość.

Kazimierz Brodziński przyznaje palmę pierwszeństwa w narodowej poezji dramatycznej temu polskiemu poecie, który najgłębiej uczuć potrafi *wielkość prostoty poezji greckiej*.¹⁾ „Wystawić ważne w dziejach zdarzenia, na które jedna osoba głównie wpływała, lub które jej los i życie rozstrzygnęły, wystawić je ze szczegółami obyczajów i wieku, rozwinąć w nich nie teatralny, ale istotny heroizm, byłby to widok godny potomków“.²⁾

¹⁾ Pam. warsz. r. 1821, t. XX. 579—589.

²⁾ Pisma V. 75.

Usuwa zbrodnie okropne i burzliwe namiętności, jako niezgodne z duchem naszego plemienia; radby zamiast przerażenia i grozy wprowadzić motyw obawy i litości, a zwłaszcza za pośrednictwem sceny przenikać się duchem obyczajów, rządu i charakteru plemienia.

Brodziński był napoły klasykiem.

Romantycy, odrzucając odrazu i bezpowrotnie prawidła, porywać się jeli na fantastyczne wzloty w sfery ducha i za przykładem „Fausta“ Goethego, „Prometeusza“ Shelley’a lub „Mafreda“ Byrona poczęli grać na najgórniejszych strunach namiętności i uniesień duszy ludzkiej, lubować się w sytuacjach beznadziejnie okropnych, wstrząsających grozą lub rozkoszujących się bólem. Takie są wileńskie „Dziady“, „Edmund“ Witwickiego, poniekąd „Izora“ Odyńca.

Mickiewicz długo myślał o dramacie narodowym. „Jeżeli będziesz nowe pisał drama—upomina Odyńca¹⁾—zaklinam ciebie, obierz przedmiot historyczny, a przynajmniej epokę i miejsce. Jedynie drama, odpowiadające potrzebom wieku, jest historyczne“. Skoro atoli nastęrczyło się zagadnienie, jak ujmować w artystyczny dramat historję, Mickiewicz domaga się idei i pogłębienia psychologicznego.

Nasza historia obraca się w sferach wyższych nad ziemski rozum, nad sam ziemski interes lub namiętność, a sprawy świata jednoczy ze światem nadprzyrodzonym przez uczucie i wiarę.²⁾ Brzmi to niby historyzoficzna konstrukcja, lecz w świetle przykładu staje się wcale zajmującym. Oto Samuel Zborowski i Jan Zamoyski. Sędzia Zamoyski na śmierć przeznacza winowajcę, a w przeddzień wykonania wyroku błaga go o przebaczenie. Winowajca Zborowski—bohater, lecz hutny magnat i warchoł; sędzia—przyjaciel młodości, lecz i stróż prawa; jako przyjaciel, mógłby przebaczyć, nie może zaś, jako stróż prawa. Winny mógłby się ukorzyć, lecz wstrzymuje go pycha. Sędzia dla dobra ogółu nakazuje milczenie sercu, Zborowski, piastun rodowej potęgi, nie może okupywać życia kosztem osobistej godności. Jednakże człowiek w obliczu śmierci wznosi się ponad osobistość, uznaje konieczność wyroku, a więc i przebacza. Winowajca zamienia się w dobrowolną ofiarę dla nauki pokoleń.

Takie podszycie etycznej idei pod osnowę historyczną powodowałoby zapewne nieraz naciąganie wydarzeń do celów kon-

¹⁾ Koresp. IV. 89.

²⁾ Odyniec: Listy z podróży I. 342, 345.

fliktu psychologicznego, ale też Mickiewicz mniemał, że z dramatu ogół obywateli mógłby osiągać tę samą korzyść wychowawczą, jaką osiągalą Grecy z poetyckich swoich tradycji.

Nie sięgał tak daleko w sferę moralnych i wychowawczych postulatów sztuki Słowacki, kiedy w 1833 roku układał program swego dramatu.

Dajcie mi proch, zamknięty w narodowej urnie.
Z prochu lud wskreszę, stawiam na mogił koturnie
I mam aktorów wyższych o całe mogiły,
Z przebudzonych rycerzy zerwę całun zgniły,
Wszystkich obwieję niebą polskiego błękitem,
Wszystkich oświecę duszy promieniem i świtem
Urodzonych nadziei—aż przejdą przed wami
Pozdrowieni uśmiechem, pożegnani łzami! *)

Artysta-Słowacki nie uznawał potrzeby zaprawiania przedmiotu dramatycznego morałem. W ostatnim miesiącu pobytu w Paryżu w 1832 roku zwiedzał wielokrotnie teatr Porte St. Martin, gdzie wystawiano sztuki romantyczne, aby się przejąć francuską tragedią. *) Twórcy „Maryi Stuart“ imponowała burza szalonych namiętności w „Antony“ Dumasa, wdzieranie się do krainy piękna duszy splamionej żądzami, pogrążanie się w hańbie i życie w wirze zbrodni dusz, powołanych do najczulszych uniesień miłości w takich dramatach Wiktora Hugo, jak „Marion Delorme“ lub „Lukrecya Borgia“. Niewiele też dbał o historyczność nawet w dramatach, które mu się podobało nazwać „Kronikami“.

Ale Słowacki, żyjąc za granicą, w kraju był mało w swoim czasie znany ogółowi czytelników; krytyka zaś, pominąwszy głosy wyjątkowe, traktowała go nieżyczliwie; stąd też teoria dramatu historyczno-narodowego urabiała się bez współudziału jego sądu i wpływu, jakkolwiek dzisiaj nikt nie zaprzeczy, że nasza literatura nie miała i nie ma potężniejszego talentu dramatycznego.

W kraju zaś po roku 1840 dwa głoszono odrębne na historyczny dramat zapatrywania. Dominik Magnuszewski, autor „Radziejowskich“, „Władysława Białego“ i trylogii p. t. „Niewiasta

*) „Kordyan“. Prolog, trzecia osoba.

*) 9 listopada pisze: „w tym miesiącu byłem sześć razy na tragediach francuskich“ (str. 145 L. do M.) i znowu: „przez kilkanaście dni, które poprzedzą mój wyjazd, będę ciągle zwiedzał teatru“ (str. 154 L. do M.).

w trzech wiekach", żąda malowania tła wieku i wskrzeszania z pomrocza przeszłości ludzi z krwią i duchem; ¹⁾ Edward Dembowski zaś uważa dramat za obraz walki zasad; o ile zatem materiał czerpie z przeszłości, niech go tak wybiera i przetwarza, iżby dla dzisiejszego pokolenia miał ideowe znaczenie.

Oto jest punkt wyjścia, który się w teoryi naszego dramatu historycznego najczęściej powtarza i który za pośrednictwem Józefa Szujskiego stanie się dyrektywą dla talentu dramatycznego Wyspiańskiego. Podług Szujskiego produkcyja artystyczna bije w takt tętnu życia narodowego. Po huku gromowej pieśni nieszcześć ostatnich ²⁾ nadeszła epoka wyznawstwa myśli i tradycyi narodowej, która wyrobi formę odpowiednią nowemu zwrotowi, dźwigającą się z głębi uczucia nakształt dłoni gotowej do ustawnego czynu. Forma ta zapanuje nad polotem fantazyi i uczucia, przeniknie wywołane z dziejów postaci okiem sędziego, grotem sumienia. Dramat narodowy obejdzie się bez malowniczego tła natury, bez przepychu i wystawności historycznego obrazu, lecz na scenę wywiedzie charaktery, odsłonięte do najgłębszych tajników duszy. Szkodziłby mu liryzm narodowy, skłonny czy do apoteozy, czy do potępienia; z drugiej strony uczynić musi zadość warunkom piękna i sztuki, zapanować nad umysłem widza potęgą zwalczonych i przetrawionych wrażeń, trafnością w wyborze obrazów. Tak i narodowy dramat Szujskiego, jakkolwiek historyczny, nie ma być przedmiotowy. Piśmiennictwo było zawsze u nas ratującym słowem narodu. W nowym dramacie roztoczy się i uzasadni potrzeba walki o warunki bytu między zbuntowaną jednostką a interesem zbiorowym.

Tragiczność wzmoże się ideową pięknoscią walczącej jednostki. Bohaterem tragedyi będzie szlachcic polski—we wszystkich swych mocach i słabościach. Wyżyną, z której odbiera się wymiar tragicznej sprawiedliwości—tron; morałem krzepkie a proste maksymy życia politycznego, które nas kiedyś wielkimi czyniły. Takim będzie historyczny dramat polski. ³⁾

Powyższy rzut oka wstecz na pomysły teoretyków i twórców dramatu historycznego uczy, że poezyi nie da się nagiąć dowolnie do tendencyi, choćby nawet bardzo potrzebnej i bardzo

¹⁾ Tygodnik Liter. Poznański r. 1842, rozprawa „O dramacie“.

²⁾ Pisał w Krakowie 3 maja 1867 r. w książce „Dramata“, serya I, str. VI—VIII.

³⁾ W przedmowie do Zborowskich w 1869 r.

szlachetnej. Wszakże nie sprawdziły się domniemania Szujskiego, jakoby dramat dziejowy mógł uprzedzić przetworzenie życia narodu, jakoby mógł stać się „wróżbitą“ stanowczego w owym życiu zwrotu.

Ani spełnił się postulat Dembowskiego, żeby nie rozstrzucać dramatu wyłącznie na tle faktów „zaszłych“, lecz roztaczać w nim „walkę zasad“. Możemy dziś takie pomysły oceniać, jako zajmujące konstrukcye literackie, które jednak pozostały bez wybitnego wpływu na rozkwit dramatycznej produkcyi. Zdaje się, że jedynym kryterjum rozkwitu pozostanie talent. Prawdziwy i energiczny talent—to owa różdżka cudowna Mojżesza, która potrąceniem o spopielałą przeszłość wywoła z niej żywy strumień żarem namiętnym kipiącego dramatu. Wbrew zastrzeżeniom Szujskiego indywidualizm i w tej dziedzinie utrzymał pełnię praw swoich.

Zapewne—ogólną zasadą dla Wyspiańskiego było, jak dla innych, że „przeznaczeniem dramatu jest służyć za zwierciadło naturze, pokazywać cnocie własne jej rysy, złości żywy jej obraz, a światu i duchowi wieku postać ich i piętno“; ¹⁾ ale Wyspiański powie równocześnie:

Mam ten dar howiom: patrzę się *inaczej*,
Inaczej, niżli wy, co nie kształcicie wzroku,
 Dla których stworzył Bóg szablony i szematy,
 A duszy poddajecie studenckie tematy. ²⁾

Dumne te słowa odnoszą się do „patrzenia“ na wiek XI, wiek Bolesława Śmiałego. Przez nie poeta wyzwala się z oków wszelkiej rutyny czy erudycyi, talent czyni sędzią, ferującym wyroki nad przeszłością, o ile ona ma odżyć w dziele sztuki, choćby się nawet już *inni* poeci kusili o obrazy dramatyczne z tej samej dziejowej sfery, jaką objął we władanie *jego* duch twórczy.

Jeszcze napiszę, gdy mi się spodoba;
 Grać w wyobraźni mej zacząną postacie:
 Jaka to Piastów była pierwsza doba,
 Jak nic nie warte to, co dotąd macie
 W sferze dramatu o Mieszku, Ryhezio,
 Ottonie trzecim, Wielkim Bolesławie...

¹⁾ „Hamlet“ str. 38.

²⁾ Wiersze: Fragmenty dramatyczne: „Uwagi“, Kraków 1910, str. 50.

Pozostaje odpowiedź na zagadnienie, czy narodowy dramat ma być dramatem duszy zbiorowej, czy jednostkowej?

Czy można żądać, żeby sztuka w wielkich zarysach malowała konflikty mas społecznych, tłum szlachecki, jego burzliwe porwy, namiętą i gwałtowną falą nieraz tron podmyć usiłujące?

I tu, zdaje mi się, rozstrzyga talent artysty. Wielki Will kilku rysami umiał zdumionym oczom widza ukazać rozpetane namiętności rzymskiego motłochu w „Koryolanie“ lub „Juljuszu Cezarze“.

I w tym względzie wypada znowu zgodzić się na zdanie Wyspiańskiego: talent feruje wyroki.

Ale, godząc się z niem, niepodobna jednak traktować dziejowego dramatu metafizycznie. Związany on z czasem, środowiskiem, oparty na działaniu, na szeregu wewnętrznych przeżyć i przemian duchowych. Narodowość nie znamionuje się zgoła dekoracyjnym aparatem sceneryi, widokami kontuszów, kierezy i karabeli, lecz wynika z ujęcia i rysunku walk duchowych, jakie staczają się czy to pomiędzy osobami, czy pomiędzy rzeszą. Każdy wiek i każdy naród kształtuje swój światopogląd podług etyki, jaką urobił wśród falowań własnej przeszłej kultury i jaka mu się wydaje nieodzowną do zrealizowania przyszłych zamysłów. Komu gwiazda poezyi świeci nad czołem, kto nie wynarodowił swej duszy, kto umie magnetycznie zespolić się z dolą i niedolą narodu, kto zdoln być i radość polskiego króla, magnata, szlachcica i chłopą równie silnie, jak porwy milionów, ten podoła zadaniu narodowego dramatu.

Lecz oto przypuścimy, że staje przed nami poeta o silnym i energicznym talencie: czy we wzmiankowanym „ferowaniu wyroków“ ograniczony tylko wyczuwaniem ducha minionych stuleci, może historycznym postaciom nadawać przez siebie wynalezione oblicze a historycznym zdarzeniom odmienny obrót, niż miały?

Na to ważne pytanie inną da odpowiedź przeszłość, inną chwila dzisiejsza. „Przykładanie do postaci historycznych miary dzisiejszych wyobrażeń—mówi Szujski¹⁾—sądzenie ich wedle dzisiejszych opinii, obdarzanie ich cieniów popularnością lub obrzucanie niepopularnością, wedle tego, jak pewne rysy ich dziejów przystają lub nie przystają do naszych doktryn politycznych i religijnych, *błąd* to powszechny, w traktowaniu i pojmowaniu dziejów u nas co chwila napotykanym. Jest to duch agitacyi i proze-

¹⁾ Charakterystyka Zygmunta Augusta. Dzieła S. II, t. VI, str. 115.

lityzmu po za grób niejako sięgający, szukający protoplastów myśli naszych i nieprzyjaciół ich pomiędzy nieboszczykami, duch wykrzywający najwyższe nauki historycznej dążenie, jakim jest niezawodnie wpływanie na losy pokoleń obecnych zdobytymi prawdami, wyniesionemi z doświadczeń przeszłości“.

Czem innem jest atoli historia, a poezya.

Artysta podnosi nas do idealnej sfery tak, że zapominamy o sprawdzaniu, o ile wiernie postacie odpowiadają swym historycznym wizerunkom. Przytem dla nas obojętną prawie jest rzeczą, czy jakaś dziejowa postać kiedyś to samo w rzeczywistości mówiła, co mówi w dramacie; ale nie jest rzeczą estetycznie obojętną, czy historyczna postać dramatu w swych wewnętrznych przeżyciach nie kłóci się zarówno z zamierzeniami twórcy, jak z logiką i konsekwencją tych przeżyć.¹⁾

Na pytanie, o ile poeta liczyć się musi z historyczną prawdą, dają rozmaitą odpowiedź teoretycy i twórcy. Teoretyk powie: „die tragische Persönlichkeit soll ein gewisses mittleres Mass menschlicher Grösse überragen“.²⁾ Wymaganie, aby osoba dramatyczna była nie na miarę krawca, lecz Fidyasza, godzi się z potrzebą idealnej sfery dramatu, a to tem bardziej, że artysta odczuje, jak każda wybitna osobistość przez ciąg wieków urasta w tradycyi pokoleń. Mickiewicz, wiemy to wszyscy—niepospolitym był człowiekiem już dla współczesnych. Słowacki nazywa go „duchem straszliwym“,—Goszczyński w pamiętniku woła: „Adam jest straszny“; bracia z koła towiańczyków całują mu ręce i nogi. A jednak jakże zolbrzymiała jego syntetyczna postać przez lat kilkadziesiąt od śmierci, o czem wymownie świadczy czy „Monsalwat“ (Górskiego, czy „Wyzwolenie“ lub „Legion“ Wyspiańskiego. I to jest zasadnicza różnica między naukowem a poetycznem przedstawieniem dziejowej postaci.

II.

Lucyan Rydel dla swej trylogii obrał wiek złoty i najwyższy w kwitnącym społeczeństwie wzniesioną postać króla.

¹⁾ O tem obszerniej Lipps Theodor: „Die ästhetische Betrachtung und die bildende Kunst“. Hmg. 1906. II. 76—79.

²⁾ Tenze. „Grundlegung der Aesthetik.“ Hmbg 1903, I, 565.

Zatem życie jednego człowieka i jednej rodziny, lecz na takiej widowni, że stamtąd odsłaniają się szerokie horyzonty na kraj i naród. Życie jednak—to proces złożony. Dostrzegać w przeszłości nieubłaganie, sądzić z zimną krwią, która o rozpacz przygotowuje, z głębokością, która przeraża—niełatwo. Odsłaniać słabości w cnocie, odcienie cnoty w duszach zbrodniczych, — na to trzeba być wolnym od namiętnych uniesień, mieć jasnowidzenie szczegółów, gorejącą siłę wyobraźni i wymowy, jeśli się pragnie zetrzeć pył wieków i ku oczom widza przybliżyć kipiący warem życia obraz.

Lucyan Rydel nie umie tworzyć namiętności grozą wstrząsających i był tego świadom w toku pisania „Zygmunta Augusta“. Jeżeli zbrodniarz Cezar Borgia mógł stać się ideałem włoskiego wieku odrodzenia, jako wcielenie zasad i dążeń rasy romańskiej, to w naszych dziejach nadaremnie szukalibyśmy podobnych potworności. Rydel niewątpliwie należy u nas do nielicznych poetów najnowszej doby, dla których przeszłość polska nie ma tajemnic. Zgłębił on, jak uczony, wielką ilość źródeł dziejowych, bez których znajomości zamknięty wgląd w życie wewnętrzne wieku. Rzecz ani prosta, ani łatwa. Za Zygmunta Augusta miała Polska grono nieprzeciętnych mężów, jak Hozyusz, hetman Jan Tarnowski, biskup Samuel Maciejowski, Mikołaj Radziwiłł, Piotr Kmita, z których każdy był wybitną nawet na tle niezwykłego wieku indywidualnością i każdy też wzbudzał tyle zawiści lub uwielbienia u współczesnych, tyle pozostawił śladów swojej egzystencji w losach kraju, że współcześni w pochwałach lub paszkwilach, następcy w naukowych dociekaniach setkę o nich książek napisali. W nich grają uczucia, słychać wrzawę wieku: namiętne obwoływanie religijnej prawdy, spory o władzę, pościg za przywilejami, zazdrosny lęk o uszczuplenie żrenicy wolności, pioruny magnackiej pychy i poważny szmer filozoficznej debaty. Oblicze złotego wieku mieni się tysiącem odcieni i ani na chwilę nie zatracą swej różnowzorej maski. Pisano bez tchu i miary.

Orzechowski układa panegiryk na zaślubiny Zygmunta Augusta z Katarzyną i paszkwil na zaślubiny z Barbarą; Padniowski pisze żywoty mężów swego wieku, Górski Stanisław żywot Piotra Kmity, Warszewicki na wzór Plutarcha kreśli życie króla, bronią króla prawie współcześni Grochowski i Krzysztof Okuń z Grodziska, wielbi Samuel Brodowski hetmanów, powstaje społecznie biografia Katarzyny Jagiellonki, z powodzi pism wydobywa Przeździecki cztery tomy swych „Jagiellonek“, Czacki ujmuje w zarys Panowanie Zygmunta Augusta, a w kilkadziesiąt lat

później Baliński ogłasza „Pamiętniki o królowej Barbarze“, Szajnoch w świetnym szkicu rzuca nowe światło na jej postać, Szujski rysuje psychologiczny wizerunek Zygmunta Augusta i siostr Katarzyny i Anny. Dołączmy dzieje Górnickiego, Bielskiego i całego szeregu historyków, dołączmy drugie tyle poematów i dramatów—dopiero wtedy przekonamy się, że w natłoku ksiąg zorientować się mógł talent, podparty znaczną erudycją. Dzięki licznym materyałom zarysowała się wyraźnie postać ostatniego Jagiellończyka.

Poetów nęcił głównie jeden epizod życia: związek z Barbarą. Nawet Józef Wybicki, autor pięcioaktowej tragedii wierszem p. t. „Zygmunt August“¹⁾ na kanwie tego epizodu rozsnuwa zawiłanie, nie troszcząc się zresztą o psychologię człowieka.

A jednak na dramatyczność tej postaci złożyło się sporo warunków. Był to król nie z Bożej, lecz ze szlachty łaski.

Szlachciec zobowiązywał się względem króla do dwóch groszy z łanu, do pospolitego ruszenia i tytułu na pozwie; ale uważał się za kontrolera i opiekuna królewskiego, ograniczał go, o ile mógł, występował wobec niego śmiało, czasem zuchwale.

Tron polski stawał się dramatem człowieka. Król miewał stu dozorców wśród najbliższych magnatów, milion argusowych oczu wśród szlachty. Strzegły one czujnie, by wybranemu w prywatnem życiu nie działo się inaczej, niż wedle *ich* woli. Była to właściwie niewola królewska.

Pomyśleć tylko.

Zygmunt August—człowiek wychowany w zhytku, przywykły do dogadzania wszelkim wyrafinowaniom młodych zmysłów, wystawionych na niezliczone pokusy i nasycanych bez wysilen i niebezpiecznych zabiegów; człowiek znacznego rozumu, hojnie obdarzony uczuciowo, lecz wątłej woli, od kolebki nie ćwiczonej, ani krępowanej; człowiek sposobny nawet do wielkich czynów w poczuciu obowiązku, nałożonego brzemieniem rządów; taki duchowy instrument z żądz, słabości, rozumu i wytrwałego podążania ku celowi na tronie polskim przez los wybrany do wielkich przeznaczeń. Włoska kultura wabiła go do edenu rozkoszy, do ziemskiego raju, gdzie zapomnienie nędz człowieczych, pośród ksiąg, pośród poezji, dźwięcznych pieśni i miłości; tradycya wielkich przodków i świadome poczucie odpowiedzialności rodziły w głowie pomysły dobra powszechnego: wicher reformacyi miał

¹⁾ W Warszawie, w drukarni Dufour, 1787.

od Europy różnych ministrów protestanckich, którzy materyalistycznie tłómaczyli życie; kościół katolicki, do którego dziad i pradziad należał, kładł twardą dłoń na zachciankach swawolnej myśli i ku powinnościom nagiął przez nakazy i zakazy; opiekunów naokół rój, każdy ze swem rzekomo najlepszem -- widzimisię...

W męce duszy wyrabiała się ostrożność, potrzeba rozmysłu, wabanie się przed każdym ważnem postanowieniem...

Ten syn ówczesnej Europy strojem, obyczajem i duszą przechodzi wraz z nią ciężką wewnętrzną walkę -- i dlatego może „tak pełen tragicznego, hamletowskiego jakiegoś wdzięku, tak smętny mimo warunków szczęścia, tak melancholiczny w całym zewnętrznym wystąpieniu, tak nieszczęśliwy w życiu rodzinnem, w końcu zaś złamany, szarpany namiętnościami i zamykający oczy w smutnych uczuciach sieroctwa i przeczuciach upadku“.

Tak go pojmuje dzisiaj historia, tak go pojął Rydel w swej trylogii.

„We mnie mieszka
Dwu zmagających się ze sobą ludzi:
Jeden drugiego naprzemian zwycięża,
A we mnie serce waha się i ludzi,
Dręczy się, tęskni“.

Świadom ciężaru korony, nie czyni z niej błyskotki i nosić ją będzie jako święte brzemie. Lecz młode serce pragnie życia „wolnego człowieka“.

Żali drugi raz na ziemię
Wrócę się kiedy w niekrólewskim stanie
Na drugi żywot, na ludzką swobodę,
Na szczęście, rozkosz, radość i kochanie?
Ażali wiednąć ma to czoło młode,
Skowane w obręcz twardej, złotej blachy?
Nie dla mnież wieńce bluszczowych gałązek,
Nie dla mnież pąków różanych zapachy?
Weiż ta niewola? Weiż ten obowiązek.
Co na mój każdy krok nakłada pęta?

Rozdwojenie czyni tę postać dramatyczną: ono jest źródłem walki wewnętrznej i niechęci ludzkich, ono tem złem, które uświadomione przeistacza się w dobro.

Pierwsza część trylogii daje nam poznać młodego Zygmunta Augusta w stosunku do Elżbiety, do fraucymeru Bony i do mat-

ki. Nie dba o żonę, bawi się miłostkami z dworskimi pannami Bony, a to głównie przez nią właśnie w ich zalotne ramiona popychany, gdyż Elżbieta nienawistną była starej królowej, jak miłą Zygmunutowi Staremu. „Król Zygmunt—mówi Górnicki—w niej się wielce kocha, lecz królowa Bona nie bardzo“. Królewski jedynak zaś obojętny. Czasem odcień niechęci zaostreży tę obojętność, lecz zgodnie z głosem dziejów wystąpi ona zazwyczaj, jako zły wpływ Bony; prawie zawsze starannie maskuje się układnością, polorem i dobrem uczuciem Zygmunta Augusta.¹⁾ Koniec pierwszej części trylogii, zamykający się pobytem Zygmunta Augusta w Wilnie, znamionuje się zmianą jego charakteru. Zmiana doniosła. Górnicki mówi o niej: „Przyjeżdżali do króla z Litwy senatorowie, dworzanie i inszy rozmaici ludzie i powiadali o sprawach, dzielnościach, pracach, sądach króla młodego, chwając przed królem i do nieba wynosząc mądrość i czułość jego“. W trylogii Radziwiłł Rudy świadczy:

Pójść mógłby w zawody
Z wszystkimi królmi o cnoty monarsze;
W młodych on leciech, a mądrość ma w głowie
Taką, że głowy zdumiewa najstarsze“. (akt. V, sc. ostat.).

¹⁾ Jedna z obszernych recenzji trylogii (Museion, grudzień 1912, str. 88—99 p. Quis'a) opiera szereg zarzutów na rzekomej niekonsekwencji psychologicznej Zygmunta Augusta. Zarzuty atoli płyną z nieporozumień recenzenta z historią. Rydel wszechstronnie i gruntownie zapoznał się ze źródłami; recenzent nie zadał sobie trudu sięgnąć do najbliższych nawet. „Układnego grubiaństwa“ ani „wyrzafinowanego okrucieństwa“ ze strony Zygmunta Augusta w traktowaniu Elżbiety nigdzie niema w trylogii; jest tylko galanteria pokryta obojętnością, która topnieje z chwilą, gdy z odjazdem małżonków do Wilna topnieje wpływ Bony. „Gdy w akcie czwartym—pisze recenzent—*błyskawiczną niespodzianką* psychologiczną, Zygmunt August przechodzi od twardej obojętności do namiętnej miłości żony, nikt w tę przemianę nie wierzy i do mózgu cisnie się niepochlebne dla syna Bony wrażenie: „Komediant“. Szujski zaś w znakomitej charakterystyce tego króla (Dzieła S. II, t. VI, str. 120) mówi: „Gdy nareszcie za wpływem ojca, biskupa płockiego Maciejowskiego, hetmana Tarnowskiego i Litwinów udało się fatalny wpływ Bony uchylić i młodego króla wysłać na Litwę z żoną, pęka *nagle, za prostem oddaleniem się*, ten dziwny magnetyzm“... Niema tu zatem żadnej niespodzianki psychologicznej, lecz prawda dziejowa, jeżeli się oczywiście usunie dodatki recenzenta „twardej“ obojętności i „namiętnej“ miłości, które są stylistyczną przyozdobą bez odpowiednika w dramacie Rydla.

Lecz w czerwcu 1545 r. zmarła Elżbieta. Kronikarz powie: Żył król August w Litwie bez żony, nieco odmieniwszy obyczajów. Nie trwała zresztą długo owa odmiana obyczajów, gdyż już w kilka miesięcy potem usidliły go czary wdowy po Gasztołdzie.¹⁾

Niełatwe, ale wdzięczne zadanie wypełnił poeta w drugiej części swej trylogii, odtwarzając proces związku króla Zygmunta z Barbarą. Niełatwe dla tego, że musiał się liczyć z poprzednikami: Józefem Wybickim, Franciszkiem Wężykiem, Aloizym Felińskim, Dominikiem Magnuszewskim i Antonim Ed. Odyńcem, którzy te same postacie w dramatycznym konflikcie malowali.

Wybickiemu chodziło o „publiczną naukę“. W jego pojęciu tradycja powinna „poprawiać serca i publicznemu dobru przynosić korzyść“. Dzieło Wybickiego przytem powstało jeszcze za Polski niepodległej, dawało ono tedy wizerunek króla, który „męstwem, sercem ludzkości pełnem, rozumem, istotnej doskonałości uprostowany światłem, przewyższył nieszczęście, całemu państwu grożące“. Postać Zygmunta Augusta, wyidealizowana w tragedyi Wybickiego, miała tedy nie tylko stać się wzorem, poniekał pochlebiać także Stanisławowi Augustowi (tragedyę swą dedykował poeta Stanisławowi Poniatowskiemu, szefowi gwardyi), lecz odgrodzić majestat królewski od intryg magnatów wrogo usposobionych, na nich przenosząc winę niepowodzeń w państwie. Król przeto w tragedyi ma same zalety; Barbara bez oblicza; Kinita skalany wielu występkami; Bona wedle domniemania Warszewickiego, jako truciicielka Piastów i Elżbiety, jako sprzedawczyni biskupstw i dostojenstw; posłowie sejmowi albo przekupni, jak Grek, albo spartańskiej cnoty, jak Świętosław; wojna domo-

¹⁾ Ten sam recenzent zarzuca Rydłowi, że na pierwszej karcie „Złotych więzów“ August, który niedawno zapewniał ojca o miłowaniu „ponad wszystko w świecie Elżbiety“ — teraz zapewnia o temże Barbarę. „Ani prawda historyczna, ani względy psychoznawcze nie umniejszają niesmaku tej kolejności następstw“. Oba te względy atoli przyznają słuszność Rydłowi. Cóż tu poradzić, gdy historia mówi, że Zygmunt August zaczął bywać u Radziwiłłów w kilka miesięcy po zgonie Elżbiety (Szajnocha, Dzieła I, 142); a skoro tak było, to widać z psychologią da się taki układ rzeczy pogodzić. Akcja nadto pierwszej części trylogii kończy się w r. 1545, w drugiej zaczyna w 1547: znów zgodnie z historią od śmierci Elżbiety do zaślubin z Barbarą dwuletni przedział zaznaczono. Ani tedy prawdzie, ani psychologii poeta nie zadał gwałtu, a kto z widzów z obojgiem się liczy, ten niesmaku nie odczuje. Zarzut niesprawiedliwy.

wa orężna zmyślona; zwycięstwo króla nawraca Kmitę. Wybicki stylizował historię, nie mógł stworzyć dramatu duszy, bo wzorował się na pseudoklasycyzmie; podszył utwór tendencją moralno-polityczną. W dramatach pozostałych główne światło pada na postać Barbary. Najrealniej pojęta u Magnuszewskiego; najsentymentalniej przez Felińskiego. W tem ostatniem dziele jako bohaterka bez plany i skazy, na ołtarzu ojczyzny gotowa złożyć własne szczęście. Ale i tu brak dramatu duszy, Barbara pada ofiarą trucicielki Bony, która posepnie szepce:

„Monti lekarstwo dla niej przygotuje skrycie“.

Rydel nie poszedł, ściśle mówiąc, żadnego z tych dzieł śladem.

Przejął się on kulturą odrodzenia, poznał we wszystkich niezliczonych objawach duszę polską, owiniętą wpływem włoskim, wyobraził ją sobie wśród przepychu otoczenia królewskiego, odgadł intuicyjnie, jak mogła wyrażać boleść, szczęście i radość, odrzucił utarte szablony poprzedników, zimną maskę ceremoniału, a odsłonił szczerozłote oblicze prawdziwej miłości, żywych uniesień duszy i przez to stworzył w drugiej części swej trylogii wiele scen, gdzie akcja wre a uczucie pełną falą bije i wzrusza. Harmonijnie zlewa się w malowniczą i przepiękną całość niepospolicie staranna, ze znajomością polskich starożytności ułożona dekoracja scen, dobór i barwy strojów, zdobienie komnat, cała zewnętrzna strona obrazów, jako tło nastrojowe wewnętrznych przeżyć.

Wyobrażenia Rydla nie wywołuje potężnych, grozą wstrząsających widm zbrodni, ani zanurza się w niedosięgte sztolnie ludzkich zwyrodnień. Jego „Dies irae“ nie przeraża. Jego starcie się poświęcenia z namiętnością w „Na zawsze“ nie wymusza rozpaczego jęku dławionej i unicestwionej losem woli. Lecz gdy chodzi o wyraz poetyczny dla szczerych, miękkich, szlachetnych wzruszeń, dla serdecznych, jasnych, uszczęśliwiających albo cichym smutkiem nasyconych rozrzewnień, wtedy nikt z dzisiejszych naszych poetów nie odbierze Rydłowi pierwszeństwa. Końcowe sceny z „Betleem“ nawet sceptykom i cynikom łzy wyciskają z oczu.

Jakgdyby wiedział o przewadze swego talentu w wymienionym kierunku, Rydel nie szczędzi widzowi scen rzewnych w drugiej części trylogii. Schadzka miłosna w ogrodzie radziwiłowskim w I akcie; śmierć Zygmunta I w drugim; proces o małżeństwo

i koronę w obliczu senatu, do posad wstrząsający budowę państwa,— w trzecim; prześliczne, tęskną melancholią owiane zwierzenia małżonków w czwartym; bolesna a słodczy pełna, niby Elsinoi z „Anhellego“, śmierć Barbary w ostatnim akcie: oto momenty, dzięki którym „Złote wieży“ weszły do rzędu arcydzieł naszej poezji dramatycznej.

A jaka to poezya! Naprzykład z pierwszego aktu:

BARBARA. ...Dość mi na tem,
Iż wasza jestem, iż u stopni tronu
Żyć mogę dla was i być jasnym kwiatem,
Co wam pod nogi ściele swe kielichy
Na stromej, twardej królowania drodze;
Dość mi, że pan mój mnie, poddance lichej,
Da w swoim sercu kątek jakiś cichy
I że na piersi mej czasem ochłodzę
Czolo znużone korony obręczą...

ZYGMUNT. ...O, jak w tobie cudnie
Więże się urok na polu dziewczęcy
Z niewieścią pełnią kras! Tyś jak południe.
Złote i razem jak różane rano
Zdasz mi się sadów zaklętych jabłonią,
Co się wiosnianych kwiatów bieli pianą
I żrałe jabłka wraz na niej się płonią...
O moja... moja !...

W te miłosne szeptu wpada zrazu cudny śpiew Bekwarka, a potem rozgwar i okrzyki dworskiej cizby, która wnet z Radziwiłłami miota się po scenie... Kontrast nastrojów nadzwyczaj efektowny i artystycznie wykonany.

W akcie drugim śmierć Zygmunta I na scenie. Poeta odstąpił od historyi. Zygmunt August nie był przy śmierci ojca.

Scena nalegania ze strony ojca na Augusta, aby się przyznał, czy zaślubił Barbarę, miała miejsce w 1547 w Piotrkowie. Ojciec badał, syn—jak rozumieli ludzie—nie przyznał się, bo „po starcu nie znać było frasunku żadnego“. ¹⁾ Dopiero po zgonie króla słano posły do Wilna po Augusta. Poeta zaś sprowadził Augusta do śmiertelnego łóża ojca, kazał mu w ostrej formie: *Nigdy—pierwej zginę!* odmówić poleceniu konającego króla, iżby odstąpił Barbary, przez to zaś przyspieszyła się śmierć króla

¹⁾ Górnicki: „Dzieje w Koronie“, t. III, 154; Bielski, „Kronika“, t. II, str. 1004; Szajnocha: „Dzieła“, I, 160.

i August poniekąd zawinił. Nie o to też chodzi, że poeta wbrew historii wynalazł tę dramatyczną scenę, lecz o to, że nie uwzględnił w późniejszym rozwoju psychiki Augusta, następstw tej winy. Sama zresztą scena i lirycznie i dramatycznie ma wysoki poziom patetycznego napięcia.

Wspaniały jest monolog Zygmunta I pod wtór Zygmuntownskiego dzwonu; trafne zespolenie ze wspomnieniami Jana Tarnowskiego, zwycięzcy u Obertyna. Moment ów w psychologii bohatera zwrotny. Gorycz i pewna twardość znamionują odłąd stosunek Augusta do Bony; natomiast miłość ku Barbarze daje mu hart, spokój i energię do odparcia burzy politycznej. Poza polityką zaś w obu następnych aktach znowu bardzo piękne i rzeczowe sceny między Augustem i Barbarą. Zwłaszcza w akcie piątym scena pożegnania przed wiekiustą rozłąką: w niej Barbara przeprosza, że syna nie dała, błaga, by się ku Bogu zwrócił; sądzonem było rozstanie, bo miałyby zbyt wiele goryczy z poddanymi. Wiersz dyalogu rytmicznie rwie się, rymy się plotą męskie i żeńskie, co sprawia przejmująco smutny nastrój. Gdy cała dusza we wzruszeniu i smutku tonie, wsłuchana w żale beznadziejne pary nieszczęsnej małżonków, czujna krytyczna myśl ciekawie pyta, czy taki język bogaty w obrazy, pyszne równania, kunsztowne przenośnie, może być w wieku XVI właściwy? Rydel archaizuje zlekka, lecz nader umiejętnie i przedziwnie. Odpowiedź na pytanie powyższe musi wypaść twierdząco, boć to język ówczesnej najwyższej sfery, na włoskiej kulturze wykształcony, jeszcze wprawdzie z „Pieśnioksięgiem“ i „Amintasem“ Tassa nie obeznany, lecz już na Aryoście zdobiony; August zaś musiał być nielada mistrzem w zalotach, a słodycz i żar miłosnej mowy obce mu nie były. Co więcej—jeśli porównamy wymowę miłosną Augusta i Barbary z poezją erotyków nie Kochanowskiego lecz Szarzyńskiego, — możliwość takiego języka nie tylko stanie nam się jasną, lecz nawet podziwiać musimy śmiałość i wynalazczość próby Rydla.

Tak tedy druga część trylogii przewyższa pierwszą i dramatycznym konfliktem, i pełnią akcji, i widokiem dramatu duszy, i precudnymi obrazami doli i niedoli, i wzruszającemi do głębi scenami, i misternym w technice wyrazem aktów wewnętrznych przeżyć. Najlepszy to w istocie z dramatów o Barbarze.

W części trzeciej trylogii do śmiertelnych zapasów występuje w Augustcie człowiek miękkiej organizacyi, skłonny do rozkoszy i folgujący własnym zachciankom—z mężem naczelnym państwa, które odeń oczekuje ważnych postanowień. Król dokonał

dzieł znacznych: z jego polecenia spisuje się statut (Przyłuski), on jeden z pierwszych w Europie myśli o zawsze gotowem wojsku i z własnych zasobów tworzy pułki kwarciane; on wiedząc, że Ruś bliższa Litwy, że obie otaczają Polskę, że Moskwa czyha na wewnętrzną wojnę, aby cały łup zagarnąć, — pamięta o zagaszeniu ognia po śmierci gotowego wybuchnąć: usuwa pień (jak mówi w 1564), zrzekając się dziedzictwa Litwy, byle stał się rok 1569. Zamiłowany w dysputach teologicznych, jednak dochowuje wiary kościołowi i wyznaniu przodków. Choć przeprowadził egzekucyę, wojsko stałe i unię narodów, — nie miał szczęścia, bo pragnął potomka nadaremnie. „Wtedy—powie dziejopis—ze śmiertelnym potem o przyszłość narodu na czołe przychodzi mu się szarpać z najsprzeczniejszymi planami. Jest to epoka jego zwątpienia, rozpacz, moralnego upadku“...¹⁾

Ten stan duchowy maluje się w trzeciej części trylogii.

Długim rzędem idą sceny, dowodzące nieukojonych cierpień człowieka. Nad wyraz bolesny jest związek szlachetnego króla, patrycyusza w każdym calu i każdej krwi kropli, z chciwą i pospolitą Giżanką; subtelny i artystycznie znaleziony ów rys spłotu w sercu króla miłości i nienawiści:

„Ja miluję w tobie
Umarłą piękność biednej mojej Pani,
Lecz nienawidzę ciebie całą duszą!“ III. 80.

Nareszcie w dwóch końcowych aktach uwydatnia się wielkość króla w obrazie Unii lubelskiej i niedola człowieka w knyszyńskiej agonii bezsilnego już w godzinach konania czy wobec buty magnatów, czy wobec brutalnych wymagań Giżanki.

Trylogia Rydla jest tedy dramatem duszy ludzkiej, ale i królewskiej. Z miłością wiódł poeta swego bohatera przez życia koleje i choć nie tał dotkliwych słabostek, usiłował zaznaczyć okoliczności łagodzące, jakby lęk czuł o zbyt surowy wyrok. Nie umieścił go atoli na sztucznych koturnach, choćby miał zwyczaj poetycznej tradycyi za sobą. Mógł o pół tonu podnieść wymiary królewskiej postaci, pytanie atoli, czy w takim układzie nie trzeba było całego tła przeistoczyć dla harmonii i prawdy historycznej. Jak jest—tło składa się z kilkudziesięciu postaci jagiellońskiego dworu, dobrze nam znanych i prawie blizkich. W zbio-

¹⁾ Szujski: „Zygm.—Aug.“ 128.

rowej masie malownicze i wspaniałe, w postaciach osobnych wydają mi się nazbyt zniwelowane; za mało wyrazu mają indywidualności wybitne.

Na przykład Bona. Rolę ma dużą, jest w niej konsekwentna, lecz niekiedy za miętka, za krzykliwa i zbyt na miarę krawca. Wymyśla i klnie, jak przekupka.

Ta sykofantka! ta trusia! ta święta!

Gdybych udusić mogła tę poczwarę (I. 162)

Ha! ta rakuska przekłeta gadzina (I. 107)

Ale to nie czyni jej ani o włos straszniejszą. A jednak szczypta demonicznej złości, nieco piekielnej, przemyślniej i mądrej intrygi, nadałoby inne oblicze tej Włoszce, tak pamiętnej w dziejach.

Albo na przykład Jan Tarnowski. Orzechowski określa go: „Była to natura gotowa ku okazaniu łaski i niełaski na obie strony. Gdy srogi był, widziałeś jawne iskry w oczach jego, twarz pałała, kark się jak na lwie odymał, szyja się trzęsła, wstawały na nim włosy. A gdy zasię łaskaw był, anioł z nieba, a nie człowiek z Tarnowaby się widział“. Nie malujeż się w tym portrecie wielkość połączona z jakowąś potęgą, rwącą się z duszy na zewnątrz gwoźli owładnięciu świata i zniweczeniu oporu? Nie jest-że głównem jej znamięniem jakowaś siła nieuskromiona?

A oto jak Łukasz Górnicki kreśli wizerunek biskupa Samuela Maciejowskiego: „Miał urodę prawie pańską, twarz wdzięczną, z której niceś innego sądzić nie mógł, jedno szczerzy umysł i dobre serce; rozum ostry, nauki wiele, biegłości w rzeczach, dzielności w sprawach dosyć; czem wszystkiem dobrze szafować umiał, bo w szczęściu nadętości, a w nieszczęściu upadłej myśli znać nie było. Więc ludzkość a senatorska powaga mądrze były złożone i usadzone, bo rozeznąć żaden nie mógł, co czemu panowało. Owa był prawym panem, nie stąd, iż miał wiele, ale przeto, że *sobie* mógł i umiał rozkazywać.“

Nie widniejeż nam z tego rysopisu mądra, spokojna i dobra sylweta humanisty?

Trzy przeto głowy i trzy dusze—a każda inna: chytra, podstępna i zła i złośliwa—Bony; władcza i potężna—Jana z Tarnowa; mądra a dobra—biskupa Samuela.

Ale Rydel nie zdołał tym duchowym maskom z przed wieków dać tak wyodrębnionych wyraziście zarysów, iżbyśmy każdą bez zawodu rozróżnić zdołali, choćby etykietę nazwiska odję-

to. A może rozmyślnie taką dał ludziom i rzeczoną strukturę, hyle jak najwięcej światła skupić na postaci bohatera. Mógł wpleść, a usunął zbrodnię. Wymiótł ze sceny ludzi skrytobójczo sprawy swe obrabiających. Owiał scenę pięknem i krasą do sytu, prostotą serc, szczerością myśli, równością dróg, którymi świat ten chadza. Słysząc gdzieś poza tym światem głos widza poety, z głębi przyglądającego się ożywieniu sceny postaciami jego wyobraźni:

Grają—tragedyę swą duszy
W tragicznym teatru skłonie;
Żar święty w trójnogach płonie
I flet zawodzi pastuszy.

Wynalazł też sceny najrozmaitsze co do nastrojów i uczuciowej skali. Od igraszek naiwnych i pieszczot miłosnych do organowego brzmienia państwowej debaty i rozpaczego okrzyku konającej piersi króla, drżącej niepokojem i przeczuciem o losy narodu—szeroki rozwinął akord uczuciowy. Zespolił zaś w trylogii nastroje liryki, żartu i satyry, eposu, wprowadził z wielką ekonomiczną i rezerwą akcenty dramatyczne, unikał szczęśliwie afektacyjnych zgrzytów, stopniował umiejętnie wrażenie i nie gardził kontrastami. Nie chciał tworzyć tragedyi czy ponurego dramatu i nie stworzył.

Chciał niewątpliwie udratyzować w najwybitniejszych momentach dzieje serca i myśli jednego z niepospolitych i nieszczęśliwych królów. Cierpienie w naszej wyobraźni czyni go większym i dostojniejszym. Mógłby cierpieć boleśniej, groźniej i z większą bezpośredniością. To przyznaję. Gdy August zapewnia wobec senatorów:

Dościem ja goryczy
Zażył wszelakiej, a też aż do syta
Słonych się napil i t. d. (III. 132)

—to mi nie wystarcza. Nazywam to omówieniem bólu, nie zaś jego żywym symbolem. Lecz naogół sytuacji głęboko lirycznych dużo i na pytanie, czy postać Augusta w swych emocjonalnych wzruszeniach i przeżyciach znajduje się na wysokim poziomie dramatycznego nieszczęścia—musi się dać twierdzącą odpowiedź. A to tem bardziej, że powody bólów królewskich nie mają źródła w niskich instynktach: w próżności, zazdrości, nienawiści,

chciwości, zawiedzionej chuci, lecz odsłaniają, jakby rzekł dawny pisarz, czysty brant pięknego serca.

Jak w głównej postaci tak i w gronie otaczającym, dusza nasza narodowa znalazła wierny wyraz. W charakterze polskim leżało zawsze uczuciowe zbliżenie się do panujących. Gaśl przedział, niknął strach majestatu, nie istniał Olimp królewski. Dość przeczytać którąkolwiek z przemów Skargi do króla Zygmunta III lub królewicza Władysława, iżby odgadnąć, jak blizkie były serca małych i wielkich. I tu pomimo zbyt niekiedy czołobitnych ukłonów i zamiatania podłogi czapkami pociąga nas ku sobie człowiek tych samych uszczęśliwień blaskiem roześmiany i tych samych nędz rażony piorunami, jakich my doznajemy. A że nadto poeta ustroił obrazy swe w taki przepych naszej kultury złotego wieku, że nam przypominał, czem byliśmy, że odsłonił i w takie cudne barwy poezji przybrał jedną kartę ukochanych dziejów, przeto nic dziwnego, że na widowni krakowskiej ze smętnem zamyśleniem śledzono rozwój dramatu, z głębokiem wzruszeniem odczuwano niedolę, z okiem dumą płonącym spoglądano na doniosłe dzieła, z rozkoszą estetyczną podziwiano efekty zdobnicze i krasy natury, ludzie zaś — mimo królewskości — jak tego dla swoich bohaterów Słowacki niegdyś pragnął, — schodzili ze sceny:

Pozdrowieni uśmiechem, pożegnani łzami.

I był to niemal tryumf szczerej poezji.

ANTONI MAZANOWSKI.

Ruch literacki we Francyi.

POWIEŚĆ.

Powieści, które wypadnie nam tu rozebrać, przedstawiają, jak to zobaczymy, szczególnie wymowny objaw powolnej zapewne, ale stanowczej ewolucyi w pojęciach, przekonaniach, dążeniach i smaku społeczeństwa francuskiego, ewolucyi, której początek, jeszcze niewyraźny sięga ostatnich lat ubiegłego stulecia i która, jak sądzić można z licznych oznak a także z wyniku ankiet, przeprowadzonych ostatnio przez pisma peryodyczne „La Revue Hebdomadaire“, „L'Opinion“, dojdzie do swego zenitu u pokoleń dzisiaj dorastających. Zaznacza ona zerwanie z fałszywymi ideałami Rewolucyi i jawny, otwarty, stanowczy powrót do ideałów tradycyjnych. Stracił bezwzględny do niedawna monopol indywidualizm egoistyczny wraz z jego skutkami w literaturze i sztuce — podporządkowaniem istoty duchowej człowieka istocie zmysłowej, sumienia namiętności, sławienia nieporządku, przewrotu, buntu, anarchii w znaczeniu moralnem i społecznem. Czy to u autorów rozpoczynających, czy u tych, młodych jeszcze, którzy pozyskali sobie już dziś zaszczytny rozgłos, czy wreszcie u starszych, których twórczość zawiera ślady wszystkich faz tej ewolucyi i którzy pierwsi dali hasło odwrótu z błędnych dróg i przykład nowym pokoleniom literackim—u wszystkich widzimy coraz silniej zaznaczający się zwrot do dyscypliny tradycyjnej, tak w treści jak i w formie.

W tym zwrocie daje się odczuć reakcya prawdziwego, bo zaczerpniętego w zdrowej tradycyi narodowej idealizmu przeciw bezdusznemu materializmowi, egoistycznemu utylitaryzmowi na krótką metę, oraz sceptycyzmowi, osuszającemu serca i ubezwładniającemu energię, a zarazem uwidocznia się coraz wyraźniej zerwanie z tak zwanym idealizmem rewolucyjnym lub demo-

kratycznym, tym idealizmem „à rebours“, który złudził pokolenia poprzednie i sprowadził skutki, jakich nieomylnie stwierdzona zgubność otworzyła nareszcie oczy wszystkim, w różnych sferach myśli i działalności, których umysł nie uległ jeszcze całkowitemu zaćmieniu i których duch silniej podtrzymany tajemniczymi wpływami atawizmu nie dał się wypaczyć. To też idealizm, budzący się obecnie, jaki dostrzegamy w tworach ducha pokoleń dzisiejszych, nie ma nic wspólnego ze ślepem porywami romantyzmu, których główną pobudką był bunt indywidualistycznego instynktu przeciw odwiecznym trzymającym go w karchach dyscyplinom.

W dążeniach dzisiejszych idealizm idzie w parze z trzeźwością umysłu, która w tem, co budzi naszą uczuciowość i działa na nasze władze duchowe, pozwala rozróżnić prawdę od fałszu, zdrowe ziarno od plewy; nie da się uwieść syrenim głosom, ani porwać łatwej do rozkiełznania wyobraźni.

W utworach wyboru francuskich autorów nie znajdujemy już dzisiaj ani lubowania się w skandalu i scenach drażniącego erotyzmu, pod pozorem wiwisekcji uczuć; ani predylekcji do rozgrzebywania wszelkiego rodzaju błota, z celem jakoby przedstawienia życia w całej jego nagiej prawdzie; ani poetyzowania lub heroizowania wszystkiego, co się wyłamuje z pod dyscypliny moralnej lub sprzeciwia porządkowi społecznemu; ani roztkliwiania się nad losem przestępców wszelkiego gatunku, tych rzekomych ofiar przesądów i przemocy społeczeństwa. Natomiast w konkluzjach czy to wyrażonych bezpośrednio, czy dających się wyciągnąć z treści ich dzieł widzimy wyższą koncepcję życia, które jest nędznem i bez wartości jeżeli się ogranicza do zaspakajania potrzeb fizycznych i materialnych i nie ma innego celu, prócz poszukiwania uciech natury poziomej lub zadowolenia ambicyi, zamiast dążyć do wzbogacenia ducha przez wyrzeczenie się egoizmu, przez spełnienie obowiązku, choćby był przykry, choćby wymagał poświęcenia i zaparcia, choćby nie przynosił uznania świata. Bo tylko jedynie w tem dążeniu do uszlachetnienia życia, do wznoszenia się duchowego można znaleźć zadowolenie istotne. Ale, by to, pojęcie niezbędną jest dyscyplina moralna, ta która nam dać może tylko wychowanie w zasadach moralności religijnej, tradycyjnej i wiara, która tej moralności jest podstawą.

Miłość ojczyzny, przywiązanie do swego zaścianku, do tradycyi narodowej i rodowej, do starych, dziedzicznych obyczajów i wierzeń — wszystko na tle życia rodzinnego, życia prowincyi i swojskiej natury — oto uczucia i obrazy, które znajdują odbicie

w przeważnej części dzieł powieściowych dzisiejszych autorów francuskich.

I zapewne odnosi się to w istocie do wyboru przedniejszych autorów, i zapewne są wyjątki od tej reguły, ale, niemniej faktem jest, że te dążenia, te poglądy i te predylekcyje stanowią cechę znamioną nowej i najnowszej powieści francuskiej. Objaw to niezmiernie pocieszający przedewszystkiem dla samych Francuzów, stwierdza bowiem, że, pomimo tylu symptomatów rozkładu, rdzeń narodu pozostał zdrowym i duch jego prawdziwy, który tętnął w tę literaturę ożywczy powiew, nie wygasł dotąd i budzi się nareszcie ze snu letargicznego, w jaki popadł skutkiem zadawanych mu od blisko półtora wieku zatrutych narkotyków. Ale z wielką korzyścią będzie to również i dla tych licznych narodów, które we Francyi czerpią modę nie tylko elegancyi, lecz intelektualną. Bo szczęśliwy ten zwrot może je nauczyć, że nie w importowanej z zagranicy tandencie ideowej, lecz w zdrowych źródłach własnej tradycyi i bytu narodowego znajdują właściwy wyraz swych prawdziwych dążeń duchowych.

Kierunek ten przygotowali zarówno przez swe doktryny, jak i twory swej wyobraźni, tacy mistrzowie, jak Maurycy Barrès, Paweł Bourget, wicehrabia de Vogüé, oraz wszyscy ci, którzy pracowali w literaturze lub po za nią nad zwróceniem ducha narodu na tory tradycyjne, z jakich został wytracony, czy to na polu religijnem i moralnem, czy społecznem i politycznem i wywołali wzrastające z każdym dniem ideowo sobie bliskie jeżeli nie zawsze łączne ruchy — katolicki, nacyonalistyczny, regionalistyczny i neo-monarchiczny. Nazwiska najwybitniejszych autorów powieści, którzy zaliczają się tu, ściśle lub z pewnych względów, nie są przeważnie obce czytelnikom „Biblioteki Warszawskiej”. Zaraz po wymienionych wyżej mistrzach uosabiają ten kierunek René Bazin (członek Akademii Francuskiej), Henryk Bordeaux, Karol de Pomairols i René Boylesve. Dalej zaliczyć tu wypadnie również między innymi jako powieściopisarzy prowincjonalnych Alzatchyków — Andrzeja Lichtenbergera i Pawła Ackera, Lotaryńczyka — E. Moselly, braci Tharaud, oraz najnowszych — Alfonsa de Chateaubriant i Andrzeja Lafon. Ten ostatni szczęśliwie rozpoczął swą karierę pisarską, gdyż pierwszy jego utwór „L'Elève Gilles” przyniósł mu nowo ustanowioną nagrodę Akademii Francuskiej (Grand prix de littérature), co zawdzięcza, prócz wartości swego dzieła, pięknej jego ocenie przez Maurycego Barrès, który w szlachetnym celu podniesienia poziomu powieści, zadaje sobie trud wyszukiwania i zalecania powagą swej krytyki zasługujących

na szczególną uwagę prac autorów początkujących lub nieznanych. Rzeczoną nagrodę ustanowiono z celem odznaczenia powieści lub wszelkiego innego dzieła wyobraźni prozą „o charakterze podniosłym“. Akademia, wyróżniając utwór Andrzeja Lafon wskazała w jakim znaczeniu szerszem pojmując tę „podniosłość“, i że uważa za stosowne nie krępować szczerości autora, która wyraża się tu w formie najdodatniejszej, lecz ściśle realistycznej i nie pomija wielu szczegółów drobnych, jakie u autora mniej subtelnie delikatnego mogłyby sprawić wrażenie pospolite lub trywialne. Ale „L'Elève Gilles“ odznacza się właśnie w najwyższym stopniu tą delikatnością. Dziełko to swem natchnieniem religijno-domowem i tradycyjnem zbliża się do rodzaju, jaki w poezyi uprawia Franciszek Jamnes i jego grupa i w którym dopatrzeć się można duchowego związku z Jocelyn'em Lamartine'a. Obfitość szczegółów bardzo drobnych i na pozór zbytecznych, z których na pierwszy rzut oka, możnaby zrobić zarzut autorowi tego „Opowiadania“, ¹⁾ ma tu w istocie znaczenie pierwszorzędne, bo, będąc wynikiem obserwacji dziesięcioletniego chłopca, naiwnego dziecka prowincyi o budzących się zaledwie pojęciach i naturze uczuciowej, daje nam uderzający swą prawdą wewnętrzną obraz formowania się duszy dziecinnej, na którą te błahe dla nas szczegóły mają często wpływ, jakiego się nie domyślamy. W opowiadaniu tem znajdujemy więc wierne w swej drobiazgowości odbicie tych niewyraźnych jeszcze pojęć, urabiających się stopniowo w chaosie dziecinnego mózgu pod wpływem najbliższego otoczenia rodzinnego, drobnych wydarzeń domowego, a później szkolnego życia, w których mały Janek Gilles bierze bliższy lub dalszy udział; pod wpływem również nieskończenie urozmaiconego widowiska, jakie nam daje codzienn świat zewnętrzny—pojęć, w których więcej jest uczucia i wrażenia, aniżeli myśli. Poprzez tedy te wrażenia dziecinne autor ukazuje nam niezmiernie odczuty obraz bytu i obyczajów prowincyi z charakterystycznymi postaciami w osobach zwłaszcza ciotecznej babki Janka, jej służącej i bolesnej sylwetce jego matki. Bo na ten rok życia chłopca, jego szczęście bez troski w wiejskiej posiadłości babki i mnóstwo sprzecznych wrażeń z pobytu w szkolnym internacie rzuca dręczący cień tragedya, dotycząca go bardzo zbliżka, ale z której zaledwie może on swem dziecięcym sercem przeczuwać coś w nieokreślonym i niezrozumiałym dlań niepokoju, znikającym zresztą natychmiast

¹⁾ „Récit“—Andrzej Lafon tak określił swój utwór.

wobec tylu nęcących dziecko rozrywek, tylu roznieczających jego ciekawość nowych dlań zjawisk, jakie mu przynosi każda chwila w zaraniu budzącego się życia. Ojciec Janka popada w stopniowy obłąd, o czym on nie wie, bo oddano go z tego powodu do babki, a później do internatu, ale czego się zaczyna domyślać z rozmówek kolegów, aż do chwili, gdy gwałtowna śmierć tegoż, da biednemu dziecku świadomość nieszczęścia. Dlaczego autor dał tej dziecięcej idylli taki ponury akompaniament odgrywającej się za sceną tragedyi? Razi nas to trochę i wydaje się niepotrzebnem dla ujawnienia duszy dziecka, a jednak ta wisząca nad niem groza, której ono nie rozumie, ale którą odczuwa, dziwnie pogłębia tę historję złożoną na zewnątrz z wydarzeń nader powszednich i nieznacznych. „Jest bardzo ciekawem w życiu dzieci—mówi Maurycy Barrès—że są one wmieszane do dramatów, w których nie biorą udziału. Tak jest w rodzinie, gdzie rodzice się rozchodzą, tak również w rodzinie, gdzie ojciec się rujnuje.“

Wszystkie te dramaty są obok nich, a one pozostają w cieńnię. To opowiadanie (*L'Elève Gilles*) można też uważać za bardzo dobry przykład dramatu, odgrywającego się w domu, bez wiadomości dziecka, w którym, z chwilą gdy go zrozumie, budzi się poczucie obowiązku. Jest to powieść typowa. Niema w niej wyłącznie tylko wrażeń dziecka, jest coś więcej: wrażenia dziecka spośród tragedyi“.

Jest to powieść dziecięcą, ale nie dziecinna. Treść tego utworu nie da się opowiedzieć, bo fabuły ściślej tu niema, tylko szereg tych drobnych wydarzeń z życia małego chłopca i ucznia początkowej klasy na charakterystycznie podmalowanym tle świata domowego i stosunków szkolnych, zawsze widzianych z wewnątrz, oczyma i duszą małego bohatera. I wszystko to jest utrzymane w dyskretnych tonach szarych i przeniknięte uczuciowością niezmiernie delikatną, niemal chorobliwą, ale nie wylewającą się nigdy na zewnątrz, lecz jakoby powstrzymaną i płynącą pod powierzchnią, co daje temu opowiadaniu pewien nastrój chwytający i rzewny.

W dziełku swem Andrzej Lafon ukazał nam duszę dziecka w chwili, gdy się ona zaledwie zaczyna budzić z nieświadomości pierwszego dzieciństwa. Natomiast w ostatniej powieści R. Bazin'a p. t. „*Davidée Birot*“ będziemy mieli sposobność zapoznać się z nastrojem ducha tych, których udziałem i powołaniem jest te nowe, pełne co najwyżej świergotu ptasząt, umysły dziecinne rozwijać i kształcić. Mówimy „umysły“ nie „dusze“, bo idzie tu o t. zw. wychowanie republikańskie w początkowej szko-

le rządowej, czyli „świeckiej“ (école laïque), dla której dusza jest wyrazem „klerykalnym“, a więc dla ortodoksyi republikańskiej podejrzanym, jakiego należy unikać.

Panna Davidée Birot jest bowiem właśnie nauczycielką w rządowej szkółce wiejskiej. Ale należy ona do tej nielicznej kategorii wychowawczyń republikańskich, które nie ograniczają się do ścisłego pełnienia swego urzędu, polegającego na wciśnięciu do mniej lub więcej pojętych główek dziecięcych pewnego minimum wiadomości, objętych programem ministerjum oświaty, jak to jej zaleca dyrektorka, lecz biorą swe powołanie na seryo i pragną nauczyć powierzone sobie dzieci nie tylko czytać, pisać i rachować, ale nauczyć je myśleć logicznie i żyć uczciwie, jednym słowem dać im kierunek moralny, o wiele dla nich ważniejszy, niżeli te wiadomości, które o ile z trudnością weszły, o tyle łatwo się ulatniają, pozostawiając w ich mózgach i sercach pustkę. Wrodzony idealizm panny Davidée oparł się wpływowi otoczenia podczas studyów przygotowawczych, a jej młodość i brak doświadczenia uchroniły ją dotąd od wyjaławiającego ducha rutyny, jak zamożność jej ojca, zubożonego robotnika, od ubiegania się o łaski przełożonych.

Panna Davidée stara się więc poznać bliżej swe pupilki, ich byt poza szkołą, ich warunki rodzinne, ich skłonności duchowe—chce z tego surowego materiału, z tych dziewczynek przeważnie roztargnionych lub niesfornych, pozbawionych wychowania domowego, nie nauczonych żadnych zasad, lecz patrzących często na zły przykład, wyrobić przyszłe kobiety i matki, świadome swych obowiązków wychowawczyń pokoleń, fizycznie i moralnie zdrowszych, uczciwszych, trzeźwiejszych, niż to, z którego wyszły. W tem zadaniu natrafia ona, jak się można domysleć, na wiele trudności tak ze strony tych, dla których się chce poświęcić, jak od dyrektorki, która z początku przestrzega ją po przyjacielsku, że na tej drodze znajdzie tylko wyzysk i niewdzięczność uczenia i ich rodzin, oraz, co gorsza, zyska sobie nieufność władzy, nie lubiącej zbytku gorliwości, później odwraca się od niej z wyraźną już nieprzyjaźnią, wynikłą z różnicy ich dążeń i z obawy starszej, by jej awans nie został narażony. Co więcej, panna Davidée napotka niespodziewaną przeszkodę w samej sobie, we własnem sumieniu i inteligencji, bo, gdy się chce wpajać w młodzież szkolną zasady moralne, poczucie obowiązku, potrzebę poświęcenia i wogóle aspiracye sięgające wyżej, niż pospolite dążenia utylitarne do wygodnego bytu, nabytego za jakąkolwiek cenę, i do zaspokojenia instynktów i potrzeb fizycznych, trzeba, by to

wszystko opierało się na podstawach pewnych i niewzruszonych. A jakież podstawy ma ta moralność „niezależna“, przepisana przez władzę szkolną? Czem wytlómaczyć obowiązek stosowania się do jej przykazań? I zapewne można to wszystko opowiadać dzieciom, które obiekcyi stawiać nie będą. Ale do czego im to posłuży w życiu, gdy ich interes osobisty postawi je w sprzeczności z temi przepisami moralności szkolnej, które, nie mając ani w ich sercu, ani w ich umyśle żadnego uzasadnienia, pozostaną dla nich, na wypadek gdyby je nawet zapamiętały, cczą tylko frazeologią?

Te wątpliwości nasuwają się młodej nauczycielce, po rozmowie z niejaką Frozyną, przychodnią służącą szkolną, znaną ze złego prowadzenia, której córeczka, dziecko alkoholika, chora od urodzenia, ale, jak to bywa u istot fizycznie upośledzonych, obdarzona duszą instynktownie delikatną i nadmiernie wrażliwą, cierpi nad tem do tego stopnia, iż się to przyczynia do jej śmierci. Zdjęta litością dla biednego dziecka, które miało do niej jednej nieograniczone zaufanie i rodzaj mistycznej miłości, panna Davidée robi wyrzuty Frozynie i stara się ją moralizować. Ale Frozyna, która ma swą naturalną logikę, odpowiada, że dobrze to księdzu prawić morały, ale ona, nauczycielka „szkoły bez Boga“, w imię czego może ją potępić? Panna Davidée zbyła ją ogólnikami, zaczerpniętymi z podręczników moralności szkolnej, na które Frozyna nie znalazła już innej odpowiedzi, prócz, że tak jej się podoba. To łatwe zwycięstwo nad kobietą bez żadnej kultury, nie zadowoliło młodej nauczycielki. W głębi czuła, że w dyskusyi poważnej nie znalazłaby argumentów dla poparcia swych zasad moralnych. Wróciwszy do siebie, zabrała się do książek, w których sama się kształciła. Im więcej się w nie wczytywała tem bardziej przekonywała się, że zawarta w nich moralność jest istotnie pozbawioną wszelkich podstaw rzeczywistych i składa się częścią z sentencji, mniej lub więcej literalnie zapożyczonych z moralności chrześcijańskiej, lecz wyzutyh z sankcyi nadprzyrodzonej, która jedynie nadaje im wartość prawdziwą, oraz ze sztucznie zbudowanych sofizmatów, które poważnej krytyki nie wytrzymują. To odkrycie wywołało wielki zamęt w myślach i uczuciach młodej dziewczyny. Odrzuciła podręczniki i otworzyła książkę do nabożeństwa, pamiątkę swej pierwszej i jedynej komunii, zabraną z domu wśród innych rupieci i bez żadnej intencji. Davidée nie odebrała w domu wychowania religijnego, bo jej ojciec związany z polityką Bloku, był zaciętym wrogiem Kościoła i księży, a matka, bardzo absolutna w sprawach domo-

wego gospodarstwa, uważała, jak bardzo wiele kobiet z ludu i warstw mieszczańskich, że w rzeczach ideowych, należy ulegać mężowi i wszelkich praktyk religijnych zaniechała.

To też krótka egzaltacya religijna, której doznała podczas tej tak uroczyście, niestety często tylko powierzchownie, obchodzonej we francuskiej rodzinie chwili pierwszej komunii, minęła bez śladu. Davidée nie miała wiary, ale pozostało jej, odziedziczone zapewne po prababkach chrześcijankach usposobienie religijne—aspiracye do życia duchowego, żądza poświęcenia, instynkt miłosierdzia. I tego usposobienia nie zdołał z niej wykorzenieć materjalizm w którym się kształciła, bo podtrzymywały je, nie mogąc go nasycić, nawet te okruczności znajdujące się w kulawych ideałach humanitaryzmu, w mrzonkach demokratycznych i innych majaczeniach, z których złożono tak zwany „katechizm świecki“, zawierający cały urzędowy system moralnego wykształcenia. W tych warunkach książka do nabożeństwa nie mogła jej być wiele pomocną, niemniej ją pociągała i co w niej wyczytała dało jej do myślenia, że jednak tam może znajduje się grunt, którego brak sprawia jej takie moralne udręczenie. Ta rozterka wewnętrzna u nauczycielki szkółki rządowej, to poszukiwanie gruntu, który jej odebrano, oddając jednocześnie kierownictwo młodych pokoleń, jest też właściwym motywem tej powieści. W takim stanie ducha ma się znajdować, według autora, bardzo wielu nauczycieli i nauczycielek ludowych, szukających drogi po omacku i pokryjomu, tak z obawy władz, od których zależy ich byt, jak i terroryzmu demagogii, kierującej nauczycielskimi stowarzyszeniami. Panna Davidée, z natury niezależna, a nadto córka jedynaczka rodziców zamożnych, oddając się nauczycielstwu z powołania, mniej ulegała tym obawom i była mniej ostrożną. To też, gdy zwłaszcza widziano ją na pogrzebie córki Frozyny, z książką od nabożeństwa, rozprawiającą przez dwie minuty z proboszczem, pozyskała mimowolnie rozgłos, skutkiem którego o mało nie utraciła miejsca, ale który z drugiej strony dał jej poznać troski, podobne do tych, jakich sama doznawała, u wielu koleżanek, a nawet kolegów. Otrzymała bowiem od nich wiele listów, winszujących jej odwagi i niezależności, lub z prośbą o radę. W jednym z tych listów nazwano ją nawet wprost chrześcijanką, na co panna Davidée, po zastanowieniu, zauważyła sama do siebie: „chrześcijanką wprawdzie dotąd nie jestem, ale być może, że się zbliżam do drogi, która do tego prowadzi“. I w tem to stadium, jeszcze nie zdecydowanem, autor pozostawia swą bohaterkę.

Ten proces moralny młodej nauczycielki odbywa się na realistycznym tle wioski hutniczej, życia jej mieszkańców i wydarzeń, które monotonię tegoż przerywają, czasem w sposób niepożądany, jak bezrobocie, krwawe starcia robotników z wojskiem i t. p. W to zaś wszystko wplótł jeszcze autor rodzaj romansu pomiędzy pewnym młodym robotnikiem, kochankiem owej Frozyny a panną Davidée, który acz niewinny i również nie rozstrzygnięty, razi nas niestosownością, zwłaszcza w tych okolicznościach, możliwego związku pomiędzy istotami duchowo i umysłowo tak nierównymi. Rzecz ta, jako powieść psychologiczna ukazująca nam nastrój ducha najlepszych przedstawicieli ciała nauczycielskiego i ich wewnętrzny niepokój, z powodu skrępowania ich dobrej woli przez nędzną politykę i nie zastosowania ich wykształcenia moralnego do funkcji społecznych pierwszorzędnej wagi, jakie wypada im pełnić - jest utworem ciekawym, podniosłego charakteru i tendencji szlachetnej. Ale, przy pewnych typach nader żywo uchwyconych, są tu inne o realizmie nieco sztuczne, są też sytuacje nieprawdopodobne i zbyt wyszukane; myśli i uczucia, przypisywane ludziom prostym, nadto widocznie „robione“ i wykazujące intelektualizm autora bardzo od tej prostoty oddalony, wreszcie pewien brak półtonów i wynikająca stąd suchość opowiadania. To jest wszakże szkopał, którego z trudnością unikają twory wyobraźni, napisane zbyt widocznie dla podtrzymania jakiejś tezy. Daje się to odczuć również w ostatniej powieści Henryka Bordeaux; „La Neige sur les pas“, poprzedzonej listem autora do Pawła Bourget, w którym oznajmia, że miał na celu wykazać w tym utworze konieczność bezwzględnych poświęceń ze strony indywiduum dla rodziny, której rozstrój jest wstępem do zagłady społeczeństwa i największem nieszczęściem dla samegoż indywiduum. Henryk Bordeaux przytacza w tym liście przykład z życia, na jaki natrafił podczas jednej ze swych licznych wycieczek w górach swego rodzinnego kraju, Sabaudyi. Zmęczony wdrapywaniem się na śnieżne szczyty, napotkał szaleś do którego wszedł w nadziei, że się rozgrzeje i pożywi gorącą strawą. Zastał w nim mężczyznę o szczególnie zaniedbanej powierzchowności, który przyjął go niezbyt uprzejmie i nie miał czem go potraktować, prócz kawałka sera i suchego chleba, bo ognia nie było. Wyglądał na człowieka zdemoralizowanego przeciwnościami, któremu wszystko jest obojętne i który nie dba już ani o siebie, ani o drugich. Z paru słów rosinowy z trudnością nawiązanej, dowiedział się autor, że dawniej można tu było znaleźć i ogień w kominie i gorącą zupę, ale teraz... I tu urwał ten biedak, mach-

nąwszy ręką. Na zapytanie autora, czy jest żonaty?—Odpowiedział: „Nie“; czy żona umarła?—„Nie“,—i wskazał gościowi poniżej dom, z którego komina dobywał się dym. P. Bordeaux udał się tam, znalazł rodzinę wokoło stołu i mógł nareszcie rozgrzać się i pożywić do syta. Tu powiedziano mu, że człowiek, do którego wstąpił przed chwilą, jest dróżnikiem i że zaniedbał się tak od czasu, gdy żona jego uciekła z włoskimi przemytnikami. To co usłyszał, zastanowiło go. Ognisko domowe, jak świat światem, było zawsze symbolem rodziny. Ludność dawniej obliczano na „dymy“, a więc liczono rodziny, nie indywidua. Ognisko domowe z drugiej strony, jest znakiem życia, porządku, działalności, zamożności, a więc kultury, cywilizacji. Gdzie rodziny niema lub została zerwaną, tam niema ogniska, tam ognisko wygasło, tam, jak to widział p. Bordeaux w chacie dróżnika, pozostaje nędza i pustka, w oczekiwaniu śmierci, która dokona do reszty dzieła zniszczenia. Jakaż z tego nauka? Oto, że niema większego nieszczęścia dla społeczeństwa, dla narodu i dla ludzi wogóle, jak osłabienie rodziny i że, gdy okoliczności życiowe do tego doprowadzą skutkiem nieporozumienia pomiędzy małżonkami, ci ostatni mają obowiązek, nawet w razie win najzupełniej stwierdzonych, nie zaniedbać niczego, choćby z najcięższem poświęceniem swych uczuć, swej miłości własnej, by zerwane węzły napowrót nawiązać. I takim jest założenie powieści „La Neige sur les pas“.

Architekt, Marek Romenay, człowiek niezłomnego charakteru, jak wogóle bohaterowie Henryka Bordeaux, przytem bardzo bogaty i zajmujący wysokie towarzyskie stanowisko w Paryżu, ożenił się z miłości z piękną, ale ubogą panienką Teresą, wychowaną w najlepszych zasadach przez matkę, w ich rodzinnej posiadłości, położonej nad jeziorem Lemańskim. Teressa zawdzięczała wszystko mężowi i była też kochającą żoną i matką sześciolatniej córeczki, gdy na jej nieszczęście pewnego pięknego popołudnia znalazła się w objęciach Andrzeja Norans, przyjaciela Marka. Jak się to stało, nie mogli sobie tego wytłómaczyć, bo oboje byli bardzo szlachetni, dość, iż raz spróbowawszy zakazanego owocu, zasnawali w nim do tego stopnia, że zapomnieli o ostrożności. Ich korespondencya dostała się w ręce męża i wszystko się wydało. Niezłomny Marek wypędził niewierną żonę i ranił w pojedynku Andrzeja, którego Teressa, nie mając nic lepszego do zrobienia, poszła pielegnować, na miejsce jego własnej żony. Gdy wyzdrowiał, wyjechali oboje do Szwajcaryi. I tak upłynęło parę lat, gdy naraz Marek otrzymał telegraficzne wezwanie od przeora klasztoru z góry św. Bernarda, by natychmiast przyje-

chał, bo jego żona, umierająca w przytułku, pragnie go widzieć przed śmiercią. Jednocześnie dzienniki doniosły o wypadku, jakiemu ulegli w Alpach p. Andrzej N. i pani Teressa R., znani ze śmiałości alpiniści, przyczem p. N. stracił życie, a jego towarzysza znajduje się obecnie w przytułku św. Bernarda w stanie beznadziejnym. Wiadomość ta wywarła wielkie wrażenie na Marku, bo chociaż wypędził żonę z serca jak i z domu, to niemniej w gruncie nie mogła mu ona być obojętną, a nawet wzruszenie, jakiego doznał na tę wiadomość, świadczyło przed nim samym, pomimo, iż tłumaczył to sobie zwykłą litością, że coś z dawniejszych uczuć jeszcze w jego sercu całkowicie nie wygasło. Tego wszakże sam sobie nie przyznał, bo uważałby to za niegodne siebie. Wahał się też chwilę z postanowieniem, co ma uczynić, w końcu jednak litość przemogła i w przekonaniu, że spełnia ostatni akt miłosierdzia względem umierającej i że śmierć, wobec której wszystko ustąpić musi, zakończy to nieznośne położenie, wybrał się wraz z córeczką i jej opiekunką w daleką i dość uciążliwą podróż do klasztoru św. Bernarda. Tu znalazł Teresę w chwili przełomowej. Ale natura zwyciężyła, niebezpieczeństwo śmierci minęło, pozostawiając chorą w stanie niezmiernego osłabienia. Obecność Marka, zobaczenie po długiem rozstaniu swego dziecka, wywierało widocznie dobroczynny wpływ na jej stan. Teressa zaczęła odzyskiwać siły. Taki niespodziewany obrót rzeczy postawił zdradzonego męża wobec niezmiernie drażliwego pytania, co zrobić, gdy ona wyzdrowieje?

Jej stan niepozwalał na żadne wzmianki o ich wzajemnem położeniu, chora mogła się łudzić nadzieją, że wszystko, co się stało, zostanie wykreślone z pamięci i że powróci na swe miejsce żony i matki. I ta nadzieja niewątpliwie przyczyniła się do jej powrotu do życia. W jaki sposób odebrać jej teraz to złudzenie, rozłączając ją znowu z dzieckiem, które, po strasznej katastrofie przez jaką przeszła, znalazła tu, przy łożu boleści, jako jedyną ostoję dla swego biednego zgubionego serca, w którym z całą pierwotną siłą zbudziły się uczucia macierzyńskie? Ale ta katastrofa właśnie, przez głośniejsze jeszcze wznowienie skandalu, przez swe szczególne symboliczne znaczenie i przez nowe bolesne szarpnięcie wszystkich fibrów w sercu Marka wzniosła pomiędzy nimi nową zaporę. Z dzienników i opowiadania brata Sonnier, który z narażeniem własnego życia ją wyratował, dowiedział się Marek, że kochankowie, wybraawszy się bez przewodnika na niebezpieczną wycieczkę w góry, spadli w przepaść, ale spadając zatrzymali się na krawędzi skały, gdzie Andrzej, po ca-

łym dniu cierpień wyzionął ducha, a Teressa pół żywa, przywiązana sznurem do trupa swego kochanka i leżąc na nim, przebyła w tej pozycyi, pod całunem śniegu, który ich nakrył oboje, parę dni i nocy, aż do czasu, gdy wyprawa ratunkowa, z klasztoru Św. Bernarda, tam ją odnalazła i dzięki poświęceniu i zręczności dzielnego mnicha wyrwała z objęć śmierci. I zapewne Teressa odbyła ciężką choć mimowolną pokutę, ale czy to zmniejsza jej winę, czy to w czemkolwiek naprawia krzywdę jaką mu wyrządziła, czy jest w stanie zmyć plamę, jaką rzuciła na cześć jego domu i rodziny? Nie. Jedna tylko zaszła zmiana—Andrzej, kochanek jej przestał istnieć. Czemuż wraz z nim nie zginęła! Bądź jak bądź, Marek jest w największej rozterce wewnętrznej, która tem bardziej go nurtuje, że nie może się z tem zdradzić, ani przed chorą, ani przed dzieckiem, które na nowo przyłgnęło do matki. Marek nie jest zdecydowany jak ma postąpić. Serce jego skłania się ku przebaczeniu, do którego w szlachetnych i taktownych słowach namawia go przeor, ale jego miłość własna i względy światowe sprzeciwiają się temu. W rezultacie decyduje się na półśrodek, który ma być próbą i wstępem do ostatecznego rozstrzygnięcia położenia. Umieszcza mianowicie Teressę, wraz z córką w Montreux, sam zaś powraca do Paryża i dojeżdża do niej tylko raz na tydzień na parę godzin, pomiędzy pociągami, tak, aby uniknąć zbyt ścisłego zbliżenia do skruszonej obecnie i oddanej na jego łaskę i niełaskę grzesznicy, której całą pociechą jest, iż powierzył jej córkę. Ale chłód i zajątkotanie dzieli ich za każdym razem, gdy znajdują się sam na sam. Oboje czują, że lodów nie przełamią dopóki nie wypowiedzą sobie, co mają na sercu, lecz oboje cofają się przed dotknięciem tej rany, aż wreszcie przypadek im to ułatwia. Marek spóźnił się na ostatni pociąg, którym miał odjechać, powrócił więc do żony, i trafił na szczególną scenę: Teressa broniła się od napaści pewnego pana de Beaulaine, ich znajomego, który pragnął pocieszyć opuszczoną i zabrał się do tego w sposób nieco gwałtowny. Marek wyrzucił za drzwi natręta i widąc pod wpływem irytacji i zbudzonego przez ten nowy zamach na jego własność instynktu samczego sam dokończył gestu, który tamten chciał rozpocząć. To, aczkolwiek dokonane nagle, w warunkach niespodziewanych i w sposób brutalny, nie jak tego pragnęła Teressa, nawiązało zerwaną nić ich związku i wywołało zbliżenie, które pozwoliło im się wywnętrzyć.

Marek, który, z chwilą sprowadzenia Teressy do Paryża, zamierzał wyjechać na rok do Petersburga, teraz zmienił to postanowienie. Przychylając się do zdania swej matki, pozostanie

i odnowiony ich związek uczyni rzeczywistym. Ale po pokornem zniesieniu tylu prób, Teressa stawia teraz warunek: Marek wprowadzi ją sam do domu, z którego ją wypędził. W tym celu udaje się ona do swej obecnie opuszczonej i samotnej siedziby nad Lemaniem i tam, nie bez niepokoju, gdy ten się opóźnia, oczekuje przybycia Marka, co ostatecznie następuje. Na tem powieść się kończy. Wiemy już z jakim celem napisał ją p. Bordeaux. Czy cel ten osiągnął? Można o tem wątpić. Postawił swego bohatera w położeniu nader trudnem, gdy zamiast uśmiercić Teresę, pozwoił jej odzyskać zdrowie i wzbudził w nim walkę uczuć sprzecznych, w której ściśle mówiąc, pod pozorem litości i współczucia, zwycięża namiętność. Bo przed nią to naprawdę, a nie z poświęcenia dla interesu rodziny, kapituluje jego miłość własna, by nie powiedzieć godność, a może i rozum. Czy zresztą jest pewność, że rodzina zyska na tem nawiązaniu? Wiemy, że rodzina, by miała swe prawdziwe znaczenie siły społecznej, wymaga warunku moralnego, którym jest jaknajściślej spójnia, wynikająca z zupełnego wzajemnego zaufania małżonków i szacunku dzieci dla rodziców. Wątpliwem jest, by te warunki mogły się znajdować w rodzinie w taki sposób odrestaurowanej.

Zaufanie Marka do Teressy po tem, co zaaszło, byłoby trudnem do wyłomaczenia, jego odnowione przywiązanie do niej nie może już być tej samej próby, jak poprzednio i nie może też uniknąć gorzkiej powrotnej fali wspomnienia. Bo wspomnienie Andrzeja zawsze dzielić ich będzie i jeżeli nawet przypuścimy, że Marek zapomni o nim, jako o nieżyjącym, to w żadnym razie nie możemy spodziewać się tego po Teressie, jeśli nie mamy jej uważać za istotę ostatniej kategorii. Co zaś do szacunku dla niej ze strony jej córki lub dzieci, które mieć może w następstwie, to im ten szacunek będzie głębszy, w tem boleśnieszce zamieni się uczucie, gdy się dowiedzą prawdy. A już zupełnie paradoksalnym jest, jako środek zaradczy, pomysł autora idealizowania przez męża pamięci kochanka żony, przy odczytywaniu wobec niej poetycznych i wzniosłego natchnienia listów tegoż, do niej adresowanych.

Dodajmy do tego, że Marek jest postacią sztucznie skomponowaną, nie mającą prawie rysów z życia wziętych i odznaczającą się głównie nieznośną pedanterią, która ma przedstawiać moc charakteru, zaś Teressa jest istotą tak niewyraźną, że ani sądzić o jej charakterze, ani pobudek jej postępowania dopatrzeć się niepodobna. Nie znaczy to wszakże, by powieść „La Neige sur les pas“ była dziełem bez wartości. Nie jest ona pozbawio-

na wielu znanych zalet swego autora, ale ma też w sobie coś nienaturalnego, coś zbyt sforsowanego dla podtrzymania tezy słusznej, na której tylko poparcie p. Bordeaux wybrał przykład nieodpowiedni.

Tej niekonsekwencji bardzo szczęśliwie uniknął René Boylesve, który, dając w swej ostatniej powieści „Madeleine jeune femme“ uderzający prawdą portret psychiczny młodej kobiety i starając się przedewszystkiem o wierne odbicie życia za jej pośrednictwem, stworzył dzieło ideowe bez stawiania żadnej apriorystycznej tezy.

W krótkiej przedmowie p. Boylesve broni się nawet przeciw przypisywaniu mu jakiegokolwiek z góry powziętego tendencyjnego zamiaru. W poprzedniej jego powieści „Une Jeune fille bien élevée“ jedni ujrzeli satyrę przeciw tradycyjnemu wychowaniu panien, inni apologię starych przesądów i ciasnych zapatrywań. Jedni i drudzy są w błędzie—mówi autor, i zapewne już same tak odwrotne wnioski, wyciągnięte z tego samego utworu, są tego dowodem. Obecnie uprzedza on czytelników, by go nie uważano, z powodu „Madeleine jeune femme“, ani za moralistę, ani za propagatora tych lub innych przekonań społecznych, lecz za artystę, który stara się wywołać z życia to, co widzi i czuje bez żadnej innej intencji, prócz chęci podzielenia swych wrażeń z czytelnikiem, pozostawiając temuż całą swobodę wyciągnięcia własnych konkluzji i ujawniając zapatrywania osobiste o tyle tylko, o ile jest to nieuniknionem przy wszelkiej pracy twórczej.

I tak jest istotnie w tej powieści. A jednak ma ona swą myśl przewodnią, myśl wysoce moralną, tę mianowicie, że cała wartość życia polega jedynie na ciągłym wznoszeniu się moralnem, że jestto jedynym jego prawdziwym celem, poza którym wszystko inne, to marne złudzenie i że cel ten da się osiągnąć nie tylko w warunkach nadzwyczajnych i dla nas niedostępnych, jak nam się zwykle zdaje, lecz w najzwyczajniejszych, najpospolitszych życia codziennego, gdzie jestto niewątpliwie najtrudniejszym, ale stanowi też największą zasługę. I myśl ta, wyrażona z takim przekonaniem, choć nie bezpośrednio, i to w powieści, która nie ma nic z traktatu moralnego, lecz jest najbardziej żywym, najbardziej realnem odbiciem życia i obyczajów współczesnych, to więcej, niż miła niespodzianka, to dowód tego zwrotu, o którym wspomnieliśmy na wstępie, w dążeniach, predylekcyach i gustach francuskiego ogółu, zwrotu, w szerszych kołach może jeszcze niezupełnie świadomego i zaledwie objawiającego się, do

idealizmu, w znaczeniu ścisłym tego wyrazu, t. j. nie do idealizmu rozpasanego, anarchicznego, zawartego w mistycyzmie rewolucyjnym lub romantycznym, lecz do tego, który ożywia dyscyplinę form tradycyjnych i jest wynikiem moralności chrześcijańskiej i skutkiem wiary. Wiara też tylko, wychowanie w tradycyjnych ideałach i dziedzictwo moralne po szeregu pokoleń wyćwiczonych w surowej dyscyplinie chrześcijańskiej jest w stanie wnieść duszę do tego poziomu wyższej koncepcyi życia, dać jej moc utrzymania się na tej wysokości i żądzę wznoszenia się do coraz wyższych sfer ducha. Taką jest konkluzya, którą wynosi z tego pięknego utworu czytelnik i którą zresztą wypowiada bohaterka w sposób, nie pozostawiający wątpliwości, że jest zgodną z przekonaniem autora. Tylko, by dojść do tej konkluzyi, autor nie ucieka się do żadnych kombinacyi naciągniętych i nie tworzy istot abstrakcyjnych, lecz ukazuje nam życie duchowe swej bohaterki, w warunkach powszednich, w zestawieniu z życiem wyłącznie materialnem jej otoczenia. I czyni to z takim głębokim odczućciem prawdy wewnętrznej, z takim wybornem uchwyceniem charakteru w rysach zewnętrznych, że tem przemawia do czytelnika z siłą, jakiej mieć nie mogą żadne dysertacye na zadany temat.

To też powieść „*Madeleine jeune femme*“ jest z tych względów bliską arcydzieła. Skądinąd wszakże nie jest ona bez zarzutu, który odnosi się głównie do zbytniej obfitości rzeczy i figur ubocznych. Przedmiotem głównym, jak już powiedziano wyżej, jest tu portret psychiczny młodej mężatki o przymiotach duchowych, stawiających ją wysoko ponad otoczeniem, w którym żyje i do którego musi się stosować, nie dając mu się mimo to sprowadzić do jego poziomu. I do tej duszy bez skazy wkrada się miłość zakazana, która pozostanie zawsze jej tajemnicą, tragedią bez świadków, rozegraną w najgłębszych jej tajnikach. Ale obok tego, autor nagromadził mnóstwo szczegółów epizodycznych i postaci drugorzędnych, które zanadto uwydatnił, tak, iż, zamiast pozostawać w cieniu i być tłem, wychodzą na pierwszy plan, otaczają, przerywają i wplatają się w przedmiot główny, osłabiając tem samem jego znaczenie i bezpośredniość wrażenia, jakie mogłoby być o wiele silniejszym, gdyby nie było w ten sposób rozproszone.

„*Madeleine jeune femme*“ jest dalszym ciągiem poprzedniej powieści autora p. t. „*Une Jeune fille bien élevée*“, o której była tu mowa w zeszłym roku. Jak tamta, powieść ta przedstawia się również w formie pamiętnika, pisanego zapewne dla siebie samej i przybierającego charakter spowiedzi i rozmyślań, szerszych,

więcej pogłębionych, niż w poprzedniej, skutkiem nabytego przez bohaterkę doświadczenia i większej znajomości życia i ludzi. Magdalena Doré, owa „panienka dobrze wychowana“, z prowincyi, została, pod wpływem życzenia rodziny i trochę z poświęcenia dla interesów tejże, żoną pana Achillesa Serpe, architekta z Paryża, o wiele od niej starszego, dla którego nie miała żadnych gorętszych uczuć. Poświęcenie to kosztowało ją wiele łez i przyszło jej tem trudniej, że poślubiając człowieka obcego jej sercu, wyrzekła się nietylko tego wymarzonego w snach dziewiczych szczęścia miłości, które, będąc tylko snem, nie miało dla niej wartości konkretnej, ale nadto musiała pożegnać się raz na zawsze z powziętem już postanowieniem zostania pianistką, do czego, jak sądziła, powoływał ją talent, którego rozwinięcie kosztowało ją tyle wysiłku, tyle zwątpień i entuzjasmów, dopóki nie przełamała ostatnich trudności technicznych. I to wszystko, by zakończyć małżeństwem, w którym serce nawet nie brało udziału, ale które uważano za dobrą partję! A z czasem okazało się, że i ten jedyny powód dla którego wydano ją za mąż, był też naprawdę tylko złudzeniem.

Ale surowe wychowanie w domu i na pensyi dostatecznie nauczyło ją opanowywać swe uczucia, by miała buntować się przeciw losowi, który jej przypadł w udziale. Zostawszy żoną pana Serpe, Magdalena pogodziła się ze swem położeniem i nieczuła się nieszczęśliwą. Mąż jej nie był zapewne podobnym do typu idealnego o jakim marzyła, ale był dla niej zawsze uprzedzającym, dbałym o jej wygodę aż do drobiazgowości, później kochającym ojcem, traktował ją trochę, jak dziecko, które „nie zna się na interesach“, i nigdy nie wyrządził jej rozmyślnie żadnej przykrości. Poznawszy go bliżej, nauczyła się cenić w nim, przy dość ograniczonych horyzontach, dużo zdrowego sądu o rzeczach, a nadewszystko bezwzględną rzetelność i uczciwość niewątpliwą, co w jego otoczeniu i przy jego własnych aspiracjach było cnotą niepospolitą i wyjątkową. I dla tego też Magdalena wybaczała mu jego drobiazgowę, posuniętą niemal do manii zamiatanie konwenansów, przesadną dbałość o pozory zewnętrzne, o to, co powiedzą ludzie, jako wynik u niego napatrzenia się we własnej rodzinie na skutki podeptania zarówno treści jak i pozorów. Rodzice jego żyli w separacyi i, jak sądzić można, z winy matki; siostra zaś była osobą otwarcie złego prowadzenia. To też nauczyło go właśnie tak wysoko cenić u kobiety gruntowne zasady i dobre wychowanie, którego te są podstawą. Więcej raził Magdalенę u męża, brak wszelkich potrzeb duchowych

i to tem bardziej, że nie był on bynajmniej materyalistą z zasady, owszem miał instynktowny szacunek dla religii, dla pobożności, nawet dla dewocyi najdalej posuniętej i najciaśniej pojmowanej, bo widział w tem hamulec, przeciw rozpasaniu się kobiety. Ale poza tem, dla niego samego, sfera duchowa wprost nie istniała. Jedyne jego dążeniem i celem wszystkich wysiłków, całą ambicyą, było pozyskanie jaknajszerszych warunków życia, nie tyle może dla ich używania, nie tyle skutkiem żądzy posiadania, nie tyle nawet dla pewności bytu, ile przedewszystkiem dla uznania i powagi jakie to daje u ludzi. Nim uzyska rzecz samą, zadowoliliby się pozorami jej posiadania. Tak więc marzeniem jego było mieć lokaja w liberyi, a cóż dopiero ekwipaż do rozporządzenia żony!

(Było to przed wystawą powszechną w Paryżu, r. 1889, dzisiaj przedmiotem takiego marzenia byłby automobil). Takim był pan Achilles Serpe, mąż Magdaleny, którego ta do końca swego pamiętnika, t. j. do pierwszego siwego włosa, nie nauczyła się nazywać po imieniu. I nic dziwnego! Świat do którego wprowadził żonę nie był od niego lepszym. Ludzie z którymi był najbliżej związany interesami, szczególnie zaś pewien wielki przedsiębiorca Grajat, od którego w dużej części był jego zależał, byli to wprost bandyci, uchodzący więzienia tylko dzięki swej zrzeczności i potędze, jaką dają duże środki finansowe. Ale z owego towarzyskiego otoczenia Magdaleny autor daje nam poznać dwie rodziny, stanowiące ze sobą kontrast absolutny—kuzynów jej męża państwa Voulasne, którzy ze średnio-mieszcząńskiej kupieckiej rodziny paryskiej, stali się naraz skutkiem niespodziewanych fluktuacyi w handlu arcymilioneraui, oraz państwa Du Toit, należących do starego rodu sądowniczego—pan Du Toit był prezydentem trybunału—trzymającego się z całą nieugiętą ścisłością, posuniętą niekiedy aż do przesady, aż do pedanteryi, jakby się mogło zdawać nie znającym ich poufnie, wszystkich starych tradycyi i obyczajów, poczynawszy od religii i moralności, aż do reguł towarzyskich. I pod tym względem byli oni na odwrotnym biegunie z rodziną Voulasne, która, wyszedłszy z mniej niż skromnej sytuacji, jaką zajmowała do niedawna, i pozyskawszy nagle stanowisko milionowe, nie znała innych reguł, prócz tych, które jej ułatwiały zabawę. Poza tem żadnych zasad, żadnych przekonań, żadnych dążeń moralnych, żadnych potrzeb umysłowych. Byli to ludzie najlepsi w świecie, gościnni, wylani, serdeczni dla każdego, kto tylko chciał się z nimi bawić. Zresztą cały świat moralny i materyalny, dla nich nie istniał. Ich przodkowie mo-

gli się bawić tylko w niedzielę, dla nich niedziela była codzien, więc codzien się bawili z isticie dziecinną naiwnością. I naturalnie zabawy te odpowiadały ich umysłowemu poziomowi.

Zupełnie pozbawieni charakteru i woli, zawsze radzi dogodzić wszystkim, nie byli w stanie dla tego samego i pomimo swych środków oddać komukolwiek najmniejszej przysługi, jak się o tem przekonał pan Serpe, który mimo to nigdy nie przestał liczyć na potęgę finansową kuzynów. Zato tem łatwiej dali się opanować pewnemu pieczeniarczowi nazwiskiem Chauffin, podstarzałemu kawalerowi, który byłby nawet uzyskał rękę i posag ich młodszej, szesnastoletniej córki, zwanej Pipette, gdyby nie bezwzględny opór jej samej, posunięty aż do ucieczki z domu i poparty przez panią Du Toit i Magdalene.

Całe też otoczenie państwa Voulasne było złożone wyłącznie z ludzi, korzystających z nich samych i ich stosunków i nie dających nic w zamian, prócz gotowości podzielania ich rozrywek.

Skąd znajdowali się w tem towarzystwie państwo Du Toit, ludzie o wysokiej kulturze umysłowej, moralnej i towarzyskiej i tak na tych punktach wymagający?—Dość, że syn ich, Alberyk ożenił się ze starszą panną Voulasne Leonią i u państwa Voulasne poznała ich też Magdalena.

Państwo Du Toit nie byli łatwi do zawierania nowych znajomości, ale Magdalena, poprzedzona już famą osoby wyjątkowo starannie wychowanej, odrazu im się spodobała. Swą naturalną dystynkeją, godnością obojęcia, połączoną ze skromnością, rozumem i uczciwemi zapatrywaniami, pozyskała sobie bardzo szybko zaufanie i przyjaźń pani Du Toit. Nawzajem państwo Du Toit pociągnęli ją ku sobie gruntownością swych zasad oraz wysoką kulturą duchową i umysłową, jakimi się odznacжали. Magdalena stała się wkrótce częstym gościem pani prezydentowej, w której domu poznała jej siostrzeńca, pana Juillet. Do tego ostatniego zbliżyła ją wspólna misya, powierzona im przez panią Du Toit, odciągnięcia jej syna Alberyka, ożenionego z Leonią Voulasne, od wpływów bezmyślnego środowiska, którym uległ, zamiast, jak się tego spodziewali jego rodzice, podnieść żonę i jej rodzinę do poziomu, na jakim sam został wychowany. Niezwyczajną intelligencyą, głębokością i wysokim nastrojem moralnym myśli, jakie wypowiadał, wielkiem uznaniem dla ideałów i moralności chrześcijańskiej oraz dla ustroju i dyscypliny Kościoła katolickiego i poparcie tego wszystkiego najściślejszą argumentacyą, znamionującą niepospolitą erudycyę i predylekcyę do rzeczy

duchowych, p. Juillet zaciekawił, pociągnął i oczarował Magdalenę. Rozmowa z nim stała się dla niej więcej niż przyjemnością—potrzebą nawet, bo wtedy tylko znajdowała upust dla wypełniających jej duszę uczuć i myśli, których w swem otoczeniu wypowiedzieć nie miała sposobności. Nawet pani Du Toit, pomimo swej niezaprzeczanej intelligencji nie mogła jej pod tym względem zadowolić, bo myśl jej zawsze powracała do sprawy Alberyka, lub kwestyi realniejszych, dotyczących zwłaszcza życia i obowiązków domowych kobiety.

Konkluze, jakie wypowiadał p. Juillet były ściśle zgodne z nauką doktorów Kościoła, ale miały przytem coś, co im dawało szczególną wagę, jakgdyby wychodziły z zewnątrz, jak uznanie przeciwnika. Bo też p. Juillet, wśród tego wszystkiego wstawiał czasem zdania zupełnie z całością wypowiadanych zapatrywań nie licujące, czem męszat i irytował młodą kobietę, bo pozostawiał jej pewną wątpliwość co do jego szczerości. Ale, Magdalena wyrobiła sobie już wysokie mniemanie o piękności duszy swego interlokutora, tłómaczyła więc te wybryki jego mowy chęcią drażnienia jej. Tak więc ta ich, jak się jej zdawało przyjaźń duchowa, zacieśniała się z każdym dniem, Magdalena i p. Juillet zaczęli stanowić parę, co gdzieindziej, niż w domu państwa Du Toit, byłoby zwróciło uwagę i wywołało komentarze. Ale tam była ona powyżej wszelkiego podejrzenia i najzupełniej też na to zasługiwała, bo w przyjemności jakiej znajdowała w rozmowach, dyskusjach lub tylko słuchaniu pana Juillet, nie było ani cienia myśli lub uczucia, którychby nie mogła wyznać głośno i wobec wszystkich. Niebawem zresztą wszystko to uległo przerwie, bo Magdalena została matką i odtąd cały swój czas, wszystkie myśli i uczucia poświęciła staraniom macierzyńskim. Nowa i nieoczekiwana sposobność zbliżenia z panem Juillet trafiła się jej podczas wakacyi, w zamku państwa Du Toit gdzie na usilne zaproszenia pani domu udała się z dziećmi na parę tygodni. Tu po nowych, długich rozmowach i dyskusjach w parku, a zwłaszcza po dość ostrej sprzeczce ideowej, jaka między nimi zaszła, Magdalena uczuła nagle, jakgdyby rodzaj objawienia. W sercu i w głowie zrobiło jej się jasno. W jednej chwili znalazła się w położeniu człowieka, który odkrył pierwszorzędnej wagi dotyczącą go tajemnicę, jakiej niedomyślał się nawet istnienia—kochać! Czytelnik, rzecz prosta, domyślił się tego wcześniej. Kochać po raz pierwszy prawdziwą miłością! I co dziwniejsza, stwierdzenie tej prawdy nie zmęszatło jej, nie przestraszyło, nie wywołało żadnego niepokoju sumienia. Wydało

jej się to zupełnie naturalnem, bynajmniej nie zdrożnem. Myśl zresztą popelnienia czegoś zdrożnego, myśl zdradzenia wiary małżeńskiej—nie powstała jej w głowie. Wiedziała jedno tylko: że kocha, że to jest miłość, ta prawdziwa, ta wielka, którą przeczuwała niegdyś w swych dziewiczych marzeniach.

I myśl o tem sprawiła jej nieopisaną radość.

Tak było w pierwszej chwili. Później, gdy zaczęła analizować swe uczucia i stan moralny, w jakim się znalazła, skutkiem tego odkrycia, doszła do przekonania, że miłość jej jest gotowa na wszystko, że tylko zależy od niego, by mu się oddała całkowicie—duszą i ciałem. Wtedy dopiero uczuła się zmieszaną, uczuła obawę i niepokój; zdawało jej się, że wszyscy się domyślają jej tajemnicy. Tymczasem wyjazd pana Juillet rozdzielił ich znowu, ale bynajmniej nie osłabił jej uczucia. Oboje nie zdradzili się ani słowem, a jednak była pewną, że miłość jej jest dzielana. Wśród tego, została wezwaną do domu swych dziadków w Chinon. Dziadek, do którego była bardzo przywiązana, umarł. Patrzyła na smutek i łzy babki i matki, sama łzy wylewała; brała udział we wszystkich tak wstrząsających dla najbliższych ceremoniach żałobnych. Ale to wszystko było dla niej jakgdyby mgłą osłonięte. Jedyne prawdziwe, wszechwładnie panującym w jej sercu uczuciem była miłość—miłość, przed którą wszystkie inne uczucia musiały ustąpić. Ta miłość wszakże, która do tego stopnia absorbowała jej istotę, nie wymagała żadnych realizacyi, wystarczała sama sobie i nie przeszkadzała jej bynajmniej w pełnieniu codziennych obowiązków. Po powrocie do Paryża, spotykała się znowu u pani Du Toit z przedmiotem swych gorących afektów, ale nic się nie zmieniło w ich stosunku. I taki stan rzeczy byłby zapewne trwał do nieskończoności, gdyby p. Juillet najniespodziewaniej w świecie, w chwili, gdy, przyjąwszy stanowisko w koloniach, co było z jego strony widoczną ucieczką, przy pożegnaniu z nią w domu swej ciotki, nie był nagle uczynił jej oświadczenia i to oświadczenia, najbardziej banalnego, sztywnego, suchego i wypowiedzianego jednym tchem, z pośpiechem, z jakim połyka się przykre lekarstwo. Pierwszem uczuciem, jakiego wobec tego doznała Magdalena było zdumienie, rodzaj osłupienia, ale nie czuła się bynajmniej obrażoną jego zuchwałstwem. Przeciwnie, gdyby w tej chwili mogła była przemówić, z ust jej byłyby wyszły tylko słowa wdzięczności i wzajemności. Ale wtejtę samej chwili uczuła, że z najgłębszego dna jej jestestwa wzniosło się coś niezależnego od jej woli; coś, co będąc nią samą, zdawało się jednocześnie być od niej odrębnem

i uczuciom jej wrogiem; coś, co odgradziło ją od uwodziciela zapora nie do przebycia, nakazując jej przybrać, bezwiednie i mimowolnie, taki wyraz odrazy, taką odruchową pozycję obronną, że ten, który śmiał na nią podnieść oczy, czując się zmrożonym i odepchniętym, w przekonaniu, że popełnił błąd nie do naprawienia i nie do darowania, cofnął się czemprędzej, wybełkotawszy parę słów przeproszenia. Gdy została samą i ochłoneła nieco po tak niezwykłym wzruszeniu, Magdalena w pierwszej chwili nie umiała sobie zdać sprawy z tego, co się z nią stało, wiedziała tylko, że jej marzenie niemożliwej miłości skończyło się bezpowrotnie. Później zrozumiała, że to bezwiedne odepchnięcie swych najgorętszych pragnień, to był zarazem skutek wychowania w rodzinie bez zarzutu, gdzie od lat najmłodszych uczono ją słowem i przykładem trzymać na wodzy swe uczucia i podporządkowywać je obowiązкови, oraz wynik dziedziczności moralnej po długim szeregu prababek chrześcijańskich, których duch rodowy, jakiego jej dusza indywidualna jest częstką, powstał w chwili niebezpieczeństwa i obronił ją, wbrew jej woli osobistej, dając w jej postawie, cały wyraz oburzenia swej obrażonej cnoty i godności.

Od marzeń złocistych, które się rozwiały, Magdalena powróciła do twardej i pospolitej rzeczywistości, gdzie czekały ją wzmocnione obowiązki. Mąż jej, dzięki przeważnie swym przyjaciołom fachowym, którzy go wyzyskali i oszukali, znalazł się w złych interesach. Zamiast wymarzonego lokaja w liberyi i powozu, trzeba było opuścić zbyt kosztowne mieszkanie i wynieść się na przedmieście ku nieopisanej rozpaczypa Serpe. Magdalenie, która nie podzielała ambicji męża i którą to niepowodzenie dotyczyło głównie ze względu na niego, przypadło w udziale dodawać mu ducha—i pomagać w miarę swej możności do odzyskania sytuacji. Tak więc przymusiła się do częstszego bywania u państwa Voulasne, od których mąż jej spodziewał się, zawsze napróżno, pomocy w formie pożyczki lub interesów. Nawet przemogła swój wstręt do p. Chauffin, który mógł mu szkodzić swemi intrygami i była dlań bardzo uprzejmą, aż do chwili, gdy ten zażądał od niej, by wpłynęła na Pipetkę na korzyść jego zamiarów matrymonialnych. Wtedy odprawiła go z kwitkiem i interes z państwem Voulasne upadł. Szczęściem, przez panią Du Toit zdobyła mężowi roboty budowlane, które, jeżeli nie dawały mu stanowiska jakiego pragnął, to przynajmniej zapewniały byt rodzinie. I w tym bycie skromnym, w tych zajęciach domowych, w pieczy nad wychowaniem dzieci, w zaabsorbowaniu mnóstwem drobnych szczegółów,

jakie miała na głowie przy niewystarczającej służbie, jej dawna wymarzona miłość stała się czemś równie odległym, jak wspomnienia marzeń panieńskich. Czuła się spokojną i prawie szczęśliwą. Ale i to względne szczęście nie było pozbawionem pewnej goryczy. Oto jej stosunki z panią Du Toit, osobą, o której szlachetności nie wątpiła, oddaliły się trochę pomimo, że ta zachowała jej swą przyjaźń zupełnie nie naruszoną, i oddalenie to nastąpiło nie dla czego innego, tylko z powodu uszczuplenia ich warunków bytu. Oto dowiedziała się też, że p. Juillet nie był tym ideałem, jakim go sobie wyobrażała. Pani Du Toit mówiła jej z wielkim przekąsem o książce, jaką on wydał i w której, mając jakoby na celu podtrzymywanie doktryn tradycyjnych, włożył myśli najbardziej przypadające do gustu ich przeciwnikom. „I pomyśleć tylko—powiedziała pani Du Toit, że, z powodu tej książki, nazwano go moralistą! I dodała, wzruszając ramionami: „Pan Juillet moralistą“!

„A dlaczego pan Juillet nie mógłby być moralistą?“—zapytała Magdalena. „Bo pan Juillet jest libertynem“—brzmiała odpowiedź pani Du Toit. A Magdalena wyobrażała go sobie dotąd innym, niż przeciętny ogół mężczyzn! Uważała go za człowieka, żyjącego wyłącznie na szczytach, w najwyższych sferach myśli i ducha i z tego to przekonania zrodziła się jej miłość. Teraz utraciła i to złudzenie, które opromieniało jeszcze wspomnienia jej idealnego romansu. W istocie p. Juillet, przy niepospolitej intelligencji, był to umysł paradoksalny, który nie mógł stwierdzić jakiejś prawdy, bez wynalezienia jednocześnie argumentów dla jej obalenia. Doktryna katolicka zajmowała go na równi ze wszystkimi systemami teozoficznymi, ale uznawał wyższość jej konsekwencji logicznych. Moralność chrześcijańska pociągała go swem pięknem duchowem, ale w sposób podobny temu, w jaki nas pociąga piękno świątyni greckiej, którą podziwiamy, ale w której nie zamieszkamy. Nie był on też moralistą, lecz raczej logikiem i estetą. Poza tem, jako człowiek, prowadził życie czysto zmysłowe—(Magdalena dowiedziała się też o jego predylekcyi do pewnej skandalicznej mężatki z towarzystwa państwa Voulasne) i na stałe niczem się nie zajmował, zaś swą istotną erudycyę zużywał na dyskusye z młodemi kobietami. Takim był tedy p. Juillet, który natchnął Magdalenę wielkie uczucie, jakiego doznaje się naprawdę raz tylko w życiu. Ale jakimkolwiek był on w istocie, to nie mogło już wpłynąć na zmianę tego uczucia, które należało do przeszłości i spoczywało teraz w tajnem archiwum jej duszy. W najkrytyczniejszej chwili ruiny męża, do której, jak

się następnie pokazało, przyczynił się ów Grajat, spotkała Magdalenę od tegoż obelga, jakiej nawet po takim człowieku się nie spodziewała,—zaproponował jej w sposób najbrutalniejszy w świecie, że dostarczy jej wszystkich dóbr, o jakich marzył dla niej na próżno jej mąż, wzamian za jej względy. Oburzona do żywego Magdalena wskazała mu drzwi w taki sposób, jak to potrafi tylko uczciwa kobieta, ale w gruncie, ułóżenie od tego gburu nie mogło jej dotknąć bardzo głęboko. Za to zyskiwała powód zamknięcia mu raz na zawsze swego domu. W tymże czasie trafił się tragiczny wypadek, który rozbawiony i nie znający żadnej troski dom państwa Voulasne pogrążył w żałobę i rozpacz nie do opisania. Pipetka, to śliczne, pełne życia zwierzątko (bo duszy jej nie zbudzono) utopiła się w Trouville. Co więcej, były silne poszlaki, że, umiając wybornie pływać, i znając higienę morską, uczyniła to rozmyślnie, gdyż poszła się kąpać po jedzeniu. Dla paru osób wtajemniczonych, do których należała Magdalena, było to rzeczą niewątpliwą, bo Pipetka zakochała się w panu Juillet i nie nauczona hamować swych uczuć, ani trzymać się żadnych reguł towarzyskich napisała do niego list z oświadczeniem, jak to później wyznała Magdalena. Na list nie otrzymała odpowiedzi i to ją popchnęło do kroku rozpaczliwego, bo ani nie umiała znosić cierpienia, ani nie znała rezygnacji.

To fatalne wydarzenie, prócz niezmiernie przykrego wrażenia, jakie naturalnie na niej wywarło, dało jej powód rozmyślenia, jak bezbronna jest istota ludzka wobec życia i losu, gdy nie ma wiary i wynikających z niej niewzruszonych podstaw moralnych, które wpaja od małego dziecka wychowanie tradycyjne. Pod ten czas spotkała ona przypadkiem panią Karolinę de Clammarion, swą dawną koleżankę z pensyi, córkę milionowego przemysłowca, która wyszła za zrujnowanego szlacheica. Mąż zaniedbywał ją dla kochanki. Teraz, po roztrwonieniu posagu żony, opuścił ją zupełnie, pozostawiając z małym synkiem prawie bez środków. W tych warunkach nastąpiło między dawnymi przyjaciółkami zbliżenie. Magdalena dowiedziała się, że Karolina się poświęciła całkowicie wychowaniu syna, z którym odrabiała lekcye szkolne i musiała nauczyć się z tego powodu języków starożytnych. Sama zajmowała się wszystkim w domu, bo nie miała służby, i pomimo to wszystko znajdowała jeszcze czas na praktyki religijne i dogłębne chorych.

Taki heroizm ducha tej kobiety, ciężko przez los doświadczonej, wywołał podziw i zachwyt Magdaleny, bo widziała, że niema w tem żadnej pozy, że Karolina przyjęła swe przeznacze-

nie z zupełną rezygnacją, że swą rolę wychowawczyni, służącej i siostry miłosierdzia pełni z całkowitą pogodą ducha, z zadowoleniem spełnionego obowiązku. Pewnego razu, gdy Karolina bardzo surowo wyrażała się o kobietach, ulegających niedozwolonej miłości, Magdalena, czując potrzebę wywnętrzenia się, opowiedziała jej historię swego romansu i to z takim wstydem i skruchą, jak na spowiedzi. Ale zaledwie skończyła swe wyznanie, spostrzegła, że rysy Karoliny przybrały wyraz twardy i bezwzględny, w czem wyczytała wyrok potępienia i coś, co bez słów mówiło jej najwyraźniej „idź precz!“, jak do opętanej przez szatana. Na tem skończył się ich stosunek i to bardzo zabolalo Magdalene. W swem szlachetnem sercu wszakże nie zachowała do niej urazy, zastanowiła się tylko nad tą dziwną sprzecznością w naturze Karoliny—posiadała i pełniła wysokie cnoty chrześcijańskie: rezygnację i miłosierdzie, spełniała z bohaterskiem zaparciem się siebie więcej, niż swe obowiązki, ale, surowa dla siebie, była równie surową dla drugih, brakowało jej litości, tego czynnika uczuciowego, bez którego miłosierdzie jest może trudniejszym, lecz staje się bez czucia i jakoby mechanicznem. I to, nie zmniejszając jej podziwu dla Karoliny, wobec której uważała siebie w swej pokorze za istotę niegodną, było niemniej dla Magdaleny rozczarowaniem. Ale czekało ją inne jeszcze i może najniżej spodziewane.

Siostra męża, z którą z powodu jej skandalicznego prowadzenia, ich stosunki były zerwane, przyszła chęć niespodzianie ją odwiedzić i uczyniła to, jak się to zaraz pokazało, nie bez celu. By zemścić się na bracie, który od czasu złych interesów był mniej regularnym w dostarczaniu jej subsydyów, wyjawiała Magdalenie tajemnicę, jakiej ta nigdy nie podejrzewała i jakiejby nie uwierzyła, gdyby jej nie dano tego niewątpliwych dowodów: mąż jej miał metresę i nawet dziecko z niej. I tak było od początku ich małżeństwa! Bo, jak dodała siostra, inaczej koledzy i przyjaciele wysmieliby go, a on niczego się tak nie obawiał, jak szyderstwa. Więc i to, jak wszystko w swem życiu, czynił dla opinii! Magdalena, jak wiemy, nie kochała męża miłością, ale wspólne pożycie, wspólność interesów, a przedewszystkiem dzieci wytworzyły między nimi łączność, jak sądziła zupełną. Przytem jego skądinąd postępowanie względem niej bez zarzutu, jego prawdziwe przywiązanie do swych dzieci, jego rzetelność, jego upodobania regularne były dla niej gwarancją całkowitego zaufania, jakie w nim położyła. I ten człowiek kłamał jej przez szereg lat! I ten troskliwy ojciec rodziny, miał obok—drugą rodzinę! Ta re-

welacya dotknęła ją o wiele głębiej, niżeliby to sama przypuszczała. Ale w tejże chwili spojrzawszy przypadkiem w lustro, przed którym, przy pomocy pudru i różu, jej bratowa, sztukowała nadwierzęzone wdzięki, Magdalena, o wiele od niej młodsza, dostrzegła u siebie po raz pierwszy włos siwy. I to, co w życiu tylu kobiet i tej właśnie, której zrujnowane oblicze widziała w lustrze obok swego, stanowiło moment najtragiczniejszy — przyniosło jej ukojenie. Z tym siwym włosem skończyły się dla niej złudzenia młodości i jej egzaltacye. Teraz zrozumiała, że nie szamotać się, jak ptak zamknięty w klatce, nie wyrwać się ponad zakreślone nam granice, nie szukać piękna duchowego czy to w miłości idealnej, gdzie przez chwilę zdawała się je dostrzegać, czy nawet w heroizmie cnoty, lecz iść drogą prostą obowiązków, jakie nam Bóg przeznaczył, choćby te wydawały nam się pospolitemi, przystosować się do warunków jakie są i otoczenia, w których żyć musimy, nie uroniwszy nic z prawości duszy, i dążyć nieustannie do wewnętrznego doskonalenia się — oto prawdziwe zadanie, jakie jej odtąd przypada, jakie przypada każdej kobiecie i wogóle człowiekowi. I na tę prostą drogę, która teraz otworzyła się przed wzrokiem jej ducha, powołały ją „te wielkie głosy, których brzmienie nie ma sobie równego pośród głosów tego świata“.

Po zamknięciu książki, czytelnik pozostaje pod bardzo silnem wrażeniem wzniosłej poezyi moralnego piękna tego utworu. I jeśli można żałować, że autor obciążył nieco spowiedź swej bohaterki szczegółami odbiegającemi od rzeczy, to niemniej dzieło to w uderzający sposób daje nam odczuć moralną doniosłość, jaką może mieć powieść, jeżeli zwłaszcza ożywiająca ją myśl i uczucia szlachetne są poparte prawdziwym talentem.

A, pod tym względem, o „*Madeleine jeune femme*“ powieść można z zupełną pewnością, że przechodzi wszystko, co w przeciągu ostatniego dziesięciolecia w tym zakresie po francusku napisano.

Od moralnej dyscypliny chrześcijańskiej do epikureizmu, zwłaszcza do epikureizmu w znaczeniu pospolicie przyjętem, przeskok jest nader gwałtowny. Przychodzi nam go tu dokonać, z powodu nowej powieści Anatola France p. t. „*Les Dieux ont soif*“. Jak cała twórczość tego autora, tak i ostatnie dzieło nosi piętno jego poglądów, wypowiedzianych niegdyś przez usta ks. Coignard, ale wykład ich nie ma tu znaczenia zasadniczego. „*Les Dieux ont soif*“ jest powieścią z czasów Rewolucyi, a przedmiotem jej

głównym ukazanie w świetle właściwem umysłowości Jakobinów i doktryn, które rewolucyę wytworzyły.

Z tego względu nader ciekawym jest ten utwór, napisany przez sceptyka-erudytę, który chwilowo dał się być wciągnąć do akcji politycznej, powołującej się na te właśnie doktryny. Nie jestto powieść historyczna w znaczeniu ściślejszem, bo postacie autentyczne pozostają tu w cieniu lub za sceną, gdy na pierwszym planie występują osoby zmyślane, lecz posiadające wszystkie cechy charakteryzujące chwilę. I to wystarcza, bo autorowi nie chodzi o odtworzenie faktów, lecz raczej o powody ideowe tychże.

Na tle tedy szeroko naszkicowanego obrazu stosunków w czasie Terroru, autor daje nam poznać młodego malarza, ucznia Dawida, Ewarysta Gamelin, jego narzeczoną i kochankę Elodyę, córkę Jana Blaise, handlarza rycin, oraz Maurycego Brotteaux (ci-devant des Plettes), niegdyś opływającego w dostatki finansistę, dzisiaj zrujnowanego przez rewolucyę i zarabiającego na nędzne życie na poddaszu wycinaniem pajaców z tektury.

To są figury główne. Prócz tych wchodzi do akcji jeszcze matka Ewarysta, jego siostra Julia, kochanka pewnego młodego szlachcica, emigranta i kontrrewolucjonisty; zakonnik barnabita Ojciec Longuemare, intrygantka i agent spisku monarchicznego hrabina de Rochemaure, niegdyś kochanka des Plettes'a; rytownik Desmahis, przyjaciel Ewarysta; kurtyzanka Athénaïs. Wreszcie, w głębi przesuwają się ponure i krwiożercze postacie: Marat — „Przyjaciel ludu“, Robespierre — Nieskazitelny (L'Incorruptible) Fouquier - Tinville — Oskarżyciel publiczny i t. p.

Rzecz dzieje się w najstraszniejszym okresie Rewolucyi. Marat — Przyjaciel ludu, który zbawiał Ojczyznę ścinając setki głów, padł pod nożem Charlotty Corday. Zaczęło się panowanie Robespierre'a, Terror doszedł do szczytu — oskarżyciel publiczny pracował po osiemnaście godzin dziennie, gilotyna nie przestawała funkcjonować. Nikt nie był pewien życia, bo w każdej chwili i bez żadnej przyczyny, na oskarżenie pierwszego lepszego można było dostać się pod nóż. Szpiegostwo i donosicielstwo było tak rozpowszechnione, że nie można było ufać nikomu. Ewaryst Gamelin, dzięki wpływom pani de Rochemaure, która miała stosunki we wszystkich obozach, został mianowany przysięgłym w Trybunale rewolucyjnym, w obliczeniu, że na tem stanowisku może oddać przysługi jej przyjaciółom. Ale zręczna intrygantka nie poznała się na charakterze swego protegowanego, o czem wkrótce miała sposobność się przekonać, gdy ją wysłał pod gilotynę.

Bo Ewaryst jest cnotliwy i przekonany. Jak Brutus nie zawa-
 hałby się wydać na śmierć swoich najbliższych, gdyby byli oskar-
 żeni o „nieobywatelstwo“ (incivisme). Jest on dobrym synem —
 utrzymuje matkę, chociaż sam zaledwo zarabia na życie. Jest li-
 tościwy—oddaje połowę swego chleba żebracze, w czasie głodo-
 wym. Szanuje cnotę narzeczonej więcej, niż ona sama. Według
 niego, republikanie są dobrzy i uczuciowi. Tylko despoci utrzy-
 mują, że kara śmierci jest koniecznym atrybutem władzy. Lud
 wszechwładny ją skasuje. Robespierre ją zwalczał, a z nim wszys-
 cy patryoci. Prawo, które ją zniesie, powinno być jaknajprędzej
 ustanowione. Ale nie może ono być zastosowaniem, aż póki ostat-
 ni wróg Rzeczypospolitej nie zginie pod mieczem sprawiedliwo-
 ści. Tymczasem jednak, gdy idzie szukać miłosnych słodczy
 w objęciach Elodyi, zdaje się Ewarystowi, że w każdej piwnicy
 widzi fałszerzy assygnatów, w każdym sklepie, w każdej trak-
 tyerni spiskowców i zdrajców i myśli: „O Republiko! przeciw
 tylu wrogom tajnym i jawnym, pozostaje ci jeden tylko środek:
 Święta Gilotyno wybaw ojczyznę!“ Uczęszcza na zebrania w ko-
 ściele Jakobinów (skąd nazwa tej frakcyi), gdzie naucza Robes-
 pierre, i tu poznał wyższe i czyste prawdy, zrozumiał metafizykę
 rewolucyjną, która wzniosła jego umysł ponad pospolite pojmo-
 wanie rzeczy, do sfer absolutnej pewności. „Rzeczy same przez
 się są pomieszane i zawikłane, fakta są tak złożone, że można
 się w nich zgubić“. Robespierre wytłómaczył mu wszystko i upro-
 ścił, przedstawił mu dobro i zło w formułach prostych i jasnych.
 Federalizm, nierozdzielność: w jedności, w nierozdzielności jest
 zbawienie; w federalizmie—potępienie.

Gamelin czuł głęboką radość wierzącego, który zna słowo,
 które zbawia i słowo, które gubi. Odtąd Trybunał rewolucyjny,
 jak dawniej sądy duchowne, znać będzie zbrodnię absolutną, zbrod-
 nię słowną. I ponieważ miał duszę religijną, Ewaryst przyjmował
 te rewelacye z ponurym zapalem; serce jego podnosiło się
 i radowało z powodu, że odtąd, by rozpoznać zbrodnię od niewin-
 ności, posiadał symbol „Ty zastępujesz wszystko o skarbie wiary!“

W takim nastroju ducha, który był wspólny wszystkim
 aktorom Rewolucyi, Ewaryst Gamelin został przysięgłym i jak
 domyślić się można z największym zapalem posyłał pod gilotynę
 wszystkich oskarżonych, jakich niezliczone mnóstwo przesunęło
 się przed Trybunałem. Tak więc skłonił sędziów, którzy się wa-
 hali, do skazania młodego arystokraty, któremu nie mieli nic do
 zarzucenia, ale który w wyobraźni Ewarysta był uwodzicielem
 Elodyi. Ale ponieważ był on sprawiedliwym i nie chciał, by są-
 dy republikańskie posądzano o stronniczość, więc zażądał z wiel-

ką siłą skazania roznosicielki chleba posądzonej o okrzyk „niech żyje Król“! Również gorąco popierał skazanie generała, który przegrał bitwę, później swej protektorki, hrabiny de Rochemaure, i kochanka swej siostry, która po wyroku napluła mu w twarz; przekupki sprzedającej jarzyny, która nie chciała wznieść okrzyku na cześć Rzeczypospolitej i nieskończonej liczby innych ofiar, za których skazaniem na śmierć bez wyjątku Gamelin głosował zawsze. W tych liczbie wysłał pod gilotynę Maurycego Brotteaux, z którym pozostawał dotąd w najlepszych stosunkach sąsiedzkich, pod zarzutem, że widywał się z panią de Rochemaure, Ojca Longuemare, któremu Brotteaux udzielił schroniska na swem poddaszu, oraz kurtyzankę, Athénais, która u tegoż Brotteaux ukryła się przed siepaczkami Komitetu bezpieczeństwa publicznego. Kilkadziesiąt głów dziennie staczało się, pod nożem gilotyny, która funkcjonowała nieustannie na trzech placach Paryża. Bogowie Rewolucyi pragnęli krwi („Les Dieux ont soif“). Trybunał rewolucyjny nie mógł nadążyć w zaspokojeniu ich żądz.

Wreszcie ludność dziesiątkowana zaczęła mieć tego dosyć. Popularność Robespierre'a i Komitetu Zbawienia publicznego poczęła blednąć i ustąpiła nienawiści. Zgromadzenie Narodowe postawiło ich w stanie oskarżenia i wobec oporu ogłosiła Robespierre'a i jego towarzyszy za wyjętych z pod prawa. W ratuszu, gdzie się schronili, wzięto ich siłą i oddano wszystkich pod nóż. Ewaryst Gamelin znalazł się w ich liczbie. Na wozie, który po tylu jego ofiarach, prowadzi go z kolei na miejsce kaźni, gdy kondukt przeciąga przed oknem Elody, skąd, z poza przygniętych okiennic, spadł mu na kolana czerwony gwoździk, Ewaryst obwinia sam siebie: „Byliśmy słabi — myśli, zawiniliśmy pobłażliwością. Zasłużyliśmy na los, jaki nas spotyka. Sam Robespierre, ten czysty, ten święty, zgrzeszył łagodnością, łaskawością. Za jego przykładem i ja zgrzeszyłem przeciwko Rzeczypospolitej. Gdy ona ginie, słusznym jest bym i ja wraz z nią zginął. Oszczędzałem krew! Niech teraz moja krew popłynie! Zasłużyłem na to“... W postaci Ewarysta Anatol France charakteryzuje umysłowość fanatyczną, religijną rewolucjonistów, którą Jakobini przejęli od J. J. Rousseau'a. Gamelin wzywa jego cienia w rodzaju modlitwy: „Człowieku cnotliwy, natchnij mi, wraz z miłością ludzi żarliwość dla ich odrodzenia“.

I ten to pierwiastek religijny Rewolucyi, jak sądzi autor, uczynił ją tak nienawistną i krwiożerczą. A oto jak się wyraża, przez usta swego filozofa Brotteaux, o tym „człowieku cnotliwym“, który tę rewolucyjną religijność wymyślił: „Jan-Jakób Rousseau, który okazał trochę talentu, zwłaszcza w muzyce, był to pismak, któremu się zdawało, że czerpał swą moralność w na-

turze, gdy w istocie wyciągnął ją z przepisów Kalwina. Natura uczy nas wzajemnie się pożerać i daje nam przykład wszystkich zbrodni i wszystkich przywar, które stan społeczny naprawia lub ukrywa". Brotteaux jest ateuszem, ma zawsze w kieszeni tom Lukrecjusza i wygłasza zdania pełne ironicznego sceptycyzmu. W tym też stylu prowadzi on świetne dyskusye z Ojcem barnabita, podobne do tych, jakie wypełniają słynne dawniejsze utwory A. France'a „La Rotisserie de la Reine Pédauque" lub „Jérôme Coignard", co stanowi stronę niezmiernie pociągającą tej książki. Prócz tego, trzeba dodać, że nikt pewnie nie potrafił dotąd tak żywo odtworzyć życia Paryża podczas Terroru i uczynić tego w obrazach równie charakterystycznych i szeroko nakreślonych, jak te, które znajdujemy w „Les Dieux ont soif".

Na zakończenie powiedzmy parę słów o ostatnim utworze braci Tharaud „La Fête Arabe", który wypada zaliczyć do powieści kolonialnej. Jestto na poły studjum stosunków algierskich, na poły utwór wyobraźni o akcentach lirycznych. Bracia Tharaud wychodzą tu z innego punktu widzenia, niżeli np. Robert Randau, w swych „Les Algérianistes", według którego, z różnych elementów, przybyłych z pobrzeży europejskich morza Śródziemnego, wytworzyła się lub jest w stadium wytworzenia nowa rasa „algeryańska" poczuwająca się do odrębności i dążąca do separatyzmu politycznego od swej metropolii.

Bracia Tharaud ukazują inny stan rzeczy, mianowicie, że Francuzi, którzy ten kraj zdobyli i zorganizowali, pozwolili się zdystansować obcym emigrantom, przeważnie ras włoskiej i hiszpańskiej, którzy, otrzymują natychmiast naturalizację francuską, a ponieważ znajdują się w wielu okolicach, jeżeli nie wszędzie, w większości, więc, korzystając z przysługujących im praw, wyzyskują położenie dla swego wyłącznie interesu, ze szkodą Francuzów i ludności miejscowej. Rząd tego nie widzi lub widzieć nie chce, i popiera ich jako wyborców, których łatwo kupić dla swych widoków. Dla rządu nieprzyjacielem zawsze jest Arab, gdy, jak starają się pokazać bracia Tharaud, Arab naprawdę nie-nawidzi przede wszystkim tych przybyszów, którzy dla niego żadnych nie mają względów i popychają go do nędzy, gdy z Francuzami, o ile mu pozostawia wolność obyczajów, skłonny jest żyć w zgodzie. Tego kierunku też powinnyby się trzymać władze algierskie, inaczej Francuzi zostaną zupełnie wypchnięci lub będą musieli asymilować się z przybyszami, ze stratą najpierw dla cywilizacji francuskiej, a później samej kolonii w ten sposób zagrożonej.

To jest strona ekonomiczno-polityczna tego utworu, zresztą traktowana dość powierzchownie, choć leży w jego podstawie. Stronę uczuciową i artystyczną stanowią opisy obyczajów i objawów duszy arabskiej, oraz krajobrazów i efektów przyrody. Jest w tem coś z nostalgii Lotiego i malowniczości Fromentina. Autorowie z żalem konstatują zanikanie odrębnego charakteru i przymiotów tej rasy podbitej i podległej, ale szlachetnej i wojowniczej, której heroizm, połączył już wiele razy jej krew z krwią francuską, przed postępami cywilizacji, pojętej i stosowanej w sposób barbarzyński przez owych obcych przybyszów. Bracia Tharaud okazują tu wysiłki pewnego doktora wojskowego, który zżył się z tym ludem i ducha jego ukochał do tego stopnia, iż wolał porzucić swą karierę niżeli opuścić Algeryę. Jest on trochę poetą i trochę dziwakiem i jednocześnie uosabia dążenie, czy też marzenie, które dzielają autorowie, wytworzenia cywilizacji francusko-arabskiej, zaszczerpionej na tradycjach, obyczajach i formach miejscowych. Właściwie doktor byłby wolał zachować cywilizację arabską opartą całkowicie na Koranie, w stanie czystym, ale wobec budującej się kolei i skutków, jakie to sprowadzi w wiosce, którą zamieszkuje, decyduje się sam pokierować zastosowaniem urządzeń postępowych, zostaje wójtem gminy i dzięki swym zabiegom pozyskawszy kapitały, buduje miasto, w którym wymagania europejskie godzą się z charakterem życia Arabów. Jestto zarazem piękne i pożyteczne, bo ściągą cudzoziemców na willegiaturę w uroczej oazie. Ale wraz z nimi przybywają maltańscy hotelarze, handlarze i koloniści i nic nie może oprzeć się tej nawałnicy, która w ciągu paru lat niszczy dzieło doktora i zmusza go nawet do opuszczenia miasta i szukania schroniska u jednego z przyjaznych mu gościnnych pokoleń arabskich. I tak kończy się porażką szlachetna próba doktora postawienia tamy wandalizmowi emigrantów, którzy mając poparcie rządu i polityki—tryumfują.

ORWID.

ZIMA w 1812 r.

Ostatnie wypadki wojny bałkańskiej odwróciły uwagę Europy od „wielkich wspomnień“, od karty dziejowej nad wyraz przełomowej i epickiej — od pamiętnego upływu stulecia kampanii 1812 r. Wspomnienia te już są dawne, a przecie tak żywe, dojmujące, szczególnie tak tkwią silnie w naszym społeczeństwie, że każdy niemal obraz, dźwięk, rys historyczny z tej epoki pobudzają je do zmartwychwstania. A im bardziej będziemy się oddalać od „zwycięskiej“ i „nieszczęsnej“ rosyjskiej kampanii, tem bardziej będzie we mgle przeszłości rosła, olbrzymiała, tem jej tragizm będzie się silniej rysował.

Ale obok tego wielkiego eposu stoi zimny krytycyzm naszego stulecia. Poezyi, powieści, sztuce pozostawiamy epos, legendową zadumaną postać Napoleona; analiza zaś dziejowa chce dotrzeć do prawdy, rzeczywistości, do powodów niebywałych hekatomb.

Jeszcze nie tak dawno główne powody niesłychanej klęski, odwrotu z Moskwy, przypisywano niemal wyłącznie nadzwyczaj wczesnej i srogiej zimie. Teraz odzywają się głosy przeciwnie, są krytycy dowodzący, że zima nie była bynajmniej wyjątkowa, że rzeki nawet w pełni nie zamarzły, że głównym powodem straszego odwrotu była dezorganizacya armii, która już się objawiała przy wejściu wojsk francuskich do Moskwy, a spotęgowała z chwilą odwrotu. Tysiące tur, powozów, bryczek, kibitek, wlokących się za Wielką Armią, zapelnionych rannymi, kobietami, nawet dziećmi i masą taborów zdobycznych, utrudniały nadzwyczaj sam

odwrot. Balast ten był zatrważający i rósł z każdym dniem, dopóki nie zaczął topnieć, zamierać wskutek trudów pochodu i napadów kozaków. Jak najczęściej we wszystkich sądach ludzkich i sądach o rzeczach roznamiętniających, pobudzających uczucia dumy narodowej, zawiści, zemsty, należy z zimnym skalpelem przedmiot rozbierać.

Do liczby krytyków, utrzymujących, że koniec jesieni i początek zimy 1812 r. nie były wyjątkowo srogie, należy pułkownik rosyjski, książę Bagration¹⁾, który na poparcie swego twierdzenia przytacza temperaturę niemal wszystkich dni czasu odwrotu Wielkiej Armii. Dane ks. Bagration czerpie z notatek w tym czasie robionych przez wileńskie obserwatorium astronomiczne dawnego uniwersytetu. Wojska napoleońskie zaczęły opuszczać Moskwę 19 października, armia ciągnęła ku Smoleńskowi tymi samymi szlakami, którymi przyszła. Spostrzeżenia obserwatorium astronomicznego wileńskiego rozpoczynają się w tydzień po odwrocie Wielkiej Armii. Przytaczamy tabliczkę, ułożoną według dni.

27	paźdz.	+ 5°	8	listop.	+ 1°	18	listop.	+ 1,5°
28	"	+ 3,7°	9	"	— 2°	19	"	+ 1,5°
29	"	+ 3,5°	10	"	+ 1°	20	"	— 0,5°
30 i 31	"	— 0,5°	11	"	+ 1°	21	"	— 2,5°
1	listop.	— 2°	12	"	+ 3,5°	22	"	— 6,2°
2	"	— 4°	13	"	— 8°	23	"	— 5,5°
3	"	— 5,2°	Wejście N. do Smol.			24	"	— 2°
4	"	+ 0°	14	listop.	— 9,2°	25	"	— 2°
5	"	+ 2°	15	"	— 6,5°	26 i 27	"	— 4°
6	"	+ 1,5°	16	"	— 3°	28	"	— 1,5°
7	"	+ 1°	17	"	— 2°	6	grad.	— 24°

Tak się przedstawiają dane statystyczne. Spostrzeżenia te były jednak robione w Wilnie, a między tem miastem a Moskwą zachodzą pewne różnice temperatury, mianowicie, średnia temperatura w Moskwie, według spostrzeżeń robionych w ciągu jednego stulecia, wynosi + 3,9° a Wilna + 6,5°. Gdyby były brane pod uwagę tylko zimowe miesiące, różnica rysowałaby się jeszcze

¹⁾ Patrz „Więstnik Ruskoj Konnicy“ z 12 września r. z., Czy umóz zniszczył Wielką Armię Napoleona w 1812 r.

wyraźniej. Również należy zwrócić uwagę, że między spostrzeżeniami miejskiego obserwatorium a temperaturą w otwartych, niezmiierzonych polach zachodzi też różnica. Czyli dane tabelki obserwatorium wileńskiego co do przeciętnej temperatury dni, w których ciągnęły i obozowały wojska napoleońskie, można przyjąć tylko z zastrzeżeniem, i nie są zupełnie wyczerpujące. Przyjmując jednak nawet te dane, mrozy zaczynają się 30 i 31 października, a podług różnych pamiętników bywały dość silne przymrozki już 25-go tegoż miesiąca. A mrozy dla ludzi nieodpowiednio ubranych, niedostatecznie odżywianych, pozostających dzień i noc pod gołym niebem, to żywioł straszny. Również nadzwyczaj są przykre i szkodliwe następujące po nich gwałtownie odwilże.

Należałoby zatem postawić pytanie, czy niska temperatura zdziesiątkowała Wielką Armię, czy do jej zniszczenia przyczyniły się głównie wojska Kutuzowa wraz z kozakami Płatowa. Ks. Bagration kozakom przypisuje główną zasługę; tego samego zdania jest znany wojskowy niemiecki autor Briks.¹⁾

Aby mózdz wydać jakiś sąd, nabrać przeświadczenia, należy sobie uzmysłwić, chociaż w streszczeniu, ów straszny odwrót z Moskwy. Przedewszystkiem należy zwrócić uwagę na stan wojska. Czy kilkotygodniowy pobyt w Moskwie wzmocnił jego siły, po nieskończonych marszach i morderczych bitwach, szczególnie pod Smoleńskiem i Borodino?

Pomimo pożaru Moskwy, piesze dywizye znalazły w niej wypoczynek, mogły odnowić swe siły i nabrać nowej energii. Ale nie można tego samego powiedzieć o kawalerii. Ciągąc do Moskwy, w bitwach, w nieustannych pościgach za kozakami, nadto gorąco używana przez Murata, już była bardzo wyczerpana. Długi postój pod Moskwą, z powodu nadzwyczajnej trudności dostania furażów, nie był dla niej korzystny, nie przyczynił się do jej reorganizacyi. A zadał jej w dodatku cios dotkliwy niespodziewany napad nieprzyjaciela (pomimo rodzaju dobrowolnego armistitium stron wojujących) na jej obóz pod Winkowo. Napad ten przypadł na dwa dni przed wyjściem Francuzów z Moskwy.

¹⁾ Briks wyraża się w swych uwagach do „Historii konnicy” Denisona, że w odwrócie z pod Moskwy kozacy głównie przyczynili się do wyniszczenia wojsk francuskich, że wzięli 300 armat i do niewoli 90,000 ludzi. Ostatnie cyfry są zupełnie fantastyczne, gdyż Wielka Armia przy wyjściu z Moskwy składała się tylko ze 100,000 żołnierzy.

Na ten napad niewielu może historyków zwrócić dostateczną uwagę, a w skutkach był on jednak bardzo doniosły. Pomimo odparcia go, po zaciętej walce, procent kawalerii jeszcze się zmniejszył, a jej brak w czasie odwrotu przyczynił się nadzwyczaj do powiększenia klęski.

Napoleon po długim wahaniu, po walce ze swą miłością własną, dumą, widząc, że na rokowania dyplomatyczne nie może już liczyć, porzuciwszy zamiar zimowania w Moskwie, który miał swoich stronników, postanowił ją opuścić, pozorując ten krok narażeniem ruchem taktycznym na Kaługę. Przy wyjściu z Moskwy 19 października Wielka Armia liczyła 100,000 żołnierzy, w tem około 12,000 kawalerii, 600 armat — i niezliczoną ilość, jakiej nigdy nie widziano, wozów, ciągnących za wojskiem. Napoleon osobiście opuścił Moskwę 20-go. Wojsko ciągnęło w stronę Kaługi i cesarz zamierzał tą drogą (zdecydowawszy się już na stanowczy odwrót) na Jelnie, przez okolice jeszcze nie zniszczone dostać się do Smoleńska. Droga ta, chociaż dłuższa, przedstawiała widoki bezpieczniejszego zaopatrzenia armii w żywność i furazę. Nie chcąc jednak odrazu przyjmować bitwy, żeby nie powiększyć liczby rannych, okrążył w nocy duży obóz rosyjski, rozłożony pod Tarutino i nieprzyjaciel mógł się z nim zetrzeć dopiero 23 października pod Małym Jarosławcem. Doszło tam do zaciętej bitwy; zginął dzielny generał Delzons, dowódca dywizji włoskiej, a na jego ciele padł przeszyty kulami jego brat. Bitwa i na drugi dzień była wznowiona, walczono ze wściekłością — na placu boju zabitych i rannych Francuzów zostało 4,000 a Rosyan 6,000. Dwanaście tysięcy świeżych kozaków powiększyło armię Kutuzowa. Dn. 25-go Napoleon ze swym sztabem objeżdżał brzegi rzeki Łuży, wyjechawszy ze wsi Gorodnia, w której kwaterował. Nagle rozległy się krzyki w obozie, podniósł się straszny zgiewek, albowiem całe zastępy kozaków, przeprawiwszy się w cichości przez rzekę, napadły na obóz; udało się im dotrzeć do Napoleona, gdyby go znali, mógł być pochwycony lub zabity. Marszałkowie musieli dobyć szabli w obronie cesarza i dopiero dragoni Dulac'a i szwadron polskich ułanów pod wodzą Kozietulskiego¹⁾ odpędzili kozaków.

W tejże wsi Gorodnia odbyła się pamiętna rada wojenna, na której stawiono pytanie, którądy dalej ciągnąć należy. Nie-

¹⁾ Kozietulski został pchnięty dzidą, która przez ramię przeszła aż do piersi.

stety, zdanie generała Lobou przeważało, i zwrócono się na Możajsk, na stary trakt. Marszałek Davout proponował drogę pośrednią na Miedyń, Juchnow, Jelnię do Smoleńska. W tym czasie, w końcu października, silniejsze przymrozki dawały się odczuwać. 31-go Wielka Armia przeszła Gżack, 1 listopada pod Carewo Zajmiszcze doszło znów do bardzo poważnego starcia, 4-go przypada bitwa pod Wiazmą.¹⁾ Sto armat Mitoradowicza zarzuca pociskami, postępujące na przedzie pięć dywizyi Davouta, który mógł im odpowiadać tylko 40 działami. Generałowie Compan, Morand, Gerard, pomimo że byli ranni, znajdowali się ciągle w ogniu. Walczono jeden w stosunku do czterech. Dn. 7-go mróz się wzmógł do 10° R. Po przejściu Dorohobycza mrozy wciąż trzymały z tą samą siłą. Ziemia była grubo zasłana śniegiem i działa lekkiej artyleryi rosyjskiej, wspierającej swą jazdę, były ułożone na saniach. Konie jazdy francuskiej i artyleryi padały z powodu, iż nie były na ostro kute.

Do Smoleńska Wielka Armia, wyczerpana pochodem, zimnem, głodem, zmuszana do ciągłej walki, do odpierania napadów, doszła 9 listopada¹⁾. Po niezbędnym wypoczynku zaczęła opuszczać to miasto od 14 do 17-go t. m. Po wyjściu ze Smoleńska Napoleon mógł przeciwstawić 36,000 żołnierzy, jeszcze pozostających w szeregach, pięćdziesięciotysięcznej armii Kutuzowa, oprócz bardzo licznej jazdy nieregularnej. Straty olbrzymie w wojsku francuskim pochodziły dużo więcej z wpływów temperatury, trudów, braku pożywienia, aniżeli z samego ognia nieprzyjacielskiego. Żołnierze, ubywający z szeregów, jeżeli zostali ranni, padali na gościńcach i, niestety, nie było dla nich ratunku — jeżeli byli wysileni, zniechęceni, to powiększali nieprzeliczoną liczbę wólcęgów, ciągnących za armią i utrudniających jej pochód.

Thiers zarzuca Napoleonowi, iż popełnił błąd, nie wychodząc jednocześnie całym wojskiem ze Smoleńska, lecz rozdzielając je, w znacznych odstępach, na trzy części. Pociągnęło to za sobą fatalne następstwa. Pod Krasnem omal nie przyszło do pogromu, który Kutuzow gotował Napoleonowi dopiero pod Berezyną.

Napoleon z gwardyą i pierwszą częścią wojska wszedł do Krasnego 15-go, a następnego dnia Mitoradowicz zamknął przejście przed niedużym korpusem ks. Eugeniusza, złożonym z 6,000 ludzi. Książę jednak nie zawahał się próbować przebić przez kilkakrotnie liczniejszego nieprzyjaciela, ale ogień potężnej artyleryi wy-

1) Pierwsze oddziały wojska.

rządził mu bardzo poważne straty¹⁾. Stosunkowo w krótkim przeciągu czasu z atakujących 3,000 padło 2,000 ludzi. Najbardziej ucierpiała dywizya Broussier, wysunięta na czoło. Ks. Eugeniusz, widząc niemożebność przebicia się przez kolumny nieprzyjaciela, zajmującego w dodatku silną pozycję za wąwozem Łosminy, obmyślił w nocy obejść go. Ale dla zamaskowania tego planu znów musiała nieść ofiary zdziesiątkowana dywizya Broussier, znów należało wysunąć ją na linię ognia. Byli to prawdziwi bohaterowie—rannych, niestety, czekał ten sam los, co zabitych, nie było dla nich ratunku.

W nocy, po śniegu, przepołowiony korpus ks. Eugeniusza obchodzi Rosyan. Napotyka jednak oddział nieprzyjacielski, ale w tej nad wyraz krytycznej chwili przytomność umysłu oficera polskiego Klickiego ze zniszczonego korpusu Poniatowskiego ratuje sytuację. Oficer ten, zbliżywszy się do dowódcy oddziału tłumaczy mu po rosyjsku, że się właśnie odbywa ważny rekonesans, że zachować należy największy spokój i niczem ruchów nie zdradzać. Zapewnienie to wystarczyło i kolumny francuskie przeszły spokojnie. Tą bajeczną przytomnością umysłu ks. Eugeniusz został ocalony.

Siedemnastego Napoleon wysunął się znowu na stary trakt smoleński, pragnąc przyjść z pomocą oczekiwanyim niecierpliwie marszałkom Davoutowi i Ney'owi. Dochodzi do bitwy. Pole jest tak obślizgłe z powodu mrozu (chwycił po odwilży), że konie bez ostrych podków iść nie mogą i nawet Napoleon na piechotę szykuje swą młodą i starą armię pod ogniem armat nieprzyjacielskich.

Zdała jednak dawały się słyszeć gęste wystrzały z broni ręcznej, oznajmijące zbliżanie się Davouta. Resztki nieszczęsnej dywizyi Broussier zostały ocalone, ale pozostało z niej tylko 400 żołnierzy. Korpus Davouta składał się z 9,000 ludzi, ale nie miał artyleryi i było niepodobieństwem przyjmować na dobre bitwę, należało tylko przebić się przez zastępy Miloradowicza i ks. Golicina. Nadzwyczaj śmiałem natarciem na bagnety marszałek zdołał otworzyć sobie drogę i zdobył wąwóz Łosminy, stanowiący ważną i trudną pozycję. Straszny bój wrzał też we wsi Uwarowo, ogromne straty ponieśli Francuzi od rosyjskiej artyleryi.

¹⁾ W tej bitwie dowodził Rosyanami Miloradowicz, a jazdą Wasilczykow. Francuzów legło 1800 ludzi, a Rosyan drugie tyle.

Napoleon, po przebicciu się marszałka, polecił mu wejść w kontakt z Ney'em, a sam z wojskiem pociągnął do Orszy. Davout, widząc niemożebność długiego utrzymania pozycji, opuścił ją.

Osiemnastego dopiero nadeiaga Ney, formuje wnet swych żołnierzy do ataku i rzuca się z bagnetem na nieprzyjaciela, stojącego przed nim w ciemnych masach, kilkakrotnie przewyższających jego siły. W przeciągu godziny marszałek traci 3,000 ludzi. Wówczas wysłany został parlamentarz, wykazujący zupełną niemożebność przebiccia się. Marszałek odpowiada z dumą, iż ani myśli o poddaniu się, że zdoła sobie drogę utorować a parlamentarza zatrzymuje. Ney czeka nocy. Gdy zapadła, przykazuje swym żołnierzom zachowanie jaknajwiększego spokoju i milczenia, szykuje ich w marszowe kolumny i zwraca się ku Dnieprowi. Było to przedsięwzięcie nad wyraz ryzykowne, a ocalenie o tyle możebne, o ile lód mógłby znieść ludzi, konie, działa, wozy. Na szczęście napotkany stary chłop posłużył za przewodnika, doprowadził do miejsca, gdzie lód o tyle był odporny, że przy ostrożności rzuconych z brzegu desek i t. p. przeprawa okazała się możliwa, chociaż nie obyło się bez wypadków, zatonięcia ludzi, wozów, koni. 18-go w nocy przeprawa przez Dniepr na prawy jego brzeg została dokonana. Następnego dnia kozacy pod hetmanem Płatowem zmiarkowali dopiero, iż im się nieprzyjaciel wymknął, i rzucili się za nim w pogon z swą lekką artylerią na saniach. Dognawszy wyczerpane wojsko, rzucali się zaciekle na jego tyły i boki i Ney musiał kilkakrotnie ustawiać w czworoboki swą piechotę, aby się módz oprzeć nawale dzikich jeźdźców. Dopiero pod wieczór mógł Ney połączyć się z Mortierem i ks. Eugeniuszem, którzy wyszli na jego spotkanie. Ogółem kilkodniowe bitwy pod Krasnem pociągnęły za sobą straty 12,000 ludzi, padłych na placu boju.

W Orszy, w której zatrzymał się cesarz, zebralo się 24,000 prawdziwego wojska i ze 25,000 maruderów włóczęgów. Była to zaledwie połowa tej liczby, która opuściła Moskwę w październiku a ósma część z 420,000, które przeszły w czerwcu przez Niemien. Trzeba jednak dodać, że przy strasznych nieszczęściach, spowodowanych nieopatrzna kampanią i jej uplanowaniem, fortuna Napoleona jeszcze całkowicie nie opuściła, nie dostał się wraz z resztkami swej armii do niewoli. O wzięciu zaś Napoleona do niewoli marzyli przedewszystkiem kozacy i omal to nie nastąpiło, jak widzieliśmy, pod Małym Jarosławcem. Mógł on też uleść i przeważającej sile.

A czekała jeszcze jedna straszna przeprawa przez Berezynę. Mostu na Berezynie nie mogli obronić polscy wodzowie: Dąbrowski, Bronikowski, mający pod swymi rozkazami tylko 5,000 żołnierzy. Most został przez Rosyan wysadzony w powietrze, gotował się zatem grób dla „Wielkiej Armii“ która wzięta we dwa ognie, nacierającego z prawej strony Czyczagowa i Witgensteina a z tyłu całej armii Kutuzowa, musiałaby uleść lub zginąć co do jednego żołnierza. Niemal jednak cudem został odnaleziony bród przez generała Corbineau i jego kawalerzystów pod wsią Studzianką. Zaświtała nadzieja ocalenia. Napoleon nakazał natychmiastową budowę mostów generałowi Eble i jego pontonierom, którzy z bezgranicznem poświęceniem, zanurzeni po piersi w wodzie, unoszącej lodowate kry, pracowali dzień cały. W nocy z 26 na 27 zaczęła się przeprawa przez mosty, która ciągnęła się 27 i 28 do południa i dopiero 28, już pod naporem nieprzyjaciela most musiał być wysadzony w powietrze. Tysiące maruderów, włóczęgów nie zdołało się przeprawić i pozostało na lewym brzegu. Rąbek karty dziejowej nad wyraz tragiczny.

Napoleon, pomimo posiłków, przyprowadzonych przez Oudinota i Wiktora, miał tylko ze 28,000 żołnierzy a musiał się przebić przez napierające na niego 72,000. Polscy generałowie, Zajączek i Dąbrowski, wraz ze swymi hufcami, walczyli jak lwy.

Pomimo tak niesłychanie trudnych warunków, w jakich odbywała się przeprawa przez Berezynę, pomimo przemagających sił nieprzyjacielskich, Napoleon zdołał zmiażdżyć przeszkody i w ostatecznem niebezpieczeństwie błysnął znów jego geniusz.

Rzecz dziwna, że najsroższa temperatura zapanowała dopiero po Berezynie na Litwie. Po zwycięskiej przeprawie resztki Wielkiej Armii pociągnęły na Mołodecznę, Smorgonie w stronę Wilna. W Smorgoniach Napoleon opuścił armię zaniepokojony wieściami z Paryża i obawiając się o swój tron. Dowództwo powierzył Muratowi, który, niestety, nie stanął na wysokości, powierzonych mu, trudnych obowiązków.

Po wyjściu z Mołodeczny mróz był tak silny, że podług różnych pamiętników i relacji dochodził do 30° w polu, co może nie być przesadzonem, jeżeli wileńskie obserwatorium zaznaczało w tym czasie 24° R. Pułki, które nie przechodziły kampanii i z ciepłych kwater z Wilna wyszły na spotkanie niedobitków Wielkiej Armii, jak brygada Coutarda, jak kawaleria neapolitańska Francesti i połączyły się z nią w Mołodecznie i Oszmianie, w przeciągu kilku dni z powodu straszного zimna straciły do

8,000 ludzi, bądź zmarłych, bądź ubywających z powodu chorób z szeregów. Osmego i 9-go grudnia nieszczęsna armia weszła do Wilna.

Z tego krótkiego szkicu odwrotu Napoleona z pod Moskwy można wnosić: 1) że dezorganizacja w armii w pewnym stopniu już panowała przy opuszczeniu stolicy rosyjskiej; 2) że olbrzymi ogon, ciągnący za wojskiem, był balastem nadzwyczaj utrudniającym i opóźniającym jej pochód i wszelkie taktyczne, śmiałe obroty; 3) że brak kawalerii obezwładniał służbę wywiadowczą, forpocztową, a zarazem nie było obrony, zastony przed napierającymi wciąż kozakami¹⁾; 4) że odwrót, rozpoczęty w pogodnie, chociaż chłodne dni jesienne, odbywał się następnie wśród mrozów, śnieżyc, gołoledzi i nad wyraz trudnych warunków wyżywienia armii.

Nie można się zatem zgodzić z dowodzeniem ks. Bagrationa, że zima bardzo mało przyczyniła się do strasznych klęsk odwrotu, że te klęski były przedewszystkiem zadane przez wojska Kutuzowa i ciągłe napady kozaków.

Zapewne, Napoleon, zaczawszy od Małego Jarosławca, aż poza Berezynę, musiał wciąż walczyć i wciąż napierano na tyły i boki jego armii, aż pod Berezyną starano się ją zamknąć, okolić. Straty w tych bitwach i potyczkach były duże, niemniej orły napoleońskie zdołały sobie wszędzie utorować drogę i zatrzymane nie zostały. A rzuciwszy okiem na straty poniesione w bi-

¹⁾ Jednym z ważnych powodów straszego zniszczenia kawalerii był brak odpowiedniego podkucia. Generał Thaumass w swych „*Les grands Cavaliers du premier Empire*“ wyraża się (str. 490): „Konie, z których ani jeden nie był na łód kutty, nie mogły iść po drogach, krytych lodowatą powłoką, i tak, leżąc, przepadały. Brak odpowiednich rozkazów w tej mierze był niesłychany. Napoleon nie wydał żadnego rozporządzenia, a naczelnik sztabu, przyzwyczajony tylko do wypowiedzania jego myśli, nie zastąpił go; Murat zaś nie schodził do takich szczegółów“. Nadzwyczajny brak oględności — można tylko dodać — przewidywania, powiększył w olbrzymich rozmiarach ogrom klęski. Wszak oprócz zniszczenia kawalerii i sprowadzenia jej działalności do minimum, należało po oślizgłych gościńcach porzucać i armaty, których konie nie mogły ciągnąć, a po wyjściu z Wilna przepadł skarb armii wynoszący około 10,000,000, albowiem furgonów, napełnionych złotem, nie mogły konie pod górę, pokrytą lodem, w żaden sposób dźwignąć. Pieniądze zostały w małej części zrabowane przez żołnierzy francuskich, a największa część dostała się do rąk nieprzyjaciół.

twach i porównawszy je z nadzwyczajnem zmniejszeniem się armii od wyjścia z Moskwy, jasno się ujawnia, że straty od kul i szabli były o wiele mniejsze aniżeli od mrozu i głodu. Pod Małym Jarosławcem stracił Napoleon 4,000 ludzi, pod Carewo Zajmiszcze i Wiażyną do 3,000, w bitwach pod Krasnem 12,000, co czyni 19,000. Chociażby doliczyć 10,000 poległych w różnych potyczkach, wypadłoby około 29,000. Tymczasem w Orszy zdołał cesarz zebrać tylko 24,000 żołnierzy, za którymi ciągnęło 25,000 maruderów — a gdzież reszta? Odpowiedź na to pytanie nietrudna i wyłania się z samych niebywałych trudności odwrotu.

Wystawmy sobie na chwilę, że odwrót z pod Moskwy odbywałby się w lecie, że kawalerya byłaby w większej części zachowana, bo możnaby dla niej znaleźć furaz, i nie byłoby gołoleddzi, że armat po drodze nie należałoby porzucać z powodu ślizgawicy, i również z powodu braku koni, że tysiące tysięcy ludzi nie byłoby zmarło, rozchorowało się, oszalało z mrozów i głodu. Jakże cały dantejski ten obraz przedstawiałby się inaczej i zakończenie tej kampanii mogłoby być inne.

Przytoczone notatki wileńskiego obserwatorium nie zmniejszają bynajmniej strasznych trudności zimowego odwrotu wśród zaśnieżonych lub lodowatych płaszczyzn; parę stopni więcej lub mniej mrozu już-by sytuacji nie zmieniło. A jak strasznym żywiołem jest mróz, chociażby nawet średni, dla ludzi niedostatecznie ubranych (wojska francuskie nie miały zimowych ubrań) i głodnych, mogą sądzić ci, którzy w podobnych warunkach chociażby jedną noc tylko na ziennie spędzili.

Cała kampania rosyjska, tak jak ją przeprowadził Napoleon, była wielkim błędem, wypływającym z jego nadmiernej dumy, pewności siebie, opartej na długim powodzeniu. Nie chciał nawet zrozumieć, że bitwa pod Borodino nie była pogromem tego rodzaju, co Austerlitz, Jena lub Wagram.

Odwrót z Moskwy w tych warunkach, w jakich się rozpoczął, już niósł w sobie zarodek katastrofy, nieszczęścia. Ale główną przyczyną klęski odwrotu były—powtórzyć należy—nie tyle staczane po drodze bitwy, straty ludzi w walkach, ile pora roku, dławiący kościotrup zimy, połączony z głodem. Dziwić się należy, że w tych warunkach przynajmniej *honor* armii mógł być ocalony, że Napoleon ze swymi marszałkami, starą bohaterską gwardyą nie dostał się do niewoli, że ci żołnierze, którzy wytrwali w szeregach, bili się z niesłychanem męstwem. Dzisiejsze wojny podobnej wytrwałości, hartu i męstwa nie wykazują.

Urok Napoleona był wielki, podwajał, mnożył niejako jego zdzięsiatutowane szeregi. Ostrożny Kutuzow uważał, że dopiero pod Berezyną połączonemi siłami mógł mu zadać cios stanowczy. Jednak i z tej matni wyszedł Napoleon jeszcze zwycięsko.

Nie należy zatem obniżać trudności odwrotu z Moskwy, bo pomimo wszystkich błędów, popełnionych przez Napoleona, odwrot ten ma swoją wielkość, gdyż resztki Wielkiej Armii musiały walczyć nie tylko z nieprzyjacielem, ale i z nieubłagany, potężnym, niszczącym żywiołem zimy.

S. WOTOWSKI.

PIŚMIENNICTWO.

AURELI DROGOSZEWSKI. *Eliza Orzeszkowa*. Warszawa 1912. Nakład Gebethnera i Wolffa. Str. 95.

Studyum powyższe jest odbitką z tomu I wyboru pism Orzeszkowej, wydawanego nakładem firmy Gebethnera i Wolffa. Jako *wstęp* do tego wydania, musiało z konieczności ograniczyć się do dość szczupłych, z góry zakreślonych rozmiarów i podać tylko ogólny rys rozwoju twórczości Orzeszkowej, bez zapuszczania się w szczegółową analizę pojedynczych dzieł. Mimo to, jest to — jak dotychczas — najobszerniejsza praca, poświęcona zmarłej przed trzema laty autorce; a dodajmy z góry, że i najbardziej wyczerpująca i wartościowa. Składa się na to zarówno gruntowna znajomość spuścizny literackiej Orzeszkowej (ma się wrażenie, że autor śledził jej działalność od samych początków ze szczególniejszem zamięłowaniem) — jak też i uniejętność krytyczna, pozwalająca na dostrzeganie i odkrywanie ukrytych w dziełach problemów, wiązanie ich z życiem autorki i konstruowanie obrazu jej rozwoju duchowego, odbitego w długim szeregu nowel i powieści.

To też nie znajdziemy w studyum p. Drogoszewskiego szablonowych streszczeń, ani stereotypowych charakterystyk „bohaterów“ Orzeszkowej, znajdziemy natomiast wyrazisty obraz intensywnej pracy duchowej tej kobiety, która pozostawiona sama sobie, musiała z pokładów własnej duszy, bez niczyjej pomocy (albo w każdym razie z bardzo skromną pomocą) dźwigać i budować gmach swych wyobrażeń i pojęć, ugruntowywać swój pogląd na świat i swoje stanowisko wobec życia. Znajdziemy dalej wyraziście i przekonująco wyłożone (raczej zaznaczone) etapy tej pracy, warunki, wśród których się ona rozwijała, atmosferę du-

chową, którą musiała przewyciężyć, wreszcie decydujący wpływ, jaki wywarł rok 1863 na jej kierunek. Z własnych wspomnień autorki, z nielicznych, skądinąd znanych szczegółów biograficznych, wydobywa autor przenikliwie momenty charakterystyczne i łączy je z elementami i motywami przewodnimi późniejszej twórczości, wskazuje ścisły związek, jaki między temi dwiema dziedzinami istnieje, jak każda koncepcja, pogląd, każdy problem Orzeszkowej wyrasta na gruncie jej osobistego i otaczającego ją życia, jak tutaj twórczość staje się bądź zaznaczaniem, bądź rozwiązywaniem zagadnień, nasuwanych przez życie samo, jak horyzont spraw obejmowanych duchem rozszerza się powoli, ale stale i, co najważniejsza, jak twórczość Orzeszkowej i jej droga rozwojowa staje się wyrazem artystycznym przemian wewnętrznych, zachodzących w samym społeczeństwie.

Po krótkiem omówieniu dzieciństwa Orzeszkowej, jej stosunków rodzinnych, lat szkolnych, spędzonych na pensyi w Warszawie, i wreszcie wczesnego zamążpójścia, zastanawia się autor szczegółowiej nad znaczeniem siódmego dziesiątka lat ubiegłego wieku w życiu i działalności powieściopisarki. Jest to moment przełomowy, obudzenie się duszy w młodej kobiecie, używającej dotychczas życia, moment uświadomienia sobie pewnych obowiązków i zastanowienia się nad sobą. Katastrofa roku 1863 wywołuje w niej nie tylko bolesną reakcję uczuciową, nie tylko łączy się z okresem odrodzenia się duchowego, ale wywołuje pewne wyraźne skutki i zmiany w życiu osobistem, które muszą wycisnąć niezatarte ślady na całym jego dalszym biegu.

„Cała działalność Orzeszkowej—powiada autor—zależna jest od wstrząśnień przeżytej tragedyi, zarówno narodowej, jak osobistej... Przedmiotową treścią utworów autorki były zwykłe zdarzenia chwili bieżącej, zagadnienia aktualne: praca i dostojność kobiety, program pozytywnej działalności społecznej, sprawa i położenie Żydów, filantropijny ideał „Nad Niemnem“, lęk przed „Widmami“, imperatywy etyczno-społeczne. Lecz ta przedmiotowa strona całkowitej treści nie wyczerpuje. Pilniej się wpatrując w całokształt twórczości Orzeszkowej, spostrzeżemy, że tchnienie przeszłości i pamięć o niej przenika wskroś wszystkie dzieła autorki. Układają się one w szereg zwarty, stanowiący jakby kronikę historyczną losów społeczeństwa polskiego na Litwie, kronikę, którą martyrologią często zwać można. Orzeszkowa odczuwa i w ten czy inny sposób reaguje na zachodzące w środowisku wspomnianem przeobrażenia stosunków rzeczowych, chwytą i utrwała zmienne fale ustrojów, przeżywając je wszystkie w głę-

bi serca, czujną myślą wyodrębniając różne ich składowe pierwiastki. Jedne z nich pragnie wzmocnić, inne osłabić" (str. 18, 19).

Pierwszą epokę twórczości Orzeszkowej zamyka autor w lata 1866—1874. Rozpoczyna ją „Obrazek z lat głodowych“, drukowany w „Tygodniku Illustrowanym“ z r. 1866. Później idą już ciągiem nieprzerwanym powieści i obrazki: „Ostatnia miłość“ (1867), „Z życia realisty“, „Na prowincyi“, „Cnotliwi“ (1868); „W klatce“, „Pan Graba“ (1869); „Pamiętnik Wacławy“, „Wesoła teoria i smutna praktyka“ (1869—1870); „Pajęczyna“, „Na dnie sumienia“ (1871); „Marta“, „Stracony“ (1872); w r. 1873 wreszcie „Rodzina Brochwiczów“, a w 1874 „Eli Makower“. Tu należą również teoretyczne rozprawy, jak „Kilka słów o kobietach“ i „Listy o literaturze“.

„Najbliższem zagadnieniem w tej pierwszej dobie twórczości była dla Orzeszkowej sprawa kobieca, pierwotnie nawet sprawa stosunku wzajemnego obu płci. Z tem podstawowem zagadnieniem kojarzą się takie, jak stosunek uczucia do rozumu, jak sprawa wychowania, jak wreszcie sprawa pracy narodowej i zachowania bytu narodowego“ (str. 28). Analizując te poszczególne problematy i sposób postawienia ich u Orzeszkowej, autor wykazuje ścisły związek ideowy i uczuciowy, istniejący pomiędzy następującemi po sobie dziełami, a równocześnie rozszerzanie się tła, obejmowanie coraz szerszych kręgów, indywidualizowanie się postaci, ożywianie dyalogu i operowanie coraz naturalniejszymi sytuacyami. Powoli sprawa kobieca, a raczej sprawa małżeństwa otwiera perspektywy na kwestyę wychowania, ta łączy się znowu z kwestyą rodziny i warunków otoczenia, a stąd już niewielki krok do zajęcia się całokształtem ogólnych warunków bytu społecznego. Ta stopniowa ewolucja poglądów Orzeszkowej pozwala widzieć w niej do pewnego stopnia typ umysłowości naszej drugiej połowy w. XIX, „rozważanej nie w pojedynczych jej przedstawicielach, lecz w masie narodu“ (str. 37). W ten sam sposób bowiem, powoli, oparłszy się o grunt tradycyi, bez gwałtownych skoków ani rewolucyi wewnętrznych rozwijała się umysłowość całego społeczeństwa.

„Orzeszkowa nie wystąpiła jako reformatorka—powiada autor — okryta stalową zbroicą we wszystkich szczegółach wykończonej doktryny. Własnej pracy duchowej zawdzięcza wszystkie swoje zdobycze, własną lampką rozświecać musiała ciemności, które ją otaczały. Prawda, nowe pojęcia, nowe wyniki myśli nietylko nie są dla niej obce, lecz wchodzą do gmachu pojęciowego, pracowicie wznoszonego. Lecz wszystko to staje się dla autorki materyałem, przechodzi przez wewnętrzne laboratorium

i wreszcie staje się elementem ogólnej budowy, o ile w nią może wrosnąć organicznie. To też i w praktycznych swych dążeniach Orzeszkowa nie pragnęła burzyć starych gmachów, by wznosić na tem miejscu nowe. Marzyła tylko o dokonaniu w wygodnem, dawno już zbudowanem domostwie drobnych zmian i drobnych ulepszeń, któreby jednak odświeżyły powietrze i dały dostęp światłu. Ale z biegiem czasu okazywała się potrzeba zmian coraz donioślejszych i znaczniejszych. Punktem wyjścia jest zawsze pewien zwyczajowy układ stosunków i wyobrażeń, w którym wyjmują się te lub owe ściany, rozszerzają się okna i drzwi, lecz podwaliny zostają nietknięte..." (str. 37).

Zalety artystyczne owoców tej pracy duchowej są jeszcze w tym okresie dość nikłe. W stosunku autorki do materiału twórczego przeważa tendencya, dydaktyzm, moralizatorstwo, wszechwładne panowanie założeń myślowych, naginanie do nich charakterów, sytuacji i wypadków ze szkodą prawdy artystycznej, co zresztą będzie w mniejszym lub większym stopniu stałem znamieniem Orzeszkowej jako powieściopisarki, a co autor przy omawianiu późniejszych epok jej działalności niedość wyraźnie podkreśla.

Lata 1874—1881 nazywa autor okresem przejściowym, poprzedzającym epokę dojrzałości talentu. Należą tu: „P. Luiza“ (1874), „Dziwak“ (1875), „Szara dola“ (1876), „Milord“ (1877), „Dobra pani“ (1882). Tę grupę utworów kwalifikuje autor jako studia psychologiczne. Dalej idą obrazki z bruku, jak: „Julianka“ (1877), „Czternasta część“ (1877), „Nierózowa sielanka“ (1878), „Zefirek“ (1880), „P. Antonina“ (1881), „Złota nitka“ (1881). Inna grupa znowu poświęcona jest Żydom. Na czele jej stawia autor „Eli Makowera“, zaliczonego poprzednio do epoki pierwszej, dalej „Meira Ezofowicza“ (1877), „Silnego Samsona“ (1878) i „Daj kwiatek“ (1878).

Już z wyliczenia i ogólnego scharakteryzowania powyższych utworów widać, że zmienia się tu sfera spostrzeżeń i materiał powieściowy, na widowni ukazują się żywioły miejskie, autorkę zaczynają obchodzić zagadnienia psychologiczne, „znikają—powiada autor (mybyśmy powiedzieli zmniejszają się)—dydaktyczne rozprawy i komentarze, dyalog staje się naturalny, rysy postaci już są bliższe rzeczywistości, konsekwencya zdarzeń uniezależnia się od narzuconej tezy, jest przeciwnie wynikiem sytuacji i charakterów, całość wywołuje większe niż dawniej złudzenie prawdopodobieństwa“ (str. 46).

Osobną grupę w tym okresie przejściowym konstruuje autor z następujących utworów: „Widma“ (1880), „Sylwek Cmentarnik“ (1880), „Pierwotni“ (1881), „Zygmunt Ławicz“ (1882), „Bańka mydlana“ (1882). W związku z temi dziełami wspomina o rozprawie „Patryotyzm i kosmopolityzm“. Wszystko razem obejmuje nazwą grupy *widm*, której cechą naczelną jest przeciwstawianie się autorki prądom kosmopolitycznym. Autor słusznie zwraca uwagę na szablonowe traktowanie postaci tych „kosmopolitów“, powinien był jednak — naszym zdaniem — wyciągnąć z tego odpowiednie konsekwencye co do ogólnej charakterystyki omawianego okresu.

Zwrot Orzeszkowej ku obrazom historycznym wyjaśnia p. Drogoszewski za Chmielowskim smutną rzeczywistością, jaka ją wówczas otaczała, odjęciem jej możności działalności społecznej przez zamknięcie stworzonej przez nią spółki wydawniczej polskiej w Grodnie — i wreszcie potrzebą krótkiej chwili zapomnienia. W tym czasie powstają „Stare obrazki“, „Mirtala“, „Westalka“, „Czciiciel potęgi“ i t. p. Ale i w tych utworach podkreśla autor tchnienie współczesności, poruszanie zagadnień ogólnoludzkich i związek ich z niektórymi powieściami okresów poprzednich.

Trzecia epoka twórczości Orzeszkowej objęta jest latami 1883 — 1891, a jest to epoka dojrzałego już i zupełnie rozwiniętego talentu. Powstają teraz takie nowele i powieści, jak „Echo“, „Za doliną róż“, „Tadeusz“ (1884), „Gedali“ (1884), „Przy dochodzeniu śledczem“ (1885) i takie powieści, jak: „Dziurdziowie“ (1885), „Nad Niemnem“ (1886), „W zimowy wieczór“ (1887), „Cham“ (1887), „Bene nati“ (1891). Wspólne znamię wszystkich tych utworów widzi autor w tem, że „jakby roztwierają się przed nami nowe, całkiem nam dotąd nieznane kraje. Powieści te odznaczają się dokładnie wystudyowanym i doskonale odtworzonym tłem, szerokością i wszechstronnością obrazu, mnogością rysów obyczajowych i wreszcie wielką liczbą zindywidualizowanych, charakterystycznych i oryginalnych postaci“ (str. 66). Autor zachwyca się (i słusznie) powieściami temi, podkreśla ich wartość jako dokumentu historycznego, ich wartość wychowawczą, „rozszerzającą“ umysł i serce; wydaje nam się jednak, że czasami zadaleko się w tych zachwytach posuwa, twierdząc np. iż „z wszelką pewnością utrzymywać możemy, że nikt przed Orzeszkową nie dał nam tak prawdziwych, tak szeroko zakreślonych obrazów życia ludu“ (str. 66, a Prus i jego „Placówka“ z r. 1886?) lub rzucając pytanie retoryczne: „Kto odczuł tak silnie, jak Orzeszkowa, śmierć

miłości? Kto potrafił stworzyć „Pieśń przerwana”? Kto wyrzucił ze swej piersi tę pieśń przedziwną: „Śmierć domu”? (str. 80).

Następny rozdział swej pracy poświęca p. Drogoszewski rekapitulacji dotychczasowych wywodów i pewnego rodzaju charakterystyce i ocenie ogólnej Orzeszkowej. Zajmiemy się nim przy końcu, a teraz jeszcze parę słów o ostatnim okresie twórczości autorki „Ad astra”.

W tej ostatniej epoce spostrzega autor dominujący ton smutku i przyznaje się, że nie potrafi go wytłómaczyć. Orzeszkowa powraca do zagadnień etycznych, tworzy cykl „Melancholików” (1896), do którego należy i „Pieśń przerwana”, również—naszem zdaniem—zbyt entuzjastycznie oceniona przez autora. Dalej następuje cykl „Australczyków”, do którego zaliczono „Iskry” (1898), „Argonautów” (1899), „Chwile” (1901), „Anastazyę” (1902), „Ad astra” (1902), „Przędzę” (1903) i nowelę „I pieśń niech zapłacze” (1905). Ostatni zbiór „Gloria victis” (1910) zwraca się znowu i bezpośrednio już do epoki pamiętnej w dziejach duszy Orzeszkowej.

Streściliśmy studyum p. Drogoszewskiego celem ukazania metody jego pracy i wyników, do jakich dochodzi. Mimo zastrzeżeń, jakieśmy kilkakrotnie czynili, przyznać musimy, że metoda okazała się skuteczna, a wyniki ciekawe i ważne. Charakterystyka rozwoju duchowego Orzeszkowej, wyszczególnienie i ustalenie składowych czynników jej poglądu na świat i talentu, podział jej twórczości na okresy dokonany na podstawie głębokiej znajomości jej dzieł i uwzględnienia przedewszystkiem decydujących tu czynników wewnętrznych, a oprócz tego wiele trafnych i głębokich uwag o poszczególnych powieściach, postaciach, czy też całych grupach utworów — wszystko to stanowi trwałą i niepoślednią wartość pracy p. Drogoszewskiego. Szkoda jednak, że pominął zupełnie lub częściowo pewne strony twórczości Orzeszkowej i pewne jej cechy, które, omówione dokładniej, przyczyniłyby się niewątpliwie do uplastycznienia jej portretu. Mam tu mianowicie na myśli stronę artystyczną jej powieści, którą autor tylko od czasu do czasu i to w zbyt skąpych słowach porusza. To, co p. Drogoszewski o tej sprawie mówi, jest słuszne i trafne, ale rzucone jakby mimochodem i niezłączone z całokształtem jego wywodów, niezawsze włączone w ogólne charakterystyki.

Drugi zarzut dotyczy pozbawienia się tak wdzięcznego i tak ogólnie używanego środka pogłębiania wszelkich charakterystyk i ocen, jakim jest stawianie danego pisarza na tle ruchu umysłowego epoki i porównywanie jego dorobku artystycznego, poglądu

na świat i stanowiska wobec życia z dorobkiem, poglądami i stanowiskiem innych wybitnych pisarzy współczesnych. Przez spreycyzowanie pokrewieństw i różnic, jakie łączą danego twórcę z innymi lub go od nich dzielą, występuje wyraźniej i plastyczniej jego własna psychika, a krytyk nie jest w tym wypadku narażony na zbyt miłosne zapatrzenie się w jedną postać. A takie zapatrzenie się musi być zawsze ze szkodą dla równowagi i trzeźwości sądu, dla ostatecznej oceny, wyznaczającej omawianemu twórcy odpowiednie stanowisko w dziejach literatury. Gdyby p. Drogoszewski zadał był sobie trudu zestawzić całokształt twórczości Orzeszkowej lub poszczególne jej epoki z twórczością choćby tylko Prusa, z którą łączą ją wyraźne pokrewieństwa i niemniej wyraźne różnice—byłby może zmodyfikował niektóre swoje sądy, ujrzał wyraźniej niektóre braki i słabości Orzeszkowej, jako wyrazicielki epoki, zrozumiał głębiej pewną, subtelną zapewne, ale niemniej przeto istniejącą sztuczność i sztywność jej stosunku do życia, a wskutek tego ostateczna ocena wypadłaby może mniej entuzjastycznie, ale posiadałaby większą obiektywną wartość.

M. KRIDL.

ATTILIE BEGEY. *André Towiański et Israël*. Actes et documents (1842—1864) avec une lettre de M-r Ladislas Mickiewicz à l'Auteur. Rome chez G. Romoqua. Via Marco Minghette № 26—29. 1912, str 134.

Towiański wyznaczał Żydom wysokie miejsce wśród ludów dlatego, że płonie wśród nich „czysty izraelski ogień miłości Boga”. Odejście od tej zasadniczej wartości ducha Izraela, sprzeniewierzenie się temu tonowi sprawia, że Izraelita staje się Żydem, że „grzęźnie w błotnistej teraźniejszości”, że spożywa „owoc posłuszeństwa złemu, a nieposłuszeństwa Panu Bogu swojemu”. Trzeba się stać Izraelem prawdziwym, a łatwo zostanie się podniesionym „ze szczebla izraelskiego niższego na wyższy chrześcijański szczebel”¹⁾. Powołaniem Żydów w „epoce chrześcijańskiej wyższej”, którą głosił, jest powrót do tego ognia, spełnienie przykazania „Jam jest Pan Bóg twój, nie będziesz miał Bogów cudzych przedemną”, przez co odrodzi się „życie Izraela

¹⁾ Pisma Andrzeja Towiańskiego, t. I.

upadłego i zamarłego na duchu“. „Nie stawszy się wprzód Izraelem prawdziwym, nie pójdziesz wyżej Izraelu, grzęznąć będziesz przez wieki w żydowskim błocie twojem i przeciągać będziesz wiekową pokutę twoją!“¹⁾ „Izrael nieczysty“, Żyd, niema czystości i pokory. „Na polu ziemskim i duchowem nie idzie mu o prawdę, o wolę i łaskę Bożą, ale o wolę i siłę własną“. Izrael taki „przyjmując chrzest, a z nim formy Chrystusa, odrzuca Chrystusa w istocie, bo odrzuca krzyż Jego, odrzuca ofiarę i pokorę. Gasi on w sobie ogień izraelski, przestaje być Izraelem prawdziwym, a nie biorąc istoty chrześcijaństwa, nie staje się chrześcijaninem prawdziwym“²⁾. „Przed Bogiem stoją te winy, ale też stoi i ciężka pokuta Izraela, stoją przeszłe jego zasługi i ta obecna zasługa, że nie dał złemu zagasić w sobie do szczętu izraelskiego ognia miłości do Boga“³⁾. ... „Jedni Żydzi jeszcze przez te 1800 lat zachowali między sobą prawdziwe uczucie Boga. Kiedy rabin w swojej bóżnicy z głębi ducha jęknie, to odbierze czystsze potrącenie ducha i siłę, którą innym komunikuje“ — powiedział Mickiewicz na zebraniu Koła⁴⁾.

Uczniem, który miał podnosić Żydów do tego szczybla, który miał im głosić „sprawę“ czynioną przez Towiańskiego, zdawało się, że będzie nawrócony po krótkiej rozmowie z „mistrzem“ Żyd Ram z Wilna, syn Abrahama Gersona i Małki Ramów, ochrzczony w Paryżu w kościele św. Seweryna dnia 15 maja 1842 r.

Rzeczywiście Jan Andrzej Ram udał się na wędrowkę po Francyi dla głoszenia „sprawy“ Żydom, co naraziło go na wygnanie z granic Francyi. Wyjechał do Rzymu, gdzie spotkał Towiańskiego, niedopuszczonego do papieża i opuszczającego właśnie miasto na rozkaz policji papieskiej. Towiański dał mu list do papieża, który Ram wręczył na otrzymanem posłuchaniu 4 listopada 1843 r. P. Begey słyszał od „sług sprawy“, że papież przyjął Rama z lekkim, ironicznym uśmiechem, mówiąc „ah, ah, un juif converti“, ale następnie wysłuchał go bardzo poważnie. W r. 1845 Ram odbył pielgrzymkę do Jerozolimy, gdzie po synagogach głosił „sprawę“, otrzymał posłuch u wielu dawnych współwyznawców, poczem, mimo wygnania, powrócił do Francyi, wreszcie widzimy go w Londynie. W Londynie przebył ewolucyę po-

¹⁾ Pisma Andrzeja Towiańskiego, t. I.

²⁾ Ibidem, t. III.

³⁾ Ibidem.

⁴⁾ Współudział A. Mickiewicza w sprawie A. Towiańskiego.

wrotną, opętał go bożek Żydów, złoty cielec, z izraelity, apostoła „sprawy“ stał się Żydem Jan Andrzej Ram.

Do tego właśnie czasu książka p. Begey przynosi kilka niewydanych listów Romualda Januszkiewicza i te, jak również metryka chrztu Rama, ze stanowiska heurystyki są jedyną jej wartością, reszta bowiem zawiera rzeczy już znane, zawarte w pismach Towiańskiego, we „Współdziale Adama Mickiewicza w sprawie A. Towiańskiego“, w publikacji „Kilka aktów i dokumentów, odnoszących się do działalności A. Towiańskiego“ oraz w drugiej „*Quelques actes et documents concernant André Towiański et la France*“ (Reims 1905) i t. d. O obawach Mickiewicza względem Rama pisać tutaj nie będę, są to bowiem rzeczy znane, przechodzę do listów Januszkiewicza. Dwa są do Rama, datowane z Solury 14 grudnia 1850 r. i 13 grudnia 1852 roku. W pierwszym Januszkiewicz opowiada Ramowi o widzeniu, jakie miał o nim od Boga. Potwierdza się to, co powiedziano wyżej, że Towiański i jego Koło pokładało wielkie na Ramie w sprawie swojej nadzieje. Píše bowiem Januszkiewicz, że Bóg w jego duszy przedstawił dwa obrazy z życia Rama.

W pierwszym czytamy: „*Ram, choisi le premier parmi Israël, à l'appel de Dieu, se tient plein d'humilité et de soumission devant le Seigneur et devant son Serviteur, l'Homme de Dieu, il renonce aux pieds de Jésus-Christ à la dureté d'Israël et accepte le symbole du chrétien*“ i t. d. Ale w obrazie drugim: „*Ram, dans la misère intérieure, dans la chute, dans le reniement de Dieu et de son Oeuvre sainte, en désavouant ce qu'il a aimé, ce qu'il a promis devant le Verbe vivant, en quittant la voie de Jésus-Christ, a offensé le ciel, a préféré Mammon à la plus grande hauteur, s'est voué à la mort, a perdu le mouvement de son esprit, l'unique trésor du vrai chrétien, du vrai Israël, et il a tellement abaissé son grand esprit que la bassesse l'a dominé tout entier et qu'il s'est soumis à la loi inférieure*“ i t. d.

Słowa te nie pomogły, tak jak nie pomógł surowy list Towiańskiego, ogłoszony, naturalnie bez daty, w pismach Towiańskiego¹⁾. „Kiedy podobało się Bogu dla próby wierności twojej oraz dla większej zasługi i rychlejszego postępu twojego, narazić cię na kuszenie złego,—ty, bracie, powołany apostołem chrześcijański Izraela, któryś pierwszy powinien był zwyciężyć główny grzech jego: cześć i miłość ziemi, mamony—tych bałwanów, tych

¹⁾ Tom III, str. 296.

bogów cudzych—uległeś kuszeniu złego i w niestłuchanem zaślepieniu, zapomniawszy o wszystkim, co w ciągu tych lat błogosławionych stało się w tobie i przez ciebie za sprawą łaski Bożej, odwróciłeś ducha twojego od nieba, a zwróciłeś go do ziemi, ze śmiałością i pewnością wróciłeś się na drogę ziemską, oddałeś się jej cały, złamałeś przykazanie Boże: Jam jest Pan Bóg Twój, nie będziesz miał bogów cudzych przedemną—a przez to bałwochwalstwo stałeś się odstępcą Boga, Pana twojego, zdradziłeś też Izraela, brata twojego“.

W dwóch listach Januszkiewicza o Ramie, pisanych 11 sierpnia 1854 i 2 listopada 1856 r., bez wymienienia przez p. Begey do kogo, znajdujemy wiadomości, że na „drodze ziemskiej“, na którą się z „taką pewnością i śmiałością“ Ram udał, powiodło mu się nienajgorzej. Sumy, które zarabiał i zyskiwał, były wcale duże. Gdy go widział Januszkiewicz w r. 1854 w Paryżu, Ram o „mistrza“ się nawet nie zapytał, za co mu Januszkiewicz gorzkie czynił wymówki. Po drugim widzeniu Rama pisze Januszkiewicz: „Il est toujours le même, avec cette différence seulement, qu'il est poussé encore davantage vers la terre, parce qu'elle le paie bien: ces derniers temps il a gagné 33,000 francs; il travaille dans une grande fabrique aux alentours de Londres...“ Januszkiewicza unikał.

Książka p. Begey ma na celu przedstawienie stosunku Towiańskiego do Żydów, i o ile ten stosunek zrozumiany być może w oderwaniu od całości doktryny, to cel swój osiąga. List Wł Mickiewicza, służący za przedmowę do książki p. Begey, dowodzi niezgody uczucia antysemitycznego z uczuciem chrześcijańskim

STANISŁAW SZPOTAŃSKI.

A. M. SKAŁKOWSKI *O kokardę legionów*. Lwów, 1912.

Autor cennej pracy o generale Henryku Dąbrowskim w niniejszej książce „O kokardę legionów“ opracował historię pierwszych prób restytucyjnych po upadku Rzeczypospolitej i trzecim rozbiórze.

Więc w pracy „O kokardę legionów“, opartej na poszukiwaniach archiwalnych, korespondencyach, pamiętnikach i dotychczasowych przyczynkach i opracowaniach odnośnie do tego okresu czasu, daje nam autor pod względem wielkiego zebrania materya-

łu wyczerpujący okres historyczny kilkunastu lat po upadku Rzplitej, odzwierciedlający życie, dążenia i programy polityczne nieszczęśliwych synów ojczyzny, rozbitków, poszukujących wśród innych narodów, a przede wszystkim Francyi, pomocy i interwencji. Ludzie ci poświęcą wszystko dla tej idei, uwierzyć nie chcą i nie mogą, że wszystko stracone po klęsce maciejowickiej. Utrzymuje ich przy życiu i krzepi myśl legionowa, zjednanie dla niej rządu francuskiego. To staje się osią zabiegów wychodźstwa polskiego po upadku powstania, ta kokarda legionów, symbol odrodzenia Polski.

Praca więc p. Skałkowskiego „O kokardę legionów“ obraca się głównie w kole tych zabiegów, tej akcyi dyplomatycznej—na pola walk do legionów nie prowadzi nas autor. Źródłowy, badawczy charakter książki coprawda z trudnością pozwala wnikać czytelnikowi w psychologię tego pokolenia emigracyjnego, żadna z postaci historycznych, działaczy, polityków wyraźnie się nie zarysowuje. Stosunkowo najwięcej miejsca poświęcił autor Kościuszce; na tle dążeń legionowych stanowisko jego jest wyraźnie i jasno sformułowane i przedstawione. To stanowisko Kościuszki, stosunek do Europy i Napoleona, jego działalność około zrealizowania myśli legionowej, jego poglądy na sprawę polską—są ciekawą genezą faktu, dlaczego Kościuszko nie poszedł za gwiazdą Napoleona. A udział jego w życiu emigracyjnem, jak wykazuje autor, był ogromny, był on przede wszystkim duchowym przewodnikiem, moralną ostoją wychodźstwa polskiego, powoli jednak rozdźwięk między nim a wschodzącą gwiazdą Napoleona rośnie. Gdy przyjdzie rok 1806, zwycięstwo pod Jeną, Kościuszko usunie się wówczas, broniąc do ostatka jednak kokardy legionów, idei niepodległości. Ten ciekawy stosunek Kościuszki do Napoleona stwierdza całą wielką, moralną potęgę Naczelnika, jego niezłomność przekonań i najczystszy patryotyzm. Dowodzi jednak to, że politykiem dobrym nie był, zresztą znajduje się on stale w jakiejś depresyi duchowej od czasu Maciejowic, z której właściwie naprawdę nie otrząśnie się nigdy.

Zarzutu Kościuszce z tego, że nie poszedł za gwiazdą Napoleona, robić niewolno, stwierdzenie jednak tego faktu i wyciągnięcie z niego pewnych konsekwencji jest koniecznem. Uczynił to p. Skałkowski w swojej książce w sposób oględny i zgodny z prawdą dziejową. Co do Dąbrowskiego — to autor oddzielnej monografii o Dąbrowskim chyba najbardziej był powołanym do scharakteryzowania działalności Dąbrowskiego w zabiegach i walce o kokardę legionów; w książce jednak p. Skałkowskiego potężna po-

stać Dąbrowskiego znikła, wsączyła się w tę całą rzeszę emigrantów, projektów, chaosu, swarów i dążeń, że odszukanie jej staje się trudnem dla czytelnika.

Tytuł „O kokardę legionów“ uogólnił autor i na inne szkice zawarte w tej książce, aczkolwiek niesłusznie. W studyum „Polskie nazwiska na łuku tryumfalnym“, wśród kilkuset nazwisk wojskowych francuskich, znajduje się osiem nazwisk polskich: Chłopicki, Dąbrowski, Zajączek, Sułkowski, Kniaziewicz, ks. Józef Poniatowski nakoniec dwa nieznane polskie nazwiska — Wołodkowicza i Łazowskiego. Tych ostatnich stara się autor wy dobyć z niepamięci przez bliższe określenie ich pochodzenia, czynów i zasług. Ale właściwie dla kokardy legionów to zasług nie położyli żadnych, ponieważ żaden z nich nie był w legionach. Wołodkowicz, jak sam autor przyznaje, nie odznaczył się żadnym czynem dla Polski, był wierny znakom napoleońskim i ta wierność była głównym powodem do przyznania mu miejsca na łuku tryumfalnym, Łazowski zaś w swych pragnieniach, dążeniach i czynach był tylko jednym z Wielkiej Armii; przygodnie, krótko i w późnym wieku oglądał Polskę.

W studyum o „Ludwiku hr. Pacu“ dowiadujemy się, że wstąpił on do wojska dopiero w r. 1808, a więc również nie brał udziału w walkach o kokardę legionów. Studyum to jednak pisane z wielkim rozmachem, odtwarzające w szczupłych ramach szkicu historycznego duchowy wizerunek tego wielkiego pana, magnata, żołnierza, niosącego życie i mienie w ofierze krajowi, sięga już poza okres wojen napoleońskich, obejmuje czasy Królestwa Kongresowego i emigracyi.

Nakoniec w pozostałych dwóch artykułach mówi autor o „siostrzeńcu Kościuszki“ Sykstusie Estko, żołnierzu legioniście, ranionym śmiertelnie w bitwie pod Lipskiem; w szkicu „Oficerowie z pod Austerlitz i Jeny“ rozwiązuje pytanie czy Polacy byli pod Jeną i Austerlitz i jaki udział brali w tych dwóch świetnych kampaniach napoleońskich. Przytacza autor cały szereg wojskowych polskich—byłych legionistów, którzy położyli duże zasługi wojenne i dla tych to zasług należało im się słowo wspomnienia.

WACŁAW ORŁOWSKI.

Kronika miesięczna.

Pięciolecie Kółek Rolniczych.—Piętnaście lat pracy Pogotowia Ratunkowego.—Wspomnienie o Szkole Głównej.—Rada Narodowa w Wielkopolsce.—Zwycięstwo polskie w sprawie wywłaszczenia.—Losy samorządu miejskiego dla Królestwa.

Nawał spraw, dyktowanych przez nieubłagane w swym wartkim prądzie życie, zmusza czasem do zapomnienia o ważnych bardzo i istotnych polach pracy społecznej. Dynamika bierze górę nad statyką; lśniąca w rozbijaniu się swem falą pokrywa głęboki i stały nurt toni. Dlatego zbierają się i nam zaległości; na szczęście aktualność codzienna nie obowiązuje miesięcznika. Owszem święcić na tem miejscu powinna swoje panowanie zasada: lepiej późno, niż nigdy. W jej imię dziś dopiero pomówimy o pięcioleciu Kółek Rolniczych i o piętnastoleciu Pogotowia Ratunkowego. Pierwsze upamiętnia artykuł w kalendarzu cennym a własnym; drugie - specjalnie wydana książka.

W końcu r. 1906-go rozpoczęły się pierwsze narady nad tem, jak zbliżyć do siebie, jak złączyć między sobą powstające prawie jednocześnie, pod wpływem potrzeb codziennych kółka rolnicze. Wzory były o miedzę, w związkowych organizacjach drobnych rolników Prus i Galicyi. Jednakże u nas była istniejąca zawsze obawa, czy ustawa nowej organizacyi zostanie zatwierdzona, z drugiej strony zaś chodziło i o to, aby nową zespolić ze starszą, bratnią instytucją, z Centralnem Towarzystwem Rolniczem. Stworzono zatem przy niem Centralny Wydział Kółek Rolniczych, który pracę swoją rozpoczął d. 15 maja 1907 r.

Gospodarstwa drobne były wówczas w zupełnem zaniedbaniu; zaledwie tu i owdzie na drobnego sąsiada oddziaływał przy-

kład najbliższego większego właściciela, któremu się dobrze powodziło. Było więc pole do pracy szerokiej. To też odrazu, w ciągu paru miesięcy powstało aż 571 kółek. Było w tem dużo zapasu słomianego, to też wiele z nich prędko zeszło ze świata, nie pozostawiając żadnych prawie śladów swojej działalności; za to te, które następnie wytrwały, mogą poszczycić się pomyślnemi rezultatami. A praca rozwijała się niejako trzystopniowa: w Wydziale Centralnym, w wydziałach kółek rolniczych przy Towarzystwach Rolniczych Okręgowych, wreszcie w samych kółkach. W końcu roku pierwszego istnienia, czyli w końcu r. 1907 nadesłało sprawozdania 213 kółek, w r. 1908 zaledwie 166, pomimo, że nowych kółek przybyło 60 (słomiany ogień!), w r. 1909—202 sprawozdania i 59 nowych kółek, w r. 1910—305 i 75, w r. 1911 przybyło 114 kółek, a sprawozdania nadesłało 487; liczba ta stanowi około 70% ogółu rozwijających się kółek, których ogólna ilość zatem w całym kraju wynosiła około 700. Co do wydziałów kółek przy Towarzystwach rolnych okręgowych, to tych było w r. 1907—11, w r. 1908—16, w r. 1909—20, w latach 1910 i 1911 dwadzieścia kilka. Ogółem istnieje w Królestwie 39 towarzystw rolniczych okręgowych, ale nie wszystkie posiadały wydziały kółek, a i nie wszystkie, niestety, nadsyłają sprawozdania.

Głównym celem kółek rolniczych jest teoretyczna i praktyczna nauka rolnictwa, a organem jej i przewodnikiem wśród interesowanych drobnych rolników są instruktorowie. Przed założeniem Centralnego Wydziału nie było ich wcale; praca fachowego uświadamiania drobnych gospodarzy zależała od dobrej woli jednostek z pośród zarządów Towarzystw Rolniczych Okręgowych. Już w r. 1908 było 5 instruktorów, w r. 1909—9, w r. 1910—20, w r. 1911 dwudziestu kilku, a obecnie przybywa ich ciągle z każdym rokiem, bo praca w kółkach rolniczych ma tę samą cechę, co i praca społeczna w innych dziedzinach: im się ją intensywniej prowadzi, tem jej więcej przybywa.

Dość jeszcze w szczytych ramach prowadzona była działalność wydziału w pierwszym roku. Wydział służył kółkom pomocą w rozpowszechnianiu wiedzy rolniczej—przez utrzymywanie instruktora rolniczego, przez wydawnictwo pisma, poświęconego sprawom kółek rolniczych i rolnictwu; wydział rozpowszechniał nawozy sztuczne, dając jednocześnie wskazówki do przeprowadzania prób, wspierał w skromnym zakresie rozwój hodowli, urządzając kursy przeciw zaraźliwym chorobom, ogłaszając konkurs hodowli bydła i trzody, zorganizował bezpłatne porady

prawne dla członków kółek, uzyskał od „Snopa“ ulgi przy ubezpieczeniu ruchomości od ognia. Oto chyba wszystkie ważniejsze czynności wydziału w pierwszym roku.

W ciągu lat pięciu praca rozrosła się niestęchanie—przedewszystkiem w kierunku szerzenia wiedzy rolniczej. Obok trzydziestu pięciu instruktorów objazdowych, daje ją ludowi cały szereg kursów; rocznych w Pszczelinie, Mieczysławowie i Krzyżewie, dziesięcio-tygodniowych im. Promyka, tygodniowych w Warszawie, wreszcie miesięcznych (w r. 1911 odbyły się w dziesięciu miejscowościach), tygodniowych lub krótszych, organizowanych przez wydziały okręgowe. Kursy te bywają bądź ogólne, bądź też poświęcone poszczególnym gałęziom rolnictwa, jak mleczarstwu, pszczelnictwu i t. d. Były również prowadzone specjalne kursy dla kobiet wiejskich, które pod egidą Zjednoczonego Koła Ziemianek wiążą się także w kółka i energicznie dążą śladem mężczyźni na drodze samokształcenia fachowego. Z początku kursy i wykłady świeciły często pustkami. Dziś—na niektórych panuje tłok, a na roczne kursy zawczasu trzeba zamawiać miejsca, żeby się na nie dostać i, niestety, wielu żądnych wiedzy odchodzi co rok z kwitkiem.

Wszystkie te kursy pozostawały pod opieką specjalnych organów pomocniczych Centralnego Wydziału, różnych komisji: osobna komisja redaguje organ urzędowy, doskonale prowadzony, „Przewodnik Kółek i Spółek Rolniczych“, wydaje popularne broszury rolnicze, których puściło już w świat szesnaście, a niektóre z nich rozeszły się w dwudziestu kilku tysiącach egzemplarzy, wreszcie wydaje corocznie doskonały „Kalendarz Kółek Rolniczych“. Praktycznemu rozpowszechnianiu postępowej gospodarki wśród członków kółek sprzyjała bardzo pozostała po wystawie w r. 1909 wzorowa zagroda włościańska w Częstochowie (prowadzona przy pomocy tow. okr. piotrkowskiego i częstochowskiego), oraz wycieczki rolnicze zagranicę (dwie do Czech i na Morawy, jedna w Poznańskie)—i po kraju. Tych ostatnich urządzały bardzo wiele także tow. okręgowe oraz poszczególne kółka rolnicze, w których coraz więcej rozpowszechnia się, obok dalszych wycieczek, wspólne zwiedzanie gospodarstw.

W r. 1909 rozpoczęła pracę specjalna komisja mleczarska, w r. 1910—komisja do spraw hodowli włościańskiej. Praca komisji mleczarskiej (przekształconej w końcu roku 1911 w wydział mleczarski) sprawiła, iż dziś już istnieje w kraju naszym bez mała setka włościańskich mleczarń spółkowych, przeważnie bardzo dobrze rozwijających się i zapewniających członkom dobry do-

chód z krów, o którym dawniej nie marzyli; ruch mleczarski nie słabnie, ale przy pomocy wydziału mleczarskiego, utrzymującego dziś 5 instruktorów prócz kierownika, stale wzmacnia się — i jest świetnem podłożem dla rozwoju samej hodowli. Kółka rolnicze, widząc, jakie zyski daje mleczarstwo, zabierają się poważnie do podniesienia hodowli, w czem pomocą służy im wspomniana komisya hodowlana, rozporządzająca dziś znacznymi funduszami rządowymi (kilkadziesiąt tysięcy rubli rocznie) i prowadząca swoją pracę przy pomocy pięciu instruktorów, podług ściśle opracowanego planu. Zaledwie tu o tych pracach, zakreślonych bardzo szeroko, wspominamy, szczegółowe bowiem omówienie wszystkich czynności wydziału zbyt wiele zajęłoby miejsca. Kończąc więc o tym dziale hodowlano-mleczarskim, zaznaczyć trzeba, że liczne kółka rolnicze wyszły już dziś z okresu szerzenia wiedzy rolniczej, oderwanego od czynu i — przygotowawszy przez ten wstępny okres swych członków do działania — przystępują do zużytkowania nabytych wiadomości w praktyce rolniczej. To samo da się powiedzieć o mleczarstwie i hodowli, jak i o rolnictwie.

Ulepszona uprawa roli, dobre użycie nawozów sztucznych, doborowe nasiona, siew rzędowy, staranne pielęgnowanie zasiewów, a również i staranny wychów młodzieży, prawidłowe (dość często już i indywidualne) żywienie bydła, kontrola udojów — to już nie tylko gadka na odczytach i kursach — to już jest w wielu kółkach dokonane, lub dokonać się rychło mające. Z pośród przeszło 30 tysięcy członków kółek — wielu już jest oddanych kółkom sercem całym, rozumiejących, że to jest praca, która zapewnić może nie tylko jednostkom dobrobyt, ale i narodowi siłę ekonomiczną.

Wydziały kółek w swych pracach nie poprzestają na działach ściśle rolniczych i hodowlanych. Wspomniły tu jeszcze o czynnej od 1910 r. komisji do spraw budownictwa ogniotrwałego i pożarnictwa, która przez instruktora, inżyniera J. Tuliszkowskiego rozpowszechnia zasady budownictwa poprawnego i organizuje straże ogniowe. Zaznaczyć należy, że praca ta w kółkach spotyka się z żywym oddźwiękiem, czego wyrazem jest powstawanie coraz liczniejszych spółek do produkcji budowlanych materiałów ogniotrwałych — oraz organizowanie przy kółkach straży ogniowych.

Wydział w ciągu swej kilkoletniej działalności stale miał na uwadze sprawę ułatwienia zniesienia szachownicy, która w wielu kółkach tamuje postęp gospodarstw. W tej sprawie, na podstawie materiałów zebranych od kółek, czynione były wystąpienia do władz, które ostatecznie, dzięki wystąpieniu pośła W. Grab-

skiego w Dumie, uwieńczone zostały powodzeniem. W kraju starano się zawsze rozpowszechniać wiadomości o szkodliwości szachownicy, przez jakiś czas czynny był instruktor do spraw komasacyi, który z przyczyn niezależnych od wydziału miał przerwać swe czynności.

Oto pobieżny plon pracy w ubiegłym pięcioleciu. Będzie on wzrastał w następnych w postępie nie arytmetycznym, lecz geometrycznym, tak bardzo wzrasta poczucie potrzeby kółek i interesu w należeniu do nich. A ze słów powyżej powiedzianych nie należy wyprowadzać wniosku, że cała praca koncentruje się tylko w organach centralnych i okręgowych. Bynajmniej. Tylko niepodobna ująć w artykule—życia powszedniego siedmuset kółek, opowiedzieć, ile na nich wypowiedziano zajmujących i pożytecznych odczytów, ile zakupiono nawozów sztucznych, rozplodowców wyższego gatunku i t. d. Za wielką zasługę inicjatorom tej pracy u nas poczytać trzeba, że wzoru szukali raczej pod zaborem pruskim, aniżeli w Galicyi, innemi słowy, że dali przewagę rozpowszechnianiu wiedzy w teoryi i w praktyce, czyli interesowi pośredniemu, dalszemu, ale też i w rezultatach głębszemu, aniżeli bezpośredniemu, dotykalnemu interesowi handlowemu, z pominięciem pierwszego albo postawieniem go na planie drugim. Droga to dłuższa i trudniejsza, ale bezwzględnie pomyślna.

Rozwój kółek rolniczych w Królestwie jest bezwątpienia dobry. Byłby wszakże jeszcze lepszy, gdyby działalność ich nie natrafiała na dwie przeszkody: częściową obojętność większych właścicieli i przeciwdziałanie od strony ludu przez wichrzycieli, siejących zgubne w danych warunkach hasło „sami sobie“. Kółka t. zw. Staszycowskie same rozwijają się powoli i nic prawie nie robią, ale odciągają sporo żywych jednostek od Kółek Centralnego Towarzystwa, grając na łatwej i odwiecznej strunie nieufności między dworem i chatą. Tymczasem poza niesłuchanie ważną pracą nad podniesieniem kultury rolnej w kraju, kółka rolnicze spełniają jeszcze inną, niemniej ważną, nad podniesieniem kultury społecznej, przeciwieństwo zastępują współdziałaniem, niechętnie odgraniczenie—zbliżeniem sąsiadów rolników różnych poziomów ekonomicznych. Pod tem hasłem zwyciężają z pewnością i obojętność częściową z prawej strony i agitację z lewej. Już na ostatnim zjeździe kółek Staszycowskich rozległ się poważny głos za wstąpieniem do kółek Centralnego Towarzystwa ze względu na to, że te rozporządzają większymi środkami materialnymi i liczniejszemu doborowi sił inteligentnych. Takich głosów będzie z każdym rokiem coraz więcej, bo właścianin nasz

rozumie doskonale interes własny i nie da się długo prowadzić na pasku niesumiennych agitatorów, działających jedynie w imię urażonej ambicji własnej i w posiewie wiatru znajdujących jedynie uzasadnienie swojej pozycji społecznej.

*

*

*

Warszawiacy tak się już dziś przyzwyczaili do popularnego dźwięku trąbki karetek Pogotowia, że z trudnością wyobrazić sobie mogą istnienie poprzednie bez Towarzystwa doraźnej pomocy lekarskiej. Dźwięk popularny, może zbyt wesoły, jak na wróżbę zaszłego gdzieś nieszczęścia, jest również symbolem, zwiastunem niesionego temu nieszczęściu ratunku. A w mieście o tak małej kulturze, jak nasza stolica, to niesienie doraźnego ratunku jest tem konieczniejsze, im więcej brak kultury powoduje wypadków. Oceniają to mieszkańcy i jedną z najpopularniejszych w Warszawie instytucji jest ta, którą popularnie ochrzczono mianem Pogotowia Ratunkowego.

Podwaliny pod tę instytucję położył Konstanty hr. Przezdziecki; w początku 1896 r. złożono władzom do zatwierdzenia ustawę Towarzystwa doraźnej pomocy lekarskiej, a rozpoczęło ono istnienie swoje 23 lutego 1897 r., a działalność 22 lipca tegoż roku. Celem Towarzystwa jest udzielanie pomocy doraźnej we wszelkiego rodzaju wypadkach nieszczęśliwych w mieście. Wypadki mogą być dwojakie: jedne z nich wymagają pomocy zaraz na miejscu wypadku: otrucia ostre, złamania, utrata przytomności, inne pozwalają choremu przybyć na stację osobiście: ciała obce w otworach naturalnych, złamania i zwichnięcia kończyn górnych i t. p. To też stacya ratunkowa musi z jednej strony być przygotowaną do udzielania pomocy na miejscu, z drugiej — w każdej chwili być gotową do jaknajszybszego wyjazdu na miejsce wypadku. Skutkiem coraz większego uświadczenia publiczności odsetka wezwań na miasto zmniejsza się, natomiast zwiększa się znacznie odsetka wypadków, w których udziela się pomocy na stacyi. Ponieważ wypadki w mieście zdarzają się w dzień i w nocy, stacya musi być zmobilizowana stale i działać bez przerwy. Od chwili założenia, postawiono sobie za zasadę, aby pomocy udzielali jedynie lekarze i to lekarze, którzy przeszli już odpowiednią szkołę praktyczną.

Niepodobna jest najpobieżniej nawet streścić Księgi Pamiątkowej Pogotowia, napisanej przez jego prezesa d-ra Józefa Zawadzkiego; niepodobna, bo sama jest zbyt treściwą, do niej więc ciekawych odsyłamy. A sami, nie jako streszczenie, ale dla przykładu raczej przytaczamy jedną tablicę (str. 600—601), mającą największe znaczenie społeczne i najlepiej ilustrującą działalność niezmiernie pożytecznego Towarzystwa: zestawienie przypadków, w których udzielono pomocy w ciągu lat piętnastu:

Jest to nietylko ilustracya dzielnej i żywej pracy Pogotowia, ale i ilustracya życia, jeżeli można się tak wyrazić, wypadkowego stolicy. Ilustracya niewesoła, jeżeli się zważy, jak wzrastają cyfry, wykazujące stosunek wypadków na 10,000 ludności. Jedynie w zakresie rozpraw nożowych znajdujemy znaczne zmniejszenie się ich ilości w latach 1906—1910, przy nowem znacznem zwiększeniu się w r. 1911; uderza również zwiększanie się stałe cyfr stosunkowych wypadków skutkiem pijaństwa, co potwierdza ubocznie inne dane, dotyczące wzrostu spożycia alkoholu w Królestwie. Wzmożenie się wypadków ran postrzałowych obserwujemy w latach niespokojnych 1904—1907 (najwięcej w r. 1906), podczas których Pogotowie mężnie spełniało swój obowiązek; jest to jedna z najpiękniejszych kart piętnastoletniej jego historii.

Budżet instytucyi w ciągu lat piętnastu wzrósł blisko pięciokrotnie: z 10,615 rb. w r. 1897 do 59,394 rb. w r. 1911, współmiernie do rozwoju zakresu jej działalności. Odpowiednio musiały także wzrosnąć i dochody. Ale—rzecz smutna—instytucya potrzeby tak pierwszorzędnej—nie może jednak istnieć z samych tylko składek członków i ofiar oraz legatów, ale musi uciekać się także niestety i do przedsiębiorstw dobroczynnych. Z tych jedno, „Kalendarz Pogotowia“ jest dziełem trwałem i pożytecznem, gdyż nasza instytucya ratownicza stworzyła typ najlepszego kalendarza polskiego; kalendarz ten daje w latach ostatnich przeszło 3,500 rb. rocznie. Pozatem mamy filantropię bawiącą się, właściwie loteryjną; ta dała w r. 1897—2,825 rb., a w r. 1911—24,636 rb.; wzrost świadczący o wzroście popularności instytucyi, zarówno jak o wzroście jej potrzeb. Liczba członków w ciągu piętnastolecia podwoiła się, wzrosła bowiem z 546 na 1045, a składki ich z 4,736 rb. na 7,575 rb. Ofiary wzrosły stosunkowo najmniej, bo z 8,532 rb. w r. 1897 na 13,492 rb. w r. 1911; natomiast znacznie zwiększył się dochód za płatne przewożenie chorych: ze 176 rb. w r. 1897 do 6,630 rb. w r. 1911; świadczy to, że nasze Pogotowie jest urządzone dość doskonale, aby zamożniejsza nawet publiczność z usług jego chętnie korzystać chciała. Kapi-

R o k	Zastąpienia nagle (chor. wewn.)		Urazy (chor. chirurg.)		Porody i poron.	Obłęd	Śmierć stwierdz.	Symula- cja
	liczba wypadków	Na 10000 ludności	liczba wypadków	Na 10000 ludności	liczba wypadków	liczba wypadków	liczba wypadków	liczba wypadków
1897 (od 22-VII)	422	—	612	—	13	7	33	13
1898	1083	17,7	2717	44,4	35	16	78	10
1899	1734	27	4145	64,3	32	19	118	17
1900	2244	32,8	4688	68	49	35	166	20
1901	2262	31,7	5336	75,3	60	28	184	20
1902	2047	28	5656	76,9	42	23	190	22
1903	1816	24	6259	82,7	40	26	171	43
1904	1620	21,1	6374	82,6	37	21	236	88
1905	1620	21	5984	78	36	22	272	48
1906	933	12,5	4992	60	31	18	341	55
1907	1226	16	4954	64,7	41	27	288	47
1908	1399	18,6	5249	70	41	30	230	78
1909	1357	17,8	5631	73,7	31	23	237	71
1910	1663	21,2	7542	96,2	59	24	275	28
1911	1995	25	9147	114,7	74	24	280	76
Razem	23,421		79,286		621	343	3099	636
w % wypadków								
w których udz. pomoc. 21,3%								
			71,07%		0,56%	0,31%	2,8%	0,57

R o k	Samobójstwa		Rozprawy nożowe		Rany postrzałowe		Pijani ulegli wypadkom	
	liczba wypadków	Na 10000 ludności	liczba wypadków	Na 10000 ludności	liczba wypadków	Na 10000 ludności	liczba wypadków	Na 10000 ludności
1897 (od 22-VII)	42	—	87	—	12	—	107	—
1898	121	2	521	8,5	30	0,5	238	3,9
1899	134	2	817	12,9	29	0,45	446	6,9
1900	138	2	889	12,9	48	0,7	593	8,64
1901	125	1,7	1004	14	43	0,6	591	8,3
1902	199	2,7	1213	16,4	80	1,08	483	6,55
1903	174	2,3	1444	19	51	0,7	472	6,23
1904	213	2,7	1399	18,1	118	1,53	418	5,42
1905	213	2,7	844	11	339	4,4	425	5,53
1906	234	3,1	256	3,4	591	8	386	5,16
1907	265	3,4	255	3,3	277	3,6	325	4,25
1908	293	3,9	398	5,3	121	1,6	378	5
1909	366	4,8	378	4,9	87	1,13	477	6,2
1910	564	7,5	585	7,5	92	1,15	746	9,3
1911	721	9,0	808	10,1	62	0,77	929	11,6
Razem	3802		9898		1980		7014	
w $\%$ wypadków w których udz. pomoc.	3,4		8,9 $\%$		1,8 $\%$		6,3 $\%$	

tały Towarzystwa legowane na jego rzecz różnemi czasy niewiele przekraczają sumę 80,000 rb. co w stosunku do potrzeb i powagi jego jest sumą śmiesznie małą.

Więc na dwudziestopięciolecie przedewszystkiem hojnych zapisów Towarzystwu życzyć trzeba. A drugie życzenie będzie paradoksalne: życzenie ograniczenia działalności. Znaczy to, żeby kultura kraju, spokój jego i dobrobyt wzrósł tak znacznie, aby zniwiejszyły się cztery ostatnie rubryki tablicy, mianowicie: samobójstwa, rozprawy nożowe, rany postrzałowe i pijani, ulegli wypadkom, aby cyfry te zgoła spadły do zera.

*

*

*

Poświęcić tu chcemy kilka słów przynajmniej jubileuszowi, albo raczej jubileuszowemu wspomnieniu; chodzi bowiem nie o instytucję żywą, lecz o rozniecane przed pół wiekiem ognisko kultury, przedwcześnie zgaszone. Mówimy o Warszawskiej Szkole Głównej.

Czem jest własna uczelnia wyższa w życiu narodu, o tem przekonywamy się codziennie na własne oczy. Jest to nie tylko szkoła, z której corocznie wychodzą setki dobrze przygotowanych pracowników zawodowych, zajmujących najważniejsze placówki życia; jest to jeszcze prawdziwa *Alma Mater*, pod której cieniem rozwija się we wspaniałe drzewo z nikłych płonek nauka narodu. Wiemy wszyscy, jak ciężko było i jest w Warszawie pracować na polu naukowem, jak wszyscy skarżą się na brak w naszym mieście atmosfery naukowej; gdy przejedziemy granicę, gdy znajdziemy się w Galicyi uderza nas odrazu różnica; pochodzi ona właśnie z braku uniwersytetu polskiego w Warszawie, obniżającego z roku na rok naszą kulturę umysłową.

W losach Szkoły Głównej uderza jeszcze jedna cecha całej historii naszej od wieku z górą—niecierwość instytucyi. Powoduje ona brak ciągłości w pracy następujących po sobie pokoleń. Rwą się nici historii; każde pokolenie snuje przedzę Penelopy, zaczynając od początku, jakby przed niem nie było nikogo. Wynika ostrzejsze przeciwstawianie się sobie różnych pokoleń, bo korzenie ich umysłowości tkwią w innych zgoła gruntach. Wiele

czasu i usiłowań marnuje się nieustannie na ciągle te same bezpotrzebne poczynania i te same bezpłodne walki.

Nie miejsce w notatce na historię uczelni naszej. Złożyć wypada hołd i żyjącym jeszcze profesorom i ceniom tych, co dawniej i najdawniej zeszli już z katedry życia. Przerzedziły się szeregi i uczniów; przecież oglądamy oczami współczesnemi pracę całego tego pokolenia. Naogół nazwać ją możemy dodatnią, zatem i całe pokolenie dodatniem w historii kraju. Oceniając je wszakże jak należy, nie trzeba go przeceniać. Byli to ludzie poważnie gruntownej wiedzy i wielkiej pracy. Ale wysokie stanowiska kierownicze, które zajęli, nie tym jedynie zawdzięczali zaletom. Weszli w życie wtedy, kiedy oryentowało się ono w nowym zupełnie kierunku; tysiące posterunków czekało na ludzi z wiedzą fachową, których był brak wielki. Nie ich to wina, że następne pokolenia zastawały wszystkie placówki zajęte, a więc trudniej było odznaczyć się równie szybko. Błędem byłoby przypisywanie im mniejszej zdolności, mniejszej pracy, mniejszej wiedzy, bez wprowadzenia do rachunku współczynnika przypadku. O tem nie należy zapominać przy zestawieniu porównawczem dwóch pokoleń, nawet przy wspominaniu święta tego, którego przedstawiciele znajdują się już po tamtej stronie wzgórza życia.

*

*

*

Bez żadnej ironii, poprostu, aby stwierdzić fakt, powiedzieć trzeba o projekcie Rady Narodowej w Wielkopolsce, że góra urodziła mysz. Pod wpływem grozy wywłaszczenia powstała myśl zjednoczenia i skonsolidowania opinii polskiej w zaborze pruskim, stworzenia jakiegoś ciała zbiorowego, któreby kierowało całą działalnością dzielnic, zarówno ekonomiczną, jak i kulturalną, zestrzelając w jedno, pełne świadomości narodowej i rozumu zbiorowego ognisko wszystkie, rozbieżne nieraz, usiłowania polityczne; projektowane ciało zbiorowe miało być zasobne w wielkie fundusze, któremi rozporządzałoby na różne, najważniejsze cele narodowe. Projekt ten wywołał jednak różne mniej lub więcej głośnie zazdrości, które zdołały go udaremnić. Więc przedewszystkiem niepokój kół poselskich o nieustanne wtrącanie się do spraw parlamentarnych, dalek zazdrość o wpływy i przewagę w radzie

różnych stronnictw; szła ona tak daleko, że powstało specjalne nowe stronnictwo narodowo-katolickie pod kierownictwem b. posła Kulerskiego. Powtórzyła się historia, znana z dziejów naszych i Galicyi; stronnictwa zgadzały się na organizację międzypartyjną czy wszechpartyjną o tyle, o ile miałyby w niej każde zapewnioną większość; warunek przeciwny wywoływał najżarliwszą krytykę.

Ostatecznie, utworzona została organizacja, projektowana jeszcze przez ś. p. ks. Wawrzyniaka, ale jakże okrojona! Rada Narodowa ma być przede wszystkim instytucją tylko doradczą, a nie kierowniczą, to znaczy, że rady jej ewentualne przyjmować będą tylko ci, którym w danej chwili będą one na rękę; inni puszczają je będą mimo uszu, jeżeli nie zgoda krytykować. Dalej skład jej osobisty będzie nieliczny; do Rady należeć będą: członkowie Komitetu Centralnego w liczbie 11-tu; 5-ciu przedstawicieli Koła Polskiego w parlamencie Rzeszy; 5 przedstawicieli kół polskich obu Izb Sejmowych; wreszcie prezes, który może być wybrany i będzie zapewne wybierany z poza członków Rady, chociażby dlatego, aby był nieparzystym rozstrzygającym jej członkiem; Rada dzieli się na dwie sekcye, ekonomiczną i kulturalną, z których każda ma prawo powoływania ekspertów z głosem doradczym, z poza grona jej członków. Nareszcie — co bodaj najważniejsza — spodziewany milion marek funduszu zredukowało życie do jakichś czterdziestu tysięcy marek; suma to niesłychanie łatwa do wydania, jeżeli czerpać z kapitału, z procentu zaś można utrzymać zaledwie jednego urzędnika kancelaryjnego, a nie rozwijać jakąkolwiek działalność. Brak funduszy i stanowisko doradcze nie pozwala rokować Radzie Narodowej w Wielkopolsce żywotnej przyszłości; obawiać się raczej wypada, że powiększy jedynie ilość instytucji wegetujących z dnia na dzień.

*

*

*

Dzień 29 stycznia pozostanie pamiętnym dla wszystkich Polaków, w dniu tym bowiem parlament niemiecki potępił wywłaszczenie właścicieli ziemskich polskich przez rząd pruski. Realnego znaczenia uchwała ta oczywiście nie posiada, jest wszakże znacznem moralnem zwycięstwem zarówno idei sprawiedliwości

wogóle, jak i polityki naszego Koła parlamentarnego. Jest zasługą polityczną, interpelacya bowiem i zamykający ją wniosek były ułożone w formie łagodnej, nie wrzaskliwej i wyzywającej, co umożliwiałoby głosowanie za nią niemieckich stronnictw umiarkowanych. Jakoż centrum okazało się w tym wypadku wiernym sprzymierzeńcem, poparło naszych posłów i przeważało szalę na naszą korzyść; za interpelacyą głosowali jeszcze socyal-demokraci, Alzatzcy, Duńczycy, co razem dało wcale poważną większość. W Rzeszy niemieckiej, w celu uniknięcia zatargów wewnętrznych kanclerz Rzeszy jest zarazem prezesem ministrów pruskich; uchwała parlamentu dotyka go zatem bezpośrednio jako votum nieufności. W państwach szczerze parlamentarnych uchwała taka pociągałaby za sobą, albo dymisyę kanclerza, albo rozwiązanie Izby. W Niemczech wszystko pozostanie po staremu, ale żadne zaprzeczenie kompetencyi parlamentu mieszania się w wewnętrzne sprawy Prus nie osłabia doniosłości faktu. Bo oto tak przemówiła opinia całych Niemiec przez przedstawicieli wybranych bezpośrednio.

*

*

*

Rezultaty obrad komisji Rady Państwa, obradującej nad samorządem miejskim dla Królestwa są następujące: Głośny wniosek Durnowa w kwestyi ustanowienia wyborów klasowych, został cofnięty na pierwszym posiedzeniu komisji i na plenum nie będzie już stawiany. Kwestya cenzusu nie uległa zmianie. Oprócz osób, które mogą uczestniczyć w wyborach w myśl artykułu 24 ustawy miejskiej z roku 1892: 1) osoby, oraz instytucye dobroczynne, naukowe, szkolne i rządowe, które przynajmniej od roku posiadają w obrębie miasta nieruchomość, oszacowaną: w Warszawie—przynajmniej na 1,500 rb., w Łodzi i w miastach gubernialnych—przynajmniej na 1,000 rb., a w innych miastach—przynajmniej na 300 rb., oraz 2) osoby i towarzystwa, opłacające z tytułu posiadania przedsiębiorstwa handlowo-przemysłowego świadectwa I lub II gildyi,—komisya postanowiła udzielić prawa wyborcze również lokatorom, przyczem cenzus mieszkaniowy wynosi: w Warszawie 540 rb., w Łodzi, w Lublinie i Sosnowcu — 240 rb., w mniejszych miastach—192 rb. i w małych miastach—

96 rb. W czasie obrad plenarnych prawica Rady państwa będzie się starała prawdopodobnie podnieść cenzus mieszkaniowy do jeszcze wyższych norm. W kwestyi języka biurowości wewnętrznej oraz obrad rad miejskich komisya ponowiła powzięte na wiosnę uchwały; jak wiadomo, głosiły one, iż na posiedzeniu rad miejskich przewodniczący powinien prowadzić obrady w języku rosyjskim, radni zaś mogą przemawiać po polsku, przyczem jednak przewodniczący—na żądanie któregośkolwiek z radnych Rosyan—obowiązany jest powtórzyć w języku rosyjskim treść każdego przemówienia, wygłoszonego w języku nierosyjskim. W stosunkach instytucyi samorządu z obywatelami „dopuszczalne“ jest używanie języka polskiego, natomiast w stosunkach z innymi zarządami społecznymi (naprz. z innemi instytucyami samorządu) obowiązuje język rosyjski. Wogóle w sprawie tej komisya nie zgodziła się na żadne odstępstwo od poprzednich uchwał, nie chcąc uznać zasady, ogłoszonej nawet przez P. Stołypina, iż Królestwo Polskie powinno otrzymać samorząd „polski“. Słynny wniosek Kobylńskiego, Stiszynskiego i Hurki, zmierzający do zupełnego wyrugowania języka polskiego z obrad rad miejskich, został odrzucony wszystkimi głosami przeciw głosom wnioskodawców. Według wszelkiego prawdopodobieństwa będzie on postawiony i na *plenum*, lecz i tam nie przejdzie.

Podobnie jak i w r. z., komisya postanowiła ograniczyć liczbę radnych, wybieranych przez kuryę żydowską, do 20 proc. (względnie 10 proc.); nadto obecnie uchwalono poprawkę Korfa, iż Żydzi nie mogą być członkami zarządów miejskich, ani stać na czele poszczególnych gałęzi gospodarki miejskiej. Poprawkę Ofrosimowa, żądającą odsunięcia Żydów od udziału w wyborach miejskich (w myśl uwagi 3-ej do art. 24-go ust. miejskiej z r. 1892), odrzucono. W kwestyi nadzoru rządowego nad instytucyami samorządu miejskiego, nietylko przyjęto art. 83 ustawy z r. 1892, który głosi, że gubernator ma prawo zawieszać uchwały rady miejskiej, niezgodne z prawem, powzięte z naruszeniem zakresu kompetencji samorządu lub nie odpowiadające ogólnym państwowym potrzebom i pożytkowi lub też jawnie przeciwnie interesom ludności miejscowej, lecz postanowiono również udzielić ministrowi spraw wewnętrznych prawa rozwiązywania rad miejskich, przyczem powinny być one powoływane na nowo w terminie 6-miesięcznym. Nadto większością jednego głosu przeszła poprawka Durnowa o nadaniu rządowi prawa zawieszania na termin 3-letni funkcyi samorządów miejskich i ustanawiania administracyi rządowej (art. 184 pierwotnego projektu rządowego). Poprawka ta

była popierana w komisji przez przedstawiciela rządu. Z liczby spraw mniejszej wagi warto np. zaznaczyć, iż komisya uchwaliła, że w Warszawie i w Łodzi oprócz prezydenta („głowy“) miasta ma być osobny przewodniczący rady miejskiej.

Jeden z członków komisji, Zinowiew II, jeszcze w r. z. dowodził, że samorząd nie może być wprowadzony we wszystkich miastach Królestwa Polskiego, ponieważ w niektórych miejscowościach (np. Szakach, gub. suwalskiej) liczba ewentualnych wyborców jest mniejsza, niż przepisana liczba radnych. Obecnie poseł Godlewski na podstawie statystyki urzędowej ułożył tablicę, która świadczy, że podobne obawy są niesłuszne. Komisya postanowiła tedy wprowadzić samorząd miejski wszędzie. Należy jednak zaznaczyć, że art. 22 ustawy z r. 1892 przewiduje wprowadzenie „uproszczonego“ zarządu miejskiego tam, gdzie zastosowanie ustawy normalnej będzie uznane za rzecz niemożliwą ze względu na niewystarczające fundusze miejskie, rodzaj pracy ludności i stopień rozwoju przemysłu i handlu.

Projekt samorządu miejskiego, według wszelkiego prawdopodobieństwa, będzie rozważany przez plenum Rady Państwa w pierwszej połowie marca n. st., poczem zostanie odesłany do IV Dumy, która (w myśl ostatnich uchwał) przekaże go z początku komisji, a różnice między uchwałami obu Izb są tak znaczne, że łatwo może dojść do zatargu prawodawczego. Zatem—nieprędko jeszcze doczekamy się upragnionego samorządu.

WSPOMNIENIA POZGONNE.

Ś. p. Kazimierz Laskowski (El).

Zmarły w styczniu popularny i szeroko znany poeta był prawdziwym twórcą z Bożej łaski. Z rodziny rolniczej pochodził i przez los był do pracy na roli przeznaczonym. Urodzony w roku 1861 w Tokarninie, w pow. Jędrzejowskim, chodził do szkół w Krakowie, był na wyższych studiach w Niemczech, poczem gospodarował przez czas jakiś w Podgajach, pod Nagłowicami, skąd Rej ród swój wywodził. Ale już w r. 1890 przeniósł się do Kielc, a następnie do Warszawy, poszukiwać zarobku na niwie piśmienniczej. A że posiadał wybitne zdolności poetyckie zaprzął się do codziennego pisywania wierszyków w pismach, początkowo w „Kuryerze Polskim“, potem w „Warszawskim“, wreszcie w „Gońcu“. Pisywał je przez długie lata, więc były między nimi rzeczy różnej wartości, ale lepsze świadczą, że był poetą istotnym, opiewającym sercem wieś polską i lud wiejski. Z tej masy wybrał wiersze najlepsze i wydał je w kilku tomach. Wydał także osobny tom poezyi p. t. „Z chłopskiej piersi“ oraz tryptyk dramatyczny p. t. „Pogrzeb“; wymienimy jeszcze powieści „Zrosli z ziemią“, „Pamiętnik eks-dziedzica z dopiskami ekspachciarza“; prócz nich napisał parę innych, mniejszej wartości. O popularności wielkiej *Ela* wśród licznych rzesz czytelników zaświadczył pogrzeb, na który zebrał się tłum wielotysięczny czytelników, aby złożyć hołd wdzięcznych serc temu, który szare życie codziennie promykiem poezyi złocił.

Ś. p. Władysław Bełza.

We Lwowie, d. 28 stycznia, zmarł ceniony poeta, ś. p. Władysław Bełza, którego śliczne wiersze znane są niemal w każdym domu polskim. Pisywał wiele dla dzieci i młodzieży. We wszystkich jego utworach, bądź gdy przemawia do chłopięcia polskiego, ucząc, co najsilniej ukochać powinien „jako Polak mały“, bądź w pacierzu dziewczeczki, opowiadającej, „że ją polskiej mowy skowronki uczyły“, bądź też w innych pięknych, a pełnych serdecznej prostoty i szczerości poezyach, widać technienie prawdziwej, gorącej miłości do ziemi rodzinnej. Widać też wiarę żywą i ufą, „że tam, przy tronie Bożym, polscy święci stoją, i codzień się modlą za ojczyznę moją“. Wł. Bełza wydał parę tomów swych poezyi, witanych radośnie przez młodzież, oraz kilkanaście książeczek dla dzieci, jak: „Złote literki“, „Matka“ i wiele innych. Redagował też piśmko dla młodzieży p. t. „Promyk“. Oprócz wymienionych, zmarły poeta pozostawił po sobie i inne pamiątki: dzięki jego usiłowaniom, wybudowano stały teatr polski w Poznaniu. We Lwowie jego staraniem powstały dwie instytucje: Koło literackie i Tow. literackie im. Adama Mickiewicza. Zmarły wydał także kilka prac o Mickiewiczu, oraz „Album Mickiewicza“ i antologię „Kobieta w poezyi polskiej“. Był dyrektorem zakładów wydawniczych Ossolineum we Lwowie. Pozostawia po sobie wdzięczność wielu pokoleń, których serca dziecinne kształciły się na jego utworach.

Ś. p. Wincenty Józef Karpiński.

Nauka rolnicza polska poniosła dużą stratę. W sile wieku, w pełni pracy zmarł zupełnie nieoczekiwanie, a przedwcześnie Wincenty Józef Karpiński, b. profesor rolnictwa na politechnice lwowskiej, wybitny uczony w zakresie rolnictwa. Pochodził on z rodziny z dawna osiadłej na ziemi Chełmskiej. Urodzony

w rodzinnym majątku, Andrzejowie (dziś własności starszego brata, Czesława, członka Rady Państwa) w r. 1868-ym, po ukończeniu szkoły Pankiewicza wstąpił na wydział przyrodniczy uniwersytetu w Zurychu, a po przebyciu studiów doktoryzował się w Strasburgu.

W r. 1892 powrócił do kraju i zajął się zastosowaniem wiedzy swej przyrodniczej do rolnictwa. W tym celu wstąpił w roku 1892 na asystenta rolniczej stacji doświadczalnej w Sobieszynie, gdzie przez 2 lata pracował razem z prof. dr. A. Sempolowskim. Tu okazało się, że zarówno przygotowaniem swoim, jak i zżyciem się ze stosunkami wiejskimi, trafił na najwdzięczniejsze dla siebie pole. Już w Sobieszynie zajął się badaniem gleb naszych i ogłosił szereg prac, które zwróciły na siebie uwagę rolników i świata chemicznego. Zainteresowała go potem szczególnie uprawa i hodowla buraka cukrowego, wziął więc udział w pracach naukowo-hodowlanych na stacji doświadczalnej w Suhakach, na Podolu, rozpoczętych przez p. Edmunda Załęskiego. Następnie pracował lat kilka w majątku własnym Łysocha, gdzie z zamiłowaniem oddawał się racjonalnej uprawie roli.

Zdolności jego i gruntowna wiedza nadawały się jednakże do szerszej pracy, a że wówczas przy sekcji cukrowniczej warszawskiej powstała myśl założenia stacji doświadczalnej rolniczocukrowniczej, powołano ś. p. Karpińskiego na kierownika stacji doświadczalnej w Grodzisku i Jeżowie, gdzie rozpoczął szereg cennych prac i zdawał z nich corocznie sprawę.

Ogół tych wszystkich prac zyskał zmarłemu odrazu opinię wybitnego teoretyka rolnictwa. Kiedy więc w politechnice lwowskiej zamierzono utworzyć katedrę rolnictwa, jednomyślnie powołano go na jej profesora w pomienionej uczelni. Z natury jednak rzeczy rolnictwo było tam tylko przedmiotem dodatkowym i nie miało na razie odpowiednich współpracowników. Powrócił więc na własny zagon, ale po roku już akademія rolnicza w Dublanach zaproponowała mu objęcie katedry chemii rolniczej i kierownictwa stacji doświadczalnej.

Wahał się przez czas jakiś z przyjęciem, a kiedy już był zupełnie zdecydowany, nieznaczne z początku cierpienie spowodowało operację, a następnie z powodu zaszłych komplikacji — śmierć. Jak dalece myślał nieustannie o nowej pracy, świadczyło, że w ostatnich dniach życia, w malignie mającym nieustannie o tem, jak to on urządzi akademię dublańską, stację doświadczalną... Umysł czynny snuł ciągle plany i zamiary...

Takim był przez całe życie — uosobieniem niejako zdrowia, energii, pracy celowej. To też wieść o jego śmierci spadła, jak grom, na tych, co go znali. Tak się wydawał daleki od niej — ten zadzierżysty, żywy, zawsze czynny, uczony rolnik, wybitny obywatel kraju, któremu nic ze spraw jego nie było obojętnem. Szkoda zacnego człowieka, tak przedwcześnie zmiecionego z posterunku, żałują go bardzo szczerze, ci co go znali i cenili bardzo, a piszący te słowa składa wspomnienie o nim jak wiązaną na świeżą mogiłę kolegi szkolnego i uniwersyteckiego...

L. W.

Wiadomości Naukowe, Literackie i Bibliograficzne.

Z TOWARZYSTW NAUKOWYCH.

— TOWARZYSTWO NAUKOWE WARSZAWSKIE. Dnia 31 stycznia r. b. odbyło się posiedzenie Wydziału II-go, na którym członek Towarzystwa p. Władysław Heinrich wygłosił rzecz p. t. „Rozwój zagadnień filozoficznych z filozofii greckiej przed Platonem” (Cz. I studyów nad rozwojem metody rozważań filozoficznych). W dyskusyi, jaka się potem wywiązała, wzięli udział pp.: Seweryn Smolikowski, J. K. Kochanowski oraz prelegent. Następnie członek Towarzystwa p. Erazm Majewski mówił o „Najstarszej zagrodzie aryjskiej pałowej w plastycznej reprodukcji przedhistorycznej”. W dyskusyi wzięli udział pp. Kazimierz Stołyhwo i prelegent.

— Dnia 5-go z. m. odbyło się posiedzenie Wydziału I-go. Na wstępie przewodniczący Wydziału p. Br. Chlebowski odczytał wspomnienie pośmiertne, poświęcone zmarłemu niedawno członkowi T-wa Stanisławowi Krzemińskiemu. Następnie p. St. Szober referował pracę p. Tytusa Benniego p. t.: „Studia fonetyczne cz. I. Klasyfikacya dźwięków mowy polskiej”. Autor, biorąc za punkt wyjścia klasyfikacyę dźwięków, podaną w „gramatykach” A. Kryńskiego i J. Steina, wykreśla swoją tablicę dźwięków polskich ze stanowiska stopnia zwarcia czyli otwarcia jamy ustnej i miejsca artykulacyi. Wreszcie p. M. Kridl przedstawił pracę p. Zygmunta L. Zaleskiego p. t. „Z nieznanej korespondencyi Mickiewicza z Edgarem Quinetem”. Autor ogłasza tu i objaśnia dwa nieznane dotychczas listy Mickiewicza, będące ciekawym przyczynkiem do dziejów przyjaźni obydwu wybitnych ludzi. Pozatem rzucają pewne światło na poglądy filozoficzno-przyrodnicze poety i przyjazne usługi, jakie Quinet wyświadczał mu przy korekcie francuskiego wydania „Kursu literatur słowiańskich”.

— W dniu 6-ym z. m. odbyło się posiedzenie Wydziału III-go. Na sekretarza Wydziału wybrano ponownie p. Jana Tura. Przedstawiono komunikaty następujące: 1) p. J. J. Boguski: „Experimentum crucis“; 2) p. Edward Loth: „O wpływie braku kłā na wygląd czaszek małpich“; 3) Tenże: „O kilku wariacyach użębiania u małp“; 4) p. Alojzy Przeździecki (przedstawił p. E. Loth): „O osadzeniu włosów w skórze głowy u niektórych małp i murzynów“; 5) p. Sławomir Miklaszewski: „Gleba stacyi doświadczalnej w Morach“; 6) p. Anastazy Landau: „O cukromoczu adrenalinowym“; 7) pp. E. Malinowski i S. Dziubałtowski (przedstawił p. Z. Wóycicki): „Zbiorowiska roślinne na porębach Łysicy“; 8) pp. A. Czartkowski i S. Dziubałtowski (przedstawił p. Z. Wóycicki): „O wpływie soli manganowych i glinowych na okres spoczynku u roślin drzewiastych“; 9) p. Wł. Gorczyński: „Notatka historyczna o spostrzeżeniach warszawskich nad temperaturą powietrza“.

— SPRAWOZDANIE TOWARZYSTWA MIŁOŚNIKÓW HISTORII W WARSZAWIE ZA ROK 1912. Rok 1912 zamknął sześcioletni okres istnienia Towarzystwa Miłośników Historii. W roku tym pamiętnym w dziejach Towarzystwa ilość członków podwoiła się i dosięgła liczby 250-in, w roku tym Towarzystwu przypadł w udziale zaszczyt zorganizowania w swej siedzibie ku czci prof. Korzona uroczystości jubileuszowej, która niezatarte pozostawiła wspomnienie na wszystkich biorących w niej udział, w ubiegłym wreszcie roku zaczęło przybierać kształty realne dawne marzenie Towarzystwa o posiadaniu własnej siedziby.

Wśród członków Towarzystwa Miłośników Historii przed rokiem powstała myśl uczczenia niespożytych zasług naukowych prof. Tadeusza Korzona. Towarzystwo czuło się powołanem do zainicjowania uroczystości jubileuszowych ku czci autora „Dziejów wewnętrznych Polski“, gdyż on to właśnie należał do założycieli Miłośników, on przez lat 6 zasiadał w jego zarządzie, nie szczędząc trudu dla jego rozwoju, osłaniając powagą imienia swego pierwsze kroki młodej instytucji. Idea ta zaczęła przybierać kształty realne, gdy w dniu 5 września zwołane zostało nadzwyczajne posiedzenie ogólne Towarzystwa, na którym jednogłośnie mianowano Tadeusza Korzona członkiem honorowym i jednocześnie postanowiono zorganizować ku czci jego uroczystą Akademię, zapraszając do udziału w niej przedstawicieli społecznych i naukowych instytucji polskich. Przygotowanie całej uroczystości powierzono Zarządowi T. M. H., ten zaś zorganizował komitet jubileuszowy, do którego weszli członkowie Towarzystwa: Ignacy Baranowski, Kazimierz Broniewski, Stefan Dziewulski, Franciszek Giedroyc, Witold Kamieniecki, Edward hr. Krasński, Aleksander Kraushar, Roger hr. Lubieński, Antoni Osuchowski, Franciszek Pułaski, Józef Siemieński, Maurycy hr. Zamoyski. Uroczystość jubileuszowa odbyła się w dniu 3 listopada. Wzięli w niej udział przedstawiciele kilkudziesięciu instytucji polskich, a wśród nich delegaci Akademii Umiejętności w Krakowie, Towarzystwa Naukowego w Warszawie, Towarzystwa Przyjaciół Nauk w Wilnie, Uniwersytetów Krakowskiego i Lwowskiego.

Jubileusz Korzona odbywał się w sali domu Baryczków, pięknie udekorowanej przez gościnny Zarząd Towarzystwa Opieki nad zabytkami.

Jest jednak nadzieja, że już w krótkim czasie będzie Towarzystwo mogło urządzać swe zebrania we własnej siedzibie. Oto w dniu 24 października Adam ks. Czartoryski zawiadomił oficjalnie Towarzystwo, że ofiarowuje 50,000 rubli na nabycie na rzecz Miłośników domu na Starem Mieście. Ofiara ta została przyjęta z wdzięcznością przez Zarząd, który uprosił panów mec. Kraushara, hr. Łubieńskiego, mec. Powichrowskiego, architekta Władysława Marconiego o poczynienie kroków przedwstępnych w tej sprawie.

Należy tu jeszcze wspomnieć o dwóch ofiarach złożonych specjalnie na wydawnictwa T. M. H. poświęcone dziejom Warszawy. Oto w kwietniu roku zeszłego baron Kronenberg złożył na ręce prezesa Towarzystwa rubli 200, w czerwcu zaś Towarzystwo Właścicieli Nieruchomości miasta Warszawy przesłało również 200 rubli, obiecując corocznie okazywać zasiłek usiłowaniam wydawniczym Towarzystwa.

W roku 1912 przypadła 250-letnia rocznica istnienia Uniwersytetu lwowskiego. W uroczystościach jubileuszowych wziął udział delegat Towarzystwa Miłośników dr. Witold Kamieniecki, który złożył w jego imieniu Senatowi uniwersyteckiemu adres podnoszący znaczenie Wszechnicy lwowskiej, przez dwa i pół wieku szerzącej zachodnią kulturę na kresach wschodnich.

Zgodnie z tradycją w roku sprawozdawczym urządziło Towarzystwo szereg konferencji historycznych; po za konferencyami działalność naukowa T. M. H. ześrodkowała się w wydziałach i komisjach. Komisya Metodologiczna, przekształcona z dawnych zebrań członków czynnych, zorganizowała w okresie sprawozdawczym 3 zebrania dyskusyjne, na których zajmowano się charakterystyką współczesnej historyografii polskiej, starano się wyodrębnić oddzielne grupy wśród współczesnych historyków i określić ich stosunek do dziejopisarzy pokoleń ubiegłych. Komisya historii, literatury i oświaty zorganizowana w grudniu 1912 r. nie zdołała jeszcze rozwinąć szerszej działalności, zajęta była tymczasem wypracowaniem programu swych przyszłych zajęć. Wydział odczytów popularnych postanowił zorganizować w wielkiej sali Muzeum Rolnictwa szereg wykładów, któreby w zwężłej formie dać mogły pogląd na całokształt dziejów polskich do początku wieku XVIII. Do wygłoszenia odczytów tych uproszono panów: Jana Kochanowskiego, Marceliego Handelsmana, Abdona Kłodzińskiego, Jana Jakubowskiego, Ignacego Chrzanowskiego, Witolda Kamienieckiego, Józefa Siemieńskiego, Ignacego Baranowskiego, Stefana Ehrenkreutz, Ryszarda Mienickiego, Władysława Konopczyńskiego i Władysława Smoleńskiego. Wydział wydawnictw w roku sprawozdawczym wypuścił w świat cztery dalsze tomy poświęcone dziejom Warszawy, a mianowicie: 1) Kraushar A.: *Albertiego Widoki Warszawy*; — 2) Baranowski I. T.: *Biblioteka Żałuskich w Warszawie*; — 3) Smoleński Wl: *Prezydent Jan Dekert*; — 4) Giedroyc Fr.: *Warunki higieniczne Warszawy*. Oprócz tego wydział przygotował szereg prac, które ukazą się w r. 1913. W ścisłej łączności z Towarzystwem pozostawał „Przegląd Historyczny“, będący podawemu organem T. M. H.

Zarząd T. M. H. w roku 1912 stanowili: prezes Al. Kraushar; wiceprezes — Roger hr. Łubieński; sekretarz — Henryk Mościcki; skarbnik — Witold Kamieniecki. Członkowie: Iwaszkiewicz Janusz, Korzon Tadeusz, † Krzemiński

Stanisław, Kucharzewski Jan, Marylski-Łuszczewski Antoni. Nadto jako przedstawiciele poszczególnych komisji i wydziałów w zarządzie zasiadali: Baranowski Ignacy, Drogoszewski Aureli, Kochanowski Jan i Siemiński Józef.

— ARCHIWUM KS. KS. SAPIEHÓW. Ks. Władysław Sapieha ogłosił list następujący:

„Przed dwoma laty złożyłem bogate archiwum rodziny Sapiehów t. zw. „Archiwum Krasiczyńskie“ w Zakładzie Narodowym im. Ossolińskich we Lwowie. Do kroku tego skłoniła mnie z jednej strony chęć lepszego zabezpieczenia tych cennych pamiątek nie tylko rodziny mojej, lecz także ponieważ przyszości narodu, przed zmianami losu, jakim łatwiej uleść może dom jeden, aniżeli poważna, naukowa, pod opieką kraju i rządu zostająca instytucja; z drugiej strony przyświecała mi myśl umożliwić pracownikom nauki korzystanie z tych obfitych zbiorów, poprzednio nikomu niedostępnych.

„Archiwum w znacznej części uporządkowane i skatalogowane, zostanie wkrótce oddane na usługi historyków i zajmującego się sprawami przeszłości ogółu.

„W celu jaknajlepszego skompletowania zbiorów sapieżyńskich, zwracam się dziś do społeczeństwa z gorącym apelem, prosząc wszystkich właścicieli archiwaliów, odnoszących się do mojej rodziny, o poparcie mnie w tem dążeniu. Uczynić to mogą bądź to składając zostające w ich posiadaniu dokumenty w Archiwum ks. ks. Sapiehów przy Zakładzie Narodowym im. Ossolińskich we Lwowie, bądź też umożliwiając mi skopiowanie tychże.

„O ileby zaś podobne listy i akty były na sprzedaż, gotów jestem kompetować o ich nabycie drogą kupna lub zamiany.

„Wszystkie pisma proszę o łaskawe potwierdzenie tego doniesienia.

Władysław Sapieha.

Krasiczyn w Galicyi.“

— PRZEGŁĄD POŻARNICZY ogłasza konkurs na nowelę lub opowiadanie na warunkach następujących:

1) Treść utworu, pisanego wierszem lub prozą ma być zaczerpnięta z życia i stosunków ochotniczych straży ogniowych na prowincyi z uwzględnieniem ich zadań etycznych i kulturalnych.

2) Utwór winien być nie mniejszy nad 2,000 wierszy drukowanych.

3) Rękopis, czytelnie napisany, powinien być bezimienny i zawierać zamiast podpisu jedynie obrane godło lub pierwsze litery imienia i nazwiska autora. W dołączonej natomiast do rękopisu zapieczętowanej kopercie winien autor podać obok godła swego również i nazwisko z adresem zamieszkania.

4) Rękopis z załączeniem nazwiska w kopercie zapieczętowanej, jak wyżej, nadsyłać należy pod adresem p. Bolesława Chomicza do redakcyi „Przeglądu Pożarniczego“ (Warszawa, Krak.-Przedmieście № 7) najpóźniej do dn. 15 kwietnia r. b.

5) Za utwór, uznany przez sędziów za najlepszy pod względem treści i formy, przyznana będzie jedna nagroda w sumie 150 rb.

6) Utwór nagrodzony przechodzi na własność redakcyi „Przeglądu Pożarniczego“.

7) Co do utworów innych, nadesłanych na konkurs i wyróżnionych przez sędziów, redakcyja zastrzega sobie prawo pierwszeństwa nabycia na własność i druku w „Przeglądzie Pożarniczym“.

8) Rozstrzygnięcie konkursu nastąpi najpóźniej dn. 15 maja r. b.

9) Skład osobisty sędziów konkursu będzie podany w czasie najbliższym.

— SEKCYJA IM. MONIUSZKI przy Warszawskiem Towarzystwie Muzycznym. Główne zadanie Sekcyi, drukowanie dzieł Moniuszki dotąd niewydanych, Zarząd Sekcyi i w ubiegłym 1912 roku starał się wykonać w miarę posiadanych środków. Jakoż przygotowano i oddano do druku szereg utworów solowych z towarzyszeniem orkiestry w układzie Moniuszki, a mianowicie pieśni: „Żal dziewczyny“ (mezzo-sopran), „Księżyc i rzeczka“ (baryton), „Prząśniczka“ (sopran), „Koszykarz“ (baryton); ballady na baryton: „Czaty“, „Trzech budrysów“, „O Floryanie Szarym“ (z niedokończonej opery Rokiczana) i romans Neali z op. Paria. Do pieśni „Prząśniczka“ i do romansu Neali dodano i dla zagranicznych śpiewaczek słowa włoskie, ułożone przez prof. Wł. Millera. Po wyczerpaniu w handlu pieśni „Pieśń wieczorna“, „Znasz-li ten kraj“ i „Prząśniczka“ w układzie na fortepian prof. Henryka Melcera, nabyto prawo dalszego wydania tych pieśni w 1000 egzemplarzach ogółem i zarządzono ich wydrukowanie. Z utworów wyłącznie orkiestrowych oddano do druku: Uwertury z oper „Ideal“, „Cudowna woda“ i z melodramy „Sabaudka“, Tańce hiszpańskie z baletu Monte-Christo i Polonez koncertowy. Zarządzono wydrukowanie oddawna przygotowanych partycyi fortep. do śpiewu oper: Paria (z dodanym tekstem włoskim prof. Wł. Millera), Jawnuta (Cyganie), Beata (z dodanym tekstem włoskim prof. Millera), oraz partytur orkiestrowych i głosów do kantaty Nijola i do ballady Pani Twardowska. Po wydrukowaniu powyżej wymienionych dzieł, oraz wydawanych w nowych edycyach, pozostaną jeszcze do wydrukowania partytury orkiestrowe oper: Paria, Straszny dwór, Hrabina, Verbum nobile, Jawnuta (Cyganie), Flis, Beata, oraz partytury orkiestrowe muzyki do dramatów: Żale Jefitty, Hamlet, Fedra, List żelazny, Paria, Zbojcy, Karpaccy Górale, Lilla Weneda, Kupiec wenecki.

Wydrukowanie dzieł Moniuszki, dotąd niewydanych, będzie prawdziwem utrwaleniem w narodzie pamięci genialnego pieśniarza naszego i twórcy opery polskiej w ścisłym znaczeniu. I dlatego zarząd Sekcyi serdecznie prosi członków Sekcyi nie tylko o stałe popieranie prac Sekcyi, ale i o zachęcanie bliższych znajomych, dla których wydatek roczny trzech rubli nie może stanowić ciężaru do zapisywania się na członków Sekcyi. Tym bowiem sposobem Sekcyja, osiągając w dochodach więcej niż obecnie funduszu, będzie w stanie przyspieszyć ukończenie wydrukowania i pozostałych jeszcze najcenniejszych dzieł mistrza. Sekcyja liczyła z końcem ubiegłego roku członków 403.

— „BIBLIOTEKA PAMIĘTNIKÓW.“ Podejmując wydawnictwo „Biblioteki Pamiętników“, zwracamy się do całego społeczeństwa z gorącą prośbą o poparcie naszego zamierzenia. Prosimy zatem o nadsyłanie nam dla ewentual-

negu zużytkowania: pamiętników rękopiśmiennych, wspomnień, dzienników, t. zw. *Silva rerum*, zapisków rodzinnych i t. p., oświetlających bądź jakieś wydarzenie historyczne, bądź też stanowiących przyczynek do charakterystyki życia ohyczajowego lub towarzyskiego w przeszłości; dalej korespondencyi wybitniejszych działaczy społecznych i politycznych, literatów i t. d., oraz fotografii z portretów zasłużonych obywateli, urzędników; scen historycznych, gmachów, pamiątek, rysunków, karykatur i t. p. Skorzystamy z nich z całym pietyzmem i w miarę zastrzeżeń z całą dyskrecyą, poręczając zwrot ich w stanie nieuszkodzonym.

Wszelkie przesyłki i listy prosimy adresować do redakcyi „Biblioteki Pamiętników“ (Wilno, Prospekt Ś-to Jerski № 28), albo do członka Komitetu redakcyjnego „Biblioteki“ w Warszawie p. Henryka Mościckiego (Warszawa, Aleje Ujazdowskie № 16).

CZASOPISMA PERYODYCZNE.

— KSIĄŻKA. Miesięcznik, poświęcony krytyce i bibliografii polskiej. Luty, 1913. Treść: Spuścizna Brzozowskiego (dokończenie). Krytyka: Bornstein Benedykt: Prolegomena filozoficzne do geometryi; — Chlebowski Bronisław: Pisma tom III; Collodi C.: Przygody pajaca; — Cornish S. P.: Świat zwierząt, tom II; — Faulhaber M. dr.: Na co się to przyda, czyli znaczenie Sakramentów św. dla kwestyi socyalnej; — Górzyński Wład. ks.: Rozwój historyi sztuki; — Grudzińska Anna: W stepie; — Jabłonowski Aleksander: Historia Rusi Południowej; — Koterbski Józef ks.: Nauki rekolekcyjne i doroczne; — Kozicki Wład.: W Gaju Akademosa; — Kryński Adam Antoni: Szkice językoznawstwa polskiego od początku wieku XIX; — Lutosławski Jan: Kalendarz Rolniczy na rok 1913; — Łubieński Bernard O.: Życie św. Alfonsa Maryi Liguorego; — Manczarski Aleksander: Składnia języka polskiego; — Molier: Dzieła (przekład Tad. Żeleńskiego); — Ostrowski Stanisław: Śladami legionów; — Pourrat G.: Studium pozytywno-teologiczne o Sakramentach; — Rocznik Towarzystwa Przyjaciół Nauk w Przemysłu; — Rolle Michał: Oryginały; — Sikorski Wacław: Czy kraj nasz wysycha; — Sombart Werner: Żydzi i życie gospodarcze; — Sosnowski Kazimierz: Gorce; — Straszewicz Zygmunt: Wykład przystępny mechaniki; — Trzebiński Józef dr.: Choroba roślin uprawnych; — Ułaszyn Henryk: Miscellanea językowe, serya I; — Zaleski Zygmunt L.: Zygmunt Krasiński; — Zgliński Daniel: Impertynencye i paradoksy; — Zielińska Barbara: Mały Jezus. Wyjaśnienie. Polemika. Kronika. Czasopisma. Bibliografia. Ogłoszenia.

BIBLIOGRAFIA.

KSIĄŻKI NADESŁANE DO REDAKCYI.

APPEL KAROL (członek Tow. Naukowego Warszawskiego i Komisji językowej Akademii Umiejętności w Krakowie): Stanowisko językoznawstwa pośród innych nauk. Odbitka z „Nowych Torów”. Warszawa, 1913. Drukarnia Naukowa.

AUGUST DE VILLIERS DE L'ISLE ADAM: Wybór nowel. W przekładzie i ze wstępem Wacława Rogowicza. Warszawa. Biblioteka Literacko-artystyczna „Muzy.” Nakład i druk Tow. Akc. S. Orgelbranda S-ów. Skład główny w księgarni E. Wende i Sp.

BONIECKI: Herbarz polski. Tom XV. Zeszyt V-ty. „Łągwa-Łasiewiczy”.

BRZEGA WOJCIECH: Posiady (opowiadania z Podhala). Kraków, 1913. Nakładem księg. literackiej Karola Kwaśniewskiego w Krakowie. Warszawa, G. Centnerszwer i Sp.

DUNIN HR. R. i MEYLERT W.: O deszczowinach (Referaty odczytane w dn. 9 grudnia 1912 r. w Warszawie na zebraniu C. T. R. w Resursie Obyw.) Warszawa, 1913. Wydawnictwo Centralnego Towarzystwa Rolniczego w Królestwie Polskiem. Skład główny w księg. Gebethnera i Wolffa.

FARINA SALVATORE: Syn mój. Z dozwolenia autora, z dziewiętego włoskiego wydania przełożyła Wila Zyndram Kościalkowska. Warszawa. Nakład i druk Tow. Akc. S. Orgelbranda S-ów. Skład gł. w księg. E. Wende i Sp.

FOERSTER FR. W. DR.: Wychowanie człowieka. Książka dla rodziców, nauczycieli i kapłanów. Zeszyt VIII (ostatni). Nakład Gebethnera i Wolffa. Warszawa, Lublin, Łódź. Kraków, G. Gebethner i Sp.

FRA-SILVIO: Msza Genesis. Łódź. Druk i nakład Mikołajtysa.

GERMAN JULIUSZ: Gwiazdzista noc. Powieść. Kijów—Warszawa, 1912. Nakładem księgarni Leona Idzikowskiego. Kraków, S. A. Krzyżanowski.

GÓRKA STEFAN: Sztuka zdobycia majątku. Życiorysy, osobiste wyznania, rady i wskazówki tych milionerów, którzy z nędzy wyszli i własnymi siłami osiągnęli swe bogactwa. Zebrane z ich pamiętników, artykułów i przemówień. Kraków, 1913.

JABLONOWSKI WŁADYSŁAW: Dwie kultury. Studya historyczne i literackie. Treść: Urok Zachodu. Dekabryści i ich stosunek do Polski. W poszukiwaniu Boga. Zagadkowy geniusz Odrodzenia (Leonardo da Vinci). Kamil Benso Cavour. Przeciwnicy romantyzmu. Targowisko cywilizacji. Warszawa, 1913. Nakładem księg. E. Wende i Sp. Łódź, Ludwik Fiszer.

KEPPLER PAWEŁ DR.: Więcej radości. Tłómaczenie z niemieckiego. Biblioteka „Prądu“ № 5. Warszawa, 1913.

KONCZYŃSKI TADEUSZ: Pani Bella. Komedia w 4-ch aktach. Warszawa—Kraków. Nakład i druk Tow. Akc. S. Orgelbranda S-ów. Skład główny w księg. E. Wende i Sp.

KUDELKA BOLESŁAW: Jakób Heraklides Despota, samozwańczy gospodar moldawski wobec Polski i Austrii. Lwów, 1912.

LUBIŃSKA TERESA: Jarzmo miłosne. Powieść. Nakład Gebethnera i Wolffa. Warszawa, Lublin, Łódź, Kraków. G. Gebethner i Sp.

MAŁECKI BOLESŁAW: Róże, ich historia, opisowa klasyfikacya, zużytkowanie, hodowla gruntowa i domieszkowa tudzież pasożyty i „szkodniki zwierzęce. Wydanie drugie, przejrane i poprawione. Nakład i własność księg. Leona Idzikowskiego w Warszawie i Kijowie, 1912.

MEJER JAN ADOLF: Jak należy uprawiać buraki w kraju poł.-zachodnim i zadnieprzańskim. Na podstawie 25-letniej praktyki. Kijów, 1912. Nakładem księg. Leona Idzikowskiego.

MOJA PIERWSZA HISTORIA. Chronologia Królów polskich, wierszem opisała „Aryela“. Kijów—Warszawa, 1912. Nakład księg. Leona Idzikowskiego.

MORAWSKI KAZIMIERZ MARYAN: Z wieku Łazienek (Notatki historyczne). Kraków, 1913. Spółka Wydawnicza Polska.

NAPIÓRKOWSKI ANTONI: Cukier jako źródło siły produkcyjnej i dźwignia rolnictwa. Odczyt wygłoszony na ogólnem zebraniu Lubelskiego Tow. Rolniczego dn. 7 grudnia 1912 r. Lublin 1913.

OSTROWSKA BRONISŁAWA: Aniołom dźwięku. Nakład Gebethnera i Wolffa. Warszawa, Lublin, Łódź. Kraków G. Gebethner i Sp.

PRZYBYSZEWSKI STANISŁAW: Wyzwolenie. „Mocnego Człowieka“ część II. Nakład Gebethnera i Wolffa. Warszawa, Lublin, Łódź. Kraków G. Gebethner i Sp.

RAWITA-GAWROŃSKI FR.: Zakon OO. Dominikanów w Kijowie. Szkic historyczny. Kijów, 1912. Leon Idzikowski.

* RACHILDE: Jej wiosna. Powieść. Z upoważnienia autorki przełożyła Helena Żółkiewska. Kijów, 1913. Skład główny w księg. Leona Idzikowskiego w Kijowie i w Warszawie.

RADIŃSKA ORSZA HELENA: Kółtąj jako pedagog. Hugona Kółtąja nieznane listy o wychowaniu. Lwów, 1912. Skład główny w księg. S. A. Krzyżanowskiego w Krakowie.

RENAN ERNEST: Dyalogi i fragmenty filozoficzne. Z szóstego wydania spolszczył Grzegorz Glas. Warszawa, Biblioteka Literacko-artystyczna „Muzy“. Nakład i druk Tow. Akc. S. Orgelbranda S-ów. Skład główny w księgarni E. Wende i Sp.

RAPACKI WINCENTY: Król Husytów. Powieść. Warszawa, 1913. Nakładem Kasy przezorności i pomocy warsz. pomocników księgarskich. Skład główny u Gebethnera i Wolffa.

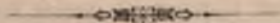
VIVANTI ANNA: Pożeracze. Przekład z włoskiego Zofii Sokołowskiej. Część I. Warszawa, 1913. „Biblioteka Dzieł Wyborowych“.

ZBROWSKI MARYAN: Przemiany. Poezye. Warszawa, 1913. Skład gł. w księg. Gebethnera i Wolffa.

SKARGI PIOTRA kazania i pisma co najprzedniejsze. Wybrał, objaśnił i przedmowę opatrzył Wiktor Gomulicki. Biblioteka Literacko-artystyczna „Muzyka“. Warszawa. Nakład i druk Tow. Akc. S. Orgelbranda S-ów. Skład główny w księg. E. Wende i Sp.

TOKARZEWSKI SZYMON: Zbieg. Wspomnienia z Sybiru. Nakładem Kasy przezorności i pomocy warsz. pomocników księgarskich. Skład główny u Gebethnera i Wolffa. Warszawa, 1913.

ZAPOLSKA GABRYELA: We krwi. Powieść współczesna. Część II. Warszawa, 1913. „Biblioteka Dzieł Wyborowych“.



Redaktor odpowiedzialny i wydawca MAURYCY hr. ZAMOYSKI.

SPIS RZECZY

ZAWARTYCH W TOMIE PIERWSZYM

z roku 1913.

FILOZOFIA.

FILOZOFIA TRADYCYONALIZMU,—przez <i>Leszcza</i>	Str. 125
---	-------------

HISTORIA.

UPADEK POLSKI A FRANCYA,—przez <i>Szymona Askenazego</i>	1 i 209
POLACY W ARMII KATARZYNY II, — przez <i>Włodzimierza Dzwon-</i> <i>kowskiego</i>	88
SICZE ZAPOROSKIE,—przez <i>Fr. Rawitę-Gawrońskiego</i>	324
MISYA POLITYCZNA F. BIERNACKIEGO DO ANGLII,—przez <i>d-ra Eu-</i> <i>geniusza Wawrzkowicza</i>	417
KOŚCIÓŁ KATOLICKI W POCZĄTKACH PANOWANIA ALEKSAN-	
DRA I,—przez <i>d-ra Macieja Loreta</i>	493
ZIMA w r. 1812,—przez <i>St. Wotowskiego</i>	570

HISTORIA LITERATURY.

ZE STUDYÓW NAD TWÓRCZOŚCIĄ FREDRY, — przez <i>d-ra Władysła-</i> <i>wa Günthera</i>	36
STANISŁAW TREMBECKI, JAKO SŁOWIANOFIL,—przez <i>d-ra Edwar-</i> <i>da Woronieckiego</i>	263 i 466

STUDYA LITERACKIE.

O MIŁOŚNIKACH KSIĄŻEK,—przez <i>Zuzannę Rabską</i>	156
RUCH LITERACKI W NIEMCZECH,—przez <i>d-ra Józefa Flacha</i>	353

	Str.
CHARAKTER I PRZEDMIOT BADAŃ LITERACKICH,—przez <i>Juliusza Kleinera</i>	447
TRYLOGIA LUCYANA RYDLA,—przez <i>Antoniego Mazanowskiego</i> . . .	521
RUCH LITERACKI WE FRANCYI,—przez <i>Orwida</i>	540

SZKICE PODRÓŻNICZE.

ZE WSPOMNIEŃ DALEKIEGO WSCHODU,—przez <i>H. Wiercieńskiego</i> . .	300
--	-----

R O Z M A I T O Ś C I.

DOTYCHCZASOWE BADANIA NAD POWSTANIEM „PIEŚNI LEGIONÓW,—przez <i>Wacława Orłowskiego</i>	377
NIEZNANE WIERSZE SAMUELA ZE SKRZYPNY TWARDOWSKIEGO,—przez <i>Janinę Kozłowską</i>	381

K R Y T Y K A.

DR. STANISŁAW KOT: „Wpływ starożytności klasycznej na teorye polityczne Andrzeja Frycza z Modrzewa,“ — przez <i>M. Kridla</i>	176
STANISŁAW SCHNEIDER: „Badania nad źródłami twórczości Juliusza Słowackiego w ostatnim okresie życia.“ „Jedno ze źródeł twórczości Słowackiego“ i „Świat ptasi w Balladynie,“ —przez <i>Wł. T. Baranowskiego</i>	182
STANISŁAW SZCZEPANOWSKI: „O polskich tradycjach w wychowaniu,“ —przez <i>d-ra Z. Bujakowskiego</i>	186
„Pisma Bronisława Chlebowskiego“, —przez <i>M. K.</i>	386
„Wilno z przed stu lat w akwarelach Franciszka Smuglewicza“, —przez <i>H. Mościckiego</i>	392
AURELI DROGOSZEWSKI: „Eliza Orzeszkowa“, —przez <i>M. Kridla</i>	581
ATTILLE BEGEY: „André Towiański et Israël“, —przez <i>Stanisława Szpotkańskiego</i>	587
A. M. SKAŁKOWSKI: „O kokardę legionów“, —przez <i>Wacława Orłowskiego</i> .	590

KRONIKA MIESIĘCZNA.

STYCZEŃ:

Rozmyślania noworoczne.—Zły bilans polityczny.—Pierwiastki otuchy na przyszłość w innych dziedzinach życia.—Utopijne głosy.—Ograniczenie Żydów w T. K. m. Warszawy.—Kto jest silniejszy?—Kłopoty rządu pruskiego

III

Str.

z wywłaszczeniem. — Sprzedawczyk. — Apolityczność w Wielkopolsce i reakcja przeciw niej. — Czem będzie czwarta Izba rosyjska? — Pierwsze oznaki. — Około deklaracji rządowej. — Mowa posła Kiniorskiego. — Pogrzebanie samorządu miejskiego w Radzie Państwa. — Rezolucja Koła Sejmowego i odezwa Rady Narodowej o obecnym nastroju w Galicyi	190
---	-----

LUTY:

Luźne uwagi o czytelnictwie. — Rola społeczna powieści. — Rozprawy polskie w Izbie — Sprawa samorządu. — Poprawki Rady Państwa. — Opieka nad wychodźcami. — Rozłam w Tow. Kultury Polskiej	396
--	-----

MARZEC:

Pięciolecie Kółek Rolniczych. — Piętnaście lat pracy Pogotowia Ratunkowego. — Wspomnienie o Szkole Głównej. — Rada Narodowa w Wielkopolsce. — Zwycięstwo polskie w sprawie wywłaszczenia. — Losy samorządu miejskiego dla Królestwa	593
---	-----

WSPOMNIENIA POZGONNE.

Ś. p. J. E. Wincenty Chościak Popiel, arcybiskup warszawski, — przez L. W.	204
Ś. p. Kazimierz Laskowski (El), ś. p. Władysław Bełza i ś. p. Wincenty Józef Karpiński, — przez L. W.	608

WIADOMOŚCI NAUKOWE, LITERACKIE I BIBLIOGRAFICZNE.

STYCZEŃ	206
LUTY	409
MARZEC	612

